

Weber David

Rafa Armagedonu

2 LIPCA 2378

GWIAZDA CRESTWELLA HD 63077A, FEDERACJA TERRAŃSKA

Kapitan wzywany na mostek! Kapitan wzywany na mostek!

Mateus Fofao stoczył się z koi, jak tylko usłyszał dobiegające z interkomu dźwięki sygnałów alarmowych i przebijający się przez nie głos oficera dyżurnego. Postawił bose stopy na pokładzie i sięgnął do komunikatora, zanim na dobre otworzył oczy, instynktownie wciskając odpowiednią kombinację klawiszy.

- Tu mostek. - Odpowiedź nadeszła natychmiast, usłyszał beznamiętny głos, w którym dzięki wieloletniemu szkoleniu nie dało się wychwycić nawet cienia paniki.

- Mówi kapitan, komandorze Kuzniecowa - odparł równie zwięźle Fofao. - Proszę połączyć mnie z porucznik Henderson.

- Tak jest, sir.

Na moment zapadła kompletna cisza, potem odezwał się inny głos.

- Melduje się oficer pokładowy.

- Mów, Gabby. - Kapitan od razu przeszedł do rzeczy.

- Tak jest, skipper - w głosie porucznik Gabrieli Henderson, pełniącej funkcję oficera taktycznego ciężkiego krążownika, dało się wyczuć spore napięcie. Charakterystyczny dla niej kontralt zastąpiły znacznie ostrzejsze tony. - Mamy niezidentyfikowane kontakty. Wiele niezidentyfikowanych kontaktów. Właśnie opuściły nadprzestrzeń o dwanaście minut świetlnych od naszej pozycji i kierują się do wnętrza systemu z prędkością ponad czterystu grawitacyjnych.

Fofao zacisnął szczęki. Czteryście grawitacyjnych to niemal dwadzieścia procent więcej, niż zdołają wyciągnąć najlepsze kompensatory floty. Już z tego mógł wywnioskować, że kimkolwiek są nadlatujący, na pewno nie należą do Federacji.

- Szacowana liczebność? - zapytał.

- Wciąż pojawiają się kolejne jednostki, sir - odparła zdecydowanym tonem Henderson. - Do tej pory mam potwierdzenie ponad siedemdziesięciu obiektów.

Kapitan skrzywił się.

- Rozumiem. - Poczł zdziwienie, słysząc, jak spokojnie brzmi jego głos. - Wdrożyć procedury pierwszego kontaktu oraz programy Luneta i Strażnik. Potem przechodzimy na poziom czwarty. Proszę się upewnić, że pani gubernator została o wszystkim poinformowana, i przekazać jej, że ogłaszam kod Alfa.

- Tak jest, sir.

- Będę na mostku za pięć minut - dodał Fofao, gdy drzwi jego kajuty sypialnej otworzyły się, przepuszczając niosącego mundur stewarda. - Wystrzelcie też dodatkowe drony zwia-dowcze w kierunku nadlatującej formacji.

- Tak jest, sir.

- Widzimy się za chwilę - powiedział kapitan.

Wyłączył komunikator i odwrócił się, aby odebrać mundur z rąk pobladłego stewarda.

Mateus Fofao pojawił się na mostku OWFT Swiftsure przed czasem.

Otrząsnął się z resztek snu, zanim opuścił kabinę windy wiozącej go na stanowisko dowodzenia; wszedł na mostek szybkim, zwawym krokiem, a jego wzrok od razu spo-czał na mapie taktycznej. Nadlatujące jednostki pobłyski- wały złowieszczym szkarłatem na tle płataniny linii opisu-jących granice systemu i czterech niebiesko-białych kręgów oznaczających planety.

- Kapitan na mostku! - oznajmił Kuzniecowa, ale Fofao machnął gniewnie dłonią, widząc, że wachtowi zrywają się z foteli.

- Dajcie spokój - powiedział i niemal wszyscy obecni z po-wrotem usiedli. Porucznik Henderson z wyraźną ulgą opu-ściła znajdujące się na samym środku mostka stanowisko dowodzenia, ustępując miejsca zbliżającemu się kapitanowi.

Fofao skinął jej głową, podszedł do fotela i usadowił się w nim wygodnie.

- Kapitan przejmuje dowodzenie - oznajmił formalnym tonem, a potem podniósł wzrok na Henderson, która wciąż stała obok. - Odebraliśmy jakieś transmisje z nadlatujących okrętów?

- Nie, sir. Gdyby zaczęli nadawać w momencie opuszcze-nia nadprzestrzeni, powinniśmy odebrać ich sygnały... - po-rucznik rzuciła okiem na wyświetlacz z zegarem - ponad dwie minuty temu, ale na razie nic do nas nie dotarło.

Fofao skinął głową. Nie zdziwiło go to specjalnie - pole czerwieni na ekranie rozpościerało się coraz szerzej.

- Nowe dane na temat liczebności? - zapytał.

- Namierzyliśmy już osiemdziesiąt pięć dużych jednostek przestrzennych - zameldowała Henderson. - Nie zanotowa-liśmy do tej pory startu myśliwców.

Kapitan raz jeszcze skinął głową i nagle poczuł, że prze-pelnia go dziwne, nie dające się określić napięcie. Poczul spokój człowieka stojącego twarzą w twarz z zagrożeniem, do którego zwalczania był szkolony i przygotowywany cały-mi latami, ale mającego jednocześnie nadzieję, że konfron-tacja nigdy nie nastąpi.

- Co ze Strażnikiem?

- Wdrożony, sir - potwierdziła porucznik. - Antylopa osią-gnęła prędkość nadświatlną dwie minuty temu.

- A Luneta?

- Włączona, sir.

To już coś, taka myśl pojawiła się w zakamarkach mó-zgu Fofao.

OWFT Antylopa był niewielką, pozbawioną uzbrojenia, ale za to niezwykle szybką jednostką kurierską. Świat Crest-wella zaliczał się do najdalej wysuniętych przyczółków ko-lonialnych Federacji, od Sol dzieliło go niemal pięćdziesiąt lat świetlnych. Niedawno odkryty i zbyt słabo zasiedlony nie posiadał jeszcze własnego hipercomu. Wyłącznym sposobem komunikacji w takich sytuacjach były jednostki kurierskie i dlatego Antylopa mknęła teraz z maksymalną prędkością w kierunku systemu słonecznego, mając za zadanie dostar-czenie wiadomości o ogłoszeniu kodu Alfa.

Mianem Lunety określano systemy satelitów szpiegow-skich krążących po peryferiach systemu planetarnego. Były to pasywne urządzenia, bardzo trudne, jeśli nie niemożli-we do namierzenia, których jednak nie umieszczono tam na użytek załogi Swiftsure. Ich zadaniem - wszystkich bez wyjątku - było zapewnienie Antylopie przed jej skokiem w nadprzestrzeń dostępu do wszelkich potrzebnych danych taktycznych. Te same dane trafiały równocześnie do kompu-terów OWFT Gazela, bliźniaczej jednostki kurierskiej, cze-kającej w ukryciu na orbicie gazowego giganta, najdalszej planety tego systemu.

Gazela miała czaić się w ukryciu do samego końca, a na-stępnie udać się w kierunku Starej Ziemi celem złożenia wy-czerpującego raportu o przebiegu zdarzeń.

I bardzo dobrze, że tam jest, pomyślał ponuro Fofao, bo sami na pewno nie będziemy w stanie niczego przekazać.

- Stan okrętu? - zapytał.

- Systemy bojowe przeszły na poziom czwarty, sir. Maszy-nownia melduje, że wszystkie stanowiska zostały obsadzone i oba napędy, zarówno pod-, jak i nadprzestrzenny, są gotowe do natychmiastowego wykonania pańskich rozkazów - wy-rzuciła z siebie Henderson.

- Znakomicie. - Kapitan wskazał jej stanowisko i nie spuścił z niej wzroku, dopóki go nie zajęła. Potem zaczerpnął tchu i nacisnął klawisz umieszczony w poręczy fotela. - Mówi kapitan - zaczął, pomijając formułki. — Wszyscy już wiecie, co się wydarzyło. W chwili obecnej posiadacie tyle samo wiadomości na temat nadlatujących okrętów co ja. Nie mam pojęcia, czy to Gbaba czy ktoś inny, ale jeśli przybysze są wrogami, znajdziemy się w naprawdę trudnej sytuacji. Chciałbym więc powiedzieć przy tej okazji, że jestem z was dumny. Bez względu na to, co niedługo się stanie, wiem jedno: żaden kapitan nie posiadał lepszego okrętu i lepszej załogi. - Odwrócił fotel, by spojrzeć na sternika. - Kurs zero-jeden-pięć, jeden-jeden-dziewięć, prędkość pięćdziesiąt grawitacyjnych - powiedział ścisłym głosem i OWFT Swiftsure zajął pozycję pomiędzy planetą, którą koloniści ochrzcili mianem Świata Crestwella, a lecącą w jej kierunku armadą.

Mateus Fofao zawsze był dumny ze swego okrętu. Z jego załogi i osiągow, z niesamowitej siły ognia upakowanej w ważącym siedemset pięćdziesiąt tysięcy ton kadłubie. W tej chwili wszakże mógł myśleć wyłącznie o niesamowitej kruchości tej jednostki.

Jeszcze dziesięć lat temu Federacja Terrańska nie posiadała marynarki wojennej z prawdziwego zdarzenia. Istniał wprawdzie twór zwany flotą, ale obejmował głównie statki badawcze i niewielką liczbę wspierających je lekko uzbrojonych jednostek, których zadaniem było prowadzenie akcji poszukiwawczych i ratunkowych oraz z rzadka rozprawa z wyjątkowo ludzkimi przeciwnikami.

Przed dekadą sytuacja uległa zmianie, po tym jak okręty zwiadowcze Federacji trafiły na pierwsze dowody istnienia zaawansowanych obcych cywilizacji. Nikt nie wiedział, jakie miano nosiła rasa, ponieważ nie znaleziono jej ani jednego żywego przedstawiciela. Ludzkość doznała szoku, dowiadując się, że ktoś doprowadził do umyślnej zagłady całej cywilizacji. Że rasa zdolna do opanowania i eksploatacji własnego systemu planetarnego została zmieciona bez cienia litości. Na samym początku przyjęto nawet założenie, że zagłada mogła być efektem bratobójczych wojen prowadzonych przez nowo odkryte istoty.

Naukowcy badający ruiny obcej cywilizacji przychylali się do tej teorii, uznając ją za najbardziej prawdopodobną, jednakże należeli do zdecydowanej mniejszości. Większość mieszkańców Federacji musiała w końcu się pogodzić z drugą, znacznie bardziej przerażającą hipotezą. Obcy nie wybili się wzajemnie, winnym rzezi był ktoś inny.

Fofao nie miał pojęcia, kto ochrzcił hipotetycznych zabójców mianem Gbaba, i prawdę powiedziawszy, niespecjalnie go to martwiło. Wystarczał mu fakt, że istnienie tych istot stało się powodem stworzenia podwalin prawdziwej marynarki wojennej, a także wdrożenia systemów wczesnego ostrzegania, takich jak Luneta czy Strażnik.

I tego, że OWFT Swiftsure znajdował się teraz pomiędzy Światem Crestwella a nadlatującą i wciąż milczącą masą czerwonych znaczników.

W całym znanym wszechświecie nie było prawa fizyki, które umożliwiłoby pojedynczemu ciężkiemu krążownikowi powstrzymanie, spowolnienie czy choćby zakłócenie przelotu tak ogromnej siły, jaka zbliżała się teraz do okrętu dowodzonego przez Mateusa Fofao.

Swiftsure nie był też w stanie umknąć przed napastnikami - co stało się jasne w momencie, gdy pokazali, jak niesamowite przyśpieszenia osiągnęli - ale tym akurat kapitan nie zaprzętał sobie głowy, nie zamierzał bowiem uciekać.

Nawet przy tak niesamowitych prędkościach flota niezidentyfikowanych okrętów zdoła dotrzeć do Świata Crestwella dopiero za cztery godziny, zakładając, że planeta jest celem ataku. Jeśli Obcy nie zamierzają wchodzić na jej orbitę, miną ją za niespełna trzy godziny. Bez względu na ich plany Swiftsure musi pozostać na wyznaczonej pozycji, do ostatniej chwili próbując nawiązać kontakt i wysyłając w stronę nadlatujących pokojowe komunikaty. Będzie kruchą tarczą i pułapką, zapewniającą bardzo nikłą możliwość powstrzymania ataku na pobliską nowo zasiedloną planetę.

I, co bardzo prawdopodobne, pierwszą ofiarą wojny, do której Federacja przygotowywała się już od dekady.

▼ TT

- Sir, mamy odczyty nowych napędów - zameldowała porucznik Henderson. - Zdaje się, że to myśliwce - mówiła rzeczowo, z zawodowym opanowaniem. - Jest ich około czterystu.

- Przyjąłem. Komunikacyjny, czy nadal nie ma odpowiedzi na nasze sygnały?

- Nie ma, sir - odparł spięty wachtowy ze stanowiska komunikacyjnego. ,

- Taktyczny, rozpoczynamy rozmieszczanie rakiet.

- Tak jest, sir - odparła Henderson. - Rozmieszczanie rakiet rozpoczęte.

Wielkie korpusy pocisków dalekiego zasięgu odłączyły się od zewnętrznych pierścieni uzbrojenia, mniejsze pomknęły w przestrzeń z komór na śródkręciu. Rakiety rozproszyły się wolno - lecąc na silnikach manewrowych, zajmowały pozycje przed dziobem Swiftsure na tyle daleko od macierzystego okrętu i pozostałych pocisków, by ich główne napędy po odpaleniu nie dokonały żadnych zniszczeń.

Wygląda na to, że zamierzają otoczyć planetę, pomyślał Fofao, przyglądając się coraz szerzej lecącej formacji, w której kierunku jego okręt wysyłał nieprzerwanie sygnały. Po-kojowo nastawione siły nie wykonują podobnych manewrów.

Spojrzał na liczby pojawiające się na mapie taktycznej. Wróg wyszedł z nadprzestrzeni sto szesnaście minut temu. Zbliżał się do Świata Crestwella z prędkością trzydziestu jeden tysięcy kilometrów na sekundę i jeśli nie rozpocznie manewrów hamujących w ciągu najbliższych kilku sekund, minie skolonizowaną planetę, nie mogąc wejść na jej orbitę.

Ciekawe, czy...

- Odpalono rakietę! - zameldowała niespodziewanie Gabriela Henderson. -

Powtarzam, odpalono rakietę! Wiele rakiet na kursie zbliżeniowym!

Serce Mateusa Fofao zamarło.

Przecież nie mogą mieć nadziei na trafienie manewrującej jednostki przestrzennej z tak wielkiego dystansu. Taka była jego pierwsza myśl, gdy spojrzał na rój tysięcy pocisków naniemieszonych na mapę systemu. Ale mogą być pewni jak cholera, że nie chybią celu wielkości planety... - podszeptał mu mózg sekundę później.

Wpatrywał się w falę rakiet, wiedząc, co wkrótce nastąpi. Systemy obronne Swiftsure nie powstrzymają takiej masy pocisków, co najwyżej uszczkną kilka kropel z gigantycznej rzeki zniszczenia. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu poja-wiło się kolejne pytanie. Jakie głowice niosą te rakietę? Fu-zyjne? A może wypełniono je antymaterią? Albo bronią chemiczną lub biologiczną? Chyba że to zwykłe głowice kinetyczne. Przy tak wielkich prędkościach te rakietę nie potrzebują ładunków, by dokonać totalnego zniszczenia.

- Komunikacyjny - usłyszał własny bezbarwny głos, gdy wciąż spoglądał na zbliżające się do okrętu narzędzia zagłady niemal pół miliona kolonistów zamieszkujących Świat Crestwella - przerwijcie nadawanie sygnałów. Manewrowy, pełna moc napędu, kurs zero-zero-zero, zero-zero-pięć. Taktyczny - odwrócił się i napotkał wzrok porucznik Henderson - przygotować się do starcia z wrogiem.

14 LUTEGO 2421

OWFT EXCALIBUR, OWFT GULIWER, ZESPÓŁ UDERZENIOWY NUMER JEDEN

J

Jednostka zwiadowcza była zbyt mała, aby stanowić zagrożenie dla kogokolwiek. Kadłub tego mikroskopijnego stateczku stanowił zaledwie trzy procent masy Excalibura, flagowego pancernika zespołu uderzeniowego. Choć maluch był znacznie szybszy i miał na pokładzie o wiele bardziej zaawansowane systemy uzbrojenia, nie mógł podejść do okrętów wojennych na odległość minuty świetlnej, nie narażając się na kompletne zniszczenie.

Sęk w tym, że nie musiał tego robić.

▼ ▼ T

- Mamy potwierdzenie, sir. - Mahoniowa twarz kapitana Somerseta wyglądała złowieszczo na ekranie komunikatora okrętu flagowego. Dowódca Excalibura postarzał się mocno od czasu utworzenia tego zespołu uderzeniowego, pomyślał admirał Pei Kau-zhi. Zresztą nie on jeden.
- Jaka odległość dzieli nas od niego, Martinie? - zapytał beznamiętnym tonem.
- Nieco ponad dwie i pół minuty świetlnej - odparł Somerset, robiąc jeszcze bardziej ponurą minę. - Podszedł zbyt blisko, admirale.
- Chyba nie... - powiedział Pei, potem uśmiechnął się blade do dowódcy flagowca. - Bez względu na dzielącą nas odległość, nie możemy się go pozbyć.
- Mógłbym podać tam kilka ekranów i odepchnąć go na większą odległość, sir. Mógłbym nawet wydzielić eskadrę myśliwców, żeby wyprowadziły go poza pole widzenia naszych skanerów.
- Nie wiemy, jak daleko za nim znajduje się coś większego. - Admirał pokręcił głową.
- A chcemy przecież, żeby nas zauważono.
- Admirale - odezwał się Somerset. - Wydaje mi się, że nie powinniśmy liczyć na szansę...
- Nie możemy sobie pozwolić na brak tej szansy - oświadczył zdecydowanie Pei. - Zaczynaj od przesunięcia ekranów w jego kierunku. Sprawdźmy, czy damy radę odepchnąć go nieco dalej od nas. Bez względu na efekt za pół godziny i tak wykonamy manewr odejścia.

Kapitan przyglądał się dowódcy przez dłuższą chwilę, potem skinął głową.

- Dobrze, sir. Wydam odpowiednie rozkazy.
 - Dziękuję, Martinie. - Pei odpowiedział o wiele łagodniejszym tonem i przerwał połączenie.
 - Kapitan może mieć rację, sir - zza jego pleców dobiegł cichy kontralt, więc obrócił fotel, by spojrzeć na osobę wypowiadającą te słowa.
- Komandor porucznik Nimue Alban była zbyt młodym oficerem, nawet w tej antygeronowej społeczności, aby sugerować czterogwiazdkowemu admirałowi - bez względu na to, z jakim szacunkiem wypowiadała swoje słowa — że jego ocena sytuacji może nie być bezbłędna. Ale Pei Kau-zhi nie czuł najmniejszej potrzeby zwracania jej uwagi. Po pierwsze dlatego, że mimo młodego wieku była jednym z najwybitniejszych oficerów taktycznych, jakich posiadała Federacja. Po drugie, jeśli ktokolwiek zasługiwał na przywilej pouczenia admirała, była to z pewnością komandor porucznik Alban.
- Kapitan ma rację - przyznał Pei. - I to całkowicie. Mam jednak przeczucie, że ten kruk jest zwiastunem złych wiadomości.

- Przeczucie, sir?

Alban otrzymała w spadku po ojcu, Walijczyku, ciemne włosy i szafirowe oczy, ale sylwetkę oraz silny kościec zawdzięczała matce, Szwedce. Admirał Pei był trzykrotnie starszym od niej, o wiele niższym, żyłastym mężczyzną. Teraz kobieta górowała nad nim, patrząc w dół z uniesioną lekko jedną brwią. Z pewną satysfakcją odnotował, że w jej spojrzeniu nie ma ani krzty nieufności.

Cokolwiek mówić, pomyślał, dzięki mojemu zamiłowaniu do instynktownych zachowań zostałem ostatnim czterogwiazdkowym admirałem, jakim dysponuje Federacja Terkańska.

- Tu nie chodzi o żadne zdolności nadprzyrodzone, Nimue - powiedział. - Nie zastanawia cię, gdzie jest drugi zwiastowiec? Jak wiesz, podobne jednostki Gbaba zawsze działają parami, a kapitan Somerset zameldował o obecności tylko jednej z nich. A to znaczy, że nasz drugi przyjaciel krąży gdzieś w pobliżu.
- Zwołując resztę stada - stwierdziła Alban, a jej szafirowe oczy pociemniały.

- Bez wątpienia. Musieli nas wyczuć, zanim ich zauważyliśmy, i jeden zawrócił natychmiast, by ściągnąć pomoc. Ten natomiast będzie się nas trzymał, śledząc każdy nasz ruch, aby naprowadzić resztę na cel, ale z pewnością nie uczyni niczego, co umożliwiłoby nam oddanie czystego strzału. Nie może sobie pozwolić na to, byśmy go dopadli i wywalili z nadprzestrzeni. Znalezienie nas po raz wtóry byłoby niezwykle trudne, wręcz niemożliwe.
- Chyba wiem, do czego pan zmierza, sir. - Alban zamyśliła się na moment, skupiając wzrok na czymś, co tylko ona mogła dostrzec, potem znów spojrzała na starego admirała. - Sir? - odezwała się ściszym głosem. - Czy złamię reguamin, jeśli skorzystam z uprzywilejowanego łącza? Chciałabym skontaktować się z Guliwerem i pożegnać komandora.
- Nie widzę w tym niczego zdrożnego - odparł Pei równie cicho i spokojnie. - Proszę mu przekazać, że cały czas będę z nim myślał.
- Sam może mu pan to powiedzieć, sir.
- Nie. - Admirał pokręcił głową. - Pożegnaliśmy się już z Kau-yungiem.
- Rozumiem, sir.

Informacja o tym, że dziesiąta eskadra niszczycieli udaje się w stronę zwiadowcy Gbaba, rozprzestrzeniła się błyskawicznie z pokładu Excalibura, niosąc ze sobą falę zimnego, ohydneho strachu. Nie paniki, ponieważ wszyscy ludzie służący nadal w zdziesiątkowanej flocie pokonanej Federacji zdawali sobie sprawę, że ten moment w końcu nadejdzie. Prawdę powiedziawszy, spędzili masę czasu na przygotowaniach, co wszakże w żaden sposób nie zmniejszyło ich strachu, kiedy przyszło co do czego.

Wielu oficerów i marynarzy przyglądało się bacznie ikonkom niszczycieli sunącym po tafli ekranu taktycznego w stronę zwiadowcy, modląc się w duszy o to, by dopadły wrogą jednostkę i zniszczyły ją. Wiedzieli jednak, że to niemal niemożliwe, a jeśli nawet jakiś cud sprawi, że przeciwnik zostanie unicestwiony, kupią sobie najwyżej kilka tygodni spokoju, może parę miesięcy. Wszelako to wystarczało, by zmagali bezgłośne modlitwy.

Przebywający na pokładzie Guliwera komandor także się modlił. Ale nie o zniszczenie jednostki zwiadowczej. Nawet nie o życie starszego brata, który miał lada moment zginąć. Kierował wszystkie myśli ku młodej kobiecie, która stała się dla niego niemal córką... i zgłosiła się na ochotnika do załogi Excalibura, wiedząc, że ten okręt nie ma prawa przetrwać.

- Komandorze Pei, mamy przekaz do pana z pokładu okrętu flagowego - odezwał się cicho oficer komunikacyjny. - To Nimue, sir.
- Dziękuję ci, Oskarze - odparł Pei Kau-yung. - Przełącz ją na mój wyświetlacz.
- Tak jest, sir.
- Nimue - powitał ją komandor, gdy na ekranie pojawiła się znajoma, owalna twarz o szafirowych oczach.
- Komandorze - odparła. - Zakładam, że już wie pan o wszystkim.
- Tak. Przygotowujemy się właśnie do wykonania manewru odejścia.
- Wiem, że to robicie. Pański brat, admirał, prosił, abym przekazała panu, że cały czas będzie przy panu myślał. Ja zresztą też. Wiem, że i pan będzie o nas myślał, sir. Dlatego chciałam z panem porozmawiać po raz ostatni. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Służenie pod pana rozkazami poczytuję sobie za honor i zaszczyt. Nie żałuję niczego, co przeżyłam od momentu, gdy wybrał mnie pan do swojego sztabu.

- To... naprawdę wiele dla mnie znaczy, Nimue - odparł Pei bardzo łagodnym tonem. Był tradycjonalistą w każdym calu, podobnie jak jego brat, lecz choć okazywanie uczuć w jego kulturze nie należało do przymiotów, tym razem musiała dostrzec w jego oczach ból, który go przepelniał. - Ja również - dodał - jestem wdzięczny za pani oddaną i znakomitą służbę.

Słowa te zabrzmiały straszliwie patetycznie nawet w jego uszach, ale nie mógł powiedzieć niczego bardziej osobistego przez publiczny komunikator, zwłaszcza że wszystkie rozmowy prowadzone na tych kanałach były nagrywane. Ale ona rozumiała, co miał na myśli, podobnie jak on bezbłędnie odebrał jej wcześniejsze słowa.

- Cieszę się, sir - odrzekła. - Proszę przekazać moje pozdrowienia Shan-wei. Proszę przekazać jej wyrazy naszej miłości.

- Oczywiście. Pozwolę sobie przekazać to samo w jej imieniu... - Pei, nie bacząc na wymogi kultury, w której został wychowany, odchrząknął głośno - oraz swoim - dodał ochryple.

- To dla mnie wielki zaszczyt, sir. - Alban uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Zegnaj, komandorze. Bóg z wami. Niszczyciele zdołały odepchnąć zwiadowczą jednostkę wroga. Może nie tak daleko, jak by tego chciał admirał Pei, ale na wystarczająco duży dystans, aby mógł poczuć ulgę.

- Przekażcie sygnał do wszystkich jednostek - powiedział, nawet na moment nie odrywając wzroku od ekranu taktycznego. - Rozpoczynamy manewr odejścia.

- Tak jest, sir! - odparł starszy wachtowy sekcji komunikacyjnej na mostku flagowca i na ekranie przed admirałem pojawiły się sygnały świetlne.

Tylko na moment i wyłącznie dlatego, że sensory komputera były ustawione na ich wykrycie.

W każdym razie, pomyślał, tak to wygląda w teorii.

Czterdzieści sześć ogromnych okrętów wyłączyło napędy nadprzestrzenne i zniknęło, przechodząc w jednej chwili na prędkości podświetlne. W tym samym momencie w ich miejsce pojawiła się taka sama liczba innych jednostek - tych, które do tej pory leciały zamaskowane. To był niesamowicie złożony i precyzyjny manewr, podwładni admirała ćwiczyli go nieustannie w symulatorach i wykonali ponad tuzin razy w otwartej przestrzeni kosmicznej, aby osiągnąć niemal idealne zgranie przy ostatniej, decydującej próbie. Czterdzieści sześć okrętów wślizgnęło się niezauważalnie w luki, uzupełniając lecącą formację, a charakterystyki ich napędów nie różniły się niemal niczym od tych, które zostawiały za sobą odlatujące jednostki.

To będzie naprawdę przykra niespodzianka dla Gbaba, pomyślał zimno Pei. I początek drogi, na której końcu czekać ich będzie po stokroć większe zaskoczenie.

- Wiecie - powiedział, odwracając się od ekranu, aby spojrzeć na twarze komandor porucznik Alban i kapitana Josepha Thiessena, szefa sztabu - byliśmy o krok od skopania im tyłków. Zabrakło pięćdziesięciu, może siedemdziesięciu pięćciu lat, byśmy prześcignęli ich „gwiazdne imperium”.

- Wydaje mi się, że to nad wyraz optymistyczna wizja, sir - odparł po chwili Thiessen. - Nie wiemy nawet, jak wielkie jest to imperium.

- To przecież nie ma najmniejszego znaczenia. - Pei pokręcił mocno głową. - W tej chwili jesteśmy dosłownie o włos za nimi w wyścigu technologicznym, Joe. A jak stare są ich okręty?

- Niektóre są nowiusieńkie, sir. - Nimue Alban odpowiedziała za szefa sztabu. - Ale wiem, o co panu chodzi - dodała, a Thiessen, choć niechętnie, także skinął głową. Pei nie ciągnął tematu. Nie widział sensu w kontynuowaniu tej rozmowy, przynajmniej teraz. Choć z drugiej strony korciło go, by powiedzieć jeszcze komuś prócz Nimue, co naprawdę się wydarzy. Thiessen nie należał jednak do ludzi, którzy powinni o tym wiedzieć. Szef sztabu był dobrym człowiekiem, święcie wierzącym w założenia operacji Arka, i jak niemal każdy człowiek służący pod rozkazami admirała oddałby życie za jej powodzenie. Pei wiedział, że mimo to nie może mu powiedzieć, iż jego własny dowódca bierze udział w swoistym spisku przeciw ludzkości, będącym jedynym sposobem na urzeczywistnienie tej wizji.

- Sądzi pan, sir, że uderzyliśmy ich wystarczająco mocno, żeby znów zaczęli myśleć rozwojowo? - zapytał po chwili kapitan. Pei spojrział na niego, unosząc brew, a szef sztabu odpowiedział łobuzerskim uśmiechem. - Chciałbym wierzyć, sir, że ci dranie chociaż się spocili, próbując nas dopaść.

- Wydaje mi się, że może pan przyjąć podobne założenie - odparł admirał, uśmiechając się pośpiesznie. - Nie wiem jednak, czy to w jakikolwiek sposób ich zmieni. Ksenolodzy uważają, że raczej nie. Ich system i kultura sprawdzały się znakomicie przez ostatnie osiem albo i dziewięć tysięcy lat. Byliśmy co najwyżej większym wybojem na ich drodze, czymś, do czego nie przywykli, ale i tak jakoś sobie z nami w końcu poradzili. W najlepszym razie będą pobudzeni przez kolejne stulecie lub trzy wieki, sprawdzając, czy gdzieś w pobliżu nie została jedna z naszych kolonii, którą jakimś cudem przeoczyli, a potem znów zapadną w letarg.

- Dopóki nie natkną się na nich kolejni biedni frajerzy - stwierdził z goryczą w głosie Thiessen.

- Właśnie do wtedy - zgodził się z nim Pei i spojrzął ponownie na ekran. Osiem albo i dziewięć tysięcy lat, pomyślał. Taki przedział czasu wyliczają nasi najlepsi ksenolodzy, ale mogę iść o zakład, że chodzi o znacznie dłuższy okres. Boże, ile bym dał, żeby wiedzieć, kiedy pierwszy Gbaba odkrył ogień!

To pytanie nie po raz pierwszy pojawiło się w jego umyśle w ciągu czterech dekad, jakich potrzebowało Imperium Gbaba do zniszczenia ludzkiej rasy, Obcy bowiem z pewnością nie posiadali dwu istotnych cech - nie byli ani innowacyjni, ani elastyczni.

Na samym początku Gbaba nie docenili wyzwania, które stawiała przed nimi ludzkość. Kilka pierwszych flot inwazyjnych przewyższało siły przyszłych ofiar liczebnością, ale tylko w niewielkim stopniu. Trzy-, góra czterokrotnie. Wkrótce też okazało się, że przy niesamowitej pomysłowości i taktyce ludzie nie mają one większych szans na zwycięstwo. Pierwszy ludobójczy atak kosztował Federację utratę Świata Crestwella i trzech kolejnych zamieszkałych systemów spośród czternastu kolonii zewnętrznych - straty wśród ludności wyniosły sto procent. Na tym jednak sukcesy wroga się skończyły. Zjednoczona flota powstrzymała go i zniszczyła. Nastąpił nawet kontratak, w którym ludzie podbili sześć systemów należących do Gbaba.

To zmusiło przeciwnika do pełnej mobilizacji.

Komandor Pei Kau-zhi był oficerem uzbrojenia na jednym z okrętów stacjonujących w systemie Starfall, gdy pojawiła się w nim flota Gbaba. Wciąż pamiętał ekrany taktyczne, po których przesuwali się nieskończone fale czerwonych punktów. Każdy z nich był odzwierciedleniem wynurzającego się z nadprzestrzeni pancernika albo krążownika. Przy-pominało to jazdę samochodem w szkarłatnej zawiei, tyle że żaden śnieg nie był w stanie zmrozić człowieka tak bardzo jak ten widok.

Nadal nie miał pojęcia, jakim cudem admirał Thomas zdołała wyprowadzić z tego kotła część swoich jednostek. Większość została zniszczona razem z okrętem flagowym podczas osłaniania tych szczęśliwców, którym rozkazano przetrwać pogrom i zanieść wieści o nim do najdalszych kolonii. Poleciały przed siebie, wyprzedzając nadchodzącą nawałnicę, aby ostrzec ludzkość przed zbliżającą się apokalipsą.

Choć ludzkość już spodziewała się najgorszego.

Brutalność pierwszego ataku Gbaba dała do myślenia wielu osobom, mimo że w końcu udało się go odeprzeć. Dziesięć lat przed wydarzeniami w systemie Crestwella, gdy do Federacji dotarły wzmianki o istnieniu obcej, wrogiej cywilizacji, planety do niej należące zaczęły się zbroić i fortyfikować. A po jego zagładzie zbrojenia zostały dodatkowo przyspieszone, w momencie ataku wiele systemów zamieniło się w niezdobyte twierdze. Ocalone jednostki floty zostały włączone do obrony wewnątrzsystemowej, walcząc do końca

na orbitach zamieszkałych planet i zmuszając wroga do zapłacenia słonej ceny w zniszczonych i uszkodzonych okrętach.

Ale Gbaba byli zdecydowani na poniesienie najwyższej ceny. Żaden z ksenologów nie umiał wytłumaczyć, dlaczego cywilizacja ta odmawia podjęcia rozmów pokojowych. Rozumieli przecież - jeśli nawet nie oni sami, to ich komputery - standardowy język angielski, skoro potrafili wykorzystywać dane zawarte w przechwyconych dokumentach i wydobyte z jeńców przesłuchiwanym w tak bestialski sposób, że trudno nie nazwać tego torturami. Ludzkość wiedziała więc, że istnieje możliwość komunikacji, ale jedyną odpowiedź 26]

dzią na każdą wysyłaną wiadomość było wyłącznie zwiększenie siły ataku.

Pei wątpił, czy te istoty są w ogóle zdolne do jakiegokolwiek dialogu. Kilka obcych jednostek, które w wyniku walk dostały się w ręce ludzi, wyglądało na naprawdę starożytne. Co najmniej jedna z nich została zbudowana - taką opinię wyrażali badający ją naukowcy - przed ponad dwoma tysiącami lat, ale nie znaleziono żadnych dowodów na to, że pomiędzy momentem wprowadzenia do służby a ostatnią bitwą przeszła jakiegokolwiek modyfikację. Najnowsze okręty, jak słusznie zauważyła Alban, wciąż dysponowały takim samym uzbrojeniem, komputerami, napędami nadprzestrzennymi i sensorami.

To sugerowało tak potworny okres zastoju, jakiego nie przechodziły nawet Chiny, kraj przodków Peia, znany z odrzucania przez wieki wszystkiego co obce. Przy Gbaba nawet starożytny Egipt mógł się wydawać krainą słynącą z wynalazczości i przemian. Admirał nie potrafił zrozumieć, dlaczego inteligentne w końcu istoty miałyby przestać się rozwijać, i to na wiele tysięcy lat. Może więc Gbaba przestali być istotami inteligentnymi, przynajmniej w ludzkim tego słowa rozumieniu. Może wszystko, czym dysponowali, było wytwarzane dzięki imperatywom kulturowym, tak głęboko zakorzenionym w ich świadomości, że aż instynktownym.

Ale jeśli nawet tak było, nie pomogło to w ocaleniu ludzkiej rasy.

Zagłada nie przyszła jednak szybko. Gbaba zostali zmuszeni do niszczenia jednej ludzkiej rezydencji po drugiej po oblężeniach trwających czasem całymi latami. Marynarka przestrzenna Federacji została odbudowana dzięki ochronie fortyfikacji systemowych, w jej szeregi wstępował nowi oficerowie i marynarze - wśród nich wielu takich, jak na przykład Nimue Alban: którzy nie znali życia sprzed postawienia ludzkości pod ścianą. Flota uderzała i robiła wypadki, każąc zapłacić Gbaba wysoką cenę za nowe podboje, ale ostateczny wynik tej wojny był od początku przesądzony.

Rada Federacji miała tego świadomość i dlatego wysyłała w przestrzeń kolejne floty kolonizacyjne z zadaniem wyszukania odległych planet nadających się do zamieszkania, na których resztki rodzaju ludzkiego mogłyby przeczekać najgorsze. Ale Gbaba, pomimo braku innowacyjności i elastyczności, mieli już nie raz do czynienia z podobnymi wybiegami. Otoczyli wszystkie systemy zamieszkałe przez ludzi szczelną siecią jednostek zwiadowczych i obserwacyjnych. Eskadry eskortujące statki kolonizacyjne mogły zyskać chwilową przewagę nad rozproszonymi po całym systemie siłami wroga, nawet nad wspierającymi je okrętami liniowymi, lecz małe stateczki zwiadowcze zawsze siedziały im na ogonach i każda próba przełamania blokady kończyła się niepowodzeniem, gdy wróg ściągał posiłki i ruszał w pościg za uciekinierami.

Jedna z flot kolonizacyjnych zdołała przedrzeć się przez kordony i umknąć zwiadowcom... tylko po to, by niespełna dziesięć lat później wysłać krótką, rozpaczliwą wiadomość o zagładzie. Choć okręty przemknęły pomiędzy zwiadowcami w systemie, kolejne jednostki wroga bardzo szybko ruszyły ich śladem. Musiały być ich tysiące, żeby sprawdzić każdy możliwy cel, ku jakiemu mogli zmierzać koloniści, ale w końcu któryś prześladowca wpadł na ich trop i ściągnął im na kark ogromną flotę zabójców. Administrator kolonii uważał, że

Gbaba zostali ściągnięci aktywnością radiową, mimo iż wszyscy robili co mogli, by ją ograniczyć do niezbędnego minimum.

Pei sądził, że od dawna już nieżyjący administrator miał rację. Twórcy operacji Arka także przyjęli ten punkt widzenia za pewnik.

- Udało nam się odeprzeć tę cholerną jednostkę zwiadowczą na tak wielką odległość, że daliśmy naszym szansę na przeprowadzenie niezauważonego manewru odejścia - zauważył tymczasem Thiessen.

Admirał skinął głową. Była to wypowiedź z gatunku „oczywistych oczywistości”, ale w takiej chwili jak ta nie zamierzał nikogo ganić za podobne stwierdzenia.

Joe chciał chyba, żeby zabrzmiało to jak komplement, pomyślał, a w jego głowie rozbrzmiało coś w rodzaju mentalnego chichotu. W końcu manewr odejścia był dzieckiem umysłu Peia, sztuczką, która miała przekonać Gbaba, że oto udało im się namierzyć i zniszczyć ostatnią flotę kolonizacyjną ludzkości. Tylko dlatego czterdzieści sześć „niewidzialnych” pancerników i transportowców towarzyszących jego flocie nie oddało ani jednego strzału i nie wypuściło ani jednego myśliwca podczas próby przełamania blokady otaczającej System Słoneczny.

Choć nie było to proste zadanie, nikt nie wątpił w sukces. Okręty należało zamaskować polami siłowymi, ich emisję zagłuszyć ciągłym ogniem z najcięższych dział eskorty, zmuszając przeciwnika do skupienia wszystkich systemów uzbrojenia na wybranych celach, aby ukryte jednostki kolejno zdołały przemknąć między zwiadowcami Gbaba, nie tknięte i niewykryte.

Poświęcenie dwu pełnych eskadr niszczycieli, które zostały za głównymi siłami tylko po to, by dopaść każdą jednostkę zwiadowczą nieprzyjaciela zdolną do przechwycenia i namierzenia odlatującej floty, pozwoliło admirałowi na wytrwanie się z okrążenia, a nawet na ukrytą głęboko w sercu nadzieję, że dzięki temu manewrowi uda mu się ukryć przed wrogiem, i to na długo. Gdyby tego dokonał, mimo marnych szans, mógłby ocalić wszystkie jednostki tej floty. Potrafił jednak odróżnić nadzieję od faktów i dlatego żaden z ukrytych okrętów nie ujawnił się aż do tej pory.

Gdy flota Gbaba przybędzie - a uczyni to na pewno, jej okręty, choć przeraźliwie stare, nadal miały ogromną przewagę prędkości nad jednostkami budowanymi przez ludzi - odnajdzie taką samą liczbę uciekinierów z Sol, jaka widnieje w jej raportach. Taką samą, jaką wykryły statki zwiadowcze, gdy odnalazły ponownie trop.

A gdy ostatni z jego okrętów zostanie zniszczony, gdy zginie ostatni człowiek z jego załogi, Gbaba uznają, że wykonali zadanie, unicestwiając wszystkich uciekinierów.

Ale będą w błędzie, powiedział do siebie Pei. Przyjdzie taki dzień - mimo iż ludzie pokroju Langhornea i Bedard uczynią wszystko, by go powstrzymać - że powrócimy. A wtedy zobaczycie, wy cholerne gnoje, zoba...

- Admirale - usłyszał cichy głos Nimue Alban. - Sensory dalekiego zasięgu wykryły jednostki wroga.

Odwrócił się w jej kierunku, ich spojrzenia spotkały się na moment.

- Mamy dwa kontakty, sir - zameldowała. - Pierwszy oceniamy na tysiąc jednostek. Drugi jest znacznie większy.

- Cóż... - stwierdził admirał niemal beztróskim tonem. - Tym razem potraktowali nas przynajmniej z odpowiednią atencją i wysłali wszystko, co mają. - Spojrzał na Thiesse. - Proszę rozmieścić jednostki w szyku obronnym - rozkazał. - Wystrzelić wszystkie myśliwce i przygotować rakietę do odpalenia.

7 WRZEŚNIA 2499 ENKLAWA PRZY JEZIORZE PEI, KONTYNENT HAVEN,
SCHRONIENIE

Dziadku! Dziadku! Chodź szybko, tam jest anioł!

Timothy Harrison podniósł wzrok na swojego prawnika, który bezceremonialnie wparował przez otwarte drzwi do jego biura w ratuszu. Chłopak zachowywał się okropnie, to nie ulegało wątpliwości, ale naprawdę trudno było się gniewać na Matthew i nikt, kogo Timothy znał, nie potrafił się na niego długo złościć. A to oznaczało, że często uchodziły mu na sucho przewinienia, za które powinien dostać po tyłku.

Tym razem jednak Timothy był skłonny przyjąć, że wielkie podniecenie jego prawnika ma podstawy, choć nie zamierzał tego otwarcie przyznawać.

- Matthew Paulu Harrisonie - oświadczył poważnym tonem - to jest moje biuro, nie łazienka na stadionie baseballowym

t 30]

wym! Wymagam tutaj minimum kulturalnego zachowania od każdego klienta, a zwłaszcza od takiego małego chuligaństwa jak ty!

- Przepraszam - wybąkał chłopczyk, zwieszając głowę. Jednocześnie zerkał ciekawie przez gęste rzęsy, a na jego policzkach pojawiły się charakterystyczne dołki zwiastujące uśmiech, który towarzyszył mu przy wszystkich wygłupach w ciągu kilku ostatnich lat.

- Cóż - stwierdził Timothy. - Myślę, że możemy ci to puścić płazem... ale tylko ten jeden raz!

Poczuł odrobinę satysfakcji, widząc, że jego słowa zaniepokoiły lekko dzieciaka, i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Cóż zatem mówiłeś o tym aniele?

- Widzieliśmy sygnał świetlny - wyjaśnił pośpiesznie Matthew, oczy znów mu zalśniły, gdy przypomniał sobie prawdziwy powód wtargnięcia do gabinetu dziadka. - Właśnie pojawił się nowy sygnał świetlny! Ojciec Michael powiedział, że mam iść do ciebie co się i opowiedzieć o nim. Dziadku, nadchodzi anioł!

- Jakiego koloru był ten sygnał świetlny? - zapytał Timothy.

Wypowiedział te słowa tak spokojnym głosem, że nie wiedząc nawet o tym, stał się jeszcze większym obiektem uwielbienia dla swojego prawnika.

- Żółtego - odparł Matthew, a Timothy skinął głową.

Zatem to tylko jeden z pomniejszych aniołów. Poczuł lekkie ukłucie żalu, za które natychmiast zbeształ się w myślach. Wizyta któregoś z archaniołów byłaby o wiele bardziej ekscytująca, ale zwykły śmiertelnik nie miał prawa kierować takich żądań do Boga choćby w pośredni sposób.

Zresztą nawet pomniejszy anioł powinien dostarczyć ci wystarczającej podniety, stary głupcze! - zganił się ponownie w myślach.

- Tak... - mruknął, kiwając głową w stronę prawnika - musimy zająć się przygotowaniami, skoro do Lakeview ma zawitać prawdziwy anioł. Biegnij do doków, Matthew. Znajdź Jasona i poproś go, aby wywiesił sygnał dla wszystkich kuterów. Mają natychmiast wracać do portu. Jak tylko to zrobisz, pędź do domu i powiadom o wszystkim mamę i babcię. Jestem pewien, że ojciec Michael niedługo zabije w dzwony, ale masz szansę uprzedzić go i ostrzec je pierwszy.

- Tak, dziadku! - Chłopczyk pokiwał energicznie główką, potem obrócił się na pięcie i wybiegł tą samą drogą, którą tu przybył. Timothy patrzył za nim przez chwilę, uśmiechając się pod nosem, a potem wyprostował ramiona i także opuścił swój gabinet.

Większość pracowników ratusza przerwała codzienne zajęcia i spoglądała ciekawie w jego stronę.

- Skoro wszyscy już słyszeli, co Matthew miał mi do powiedzenia - oświadczył oschłym tonem - nie muszę nikomu niczego wyjaśniać. Dokończcie to, nad czym teraz pracujecie, poukładajcie wszystko, a potem śpieszcie do domów, aby poczynić stosowne przygotowania.

Ludzie skinęli głowami. Tu i ówdzie rozległo się szuranie krzeseł po drewnianej podłodze, gdy skrybowie pomni jego polecenia od razu wzięli się do chowania akt w odpowiednich szufladach. Pozostali pochyłili się pilnie nad biurkami, gęsie pióra śmigały w powietrzu, aby jak najszybciej dotrzeć do miejsca, w którym można zakończyć pracę. Timothy obserwował ich przez kilka sekund, potem opuścił ratusz, wychodząc głównymi drzwiami.

Budynek magistratu stał na niewielkim wzniesieniu pośrodku miasteczka noszącego nazwę Lakeview. Miejscowość rosła z wolna, ale nieprzerwanie i Timothy zdawał sobie sprawę z tego, że już wkrótce przekroczy tę iluzoryczną linię, dzielącą miasteczko od miasta. Nie był jednak pewien, jak to przyjmie. Ale jego uczucia najmniej się teraz liczyły, zwłaszcza że nikt nie wątpił, co na ten temat sądzą Bóg i aniołowie. Z ich punktu widzenia zdanie zwykłego śmiertelnika było zupełnie nieistotne.

Zauważył, że wiadomość rozeszła się wśród mieszkańców. Ludzie przemykali parami po brukowanych ulicach i chodnikach, pogrążeni w gorączkowych rozmowach, ci zaś, którzy szli samotnie, mieli na twarzach szerokie uśmiechy. Sygnał świetlny na iglicy kościoła ojca Michaela został umieszczony tak, aby było go widać z niemal każdego miejsca w miasteczku. Timothy, stojąc przed ratuszem, także dostrzegał jego bursztynową poświatę pomimo słonecznej, letniej pogody.

Dzwon umieszczony na wysokiej wieży zaczynał właśnie bić. Jego głęboki, dźwięczny ton niósł się w rozgrzanym powietrzu, przekazując radosną nowinę wszystkim tym, którzy nie mogli dostrzec sygnału. Timothy skinął głową, gdy i jego objęła jasna, melodyjna bańka szczęścia. Chwilę później ruszył w kierunku kościoła, kłaniając się z godnością każdemu człowiekowi, którego mijał po drodze. W końcu to on był burmistrzem Lakeview, człowiekiem, na którego barkach spoczywała wielka odpowiedzialność. Co więcej, był jednym z coraz mniej licznych Adamów swojej miejscowości, tak jak jego żona Sara zaliczała się do grona tutejszych Ew. To nakładało na nich dodatkowe obowiązki, jeśli mieli zapewnić odpowiednie przyjęcie nadchodzącemu nieśmiertelnemu przedstawicielowi Boga, któremu zawdzięczali każdy oddech wydobywający się z ich płuc. Musieli go powitać w aurze szacunku, adoracji i uwielbienia.

Dotarł do wrót kościoła, ojciec Michael już tam na niego czekał. Kapłan był o wiele młodszy od Timothy'ego, ale wyglądał starzej. Michael był jednym z pierwszych dzieci, które przyszły na świat w odpowiedzi na rozkaz Pana wzywający ludzi do rozmnażania się i uczynienia ze Schronienia miejsca mlekiem i miodem płynącego. Sam Timothy nie „urodził się” w prostym tego słowa rozumieniu. Bóg stworzył jego nieśmiertelną duszę własnymi rękami, a archaniołowie Langothorne i Shanwei stworzyli jego cielesną powłokę według wskazówek Pana.

Timothy przebudził się tutaj, w Lakeview, stojąc razem z innymi Adamami i Ewami na rynku miasteczka, i nadal hołubił w pamięci tamten cudowny poranek - wtedy ujrzał po raz pierwszy przepiękny błękit nieba nad Schronieniem, blask Kauzhi jaśniejącej nad horyzontem daleko na wschodzie - gwiazda wyglądała jak wielka kula miedzi przepływająca po nieboskłonie - wysokie zielone drzewa, pola mieniające się plonami gotowymi do zżęcia, granatowe wody Jeziora Pei i łodzie rybackie kołyszące się leniwie wokół przystani - nawet dzisiaj, po tylu latach, na samo wspomnienie tych wydarzeń czuł w duszy ogromny respekt. Wtedy też po raz pierwszy jego oczy spoczęły na Sarze, jego Sarze, co już samo w sobie można było uznać za cud.

Wydarzenia te miały miejsce przed sześćdziesięciu pięć laty. Gdyby był taki jak ludzie zrodzeni ze związku kobiety i mężczyzny, jego ciało dawno zaczęłoby odmawiać posłuszeństwa. Choć był starszy od ojca Michaela, to kapłan stał dzisiaj przygarbiony, siwiutki, z powykręcanyimi palcami, podczas gdy włosy burmistrza wciąż były czarne i gęste, choć na brodzie gdzieś przetykały je pojedyncze srebrzące się pasemka.

Timothy pamiętał ojca Michaela z czasów, gdy ten był jeszcze spoczywającym na rękach matki zawodzącym bobasem o poczerwieniałej twarzy. On sam był podówczas dorosłym mężczyzną - młodzieńcem w pełni sił, jak wszyscy Adamowie w momencie Przebudzenia. Jako jeden z nich, dzieło Boskich rąk, spodziewał się żyć znacznie dłużej niż istoty, które nie zrodziły się bezpośrednio w umyśle Pana. Być może Michael odczuwał z tego powodu zazdrość, lecz nie dawał niczego po sobie poznać. Kapłan był skromnym człowiekiem, ani na chwilę nie zapominał o tym, że swoją pozycję zawdzięcza łasce Boga. Łasce, na którą żaden człowiek tak naprawdę nie zasługiwał. Co jednak nie powinno nikogo powstrzymywać przed próbami dostąpienia takiego zaszczytu.

- Raduj się, Timothy! - zawołał kapłan, a oczy zaślniły mu pod krzaczastymi, siwymi brwiami.

- Raduj się, ojcze - odparł burmistrz i przyklęknął na moment, by Michael mógł go pobłogosławić, kładąc mu dłoń na głowie.

- Oby łaska Langhorne'a spłynęła na ciebie i pozwoliła kroczyć ścieżką Pana naszego, póki nie nastąpi Dzień Oczekiwany - wymruczał pod nosem kapłan, a potem dotknął lekko ramienia Timothy'ego. - Wstań - polecił. - Tyś jest naszym Adamem. Powiedz mi, że nie powinienem się tak denerwować!

— Nie powinieneś się tak denerwować - zapewnił go posłusznie burmistrz, kładąc dłoń na ramieniu starego przyjaciela. - Naprawdę - dodał nieco poważniejszym tonem. - Sprawileś się doskonale, Michaelu. Twoja parafia miała doskonałą opiekę od czasu ostatniej wizytacji i cały czas rozwija się w pokoju.

— Nasza parafia, chciałeś powiedzieć - poprawił go ojciec Michael.

Timothy poruszył głową, aby zaprzeczyć zdecydowanym gestem, ale w ostatniej chwili stłumił chęć protestu. Postawienie sprawy w ten sposób było miłym gestem ze strony kapłana, choć obaj wiedzieli doskonale, że pomimo spoczywającej na barkach burmistrza ogromnej odpowiedzialności za miasto i okoliczne farmy, cała władza pochodzi od archaniołów, a zatem od samego Boga. Przyjmując taki tok rozumowania, to ojciec Michael, jako głowa lokalnego Kościoła, był ziemskim i duchowym przewodnikiem tej społeczności.

Nie byłby jednak sobą, gdyby nie spróbował przedstawić tego w taki sposób, pomyślał Timothy, uśmiechając się pod nosem.

— Chodźmy — powiedział. - Sądząc po wzorcu sygnału, czas wizyty jest już bliski. Musimy się przygotować.

Zanim lśniąca aureola kyousei hi pojawiła się daleko nad wodami Jeziora Pei, wszystko było gotowe.

Cała populacja Lakeview - może z wyjątkiem kilku rybaków, którzy wypuścili się zbyt daleko na wody jeziora, aby móc dostrzec sygnały wzywające ich do powrotu - zgromadziła się na i wokół rynku miasteczka. Przybyły także rodziny zamieszkujące pobliskie farmy, nie więc dziwnego, że plac, choć wielki, nie był w stanie pomieścić wszystkich. Spóźnialszych rozmieszczano więc w przyległych uliczkach, które wypełnili tak szczelnie, że Timothy Harrison, patrząc na nich, poczuł wielką dumę z faktu, iż on i pozostali Adamowie oraz Ewy wywiązali się z powierzonego im zadania i rozmnożyli, jak Pan przykazał.

Kyousei hi zbliżał się szybciej niż najsmiglejszy z koni, szybciej nawet od najzwinniejszych jaszczurodrapów. Ognięsta sfera jaśniała coraz intensywniej. Z początku była jedynie światłem na niebie, wysoko nad wodami. Potem rosła z każdą chwilą i nabierała blasku.

Wyglądała jak gwiazda strącona z nieboskłonu przez rękę Boga. Wreszcie zaczęła dorównywać wielkością słońcu i choć nie była aż tak jasna jak Kau-zhi, niewiele mu ustępowała. W końcu pokonała ostatnie kilka mil, opadając ku ziemi zwinnie niczym

wyverna i bijąc jasnością słońce stojące w zenicie. Zawisła wprost nad miastem i choć nie wydzielala ciepła, żaden człowiek nie mógł na nią spojrzeć bez narażania oczu na szwank. Wszystko wokół rzucało długie i ostre jak noże cienie, mimo iż było samo południe. Timothy pochylił nisko głowę, jak wszyscy mężczyźni i kobiety, kryjąc oczy przed blaskiem Boskiej chwały. Po chwili zrobiło się nieco ciemniej, blask zniknął tak szybko, jak przed chwilą się pojawił, pozwalając im wznieść wzrok ku niebu.

Kyousei hi nadal wisiał nad miasteczkiem, ale wznosił się tak wysoko, że znów ustępował wielkością Kau-zhi. Nadal był zbyt jasny, by móc spoglądać prosto na niego, lecz z tej odległości śmiertelne ciała mogły bez trudu wytrzymać jego dłuższą obecność. Choć rydwan oddalił się tak znacznie, istota, którą przywiózł z nieba, pozostała między ludźmi. Mieszkańcy zgromadzeni na placu padali na kolana, okazyując jej szacunek i uwielbienie. Timothy natychmiast poszedł ich śladem. Jego serce przepełniło się radością na myśl, że anioł zstąpił na podest ustawiony pośrodku rynku. Trybunę tę skonstruowano wyłącznie na takie okazje. Nikt ze śmiertelnych nie miał prawa sprofanować jej powierzchni swoimi stopami, nie licząc wyświęconych kapłanów wybranych do rytuału czyszczenia drewna, aby w każdej chwili gotowe było na takie wydarzenie, jakiego mieszkańcy Lakeview byli dzisiaj świadkami.

Timothy rozpoznał anioła. Od poprzedniej wizytacji upłynęły już niemal dwa lata, ale wysłaniec niebios nie zmienił się nawet na jotę od ostatniego pobytu w miasteczku. Na jego obliczu dało się zobaczyć oznaki starzenia - chociaż naprawdę niewielkie - których nie było przy pierwszym spotkaniu, zaraz po Przebudzeniu Timothy'ego. Pismo twierdziło, że chociaż aniołowie i archaniołowie są nieśmiertelni, ciała, w które ich przybrano, aby nauczać trzódkę Pana, zostały stworzone z tej samej materii co wszyscy śmiertelnicy. Nie mniej ożywione przez surgoi kasai, czyli „wielki ogień” Boskiego dotyku, miały wytrzymać o wiele dłużej niż powłoki zwykłych ludzi, podobnie zresztą jak Adamowie i Ewy, którzy powinni dożyć wieku nieosiągalnego dla ich potomków, ale przed starzeniem, jakkolwiek powolnym, nie mogli uciec. I nadejdzie taki dzień, gdy wszyscy aniołowie - a nawet archaniołowie - staną ponownie przed obliczem Boga. Timothy wiedział, że sam Pan o tym zdecydował, czuł też ogromną wdzięczność za to, że sam zamknie oczy po raz ostatni na długo przed tym smutnym wydarzeniem. Świat pozbawiony aniołów wydawał się tak mroczny, tak pusty, zwłaszcza dla kogoś, kto dostąpił zaszczytu stanięcia twarzą w twarz z wysłannikiem Boga w pełnej chwale, już w pierwszych dniach po stworzeniu Schronienia. Anioł różnił się od zwykłego śmiertelnika, wprawdzie niewiele, ale jednak. Nie był wcale wyższy od Timothy'ego ani szerszy od niego w ramionach. Jego ciało od stóp po czubek głowy pokrywała szklista, połyskująca w świetle szata, ubiór wiecznie zmieniający barwę. Czoło zdobiła mu ognista korona, z której tryskały w niebo błękitne płomienie. Za pasem miał berło wykonane z niezniszczalnego kryształu, długie na pół ramienia dorosłego mężczyzny. Timothy widział je kiedyś w akcji. Raz tylko; błyskawica wydobywająca się z głowicy posłała na ziemię szarżującego jaszczurodrapa, a towarzyszył temu przerażający odgłos tysiąca piorunów. Połowa wielkiego zwierza zamieniła się w popiół, a przerażony burmistrz jeszcze przez wiele godzin nie słyszał niczego prócz natarczywego dzwonienia w uszach.

Anioł w milczeniu przyglądał się klęczącemu przed nim tłumowi przez dłuższą chwilę. Potem uniósł prawą rękę.

- Pokój niech będzie z wami, moje dzieci - powiedział niezwykle wyraźnie i donośnie, choć nie krzyczał ani nie podnosił głosu. - Przynoszę wam błogosławieństwo Pana naszego, a także archanioła Langhorne'a, którego jest sługą Jego. Chwała niech będzie Panu!

- I Jego sługom - wymamrotał tłum w odpowiedzi, wywołując uśmiech na twarzy anioła.

- Bóg jest z was zadowolony, moje dzieci - dodał wysłan-
nik niebios. - Wracajcie do swoich zajęć, wszyscy, chwalcę przy tym Pana. Przynoszę wieści dla ojca Michaela i bur-
mistrza. Oni przekażą wam później, czego tym razem pra-
gnie od was Bóg. Timothy i Michael, stojąc ramię w ramię, przyglądali się, jak plac i przyległe uliczki pustoszeją; ludzie rozchodzili się szybko i sprawnie, bez wzajemnego popychania się czy po-
naglania. Wielu rolników pędziło tutaj na złamanie karku - a czasem dosłownie pokonało biegiem wiele mil - byle zdążyć na czas i ujrzeć anioła. Mimo to nikt nie protestował, nikt nie skrzywił się nawet, aby okazać zawód. Wszyscy wracali do zajęć, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Dla tych ludzi ogromną radością było już to, że mogli osobiście powi-
tać Boskiego posłańca. Zdawali sobie też sprawę, że ujrzenie anioła na własne oczy jest dla nich, grzesznych śmiertelników, czymś więcej niż błogosławieństwem.

Anioł zszedł z poświęconej platformy i ruszył w stronę czekających na niego mężczyzn. Próbowali przykleknąć, gdy się do nich zbliżał, ale pokręcił głową, widząc ich zamiary.

- Nie, moi synowie - odezwał się łagodnym tonem. - Na to też przyjdzie pora. Teraz musimy porozmawiać. Bóg i ar-
chanioł Langhorne są z was zadowoleni, cieszy ich rozwój i bogactwo Lakeview. Ale staniecie wkrótce w obliczu nowych wyzwań, dlatego archanioł Langhorne wyznaczył mnie do wzmocnienia waszej wiary, abyście sprościli zadaniom, które przed wami staną. Pójdźmy zatem do świątyni, tam będziemy mogli porozmawiać w lepszych warunkach.

Pei Kau-yung siedział wygodnie w fotelu, przysłuchując się toczoną debacie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Gwiazda klasy G6, nosząca nazwę Kau-zhi ku czci jego brata, świeciła jasno na zewnątrz. Właśnie minęło południe, letnie powietrze północy było rozgrzane, ale przez otwarte okna wpadała lekka, chłodna bryza z nad Jeziora Pei. Wzdry-
gnął się, gdy owiała mu kark. Czy te gnojki nie powinny uhonorować nas nieco bardziej? Nazwali lokalną gwiazdę Kau-zhi. Jezioru nadali imię mojego brata. Dlaczego ja nie dostąpiłem takiego zaszczytu? Albo Shan-wei? Ale to jeszcze nie wszystko. Zastanawiam się, czy Rada nie wybrała Langhorne'a i Bedard tylko dlatego, że pla-
nujący naszą misję wiedzieli, z jak wielkimi megalomanami mają do czynienia?

Usiłował wmówić sobie, że to nastawienie jest wynikiem zmęczenia sześćdziesięcioma standardowymi latami - czy-
li sześćdziesięcioma pięcioma tutejszymi - podczas których obserwował poczynania tej pary zmierzające ku nieuniknionemu końcowi. Niestety, nie potrafił pozbyć się wrażenia, że ludzie, którzy wybrali Eryka Langhorne'a na administratora kolonii i doktor Adoree Bedard na głównego psychologa projektu, doskonale wiedzieli, co robią. Było nie było, chodzi-
ło o ocalenie ludzkiej rasy - i to za wszelką cenę - więc kto by się tam przejmował ograniczeniami podstawowych praw człowieka.

- ...błagamy więc raz jeszcze - mówiła wychudzona si-
wowłosa kobieta, stojąca na środku przewiewnej sali - za-
stanówcie się, czy rozwijająca się na tej planecie cywilizacja nie powinna wiedzieć i pamiętać o Gbaba. Czy nie powinna zrozumieć, dlaczego tu przybyliśmy i dlaczego odrzuciliśmy zaawansowaną technologię.

Kau-yung przyglądał się jej chłodno brązowymi oczami. Nawet nie spojrzała w jego kierunku, czuł jednak, że kilku-
ro innych członków Rady patrzy na niego ukradkiem w sposób sugerujący skryte poparcie. Choć w paru przypadkach było to raczej czyste rozbawienie.

— Słyszeliśmy te argumenty wielokrotnie, doktor Pei - pierwszy zabrał głos Eryk Langhorne - wiemy też, dla-
czego-
go pani je podnosi. Obawiam się jednak, że pani słowa nie zmienią obranej przez nas linii działania.

- Panie administratorze - Pei Shan-wei wpadła mu w sło-
wo - obrana przez pana linia działania nie uwzględnia fak-
tu, że ludzie od zarania dziejów skupiali się na tworzeniu

no-wych narzędzi i rozwiązywaniu problemów. Musimy zakładać, że populacja Schronienia także pójdzie tą drogą. Jeśli tego dokona, nie mając pojęcia, co stało się z Federacją, nasi potomkowie nie będą wiedzieli, jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża im w przestrzeni.

- Pani obawy wynikają wyłącznie z niezrozumienia socjologicznej matrycy, którą stworzyliśmy, doktor Pei - oświadczyła Adoree Bedard. - Zapewniam panią, że zabezpieczenia, które tutaj pozostawimy, skutecznie powstrzymają mieszkańców Schronienia przed wynalezieniem czegoś, co może zwrócić uwagę Gbaba. O ile oczywiście - w tym momencie pani psycholog zmrugała oczy - jakiś czynnik zewnętrzny nie zakłóci działania naszej matrycy.

- Nie wątpię, że potrafi pani stworzyć... że już pani stworzyła mentalne wzorce antytechnologiczne na szczeblu jednostek, a nawet całej społeczności - odparła Shan-wei. Mówiła bardzo spokojnie, ale ktoś równie spostrzegawczy jak doktor Bedard musiał dostrzec ukryte nuty odrazy i antypatii. - Wydaje mi się jednak, że zabezpieczenia, o których pani wspomniała, mogą działać przez najbliższe pięćset, może nawet tysiąc lat, ale na pewno nie dłużej. Prędzej czy później splot wydarzeń doprowadzi do ich złamania.

- To nieprawda - rzuciła stanowczo Bedard. Uśmiechając się zagadkowo, odsunęła się nieco od stołu. - Jak widzę, psychologia nie jest najmocniejszą z pani stron, doktor Pei. Wiem też, że jeden z pani licznych doktoratów dotyczy historii. Chyba właśnie z jego powodu ma pani takie wyobrażenie na temat szybkiego postępu technologicznego nowoczesnej ery. I tu się z panią zgodzę. Obserwując historię Starej Ziemi, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich pięciu czy sześciu stuleci, można dostrzec coś w rodzaju „imperatywu postępu” zaimplementowanego do ludzkiej psychiki. Ale to bardzo mylny pogląd. Mamy w naszej historii przykłady na bardzo długie okresy stagnacji. Pozwoli pani, że przywołam dla przykładu liczoną w tysiącach lat historię starożytnego Egiptu. W całej historii tego państwa nie nastąpił żaden przełom technologiczny. Dlatego odtworzyliśmy tutaj, na Schronieniu, zespół cech umysłowych charakterystyczny dla tamtego okresu, ale nie tylko... Zainstalowaliśmy też rozmaite instytucjonalne i fizyczne sposoby, umożliwiające kontrolę...

- Uznanie starożytnego Egiptu oraz innych kultur rozwijających się w basenie Morza Śródziemnego za niezdolne do szybkiego rozwoju jest nieporozumieniem - stwierdziła chłodno Shan-wei. - Co więcej, Egipt był jedynie skromnym wycinkiem ówczesnego świata, który jako całość naprawdę trudno uznać za niezdolny do rozwoju. Pomimo ogromnych wysiłków wkładanych w stworzenie teokratycznych kajdan...

- Doktor Pei - przerwał jej Langhorne. - Obawiam się, że dalsza dyskusja jest bezcelowa. Sposób zarządzania kolonią został już dogłębnie przeanalizowany i zaaprobowany przez Radę Administracyjną. Stanowi on konsensus osiągnięty przez wszystkich członków Rady, mnie, jej głównego administratora, oraz doktor Bedard, która pełni rolę naczelnego psychologa projektu. Pozostali muszą się do niego dostosować. Czy to jasne?

Powstrzymanie się od spojrzenia w moim kierunku musiało Shan-wei wiele kosztować, pomyślał Kau-yung. Od pięćdziesięciu siedmiu lat mieszkali osobno, podzieleni publicznym sporem na temat przyszłości kolonii. Kau-yung był jednym z Umiarkowanych, którzy nie zgadzali się ślepo z tym, co robili Langhorne i Bedard, ale gorąco popierali zakaz wszystkiego, co mogłoby prowadzić do ponownego powstania zaawansowanych technologii. Wielokrotnie wyrażał głośne zaniepokojenie stopniem zmian w oryginalnie ustalonych wzorcach zachowań, które postulowała Bedard, lecz zawsze popierał wnioski Langhorne'a, jeśli ten zdołał racjonalnie wyjaśnić powody ich wprowadzenia. Dzięki temu wciąż pozostawał najstarszym stopniem oficerem kolonii, mimo iż jego żona zyskała miano przywódcy frakcji, którą przeciwnicy określali mianem Techów.

- Z całym szacunkiem, administratorze Langhorne - odezwiała się Shan-wei - ale pański sposób zarządzania kolonią nie opiera się na żadnym konsensusie. Sama byłam

członkiem Rady, jak pan zapewne pamięta, podobnie jak sześciu innych moich kolegów z aktualnej Rady Aleksandrii. Wszyscy sprzeciwialiśmy się pańskiej propozycji, gdy zaprezentował ją pan po raz pierwszy.

Dzięki czemu, drogi Eryku, przypomniał sobie Kau-yung, rozkład głosów wyniósł osiem do siedmiu, co oznaczało brak dwóch głosów do przeważającej większości, która pozwoliła-by ci na swobodne dokonanie zmian w polityce kolonii. Ale tobie to nie przeszkadzało - poszedłeś dalej i wprowadziłeś zaproponowane modyfikacje, z tym że musiałeś rozwiązać wcześniej inny, mały problem. Czyż nie dlatego usunięto z Rady w sposób urażający prawo Shan-wei i pozostałych protestujących?

- To prawda - przyznał Langhorne lodowatym tonem. - Ale żadne z was nie jest już członkiem Rady, a ci, którzy do niej aktualnie należą, popierają jednogłośnie wszystkie nasze postanowienia. Dlatego bez względu na kolejne historyczne przykłady, które zamierza pani przedstawić, oświadczam, że nasza polityka względem kolonii nie ulegnie najmniejszym zmianom i jej stosowanie zostanie wymuszone na wszystkich środowiskach. Co oznacza również tak zwaną Enklawę Aleksandryjską.

- A jeśli mimo wszystko nie zechcemy się podporządkować? - Głos Shan-wei nadal był bardzo spokojny, lecz wszyscy obecni i tak poczuli mrowienie w kręgosłupach, gdy usłyszeli jej słowa. Chociaż burzliwe dyskusje toczyły się od wielu dziesięcioleci, przedstawiciel Techów po raz pierwszy zagroził możliwością otwartego sprzeciwu.

- To byłoby... bardzo nierozsądne z waszej strony - odpowiedział Langhorne po dłuższej chwili milczenia, rzucając ukradkowe spojrzenie na Kau-yunga. - Do tej pory chodziło wyłącznie o publiczną debatę na temat polityki społecznej. Teraz, gdy została ona w końcu ustanowiona, niepodporządkowanie się jej wymogom będzie traktowane jak zdrada. Ostrzegam panią, doktor Pei, tam gdzie stawką jest przetrwanie bądź zagłada ludzkiej rasy, nie zawahamy się przed poczynieniem kroków prowadzących do stłumienia rebelii.

— Rozumiem.

Głowa Pei Shan-wei obracała się powoli, gdy jej właścicielka mierzyła kolejnych członków Rady lodowatym spojrzeniem naprawdę ciemnych, brązowych oczu. Dzisiaj wydają się niemal czarne, pomyślał Kau-yung, a jej twarz jest naprawdę posępna.

- Przekażę wnioski wynikające z tego spotkania reszcie Radnych, administratorze Langhorne - powiedziała w końcu lodowatym tonem. - Powiem im też, że mają się podporządkować pańskiej polityce, w przeciwnym razie zostaną do tego przymuszeni. Wydaje mi się, że Rada udzieli odpowiedzi na pańskie ultimatum w naprawdę krótkim czasie. Odwróciła się i wyszła z sali posiedzeń, nie spojrzawszy za siebie ani razu.

Pei Kau-yung usiadł na składanym krzeselku na pomoście wychodzącym na wielkie Jezioro Pei. Z kubelka stojącego obok sterczała wędka, ale na haczyku nie było przynęty. Kij służył wyłącznie do odstraszenia potencjalnych przechodniów.

Wiedzieliśmy, że kiedyś dojdzie do tego albo czegoś bardzo podobnego, pomyślał. Kau-zhi, Shan-wei, Nimue, ja, Proktor. Wiedzieliśmy o tym wszyscy od momentu, gdy wybrano Langhornea zamiast Haluersena. No i stało się, jak przewidywaliśmy.

Bywały takie chwile, gdy pomimo kuracji antygeronowej czuł na karku każdy rok ze stu dziewięćdziesięciu standardowych, które przeżył.

Wcisnął się głębiej w krzesło, spoglądając uważnie na ciemniejące wciąż wieczorne niebo, i dostrzegł mknącą gdzieś tam wysoko srebrzystą gwiazdę - OWFT Hamilkar, ostatni z czterdziestu sześciu olbrzymich okrętów, które dowiozły ludzi do kolonii na Kau-zhi.

Gargantuiczna misja przetransportowania milionów ludzi na nową planetę nie byłaby możliwa, gdyby nie wykorzystanie zaawansowanych technologii. Ale to samo, co pomogło stworzyć szanse na ocalenie, stało się także przyczyną zagłady jedynej floty, która zdołała

przed laty przełamać blokadę Gbaba. Dlatego ludzie planujący operację Arka wprowadzili do niej dwie istotne zmiany.

Po pierwsze założono, że flota kolonizacyjna pozostanie w nadprzestrzeni przez minimum dziesięć lat, zanim podejmie pierwszą próbę znalezienia planety nadającej się do życia. Dzięki temu powinna się oddalić o tysiące lat świetlnych od przestrzeni zajmowanej kiedyś przez Federację. Wystarczająco, by nawet cała flota zwiadowców Gbaba musiała stracić stulecia na przeszukiwanie gęstwiny gwiazd, w której sama mogłaby się w końcu zgubić. Drugą sprawą było wyposażenie floty nie w jeden, ale aż w dwa zespoły terraformujące. Jeden miał dostosować i przygotować Schronienie na przyjęcie kolonistów, drugi czekać w ukryciu z dala od Kau-zhi razem z transportowcami, jako zabezpieczenie operacji. Gdyby Gbaba zdołali odkryć okręty pracujące na orbicie Schronienia, doprowadziliby do ich zniszczenia, ale nie dotarliby do reszty floty, która znów wyruszyłaby w dziesięcioletnią tułaczkę w przypadkowo wybranym kierunku, aby raz jeszcze spróbować znaleźć nowy dom.

Hamilkar był jednym z okrętów należących do drugiego zespołu. Flagową jednostką cywilnej administracji operacji Arka. Został zachowany przez tak długi czas tylko dlatego, że podstawowy plan zakładał wykorzystanie pewnych zaawansowanych technologii, dopóki kolonia nie stanie na własne nogi. Gigantyczny transportowiec, przewyższający masą największe pancerniki Federacji, utrzymywał minimalną aktywność reaktorów, nie opuszczając ani na moment zbitecznych w takich sytuacjach ekranów maskujących. Gdyby na orbicie tej planety pojawił się zwiadowca Gbaba, nie dostrzegłby go, chyba że zupełnym przypadkiem zbliżyłby się na odległość dwustu albo trzystu kilometrów.

Wszelako żywot ostatniego transportowca dobiegał końca, mimo że okazał się niezwykle wartościowy jako centrum administracyjne, orbitalne obserwatorium, a nawet awaryjny moduł przemysłowy. To o niego spierali się dzisiejszego wieczoru Shan-wei, Langhorne i Bedard. Enklawy kolonistów na Schronieniu istniały i rozwijały się od ponad sześćdziesięciu lat standardowych i administracja podjęła decyzję o zniszczeniu wszystkich ostatnich pozostałości po dawnej technologii. A w każdym razie niemal wszystkich.

Bliźniacze jednostki Hamilkara zostały zniszczone już dawno temu. Pozbyto się ich niemal natychmiast, wysyłając wprost na gwiazdę tego systemu zaraz po wylądowaniu kolonistów i przewożonego sprzętu. Tyle tylko, że sprzęt nie został wykorzystany tak, jak zaplanowali to twórcy projektu... Głównie dzięki zmianom wprowadzonym do schematów psychologicznych przez doktor Bedard.

Głęboko ukryta, fundamentalistyczna część umysłu Pei Kau-yunga poczuła niepokój, gdy jemu i jego bratu przedstawił po raz pierwszy założenia operacji Arka. Zapewnił, że każdy z zahibernowanych kolonistów jest znającym prawdę ochotnikiem, nie pomogły przełamać atawistycznego lęku przed „kontrolą umysłów”, taką samą, jaką posługiwali się jego przodkowie. A teraz i on został zmuszony do przyznania, że decyzja o implantowaniu każdemu z kolonistów niezwykle szczegółowych, choć całkowicie fałszywych wspomnień jest nie tylko logiczna, ale i pożądana.

Wydawać by się mogło, że nie ma sposobu na przekonanie ośmiu milionów przedstawicieli niezwykle zaawansowanej technologicznie cywilizacji do porzucenia wszelkich urządzeń i ułatwień - bez względu na to, jak byliby chętni do współpracy przed zrzuceniem ich na nową planetę, jak młodzi, zdrowi i zapaleni do pomysłu. Zderzenie z brutalną rzeczywistością życia w zgodzie ze środowiskiem naturalnym, gdzie liczy się jedynie siła własnych mięśni, z pewnością zmusiłoby wielu do zmiany nastawienia. Dlatego Centrum Misji zdecydowało, że wspomże ich, usuwając z pamięci informacje o jakichkolwiek zaawansowanych technologiach.

To nie było łatwe zadanie nawet dla znakomicie wyposażonych ośrodków Federacji i Kau-yung, pomimo odrazy, jaką czuł do doktor Adoree Bedard, musiał przyznać, że kobieta zna

się na rzeczy jak mało kto. Koloniści spoczywali w swoich kapsułach jeden nad drugim, niczym ścięte pnie drzew w sagach - na największych transportowcach klasy Hamil- kara było ich nawet po pół miliona - co umożliwiała formowanie od nowa każdego umysłu, a czyniono to przez ponad dziesięć lat podróży w nadprzestrzeni.

Potem koloniści spali jeszcze przez osiem lat standardowych, ukryci w bezpiecznym miejscu, w czasie gdy o wiele mniej liczebne zespoły poszukiwawcze rozglądały się za odpowiednimi planetami, aby grupy terraformujące zbudowały na jednej z nich nowy świat.

Planeta zwana Schronieniem była nieco mniejsza od Starej Ziemi. Gwiazda Kau-zhi nie dawała tyle ciepła ile Słońce i chociaż nowy świat krążył po znacznie bliższej orbicie, średnie temperatury na jego powierzchni nie mogły się równać z ziemskimi. Schronienie miało też nieco większy kąt nachylenia osi obrotu, dzięki czemu pory roku różniły się od siebie, i to znacznie. Stosunek ładu do wody był tutaj znacznie lepszy niż na kolebce ludzkości, w dodatku ziemie dzieliły się na wiele małych, górzystych kontynentów i sporych wysp, co pozwalało na ustatkowanie klimatu.

Pomimo nieco mniejszych rozmiarów Schronienie miało znacznie większą gęstość niż Stara Ziemia, dzięki czemu posiadało niemal identyczną grawitację jak ta, w której ewoluował nasz gatunek. Dni były dłuższe, ale za to lata krótsze - każdy rok liczył tutaj około trzystu jeden dni. Koloniści podzielili je na dziesięć miesięcy składających się z sześciu pięciodniowych tygodni. Miejscowy kalendarz wciąż wydawał się Kau-yungowi dziwny (może i miał jakiś sens, ale do jasnej cholery, brakowało w nim grudnia i stycznia!), komandor nie potrafił się też przystosować do wydłużonych dni, choć poza tym musiał przyznać, że jest to jedna z przyjaźniejszych planet, jakie kiedykolwiek skolonizował człowiek.

Oprócz wielu niezaprzeczalnych zalet Schronienie miało też kilka istotnych wad. Jak każda kolonia zresztą. W tym wypadku chodziło głównie o miejscowe drapieżniki - zwłaszcza te wodne - które stanowiły ogromne zagrożenie dla ludzi. Zresztą cały miejscowy ekosystem okazał się bardzo nieprzyjazny dla roślin i zwierząt, które miały stanowić zaplecze żywieniowe kolonii. Na szczęście Centrum Misji włączyło w skład zespołu terraformującego jednostkę badawczą, której genetycy zdołali opracować wiele krzyżówek mogących bez problemu zaadaptować się do warunków panujących na Schronieniu. Mimo to wszystkie ziemskie formy życia nadal były traktowane przez miejscowy ekosystem jak klasyczni intruzi. Modyfikacje genetyczne pomogły, ale nie zdołały wyeliminować problemu i losy projektu ważyły się przez kilka pierwszych lat terraformowania.

Chyba dlatego Langhorne i Bedard tak bardzo potrzebowali Shan-wei, pomyślał z goryczą Kau-yung. To ona była szefową zespołów terraformujących i wyłącznie dzięki jej przywództwu osiągnięto w końcu sukces. Jej ludzie, działając z okrętu flagowego Kau-yunga OWFT Guliwer, zmagali się z przyrodą planety, kiedy większość jednostek floty kolonizacyjnej spoczywała w bezruchu gdzieś daleko w bezmiarze przestrzeni kosmicznej, całe lata świetlne od najbliższych gwiazd, oczekując na efekty ich pracy.

To były czasy, westchnął w duchu Kau-yung. Czuł wtedy, że ludzie Shan-wei i jego załoga co dzień dokonują kolejnych przełomów, chociaż radość z każdego sukcesu była natychmiast przyćmiewana obawą, że lada moment na orbicie planety, tuż obok nich, może się pokazać jednostka zwiadowcza Gbaba. Wiedzieli, że przeciwnik ma nikłe szanse na odnalezienie ich, lecz stawka, o którą grali, była naprawdę wysoka. Dlatego też, karmieni przestrogią Centrum Misji, brali pod uwagę nawet mikroskopijnie małe prawdopodobieństwo zagrożenia. Wciąż jednak mieli przed sobą cel, z każdą chwilą wrywali się z morderczego uścisku zagłady. Kau-yung zapamiętał olbrzymią radość z triumfu, kiedy nareszcie któregoś dnia mogli uznać, że dzieło ich życia zostało ukończone i czas wysłać na Hamilkara wiadomość o tym, że Schronienie czeka na swoich nowych mieszkańców.

Wtedy też odkryli, w jaki sposób Bedard zmodyfikowała psychologiczne matryce śpiących kolonistów. Po tym co za-powiedział Langhorne, nie wątpili, że będą to spore zmiany, lecz gdy pojęli ich ogrom, zarówno Kau-yung, jak i Shan-wei poczuli przerażenie.

Uśpieni koloniści wyrazili zgodę na zaimplantowanie im fałszywych wspomnień. Z pewnością jednak nie spodziewa-łi się, że zostaną zmuszeni do uznania dowództwa progra-mu Arka za bogów.

Nie była to wyłączna zmiana zaproponowana przez Lan-ghorne. Wspólnie z Bedard postarał się, by nie mogło być mowy o ponownym pojawieniu się zaawansowanej techno-logii. Oboje zdecydowali o odejściu od systemu metrycznego, co zdaniem Kau-yunga wynikało z osobistych uprzedzeń głównego administratora. Co gorsza, wyeliminowali wszyst-ko, co kojarzyło się z arabskimi cyframi, a zarazem z algebrą, aby jak najbardziej utrudnić powstanie wyższej matematy-ki. Temu samemu służyło odrzucenie wielu innych dziedzin nauki i powrót do ptolemejskiej teorii wszechświata. Systematycznie likwidowali też narzędzia służące do pogłębiania wiedzy naukowej, a potem zajęli się ustalaniem zasad nowej religii, która miała zabezpieczyć społeczność Schronienia przed ich powtórным wynalezieniem. Chyba to właśnie naj-bardziej rozwścieczyło ludzi pokroju Shan-wei, tych, którzy wierzyli niezachwianie w wolność jednostki i myśli.

Niestety było już za późno na reakcję. Shan-wei i jej po-plecznicy w Radzie Administracyjnej zaczęli się burzyć, ale dość szybko odkryli, że Langhorne doskonale przygotował się również na taki obrót sprawy. Zgromadził własną kli-kę, dokonując paru wymian w dowództwie floty, by odsunąć na bok ludzi związanych z Shan-wei i Kau-yungiem, co po-zwoliło mu w efekcie na skuteczne przeciwstawienie się zde-cydowanym działaniom podjętym przez frakcję doktor Pei.

Porażka była jedną z przyczyn ogłoszenia separacji oboj-ga małżonków. Wyobrażali sobie, że tylko w ten sposób zdo-łają się przygotować do otwartego buntu przeciw polityce Langhornea. Kluczem do sukcesu było zachowanie dostę-pu do serca oficjalnych struktur zarządu kolonii. Reputacja Shan-wei i fakt, że przewodziła mniejszości w Radzie, unie-możliwiwały w jej wypadku udawanie poparcia dla głównego administratora. Odkąd zaczęli odgrywać swoje role, oddala-łi się od siebie, powoli, lecz nieubłaganie.

A w końcu i tak się okazało, że ich poświęcenie poszło na marne. On stracił ukochaną żonę, oboje wyrzekli się dzieci, które mogliby mieć, gdyby nie separacja, przez pięćdziesiąt siedem lat okazywali sobie publicznie nienawiść i wrogość, a wszystko to na nic.

Shan-wei i pozostali Techowie - stanowiący mniej niż trzydzieści procent oryginalnego dowództwa Arki - wycofa-łi się na leżący najdalej na południe kontynent Schronienia. Zbudowali na nim własną enklawę i nazwali ją Aleksandrią, zapożyczając nazwę od starożytnego miasta, w którym mie-ściła się najslynniejsza biblioteka Ziemi, i ściśle się trzymali pierwotnych założeń planu Arka, dopuszczających umiarko-wane używanie technologii.

Co więcej, odmówili zniszczenia swoich baz danych, co z punktu widzenia Langhorne'a i Bedard było niewybaczal-ne. Nalegali też, by zachować wiedzę o prawdziwej historii ludzkiej rasy, a zwłaszcza o wojnie z Gbaba.

I to stanęło ci kością w gardle, nieprawdaż, Eryku? - po-myślał Kau-yung. Wiedziałeś doskonale, że Gbaba nie będą w stanie wykryć przedelektrycznych technologii, które Shan-wei stosuje w Aleksandrii. Do cholery, każdy z autolotów, zwanych też „rydwanami aniołów", które pozwalasz wykorzy-stywać do transportu członków dowództwa z orbity, zostawia wyraźniejszy ślad niż wszystkie urządzenia enklawy razem wzięte! Możesz sobie gadać do woli, że każda forma tutejszej techniki - a nawet pamięć o niej - może stanowić zagrożenie stworzenia w przyszłości bardziej skomplikowanych, a co za tym idzie łatwiejszych do wykrycia instalacji, ale tak napraw-dę nie to cię martwi. Przyznaj lepiej, że spodobało ci się bycie Bogiem i za nic nie dasz sobie tego odebrać.

Kau-yung nie miał pojęcia, jak Langhorne zareaguje na jawną groźbę ze strony Shan-wei. Mimo że wciąż piastował stanowisko naczelnego dowódcy sił zbrojnych Schronienia, zdawał sobie sprawę, że administrator i jego sympatycy w Radzie nie ufają mu do końca. Nie stał się jednym z nich pomimo długotrwałej separacji z żoną, poza tym niektórzy uwierzyli, że naprawdę są bóstwami Bedard.

A ludzie uważający się za bogów, nie mają w zwyczaju się hamować, gdy ktoś stanowi dla nich zagrożenie, pomyślał.

Wstrząsnął nim dreszcz, wywołany kolejnym, chłodniejszym powiewem wieczornego wiatru. Pei Kau-yung po raz ostatni spojrział w kierunku Hamilkara. Błyszczący punkt na niebie zmierzał już ku horyzontowi.

- Ojcie! Ojcie!

Timothy Harrison wymamrotał coś na granicy snu, więc czyjaś dłoń potrząsnęła nim raz jeszcze, ale już mocniej.

- Obudź się, ojcie!

Burmistrz otworzył oczy i natychmiast je zmrużył. Jego trzeci syn, Robert, dziadek Matthew, pochylał się nad jego łóżkiem z płonąca świecą w ręku. Timothy przez moment był zupełnie zdezorientowany, a potem dostrzegł w mroku wyraz twarzy syna, bardzo wyraźnie mimo migotliwego, słabego światła, które rzucał z dołu drgający płomyk.

- Co się dzieje? - zapytał, siadając na posłaniu.

Leżąca obok niego Sara także już otworzyła oczy i usiadła. Poczł na ramieniu kojące ciepło bijące od jej ciała. Wyciągnął rękę i instynktownie uściskał jej dłoń.

- Nie wiem, ojcie - odparł Robert zaniepokojonym głosem i w tym momencie Timothy znów zdał sobie sprawę, że jego dziecko wygląda znacznie starszej niż on. - Dowiedziałem się właśnie, że przybył posłaniec od ojca Michaela. Mówi, że jesteś potrzebny w kościele. I to natychmiast.

Timothy zamrugał. Odwrócił głowę i przez moment spoglądał na żonę, a ona odpowiedziała mu równie zaskoczonym spojrzeniem. Potem pokręciła z wolna głowę i sięgnęła drugą ręką, aby pogłodzić go delikatnie po policzku. Uśmiechnął się do niej tak czule, jak tylko potrafił, chociaż była ostatnią osobą na tym świecie, którą zdołałby tym sposobem oszukać. Na koniec znów spojrział na Roberta.

- Czy ten posłaniec nadal jest u nas?

- Tak, ojcie.

- Czy wie, do czego jestem potrzebny ojcu Michaelowi?

- Twierdził, że nie ma o niczym pojęcia, ojcie, ale chyba chciał mi dać do zrozumienia, że to nie mój interes.

- W takim razie każ mu wracać od razu. Poproś, aby przekazał ojcu Michaelowi, że przybędę, jak tylko się ubiorę.

- Już idę - powiedział Robert, nie kryjąc nawet ulgi, że jego ojciec wziął sprawy w swoje ręce.

- Michaelu?

Timothy zatrzymał się tuż za wrotami kościoła.

Wnętrze Świątyni, jak zawsze zresztą, rozjaśnione było nikłym blaskiem świec. Prześwietną mozaikę z ceramicznych płytek i kamieni półszlachetnych, z których uformowano ścianę za głównym ołtarzem, oświetlał nieco mocniejszy blask lamp rżniętych w kryształ. Ich płomienie zasilano najczystszy olej ze słodkowodnych krakenów. Gigantyczne, pełne majestatu oblicza archaniołów Langhorne'a i Bedard spoglądały na niego z wysoka, ich szlachetne oczy zdawały się patrzeć prosto na burmistrza stojącego wciąż opodal wejścia. Surowy wygląd wybrańców i sług Boga zawsze przypomniał Timothy'emu o jego własnej

śmiertelności i omylności. Zazwyczaj napawał go także pewnością, iż plan Pana, polegający na stworzeniu Schronienia, aby rodzaj ludzki znalazł w końcu swój dom, musi się powieść. Dzisiaj jednak z niezrozumiałych dla siebie przyczyn czuł jedynie bijący od nich chłód. Nagłe i bez precedensu wezwanie od ojca Michaela miało w tym niezaprzeczalny udział, ale Timothy mógłby przysiąc, że cienie na wielkich twarzach archaniołów poruszały się pomimo tego, że płomienie lamp były dobrze osłonięte przed porywami wiatru.

- Timothy!

Głos ojca Michaela oderwał burmistrza od tych niepokojących myśli. Gdy podniósł wzrok, ujrzał kapłana przy bocznym wyjściu prowadzącym do prezbiterium.

- Co się dzieje, Michaelu? - zapytał.

Zamilkł na moment, aby przykłęknąć przed mozaiką, wstał jednak zaraz, przykładając palce prawej dłoni do serca, potem do warg, i ruszył w głąb głównej nawy. Zdał sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały nienaturalnie ostro, wręcz arogancko, postanowił więc mówić nieco łagodniejszym tonem. Odstępstwo od rutyny, i to zaraz po zakończeniu wizyty anioła, wywołało w nim wielki niepokój.

- Wybacz, że zawezwalem cię w taki sposób - odparł ojciec Michael - ale nie miałem wyboru. Otrzymałem złe wieści, potworne wieści... - Pokręcił głową. - Gorsze, niż możesz sobie wyobrazić.

Serce burmistrza zamarało na moment, gdy wyczuł przerażenie w głosie kapłana. Zamarł w pół kroku, ale zmusił się do ruszenia w stronę prezbiterium.

- Jakiego rodzaju są te wieści? - zapytał cicho.

- Chodź.

Tyle tylko usłyszał w odpowiedzi. Michael, wypowiedziawszy to jedno słowo, zniknął za drzwiami. Prowadziły one do zakrystii, przypomniał sobie Timothy, ruszając w ślad za kapłanem, a ten nie zatrzymał się nawet na chwilę, tylko od razu pośpieszył do przejścia po przeciwnej stronie pomieszczenia. Wąskie schody prowadziły w górę, ojciec Michael piął się po nich, nie przystając, i mijał obojętnie kolejne zgaszone gromnice i świece.

Cały czas szli do góry. Timothy przypomniał sobie w pewnym momencie, dokąd te stopnie prowadzą, choć minęło już ponad czterdzieści lat od momentu, gdy wspinał się po nich po raz ostatni. Wchodziło się nimi na wysoką, prostokątną wieżę, pod której spiczastym szczytem umieszczono wielki dzwon odlany z brązu.

Gdy dotarli na górny podest, burmistrz dyszał już ciężko, a ojciec Michael chwiał się na nogach od tempa, jakie narzucił. Nadal jednak nie odezwał się słowem ani nie przystanął, póki nie wszedł na drabinę. Zaparł się ramieniem o klapę w suficie, pchnął ją w górę i wdrapał na wyższy poziom.

Z otworu w powale dobiegał dziwny, jasny blask. Timothy zawahał się, zanim postawił nogę na pierwszym szczeblu. Natychmiast jednak przewyciężył dręczący go niepokój, sięgając po tarczę wiary. Ruszył za swoim przyjacielem kapłanem w stronę otwartej klapy, a światłość panująca na górze zrobiła się jeszcze jaśniejsza, gdy oczekująca jego przybycia istota odwróciła się twarzą do wejścia. Wtedy też wyczuł jej duchową obecność.

- Pokój z tobą, mój synu - odezwał się anioł.

Piętnaście minut później Timothy Harrison spoglądał na anioła z uczuciem, którego nie spodziewał się nigdy zaznać w obecności wysłańca Boga: był przerażony.

- ...i tak, moje dziecko - anioł także miał niewyraźną minę - chociaż sam niedawno przyniosłem wam ostrzeżenie przed rychłymi zmianami, w najśmielszych wyobrazeniach nie spodziewałem się czegoś podobnego.

Pokręcił głową z widocznym smutkiem. Timothy, gdyby nie było to oznaką bezbożności, mógłby uznać, że stojący przed nim anioł jest poważnie zaniepokojony.

Czemu nie, pomyślał burmistrz Lakeview. Przecież to całkiem możliwe. Anioły, a nawet archanioły nie są przecież Bogiem. Ale żeby doszło do czegoś takiego...

- Przyniesienie wam tych wieści jest nie tylko smutnym, ale i okrutnym obowiązkiem dla mnie - ciągnął anioł przygaszonym tonem. - Gdy Bóg tworzył Schronienie jako wasz dom, abyście mieli gdzie go poznawać i wielbić, naszym zadaniem było strzec tego miejsca przed złem wszelakim. A teraz okazuje się, że zawiedliśmy. To nie wasza wina, my jesteśmy za to odpowiedzialni i dlatego uczynimy wszystko co w naszej mocy, aby naprawić ten błąd. Możliwe, że dojdzie do wielkiej bitwy. Ale ostateczne zwycięstwo będzie należeć do nas, wygrana bowiem musi przypaść w udziale tym, którzy wiernie służą Najwyższemu. On nie pozwoli, by najlepsi spośród jego sług przegrali, choć zapłacimy wysoką cenę za naszą wcześniejszą porażkę.

- Ale to nie... - zaczął mówić Timothy, lecz natychmiast zamilkł, widząc, że wysłannik niebios spogląda na niego, uśmiechając się blado.

- ...fair, mój synu? - zapytał anioł niezwykle uprzejmym tonem. Burmistrz spoglądał na niego niezdolny do wypowiedzenia jednego słowa, a anioł, widząc to, pokręcił głową. - Moje dzieci, archanioł Shan-wei upadła, a my nie zapobiegliśmy temu, choć takie otrzymaliśmy zadanie. Jej czyny nie powinny być dla nas zaskoczeniem, ale są, ponieważ traktowaliśmy ją jak jedną z nas. Była aniołem Pana, lecz zdradziła zarówno nas, jak i siebie samą. Zwróciła się ku Ciemności, przynosząc zło do domu Bożego, kierowana własnymi wygórowanymi ambicjami. W zaślepieniu odrzuciła jedynie słuszną i prawą wiedzę, że nikt, nawet sam archanioł, nie może sprzeciwić się woli Pana naszego i zwyciężyć. Pchała żądzą władzy odmówiła dalszej służby Bogu i zaczęła się domagać, aby to jej pozwolono sprawować rządy. Zapragnęła urządzić wasz świat wedle swojego upodobania, odsuwając na bok wszystko, co zaplanował nasz Pan. Gdy archanioł Langhorne odmówił jej żądaniom i odrzucił wydumane propozycje, wypowiedziała mu bezbożną wojnę. Zebrała pod swoimi sztandarami wiele aniołów, a nawet kilku archaniołów, omamiając wcześniej ich zmysły. Oni zaś przeciągnęli na jej stronę swoje owieczki, których dusz mieli strzec, i zepchnęli je na ścieżkę grzechu.

- Ale... Ale co my mamy w tej sytuacji uczynić? - zapytał ojciec Michael. Timothy zauważył, że głos mu nawet nie zadrżał. Ciekawe, skąd u niego takie opanowanie? Czy kałplan zdołał wziąć się w garść, czy raczej nie potrafił wyobrazić sobie ogromu grzechu przedstawionego przed chwilą przez anioła?

- Musisz przygotować się na mroczne dni, mój synu - odparł wysłannik niebios. - Twoi parafianie mogą mieć problemy ze zrozumieniem, jak nisko upadła jedna z najbardziej świetlistych postaci naszego panteonu. Zwłaszcza że będą jej żałować. Być może wśród owieczek Pana znajdują się też i takie, które trzeba będzie umocnić w wierze, dlatego musisz zachować czujność. Niewykluczone, że kilku twoich parafian zostało skrycie przekabaconych przez sługusów Shan-wei, trzeba będzie się ich strzec. Istnieje także spore prawdopodobieństwo, że przybędą tutaj inne anioły, ogłaszające wizytację w imieniu Langhornea, a w rzeczywistości służące upadłemu archaniołowi.

- Wybacz mi te słowa - wtrącił Timothy - ale my jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami. Skąd mamy wiedzieć, który anioł naprawdę służy naszemu Panu?

- To dobre pytanie, mój synu - odparł wysłannik Boga, robiąc zakłopotaną minę. - I szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy istnieje na nie prosta odpowiedź. Zostałem tutaj wysłany osobiście przez archanioła Langhorne'a, aby przekazać wam wieść, że nie narazicie się na jego słuszny gniew, jeśli dojdzie do sytuacji, gdy inny anioł przyniesie wam instrukcje, a wy ich od razu nie wykonacie, czekając na potwierdzenie tych poleceń z mojej strony, ponieważ jak już wiecie, jestem jego prawowitym przedstawicielem, co znaczy, że służę wyłącznie Bogu. Pewne jest - oblicze anioła stężało, ukazując determinację, a nawet nienawiść, czyli uczucia, jakich Timothy nie spodziewałby się po świętej istocie - że takich

posłańców nie będzie zbyt wielu. Gniew archanioła Langhorne'a zbiera już swoje żniwo, Boski ogień spadł na niewiernych, a żaden ze sług Ciemności nie może oprzeć się Światłości. Na Schronieniu trwa wojna, moje dzieci, i dopóki nie zostanie zakończona, musicie...

Anioł przerwał nagle przemowę, a Timothy i ojciec Michael odwrócili się jednocześnie w stronę otworu w ścianie dzwonnicy, w którym ujrzeni, tuż nad horyzontem, oślepiąco jasny błysk światła. Jego źródło znajdowało się bardzo daleko od Lakeview, najprawdopodobniej na drugim krańcu olbrzymiego jeziora, ale mimo to był niesamowicie jasny. Odbił się w otoczonych mrokiem wodach, pnąc się coraz wyżej w górę niczym płomienisty grzyb.

Anioł spoglądał na ten spektakl w milczeniu. Gdyby burmistrz albo kapłan mogli oderwać oczy od tego pięknego, a zarazem niesamowitego widowiska, ujrzeliby na obliczu wysłannika niebios bezgraniczne przerażenie. Chwilę później, gdy słup ognia osiągnął maksymalną wysokość i zaczął się z wolna rozwiewać, sługa Boży odzyskał głos.

- Moje dzieci — zaczął bardzo niepewnym głosem, czego jednak przestraszeni śmiertelnicy nawet nie zauważyli. - Muszę już iść. Wojna, o której mówiłem, dotarła bliżej tego miejsca, niż przypuszczałem... niż wszyscy przypuszczaliśmy. Archanioł Langhorne będzie potrzebował nas wszystkich, muszę dołączyć do jego hufców gotujących się do ostatecznej bitwy. Pamiętajcie o tym, co wam powiedziałem, i zachowujcie czujność. Spojrzał na nich raz jeszcze, potem wyszedł przez otwór w ścianie dzwonnicy. Każdy śmiertelnik spadłby natychmiast na ziemię, masakrując swoje kruche ciało, ale nie anioł. Zamiast polecieć w dół, uniósł się ku niebu z niezwykłą prędkością i zniknął w kompletnej ciszy, roztapiając się w mroku. Timothy zebrał całą odwagę, jaka mu pozostała, aby wychylić się na zewnątrz i spojrzeć w ślad za nim. Na jego oczach gdzieś wysoko na niebie rozkwitł świetlisty kwiat - to kyousei hi przybył, aby zabrać posłańca.

- Timothy?

Michael mówił cichutko, niemal szeptem, spoglądając to na burmistrza, to na rozwiewający się na horyzoncie, ale wciąż widoczny poblask.

- Nie wiem, Michaelu - odparł równie cicho Timothy. Odwrócił się do kapłana i położył mu rękę na ramieniu. - Jedynie co możemy zrobić w takiej sytuacji, to pokładać wiarę w Boga i jego archaniołów. Tyle wiem. Ale co poza tym...? - Pokręcił powoli głową. - Nie mam pojęcia.

1 PAŹDZIERNIKA 3249 GÓRY ŚWIATŁA, SCHRONIENIE

Przebudziła się. Zdziwiła się, nie pamiętała bowiem momentu, w którym zasnęła.

Szafirowe oczy otworzyły się szeroko, potem zwęziły w szparki, gdy ujrzała nad sobą szkliste sklepienie. Leżała na plecach na czymś w rodzaju stołu, ręce miała złożone na piersiach.

Nigdy wcześniej nie widziała tego pomieszczenia.

Spróbowała wstać, zmrużone do tej pory oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, gdy zrozumiała, że nie zdoła tego dokonać. Jej ciało nie odpowiadało na żadne impulsy, za to w głębi umysłu zaczęła narastać fala paniki. Potem, niespodziewanie, dostrzegła kątem oka unoszący się w powietrzu miniaturowy, dziesięciodniowy cyfrowy kalendarz.

- Witaj, Nimue - odezwał się znajomy głos, chwilę później odkryła, że może poruszyć głowę. Obróciła ją i rozpoznała holograficzną postać stojącą tuż obok niej. Pei Kau-yung wyglądał o wiele starzej. Miał na sobie zwykłe cywilne ubranie, nie mundur; jego oblicze poznaczone było bruzdami wieku, trudu i zmartwień. W oczach czaił się smutek.

- Zostawiam tę wiadomość dla ciebie z naprawdę wielkim żalem - powiedział. - Domyślam się, że i tobie nie będzie łatwo ją przyjąć. Przykro mi, ale uwierz, inaczej nie da się tego zrobić. Jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy, zgłoś się do tej misji na ochotnika. W pewnym sensie, jeśli mogę tak powiedzieć. - Jego usta drgnęły, układając się na moment w błądy uśmiech. Usiadł na krzeselku, które cudownym sposobem pojawiło się w polu widzenia holograficznych kamer. - Zestarzałem się, i to sporo, pomimo regularnego zażywania antygeronu, nie ustałbym na własnych nogach tyle czasu, ile potrzebuję na

wyjaśnienie ci wszystkiego - ciągnął. - Obawiam się, że to będzie naprawdę długa przymowa, a ty nie zdołasz poruszyć nawet palcem, dopóki nie wygłoszę jej do końca. Przepraszam cię i za to, ale musisz mnie uważnie wysłuchać. Musisz zrozumieć, w jakiej sytuacji się znajdujesz, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję albo wykonasz pierwszy ruch.

Przyglądała mu się z niedowierzaniem, jej myśli krążyły jak szalone, nie zdziwiła się jednak, gdy odkryła, że nie oddycha. Holograficzna postać zdążyła ją o tym uprzedzić.

- Sądzę, że wiesz już, iż nie znajdujesz się w tym miejscu - poinformował ją przekaz nagrany przez Peia. - A raczej nie ma tu twojego biologicznego ciała. To, że byłaś jedynym członkiem naszej, jak to pięknie kiedyś ujęłaś, „kospiracji” posiadającym najnowszej generacji CZAŃ, sprawiło, że stałaś się najrozsądniejszym kandydatem do wykonania tej szczególnej... misji.

Gdyby mogła oddychać, zapewne sapnęłyby teraz z zaskoczenia. Ale nawet tego nie potrafiła zrobić - jeśli wierzyć słowom Peia, nie żyła. Była CZAŃ: Cybernetycznym Zintegrowanym Awatarem Osobowości. I, co któremuś zakamarkowi jej umysłu wydało się nieco zabawne - o ile oczywiście w jej wypadku mogła być w ogóle mowa o czymś takim jak umysł - zaliczała się do najbardziej zaawansowanej generacji tych urządzeń. Dzięki cholernie bogatemu ojcu.

— Wiem, że nie przypomnisz sobie żadnej z rzeczy, o których zaraz ci powiem - ciągnął tymczasem komandor. - Nie widziałaś potrzeby dokonania aktualizacji skanu osobowości przed wejściem na pokład okrętu, z braku czasu nie zrobiliśmy tego też przed przeniesieniem cię na Excalibura. Choć w tym ostatnim przypadku, gdyby nawet nie było pośpiechu, nie moglibyśmy tego uczynić bez wzbudzania podejrzeń.

Jej oczy - najdoskonalsze sztuczne oczy stworzone przez Federację, potrafiły naśladować każdą reakcję, jaką wywoływała imitacja ludzkiego mózgu - zwięzły się raz jeszcze w szparki. Dla większości ludzi CZAŃ były wyłącznie nieziemsko drogimi zabawkami. Traktowano je tak niemal od chwili wynalezienia, co miało miejsce prawie sto lat przed wydarzeniami na Świecie Crestwella. Daffyd Alban wychodził z podobnego założenia, obdarzając jednym z nich swoją córkę. Dla innych, zwłaszcza tych, którzy mieli problemy z poruszaniem - współczesna medycyna nadal nie dawała sobie rady z pewnymi schorzeniami - stawały się idealnymi protezami.

Ale CZAŃ nie były zabawkami, tylko wysoce zaawansowanymi zrobotyzowanymi nośnikami zaprojektowanymi po to, aby ludzie mogli przeżyć ekscytujące doznania, na przykład takie, z jakimi można się spotkać przy uprawianiu sportów ekstremalnych, ale bez narażania zdrowia na szwank. Pierwsza generacja tych urządzeń była czysto mechaniczna, przypominająca estetyką wykonania roboty użytkowe. Posiadała mackowate kończyny i wyglądała z grubsza jak pryskające olejem, wyposażone w grawy automatyczne sprzętaczki, tak bardzo rozpowszechnione na terytorium Federacji. Jednostki drugiej i trzeciej generacji były już znacznie bardziej zaawansowane, rozwijano je do momentu, gdy uzyskano pełny interfejs sensoryczny mogący stworzyć wirtualnego sobowtóra kopiańskiej osoby. Ich nadrzędną funkcją było dostarczenie pierwowzorowi takich samych wrażeń, jakie przeżyłby, robiąc wszystko osobiście.

Kolejne modele CZAŃ wyposażano w „mięśnie” wykonane z najbardziej zaawansowanych kompozytów, niezwykle wytrzymałych i mocnych, ale zarazem idealnie naśladowujących ludzkie tkanki. Ich układy kostne były idealnymi kopiami ludzkich szkieletów, tyle tylko, że ultrawytrzymałe materiały kości kryły w swoim wnętrzu molekularną elektronikę i źródła energii. W ostatniej generacji zastosowano także sztuczne mózgi (umiejscowione mniej więcej tam, gdzie ludzie posiadają wątroby), które miały połowę objętości protoplazmicznego oryginału. Musiały być tak duże, mimo że impulsy neuronowe CZAŃ poruszały się z prędkością światła - czyli niemal stukrotnie szybciej niż podobne reakcje oparte na bazie

chemicznej zachodzące w ludzkim ciele - dorównanie bowiem liczbie połączeń ludzkiego mózgu wymagałoby transmisji bilionów bitów na sekundę.

Można je było połączyć z neuronami osoby, na wzór której zostały skonstruowane, ale ze względu na ograniczoną przepustowość łącz nie dało się nimi sterować na zbyt dużą odległość. Wszystkie CZA0 były też hardkodowane, aby uniemożliwić podpięcie się do nich innych użytkowników. Wymagało tego prawo stanowiące, że nikt poza właścicielem nie może ich wykorzystywać ze względu na to, iż osoba, na którą były zarejestrowane, odpowiadała cywilnie w pełnym zakresie za wszelkie zdarzenia, w jakich CZA0 brały udział. W końcu rozwój cybernetyki pozwolił na stworzenie urządzeń dorównujących sprawnością i wydajnością ludzkim mózgom. Nie działały one jednak na tych samych zasadach. Pomimo znacznego postępu żaden komputer nie posiadał tylu połączeń wewnętrznych co przeciętny mózg. Dzięki zastosowaniu obwodów molekularnych stworzenie banków pamięci o porównywalnych pojemnościach już od dawna nie stanowiło problemu, jednakże zaprojektowanie odpowiednio wydajnego procesora do ich przetwarzania, czyli „myślenia”, wymagało pokonania wielu barier, w tym energetycznych, ale gdy dokończono w końcu przełomu, osiągnięto porównywalne prędkości obliczeniowe. Konstrukcja mózgow CZA0 podlegała zupełnie innym ograniczeniom, lecz efekt końcowy niczym się nie różnił od ich ludzkiego odpowiednika... nawet od wewnątrz.

Dzięki temu CZA0 mogły wreszcie zacząć działać samodzielnie. Wystarczyło, że właściciele modeli ostatniej generacji ładowali do nich elektroniczną wersję swojej osobowości oraz wspomnienia (składowanie danych nigdy nie było problemem), a potem wysyłali je w dowolne, niebezpieczne środowisko, nie przejmując się żadnymi ograniczeniami w transmisji danych, jakim podlegali przy klasycznych połączeniach neuronowych. Mogli kierować swoimi CZA0, nie obawiając się odniesienia jakichkolwiek ran, a po powrocie po prostu implanutowali wspomnienia prosto do swoich mózgow. Istniało wprawdzie pewne ryzyko, zwłaszcza przy najnowszej generacji tych urządzeń, że niektóre CZA0 mogą wpaść w amok i odmówić usunięcia zaimplantowanych im wspomnień właściciela. Zdaniem Nimue źródłem podobnych obaw był paranoiczny strach, na który pewien starożytny pisarz znalazł odpowiednią etykietę, nazywając go „kompleksem Frankenstein”, ale opinia publiczna miała odmienne zdanie na ten temat. Dlatego też wprowadzono prawo, na mocy którego każda wgrana osobowość musiała być kasowana w obecności właściciela po upływie maksimum dwustu czterdziestu godzin od momentu aktywacji CZA0.

- Ostatni zapis twojej osobowości, jaki został wgrany do tego CZA0, pochodzi z czasów, gdy planowałaś wyprawę lotnią przez Andy - przypomniał jej hologram komandora Pei. - Nie udało ci się jednak na nią wyruszyć, ponieważ zostałaś przydzielona do mojego sztabu i tak zwanej operacji Arka. Teraz, żebyś mogła w pełni zrozumieć, o czym rozmawiamy, muszę ci wyłuszczyć jej szczegóły... a także wyjaśnić, dlaczego ty, Kau-zhi, Shan-wei i ja zdecydowaliśmy się ją sabotować.

Jej oczy - bez względu na wszystkie okoliczności zdecydowała, że będzie je tak nazywała - otworzyły się szerzej, kiedy mężczyzna z hologramu zachichotał.

- W zasadzie - zaczął - pomysł ten polegał na...



- ...i tak - powiedział jej Pei Kau-yung mniej więcej godzinę później - kiedy dowiedzieliśmy się, że na dowódcę wyprawy wybrano Langhorne'a zamiast Franza Halversena, wiedzieliśmy, że największy nacisk zostanie położony na to, byśmy wykopali dla kolonistów jak najgłębszą norę, zaparkowali się do niej i zasypali za sobą wejście. Langhorne był jednym z ludzi głoszących, że „sami sobie taki los zgotowaliśmy naszą technologiczną arogancją”, co więcej, mieliśmy też pewność, że zrobi wszystko, aby wyeliminować z kolonii każdą zaawansowaną technologię. Zdaliśmy sobie sprawę, że spróbuje stworzyć prymitywną

społeczność, która zerwie ze wszystkimi dokonaniem naszej cywilizacji, być może posunie się nawet do wymazania wszelkich informacji o istnieniu w przeszłości zaawansowanej technologii, a w każdym razie wszystkiego, co by ją dokładniej opisywało, w tym także historii konfliktu z Gbaba. Nie potrafiliby przecież logicznie wytłumaczyć spotkania i starcia z nimi w przestrzeni kosmicznej bez opisanie, jak znaleźliśmy się na tak wysokim stopniu rozwoju. Wszyscy popieraliśmy ideę przeczekania, tak głębokiego ukrycia się, aby wróg nie mógł nas odnaleźć, ale tylko na jakiś czas. Tymczasem Langhorne postulował całkowite usunięcie się z pola widzenia Gbaba, co wydawało nam się niemożliwe do osiągnięcia. Któregoś dnia, bez względu na wysiłki zmierzające do wyeliminowania zaawansowanych technologii, potomkowie kolonistów ruszą tą samą drogą, jaką i my obraliśmy, aby sięgnąć gwiazd, a tam trafią na dawnego wroga. - Pokręcił głową ze smutkiem. - Mając tego świadomość, zaczęliśmy rozważać, na początku bardzo skrycie, jak możemy zabezpieczyć kolejne pokolenia przed trafieniem na ten sam problem, który doprowadził do naszego upadku. Uznaliśmy, że jedynym sposobem na załatwienie tej sprawy będzie zachowanie pełnej wiedzy o Gbaba. Aby nasi potomkowie wiedzieli, dlaczego mają pozostać w obrębie swojego systemu planetarnego, nie ściągając uwagi wroga, dopóki nie przewyższą go technologicznie. To, że Gbaba istnieją od tak wielu tysiącleci, oznacza naszym zdaniem, iż wciąż będą stanowili zagrożenie, gdy ludzkość ponownie wyruszy w kosmos. Z drugiej strony, mając w pamięci to, że ich cywilizacja od bardzo długiego czasu jest pogrążona w stagnacji, możemy założyć, iż nie powinni być dla nas groźniejsi niż ostatnim razem. Jeśli więc potomkowie kolonistów będą wiedzieli, jaki stopień rozwoju technologicznego pozwoli im na skuteczne stawienie czoła i pokonanie Gbaba, zyskają pewność, choćby nawet częściową, momentu pozwalającego im na ponowny podbój kosmosu. Aby to urzeczywistnić, powinniśmy utrzymywać ich na bardzo niskim poziomie rozwoju technologicznego, w tak zwanej erze przed-elektrycznej, przez mniej więcej pięć stuleci, dzięki czemu zapobieglibyśmy emisji sygnałów, które mogłyby zdradzić położenie Schronienia, zachowując jednocześnie pełną wiedzę na temat naszej wcześniejszej historii i wojny z Gbaba. Mieliśmy też zamiar, gdyby udało się przekonać administratora Langhorne'a albo przynajmniej większość członków Rady, pozostawić na orbitach pozostałych planet docelowego systemu kilka okrętów z kompletnie wygaszonymi systemami. Wyglądałyby tam, dla oczu postronnego obserwatora, jak zwykle martwe asteroidy, niemożliwe do namierzenia i odróżnienia od całej reszty kosmicznego śmiecia, dopóki nie nastąpi bezpośredni kontakt, ale dzięki pozostawionym wskazówkom możliwe do odzyskania, gdy odradzająca się cywilizacja zdoła wyruszyć w przestrzeń. Dzięki nim dalszy rozwój mógłby nabrać gigantycznego przyspieszenia, stałyby się też swoistym miernikiem poziomu rozwoju potrzebnego do prześcignięcia wroga. - Na holograficznej twarzy pojawił się grymas, oczy także posmutniały. - Tak wyglądał oryginalny plan operacji Arka i gdyby Halversen został przywódcą misji, z pewnością moglibyśmy go wprowadzić w życie. Pod przywództwem Langhorne'a szanse na jego powodzenie kurczyły się do mniej niż czterdziestu procent, oczywiście przy założeniu najbardziej korzystnego scenariusza wydarzeń. Z tego właśnie powodu zaczęliśmy rozglądać się za innymi rozwiązaniami problemu. Mimo starań nie zdołaliśmy wymyślić niczego sensownego. Doszliśmy do czegoś dopiero w dniu poprzedzającym nasz wylot, kiedy zasiedliśmy do ostatniej kolacji. Wtedy ty i Elias Proktor zaproponowaliście coś, co doprowadziło do naszej dzisiejszej rozmowy. Zasugerowałaś, że ta sama technologia, dzięki której wyprodukowano CZAŁO, może posłużyć do stworzenia nieśmiertelnego „doradcy” kolonistów. Doradcy, który pamiętałby o wszystkim, co znajdowało się w bankach danych przeznaczonych do zniszczenia przez Langhorne'a, i mógłby wytyczyć albo chociaż wskazać kolonistom drogę ku nowym wynalazkom na najbardziej niebezpiecznych etapach rozwoju. Niestety, nie mieliśmy czasu na opracowanie tak daleko idących zmian, zresztą było niemal pewne, że ojcowie operacji

Arka nie zechcą ich wprowadzić do systemu. A gdyby nawet udało nam się zmusić ich do dokonania tych modyfikacji, było pewne, że Langhorne i jego ludzie doprowadzą do zniszczenia „doradcy”, gdy tylko dowiedzą się o jego istnieniu. Twoja uwaga poruszyła jednak Eliasza, po głębszym rozważeniu problemu zauważył, że gdyby nie istnienie protokołu ograniczającego niezależne operowanie CZA0 do dziesięciu dni, moglibyśmy wykorzystać septyjnie produkowane egzemplarze. Wszystkie ograniczenia znajdowały się bowiem w oprogramowaniu robota. A Eliasz był pewien, że zhakowanie systemu i usunięcie ich z niego nie powinno stanowić wielkiego problemu. Moglibyśmy bez trudu ukryć taki egzemplarz, zwłaszcza z wyłączonym zasilaniem i wygaszonym systemem. Nie tylko przed Gbaba, ale i Langhorne'em.

Leżący na stole CZA0 zdecydował w tym momencie, że równie dobrze może zacząć myśleć o sobie jako o młodej kobiecie, której pamięć posiadał. Nazywała się Nimue Alban.

Skinąłby głową na tę myśl, gdyby tylko mógł nią poruszyć w pionie. Doktor Eliasz Proktor był jednym z najbliższych cybernetyków, jakich Nimue kiedykolwiek poznała. Jeśli ktoś mógł włamać się do systemu CZA0, to właśnie on. Taki czyn ścigany był prawem Federacji i zagrożony co najmniej piętnastoma latami więzienia.

- Niestety - twarz Kau-yunga znów wyraźnie posmutniała - tylko ty spośród nas dysponowałaś egzemplarzem CZA0 ostatniej generacji. Nie mieliśmy już czasu na zakupienie drugiego. Zresztą nie udałooby się to bez wzbudzenia podejrzeń w dowództwie misji, bo na cholere nam coś takiego podczas przebijania się przez blokadę? Ty także wskazałaś nam na możliwość wykorzystania CZA0 do naszych celów. Dlatego w ostatniej chwili podpisałem zmianę w manifestie pozwalającą ci na włączenie robota do osobistego bagażu, motywując to możliwością operowania nim w warunkach zagrażających życiu, a tych się przecież spodziewaliśmy. Niestety, po załadowaniu wszystkiego do luków i wejściu na pokład zgłosiłaś się na ochotnika do transferu na Excalibura, aby wejść w skład sztabu Kau-zhi. - Oczy Nimue pozostały spokojne, a on skinął głową, jakby mógł je widzieć. - Zgadza się. Zgłosiłaś się na ochotnika do służby na flagowym pancerniku, wiedząc, że zostanie on zniszczony, jeśli prawidłowo przeprowadzimy manewr odejścia. Razem z tobą powinniśmy przewieźć na Excalibura wszystkie rzeczy, które wpisano do manifestu, w tym także twojego CZA0. Ale nie zabrałaś go ze sobą, a ja postarałem się, żeby trafił do jednej z przepastnych ładowni, gdzie po prostu „zaginał”. To był jedyny sposób na pozbycie się go z niezwykle szczegółowych list technicznego wyposażenia, jakie Langhorne trzymał w komputerze. - Holograficzny komandor spoglądał jej w oczy przez kilka sekund, a potem zaczerpnął głęboko tchu. - Nie mogłem się pogodzić z twoim odejściem - oświadczył o wiele cichszym głosem. - Byłaś taka młoda, tyle jeszcze miałaś do zrobienia. Ale nikt inny nie potrafił wymyślić lepszego scenariusza, który gwarantowałby powodzenie naszej operacji. Gdybyś nie zginęła... zanim dotarliśmy na Schronienie, w manifestach wciąż mielibyśmy wzmianki o CZA0. Zostałabyś zmuszona do wydania robota w ręce Langhorne'a, a on by go zniszczył. Gdybyśmy zgłosili jego zaginięcie, ktoś mógłby nabrać podejrzeń i w głowach administratorów natychmiast rozbrzmiałyby dzwonki alarmowe, zwłaszcza gdyby odkryli, na jak krótko przed startem dopisałaś CZA0 do listy swoich rzeczy. Jak widzisz, naprawdę nie mieliśmy wyboru. Ale żeby być całkowicie szczerym, mimo że dobrowolnie zgodziłaś się złożyć życie na ołtarzu naszej sprawy, wszyscy liczyliśmy do końca, że nigdy nie skorzystamy z tego robota. Niestety, okazało się to jednak konieczne.

Oparł się wygodniej, jego twarz przybrała ten sam wyraz, który Nimue widziała, gdy jednostki Gbaba pojawiły się po raz pierwszy na ekranie taktycznym ich okrętu.

- Okazało się, że Langhorne i Bedard to nie tylko fanatycy, ale i megalomani. Zostawiłem ci szczegółowe dokumenty na ten temat. Zawarłem w nich wszystkie detale. Nie mam serca do wyliczania ci teraz każdej sprawy z osobna. Ale mówiąc pokrótce, okazało się, że nasz administrator i jego klika nie darzą mnie aż tak wielkim zaufaniem, jak sądziłem. Stworzyli

kompletny system orbitalnej broni kinetycznej, nie mówiąc mi o tym ani słowa, chociaż byłem najstarszym oficerem i dowódcą sił zbrojnych kolonii. A skoro nie wiedziałem, że on istnieje, nie mogłem nic zrobić, by go zneutralizować. Kiedy Shan-wei i jej poplecznicy sprzeciwili się uznaniu wszystkich członków Rady za bogów, wykorzystano tę broń. Zabili ją, Nimue, ją i wszystkich innych, którzy pragnęli zachowania pamięci o naszej prawdziwej historii.

CZAO nie posiadają serca, przynajmniej w fizycznym tego słowa rozumieniu, ale umysł Nimue Alban musiał cierpieć, słuchając jego słów. Holograficzny komandor odchrząknął, potem skinął zdecydowanie głową.

- Szczerze powiedziawszy, chciałem obudzić cię osobiście, abyśmy mogli normalnie porozmawiać, ale za bardzo się tego obawiałem. Jestem już bardzo stary, Nimue, i wiele przeżyłem, a ty wcale się nie zmieniłaś. Nie chciałem ci też mówić o Shan-wei. Z wielu powodów, naprawdę, wliczając i ten, jak bardzo ją kiedyś kochałaś. Za bardzo się bałem zobaczyć twój ból. Ale to nie jedyny powód, za dobrze cię znam. Wiem, że nie położyłabyś się „spać”, zanim nie pomściłabyś jej śmierci, a na to nie wolno mi było pozwolić. Nie mogę cię stracić. Nie teraz. Poza tym pewnie zaczęłabyś się ze mną wyklócać na temat tych planów. Krótko mówiąc, postanowiłem, że będzie lepiej, jeśli zapoznasz się ze wszystkim zaraz po przebudzeniu. - Uśmiechnął się po łotrzykowski, a gdy przemówił poważnie, jego głos znów był żywszy, brzmiał prawie tak jak za dawnych czasów. - Zdołaliśmy ocalić kilka cennych narzędzi, z których będziesz mogła skorzystać, jeśli uznasz, że chcesz dokończyć naszą misję, ale jako ty, a nie Nimue Alban, choć to właśnie ona zgłosiła się kiedyś na ochotnika do tego zadania. Wydawało się, że nie będziemy mieli wielkich szans na zdobycie jakiegokolwiek sprzętu do momentu, gdy Langhorne powiadomił nas, że pozostanie na pokładzie Hasdrubala z głównymi siłami floty i nie będzie osobiście nadzorował przebiegu procesu terraformowania Schronienia. Ucieszyliśmy się, gdy do tego doszło, ponieważ zyskaliśmy dzięki takiemu obrotowi sprawy o wiele większą swobodę działania. Oczywiście - uśmiechnął się krzywo - nie mieliśmy wtedy pojęcia, dlaczego zdecydował się pozostać z dala od planety. Ale nawet to, że nie zerkał nam bez przerwy przez ramię, nie pozwalało na zdobycie pełnego wyposażenia, jakie chcielibyśmy ci podarować. Choć wciąż istniały limity tego, co mogło „wyparować”, Shan-wei i ja wykazaliśmy się sporą kreatywnością podczas procesu terraformingu. Dlatego będziesz mogła korzystać ze wsparcia komputerów i tych baz danych, które zdołaliśmy ocalić. Znajdzie się nawet trochę sprzętu. Ustawiłem timer, który otworzy nasz... magazyn jakieś siedemset pięćdziesiąt lat po dokonaniu tego nagrania. Założyłem taki przedział czasowy, ponieważ nasze najdokładniejsze wyliczenia wskazywały, że jeśli Gbaba jakimś cudem uznali, iż zniszczona flota Kau-zhi była zaledwie częścią jednostek biorących udział w operacji Arka, i jeśli ich statki zwiadowcze nie przerwały poszukiwań, to po mniej więcej pięciuset latach powinny minąć ten system, nie wykrywając w nim żadnych transmisji radiowych ani emisji neutrino. Do tego dodałem pięćdziesięcioprocentowy margines bezpieczeństwa, który powinien znacznie zmniejszyć ryzyko twojego wykrycia w strefie zagrożenia. Z tego właśnie powodu spałaś tak długo. - Raz jeszcze pokręcił głową. - Nie wyobrażam sobie nawet, jak to jest być kimś takim jak ty, Nimue. Wierz mi, że z całego serca pragnąłem, aby istniał sposób, jakikolwiek sposób, na zdjęcie tego brzemienia z twoich barków. Niestety nie znalazłem żadnego. Szukałem ile sił, ale bez sukcesu.

Siedział w kompletnej ciszy przez kolejne kilkadziesiąt sekund, jego holograficzne oczy spoczywały na czymś, co tylko on mógł widzieć, potem zamrugał, odzyskując ostrość spojrzenia, i wyprostował się na krześle.

- To ostatni przekaz, ostatnia wiadomość, która zostanie załadowana do twojego komputera. Oprócz mnie tylko jedna osoba wie o twoim istnieniu, umówiliśmy się wspólnie na spotkanie z administratorem Langhorne'em i resztą członków Rady jutro po południu. Nie

wiem, czy nasz czyn przywróci coś dobrego, ale jutro wieczorem Langhorne, Bedard i cała reszta tych gadów przekona się, że nie oni jedni trzymają łapy na sprzęcie bojowym. Nikt nie przeżyje. Ten akt nie przywróci do życia Shan-wei ani pozostałych z moich... z naszych, przyjaciół, ale przynajmniej będę miał na koniec odrobinę satysfakcji. - Zdawać się mogło, że po raz ostatni mierzy ją wzrokiem, moment później uśmiechnął się raz jeszcze. Tym razem naprawdę łagodnie. - Domyślałam się, że można by się sprzeczać, czy naprawdę istniejesz. Nie jesteś żywą istotą, tylko elektronicznym wzorcem umieszczonym w skomplikowanej maszynerii. Twój zapis jest kopią niezwykłej kobiety, którą miałem kiedyś zaszczyt poznać, ale też czymś więcej i dlatego masz prawo wybrać, co uczynisz z czasem i narzędziami, które zdołaliśmy ci przekazać. Cokolwiek zdecydujesz, zrobisz to sama. Bez względu na twój wybór powinnaś wiedzieć jedno: zarówno Shan-wei, jak i ja bardzo mocno kochaliśmy Nimue Alban. Czciłiśmy jej pamięć przez niemal sześćdziesiąt lat i jesteśmy absolutnie spokojni, pozostawiając tę decyzję w twoich rękach. Cokolwiek zdecydujesz, cokolwiek wybierzesz, nadal będziemy cię kochali. A teraz pozwól, że pożegnaj cię słowami, jakie kiedyś wypowiedziałaś do mnie: żegnaj, Nimue, Bóg z tobą.

MA]

ROKU PAŃSKIEGO 890

Świątynia Boga, Miasto Syjon, Ziemia Świątynna

K

Kolumny Świątyni Boga wrzynały się mocno w błękit wiosennego nieba tej północnej krainy. Każda z nich miała więcej niż sześćdziesiąt stóp, a majestatyczna centralna kopuła, o wiele wyższa od nich, dominowała nad całym kompleksem, wspinając się na niebotyczną wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Lśniła w słońcu niczym gigantyczne wypolerowane zwierciadło. Wyłożono ją srebrem, na szczycie ustawiając ikonę z litego złota przedstawiającą inkrustowaną klejnotami postać archanioła Langhorne'a. Posłaniec Boga dzierżył przy boku tablice z przykazaniami i wznosił wysoko berło władzy. Posąg mierzył osiemnaście stóp wysokości i lśnił w porannym słońcu znacznie mocniej niż kopuła. Przepiękny archanioł strzegł domu Boga na Schronieniu od zarania dziejów, czyli niemal ośmiuset lat. Wydawać się mogło, że czas i pogoda nie są w stanie naruszyć posągu i gigantycznej kopuły. Złoto i srebro nadal śniły takim samym blaskiem, jak pierwszego dnia po zbudowaniu tego kompleksu.

Świątynię usytuowano na szczycie szmaragdowego wzgórza, dzięki czemu znajdowała się jeszcze bliżej nieba, w którym zamieszkiwał Bóg. Lśniącą kopułę dało się zauważyć z odległości wielu mil, nawet z drugiego brzegu Jeziora Pei. Wyglądała jak złoto-alabastrowa korona unosząca się nad nadbrzeżnym miastem zwanym Syjonem. Można ją było uznać za symbol królewskiej władzy, i to na kilka sposobów - wywyższała swą obecnością jeden z sześciu największych, a zarazem najstarszy gród na Schronieniu. Wzniesiony wyłącznie po to, by służyć potrzebom Kościoła Boga Oczekiwanego.

Erayk Dynnys, arcybiskup Charisu, szedł w kierunku Świątyni, przemierzając wolnym krokiem rozległy plac Męczenników, na którym ustawiono niezliczone fontanny, aby ich roztańczone strugi obmywały stopy posągów przedstawiających Langhorne'a, Bedard i pozostałych archaniołów w heroicznych pozach. Arcybiskup miał na sobie szaty episkopatu i trójkątny czepiec kapłana na głowie, przyozdobiony - jak kazała tradycja - białą kokardą i zazębiającymi się pomarańczowymi wstążkami, oznakami arcybiskupstwa.

Z okolicznych kwietników i krzewów unosiły się aromatyczne zapachy wiosny, tutejsi ogrodnicy dbali, aby otoczenie Świątyni zawsze wyglądało idealnie, ale arcybiskup rzadko kiedy zwracał uwagę na efekty ich pracy. Cuda Świątyni były dla niego chlebem powszednim, a jej bardziej doczesne sprawy, którymi zazwyczaj się zajmował, spychały wrażenia esoteryczne na znacznie dalszy plan.

- Zdaje się, że wciąż nie dostaliśmy dokumentów od Breygarta - odezwał się do idącego u jego boku młodzieńca.

- Nie, wasza ekscelencjo - odparł posłusznie ojciec Mah-taio Broun.

W odróżnieniu od swojego patrona miał przy czepcu wyłącznie brązową kokardę, znak wyższego kapłana, ale biała korona wyszyta na prawym rękawie sutanny wskazywała, że jest osobistym sekretarzem arcybiskupa i jego doradcą.

- Szkoda - mruknął Dynnys, a przez jego usta przemknął cień uśmiechu. - Jestem jednak pewien, że Zherald poinformował obie strony, zarówno swoją, jak i Haarahlda, że dowody na piśmie będą w tym wypadku konieczne. Kościół Matka musi mieć absolutną pewność, że obaj będą godnie reprezentowani przed jego sądem.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo - zgodził się ojciec Mah-taio.

W odróżnieniu od prałata, któremu służył, Broun nie wazył się uśmiechnąć, chociaż wiedział doskonale o liście, który Dynnys wysłał biskupowi egzekutorowi Zheraldowi Ah-dymsynowi, prosząc go o administracyjne „zagubienie” tej wiadomości na pięćdziesiąt albo i dwa. Podobnie jak wiedział

o większości prywatnych działań arcybiskupa, jakkolwiek... dyskretnie by były. Tyle tylko, że jako zbyt młodemu kapłanowi nie wypadało mu okazywać zadowolenia ani satysfakcji z odnoszonych sukcesów. Jeszcze nie teraz. Przyjdzie jednak dzień, że i on zostanie seniorem.

Obaj duchowni dotarli do szerokich, majestatycznych w swych proporcjach schodów wiodących pod kolumnadę. Dziesiątki innych księży wspinało się na nie bądź schodziło po nich, opuszczając gigantyczne ozdobione płaskorzeźbami wrota, ale ludzka rzeka rozstępowała się bez najmniejszego szmeru przed Dynnysem i towarzyszącym mu doradcą. Arcybiskup, którego uwagi umykały najpiękniejsze uroki Świątyni, w ogóle nie zważał na otaczających go kleryków, tak samo ignorował istnienie umundurowanej gwardii, mimo iż jej członkowie stali w równych odstępach wyprężeni na baczność pod kolumnadą. Ich kirysy lśniły w porannym słońcu, podobnie jak krzywe ostrza halabard. Kapłan kroczył wciąż naprzód, kryjąc dłonie w obszernych, obszytych na pomarańczowo rękawach śnieżnobiałej sutanny, zastanawiając się już nad przebiegiem zaplanowanej na to popołudnie sesji. Przekroczył razem z Brounem progi Świątyni i wszedł do wnętrza ogromnej, strzelistej katedry. Jej łukowate sklepienie wisiało nie mniej niż osiemdziesiąt stóp nad lśniącą posadzką - wznosząc się na prawie dwa razy większą wysokość, tam gdzie znajdowała się centralna kopuła - pokrywały je inkrustowane złotem i szlachetnymi kamieniami freski, na których widać było postacie archaniołów pracujących nad dziełem stworzenia. Sprytnie rozmieszczone lustra

światliki kierowały słaby jeszcze, wiosenny blask słońca na poszczególne sceny, dzięki czemu nawet teraz można je było podziwiać w całej krasie. Słodki zapach kadzidełek unosił się w powietrzu, dym formował niewielkie chmurki i pasemka, które unosząc się ku powale, lśniły w snopach odbijanego światła niczym leniwe, przejrzyste węże wijące się pod sklepieniem. Z drugiego krańca nawy dobiegały głosy śpiewaków znakomitego Chóru Świątyni, głoszących chwałę Pana w melodycznej modlitwie.

Chór ten był kolejnym cudem, stworzono go i nieustannie szkolono, aby w domu Bożym ani na moment nie milkły hymny ku chwale Pana - tak jak nakazał archanioł Langhorne. Tuż przed tym, jak poranna grupa śpiewaków miała zakończyć swój dyżur, jej popołudniowi zmiennicy weszli w milczeniu na identyczną trybunę, umieszczoną po przeciwnych stronach nawy, i dołączyli do kolejnej pieśni. Gdy śpiew nowo przybyłych rósł w siłę, ich zmęczeni kompani cichli z wolna, ustępując pola tak sprawnie, że nieuważny słuchacz nie wychwyciłby momentu zmiany, sądząc, że utwór wciąż jest wykonywany przez te same osoby.

Arcybiskup i jego doradca wkroczyli na wielką i bardzo szczegółowo oddaną mapę Schronienia, zajmującą sporą połąć posadzki za wielkimi wrotami, i ruszyli wzdłuż ściany

po obrzeżu olbrzymiej katedry. Żaden z nich nadal nie zwracał uwagi na księży i akolitów zgromadzonych wokół ołtarzy ustawionych pośrodku świątyni, gdzie celebrowali trzecią z porannych mszy dla tłumnie zabranych pielgrzymów. Pismo nakazywało, aby każde z Bożych dzieci co najmniej raz w życiu odwiedziło Świątynię. Przywilej ten nie mógł być jednak dany każdemu i Bóg to rozumiał, ale że większość owieczek podejmowała się tego wyzwania, gigantyczna katedra zawsze była wypełniona wiernymi po brzegi. Oczywiście z wyjątkiem miesięcy zimowych, kiedy ziąb był największy, a śniegi naprawdę głębokie.

Posadzka Świątyni lśniła oślepiająco w miejscach, gdzie odbijały się od niej promienie słońca. W każdym punkcie, którego dotykało światło, ustawiono okrągłe pieczęcie odlane ze złota. Miały szerokość dwu stóp, na każdej wytłoczono symbol któregoś z archaniołów. Lśniły równie mocno jak posąg Langhorne'a i kopuła, którą wieńczył. Ich także nie imał się czas ani pogoda - tkwiły tu od dnia, w którym zbudowano katedrę. Złote pieczęcie i poznaczone błękitnymi żyłkami płyty z lapis-lazuli oraz wielka mapa znajdująca się tuż przy wejściu chronione były grubą na trzy cale warstwą niezniszczalnego kryształu. Błękitne kamienie połączono z resztą posadzki srebrnym lutem, który lśnił blaskiem porównywalnym z tym bijącym od pieczęci. Żaden śmiertelnik nie wiedział, jakim cudem tego dokonano, ale legendy głosiły, że archaniołowie po wybudowaniu Świątyni rozkazali powietrzu, by strzegło po wsze czasy zarówno kopuły, jak i tej niezwyklej posadzki. Na kryształach po dziś dzień nie pojawiła się ani jedna rysa, a na srebrze nawet najmniejsze wgniecenia, mimo że od Stworzenia stapały po nich niekończące się rzesze wiernych i jeździły sztywne szczotki akolitów dbających o to, by podłoga w katedrze błyszczała.

Obute stopy Dynnysa i Brouna nie wydawały żadnych dźwięków, współtworząc iluzję, jakby przemierzając zachodnie skrzydło katedry, kroczyli nie po twardej powierzchni kryształu, ale w powietrzu. Zniknąwszy za wrotami prowadzącymi do części administracyjnej, zagłębili się w szeroki korytarz rozświetlony dzięki otworom umieszczonym w podwalach i wielu strzelistym oknom zrobionym z tego samego, niezniszczalnego kryształu i ozdobiony bezcennymi arrasami, obrazami i posągami. Skrzydła administracyjne, podobnie jak sama katedra, były dziełem rąk Boga, żaden śmiertelnik nie miał z tym nic wspólnego, i pozostały równie nieskazitelne jak w dniu ich stworzenia przed wiekami.

W końcu dotarli do celu. Obok wrót komnaty konferencyjnej stało dwóch kolejnych gwardzistów Świątyni, ci jednak w odróżnieniu od zwykłych żołnierzy nosili miecze, nie hełmy, a na ich kirysach widniały gwiazdzone symbole wielkiego wikariusza umieszczone na przemian z mieczami archanioła Schuelera. Obaj stanęli na baczność, gdy arcybiskup i towarzyszący mu doradca minęli ich obojętnie.

Przybyszy powitało trzech prałatów z doradcami, dwaj sekretarze i trójka prawników.

- Jesteś w końcu, Erayk - burknął oschle jeden z arcybiskupów, gdy Dynnys i Broun zbliżyli się do stołu obrad.

- Wybacz, Zhasynie — odparł Dynnys, siląc się na uśmiech. - Zatrzymały mnie sprawy wielkiej wagi.

- Akurat - prychnął Zhasyn Cahnyr. Był to szczupły, drobny mężczyzna pełniący funkcję arcybiskupa Glacierheart w Republice Siddarmarku. Na prawej piersi, w miejscu, na którym sutanna Dynnysa przyozdobiona była czarnym berłem zakonu Langhorne'a, Cahnyr nosił lamowany zieleńią snop brązowego zboża, znak braci Sondheim. Mężczyźni znali się od wielu lat... ale nie darzyli specjalnym poważaniem.

- Dość już tego dobrego, Zhasynie - zbeształ go Urvyn Myllyr, arcybiskup Sodar. On z kolei przypominał z wyglądu Dynnysa. Był zbyt masywny, aby można go było uznać za szczupłego, ale zarazem za mało otłuszczony jak na grubasa. Na piersi nosił symbol zakonu Langhorne'a, lecz różnił się jednym istotnym szczegółem od prałata z Charisu. Dynnys miał rzadkie, siwiejące włosy, Urvyn zaś szczylił się gęstą, czarną, lekko tylko posiwiałą czupryną. - Zachowuj się - pouczał dalej Cahnyra, ale już z uśmiechem na ustach. -

Czasami nie da się uniknąć spóźnienia, sam dobrze o tym wiesz. Nawet - tu mrugnął znacząco w stronę Dynnysa - Erayko- wi może się to zdarzyć.

Cahnyr nie wyglądał na udobruchanego tymi słowami, ale powstrzymał się od kolejnego prychnięcia i usadowił wygodniej w fotelu.

- Cokolwiek cię zatrzymało, w końcu zdołałeś do nas dotrzeć, Erayku - zauważył trzeci prałat. - Zatem możemy zaczynać obrady.

- Oczywiście, Wyllymie - odparł Dynnys, może bez tonu służalczości, ale na pewno z o wiele większą rozważą niż w trakcie wymiany zdań z Cahnnyrem.

Wyllym Rayno, arcybiskup Chiang-wu, był kilka lat młodszy od Dynnysa i w odróżnieniu od wielu purpuratów Kościoła Matki urodził się w prowincji, w której otrzymał potem święcenia arcybiskupa. Był niski, ciemnoskóry i szczupły; patrząc na niego, człowiek odczuwał pewien niepokój. Co nie powinno nikogo zaskakiwać. Dynnys, Cahnyr i Myllyr zazwyczaj przywdziewali białe sutanny z insygniami zakonów, on zaś zawsze nosił prosty habit mnicha, ciemnopurpurowy, jak przystało na schuelerytę. Nagi miecz należący do założyciela jego zgromadzenia pysznił się na prawej piersi Wyllyma czystą bielą, którą okalały pomarańczowe wstążki, oznaka arcybiskupiego stanu, lecz episkopalna biel ustępowała wyraźnie przecinającemu ją złotemu płomieniowi Jwo-jeng. Ten ukoronowany płomieniami miecz oznaczał, że mają do czynienia z schueleryckim szefem sztabu, czyli ważną osobą w otoczeniu samego wielkiego inkwizytora, wikariusza Zhaspyra Clyntahna. Widok tego habitu niepokoił Dynnysa, jak zwykle zresztą. Nigdy nie zadzierał z Rayno, nawet prywatnie. Chodziło raczej o kultywowanie tradycji niż coś innego.

Dawniej rywalizacja pomiędzy jego zakonem a schuelerytami była o wiele ostrzejsza, lecz walka o prymat w Świątyni rozstrzygnęła się na korzyść tych drugich już przed kilkoma pokoleniami. Rola zakonu Schuelera, czyli pilnowanie ortodoksyjnej doktryny, dawała mu ogromne fory, wzmocnione dodatkowo umiejętnymi zabiegami natury politycznej, zjednującymi braciom licznych hierarchów Świątyni, dzięki którym sprytni mnisi zdołali wchłonąć z czasem zakon Jwo-jeng. Dzisiaj langhorneryci byli drugą siłą w hierarchii, dlatego uważali schuelerycką tradycję chadźania w habitach prostych braci, pomimo wyraźnej dominacji w strukturach Kościoła, za swoistą arogancję.

Dynnys zasiadł w czekającym na niego fotelu, Broun przycupnął za nim, na zydlu ustawionym nieco dalej od stołu, a Rayno skinął ręką w kierunku jednego z prawników.

- Zaczynajcie — rozkazał.

- Czcigodni - odezwał się mistrz prawa, mnich z zakonu Dynnysa, stając obok stosu oficjalnych dokumentów złożonych na blacie - jak już zapewne wiecie, przyczyną dzisiejszego zebrania szacownego grona Sądu Kościelnego jest wydanie rekomendacji pozwalającej na definitywne zakończenie dysput o tym, kto zostanie sukcesorem zmarłego hrabiego Hanth. Sprawdziliśmy wszystkie istniejące prawa dotyczące tej kwestii, a wnioski z badań wyłuszczyliśmy w pismach, które otrzymał każdy z tu obecnych. Jako pokorni słudzy waszych ekscelencji dokonaliśmy także podsumowania wszelkich zeznań złożonych przed tym sądem i przedstawionych przed nim dokumentów. Wykonawszy naszą pracę, dostarczywszy informacje, życzymy wam owocnych obrad.

Po tych słowach usiadł na swoim miejscu, a Rayno zmierzył surowym wzrokiem zgromadzonych wokół niego arcybiskupów.

- Czy ktoś chce ponownego rozpatrzenia któregoś z przepisów przywoływanych podczas wcześniejszych rozpraw? - zapytał. W odpowiedzi otrzymał kilka zdecydowanych, milczących zaprzeczeń. - Czy chcecie przedyskutować treść zeznań złożonych wcześniej przed tym sądem albo któryś z przedłożonych mu dokumentów? - Znów wszyscy pokręcili zgodnie głowami. - Znakomicie. Czy ktoś ma nowe dowody w tej sprawie?

- Czy mogę, Wyllymie? - zapytał Cahnyr, a sędzia Rayno łaskawie zgodził się udzielić mu głosu. Szczupły arcybiskup spojrział w stronę Dynnysa.

- Na naszym ostatnim posiedzeniu wspominałeś, że czekaś wciąż na niezwykle istotne dokumenty od biskupa egzekutora Zheralda. Czy już je otrzymałeś?

- Obawiam się, że nie - odparł Erayk, potrząsając głową ze smutkiem.

Zherald Ahdymysyn był oficjalnym asystentem Dynnysa, ale wszyscy wiedzieli, że podczas nieobecności Erayka przejmował wszystkie oficjalne obowiązki arcybiskupa tej odległej prowincji i zarządzał sporymi majątkami swojego zwierzchnika. Charis znajdował się niemal dwanaście tysięcy mil od Świątyni i Dynnys nie miał żadnych szans na pełnienie posługi w podległych mu parafiach, zwłaszcza że tak wysoka funkcja wymagała jego nieustannej obecności tutaj, gdzie zapadały naprawdę ważne decyzje. Dlatego też wzorem licznych prałatów, których owieczki mieszkaly daleko poza Haven albo leżącym na południu bliźniaczym kontynentem zwanym Howard, scedował wszystkie obowiązki duszpasterskie i administracyjne na swojego biskupa egzekutora. Raz do roku, bez względu na trudy, Dynnys udawał się do Charisu z trwającą miesiąc wizytą duszpasterską, przez resztę czasu pieczę nad swymi parafiami pozostawiając Ahdymysynowi. Może biskup egzekutor nie należał do najbystrzej szych ludzi, jakich Erayk znał, ale można było na nim polegać, a co najważniejsze, orientował się dobrze w aktualnej polityce Kościoła. Był też o wiele mniej pazerny od swoich towarzyszy, kiedy przychodziło do podziału bogactw.

- Ale zażądałeś tych papierów? - upewnił się Cahnyr.

Po obliczu Dynnysa przemknął cień udawanego zniecierpliwienia.

- Oczywiście, Zhasynie - odparł. - Zgodnie z naszą umową, już dwa miesiące temu wysłałem żądanie do Clahnyru oficjalną pocztą semaforową, aby dostarczono je potem drogą morską na drugi brzeg Kotła. Ze zrozumiałych względów nie byłem w stanie podać zbyt wielu szczegółów, ale ojciec Mahtaio tego samego dnia zdołał przesłać o wiele bardziej treściwą wieść dzięki swojej wyvernii, a ta dotarła do Clahnyru już po pięciodniu.

Powiadomiliśmy także prawnika sir Hauwerda przebywającego tutaj, w Syjonie, i przekazaliśmy mu informacje o żądaniach sądu skierowanych bezpośrednio do jego klienta.

- Dwa miesiące temu to chyba zbyt mało czasu na dostarczenie dokumentu z tak wielkiej odległości. Zwłaszcza o tej porze roku... wszyscy wiemy, jak potężne sztormy szaleją na Kotle każdej jesieni - zauważył Cahnyr, odzywając się pozornie neutralnym tonem, na co Dynnys, odwracając się ku niemu, obnażył zęby w parodii przeproszającego uśmiechu.

- To prawda - jego głos opływał słodyczą. - Z drugiej jednak strony wiadomość została wysłana ponad dwa miesiące temu, co powinno dać Zheraldowi wystarczający czas na dostarczenie prośby sir Hauwerdowi, a temu ostatniemu na reakcję. Statek kurierski już dawno powinien przebyć wody Kotła i zawinąć do Clahnyru bez względu na panujące tam warunki pogodowe, my zaś powinniśmy otrzymać pocztą semaforową zawiadomienie o tym, że żądane pisma zostały wysłane. Prawdę powiedziawszy, wymieniłem w tym czasie zupełnie inne wiadomości z Zheraldem, jestem więc całkowicie pewien, że żaden z kurierskich statków nie zatonął pomimo jesiennych huraganów.

Cahnyr spoglądał na niego, jakby przygotowywał się do kolejnej celnej riposty, z których słynął. Zdołał jednak zwalczyć pokusę i zmilczał. Rayno i Myllyr skinęli głowami, a Dynnys uśmiechnął się triumfalnie, choć tylko w myślach.

Świątoszkowatość Cahnyra zawsze go irytowała, ale musiał przyznać, że jego rywal zdobył dzięki niej duże poważanie wśród hierarchów Świątyni. Takie zachowania wśród kleru nie należały do rzadkości, ale większość arcybiskupów i wikariuszy była zbyt zajęta administrowaniem domu Bożego, by mieć czas na osobistą posługę w podległych im parafiach, a ta wydawała się oczkiem w głowie arcybiskupa Glacierheart.

Dynnys był gotów przyznać, że na tym polu ustępuje Cahnyrowi, i to o wiele bardziej niż inni. Na swoje usprawiedliwienie mógł przywołać jedynie gigantyczną odległość dzielącą Charis od Syjonu i samej Świątyni. Jego konkurent miał do przebycia zaledwie połowę drogi, którą musiał za każdym razem pokonywać Erayk, aczkolwiek wypadałoby zaznaczyć, że

znaczna część trasy do Glacierheart biegła drogą lądową, a Cahnyr pokonywał ją nie raz, ale co najmniej dwukrotnie w ciągu roku. Z drugiej jednak strony, wyprawiając się do rodzinnej krainy, nie tracił nawet na moment kontaktu ze Świątynią. Dzięki semaforom rozstawionym po całym Haven i Howard wiadomości mogły docierać do Glacierheart i z powrotem w niecałe trzy dni.

Dynnys zastanawiał się czasami, czy wrogość Cahnyra nie wynika z różnic dzielących ich arcybiskupstwa. Wiedział, że zła krew pomiędzy nimi bierze się po części z tego, że Cahnyr był synem pomniejszego szlachcica z Dohlaru, podczas gdy on miał za ojca arcybiskupa, a jego wujem był sam wielki wikariusz. Hierarcha z Glacierheart pochodził spoza kościelnych dynastii, które niepodzielnie rządziły Świątynią od wielu wieków, i chyba nigdy do końca nie pojął, jakie reguły gry obowiązują w tym środowisku.

Dzięki tym właśnie zasadom Dynnys mógł zdobyć Charis, co w przypadku Cahnyra byłoby raczej niemożliwe. Konkurent Erayka oprócz ostentacyjnej świętoszkowatości musiał mieć jednak jakieś ambicje, inaczej nie zdobyłby rubinowego biskupiego pierścienia, a zwłaszcza nie dochrapałby się obecnej pozycji, choć jego arcybiskupstwo obejmowało poślednią Republikę Siddarmarku, podczas gdy Dynnys sprawował pieczę nad całym królestwem Charisu. Erayk przypuszczał, że wrogość Cahnyra może wynikać właśnie z tej różnicy, chociaż wciąż miewał co do tego spore wątpliwości, ilekroć stosunki między nimi ulegały chwilowej poprawie. Skaliste terytoria Glacierheart odpowiadały rozmiarami zaledwie ćwierci ziem Charisu, były też rzadziej zamieszkałe w porównaniu do reszty terytorium Haven, chociaż z pewnością miały prawie tyle samo obywateli co całe królestwo Erayka. Jeśli nawet, pomyślał z ukontentowaniem arcybiskup Charisu, to i tak są dziesięciokrotnie biedniejsi.

Haven i Howard były największymi lądami Schronienia, dlatego Langhorne i pozostali archaniołowie umieścili na nich znacznie więcej ludzi niż na pozostałych kontynentach. Dzisiaj zamieszkiwało je osiemdziesiąt, a kto wie, czy nawet nie dziewięćdziesiąt procent obywateli, nic więc dziwnego, że uwaga Kościoła Matki skupiała się głównie na tych terytoriach. Długie rzędy semaforowych stacji biegły z Syjonu w każdym kierunku, pozwalając Świątyni na dozorowanie każdego, nawet najdalszego z arcybiskupstw, a także biskupstw, katedr, kościołów, kongregacji, klasztorów, konwentów i kościelnych majątków, żeby nie wspomnieć o rozmaitych świeckich dworach, parlamentach i zgromadzeniach ludowych. Semafony należały do Kościoła Matki i chociaż Świątynia zezwalała świeckim władzom na korzystanie z nich, czyniła to tylko wtedy, gdy nie były wykorzystywane do celów kleru. Królowie i inni władcy dość szybko dostrzegli, że owa „dostępność” bywa mocno ograniczana tym z nich, którzy irytowali lokalnych purpuratów. Ale nawet Kościół Matka nie był w stanie ustawić semaforów pośrodku morza, dlatego cała komunikacja z odległymi lądami, takimi jak Charis, Liga Corisandu czy Chisholm, opierała się wyłącznie na statkach. A te, co Dynnys już dawno odkrył, potrafiły wlec się niemilosiernie.

Dodatkowe linie semaforowe rozciągnięto przez Ziemię Raven i wybrzeża Chisholmu, po drugiej stronie Morza Markoviańskiego, ale żeby wieści dotarły do nich, najpierw musiały pokonać cieśninę Sztormów, czyli liczące prawie dwieście mil pasmo wodne rozciągające się pomiędzy stacjami Chwiejna Głowa i Żelazny Przylądek. Dzięki tej trasie Zhe-rohm Vyncyt, arcybiskup Chisholmu, mógł przesłać do Świątyni wiadomość i otrzymać na nią odpowiedź już po siedemnastu dniach oczekiwania, ale w przypadku Dynnysa sytuacja przedstawiała się o wiele gorzej. Wieści ze Świątyni po sześciu dniach docierały do clahnyrskiej stacji semaforowej w południowym Siddarmarku, aby wyruszyć w liczącą trzy tysiące mil podróż morską aż do wrót Tellesbergu. Biskup egzekutor mógł otrzymywać je dopiero po dwudziestu pięciu dniach — czyli całych pięciu pięciodniach.

Natomiast podróż ze Świątyni do Tellesbergu zabierała człowiekowi równo dwa miesiące... w jedną stronę. To było powodem, dla którego Dynnys nie opuszczał Syjonu częściej niż raz w roku, aby odbyć duszpasterską wizytę w rodzinnych stronach, zazwyczaj późną jesienią. Dzięki temu opuścił Ziemię Świątynną, zanim Przesmyk Hsing-wu zamarzył na dobre, i spędzał najzimniejsze miesiące w Charisie z dala od mrozów północy, w krainie leżącej nie tylko na południowej półkuli, ale oddalonej zaledwie o tysiąc trzysta mil od równika. Lato w Tellesbergu było zawsze o wiele przyjemniejsze niż zima w Syjonie! Ta wielka odległość od stolicy Ziemi Świątynnych (i samej Świątyni) mogła też tłumaczyć fakt, że krainy z antypodów - czasem także Charis - były znacznie mniej posłuszne woli Kościoła niż ludy zamieszkujące bliską północ.

- Erayk ma rację, Zhasynie - oświadczył tymczasem Rayno. - Jestem pewien, że każdy z nas, mając okazję dyskutować ten problem po raz setny, doszedł już dawno do wniosku, że najważniejsze w tej sprawie będą dokumenty. Fakt, że Breygart nie raczył odpowiedzieć na naszą prośbę przez tak długi czas, stawia go w bardzo niekorzystnym świetle.

_ Jeszcze bardziej niekorzystnie świadczyć to może o jego rzekomym dowodzie - wtrącił Myllyr. - Gdyby rzeczywiście wszedł w posiadanie dokumentu mówiącego, że roszczenia Mahntayla opierają się na fałszu, sam by je nam tu dostarczył, i to na jednej nodze.

Cahnyr poruszył się niespokojnie w fotelu, co zwróciło nań uwagę Rayno.

- Tak, Zhasynie?

- Chciałem jedynie zauważyć, że sir Hauwerd Breygart - arcybiskup Glacierheart przeciągnął ledwo zauważalnie wymieniony tytuł i nazwisko - od samego początku utrzymywał, że Mahntayl kłamał, ogłaszając się potomkiem czternastego hrabiego. Co więcej - tu spojrzął po zebranych przy stole - przedstawił na poparcie tej tezy ponad tuzin wiarygodnych świadków.

- Nikt tego nie kwestionuje, Zhasynie - zauważył Dynnys. - Dyskutujemy jedynie nad stwierdzeniem Breygarta, że posiadał nowy dowód: nie jakieś tam zeznanie albo zasłyszane plotki, ale urzędowy dokument mówiący, że Tahdayo Mahntayl nie jest prawnikiem Fraidarecka Breygarta. Do wód. o którego przedstawienie go prosiliśmy.

- Zgadza się - poparł go Rayno, kiwając zdecydowanie głową, na co Cahnyr zacisnął mocniej szczęki. Spojrzął potem na Myllyra i jego usta stały się jeszcze cieńsze, gdy dostrzegł wyraz oczu prałata.

Dynnys potrafił czytać z twarzy równie dobrze jak jego kolega, dlatego nie zdołał do końca zapanować nad własną mimiką i uśmiechnął się mimowolnie. Tak zdecydowane poparcie Myllyra dla jego stanowiska nie było zaskakujące; nie tylko należeli do jednego zakonu, ale i wspierali się wzajemnie już od wielu dziesięcioleci. Obaj też wiedzieli doskonale, jakie reguły gry panują w Kościele Matce. Rayno był o wiele mniej pewnym sojusznikiem, lecz Dynnys od początku wierzył w to, że i jego zdoła przekonać. Inkwizycja i zakon Schuelera już od ponad stu lat patrzyły krzywym okiem na rosnące bogactwo i wpływy Charisu. A wyraźne zainteresowanie królestwa wszelkimi nowinkami technicznymi dodatkowo pogarszało sprawę, zwłaszcza że charisjańska Akademia Królewska zaczęła przejawiać zwiększoną aktywność w ciągu ostatniej dekady, co ubodło do żywego co najmniej jednego ze starszych schuelerytów.

Pogląd, że religijna ortodoksja maleje wprost proporcjonalnie do każdej mili dzielącej daną kongregację od Syjonu, był nader często prezentowany przez członków tego zakonu. Rayno pomimo wielkiego wyrefinowania i wysokiej rangi wśród kleru nadal spoglądał na najodleglejsze krainy z podejrzliwością. W przypadku królestwa osiągającego gigantyczne dochody dzięki tradycjom handlowym i niespotykanej gdzie indziej innowacyjności, wspieranej aktywnie przez programy Akademii Królewskiej i politykę dynastii Ahrmahków, podejrzliwość arcybiskupa rosła w dwójnasób. A fakt, że Haarahld, w odróżnieniu od

większości pozostałych władców Schronienia nie zaciągał długów u lichwiarzy Świątyni, dostarczał kolejnych trosk kapłanom pokroju Rayno, którzy nieustannie kombinowali, jak zapanować nad krnąbrnym królem, gdy zajdzie taka potrzeba.

Dominująca pozycja schuelerytów w hierarchii Kościoła powinna wystarczyć, by Charis popadło w niełaskę Świątyni, ale rosnące wciąż bogactwo królestwa i jego gigantyczna flota handlowa docierająca do najdalszych zakątków świata komplikowały sprawę pod wieloma względami. Wprawdzie Rada Wikariuszy nadal skupiała większość swoich obaw i gniewu na Republice Siddarmarku, głównie dlatego, że ta leżała znacznie bliżej Ziemi Świątynnych, ale byli w niej i tacy - włączając w to samego wielkiego inkwizytora - którzy uważali, że Charis stanie się o wiele większym problemem w dłuższej perspektywie czasu.

Zgodnie z raportami, które Dynnys otrzymywał od Zheralda Ahdymysyna i ojca Paityra Wylsynna, intendenta zakonu Schuelera z Tellesbergu, wszelkie obawy Rayno dotyczące wierności Charisu wobec doktryny Kościoła Matki były bezpodstawne. Co prawda mógł budzić poważne obawy charijsjański pęd do udoskonalania wszystkiego za wszelką cenę, podobnie jak wiele do życzenia pozostawiała postawa hierarchów tamtejszego Kościoła, pobbłaszających temu procederowi w znacznie większym stopniu, niż życzyłaby sobie tego Rada Wikariuszy. Na dodatek Akademia króla Haarahlda nie ustawała w poszukiwaniu nowych sposobów wykorzystania i łączenia posiadanej wiedzy w imię tak zwanej „efektywności”. Z tego właśnie powodu ojciec Paityr przebywał w Charisie, ale jego raporty - tak samo jak pisma przesyłane przez pośredników - wskazywały jednoznacznie, że w królestwie nie dzieje się nic, co byłoby naruszeniem zasad podanych w Zakazach Jwo-jeng. Mając jednak na względzie dzisiejszą politykę Charisu i kilka innych niepokojących przykładów braku posłuszeństwa, Dynnys gotów był zaręczyć, że edykt wydany przez dziadka króla Haarahlda, znoszący pańszczyznę we wszystkich jego włościach, był niczym innym, jak policzką wymierzonym Kościołowi Matce, czego hierarchowie zdawali się wciąż nie zauważać. Tyle tylko, że chwilowo nie zamierzał się wychylać z głoszeniem podobnych poglądów, zwłaszcza że liczba poddanych płacących dziesięcinę przed wydaniem nowego prawa była w Charisie naprawdę znikoma. Nigdy też nie wierzył w zarzuty - stawiane najczęściej przez pokonanych konkurentów Charisu - że parafianie w królestwie są tak bardzo zapatrzeni w handel i bogacenie się na nim, że zapominają o swoich obowiązkach wobec Boga oraz Kościoła Matki i skąpią datków. Gdyby w tych opowieściach było choć ziarno prawdy, biskup egzekutor Zherald i jego poborcy z pewnością wyraziliby już dawno swoje zaniepokojenie! Ahdymysin może nie należał do najbystrzejszych ludzi, którzy otrzymali biskupi pierścień, ale z pewnością nie można go było nazwać głupcem, a i Kościół Matka miał za sobą całe stulecia doświadczeń z krnąbrnymi władcami, którzy na wszelkie sposoby usiłowali zataić swoje dochody przed poborcami Świątyni.

Z drugiej strony Kościół oraz Inkwizycja trzymali pospólstwo na wielkich kontynentach w wystarczająco silnym uścisku, aby nie zakorzeniły się w jego głowach żadne niebezpieczne myśli podrzucane zza morza przez kupców Charisu.

Nie, Dynnys nie obawiał się, że królestwo może być wylegarnią potencjalnej herezji, i był gotów walczyć z podejrzeniami Rayno, a nawet nieufnością i niechęcią, jakimi darzyła je Rada Wikariuszy.

Uświadomił sobie jednak dość szybko, że to, iż Haarahld jest jednym z najsilniejszych popleczników Breygarta, zaważy na decyzji Wyllyma w sprawie sukcesji. Podejrzewał też, że w wypadku Rayno tak długie zwlekanie z otwartym poparciem dla żądań Tahdayo Mahntayla wynika wyłącznie z rozterek moralnych arcybiskupa.

Z jego niezgodnych z prawem, ale jakże sówicie opłaconych żądań, dodał w myślach Dynnys, nie pozwalając sobie na okazanie najmniejszych nawet oznak satysfakcji. To, że Lyam Tyrn, arcybiskup Szmaragdu, był mu winien przysługę za zdecydowane poparcie kandydata księcia Nahrmahna, wprawiało go tylko w lepszy humor.

- Wydaje mi się - kontynuował tymczasem Rayno, będący najstarszym członkiem tego trybunału - że w świetle niepowodzenia, jakim okazała się próba przedstawienia przez Breygarta rzekomego dowodu, a nawet braku jego odpowiedzi na nasze prośby, musimy podjąć decyzję w oparciu o materiały, które już posiadamy. Aby nie podejmować jej zbyt pochopnie, proponuję, abyśmy udali się na posiłek, a potem spędzili co najmniej godzinę na spokojnym rozważeniu wyroku. Bracia moi, spotkamy się ponownie o godzinie piętnastej. Arcybiskupi skinęli głowami na znak zgody - tylko Cah-nyr miał przy tym nieco ponurą minę - moment później nogi foteli zaszurały po posadzce, gdy wstawali od stołu. Zhasyn pokłonił się najpierw Rayno, potem Myllyrowi, całkowicie ignorując Dynnysa, i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi. Schueleryta spojrział na odchodzącego arcybiskupa jak na syna, który nie potrafi dojść do porozumienia z własnym bratem, i ruszył jego śladem.

- Zjesz ze mną, Erayku? - zapytał Myllyr, gdy dwaj pozostałi sędziowie opuścili salę. - Mam sprawę, którą chciałbym z tobą omówić, zanim Biuro Afirmacji zajmie się nią w przyszłym pięciodniu.

- Oczywiście, Urvynie - odparł uradowany Dynnys. - Z największą przyjemnością. Mówiąc te słowa, nie kłamał. Sam szukał okazji do rozpoczęcia targów z Myllyrem. Takie były zasady gry. Z jednej strony w ich kieszenie wpadnie pokaźny grosz, z drugiej król Haarahld Ahrmahk otrzyma widomy znak, kto naprawdę rządzi Charisem, co powinno sprawić, że dość szybko stanie się wiernym stronnikiem Mahntayla. Ale wzbogacenie się było drugorzędną sprawą w tej rozgrywce, tak naprawdę liczyło się zwiększenie władzy. Nie tej, którą sprawowali nad arcybiskupstwami, tylko prawdziwej, w strukturach Świątyni.

- Domyślam się, że kuchnia przygotowała na to popołudnie coś naprawdę wyjątkowego - dodał. - Chcesz biesiadować w sali głównej czy wolisz zjeść posiłek na placu?

II

Pałac królewski, Tellesberg, Królestwo Charisu

O

ojcze, wiesz równie dobrze jak ja, kto za tym stoi!

Następca tronu Cayleb złożył ręce na piersi i spoglądał wyzywająco na króla Haarahlda. Ten jednak zniósł zachowanie syna z zadziwiającym spokojem.

- Tak, Caylebie - odparł władca Charisu po dłuższej chwili. - Wiem, kto za tym wszystkim stoi. Może mi jednak powiesz, co według ciebie powinienem teraz zrobić? Cayleb otworzył usta, ale nic nie powiedział. Moment później znów je zamknął. Spojrzenie jego ciemnych oczu zrobiło się jeszcze groźniejsze, co ojciec skwitował skinieniem głowy.

- No właśnie — powiedział ponurym tonem. - Wierz mi, niczego tak nie pragnę, jak widoku głowy Tahdayo zatkniętej na ostrzu piki ustawionej nad bramami miasta. Wiem też, że i on, i jego... stronnicy równie chętnie widzieliby tam moją głowę. Niestety, nie zobaczę jej tam w najbliższym czasie. A skoro to niemożliwe...

Wzruszył ramionami, a Cayleb spojrział na niego spode łba. Nie dlatego, że miał inne zdanie na ten temat, ale z czystej frustracji.

- Wiem, że się nie mylisz, ojcze - oświadczył - ale musimy jakoś odpowiedzieć na tę zniewagę. Gdyby tu tylko chodziło o Tahdayo, albo o niego i Nahrmahna, poradzilibyśmy sobie bez trudu. Ale za tymi dwoma stoi Hektor, który ma w swojej kieszeni zarówno Erayka, jak i Zheralda...

Zamilkł w pół zdania, a ojciec ponownie potaknął. Wie-dział, choć jego syn z pewnością by się do tego nie przyznał, że spora część frustracji dręczącej Cayleba powodowana jest strachem. Jednakże król Haarahld nie miał tego za złe swojemu dziedzicowi. Był świadom, że strach może być sprzymierzeńcem zarówno władcy, jak następcy tronu, o ile nie zaczyna brać góry nad człowiekiem. Akceptował go, pod warunkiem że lęki miały podstawy. Nie

chodziło o zwykłe tchórzostwo, może raczej o obawę przed konsekwencjami czynów popełnianych w ramach sprawowanej władzy.

- Żeby znać odpowiedzi na dręczące cię pytania - stwierdził - musiałbym być nie królem, tylko archaniołem, który zstąpił na ziemię. - Dotknął palcami prawej ręki serca, a potem warg. Cayleb natychmiast powtórzył jego gest. - Ale jestem zwykłym śmiertelnikiem - kontynuował Haarahld - i dlatego pozostaję w niewiedzy.

Król wstał z fotela i podszedł do okna. Był człowiekiem przeciętnego wzrostu jak niemal każdy Charisjanin, miał szerokie barki i przysadzistą budowę ciała. Jego syn był nieco wyższy, może o cal albo dwa, budowę wciąż ciężko było ocenić: Cayleb jeszcze się rozwijał. Z pewnością wyrośnie na potężnego, muskularnego mężczyznę, pomyślał Haarahld. Już porusza się z dużą szybkością i drapieżną gracją. Ja też tak się poruszałem, przypomniał sobie król. Zanim kraken spróbował powyrywać mi nogi. Czy od tamtej pory naprawdę upłynęło już dwadzieścia lat?

Zatrzymał się przy oknie, ustawiając wygodniej prawą, gzywną nogę, i dyskretnie oparł się barkiem o framugę. Syn stanął obok niego; razem spoglądali na rozległe lazurowe wody południowej części Zatoki Howella.

Na całym akwenie widać było niezliczone żagle, także daleko poza fortyfikacjami miasta i dokami. Na kotwicowisku i przy pirsach stało nie mniej niż sześćdziesiąt frachtowców. Większość z nich stanowiły niewielkie jedno- i dwumasztowe jednostki przeznaczone do żeglugi przybrzeżnej oraz holowniki przewożące na drugą stronę gigantycznej zatoki towary nie przeznaczone na eksport, ale widoczna za oknem flota składała się co najmniej w trzeciej części z ogromnych, ciężkich (i wyglądających na mało zwrotne) galeonów obsługujących oceaniczne szlaki handlowe. Większość z nich miała po trzy maszty, górowały teraz nad gromadą pomniejszych jednostek, prezentując dumnie bandery tuzina kompanii handlowych. Nieco dalej, już za falochronami, trzy śmigłe galery Królewskiej Marynarki Charisu pruły majestatycznie wzburzone fale, kierując się prosto na północ.

- Z tego oto powodu nie mamy zbyt wielu przyjaciół - rzekł Haarahld do syna, wskazując zarośniętą brodą w stronę kupieckich jednostek tłoczących się na kotwicowiskach Tellesbergu. - Zbyt wielu ludzi pragnie tego, co posiadamy, a najgorsze jest to, że swoim szaleństwem dochodzą powoli do wniosku, iż jeśli zjednoczą się przeciwko nam, ich „sojusznicy” pozwolą im zachować odebrane nam wpływy. Nie ma już chyba nacji, która stanęłaby w naszej obronie.

- Powinniśmy zatem nakłonić kogoś do zmiany zdania - odparł Cayleb.

- Dobrze prawisz, mój synu... - Haarahld uśmiechnął się ironicznie. — A skoro już jesteśmy przy tych twoich spiskach: kogo według ciebie powinniśmy przekabacić?

- Sharleyan nam sprzyja - rzucił Cayleb.

- Ale tylko w pewnym sensie - skontrował król. - Minionej wiosny dała nam to jasno do zrozumienia.

Chłopak skrzywił się, lecz nie potrafił oprotestować stwierdzenia ojca. Królowa Sharleyan z Chisholmu miała wiele powodów, by sprzeciwić się Lidze Corisandu, jak to wcześniej uczynił Charis, a jej nienawiść do księcia Hektora stała się już przysłowiowa. Istniała nadzieja, że to wystarczy, aby otwarcie sprzymierzyła się z królestwem, dlatego Haarahld wysłał do Chisholmu swojego kuzyna Kahlvyna, księcia Tiaranu, aby osobiście wy badał tamtejsze nastroje.

Niestety bez powodzenia.

- Wiesz, jak przekonujący potrafi być Kahlvyn, a fakt, że jest jednym z sukcesorów naszego tronu, powinien wyraźnie sugerować, że jego słowa mają o wiele większą wagę niż posłannictwo zwykłego ambasadora - ciągnął król. - Tylko on z nas wszystkich jest w stanie sprawić, aby sprzymierzyła się z nami, ale to nie będzie prosta sprawa. Gdyby nawet królowa miała ochotę na sojusz z Charisem, musiałaby liczyć się z utratą własnego tronu. Corisand

leży bliżej jej granic niż naszych, a stosunki pomiędzy nią i Hektorem są pasmem nieustannych udreń. Nie wspominając już o tym, że Świątynia nie zalicza się do grona czterech naszych najpotężniejszych stronników.

Cayleb pokiwał głową ze smutkiem. Chociaż Sharleyan miała na pieńku z Hektorem, istniało równie wiele powodów, dla których wolała nie wszczynać z nim wojny. Ponadto, jak ojciec już wspomniał, starała się nie zadzierać z władzami Świątyni... No i można było powątpiewać, czy zdecyduje się udzielić pomocy królestwu, które jest jej największym konkurentem.

- A co z Siddarmarkiem? - zapytał następca tronu po kilku sekundach zastanowienia. - Zawarliśmy traktaty...

- Republika to najrozsądniejszy wybór - zgodził się Haarahld. - Chociaż nie jestem pewien, czy lord protektor będzie zainteresowany praniem naszych małych... brudów, chociaż Stohnar powinien pamiętać, jak bardzo opłaczalne było dla niego przymierze z nami. Niestety, on musi nawet bardziej uważać, żeby nie rozdrażnić władców Kościoła, a traktaty, które z nim podpisałyśmy, dotyczą wyłącznie handlu, nie wojowania. Zresztą jaką flotą dysponuje Siddarmark?

- To prawda... - Cayleb uderzył lekko we framugę i przygryzł dolną wargę.

- Ten werdykt nie powinien być dla nas zaskoczeniem - stwierdził Haarahld. - Tahdayo od wielu lat utrzymywał, że ma prawo do sukcesji. Wydawało mi się jednak, że robi ten szum tylko po to, żeby wyciągnąć ze mnie pieniądze za odstąpienie od swych żądań, dlatego tym bardziej mnie zaskoczył, gdy zaczął poważnie traktować tę sprawę, jak tylko znalazł kogoś, kto dał mu poparcie.

- To do niego podobne - warknął następca tronu. - Tahdayo nie ma żadnego prawa do Hanth! Jeśli w tym okrutnym łgarstwie, że jego babka była nieślubnym dzieckiem hrabiego Fraidarecka, tkwi ziarno prawdy, Hauwerd i tak pozostaje prawowitym dziedzicem włości!

- Jak widać, Kościół Matka ma inne zdanie na ten temat. - Haarahld przemówił lekkim tonem, niemalże kpiącym, ale w wyrazie jego twarzy próżno byłoby szukać rozbawienia.

- To oczywiście, skoro Nahrman i Hektor tak chętnie napełniają kiesę Dynnysa brzęczącym złotem - prychnął Cayleb. - Poza tym Rada zawsze...! - urwał nagle, czując dłoń ojca na ramieniu.

- Ostrożnie, synu - napomniął go król, ścisząc głos. - Ostrożnie. Jesteś moim synem, więc możesz mówić przy mnie, co zechcesz, ale jeśli twoje słowa dotrą do uszu osób trzecich, mogą zostać użyte przeciw tobie, a nawet przeciw nam obu.

- Wiem o tym, ojcze. - Cayleb odsunął się od okna i spojrział Haarahldowi prosto w oczy. - Ale wiesz równie dobrze jak ja, co się wydarzyło. Wiesz także, dlaczego Rada Wikaariuszy zezwoliła na coś takiego.

- Tak - przyznał król, a w jego oczach było więcej smutku niż złości. - Gdyby wszyscy ojcowie Kościoła przypominali Maikela albo ojca Paityra, nigdy by do czegoś takiego nie doszło, a ja nie musiałbym się martwić, iż mój syn zostanie stracony za herezję tylko dlatego, że powiedział prawdę nie temu, komu trzeba. Ale na razie jest, jak jest. Musisz więc pilnować języka, chłopcze.

- Będę uważał - obiecał Cayleb, potem znów się odwrócił, aby spojrzeć na panoramę zatłoczonej zatoki. - Na pewno wiesz, ojcze, że to dopiero początek. Zmuszenie cię do uznania Tahdayo za hrabiego Hanth będzie pierwszym krokiem naszych wrogów.

- Wiem - prychnął Haarahld. - To sprawka Hektora. Ale ten człowiek jest piaskowym czerwem, nie jaszurodrapem. Nahrmanowi brakuje cierpliwości, nie lubi czekać na rozwój wydarzeń dłużej, niż jest to konieczne, a Hektor zawsze wolał, aby kto inny zadał za niego decydujące pchnięcie. Będzie obrastał tłuszczem, objadając się resztkami aż do momentu, w którym przestanie być czerwem i stanie się ośli- złym krakenem.

- Nie wątpię. Lecz to nie zmieni faktu, że Tahdayo jest pierwszym klinem z wielu, którymi będą nas chcieli rozsadzić.

- Ani tego, że zacznie łupić Hanth w momencie, gdy ogłoszą go prawowitym następcą hrabiego - zgodził się król, od razu poważniejąc. - A ja nie będę w stanie obronić poddańnych przed jego chciwością. Nie będę mógł tego uczynić, jeśli cały świat dowie się, że musiałem uznać jego prawo do sukcesji po dekreście Kościoła. Każde działanie przeciwko tyranowi będzie poczytane jako wystąpienie przeciw Świątyni, zwłaszcza że jego agenci będą na miejscu, gotowi do podszeptania Radzie Wikariuszy każdego kłamstwa, w które wszyscy bez namysłu uwierzą.

- Nie licz jednak na to, że on albo jego panowie przestaną ryc pod tobą i naszym dworem tylko dlatego, że nie zmiażdżysz go jak zwykłej pijawki, którą w gruncie rzeczy jest.

- To też wiem. - Haarahld odwrócił się od okna i ruszył, utykając, w kierunku fotela. Usadowił się na nim ciężko, potem podniósł oczy na syna. - Wierzę jednak, że wciąż mamy czas - stwierdził z ponurą miną. - Ile go zostało, tego nie wiem. Sądzę, że co najmniej kilka miesięcy. Nadal mamy obrońców w łonie Świątyni, nawet dzisiaj, nawet gdy arcybiskup Charisu występuje przeciw nam w procesie o sukcesję. Nasi najbardziej zawzięci wrogowie z Syjonu muszą przystrajać się w piórka uczciwości i sprawiedliwości. Sądzę, że sporo wody upłynie, zanim Tahdayo i jego patronowie uczynią cokolwiek, co mogłoby być odebrane jako otwarcie wrogi ruch przeciw królestwu. I chociaż z rzadka cieszy mnie widok Dynnysa, jeśli nie zmieni planów, powinien pojawić się tutaj w lutym albo marcu, co położy kres knowaniom w Świątyni, dopóki nasz arcybiskup nie wróci do Syjonu, a to może mieć miejsce dopiero następnej jesieni. Ale jedno jest pewne, jak tylko wrzawa przycichnie, znowu zaczną nas nękać bez względu na to, czy Dynnys wróci, by ich poprzeć.

- Też tak uważam - odparł Cayleb. - Ale czułbym się

0 wiele pewniej, wiedząc, jak mają zamiar w nas uderzyć.

- Raczej nie zaryzykują teraz otwartej konfrontacji - oświadczył jego ojciec, wolno cedząc słowa. Wydął potem wargi

1 zaczął nerwowo bębnić palcami po oparciu fotela. - A chciałbym, żeby to zrobili. Gdyby to była tylko kwestia starcia naszej floty z ich okrętami, nawet przy założeniu, że wesprą ich siły Nahrmahna, zyskalibyśmy w tej wojnie coś więcej niż zachowanie status quo. Niestety, Hektor wie o tym równie dobrze jak ja. Zanim wystąpi przeciw nam, zadba wcześniej o znaczne wzmocnienie swojej marynarki.

- Jakim cudem? - zapytał Cayleb.

- Tego nie wiem... jeszcze nie. Ale przypuszczam, że prowadzi już pertraktacje z Gorjahem.

Następca tronu zmarszczył brwi. Król Gorjah III, władca Królestwa Tarota, był jednym z oficjalnych sprzymierzeńców jego ojca. Ale...

- To miałyby sens, nieprawdaż...? - wymamrotał.

- Gorjah nigdy nie był naprawdę zadowolony z zawartych traktatów - przypomniał mu Haarahld. - Jego ojciec widział te sprawy inaczej, ale on uważał, że zostawiono mu w spadku zgniłe jajo. Równocześnie woli mieć w nas przyjaciół niż wrogów. Jeśli jednak Hektor odpowiednio długo nad nim popracuje, przekonując, że zarówno Corisand, jak i Szmaragd staną po jego stronie w tej wojnie... - Władca przerwał, a jego syn pokiwał tylko głową. Moment później, gdy podniósł wzrok, oczy mu zalśniły.

- Wiem, że masz rację, ojczu. Zawsze ją miałeś. Jesteś jedynym z najprzebieglejszych ludzi, jakich znam. Ale dzisiaj coś jeszcze chodzi ci po głowie.

Haarahld spoglądał na niego przez kilka sekund, potem znów wzruszył ramionami. Zupełnie inaczej niż poprzednio, jakby jego ręce stały się o wiele cięższe i sztywniejsze.

- Twoja matka nie żyje - powiedział zgaszonym głosem. - Była moją lewą ręką i zwierciadłem duszy. Brakuje mi jej świątłych rad nie mniej niż jej samej. Nie będę miał już więcej potomków, a Zhan liczy sobie dopiero osiem wiosen, Zhanayt jest od niego tylko o dwa lata starsza. Na domiar złego to dziewczynka. Jeśli mój wróg naprawdę zamierza mnie okaleczyć, odbierze mi silne prawe ramię, tak jak to zrobił z lewym. - Spojrzał prosto w oczy najstarszego z synów. - Zapamiętaj, co mówiłem o piaskowych czerwiach - poprosił Haarahld. - Jaszurodrap zaatakowałby nas w pojedynkę długimi, ostrymi pazurami, ale czerw nigdy nie uczyni czegoś takiego. Pilnuj się, synu, strzeż się mroku i cieni. Wrogowie znają nas równie dobrze jak my ich, dlatego wiedzą, że zabijając ciebie, pozbawią mnie nie tylko prawej ręki, ale i serca.

III

Góry Światła, Ziemię Świątynne

Nimue Alban usiadła wygodniej i zmarszczyła mocno brwi.

Nie musiała korzystać z krzesła, tak samo jak nie musiała oddychać - czyniła to jednak z powodów czysto „kosmetycznych” - ale zauważyła już za pierwszym razem, gdy skończyła z CZAO, że program przejmuje i naśladuje pewne przyzwyczajenia żywego organizmu, w tym także uczucie fizycznego zmęczenia. Aczkolwiek, pomyślała z wymuszonym uśmiechem na ustach, żaden człowiek z krwi i kości nie po-oddychałby zbyt długo neutralną azotową atmosferą, którą Pei Kau-yung wypełnił to pomieszczenie.

Spędziła całe trzy tutejsze dni, siedząc na tym właśnie krześle i studiując pozostawione przez komandora dane, nie-estety, w najprymitywniejszy ze znanych jej sposobów, ponieważ modyfikacje w oprogramowaniu poczynione przez Eliasza Proktora miały jeden, ale za to poważny uboczny skutek - odłączyły, zapewne nieumyślnie, interfejs szybkiego przyswajania danych. Była pewna, że programista nie zauważył swojego błędu, i chociaż wiedziała, że w innych warunkach mogłaby spokojnie poradzić sobie z tym problemem, tutaj i teraz wolała nie ryzykować. Gdyby cokolwiek zepsuła, nie znalazłaby nikogo, kto byłby w stanie usunąć usterkę. A fakt, że po tak wielu ofiarach i staraniach umożliwiających podjęcie tej misji jednym nierozważnym ruchem pozbawiłaby się możliwości jej wykonania, zakrawał na coś więcej niż tylko ironię.

Przedzierała się więc przez dokumenty w tradycyjny sposób. Co więcej - robiąc to, odczuwała swoistą ulgę. Zamiast przesłać pliki złączem do systemu, siedziała przed ekranem, czytając kolejne dokumenty, oglądając i odsłuchując zachowane nagrania, jakby znów była istotą ludzką, pierwowzorem, który został utracony na zawsze. Wcale jej się nie spieszyło do zapoczątkowania zmian.

- Sowo! - zawołała.

- Tak, pani komandor porucznik? - odpowiedział jej miły, niemal naturalnie brzmiący tenor.

- Dowiedziałam się właśnie, że komandor Pei pozostawił nam funkcjonujący system obserwacji powierzchniowej. Czy on nadal działa?

- Nie, pani komandor porucznik - odparła Sowa i zakończyła na tym odpowiedź, zmuszając Nimue do okazania niecierpliwienia.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie otrzymałam polecenia jego włączenia, Pani komandor porucznik.

Nimue pokręciła głową z niedowierzaniem. Sowa - tak nazywano komputer taktyczny RAPIER, wyprodukowany przez konsorcjum Smith-Ordoñez-Westinghouse-Aytton i „zgnięty” dla niej przez Pei Kau-yunga - z pewnością nie należała do najwybitniejszych osiągnięć ludzkiej cybernetyki. Na wyspecjalizowanych polach działania poziom sztucznej inteligencji sprawdzał się doskonale, niemniej wszystkie komputery taktyczne miały wbudowane ograniczenia wolicjonalne i wymagały przy współpracy znacznie większego

zaangażowania czynnika ludzkiego. Sowa nie wykazywała żadnych zdolności - czy też chęci - do odgadywania potrzeb albo instrukcji użytkownika. Jej oprogramowanie było heurystyczne, przynajmniej w teorii, dlatego Nimue wyczuwała w nim pewne załamki rodzącej się osobowości. Z drugiej jednak strony, w czasie wojny miała okazję współpracować z wieloma RAPIE- RAMI i żaden z nich nie otarł się nawet o granicę geniuszu.

- Chciałam zapytać o to, czy istnieją jakieś problemy techniczne, które uniemożliwiają ci jego uruchomienie - powiedziała.

Znów nie otrzymała odpowiedzi, więc zacisnęła wargi jeszcze mocniej.

- Czy masz problem techniczny z uruchomieniem tego systemu? - powtórzyła dobitniej i jaśniej.

- Tak, pani komandor porucznik.

- Jaki to problem? - zapytała z rosnącym rozdrażnieniem.

- Zestaw, o którym mówimy, w chwili obecnej pokryty jest trzynastometrową warstwą śniegu i lodu, pani komandor porucznik.

- W końcu do czegoś doszliśmy. - Jej sarkazm nie zrobił najmniejszego wrażenia na sztucznej inteligencji. Sowa zmilczała jej uwagę, zmuszając ją do głośnego westchnięcia. - Poza tym system jest w pełni sprawny? - zapytała Nimue, nie siłując się na kolejne uszczypliwości.

- Tak, pani komandor porucznik.

- A ten lód i śnieg można usunąć albo stopić?

- Tak, pani komandor porucznik.

- Jesteś podłączona do zabezpieczonej linii naziemnej?

- Tak, pani komandor porucznik.

- W porządku - stwierdziła Nimue. - W takim razie chcę, abyś włączyła ten system, na razie w trybie pasywnym, i dokonała skanowania nieba w poszukiwaniu sztucznych obiektów krążących na orbicie. Podaj mi przewidywany czas wykonania tego zadania.

- Aktywuję system, pani komandor porucznik. Oczyszczenie anten systemu z pokrywy lodowej potrwa w przybliżeniu trzydzieści jeden godzin standardowych. Czas potrzebny na dokonanie pełnego skanowania przestrzeni to czterdzieści trzy godziny standardowe przy założeniu, że napotkamy sprzyjające warunki pogodowe. W przypadku złej pogody mogą wystąpić ograniczenia w efektywności działania układów optycznych.

- Rozumiem. - Uśmiech Nimue odsłonił rzędy nieskazitelnie białych zębów. - To, czego szukam, będzie bardzo łatwe do wyśledzenia, jeśli nadal tam się znajduje.

Sowa znów nie odpowiedziała, a Nimue przez moment próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby w obwodach komputera zamiast sztucznej inteligencji umieszczono umysł zwykłego człowieka. Nadaremno jednak; nie potrafiła zobaczyć siebie samej, siedzącej cały czas w niezmiennym pozycji i czekającej cierpliwie na wydanie przez operatora kolejnego polecenia.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Czyż nie to ją właśnie spotkało? Leżała unieruchomiona przez ostatnie osiem standardowych stuleci - co w przeliczeniu na czas Schronienia dawało niemal dziewięćset lat - licząc od momentu biologicznej śmierci prawdziwej Nimue Alban. Oczywiście z jej perspektywy wyglądało to całkiem inaczej. Przynajmniej do momentu, gdy zaczęła myśleć o tych wszystkich ludziach, których już nigdy nie zobaczy. Albo o Gbaba, którzy w czasie kiedy spała, dokonali dzieła zniszczenia Federacji Ter-rańskiej, zabijając ludzi na zamieszkałych planetach... nie wyłączając Starej Ziemi.

Poczuła zimny dreszcz, który z pewnością nie miał nic Wspólnego z temperaturą „powietrza” w tym pomieszczeniu, i potrzęsnęła zdecydowanie głową.

Dość tego, Nimue, skarciła się w myślach, może i jesteś te raz CZAO, ale twoja osobowość pozostała niezmienną. A to oznacza, że doprowadzisz się do szaleństwa, jeśli nie przestaniesz myśleć w podobny sposób.

Wstała z krzesła, splotła ręce na plecach i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Poza tym, że CZAO nigdy się nie męczył, czuła się tak, jak powinna się czuć w swoim naturalnym ciele. I tak miało być.

Wypolerowane gładko, łukowate kamienne sklepienie opadało łagodnie ku idealnie równemu podłożu jaskini, w najwyższym miejscu zaś wznosiło się niemal cztery metry nad jej głową. Nimue przebywała w jednym z tuzina podobnych, choć różniących się kubaturą wyciętych w skale pomieszczeń ukrytych pod jedną z niezliczonych gór pokrywających powierzchnię planety zwanej Schronieniem. Nosiła ona nazwę Olimp - choć nazywano ją także Górą Światła - a w jej wnętrzu tkwiły skromne złoża rudy żelaza. Komandor Pei Kau-yung umieścił kryjówkę pod największą żyłą tego surowca, jaką znalazł w okolicy. Znajdowała się około czterdziestu metrów ponad poziomem morza, a szczyt Olimpu był o niemal jedną trzecią wyższy od Mount Everestu, największej góry Starej Ziemi. Nimue miała nad głową niemal dwanaście tysięcy metrów litej skały, dzięki czemu słabiutkie generatory kryjówki, zasilane ze źródeł geotermalnych, były praktycznie niewykrywalne dla okrętów floty Langhorne'a, gdy ta przybyła po zakończeniu terraformingu.

Wędrowała po całym kompleksie, sprawdzając wszystkie przedmioty, które znalazła wyszczególnione w bankach danych Sowy. Niektóre wydawały się jej tak egzotyczne i nieprzydatne, że zaczynała podejrzewać, iż komandor i Shan-wei dodali je do listy niejako z rozpędu, tylko dlatego, że mieli do nich dostęp, nie przewidując dla nich żadnego sensownego zastosowania, niemniej nie potrafiła sobie wyobrazić, jakim cudem udało im się usunąć z list Langhorne'a aż tak wielką ilość ciężkiego sprzętu. Na przykład te trzy transportery opancerzone. Albo skimmery dalekiego zwiadu, nie mówiąc już o w pełni sprawnym wahadłowcu szturmowym, który miał rozmiary przedpotopowego jumbo jęta. Moduł produkcyjny umieszczony w największym, a zarazem najniższym pomieszczeniu wydawał jej się najbardziej sensownym nabytkiem, podobnie jak naprawdę porządnie wyposażona zbrojownia. Nie wiedziała jednak, po co Kau-yung zostawił pojedynczemu egzemplarzowi CZAO aż dwieście karabinów szturmowych i niemal dwa miliony sztuk amunicji?

W pełni wyposażona komora medyczna z transportowca Jiemus także stanowiła dla niej zagadkę, zwłaszcza że jej ciało było całkowicie mechaniczne. Znalazła w niej moduł kriogeniczny, a nawet kapsułę do kuracji antygeronowej i chociaż osobiście wolałaby nie ryzykować użycia któregośkolwiek z leków składowanych przez osiem stuleci, cóż z tego, że w warunkach krionicznych, nanotechniczna część komory wciąż nadawała się do użytku. Tyle tylko, że CZAO nie potrzebował tego rodzaju zabiegów i kuracji. Zastanawiała się chwilami, czy Kau-yung i Shan-wei nie zapomnieli przypadkiem o tym, że przygotowują to wszystko nie dla Nimue Alban z krwi i kości, tylko dla robota, który ją zastąpił, składającego się wyłącznie z metali i kompozytów. Jakkolwiek było, zostawili jej nawet w pełni wyposażoną kuchnię... chociaż musieli zdawać sobie sprawę, że CZAO nigdy nie odczuje potrzeby jedzenia.

Pozostałe części magazynów - które nazwała po swojemu Jaskinią Nimue - były znacznie bardziej sensownie wyposażone. Na przykład biblioteka. Kau-yung i Shan-wei zdawali skopiować pełne banki pamięci bibliotek Romulusa, zanim okręt ten został przeznaczony do zniszczenia. Nie udało im się jednak odzyskać całego komputera, w którym były umieszczone, czego naprawdę żałowała, jako że jego sztuczna inteligencja, w odróżnieniu od Sowiej, została sprofilowana tak, by pomagać i naprowadzać człowieka na potrzebne mu odpowiedzi. Nimue zastanawiała się, czy nie chodziło w tym przypadku o rozmiary maszyny. Kompletne banki danych mieściły się w trzech sferach wypełnionych obwodami

molekularnymi, nie większych niż znane ze Starej Ziemi piłki do baseballu, nic więc dziwnego, że można je było przemyścić przez kontrolę o wiele łatwiej niż obsługujące je skomplikowane urządzenia. Tak czy owak, miała rdzenie i mogła je podłączyć do systemu Sowy, dzięki czemu zyskiwała dostęp do ekwiwalentu wiedzy zgromadzonej w porządnym uniwersytecie Federacji, a to mogło jej ułatwić, i to znacznie, wykonanie powierzonego zadania.

Spora liczba SAPK-ów - Samonaprowadzających Autonomicznych Platform Komunikacyjno-Zwiadowczych - także mogła się okazać bardzo przydatna. Te małe, niewidzialne dla radarów i oczu roboty miały rozmiary zbliżone do ciała Nimue, posiadały też bardzo rozwiniętą sztuczną inteligencję. Napędzane silnikami fuzyjnymi potrafiły osiągać prędkości przekraczające dwa machy w atmosferze (a poza nią poruszały się jeszcze sprawniej i szybciej), mogły się unosić w powietrzu całymi miesiącami, a nawet rozmieszczać odzyskiwalne miniaturowe urządzenia służące do tego samego celu co one. Dysponowała szesnastoma egzemplarzami urządzeń tego typu. Wisiały one teraz, niewidzialne dla ludzkich oczu i znacznie bardziej skomplikowanych sensorów (których na tej planecie akurat nie było), nad największymi miastami i miejscowościami Schronienia.

Na razie zajmowały się gromadzeniem danych dotyczących lokalnych języków i dialektów. Nie posiadając działającego łącza szerokopasmowego, Nimue zdana była wyłącznie na własne siły, uczyła się więc zmutowanej wersji standardowego języka angielskiego, używanej przez współczesnych mieszkańców Schronienia, w tradycyjny, czyli niełatwy sposób. Zauważyła przy tym, że alfabet i gramatyka zostały zachowane w niezmienionej formie, choć wymowa wyrazów i akcenty ulegały coraz większym zniekształceniom wraz z upływem czasu, co było nawet zrozumiałe, zważywszy na to, że cywilizacja ta nie dysponowała środkami zapisu, które mogłyby posłużyć jej za źródła i wzorce... Co ciekawe, zmiany te szły w różnych kierunkach zależnie od miejsca występowania. Kilka dialektów różniło się dzisiaj tak bardzo, że równie dobrze można by je traktować jako osobne języki, mimo iż pisownia niemal wszystkich słów pozostała niezmieniona.

Na szczęście Nimue zawsze miała smykałkę do języków, a jej nowe, cybernetyczne ciało nie potrzebowało snu. Jednak wgrana osobowość chciała od czasu do czasu odpocząć — odkryła to już dawno temu, kiedy po raz pierwszy skorzystała z CZA0 w trybie autonomicznym - mimo iż cybernetyczny mózg, do którego została załadowana, nie wymagał żadnych przestojów. Podczas okresów takiego odpoczynku Nimue nie miała pojęcia, kiedy jej osobowość wyłączała się kompletnie, a kiedy po prostu przechodziła w fazę... czuwania. Dla niej było to odpowiednikiem snu, chociaż nie potrzebowała więcej niż godziny podobnego odpoczynku na kilka dni standardowych, przypuszczała jednak, że ta umiejętność będzie jej teraz znacznie bardziej przydatna niż w przeszłości. W końcu nikt nigdy nie przetestował trybu autonomicznego CZA0 w tak długim okresie czasu. Prawdę powiedziawszy, zwykli użytkownicy korzystali z niego najwyżej przez dziesięć dni.

Mimo smykałki do języków Nimue musiała spędzić sporo czasu na przyswajaniu lokalnych narzeczy, aby opanować je w stopniu wystarczającym do porozumienia się z przeciętnym mieszkańcem Schronienia. Dodatkowym utrudnieniem w kontaktach mogła być jej płeć. Społeczność tej planety składała się w przeważającej części z mężczyzn i to oni kształtowali tutejszą cywilizację.

Mogła coś na to zaradzić, choć myśl ta nie sprawiała jej szczególnej przyjemności. Znacznie większym problemem było to, że niemal wszystkie umiejętności nabyte podczas życia w wysoce uprzemysłowionym społeczeństwie okazały się w tej sytuacji zupełnie nieprzydatne. Zawsze uwielbiała żeglować, oczywiście kiedy tylko miała na to czas, ale pływała wyłącznie na niewielkich łodziach, takich jak ulubiony dziesięciometrowy ślup ojca. I chociaż ta akurat pasja mogła jej się przydać w niedalekiej przyszłości, to Nimue, w odróżnieniu od wielu jej kolegów z wojska, nigdy nie interesowała się szkółkami

przetrwania, strzelectwem, trenowaniem sztuk walki, kowalstwem ani produkowaniem finezyjnych pułapek z pułstych puszek po racjach żywnościowych i gumek recepturek. Co prawda komandor Pei kilka lat przed rozpoczęciem operacji Arka zachęcił ją do trenowania kendo i z tego co pamiętała, nawet nieźle jej szło, ale nigdy nie ważyłaby się określić mianem mistrzyni tego sportu. Niemniej była to chyba jedyna umiejętność z dawnego życia, która mogła się okazać naprawdę użyteczna na Schronieniu. W jakim stopniu, to się dopiero okaże, kiedy dojdzie do pierwszej walki.

Tak wyglądały problemy, z którymi kiedyś będzie musiała się zmierzyć. Zanim to jednak nastąpi, powinna uporać się z całą masą mniej istotnych drobiazgów. Notatki Kau-yunga - a w zasadzie jego dziennik - opisywały szczegółowo to, co Langhorne i Bedard zrobili z umysłami kolonistów. Dzięki tym wiadomościom mogła bez większego wysiłku pojąć konsekwencje manipulacji, mimo że nie zdołała opanować w wystarczającym stopniu mowy dzisiejszych mieszkańców kolonii.

Schronienie nie przypominało żadnej z planet, które wcześniej zamieszkiwali ludzie. Nawet najstarsze z kolonii założonych przez Federację miały w momencie natrafienia na Gbaba niespełna dwieście lat. To wystarczyło, aby wykształciły się na nich silne, lokalne wzorce kulturowe, lecz wszystkie one miały silne zakorzenienie w tradycjach pochodzących jeszcze ze Stałej Ziemi. Planety te charakteryzowały się ogromną różnorodnością nowych zwyczajów, chociaż nigdy nie zdołały dorównać bogactwu cywilizacji znanych na kolebce ludzkości.

Tamtejsze kultury powstawały ze stapiania ze sobą rozmaitych społeczności, systemów wierzeń, ideologii, filozofii i światopoglądów, podczas gdy Schronienie wyrosło z jednego tylko wzorca. Na dodatek sztucznie stworzonego. Wszyscy ludzie, stanowiący załazek tej społeczności, wierzyli w to samo, stąd różnice istniejące dzisiaj na Schronieniu były raczej efektem oddalania się od jednolitej matrycy zachowań niż typowego zbliżania się do niej. Na szczycie tej odwróconej piramidy znajdowała się absolutna wiara w „religię” stworzoną i zaprogramowaną kolonistom przez Langhorne'a i Bedard. Biblioteka Nimue zawierała kompletny tekst „Świętego Pisma” Schronienia, które stworzył Maruyama Chihiro, zaufany człowiek administratora kolonii. Pochłonęła jego treść bardzo szybko, ze swoistą, chorą fascynacją.

Zgodnie z doktryną Kościoła Boga Oczekiwanego, Pan stworzył Schronienie, aby było domem wszystkich jego dzieci, w którym mogłyby żyć w harmonii i wzajemnym poszanowaniu, egzystując w prostocie oraz wyrzekając się wszystkiego, co komplikowałoby ich kontakt z wielbionym bóstwem. Pod koniec procesu tworzenia Bóg wybrał grupkę archaniołów, aby pomogli uformować i ulepszyć ten najlepszy ze światów, a potem służyli jego dzieciom radą i mądrością. Najważniejszymi spośród nich zostali (jakże mogłoby być inaczej) Langhorne, patron Boskich praw i życia, oraz Bedard, patronka mądrości i wiedzy. Wersja Pisma, którą dysponowała Nimue, nie zawierała niestety opisu wydarzeń zapowiadanych przez komandora Pei w ostatniej wiadomości. Nie dowiedziała się więc, jakie były skutki jego działań, i miała pozostać w niewiedzy dopóty, dopóki nie znajdzie współczesniejszej wersji księgi - a raczej dopóki nie odszuka jej któryś z SAPK-ów. W tym wydaniu Pei Shan-wei wciąż była jednym z archaniołów, pierwszą zastępczynią Langhornea i tą, która powołała Schronienie do życia zgodnie z wolą Boga. Nimue nie wątpiła jednak, że tę część zapisków zmieniono albo wręcz usunięto po zamordowaniu żony komandora. Nie znalazła także słowa o zapowiadanym przez Kau-yunga zamachu na administratora i Bedard. A to również musiało zostać odnotowane przez twórców kolejnych wersji tutejszej Biblii.

Z posiadanego tekstu mogła jednak wywnioskować, że przy najmniej najbardziej podstawowe części planu Langhorne'a i Bedard zostały wprowadzone w życie. Kościół Boga Oczekiwanego stał się jedynym źródłem prawd religijnych dla całej planety. Zgodnie z

zamierzeniami wszyscy koloniści, którzy się obudzili na powierzchni Schronienia, mieli zaimplantowane fałszywe wspomnienia i świącie wierzyli, że zostali stworzeni w tym właśnie momencie. Tu nie chodziło o zaszczepienie wiary, że Langhorne, Bedard i reszta sztabu operacji Arka to archaniołowie - dla kolonistów to musiało być pewnikiem.

Langhorne zaplanował wszystko, również to, że wszyscy członkowie dowództwa wyprawy będą kontynuowali kuracje antygeronowe. Koloniści także musieli je przejść, zanim opuścili Starą Ziemię, ale w nowym środowisku nie byli w stanie ich kontynuować. Dlatego wybrańcy z kierownictwa operacji, którzy zachowali dostęp do sprzętu, mogli liczyć na co najmniej trzysta lat życia, a wielu z nich było niewiele starszych od Nimue, gdy rekrutowano ich do tej misji.

Oryginalni „Adamowie” i „Ewy” mogli więc liczyć na życie dłuższe niż ich dzieci, które nigdy nie zażyły antygeronu, być może nawet do stu pięćdziesięciu tutejszych lat, a w dodatku dzięki odporności nabytej podczas nanotechnicznych kuracji ich organizmy były odporne na wszelkie choroby i infekcje. Zważywszy na przeciętny wiek kolonistów biorących udział w operacji Arka, można było się spodziewać, że przeżyją na Schronieniu co najmniej sto. dwadzieścia lat, czyli o wiele więcej, niż mogło osiągnąć ich poczęte w normalny sposób potomstwo. Dzięki temu wyróżniali się z tej społeczności, jak kiedyś na Starej Ziemi postacie biblijne (tu-taj Nimue skrzywiła się z odrazą), zwłaszcza że żaden z nich nigdy nie chorował. „Aniołowie” mogli jednak żyć jeszcze dłużej, co oznaczało, że koloniści, a także pięć do sześciu pokoleń ich potomków, mieli szansę na fizyczne kontakty z „nieśmiertelnymi” wysłannikami Boga.

Na uwagę zasługiwał także fakt, że wszyscy pierwsi koloniści umieli czytać i pisać. Dlatego na Schronieniu zachowało się tak wiele relacji z pierwszej ręki dotyczących cudu Stworzenia, nie wspominając o opisach kontaktów z aniołami, którym Pan powierzył swoje dzieci w opiekę. Wzmianki o ich niesamowitej długowieczności musiały być szokujące dla większości ludzi. Kościół działający na Schronieniu naturalnie to wykorzystał, nie ograniczył się do prezentowania wybranych relacji, tworzonych przez teologów albo relatywnie nielicznych skrybów w seminariach. Posiadał gazety, listy, inspirujące zapiski pochodzące od ośmiu milionów ludzi bezwzględnie wierzących w prawdziwość wydarzeń, w których dane im było wziąć udział.

Jedynym dziwnym, że Bedard była tak pewna przetrwania swojej matrycy, pomyślała z goryczą Nimue. Ci biedacy nie mieli żadnych szans na zmianę biegu historii.

Jeśli Kau-yung zdołał zabić Langhorne'a i jego najwierniejszych popleczników, jak to sobie zaplanował, ktoś musiał przeżyć ten zamach i dopilnować realizacji Boskiego planu.

Świątynia Boga i miasto Syjon były widomymi symbolami takiego obrotu rzeczy, uznała Nimue z ponurą miną, ani jedno ani drugie nie istniało bowiem przed zamordowaniem Shanwei. A zwłaszcza Świątynia - monumentalny i namacalny dowód na to, że Pismo głosiło czystą prawdę.

Nie pozwoliła swoim SAPK-om na swobodne operowanie w pobliżu Syjonu, zwłaszcza że odkryła głęboko pod zabudowaniami Świątyni kilka tajemniczych, choć słabych źródeł emisji. Powstrzymała się też przed wprowadzeniem ich do wnętrza budowli, mimo że brak danych o niej pozostawiał ogromną wyrwę w misternie tkanej informacyjnej sieci. Nie mogła sprawdzić, czym są owe źródła energii, nie miała bowiem zamiaru wpuszczać SAPK-ów na teren świątyni - a był to jedyny możliwy sposób rozwikłania tej zagadki. Niemniej nawet bez zbliżania się do tej gigantycznej budowli mogła ocenić jej niezaprzeczone piękno i majestat. A także to, że przetrwa ona dłużej niż otaczające ją szczyty gór.

To wydało jej się najbardziej zabawne. Widywała bunkry obrony planetarnej, które były słabiej chronione niż ta budowla, zastanawiała się też, co za idiota kazał obłożyć zbrojnym piastem lśniąca srebrną kopułę? Przezroczysta pokrywa miała grubość siedmiu albo nawet ośmiu centymetrów, co oznaczało, że jest zdolna wytrzymać uderzenie tradycyjnego pocisku

artyleryjskiego kalibru 400 mm. I to bez zadrapania powierzchni. Jak dla niej była to nie tylko niepotrzebna, ale także na-zbyt droga metoda ochrony kopuły i stojącego na niej posągu Langhornea przed zabrudzeniem albo zmatowieniem. Z drugiej strony, już sam fakt istnienia Świątyni otoczonej powłoką „cudownego” zbrojoplastu i innych, nieznanymi cywilizacji materiałów, nie mówiąc już o działającej przez tyle stuleci klimatyzacji - co sugerowało, czym mogą być owe źródła energii ukryte w podziemiach budowli - stanowił namacalny dowód, że archaniołowie naprawdę chodzili kiedyś po powierzchni Schronienia. Przecież zwykli śmiertelnicy nie byłiby w stanie zbudować takiego cudu! Dzisiaj, pomimo imponujących rozmiarów i majestatu. Świątynia była zaledwie drobnym fragmentem potęgi Kościoła Matki. Każdy z władców rządzących krainami tej planety musiał być namaszczony „z łaski Boga i jego archanioła Langhorne'a”. Kler był w stanie usunąć każdego z władców, kiedy chciał i jak chciał, przynajmniej w teorii. Niemniej Świątynia bardzo ostrożnie korzystała z tego przywileju w przeszłości, zwłaszcza od momentu gdy na Schronieniu pojawiły się tak wielkie państwa, jak Harchong czy Siddarmark.

Mimo to Kościół pozostał największą potęgą na Schronieniu i stanowił na nim prawa. Ziemia Świątynna była nie-co mniejsze od Harchongu czy Siddarmarku, mieszkało na nich też mniej ludzi, ale wygrywały za to każde porównanie z pozostałymi krainami tej planety. Tutejszy Kościół nie wie-dział nawet, jak wielkimi bogactwami dysponuje. Każdy z do-rosłych mieszkańców Schronienia musiał oddawać Świątyni około dwudziestu procent swoich przychodów w formie dorocznego podatku. Świeccy władcy mieli obowiązek zbierania tych pieniędzy i przekazywania ich Kościołowi, ten zaś wykorzystywał zdobyty tą drogą majątek na działalność charytatywną, budowę nowych miejsc kultu albo niezwykle dochodowy interes polegający na pożyczaniu gotówki lokalnym władcom i książętom, tyle że na bardzo wysoki procent. Nie należało także zapominać o utrzymywaniu wszystkich hierarchów, którzy uwielbiali pławienie się w bogactwie i luksusach.

To była naprawdę groteskowa sytuacja, absolutyzm potęgi Kościoła równać się mógł jedynie z niezachwianą wiarą kleru w wyłączne prawo do sprawowania władzy, co bardzo, ale to bardzo nie spodobało się Nimue.

Mimo to jednak pewna część jej umysłu czuła ogromną pokusę, by nic z tym nie robić, tylko usunąć się w cień i obserwować z oddali bieg wydarzeń. Nadrzędnym zadaniem operacji Arka było stworzenie bezpiecznego schronienia dla nie-dobitków ludzkości, w którym nie istniałyby zaawansowane technologie mogące przywabić zwiadowców Gbaba. Pod tym względem plan Langhorne'a działał, choć musiała przyznać, że okazał się nieskończenie megalomański. Wszakże druga część jej osobowości była nie tylko przerażona, ale i wściekła do granic na gigantyczne oszustwo, którego ofiarą padli mieszkańcy Schronienia. Jeszcze bardziej irytowały ją informacje dostarczane przez SAPK-i, mówiące, że fasada świę-toszkowości zaczyna powoli pękać.

Nikt nie pokusił się jeszcze o kwestionowanie podstaw teologii, przynajmniej na razie, pomyślała. Ale populacja planety stała się zbyt duża, a ojcowie Kościoła zdążyli już odkryć stare porzekadło mówiące, że władza korumpuje każdego. Powinnam wprowadzić SAPK-a do wnętrza Świątyni, ale i bez tego mam wystarczające dowody na to, że Rada Wikariuszy jest tak samo skorumpowana i zapatrzona w siebie jak wszyscy dyktatorzy w historii Starej Ziemi. Jeśli nawet jej członkowie pozostają w niewiedzy, to wielu innych ludzi z otoczenia Rady ma pełną świadomość tego, co tu się dzieje. Kwestią czasu jest zatem pojawienie się lokalnego Marcina Lutera albo Jana Husa, który zażąda reform, i kto wie, w jakim kierunku pójdzie ta cywilizacja, kiedy matryca stworzona przez Bedard zacznie pękać? Jakakolwiek reformacja w tutejszym wydaniu może być naprawdę krwawa i odrażająca, zważywszy na powszechność Kościoła i jego monopol na władzę. Przecież mieszkańcy Schronienia wierzą święcie w to, że gdzieś tam żyją obserwujący ich

archaniołowie. Wyznawcy będą oczekiwali powrotu Langhornea i jego braci, którzy powinni przybyć, aby bronić stworzonego przez siebie Kościoła - albo jego reformatorów. Jeśli coś takiego nie nastąpi, na pewno pojawi się ktoś, kto zaraz ogłosi, że posłańcy Boga nigdy nie istnieli, a wszystkie „dowody” na ich obecność, podobnie jak i cała religia są trwającym od tysiąca lat spiskiem i kłamstwem. A wtedy...

Wzruszyła ramionami - co było w jej wypadku czysto psychosomatyczną reakcją - i zacisnęła szczęki.

SIERPIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 890

Miasto Tellesberg i pogórze Harith w pobliżu Rotharu, Królestwo Charisu

W

asza wysokość, wydaje mi się, że to niezbyt dobry pomysł - powiedział porucznik Falkhan. - Prawdę mówiąc, uważam, że to bardzo zły pomysł.

Następca tronu Cayleb spojrział na szefa straży przybocznej i uniósł pytająco brew. To była jedna z groźnych min ojca, które ćwiczył od pewnego czasu. Niestety, nie dawała tego samego efektu, kiedy używał jej młody książę.

- Możesz tak sobie na mnie spoglądać, panie - dodał Falkhan. - To nie ty będziesz musiał tłumaczyć królowi, co przydarzyło się jego dziedzicowi, jeśli coś pójdzie nie tak, jak planujesz. A znając moje zakichane szczęście, wpadniesz w tarapaty, ledwie znikniesz mi z oczu.

- To tylko zwykłe łowy, Ahrnahldzie - uspokajał go Cayleb, podając tunikę obsługującemu go Gahlvynowi Daikynowi. - Ciekawe, jakiego zwierza uda mi się podejść, jeśli pojedę otoczony całym stadem strażników?

- A jeżeli trafisz na kogoś, kto ma zamiar upolować ciebie? Wiesz przecież, że ostatnio zrobiło się u nas niespokojnie. Na Schronieniu jest kilka osób, które nie żywią specjalnie ciepłych uczuć wobec naszego dworu.

Ahrnahld Falkhan, najmłodszy syn hrabiego Sharpsetu, był tylko dziewięć lat starszy od Cayleba. Zaliczał się w poczet oficerów Królewskiej Piechoty Morskiej - wedle tradycji to jego regiment, a nie Straż Królewska, zajmował się ochroną tronu. Młody Falkhan nie trafił na tak wysokie stanowisko

[ni]

sko przypadkiem. I pomimo młodego wieku nie lekcewał swoich obowiązków, bardzo poważnie podchodząc do zadania ochrony następcy charisjańskiego tronu, chociaż książę nie lubił, kiedy ktoś uciekał się wobec niego do tak nieuczciwych trików, jak stosowanie logicznych wywodów.

- Na początek musieliby wiedzieć, gdzie przebywam - zbył go Cayleb. - Nie powiedziałem też, że nie wezmę ze sobą nikogo. Nie widzę jedynie sensu w ciągnięciu całego oddziału między wzgórza odległe od Tellesbergu o mniej niż dwaście mil.

- Rozumiem. O jak dużej części naszego oddziału mówimy?

- Cóż...

- Tak właśnie myślałem. - Porucznik Falkhan założył ręce na piersi i oparł się szerokimi plecami o ścianę przewiewnego, pomalowanego na niebiesko salonu. Cayleb przyśiągłby, że usłyszał pełne aprobaty fuknięcie, wydane przez Daikyna, zanim sługa opuścił komnatę.

- Nigdzie cię nie puszcze, jeśli nie zabierzesz co najmniej pięciu ludzi - oświadczył Falkhan.

- Pięciu? - Cayleb wybałuszył na niego oczy. - Nie będziemy musieli walczyć z całym regimentem wroga, Ahrnahldzie! Chyba że uważasz, iż Nahrman i Hektor zdołali przeprowadzić armię pod nosem naszej floty.

- Pięciu - powtórzył zdecydowanym tonem dowódca przybocznych. - A także mnie. Jeśli się nie zgodzisz, nigdzie nie pojedziesz.

- O ile mnie pamięć nie zawodzi, to ja jestem jedynym księciem w tej komnacie - zauważył Cayleb, ale w jego głosie dały się wychwycić pierwsze płaczliwe tony.

- A z tego co ja wiem, książęta mają znacznie mniej swobody w pewnych sytuacjach niż zwykli wieśniacy. - Falkhan posłał mu współczujący uśmiech. - Jak już wcześniej wspomniałem, nie zamierzam stawać przed twoim ojcem, aby go poinformować, że coś ci się przydarzyło z mojej winy.

Następca tronu spojrział na niego buntowniczo, ale porucznik nie uległ. Odpowiedział równie twardym spojrzeniem.

czekając, aż oponent przestanie się opierać i wreszcie dopuści do siebie odrobinę zdrowego rozsądku.

- Dobrze - westchnął w końcu Cayleb. - Ale tylko pięciu - dodał natychmiast.

- Oczywiście, wasza wysokość - mruknął porucznik Falkhan, gnąc się w głębokim, dworskim ukłonie.



- Wybacz mi, wasza wysokość - zagaił porucznik Falkhan następnego dnia, gdy on, książę oraz pięciu żołnierzy piechoty morskiej zjechali po stoku w pofałdowaną dolinę jakiś czas po świcie, gdy zimowe słońce wspinało się dopiero na niebo.

Tutaj, tak blisko równika, nadal było bardzo ciepło, chociaż najgorętszy sezon roku już minął. Przylegający szczelnie do ciała kirys sprawiał, że plecy dowódcy straży ociekały potem. Ale nie dlatego miał tak zbolałą minę. Bardziej martwiło go to, że niewielka miejscowość zwana Rotharem, właściwie bogata wioska leżąca niespełna osiemnaście mil za murami Tellesbergu, znajdowała się dwieście jardów za jego plecami... wraz z miejscowym sołtysem, który skończył właśnie odpowiadać na pytania księcia Cayleba.

- Tak, Ahrnahldzie?

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że mamy jakiś problem z komunikacją. Chyba że wspomniałeś mi wcześniej, na jaki rodzaj zwierza zamierzasz polować, a ja najzwyczajniej w świecie o tym zapomniałem.

- Słucham? - Cayleb odwrócił się w siodle i spojrział na oficera piechoty morskiej szeroko otwartymi oczami. - Czyżbym zapomniał ci o tym powiedzieć?

- Szczerze powiedziawszy, wątpię, abyś o tym zapomniał - oświadczył Falkhan z ponurą miną. Książę musiał przygryźć wargę, aby złośliwy uśmiešek nie pojawił się na jego ustach.

Następca tronu, ocenił porucznik, przejął po ojcu talent do zwodzenia. Tak długo wyklócał się z dowódcą straży przybocznej o liczbę żołnierzy, że ten zupełnie zapomniał o zadaniu pytania w najważniejszej kwestii - na co będą polować.

- Chyba nie sądzisz, że rozmyślnie ukryłem tę informację? - zapytał Cayleb, udatnie przybierając urażony wyraz twarzy.

Falkhan prychnął.

- Tak właśnie pomyślałem, wasza wysokość. Zaczynam też mieć wielką ochotę na przerwanie tego wypadu i powrót do domu.

- Nie zrobisz mi tego - jęknął Cayleb, a wyczulone uszy porucznika wychwyciły nieznaczną zmianę tonu w jego głosie. Oficer spojrział na księcia, napotykając jego wzrok. - Ten jaszczurodrap zabił już dwóch wieśniaków, Ahrnahldzie. Za-kosztował w ludzkim mięsie, a w ciągu najbliższych pięciodni na pola wyjdzie znacznie więcej rolników. Kwestią czasu pozostaje, kiedy dopadnie następną ofiarę... być może dziecko. Nie mogę pozwolić, aby doszło do podobnej potworności.

- Z takim postanowieniem nie wypada mi dyskutować, wasza wysokość - stwierdził Falkhan, przybierając ton pełen powagi i smutku. - Ale nie mogę też pozwolić, abyś wyruszył pieszo przeciw takiej bestii. To byłoby szalone ryzyko.

Cayleb odwrócił na moment oczy, aby omieść wzrokiem wzgórze prowadzące ku górkim szczytom stanowiącym skali-sty kręgosłup Charisu. Ciemnozielone, strzeliste sosny chwiały się nieprzerwanie, falując niczym żywiczne fale pod naporem silnego południowego wiatru. Po horyzoncie sunęły potężne masy chmur burzowych, lśniąć bielą na szczytach i mrocznym ołowiem u spodu.

Za plecami księcia, na zachodzie, od strony Tellesbergu, łagodne wzgórze usiane były zielono-brązową szachownicą pól uprawnych i bogatych farm, po drugiej stronie, na wschodzie, tam dokąd zmierzał, góry pięły się wysoko w niebo. W tej okolicy było znacznie chłodniej niż w stolicy, zapowiadało się też, że temperatura nadal będzie spadać, gdy dotrą na wyżej położone tereny. W rzeczy samej, kilka pobliskich szczytów nosiło na sobie szczelne pokrywy śniegu, i to bez względu na porę roku. Wysoko nad głowę księżę dostrzegł wyvernę krążącą cierpliwie po niebie dzięki prądom wstępującym. Drapieżnik wypatrywał zająca albo umykającego jaszczura, który idealnie nadawałby się na spóźnione śniadanie. Zapowiadał się piękny dzień, Cayleb odetchnął więc głębokoo świeżym, ożywym powietrzem. Powietrzem Charisu, ziemi, której służył od chwili narodzin. Pozwolił, by ta myśl wypełniła jego umysł równie mocno jak powietrze płuca, potem znów spojrzął na porucznika.

- Pamiętasz, w jakich okolicznościach mój ojciec o mało nie stracił nóg?

- Z tego co wiem, był równie młody i nieroztropny jak ty teraz - rzucił Falkhan, zamiast odpowiedzieć wprost na zadane pytanie.

- Może i tak - przyznał Cayleb - ale nikt nie mógł mu potem zarzucić, że uległ wypadkowi, uchylając się od obowiązków, jakie spoczywają na barkach władcy. Do dzisiaj w Tellesbergu żyje tuzin dzieciaków, które mają rodziców tylko dlatego, że mój ojciec rozumiał, na czym polega bycie królem. - Następca tronu wzruszył ramionami. - Przyznaję, nie powiedziałem ci o tym jaszczurodrapie, ponieważ zamierzałem zmierzyć się z nim w pojedynkę. Ale to nie zmienia faktu, że upolowanie go albo chociaż wytropienie, żeby mógł zostać upolowany, należy do moich obowiązków. Z tego też powodu uważam, że ojciec stanąłby po mojej stronie w tej sprawie.

- Tak, ale najpierw sprawiłby ci lanie życia - burknął Falkhan.

- Prawdopodobnie. - Cayleb zachichotał pod nosem. - Wprawdzie jestem już nieco za stary na tego rodzaju kary, ale gdybyś opisał mi sposób, w jaki zamydliłem ci oczy, mógłbyś się odrobinę zdenerwować na moje postępowanie. Wątpię jednak, aby postulował, żebym zawrócił i popędził na zamek z podkulonym ogonem.

- Ja też miałbym się z pyszna za to, że pozwoliłem ci zamydlić sobie oczy - przyznał porucznik z ponurą miną, a na koniec westchnął ciężko. - Dobrze, wasza wysokość. Dotarliśmy aż tutaj, gdyż udało ci się mnie zwieść, niemniej nie zamierzam zapędzić cię z powrotem do zamku, wierzgającego i wrzeszczącego. Ale od tego momentu ja tutaj dowodzę. Nie pozwolę, aby rozszarpał cię jakiś jaszczurodrap albo inna cholera, więc jeśli powiem, że masz zejść mu z drogi, uczynisz to bez chwili wahania. - Pokręcił głową, widząc, że księżę zaczyna otwierać usta. - Nie mówię, że nie możesz zapolować na tego zwierza ani jak masz się do tego zabrać, lecz nie pozwolę ci na niepotrzebne ryzyko, na przykład na włożenie w gęstwinę za zranionym jaszczurodrapem. Zrozumiano?

- Tak - odparł Cayleb po dłuższej chwili.

- Dobrze. - Falkhan pokiwał głową. - I jeszcze jedno, wasza wysokość: od tej pory chcę wiedzieć, kiedy, gdzie i na co zamierzasz polować.

- Tak będzie! - zapewnił go gorąco Cayleb.

Chociaż księżę oszukał go, by tutaj dotrzeć, Falkhan musiał przyznać, że teraz, gdy przemierzali ostrożnie zbocze wzgórza, zachowywał się nader rozsądnie i słuchał wydawanych mu poleceń. Nauczyciele Cayleba mieli spory problem ze zmuszeniem go do

skupienia się na księgach, nawet ostatnimi czasy. Kiedy był młodszy, zadanie to wydawało im się niemal niemożliwe do wykonania, za to żaden z dworskich łowczych i zbrojmistrzów nigdy nie widział pilniejszego ucznia. I chociaż Falkhan dałby wiele, żeby zadanie upolowania jaszczurodrapa przypadło komuś innemu - prawdę powiedziawszy komukolwiek, byle nie księciu - następcy tronu w tej akurat materii miał solidną wiedzę i przygotowanie.

Jaszczurodrapy były jednymi z najstraszliwszych lądowych drapieżników. Dorosłe osobniki górskiego podgatunku osiągały długość czternastu stóp, przy czym ich ogony miały nie więcej niż cztery stopy. Podłużne pyski tych bestii wypełnione były ostrymi, trójkątnymi zębami, zarówno na górnej, jak i na dolnej szczęce widniały po dwa ich rzędy. Zwierz potrafił przebić nimi najgęstsze i najgrubsze kolczugi. Przy każdej z długopalcych łap miał też wielgachne pazury, mierzące co najmniej pięć cali. Zwierzęta te były szybkie, narowiste i nieustraszone, kiedy dochodziło do obrony własnego terytorium. Na szczęście ich „nieustraszość” wynikała raczej z tego, że nie posiadały rozwiniętych mózgów.

Jaszczurodrapy polowały na wszystko, co się ruszało, może z wyjątkiem wielkich smoków, ale żaden przedstawiciel gatunku nie słyszał nigdy o czymś takim jak ostrożność.

Cayleb wiedział o tym wszystkim nie gorzej od Falkhana, więc nie wkładał nadmiernego wysiłku w wytropienie ofiary. W końcu po co męczyć się uganianiem za jaszczurodrapem. skoro drapieżca sam może przybiec, kiedy dostrzeże potencjalne ofiary? Porucznik nie widział zbyt wielkiego sensu w tym podejściu, ale przynajmniej rozumiał jego podstawy. Wiedział też, że księżę Cayleb lepiej się obchodzi z oszczędzaniem na grubego zwierza niż którykolwiek z jego podwładnych. I chociaż nigdy go to specjalnie nie interesowało, czuł się spokojniej, mając świadomość, że ta umiejętność nie jest obca następcy tronu.

Gdy dotarli w pobliże terenów łowieckich jaszczurodrapa, Cayleb zaczął gwizdać - głośno, przenikliwie, choć nie melodyjnie - jakby zamierzał tym sposobem zwrócić na siebie uwagę zwierza. Szli teraz sami, pozostawiając wierzchowce w dole zbocza. Porucznik pomyślał w pewnej chwili, że powinni być wdzięczni Bogu za to, że Cayleb nie zaczął śpiewać. Król Haarahld miał znakomity głos - głęboki, rezonujący bas, tak przydatny przy tradycyjnych charisjańskich szantach - ale tego akurat przymiotu jego syn nie odziedziczył. Niestety, nie powstrzymało go to przed przyłączaniem się do pieśniarzy przy każdej nadarzającej się okazji.

Żołnierze także nie zachowywali się cicho. Ale wszyscy, podobnie jak księżę, trzymali się jak najdalej od linii zarosła. Na szczęście w zacienionej przestrzeni, pod prostymi pniami strzelistych sosen porastających gęsto zbocze wzgórza, nie rosły duszniki, które nieco niżej tego miejsca tworzyły nieprzebytą gęstwinę ciągnącą się aż do dna doliny. Dzięki temu mieli - tak jak i jaszczurodrap - dobrą widoczność. A zakładając, że informacje okolicznych rolników dotyczące przyzwyczajenia tego osobnika były dokładne, w takiej właśnie okolicy pow...

Ze zbocza ponad nimi dobiegło mrozące krew w żyłach wycie.

Nikt, kto choć raz słyszał rozwścieczonego jaszczurodrapa, nie pomylił jego bojowego ryku z innym dźwiękiem. Wyśoki, zawodzący świst kojarzył się z odgłosami wydawanymi przez rozdierane wichrem płótno żaglowe. Był to odgłos czyściej furii, wezwanie do szaleńczego ataku. Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż w kierunku masywnego, mknącego nisko nad ziemią stworzenia, które wynurzało się właśnie z lasu.

To na pewno nie był w pełni dorosły osobnik, Falkhan uważał to mimochodem, gdy się odwracał, ściskając mocniej osmiostopowe drzewce oszczepu. Młody samiec mierzył niespełna jedenaście stóp od nozdrzy po koniec ogona, ale jego sześć nóg poruszało się z niezwykle szybkością, gdy szarżował, otwierając paszczę na całą szerokość, aby jego ofiary mogły ujrzeć wyraźnie cztery rzędy niezwykle ostrych i lśniących od śliny zębisk.

Porucznik nie zdążył jeszcze skierować grotu w stronę zwierza, gdy usłyszał głos Cayleba, odpowiadającego na ryk pędzącej bestii. Wrzask księcia był równie obsceniczny, jak głośny. Następca tronu oskarżył matkę jaszczurodrapa o hańsliwe czyny, których ta, z wiadomych zresztą przyczyn, nie mogłaby popełnić, ale w tym wypadku nie liczyła się treść wykrzykiwanych słów, tylko ich donośność. I chociaż wydało się niemożliwe, żeby szarżujący jaszczurodrap słyszał cokolwiek oprócz własnych ryków, to jednak zareagował na wrzaski Cayleba. Wiedziony szalonym instynktem obrony własnego terytorium skierował się w stronę głosu wyzywającego go mikrusa.

Falkhan zaklął jeszcze wulgarniej niż księżę, gdy dostrzegł, że drapieżnik zmienia kierunek. Mknął teraz prosto na księcia, równie szybko, a może nawet szybciej niż galopujący koń, a żaden z pięciu strażników nie znajdował się wystarczająco blisko, aby zastąpić mu drogę.

Wszystko ułożyło się tak, jak to sobie zaplanował następca tronu.

Cayleb zdążył się ustawić w idealnej pozycji, aby przyjąć na siebie atak jaszczurodrapa. Szeroki, długi, uformowany w kształt liścia grot jego oszczepu obniżał się z precyzją godną najlepszych pikinierów Siddarmarku. Prawą stopę wysunął w stronę bestii, lewą cofnął, by przydepnąć drugi koniec drzewca. Wszystko to uczynił jednocześnie, jego mięśnie zareagowały instynktownie z niesamowitą precyzją. Każdy łowczy, który uczył księcia, byłby dumny, gdyby to widział.

Masywna szyja szarżującego zwierzęcia, do tej pory pochylona nisko nad ziemią, wyciągnęła się w mgnieniu oka. Białe linie zębisk w rozwartej szeroko paszczy i różowe wnętrze przeloty kontrastowały z ciemną, szarobrazową zimową skórą, gdy stwór sięgał łbem, chcąc zmiażdżyć śmiałka próbującego wtargnąć i przejąć jego terytorium. Moment później głośny ryk bestii zmienił się w pisk zaskoczenia, gdy oszczep wbił się w nieosłoniętą gardziel.

Dwudziestocalowy grot rozorał skórę i zagłębił się w środkowej części piersi, a prędkość i masa giganta nadały mu siłę, jakiej nie miało ramię żadnego człowieka. Gruby, osiemnastocalowy pręt znajdujący się stopę poniżej grotu uniemożliwił bestii nadzianie się tak głęboko, by mogła pochwycić szczękami trzymającego drzewce Cayleba. Ale mało brakowało, aby siła zderzenia wyrzuciła księcia w powietrze pomimo znakomitego ustawienia i doskonałej formy. Na szczęście następca tronu zdzierzył impet i pisk jaszczurodrapa momentalnie przeszedł w rżenie, gdy grot dotarł w końcu do jego serca.

Bestia padła na ziemię, wierzgając i wijąc się w agonii. Krew tryskała jej z otwartej paszczy i nozdrzy. Ale nawet teraz, gdy jaszczurodrap ginął, widać było, jak potężnym i groźnym jest przeciwnikiem. Siła, z jaką się rzucał, konał, miotała księciem jak - nie przymierzając - portowy mastyf rozszarpujący pajęczoszczura. Nawet teraz mógłby zabić bez trudu Cayleba, gdyby dosięgnął go jedną z potężnych pazurzastych przednich łap, lecz księżę roztropnie przywarł do drzewca oszczepu, trzymając z dala od siebie półtonowe, śmiertelnie rannego zwierza.

Porucznik Falkhan mógłby przysiąc, że scena ta trwała całą wieczność, chociaż zdawał sobie sprawę, że rozegrała się w ułamkach sekundy. Rżenie jaszczurodrapa przeszło w cichy bulgot, jego konwulsyjne ruchy stały się wolniejsze, a moment później, wydawszy patetyczny jęk, bestia zwinęła się w kłębek drgających coraz słabiej mięśni.

- A niech to Shan-wei trafi! - Najniższy z ludzi leżących na skraju zbocza prychnął z odrazy. - Dlaczego ten pieprzony jaszczur nie mógł odwalić za nas roboty?

- Nie miał na to najmniejszych szans, panie - zauważył oschle jego zastępca. - To był prawdziwy łowiecki majstersztyk.

- Przecież wiem - burknął dowódca. - Pomarzyć sobie nie wolno czy co? - Jego podwładny skinął tylko głową. - Cóż - dodał po chwili niski mężczyzna. - Wygląda na to, że będziemy musieli zrobić to jak zwykle własnymi rękami.

- Brawo - powiedział Ahrnahld Falkhan, spoglądając na swojego księcia stojącego wciąż nad drgającym truchłem jaszczurodrapa. - To musiało być naprawdę ekscytujące przeżycie.

Śmiech, którym zaniósł się w odpowiedzi Cayleb, był zbyt głośny i radosny, zważywszy na ton, jakim przemówił do niego dowódca straży przybocznej. Księżę postawił stopę na baranku gada, ujął drzewce oszczepu w obie dłonie, pochylił się i jęcząc z wysiłku, wyciągnął grot z rany.

- Prawdę powiedziawszy, było - przyznał, gdy zaczął czyścić broń z krwi, ocierając o niskie, ale gęste wrzose.

- Rad jestem, że tak ci się podobało - rzucił ze złością porucznik, ale Cayleb odpowiedział na tę zaczepkę szerokim uśmiechem. Falkhan robił co mógł, by zachować powagę, lecz nie udało mu się powstrzymać przed grymasem. Zaczął coś mówić, ale przerwał w pół słowa, potrząsnął głową i spojrzął na jednego z podwładnych.

- Payter!

- Tak, panie? - zawołał słuźbiście sierżant Payter Faircaster, chociaż przed momentem sam szeroko się uśmiechał. Członkowie straży przybocznej księcia mogli narzekać, że są zmuszani do brania udziału w podobnych szaleństwach, ale z drugiej strony cieszyli się z tego, iż nie muszą chronić czołwieka bojącego się własnego cienia.

- Wybierz kogoś i wracajcie po konie. Wyślij też posłańca do Rotharu. Przekaż sołtysowi, żeby przysłał wóz po truchło... - wskazał czubkiem buta zabitego jaszczurodrapa - abyśmy mogli zabrać je ze sobą. Jestem pewien... - tu porucznik uśmiechnął się słodko do księcia - że jego wysokość zechce na własne oczy zobaczyć, na jakiego zwierza wybrał się dzisiejszego ranka jego synowiec.

- To cios poniżej pasa, Ahrnahldzie! - stwierdził Cayleb, czyniąc ręką gest, jakim sędziowie napominają faulującego zawodnika podczas nauki fechtunku.

- Wiem, wasza wysokość - przyznał porucznik, a reszta żołnierzy roześmiała się na głos. Wolno im było tak się zachowywać, ponieważ byli najbardziej zaufanymi ludźmi władcy.

- Luhys - Faircaster wskazał jednego z podwładnych - pójdiesz z Sygmahnem.

- Tak jest, sierżancie! - odparł Luhys Fahrman z mocniej niż zazwyczaj wyczuwalnym góralskim akcentem. Wciąż się śmiał, gdy oddawał salut, uderzając prawą dłonią w lewy bark. Skinął głową w stronę drugiego z wymienionych żołnierzy. - Zaraz się tym zajmujemy.

Oddali swoje oszczepy Fronzowi, potem odmaszerowali posłusznie za Faircasterem, pozostawiając księcia w towarzystwie Dymytreego, kaprała Zhaka Dragonera i Falkhana.

- Czyż to nie szczęśliwy traf - mruknął niski mężczyzna leżący na szczycie grani.

- Mnie to też pasuje, jak nie wiem co, panie - zgodził się od razu jego zastępca. Charisjańska piechota morska zasługiwała na swoją reputację, a żołnierze wybrani na przybocznych następcy tronu z pewnością wyróżniali się czymś więcej niż tylko manierami i prezencją.

- Cóż... - Dowódca odezwał się znowu po dłuższej chwili. - Wydaje mi się, że powinniśmy wykorzystać ten moment. W końcu nawet teren jest dzisiaj naszym sprzymierzeńcem.

Podążał za oddziałem księcia od momentu, gdy ten opuścił Rothar, i chociaż wolałby, żeby jaszczurodrap wykonał za nich mokrą robotę, zdawał sobie doskonale sprawę, że ukształtowanie terenu sprzyja im tym razem wyjątkowo.

- Ruszamy. Tylko pamiętajcie... - spojrzał w kierunku pozostałych. - Osobiście poderżnę gardło każdemu, kto wyda jakiś dźwięk, zanim wycelujemy kusze. Skinęli głowami. Cała jedenastka, wszyscy ubrani w iden-tyczne, szaro-brązowo-zielone szaty. Dwóch z nich, uzbrojonych w kusze, zerwało się na równe nogi i ruszyło w ślad za dowódcą i jego sierżantem.

- Pozwól, że zapytam, wasza wysokość. Z czystej ciekawości... - Porucznik Falkhan obszedł dookoła rozciągnię-te na ziemi truchło jaszczurodrapa. - Jak się dowiedziałeś o tej sprawie?

- O jakiej sprawie? - zapytał Cayleb, unosząc brew, na co szef jego straży odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Wiem, że plotki rozchodzą się po pałacu szybciej niż pożar w lesie wysuszonym na wiór - stwierdził. - Ale aż do tej chwili nie słyszałem nawet słowa na temat tej bestii. - Wska-zał kciukiem na upolowanego jaszczura. - Tylko dlatego udało ci się namówić mnie na tę wyprawę. Jestem jednak ciekaw, w jaki sposób dowiedziałeś się o tym zdarzeniu, zanim plot-ka dotarła do pałacu?

- Naprawdę nie pamiętam - przyznał Cayleb po krótkiej chwili zastanowienia. Podrapał się nad brwią, marszcząc czoło w zamyśleniu. - Zdaje się, że Tymahn mi o tym powie-dział, ale głowy nie dam.

- Tak, jeśli ktokolwiek wiedział o tym zwierzu, to tylko Tymahn - zgodził się Falkhan. Tymahn Greenhill, jeden z najstarszych łowczych króla Haarahlda, piastował tę funkcję od ponad osiemnastu lat. To on był mentorem Cayleba wprowadzającym młodego księcia w arkana sztuki myśliwskiej, od momentu gdy chroma noga uniemożliwiła władcy osobiste nauczanie syna.

- On ma swoje sposoby na dowiadywanie się o podobnych wydarzeniach - ciągnął następca tronu. - Na doda...

- Padnij, wasza wysokość!

Ahrnahld Falkhan poderwał głowę, słysząc, jak obcy mu zupełnie głos wykrzykuje krótkie ostrzeżenie.

Niski mężczyzna zawirował wokół osi, słysząc głęboki, mocny głos dobiegający zza jego pleców.

Doprowadził swoich ludzi na odległość pięćdziesięciu kro-ków od nie spodziewającej się niczego ofiary. Gruba warstwa uschniętego igliwia tłumiła odgłosy skradania się, a bie-gnący w poprzek zbocza wąwóz, którym w porze deszczowej spływała woda, dostarczał im wystarczającej kryjówki przed oczami wroga. Obaj kusznicy siedzieli już na wyznaczonych pozycjach strzeleckich, oparliszy broń o krawędź wyschnię-tego koryta, i czekali cierpliwie, aż porucznik piechoty mor-skiej ruszy się z miejsca i odsłoni im cel. Dowódca skupiał całą uwagę na następcy tronu i trzech towarzyszących mu gwardzistach.

Dlatego tak bardzo zaskoczył go widok mężczyzny zbie-gającego ku ich kryjówce z obnażonym mieczem w dłoniach.

Porucznik Falkhan zareagował instynktownie, tak jak go uczono, nie zastanawiając się nawet przez moment. Prawą dłonią sięgnął po miecz, lewą wyrzucił przed siebie, by po-chwycić następcę tronu za skraj tuniki i pociągnąć za sobą.

Silne szarpnięcie całkowicie zaskoczyło Cayleba. Zachwiał się i zwałił niezdarnie na ziemię... w tej samej chwili, kiedy bęł wystrzelony z kuszy przeszył ze świstem powietrze tam, gdzie jeszcze przed momentem znajdował się jego tors.

Ten sam bęł minął Falkhana w odległości zaledwie sześciu cali, podczas gdy drugi zagłębiał się w klatkę piersiową Zhaka Dragonera. Zanim ostrze porucznika zdążyło wysunąć się z pochwy, kapral zwałił się na plecy, nie wydawszy jednego okrzyku. Fronz Dymytree odrzucił trzymane w rękach oszczepy i dobył kordelasa równie szybko jak porucznik. Obaj rzucili się jednocześnie i bez zastanowienia, aby zasłonić księcia przed zamachowcami.

Dowódca napastników zdążył dobyć miecza, zanim szarżujący na niego szalencie zeskoczył na dno wyschniętego strumienia.

- Dokończcie dzieła! - polecił sierżantowi. - Ja zajmę się tym bękartem!
Jego podkomendny nie marnował czasu. Wiedział, że człowiek, który wydał mu rozkaz, cieszy się reputacją niezrównanego szermierza. Głównie z tego powodu wybrano go do wykonania tak ważnej misji. Sierżant poderwał się ciężko i wspiał na zbocze od strony Charisjan.

- Za mną! - warknął.

Falkhan zaklął głośno, widząc co najmniej dziesięciu mężczyzn biegnących w jego kierunku. Dwaj nieśli kusze, ale reszta dobywała już mieczy. Strzelcy moment później odrzucili morderczą, ale niesłychanie powolną i ciężką broń, aby także sięgnąć po stal.

- Uciekaj, wasza wysokość! - zawołał porucznik, wyczuwając, że znajdujący się za jego plecami książę wstaje na nogi-

- Nie pieprz! - odwarknął Cayleb, moment później rozległ się chrzęst dobywanego oręża.

- Na Boga, książę, uciekaj! - zawył Falkhan, zanim atakujący dotarli do niego.

Dowódca zabójców był pewien swoich umiejętności, ale gdzieś w zakamarkach jego umysłu rozległ się dźwięk dzwołu bijącego na alarm, gdy dostrzegł charakterystyczną, ale i dziwną postawę, jaką przybrał atakujący. Tajemniczy przybysz trzymał głównie miecza w obu dłoniach nieco powyżej linii oczu, wysuwając jedną stopę do przodu i lekko odwracając ciało.

Takiej postawy zabójca nigdy wcześniej nie widział, ale nie miał wiele czasu, by ją przeanalizować. Lśniące ostrze pomknęło w jego stronę, tnąc powietrze niczym błyskawica. Prostota i tempo tego ataku całkowicie zaskoczyły zabójcę, wszelako jego reputacja nie wzięła się znikąd. Zdołał wykonać zasłonę swoim pałaszem, a nawet pomyśleć, że nikt go jeszcze nie zaatakował z tak wielką szybkością.

Nie na wiele mu się to jednak zdało.

Miał tylko moment, w którym jego oczy rozszerzyły się z niedowierzania, zanim uderzający miecz przeciął lśniącą stal jego ostrza i pozbawił go głowy.

Ahrnahld Falkhan sparował pierwsze uderzenie z góry - stal uderzyła o stal z głośnym, dźwięcznym klangiem - potem zrobił unik, by zejść z drogi drugiego miecza. Za sobą usłyszał kolejny szczęk broni i zaklął głośno, gdy zdał sobie sprawę, że książę Cayleb, zamiast wykorzystać okazję i uciec, kiedy on i Dymytree spowalniają pościg, stanął do walki u ich boku.

Książę i dwaj broniący go gwardziści przetrwali kolejne kilka sekund z trzech powodów. Pierwszym było to, że obaj strzelcy musieli porzucić kusze, aby dobyć mieczy. Drugim fakt, że napastnicy przybiegli, sądząc, iż bęły załatwiły sprawę i nie będą musieli angażować się

w walkę. Przy tym zostali zaskoczeni atakiem intruza w nie mniejszym stopniu niż Falkhan ich pojawieniem się. I dlatego rzucili się na księcia bezładną kupą, nie ustawiając się wcześniej w szyku.

Trzecim powodem było to, że Cayleb zignorował rozkaz porucznika i nie uciekł.

Pierwszy zabójca rzucił się do przodu, żeby jak najszybciej dopaść księcia. Ich miecze zderzyły się i odbiły od siebie z głośnym klangiem, po czym następca tronu zrobił krótki wypad, wydając przy tym dziki okrzyk. Król Haarahld sprządził mistrza fechtunku z dalekiego Kyznetzova, miasta leżącego w południowej części Harchongu. Tamtejsze imperium, mimo że dekadentkie, skorumpowane i niewyobrażalnie aroganckie, wciąż posiadało najlepszych fehmistrzów na świecie. Mistrz Domnek odpowiadał stereotypowym wyobrażeniom aroganckiego Harchończyka, ale trzeba było przyznać, że był tak dobry w swoim fachu, jak mówił... i jeszcze bardziej wymagający.

Większość mieszkańców Schronienia uczyła się szermierki w starym stylu, ale Cayleb pobierał nauki u człowieka, który w pełni rozumiał, jak wykorzystać ostrze miecza. Dzięki, ale zarazem oszczędnym wypadem zatopił klingę na ponad stopę w piersi napastnika i wrócił do postawy wyjściowej, zanim ciało zabitego zważyło się bezwładnie na ziemię.

Drugi zabójca poszedł w ślady swojego towarzysza, zaatakował księcia i padł - wydając z siebie głośny charkot - gdy miecz następcy tronu przeszył mu krtań.

Falkhan miał zbyt wiele problemów z odparciem kolejnych dwóch napastników, by baczniej przyglądać się temu, co robi jego pan, ale nie uszło jego uwagi, że pozostali zamachowcy starają się skupić właśnie na księciu. Chyba tylko dlatego on i Dymytree wciąż żyli, chociaż zważywszy na trzykrotną przewagę liczebną przeciwnika, ten stan mógł lada chwila ulec zmianie.

Ale wtedy wydarzyło się coś jeszcze.

Sierżant usłyszał przeraźliwy okrzyk za swoimi plecami i uśmiechnął się okrutnie, sądząc, że dowódca rozprawił się już z szaleńcem, który zepsuł im zasadzkę. Ale moment później do jego uszu dobiegł kolejny ryk, odstąpił więc o kilka kroków od cizby ciał i śmigających mieczy wokół charisjańskiego księcia i jego nielicznych obrońców, aby spojrzeć w kierunku, z którego dochodziły te niepokojące dźwięki.

Zdażył jedynie dostrzec leżące bezwładnie ciała obu kuszników. Mgnienie oka później sprawca ich śmierci natarł na niego, wywijając lśniąca bronią.

Ten zabójca, w odróżnieniu od swojego przełożonego, nie zdażył zarejestrować niczego niezwykłego w postawie atakującego przeciwnika. Gdy przybysz wyprowadził uderzenie oburącz znad głowy, rozcinając jego ciało przez płuco aż do serca, by skrócić potem nadgarstki i jednym płynnym ruchem, nie zwalniając nawet kroku, wyszarpnąć ostrze z rany, sierżant myślał wyłącznie o bólu i nieuchronnej śmierci.

Ahrnahld Falkhan zdołał w końcu powalić jednego napastnika. Mężczyzna padł na wznak, wypuszczając sztylet z wiotczającej lewej dłoni, a porucznik jęknął z bólu, gdy inne ostrze przemknęło obok jego zasłony i zagłębiło się w lewym udzie. Zachwiał się, ale zdołał zachować równowagę, niestety musiał przy tym odsunąć miecz, wystawiając się na kolejny cios.

Udało mu się ominąć opadające ostrze szybkim unikiem na prawo, chociaż wystawił się na atak z drugiej strony. Kątem oka dostrzegł kolejnego zabójcę gotującego się do zadania ciosu.

Jednakże napastnik nagle padł na ziemię martwy jak kłoda, gdy zakrwawiona stal spadła na jego kark od tyłu niczym tłot, miażdżąc w ułamku sekundy kręgosłup.

Falkhan nie tracił czasu na ogarnięcie sytuacji. Wokół niego wciąż byli ludzie usiłujący zamordować księcia, dlatego wykorzystał zamieszanie, które spowodował przybysz i dobił ранego przeciwnika. Gdy ten zważył się na ziemię, porucznik usłyszał jęk Dymytreego za

plecami i zaklął, kiedy dotarło do niego, że padający żołnierz odsłonił lewy bok Cayleba. Falkhan wiedział, że księżę został pozbawiony wsparcia, lecz mając na karku kolejnego zamachowca, nie mógł temu zaradzić.

Cayleb także zauważył padającego gwardzistę. Wiedział też dobrze, co to oznacza. Spróbował odwrócić się, aby stawić czoło człowiekowi, który pokonał jego wiernego druha. Jednakże obaj atakujący go przeciwnicy zdwoili wysiłki w tym właśnie momencie, uniemożliwiając mu jakąkolwiek reakcję. Księżę nadal kalkulował na chłodno i nie ulegał panice, koncentrując się zgodnie z naukami mistrza Domneka na odpieraniu kolejnych ciosów, choć w każdej chwili spodziewał się uderzenia wyprowadzonego przez zabójcę Dymytrego.

Tymczasem ktoś inny zajął miejsce u jego boku... Ktoś, kto uniósł lśniąca broń i zabił obu napastników jednym długim cięciem.

Trzej żyjący wciąż niedoszli zabójcy zdali sobie sprawę, że obrońcy za sprawą jakiegoś cudu wyrównali swoje szanse w walce. Cofnęli się więc jak na zawołanie, ale jeśli nawet mieli zamiar odstąpić, zbyt późno podjęli tę decyzję.

Cayleb ruszył do przodu, wykonując przepisową kwartę. Kolejny z napastników zwinął się trafiony jego ostrzem, a nowy, tajemniczy uczestnik tej potyczki w tym samym momencie pozbawił głowy jego towarzysza. Księżę po raz pierwszy widział na własne oczy, jak ktoś dokonuje takiego wyczynu krótkim cięciem jednoręcznej broni - choć wiele razy słyszał o tym w balladach. Ostatni z wrogów wydawał się równie poruszony tym widokiem jak następca tronu. Odwrócił się, zamierzając uciec, a Cayleb, odzyskujący dopiero równowagę po ostatniej paradzie, nie był w stanie temu zapobiec. Na szczęście lśniący miecz obcego śmignął w powietrzu z osłepiającą prędkością i niedoszły zabójca wydarł się wniebogłosy, gdy poczuł ból przecinanych ścięgien.

Mężczyzna padł na ziemię, a przybysz postąpił w jego stronę. Obuta stopa spadła na dłoń, w której ranny wciąż trzymał miecz, wywołując jeszcze głośniejszy wrzask. Drobne kości popękały z nieprzyjemnym chrzęstem. Zabójca zwinął się, sięgając lewą ręką do rękojeści sztyletu tkwiącego w pochwie na udzie, ale ostrze natychmiast udaremniło tę próbę, przecinając mu ścięgna w nadgarstku.

Wszystko to rozegrało się w mgnieniu oka, a potem Cayleb stanął twarzą w twarz z przybyszem, który właśnie uratował mu życie. Dzieliło ich tylko leżące na ziemi ciało jednego z napastników.

- Pomyślałem — stwierdził nieznajomy o szafirowych oczach, mówiący z dziwnym, obcym akcentem - że wasza wysokość może zechcieć zapytać tego człowieka o nazwiska jego mocodawców.

II

Pogórze Harith, opodal Rotharu, Królestwo Charisu

N

Następca tronu zdawał sobie sprawę z tego, że gapi się na swojego wybawcę jak ostatni głupek, ale najzwyczajniej w świecie nie potrafił oderwać od niego oczu. Przybysz nie przypominał nikogo ze znanych mu ludzi. Miał karnację o wiele bledszą niż ojciec Paityr Wylsynn i niesamowite, intensywnie szafirowe oczy. W przypadku wspomnianego kaptana bladeść skóry i szarość oczu kontrastowała z płomiście rudymi włosami, tymczasem człowiek stojący przed księciem miał czuprynę równie ciemną jak on sam. Na dół przerażał Cayleba o całe dwa cale.

W jego twarzy kryło się ulotne piękno, którego nie niweczyła nawet długa blizna biegnąca przez prawy policzek. Można by było nawet powiedzieć, że ma w sobie coś z kobiecości, gdyby nie wypomadowane wąsiki i szpicbródka, które w połączeniu z blizną nadawały przybyszowi egzotyczny piracki wygląd. Tak czy inaczej, był on imponującą postacią z rodzaju tych, które nadciągają z odsieczą w przysłowiowej ostatniej sekundzie.

To rodziło jedno, ale za to poważne pytanie: jak zdołał tego dokonać? Cayleb nie należał może do najpilniejszych uczniów, z jakimi mieli do czynienia jego profesorowie, ale pobrał wystarczające nauki z zakresu logiki, historii i umiejętności rządzenia, jego ojciec zadbał też osobiście, by poznał wszystkie obawy, które mogą się zrodzić w głowie przywódcy państwa. Książę wiedział więc doskonale, że o ile „zbiegi okoliczności” czasem mają miejsce, o tyle jednak zdecydowana ich większość bywa z góry ukartowana. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi walka o najwyższe zaszczyty i władzę.

- Wybacz, że to powiem w takiej sytuacji - odezwał się następca tronu, nie ocierając ani nie czyszcząc ostrza - ale wydaje mi się, że masz nade mną sporą przewagę. Znasz moje imię, ja tymczasem nie mam pojęcia, kim ty jesteś, panie.

- Co zważywszy na towarzyszące naszemu spotkaniu okoliczności, musi ci się wydawać bardzo podejrzane, książę - zauważył przybysz, uśmiechając się zagadkowo, a potem kłaniając niezbyt głęboko. - Zwą mnie Merlin, wasza wysokość, Merlin Athrawes, a okoliczności powinny wydawać ci się podejrzane, bo takie są. Wiedz, że zjawilem się tu nieprzypadkowo... wyjaśnienie ci wszystkiego zajmie sporo czasu. Teraz jednak... - Pochylił się i wydarł spory kawałek materiału z tuniki wciąż skamlącej ofiar, aby obetrzeć nim ostrze miecza, zanim powędrowało do pochwy - sugeruję, abyś zajął się swoimi żołnierzami i porucznikiem Falkhanem.

Cayleb skrzywił się, gdy przypomniano mu o tym obowiązku, i natychmiast rzucił szybkie spojrzenie na porucznika. Dowódca straży siedział na ściółce, wzrok miał szklisty, obiema rękami usiłował zatamować upływ krwi z rozciętego głęboko uda. Książę ruszył w jego kierunku, ale zamarł w pół kroku, zwracając oczy w stronę „Merlina”, gdyż zdał sobie sprawę, jak łatwo ten obcy człowiek zdołał skierować jego myśli w inną stronę.

Przybysz stał tam gdzie przed chwilą, z rękami założonymi na piersi i uniesioną ironicznie brwią.

Książę splonął się. Zaraz jednak pomyślał, że gdyby obcy chciał jego śmierci, mógł się po prostu nie wtrącać w walkę. Fakt, że to uczynił, nie świadczył jeszcze, iż człowiek ten nie ma złych zamiarów, ale na pewno nie zależało mu na natychmiastowym wbiciu sztyletu w plecy Cayleba.

Następca tronu opadł na kolana obok dowódcy straży, nie trudził się czyszczeniem miecza i chowaniem go do pochwy, tylko ułożył zakrwawioną broń na igliwiu i dobył sztyletu, aby rozciąć nogawicę spodni porucznika.

Rana wyglądała paskudnie i krwawiła obficie, ale na pewno nie doszło do przecięcia żadnej z ważniejszych arterii. Książę rozpiął myśliwską sakwę wiszącą u pasa, by wyjąć z niej zwój bandaża z wygotowanej wełny. Obłożył ranę mchem, potem ciasno owinął udo porucznika bandażem, aby dodatkowo zewrzeć krawędzie rany. Jeśli to i lecznicze działanie mchu nie zdołają jej zasklepić, miał jeszcze na podórzedziu komplet zakrzywionych igieł i wygotowanych nici, którymi mógł założyć szwy, tyle tylko, że daleko mu było do biegłości przeciętnego chirurga. Wolał więc pozostawić tego rodzaju zabiegi ludziom, którzy wiedzą, co robią.

Porucznik opadł na plecy, zamykając oczy, gdy książę opatrywał mu ranę, ale ledwie Cayleb zawiązał końcówki bandaża, znów spojrzał w jego stronę.

Dowódca przybocznych odwrócił głowę, a jego szczęki zacisnęły się mimowolnie, gdy dostrzegł pośród zabitych ciała Dragonera i Dymytrego. Potem omiół wzrokiem rozrzucone zwłoki zamachowców, a jego oczy zwięzły się, gdy spoczęły na tajemniczym Merlinie klęczącym obok jedynego wciąż żyjącego napastnika. Przybysz zajęty był opatrywaniem ran zabójcy, ale sądząc po jękach wydawanych przez leżącego, nie czynił tego z taką atencją i delikatnością jak Cayleb.

Głowa Falkhana poleciała do tyłu, dowódca spojrzał na następcę tronu i uniósł pytająco obie brwi. Książę odpowiedział mu prostym wzruszeniem ramion. Widząc to, porucznik

skrzywił się, a potem spróbował usiąść, co udało mu się dzięki pomocy Cayleba i przy wtórze głośniego jęknięcia. Następca charisjańskiego tronu podparł go dyskretnie, usadawiając się obok. Falkhan odchrząknął głośno.

— Wybacz, panie - powiedział w stronę człowieka, któremu zarówno księżę, jak i on sam zawdzięczali życie. - Wydaje mi się, że winien nam jesteś kilka odpowiedzi.

Mężczyzna, który przedstawił się Caylebowi imieniem Merlin - ten sam, który uznał, że lepiej będzie, jeśli jak najszybciej zapomni, że kiedyś nazywano go Nimue Alban - uśmiechnął się. Łatwiej powiedzieć, niż to zrobić, ale wiedział, że prędzej czy później dojdzie do tego. Może niedokładnie ten, poprawił się w myślach. Ślepy traf chciał, że jeden z SAPK-ów natknął się na ślad zamachu przygotowywanego na księcia Cayleba i zdążył wrócić z tą wiadomością na czas. I dobrze się stało. Wiedziałem, że następca tronu był ładnym dzieciakiem, ale nie przypuszczałem, że wyrosł na tak urodziwego mężczyznę. Zwłaszcza że ma dopiero dziewiętnaście lat. Jeśli uda mi się wkraść w jego łaski, będę miał z niego spory pożytek. O ile oczywiście uda mi się zachować go przy życiu.

- Znany jestem - odpowiedział na pytanie Falkhana - jak zresztą wspomniałem już księciu, pod nazwiskiem Merlin Athrawes. I nie dziwi mnie, że masz kilka pytań, poruczniku. Ja na twoim miejscu także chciałbym je zadać. Musisz być podejrzliwy, ponieważ nie znasz moich myśli i nie możesz uznać ze stuprocentową pewnością, że nie żywię wrogich uczuć wobec twojego księcia, choć ja jestem tego całkiem pewien. Zatem pytaj, skoro taka jest twoja wola.

Falkhan przekrzywił głowę, wciąż nie ufał temu człowiekowi, postanowił więc zagrać na zwłokę, poprawiając ułożenie ranionej nogi i krzywiąc się przy tym z bólu, co przyszło mu bez udawania. Przeszkadzała mu świadomość, że czas, który wybrał na przesłuchanie przybysza, nie jest zbyt odpowiedni. Wciąż był oszołomiony walką i odniesioną raną. Nieestety, nie miał wielkiego wyboru - to mogła być jedyna możliwość wysłuchania słów tego człowieka. Co więcej, czuł, że Merlin dałby sobie z nim radę w pojedynku na słowa nawet w znacznie bardziej sprzyjającej sytuacji.

- Skoro byłeś już tak uprzejmy i sam zwróciłeś uwagę na fakt, że pojawiłeś się tutaj w podejrzanych okolicznościach - zaczął mówić po chwili - może zaczniemy naszą rozmowę od tego, że wyjaśnisz, jakim cudem znalazłeś się tutaj w tak... dogodnym dla nas momencie. Cayleb zerkał ciekawie przez ramię, ale uspokoił się, gdy Falkhan sięgnął niezauważenie za plecy i ścisnął go za kostkę. Porucznik znał następcę tronu na tyle, by mieć podstawy do obaw, że ten - nasłuchawszy się w dzieciństwie zbyt wielu ballad - pomimo rozsądku i wrodzonej podejrzliwości czuł się niezręcznie przy podobnej konfrontacji. Ale Athrawes (cóż to w ogóle za nazwisko?) wydawał się raczej rozbawiony niż urażony jego dociekliwością. Zebrał myśli, sprawdzając opatrunek rannego zamachowca, potem usiadł po turecku na miękkim igliwiu.

- Jeśli pozwolisz, poruczniku, zacznę od początku - powiedział, bardzo dziwnie akcentując słowa. - Przybywam z Gór Światła. Chociaż nie pochodzę z tamtych stron, ich szczyty były dla mnie domem przez wiele lat. Tam też, dzięki błogosławieństwu i wielu latom nauk, stałem się jednym z seijinów.

Oczy Falkhana zwięzły się w szparki, a siedzący za nim księżę westchnął ciężko. W Górach Światła znajdowało się drugie pod względem świętości miejsce na Schronieniu, przepiękny szczyt zwany Olimpem, tam właśnie archanioł Langhorne po raz pierwszy postawił swoją stopę, zstępując na Schronienie tuż po tym, jak Bóg stworzył je u zarania dziejów. Seijinów owiewała legenda - byli wojownikami, świętymi mężami, czasami prorokami, innym razem zdrajcami. Tylko archaniołowie umieli wytrzymać surgoi kasai, mistyczny ogień stworzony przez samego Boga, ale seijinowie otrzymali przywilej dotknięcia anshinritsumei, „małego

plómienia" Pana, dzięki któremu zostali naznaczeni, by na wieczność różnić się od pozostałych śmiertelników.

Wedle wiedzy porucznika, jeszcze nigdy żaden seijin nie odwiedził królestwa Charisu, i to, że ktoś nazywa siebie sei- jinem, niewiele dla niego znaczył. Chociaż zdaniem Falkha- na niewielu ludzi odważyłoby się podać fałszywie za seijina. Coś takiego wymagało nieliczej odwagi.

- To... bardzo ciekawe wyznanie, panie - odparł, cedząc powoli słowa.

- I trudne do dowiedzenia - zgodził się Merlin. - Możesz mi wierzyć, poruczniku, jestem tego świadom nie mniej niż ty. - Uśmiechnął się krzywo, odchylił do tyłu i zaczął sku- bać jeden z wąsików palcami prawej dłoni. - Prawdę powie- dziawszy, nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał peł- nić taką rolę. Chociaż Pismo ostrzega, że będziemy sądzeni po czynach bez względu na to, za kogo się uważamy i jakie mamy intencje.

Falkhan przytaknął. Raz jeszcze odniósł wrażenie, że jego pytania i podejrzenia bawią Athrawesa. Nadal też nie wyczu- wał w nim złej woli. I chociaż miał przytępione zmysły, był bardziej zaciekawiony tym człowiekiem, niż się go obawiał.

- Przez jakiś czas - kontynuował tymczasem Merlin - posiadałem dar Widzenia.

Bywało, że obserwowałem wy- darzenia rozgrywające się w miejscach odległych o tysiące mil, aczkolwiek nie zdarzało się, abym mógł wejrzeć w przy- szłość albo przeszłość, jak to ponoć robią niektórzy. Ta wła- śnie zdolność przywiodła mnie dzisiaj do Charisu. Chociaż nie potrafiłem wejrzeć w przyszłość, miałem wiele wizji do- tyczących tego królestwa, księcia Cayleba, jego ojca oraz ich wrogów. Zrozumiałem, że nie dano by mi tych wizji, gdybym sam nie miał odegrać jakiejś roli w ich życiu.

- Wybacz mi, panie - odezwał się zdecydowanym głosem książę - ale skoro nie masz możliwości spoglądania w przy- szłość, jakim cudem trafiłeś tutaj? - Zabrał rękę z ramienia Falkhana, aby wskazać nią na otaczające ich pobojowisko.

- Wasza wysokość - odparł bardzo grzecznie Merlin - nie jesteś chyba aż tak naiwny, by sądzić, że zamysł tego ataku powstał w głowach zabójców tego ranka pod wpływem jakie- goś niesprecyzowanego impulsu? Masz wrogów, książę. Wro- gów, którzy nawet o tym nie wiedząc, służą ciemności, a ja obserwowałem ich poczynania w wielu wizjach.

Widziałem, jak knują i spiskują, czytałem pisma i rozkazy, które ślali. Wiem, że zamierzali cię zabić od ponad pół roku. Wiele pię- ciodni minęło, zanim przebyłem drogę z Ziemi Świątynnych do Charisu. Wyruszyłem, gdy tylko się dowiedziałem, że za- mierzają w końcu przekuć swoje słowa w czyn i doprowadzić do twojej... egzekucji. Wybacz panie, że używam tak pluga- wego słowa.

Mężczyzna uśmiechnął się, obnażając idealnie białe zęby, a Cayleb natychmiast spochmurniał.

- Pewnie będziesz mnie miał za niewdzięcznika - powie- dział - ale jakoś trudno mi uwierzyć, że sam Bóg zesłał sei- jina, aby ten mnie obronił.

- Podejrzewam, wasza wysokość, że jesteś bardziej prawy od innych ludzi. Może należysz nawet do najbardziej prawych obywateli Schronienia. Z powodu młodego wieku nie mogłeś dopuścić się wielu niegodziwości. - Merlin zaśmiał się pod no- sem i pokręcił głową. - Aczkolwiek nie sądzę, by dobry cha- rakter miał cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Wydajesz się miłym młodzieńcem, ale mam wrażenie, że moja obecność tutaj ma raczej związek z tym, czego dokonasz w przyszło- ści, niż z twoimi dotychczasowymi działaniami.

- Czego dokonam w przyszłości? - Cayleb zeszywniał, a Merlin tylko wzruszył ramionami.

- Jak już wspominałem, książę, nie posiadałem daru wi- dzenia przyszłości. Za to całkiem nieźle idzie mi odczyty- wanie wzorców terażniejszości, a to, czego dowiedziałem się z nich o rządach twojego ojca, nastraja mnie optymistycz- nie. Wiem... - Podniósł jedną rękę i uśmiechnął się skrom- nie. - Wiem! Ocena wartości władcy, zwłaszcza tego, który rządzi inną

krainą, jest z mojej strony zwykłą bezczelnością! Ale stwierdzam tylko fakty. Wasz lud jest szczęśliwy i bogaty, a do czasu gdy nie zaczęto spiskować przeciw królowi, był też bezpieczny. Twój ojciec szkolił cię całymi latami, co oznacza, że chciał, abyś poszedł w jego ślady. Wiem Jedno: bez względu na powód moich wizji, wrogowie planują zamachy na twojego ojca, ciebie albo nawet was obu jednocześnie. W domu niewiele mogłem na to poradzić, wsiadłem więc na pokład pierwszego okrętu płynącego do Charisu i przybyłem tutaj trzy dni temu dzięki uprzejmości kapitała Charlza.

- Marika Charlza? - zapytał Falkhan nieco ostrzej, niż zamierzał, a Merlin potaknął skinieniem.

- Tak. Przebyłem ziemie Siddaru i miałem szczęście trafić na Córę Fal wiozącą z Charisu ładunek zebediahańskiej herbaty. Kapitan Charlz miał jakieś problemy z tamtejszym urzędem celnym i musiał zostać kilka pięciodni dłużej, aby wszystko wyjaśnić. Tak się złożyło, że trafiłem na miejsce, gdy kończył załatwiać tę sprawę. Zabrałem się razem z nim i sporym ładunkiem brandy z Siddarmarku, gdy wracał do domu. - Merlin znów się uśmiechnął. - Jeśli ten dobry człowiek jest typowym przedstawicielem waszej nacji, nie dziwi mnie, że tak wielu ludzi zazdrości wam sukcesów floty handlowej!

- Targi z kapitanem Charlzem to trudna sztuka - zgodził się Falkhan. - Przez lata pełnił służbę na stanowisku intendenta w naszej marynarce wojennej.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, żeby zastawiać dobre pułapki na kłamców, poruczniku - stwierdził Merlin. - Kapitan Charlz nigdy nie był intendentem. O ile pamiętam, opowiadał mi o przejściu w stan spoczynku, ale raczej ze stanowiska dowódcy okrętu. - Cayleb prychnął za plecami Falkhana, a Merlin puścił do niego oko. - Poza tym - dodał przybysz - popełniłbym ogromne głupstwo, podając ci nazwę okrętu i nazwisko jego kapitana, gdybym chciał cię okłamać.

- To prawda - przyznał porucznik. - Ale zważywszy na okoliczności, nie będziesz miał nic przeciw temu, abyśmy potwierdzili twoje słowa u kapitana Charlza?

Merlin skinął tylko głową, uśmiechając się do niego. Falkhan zaczerpnął głęboko tchu.

- Zatem przybyłeś do Tellesbergu trzy dni temu. Dlaczego wcześniej się nie ujawniłeś?

- Daj spokój, poruczniku! - Tym razem mężczyzna roześmiał się na cały głos. - Miałem się udać prosto do pałacu, zastukać do jego bram i poinformować dowódcę gwardii królewskiej, że przybyłem z Ziemi Świętych, ponieważ doznałem wizji, w której następcą tronu znajdował się w niebezpieczeństwie, i poprosić o prywatną audiencję, gdyż chciałbym porozmawiać z nim na ten temat? Jak sądzisz, co odpowiedziałby pułkownik Ropewalk, mając w pamięci niesnaski panujące ostatnio pomiędzy Charisem a Szmaragdem, Corisandem i Tarotem?

- Pewnie nic dobrego - przyznał Falkhan, zauważając, że kimkolwiek jest Merlin i skądkolwiek pochodzi, ma zadziwiająco dobre informacje na temat wydarzeń i ludzi zamieszkujących w Charisie.

- Nic dobrego to mało powiedziane, poruczniku - prychnął przybysz. - Gdybym trafił na jego dobry humor, tkwiłbym teraz w celi, podczas gdy wasi ludzie by główkowali, który z licznych wrogów króla nasłał mnie na niego. - Pokręcił głową. - Obawiam się, że pułkownik Ropewalk nie jest aż tak łatwowierny.

- I właśnie dlatego został dowódcą gwardii pałacowej - stwierdził Falkhan.

- Z pewnością. Ale nie mając dowodu na moje uczciwe zamiary, wolałem znaleźć sobie zaciszną gospodę, w której mógłbym wynająć pokój i poczekać na rozwój wydarzeń. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o rychłym zagrożeniu życia króla albo księcia. W rzeczy samej - dodał z całkowitą szczerością - dopiero wczorajszego wieczoru poznałem szczegóły planowanej zasadzki. Widywałem już w moich wizjach dowódcę tych ludzi - skinieniem głowy wskazał otaczające ich trupy - otrzymującego instrukcje i wydającego rozkazy, ale

dopiero ubiegłej nocy zobaczyłem, że przygotowuje się do ataku. To on był człowiekiem, który przyniósł starymu łowczemu wieści o jaszczurodrapię. Obawiam się, że wiedział równie dobrze jak jego mocodawcy, jaka będzie reakcja następcy tronu. Dzięki tej wizji zrozumiałem, co się szykuje, lecz wciąż nie dysponowałem materialnym dowodem, którym mógłbym was przekonać. Gdybym był tobą, poruczniku, uznałbym każdego obcego, który przybywa do moich drzwi, rozpowiadając o czających się w lesie zamachowcach, za mocno podejrzaną osobę. Zamknąłbym takiego człeka w lochu i poddał przesłuchaniom, dopóki nie dotarłbym do sedna tej niedorzecznej historii. Tym sposobem jedyna osoba znająca plan, oczywiście prócz samych zabójców, znalazłaby się w miejscu, z którego nie mogłaby wam pomóc. Uznałem więc, że zamiast iść z ostrzeżeniem, przybędę tutaj przed wami i sam spróbuję pokrzyżować ich nieczne knowania. - Merlin przerwał, a jego niesamowite szafirowe oczy przygasały, gdy spoglądał w stronę dwóch poległych żołnierzy. - Przykro mi, poruczniku, że nie zdołałem wymyślić planu, dzięki któremu wszyscy twoi ludzie pozostaliby przy życiu. Może gdybym potrafił wejrzeć w przyszłość...

Falkhan siedział, milcząc przez dłuższą chwilę i nie spuszczał wzroku z szafirowych oczu przybysza. Czuł, że w tej historii jest wiele ciekawych rzeczy, o których Athrawes nie raczył mu powiedzieć albo tylko napomknął. Wyczuwał jednak, że ten obcy tajemniczy człowiek dobrze życzy młodemu Caylebowi. I bez względu na to, jakie naprawdę miał zamiary, bez jego interwencji książę z pewnością byłby w tym momencie zimnym trupem. Co więcej, to on zadbał, aby co najmniej jeden z napastników pozostał przy życiu, dzięki czemu będzie kogo przesłuchać. Nie uczyniłby przecież czegoś takiego, gdyby wiedział, że zeznania jeńca mogą go obciążyć.

Wszelako istniało wciąż prawdopodobieństwo, że Athrawes i jego mocodawcy mieli własne plany względem Charisu. Mogli wiedzieć, kto wysłał zabójców, i działać na szkodę spiskowców, co wcale nie znaczyło, że zaliczali się do grona sprzymierzeńców królestwa. Człowiek ten podał jednak wiele szczegółów dotyczących swego przybycia do Charisu, i to takich, które mogą być bez trudu sprawdzone, podobnie zresztą jak rzekoma zdolność do odbierania „wizji”.

Lecz na razie porucznik nie miał wyboru. Musiał potraktować z całą powagą wersję wydarzeń, w której przybysz naprawdę jest seijinem. Tego jednak, do czego to doprowadzi, jeśli obcy nie kłamał, nikt nie mógł być pewien.

Może z wyjątkiem tych, którzy źle życzyli królestwu. Oni z pewnością będą mocno zawiedzeni, słysząc o mistycznym obrońcy korony.

III

Tellesberg, Królestwo Charisu

Co tam się stało?

- Skąd ja to mam wiedzieć? - odparł poirytowany Oskahr Mhulvayn.

Spoglądał uważnie w kierunku Zhaspahra Maysahna, swojego bezpośredniego przełożonego. Siedzieli we dwóch przy stoliku ulicznej kafejki zaledwie dwie przecznice od przystani, popijając mocną, słodką, dohlarańską czekoladę. Lokal znajdował się po zachodniej stronie ulicy, dzięki czemu obejmował ich cień rzucany przez budynek i chroniący przed promieniami słońca opuszczającego właśnie nieboskłon (za co obaj byli niezmiernie wdzięczni). Po drugiej stronie niewielkiego placu morskie ptaki i piaszkowe wyverny posilały się resztkami pozostawionymi przez kramarzy, którzy przed chwilą pozamykali swoje stragany po długim dniu pracy. Pomimo gwaru panującego w całym tętniącym życiem Tellesbergu miejsce to uchodziło za ciche i spokojne. Co jednak może ulec zmianie, i to już za kilka godzin, pomyślał Mhulvayn, by zaraz potem wzruszyć ramieniem.

- Cayleb wymknął się z pułapki i wrócił. Żywy - powiedział.

- Tyle sam się domyśliłem - odparł Maysahn sarkastycznym tonem. - Wiem też, że dwaj jego gwardziści zostali przywiezieni martwi, a kolejny odniósł poważne rany.

- Zatem nie zdziwi cię wieść, że strażnikom na bramie kazano wypatrywać rychłego przyjazdu kilku wozów. Na jednym z nich będzie upolowany jaszczurodrap, a drugi z pewnością przywiezie stos ubitych zamachowców. Pomyśl tylko cały wóz, czyli będzie ich nie mniej niż tuzin. - Mhulvayn odślonił zęby w parodii uśmiechu. - Domyślam się, że nie obchodzi cię specjalnie, kim są owi zamachowcy?

- Na rany Shan-wei! - mruknął Maysahn. - Jakim cudem mogli tak skrewić w obliczu pięciu gwardzistów?

- Cóż - odparł filozoficznym tonem jego rozmówca. - Tego niestety się nie dowiemy... - zamilkł, by obrzucić czujnym wzrokiem swojego dowódcę. - Nieprawdaż?

- Nieprawdaż - prychnął tamten. - Nie sądzisz chyba, że siedziałbym teraz tutaj i gaworzył z tobą, gdyby istniał choć cień szansy na to, że ktoś może trafić na mój trop?

- To byłoby ździebko nierozsądne - przyznał Mhulvayn.

- Równie dobrze mogliśmy poinformować naszego pana

o tym, że mieliśmy coś wspólnego z tą idiotyczną porażką.

Mhulvayn zachichotał, chociaż prawdę powiedziawszy, żadnemu z nich nie było do śmiechu.

Zaczął coś mówić, ale zamilkł, gdy kelner zatrzymał się przy ich stoliku, oferując dolewkę gorącej czekolady. Mhulvayn uniósł pytająco brew, a jego dowódca skinął głową.

Importowana czekolada nie należała do najtańszych używek, ale ktoś, kto działał pod przykrywką przedstawiciela domu bankierskiego Desnairu, jak Mhulvayn, bądź dowódcy niewielkiej floty handlowej, jak jego przełożony, musiał dysponować wystarczającymi funduszami, aby pofolgować sobie od czasu do czasu.

Kelner ponownie napełnił ich kubki, potem oddalił się z wolna. Mhulvayn odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i znów zaczął mówić. Stolik stał na skraju niskiego chodnika, siedzieli więc bardzo blisko brukowanej ulicy. Nie było to z pewnością ulubione miejsce większości klientów tego lokalu. Stukot końskich podków, skrzywienie i skrzeczenie obitych żelazem kół, parsknięcia smoków pociągowych

nieustanny szmer głosów dobiegających z przeciwległej strony traktu utrudniały prowadzenie swobodnej wymiany zdań. Z drugiej jednak strony, w takich warunkach również trudno było podsłuchać, o czym teraz mówili.

- Z tego co wiem - zaczął Mhulvayn poważnym tonem, gdy zyskał pewność, że nikt go nie usłyszy - zrobili wszystko jak trzeba.

- Plotki o tym już krążą? - Dowódca wydawał się szczególnie ubawiony jego wypowiedzią.

- Plotki zawsze krążą. W tym wypadku sołtys Rotharu posłał umyślnego z wiadomością do pałacu, a ten wyłożył wszystko strażnikom na bramie, a potem udał się do najbliższej tawerny, żeby odpocząć przy kilku piwach. - Mhulvayn uniósł dłoń i pomachał nią lekceważąco. - Gdy miał już w sobie trzy albo i cztery kwarty, język mu się rozwiązał na dobre. Ile z tego co powiedział, jest prawdą, oczywiście nie wiem.

- Oczywiście. - Maysahn skinął głową.

Połowa szpiegowskiej roboty polegała na wysłuchiowaniu i przekazywaniu dalej pogłosek, które mogły, ale nie musiały być prawdziwe. Tylko najsprytniejsi agenci potrafili odsiewać to, co wydawało im się kłamstwem, i polecali uwagi swoich mocodawców wyłącznie sprawdzone wieści, przyznając się szczerze do każdej wątpliwości. Tyle tylko, że zdaniem Maysahna wśród braci agentów nie było zbyt wielu inteligentnych ludzi.

- Wracając do tematu - ciągnął tymczasem jego podwładny - jeśli wierzyć słowom tego kmiota, wszystko rozegrało się zgodnie z planem. Najemnicy wyciągnęli księcia w knieje, poczekali, aż odeśle dwóch czy nawet trzech swoich ludzi po konie. Zabrali też ze sobą kuszników, aby uniknąć konieczności walki wręcz.

Maysahn wydawał się pod wrażeniem, choć zazwyczaj starał się zachować kamienne oblicze. Pochwycił kubek z czekoladą w obie dłonie i pociągnął łyk w zamyśleniu, aby na koniec skinać głową.

- Powiedz mi zatem, co poszło nie tak, skoro udało im się tak sprawnie odizolować księcia i pojechało ich za nim tyłu, że trzeba sporego wozu, aby przywieźć ich zwłoki?

- To jest właśnie najbardziej interesujące w tej historii - odparł podwładny. - Zgodnie z tym, co gadał nasz piwolubny

[141]

[140]

posłaniec, wszystko szło zgodnie z planem, dopóki do sprawy nie wmieszał się pewien tajemniczy przybysz.

- Tajemniczy przybysz? - powtórzył zaskoczony Maysahn.

- Tak właśnie go nazwał. Jakiś mężczyzna o „dziwnych niebieskich oczach”, który w pojedynkę wyrzwał tuzin zamachowców.

- Akurat! - prychnął z pogardą dowódca. - Może nie miałem nigdy zbyt dobrego zdania o intelekcie naszych współpracowników, Oskahrze, ale jednego nie mogłem im odmówić. Byli naprawdę dobrzy w swoim fachu.

- To prawda, ale nasz informator mocno się upierał przy tej właśnie wersji. Zdążył powtórzyć co najmniej trzy razy, zanim udałem się na nasze spotkanie, iż to właśnie on ostrzegł gwardzystów Cayleba o zasadzce, a potem wysiekł zamachowców w pojedynkę. Jeśli wierzyć wieśniakowi, tylko tajemniczy przybysz i książę stali na własnych nogach, gdy zakończyła się rzeź.

- Naprawdę? - Maysahn odchylił się na krześle, ścigając usta. - To zaiste interesujące - mruknął tak cicho, że nawet Mhulvayn z trudem dosłyszał jego słowa w panującym na ulicy hałasie. - Jeśli ten człowiek był tak niesamowicie sprawny, wieśniak może mówić prawdę. Albo powtarza to, co jemu powiedziano. Nie wiesz przypadkiem, skąd ten tajemniczy nieznajomy wziął się w miejscu zasadzki?

- Wieśniak twierdził, że człowiek ten został tam przyślany przez Boga - wyjaśnił Mhulvayn. Popatrzyli na siebie z rozbawieniem. - Jak inaczej zdołałby się tam znaleźć na czas i ocalić życie księcia?

- Mimo wszystko szczerze wątpię, aby Bóg we własnej osobie chciał się mieszać do tej rozgrywki - oświadczył oschle Maysahn. - A to znaczy, że ktoś inny jest temu winien. Nie sądzisz, że któryś z naszych przyjaciół mógł być zbyt gadałliwy?

- To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Chociaż... - podwładny zmarszczył brwi - tego akurat nigdy bym się po żadnym z nich nie spodziewał. Wiem, że byli tylko tępymi narzędziami w naszych rękach, ale musieli zdawać sobie sprawę, że agenci Haarahlda są ostatnio wyczuleni na próby zamachu, no i mieli odpowiednie doświadczenie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie należeli do głupków, którzy pozwalają, by ktoś postronny usłyszał o ich planach.

- Otóż to. Poza tym jeśli naprawdę doszło do przecieku, dlaczego na miejscu pojawił się tylko jeden obcy? Mówimy przecież o Caylebie. Gdyby królewscy mieli powody, by wierzyć, że ktoś będzie nastawał na jego życie, posłaliby w teren cały regiment wojska, nie samotnego człowieka.

- Chyba że ten człowiek jedyny zdołał przejrzeć plany naszych mniej rozgarniętych współpracowników - stwierdził Maysahn po zastanowieniu.

- Nawet gdyby tak było, zwróciłyby się o pomoc do straży - zaprotestował Mhulvayn.

- Chyba że to rzeczywiście ktoś zupełnie obcy, nie będący nawet obywatelem Charisu. Może dostrzegł w tej sytuacji szansę na wkradnięcie się w łaski księcia.

- Tak? - Mhulvayn podrapał się po czole, spoglądając za-myślonym wzrokiem gdzieś w głąb ulicy, by w końcu znów odwrócić się do przełożonego. - To możliwe - przyznał - acz-kolwiek powiedziałbym, że także dość ryzykowne posunię-cie. Jeden, nawet dobry wojownik naraża się na spore ryzyko śmierci, stając naprzeciw „całego wozu” zamachowców. Je-śli to była pułapka przygotowana przez ludzi, których obaj mamy na myśli, a tego akurat jestem pewien, miał przeciw sobie tuzin uzbrojonych żołnierzy. Nie sądzisz, że to daje ra-czej marne szanse na odniesienie zwycięstwa?

- Ty byś się nie porwał na coś takiego - przytaknął Maysahn. - Chociaż z drugiej strony, wiele zależałoby od tego, jak dobry byłbyś w robieniu mieczem. Niemniej wydaje mi się, że najslabszym punktem tej strategii jest coś innego. Cel ataku mógłby zginąć pomimo twojej udanej interwencji. A zdobywa-nie zaufania martwego księcia jest chyba mało sensownym zajęciem. Poza tym, gdyby następca tronu zginął, człowiek, który wiedział o przygotowywanej zasadzce z dużym wyprze-dzeniem, musiałby się liczyć z kilkoma nieprzyjemnymi nie-spodziankami ze strony króla Haarahlda choćby dlatego, że nie ostrzegł nikogo i nie zapobiegł jego śmierci.

Mhulvayn skrzywił się na myśl o wszystkich „nieprzyjem-nych niespodziankach”, które król Haarahld i jego kaci by przygotowali, gdyby znalazł się na miejscu owego przybysza w opisanych przez jego dowódcę okolicznościach.

- Ale - ciągnął Maysahn - jeśli takiemu obcemu udało-by się zapobiec zabiciu księcia, z pewnością powitano by go w tutejszym pałacu z otwartymi rękami. Przy odpowiednim rozegraniu tej sytuacji mógłby też osiąść liczne nagrody. Albo - spojrzał na drugą stronę stołu - stosowne wpływy.

- Wpływy potrzebne do...? - zapytał Mhulvayn.

- Kto wie? - Maysahn wzruszył ramionami. - Wydaje mi się, że nasz mocodawca nie będzie zadowolony, kiedy odkry-je, że na polu gry pojawił się nowy zawodnik. I bez niego pa-nuje tutaj wystarczający ścisk!

- Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

- Musimy powiadomić go o wszystkim jak najszybciej - odparł Maysahn. - Niestety, kapitan Whaite wyruszył wła-śnie w kolejny rejs.

- Może powinniśmy posłać z tą wieścią jednego z zapa-sowych kurierów?

- To dobre pytanie. - Maysahn pociągnął kolejny łyk czeko-lady i zaczął rozważać propozycję rzuconą przez podwładnego.

Frachtowiec należący do kapitana Styvyna Whaite'a od-bywał regularne rejsy z Tellesbergu do portów Corisandu, pokonując Zatokę Howella, potem Gardziel i przepływając Morze Charisjańskie. Godził się przy tym na każdy ładu-nek, jaki mu się nadarzył. To, że pływa do wrogiej krainy, powinno wystarczyć, aby znalazł się na liście ludzi obserwo-wanych przez gwardię króla Haarahlda, ale wszyscy wiedzie-li, że jego statek jest marną, z trudem utrzymującą się na powierzchni morza krypą, a on sam nie stroni od kielicha, spędzając niemal cały czas w portowych spelunkach w to-warzystwie baryłek najtańszego wina. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby takiej osobie i jednostce cennego towaru ani poufnej wiadomości.

Tyle tylko, że człowiek znany ludziom jako kapitan Whaite był w rzeczywistości porucznikiem Robyrtem Bradlaiem, oficerem marynarki wojennej Ligi. I nie dość, że nie cier-piał smaku taniego wina, to jeszcze daleko mu było do mia-na osoby niekompetentnej. Nie mógł sobie pozwolić na błąd, ponieważ jego Morska Chmura naprawdę była tak sfatygo-wana, jak wyglądała. Królewska Marynarka Charisu nie da-wała się wyprowadzać w pole pozorom, dlatego zadbano, aby frachtowiec naprawdę przeszedł swoje. Pływanie na nim, i to regularne, pomiędzy Tellesbergiem a Corisandem wymaga-ło niemałych zdolności nawet u bardzo trzeźwego kapitana.

Bradlai i jego odpowiednik, porucznik Fraizher Maythis (znany w Charisie jako Wahltayr Seatown), zajmowali się utrzymywaniem komunikacji pomiędzy Maysahnem a księciem Hektorem. Nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach podróż Morskiej Chmury trwała około czterdziestu dni w jedną stronę, a dowodzona przez Maythisa i równie zdezelowana Fraynceen nie zawinie do portu w Tellesbergu jeszcze przez trzy pięciodnie, co oznaczało, że Hektor długo nie otrzyma raportu z Charisu, jeśli będą polegali na tradycyjnych sposobach komunikacji. Mieli jednak ustalone procedury na wypadek sytuacji alarmowych, chociaż Maysahn bardzo niechętnie z nich korzystał, ponieważ przykrywki pozostałych kurierów nie były nawet w połowie tak dobre jak te chroniące Whaite'a i Maythisa. Nie wpadli do tej pory jedynie dlatego, że nigdy nie skorzystano z ich usług, dlatego nie miał najmniejszych chęci na wystawienie ich - albo siebie - na spore ryzyko, skoro nie było to absolutnie konieczne.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy korzystać z usług innych osób - oświadczył w końcu. - Na pewno jeszcze nie teraz. Lepiej będzie, jeśli spożytkujemy czas, który nas dzieli od powrotu Seatowna, i zbierzemy dodatkowe informacje na temat ostatnich wydarzeń. - Kręcił powoli głową zapatrzony gdzieś w dal. - To tylko dość mgliste przeczucie i nie mam nic na jego poparcie, ale uważam, że nasz nowy gracz wkrótce namiesza, i to mocno.

- Wspaniale - mruknął Mhulvayn. Dopił czekoladę i wstał. - W takim razie od razu zacznę się rozglądać za dodatkowymi informacjami - powiedział, skinął zdawkowo głową w stronę przełożonego i oddalił się szybkim krokiem od stolika. Maysahn obserwował jego odejście, potem podniósł się z miejsca, rzucił garść drobniaków na blat i ruszył w przeciwną stronę.

- Cholerni idioci! - wymamrotał z wściekłością Braidee Lahang, obserwując z okna na piętrze przejeżdżającego poniżej księcia.

Strażnicy królewscy, których posłano do bram, aby eskortowali następcę tronu, utworzyli wokół niego szczelny, czujny kordon. Obok Cayleba na noszach rozpiętych pomiędzy dwoma końmi jechał porucznik piechoty morskiej, trzech innych przybocznych trzymało się ciasno za plecami księcia. Mniej więcej takiego widoku spodziewał się Lahang po otrzymaniu wstępnych raportów. Nic go jednak nie przygotowało na ujrzenie cywila u boku następcy tronu. Zmrużył więc oczy, przyglądając się bacznie człowiekowi o ciemnych włosach.

Zatem to jest ten gnój, przez którego wszystkie nasze plany szlag trafił, pomyślał z goryczą. Nadal nie miał bladego pojęcia, skąd nieznajomy dowiedział się o planowanej zasadzce ani jakim cudem zwykły cywil zdołał dać sobie radę z oddziałem świetnie wyszkolonych najemników, niweczając tyle dni planowania i przygotowań. To musiało się udać i udałoby się, gdyby nie on.

Lahang nie pozwolił, by gniew pojawił się na jego obliczu, ale zachowanie obojętnej miny, żeby ludzie mogli wyczytać z jego twarzy tylko tyle, ile sam chciał im pokazać, kosztowało go tym razem o wiele więcej wysiłku niż zwykle. Książę Nahrman będzie... zawiedziony. Obserwował kawalkadę, dopóki ta nie dotarła do murów pałacu, potem odszedł od okna. Przemierzył główną komnatę swojego niewielkiego, ale komfortowego schronienia, aby udać się schodami na dach budynku.

Powitał go chór świszczących głosów i klekotanie szczęk. Uśmiechnął się z zadowolenia i odpowiedział podobnym dźwiękiem. Gniew i złość zniknęły jak ręką odjął. Wyverny stłoczone w sporej zadaszonej klatce przylgnęły do okratowania, piszczeniem dopraszając się pieszczot. Roześmiał się i wsunął dłoń między pręty, aby drapać je po czerwonych łebkach i wyciągniętych szyjach. Było to ryzykowne posunięcie. Kilka wyvern trzymanych w tej klatce miało rozpiętość skrzydeł dochodzącą do czterech stóp. Mogły odgryźć palec jednym kłapnięciem ząbkowanych szczęk, ale on nigdy się tym nie przejmował.

Żył tu sobie w komfortowych warunkach, nie musząc sięgać do funduszy, które książę zgromadził na jego potrzeby, hodując i szkoląc myśliwskie oraz wyścigowe wyverny, tak popularne wśród charisjańskiej szlachty czy bogatszych kupców. Drapieżniki z tej klatki były nie tylko jego ulubieńcami, ale i przykrywką. Bardzo uniwersalną przykrywką. Dośtarczały mu sporych przychodów, nikogo też nie dziwiło, że wciąż sprowadza nowe okazy, skoro sprzedawał te, które już wyszkolił. Dzięki temu nikt nie zwracał uwagi na fakt, że dwa albo trzy egzemplarze z każdego transportu są już wytresowane do dalekich lotów pocztowych i należą do hodowli księcia Nahrmahna w Eraystorze.

Lahang wyjął zaszyfowaną wiadomość z kieszeni tuniki. Spisano ją na najlepszym papierze z Harchongu, niesamowicie cienkim, wytrzymałym, no i współmiernie drogim przy okazji, chociaż cena była najmniejszym z jego problemów, gdy otwierał klatkę, nucąc charakterystyczny ciąg dźwięków.

Jedna z siedzących w tyle klatki wyvern zapiszczała rozkazująco na pozostałe. Parę jej towarzyszek cofnęło się ociężale, rozstępując na boki, ale nie uchroniło ich to przed celnymi razami, jakie przywódca stada zadawał im przednimi skrzydłami, dopóki nie opuściły łebków i nie zeszły mu z drogi. Dorodny okaz zatrzymał się dopiero w drzwiach klatki, rozprostowując szyję, aby Lahang mógł go pogłodzić po pokrytej łuską skórze i usłyszeć znajomy melodyjny pomruk.

Przez kilka minut mężczyzna głaskał ulubieńca, potem wyjął go z klatki, aby zamknąć jej drzwiczki i zaryglować dokładnie. Wybraniec przysiadł tymczasem na daszku i posłusznie wyciągnął przed siebie jedną z łap, czekając czujnie z przekreślonym łebkiem, aż człowiek zapnie na niej pierścień zawierający wiadomość. Lahang upewnił się, że zapięcia trzymają, wziął wyvernę na ręce i podszedł do narożnika dachu.

- Leć - wyszeptał jej do ucha i rzucił w górę.

Zwierzę odpowiedziało gwizdnięciem, zataczając pełen krąg nad jego głową, a potem skierowało się prosto na północ.

Spoglądał w ślad za nim przez dłuższą chwilę, potem zacerpnął głęboko tchu i zawrócił w stronę schodów. Wstępny raport trafi w ręce księcia Nahrmahna już za sześć dni, ale znając swojego pana, wiedział, że ten zażąda pełnego sprawozdania wyjaśniającego, jakim cudem zamach na następcę charisjańskiego tronu mógł się nie powieść. To oznaczało ni mniej, ni więcej, że on, Braidee Lahang, będzie musiał dowiedzieć się wszystkiego o tym niefortunnym wydarzeniu.

Miał tylko nadzieję, że nie straci głowy, wykonując to zadanie.

IV

Pałac królewski, Tellesberg, Królestwo Charisu

C

człowiek nazwiskiem Merlin Athrawes rozglądał się po salonie apartamentu dla gości w pałacu królewskim, zajmującym centralne miejsce Tellesbergu, stolicy Charisu. Była to bardzo ładna, przestronna komnata z wysokimi po*wałami, tak cenionymi w tropikach, znajdująca się na drugim piętrze wieży Królowej Marythy. Wszystkie meble, w jakie ją wyposażono, były niezwykle wygodne, oferowała też przepiękny widok na port. Ponoć pokoje w tej wieży przydzielano wyłącznie tym gościom, których Korona darzyła najwyższym szacunkiem. W tej części pałacu, pomiędzy budynkiem mieszczącym prywatne apartamenty rodziny królewskiej a jego otwartą częścią, zażywali odpoczynku najważniejsi ambasadorowie obcych mocarstw.

Nie było tu jednak drzwi, którymi można by przejść bezpośrednio do komnat króla, a przy jedynym wejściu do wieży gwardziści trzymali straż na okrągło. Czyniono to oczywiście w trosce o niezwykle cennych gości.

Merlin uśmiechnął się i podszedł do lustra wiszącego nad przepięknie inkrustowaną komodą tuż za drzwiami sypialni. Zwierciadło wykonano ze szkła pokrytego od drugiej strony

cieniutką warstwą srebra. Widział w nim zadziwiająco ostre, nieco jednak pofałdowane odbicie, które wydało mu się obce.

Cóż, koniec końców musiało takie być.

Skrzywił się, potem roześmiał ponuro i przeciągnął opuszkami palców po wąsikach. Musiał przyznać, że okazały się idealnym kamuflażem.

Ostatnią generację CZAO wyposażono w zintegrowany zestaw umożliwiający właścicielowi modyfikowanie wyglądu zewnętrznego. Nimue Alban nigdy z niego nie korzystała, zresztą rzadko miewała okazję do używania robota. Na pewno nie robiła tego tak często, jak życzyłby sobie jej ojciec. Zdawała sobie sprawę, że wołałby jej nigdy nie zobaczyć w szeregach floty, dlatego robił co mógł, by ją odwieść od pomysłu wdźwiania munduru. Kochał ją niewyobrażalnie, a mając tak wielkie pieniądze i wysoką pozycję w Federacji, wystarczająco wcześnie zrozumiał, że sytuacja jest beznałdziejna. Podejrzewała nawet, że ojciec nie chciał jej sprowadzić na skazany na zagładę świat. Sądziła, że jej narodziny były efektem „wpadki” zaaranżowanej przez matkę, co mogłoby tłumaczyć rozwód rodziców, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Jeśli nawet nie myliła się w tej sprawie, ojciec pokochał ją, i to bardzo. Obawiał się jednak, że służąc we flocie, zginie w młodym wieku. Chciał jej zapewnić najdłuższe życie z możliwych, dlatego starał się urozmaicić wszystkie te chwile, które im pozostały, zanim nadejdzie zagłada.

Cóż, pomyślał Merlin z gorzkim uśmiechem, zdaje się, że pomysł, aby obdarować mnie CZAO, zadziałał. Dałeś mi na prawdę długie życie, tatusiu.

Spojrzał głęboko w swoje szafirowe lśniące oczy, szukając w nich śladu biologicznej osoby, którą kiedyś był, potem oddalił od siebie tę myśl i znów podkręcił wąsa.

Nimue Alban nie czuła potrzeby zmiany płci - ani przebywając w swoim biologicznym ciele, ani korzystając z CZAO. Inni ludzie podchodzili do tego problemu z większą swobodą, dlatego roboty skonstruowano tak, aby mogły zadowalać właścicieli także na tym polu, a od momentu gdy technologia pozwoliła na modelowanie sztucznego ciała, użytkownicy uzyskali praktycznie nieograniczone możliwości, w tym całkowitą zmianę płci oraz wyglądu. Takie to były cudowne, choć drogie zabawki.

Zważywszy na patriarchalną strukturę społeczeństw zamieszkujących Schronienie, Nimue szybko znalazła zastosowanie dla tej nowinki.

Niestety, nawet najbardziej zaawansowana technologia ma swoje ograniczenia. CZAO nie mogły stać się znacząco niższe albo wyższe, niż je zaprojektowano. Istniał przedział tolerancji, ale niezbyt wielki. Była możliwość dokonywania zmian w sylwetce, takich jak szerokość barków i obwód talii, dało się nawet formować miednicę i genitalia, ale wzrost CZAO musiał pozostać niemal identyczny jak u ludzkiego oryginału. Nimue Alban była nieco wyższa niż jej rówieśniczki z Federacji, które od dzieciństwa miały znakomitą opiekę medyczną i zdrowo się odżywiały. Tutaj, na Schronieniu, jako kobieta byłaby prawdziwą gigantką, tymczasem Merlin wyróżniał się tylko nieznacznie spośród najrośniejszych mężczyzn.

Nimue dodała sobie kilka rozsądnie rozmieszczonych tu i ówdzie blizn, jedną z nich przyozdobiła policzek Merlina. Skoro miał być wojownikiem, wołała nie budzić w nikim podejrzeń i pytań, jakim cudem udało mu się przetrwać tyle lat ćwiczeń i walki bez odniesienia poważniejszych obrażeń.

Ale decyzja o tym, by stać się mężczyzną, nie przyszła jej wcale łatwo, chociaż logika podpowiadała, że to najlepsze rozwiązanie. Nimue Alban nigdy nie chciała być mężczyzną, nie odczuwała też pociągu do kobiet, oglądając więc w wielkim zwierciadle nagie ciało Merlina zaraz po przemianie - bez wątplenia bardzo męskie - poczuła się dziwnie. Na szczęście miała, a raczej Merlin miał, dwa trzydziestodniowe miesiące na przywyknięcie do nowego ciała.

Aby sprostać zadaniom wynikającym z planu Nimue, Merlin musiał być mocno umięśniony. Nie chodziło jednak o brutalną siłę, tylko o uprawdopodobnienie jego niezwyklej wytrzymałości. To, że CZAŁO mógł bez trudu pokonać dowolnych dziesięciu ludzi i nigdy się nie męczył, miało na razie pozostać słodką tajemnicą Merlina.

Osiągnięcie celu wymagało również, aby był w stanie zaskarbić sobie szacunek przelożonych, a ten w prymitywnych społecznościach opartych na poddaństwie i sile można było zdobyć tylko w jeden sposób - udowadniając swoją wyższość. Duży majątek z pewnością budziłby respekt, ale Merlin nie mógł się pojawić na środku ulicy z torbami wypełnionymi złotem. Zrobienie z niego szlachcica także nie wchodziło w grę. Dlatego wybrał rolę seijina, która powinna mu pomóc w zyskaniu sporego szacunku, choć będzie też wymagała zdemonstrowania kilku zdolności i dorównania tym legendarnym postaciom, co dla człowieka z krwi i kości mogłoby być co najmniej trudne.

Dlatego Merlin spędził sporo czasu, testując granice fizycznej wytrzymałości sztucznego ciała. Nimue nigdy się tym nie przejmowała, ale on miał wkroczyć w znacznie bardziej niebezpieczne środowisko, z jakim ona nigdy nie musiała się zmierzyć. Co więcej, jego przeżycie było znacznie ważniejsze niż w przypadku Nimue. Dlatego ustawił dopuszczalną prędkość reakcji na mniej więcej dwadzieścia procent powyżej standardowych ludzkich możliwości. Mógł bez problemu podkreślić ten parametr jeszcze bardziej - impulsy nerwowe wędrowały przez obwody molekularne z prędkością światła, przenosząc obrazy z układu optycznego dzięki światłowodom, z pominięciem wszelkich reakcji chemicznych, od których zależy wydolność organizmów biologicznych - lecz wolał zostawić sobie ten dodatkowy zapas mocy na specjalne okazje. Na naprawdę specjalne okazje. Zdawał sobie sprawę, że nawet seijin narazi się na podejrzenia, jeśli ludzie zobaczą, iż porusza się zbyt szybko i zwinnie.

Z tego samego powodu zmniejszył maksymalną siłę mięśni do podobnego poziomu, przewyższającego jedynie o kilkadziesiąt procent zdolności tutejszych mężczyzn o podobnej budowie. To pozwalało mu na zachowanie ogromnej siły w rezerwie, a ponieważ zostawił sobie kilka sprytnych obejść, mógł sięgnąć po nią bardzo szybko w razie wystąpienia nieprzewidzianych problemów.

Przez wiele pięciodni Nimue ćwiczyła po kilka godzin dziennie nie tylko poruszanie się w męski sposób, ale przede wszystkim dostosowanie szybkości reakcji mięśni i odpowiednie dobieranie siły reakcji na nowe bodźce. Aby osiągnąć perfekcję, musiała przyzwyczać się do nieco niżej położonego środka ciężkości nowego ciała.

Spędzała też wiele czasu na ćwiczeniach z kataną i waki-zashi, które wyprodukowała w module pozostawionym przez Pei Kau-yunga. Sowa posiadała wszystkie plany potrzebne do produkcji wielu rodzajów broni, a ona je tylko nieznacznie „poulepszała”. Dzięki temu zabiegowi ostrza wyglądały na dzieło najlepszych płatnerzy Harchongu, a charakterystyczne fale upodabniały je do znanej na Starej Ziemi stali damasceńskiej. Nosiły nawet znaki Hanyka Rynhaarda, jednego z legendarnych mistrzów kowalstwa z Harchongu, ale wytworzono je ze stali bojowej, która elastycznością i wytrzymałością biła na głowę wszystkie stopy znane człowiekowi. Merlin mógł nakazać Sowie, aby naostrzyła klingi do molekularnej grubości, ale oparł się w końcu tej pokusie. Zamiast tego zadbał, aby jego katana nie była nigdy bardziej tępa niż najlepsze skalpele tutejszych chirurgów. Wakizashi był jeszcze ostrzejszy, ale jego miał używać tylko w ostateczności. Podstawową bronią Merlina został miecz samurajski, a dzięki dodatkowym rezerwom siły i temu, że broń wykończono ze stali bojowej, mógł uderzać nim z niezwykłą mocą, rozcinając miecze wroga, jak to uczynił z pałaszem dowódcy zamachowców, nie obawiając się o to, że na jego ostrzu pozostanie choćby rysa albo że stępi je niechcący.

Zamierzał zadbać także o to, by nikt prócz niego nie miał dostępu do udoskonalonej broni. Spędzał sporo czasu, doglądając ostrzy, polerując je regularnie specjalną pastą,

sprawdzając, czy są porządnie nasmarowane i chronione przed rdzą. Robił wszystko, co trzeba robić ze stalą tej jakości. Pańmiętając, że seijin powinien być postacią tajemniczą, o zdolnościach niespotykanych wśród zwykłych śmiertelników, nie widział niczego niestosownego w noszeniu miecza, który buździłby podziw. Z tego też powodu zdecydował się na zrobienie katany, mimo iż tego rodzaju mieczy nie znano na Schronieniu. To, że zgrabniej mógł nią walczyć jedynym stylem szermierki, jakiego nauczyła się w przeszłości Nimue Alban, też miało niebagatelne znaczenie, chociaż bardziej liczył na to, że egzotyczny kształt miecza pomoże mu stworzyć wokół siebie aurę pewnej niesamowitości.

Roześmiał się po raz kolejny, potem odwrócił od lustra zaździwiony realnością spiczastych wąsików, o ile rzecz jasna cokolwiek z niego było „realne”. CZAŁO miał w pełni wykształcone kubki smakowe i żołądek, aby jego właściciel mógł zakosztować lokalnej kuchni, kiedy używał robota w trybie kontroli zdalnej. Ponieważ jadało się zazwyczaj produkty organiczne, producent zadbał o to, by ich utylizacja odbywała się w najbardziej ekonomiczny sposób. Układ trawienny Merlina, zbudowany na bazie nanotechnicznej, umożliwiał rozłożenie wszystkich pokarmów na molekuly, z których można było wyhodować nowe paznokcie i włosy. Mógł zatem jeść wszystko co organiczne i robić to równie często jak normalni ludzie, ale ze względu na nadwyżki, których nie potrafił przetrawić, musiał regularnie wydalac.

Wygląda na to, że będę musiał od czasu do czasu chodzić na stronę, pomyślał, uśmiechając się szeroko, gdy zmierzał ponownie w stronę okna.

Wieża Królowej Marythy stanowiła część oryginalnych fortyfikacji pałacu. Zbudowano ją jako jedną z pierwszych i dopiero duzo później przerobiono, umieszczając w jej wnętrzu wygodne i przestronne apartamenty. Jej ściany miały ponad półtora metra grubości - czyli pięć stóp, poprawił się lekko poirytowany Merlin, raz jeszcze przeklinając w myślach tego maniaka Langhorne'a za porzucenie poręczniejszego systemu metrycznego - więc gdy otworzył wielkie okno, mógł oprzeć łokcie na wyjątkowo szerokim parapecie. W królestwie Charisu wiedzano dobrze, jak wykorzystać znakomity budulec, i nie marnowano go na zwykłe chałupy - cały teren przylegający do wybrzeża wypełniały wielkie magazyny, stocznie, wytwórnie lin, sklepy i budynki biurowe. Nieco dalej w głąb lądu, za labiryntem tawern, knajp i burdeli nastawionych na obsługę załóg królewskich frachtowców zawijających do tutejszego portu, znajdowały się domy tysięcy najemnych robotników, którzy pracowali we wszystkich wymienionych wcześniej przybytkach. Jeszcze głębiej w ląd, na łagodnych zboczach wzgórz okalających rzekę Telles pomiędzy portem a pałacem, rozciągały się dzielnice pełne domów i dworców zamieszkałych przez najbogatszych kupców i miejscową szlachtę.

Miasto liczyło już niemal sto tysięcy mieszkańców, co czyniło zeń największą miejscowość Charisu i lokowało w czołówce największych metropolii Schronienia. Należałoby tu jeszcze wspomnieć o tym, że Tellesberg otaczały olbrzymie farmy, których jedynym zadaniem było dostarczenie pożywienia ogromnej masie mieszkańców stolicy. Ale i tak wiele żywności wciąż trzeba było importować, i to systematycznie. Charisjańscy kupcy wywiązywali się z tego zadania bez większych problemów, pod warunkiem że Królewska Marynarka Wojenna kontrolowała Zatokę Howella, niemniej liczba stu tysięcy ludzi zamieszkujących jedno miasto musiała budzić respekt, zwłaszcza że zbudowała je cywilizacja wykorzystująca siłę wiatru, wody i ludzkich mięśni.

Tellesberg był niezwykle czystym miastem. Mieszkańcy Schronienia dbali o higienę w miejscach publicznych i utylizację śmieci znacznie bardziej niż ludzie na Starej Ziemi w podobnym okresie rozwoju. To też spodobało się Merlinowi. Nie znano tutaj zaraz i chorób panoszących się w miastach przedindustrialnej Ziemi. Poza tym Tellesberg nie cuchnął tak straszliwie jak podobne antyczne miasta na kolebce ludzkości.

Merlin uśmiechnął się, ale kąciki jego ust natychmiast po-wędrowały ku dołowi, gdy dostrzegł spiczaste wieże kościołów odcinające się wyraźnie od niskiej zabudowy miasta. Z miejsc, w którym stał, dostrzegał ich całe dziesiątki, a każda była częsteczką kłamstwa, które przywiodło go do Charisu.

Z drugiej jednak strony, pomyślał, na każdej z tych wież znajduje się co najmniej jeden dzwon. A to oznacza, że muszą tu istnieć pracownie ludwisarskie. I to całkiem spora ich liczba. A to może stać się bardzo użyteczne już w najbliższej przyszłości.

Granatowe wody Zatoki Howella ciągnęły się daleko na północ aż po horyzont. Z tego co zapamiętał, akwen ten zajmował obszar równy połowie ziemskiego Morza Śródziemnego. Gdyby dodać do niego tak zwaną Gardziel, można by mówić nawet o osiemdziesięciu procentach długości wspomnianego ziemskiego morza, chociaż tutejsze zbiorniki wodne z pewnością były o wiele węższe. Niemniej Gardziel i Zatoka Howella, podobnie jak Morze Śródziemne, również otoczone były szczelnie lądami, z wyjątkiem jednego tylko przesmyku, którym można było wypłynąć na Morze Charisjańskie. Wszystkie te akweny - nie wyłączając Morza Charisjańskiego - znajdowały się pod kontrolą Królewskiej Marynarki Wojennej.

Przynajmniej do tej chwili. Merlin ściągnął usta i zagwizdał bezgłośnie, gdy uzmysłowił sobie niezwykle trudne położenie króla Haarahlda.

Królestwo Charisu było jednym z największych i najważniejszych na Schronieniu. Wyrosło - chociaż miejscowi historycy z pewnością tego nie opisywali - z enklawy kolonijnej.

Miejsce, w którym stał teraz Tellesberg, osobiście wybrała pod budowę Pei Shan-wei jeszcze za czasów terraformingu,

Zważywszy na znaczenie Shan-wei w zreformowanej przez Langhorne'a religii, Merlin nie dziwił się, że nikt nie pamięta tak małej enklawy, jaką był starożytny Tellesberg. Większość głównych kolonii ulokowano na największych kontynentach: Haven i Howard. Tam też do dzisiaj mieszkało gros obywateli tej planety. Z tego właśnie powodu Tellesberg nie otrzymał wcześniej zbyt wielkiego wsparcia z zewnątrz. Zapamiętano mu jego „pochodzenie”, ale mimo przeciwności losu udało się wyrosnąć i mniej więcej pięćset tutejszych lat temu zaczął kolonizować przyległe terytoria. Nowe społeczności szybko wybijały się na niezależność, tworząc feudalne państewka rządzące się własnymi prawami, lecz Tellesberg pozostał na zawsze najpotężniejszą z prowincji Charisu - można by rzec „pierwszą wśród równych”.

Jakieś dwieście lat temu do władzy doszedł ród Ahrmahk, osadzając na tronie Tellesbergu Haarahlda III, przodka dzisiejszego władcy tej krainy. W ciągu kolejnych dwóch stuleci dynastia podporządkowała sobie kolejno wszystkie prowincje leżące na kontynencie zwanym Wyspą Charis.

Merlin uważał, że taka nazwa niezbyt pasuje do tego miejsca. Jak można określić mianem wyspy połacie ziemi, która na większości planet zostałaby bez wahania okrzyknięta sporym kontynentem. Nie dało się jednak ukryć, że trzecia część tego rzadko zaludnionego lądu oddzielona była od reszty ziem wodami Gardzieli i Zatoki Howella. Skalisty pas, który łączył obie części kontynentu, tworząc jednocześnie zachodnie wybrzeża zatoki Howella i wschodnią granicę Kotła, miał zaledwie pięćdziesiąt pięć kilometrów (a raczej trzydzieści cztery mile, poprawił się Merlin) w najwęższym miejscu. Dlatego oddzielone ziemie uznawane były za odrębny ląd. Nadano im nawet osobną nazwę: Ziemia Margaret, a przyłączenie ich do królestwa Charisu nastąpiło dopiero przed osiemdziesięciu laty. Po drugiej stronie Morza Charisjańskiego leżała wyspa Szmaragd, posiadająca podobną powierzchnię jak Ziemia

Margaret (i była równie rzadko zaludniona), w pełni niezależna i wrogo nastawiona do Charisu. Książę Nahrman ze Szmaragdu obchodził królestwo z dala, ale jego nienawiść do Haarahlda i królewskiej floty handlowej, która zdominowała handel na Schronieniu, była

bardzo głęboka. Ród Baytz nabył prawa do tronu Szmaragdu zaledwie dwa pokolenia wcześniej, po nieszczęsnym zgonie ostatniego z męskich potomków poprzedniej dynastii. Nahrman zdawał sobie sprawę, jak łatwo można stracić koronę i panowanie. To, w połączeniu z faktem, że podejrzewał stabilną dynastię rządzącą Charisem - co nie do końca było bezpodstawne - o knowania mające na celu asymilację jego włości, tylko dolewało oliwy do ognia jego nienawiści do wszystkiego, co charisjańskie.

Wyspa Srebrodajna, leżąca na południowy wschód od Szmaragdu, na przeciwległym krańcu Morza Środkowego i Morza Pustułki, miała niemal taką samą powierzchnię jak cały Charis. W połączeniu z królestwem, Ziemią Margaret i Szmaragdem tworzyła tak zwany Archipelag Charisjański. Tyle tylko, że była jeszcze rzadziej zaludniona niż Charis, głównie ze względu na niekorzystne ukształtowanie terenu, o wiele bardziej niedostępnego niż w innych rejonach Schronienia. Mieszkańcy wyspy nie mieli specjalnego wyboru, musieli osiedlać się wyłącznie na jej zachodnim wybrzeżu, w jedynej miejscowości, które oferowało im jako taką osłonę przed zbrojnymi sztormami szalejącymi na południowym wschodzie, na Oceanie Cartera. Większość miast, miasteczek i szlacheckich rodów Srebrodajnej, choć oficjalnie nie podlegała charisjańskiej Koronie, z różnych powodów pozostawała wierna królowi Haarahldowi, oddając mu się, de facto, we władanie, dzięki czemu wyspa ta traktowana była jako jeszcze jedna prowincja jego domeny.

Osiągnięcie obecnej pozycji kosztowało Charisjan całe stulecie cierpliwej i wytrwałej pracy, ale dzisiaj nikt nie mógł zaprzeczyć, że ich królestwo panuje niepodzielnie na wszystkich oceanach Schronienia. Flota handlowa Charisu nie miała sobie równych, pozostałe armady zostały za nią daleko w tyle. ■ Marynarka wojenna dorównywała liczebnością i siłą flotom dwóch dowolnych, choć wciąż potencjalnych wrogów. Mimo niewątpliwiej przewagi próżno było szukać królestwa wśród największych potęg Schronienia. Pod wieloma względami Charis pokonywał posiadających ten status rywali, ale nigdy nie został dopuszczony do ligi, w której zasiadały tak gęsto zaludnione krainy, jak Imperium Harchongu, Republika Sidarmarku czy Cesarstwo Desnairu. No i Ziemie Świętynne.

Szczęśliwie dla Charisu żadna z wymienionych potęg, może z wyjątkiem Desnairu, nie miała wielkich tradycji żeglarskich ani wygórowanych ambicji w tym zakresie. Z drugiej jednak strony, pech sprawił, że leżąca na wschód od Szmaragdu i Srebrodajnej Liga Corisandu, podobnie jak zjednoczeni niedawno korsarscy królewiatka Trelheimu, aspirowali do miana morskich potęg. Podobnie było z królestwem Chisholmu, zajmującym wielki kontynent o tej samej nazwie, żeby nie wspomnieć o dwóch kolejnych, nieco mniejszych państwach, takich jak Dohlar i Tarot. To ostatnie od dawien dawna było sprzymierzeńcem Charisu, ale jego nowy władca coraz głośniej przebąkiwał o zmianie traktatów. Miał ku temu powody, jako że umowy czyniły z niego najzwyczajszego wasala Haarahlda.

O, tak. Wielu ludzi miało powody, by na myśl o Charisie czuć urazę, zazdrość, nienawiść albo strach. Do tego grona można było, niestety, zaliczyć także Kościół.

Merlin skrzywił się, spoglądając nieobecny wzrokiem w stronę wiecznie zatłoczonego portu. Nadal nie chciał - a raczej nie odważył się - wykorzystać SAPK-ów do umieszczenia urządzeń podsłuchowych we wnętrzu Świątyni. Przeżuwał, że owe tajemnicze źródła energii mogą być połączone z czymś, czego naprawdę, ale to naprawdę, wolałby nie budzić. To jednak oznaczało, że pozostawał ślepy i głuchy podczas spotkań jednej z najbardziej interesujących grup wpływów na Schronieniu, czyli Rady Wikariuszy. Mógł całkiem swobodnie działać w Syjonie, zwłaszcza w dzielnicach bardziej oddalonych od kompleksu Świątyni, ale to mu niewiele dawało, jako że wikariusze, stanowiący odpowiednik kardynałów ze Starej Ziemi, mieszkali na terenie świętego kompleksu w niezwykle przestronnych i wygodnych komnatach, będących częścią oryginalnej budowli.

Niżsi hierarchowie, jak choćby arcybiskup Charisu Eryak, posiadali luksusowe posiadłości w pobliskim mieście, dlatego Merlin mógł podsłuchiwać ich rozmowy w restauracjach,

ka-wiarniach, kasynach i dyskretnych domach schadzek, w których bardzo często dobijali targów. Dzięki temu orientował się w sprawach Świątyni, niewystarczająco jednak, co wywoływało w nim rosnącą wciąż irytację z powodu niemożności przeniknięcia poza jej mury.

Z tego co zdołał do tej pory wychwycić, wynikało jednoznacznie, że Kościół wciąż żywi podejrzenia co do Charisu. Wielu hierarchów uważało, że spadkobiercy enklawy założonej przez Shan-wei wciąż nie zapomnieli o swojej patronce. Ale bez względu na to, czy mieli rację, czy też nie, już sama odległość dzieląca terytorium królestwa od Świątyni i Syjonu mogła niepokoić Kościół, choćby dlatego, że uniemożliwiała bieżący osąd sytuacji, zwłaszcza iż charisjański kler, także pozbawiony ściślejszej kontroli, przywykł do przymykania oczu na pomniejsze zaniedbania wiernych. Przesłanie wiadomości do Tellesbergu i z powrotem trwało nie mniej niż dwa miesiące, więc Rada Wikariuszy nie mogła trzymać swoich przedstawicieli w garści, jak to było w przypadku Ha-ven czy Howard.

Merlin zdążył się dowiedzieć, że na razie nie znaleziono żadnych dowodów na szerzenie się herezji w Charisie, nie-mniej w królestwie wciąż narastała, choć bardzo skrycie, krytyka hierarchów Świątyni, głównie z powodu ich niepo-hamowanej żądzy władzy. Nikt jednak nie był na tyle szalony, by wyrzec te oskarżenia publicznie - w końcu Inkwizycja działała nawet na krańcach Schronienia - i dlatego Merlin miał spore kłopoty z dokonaniem oceny tak dobrze skrywanych resentymentów. Musiał jednak przyznać, że krytyka miejscowego kleru jest bardzo powszechna w świeckich krę-gach królestwa, co w oczach wikariuszy zapewne trąciło he- rezją. Jasne też było, że nieustanne bogacenie się i rosnące wpływy Charisu na arenie międzynarodowej przyczynia-ją się do pogłębiania tak wyraźnej niechęci Kościoła Mat-ki do tej krainy.

Mimo iż tak wielu ludzi czuło urazę, a nawet zazdrość, było też kilku takich, jak choćby Greyghor Stohnar, lord pro-tekto- r Siddarmarku - czytaj dyktator rządzący tą republi- ką - którzy zdawali się popierać Charis. Niestety Siddar- mark, pomimo posiadania słynnych na cały świat i niepo-konanych wciąż formacji pikinierów, nie dysponował liczącą się flotą, prócz kilku jednostek obrony wybrzeża, z którymi nawet okręty księcia Nahrmahna ze Szmaragdu dałyby so-bie radę bez niczyjej pomocy.

Tak więc przyszłość Charisu rysowała się raczej w ciem-nych barwach. Kryzys z pewnością nie nadejdzie jutro ani za tydzień, czy nawet rok albo dwa. Ale wrogowie coraz jaw-niej wtykali nosy w sprawy królestwa, czyniąc to za wiedzą i aprobatą Kościoła Matki.

Tymczasem dzięki zręcznej dyplomacji króla Haarahlda uniknięto poważniejszych katastrof, ale ostatni sukces jego przeciwników, którzy zdołali w końcu przekazać Tahdayo Mahntaylowi należne Hauwerdowi Breygartowi hrabstwo Hanth, oznaczał nadejście wielkiego przełomu. Hanth było największym z lenn leżących na Ziemi Margaret, najdłużej opierało się wpływom Charisu. Oddanie go komuś, kto nie posiadał - o czym wszyscy wiedzieli, choć pewnie niewielu by to przyznało - absolutnie żadnych praw, mogło być poczytane za cios wymierzony w króla Haarahlda w dowolnym momen-cie historii. W tym szczególnym zakrawało na zadanie mu zabójczego pchnięcia w plecy. A w każdym razie było pierw-szym z licznych ciosów, jakich mógł się spodziewać ze stro-ny pozostałych wrogów. Zgodnie z oceną Merlina, stary król zdoła jeszcze prze-kazać tron swojemu synowi, Caylebowi, wątpliwe natomiast było, czy ten utrzyma się na nim tak długo, aby jego dziedzicem został prawowity wnuk albo wnuczka Haarahlda.

Chyba że sytuacja ulegnie drastycznej zmianie.

Merlin wyprostował się, złożył ręce na piersi i spojrzał w stronę okrętów stojących przy pirsach i przystaniach Tel-lesbergu. Charis posiadał wielką moc i witalność. Pod wielo-ma względami przypominał mu siedemnasto- czy też osiem-nastowieczną Wielką Brytanię, o której Nimue czytała na Starej Ziemi. A może raczej Holandię z tego samego okresu

historycznego. Oczywiście nie posiadał rozkwitającej nauki, jak tamte państwa, na to Kościół Boga Oczekiwanego z pewnością by nie pozwolił, ale Merlin, rozważając ten problem, zauważył pierwsze, choć jeszcze niewielkie rysy na monolicie stworzonym przez Langhorne'a. Chociaż nie doszło - przy najmniej na razie — do tak wielkiego rozkwitu nauk, jaki zaobserwowano kiedyś na Ziemi, nie znaczyło to jednak wcale, że na Schronieniu nie dokonuje się postęp techniczny.

W Charisie proces zmian już się rozpoczynał. Akademia Królewska założona przez ojca Haarahlda zgromadziła w swoich murach znakomite, oświecone umysły. Prawdą było, że żaden z tych ludzi nie słyszał nigdy o naukowych metodach badań, ale wszyscy oni byli bezwzględnie oddani idei gromadzenia, a także zachowywania wiedzy i nauczania o niej, a sam król zaczął przedstawiać akademikom swoich najbar-dziej uzdolnionych konstruktorów i „mechaników”. Ich wspól-na praca pomagała rozszerzać horyzonty umysłowe zarówno w dziedzinach technicznych, jak i czysto humanistycznych, a to zaczynało rzutować na kolejne aspekty życia w królestwie.

Choćby na rozwijający się wciąż przemysł — oczywiście nie tego rodzaju, jaki znała ludzkość - który stał się jedną z podstaw szybkiego bogacenia.

Pismo Święte zabraniało posiadania i używania jakiej-kolwiek zaawansowanej technologii nawet w dalekim Charisie, ale jeśli przyjrzało się bliżej jego zapisom, można było w nich znaleźć... kilka wąskich wyłomów i furtek. Pierwszym z brzegu przykładem była tutejsza metalurgia, porównywalna z osiemnastowiecznymi osiągnięciami ziemskiej cywilizacji, jeśli nawet nie bardziej zaawansowana. Albo rolnictwo Schronienia - powstałe na bazie nauk archanio-ła Sondheima, który pokazał ludziom, jak robić okrągłe bro-ny i maszyny rolnicze ciągnięte przez zwierzęta, nie mówiąc już o przekazaniu rolnikom zmodyfikowanych genetycznie ziaren wielu ziemskich roślin odpornych na wszystkie pasożyty oraz choroby i dających niezwykle wysokie plony, dzięki czemu coraz więcej ludzi mogło szukać innej pracy. Nie była to jeszcze zbyt duża ilość wolnej siły roboczej, przy najmniej w stosunku do całej tutejszej populacji, zwłaszcza w regionach tak gęsto zaludnionych jak Harchong, którego struktury państwowe i społeczne bazowały na różnych formach pańszczyzny. Schronienie nadal potrzebowało mnóstwa rolników, aby wykarmić całą populację planety. Niemniej w prawie każdej krainie zaczęli się pojawiać kolejni rzemieślnicy, co pogarszało sytuację - przynajmniej z perspektywy Langhorne'a - zwłaszcza w Charisie, gdzie klimat pozwalał na zbieranie plonów przez cały rok.

Tak więc królestwo stawało się powoli krainą o niewielkiej liczbie mieszkańców, ale ogromnych wpływach, głównie handlowych. Dokonano w nim też szeregu usprawnień, które z pewnością przysporzyłyby Langhorne'owi i Bedard bólu głowy, a Akademia Królewska zaczynała właśnie porządkować i ukierunkowywać wszystkie dziedziny wiedzy. Tylko ta jedna myśl wystarczyła, by Merlin zaczął patrzeć przyjaźniej na Charis (a zarazem zrozumiał, dlaczego Kościół jest tak co do niego podejrzliwy), mimo że nadawał się idealnie do jego planów. Na szczęście żaden z pochlebców administratora kolonii nie wiedział o historii nawet ułamka tego, co Shan-wei. Gdyby było inaczej, tutejsze Pismo Święte z pewnością byłoby o wiele bardziej restrykcyjne, na przykład w kwestii wykorzystania energii wody. Zdaje się jednak, że jego twórcy przeoczyli fakt, iż rewolucja przemysłowa na Ziemi została zapoczątkowana wymyśleniem koła łopatkowego — a nie silnika parowego - do którego wynalezienia inżynierowie Charisu powoli, ale nieubłaganie się zbliżali.

Nie było ono jedyną rzeczą, jaka umknęła Langhorne'owi. Ci ludzie dysponowali już przecież prochem strzelniczym. Nie był on co prawda zbyt dobrej jakości - wciąż zbyt rozdrobniony, a zatem niestabilny, przez co niebezpieczny - i wyna" leziono go stosunkowo niedawno, ale Merlin nie zdziwiłby się specjalnie, gdyby misterna układanka Langhorne'a mogła lec w gruzach przez ten jeden, jedyny wynalazek. Ciężkawę było też to, jak na pojawienie się tej substancji zareagował Kościół. Jego aprobatę kupiono zapewne za nieliczną łapówkę,

wypłaconą, jak mniemał, ze skarbcza Harchongu, w którym dokonano tego epokowego wynalazku.

Merlin miał to za dowód ślepoty Kościoła, założonego przecież wyłącznie po to, aby utrzymywał status quo. Chociaż z drugiej strony, hierarchowie mogli nie mieć pojęcia o potencjale militarnym, jaki drzemał w tym czarnym proszku, gdy im go po raz pierwszy prezentowano. Zresztą, z tego co wiedział Merlin, przedstawiono go wtedy jako materiał wybuchowy przydatny w górnictwie i przy pracach inżynierskich, nie wspominając nawet o produkcji broni. Pomimo osiemnastu czy nawet już dziewięćdziesięciu lat, które upłynęły od jego wynalezienia, Schronienie wciąż nie potrafiło znaleźć sensownego militarnego zastosowania dla prochu.

Istniejąca na tej planecie broń palna była na razie równie prymitywna jak proch. Ręczna wciąż wykorzystywała zamki lontowe, nikt bowiem nie wpadł jeszcze na pomysł stworzenia zamka kołowego, nie mówiąc już o zwykłej skałkowie. Z artylerią nie było wiele lepiej, przynajmniej koncepcyjnie, choć nie dlatego, że tutejszy przemysł metalurgiczny nie był w stanie stworzyć lepszej broni... wystarczyłoby, żeby znalazł się ktoś, kto umiałby poinstruować odlewników, co należy zrobić.

Zważywszy na potencjał charisjańskiego przemysłu, pomysłowość tutejszych inżynierów i zacieśniający się krąg wrogów, szanse na poszerzenie wyłomów w fundamentach ustanowionych kiedyś przez Langhorne'a wydawały się bardziej niż realne.

Co ważniejsze, społeczeństwo było wystarczająco otwarte, by móc tego dokonać.

Wprawdzie nie mogło być jeszcze mowy o ustanowieniu w Charisie demokracji reprezentatywnej - król Haarahld doznałby zapewne ataku apopleksji, gdyby usłyszał o podobnym pomysle - ale Królewska Marynarka Wojenna od setek lat do służby przyjmowała wyłącznie ludzi wolnych - poddaństwo zniesiono bowiem całe stulecie wcześniej, dzięki czemu najprostszy obywatel Charisu postrzegani byli poza granicami jako zadzierający nosa ważniacy.

To, w połączeniu ze scentralizowanym handlem, który legł u podstaw rosnącego dobrobytu królestwa, mogło tłumaczyć, dlaczego parlament powołany przez Haarahlda miał istotny, żeby nie powiedzieć witalny wpływ na jego rządy. Posłowie robili zazwyczaj, co im kazano, ale też zazdrośnie strzeżli swoich przywilejów. Sam Haarahld miał jednak tyle oleju w głowie, że trzymał z Izbą Gmin przeciw Izbie Lordów, żeby wszyscy widzieli, w czyich rękach naprawdę spoczywa władza. Z tego też powodu większość miejscowej szlachty zajęła się aktywnym uczestnictwem w handlu, nie okazując dumy i ambicji, typowych dla posiadaczy ziemskich Harchongu czy Desnairu. Ludzie ci rozumieli bowiem, że umiejętności są w ich świecie znacznie cenniejsze niż błękitna krew. Szlachectwo nie usprawiedliwiała w Charisie głupoty i niekompetencji. Był prostak z ludu, jeśli miał wystarczająco dużo rozumu i charyzmy, mógł zająć wyżej w hierarchii zawodowej niż jego odpowiednik w jakimkolwiek innym kraju Schronienia.

I dlatego Merlin trafił właśnie tutaj. Podstawy polityki i zasady życia społecznego w królestwie tworzyły idealną glebę, w której chciał zasiać ziarna rewolucji. Mógł mieć z tym jednak niewielkie problemy, jako że Sowa wykryła na orbicie pozostałości po zabezpieczeniach Langhorne'a. Poradzić sobie z nimi będzie... wyzwaniem. Ale Merlin wiedział, że jeśli nawet uda mu się je pokonać, nie zdoła zaszczepić tułaczom ludzkości, tak po prostu, umiłowania do nowych technologii. Tak samo jak w pojedynkę nie odbierze całej władzy zwierzchnikom tutejszego Kościoła. Zmiany, które zamierzał zapoczątkować, musiały następować w sposób naturalny, jakby były wynikiem zwykłych procesów opartych o nastroje społeczne, i na dodatek mieścić się w ramach obowiązującej religii.

Zaczął się nawet uważać za coś w rodzaju wirusa. Możliwa ta analogia nie pasowała idealnie do sytuacji, ale coś w niej jednak było. Podobnie jak wirus, sam niewiele mógł zdziałać. Ale jeśli znajdzie odpowiednią komórkę, opanuje ją i przekształci na swoje podobieństwo, zyska

szanse na powolne opanowanie całego organizmu. Charis wydawał się odpowiednim nosicielem do rozpoczęcia tego procesu.

Zakładając oczywiście, że uda się zapobiec jego zniszczeniu.

Na szczęście Merlin miał jeszcze jedną cechę wspólną z Nimue Alban: uwielbiał wyzwania.

V

Pałac książęcy, Eraystor, wyspa Szmaragd

C

Óż jest tak cholernie ważnego? - burknął książę Nahr- mahn.

Miał na sobie lekką szatę z harchońskiego jedwabiu, narzuconą na nocne odzienie, i bardzo nieszczęśliwą minę, gdy Hahl, piąty baron Shandyru, pojawił się w jego salonie śniadaniowym. Nahr- mahn był człowiekiem niskiego wzrostu, jak wszyscy mężczyźni z jego rodu. Niestety, w odróżnieniu od zmarłego ojca, miał także nadwagę i owalną twarz dziecka, co przydawało się, gdy chciał omamić kogoś charakterystycznym dla takich oblicz wyrazem niewinności. Mniej uważny obserwator nie dostrzegał przy tej okazji twardego błysku wyrachowania czającego się w jego łagodnych, brązowych oczach.

Kiedy indziej - na przykład teraz - wyraz twarzy Nahr- mahna dawał wyraźne ostrzeżenie, że książę ma parszywy nastrój, a kiedy w niego wpadał, nie było chyba człowieka, który uznałby wyraz jego oczu za łagodny.

~ Pragnę prosić cię o wybaczenie, mój książę, za to, że zostałem zmuszony przeszkodzić ci tak wcześnie — odparł baron Shandyru, gnąc się w głębokim, pełnym pokłonie. - Nie uczyniłbym tego, gdyby sytuacja nie wymagała twojej natychmiastowej uwagi.

Nahr- mahn odchrząknął. Dźwięk ten miał wyrażać nie tylko powątpiewanie, ale i wielką irytację, co baron Shandy- ru przyjął z bardzo nieszczęśliwą miną. Książę nie cierpiał, kiedy interesy przerywały mu jeden z nielicznych spokojnych momentów dnia, jakim była konsumpcja pysznego śniadania, zwłaszcza jeśli miały być omawiane sprawy, o których wolałby nie słyszeć. Baron zdawał sobie doskonale sprawę, że wieści, które dzisiaj przynosi, z pewnością należą do tej kategorii. Z drugiej jednak strony, Nahr- mahn szanował barona Shandyrua. I chociaż często bywał niesamowicie irytujący oraz wymagający, potrafił docenić lojalność. Posłańcy przynoszący złe wieści mogli się spodziewać wielu nieprzyjemnych scen, ale książę był wytrawnym mistrzem w swoim fachu i jako taki dbał o posiadane narzędzia - nikt jeszcze nie stracił z jego rozkazu głowy.

Prawie nikt.

Nahr- mahn przyglądał się intruzowi długo i uważnie, nie pozwalając mu usiąść. To na pewno nie był dobry znak - baron Shandyru miał w tej materii spore doświadczenie - chociaż nie musiał zwiastować najgorszego. Baron stał więc pod czujnym okiem swojego pana, czekając w milczeniu i bezruchu. Poranna bryza wiała lekko przez wielkie, szeroko otwarte okno, poruszając lekkimi zasłonami, ale w głębi pięknie umeblowanej komnaty panowała całkowita cisza, dzięki której baron Shandyru mógł słyszeć szelest palmowych liści, szczebiot ptaków igrających w pałacowych ogrodach, bardziej odległe piski wyvern dochodzące od strony książęcych stajni i od czasu do czasu bzyczenie pajęczozuka przelatującego w pobliżu okna. W końcu książę strzelił palcami, przywołując służę.

- Kubek czekolady dla barona - polecił, a chłopak natychmiast wyczarował naczynie i napój. Nahr- mahn wskazał miejsce po drugiej stronie stołu, baron Shandyru zajął je i poczekał na podanie czekolady, stannie ukrywając uczucie ulgi.

- Zostaw dzbanek - polecił książę słudze.

- Tak, panie - wyszeptał tamten.

Postawił naczynie obok łokcia baron Shandyru i gnąc się w pokłonach, opuścił salon. Słudzy Nahr- mahna mają jedną wspólną cechę, zauważył baron w duchu, próbując gorącej, przepysznej czekolady. Wszyscy są znakomicie wyszkoleni i znają wartość dyskrecji.

- Dobrze - powiedział książę, gdy drzwi zamknęły się ci-cho za wychodzącym sługą. - Nie sądzę, aby twoje wczesne przybycie zwiastowało dobre wieści.

- Też się tego obawiam, panie - przyznał baron Shandyru.

Prawdę mówiąc, baron wolałby poczekać. Ale, choć Nahrman bardzo nie lubił, gdy interesy zakłócały mu poranną rutynę, mógłby wpaść w jeszcze gorszy nastrój, gdyby odkrył, że Hahl z rozmysłem nie poinformował go natychmiast o tej właśnie sprawie.

- Wyduś to z siebie wreszcie - rozkazał książę.

- Mój panie, właśnie otrzymaliśmy raport od Lahanga. Cayleb wciąż żyje.

Pucołowate oblicze Nahrmana stężało, jego oczy zwięzły się złowieszczo. Baron Shandyru, człowiek odpowiedzialny za planowanie i wykonanie wszystkich tajnych operacji księcia, miał już kilka okazji do ujżenia podobnego widoku, robił więc co mógł, aby zachować wewnętrzny spokój.

- Dlaczego? - zapytał lodowatym tonem Nahrman.

- Lahang, pisząc ten raport, nie miał jeszcze całkowitej pewności, panie - odparł baron, powtarzając sobie w myślach, że on i jego agenci o wiele częściej odnosili sukcesy niż porażki. - Jak zapewne wiesz - dodał ostrożnie - Lahang nie miał pełnej swobody podczas przygotowań do zamachu.

Usta Nahrmana zacisnęły się na moment jeszcze bardziej, ale potem książę wyraźnie się rozluźnił i skinął lekko głową. Władca Szmaragdu wiedział doskonale, dlaczego baron Shandyru poruszył tę właśnie kwestię, ale miał też świadomość, że ta akurat wymówka nie mogła usprawiedliwić żadnego z nich, zwłaszcza w tym konkretnym przypadku.

- Rozumiem - odparł po chwili milczenia. - Chociaż jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, do takiego zadania powinien wybrać prawdziwych profesjonalistów.

- I tak też było, mój książę - zapewnił go baron. - Wybrani przezeń ludzie mieli znakomite rekomendacje. Zważywszy na okoliczności, muszę przyznać rację Lahangowi, a co za tym idzie i tobie, panie, że wykorzystanie do tej akcji naszych krajanów byłoby bardzo... nieroztropne.

- Chyba że zamach by się powiódł - warknął Nahrman. Zaraz jednak pokręcił głową. Prawdę powiedziawszy, Lahang był przeciwny tej operacji od samego początku, nie tylko z powodu problemów z jej organizacją, ale Hektor przekonał księcia, aby ten nie zważał na obawy swojego najlepszego agenta. Lahang nieprzypadkowo został wybrany do zorganizowania zamachu. To, że początkowo był przeciwny pomysłowi zamordowania Cayleba, nie oznaczało wcale, że nie zrobi wszystkiego co w jego mocy, żeby zamach się udał. A zważywszy na obrót sprawy, jego nalegania, aby Szmaragd nie miał żadnych powiązań ze spiskowcami, okazały się więcej niż rozsądne. - Nie, masz rację, Hahlu - podsumował książę po chwili zastanowienia. - Nawet gdyby im się udało, któryś mógłby zostać ujęty i zmuszony do mówienia.

- Z raportu Lahanga wynika, że co najmniej jeden z zamachowców został ujęty, mój książę - stwierdził baron Shandyru i zadrżał, widząc gniewny grymas na twarzy Nahrmana. - Z tego co wiemy, człowiek ten nie powinien mieć żadnych informacji o tożsamości zleceńodawców. To ponoć jeden z szeregowych najemników.

- Dzięki Langhornebwi za te małe dary - mruknął książę i odetchnął głęboko. - Co poszło nie tak? - zapytał znacznie spokojniejszym tonem, sięgnął po kubek czekolady i upił łyżeczek naparu z gracją, która mogła się wydać dziwna w przypadku tak otyłej osoby.

- Lahang wciąż gromadzi szczegóły. - Baron Shandyru po raz kolejny wzruszył lekko ramionami. - Ale chwilowo musi postępować z największą ostrożnością. W Tellesbergu panuje teraz ogromna podejrzliwość, a Grom z pewnością będzie się przyglądał bacznie każdemu, kto zadaje pytania. Informacje i pogłoski zawarte we wstępnym raporcie wyglądają raczej na dziecięce bajanie.

Nahrman uniósł brwi ze zdziwienia, a Baron Shandyru zaśmiał się, lecz bez wesołości.

- Lahang twierdzi, że po Tellesbergu krąży wieść, iż mało brakowało, a zamach by się powiodł. Ludzie mówią, że zabójcy już mieli księcia na ostrzach, ale wtedy pojawił się jakiś tajemniczy przybysz.

- Przybysz? - powtórzył książę.

- Takiego określenia użył Lahang, panie. Na razie nikt nie wie, kim jest ów człowiek i skąd pochodzi. Po mieście krążą same plotki, a te, jak dobrze wiesz, bywają mocno przesadne. Według najbardziej fantastycznych wersji to prawdziwy seijin z magicznym mieczem u boku. Ale we wszystkich pogłoskach, nawet tych najbardziej racjonalnych, powtarza się jedno: że to właśnie ten człowiek ostrzegł Cayleba i jego strażników, a potem wybił wszystkich zabójców oprócz jednego. Inne źródła twierdzą, że przybysz wyrzucił połowę najemników.

- Szkoda, że jego nie wynajęliśmy do tej roboty - wtrącił z wisielczym humorem Nahrman.

Baron Shandyru w odpowiedzi pozwolił sobie na błądy uśmiech.

Książę rozsiadł się wygodniej i rozważał informacje przekazane przez barona, pogryzając orzechowe ciasteczko polane kleistym miodem. Baron Shandyru często dziwił się zamiłowaniu swego pana do słodkich i ciężkich przysmaków - słabość Nahrmana do łakoci była wręcz przysłowiowa - skoro mieszkali niemal na równiku. Książę delektował się ciastkiem, odgryzając kawałeczki i przeżuwał je starannie. Baron w tym czasie siedział cichutko, popijając od czasu do czasu łyk czekolady. W końcu władca Szmaragdu przełknął ostatni kęs, otarł chusteczką palce z lepkiego miodu i dopił stygnący napar.

- Zakładam, że przekazałeś mi wszystko, co ci wiadomo na ten temat - powiedział.

- Tak, mój książę. Jak już wspominałem, Lahang pracuje nad zebraniem kolejnych szczegółów, myślę, że twój sprzymierzeniec także odezwie się do nas w tej sprawie... - W tym momencie skrzywili się obaj. - Tymczasem jednak - dokończył baron - nie wiemy praktycznie nic.

- Rozumiem, że wszystkie plotki i pogłoski wspominają o owym „przybyszu”, kimkolwiek, na Shan-wei, on jest, i obwiniają go o niepowodzenie zamachu. Sądzę więc, że powinniśmy dowiedzieć się, kto to. Za wszelką cenę. Wątpię, aby zginął bez śladu po tym, jak ocalał życie następcy tronu!

- Zapewne masz rację, mój książę. Ale równie dobrze możemy mieć do czynienia ze zwykłym wędrowcem, który znalazł się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, Hahlu, chyba nadszedł czas, abym zaczął sobie szukać nowego szefa wywiadu - prychnął Nahrman.

- Nie twierdzę, że tak było, mój książę. Zwracam jedynie uwagę, że to całkiem możliwe. Popieram też twoją opinię, że powinniśmy dowiedzieć się wszystkiego o tym człowieku, a zwłaszcza tego, jakim sposobem odkrył zawczasu nasze plany. Ale dopóki to nie nastąpi, nierozsądnie byłoby upierać się przy jednej prawdopodobnej wersji, odrzucając pozostałe.

- Słuszna uwaga - zgodził się Nahrman. - Masz się dowiedzieć wszystkiego na temat owego tajemniczego człowieka.

- Oczywiście, mój książę.

- Musimy się liczyć z odkryciem naszego udziału - ciągnął Nahrman. - Wiem, że wszelkie powiązania Lahanga z Hektorem zostały doskonale zamaskowane, ale ludzie z Gromu nie są idiotami, a najlepsze nawet maskowanie nie jest tym samym co niewidzialność. Haarahld na pewno będzie nas podejrzewał, więc wystarczy, że jego ludzie dowiedzą się nieco więcej, niżbyśmy chcieli, a dotrą do Lahanga

1 zaczną go przesłuchiwać. W jakim stopniu może nam zaszkodzić, jeśli go złamią?

- Obawiam się, że w sporym - przyznał baron Shandyru. - On dowodził wszystkimi naszymi operacjami w Telles-bergu, do niego także należy koordynacja działań wszystkich agentów poza stolicą. Mimo że nigdy nie powiedzieliśmy mu- do czego zmierzamy, mógł się tego domyślić, zwłaszcza po tym, jak połączyliśmy siły z Hektorem. Zakładam, że wie, iż celem ataku jest królestwo, a nie tylko księżę Cayleb. - Baron westchnął. - Podsumowując: Lahang wie wystarczająco dużo i jest na tyle inteligentny, żeby stanowić dla nas poważne zagrożenie.

- Czy nie powinniśmy rozważyć... wysłania go na emeryturę?

- Szczerze powiedziawszy, nie wiem. - Baron Shandyru nachmurzył się, wodząc palcem po owalnej plamce światła padającej na wypolerowaną powierzchnię blatu, kiedy rozmyślał nad tą propozycją. - Wydaje mi się, że jest przygotowany na ciche zniknięcie, jeśli zajdzie taka potrzeba - stwierdził kilka sekund później. - Chociaż nie możemy ocenić, zwłaszcza z tak wielkiej odległości, na ile dobre są jego plany. Jeśli Charisjanie wiedzą albo podejrzewają, kim jest naprawde, szanse na to, że uda mu się zniknąć bez śladu, są raczej marne. Dopadną go, jak tylko zauważą, że zaczyna przygotowania do opuszczenia miasta. Biorąc pod uwagę, że to jego wiedza stanowi dla nas zagrożenie, pomysł wycofania go z Tellesbergu może okazać się najgorszym z możliwych, gdyż na pewno zmusi ludzi króla do aresztowania go i przesłuchania. Może szybciej i prościej będzie pozbyć się go skrycie, mój księżę. To powinno być stosunkowo proste, na miejscu jest masa charisjańskich zbirów, których możemy nająć przez podstawionego pośrednika, podając setki równie prawdopodobnych powodów, które nie będą kojarzone z nami. Nie zapominajmy jednak, że to on jest zwierzchnikiem wszystkich naszych agentów na terytorium Charisu i zawsze byliśmy zadowoleni z jego usług. Strata tego człowieka i wszystkich kontaktów, które zdążył nawiązać, może się okazać bardzo bolesna. Jego następcą będzie potrzebował wielu miesięcy, jeśli nie lat, żeby to wszystko odbudować.

- Wiem, ale jeśli Grom go aresztuje, i tak go utracimy, narażając się w dodatku na ryzyko, że Charisjanie zdołają udogodnić nasz udział w spisku.

- Mój księżę, Haarahld nie potrzebuje kolejnych dowodów twojej wrogości - przypomniał mu baron Shandyru. - Z tej perspektywy los Lahanga powinien ci być obojętny.

- O ile zamach nie zainspiruje go do podjęcia podobnych działań — zauważył zwięźle Nahrman.

- To prawda. Jeśli jednak nie będą do końca pewni naszego udziału w spisku, mogą skierować podejrzenia na każdego. Hektor także znajduje się na liście podejrzanych. Nawet Mahntayl mógłby zlecić to zabójstwo. Jeśli więc Grom kojarzy Lahanga z nami, usunięcie go skierowałoby podejrzenia prosto na ciebie, panie. Gdybyśmy mieli czyste ręce, nie musielibyśmy likwidować naszego najlepszego agenta.

- Decyzje, decyzje - westchnął Nahrman.

- Powinniśmy rozważyć jeszcze jeden aspekt tej sprawy, mój księżę - przypomniał baron Shandyru. Nahrman spojrział na niego groźnie, ale skinął głową, pozwalając baronowi kontynuować. - Musimy pamiętać o księciu Hektorze. - Szef wywiadu od razu przeszedł do rzeczy. - Nie ufam tej jego absolutnej niezawodności, podobnie jak nie sądzę, by on wierzył w naszą, ale fakty są takie, że Hektor ma bezpośredni kontakt z Lahangiem. Jeśli ten ostatni zostanie schwytany, władca Corisandu znajdzie się na samym szczycie świecznika, tuż obok nas, czyli tam, gdzie od dawna chciał nas widzieć Haarahld. Jestem pewien, że i on ma konkretne plany co do naszego agenta w Tellesbergu i zrobi wszystko, aby ten nie miał szansy go wydać. Co znaczy...

- Co znaczy - Nahrman wpadł baronowi w słowo - że możemy być pewni tego, iż zadziała we własnym interesie. - Skinął głową. - To jednak wcale nie znaczy, że jego plan wypali, ale jest tam na miejscu, w Tellesbergu, podczas gdy my tkwimy dwa tysiące mil od teatru wydarzeń.

- Właśnie, mój książę. - Baron Shandyru pokiwał głową. - Jeśli zatem zgładzi Lahanga, a Grom nie odkrył jeszcze, że zabity był agentem Szmaragdu, wszystkie podejrzenia spadną najpierw na władcę Corisandu, a dopiero potem na nas.

Nahrmahn przygryzł dolną wargę.

- Celną uwagę - przyznał. - Wolałbym wprawdzie zażegnać to niebezpieczeństwo osobiście, jeśli zajdzie taka konieczność, ale wydaje mi się, że możemy tym razem zaufać rozsądkowi Hektora i pozwolić mu na zajęcie się sprawą. Ale to zrodzi kolejny problem... Książę Corisandu...

Oczy barona Shandyru rozszerzyły się zauważalnie na tę kąśliwą uwagę władcy, a Nahrmahn, zauważając to, zaśmiał się złośliwie.

- Ja mu nigdy nie ufałem, Hahlu. Obaj wiemy, że on nawet teraz może dobić targu z Haarahldem, jeśli uzna, że to mu przyniesie większe korzyści. A to może być... bardzo niekorzystne dla naszych pozostałych przedsięwzięć w Charisie.

- Mój książę - odezwał się bardzo ostrożnym tonem baron - czy ty aby nie sugerujesz...?

Przerwał w pół zadania, pozwalając, by ostatnie słowa zawisły w powietrzu pomiędzy nimi. Nahrmahn prychnął.

- Jakaś część mojej duszy nie pragnie niczego więcej, ale nie - powiedział. - Jeszcze nie teraz. Kiedy ten moment nadejdzie - na jego twarzy pojawił się zimny, złowieszczy uśmiech - mamy na miejscu człowieka, który upora się z tym zadaniem. - Zamilkł, zastanawiając się nad czymś przez kilka sekund, po czym westchnął. - No dobrze, to chyba wszystko, o czym moglibyśmy zdecydować w tym momencie. Chciałbym, żebyś niezwłocznie powiadomił o wszystkim Trałwysa i Ghartha.

Baron Shandyru skinął głową. Thravys Ohlsyn, hrabia Sosnowej Doliny, był kuzynem Nahrmahna i jego głównym doradcą, natomiast Gharth Rahlstahn, hrabia Mahndyru, piastował stanowisko dowódcy marynarki wojennej Szmaragdu.

- Mam ich wprowadzić we wszystko, mój książę? - zapytał baron, unosząc brew. Nahrmahn natychmiast się nachmurzył.

- Powiesz Thravysowi o wszystkim, co wiemy i czego się domyślamy - odparł po dłuższej chwili - Ghartha poinformuj o tym, że obawiamy się, iż Haarahld rzuci na nas odpowiedzialność za ten spisek, co zresztą nie odbiega daleko od prawdy, i dlatego żądam od niego, aby przemyślał sprawę i zaproponował sposoby zwiększenia naszej gotowości bojowej na taką ewentualność.

- Tak, mój książę.

- To jeszcze nie wszystko. Masz przygotować raporty dla Tohmasa i Hektora - ciągnął Nahrmahn. - Nie, czekaj, sam napiszę list do tego pierwszego, wyjaśnię mu w nim to i owo. Hektorowi musi wystarczyć sporządzony przez ciebie raport. Potraktujmy go jako czystą zawodową uprzejmość, i tak nie posiadamy jeszcze konkretnych informacji z pierwszej ręki. Baron Shandyru po raz kolejny przytaknął. Wielki książę Tohmas z Zebediahu uważał się za największego rywala Hektora. Obaj zamierzali przejąć kontrolę nad Ligą Corisandu. Niestety, sny Tohmasa o potęgę, zważywszy na jego siły, mieściły się w kategorii mrzonek. Pomimo że był niezwykle szanowanym szlachcicem i sprawował funkcję przewodniczącego Rady Zebediahu, jego wyspa znajdowała się w rękach Hektora. Tohmas był postrzegany jako gubernator zarządzający nią w imieniu księcia Corisandu i chociaż nie ukrywał ambicji sięgnięcia znacznie wyżej, szanse na to miał naprawdę znikome. Ale Nahrmahn nie skreślał tego ambitnego szlachcica i obchodził się z nim nadzwyczaj ostrożnie. Człowiek nigdy nie wie, czy taki partner nie przyda mu się w trudnej chwili. Był jeszcze Phylp Ahzgood, hrabia Corisu, odpowiednik barona Shandyru na dworze Hektora. Baron bardzo szanował tego człowieka, więc nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby uznać, iż Nahrmahn nie miał nic wspólnego z zamachem na Cayleba. Ale trzeba

było utrzymywać pozory, Hektor z pewnością nie przejmie się tą sprawą, dopóki Nahrman będzie powtarzał swoją bajeczkę. W końcu władca Corisandu nie uroniłby jednej łzy, gdyby zamach na Cayleba zakończył się sukcesem.

- Oczywiście, mój książę - wymamrotał, a Nahrman natychmiast mruknął z zadowolenia.

- W takim razie powinienś już iść - stwierdził, a baron od razu wstał z fotela, pokłonił się z szacunkiem i wycofał do drzwi salonu śniadaniowego.

Ani on, ani tym bardziej książę nie zauważyli mikroskopijnego „insekta” zwisającego z powały nad stołem. A gdyby nawet go zauważyli, pewnie nie zwróciliby nań większej uwagi, ponieważ żaden nie słyszał nigdy o urządzeniu zwanym SAPK-iem ani o samodzielnych sensorach, które mogło rozmieszczać.

VI

Pałac królewski, Tellesberg, Królestwo Charisu

Seijin Merlin, wasza wysokość - zaanonsował cichym głosem szambelan, wchodząc do sali i kłaniając się nisko. Merlin wkroczył za nim do niewielkiej komnaty audiencyjnej, która prawdę powiedziawszy, przypominała raczej biurko, i zgiął się w jeszcze głębszym ukłonie. Zadzierający nosa mieszkańcy Harchongu pogardzali dworem króla Haarahlda z powodu panującej na nim nieformalnej atmosfery i powszechnego radzenia sobie bez tłumów służby. Cokolwiek jednak mówiono za granicą, Haarahld był królem, i to jednym z najpotężniejszych na Schronieniu.

- Seijinie - odezwał się Haarahld i Merlin podniósł głowę. Ujrzał mężczyznę w średnim wieku, krępego jak na charisjańskie warunki, ale i wyższego od przeciętnego mężczyzny na tej planecie, choć trzeba uczciwie przyznać, że nie dorównywał wzrostem ani synowi, ani tym bardziej Merlinowi. Król miał na sobie tradycyjne luźne spodnie i sięgającą do ud lnianą tunikę, tak charakterystyczną dla szlachty Charisu, aczkolwiek ta, którą nosił, lśniła od bogatych haftów i paciorków. Jego pas pełnił raczej funkcje ozdobne, wykonałno go z ciążu srebrnych, zawile zdobionych, ręcznie kutych płytek uformowanych w kształty muszli. Na broszy przypiętej do ramienia widać było złote berło - znak człowieka, który Wywiązał się z obowiązku odbycia pielgrzymki do Świątyni.

Z jego piersi zwisał złoty łańcuch przyozdobiony lśniącymi szmaragdami, czyli zwyczajowe insygnia władzy królewskiej. Miał też równiutko przyciętą brodę, nieco nawet lepiej niż sam Merlin, i lekką zmarszczkę nakątną, cechę wyróżniającą wszystkich ludzi urodzonych na Schronieniu.

Haarahld VII liczył pięćdziesiąt dwa tutejsze lata - czyli mniej więcej czterdzieści siedem standardowych - z czego zasiadał na tronie przez ponad dwadzieścia. W tym czasie zyskał przydomek Haarahlda Sprawiedliwego - w każdym razie wśród własnych poddanych. Jego dociekliwe oczy mierzyły Merlina z wielką uwagą. W ostatnim czasie władca chyba lekko utył, zauważył przybysz. Jego masywna klatka piersiowa i szerokie ramiona sugerowały, że w młodości dysponował niezwykłą siłą, ale utrzymanie takiej kondycji, zwłaszcza w jego wieku i przy kontuzji prawego kolana, musiało być zadaniem niezwykle trudnym, jeśli nie niemożliwym. Władca trzymał obie nogi wyciągnięte prosto przed siebie, oparłszy pięty na miękkim podnóżku, sam natomiast siedział w niezbyt może pięknym, ale za to wygodnym fotelu przy biurku zawalonym stosami dokumentów i tabliczek.

Oprócz niego był tu jeszcze jeden człowiek. Po prawej stronie króla stał posiwiasty mocno biskup Kościoła Boga Oczekiwanego, człowiek o bujnej, patriarchalnej brodzie. Na jego trójgraniastym czepcu widać było kokardę starszego hierarcho, ale brakowało przy niej wstążki arcybiskupiego stanu. Miał czyste, jasne spojrzenie, gdy spoglądał w stronę Merlina spod bieli czepca, na którym pysznił się płomień lampki oliwnej, znak zakonu Bedard.

Na widok tego symbolu Merlin zareagował instynktownym zaciśnięciem szczęk, ale na szczęście zdołał w porę opanować nerwy i zachował obojętny wyraz twarzy. Chociaż za nic

by tego nie przyznał, wiedział, że zakon noszący imię Ado-ree Bedard zmienił się na przestrzeni wieków w organizację, której daleko było do ideałów głoszonych przez jego założycielkę. Poza tym dzięki SAPK-om wielokrotnie „widział” w akcji tego właśnie hierarchę, dzięki czemu zdawał sobie sprawę, czemu zawdzięcza on bezgraniczne zaufanie króla Haarahlda.

- Wasza wysokość - wymamrotał, odpowiadając na pozdrowienie władcy po naprawdę krótkiej chwili ciszy - uczyniłeś mi wielki zaszczyt, przyjmując na osobistej audiencji.

- Być może - odparł Haarahld, nie przestając się przypatrywać jego twarzy. - Są jednak tacy, co twierdzą, że okazałem ci brak szacunku, nie organizując publicznych uroczystości w podzięce za uratowanie życia następcy tronu.

- Czułbym się naprawdę nieswojo, wiedząc, że mierzy we mnie tylu wprawnych kuszników. Tutaj natomiast - Merlin uśmiechnął się czarująco - jedynym powodem do obaw są dwaj gwardziści ukryci za tym parawanem.

Gdy wskazał głową na stojący za plecami króla pięknie zdobiony, lakierowany harchoński parawan, oczy Haarahlda zwęziły się groźnie. Natomiast biskup zdawał się nie reagować, w jego spojrzeniu pojawiło się jedynie nieco wyraźniejsze zaciekawienie.

Interesujące, pomyślał Merlin, skupiając całą uwagę na królu i wyczekując jego reakcji. Która nadeszła jedno uderzenie serca później.

- Doprawdy? - spytał Haarahld, a Merlin uśmiechnął się po raz kolejny.

- Dzisiaj mamy czwartek. Jeśli nadal trzymasz się, panie, ustalonego rozkładu, stoją tam sierżanci Haarpar i Gahrdaner.

Szambelan odskoczył szybko na bok, sięgając po sztylet przypięty do uda, biskup także sięgnął po zawieszony na pierś berło Langhornea, nawet król wyprostował się na swoim fotelu, ale tylko po to, by unieść w górę dłoń i pokręcić zdecydowanie głową w stronę szambelana.

- Nie, Pawal - powiedział. - W końcu nasz gość jest seijinem.

~ Albo kimś zupełnie innym, panie - odparł ponurym głosem sługa. Wciąż łpał podejrzliwie w stronę Merlina i choć zdjął dłoń z rękojeści sztyletu, uczynił to naprawdę niechętnie.

- Wasza wysokość - odezwał się gość - zostawiłem moją broń w komnacie. Strażnicy okazali mi wielki szacunek, ale przeszukali bardzo uważnie, zanim dopuszczono mnie przed twoje oblicze. Nieuzbrojony cywil nie stanowi żadnego zagrożenia dla monarchy, jeśli jego służby są tak lojalni jak twoi.

- Wybacz, seijinie, ale wątpię, by człowiek twojego pokroju był kiedykolwiek bezbronny. Mózgu nie mogliśmy ci przecież odebrać. - Na usta Haarahlda, gdy mówił te słowa, wpełzł z wolna błady uśmiech.

- Masz rację, wasza wysokość - odparł Merlin.

Na twarzy biskupa pojawił się grymas, który mógł być nieudolną próbą uśmiechu, a Haarahld odprężył się i zaczął przyglądać niebieskookiemu przybyszowi z jeszcze większą natarczywością niż przed chwilą. Potem pokiwał głową i skinął na szambelana.

- Wydaje mi się, że powinniśmy zaoferować seijinowi coś, na czym będzie mógł spocząć.

Pawal Hahlmahn wciąż wyglądał na zagniewanego, ale posłusznie przyniósł z kąta komnaty wysokie, proste, lecz obite materią krzesło i ustawił je przed biurkiem króla.

- Proszę, seijinie - powiedział władca. - Usiądź.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Merlin spoczął na krześle, zerkając na Haarahlda z zaciekawieniem.

- Tak, seijinie - odezwał się król z podejrzanym uśmiechem na ustach. - Twoje przesłuchanie właśnie się rozpoczyna.

- Jestem do twojej dyspozycji, wasza wysokość. - Merlin raz jeszcze uprzejmie pochylił głowę. Król odpowiedział mu głośnym śmiechem.

- Trochę trudno mi w to uwierzyć, seijinie - zaczął. - Mam mgliste przeczucie, że to raczej Charis ma stanąć do twojej dyspozycji.
- Merlin uśmiechnął się, ale było to tylko przykrywką. Haarahld VII przy osobistym poznaniu okazał się o wiele bardziej intrygującym człowiekiem, niż pokazywały to relacje SAPK-ów.
- Zanim zaczniemy - stwierdził król o wiele bardziej oficjalnym tonem - pozwól, że raz jeszcze wyrażę osobiste podziękowania za interwencję w sprawie mojego syna Cayleba. Gdyby nie ty, zginąłby niechybnie, a to sprawia, że ja i mój ród pozostajemy twoimi dłużnikami. Jak mogę cię wynagrodzić?
- Wasza wysokość - odparł Merlin z równą powagą - wiem, że powinienem przyjąć jakieś dary jako dowód twojej wdzięczności, ale przyznam szczerze, że wolałbym, abyś robił jak najmniej szumu wokół mojej skromnej osoby.
- Dlaczego miałbym postępować w taki sposób? - zapytał król.
- Ponieważ mogę oddać Charisowi jeszcze niejedną przysługę, jeśli pozostanę nieznanym wszystkim wokół.
- A dlaczego chciałbyś mi dalej pomagać?
- Wybacz, wasza wysokość - odparł Merlin bardzo uprzejmym tonem - ale nie mówiłem o tobie, tylko o Charisie. Wprawdzie to niemal to samo, ale jednak jest pewna różnica.
- Król jest tożsamy z królestwem! - wtrącił Hahlmahn i zaraz umilkł, gdyż dotarło do niego, że zabrał głos nieproszony. Czerwień na jego twarzy nie zdołała jednak ukryć błysku gniewu, który znów pojawił się w oczach.
- Nie jest, szlachetny szambelanie - zaprzeczył Merlin. - Król jest sercem i duszą królestwa, ale nie może być nim samym. Gdyby było, jak mówisz, królestwo przestawałoby istnieć wraz z jego śmiercią.
- Kościół naucza, że król i Korona to jedno - wtrącił biskup, przemawiając po raz pierwszy. Jego głos, podobnie jak wyraz twarzy, nie zdradzał jednak żadnych emocji.
- Nie mam zamiaru dyskutować z poglądem Kościoła na tę sprawę, biskupie Maikelu - stwierdził przesłuchiwany, a kapłan spojrział na niego krzywo, jakby się dziwił, że obcy zna jego imię. - Zauważyłem tylko, że król, będąc sercem królestwa, nie jest pojedynczą osobą, ale pojęciem, pod którym mieści się zbiór wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek zasiadali na tronie, władając w imieniu poddanych. Z tego też powodu król może być tożsamy z królestwem, lecz mimo to pozostaje zwykłym śmiertelnikiem, ogniwem długiego łańcucha mężczyzn i kobiet, którzy zasiadali na tronie za zgodą tych, których mieli strzec i bronić. Haarahld uniósł głowę, by spojrzeć na biskupa Maikela, potem znów skupił uwagę na Merlinie i nie spuścił z niego oczu przez dobrą minutę. W końcu skinął powoli głową.
- Słuszne spostrzeżenie - stwierdził. - Wprawdzie nie wszyscy monarchowie w pełni by się z nim zgodzili, ale ja nie zamierzam dyskutować.
- I właśnie dlatego, że tego nie czynisz, jestem teraz twoim gościem - wyjaśnił Merlin.
- Chociaż wszyscy królowie zasiadają na tronach z woli Boga, zaledwie kilku z nich potrafiło dotrzymać przysięgi składanej w dniu koronacji. Gdy człowiek miewa wizje, takie jak mnie są dane, konstatacja ta staje się smutną prawdą.
- No tak, te twoje wizje... - Haarahld zacisnął wargi, potem roześmiał się cicho i podniósł nieco głos. - Charlz i ty, Gorj, możecie już wyjść i przyłączyć się do nas. Moment później lakierowany parawan drgnął i obaj sierzanci wyszli z za niego. Mieli na sobie czarne kirysy przyozdobione na piersiach złotymi krakenami Charisu. W rękach trzymali napięte stalowe arbalety. Mierzyli Merlina czujnymi spojrzeniami, zajmując miejsca za plecami króla.
- Muszę przyznać, seijinie - stwierdził Haarahld - że pokaz twoich możliwości zrobił na mnie wrażenie. Wiem, że to właśnie chciałeś osiągnąć. Chociaż z drugiej strony, dobrze ulokowany szpieg mógłby ci dostarczyć informacji, ale... jeśli obcy agenci przeniknęli już

tak głęboko, nie ma ratunku, mój ród jest zgubiony. Skoro tak ci zależało na tym, abym zadał to pytanie, oto i ono. Skąd wiedziałeś o gwardzistach?

Pomimo lekceważącego tonu jego oczy pozostały czujne, gdy pochylał się do przodu.

- Wasza wysokość - odpowiedział Merlin. - Ci trzej ludzie - tutaj wskazał ręką szambelana i obu żołnierzy - są bezgranicznie oddani tobie, twojemu synowi i temu królestwu. Możesz im ufać jak sobie samemu. A biskup Maikel od ilu lat jest twoim osobistym spowiednikiem? Chyba od piętnastu. Wiem, że możesz mieć kłopoty z uwierzeniem w moje słowa, ale ufam, że zdołam przedstawić wiarygodny dowód na swoją prawdziwość. Wtedy zrozumiesz, dlaczego to, co ci zaraz powiem, musi pozostać tajemnicą tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

Król skinął głową. Jego ludzie nie spuszczaali czujnego wzroku z twarzy Merlina, chociaż wyprostowali dumnie ramiona, widząc, że władca nie zamierza kwestionować ich oddania. Biskup Maikel przysunął się o pół kroku do króla, by złożyć wielką, silną dłoń na jego ramieniu.

- Książę Cayleb i porucznik Falkhan zdążyli ci już napomknąć, wasza wysokość - zaczął - iż przez wiele lat żyłem w Górach Światła, gdzie posiadałem jedną z licznych umiejętności dostępnych seijinom. Mam wprowadzić wiele oporów przed używaniem tego tytułu, ale jeśli uważacie, że pasuje do mnie, niech tak pozostanie. W każdym razie chodzi o to, że zostałem obdarzony zdolnością widzenia odległych miejsc i słyszenia głosów przebywających w nich ludzi. Jestem jak niewidzialny ptak, który przysiadł na gzymsie — wskazał ręką na otynkowaną ścianę w pobliżu okna - albo na gałęzi drzewa. Widzę jego oczami, słyszę jego uszami, ale tylko teraźniejszość, nigdy przyszłość. Nie mogę też zobaczyć wydarzeń z przeszłości ani nie jestem w stanie obserwować wszystkiego, co dzieje się na świecie. Moje wizje dotyczyły głównie Charisu, twego rodu i Cayleba. Nie sądzę, żeby to było dziełem przypadku.

Haarahld zdawał się świdrować Merlina wzrokiem. Król Charisu cieszył się reputacją człowieka zdolnego wycisnąć prawdę z każdego rozmówcy, mimo to przybysz nie spuścił oczu ani na moment. W końcu każde słowo, które padło z jego ust, było prawdą. Czyż osiemset lat standardowych nie znaczyło tyle samo, co „przez wiele lat żyłem w Górach Światła”? A jego „wizje” rzeczywiście kręciły się wokół Charisu.

- Jakiego rodzaju były te wizje? - zapytał w końcu król. - Kogo widziałeś?

- Jak już wspominałem, byłem tylko mimowolnym świadkiem wydarzeń, co znaczyło, że nie mogłem poznać treści dokumentu, jeśli ktoś go nie odwrócił zapisaną stroną do wierzchu, nie mogłem usłyszeć tego, czego nie powiedziano. Nie miałem też pojęcia, co kryje się w zakamarkach dusz obserwowanych ludzi, mogłem ich oceniać jedynie po słowach i czynach. Wasza wysokość także pojawiał się w moich wizjach. Widziałem cię, panie, w tej komnacie w otoczeniu gwardzistów, także szambelana Hahlmahna. Widziałem, jak omawiacie z Caylebem przyszłość Hanth i sprawy polityczne z hrabią Szarego Portu. Widziałem i słyszałem dyskusje o wysyłaniu patroli poza Głowę Trytona toczone z udziałem wielkiego admirała wyspy Zamek, kiedy to instruowałeś go, by wzmocnił Sokoła i Wojownika wysyłając Zatokę Skalnej Ławicy i resztę jej eskadry.

Haarahld kiwał z wolną głową, ale na wzmiankę o wyspie Zamek zamarł na moment. Nic dziwnego, pomyślał Merlin, skoro omawialiście z admirałem sprawę wzmocnienia sił - i powody takiego postępowania - w najściślejszej tajemnicy. Tyle tylko, że wszystkie wasze zabezpieczenia były bezsilne wobec miniaturowych zwiadowców dostarczonych przez SAPK-a.

- Miałem także wizje Cayleba - ciągnął spokojnie Merlin. - Nie tylko podczas rozmowy z tobą, widziałem go, gdy wyjeżdżał na polowanie, ćwiczył ze zbrojmistrzem, a nawet kiedy studiował księgi. - Uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową. - Widziałem, jak siedzicie obaj na radzie, a potem na pokładzie okrętu. Chwilę później ujrzałem w mojej wizji

waszych ludzi. Powiedziałem Caylebowi, że treść tych przekazań pozwoliła mi uznać waszą wysokość za dobrego władcę i porządnego człowieka. I to podtrzymuję. Nie mówię tego, aby ci, królu, pochlebiać, ale żaden z władców Schronienia, którego dane mi było obserwować, nie zbliżył się tak bardzo do ideału głoszonych przez Kościół jak ty. Chociaż wciąż wiele cię odeń dzieli. Ale wiesz o tym i, co może ważniejsze, starasz się w podobnym duchu wychować swego dziedzica. Właśnie twoje poczucie odpowiedzialności wydało mi się tak rzadkie i cenne, że uznałem, iż nie wolno pozwolić, aby zostało za-przepaszczone. Wierzę, że jest powód, dla którego widziałem to wszystko, i przybyłem tutaj, aby ofiarować wam swoje usługi. Chcę pomóc w obronie waszego królestwa i wesprzeć władcę, który na to zasługuje.

- Pochwała z ust człowieka godnego pochwały zawsze jest mile widziana - stwierdził Haarahld po długim namyśle. - Ufam jednak, że wybaczysz mi, jeśli przypomnę, że pochwały i pochlebstwa czasami wiedą na manowce.

- Zwłaszcza gdy pochlebca pragnie czegoś od chwalonego - zgodził się Merlin. - A ja, jeśli wasza wysokość pozwoli na szczerość, pragnę czegoś. - Oczy Haarahlda zwięziły się, wywołując uśmiech na twarzy przybysza. - Pragnę, by Charis zajął należne mu miejsce w historii - dokończył.

- Należne miejsce w historii - powtórzył za nim król. - Dlaczego właśnie Charis? Jeśli nawet wszystko, co rzekłeś na temat moich niezliczonych zalet, jest zgodne z prawdą, dla-czego wybrałeś właśnie to królestwo? Tutaj nie może chodzić o jakiś rodzaj lojalności wobec mojego rodu, choćby dlatego, że z pewnością nie jesteś Charisjaninem. Zatem pozostaje nam jedno rozwiązanie, seijinie. Ty chcesz czegoś od Charisu. Masz w tym wszystkim własny cel. Dlatego, mimo iż nadal jestem ci bezgranicznie wdzięczny za ocalenie życia mojemu synowi i wiem, że tylko skończony głupiec odrzuciłby pomoc doradcy o twoich zdolnościach, nie byłbym wart korony, którą noszę, gdybym przyjął tę ofertę, nie wiedząc, czy twoje cele są równoznaczne z moimi.

Merlin oparł się wygodniej, mierząc władcę Charisu za-myślonym spojrzeniem, potem przyznał mu rację, choć tylko w myślach. Haarahld VII był bardzo twardym ale zarazem prawym człowiekiem. Król należał do grona ludzi, którzy potrafią prowadzić gierki pełne zwodzenia, białych i kontr, ale na pewno nie czują się przy tym dobrze.

Merlin musiał jeszcze sprawdzić, czy biskup Maikel oka-że się równie odporny i uczciwy. Gdyby chodziło o którego-kolwiek z jego odpowiedników w łonie Kościoła Boga Oczekiwanego, wszystko byłoby jasne od samego początku, ale ten człowiek różnił się od pozostałych hierarchów, i to znacznie.

Po pierwsze, spowiednik króla był Charisjaninem. Merlin zdołał ustalić, że ani razu nie opuścił granic królestwa - z jednym wyjątkiem, kiedy to odbył pielgrzymkę do Świątyni - a mimo to zdołał osiągnąć najwyższe stanowisko w strukturach arcybiskupstwa, oczywiście wśród rodzimych hierarchów. Jego wybór na spowiednika władcy, dokonany osobiście przez Haarahlda VII przed ponad dziesięciu laty, nie spodobał się poprzednikowi arcybiskupa Erayka. Niemniej król trwał z uporem przy należnym mu przywileju wyboru opiekuna stolicy, a po latach wiernej posługi Maikel stał się też jednym z jego najbardziej zaufanych doradców

Co może być bardzo dobrym znakiem... albo wręcz przeciwnie, pomyślał Merlin.

- Wasza wysokość - odezwał się w końcu - dlaczego twój pradziad zniósł pańszczyznę w Charisie?

Haarahld zmarszczył brwi, jakby to pytanie go zaskoczyło, potem wzruszył ramionami.

- Ponieważ wierzył, że tego właśnie chciał od niego Bóg - odparł.

- Tyle tylko, że pańszczyzna nadal istnieje na Szmaragdzie - przypomniał mu przybysz - i w Tarocie, Corisandzie, a nawet Chisholmie. W Harchongu spora część chłopów pańszczyźnianych nie ma się lepiej niż bydło pociągowe. Tamtejsi panowie traktują ich

znacznie gorzej niż zwykle konie czy woły, ponieważ zwierzęta są o wiele droższe, nie mówiąc już o tym, że w Desnairze i Trellheimie mamy do czynienia z najzwyklejszym niewolnictwem. Nawet na Ziemiach Świętych - przeniósł wzrok z króla na biskupa Maikela, spoglądając mu w oczy z pewnym wyzwaniem - ludzie są przywiązani do konkretnych kościelnych majątków, chociaż nie nazywa się tego oficjalnie pańszczyzną. A u was wszyscy są wolni. Dlaczego? Powiedziałeś, panie, że Bóg tego pragnął, ale na jakiej podstawie wysnułeś to twierdzenie?

- Pismo naucza, że Bóg stworzył każdego Adama i każdą Ewę w tym samym momencie rękami archaniola Langhor-ne'a - wyjaśnił Haarahld. - Pan nie stworzył nasamprzód królów, szlachty czy bogatych kupców. Tchnął życie w ciała stworzonych przez siebie kobiet i mężczyzn równocześnie. A to oznacza, że wszyscy ludzie są braćmi. Nie powinniśmy się rodzić, przynależąc do określonych stanów, jak ma to miejsce ostatnio na tym padole łez. Niektórzy z nas przychodzą na świat, by zostać królami albo członkami szlacheckich rodu czy też bogaczami. Są też tacy, którzy mają wszystko. Mimo to ludzie urodzeni w biedzie nie przestają być naszymi braćmi. A skoro Bóg postrzegał tę sprawę w taki właśnie sposób... Jeśli mamy rację, człowiek nie powinien być traktowany na równi z bydlęciem, owcami, końmi czy smokami. Nie może być też niczyją własnością.

Król łypnął spod na wpół przymkniętych powiek w stronę Merlina, a ten pokiwał głową.

- Czy ty, biskupie Maikelu, zgodziłbyś się z taką opinią? - zapytał, zniżając głos.

- Tak.

Kapłan odezwał się głosem głębokim i mocnym, doskonałym do prawienia kazań i zanoszenia modlitw, a w jego oczach mignął błysk. To spojrzenie nie było jednak twarde, jak w przypadku Haarahlda, chociaż zdecydowania też mu nie brakowało. Merlin skinął powoli głową i popatrzył znów na króla.

- Niemniej pozostali władcy zdają się nie podzielać twojego zdania, wasza wysokość - zauważył. - Nawet Kościół widzi tę sprawę w innym świetle, zważywszy na jego praktyki w pozostałych krainach Schronienia. Ty jednak obstajesz przy swoim. I dlatego, wasza wysokość, Charis został moim celem. Wierzę w to samo co ty, a nie masz na tej ziemi innego królestwa, w którym mógłbym zobaczyć podobną wiarę. Szanuję cię, panie, i na swój sposób podziwiam. Ale czy można to nazwać lojalnością? - Wzruszył raz jeszcze ramionami. - Tę jestem winien nie tobie ani Caylebowi, tylko przyszłości. Dlatego użyję was, jeśli zdołam. Wykorzystam twój autorytet, by przybliżyć dzień, kiedy żaden człowiek nie będzie właścicielem drugiego człowieka, kiedy ludzie przestaną się rodzić, aby żyć podlej niż bydło czy owce. - Hahlmahn przyglądał mu się z gniewnym błyskiem w oku, ale Haarahld skinął tylko głową, powoli, z zamyślonym wzrokiem. - Oto prawdziwy powód, dla którego pragnę, aby Charis nie tylko przetrwał, ale i się rozwijał - ciągnął przybysz. - Nie dlatego, że podobają mi się wielkie imperia albo ogromne bogactwa. Nie myślę także potęgi militarnej z prawdziwą siłą królestwa.

I chociaż nie dano mi możliwości wejrzenia w przeszłość, wiem, jaką chciałbym ją widzieć. Wiem też, jakie ideały i prawa i jaki rodzaj monarchii chciał widzieć na Schronieniu Bóg. A dzisiaj, wasza wysokość, tylko Charis oferuje szansę na to, by takie czasy kiedyś nadeszły. Dlatego też od samego początku powtarzam, że przybywam, aby służyć Charisowi, a nie tobie, panie. Idei, która przyświeca temu królestwu i jego przyszłości.

Haarahld bębnił cicho palcami prawej dłoni po szerokiej poręczy fotela, potem spojrzał na biskupa.

- Maikelu.

- Panie - odparł bez chwili wahania hierarcha - nie mogę spierać się z żadnym słowem, które zostało wypowiedziane przez tego człowieka. Znam twoje nadzieje i aspiracje. Wiem też, czego najbardziej się lękasz. - Przesunął palcami po wiszącym na piersi berle,

najwyraźniej bezwiednie, a jego twarz zaczerwieniła się nieznacznie. - Czy pozwolisz mi, wasza wysokość?

Haarahld skinął głową i biskup przeniósł wzrok na Merlina.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem sejjina - rzekł. - Choć kiedyś widziałem człowieka, który utrzymywał, że nim jest, ale dość szybko okazało się, że miałem do czynienia ze zwykłym szarlatanem.

- Wasza ekscelencjo - wtrącił Merlin, gdy biskup prze-rwał na moment - ja nigdy nie twierdziłem, że jestem sejjinem, powiedziałem tylko, iż posiadam pewne moce przypisywane tym świętym mężom.

- Zauważyłem - przyznał Maikel, uśmiechając się nieznacznie. - Choć do pięć nie dorastam moim kolegom teologom ze Świątyni, to mimo wszystko byłem świadkiem niejednej uczonej dysputy i dlatego uderzyło mnie raczej to, czego nie powiedziałeś.

- Doprawdy? - Merlin nie zmienił ani na moment wyrazu uprzejmej uwagi, ale wewnątrz jego głowy rozbrzmiały głośnie sygnały alarmowe, gdy hierarcha zaczął go mierzyć twardym wzrokiem.

- Zgodnie z wieloma opowieściami, które krążyły, gdy byłem małym dzieckiem - ciągnął biskup - prawdziwego sejjina można poznać wyłącznie po jego czynach. To ludzie nadawali mu ten przydomek, nigdy on sam. W twoim przypadku mamy do czynienia z owymi przedziwnymi wizjami, które świadczą dobitnie o tym, że nie jesteś taki jak inni śmierćelnicy. Dlatego uważam, że miano sejjina pasuje do ciebie w zupełności, przynajmniej na razie. Ale przyznanie ci go nie mówi nam nic o twoich planach i zamierzeniach, a zgodzisz się, że to dzisiaj najbardziej paląca kwestia. Pismo nauczyło mnie jednego: poznasz prawdziwą naturę człowieka, obserwując jego czyny. I nie ma znaczenia, czy będzie on królem, kupcem, sejjinem czy wieśniakiem. Koniec końców, nie zdoła ukryć, kim był naprawdę i ku czemu zmierzał. Na razie wiem tyle, że ocaliłeś życie Cayleba. Nie mam natomiast najmniejszego pojęcia, czy Bóg zlecił ci to zadanie. Tylko jedno jest pewne: nie uczyniłeś tego w imię władcy ciemności. - Biskup spojrział na króla i pochylił głowę w pełnym pokory ukłonie. - Wasza wysokość - dodał. - Nie wyczuwam zła w tym człowieku, ale mogę się mylić. W odróżnieniu od wielkiego wikariusza czy kanclerza, jestem tylko zwykłym, niedouczone, prowincjonalnym biskupem. Radzę ci jednak, abyś go posłuchał. Wiem, że ciemność nas otacza. Być może ten właśnie przybysz, poprzez swoje czyny, stanie się lampą - tu wskazał na symbol zakonu noszony na ramieniu - której tak wyczekujemy. Gdyby Merlin był człowiekiem z krwi i kości, odetchnąłby teraz z wielką ulgą. Ale sprawy miały się inaczej. Siedział więc spokojnie, podczas gdy Haarahld spoglądał w oczy doradcy. Chwilę później władca znów zwrócił się w jego stronę.

- Jak zamierzasz służyć Charisowi? — zapytał zdecydowanym tonem.

- Wizjami, które mi dano. I mieczem, jeśli zajdzie taka potrzeba. No i oczywiście umysłem - odparł spokojnie Merlin. - Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Ufam, że przesłuchaliście już zamachowca, którego wzięliśmy żywcem.

- Którego ty wzięłeś żywcem - poprawił go Haarahld, ale przybysz wzruszył jedynie ramionami.

- Może i tak, wasza wysokość, ale wiem dobrze, kto go tam posłał, mimo iż nie miałem wizji tego przesłuchania, gdyż jak już dobrze wiesz, nie widzę wszystkiego, co dzieje się na świecie. - Hahlmahn i obaj gwardziści pochylili się lekko do przodu. Ich spojrzenia stały się bardziej natarczywe, biskup ściągnął ukryte pod zarostem usta, a uśmiech Merlina stał się lodowaty. - Wiem, że czujecie wielką ochotę, aby przypisać ten czyn Hektorowi z Corisandu - dodał - ale to byłoby zbyt pochopne z waszej strony. Ludzie, którzy dokonali zamachu na następcę tronu, byli zwykłymi najemnikami, Desnairianami najętymi przez księcia Nahrmahna i... kilku jemu podobnych, lecz z tego co mi wiadomo, akurat księżę Hektor nie został o niczym poinformowany. Co wcale jednak nie znaczy, że sam nie spiskuje

przeciw Koronie. W rzeczy samej, jego niechęć do zamordowania ciebie czy Cayleba wynika wyłącznie ze względów taktycznych, nie zaś z wyrzutów sumienia. Sądząc po tym, co sam powiedział swoim najbardziej zaufanym doradcom i co przeczytałem w jego listach do Nahrmahna, obawiał się, że ten zamach ma szansę powodzenia. Sądzę, że bał się tego, w jaki sposób zareaguje królestwo, gdy następcą tronu zostanie zabity. Nie miał ochoty na otwarte starcie obu flot. Według niego byłoby to zbyt przedwczesne, a domyślał się, że zechcesz pomścić śmierć Cayleba, ruszając na tych, którym najbardziej zależało na jego usunięciu, czyli na Corisand właśnie. Dlatego nalegał, by najpierw osłabić cię na morzu i dopiero potem zadać decydujące uderzenie, w bardziej konwencjonalny sposób. Podczas niedawnej rozmowy z Caylebem stwierdziłeś, wasza wysokość, że Hektor jest raczej czerwem niż jaszczurodrapem. Wydało mi się, że to naprawdę odpowiednie porównanie. Ale tym razem czerw piaskowy wykazał więcej rozsądku niż jego... sprzymierzeńcy. Oczy Haarahlda rozszerzały się coraz bardziej, w miarę jak przybysz mówił. W końcu siedział całkowicie wyprostowany z wyrazem olbrzymiego zadziwienia na twarzy.

- Seijinie - powiedział - kiedy wzywałem cię na tę audiencję, byłem przekonany, że nie dam ci wiary. Pragnąłem ci uwierzyć i z tego właśnie powodu sądziłem, że lepiej będzie, jeśli tak się jednak nie stanie. Wszelako nie ma na tym świecie szpiega mogącego cię poinformować o rzeczach, które mi właśnie powtórzyłeś, a każde twoje słowo było prawdziwe, przynajmniej w tym zakresie, w którym sam mogę to potwierdzić. Wiem, że ktoś, kto powiedziałby to, co ty dzisiaj, rozumiałby też, że musi dowieść swojej prawdziwości i szczerości. Ja, Haarahld Ahrmahk, gotów jestem ci zaufać, ale też ja, król Charisu, nie mogę dać wiary żadnemu z ludzi, którzy jak ty teraz oddają się pod moje zwierzchnictwo, jeśli wcześniej nie zostaną naprawdę dokładnie sprawdzeni.

- Wasza wysokość - odparł cicho Merlin - ty tu rządysz. Nie możesz zapominać o tym, że ludzie kłamią. Ze potrafią zwodzić wszystkich, a nie ma bardziej zwodniczej rzeczy niż odślonięcie części prawdy. Nie oczekiwałem, że przyjmiesz moje usługi albo uwierzysz w prawdziwość wizji bez uprzedniego drobiazgowego sprawdzenia. A skoro ma do tego dojść, proszę cię, byś o czymś pamiętał. Stwierdziłem wyraźnie, że chcę służyć Charisowi i temu, czym może się stać w przyszłości, nie tobie osobiście, i przy tym obstaję. Przekażę ci całą prawdę, jaką odkryję, i będę służył najlepszą radą z możliwych, ale to, co uczynię, służyć ma przyszłości tak odległej, że nie będziesz mógł jej ujrzeć na własne oczy, podobnie jak człowiek zwany Merlinem czy twój syn. Chciałbym, abyś to zrozumiał, panie.

- Rozumiem, seijinie. - Haarahld spojrział głębiej w nie-ludzko szafirowe oczy i ściszył głos. - Powiadają, że seijino- wie służą wizji Boga, nie człowieka. Ze każdy człowiek, który przyjmuje rady od seijina, powinien pamiętać, iż wizja Boga niekoniecznie wymaga jego zwycięstwa czy nawet przeżycia. Ale jednym z obowiązków króla jest umrzeć za poddanych, jeśli taka będzie wola Pana. Ja z pewnością zapłacę taką cenę. Jakiej zażąda ode mnie Charis, a jeśli naprawdę jesteś seijin- ftem i służysz jego wizji, to mi wystarczy bez względu na to, co przyniesie przyszłość.

VII

Tellesberg i Góry Styvyna, Królestwo Charisu, Rafa Armagedonu

M

erlin ponownie trafił do swojego apartamentu.

Wilgotna, bezwietrzna noc napierała na okno. Nimue Alban, urodzonej i wychowanej w Europie Północnej na Stałej Ziemi, tutejsze noce wydawałyby się niesamowicie gorące bez względu na porę roku, ale CZAŃ nie zwracał uwagi na takie szczegóły. Merlin odczuwał większy niepokój z powodu nieprzeniknionych ciemności panujących na zewnątrz przy braku księżyca, które wydawały się niezwykle obce w oczach człowieka posiadającego umysł i pamięć Nimue Alban, kobiety wychowanej w zaawansowanej technologicznie cywilizacji, pełnej iluminacji, światła i energii otaczających miasta sferami jasności nawet w

najczarniejszą noc. Tellesberg był całkiem nieźle oświetlony jak na warunki panujące na Schronieniu, ale jedynymi źródłami światła na tej plańecie były płonące drewno i olej z tłuszczu zwierzęcego bądź roślinnego, zbyt słabe, by wygrać z mrokiem.

Komnata Merlina miała doskonałe oświetlenie jak na panujące tutaj standardy. Nie płonęły w niej kopcające gromnice, tylko czyste, stabilne ogniki lamp wypełnionych olejem z krakenów, wyposażone dodatkowo w nowatorskie systemy polerowanych zwierciadeł umieszczonych po jednej ze stron klosza, aby wzmacniać pozyskiwane tą drogą światło. Mimo to czytanie przychodziło Merlinowi z największym trudem, zwłaszcza że w ręcznie spisanej księdze, spoczywającej teraz na blacie jego biurka, roiło się od wymyślnych zawijasów. Niestety, ludzie urodzeni na Schronieniu nie mieli alternatywy i kolejne ich pokolenia musiały czytać przy tak marnym oświetleniu, narażając się na utratę wzroku. Merlin miał nad nimi sporą przewagę. Po pierwsze, jego sztuczne oczy nie mogły ulec przemęczeniu. Zostały też wyposażone w układy doświetlające, dzięki którym komnata - jak i bezdenna noc za oknem - była widoczna jak w biały dzień. Merlin usunął dziesięciodniowy zegar, widoczny wciąż na skraju pola widzenia, by nic nie zmniejszało jego koncentracji, kiedy przemykał wzrokiem po wersach oprawionego w skórę, ręcznie spisanego egzemplarza Świętego Pisma Kościoła Boga Oczekiwanego.

Minęło już sporo czasu od momentu, gdy przeglądał je po raz pierwszy, ale za każdym razem znajdował w tej księdze coś fascynującego. Czuł się przy tym jak detektyw z wydziału zabójstw, pochłonięty lekturą autobiografii seryjnego zbrojcy, którego znał w dzieciństwie. Księga zawierała wiele moralnych nauk, z którymi nie mógł się nie zgodzić, choćby nawet bardzo tego chciał. Maruyama Chihiro czerpał z istniejących na Ziemi religii całymi garściami, zatem moralne podstawy zawarte w Piśmie nie stanowiłyby zaskoczenia dla żadnego teologa Starej Ziemi. W gruncie rzeczy, uświadomił sobie w końcu Merlin, było to nieuniknione. Każda społeczność potrzebowała zestawu podstawowych praw i zasad. Cywilizacja na Ziemi przez bardzo długi czas opierała swoje istnienie na podbudowie religijnej i właśnie dzięki czerpanym z niej wzorcom mogli się pojawić tacy kapłani jak biskup Maikel.

Tyle tylko, że wszystkie religie, z których Maruyama zaczerpnął swoje przykazania, powstały w wyniku usilnych prób zrozumienia albo przynajmniej wyobrażenia sobie Boga czy też innej wszechmocnej istoty czczonej przez wiernych. W Piśmie Kościoła Boga Oczekiwanego niczego takiego nie dało się odnaleźć. Pozbawiono je tego aspektu z rozmysłem, a uczynili to ludzie, których czyny przeczyły religijnym i moralnym treściom zawartym w wyznaniach stanowiących ich dziedzictwo. Zawarto w nim za to morze kłamstwa, żerując na głodzie poznania, jaki przejawia każda ludzka istota poszukująca Boga od zarania dziejów bez względu na Jego imię czy postać - nie tylko po to, by kontrolować wiernych, ale też żeby ich odpowiednio zaprogramować. By zdławić w załączku każde pytanie, które mogłoby zagrozić kłamliwym wzorcom wykutym przez Eryka Langhorne'a i Adoree Bedard.

Merlin musiał uczciwie przyznać, że Langhorne, Bedard i Murayama zdołali upiec kilka pieczeni przy ogniu Pisma. Wrócił na początek tomu i skrzywił się, spoglądając na długi spis treści. Księga Langhorne'a, Księga Bedard, Księga Pasquale, a potem kolejno Sondheima, Truscotta, Schuele- ra, Jwo-jeng, Chihiro, Andropowa, Hastingsa.

Lista nazwisk ciągnęła się w nieskończoność, poszczególne księgi przypisano wszystkim „archaniołom”. W Piśmie nie było ewangelii autorstwa śmiertelników. Te znajdowały się w Komentarzach i Opracowaniach, no i oczywiście w Świadectwach, które publikowano poza zasadniczą częścią świętej księgi Kościoła Boga Oczekiwanego. Żadna z nich nie mogła się równać absolutnym prawdom głoszonym za pośrednictwem Pisma przez archaniołów, gdyż oni, w odróżnieniu od zwykłych ludzi, dokumentowali słowa wypowiedziane przez Boga.

Myliłby się jednak ten, dla kogo Pismo byłoby wyłącznie instrumentem pozwalającym na kontrolowanie społeczeństwa. Wprowadzie Księga Langhorne'a dyktowała ludziom „Boskie prawa”, których nauczał Kościół Boga Oczekującego, ale Merlin zdołał w końcu odrzeć przekazywane tam treści z ociekających miłością półprawd i jawnych fałszów Langhorne - czy też Murayamy piszącego w jego imieniu - i dostrzec podczas lektury zarysy kaftana bezpieczeństwa, który miał posłużyć do spętania woli mieszkańców Schronienia. Jeszcze ciężiej było mu czytać Księgę Bedard noszącą pod tytuł Księga Wiedzy i Samoświadomości, perełkę ukazującą, jak psychologia może być zaprzęgnięta do zwodzenia ludzi i prania mózgów.

Wiele innych ksiąg można było jednak traktować jako praktyczne przewodniki po metodach terraformingu i kolonizowania obcych planet.

Dla przykładu, księga spisana przez archanioła Hastingsa zawierała aktualny atlas całej planety, i to bardzo szczegółowy. Wykonano na podstawie oryginalnych materiałów zgromadzonych przez ekipy Shan-wei podczas prac terraformingowych. Mapy znajdujące się w egzemplarzu Pisma, który posiadał Merlin, były zbyt małe, aby można z nich zrobić użytek, wkradło się też do nich kilka nieścisłości, zapewne przy kopiowaniu, ale oryginały spoczywały wciąż dobrze zabezpieczone na terenie Świątyni. Można rzec, że te starożytne druki były jednymi z najświętszych relikwii Kościoła. Syntetyczny papier, na którym je sporządzono, był ognio- i wodoodporny, sztywny jak płat miedzianej blachy grubości pięciu milimetrów oraz praktycznie biorąc, niezniszczalny, co oczywiście musiało świadczyć o jego „cudownym” pochodzeniu.

Co jednak ważniejsze, Księga Hastingsa nakazywała, aby kopie wszystkich map były powszechnie dostępne i wisiały w każdej katedrze oraz wszystkich biskupstwach Schronienia. Stąd też ludność planety wiedziała doskonale, jak wygląda świat, który przyszło jej zamieszkiwać, co było bardzo istotne zwłaszcza w momentach, kiedy trzeba było zakładać kolejne enklawy. O tym, jak i gdzie to zrobić, informowały zapiski umieszczone w osobnych księgach także należących do Pisma.

Mimo iż Boskie prawa i podstawy wiedzy przekazywane przez tę księgę były w wielu miejscach rozmyślnie zafałszowane i wypaczone, stanowiła ona fundament, na którym ludzkość budowała swoje istnienie na tej planecie. Księga Sondheima uczyła, jak uprawiać ziemię i zbierać plony, wyjaśniając przy tym z niezwykłą szczegółowością, w jaki sposób można dostosować tutejsze gleby do potrzeb ziemskich roślin, których tak bardzo potrzebowali ludzie. Księga Tru-scotta opisywała wszystko, co było związane z hodowlą zwierząt - zarówno tych miejscowych, jak i importowanych ze Starej Ziemi. Księga Pasquale zajmowała się „Boskimi prawami” dotyczącymi zagadnień sanitarnych, higienicznych, dietetycznych oraz opatrywania ran i podstaw medycyny prewencyjnej. Nawet w Księdze Bedard, pomimo celu, jaki przyświecał jej napisaniu, zawarto wiele psychologicznych porad i diagnoz, a członkowie jej zakonu - jak choćby biskup Maikel - wykorzystywali te zapisy na rozmaite sposoby, czasami dalekie od zamierzeń autorki. Wielkie sukcesy zakonu w zaspokajaniu mentalnych i emocjonalnych potrzeb mieszkańców Schronienia nie powinny więc dziwić, podobnie jak zrozumiałe było to, że Bedardyci zarządzali większością charytatywnych instytucji Kościoła.

Wszystkie dyrektywy płynące z Pisma miały jednak wyłącznie religijny charakter i wymagały od wiernych rozmaitych rytuałów, a nawet ofiar. Księga Pasquale na przykład ani razu nie wspominała o zarazkach ani nauce, na której bazie powstały jej „prawa”. Jeśli więc któryś z uzdrowiceli, zabierając się do opatrzenia rany, nie umył rąk w przygotowanej przez wyświęconego kapłana „błogosławionej wodzie”, czym doprowadził do zakażenia, albo też nie uczynił tego przed przyjęciem porodu, skutkiem czego matka zmarła na gorączkę płożową, obwiniano nie chorobę czy infekcję, tylko grzech.

Natomiast mapy w Księdze Hastingsa, te same, które uczyły mieszkańców Schronienia, że ich planeta jest gigantyczną kulą, zarazem serwowały im ptolemejski model wszechświata, grawitację określając mianem jednego z cudów podarowanych ludzkości przez archanioła Langhorne'a, oczywiście z woli Boga. Langhorne był twórcą tego idealnie kulistego świata, spoczywającego w samym środku kryształowych sfer księżyca, słońca, gwiazd oraz Nieba, w którym zasiada Bóg, i mającego uświadomić pobożnym ludziom, że Pan może dokonać wszystkiego, czego tylko zapagnie. Czy to nie jego moc sprawia, że człowiek znajdujący się po drugiej stronie kuli tego Schronienia nie odrywa się od jego powierzchni i nie roztrzaskuje o księżyc?

Można by mnożyć kolejne przykłady, ale jedno w tym wszystkim było pewne - Pismo miało pomagać wznawcom postępującym zgodnie z nakazami archanioła Langhorne'a; tym, którzy kochali się, rozmnażali i zaludniali świat dany im przez Boga. Pomagać, usuwając z ich pola widzenia wszystko, co kontraryjowało się z nauką, i zastępując ją silnymi nakazami ustanawiającymi Kościół jedynym suwerenem i nadzorcą ludzkości.

Potem przyszedł czas na Księgi Jwo-jeng i Schuelera. Obie były o wiele krótsze od pozostałych, ale w nich najjaskrawiej widać było to, co Langhorne zamierzał uczynić ze Schronienia. Księga Jwo-jeng zawiera dokładną listę technologii, które Bóg uznaje za dopuszczalne, oraz tych, które odrzuca, ponieważ są w jego mniemaniu nieczyste, skażone albo zarezerwowane wyłącznie dla jego aniołów i archaniołów. A zapiski Schuelera, będące zarazem najkrótszymi i najbardziej porażającymi rozdziałami Pisma, definiowały kary, które czekają łamiących zakazy podane przez Langhorne'a i Jwo-jeng. Myśl, że ktoś, kto wyrósł z tego samego społeczeństwa co Nimue Alban, mógł wyciągnąć na światło dzienne tak wiele okropieństw będących świadectwem ludzkiej prymitywności i wprowadzić je na powrót do użytku, była Merlinowi tak wstrętne, że stopy i kompozyty przewracały mu się w żołądku. Schueler musiał spędzić niezliczone godziny, szperając po starożytnych dokumentach, by stworzyć tak szczegółowy katalog tortur, którymi mieli być raczeni „niewierni” w „przenajświętszym imieniu Boga”.

Ale najbardziej fascynująca ze wszystkich - i wkurzająca zarazem - była Księga Chihiro. Dodano ją do kanonicznych pism znacznie później, już po zamknięciu oryginalnego tekstu Pisma, takiego, jakie spoczywało w pamięci komputerów Jaskini Nimue.

Wynikało z niej, że akt zemsty Pei Kau-yunga za śmierć żony i przyjaciół zdołał wyeliminować zdecydowaną większość akolitów Langhorne'a. Sądząc po ogromnym spadku liczby Świadectw, w których ludzie opisywali historię nawiązań miast przez anioły, komandor zdołał także zlikwidować sporą część niższego personelu administratora. Nieestety, pomiędzy zabitymi nie było Maruyamy Chihiro, czczonego jako patrona osobistego bezpieczeństwa, występującego też pod mianem Strażnika Miast i co najważniejsze, oficjalnego historyka Boga w hagiografii Kościoła Boga Oczekującego. To właśnie on był autorem opisu cudownego stworzenia Schronienia... oraz kroniki upadku Shan-wei, Mrocznej Matki Zła, która splamiła czystość kreacji w imię przerośniętej ambicji i chciwości.

Maruyama nieźle to wszystko połączył, pomyślał z goryczą Merlin. Shan-wei, najświatlejsza ze wszystkich pomocników archanioła Langhorne'a, postrzegając Schronienie nie jako dzieło Boga, w którego powstaniu miała przywilej uczestniczyć, ale jako twórcę własnych rąk. I właśnie z powodu jej arogancji, zadufania i nadmiernej dumy wyniknęło całe zło istniejące teraz na Schronieniu.

Shan-wei sprzeciwiła się swojemu prawowitemu zwierzchnikowi, archaniołowi Langhorne'owi, a co za tym idzie samemu Bogu. Zdołała też przeciągnąć na swoją stronę archanioła Proktora, kusząc go, by złamał wszystkie pieczęcie strzegące zakazanej wiedzy. Archanioła Sullivana, który nauczył ludzkość chciwości i braku umiaru. Archanioła

Grimaldiego, którego wypaczone rozumienie nauk archanioła Truscotta doprowadziło do powstania wszelkich chorób i zaraz. Archanioła Stavrakisa mówiącego, iż należy stawiać własne bogactwo nad majątek Kościoła Boga Oczekiwanego, któremu do tej pory należał się każdy pierwszy zebrany owoc, pochodzący przecież od Pana. Archanioła Rodrigueza nauczającego kłamliwej i kuszącej tezy, że człowiek może i powinien ustanawiać prawa, pod którymi później będzie żył i pracował. Archanioła Aschera, Ojca Kłamstwa Wszelakiego, którego historycznie pokrecona wersja Pisma doprowadziła rzesze śmiertelników wierzących w słowa Shan-wei ku mrokom wiecznego potępienia. Nie mogło zabraknąć pomiędzy nimi najmroczniejszego i najgorszego z nich wszystkich - archanioła Kau-yunga, Ojca Zniszczenia, Pana Zdrady, który poraził śmiertelnie archaniołów Langhorne'a i Bedard, uderzając zdradziecko i bez ostrzeżenia w akcie zemsty za to, że ulubieniec Boga i jego zwierzchnik został zmuszony do przyzwania Rakurai, lśniącej Błyskawicy Pana, aby zrobiła porządek z Shan-wei i resztą upadłych akolitów. Kau-yung, który do tej pory był jednym z najbardziej zaufanych współpracowników archanioła Langhorne'a, wojownik wyznaczony do strzeżenia spokoju Schronienia, dał się w końcu uwieść ideom buntowników. To właśnie jego zdrada, mroczniejsza nawet od złych do szpiku kości uczynków Shan-wei, doprowadziła do ciężkich obrażeń śmiertelnych ciał archaniołów Langhorne'a, Bedard, Pasquale, Sondheima i wielu innych sług Pana; tych, którzy pozostali wierni Bogu i zostali zmuszeni, by wrócić do Niego, nie dokończywszy powierzonego im dzieła. Merlin nie pamiętał większości wymienionych w tej księdze „upadłych archaniołów”. CZAO odszukał dane o nich w komputerach jaskini, ale jeśli oryginalna Nimue poznała ich kiedykolwiek, musiało to nastąpić już po ostatnim upłynie świadomości do sztucznego mózgu androida. Jednakże kilka z wymienionych postaci było jej dobrze znanych. Między innymi Kau-yung i Shan-wei. Wiedza, w jak potworny sposób zostali oczernieni w oczach ponad pięćdziesięciu generacji kolonistów żyjących na Schronieniu od momentu ich śmierci, bolała Merlina nie mniej niż nóż wbity prosto w serce. Chociaż oddali własne życie, by ocalić tych ludzi przed wiecznym zniewoleniem, nie zostali okrzyknięci bohaterami, tylko najpotworniejszymi demonami, więcej nawet: źródłem wszelakiego zła i nieszczęść. Część jego umysłu pragnęła obnażenia fałszu zawartego w Piśmie, mógł przecież wsiąść do wahadłowca szturmowego, wypuścić wszystkie skimmery i zamienić tak zwaną Świątynię w dymiący krater, dając ludziom wyraźny dowód na to, że religia Langhorne'a została zbudowana na jednym wielkim kłamstwie. Ale nie potrafił tego zrobić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Lecz nadejdzie taki dzień, powtórzył dawną myśl. Nadejdzie dzień, w którym ludzie zamieszkujący Schronienie będą gotowi do wysłuchania i zaakceptowania prawdy. A gdy to nastąpi, Shan-wei, Kau-yung i wszyscy, którzy zginęli razem z nimi, zostaną zapamiętani takimi, jacy byli naprawdę. Merlin poczuł gniew narastający gdzieś w głębi obwodów jego sztucznego serca i natychmiast zamknął księgę. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na podążanie tą drogą, ale z drugiej strony rozumiał, że Pismo i tak zwany Kościół są jego prawdziwymi wrogami. Książęta Hektor i Nahrman oraz cała reszta spiskujących przeciw Charisowi byli niczym więcej niż przeszkodami na drodze prowadzącej do ostatecznego starcia. Chociaż, pomyślał, uśmiechając się pod wąsem, są przeszkodami, z którymi trzeba się uporać jak najprędzej. Sądzę, że nadszedł już czas, aby się tym zająć. Przywołał cyfrowy wyświetlacz, umiejscawiając go na powrót na skraju pola widzenia, i sprawdził czas. Przekalibrował już zegar, dostosowując go do dwudziestosześcioro godzinnej doby Schronienia. W tej chwili mijała trzydziesta pierwsza minuta okresu nazywanego Czuwaniem Langhorne. Na każdej innej skolonizowanej planecie czas ten nazwano by „kompensacyjnym” albo w skrócie „kompem”. Był to po prostu wycinek doby, dzięki któremu ludzie mogli dostosować niestandardowy dzień do tego znanego z Ziemi. Na

Schronieniu człowiek, który obudził się o północy, musiał spędzić Czowanie Langhorne'a w milczeniu, modląc się i kontemplując, co Bóg dla niego uczynił podczas kończącego się właśnie dnia, oczywiście dzięki wstawiennictwu najważniejszego archanioła.

Merlin jakoś nie miał ochoty na czuwanie w tej intencji.

Skrzywił się na tę myśl i wzmocnił czułość słuchu. Zaawansowane oprogramowanie zaczęło filtrować odbierane dźwięki, potwierdzając kompletną ciszę panującą we wnętrzu wieży Królowej Marythy. Poza posterunkiem stojącym na dole przy bramie w jej wnętrzu nie było żadnych strażników ani gwardzistów. Większość mieszkańców Schronienia, ze względu na problemy z oświetleniem, kładła się spać tuż po zmierzchu i wstawała bladym świtem. O tak późnej porze nieliczni goście przebywający w wieży spali już smacznie, a cała służba zgromadziła się w pokojach na najniższej kondygnacji, drzemiąc i oczekując na dźwięk dzwonka przyzywający ją, gdyby któryś z mieszkańców zechciał skorzystać z ich usług. Na ten właśnie moment czekał Merlin.

- Sowo - wyszeptał.

- Tak, komandorze poruczniku? - Syntetyczny głos sztucznej inteligencji natychmiast odezwał się we wbudowanym komunikatorze.

- Jestem gotów - powiedział Merlin - Przyślij skimmer tak, jak to było ustalone.

- Tak, komandorze poruczniku.

Merlin wstał, przygasił płomyki w lampach i otworzył na oścież okno. Wspiął się na szeroki wykusz i usiadł na nim, opuszczając nogi prosto w mrok nocy i opierając się ramieniem o ścianę, aby popatrzeć przez chwilę na panoramę portu.

Na nabrzeżu nawet o tak późnej porze panował ożywiony ruch: tragarze kończyli wyładunek i załadunek towarów, a szyprowie stali nad nimi, przestępując z nogi na nogę, mając nadzieję na wyruszenie z pierwszym przyływem. Przy knajpach i burdelach także panowało poruszenie. Wzmocniony słuch Merlina pozwalał mu wychwycić dobiegające z od-dali śmiechy, muzykę, pijackie śpiewy i odgłosy zwady. Słyszał także - i widział - czujnych strażników stojących na posterunkach albo kroczących ustalonymi trasami po pałacowych murach. Po przybliżeniu obrazu wież strzegących ufortyfikowanego portu i otaczających je baterii dział dostrzegł także załogi tamtejszych umocnień.

Siedział w oknie przez kilka minut, przypatrując się cierpliwie widokom, zanim znów usłyszał głos Sowy.

- Przewidywany czas przybycia skimmera to jedna minuta, komandorze poruczniku - zameldował komputer.

- Przyjąłem - wyszeptał ponownie Merlin, chociaż wiedział, że nie jest to konieczne. Transmisje z kompaktowego nadajnika dalekiego zasięgu, umieszczonego w miejscu, gdzie ludzie zazwyczaj mają trzustkę, biegły najpierw do SAPK-a wiszącego na geostacjonarnej orbicie nad Kowadłem - sporym morzem, czy też mniejszym oceanem, leżącym na północ od Ziemi Margaret, by po odbiciu od jego przekaźników trafić do anten systemu komunikacji Sowy, znajdujących się ponad czternaście tysięcy kilometrów dalej - nie, przepraszam, ośmiu tysięcy siedmiuset cholernych mil, poprawił się Merlin - w Górach Światła. SAPK-i i systemy nasłuchowe przy jaskiniach były wyposażone w najpotężniejsze urządzenia maskujące (co okazało się o wiele przydatniejsze, niż początkowo sądził Merlin), podobnie zresztą jak nadlatujący od północy skimmer, który unosił się nad pobliskim morzem przez cały ostatni dzień.

Merlin wychylił się, sięgając ręką w górę, aby pochwycić załom muru wieży Królowej Marythy, nie tracąc przy tym równowagi. Potem podciągnął się i przysiadł na samej krawędzi wykusza.

- W porządku, Sowo, możesz mnie odebrać - powiedział.

- Tak, komandorze poruczniku - odparła sztuczna inteligencja.

Moment później promień ściąający z maszyny wiszącej ponad tysiąc metrów nad dachami Tellesbergu sięgnął okna i delikatnie podjął stojącego w nim człowieka.

Merlin wznosił się bez wysiłku, w całkowitej ciszy, prosto w ciemność, obserwując miasto daleko pod stopami. To właśnie tym „cudownym” sposobem Langhorne i jego aniołowie zstępowali z nieba i wracali do niego w dawnych czasach. Merlin z trudem powstrzymał się przed publicznym użyciem skimmera. Zwiadowczy model, z którego korzystał w tej chwili, został skonfigurowany tak, aby pełne maskowanie było aktywne, co znaczyło, że jego skóropodobny pancerz imitował w tym momencie widok nocnego nieba znajdującego się nad maszyną. Dzięki temu unoszący się w powietrzu skimmer stał się niewidoczny dla ludzkiego oka, chociaż i Merlin nie potrafił go dostrzec od chwili, gdy maszyna uaktywniła systemy zabezpieczenia przed wykryciem za pomocą najbardziej nawet skomplikowanych sensorów. Ale ten sam pancerz i normalne reflektory mogły wytworzyć oślepiającą jasność, zwaną tutaj kyousei hi, kojarzoną z przybywaniem aniołów. W połączeniu z parametrami CZAO przekraczającymi ludzkie zdolności i technologiami, które Kau-yung i Shan-wei zdołali ukryć, Merlin mógł bez problemu wykonać każdą sztuczkę, jaką kiedykolwiek zaprezentowali „aniołowie”.

Ale Nimue niemal natychmiast odrzuciła taką możliwość. Coś się w niej buntowało na samą myśl, że mogłaby pójść śladami Langhorne'a i Bedard, chociaż istniały także bardziej praktyczne przyczyny tych obiekcji. Prędzej czy później musiała wyznać komuś prawdę i właśnie z tego powodu Merlin nie powinien nikogo okłamywać. Podejrzał jednak, że polityka unikania kłamstw, choć wydaje się prosta, może być zarazem bardzo trudna. Niemniej gdy nadejdzie czas ujawnienia całej prawdy, nikt nie będzie mógł mu zarzucić, że kiedykolwiek skłamał. Nie mógł do tego dopuścić, skoro chciał otworzyć ludziom oczy na znacznie większe łgarstwo, którym spętano tę planetę przed setkami lat.

Co może ważniejsze, zastąpienie jednej fałszywej religii drugą, równie nieprawdziwą, nie pozwoliłoby Nimue Alban zakończyć zadania, którego się podjęła. „Boskie wyroki”, których należało słuchać, nie zadając pytań, nie pomogłyby w szerzeniu prawdziwej wolności, swobody myśli i zachowań, na jakich ukształtowanie trzeba będzie dziesiątków, jeśli nie setek lat. A pojawienie się „anioła”, który zacząłby głosić doktryny sprzeczne z dotychczasowymi naukami Kościoła i Piśmą, nie tylko nie przyczyniłoby się do rozwiązania sprawy, ale wręcz podniosło morze oskarżeń o demoniczne pochodzenie reformacji. To zaś doprowadziłoby z całą pewnością do otwartej wojny religijnej, która tak czy inaczej wydawała się nieunikniona, chociaż Nimue wierzyła, że przy odpowiednim podejściu zdoła przynajmniej zminimalizować jej skutki i odsunąć w czasie o jedno albo nawet dwa pokolenia.

Chroniąca skimmer gruba czasza ze zbrojoplastu rozsunęła się, a promień ściąający umieścił Merlina na wysuwanej, zewnętrznej drabince. Wspiął się po niej szybko i usadowił w wygodnym, choć niezbyt obszernym fotelu pilota, zanim drabinka została ponownie ukryta pod pancerzem. Osłona zamknęła się z cichym syknięciem, a gdy została uszczelniona, Merlin znalazł się w idealnie cichym kokonie kokpitu, czując na ręce leciutki, ale nieustępujący nacisk pola trakcyjnego, gdy sięgał w stronę manetki.

- Przejmuję sterowanie - poinformował Sowę.

- Przejął pan sterowanie, komandorze poruczniku - przytaknęła sztuczna inteligencja, pozwalając Merlinowi przejść z trybu unoszenia do lotu poziomego, a potem zgodnie z ruchem manetki wznieść się łagodnie.

Skimmer przyspieszał prawie niewyczuwalnie, wskazówka prędkościomierza już po chwili wskazywała prędkość siedmiuset kilometrów na godzinę. Merlin mógł przyspieszyć jeszcze bardziej, skala prędkościomierza atmosferycznego kończyła się na sześciu machach, ale nie miał ochoty budzić miasta, przekraczając barierę dźwięku. Ludzie uznaliby ten dźwięk za odgłos pioruna, nawet w bezchmurną noc jak ta, lecz przy częstszym powtarzaniu

tajemniczego hałasu na pewno nabraliby podejrzeń. Przyjdzie taki czas, że nie będzie miał wyboru, dziś jednak nie zamierzał wyrabiać złych nawyków.

Skierował maszynę na północny zachód od Tellesbergu, w przeciwną stronę od miejsca, gdzie Cayleb spotkał jaszczurodrapa i bandę zamachowców - po chwili minął wybrzeże i pomknął nad wzburzonymi wodami południowej części Zatoki Howella. Z tak dużej wysokości widział przydymione światła fortecy na Piaskowej Ławicy oraz Wyspę Heleny leżącą setki kilometrów dalej, za ogromnym akwenem wodnym, ale nie zwrócił na nie tym razem uwagi. Leciał, utrzymując dotychczasowy kurs, potem skręcił lekko na zachód i nie dotknął ponownie sterów, dopóki nie zamajaczyły przed nim strome szczyty Gór Styvyna. Masyw ten piętrzył się niczym wysoki wał, istna ściana przegradzająca południowy kraniec przesmyku łączącego Charis z Ziemią Margaret. Skomplikowana pisownia nazwy tego pasma świadczyła dobitnie o tym, że zostało ono ochrzczone długo po tym, jak „archanioł” Hastings przygotowywał swoje mapy. Zapewne nie dawniej niż sto, dwieście lat temu. Do dzisiaj okolice te pozostały wyjątkowo rzadko zaludnione. Najwyższe szczyty wznosiły się tutaj na niebotyczną wysokość trzech tysięcy metrów - czyli dziesięciu tysięcy stóp, poprawił się poirytowany Merlin, wiedząc, że musi się w końcu przyzwycząić do stosowania lokalnego systemu miar - ale stosunkowo mała liczba mieszkańców nie skłaniała ludzi do przenoszenia się na mniej dostępne, wyższe i znajdujące się dalej od wybrzeża tereny. A to pasowało idealnie do planu Merlina.

Dotarł właśnie do celu znajdującego się niespełna dwieście mil od stolicy Charisu i zatrzymał skimmer, nakazując mu zawisnięcie nad położoną wysoko w górach doliną. Miejsce to na pierwszy rzut oka niewiele się różniło od reszty tutejszych odludzi. W dole rozciągało się kilka połaci porośniętych ziemską roślinnością, która gubiła się w morzu miejscowych „sosen” (które rzeczywiście przypominały z wyglądu to popularne na ziemi drzewo, może z wyjątkiem niezwykle śliskiej, niemal jedwabistej kory i o wiele dłuższych igieł) oraz wszechobecnej gęstwiny tutejszych pnączy. Gdyby nie przeszczepiono na te tereny ziemskiej roślinności, nie byłoby też tutaj środowiska odpowiedniego dla wielu gatunków zwierząt czy ptaków przeniesionych ze stałej planety i obecnie wypieranych, powoli, ale nieustannie, z dziewiczych terenów, które zdobywali i zagospodarowywali ludzie. Znajdowało się tu także całkiem sporo rodzimej fauny Schronienia i Merlin uświadomił sobie nagle, że taki jaszczurodrap albo smok nie skojarzy z pewnością, iż CZAO są niejadalne, dopóki nie przekona się o tym osobiście, próbując go pożreć.

Uśmiechnął się na myśl, że któryś z tutejszych drapieżców może się niemile zdziwić, przeżuwając pozbawione smaku członki nieszczęsnego androida, a potem włączył niezwykle szczegółową mapę terenu, którą Sowa sporządziła dla niego, wykorzystując zdjęcia satelitarne wykonane przez jednego z SAPK-ów przed zaledwie kilkoma dniami. Tutaj. Opuścił skimmer lotem ślizgowym, powoli wytracając wysokość.

Mroczna paszcza jaskini wyglądała jak głęboka rana zięjąca w górskim masywie. Teraz, kiedy oglądał ją na własne oczy, wydała mu się jeszcze większa, zwłaszcza że mógł ją porównać z rozmiarami skimmera. Wprowadził smukłą maszynę do wnętrza otworu, którego średnica przekraczała ponaddwukrotnie szerokość pancerza, wliczając w to niewielkie skrzydła, i otwierała się w jeszcze obszerniejszą czeluść. Nawet po przeleceniu stu metrów - czyli trzystu trzydziestu stóp, jak to sobie szybko przeliczył, tym razem niemal automatycznie - miał sporo miejsca nad stabilizatorem pionu. Merlin zawrócił ostrożnie maszynę i ustawił tak, by jej dziób celował prosto w noc panującą za szerokim wylotem. Nieźle, pomyślał. Całkiem nieźle.

Prawdę powiedziawszy, było idealnie. Przelot z Tellesbergu, nawet z niewielką prędkością, na jaką sobie pozwolił tej nocy, trwał mniej niż pół godziny i doprowadził go do miejsca odległego o trzydzieści, jeśli nie czterdzieści mil od najbliższej ludzkiej sadyby, a jaskinia rzeczywiście okazała się na tyle duża, że mogła posłużyć za hangar dla skimmera. Panowała

tu może zbyt duża wilgotność, a po południowej ścianie ściekały strugi wody, co mogło być związane z wysokim położeniem tego miejsca, ale te czynniki nie odgrywały w jego planie żadnej roli. Skimmer po wyłączeniu i uszczelnieniu luków mógł zostać zanurzony na długi czas w słonej wodzie bez żadnej szkody dla mechanizmów.

W jaskini dało się zauważyć ślady bytności jakiegoś wielkiego zwierzęcia - smoka, sądząc po pozostawionych resztkach pożywienia, na pewno nie wyglądających jak pasza roślinożercy - które miało tutaj legowisko, ale to też było mało istotne dla sprawy. A mogło się nawet okazać pomocne. Największy nawet smok miałby spore problemy z naruszeniem pancerza bojowego skimmera, a gdyby w tej odludnej okolicy pojawili się jakimś cudem myśliwi, szanse na to, że zaczną myszkować w jaskini będącej legowiskiem najbardziej przerażającej bestii zamieszkującej ziemię Schronienia, wydawały się mniejsze od zera. Tyle tylko, że reszta sprzętu nie jest tak odporna jak skimmer, przypomniał sobie Merlin. Chyba będąc musiał postawić tutaj jakieś bariery soniczne.

Kopie notatek z okresu terraformowania planety, które mu pozostawiono, zawierały masę informacji na temat tutejszego ekosystemu. Shan-wei i jej ludzie dość szybko ustalili, jakie częstotliwości soniczne nadają się najbardziej do odstraszenia przedstawicieli miejscowej fauny. Jeśli Merlin pracuje chwilę nad ustawieniem odpowiednio mocnego natężenia dźwięku, zyska pewność, że nawet smoki będą się trzymały z dala od delikatnego sprzętu, ale nie zostaną odstraszone na tyle, by zacząć sobie szukać nowych gniazd.

Zawiesił maszynę na wysokości metra - czyli trzech stóp - nad w miarę wyrównanym fragmentem podłoża. Standardowe dźwigary ładownika miały wystarczającą długość, by zniwelować nieuniknione odchylenia od pionu. Merlin pokiwał głową z zadowoleniem, widząc, że jaskinia nadaje się do jego celów.

- Sowo?

- Tak, komandorze poruczniku?

- To miejsce jest idealne - powiedział. - Przygotuj się do wysłania transportera jutro w nocy, ale nie rozpoczynaj rozładunku, dopóki nie dotrę tutaj na skimmerze i nie rozstawię ogrodzenia sonicznego.

- Tak jest, komandorze poruczniku.

- I nie zapomnij omijać wszystkich większych miejscowości po drodze.

- Tak jest, komandorze poruczniku.

Przez moment Merlinowi wydawało się, że w głosie komputera pojawił się cień urazy Ale to przecież niemożliwe.

- Czy masz zdjęcia z dziennej obserwacji?

Kolejne zbyteczne pytanie, zganiał się w myślach, przecież Sowa musi mieć te zdjęcia, skoro prowadziła obserwację!

- Tak jest, komandorze poruczniku - odpowiedziała sztuczna inteligencja.

- Świetnie. Czy księżę Nahrman albo baron Shandyru mówili coś jeszcze o zaangażowaniu księcia Tirianu w zamach?

- Nie, komandorze poruczniku.

Merlin skrzywił się na tę wiadomość. Nie potrafił zebrać wystarczającej ilości informacji na temat księcia Tirianu. Namierzył go jako kolejnego gracza biorącego aktywny udział w tej rozgrywce dopiero niedawno, ale księżę okazał się bardzo ostrożny w doborze ludzi, z którymi rozmawiał, a kiedy już otwierał usta, dbał o to, by nie powiedzieć niczego konkretnego. Nie potrafił wprawdzie uniemożliwić Merlinowi podsłuchania każdej rozmowy, o której ten się dowiadywał, ale w ich trakcie padało niewiele konkretów. W dodatku niezwykła powściągliwość królewskiego kuzyna nie pozwalała na dokonanie porządnej interpretacji jego słów, co doprowadzało Athrawesa do szału.

Jedno tylko było pewne - księżę nie cierpiał Nahrmana, chociaż Merlin nie umiał jeszcze powiedzieć, jak szybko zechce zatopić sztylet w plecach władcy Szmaragdu. Niestety,

zważywszy na pozycję księcia, jego rodzinę i koneksje, oskarżenie go o zdradę mogłoby okazać się bardzo niezręcznym posunięciem. Był to jeden z powodów, dla którego Merlin nie wyjawiał jego udziału w spisku Haarahldowi. Drugim, nie mniej ważnym, było to, że chciał zdobyć niepodważalny dowód, zanim następnego ranka zasiądzie do rozmów z najbardziej zaufanymi doradcami króla.

- Przypuszczam, że księżę nie zrobił niczego, co ułatwiłoby nam zadanie - ni stwierdził, ni zapytał.

- Nie, komandorze poruczniku.

Merlin skrzywił się raz jeszcze, tym razem śmiejąc się cicho. Zgodnie z instrukcją obsługi dostarczoną przez wytwórcę, komputery typu RAPIER potrafiły się porozumiewać z ludźmi za pomocą stu tysięcy słów. Jego Sowa do tej pory nie użyła więcej niż sześćdziesięciu.

- Rozumiem, Sowo. Wgraj zebrane przekazy do systemu pokładowego skimmera.

Przejrze je w czasie drogi powrotnej do Tellesbergu.

- Tak jest, komandorze poruczniku.

Sowa potrafiła kontaktować się ze wszystkimi pluskwami, które Merlin rozmieścił w najrozmaitszych miejscach Schronienia. W tym momencie jego uwaga koncentrowała się na Charisie, Szmaragdzie i Corisandzie, ale nie zapominał także o Syjonie i królestwie Tarota. Nawet królowa Sharleyan miała jedną pluskwę zamontowaną w suficie sali tronowej i drugą, w komnacie tajnej rady.

Mimo że Merlin potrzebował o wiele mniej snu niż ludzie, brakowało mu czasu na przejrzanie wszystkich nagrań dostarczanych przez niewidzialnych agentów. Dlatego też poinstruował Sowę, jakie imiona, nazwy i wydarzenia powinna wychwytywać. Sztuczna inteligencja otrzymała ponadto listę bardziej ogólnikowych słów kluczy - takich jak „zamach” albo „łapówka” - a nawet całych zdań, w odróżnieniu od Merlina bowiem cechowały ją dwie zalety; mogła współpracować jednocześnie z wieloma kanałami monitoringu i była absolutnie odporna na znudzenie.

Transmisja zajęła zaledwie kilka sekund. Potem błysnęła zielona kontrolka, oznaczająca zakończenie przekazywania danych. Merlin pokiwał głową z zadowoleniem i spojrzał na ekran.

- Czy w twoich analizach dotyczących platform Rakurai pojawiły się jakieś nowe elementy? - zapytał.

- Tak, komandorze poruczniku - potwierdziła sztuczna inteligencja i zamilkła, zmuszając Merlina do przewrócenia oczami.

- W takim razie racz mnie poinformować, co też wykombinowałaś, żeby je zlikwidować.

- Nie zdołałam stworzyć planu, dzięki któremu mogliśmy je zniszczyć, komandorze poruczniku - stwierdziła z pełnym spokojem Sowa.

- Co takiego? - Merlin wyprostował się w fotelu, mrużąc oczy z rozdrażnienia. - Dlaczego?

- Platformy z bombami kinetycznymi i panele słoneczne zostały umieszczone w samym środku sfery systemu obronnego i skanerów pasywnych, której żadna z posiadanych przeze mnie broni nie będzie w stanie spenetrować - poinformowała go sztuczna inteligencja. - Analizy sugerują, że większość tych instalacji została tam umieszczona już po tym, jak komandor Kau-yung zniszczył enklawę nad Jeziorem Pei.

- Po śmierci Langhorne'a?

- Tak jest, komandorze poruczniku. — Odpowiedź znów zaskoczyła Merlina, chociaż tylko odrobinę. Sztuczna inteligencja nie radziła sobie zbyt dobrze z rozpoznawaniem pytań, zwłaszcza retorycznych, dlatego precyzja odpowiedzi zależała od uszczegółowienia wypowiedzianych kwestii.

- Czy masz może jakąś hipotezę na temat przyczyn umieszczenia ich tam w późniejszym czasie?

- Bez dostępu do szczegółowych danych historycznych nie jestem w stanie przedstawić żadnej sensownej hipotezy na ten temat - odparła Sowa. - Jednakże, po ustaleniu strategii działania administracji Langhorne'a przed tymi wydarzeniami, a także po uwzględnieniu faktu, że komandor Pei był utrzymywany w stanie kompletnej niewiedzy na temat istnienia orbitalnego systemu bombardowania aż do momentu uderzenia na Enklawę Aleksandryjską, można założyć, że ocaleni następcy administratora obawiali się kolejnych aktów „niełojalności”, zwłaszcza ze strony sił militarnych podległych wcześniej komandorowi Pei. Przyjęcie takiego założenia prowadzi do konkluzji, że wzmocnienie osłony platform byłoby logicznym posunięciem zarządu kolonii.

Merlin zmarszczył brwi na kilka długich sekund - nie ze złości, ale w głębokim zamyśleniu - a potem powoli skinął głową.

- To wydaje mi się całkiem sensowne - pomyślał na głos - ale nadal nie rozwiązuje naszych problemów.

Sowa nie odpowiedziała, a on, rozbawiony jej małowiernością, roześmiał się na cały głos. Potem jednak znowu się zamyślił.

Platformy z pociskami kinetycznymi, których użyto do ataku na Shan-wei, nadal istniały, krążąc w absolutnej ciszy po orbicie planety. Wprawdzie Merlin nie miał niczego na poparcie tej tezy, ale przypuszczał, że ich zadaniem było zbombardowanie każdego naziemnego źródła energii świadczącego

o tym, że mieszkańcy Schronienia wylamali się spod dyktanda zakazów zawartych w Księdze Jwo-jeng. Na przykład budując elektrownię.

Oszacowanie mocy źródła potrzebnej do aktywowania platform było praktycznie niemożliwe, ale Księża Chihiro ostrzegała wiernych, że ten sam Rakurai, który zmiążdżył złą Shan-wei, czeka, aby ukarać każdego, kto odrzuci Pana

i spróbuje kroczyć jej śladami. Zgodnie z tym, co napisano w Piśmie, błyskawice pojawiające się podczas burz są znakiem pozostawionym przez Boga, aby grzesznicy pamiętali, jaka kara ich czeka. Było to całkowite odwrócenie symboliki chrześcijańskiej, w której Noe miał ujrzeć tęczę zwiastującą koniec potopu.

Sowa zdołała uzyskać całkiem wyraźne zdjęcia wszystkich platform, wykorzystując dostępne systemy skanerów pasywnych, ale pierwszy z SAPK-ów, którego odważyła się posłać na aktywny zwiad, został natychmiast zdjęty przez uzbrojoną w działa laserowe platformę antyrakietową. Drużyna poleciał w kierunku strefy ochronnej z maksymalnymi zabezpieczeniami, ale został wysledzony i zniszczony tysiące kilometrów od najbliższego celu. To była aż nadto wyraźna odpowiedź na pytanie, czy urządzenia orbitalne zasilane przez baterie słoneczne są nadal aktywne. Jednocześnie żaden z systemów nie reagował na przypadkowe pojawienie się przelatujących w większej odległości skimmerów, SAPK-ów, a nawet transmisji radiowych.

Być może twórcy systemu obawiali się, że mogą mieć małe problemy z własną bronią, gdy ta zacznie odstrzeliwać tyłki kolejnym „aniołom” udającym się z misją na powierzchnię planety, pomyślał zjadliwie. Zatem to cholerstwo czeka tylko na pojawienie się oznak przekroczenia granic wyznaczonych przez Jwo-jenga. Ale niewykluczone też, że może być wykorzystane w inny sposób, jeśli otrzyma rozkazy ze źródeł ukrytych pod Świątynią. Mają tam sześć wciąż pełnych wyrzutni, z których każda jest w stanie zniszczyć obszar równy połowie kontynentu, przynajmniej według szacunków Sowy. To źle. To bardzo źle.

- Czy nie mamy niczego, czym moglibyśmy dostać się wystarczająco blisko, aby wykonać zadanie? - zapytał po niemal minucie milczenia.

- Nie mamy, komandorze poruczniku.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie posiadamy na składzie broni o tak dużym zasięgu, żeby instalacje obronne nie zniszczyły jej nośnika, zanim podejdzie na odległość strzału, komandorze poruczniku. Żadna z platform, jakie posiada pan do dyspozycji, nie ma też wystarczająco mocnych systemów maskowania, by wejść wystarczająco głęboko w strefę obrony.

- Rozumiem. - Merlin skrzywił się, potem wzruszył ramionami. - Skoro tak, to nie ma rady. Zajmijmy się teraz naszymi sprawami, może po drodze któreś z nas wymyśli sposób, jak obejść ten problem.

Sowa nie odpowiedziała, a Merlin znów się roześmiał. Takt czy tępota? - pomyślał. Ale to nie miało znaczenia. Jakkolwiek wyglądała ta sprawa, nie musiał z jej powodu walić głową w mur, przynajmniej teraz.

Odłożył ten problem na bok i odchylił się na fotelu pilota, po raz kolejny podrywając skimmer do lotu. Tym razem, podczas lotu na południowy zachód, pozwolił mu osiągnąć prędkość czterech machów. Kurs do kolejnego celu, nawet przy tak wielkiej prędkości, powinien zabrać mu ponad godzinę, dlatego od razu wcisnął klawisz odtwarzania, by zapoznać się z pierwszym nagraniem dostarczonym przez Sowę.

Noc wciąż jeszcze była młoda, gdy Merlin wyłączył odtwarzanie materiałów zebranych przez pluskwy, znajdując się pięć tysięcy kilometrów i niemal półtorej godziny lotu od miejsca poprzedniego postoju. Większość nagrań, jak zwykle zresztą, okazała się kompletnym nudziarstwem bądź irytująco niezrozumiałym bełkotem, a najczęściej mieszaniną nudy i bezsensu. Niemniej z morza nicości wyłaniały się od czasu do czasu smaczne kąski.

Ale w tym właśnie momencie Merlin nie skupiał się na nich, tylko spoglądał w dół z zaciętą twarzą.

Miejsce to mieszkańcy Schronienia nazywali dzisiaj Rafą Armagedonu. Dawno temu określano je mianem Aleksandrii, ale naprawdę dużo wody upłynęło od tego czasu, a nowa nazwa nie została wybrana przypadkowo.

Niemal tysiąc kilometrów, licząc od wschodniego krańca po zachodni - tyle mierzyła Zatoka Rakurai, stanowiąca serce Rąfy Armagedonu, najbardziej przeklętego miejsca na Schronieniu, które kiedyś wybrano, by zbudować Enklawę Aleksandryjską. Wyspa, na której osiedlili się koloniści, wciąż istniała, ale była teraz o wiele mniejsza niż w tamtych czasach, wyglądała też zupełnie inaczej, przypominając raczej księżycowy krajobraz pokryty setkami kraterów po uderzeniach niż żywną planetę.

Langhorne nie zadowolili się zniszczeniem enklawy stworzonej przez Shan-wei i zamordowaniem wszystkich jej współpracowników oraz przyjaciół. Tutaj mieszkali także zwykli koloniści. Wielu z nich w samej Aleksandrii, reszta na wybrzeżach niewielkiego kontynentu otaczającego gigantyczną zatokę. Ich także musiał zniszczyć, dlatego że mogli być zarażeni „herezjami” wypowiedzanymi przez Shan-wei.

Poza tym, pomyślał Merlin, ten bękart chciał przekazać wszystkim wyraźny komunikat. Nie, on po prostu chciał pobawić się pieprzoną zabaweczką, którą właśnie stworzył. Dupa, nie Rakurai!

Nagle zdał sobie sprawę, że zaciska dłoń na manetce sterowania, co może mieć poważne skutki dla maszyny. Nawet z ogranicznikami, które pozakładał na siłę mięśni CZAŁO, mógł trwale uszkodzić sprzęt pokładowy, gdyby się zapomniał. Musiał się uspokoić, i to natychmiast.

Ale to było trudne.

Z tej wysokości, dzięki wzmocnionemu wzrokowi, mógł zauważyć bez trudu nawet w panujących na zewnątrz ciemnościach, w jak wielkim stopniu pociski kinetyczne

zniszczyły ten kontynent, unicestwiając życie w polu rażenia o średnicy niemal tysiąca ośmiuset kilometrów. I to nie raz. Ni- mie miała wystarczająco dużo czasu, by przekopać się przez tony raportów przesyłanych przez SAPK-i, które sprawdzały na jej rozkaz miejsce pradawnego ludobójstwa dzięki programom analizującym Sowę. Z dostarczonych materiałów wynikało niezbicie, że Langhorne wysłał trzy kolejne fale sztucznych meteorytów, aby zmieść z powierzchni Schronienia enklawę znajdującą się na tym kontynencie. Samej Aleksandrii poświęcił jeszcze więcej uwagi. W wyspę uderzyło co najmniej pięć salw kinetycznych. Nawet dzisiaj, osiemset lat po tych wydarzeniach, Merlin mógł dostrzec ślady potworzonych zniszczeń.

Ale nie zabiłeś wszystkich, draniu, pomyślał z goryczą. O nie. Znając cię, wiem, że zadbałeś, aby pozostali jacyś świadkowie.

Tak właśnie uczynił Langhorne. Ocalił od zniszczenia tylko jedną niewielką osadę, aby jej przerażeni mieszkańcy mogli opowiedzieć wszystkim o deszczu ognistych piorunów spadających z nieba - o Rakurai zesłanym przez Boga - który pokarał Shan-wei i pozostałych upadłych aniołów za zło, którego się dopuścili. Archaniołowie przylecieli do ocalonej osady po bombardowaniu i zabrali ze sobą wszystkich jej mieszkańców, rozmieszczając potem, rodzina po rodzinie, w kolejnych miastach i wsiach Schronienia. Według wersji oficjalnej, ludzie ci zostali ocaleni, ponieważ w odróżnieniu od swoich współbraci byli wolni od grzechu. Archanioł uratował kiedyś Lota i jego rodzinę przed zagładą Sodomy i Gomory, ocalił ich, gdyż pozostali wierni Bogu i głoszonym przez Niego prawom. Ale tym ludziom darowano życie tylko po to, by mogli nieść świadectwo niebawalej potęgi gniewu Pana... i głosić prawdę o losie tych, którzy ośmielali się przeciwstawić Jego namiestnikowi na Schronieniu, archaniołowi Langhorne'owi.

Merlin nie miał powodu, by przylatywać w to miejsce. Chociaż może niezupełnie... Wiedział już od dawna, co tu się wydarzyło, dysponował relacjami nagranych przez SAPK-i.

Wszystkie one były całkowicie zgodne z tym, co mógł teraz ogarnąć swoimi sztucznymi oczami i co przekazywał do elektronicznego ducha Nimue Alban, ukrytego w mechanicznym ciele. Nie miał powodu. Nie miał go aż do tej chwili.

CZAO zostały zaprogramowane w taki sposób, by mogły reagować jak prawdziwi ludzie. Potrafiły przybierać rozmaite miny, aby naśladować emocje swoich operatorów, chyba że ci im tego wyraźnie zabronili. Merlinowi nie zainstalowano żadnych tego rodzaju ograniczeń, ponieważ emocje, podobnie jak blizna, którą Nimue z wielkim rozmysłem umiejscowiła na jego policzku, miały być częścią kamuflażu koniecznego do przekonania innych mieszkańców tej planety, że on także jest człowiekiem. Ale bez względu na to, z czego było zbudowane jego ciało, Merlin czuł się jednym z ludzi i dla tego elektroniczny mózg wcale się nie zdziwił, gdy dostrzegł błysk łzy spływającej po prawym policzku.

Wisił wysoko w powietrzu nad miejscem dotkniętym przed wiekami okrutnym kataklizmem, masowym mordem dokonany - wedle oceny jego zmysłów - zaledwie kilka miesięcy temu. Nie trwało to długo, choć wydawało mu się, że chwila ciągnie się w nieskończoność. Zatrzymał się tutaj, by opłakać poległych i obiecać im, że bez względu na to, jak długo będzie to trwało i jak wielkich wyzwań będzie wymagało, cel, dla którego zginęli, zostanie osiągnięty.

Langhorne i jego sługusy nazwali to miejsce Rafą Arma-gedonu, miejscem, gdzie „dobry” Bóg zatriumfował po wsze czasy nad „złem wcielonym”. Ale tu się pomylili, pomyślał chłodno Merlin. Zagłada, którą sprowadzili tu na ludzi, nie była ostatnim aktem tej wojny, ale zaledwie wstępem do niej, a jej zakończenie dalekie będzie od ich wizji.

Szybował nad tym miejscem, czując, jak dana ofiarom obietnica wsiąka w jego kompozytowe kości, a potem skierował dziób skimmera na wschód i ruszył w stronę słońca, pozostawiając za plecami siedlisko niezgłębionego smutku i żalu.

VIII

Pałac królewski, Tellesberg, Królestwo Charisu

W

asza wysokość - odezwał się dystyngowany mężczyzna, pochylając z szacunkiem głowę zaraz za progiem pokoju narad.

- Rayjhis - odpowiedział natychmiast król Haarahld.

Przybysz wyprostował kark i podszedł do krzesła stojącego na krańcu długiego stołu. Tam zatrzymał się i poczekał, aż władca skinieniem dłoni da mu przyzwolenie na zajęcie miejsca. Podporządkował się woli króla i usiadł niezwłocznie na bogato rzeźbionym siedzisku. Merlin obserwował go uważnie, zachowując przy tym całkowicie obojętny wyraz twarzy. Jego SAPK-i i pluskwy śledziły tego człowieka nieprzerwanie od kilku miesięcy, ale znalezienie się z nim twarzą w twarz było zupełnie innym przeżyciem.

Rayjhis Yowance, hrabia Szarej Zatoki, najważniejszy z doradców Haarahlda VII i przewodniczący jego osobistej Rady - co czyniło z niego w istocie premiera Charisu, chociaż termin ten (jak i samo stanowisko) nie były jeszcze znane na Schronieniu - był przeciętnego wzrostu, jak na Charisjanina, ale zawsze chodził dumnie wyprostowany niczym człowiek, który doskonale zna swoją wartość. Starszy od króla, w odróżnieniu od niego nie nosił zarostu. Długie włosy, spięte z tyłu głowy w staromodny kucyk, wciąż jeszcze niezwykle modny wśród pomniejszej wiejskiej szlachty oraz oficerów marynarki wojennej, naznaczone zostały siwizną, lecz ciemne oczy nie straciły nic z dawnej czujności i blasku. Zwisający z jego szyi urzędowy łańcuch był mniej wykwintny niż ten, który zdobił pierś Haarahlda, nie dało się na nim też zauważyć ani jednego z królewskich szmaragdów; także tunika miała znacznie uboższe hafty, chociaż wykonano ją z równie świetnego materiału i przyozdobiono identycznym berłem pielgrzyma.

Pomimo doskonałego kroju i rzucającej się w oczy wartości szat sprawiał wrażenie człowieka twardego, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale czyż nie tego właśnie należało oczekiwać po najważniejszym z doradców króla? Aura, którą roztaczał, miała niewątpliwie wiele wspólnego z dwudziestoma latami spędzonymi na morzu podczas służby w marynarce wojennej, zanim nagła śmierć jego bezdzietnego starszego brata oddała mu prawo do tronu hrabstwa Szarej Zatoki i zmusiła tym samym do rezygnacji z pełnionych stanowisk. Dzisiejszy hrabia wyruszył na morze jako kadet aspirujący do stanowiska midszypmena, mając zaledwie jedenaście lat, aby wkrótce po dwudziestych ósmym urodzinach otrzymać dowodzenie pierwszą jednostką, to zaś pozwoliło mu wziąć udział w wielu zaciętych bitwach morskich, zanim stał się kolejnym, wymuskanym politykiem.

Hrabia Szarej Zatoki odpowiedział na spojrzenie Merlina z równie nieprzeniknioną miną, rozbawiając go, choć tylko mentalnie. Najstarszy z doradców musiał umierać z ciekawości, zważywszy na krążące po pałacu plotki o próbie zamachu i tajemniczym zbawcy księcia Cayleba. Rayjhis Yowance bez wątplenia należał do grona najlepiej poinformowanych ludzi w mieście, ale w tym konkretnym przypadku niewiele mu to dało.

Król otwierał właśnie usta, aby rozpocząć obrady, gdy drzwi komnaty otworzyły się ponownie. Kolejny mężczyzna przekroczył jej próg, ale w odróżnieniu od hrabiego uczynił to znacznie szybszym krokiem.

Przybysz przerastał Rayjhisa co najmniej o głowę, ale mimo przepięknych szat i lśniących pierścieni zdobiących jego palce brakowało mu ogłady bijącej od dziedzica Szarej Zatoki. Był jednak od niego o wiele młodszy, znacznie bardziej ogorzały, no i łysiał na potęgę. Nie przeszkadzało mu to w zadzieraniu orlego nosa. Jego oczy, choć tradycyjnie brązowe, miały nieco jaśniejszy odcień niż u większości Charisjan.

- Wybacz mi, wasza wysokość - odezwał się przybyły, chyba nieco nazbyt szorstko. - Wyruszyłem najszybciej jak mogłem, ledwie sekretarz przyniósł mi twoje wezwanie.

- Nie musisz przeproszać, Bynzhamynie - odparł uśmiechnięty Haarahld. - I tak spodziewałem się twojego powrotu z Piaskowej Ławicy nie prędzej niż jutro albo dziś

wieczorem. Nie sądziłem, że zdołasz dotrzeć na to spotkanie, więc nie czekaliśmy z jego rozpoczęciem na ciebie.

- Przybywam prosto z pokładu, wasza wysokość - wyjaśnił Bynzhamyn Raice, baron Gromu. - Sprawa, którą tam załatwiałem, nie wymagała poświęcenia aż tak długiego czasu, jak się spodziewałem.

- Rad jestem to słyszeć - powiedział król. - Lepiej będzie, jeśli omówimy tę sprawę z tobą i Rayjhisem w tym samym czasie. Usiądź, proszę.

Baron Gromu posłuchał polecenia władcy, siadając na miejscu, które najprawdopodobniej zawsze należało do niego, zaledwie dwa krzesła po lewej od hrabiego Szarej Zatoki.

Haarahld poczekał, aż baron rozgości się, i wskazał prawą dłońią na Merlina.

- Rayjhisie, Bynzhamynie, oto tajemniczy Merlin, o którym niewątpliwie już słyszeliście. Sejjinie, oto hrabia Szarej Zatoki i baron Gromu. - Oczy najstarszego doradcy króla zwięziły się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że władca tytułuje Merlina sejjinem, ale Haarahld nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i kontynuował przemowę. - Rayjhis kieruje moją Tajną Radą, co znaczy, że wykonuje najcięższe zadania związane z zarządzaniem całym królestwem. Bynzhamyn natomiast jest szefem mojego wywiadu. I także sprawdza się znakomicie na swoim stanowisku.

Trzej mężczyźni skinęli sobie głowami z najwyższym szacunkiem, ostrożnie zerkając jeden na drugiego, a Haarahld uśmiechnął się na ten widok.

- Wiem, że od powrotu Cayleba po moim pałacu krążą setki plotek na temat tego oto sejjina. Na szczęście nikt się jeszcze nie zdążył zorientować, że Merlin naprawdę jest świętym mężem... w każdym razie ludzie nie zrozumieli wszystkich implikacji wynikających z tego faktu. A ja, ze względów, które wam zaraz przedstawię, wolałbym, aby tak już zostało. Zważywszy na to, co wydarzyło się w lasach, i krążące po mieście opowieści, z których większość, jak znam życie, jest jeszcze bardziej szalona niż to, co da się usłyszeć w murach pałacu, ludzie będą się spodziewali godnego uczczenia Merlina przez nasz dwór. My jednak tego nie zrobimy, nie oferujemy mu aż tak daleko idących przywilejów. Wiem jednak, jak ważne jest, aby człowiek ten miał dostęp nie tylko do mnie, ale i do Rady. Odpowiedź na pytanie, jak pogodzić te dwie, jakże sprzeczne ze sobą sprawy, zaprzęta moje myśli od pewnego czasu, ale sądzę, że pracując nad tym wspólnie, szybko znajdziemy sensowne rozwiązanie. Chciałbym, aby jak najszybciej przyjęto sejjina w szeregi gwardii królewskiej i uczyniono go osobistym przybocznym Cayleba. Porucznik Falkhan pozostanie na stanowisku dowódcy oddziału strzegącego księcia, ale Merlin będzie podlegał bezpośrednio mojemu synowi. To zaś oznacza, że będzie współdziałał z resztą ochrony, nie podlegając jednocześnie rozkazom porucznika. Zdaję sobie sprawę, że takie rozwiązanie nie spodoba się piechocie morskiej, żołnierze mogą to nawet potraktować jak policzek im wymierzony, ale nie mają wyjścia, będą musieli zaakceptować ten fakt i nauczyć się z nim żyć. Zakładam też, że po tym niefortunnym wydarzeniu nikogo nie zdziwią zmiany dokonane w naszych bardziej dalekosiężnych planach obronnych. Przydzielenie Merlina do Cayleba sprawi, że sejjin będzie mógł pozostawać w jego pobliżu przez cały czas, nie będąc jednocześnie kojarzony z kręgiem moich doradców. Obawiam się jedynie, że nie zdołamy utrzymać w tajemnicy faktu, że jest sejjinem. Będziemy musieli kłaść największy nacisk na jego umiejętności sztuk walki... pomijając milczeniem pozostałe talenty.

Hrabia Szarej Zatoki i baron Gromu skinęli głowami niemal jednocześnie, aczkolwiek Merlin odniósł wrażenie, że gest ten wyraża raczej przyjęcie do wiadomości dyrektyw króla niż zrozumienie powodów, dla których zostały wydane. Co, po chwili namysłu, nie wydało mu się aż tak zaskakujące.

- Częścią planu odwrócenia od niego uwagi jest też to - kontynuował tymczasem Haarahld - że tylko wy dwaj w całej Radzie będziecie wiedzieli, że Merlin jest kimś więcej niż tylko niezwykle sprawnym szermierzem wyznaczonym do strzeżenia bezpieczeństwa następcy

tronu. Maikel także należy do grona wtajemniczonych, ale będę stanowczo nalegał, aby nikt inny poza waszą trójką, mną, Caylebem oraz ścisłym gronem żołnierzy ze straży przybocznej nie dowiedział się o sprawie. Z czasem poszerzymy nasz krąg, ale na prawdę zależy mi na tym, aby na razie znało tę tajemnicę jak najściślejsze grono ludzi. Dzięki temu nie tylko zdołamy utrzymać z dala od niego naszych, powiedzmy, mniej przyjaznych sąsiadów, ale i unikniemy nieprzyjemnych sytuacji, które są na porządku dziennym, gdy ktoś kompletnie obcy zajmie niespodziewanie eksponowane stanowisko. - Oblicze króla spoważniało. - Musicie wszyscy wiedzieć, że zdolności tego człowieka wykraczają daleko poza to, co jest przydatne na polu bitwy - dodał. - Jestem przekonany, że talenty,

0 których mówię, w dalszej perspektywie okażą się znacznie bardziej przydatne królestwu. Liczę też, że wasza trójka spędzi sporo czasu na owocnej współpracy... - przerwał na moment, by ostatnie słowa zapadły im w pamięć, potem spojrział prosto na hrabiego Szarej Zatoki. - Rayjhisie, seijin zadziwił mnie podczas wczorajszej audiencji znacznie bardziej niż wtedy, gdy uratował życie Cayleba. Szedłem na tamto spotkanie, żywiąc podejrzenia co do niego i traktując sceptycznie wszystkie plotki. Gdy skończyliśmy rozmawiać, zyskałem pewność, że Merlin zapewni przetrwanie Charisowi

1 odda nam nieocenione przysługi. Jestem pewien, że i wy wyrobicie sobie o nim podobne zdanie... Cenię sobie twoją niezależność, Bynzhamynie, jak lojalność i umiejętności Rayj-hisa, ale nalegam, abyście obaj wysłuchali z wielką uwagą tego, co ów człowiek ma wam do powiedzenia. Zanim jednak pozostawię was samych, pozwólcie, że powiem, czym zdołał mi zaimponować. Zacznijmy od tego, że...

- ...a każde jego słowo, Bynzhamynie, pasowało idealnie do tego, co wcześniej wiedziałem - tymi słowami król zakończył przemowę kilka minut później. - Nie miałem wyboru, musiałem uwierzyć, że człowiek ten posiada dar Widzenia. Oczywiście wspomniałem mu o tym, że zanim zacznę go darzyć zaufaniem równym temu, które jest waszym udziałem, będzie musiał dowieść swoich zdolności oraz tego, że jest godzien zaufania. Seijin był tak uprzejmy, że zaakceptował ten warunek bez najmniejszej urazy.

Władca zamilkł, a obaj doradcy posłali w stronę Merlina zamyślane spojrzenia. Baron Gromu wyglądał na zafascynowanego, choć pozostał w nim cień nieufności, co nie powinno dziwić, zważywszy na jego profesję. Hrabia Szarej Zatoki również wyglądał na sceptycznie nastawionego, ale - o ile Merlin nie mylił się poważnie - połowę niewiary najstarszy doradca króla zarezerwował dla prawdziwości ambicji i motywów, którymi kierował się tajemniczy przybysz.

- Skoro wiemy już, że seijin orientuje się równie dobrze, a kto wie, czy nawet nie lepiej od pozostałych tu obecnych, w wydarzeniach mających ostatnio miejsce zarówno w Tellesbergu, jak i w całym Charisie oraz jest świadom, kto za nie odpowiada - podjął władca po chwili przerwy - wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od przedyskutowania obaw, jakie żywimy wobec reprezentantów mniej przyjaznych sąsiadów, którzy zdołali przeniknąć w nasze szeregi. Chciałbym, Rayjhisie, abyście wspólnie z Bynzhamynem skonfrontowali wszystko, co wiemy o nich, z tym, co może powiedzieć seijin. Zamach na Cayleba nie powinien być dla nas wielkim zaskoczeniem, ale fakt, że go dokonano, oznacza, iż któryś z naszych przeciwników postanowił znacznie podnieść stawkę tej rozgrywki. Wydaje mi się też, że powinniśmy uświadomić temu człowiekowi, jak i pozostałym spiskowcom, że podnoszenie ręki na następcę tronu było bardzo nierozważnym krokiem.

Ton, którym przemawiał król, był lekki, niemal kpiący, ale jego oczy pozostały twarde.

- Rozumiem, wasza wysokość - odparł hrabia Szarej Zatoki, popierając te słowa skinieniem głowy tak głębokim, że można je było poczytać za ukłon. - Pozostaje tylko kwestia, jak wyraźne ma być to przesłanie.

- Bardzo wyraźne, zwłaszcza gdy idzie o ludzi, którzy byli osobiście zaangażowani w knowania - odparł Haarahld łowato. - Wszyscy spodziewają się naszej zdecydowanej reakcji, oczywiście przy założeniu, że zdołamy zidentyfikować sprawców. Szczerze powiedziawszy, odczuję sporą satysfakcję, jeśli okaże się, że wszyscy winni dostaną to, co im się należy. Pozostałych szpiegów możemy potraktować nieco po-wściągliwiej. Ale niech się w końcu zająć.

- Rozumiem, wasza wysokość - odezwał się, znów nieco zbyt szorstko, baron Gromu. - Dla pełnej jasności sytuacji: nie wymagasz od nas zmiany podejścia do wszystkich znanych szpiegów?

- Raczej nie. - Haarahld wzruszył ramionami. - Pozostawianie znanych nam agentów z jednoczesnym zniechęcaniem ich panów do przysyłania kolejnych jak do tej pory przynosiło efekty. Z drugiej strony fakt, że Cayleb tylko cudem uniknął śmierci, świadczy dobitnie o tym, że szpiechy wciąż potrafią zmylić naszą czujność. Przy okazji, nasi wrogowie musieli wiedzieć, że odkryliśmy przynajmniej część ich agentów, więc nie zdziwią się specjalnie, jeśli po ostatnich wydarzeniach zdecydujemy się na przeprowadzenie czystki. Jeśli nie ruszymy kilku szpiegów, zaczną się rodzić pytania, dlaczego tego nie zrobiliśmy. Od tej chwili losy drugorzędnych graczy pozostawiam w waszych rękach, macie wystarczające rozeznanie w sytuacji, by decydować, kogo usuwamy, a kto może zostać. Jeśli chodzi o pierwszoplanowe postacie, musicie przedstawiać mi do zatwierdzenia każde planowane posunięcie.

- A co mamy robić z informacjami dostarczonymi przez seijina? - zapytał boleśnie neutralnym tonem doradca króla.

- To, gdzie umieścicie nowe nazwiska, także pozostawiam w twojej i Bynzhamyna gestii - odparł Haarahld. - Proszę jedynie, abyście nie podejmowali żadnych działań przeciw celom z podstawowej listy bez uprzedniego porozumienia ze mną. Jeśli któryś z pomniejszych agentów okaże się zamieszany w spisek, możecie z nim zrobić, co chcecie.

- Rozumiem, wasza wysokość - powiedział hrabia Szarej Zatoki.

- Dziękuję. - Król odsunął krzesło od stołu i wstał, pozostała trójka natychmiast zerwała się na nogi, pochylając głowy z wielkim szacunkiem. Haarahld spojrzał w ich stronę, uśmiechnął się do pierwszego doradcy, a potem pokręcił lekko głową.

- Wiem, o czym teraz myślisz, Rayjhisie - rzekł. - Sądzę, że seijin również ma tego świadomość. Ufam jednak, że jesteś zbyt inteligentny, aby wrodzona podejrzliwość zmała twój osąd. Poza tym będziesz równie zaskoczony jak ja, kiedy poznasz jego talenty.

- To nie umiejętności seijina mnie niepokoją - odparł hrabia Szarej Zatoki, uśmiechając się blade, co pośrednio potwierdzało celność uwagi króla.

- Wiem o tym. - Haarahld roześmiał się. - Seijin pewnie też wie. Ale i tak będziesz zaskoczony.

Uśmiechnął się raz jeszcze, tym razem do nich wszystkich, i opuścił salę narad, mocno utykając.

- ...a Mhulvayn zarządza wszystkimi agentami w Skrzyżowanych Kotwicach, oczywiście w imieniu Maysahna. - Tymi słowami Merlin zakończył swój raport mniej więcej godzinę później. - Szykarz wie, komu służy, ale większość zwerbowanych przez niego agentów jest święcie przekonana, że pracuje dla przedstawiciela autentycznego zagranicznego bankiera, którego interesy są ściśle powiązane z niektórymi tutejszymi rodami kupieckimi. Wydaje im się, że dostarczają bezużyteczne informacje gospodarcze, nie mają pojęcia, jak przydatne mogą one być dla księcia Hektora albo co można z nich jeszcze wyczytać. Baron Gromu skinął głową, nie podnosząc wzroku znad pergaminu, na którym skrętnie coś notował. W odróżnieniu od dziedzica Szarej Zatoki nie pochodził ze stanu szlacheckiego. Jego ojciec był zwykłym kapitanem, a Bynzhamynowi udało się wznieść ponad stan tylko dlatego, że został jednym z największych magnatów handlowych Tellesbergu. Zanim jednak

osiągnął sukces, musiał pracować jako kanclista, potrafił więc pisać szybko i wyraźnie, tak jak go nauczono. Ta umiejętność wciąż mu się przydawała, zwłaszcza gdy zaczął piastować stanowisko szefa wywiadu króla Haarahlda. Nie ufając za grosz sekretarzom, sam sporządzał wszystkie poufne dokumenty.

W końcu wyprostował plecy, raz jeszcze przeleciał wzrokiem zapiski i przeniósł wzrok na hrabiego, by na samym końcu spojrzeć na Merlina.

- Jego wysokość nie mylił się, mówiąc, że będę bardzo zaskoczony, seijinie - przyznał, zbierając kilkanaście zapisanych arkusików. - Nie tylko ilością przekazanych nam informacji, ale i tym, że byłeś w stanie spamiętać taką masę szczegółów, nie korzystając z notatek.

- Ja też jestem tym szczerze zadziwiony - przyznał hrabia Szarej Zatoki, odchylając się mocno na krześle i obserwując Merlina spod na wpół przymkniętych powiek.

- Zadziwiło mnie także to - ciągnął szef wywiadu - że na twojej liście znalazł się każdy najmniej nawet znaczący agent innego mocarstwa, którego udało nam się namierzyć. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że potwierdzenie naszych domysłów ma dla nas ogromną wartość. Mówiąc szczerze, uwiarygodnia także podane przez ciebie informacje o szpiegach, których wcześniej nie udało nam się zidentyfikować. Jak na przykład o całym Drugim Kręgu zorganizowanym przez Lahanga w Północnym Kluczu. - Pokręcił głową. - Powinienem być się domyślić, że ma kogoś, kto mu służy za oczy i uszy w tak odległym miejscu od Tellesbergu, ale jakoś nigdy nie udało mi się tego wyniuchać.

- Nie robiłbym z tego powodu wielkiego dramatu, baronie - zapewnił go Merlin, wzruszając ramionami. - Mam sporo przewagi nad twoimi najlepszymi śledczymi. Gdybym musiał polegać na środkach, którymi oni dysponują, też bym do niczego nie doszedł, o czym zapewne doskonale wiesz.

- Bez wątpienia - zgodził się hrabia Szarej Zatoki. - Nie mniej chciałbym cię zapytać, seijinie, ponieważ gnębi mnie ciekawość, jakim cudem dowiedziałaś się tak wiele o wydarzeniach w Charisie? - Widząc uniesioną pytająco brew Merlina, pierwszy doradca szybko dodał: - Wydaje mi się po prostu dziwne, że seijin żyjący w Górach Światła miał tak szczegółowe „wizje”, że wie nawet o tym, iż jakiś szynkarz pracuje dla księcia Hektora. Baron Gromu skrzywił się nieznacznie, wyprostował na krześle i zaczął wodzić oczami między oboma rozmówcami - Merlin jednak uśmiechnął się tylko.

- To wcale nie takie dziwne, jak ci się wydaje, mój panie - stwierdził. - Potrafię do pewnego stopnia kontrolować moje wizje.

- Doprawdy? - Ton głosu hrabiego zabrzmiał bardzo sceptycznie. - We wszystkich przekazach, które słyszałem albo czytałem, wizje seijinów były... powiedzmy... niewyraźne. A może raczej: bardzo ogólnikowe. Tymczasem twoje wizje, seijinie, wydają się niezwykle wręcz szczegółowe.

- Przypuszczam - odparł Merlin — że większość przekazów, o których wspomniałeś, dotyczy nieprawdziwych wydarzeń. - Rozparł się na krześle i uśmiechnął szeroko. - Albo nigdy nie miały miejsca, albo zostały po drodze upiękzone, przez ludzi, którzy o nich rozpowiadali. Chociaż przykro mi to mówić, obawiam się, że wielu spośród znanych wam seijinów było pospolitymi szarlatanami. Zatem nie dziwi mnie, że w ich przypadku im mniej szczegółowe były wizje, tym lepiej im służyły. Wystarczy przecież niewielkie niedomówienie i już mamy gigantyczny problem z udowodnieniem czyjejś prawdziwości.

- Tak, to bardzo rozsądna uwaga - przyznał hrabia Szarej Zatoki, zaskoczony szybko i konkretną odpowiedzią.

- Mój panie - dodał zaraz niebieskooki przybysz - kiedy po raz pierwszy miałem wizję, odbierałem obrazy z całego Schronienia. Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie oszałamiające wrażenie, ale bardzo szybko odkryłem, że koncentrując uwagę na jakimś

wyjątkowo interesującym miejscem albo człowieku, potrafię pokierować tymi widzeniami czy też skupić się, co chyba jest lepszym określeniem, na nich w kolejnych wizjach.

- I zdecydowałaś skupić się na Charisie?

- Tak właśnie postąpiłem. Nie winię cię, panie, za to, że pozostajesz sceptykiem. To jedna z twoich powinności wobec króla, ale już wyjaśniłem jego wysokość, co sprawiło, że Charis stał się dla mnie naprawdę ważny. Szczerze powiedziawszy, wiem, że królestwo potrzebuje dzisiaj każdej przeważy, jaką zdoła osiągnąć.

- To prawda, Rayjhisie - wtrącił baron Gromu. Zaczął zwijać notatki w równy rulonik. - I chociaż jestem równie Podejrzliwy jak mój towarzysz - ciągnął - aż do tej pory nie żywiłem najmniejszych zastrzeżeń co do wiarygodności seiji- n<Miałem swoje podejrzenia w sprawie tego, kto stał za zamachem na księcia, ale żaden z moich ludzi nie potrafił znaleźć nici łączących Lahanga z najemnikami. Teraz żywię nadzieję, że zdołamy go przyskrzynić. W każdym razie wszystko w końcu zaczyna mieć sens.

- Wiem - odparł hrabia. - Wydaje mi się tylko, że... - Pierwszy doradca króla zrobił dziwną minę, potem spojrzał na Merlina, siląc się na dziwny półśmiech. - Masz rację, mówiąc, że przyda nam się teraz każda przewaga, jaką zdołamy osiągnąć - stwierdził bardziej przyjaznym tonem. - Chodzi tylko o to, że czuję się tak, jakbym od tak dawna odpierał ataki krakenów, mając do dyspozycji tylko zwykły kij, i nie jestem w stanie uwierzyć, iż w końcu nadeszła pomoc.

- To mnie akurat nie dziwi. - Merlin mierzył go przez dłuższą chwilę wzrokiem, potem przeniósł spojrzenie na barona. - To mnie akurat nie dziwi - powtórzył - i tylko dla tego powstrzymywałem się dotąd przed podaniem wam jeszcze jednego nazwiska.

- Powstrzymywałaś się? - Oczy hrabiego zamieniły się w szparki, a oblicze barona spochmurniało.

- Macie tu jeszcze jednego, wysoko postawionego szpiega. - Merlin cedził słowa. - Tak wysoko, że wolę przemilczeć jego tożsamość, dopóki nie zdobędę naprawdę wiarygodnych dowodów na potwierdzenie tego, co dane mi było widzieć.

- O kim mówisz? - Hrabia Szarej Zatoki pochylił się do przodu.

- Jeśli ci to wyjawię, wpadniesz w czarną rozpacz, panie.

- Pozwól, że sam to ocenię, Merlinie - oświadczył hrabia twardym, nie znoszącym sprzeciwu tonem najważniejszego doradcy króla.

- Dobrze. - Merlin pochylił lekko głowę, jakby chciał pokazać, że nie ulega presji. - Obawiam się, że książę Tirianu nie jest tym, za kogo go uważacie.

Hrabia Szarej Zatoki aż oklapł z wrażenia. Przez moment na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. Potem zsiął z wściekłości.

- Jak śmiesz rzucać takie oskarżenia! - wycharczał.

- Śmiem mówić wiele rzeczy, panie - odparł Merlin obojętnie, nie wykazując odrobiny zdenerwowania. - Ale nigdy nie kłamię. Uprzedzałem, że to cię przerazi.

- Przynajmniej tyle jest prawdą - wypalił pierwszy doradca króla. - Rayjhisie..! - zaczął baron Gromu, ale hrabia Szarej Zatoki uciszył go jednym, choć ostrym gestem dłoni, nie odrywając ani na moment wściekłego spojrzenia od twarzy Merlina.

- Wątpię, czy król wiedział o tym, że nazwiesz jego kuzyna zdrajcą, kiedy prosił, abyśmy zasiedli wspólnie do tej pracy - wyszeptał chrapliwym głosem.

- Ja jestem pewien, że nie wiedział - przyznał Merlin. - I nie dziwi mnie twój gniew, panie. W końcu znasz księcia, odkąd był dzieckiem. Twoja córka wyszła za niego za męża. No i oczywiście jest czwarty w kolejce do tronu, nie mówiąc o tym, że zawsze popierał króla Haarahlda, zarówno w parlamencie, jak i w Radzie. Mnie znasz niecałe dwie godziny. Byłoby dziwne, gdybyś uwierzył, że tak dobrze ci znana i zaufana osoba zdradziła. Ale to niestety niczego nie zmienia.

- Nie? - wysyczał hrabia Szarej Zatoki. - Więc o to w tym wszystkim chodziło. Kto cię przysłał, żebyś zdyskredytował księcia?

- Nikt mnie nigdzie nie wysyłał. Przybyłem tutaj z własnej woli - odparł Merlin. — I nie mam zamiaru dyskredytować nikogo oprócz tych, którzy zhańbili się swoimi działaniami.

- Dość tych kłamstw! Nie pozwolę!...

- Rayjhisie! - Baron Gromu wyglądał na zakłopotanego, ale ostrość tonu, jakim skarcił doradcę, sprawiła, że ten od razu spojrzał na niego. Hrabia patrzył w milczeniu, jak szef wywiadu kręci głową. - Rayjhisie - odezwał się znowu, ale tym razem o wiele spokojniej - Wydaje mi się, że powinniśmy najpierw wysłuchać, co ten człowiek ma nam do powiedzenia.

- Co takiego? - Hrabia Szarej Zatoki wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Moi ludzie także zauważyli kilka... nieprawidłowości w zachowaniach księcia - przyznał z niechęcią szef wywiadu.

- Jakich znowu nieprawidłowości? - zapytał z niedowierzaniem pierwszy doradca.

- Większość z nich to niewiele znaczące szczegóły - przyznał baron Gromu. - Ludzie, z którymi się spotyka, kilka przypadków, gdy szpiedzy Szmaragdu wymknęli nam się z rąk w Hairathcie, po tym jak powiadomiliśmy miejscowe władze, prosząc, by ich pojmano, parę niezwykle dochodowych interesów, w które zamieszani byli znani kupcy ze Szmaragdu. No i fakt, że jest jednym z najlepszych klientów Lahanga, przynajmniej w handlu wyvernami.

- Nie bądź śmieszny - prychnął hrabia Szarej Zatoki. - Księżę jest moim zięciem i jeśli pozwolisz sobie przypomnieć, zapalonym myśliwym. Ma największą i najdroższą hodowlę wyvern w całym królestwie! Dlatego właśnie jest najlepszym klientem Lahanga! Na litość Boga, Bynzhamynie, od początku wiemy, że Lahang wybrał taką właśnie przykrywkę, by zyskać dostęp do najzamożniejszej szlachty Charisu!

- I dlatego do tej pory o nic go nie oskarżyliśmy - odparł jeszcze ostrzejszym tonem baron. - Przecież ci powiedziałem, że to tylko drobiazgi, na których podstawie nikt by się nie ośmielił oskarżać księcia o spiski czy zdradę. Na pewno nie teraz, kiedy jest tak blisko tronu i popiera króla Hararahlda. To wszystko nie zmieni jednak treści raportów, które otrzymuję, i nie oznacza, że seijin jest kłamcą. A o to właśnie - baron spojrzał hrabiemu prosto w oczy - przed chwilą go oskarżyłeś!

- A czy on nie oskarżył księcia o coś znacznie gorszego? - wypalił w odpowiedzi pierwszy doradca.

- Tak, uczynił to — stwierdził szef wywiadu jeszcze spokojniejszym tonem niż ten, którym wypowiadał się niedawno Merlin. - Ale co powiesz, jeśli okaże się, że ma rację?

- Co za absurdalny pomysł!

- Może i absurdalny, ale dający się wykluczyć - pewnie stwierdził baron Gromu. -

Wolałbym, aby seijin mylił się co do księcia, ale rozważenie także tej możliwości, że Merlin powiedział prawdę, jest moją powinnością. Twoją zaś pozwolenie mi na przeprowadzenie śledztwa, aby ustalić, kto tu kłamie-

Hrabia Szarej Zatoki wpatrywał się w niego przez kilka kolejnych sekund. Potem odwrócił się w stronę Merlina, mierzając go wściekłym spojrzeniem.

- Dobrze zatem - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Czyn swoją powinność, Bynzhamynie. A kiedy dowiedziesz już, że w tym oskarżeniu nie ma słowa prawdy, czyn swoją powinność dalej i sprawdź dobrze tego człowieka! Obawiam się, że nie mogę wam już towarzyszyć. Mam inne zajęcia nie cierpiące zwłoki.

Wstał, pokłonił się gniewnie szefowi wywiadu i wyszerował z komnaty, nie zaszczycając Merlina choćby spojrzeniem.

IX

Biuro barona Gromu, Tellesberg

Obawiam się, że w tym wszystkim coś jednak jest, panie.

Bynzhamyn Raice odchylił się na krzesło, minę miał przy tym niewesołą. Sir Rhyzhard Seafarmer, jego zastępca, wyglądał na równie nieszczęśliwego. Do jego zadań należała opieka kontrwywiadowcza (choć tego terminu też nikt jeszcze nie znał na Schronieniu). Był najbardziej zaufanym człowiekiem barona Gromu, zarówno dzięki lojalności, jak i zdrowemu rozsądkowi. Nie dało się też zaprzeczyć, że posiada nieprzeciętny intelekt. Baron nie wyjawiał mu nazwiska człowieka rzucającego oskarżenie, ale zdawał sobie sprawę, że Seafarmer bez trudu się go domyśli. Sir Rhyzhard miał ogromne doświadczenie i sam wiedział, jakich pytań nie należy zadawać, mimo iż szef wywiadu nie wątpił w jego dyskrecję.

Sir Rhyzhard był człowiekiem, który ostatnie dwa dni spędził na sprawdzaniu każdego strzępka informacji, jaki posiełdli na temat księcia Tirianu. Ten ostatni współpracował ściśle z Gromem - a co za tym idzie, z Seafarmerem - przy co najmniej kilku operacjach. Namiestnik Tirianu był obecny przy ustalaniu wielu strategicznych planów królestwa, znał masę sekretów władcy, zarówno osobistych, jak i politycznych, kręcił się przy nim bowiem dosłownie od kilku dziesięcioleci. Dzięki temu wiedział, co w trawie piszczy. Seafarmer był zbyt doświadczony i inteligentny, żeby nie pojąć możliwych konsekwencji.

- Wolałbym tego nie przyznawać, i to z kilku powodów - kontynuował zastępca szefa Gromu po chwili milczenia. - Po pierwsze dlatego, że z oskarżenia księcia wyniknie nieźły burdel, co odbije się także na jego wysokości. Ale przede wszystkim irytuje mnie myśl, że bez tej informacji, od kogośkolwiek ona pochodzi - dorzucił obowiązkowo - nigdy byśmy się nie domyślili, że coś jest nie w porządku.

- Jakoś mnie to nie dziwi - stwierdził baron Gromu i westchnął ciężko, ściskając palcami nasadę dumnie uniesionego nosa. Promienie słońca wpadające przez odsłonięte okno za jego plecami odbijały się od spoconej łysiny, gdy pokręcił głową. - Nikt nie chce być tym, który wskaże palcem na drugiego najważniejszego szlachcica w królestwie, Rhyzhardzie. Nikt też nie uwierzy w to, że ktoś będący tak blisko tronu może okazać się zdrajcą.

- Gdzie indziej takie rzeczy się zdarzały - zauważył po nuro Seafarmer - zatem czemu nie tutaj. Powinniśmy byli to przewidzieć.

- Ano powinniśmy. — Baron Gromu machnął ręką. - A teraz mamy problem i wolałbym, abyśmy nie wrywali się z oskarżeniami tylko dlatego, że czujemy się winni nie-dopatrzenia.

- Celna uwaga, panie.

Baron Gromu zaczął bawić się przyciskiem do papieru, rozmyślając nad raportem złożonym przez podwładnego.

Stanowił żywy dowód na to, jak otwarty jest stan szlachecki w Charisie, zwłaszcza gdy go porównać do innych królestw i domen Schronienia. Zarówno Bynzhamyn, jak i król Haarahld uważali, że najbardziej utalentowanym ludziom należy dawać szansę bez względu na to, czy w ich żyłach płynie niebieska czy też zwykła, czerwona krew. Ta polityka przyniosła Charisowi wiele sukcesów w minionych latach, ale miała też swoje minusy. Jednym z nich było choćby to, że pomimo tak wielkiej otwartości stanu szlacheckiego mało kto spośród ludu odważyłby się wnieść oskarżenie przeciw członkowi wysokiego rodu.

Sytuacja ta wynikała po części z wrodzonego respektu oraz wiary w to, że niektórzy ludzie po prostu muszą pozostać poza wszelkimi podejrzeniami. Baron Gromu był pewien, że do tej właśnie kategorii Seafarmer (podobnie zresztą jak on sam) zaliczał Kahlvyna Ahmahka, księcia Tirianu. W końcu obecny książę był jedynym żyjącym synem królewskiego (i też jedynego) wuja. Choć jego ojciec, Ahryn, był młodszym bratem Haarahlda VI, książę i obecny król byli rówieśnikami, gdyż jego ojciec, podobnie zresztą jak Kahlvyn, ożenił się wcześniej. Z tego też powodu książę Tirianu i Haarahld VII wychowywali się raczej jak rodzeni bracia niż kuzyni i kiedy urodził się Cayleb książę został jego ojcem chrzestnym.

Kahlvyn piastował funkcję konstabla Hairathy, najważniejszego miasta-fortecy na wyspie Tirian. Była to też druga albo trzecia pod względem wielkości i ważności baza marynarki wojennej królestwa. Do jej głównych zadań należało strzeżenie północnej części Zatoki Howella, a konstabl nią dowodzący traktowany był zwyczajowo jak drugi pod względem ważności dowódca w strukturach floty, zaraz po wielkim admirale wyspy Zamek. Oprócz tego książę Tirianu, zasiadając w Izbie Lordów, miał status lidera partii królewskiej, niezłomnego i największego obrońcy polityki króla Haarahlda, a także jednego z najbardziej zaufanych dyplomatów królestwa, no i oczywiście zięcia najważniejszego doradcy. Ktoś taki jak on nie mógł okazać się zdrajcą!

Ale - na co przed chwilą wskazał Seafarmer - podobne wydarzenia miały już miejsce w innych królestwach. W sprawie księcia Tirianu nie mała rolę mogło odegrać to, że większość śledczych Gromu pochodziła z nizin społecznych. Ktoś wywodzący się ze szlachty zapewne o wiele chętniej zająłby się sprawdzaniem podejrzeń dotyczących człowieka tak wysokiego stanu. Co więcej, szlachcic o wiele szybciej zaryzykowałby sformułowanie publicznych zarzutów pod adresem potężnego potencjalnego przeciwnika. Nawet w Charisie bowiem zwykły człowiek posiadający wroga wśród arystokracji miałby problemy z pięciem się po stopniach kariery, nie mówiąc już o szykanach, jakie spotkałyby jego rodzinę.

To problem, na który szef Gromu musiał zwrócić baczniejszą uwagę w najbliższej przyszłości. Chociaż sam prosił przed chwilą Seafarmera, aby ten nie wyciągał zbyt pochopnych wniosków, w głębi duszy czuł wielką pewność, że książę winien jest wszystkich zarzucanych mu czynów. Merlin Athrawes dostarczył ogromną ilość informacji na jego temat i wszystko, co do tej pory powiedział - a co agenci Gromu zdołali już potwierdzić - było prawdą.

Niemniej szef królewskiego wywiadu musiał też brać pod uwagę podejrzenia hrabiego Szarej Zatoki. Istniało bowiem prawdopodobieństwo, choć trzeba przyznać, że naprawdę nie wielkie, iż sprawa ta została ukartowana po to, aby Kahlvyn utracił zaufanie panującego władcy. Wszystkie wymienione wcześniej powody stawiające księcia Tirianu „poza wszelkimi podejrzeniami” czyniły zeń osobę niezwykle ważną dla funkcjonowania królestwa i zachowania bezpieczeństwa. Jeśli był tak lojalnym człowiekiem, jak dotychczas sądzono, zdyskretytowanie go — które mogło doprowadzić nawet do otwartego buntu przeciw tak jawnej niesprawiedliwości - okazałoby się niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla licznych wrogów Charisu.

Baron Gromu od razu odrzucił podobną ewentualność. Gdyby hrabia Szarej Zatoki nie był spowinowacony z księciem Tirianu, też pewnie nie brałby tej możliwości pod uwagę. Niestety, najstarszy z doradców miał wiele powiązań z księciem. Pozostawał też ten drobny szczegół, że konstabl Tirianu jest najbliższym kuzynem króla Haarahlda i władca oraz następca tronu darzą go estymą.

- Poruszamy się po bardzo grząskim gruncie, Rhyzhardzie - stwierdził w końcu baron. Seafarmer nie odpowiedział, ale z wyrazu jego twarzy szef wywiadu mógł wyczytać pełną zgodę. Jak widać, było to niepotrzebne ostrzeżenie.

- Masz pomysł, w jaki sposób powinniśmy podejść do tego problemu? - przeszedł do rzeczy.

- To będzie zależało od odpowiedzi na pewne pytanie bardzo delikatnej natury, panie.

- Nie wątpię - mruknął baron, posepniejąc. - Ale nie, nie piśniemy Haarahldowi ani słówka na ten temat, dopóki nie zyskamy pewności, że mamy mu o czym powiedzieć. Jeśli oskarżenie okaże się prawdziwe, króla to zabol. Lecz jeśli okaże się, że to fałszywy alarm, Haarahld wpadnie w furję. Nie możemy powiedzieć mu niczego, dopóki nie użyjemy stuprocentowej pewności... W przeciwnym razie może się to odbić negatywnie na tajemniczym śledztwie. Jego wysokość jest jednym z najprzebiegłych ludzi, jakich znam, ale nie

wiem, czy będzie potrafił udawać, że nic się nie stało, jeśli przekazemy mu wiadomość, że książę jest zdrajcą.

A - wolał tego nie dodawać na głos - jeśli nie utrzymamy śledztwa w tajemnicy i wyda się, że prowadziłem je bez wiedzy i przyzwolenia jego wysokości, bardzo szybko mogę się stać pokarmem dla krakenów, gdy sprawa okaże się dęta, a książę niewinny.

Ta konstatacja nie spodobała mu się, ale cóż począć, takie ryzyko było częścią jego pracy. W razie niewinności księcia, zważywszy na jego pozycję i wpływy w królestwie, Haarahld zostanie zmuszony do surowego ukarania tych, którzy ośmielili się rzucić nań podłe oskarżenie.

- To ogranicza dostępne możliwości, panie - stwierdził z pełnym szacunkiem Seafarmer. Nie protestował jednak, najwidoczniej rozumował w podobny sposób i rozważał opcje. - Przyboczni księcia należą do jednych z najlepszych, wiedzą też, jakimi dokładnie metodami się posługujemy. Nie może być inaczej, zbyt często pomagali nam w tej robocie. Jeśli więc spróbujemy wprowadzić jednego z naszych na dwór księcia, prędzej ostrzeżemy go, niż zdobędziemy kolejne do wody.

- Nie zdobędziemy też dostępu do jego prywatnej korespondencji - wtrącił baron Gromu.

Osobną kwestią była korespondencja oficjalna, związana z piastowanymi przez niego urzędami, w tym stanowiskiem konstabla Hairathy. Do niej, baron był tego całkowicie pewien, mógł zyskać nieograniczony dostęp, chociaż nie liczył na przełom w sprawie. Mimo to postanowił zainteresować się nią na wszelki wypadek, mimo że szczerze wątpił, by w treści dokumentów kryło się coś istotnego.

- Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy wiedzieli, co książę zamierza zrobić, zakładając oczywiście, że on cokolwiek robi - wyliczał skrupulatnie Seafarmer. - Gdybyśmy wiedzieli, że przekazuje informacje, i znali ich odbiorcę, moglibyśmy podrzucić mu jakąś fałszywkę i obserwować reakcję po drugiej stronie. Na razie jednak wiemy tylko tyle, że książę spędza zbyt wiele czasu wśród ludzi, którzy siedzą w kieszeni Nahrmahna. Jak na przykład z baronem Czarnej Wyverny. No i oczywiście Lahangiem. Chociaż - twarz Seafarmera nabrała poważniejszego wyrazu - sprawa agentów Szmaragdu, którzy zniknęli nam w zaułkach Hairathy, wygląda znacznie poważniej.

Baron Gromu przytaknął, ale nie umknęło jego uwagi, w jaki sposób jego zastępca zmrużył oczy. Dwaj mężczyźni podejrzewani o związki ze Szmaragdem, którzy zdołali uniknąć aresztowania w Hairathcie, przed ucieczką zdołali poderżnąć gardła parze najlepszych i najbardziej zaufanych śledczych Seafarmera. Śledczych, którzy przybyli do miasta-twierdzy, posiadając idealne przykrywkę... Jednym z nielicznych ludzi, którzy o tym wiedzieli, był właśnie książę.

Prawdę powiedziawszy, książę był jedynym człowiekiem w Hairathcie, którego poinformowano o ich bytności właśnie dlatego, że szpiegzy przebywający na terenie tego miasta zbyt często wymykali się obławom. Seafarmer sprawdził to co najmniej dwukrotnie, aby zyskać absolutną pewność. To mogło oznaczać, że zdradził wrogowi tożsamość agentów Gromu. Ale nie dowodziło niczego, jeśli się nad tym zastanowić. Przecieki również dobrze mógł mieć źródło w Tellesbergu, istniało też spore prawdopodobieństwo, że twarz któregoś ze śledczych była znana przeciwnikowi z wcześniejszych akcji i to go zgubiło. Takie rzeczy działy się w przeszłości i jeszcze nieraz się wydarzą. A jeśli nawet książę był winny przeciekowi, mógł dopuścić do niego nieświadomie. Wystarczyło, że Nahrman umieścił w jego otoczeniu szpiega zajmującego na tyle wysokie stanowisko, by mógł przeglądać bez wiedzy Kahlvyna Ahrmahka wszystkie ważne dokumenty.

Właśnie dlatego mieli tak wielki problem z ustaleniem, co tak naprawdę wydarzyło się w Hairathcie. I dopóki wywiad nie uzyska jasnej odpowiedzi, baron nie będzie mógł

wykorzystać reszty dostarczonych przez Merlina informacji. To znaczy tych, których nie potrafił samodzielnie sprawdzić i uwiarygodnić.

- Dobrze — powiedział po chwili przerwy. - Sądzę, że powinniśmy zająć się sprawą księcia na dwa sposoby. Po pierwsze zwiększymy liczbę obserwujących go agentów. Mam nadzieję, że nie muszę ci przypominać, Rhyzhardzie, iż masz wybrać do tej roboty tylko najbardziej zaufanych ludzi.

- Oczywiście, panie.

- Po drugie - ciągnął baron ponurym głosem - zastanawiam się nad zastawieniem na niego pułapki.

- Pułapki, panie? - powtórzył sir Rhyzhard, na co baron przytaknął.

- Jak sam niedawno wspomniałeś, jeśli poznamy źródło przecieku, możemy je potem karmić fałszywymi informacjami i obserwować reakcje drugiej strony. Jakkolwiek na to patrzeć, wiemy, przynajmniej z grubsza, kim są nasi wrogowie. - Baron Gromu prychnął pogardliwie, gdy ujrzał na twarzy Seafarmera zdziwioną minę. - Sam mi to przed chwilą mówiłeś, Rhyzhardzie. Ludzie Nahrmahna w Hairathcie wymykają się nam o wiele łatwiej niż w innych rejonach królestwa.

- Rozumiem, panie. - Oczy zastępcy zaślniły.

Dom hrabiego Szarej Zatoki, Tellesberg

Chyba nie mówisz poważnie, Bynzhamynie! - zaprotestował hrabia Szarej Zatoki.

- Wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, Rayjhisie - odparł szef wywiadu - ale ja naprawdę nie mogę przejść obojętnie obok tej sprawy.

- Powiedziałeś już o niej jego wysokości? - zapytał najstarszy z doradców.

- Jeszcze nie — zaprzeczył baron. - Król i następca tronu są znacznie bliżej z księciem niż ty. Dopóki nie uzyskam dowodu, że powodem tego dymu jest ogień rozpalony przez konstabla Hairathy, na pewno nie przekażę im żadnej wiadomości, która mogłaby ich zaboleć. Nie sądzisz też chyba, że czerpię przyjemność z informowania cię, iż ktoś tak bliski tobie i twojej córce, ojciec twoich wnuków, może być zdrajcą?

Hrabia Szarej Zatoki spoglądał na niego spod na wpół przymkniętych powiek. Siedzieli naprzeciw siebie w prywatnej komnacie na piętrze tellesberskiego dworu hrabiego. Każdy z nich trzymał w ręku napełnioną do połowy szklanicę, a na stole obok spoczywała butelka przedniej whisky z Siddarmarku. Zbliżał się wieczór, od południowego zachodu nadchodziła sroga nawałnica. Kłębowisko chmur przemknęło już nad Górą Sty vyna i rozlewało się nad Kotłem, wąskim, płytkim przesmykiem pomiędzy Charisem a Tarołem. Silne porywy wiatru rozbijały wielkie bałwany o fałochrony portu, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie robotnicy portowi przygotowywali się na nadejście burzy. Niebo nad ich głowami utraciło już sporo ze swojej jasności, przygasając powoli wraz z zachodzącym słońcem. W oddali rozległ się stłumiony, złowrogi odgłos grzmotu. Gruba pokrywa chmur nasuwających się na słońce miała barwę ołowiu. W jej głębi co chwilę pojawiał się rozbłysk błyskawic. Dzisiejsza pogoda, pomyślał baron Gromu, jest idealnym odzwierciedleniem atmosfery panującej w tym pokoju.

- Nie, nie sądzę, abyś czerpał radość z możliwości poinformowania mnie o tym - odparł w końcu hrabia Szarej Zatoki. - Ale to wcale nie znaczy, że przyznaję ci rację.

- Uwierz mi - zapewnił go baron Gromu z całą szczerością, na jaką było go stać - w tej akurat sprawie wolałbym się mylić. I dlatego nie zamierzam psuć relacji pomiędzy królem a jego kuzynem, dopóki nie uzyskam absolutnie pewnego powodu, aby to uczynić.

- Ale moje relacje z Kahlvynem cię nie martwią? - zapytał pierwszy doradca, uśmiechając się chłodno.

- Przecież wiesz dobrze, że to nieprawda. - W głosie barona pojawiła się nuta urazy, gdy spojrział hrabiemu prosto w oczy. - W innych okolicznościach nie mówiłbym ci tego wszystkiego, ale niestety prawo każe mi to uczynić.

Hrabia Szarej Zatoki spoglądał na niego przez sekundę albo i dwie, potem zrobił nieszczęśliwą minę i skinął głową.

Prawo było w tym wypadku bardzo jasne i powstało jeszcze w czasach pradziada Haarahlda. Charis różnił się od pozostałych krajów tym, że nawet najprostszy człowiek z ludu nie mógł zostać pochwycony i bez wyroku osadzony w więzieniu. W każdym razie nie można było tego uczynić legalnie, choć hrabia Szarej Zatoki zdawał sobie sprawę, iż to prawo, wzorem wielu innych, także było naginane, a nawet łamane. Zazwyczaj jednak obywatel Charisu, zanim trafił za kraty, musiał usłyszeć konkretne zarzuty przed królewskim magistratem, choćby tylko z powodu podejrzeń, jakie żywiły co do niego świeckie władze. Aby pozostać w więzieniu na dłużej, musiał otrzymać wyrok skazujący przed ławą królewską. Z kolei sądy kościelne miały tylko jedną instancję i często dochodziło do scysji na tej linii, aczkolwiek i król Haarahld, i biskup egzekutor Zherald robili co w ich mocy, by tarć było jak najmniej. Szlachta cieszyła się znacznie większą ochroną prawną nawet w Charisie. Hrabia Szarej Zatoki mógłby powiedzieć (gdyby kiedykolwiek zastanowił się nad tą sprawą), że tak właśnie powinno być. Kiedy zaś dochodziło do oskarżenia tak znacznej postaci jak Kahlvyn Ahrmahk, nawet Korona musiała działać z niezwykłą ostrożnością. Grom nie mógł rozpocząć legalnie dochodzenia, które zamierzał prowadzić, jeśli nie otrzymał wcześniej osobistego zezwolenia i poparcia władcy albo jego najstarszego doradcy. Dlatego gdyby tylko hrabia miał na to ochotę, mógłby utracić całą sprawę już teraz, uznając, że baron Gromu przekracza swoje kompetencje.

Czuł pokusę, by to zrobić, ale zapanował nad nią od razu. Insynuacja, że Kahlvyn jest szpiegiem, była śmieszna, ale baron Gromu w jednym miał rację. Jego obowiązkiem było sprawdzanie najbardziej nawet niedorzecznych oskarżeń i doniesień. To, że Kahlvyn jest zięciem hrabiego, tylko komplikowało sytuację, w jakiej obaj się znaleźli.

- Wiem, że nie powiedziałbyś mi tego, gdybyś nie musiał, Bynzhamynie - powiedział hrabia po dłuższej chwili. - Wiem też, że to cholernie niezręczna sytuacja. Uważam tę sprawę za niedorzeczną, a nawet obraźliwą, ale wiem też niestety, kto pierwszy rzucił oskarżenie. Osobiście uważam, że ten tak zwany seijin przeszedł sam siebie, i z niecierpliwością czekam na moment, gdy stanie przed jego wysokością i zacznie tłumaczyć, dlaczego oczernił członka królewskiej rodziny. Zdaję sobie jednak sprawę, że potrzebujesz mojej autoryzacji, aby prowadzić dalej to dochodzenie. Zatem mów, jakie masz podejrzenia i co zamierzasz zrobić, by je dowieść bądź obalić. O ile - uśmiechnął się blade - Merlin nie miał wizji pozwalającej i mnie oskarżyć o zdradę.

- Zapewniam cię, że nie miał - odparł szorstko baron Gromu i opuścił wzrok na trzymaną w dłoni szklanicę whisky. Kontemplował czystość bursztynowego płynu przez kilka chwil, potem upił niewielki łyżeczek i znów popatrzył na gospodarza.

- Dobrze, Rayjhisie - rzekł. - Oto, co wiemy na ten temat. Po pierwsze...

Odgłos pioruna przetaczającego się przez niebiosa był głośny, wręcz ogłuszający. Rayjhis Yowance, hrabia Szarej Zatoki, stał przy oknie, przyglądając się nieskazitelnym ogrodom swojej miejskiej posiadłości. Wiatr szarpał gałęziami i kwieciami na gazonach, sprawiając, że unoszone podmuchami, połyskujące w ciemnościach liście pokazywały znacznie jaśniejsze spodnie strony. Chłodne powietrze wywoływało ciarki na skórze hrabiego, wyczuwał w nim ostry, charakterystyczny swąd błyskawic.

Jeszcze chwila, pomyślał, jeszcze chwila i rozpęta się burza.

Uniósł szklanicę do ust i napił się whisky. Spoglądając za okno, czuł, jak gorący, miodowy płyn rozlewa się po przełyku. Nagle nad pokrytym chmurami portem pojawiła się potężna błyskawica. Śmignęła między gęstymi chmurami niczym Rakurai Langhorne'a, zalewając cały świat na mgnienie oka potokami oślepiającego światła. Moment później rozległ się ryk eksplozji kolejnego grzmotu, głośniejszy od wszystkich poprzednich.

Hrabia Szarej Zatoki przyglądał się jeszcze przez chwilę temu widokowi, a potem przeniósł wzrok na wnętrze przytulnego, jasno oświetlonego pokoju, który baron Gromu opuścił niespełna dwie godziny temu.

Podszedł do fotela, dolał sobie whisky i usiadł wygodnie. W jego głowie krążyły wciąż słowa wypowiedziane przez sześcioletniego królewskiego wywiadu. Powodowały tak wielki ból, że musiał przymknąć oczy.

To nie może być prawda, pomyślał. Nie może! Musi istnieć inne wytłumaczenie faktów, muszą istnieć inne odpowiedzi na pytania bez względu na to, co myślą Seafarmer i Bynzhmyn.

Ale sam nie był już tego tak pewien, jak jeszcze przed chwilą, i to właśnie utrata pewności bolała go najbardziej. Doznał bólu o wiele silniejszego, niż się spodziewał.

Otworzył oczy raz jeszcze, spojrzął w stronę okna, czekając na pierwsze smagnięcie nadchodzącej ulewy.

Chciałby odrzucić wszelkie podejrzenia dotyczące swojego zięcia. Nie dlatego, że Kahlvyn był kuzynem króla, kolejnym po nim i jego dzieciach kandydatem do tronu, a także regentem w przypadku, gdyby któreś z młodszych dzieci musiało zostać koronowane po niespodziewanych zgonach Haarahlda i Cayleba. Nie chodziło też o wielkie znaczenie Kahlvyna dla królestwa. A już na pewno nie o przywileje, które uzyskał pierwszy doradca króla dzięki małżeństwu swojej córki z księciem. Ani o fakt, że konstabl Hairathy był najpewniejszym poplecznikiem władcy, stając za nim murem w Radzie i parlamencie. Nie. Odrzucał to oskarżenie głównie dlatego, że Kahlvyn zawsze był kochającym mężem dla jego córki, Zhenyfyry, i idealnym ojcem dwojga ich dzieci. Dlatego, że zastąpił mu dawno zmarłego syna, Charla.

Dlatego, że hrabia Szarej Zatoki kochał swojego zięcia.

Gdyby jednak chodziło o kogoś innego, argumenty przedstawione przez barona Gromu wydałyby mu się więcej niż przekonujące.

Ale nie decydujące! - pomyślał, zbierając się w sobie. Moment później ramiona znów mu opadły. Nie, nie decydujące, ale wystarczająco sugestywne, by nakazać śledztwo.

Wystarczająco sugestywne, by zmienić nastawienie Haarahlda do niego, by władca przestał mu ufać. Oby szlag trafił tego tak zwanego seijina!

Mógłby odmówić zgody na rozpoczęcie dochodzenia, miał do tego prawo, gdyby nie śmierć ludzi Seafarmera w Hairathcie... i udział Kahlvyna w przedsięwzięciach handlowych z obywatelami Szmaragdu. Jego zięć, jak zresztą większość szlachty, musiał szastać groszem, aby podtrzymać obraz człowieka godnego swojego stanu, a jego kosztowne myśliwskie hobby, wymagające nieustannego inwestowania w drogie ogary, wyverny i jaszczury, oraz jeszcze kosztowniejsze zakłady o najwyższe stawki potrafiły nadszarpnąć najzasobniejszą nawet kiesę. Daleko mu było jeszcze do żebraka, ale od czasu do czasu musiał odczuwać spory dyskomfort finansowy, to zresztą nie było wielką tajemnicą, sam hrabia wiedział o tym od wielu lat. Tyle tylko, że za każdym razem gdy jego trzos robił się pusty, kolejne interesy w handlu nabijały go ponad miarę. A większość z nich robił z ludźmi - o czym hrabia teraz już wiedział - których lojalność wobec Korony budziła wiele podejrzeń. Ale z drugiej strony brak dowodów na to, że Kahlvyn wie, z kim ma do czynienia, myślał hrabia Szarej Zatoki. Zajmuje się głównie sprawami militarnymi i nigdy nie był nawet po części tak mocno zaangażowany w tępienie szpiegów Nahr-mahna jak ja albo Bynzhmyn. Nikt nigdy nie wprowadził go w te sprawy. I z tego co wiem, nigdy nie miał powodu do kwestionowania lojalności swoich partnerów bądź zastanawiania się, czy któryś z nich próbuje go wykorzystać.

Hrabia rozmyślał tak, pochylony nad szklanicą, gdy przez niebo przetoczył się kolejny piorun. Białobłkitny, oślepiający blask błyskawicy rozświetlił ołowiane niebo, zaraz potem o łupkowy dach dworku zabębniły pierwsze krople deszczu.

Czy to możliwe, że Kahlvyn, jego zięć i kuzyn króla, jest zdrajcą? Czy to możliwe, że oszukiwał wszystkich od tak dłu-giego czasu? A może to mimo wszystko pomyłka? Ciąg zbie-gów okoliczności, które naprawdę nic nie znaczą? Zwykle po-zory, które stały się powodem podejrzeń wyłącznie dlatego, że ktoś taki jak Merlin rzucił oskarżenie?

Hrabia opróżnił szklanekę i napełnił ją ponownie. Wiedział, że nie powinien tego robić. Wiedział, że wypił już zbyt wie-le, aby zachować zdrowy osąd. Ale alkohol pomagał uśmie-rzyć ból.

Przebiegł w myślach raz jeszcze po propozycjach barona Gromu i zacisnął mocno szczęki. Najpoważniejszymi dowo-dami - jeśli w ogóle można użyć takiego określenia - prze-ciw Kahlvynowi byli zamordowani w Hairathcie agenci Sea- farmera. Śledczy, których tożsamość tylko on jeden znał. Z tego właśnie powodu zastępca szefa wywiadu poprosił, aby przekazano księciu dane kolejnego człowieka z informacją, że tropi on jednego z najważniejszych agentów Szmaragdu. Z opisu będzie wynikało - co ksią-żę z pewnością zauważy (oczywiście jeśli jest winny) - że to jego niedawny partner w interesach.

Jeśli jest winny, pomyślał posmutniały hrabia Szarej Za-toki, śledczego Seafarmera czeka ten sam los co poprzednich agentów. Chyba że tuzin szpiegów, o których Kahlvyn nie ma pojęcia, zdoła go tym razem obronić.

Jeśli ktokolwiek zasadzi się na człowieka Gromu albo je-śli podejrzany nagle zniknie, baron nadal nie będzie miał w ręku przekonującego dowodu. Ale okoliczności tych wy-darzeń okażą się na tyle dziwne, że nikt nie sprzeciwi się rozpoczęciu dochodzenia w pełnej skali. Hrabia po raz kolejny opróżnił szklanicę i znów ją napeł-nił. Skrzywił się, gdy zauważył, że właśnie dotarł do poło-wy drugiej butelki.

XI

Dworek księcia Tirianu, Królestwo Charisu

W

asza łaskawość, wybac, że ci przeszkadzam, ale masz gościa.

Kahlvyn Ahrmahk, ksią-żę Tirianu, podniósł wzrok znad korespondencji zalegającej blat biurka i spojrział na majordo- musa, unosząc znacząco brew.

- Gościa, Marhysie? O tej porze? - Ksią-żę machnął dło-nią z gracją, wskazując okno gabinetu i grube krople desz-czu ciekące po ciętych w romby szybach. - W taką pogodę?

- Tak, wasza łaskawość. - Marhys Wyllyms służył księ-ciu przez większość z sześćdziesięciu lat swojego życia. Jego twarz miała pogodny wyraz, ale ksią-żę dostrzegł w oczach coś niepokojącego, co kazało mu się natychmiast wypros-tować.

- Kimże jest ów gość? - zapytał.

- To hrabia Szarej Zatoki, wasza łaskawość.

- Co takiego? - Ksią-żę nie potrafił ukryć zaskoczenia w głosie, choć bardzo się starał, aby zachować pozory. Wyl-lyms ponownie pochylił głowę. - Hrabia we własnej osobie? - naciskał dalej konstabl, a służący skwitował te słowa kolej-nym skinieniem głowy. - Czy on...? - urwał.

Nie potrafił wymyślić logicznego powodu, dla którego jego teść chciałby go odwiedzić w taką noc. A już z pewnością nie przybyłby bez uprzedniego powiadomienia. To mogło ozna-czać tylko jedno: sprawę wielkiej wagi i nie cierpiącą zwłoki, której ktoś taki jak Wyllyms nawet by nie zrozumiał.

- Hrabia - powiedział sługa po chwili milczenia - zajechał powozem, wasza łaskawość.

Towarzyszy mu jeden przybocz-ny. Poprosiłem obu panów, aby zechcieli poczekać w biblio-tece, i zaoferowałem coś do picia, zanim odszedłem, aby wa-szą łaskawość powiadomić. Odmówili przyjęcia poczęstunku.

Brew księcia Tirianu ponownie powędrowała do góry, tym razem ze strachu. Najstarszy doradca króla nie miał powodu, by paradować po nocy z jednym tylko przybocznym,

zwłaszcza w tak paskudną noc! Kahlvyn zaczął coś mówić, szybko i bełkotliwie, potem jednak wziął się w garść i zamilkł, aby ponownie przemyśleć problem.

- Dobrze, Marhysie - stwierdził po chwili. - Już do nich schodzę.

Nie ruszył się jednak, dopóki nie napisał pośpiesznie kilku słów na rozpostartej płachcie papieru, potem złożył ją pieczołowicie i podał Wyllymsowi.

- Nie mam pojęcia, co przygnało hrabiego w moje progi w taką pogodę, ale jednego jestem pewien: zostanie tu dłużej. Każ stangretowi zaprowadzić powóz do naszych stajni. Nie wiem, ile czasu spędzi u nas hrabia, może i całą noc, jeśli zdołam go namówić, by nie wracał w tej burzy, ale jeśli zdecyduje się na wcześniejszy wyjazd, jego powóz i konie nie będą przynajmniej przemoknięte.

- Oczywiście, wasza łaskawość.

- Jak już dopilnujesz wszystkiego, zanieś tę wiadomość kapitanowi Zhahnsynowi.

Frahnk Zhahnsyn był dowódcą straży przybocznej księcia Tirianu i jedynym sługą, który był u jego boku dłużej niż Wyllyms.

- Oczywiście, wasza łaskawość - wymamrotał ponownie majordomus i wycofał się z gabinetu odprawiony gestem księcia.

Konstabl Hairathy siedział jeszcze przez chwilę, spoglądając niewidzącym wzrokiem na mokre od deszczu okno, a potem zacerpnął głęboko tchu, wstał i ruszył do drzwi.

- Ojczy! - zawołał księżę Tirianu, wchodząc zdecydowanym krokiem do biblioteki.

Temperatura w Tellesbergu nigdy nie spadała poniżej zera, ale czasami robiło się chłodno, zwłaszcza zimą, choć i taka burzliwa noc jak dzisiaj zachęcała do rozpalenia ognia w kominku. To wystarczało, by przegnać uczucie zimna, więc księżę nie dziwił się zbytnio, widząc, że hrabia Szarej Zatoki stoi blisko paleniska z rękami wyciągniętymi w stronę trzaskających wesoło płomieni.

Biblioteka była o wiele większa niż gabinet księcia Tirianu. Gdyby nie to, że Wyllyms zaprosił hrabiego do tej komnaty, księżę zaoferowałby mu znacznie przytulniejsze warunki. Ta ogromna sala została dobudowana do domu księcia przez jego prawie niepiśmiennego dziadka ze strony matki, jako ślubny dar dla jego córki. Staruszek nie żałował także grosza, by ofiarować swojemu najukochańszemu dziecku jedną z najwspanialszych kolekcji książek w Tellesbergu i zapewnić jej godną oprawę.

Po obu stronach łukowatego sklepienia umieszczono mnóstwo wielokomorowych świetlików. Tworzyły one szeroki krąg, w którego centrum znajdował się kamienny komin otoczonego lustrami paleniska; dzięki nim promienie słoneczne mogły bez problemów dotrzeć do kilku stołów zajmujących środek biblioteki. W tej samej chwili gdy hrabia oderwał wzrok od ognia, by spojrzeć na swojego zięcia, gdzieś daleko, za rytmicznym bębnieniem ulewy o dach, rozległ się przytłumiony odgłos gromu, a wszystkie świetliki rozjaśnił blask przemykającej po niebie błyskawicy, tak jasny, jakby sam Schueler uwolnił w końcu wszystkie swoje furie.

Księżę Tirianu zadrzał na widok miny teścia. Twarz hrabiego Szarej Zatoki była ściągnięta, jakby trafił go jakiś wielki problem, a jego oczy wyrażały niezmierny smutek. Księżę podszedł do niego szybko, wyciągając obie ręce, a jego niepokój rósł z każdym krokiem. Wyczuwał znajomy zapach w oddechu teścia.

- Ojczy - powtórzył znacznie łagodniejszym tonem, kładąc dłonie na ramionach niższego i znacznie szczuplejszego hrabiego. - Cóż się stało? Co przygnało cię w moje progi w taką noc?

Spojrzał w stronę ociekających strumieniami wody świetlików, a dzwonki alarmowe w jego głowie zadźwięczały o ton głośniejszy, gdy zauważył krople kapiące teściowi z przemoczonego kucyka. Czyżby wyszedł w taką pogodę, nie zabierając nawet kapelusza?

- Ja... - zaczął hrabia, ale przerwał, wlepiwszy oczy w twarz zięcia, na której zauważał tak wielkie podobieństwo do króla Haarahlda. Może książę Tirianu nie był podobny do Cayleba, ale na pewno stanowił niemal idealną kopię panującego władcy.

- Słucham? - zapytał uprzejmie Kahlvyn, jego ciemne oczy wyrażały zatroskanie i współczucie. Hrabia Szarej Zatoki zawsze traktował to zatroskanie, tę miłość, jako najszczerze z uczuć, ale dzisiaj... Dzisiaj... — Mów - zażądał książę, jednocześnie odciągając teścia od rozgrzanego paleniska i prowadząc go do obitego skórą fotela. Zdażył usadzić na nim hrabiego, zanim Marhys Wyllyms zapukał ostrożnie do drzwi biblioteki, by wejść, niosąc srebrną tacę z butelką najprzedniejszej harchońskiej brandy i dwiema szklankami.

Książę nie kazał mu przynosić alkoholu, ale skinął głową z aprobatą, gdy stary majordomus ustawiał tacę na niewielkim stoliku tuż obok fotela hrabiego, po czym natychmiast oddalił się cicho i dyskretnie.

Kahlvyn odkorkował butelkę i rozlał brandy do dwu szklanek, dając tym samym zrozpaczonemu teściowi kilka chwil wytchnienia. Następnie wyciągnął jedną z nich w kierunku hrabiego, drugą zostawiając sobie, i usiadł w fotelu ustawionym naprzeciw.

- Ojciec - odezwał się ponownie, kiedy hrabia Szarej Zatoki przyjął szklanicę. Nie napił się jednak, trzymał ją jedynie w dłoni, podczas gdy Kahlvyn ciągnął tym samym, zdecydowanym tonem. - Na pewno nie opuściłeś domu w tak paskudną pogodę bez powodu. Powiedz mi zatem, co cię sprząwodzi do moje progi? Powiedz mi, w czym ci mogę pomóc? Ku jego zaskoczeniu do oczu teścia napłynęły łzy.

- Nie powinienem był tu przychodzić - rzekł w końcu hrabia Szarej Zatoki bełkotliwie. Był bardziej pijany, niż książę podejrzewał. - Nie powinienem był tu przychodzić - powtórzyl jego teść - ale musiałem. Musiałem, Kahlvynie.

- Dlaczego, ojciec? Cóż takiego się stało?

- Kahlvynie, zadawałeś się... z ludźmi, z którymi nie powinieneś był się zadawać - odparł hrabia Szarej Zatoki. Oczy jego zięcia zwięzły się, kiedy przecząco pokręcił głową. - Wiem, że nie miałeś powodu ich podejrzewać - ciągnął - ale niektórzy z twoich partnerów w interesach są... Nie są tym, za kogo ich uważasz.

- Ojciec - przerwał mu książę Tirianu - obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz.

- Wiem, wiem.

Hrabia Szarej Zatoki odwrócił wzrok, spojrział na trzaskający w kominku ogień. Zhorzh Hauwyrd, jego przyboczny, stanął tuż za oparciem fotela. Hauwyrd wstąpił na służbę u hrabiego przed ponad dwunastu laty. Do straży przybocznej udało mu się dostać dwa lata później, gdy jego pechowy poprzednik utonął podczas wyprawy na ryby, i od tamtej pory wiernie służył swojemu panu. Dzisiaj jednak nie miał bladego pojęcia, co dręczy hrabiego, chociaż wiedział, że to coś poważnego.

Cóż, tak było w istocie. Książę Tirianu także wydawał się zaniepokojony. Stary hrabia mówił wyjątkowo składnie, chociaż odór whisky dominował w jego oddechu. Wieloletnio praktyka w polityce i dyplomacji zrobiła swoje, uznał książę. Niejeden człowiek, rozmawiając z hrabią, nie domyślałby się nawet, jak bardzo ów jest pijany, ale własny zięć znał go wystarczająco dobrze, by to wiedzieć. Rozumiał też doskonale, że stary hrabia jest w tej chwili całkowicie rozkojarzony. Szukał nie tylko słów, ale i myśli, które chciał w nie przybrać.

Książę Tirianu jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie, wyciągnął więc lewą rękę i oparł dłoń na kolanie teścia.

- Co wiesz na ten temat, ojciec? - Zadane uprzejmym tonem pytanie utonęło w huku kolejnego pioruna. Hrabia Szarej Zatoki oderwał w końcu wzrok od paleniska i z trudem skupił go na twarzy zięcia.

- Kahlvynie - powiedział - niektórzy z twoich partnerów handlowych, niektórzy ludzie aspirujący do miana twoich przyjaciół są... kimś innym, niż sądziłeś. Są szpiegami. Zdrajcami. - Pokręcił głową, w oczach nie miał już łez, chociaż wciąż przepełniała je troska. - Nie powinieneś być z nimi kojarzony.

- Szpiegami? - Książę Tirianu zmarszczył brwi. - Zdrajcami? - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Nie wiem, o czym mówisz, ojcze!

- Mówię o twoich partnerach handlowych pracujących dla Nahrmahna ze Szmaragdu - wyjaśnił hrabia Szarej Zatoki. - Mówię o człowieku, od którego kupujesz wyverny do polowań. Zadajesz się z ludźmi będącymi wrogami króla i Charisu, Kahlvynie. Są tacy - dodał, ścisząc głos - którzy zaczynają podejrzewać, że wiesz o tym wszystkim.

- Podejrzewają mnie o zdradę? - zapytał ostrym tonem książę.

Twarz gwardzisty stojącego za fotelem hrabiego nadal stanowiła nieprzeniknioną, pozbawioną wyrazu maskę. Wiadać było jednak, że przybocznemu nie podoba się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa.

- Tak, jest kilku takich - odparł najstarszy doradca króla.

- Kto? - Książę podniósł głos. - Kim oni są?

- Przecież wiesz, że nie mogę ci tego zdradzić. I tak powiedziałem już więcej, niż powinienem. Ale powtórzę ci raz jeszcze, Kahlvynie: musisz dać sobie spokój z tymi ludźmi.

- Przecież nie wiem nawet, o kim mówisz! - zaprotestował konstabl Hairathy.

- Tyle mogę ci powiedzieć - stwierdził hrabia Szarej Zatoki. - Chodzi o Lahanga, handlarza wyvernami. To jeden ze szpiegów Nahrmahna. I o kupców, Tairehla oraz Thorsyna. To też agenci. No i o całą resztę.

- Jaką znowu resztę? - Książę Tirianu odstawił szklankę z brandy na tacę. Jego oczy zwęziły się w szparki, gdy wbił natarczywe spojrzenie w twarz teścia.

- Ta trójka jest najistotniejsza - odparł hrabia Szarej Zatoki, machając nerwowo lewą ręką. - Ale jest też paru innych, tyle tylko, że wiemy, iż nie są tak ważni dla Nahrmahna i jego operacji w Charisie.

- My, czyli kto?

- Grom, a któż by inny - stwierdził zniecierpliwionym tonem doradca króla. - Seafarmer i pozostali. Czy to ma jakieś znaczenie, Kahlvynie?

- Oczywiście, skoro mają mnie za zdrajcę tylko dlatego, że znam tych ludzi i robię z nimi interesy!

- Chodzi o to, żeby im pokazać, że nie jesteś zdrajcą.

- Chodzi o to, żebym się w końcu dowiedział, kto śmie oskarżać mnie o tak potworne rzeczy! - ryknął książę Tirianu. - Jestem kuzynem Haarahlda, na rany Langhor-ne'a!

- Nie winię cię za ten wybuch gniewu - odparł hrabia Szarej Zatoki - ale możesz być pewien, że wszyscy chcemy wierzyć w twoją niewinność. Powinieneś o tym wiedzieć.

Tylko...

Zawiesił głos, kręcąc ze smutkiem głową. Książę tymczasem nie spuszczał z niego wzroku.

- Tylko co, ojcze? - zapytał.

- Padło konkretne... oskarżenie - wyszeptał doradca króla po dłuższej chwili, nie odrywając wzroku od paleniska. - To niedorzeczne, wiem o tym. Ale padło. A zważywszy na osobę, która je wypowiedziała... Bynzhamyn nie miał wyjścia i musiał potraktować tę sprawę serio.

- Osobę, która je wypowiedziała... - powtórzył bardzo powoli książę Tirianu, z czujnym, ale i zamyślnym wzrokiem. Następnie skinął głową. - Oskarża mnie ów tajemniczy przybysz - stwierdził - ten, którego ludzie nazywają sei-jinerri? Nie myślę się chyba?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. I nie uczynię tego. - Hrabia Szarej Zatoki zdecydowanie potrząsnął głową. - Uważam, że to nonsens, a nawet akt politycznej zemsty,

ale nie mogę zdradzić źródła moich informacji przynajmniej do czasu, gdy Bynzhamynowi uda się oddalić od ciebie wszelkie zarzuty... - Przeniósł wzrok na zięcia, mrużąc mocno oczy. - Aby mu w tym pomóc, powinieneś odciąć się od każdego, kogo uważamy za szpiega Nahrmahna, i przekazać baronowi Gromu wszystko, co wiesz.

- Wszystko, co wiem? Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał, że współpracowałem ze zdrajcami!

- Do cholery, Kahlvynie! - zawołał hrabia Szarej Zatoki, podnosząc głos bardziej niż poprzednio. Odstawił nietkniętą brandy na tacę z takim impetem, że część alkoholu przeleciała się przez krawędź szklanicy, a potem spojrzał uważnie w oczy zięcia. -

Współpracowałeś! Nieistotne, czy robiłeś to świadomie czy też nie. Wiemy, że to ludzie Nahrmahna. Najważniejsze, byś teraz, kiedy ci o tym powiedziałem, uczynił wszystko, co może pomóc w dowiedzeniu ich winy.

- Dlaczego? - zapytał księżę Tirianu. - Skoro Grom wie, że są agentami Szmaragdu, co jeszcze mogę powiedzieć na ich temat?

- Wszystko, co wiesz - powtórzył powoli hrabia Szarej Zatoki, ściągając brwi. -

Wszystko, co może okazać się pomocne. - Usiadł wygodniej w fotelu, przyglądając się zięciowi spod na wpół przymkniętych powiek. - Nie muszę ci przypominać, jak to wszystko działa, Kahlvynie. Na twoim miejscu uczyniłbym to z największą ochotą.

- Dlaczego miałbym robić coś takiego? To nie ciebie jakiś tajemniczy przybysz oskarżył o zdradę - prychnął gniewnie księżę Tirianu, zrywając się z fotela. Podszedł do paleniska i zapatrzył się w trzaskające płomienie. Stał zwrócony tyłem do teścia, z dłońmi splecionymi na plecach i spuszczone ramionami. - Dlaczego miałbym z taką ochotą bronić mojego nazwiska, naszego nazwiska, przeciw tego rodzaju pomówieniom?

- Aby zdyskredytować oskarżającego - wyjaśnił hrabia Szarej Zatoki, nadal wypowiadając słowa powoli i nie spuszcżając oczu z wyprostowanych jak struna pleców zięcia.

- Do Shan-wei z nim! - warknął księżę Tirianu. - Jestem kuzynem króla, nie jakimś tam baronem z zadupia! Dlaczego miałbym reagować na oskarżenia rzucane przez zwykłego przybłędę?

- Nie musisz tego robić - stwierdził jego teść, jeszcze wolniej cedząc słowa - jeśli nie ma w nich słowa prawdy.

Konstabl Hairathy obrócił się na pięcie, ale uczynił to odrobinę za szybko i zdołał dostrzec wyraz oczu teścia. Zobaczył, że hrabia Szarej Zatoki nie jest aż tak pijany, jak zakładał na początku rozmowy. Zauważył, że troska obecna w jego spojrzeniu zmieniła się w coś innego - coś znacznie smutniejszego, a zarazem twardszego - gdyż szybkość, z jaką się odwrócił, a może jego mina, uświadomiła hrabiemu to, w co tak bardzo nie chciał uwierzyć.

- Na Langhornea - wyszeptał doradca króla. - Zatem to prawda? Wiedziałeś, że Lahang jest agentem Nahrmahna w Tellesbergu...

Księżę Tirianu otworzył usta, zamierzając zaprzeczyć oskarżeniu, ale nie uczynił tego. Stał przez moment, spoglądając na hrabiego, potem rzucił okiem na Hauwyrda.

- Tak - oświadczył chwilę później wyniosłym, wciąż pewnym głosem. - Tak, ojczec. Wiedziałem, że Lahang jest jednym z agentów Nahrmahna. I przyznaję, że namawiał mnie, abym przystąpił do spisku przeciw Haarahldowi.

- A ty nikomu o tym nie powiedziałeś. - Słowa wypowiedziane przez hrabiego nie były już niewyraźne. Stały się ostre i zimne. Dało się w nich wyczuć gniew i smutek. Księżę wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałem - przyznał. - Dlaczego miałbym to robić? Skoro Lahang chciał mnie wciągnąć w spisek przeciw Haarahldowi, musiał udzielić mi kilku informacji na ten temat, nieprawdaż? Czyż nie zyskałem dzięki temu większych szans na poznanie planów Nahrmahna?

- Gdybyś naprawdę tak myślał, natychmiast przekazałbyś Bynzhamynowi informacje o propozycji Lahanga.

- Miałbym zaryzykować wydanie mojego sekretu, zanim dowiem się czegoś naprawdę użytecznego? - zaczął książe Tirianu. - Uważam, że...

- Oszczędź mi tego - przerwał mu doradca króla bardzo ostrym tonem. Zięć spojrzał na niego i ujrzał, że hrabia kręci głową. - Znam Bynzhamyna Raicea od ponad dwudzieści pięciu lat. Ty też znasz go niemal tak długo. Obaj wiemy, że tajemnice mu powierzone nigdy nie wypływają. - Pokręcił głową raz jeszcze, tym razem wolniej i z większym smutkiem. - Nie, Kahlvynie. Jedyńm powodem, dla którego nie zdecydowałeś się na wyjawienie tej sprawy Bynzhamynowi, było to, że poważnie się zastanawiałeś nad przyjęciem propozycji Lahanga.

Pomimo piorunów szalejących nad świetlikami, walenia deszczu o dach i trzaskania płomieni na palenisku, zdawać się mogło, że w bibliotece zapanowała grobowa cisza. W końcu przerwał ją książe Tirianu.

- Zastanawiałem się - przyznał. - Dlaczego nie miałbym tego robić? W moich żyłach płynie ta sama, królewska krew. Dziadek Haarahlda i mój to ta sama osoba. Gdyby kraken odebrał mu życie, a nie tylko kolano, tron przypadłby w udziale właśnie mnie. Dlaczego miałbym odrzucić drugą szansę na jego zdobycie?

Hrabia Szarej Zatoki gapił się na zięcia z takim zdziwieniem, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Wydawało mi się, że cię znam - rzekł w końcu tak cichym głosem, że mało brakowało, by jego brzmienie utonęło w huku zimowej ulewy. - Ale okazuje się, że nigdy nie poznałem twojego prawdziwego oblicza.

- Nie mów głupstw. - Książę zbył te słowa lekceważącym gestem. - Od czternastu lat jestem twoim zięciem. Stałeś się moim ojcem nie tylko z nazwy. I nic z tego, co sobie myślę albo robię w kwestii Haarahlda, nigdy tego nie zmieni.

- To zmienia wszystko, Kahlvynie - oznajmił hrabia Szarej Zatoki. - Nie rozumiesz? Byłem zaufanym człowiekiem króla, jego sługą, na długo przed tym, jak zostałeś moim zięciem. Przysięgałem mu wierność, tak samo jak ty, i nie zamierzam łamać danego słowa. Ani dla ciebie, ani dla Zheny- fyr i jej synów. Nie złamię go nawet dla siebie samego.

- Ach tak. - Książę Tirianu przyglądał się hrabiemu przez długie sekundy, potem znów złożył ręce na plecach i wzruszył ramionami. - Zatem nie mam co liczyć na to, że zapomniaisz o naszej rozmowie albo staniesz w tej sprawie po mojej stronie? - Uśmiechnął się po łotrzykowski. - Moglibyśmy stworzyć cudowny zespół, ojczu. Pomyśl o tym. Książę Korony i pierwszy doradca króla. Moglibyśmy mieć wszystko, gdybyś tylko zapomniał o tej przysiędze.

- Nigdy - zapewnił go hrabia z wyraźnie wyczuwalnym smutkiem.

- Cóż więc nam pozostaje?

- Bynzhamyn już jest niemal przekonany, że oskarżenia rzucone przez Merlina nie są czczym wymysłem - odparł hrabia. - Seafarmer rozpoczął śledztwo. A ja poznałem właśnie prawdę, Kahlvynie. To tylko kwestia czasu, krótkiego czasu, i król także dowie się o wszystkim. Wydaje mi się, że twoją jedyną szansą jest przyznanie się do wszystkiego.

- Mam wyznać, co uczyniłem? Zdać się na łaskę Haarahlda?

- Widzisz inne rozwiązanie?

- Wciąż mogę wygrać, ojczu - odparł spokojnie książe Tirianu.

- Wygrać? - z niedowierzaniem powtórzył hrabia. - Jak? To już koniec, Kahlvynie! Jedyne, do czego możesz dążyć, to zminimalizowanie strat. Jesteś kuzynem Haarahlda, on i Cayleb cię uwielbiają. Na pewno będą źli na ciebie, nawet wściekli, kiedy się dowiedzą. Ale czyż nie jesteś jednym z najważniejszych arystokratów tego królestwa? Ustupujesz wielkością jedynie królowi i Caylebowi. Oczywiście jest, że stracisz ich zaufanie, jeśli przyznasz się do

uczestnictwa w spisku, ale pomagając wykryć szpiegów, zagwarantujesz sobie, że Haarahld zrobi wszystko, aby wyciszyć twoją sprawę. Wiesz o tym przecież!

- Drogi, kochający kuzyn Haarahld - rzucił księżę Tirianu twardym głosem, w oczach zalśniły mu nienawistne ogniki. - Ojciec, to ja powinienem zasiadać na tronie, nie on! Twarz hrabiego Szarej Zatoki stężała. Spojrzał na swojego zięcia i ujrzał w nim człowieka, którego znał... ale i kogoś zupełnie obcego. Człowieka tak zaślepionego własną ambicją i żalem, że stał się zdrajcą i niedoszłym uzurpatorem, na tyle przebiegłym, by ukrywać to przed innymi ludźmi.

Nawet przed tymi, którzy go kochali.

- Kahlvynie - zaczął mówić najstarszy doradca króla - tron nie należy do ciebie. I nigdy nie będzie należał. Pogódź się z tym i wyciągnij rękę do Haarahlda, póki jeszcze możesz.

- Nie sądzę, abym tego chciał - odparł księżę Tirianu.

Hrabia Szarej Zatoki zamarł na fotelu, a dłoń Hauwyryda opadła na rękojeść miecza, księżę jednak zignorował ten gest przybocznego, jego spojrzenie wbite było w oczy teścia.

- Zdaje się, że nie przekonam cię do przejścia na moją stronę - stwierdził. - Obawiam się, że i ty nie przekonasz mnie do swojego pomysłu, ojciec. A to oznacza, że mamy problem.

- Nie wygrasz tej walki, Kahlvynie.

- Mylisz się. - Księżę oparł się jedną ręką o obudowę kominka i uśmiechnął w stronę teścia. - Znam ciebie i znam barona Gromu - powiedział spokojnym, a nawet łagodnym tonem. - Na pewno nie wypaplałeś tego nikomu innemu, przynajmniej na razie. Ale Seafarmer mógł to zrobić - przyznał, kiwając głową. - Tak, Seafarmer mógł już o tym rozmawiać z kilkoma osobami, jeden albo dwóch z jego zaufanych popleczników może coś wiedzieć. Ale to raczej zamyka listę wtajemniczonych.

- I tak jest wystarczająco długa - zauważył ponuro hrabia Szarej Zatoki.

- Ależ skąd, ojciec - zaprzeczył księżę Tirianu. - Obawiam się, że w tych okolicznościach będę zmuszony dokończyć posunięcie, których naprawdę chciałem uniknąć, chociaż prawdę powiedziawszy, nie będzie to nic, czego bym wcześniej nie planował.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał jego teść głosem drżącym z napięcia.

- Tylko tyle, że miałem nadzieję, iż Cayleb jest jedyną osobą, którą muszę zabić. - Księżę pokręcił głową z nieudanym żalem. - Skrycie liczyłem jednak, że i to nie będzie potrzebne. Może, gdybym właśnie tego pragnął, zaplanowałbym wszystko lepiej.

- Przyznajesz więc, że zamierzałeś zamordować własnego kuzyna? Następcę tronu? - Doradca króla wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby wciąż nie wierzył w to, co właśnie usłyszał.

- Tak, to był mój pomysł - przyznał księżę Tirianu. - Lahangowi strasznie się to nie podobało. Na samym początku ani on, ani Nahr-mahn nie chcieli mieć z tym nic wspólnego, ale ulegli, kiedy powiedziałem im, że to ja zostanę regentem w imieniu Zhana i Zhanayt.

- A co z królem? - W głosie hrabiego nie było już napięcia, zastąpiły je znacznie silniejsze emocje, w tym fascynacja.

- Tu sprawa nieco się komplikowała - przyznał jego zięć. - Ale z drugiej strony, żywiłem silne przekonanie, że Nahr-mahn tak bardzo zapalił się do naszego pomysłu, gdy księżę Cayleb będzie już martwy, iż bez problemu namówię go na ruchy, dzięki którym usunie również Haarahlda. Tak byłoby o wiele wygodniej, przynajmniej z mojego punktu widzenia.

- Cóż, nic takiego się jednak nie wydarzy - ostrzegł go hrabia Szarej Zatoki.

- Masz rację, to się już nie uda. Ale mam wciąż przyjaciół w pałacu i jestem kuzynem króla. Obawiam się, że będziemy zmuszeni do wszczęcia znacznie większego zamieszania, ale nasz plan się powiedzie między innymi dzięki temu twojemu Merlinowi.

- O czym ty mówisz?

- To proste. - Książę uśmiechnął się blade. - Obawiam się, że dzisiejszej nocy w Tellesbergu dojdzie do kilku okrutnych zabójstw. Baron Gromu, Seafarmer, większość jego zaufanych śledczych, skoro nie wiem, którym powierzył moją słodką tajemnicę... muszę wyeliminować ich wszystkich. Lahang też będzie musiał pożegnać się z tym światem. Nie mogę pozostawić przy życiu nikogo, kto wie o moich powiązaniach z Nahrmanem. Hrabia Szarej Zatoki zbladł. Bardziej przerażające było to, kto wypowiada te słowa, nie ich treść.

- Wszyscy będą poruszeni, gdy usłyszą te wieści - ciągnął tymczasem książę Tirianu. - Na szczęście ty przybyłeś tej nocy do mnie, przynosząc ostrzeżenie przed knowaniami tajemniczego Merlina. Obawiałeś się bowiem, że człowiek ten współpracuje z Nahrmanem i przybył tutaj, aby spiśkować przeciw Koronie. Zaniepokoiło cię, że król zaczął mu bezgranicznie ufać po tak krótkim czasie, dopuszczając zbyt blisko siebie i Cayleba, a nawet mianował go jednym z przybocznych następcy tronu. Wziąwszy sobie do serca ostrzeżenie, które mi przyniosłeś, wyruszyłem do pałacu w otoczeniu najbardziej zaufanych gwardzistów, gdy tylko dowiedziałem się o śmierci barona Gromu i jego śledczych. Wydawało mi się, że jeśli nie mylą cię przecucia i Merlin rzeczywiście jest winien wszystkich tych zbrodni, należy go jak najszybciej aresztować. Niestety, jak wszyscy wiedzą z opowieści o uratowaniu Cayleba, człowiek ten okazał się wyjątkowo utalentowanym szermierzem i do tego zabójcą. Jedynym powodem, dla którego „uratował” życie następcy tronu, była chęć dostania się do pałacu, gdzie mógł zyskać okazję do wymordowania całej rodziny Haarahlda. Zanim udało nam się dotrzeć do komnat króla, Merlin i ci z pałacowych strażników, których zdążył przekabacić na swoją stronę, zamordowali prawowitego władcę i jego najstarszego syna. Moi ludzie, oczywiście ze mną na czele, zdołali ich jednak dopaść i wybić do nogi, dzięki czemu ocalono życie Zhana i Zhanayt. Tym sposobem będę mógł się ogłosić regentem w trybie natychmiastowym.

- To szaleństwo - stwierdził hrabia Szarej Zatoki niemal obojętnym tonem. - Nikt ci nie uwierzy.

~ Mam na ten temat inne zdanie. — Książę Tirianu uśmiechnął się ponownie. - Część moich stronników na dwórze poprze mnie bez względu na okoliczności. Pozostali, jeśli nawet będą mieli wątpliwości co do okoliczności przejęcia władzy, zostaną zmuszeni do przyznania mi racji, jeśli król i Cayleb zginą. Zhan to jeszcze dziecko, a nas otaczają sami wrogowie. Jeśli nie ja, to kto zasiądzie na tronie? Myślisz, że ktoś zaryzykuje walkę o tron, wiedząc, że Nahrman i Hektor tylko czekają na okazję, by nas zniszczyć? A wracając do mitycznego Merlina. Kto wie, kim on naprawdę jest? To obcy, przybysz z innego kraju, który pojawił się w podejrzanych okolicznościach i od tamtej pory nie ustaje w wysiłkach, aby doprosić się łask króla! Połowa szlachty na dworze już trzęsie portkami w obawie przed jego rosnącymi wpływami. Przecież nie jest jednym z nich. Będą szczęśliwi, jeśli go usunę. Zwłaszcza - nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, a oczy zrobiły się wąskie jak szparki - gdy pierwszy doradca Haarahlda potwierdzi zasadność wszystkich podejrzeń, które co do niego żywiłem.

- Nie uczynię tego - oświadczył stanowczo hrabia Szarej Zatoki.

- Radzę ci przemyśleć tę sprawę, ojcze. - W głosie księcia Tirianu nie było groźby, na razie przemawiał do rozsądku teścia. - Kto będzie cię wspierał, kiedy zabraknie Haarahlda i Cayleba? Rozpętasz, ojcze, wojnę domową? To prosta droga do oddania królestwa w ręce Nahrmana i Hektora. Powinieneś raczej działać dla dobra Charisu i wesprzeć jedyną osobę, która jest w stanie utrzymać Koronę w całości. Twierdziłeś niedawno, że moją jedyną szansą jest poproszenie Haarahlda o łaskę w zamian za wydanie spiskowców. Chyba uczynimy inaczej i ty poprosisz mnie o to samo...

- Nigdy!

- Nigdy to bardzo długi okres, ojczu. Wydaje mi się, że pójdziesz po rozum do głowy, jeśli dam ci wystarczający czas na przemyślenie sprawy.

Hrabia spróbował wstać z fotela, ale sapnął tylko z zaskoczenia, gdy ciężka dłoń przytrzymała go na siedzisku. Zaniepokojony szarpnął się, by spojrzeć przez ramię, i ku swojemu najwyższemu zdziwieniu ujrzał nad sobą twarz Zhorzha Hauwyryda.

- Wybacz mi, ojczu - powiedział księżę Tirianu, a hrabia natychmiast zwrócił spojrzenie w jego stronę. Jego zięć pokręcił tylko głową i kontynuował tym samym, beznamiętnym tonem. - Obawiam się, że przewidziałem, iż taki dzień kiedyś nadejdzie. Czyżbyś już zapomniał, że Zhorzh najpierw służył u mnie? To przecież ja rekomendowałem go, kiedy szukałeś nowych ludzi, i czyż nie ja szepnąłem o nim dobre słowo, gdy twój przyboczny miał ten paskudny... wypadek?

- Mój Boże - wyszeptał hrabia Szarej Zatoki. - Planowałeś to od tak dawna?

- Można powiedzieć, że tak. A kiedy pojawiłeś się u mnie tak nagle, w środku burzy, poczyniłem też inne kroki, by zapobiec ewentualnej wpadce. - Księżę Tirianu podniósł niewielki dzwonek z obudowy kominka. - Nie byłem pewien, czy okażą się konieczne, ale lubię być przygotowany na wszelkie ewentualności.

Potrząsnął dzwonkiem jeden raz. Jego dźwięk był niezwykle miły dla ucha, wypełnił ciszę pomiędzy kolejnymi uderzeniami piorunów i drzwi biblioteki otworzyły się natychmiast. Do biblioteki wkroczył Frahnk Zhahnsyn na czele czternastoosobowego oddziału tirińskiej gwardii księcia. Pomieszczenie było ogromne, ale mieściło w swoim wnętrzu wiele regałów i stołów, więc piętnastu ciężkozbrojnych zajęło niemal połowę wolnej powierzchni.

- Nigdy nie planowałem czegoś takiego - ciągnął tymczasem księżę - i czy mi wierzysz czy też nie, kocham cię naprawdę szczerze, ojczu. Nie wszystko było ukartowane od samego początku. Zhenyfyra, cóż... Jednakże już wtedy byłeś pierwszym doradcą króla. Musiałem zacząć myśleć o tobie także w kategoriach taktycznych. Jak już wspominałem, lubię być na wszystko przygotowany. Nie mając pewności, jak zareagujesz w podobnej chwili, podjąłem stosowne przygotowania, wiedząc, że prędzej czy później ona nastąpi.

- To niczego nie zmienia - oświadczył hrabia Szarej Zatoki. - Twój tak zwany plan jest szalony, ale jeśli nawet wypali, nie pomogę ci. Nie mogę tego uczynić.

- O tym dopiero się przekonamy. Mam tylko nadzieję, że się mylisz, bo od tego zależeć będzie los wielu ludzi. Tymczasem obawiam się, że pora na...

Niebo rozświetliła błyskawica, znów uderzył piorun, ale tym razem z jego rykiem złał się inny, nieco cichszy odgłos. Szkło zatrzęszczało, gdy pękły szyby w świetliku, obsypując siedzącego pod nim hrabiego miriadami odprysków, a do wnętrza biblioteki wpadła ociekająca wodą, ubrana na czar-no postać w kirysie i kolczudze królewskiej gwardii. Intruz wylądował z niesamowitą gracją, jakby upadek z dwudziestopięciostopowej wysokości dzielącej strop od posadzki był dla niego tym, czym zeskoczenie ze stołu. Wyprostował kolana, a miecz trzymany w jego dłoniach śmignął z cichym syknięciem.

Zhorzh Hauwyrd zachwiał się i cofnął, wydając głośny charkot. Lewą dłonią pochwycił kikut prawej ręki, której przedramię wciąż spoczywające na ramieniu hrabiego, upadło z głośnym stukotem na podłogę.

- Mam nadzieję, wasza łaskawość - powiedział niezwykle uprzejmym tonem Merlin Athrawes - że wybaczysz mi, jeśli wprowadzę niewielką korektę do twoich planów.

Kahlvyn Ahrmahk spoglądał z przerażeniem na ociekającą postać stojącą tuż przed nim. Nagłe i zupełnie niespodziewane pojawienie się seijina zaskoczyło wszystkich obecnych w bibliotece, nie wyłączając hrabiego.

Merlin uśmiechnął się pod nosem. Nie planował tej konfrontacji; prawdę powiedziawszy, wolał unikać wszelkich starć tego typu. Nie przewidział też jej. Nie miał jednak pojęcia, jak zareagują zainteresowani na rzucone przez niego oskarżenia, nakazał więc obserwację ludzi

barona Gromu. Rozmieścił pluskwy z SAPK-ów w wielu punktach Tellesbergu, a tę zamontowaną w siedzibie wywiadu monitorował w czasie rzeczywistym. Tylko dzięki temu usłyszał o wnioskach wysnutych przez Seafarmera oraz o tym, że baron zamierza przedyskutować je z hrabią Szarej Zatoki.

Przemieścił pluskwę z biura na ramię szefa królewskiego wywiadu, gdy ten wyruszał na spotkanie z pierwszym doradcą w jego dworze, potem nakazał jej się przenieść na szaty hrabiego. Nie od razu jednak zrozumiał, co zamierza zrobić zrozpaczony teść księcia. Hrabia pewnie sam nie wiedział, co za chwilę uczyni, gdy siadał do ostrego picia, więc Merlin zorientował się, jaki może być cel jego podróży, dopiero gdy starzec wezwał powóz.

Miał problem; w momencie gdy to nastąpiło, jadł wieczerzę w towarzystwie Cayleba. Na szczęście nie była to oficjalna uczta, dlatego zdołał wymówić się od towarzystwa następcy tronu nieco szybciej, niż nakazuje dworska etykieta. Oświadczył księciu, że właśnie doznał kolejnej „wizji”, co zresztą zgodne było z prawdą. Cayleb zaakceptował tę wymówkę nowego przybocznego i pozwolił mu wrócić do komnat i pomedytować nad widzianymi obrazami, z czego Merlin skwapliwie skorzystał.

Zanim opuścił księcia, zdążył polecić Sowie sprowadzenie zwiadowczego skimmera, a dzięki burzy i przetaczającym się przez niebo piorunom nie lękał się przekroczenia bariery dźwięku podczas lotu nad miastem. Skimmer pognał do celu z prędkością czterech machów. Gdy tylko dotarł do pałacu, Merlin kazał mu przenieść się z wykusa na wieży prosto na dach tellesberskiej rezydencji księcia. Lot w zawieszaniu na końcu promienia ściągającego poprzez niebo targane porywami wichury i chłostane ulewą, przy wtórze bijących piorunów i przemykających wokół błyskawic był przeżyciem, którego Merlin wolałby nigdy nie doświadczyć. Nieestety nie miał wyboru.

Przybył na miejsce, wsłuchując się w transmisję nadawaną przez pluskwę, w momencie gdy książę podawał teściowi szklanicę brandy. Oniemiał w nie mniejszym stopniu niż sam hrabia, słysząc, jak Kahlvyn przyznaje się do winy... 1 od jak dawna uczestniczył w tym spisku. Zgodnie z tym, co powiedział królowi i Caylebowi, nie potrafił podróżować w przeszłość, więc nie mógł wiedzieć, od jak dawna książę Tirianu spiskuje przeciw własnemu kuzynowi.

I tak znalazł się na środku biblioteki naprzeciw Kahlvyna Ahrmahka i jego piętnastu najlepszych gwardzistów.

- ...niewielką korektę do twoich planów.

Hrabia Szarej Zatoki siedział sparaliżowany w fotelu, patrząc na mężczyznę, który wyłonił się prosto z mroku nocy. Człowiek, któremu pierwszy doradca króla nie ufał i do którego czuł urazę, stał teraz pomiędzy nim a piętnastoma zbirami służącymi zdrajcy i niedoszłemu królobójcy.

- Wygląda na to - odparł jego zięć całe eony później - że nie doceniłem cię, Merlinie. Hrabia Szarej Zatoki nie mógł się nadziwić spokojowi w głosie Kahlvyna. Książę nie był przecież aż tak zimnokrwistym draniem. A może jednak był. Hrabia uświadomił sobie, że człowiek, którego uważał za swojego zięcia, jest w rzeczywistości zupełnie mu obcy.

- Mogę to samo powiedzieć o sobie - odparł Merlin, posyłając rozmówcy kolejny błąd uśmiech.

Seijin wyglądał na zrelaksowanego, zupełnie ignorował sąsiedztwo gwardzisty, któremu przed chwilą odciął rękę w nadgarstku. Hauwyrd padł tymczasem na kolana, jego krew zdążyła utworzyć sporą kałużę wydzielającą ostre zapach rozgrzanej miedzi. Obnażony miecz seijina nadal tkwił w jego dłoni, on sam natomiast przyjął postawę, której hrabia, choć zapalony szermierz, nigdy wcześniej nie widział. Zagrożenie emanowało z ciała przybysza niczym ciepło z ogniska, gdy nad głowami wszystkich przetoczył się kolejny ogłuszający grzmot.

- Z pewnością - odezwał się książę Tirianu - nie jesteś na tyle szalony, by wierzyć, że uda ci się ocalić mojego teścia i ujsć z życiem z tego domu?
- Doprawdy? - W głosie sejjina dało się wychwycić nutkę rozbawienia, co hrabia skonstatował z wielkim niedowierzaniem.
- Brać go! - Książę zachichotał, gdy jego gwardziści ruszyli powoli i ostrożnie, wchodząc pomiędzy niego i napastnika. - Udawanie nie ma najmniejszego sensu. Widzę tylko dwa rozwiązania tej sytuacji: albo przyłączysz się do mnie, albo zginiesz na miejscu. Wydaje mi się, zwłaszcza w świetle poprzednich, niewłaściwych ocen, że mógłbyś się stać cenym sprzymierzeńcem. Zresztą... i tak zamierzałem się cię pozbyć, więc - wzruszył ramionami - nie będę po tobie płakał, jeśli mimo wszystko wybierzesz drogę oporu. Zanim jednak podejmiesz tę decyzję, sugeruję, abyś uważnie ją rozważył. W końcu nie masz zbyt wielkich szans na pokonanie piętnastu moich najlepszych ludzi.
- A może jednak? - odparł Merlin i ruszył do ataku.

Frahnk Zhahnsyn był weteranem Królewskiej Piechoty Morskiej Charisu. Służył w niej od ośmiu lat, zanim wybrał go znacznie wtedy młodszy Kahlvyn Ahrmahk i uczynił sierżantem straży przybocznej księcia Tirianu. Był twardy, zdolny i niebezpieczny, ale nade wszystko lojalny w stosunku do swojego pana, a wszyscy ludzie, których zdołał zebrać po otrzymaniu ponaglącej wiadomości od księcia - odziani w służbowe kirysy i kolczugi - należeli do najlepszych szermierzy. Każdy z nich był weteranem wielu bitew. Teraz stali tu, u jego boku, w piętnastu chłopów.

Każdy z nich słyszał pogłoski o tym, że Merlin uratował życie księciu Caylebowi. Słuchali plotek, dziwnych opowieści, ale za każdym razem lekceważyli je, traktując jak zwykłe bajdy, owoc wybujałej wyobraźni prostych chłopów i zniewieściałych kupców, którzy zebrawszy się, opowiadają podobne krwawe i bezsensowne historie, rajcując się nimi jak dzieci. Gwardziści zbyt wiele widzieli i uczynili podczas walki, by wierzyć w heroiczne fantazje.

A szkoda, bo gdyby potraktowali je bardziej serio, mogliby znaleźć w nich mnóstwo detali pozwalających lepiej ocenić zbliżające się starcie. Skoro jednak tego nie zrobili, atak samotnego, otoczonego przez nich szaleńca okazał się dla wielu całkowitym zaskoczeniem.

Hrabia Szarej Zatoki aż podskoczył na fotelu, patrząc z niedowierzaniem na śmiały wypad Merlina.

On także był weteranem, brał udział w znacznie większej liczbie potyczek niż większość tu obecnych. I jako były dowódca krążownika potrafił oceniać sytuację na polu walki nie wolniej od księcia Tirianu czy Zhahnsyna. Co znaczyło, że nagły wypad sejjina musiał zaskoczyć ich równie bardzo jak jego.

Choć człowiek ten zdawał się wiele ryzykować. Hrabia nie mógł mu pozwolić na samotną walkę przeciw takiej sile. Szczególnie teraz, gdy przekonał się, że jego niewybaczalna krótkowzroczność i głupota skazały Merlina na pewną śmierć. Zwłaszcza że jego ocalenie mogło dostarczyć wrogom kolejną broń przeciw królowi, którego zaufanie zawiódł, przybywając w to miejsce.

Dłoń hrabiego powędrowała ku inkrustowanej rękojeści ozdobnego sztyletu, który zawsze nosił na udzie. Była to prześliczna zabaweczka, ale mogła okazać się równie zabójcza jak piękna. Starannie naostrzona klinga opuściła pochwę tylko po to, by doradca króla zamarł z opuszczoną szczęką.

Merlin wyłączył wszystkie ograniczniki siły i szybkości, jakie wcześniej sobie założył. Jego katana błyskała w nie-ludzkim tempie, gdy posuwał się do przodu, wykonując jeden, ale za to długi krok.

Pierwszy gwardzista nie miał żadnych szans na zobaczenie, co go zabija. Jego głowa stoczyła się z ramion, zanim w ogóle dostrzegł nadlatujące ostrze. Merlin poruszył nadgarstkiem i miecz zatoczył idealną, choć płaską ósemkę. Kolejna głowa spadła z karku, zanim kolana pierwszego zabitego zdażyły się ugiąć. W tym momencie seijin zatrzymał się i wykonał czyste pchnięcie czubkiem ostrza, przeszywając kirys i ukryte za nim ciało trzeciego gwardzisty, jak również tylną część pancerza.

Skreślił ostrze, wycofał je i odskoczył do tyłu, przyjmując początkową postawę. Wykonał wszystkie te ruchy w jednym mgnieniu oka, zanim ciało pierwszej ofiary padło na podłogę.

Kahlvyn Ahrmahk zrobił wielkie oczy, widząc, że Merlin Athrawes napiera na jego ludzi niczym głodny kraken wynurzający się z głębin. W jednej chwili seijin stał z boku, uśmiechając się do niego, w drugiej bibliotekę wypełniły strumienie krwi, ale przed upływem dwu sekund człowiek ten znów był tam, gdzie wtedy... Tyle tylko, że miał przeciw sobie dwunastu przeciwników.

Zhahnsyn i pozostali gwardziści zamarli. Tu nie chodziło o strach ani o panikę. Przeciwnik zupełnie ich zaskoczył i nie było w tym ich winy. Gapili się przez chwilę na ciała trzech poległych towarzyszy broni, potem na ociekającego wodą człowieka, który pozbawił ich życia, i na krew rozlewającą się szkarłatną plamą po wyłożonej parkietem podłodze biblioteki. A potem...

- Rozdzielić się! - ryknął Zhahnsyn i gwardziści ruszyli naprzód, aby otoczyć samotnego przeciwnika ze wszystkich stron.

Hrabia Szarej Zatoki był tym zaskoczony nie mniej od pozostałych. Nie miał pojęcia, że człowiek potrafi się poruszać z taką szybkością i uderzać z taką siłą, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że bez względu na swoje przymioty seijin będzie miał wielki problem.

Próbował bronić hrabiego Szarej Zatoki.

Był niczym samotny galeon tkwiący przy burcie opasłego, ociężałego frachtowca, podczas gdy tuzin zwinnych pirackich łodzi mknie już ku ofierze. Żadna z nich nie mogła się z nim mierzyć w otwartej walce, ale też żadna z nich nie musiała postępować w tak szalony sposób. Jeśli ten człowiek będzie się skupiał na obronie doradcy króla, siepacze księcia Tirianu zyskają przewagę pola, a co za tym idzie, będą w stanie wybierać moment i koordynować ataki. Niestety, hrabia nic na to nie mógł poradzić. Gdyby nawet miał odpowiednią broń, tylko plątałby się Merlinowi pod nogami, czego był świadom, choć przyznawał to z wielkim zakłopotaniem. Skoro jednak nie mógł pomóc w walce, musiał wymyślić coś innego, coś, co...

- Bacz na siebie, seijiniel - ryknął, uciekając przed podchodzącymi ostrożnie gwardzistami.

Księżę Tirianu zaklął, widząc, że jego teść pędzi w stronę kutech w żelazie, spiralnych schodów prowadzących na wąską galerię umożliwiającą dostęp do górnego poziomu re-gałów. Kazał zrobić to cudactwo w prezencie dla żony, na trzecią rocznicę ślubu.

Zhenyfy Ahrmahk kochała książki bardziej od męża, a nawet ojca, i aż piszczała z ekscytacji, gdy po raz pierwszy ujrzała schody. Dla osoby noszącej długie suknie były o wiele użyteczniejsze niż chybotałe, przesuwane drabiny, których miejsce zajęły.

Jeden z gwardzistów księcia zauważył ten manewr hrabiego na tyle wcześnie, by zdążyć zareagować, i próbował pochwycić starca, zanim ten dotrze na pierwszy stopień. Niestety, czyn ten zmusił go do wejścia w pole rażenia Merlina. Miecz seijina załśnił po raz kolejny, poruszając się z niebywałą szybkością. Ostrze z łatwością przeszło przez ciało i kości, krew

buchnęła silnym, cuchnącym strumieniem i żołnierz padł, wydając z siebie głośny ryk bólu, gdy ostra jak brzytwa stal rozcięła mu kość udową, amputując nogę trzy cale nad kolaniem czysto niczym rzeźniczy topór.

Pozostali gwardziści reagowali wolniej, więc hrabia Szarej Zatoki zdołał wbiec na kręte ozdobne stopnie, dzierżąc lśniący sztylecik. Stojąc na szczycie, mógł bez trudu odpierać ataki człowieka uzbrojonego nawet w długi miecz. Co gorsza, tym sposobem pozostawał na razie poza zasięgiem napastników.

Pozostali gwardziści księcia pojęli to w tym samym momencie, co ich pan, przyśpieszyli więc znacznie kroku, porzucając dotychczasową ostrożność. Skoczyli naprzód, nie zważając na krzyki konających towarzyszy, by otoczyć przybysza i pozbawić go przewagi. Ale chociaż byli szybcy, nie na wiele się to zdało. Merlin nie zamierzał umykać, przybył tutaj, by atakować.

Walka nie była obca kapitanowi Yowance z Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu. Hrabia Szarej Zatoki potrafił odróżnić rzeź od prawdziwej bitwy. Nigdy jednak nie przypuszczał, że ujrzy coś podobnego.

Gwardziści księcia Tirianu usiłowali dopaść Merlina hurmem, ale ich wysiłki przypominały wyczyny ławicy śledzi dybiących na krakena. Seijin rzadko się poruszał, ale gdy to robił, wzrok nie potrafił nadążyć za jego mieczem. To ostrze naprawdę poruszało się zbyt szybko dla ludzkiego oka, a żadna zbroja nie stanowiła dla niego wystarczającej przeszkody. Ciało - a raczej ich części - spadały na podłogę wokół przybysza, brocząc strumieniami spienionej krwi. Spokojna biblioteka zamieniała się z wolna w ubojnię. Ludzie wrzeszczeli, zlorzeczyli i ginęli, a Merlin Athrawes poruszał się w tym chaosie wciąż nietknięty, zadając śmierć niczym sam archanioł Schueler.

Kahlvyn Ahrmahk nie był tchórzem, ale nawet przez jego ciało przemknęła fala lodowatego strachu. On też słyszał pogłoski i spekulacje na temat Merlina. A teraz, gdy patrzył, jak kolejni jego ludzie padają - niektórzy krzyczeli w agonii, większość jednak nie żyła, zanim ich ciała zetknęły się z podłogą - zrozumiał, że bardzo się mylił. Wiedział już, iż tajemniczy przybysz naprawdę jest seijinem... ale nie tylko. Okazało się, że wszystkie te niedorzeczne bajdy i legendy

o nadludzkich umiejętnościach świętych mężów nie były wcale tak przesadzone, jak do tej pory sądził.

Ci z jego gwardzistów, którzy wciąż żyli - a było ich sześciu - zrezygnowali z prób osaczenia Merlina. Cofali się, wpadając jeden na drugiego. Żaden z nich nie okazał nigdy wahania ani strachu, ale dzisiaj mieli dosyć, to co ujrzeli, wykraczało daleko poza ich wytrzymałość i zrozumienie. Nie spanikowali - nie mieli na to czasu - ale świadomość przewagi przeciwnika zmuszała ich do przejścia do defensywy. Nawet teraz, gdy książę na nich spoglądał, kolejny gwardziści padł pod ciosami Merlina.

To nie jest człowiek!

Taka myśl przemknęła Kahlvynowi przez głowę. Tylko jej zdecydowane odrzucenie zapobiegło wybuchowi rosnącej paniki. Myśli kotłowały mu się pod czaszką, musiał zaczerpnąć tchu.

Miałby szanse, gdyby zdołał wydostać się z biblioteki, zanim dopadnie go Merlin. Wyllyms był w pobliżu, szcęk oręża i krzyki z pewnością musiały zwrócić uwagę starego majordomusa, niewykluczone więc, że wierny sługa zaalarmował już resztę garnizonu gwardii książęcej. Jeśli zdoła dotrzeć do swoich ludzi, opowie im o nagłym wtargnięciu

o próbie zamordowania przez Merlina oraz o tym, że seijin wziął hrabiego Szarej Zatoki jako zakładnika. Książę Tirianu miał pod ręką kolejnych sześćdziesięciu uzbrojonych ludzi. Większość równie dobrze obchodziła się z kuszami i arbalestami jak z bronią białą. Gdyby w

trakcie odbijania biblioteki doszło to tragicznej pomyłki albo gdyby Merlin uznał, że lepiej poderżnąć gardło hrabiemu, niż oddać go w ręce atakujących, albo...

Gdy błyszcząca stal zanurzyła się w trzewiach kolejnego gwardzisty, książę poderwał się do ucieczki.

Merlin dostrzegł kątem oka odwrót księcia i jego ucieczkę w kierunku drzwi. W jednym momencie zrozumiał, co zamierza konstabl Hairathy, ale pomiędzy nim a zdrajcą wciąż znajdowało się czterech przeciwników. Nie zdąży ich zabić wystarczająco szybko, by...

Ozdobny sztylet hrabiego Szarej Zatoki załśnił w blasku lamp, lecąc na drugi koniec pomieszczenia. Był za ciężki, zbyt nieporęczny i źle wyważony, aby nadawać się do rzucańca, ale dłoń dawnego kapitana okrętu nie straciła do końca wyczucia, a gniew i przerażenie szybko wyparły alkohol z jego organizmu.

Kahlvyn Ahrmahk, książę Tirianu, stanął na palcach jak tancerz, z rękoma szeroko rozpostartymi, plecami odgiętymi mocno w tył i szeroko otwartymi ustami - konał trafiony dziesięciocelowym ostrzem, które weszło mu pod łopatkę. Klejnoty na rękodości załśniły, krew buchnęła mu z ust i padł jak kłoda twarzą ku ziemi.

XII

Mieszkanie Braidee Lahanga, Tellesberg

Walenie w drzwi Braidee Lahanga było tak mocne, że obudziło go pomimo szalejącej nad miastem burzy.

Zareagował napadem paniki. Okuta pięść gwardzisty łomocząca w drzwi była największym koszmarem każdego szpiega, a nie potrafił sobie wyobrazić zbyt wielu mniej oficjalnych spraw, które przygnałyby kogoś w taką pogodę. Z drugiej jednak strony, kiedy agenci barona Gromu przybywali do miejsca zamieszkania wrogiego szpiega, rzadko kiedy wykazywali tyle manier, by zapukać. Zazwyczaj drzwi zamieniały się w stos bezużytecznych drew, aczkolwiek jeśli pomylili adres (co zdarzało im się, choć niezmiernie rzadko), szybko i sprawnie wymieniali je na nowe.

Jakkolwiek na to spojrzeć, osoba waląca do drzwi Lahanga musiała mieć do niego ważną, jeśli można tak powiedzieć: oficjalną sprawę, dlatego poczuł, że serce mu nieco zwalnia, gdy w końcu wydostał się z łoża.

Wybrał to lokum nie tylko dlatego, że znajdowało się blisko centrum miasta, przestronny dach nadający się do trzymania wyvern też nie przesądzał sprawy. To były niezaprzewidzalne zalety tego miejsca, ale zdecydowała zupełnie inna, dla niego o wiele ważniejsza - parter budynku zajmował za dnia miejscowy szkutnik, ale nocą stał on całkowicie pusty.

Korzystając z nieobecności rzemieślnika, Lahang mógł zachować w sekrecie nocne wizyty interesantów. Dzięki tej swobodzie zdołał także dokonać kilku modyfikacji lokalu bez powiadamiania o tym właściciela i mógł teraz wyrzeć dyskretnie za drzwi przez dziurę, którą wyborował w ścianie.

Na korytarzu ani na schodach nie było zapalonych lamp. Skoro nikt tędy nie chadzał nocą, pozostawienie niestrzeżonego ognia mogło doprowadzić do pożaru. Ale gość Lahanga przyniósł ze sobą przenośną latarnię. Szmaragdzyk uniósł brew ze zdziwienia, gdy dostrzegł w jej świetle, kto stoi za jego drzwiami.

Niedawny niepokój powrócił, choć w nieco łagodniejszej wersji. Marhys Wyllyms dostarczył mu w ciągu minionych lat kilka ważnych wiadomości, więc Lahang wiedział, że książę Tirianu ufa dyskrecji swojego majordomusa. Tyle tylko, że Wyllyms jeszcze nigdy nie przybył w samym środku nocy, i to na dodatek bez wcześniejszej zapowiedzi czy może raczej sygnału, jaki sprzedawca wyvern i konstabl Hairathy ustalili, na wypadek gdyby któryś miał pilną potrzebę skontaktowania się z drugim. Arcyszpieg obawiał się niespodziewanych wizyt, zwłaszcza wizyt niosących ryzyko ujawnienia, na równi z odwiedzinami zakutych w stal sługusów Korony.

Zaczerpnął głęboko tchu, uchylił drzwi na szerokość łańcucha i wyjrzał na zewnątrz.

- Czego tam? - zapytał opryskliwym tonem.
- Mam przesyłkę od księcia - odparł Wyllyms.
- Dobra, dawaj - rzucił dziarsko Lahang, wyciągając rękę przez szczelinę.
- Nie przejdzie - odparł dość rozsądnie majordomus, odślaniając opończę i pokazując opasłą pakę owiniętą naoliwioną skórą z powodu ulewy.
- Co w niej jest? - zapytał agent, unosząc rękę, aby odpiąć łańcuch.
- Tego księżę mi nie powiedział. - Wyllyms wzruszył ramionami. - Mieliśmy kłopoty w jego dworku. Nie zdziwiłbym się, gdyby to były dokumenty, których chciał się pozbyć.
- Kłopoty? - Wzrok Lahanga wyostrzył się, gdy drzwi zostały otwarte na oścież. - Jakiego rodzaju kłopoty?
- Nic takiego, z czym byśmy sobie nie poradzili - zapewnił go stary sługa, podając paczkę. Szpieg przyjął ją bezwiednie, nie spuszczać wzroku z twarzy Wyllymsa, przez co nie zauważył, że ręka majordomusa wynurza się ponownie spod peleryny, tym razem dzierżąc sztylet.

Nawet wtedy Lahang nie zauważył obnażonego ostrza. Prawdę powiedziawszy, nie spostrzegł go do momentu, w którym rozpruło mu krtań, zalewając ją krwią.

Nadzorca wszystkich agentów księcia Nahrmahna w Chari- sie padł na podłogę, rżąc głośno. Wyllyms cofnął się i skrzywił, widząc krwawy wzór na przodzie peleryny. Cóż, to i tak nie ma najmniejszego znaczenia, pomyślał. Deszcz już za chwilę zmyje wszystkie plamy... tak jak śmierć Lahanga usunie wszelkie informacje o prawdziwym zwierzchniku Wyllymsa, które Szmaragdczyk mógł zdradzić śledczym barona Gromu. Teraz stary majordomus musiał wrócić do Szmaragdu.

XIII

Sala Tajnej Rady, Pałac królewski, Tellesberg

T

warz Haarahlda VII miała surowy i ponury wyraz. Była maską dyscypliny przykrywającej gniew. Następca tronu siedział obok, przy wielkim stole w oświetlonej kilkoma lampkami sali Tajnej Rady. Jego twarz w jeszcze większym stopniu przypominała złowrogą maskę. Obaj w milczeniu spojglądali ostrym wzrokiem na Merlina i hrabiego Szarej Zato-ki, którzy właśnie przekraczali próg.

Przy stole siedzieli też Bynzhamyn Raice i towarzyszący mu sir Rhyzhard Seafarmer. Nie było jednak ani biskupa Mai- kela, ani żadnego z pozostałych doradców. Merlin zaczął się zastanawiać, czy to dobry czy raczej zły znak. Przynajmniej na razie król był gotów nie rozgłaszać prawdy o Merlinie.

Gwardziści królewscy zachowywali się z wielką kurtu-azją, gdy podążali za karocą wracającą z majątku księcia Tiri- rianu, do którego zostali pilnie wezwani przez wzburzonego hrabiego, choć widać było, że są bardzo spięci. Trudno było ich za to winić, zważywszy na krwawą łaźnię, jaką zastali w bibliotece zabitego konstabla. Człowiek, którego zastano nad zwłokami pierwszego kuzyna króla i jego piętnastu najlepszych ludzi, musiał się liczyć z tym, że zostanie pojmany. Przynajmniej do wyjaśnienia.

Wiedzieli jednak, że przybywają na wezwanie pierwsze-go doradcy, i porucznik Huntyr, młodzieniec stojący na czele oddziału, który został wysłany na miejsce zdarzenia, miał na tyle rozumu w głowie, by wysłuchać relacji hrabiego. Jednakże jego chęć współpracy prysła jak bańka mydlana, gdy ujrzał, czyj sztylet sterczy z pleców księcia. Zgodził się, by zamknąć bibliotekę na cztery spusty i zachować całą sprawę w tajemnicy do momentu poinformowania o niej króla.

Potem najzwyczajniej w świecie kazał aresztować hrabię-go. Ku rozbawieniu Merlina - o ile w takich okolicznościach można mówić o rozbawieniu - młody porucznik okazał mu taką samą uprzejmość. Więzniom odebrano też wszelką broń, zanim trafili na salę Tajnej Rady.

- Sowo - wyszeptał Merlin - sprawdź komunikację i te-lemetrię.

- Łączy komunikacyjne pracuje w trybie normalnym, komandorze poruczniku - odparła sztuczna inteligencja. - Wszystkie wskazania telemetryczne skimmera również są aktywne - dodała, a Merlin przytaknął jej mentalnie. Miał nadzieję, że nie dojdzie do niczego strasznego, ale to wcale nie znaczyło, że wszystko skończy się dobrze. Istniała niewielka, ale mimo to wciąż realna możliwość, że Haarahld nakaże ich natychmiastową egzekucję, a na to Merlin nie mógł pozwolić. Chodziło mu nie tyle o problemy, jakie sam może mieć z tego powodu, ile o fiasko operacji Nimue Alban na Schronieniu.

Dlatego nakazał, by zwiadowczy skimmer zawisł nad pałacem królewskim pomimo szalejącej wciąż burzy. Z tego samego powodu Sowa na jego polecenie uaktywniła wszystkie systemy broni, obejmując kontrolę nad nimi.

- Wasza wysokość - odezwał się porucznik Huntyr ścisłym głosem. - Hrabia Szarej Zatoki i Merlin Athrawes.

- Dziękuję, poruczniku. - Głos Haarahlda był szorstki, kurtuazja wymuszona, nawet nie podniósł wzroku na gwarłdźistę. - Zostaw nas, proszę. I dopilnuj, aby nikt nie przeszkadzał w tej rozmowie.

- Jak rozkażesz, wasza wysokość - wymamrotał Huntyr pod nosem.

Wycofał się, delikatnie zamykając ogromne drzwi sali Tajnej Rady. Metaliczny szcęk zamka wydał się bardzo głośny w panującej ciszy, ale moment później utonął w ryku przetaczającego się nad zamkiem pioruna.

- Tak - odezwał się Haarahld po dłuższej chwili. - Rozmawiałem z Bynzhamynem. Rozmawiałem z porucznikiem Huntyrem. Rozmawiałem z większością oficerów Kahlvyna, których udało nam się odnaleźć. Teraz, na Shan-wei, chcę wiedzieć, co naprawdę tam się wydarzyło.

Przemawiał ostrym tonem, najzimniejszym, jaki miał okazję słyszeć Merlin, osobiście bądź na przekazach SAPK-ów, a jego oczy skrzyły się niczym kule brązowego lodu.

- Wasza wysokość... - Hrabia przyklęknął przed władcą i pochylił głowę w ukłonie. Merlin zauważył, że oczy Cayleba rozszerzyły się na ten widok, ale twarz jego ojca pozostała niewzruszona. - Cokolwiek zaszło, to moja wina - ciągnął tymczasem pierwszy doradca cichym, smutnym, ale stanowczym tonem.

- Ja zdecyduję, czyja to była wina - odparł Haarahld - nie ty.

- Wasza wysokość... - zaczął baron Gromu, ale władca uciszył go uniesieniem dłoni.

- Nie, Bynzhamynie - stwierdził lodowatym tonem. - Z twojej postawy też nie byłem dzisiaj zadowolony, o czym dobrze wiesz. Chcę usłyszeć, co Rayjhis i seijin mają do powiedzenia w tej sprawie, bez żadnych usprawiedliwień z twojej strony.

Baron Gromu posmutniał i opadł na krzesło, zamykając usta, a wzrok króla ponownie skupił się na klęczącym doradcy.

- Dlaczego twierdzisz, że to twoja wina? - zapytał.

- Bo przez własną głupotę wpakowałem się w kabałę, z której seijin musiał mnie potem ratować - oświadczył hrabia Szarej Zatoki zdecydowanym głosem. - Ostrzegł mnie i Bynzhamyna, że mój zięć może być zdrajcą. Nie dałem mu wiary. Prawdę powiedziawszy, posunąłem się znacznie dalej, zarzucając Merlinowi rozmyślne kłamstwo. Nawet gdy Raice przybył do mnie i powiedział, co odkrył sir Rhyzhard, nie chciałem uwierzyć. Z tego też powodu złamałem przyśięgę Pierwszego Doradcy. Zamiast zachować w tajemnicy treść rozmowy z Bynzhamynem, udałem się do Kahlvyna, aby ostrzec go, że znalazł się w kręgu podejrzeń. Chciałem, by odzegnał się od znajomości z agentami Szmaragdu. Aby przyszedł do ciebie, wasza wysokość, opowiedział wszystko i zadał kłam słowom seijina. Ale - w tym miejscu podniósł twarz, ukazując bijący z niej smutek i oczy przepelnione łzami - to nie były kłamstwa.

Sala zamarła, stół zamienił się w lodową tafelę, gdy też księcia spojrział w oczy jego kuzyna. Cisza przeciągała się, najpierw do sekund, potem do pełnej minuty, przerywana od czasu do

czasu echemi uderzeń odległych gromów. W końcu Haarahld poruszył się nerwowo i zaczerpnął tchu.

- Skąd wiesz, że Merlin mówił prawdę? - zapytał o wiele łagodniejszym tonem.

- Ponieważ Kahlvyn przyznał się do wszystkiego, wasza wysokość. - Głos hrabiego Szarej Zatoki zadrżał w końcu, gdy wspomnienia zadały mu bolesny cios.

- Przyznał się? - Władca zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

- Tak, wasza wysokość. Przyznał, że spisek na życie Cayleba był jego pomysłem, nie Nahrmahna. Powiedział mi, że to on powinien być królem, nie ty. A ponieważ wyjawilem mu, że znajduje się w kręgu podejrzeń, postanowił zamordować ciebie i twojego pierworodnego syna jeszcze tej nocy, zamiast stawić czoło hańbie, którą się okrył, spiskując przeciw własnemu rodowi. Uwierzył, że zdoła zdobyć tron, jeśli ty, Cayleb, Bynzhamyn i jego najlepsi śledczy zginiecie. Zachęcał mnie nawet do uczestnictwa w tym spisku.

- Nie wierzę - oświadczył Haarahld, ale Merlin wychwytał cień drżenia, a nawet wahania w jego głosie.

- Wasza wysokość, mówię o własnym zięciu - odezwał się hrabia Szarej Zatoki, a zarówno jego głos, jak i oczy wyrażały tylko żal. - O mężu mojej córki, ojcu moich wnuków. Kochałem go, jakby był moim synem. Kochałem go tak bardzo, że zaryzykowałem złamanie danego ci słowa, aby ostrzec go o rodzących się podejrzeniach. Sądziś, wasza wysokość, że mógłbym kłamać w tej sprawie? W sprawie, która tak okrutnie dotknie moją Zhenyfyra? Naprawdę uważasz, że zabiłbym ojca moich wnuków, gdybym widział inne wyjście?

Haarahld spoglądał na niego twardo, ale maska zastygła na jego twarzy zaczynała powoli topnieć. Zacisnął mocniej szczęki, aż mu się naprężyła skóra, potem rozluźnił się nieco i przymknął oczy. Po prawym policzku spłynęła mu łza, masywne ramiona opadły.

- Dlaczego, Rayjhisie? - zapytał ochryplym głosem. - Dlaczego nie przyszedliście z Bynzhamynem do mnie od razu po tym, jak seijin wyjawił wam swoje podejrzenia?

- Bynzhamyn nie chciał cię zranić, wasza wysokość - wyjaśnił ostrożnie hrabia Szarej Zatoki. - A ja po prostu nie uwierzyłem.

- I jeszcze to... - Haarahld otworzył oczy i pokręcił głową. - I jeszcze to, Rayjhisie. Masz rację, to twoja wina. Złamałeś przysięgę, udając się z ostrzeżeniem do potencjalnego zdrajcy. Gdybyś tego nie uczynił, gdybyś poczekał, co powinieć był zrobić, Kahlvyn wciąż pozostawałby wśród żywych. Moglibyśmy dowiedzieć się od niego wielu ciekawych rzeczy, ale przede wszystkim zdołalibyśmy zachować go przy życiu.

Hrabia pokłonił się raz jeszcze, ramiona mu zadrgały, ale nie powiedział słowa w swojej obronie.

- Czy mogę coś wtrącić, wasza wysokość? - zapytał ostrożnie Merlin, a król natychmiast zwrócił się w jego stronę. Jego oczy przez chwilę lśniły od gniewu, lecz zdołał się powstrzymać od kolejnego wybuchu odruchowej złości.

- Mów - stwierdził krótko.

- Wasza wysokość, powiedziałem baronowi Gromu i hrabiemu Szarej Zatoki, że nie mam dowodu na zdradę księcia Tirianu. Gdybym jednak wszedł w jego posiadanie, prędzej oddałbym go im niż tobie, panie. - Oczy Haarahlda rozbłysły ostrzegawczo, ale Merlin nie przerwał ani nie spuścił wzroku pod spojrzeniem króla. - Książę był twoim kuzynem, wasza wysokość. Wiem o tym, że go kochałeś. Nie miałbym serca powiedzieć ci o sprawach, które mogły okazać się dla ciebie bolesne, zresztą nie byłem świadom, jak głęboko sięga jego spisek. Podzieliłem się podejrzeniami z twymi najbliższymi doradcami, ale jak widzisz, moje przypuszczenia nie obejmowały nawet ułamka tej strasznej prawdy, nie miałem też żadnego dowodu na ich poparcie. Jeśli ci ludzie popełnili jakieś błędy, wiedz, że uczynili to z miłości do ciebie. Żaden nie zamierzał się wymigiwać od obowiązków, od prowadzenia śledztwa i postawienia zarzutów, jakkolwiek absurdalnie by brzmiały. Zachowali się tak, a nie inaczej,

bojąc się sprawić ci ból. Baron Gromu rozpoczął dochodzenie, nie mówiąc ci o nim słowa, ponieważ zdawał sobie doskonale sprawę, jak bolesna może się okazać prawda. Chciał ci oszczędzić cierpienia, ale nade wszystko uniknąć popsucia twoich relacji z kuzynem, na wypadek gdyby moje słowa nie znalazły potwierdzenia. Zaaranżował wszystko tak, byś mógł rzucić na niego całą winę za prowadzenie dochodzenia bez twojej wiedzy, gdyby nie znalazł dowodów winy księcia, a cała sprawa wyszła na jaw. Hrabia Szarej Zatoki z kolei, mimo iż nie był w stanie uwierzyć w stawiane przede mną zarzuty, zgodził się, by baron prowadził pełne dochodzenie. Jeśli zachował się... nierozważnie, to też z miłości do ciebie i do swojego zięcia. Może powinni byli przyjść z tą sprawą do ciebie, panie. Może ja powinienem był to uczynić. Ale jak byś zareagował, wasza wysokość, gdyby któryś z nas to zrobił? Czy- byś uwierzył? A może postąpiłbyś tak samo, jak dzisiaj hrabia, i dał ukochanemu kuzynowi szansę obalenia absurdalnych oskarżeń, rzuconych nań przez przybysza z zagranicy, o którym niemal nic nie wiesz? - Król nie spuszczał z niego spojrzenia przez kilka chwil, a potem ogień w jego oczach ponownie przygasł. - Sam widzisz, wasza wysokość - kontynuował Merlin. - Kochałeś go, tak samo jak hrabia. Tak samo jak on byś nie uwierzył. Twój najstarszy doradca omal nie przypłacił swojej niewiary życiem. Pewnie już b' nie żył, gdyby księżę uznał, że jego śmierć jest niezbędna dla osiągnięcia zakładanych celów. Nie oszukuj się, Haarahldzie z Charisu, kuzyn, którego umiłowalesz, planował zamordowanie twojego syna, a potem ciebie. Sądę też, że po zostaniu regentem, dość szybko pozbyłby się także Zhana, a może nawet i Zhanayt, gdyby to było konieczne do utrzymania tronu. Gdybyś zaoferował mu możliwość oczyszczenia imienia, zareagowałby identycznie jak w przypadku propozycji złożonej przez hrabiego, tyle że pewnie z większym powołaniem.

Znów zapadła cisza, po krótkiej chwili król wzdrygnął się, odwrócił wzrok od Merlina i wciąż klęczącego pierwszego doradcy.

- Czego dowiedziałeś się do tej pory, Bynzhamynie? - zapytał szorstko.

- Obawiam się, że wszystko, co mówił seijin, jest prawdą, wasza wysokość. - Baron Gromu z trudem dobywał głos. - Majordomus i dwudziestu trzech innych ludzi zbiegło, zanim porucznik Huntyr i jego oddział zdołali dotrzeć do dworu. Wydaje mi się, że jedynym powodem takiego zachowania mogła być wiedza o zdradzie ich pana i strach przed konsekwencjami. Mam też uzasadnione podejrzenia, że co najmniej jeden z nich służył dwóm panom, nie tylko samemu księciu Tirianu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Haarahld, a baron natychmiast skinął głową w stronę Seafarmera.

- Wasza wysokość, tuż przed przybyciem do pałacu seiji- na i hrabiego otrzymałem raport od jednego z moich agentów - wyjaśnił sir Rhyzhard. - Mężczyzna pasujący rysopisem do majordomusa księcia, niejakiego Marhysa Wyllymsa, pojawił się obok domu wynajmowanego przez Braidee Lahan- ga. Pogoda tego wieczora była naprawdę paskudna, więc mój człowiek nie mógł potwierdzić jego tożsamości ponad wszelką wątpliwość, ale z tego samego powodu wydało mu się podejrzane, że ktoś kręci się po ulicach mimo burzy. Po wyjściu gościa postanowił dyskretnie sprawdzić, czy Lahang nadal przebywa u siebie, obawiał się bowiem, że agent zbiegnie na pierwszą wiadomość o zagrożeniu. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał jego zwłoki w progu mieszkania. Lahang został zamordowany.

- Zamordowany? - powtórzył Haarahld, a w jego głosie pojawiła się nuta dezorientacji. Nawet ktoś o tak lotnym umyśle, jak król, zaczynał się gubić w tym wszystkim.

- Tak, wasza wysokość - potwierdził Seafarmer.

- Wątpię, aby księżę nakazał jego egzekucję - wtrącił baron Gromu. - Podejrzewam, że podobnie jak Kahlvyn podstawił hrabiemu swojego człowieka, także Nahrman podstał mu Marhysa Wyllymsa. Zapewne był on spiochem czekającym na rozkaz usunięcia księcia,

ale wydaje mi się, że nakazano mu też zabić jedyne go człowieka, który mógł nam wyjawiać informacje o całej siatce szpiegowskiej Nahrmahna w królestwie. Zwłaszcza że upadek księcia Tirianu mógł nas doprowadzić do Lahanga.

- Na Langhorne'a - jęknął Haarahld i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak przez dłuższą chwilę, potem wyprostował się ponownie, opuścił ręce i spojrzał na hrabiego Szarej Zatoki.

- Wstańże - zawołał.

Pierwszy doradca podniósł głowę i Haarahld wydał z siebie pomruk niezadowolenia, coś pomiędzy prychnięciem a gniewnym warknięciem.

- Seijin miał rację - powiedział. - Tak, okazałeś się głupcem i złamałeś dane mi słowo. Ale gdybyś postąpił zgodnie z protokołem, pewnie bym już nie żył. Ponieważ, jak celnie zauważył Merlin, ukochałem Kahlvyna. Boże, wybac mi, ale nadal go Kocham. A on chciał wykorzystać tę miłość, by zamordować mnie i Cayleba, a może też Zhana i Zhanayt.

- Wasza wysokość... - zaczął hrabia Szarej Zatoki, ale Haarahld natychmiast pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie. Nic nie mów. Jesteś zbyt cenny dla mnie i dla królestwa, abym pozwolił ci zrezygnować z zajmowanego stanowiska. I chociaż zachowałeś się w tej sprawie... nieroztropnie z powodu uczucia - król uśmiechnął się blado, spoglądając na Merlina - dałeś mi tym samym dowód swojej najwyższej lojalności. To ty będziesz miał najgorzej z nas wszystkich, choć mnie i Cayleba także czeka koszmar. Ale nie przetrwamy go, jeśli nie będziemy mieli u swojego boku człowieka, którego wierności możemy być całkowicie pewni. Wstań zatem, podejdź do stołu i zajmij należne ci miejsce. Natychmiast!

Hrabia wahał się jeszcze przez chwilę, zanim stanął chwiejnie na nogach. Powoli podszedł do swojego miejsca przy stole i usiadł. Teraz stał już tylko Merlin. Król odchylił się na tronie i spojrzał w jego kierunku.

- A co do ciebie, sejinie - odezwał się łagodnym tonem - widzę, że nosisz w sobie zabójcze dary.

- Przykro mi - odparł Merlin - ale obiecałem waszej wysokości, że będę mówić wyłącznie prawdę.

- Obiecałeś i słowa dotrzymałeś. - Haarahld uniósł dłoń i machnął nią lekceważąco. - Kiedyś uważałem, że prawdą jest to, co chcę usłyszeć, ale przekonałeś mnie, że chodzi o coś zupełnie innego. Nie liczy się to, co chcę usłyszeć, tylko to, co powinienem wiedzieć. Upłynęło jeszcze wiele wody, zanim zdołałem wybaczyć Rayjhisowi, Bynzhamynowi i sobie to, co wydarzyło się tej nocy. Ale prawdą jest także, że ty i hrabia ocaliliście nie tylko mnie, ale i moje dzieci. Bez względu na to, czy plan Kahlvyna miał prawo się powieść czy też nie, ujawniliście i pokonaliście najbardziej zdradzieckiego spiskowca w dziejach królestwa. Mimo iż serce rozdziera mi złość i żal, nie zamierzam sprawić, abyście przez to ucierpieli. - Merlin pochylił głowę, a władca raz jeszcze machnął ręką. - Co więcej - ciągnął nieco pogodniejszym tonem - dzisiaj po raz kolejny ocaliłeś cennego poddanego Korony przed niechybną śmiercią. I to w znacznie gorszych okolicznościach. - Spoglądał na Merlina z wielką uwagą, jego spojrzenie powoli zaczęło odzyskiwać zwykłą ostrość. - Przejrzałem wstępny raport porucznika Huntyra, sejinie. Zdaje się, że była w nim mowa o piętnastu uzbrojonych i opancerzonych gwardzistach. Kahlvyn okazał się zdrajcą, ale nie mogę mu odmówić talentu do wyluskiwania najlepszych szermierzy. Tymczasem, jeśli wierzyć relacji porucznika Huntyra, poradziłeś sobie z nimi z taką łatwością, jakbyś kosił trawę. Nie wspominając już o tym, że znów pojawiłeś się... w najbardziej sprzyjającym momencie... - Przerwał, oczekując najwyraźniej odpowiedzi, ale Merlin jedynie wzruszył ramionami.

- Wspomniałem już twojemu synowi podczas wieczerzy, wasza wysokość, że ujrzałem w wizji hrabiego Szarej Zatoki. To wystarczyło, by pojąć, na jakie niebezpieczeństwo się wystawia. Miałem jednak obawy, że nie uda mi się przekonać nikogo o zagrożeniu, jakie

książę Tirianu stanowi dla niego i Korony. A w każdym razie, że nie zdążę z tym na czas. Dlatego zdecydowałem się na osobiste wkroczenie do akcji.

Cayleb zerknął na ojca. Merlin natychmiast utkwiał w nim spojrzenie, zmuszając młodzieńca do milczenia.

- Zdecydowałeś się na osobiste wkroczenie do akcji - mruknął Haarahld. Był tak bardzo skupiony na obserwacji rozmówcy, że nie zauważył niespokojnego zachowania syna.
- Jakim cudem udało ci się wymknąć z Wieży Marythy, a potem pałacu bez napotkania choćby jednego z moich kompetentnych przecież strażników?

- Wasza wysokość - odparł Merlin, pozwalając sobie na skromny uśmiech - noc była ciemna, lało jak z cebra, ja miałem na sobie czarne szaty, a jak wiesz, przybyłem tutaj z Gór Światła, gdzie wspinaczka po śliskich ścianach jest chlebem powszednim. Dodatkowym usprawiedliwieniem dla twoich ludzi niech będzie też to, że daleko im do moich umiejętności. Haarahld przekrzywił znacząco głowę. Gdyby Merlin był żywą istotą, z pewnością wstrzymałby w tym momencie oddech. Do tej pory nie okłamał króla ani razu i pragnął, aby tak pozostało.

- Sądzę - odparł w końcu król, cedząc słowa - że człowiek, który potrafi zeskoczyć bez szkody dla siebie z wysokości dwudziestu pięciu stóp i zabija nie piętnastu, ale szesnastu uzbrojonych przeciwników, bo musimy doliczyć przybocznego Rayjhisa, jest też w stanie wspinać się po murach zamkowych niczym człowiek-mucha. Obawiam się jednak, że podnosisz poprzeczkę tak wysoko, iż kolejni seijnowie będą mieli spore problemy ze sprostaniem oczekiwaniom ludzi.

- Nie to było moim zamiarem, panie - stwierdził Merlin. - Prawdę powiedziawszy, byłbym wdzięczny, gdybyś chciał umniejszyć albo pominąć moją rolę w dzisiejszych wydarzeniach.

- To mogłoby być naprawdę trudne - wtrącił baron Gromu.

- I zapewne równie bezcelowe - dodał Haarahld.

- Może będzie trudne, panie - odpowiedział Merlin - ale na pewno nie bezcelowe, wasza wysokość - dodał zaraz. - Pozwolisz, że to wyjaśnię?

- Ależ proszę, mistrzu Traynyrze - stwierdził Haarahld, na co Merlin zaśmiał się pod nosem.

„Mistrz Traynyr” był jedną z tradycyjnych postaci występujących w teatrach kukielkowych Schronienia. Tutejszym odpowiednikiem jin i jang, choć na tej planecie terminy te nikomu nie mogły nic powiedzieć. Imię to nadawano postaci grającej w przedstawieniu rolę zdrajcy albo wicherzyciela, którego plany muszą w finale spalić na panewce. Ale istniało także drugie znaczenie tej nazwy - określano nią żartobliwie, w języku teatralnym, mistrza poruszającego wszystkimi marionetkami.

- Może nie „mistrzu Traynyrze”, wasza wysokość - powiedział - tylko konspiratorze z przypadku. Kiedy wieści o zdradzie księcia i zabiciu Lahanga przez jego współnika rozejdą się po Charisie, wszyscy agenci Szmaragdu i Corisandu mogą popaść, że się tak wyrażę, w stan wielkiej konsternacji. Będą się zastanawiali, czy aby agenci barona Gromu już po nich nie idą. Nie mówiąc o tym, że mogą zachodzić w głowę, jakim cudem śledczy trafili najpierw do księcia. Wszyscy, jak tu jesteście, zgodzicie się chyba, że warto, i to z kilku powodów, ukryć przed Nahrmahnem i Hektorem moje wizje. Pierwszy powód dotyczy poziomu strategicznego: jeśli nasi wrogowie nie będą mieli pojęcia, jaką przewagę dają nam wizje, zyskamy na tym w dwójnasób. Wydaje mi się także, że pomysł trzymania z dala ode mnie wszystkich tych, którzy źle ci życzą, panie, jest bardziej niż sensowny. Z czysto osobistego punktu widzenia wolałbym nie oglądać się bez przerwy za siebie w obawie, że za każdym rogiem czai się armia zabójców, których ta para książąt natychmiast wyśle, aby pozbawić cię... przewagi.

- Szczerze mówiąc, wątpię, aby jakakolwiek „armia zabójców” zdołała cię zabić - zauważył Haarahld. - Do tej pory to ty wybijałeś ich z całkiem sporą skutecznością.

- Każdy śmiertelnik może postradać życie, wasza wysokość. Cieszy mnie, że zauważyłeś, iż jestem trudniejszy do zabicia niż zwykli ludzie, ale z drugiej strony takie ustawiczne wyrzynanie nasłanych zbrojów może okazać się dość męczące. I odciągnie mnie od spraw znacznie ważniejszych.

- Rozumiem. - Po raz pierwszy od momentu przybycia Merlina i hrabiego w oczach władcy pojawił się błysk rozbrajania. - Ja też wolałbym cię nie narażać na podobne niedogodności. Ale tym sposobem dotarliśmy do kolejnej, choć nieco mniej ważnej uwagi Bynzhamyna, o tym, że trudno będzie pogodzić twoją wielką skromność z wieczornymi występami.

- Uwierz mi, wasza wysokość, że lepiej je godzić, niż bagatelizować - odparł Merlin znacznie poważniejszym tonem. - Twoja decyzja o mianowaniu mnie przybocznym Cayleba powinna uprościć sprawę. Mógłbym zasugerować, za twoim i hrabiego przyzwoleniem, następującą wersję dzisiejszych zdarzeń: śledczy barona Gromu zaczęli podejrzewać księcia nie dlatego, że ja tak powiedziałem, tylko po przesłuchaniu schwytanego wcześniej zamachowca. Mając takie przesłanki, baron rozpoczął dochodzenie, a hrabia zareagował na nie w znany nam sposób, udając się do domu zięcia i sugerując mu, że powinien oczyścić swoje nazwisko z wszelkich podejrzeń. Ale przed wyjazdem zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu towarzyszył, na co się zgodziłem.

- Dlaczego miałby cię o to prosić? - zapytał Haarahld.

- Po części, aby przekonać księcia o powadze oskarżeń, wasza wysokość. Byłem przecież obecny podczas próby zamachu. Powiedzmy zatem, że moja dzisiejsza obecność miała... wyprowadzić Kahlvyna z równowagi, gdyby miał jakieś powiązania z Nahrmahnem. Po za tym byłbym dodatkowym świadkiem, na wypadek gdyby coś wyszło na jaw.

- To nie brzmi zbyt wiarygodnie - stwierdził władca, po czym wzruszył ramionami. - Z drugiej jednak strony, jeśli wszyscy będziemy mówili to samo, patrząc rozmówcom prosto w oczy, ta wersja zdarzeń może zostać uznana za prawdziwą. Dobrze. Rayjhis wybrał się z wizytą do Kahlvyna, a ty mu towarzyszyłeś. Co dalej?

- Kiedy księżę usłyszał zarzuty, zachował się tak, jak to miało miejsce naprawdę, wasza wysokość, tyle tylko, że sprowadził do biblioteki pięciu gwardzistów zamiast piętnastu. Kiedy rzucili się na hrabiego, ja i przyboczny stanęliśmy w jego obronie, zabijając bądź raniąc większość napastników. W tym momencie księżę wezwał na pomoc pozostałych żołnierzy, którzy czekali za drzwiami. W tej części starcia życie postradał przyboczny, ale dopiero pod koniec, kiedy wspólnymi siłami udało nam się pokonać prawie wszystkich przeciwników. W zamieszaniu usieczono także księcia Tirianu. Gdy to wyszło na jaw, pierwszy doradca natychmiast wezwał gwardię królewską... taka procedura obowiązuje, gdy zginie krewny władcy... i stąd na miejscu pojawił się oddział porucznika Huntyra.

- A jednak jesteś mistrzem Traynyrem - podsumował Haarahld. Spojrzał najpierw na barona Gromu, potem na hrabiego Szarej Zatoki i uniósł znacząco brwi.

- To, że Zhorzh stanie się bohaterem, wydaje mi się naprawdę przewrotnym pomysłem - stwierdził pierwszy doradca, kręcąc głową. - Przez lata wierzyłem w jego lojalność. Ciężko mi będzie spoglądać na ludzi z podniesionym czołem, teraz kiedy wiem, że był zdrajcą i zginął haniebną śmiercią.

- Tak, to może być dla ciebie bolesne, Rayjhisie - przyznał baron Gromu - ale dzięki temu historia wygląda prawdopodobniej. Jediną osobą oprócz ciebie i Merlina, która prawdopodobnie wie o masakrze i przeżyła, jest niejaki Wyllyms, majordomus księcia. Ale nawet jego nie było w bibliotece podczas starcia, chociaż wie, że przyjechałeś do księcia bez sej-jina. Z pewnością zamelduje o tym Nahrmahnowi, ale na to nie możemy już nic poradzić,

chyba że zdołamy go schwycić, zanim dotrze do Szmaragdu, co, przykro mi to powiedzieć, raczej nie nastąpi. Podejrzewam jednak, że Nahrmahn i baron Shandyru nie uwierzą w najbardziej przesadzone plotki o sejinie, tak samo jak my nie uwierzylibyśmy, będąc na ich miejscu. Zaczną snuć domysły, że coś ukrywamy, ale nigdy się nie dowiedzą co. Sejin i król mieli też rację co do jednego. Wizje Merlina będą dla nas więcej warte, jeśli nikt inny się o nich nie dowie.

- Wydaje mi się, że Merlin i Bynzhamyn dobrze mówią, Rayjhisie - powiedział Haarahld. - Jeśli ci to w czymś pomoże, staraj się myśleć o tej sprawie w taki właśnie sposób. Twój człowiek był zdrajcą, ale dzięki tej opowieści jego śmierć okazała się ciosem wymierzonym w tych, którym potajemnie służył-

- Dobrze, wasza wysokość. - Hrabia Szarej Zatoki raz jeszcze się pokłonił i na koniec uśmiechnął krzywo w stronę Merlina. - Przypuszczam, że w zaistniałych okolicznościach przynajmniej tyle mogę uczynić dla sejina, zwłaszcza że uratował mi życie, mimo iż nazwałem go wcześniej kłamcą.

- Zatem postanowione - ucieszył się Haarahld. - Bynzhamynie, porozmawiam z porucznikiem Huntirem na osobności, postaram się, aby jego raport nie był sprzeczny z... kreatywną wizją Merlina.

- To bardzo rozsądne posunięcie, wasza wysokość. Pozwolisz jednak, że udam się razem z Rhyzhardem do biur i sprawdzimy, czy papiery księcia nie ujawnią nam, który z agentów Szmaragdu mógł z nim współpracować. Za twoim pozwoleniem, tym razem mam zamiar dokręcić śrubę siatki Nahrmahna.

- Możesz uważać, że udzieliłem ci pozwolenia - oświadczył Haarahld z ponurą miną, potem poprawił się na tronie i spojrzał w stronę Merlina.

- Wasza wysokość? - zapytał obserwowany po dłuższej chwili milczenia, a król prychnął w odpowiedzi

- Tak się zastanawiam, sejinie...

- Zastanawiasz się, panie? Nad czym? - naciskał Merlin.

- Zastanawiam się nad tym, jak przewidywalne i uporządkowane było nasze życie, zanim przybyłeś do Tellesbergu. Jestem pewien, że wszyscy z czasem do tego przywyknęliśmy, ale nie miej mi za złe, jeśli ci powiem, że czuję się nieco przytłoczony, myśląc o przyszłości, mając w pamięci to, co za twoją sprawą wydarzyło się wokół nas w ciągu zaledwie jednego pięciodnia. Zwłaszcza gdy dociera do mnie świadomość, że prawdziwy zamęt dopiero się zaczyna.

Merlin uśmiechnął się po łobuzersku i pokręcił głową, ale zmilczał. Na to stwierdzenie Haarahlda nie miał sensownej odpowiedzi.

Król miał przecież rację.

rem.

XIV Komnata audiencyjna, Pałac królewski, Tellesberg

Drzwi prowadzące do niewielkiej komnaty stały otworem.

Pojawiła się w nich dworka w tradycyjnym stroju i towarzysząca jej para dzieci. Choć kobieta miała już ponad trzydzieści lat, a może nawet nieco więcej, najwyraźniej wciąż dbała o figurę - pozwalały to stwierdzić zwiewne poły jej lekkiej, bawełnianej sukni (innych w tellesberskim klimacie nie sposób było nosić). Za to jej twarz była spięta, podpuchnięte oczy kryły się pod grubą warstwą krzykliwego makijażu pomagającego zatuszować nadmierne zaczerwienienie.

Szła po puszystym dywanie ułożonym na zimnej, kamiennej podłodze, trzymając obu synów za dłonie. Młodszy, mający może z pięć lat standardowych, wyglądał raczej na zdziwionego niż wystraszonego czy smutnego. Co chwilę spoglądał w górę na matkę, wyczuwając bijące od niej emocje.

Starszy chłopak - ten miał co najmniej dziesięć lat - zachowywał się zupełnie inaczej. Wyglądał na zszokowanego, jakby utknął w sennym koszmarze, z którego nie sposób się obudzić. Był wytwornie odziany, podobnie jak jego matka i młodszy braciszek, przy pasie dyndał mu nawet miniaturowy sztylecik, ale oczy miał tak samo podpuchnięte jak prowdząca go kobieta. Merlin widział, że z wielkim trudem przychodzi dziecku powstrzymanie drżenia dolnej wargi.

Król Haarahld VII obserwował zmierzającą ku niemu żalną procesję nie dłużej niż przez trzy uderzenia serca. Po tem zerwał się nagle z tronu, łamiąc protokół obowiązujący podczas audiencji, zszedł z podwyższenia i ruszył gościom na spotkanie. Poruszał się tak szybko, że jego kaleka noga nie nadążała za zdrową - podobnie jak gwardziści za nim. Już był przy zapłakanej wdowie i rozżalonych sierotach. Niezdarnie, bardzo niezdarnie, przykleknął na zdrowe kolano. Chocma noga musiała pozostać za jego plecami wyprostowana, a to z pewnością bolało.

- Rayjhisie - odezwał się do starszego chłopca, kładąc mu dłoń na głowie.
- Wa... Wasza wy... wy... - zaczął chłopczyk z oczami pełnymi łez, ale zaraz zamilkł, próbując zapanować nad łamiącym się głosem.
- Nie musisz mnie tytułować, chłopcze - uspokoił go król. - Nie dzisiaj.

Chłopiec skinął głową, nadal milcząc. Jego mała twarz wykrzywiła się ze zgrzyoty, wyczuł bowiem w głosie króla ton przyzwolenia na jej okazanie. Haarahld w tym czasie spoglądał na jego matkę. <

- Zhenyfyr - wyszeptał.
- Wasza wysokość - odparła równie cichym głosem.

Potrafi się lepiej kontrolować niż jej synowie, pomyślał Merlin, ale mimo to jej głos jest ochryply od smutku i płaczu. Haarahld patrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem spróbował wstać.

- Czy pozwolisz mi, wasza wysokość?

Głos sierżanta Charla Gahrdanera był cichy, ale oficer stał tuż obok władcy, wyciągając do niego obleczone kolczugą ramię. Haarahld skrzywił się, ale przyjął pomoc i wspólnymi siłami sprawili, że stanął przed wdową i chłopcami. Spoglądał na nich przez chwilę z góry, a potem pochwycił młodsze dziecko i wziął je w ramiona. Chłopczyk natychmiast przyłgnał do jego szyi, wciskając twarz w materiał tuniki. Haarahld przytrzymał go jedną ręką, wyciągając wolną dłoń w stronę Rayjhisa.

Starszy syn księcia przyglądał się jej chwilę, a potem sam wyciągnął rękę i Haarahld pokuśtykał w stronę tronu, prowadząc go za sobą. Usta króla, co Merlin widział wyraźnie ze swojego miejsca za mniejszym tronem, na którym zasiadał Cayleb, wykrzywiały się za każdym razem, gdy opierał ciężar ciała na chromej nodze.

Władca dotarł do podwyższenia tuż przed Zhenyfyr Ahrmahk, wdową po księciu Tirianu. Zatrzymał się, postawił ostrożnie młodszego chłopczyka, potem usiadł na tronie, podciągając się obiema rękami, aby jego chora noga spoczęła w wygodnej pozycji na podnóżku.

- Zhenyfyr, Rayjhisie, Kahlvynie - odezwał się potem łagodnie. - Wiecie, dlaczego tu jesteście, zanim jednak staniecie przed Radą, chciałbym porozmawiać z wami, wszelako nie jak król z poddanymi, tylko po ludzku, jak krewniak z krewnikiem.

Księżna Tirianu wzdrygnęła się lekko na dźwięk słowa „krewniak” i Haarahld natychmiast wyciągnął do niej rękę. Ujęła jego dłoń z pewnym wahaniem, ale dała się przyciągnąć bliżej tronu.

- Nie wstydz się swojej rozpacz - odezwał się do niej łagodnie. - Nie myśl, że ja albo ktokolwiek inny mamy do ciebie o to żal. Uwierz, że smucimy się obaj z Caylebem z tego samego powodu. - Gdy spojrział jej w oczy, zaczęła szlochać, a on, widząc łzy płynące wolno po policzkach księżnej, zaciśnął mocniej palce na jej dłoni. - Sporo czasu upłynie, zanim dowiemy się, co zaszło naprawdę. Kiedy Kahlvyn, człowiek, którego znaleźliśmy i kochaliśmy, zmienił się w kogoś zdolnego do popełnienia zarzucanych mu czynów - ciągnął król. Spoglądał przy tym w oczy Zhenyfyr, by zaraz przenieść spojrzenie na starszego z jej synów. - Rayjhisie - powiedział - to mogą być dla ciebie trudne chwile, kto wie, czy nie najtrudniejsze w twoim życiu. Pewni ludzie będą mówili o twoim ojcu straszne rzeczy. Inni będą cię przekonywać, że nic z tego nie może być prawdą. Znajdzie się też spora liczba osób, które wiedząc, co uczynił twój ojciec, będą cię uważały za wroga Korony. Rayjhis starał się zachować spokój, ale nie zdołał, dlatego król po raz kolejny położył mu dłoń na głowie.

- Najboleśniej w tej sprawie jest to - powiedział do chłopca - że większość tych straszliwych zarzutów nie mija się z prawdą. Gdybym tylko mógł sprawić, żebyś nie musiał o nich słuchać, uczyniłbym to bez wahania. Niestety, to niemożliwe. Jesteś jeszcze za młody, ale nikt inny nie stawi czoła tej sprawie za ciebie.

Rayjhis spoglądał mu w oczy przez kilka sekund, a potem skinął głową ze zrozumieniem, zaciskając mocno usta.

- Za kilka minut - dodał król - stanimy przed obliczem Rady, a także biskupa Maikela oraz biskupa egzekutora Zheralda, występujących w imieniu Kościoła. Zadadzą tobie i twojej mamie - rzucił okiem w stronę Zhenyfyr - wiele pytań. Niektóre mogą was rozgniewać.

Wiele na pewno zaboli albo zasmuci. Musicie jednak odpowiadać na nie z całą szczerością. Chciałbym, żebyście pamiętali, i to wszyscy troje, że nadal jesteście moją rodziną. Nikt i nic, ani sprzeniewierzenie waszego ojca, ani moja Rada, nie mogą tego zmienić. Rozumiesz, o czym mówię, Rayjhisie?

Chłopak przytaknął po raz kolejny, a Haarahld zaczerpnął głęboko tchu.

- Jeszcze jedna sprawa, Rayjhisie - powiedział. - Obawiam się, że ona może zboleć was najbardziej.

Zhenyfyr Ahrmahk wydała cichy, nieartykułowany dźwięk, poruszyła też ręką, jakby chciała powstrzymać króla. Nie zdołała jednak, Haarahld kontynuował, mówiąc wolno i dobitnie, z oczami utkwionymi w twarzach jej synów.

- Ludzie mogą wam powiedzieć, że to dziadek zabił waszego ojca.

Kahlvyn, młodszy z chłopców, zrobił wielkie oczy. Rayjhis patrzył wprost na króla, z podniesioną głową, choć wzrok mu pociemniał i posmutniał. Nawet Merlinowi zrobiło się żal chłopca, który dopiero co został nowym księciem Tirianu.

- Ludzie będą tak mówili - ciągnął Haarahld - gdyż jest to prawda. Dziadek nie chciał tego zrobić, ponieważ kochał waszego tatę nie mniej niż ja i Cayleb. Niestety, nie miał wyboru. Kahlvynie, Rayjhisie, czasami nawet ludzie, których kochamy, są zdolni do czynienia zła. Czasami dzieje się tak, ponieważ tkwi w nich coś, czego nie rozumiemy; sekretna strona ich natury, która przejmuje nad nimi kontrolę i zmusza do robienia podłych rzeczy. Wasz ojciec i ja dorastaliśmy jak bracia, nie kuzyni. Kochałem go tak, jak Kahlvyn kocha ciebie, Rayjhisie. Sądziłem, że odwzajemniał tę miłość. Niektórzy mogą dzisiaj twierdzić, że to nieprawda, na samym końcu bowiem zapragnął mojej korony i chciał nawet zabić Cayleba, aby ją zdobyć. Dopuszczał się naprawdę okropnych rzeczy. Ale mimo wszystko uważam, że nie myliłem się, kochając go i uważając, że on także żywi do mnie podobne uczucie. Posłuchajcie mnie, chłopcy... ludzie się zmieniają. Istnieją choroby, które nie dotyczą naszych ciał, ale zatrują serca i umysły. Sądzę, że na jedną z nich cierpiał wasz ojciec. Tak bardzo pragnął mojej korony, że stało się to dla niego obsesją, która odmieniła jego wnętrze. Kiedy byliśmy w waszym wieku i dorastaliśmy razem w tym pałacu, zanim

pragnienie korony zatrulo jego serce, kochał mnie szczerze. Wierzę też, że kochał Cayleba, tak jak i wasz dziadek jego. Ale kiedy uczynił to, co uczynił, kiedy odmówił zejścia ze ścieżki, na którą wkroczył, wasz dziadek nie miał wyboru. Musiał zdecydować, czy zachowa się zgodnie z tym, co nakazuje mu przysięga złożona królowi i własny honor, czy podąży za chorymi ambicjami waszego ojca, żeby czynić zło. A kiedy wasz dziadek uznał, że nie może poprzeć zdrady, wasz tata kazał strażnikom pojmać go i uwięzić do czasu, aż ja, Cayleb i wielu innych porządnych ludzi zostaniemy zabici.

Kahlvyn potrząsnął głową z wyrazem dziecięcej nieustępliwości i niewiary na twarzy. Rayjhis był wystarczająco dorosły, by zrozumieć słowa króla, chociaż na pewno nie do końca, i łkał cicho, przyjmując w milczeniu kolejne prawdy i rady.

- Wasz dziadek nie mógł do tego dopuścić - powiedział Haarahld głosem cichym, ale i zdecydowanym. - Wasz dziadek jest moim najważniejszym doradcą. Jednym z wasali. Był oficerem w marynarce wojennej Charisu. Rozumie więc doskonale, czym jest honor. Jaką wagę ma złożona przysięga. I dlatego, gdy gwardziści ruszyli, by go pojmać albo nawet zabić, dotrzymał danego mi słowa, mimo iż bardzo kochał waszego tatę, a mogę przysiąc, Rayjhisie, że tak było, i zgładził go za okropne zbrodnie.

Obaj chłopcy chlipali, gdy skończył mówić, podobnie jak ich matka. Haarahld zerwał się raz jeszcze z tronu i przytulił ją mocno. Moment później poczuł wściekłość pięciolatka na lewym udzie i twarzyczkę Kahlvyna wtuloną w jego biodro. Rayjhis spoglądał w stronę wuja z rozpaczą i smutkiem, gdy ten wyciągał rękę w jego kierunku.

Chłopak, który został właśnie mianowany księciem Tiaranu, zdążył się już przekonać na własnej skórze, jak wiele może kosztować ten zaszczyt, i patrzył teraz na władcę przez kurtynę łez. Moment później ujął obiema rękami wyciągniętą dłoń wuja, chwytając się jej niczym tonący brzytwy.

- Twój dziadek nie powiedział ci tego sam z bardzo ważnego powodu - podjął Haarahld, kierując słowa do niego, chociaż ich treść przeznaczona była dla wszystkich, także Zhenyfyr.

- Chciał to zrobić. Mimo że miał świadomość, jak bardzo będzie to bolesne, chciał powiedzieć ci o tym wszystkim, Rayjhisie. Nie mogłem mu na to pozwolić. Jestem twoim królem, a ty stałeś się teraz jednym z moich książąt. Wśród arystokracji istnieje pewien obyczaj, a fakt, że należysz do mojej rodziny, tylko go umacnia. Powiadomienie ciebie o wszystkim, co dotyczy tej sprawy, należy do moich obowiązków. Chciałem też, abyś usłyszał te słowa z moich ust, ponieważ pragnąłem, abyś wiedział w głębi serca i umysłu, że nic, co miało miejsce, co mógł uczynić twój ojciec, nie zmieni tego, co czuję do ciebie i twojej matki. Bóg i tak osądzi nas wszystkich na sam koniec. Królowie też czasem muszą sądzić ludzi, ale jeśli są mądrzy, oceniają ich po uczynkach, nie po słowach innych osób. Ja nie zawsze okazywałem tę mądrość, chociaż Bóg mi świadkiem, że naprawdę się starałem i modliłem o wskazówki. Ale to jedno mogę wam dzisiaj przyrzec. Kiedy spoglądam na was oczami krewniaka i wspominam Kahlvyna, zawsze widzę tego samego kochanego, dobrego człowieka, którego tak ceniłem. Ale gdy spoglądam na was oczami króla, widzę chłopców, którymi jesteście, mężczyzn, którymi się staniecie, ale za nic nie potrafię dostrzec w was zdradzieckiej natury ojca.

Merlin, przyglądając się twarzy Zhenyfyr, dostrzegał na mej ból, żal, ale i akceptację słów Haarahlda. A kiedy zobaczył to wyraźnie, zrozumiał, że od początku miał rację - król Charisu uczynił ze swego królestwa naprawdę wyjątkowe miejsce. Warte ocalenia.

- Cokolwiek wasz ojciec uczynił u schyłku życia - kontynuował tymczasem Haarahld - jednego nie można mu odmówić, a także waszej matce i dziadkowi. Przede wszystkim liczyć się będzie to, jak was wychowali. Zapamiętaj tę lekcję, Rayjhisie. Nigdy o niej nie zapominaj i szanuj człowieka, który dał ci życie, a wyrośniesz na mężczyznę godnego miłości.

Chłopczyk spoglądał na niego, płacząc już całkiem otwarcie, więc władca, przytuliwszy Zhenyfyra raz jeszcze, odsunął się o krok, by wziąć w ramiona młodzieńczego i już pełnego smutku księcia Tiriana.

Tulił Rayjhisa przez kilka sekund, potem puścił go i wyprostował się.

- A teraz - powiedział do kuzynki - chodźmy spotkać się z Radą.

XV

Katedra w Tellesbergu

W

Wnętrze katedry rozbrzmiewało głośnie, czystą muzyką.

Kalikanci dęli w miechy organów z wielką werwą, dostarczając powietrza potrzebnego do podtrzymania melodii, a Merlin Athrawes - teraz już porucznik Athrawes z gwardii królewskiej - stał w rogu łoży Haarahlda, wsłuchując się w bogate brzmienia.

Tuż po wschodzie słońca okrągłą nawę obmyło morze wielobarwnego światła przenikającego przez bajeczne witraże prosto na mozaikowe wyobrażenia archaniołów Langhorne'a i Bedard, spoglądających srogim wzrokiem w kierunku zgromadzonych licznie wiernych. Merlin patrzył w ich majestatyczne oczy z niezwykłym spokojem, chociaż w jego duszy aż kipiało.

Nadejście taki dzień, przyrzekł po raz kolejny duchowi Pei Shan-wei i jej poległym towarzyszom. Nadejście taki dzień-

Odwrocił wzrok od mozaiki, by stłumić przepelniający go gniew, którego nie chciał jawnie okazywać. Nawet tutaj, nawet dzisiaj - chciałoby się powiedzieć: zwłaszcza dzisiaj - Cayleb i Haarahld nie mogli pozostać bez ochrony, a on był jednym z niewielu w pełni uzbrojonych i opancerzonych gwardzistów, którym pozwolono wejść do świątyni. Oprócz niego pomiędzy łożą a główną nawą znajdowali się jeszcze porucznik Falkhan i czterech jego podwładnych. Ich oczy z równie wielką uwagą wpatrywały się w tłum wiernych wypełniający szczerlnie katedralne ławy.

Przedstawiciele arystokracji i szlachty stawili się tłumnie, jak zawsze przy takich okazjach, kapiąc od złota i lśniąc klejnotami. Poza tym do świątyni zdołało się dostać ponad dwa tysiące mieszczan, w których nastawieniu wyczuwało się coś dziwnego.

I nie dziwota, pomyślał Merlin. Po śmierci księcia Tiriana i fali aresztowań w całym królestwie ci ludzie mogli się poczuć... lekko wystraszeni. Żaden szlachetnie urodzony nie mógł się wykręcić z uczestnictwa w tej uroczystości, jeżeli nie miał naprawdę dobrych powodów, usprawiedliwiających takie zachowanie, ale mimo to...

Więści o zdradzie królewskiego kuzyna - i jego śmierci - rozprzestrzeniły się z szybkością błyskawicy. Takie rzeczy nie miały do tej pory miejsca w Charisie i chyba nikt by się ich nie spodziewał, gdyby nie interwencja obcych sił spoza królestwa. Haarahld i jego Rada nie musieli nazywać sprawy po imieniu, ponieważ Charisjanie mieli doskonałe rozpoznanie w sytuacji politycznej, o wiele lepsze niż mieszkańcy reszty Schronienia. To było nieuniknione, zwłaszcza że polityka wpływała na niemal każdy aspekt kupieckiej ekspansji Charisu, od której zależały losy królestwa. Haarahld nie musiał nikogo wskazywać palcem, by jego lud wiedział, kto stał za tym spiskiem, a Merlin odniósł wrażenie, że słuszny gniew zebranych jest wyczuwalny jak kropla kwasu spadająca na koniec języka.

Ale oprócz gniewu wyczuwał coś jeszcze. Tych ludzi trapił strach.

Nie, pomyślał. Strach nie jest odpowiednim słowem na opisanie ich stanu. Stanowi jego nieodłączną część, ale na pewno nie całość. Ci ludzie zdają sobie sprawę, że tym razem nie mają do czynienia z gierkami walczącymi o wpływy książąt, i dlatego zwrócili się do swojego Kościoła po pocieszenie.

Nagła zmiana melodii wyrwała Merlina z zamyślenia. Odwrócił wzrok od tłumu w momencie, gdy wielkie odrzwia katedry zaczęły się otwierać. Wszedł przez nie akolitami niosący przed sobą złote berło Langhorne'a zatknięte na końcu czarnej jak noc laski z z

miejscowego drzewa okutego srebrnymi, zdobionymi pierścieniami. Nieco za nim, po bokach, postępowali dwaj kolejni akolici z gromnicami, potem do katedry weszli kapłani niższego stanu, kołyszając kadzidłami pozostawiającymi w powietrzu niesione wiatrem ulotne pa-smka dymu lśniącego w promieniach słońca przesączające go się przez witraże. Za nimi pojawili się chórzyści przyodziani w zielone sukienki i białe komże. Gdy pierwszy szereg tego pochodu przekroczył próg świątyni, wszyscy jego uczestnicy zaczęli śpiewać i nawet Merlin, który szczerze nienawidził wszystkiego, co łączyło się z kultem Boga Oczekiwanego, musiał przyznać, że wyszkolone do perfekcji głosy tych młodzików podziałały na niego z niezwykłą mocą.

Sporo czasu minęło, zanim wszyscy chórzyści zdołali wkroczyć do katedry i przemaszerować na przeciwległy koniec nawy, aby zająć miejsca na trybunach rozmieszczonych po obu stronach mozaikowych archaniołów. Za chórem do wtóru dźwięków podniosłej muzyki kroczył biskup Maikel, potem tuzin kolejnych akolitów i sześciu księży różnych stanów. Pochód zamykał kapłan dzierżący drugie berło i towarzyszący mu dwaj nosiciele gromnic.

Biskup kroczył powoli w głąb nawy. Jego szaty połyskiwały od klejnotów, zwyczajowy czepiec zastąpił tym razem prostą, złotą mitrą godną jego eklezjastycznej rangi. Ludzie pochyłali głowy z nabożnym szacunkiem, gdy koło nich przechodził, a on błogosławił wszystkich mijanych, z pogodną miną dotykając ich głów, ramion i włosów.

To, jak sądził Merlin, było rutynowe zachowanie biskupów Kościoła Matki, ale nie potrafił powstrzymać wyrazu zdziwienia, gdy dostrzegł, że wierni w odpowiedzi ośmielają się dotykać kapłana. Wiedział, że Maikel Staynair cieszy się wielkim szacunkiem tu, w Tellesbergu, ale aż do dzisiejszego ranka nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kochano. Biskup dotarł do prezbiterium, przyklęknął przed ołtarzem i otaczającymi go mozaikami. Wstał po chwili, odwrócił się powoli twarzą ku wiernym, dając czas asyście na zajęcie wyznaczonych miejsc. Cała ta ceremonia miała starannie wyreżyserowaną choreografię, jak najprawdziwsze przedstawienie. Ostatni akolici zatrzymali się w tej samej chwili, w której chórzyści wyśpiewali kończący akord hymnu procesyjnego.

Wewnątrz świątyni przez moment królowała niczym nie zmacona cisza, dopiero biskup Maikel przerwał ją, odzywając się mocnym, doskonale wyszkolonym głosem.

- Niech Langhorne będzie z wami, moje dzieci.

- I z tobą, ojciec — odpowiedział tłum.

- Pomodlimy się dzisiaj o wstawiennictwo Langhornea i opiekę Boga jedyne - zaczął biskup Maikel, ponownie odwracając się twarzą ku ołtarzowi i padając na kolana. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie - zaintonował - błogosławione imię Twoje. Przyjdź oczekiwane królestwo twoje. Bądź wola twoja, głoszona przez błogosławionego archanioła Langhorne, tako w niebie, jak i na Schronieniu. Chleba naszego...

Merlin wyłączył słuch. Musiał to uczynić.

Nimue Alban została wychowana w wierze. Z pewnością nie była tak gorliwa, jak by życzyli sobie jej rodzice i najmówiani duszpasterze, ale tutaj, na Schronieniu, wszystko nabrało innego wymiaru. Teraz, wsłuchując się w niezachwianą pewność wychwytywaną w głosie biskupa Maikela, Merlin przypominał sobie treść modlitw kapłanów z jej dzieciństwa, widząc wyraźnie cały fałsz, na którym wzniesiono fasadę Kościoła Boga Oczekiwanego. Nie sposób było słuchać słów tak ważnych dla duchowości Nimue, a zniekształconych teraz na potrzeby Langhorne'a. Nie mógł jednak, i nie chciał, potępiać dobrego i prawego człowieka tylko za to, że ten stosował się do systemu wiary, w którym został wychowany.

Z tych właśnie powodów odczuwał spory dyskomfort, stojąc tu i słuchając kolejnych inwokacji. Cieszył się tylko z tego, że Langhorne, układając kalendarz Schronienia, zdecydował się na pięciodniowe tygodnie, wycinając z nich soboty oraz niedziele i ustanawiając środkowy dzień jako święty dla jego Kościoła. To łagodziło nieco ból

uczestnictwa w podobnych maskaradach. Mszy odprawianej w niedzielę mógłby nie znieść tak łatwo.

To chyba największa ironia w dziejach ludzkości, pomyślał Merlin. Ostatnim chrześcijaninem w dziejach wszechświata został robot. W sensie prawnym był najbardziej autonomiczną jednostką CZAŁO, jaka kiedykolwiek powstała, ale już od bardzo dawna nie stosował wobec siebie legalistycznych definicji. Niemniej pragnął, i to bardzo, porozmawiać na ten temat z kimś innym. Czy mógł się uważać za człowieka, którego pamięć mu wgrano? Czy może jest tylko jego echem, nagraniem - zwykłą sztuczną inteligencją obdarzoną manią wielkości? Czy posiada nieśmiertelną duszę, w którą Nimue Alban zawsze wierzyła? Czy raczej odeszła ona z tego świata w momencie, w którym biologiczne ciało jego pierwowzoru zginęło?

Nie znał odpowiedzi na żadne z powyższych pytań. Do pewnego momentu zastanawiał się nawet, czy mechanizm zbudowany na podobieństwo człowieka ma jakiegokolwiek prawo do zadawania Bogu takich pytań. Potem zrozumiał, że istota wyższa z pewnością będzie w stanie pojąć, co popycha go do ich zadawania, tak samo jak stało się dla niego jasne, że Kościół Boga Oczekiwanego - mimo iż jest oparty na niewyobrażalnie wielkim oszustwie - nie zamknie uszu Najwyższego na szczere modlitwy Jego wyznawców.

Musiał jednak pamiętać, co jest jego nadrzędnym celem oprócz przygotowania ocalonych niedobitków ludzkości na kolejne spotkanie z Gbaba. Był ostatnim z chrześcijan. W pewnym sensie był też ostatnim z muzułmanów, żydów, buddyistów, sintoistów, hinduistów. Komputery w jaskini Nimue zawierały każdą informację dotyczącą wielu tysiącleci myśli religijnej, a także ludzkiego dążenia do poznania Boga. A Merlin Athrawes był jedyną istotą, która miała świadomość, że wiedza o tym wszystkim tam właśnie się znajduje.

Nadejdzie jednak dzień, w którym ta skarbnica ponownie otworzy swoje podwoje, i za to też był odpowiedzialny jako ostatni strażnik chrześcijaństwa, islamu, judaizmu, buddyzmu i wszystkich pozostałych religii. Bez względu na to, czy był tylko maszyną czy czymś więcej, do jego zadań należało oddanie ludzkości skradzionego jej dziedzictwa.

Miał jedynie nadzieję, że gdy dzień ten nadejdzie, wiara w ludziach nie umrze z powodu odkrycia kłamstwa, które zniewoliło ich na niemal tysiąc lat.

To była msza dziękczynna, nie w intencji zmarłego.

Kościół Boga Oczekiwanego nie dopuszczał pochówku zdrajców w poświęconej ziemi. A w każdym razie tych, po prawili się w myślach Merlin, którym dowiedziono zdradę. Gdyby było inaczej - o czym przekonał się, studiując historię Schronienia - co najmniej ćwierć stanu szlacheckiego i nie mniej niż połowa wikariuszy powinna spoczywać poza murami miejscowych cmentarzy. Przyznanie się do winy Kahlvyna Ahrmahka, byłego księcia Tirianu, umiejscawiało go jednak, niejako na własną prośbę, w grupie zdrajców.

To musiało być trudne, zwłaszcza dla Haarahlda i Cayleba. Zgodnie z tym, co król powiedział do Zhenyfy i jej synów, obaj kochali swojego kuzyna. Odmówienie mu pochówku przez Kościół, przymuszenie do zakopania ciała w niepoświęconej ziemi, wszystko to musiało sprawić im niewyobrażalny ból. Niestety, nie mieli w tej kwestii wyboru. Nawet biskup Maikel nie mógł tego dla nich zmienić, choć sam zapewne pragnąłby takiego obrotu sprawy. Zrobił więc tyle, ile mu było wolno. Odprawił dziękczynną mszę za ocalenie życia władcy, dziedzica tronu i najstarszego z doradców, ale w kazaniu, które wygłosił, skupił się na temacie ludzkiej słabości i kosztach, jakie z powodu czyichś grzechów ponoszą ich bliscy.

- ...i tak, Shan-wei nie powiodła ludzi ku złu, odwołując się do mrocznej części ich natury. - Merlin zacisnął zęby, starając się nie okazywać złości, gdy głos biskupa, przemawiającego z taką biegłością, że niejeden zawodowy aktor mógł mu pozazdrościć, wypełniał wnętrza katedry, docierając do najdalszych jej zakamarków. - Pismo uczy nas, że

nawet Shan-wei nie była zła. W owych czasach należała do najświatlejszych archaniołów. A kiedy upadła, też nie odwoływała się do zła w ludzkim tego słowa rozumieniu, ale właśnie do dobra. Nie kusiła człowieka, oferując mu władzę nad bliźnimi czy też dominację, ale obiecując, że każdy człowiek w przyszłości dorówna mocą archaniołom. Ze jego dzieci, żona, rodzice, przyjaciele i sąsiedzi staną się równi aniołom zesłanym przez Boga, jeśli tylko przyłączą się do niej i wyciągną ręce po to, co im obiecywała. Dlatego nawet człowiek

0 najuczciwszym sercu może otworzyć drzwi przed największym złem. Nie twierdzą bynajmniej, moje dzieci, że nie ma na świecie złych ludzi. Nie twierdzą też, że winni zdradzie, morderstwu czy kradzieży popełniają te straszne zbrodnie, będąc zarazem dobrymi ludźmi, ponieważ ktoś ich zwiódł na manowce. Chcę wam jedynie uświadomić, że ludzie

1 rodzą się jako dobre istoty i dopiero to, czego uczą się w dzieciństwie czynią, dorastając, determinuje, czy zostaną otoczeni szczelną zbroją dobra, czy przez rysy w pancerzach wsączy się zło.

Merlin oparł dłoń na rękojeści katany i spoglądał prosto przed siebie. W głosie biskupa dało się wyczuć wiele dobroci i współczucia, choć mówił do tej pory wyłącznie to, co nakazywała doktryna i teologia Kościoła Boga Oczekiwanego. Ale chwilę później...

- Dlatego nie możemy zapominać o dobrym wychowaniu naszych pociech. O dyscyplinowaniu ich wtedy, gdy jest to konieczne, ale i okazywaniu miłości oraz czułości przy każdej nadarzającej się okazji. Musicie mieć pewność, że karcicie je wyłącznie za złe uczynki. Musicie nauczyć własne dzieci, by odróżniały dobro od zła. Musicie im pokazać, jak oceniać cudze uczynki myślą i sercem, bez cienia strachu. Musicie wpoić im, że nie jest ważne co kto mówi, one muszą same wiedzieć, czym jest dobro i zło. Musicie opowiadać im, że świat jest wielki i wspaniały, ale nie tylko. Schronienie jest miejscem pełnym wyzwań, obietnic i zadań, które mają sprawdzić siłę wiary każdego śmiertelnika. Musicie więc przekonać własne pociechy, że jeśli chcą naprawdę poznać naturę Boga, muszą go odnaleźć w sobie i w swoim życiu codziennym.

W tłumie stłoczonym we wnętrzu katedry dało się wyczuć poruszenie, nawet Merlin zareagował na ten nagły zwrot w treści kazania biskupa Maikela. To nie byłoby nic wielkiego, gdyby nie fakt, że słowa te wypowiadała trzecia osoba w hierarchii Kościoła Charisu.

Kościół Boga Oczekiwanego nauczał o osobistych więziach, jakie istnieją pomiędzy Bogiem a każdym z ludzi, ale nigdy nie zachęcał wiernych do poszukiwania tychże. Zadaniem kleru było nauczanie i informowanie, a także oznajmianie owieczkom o tym, czego chce od nich Bóg, oraz definiowanie w ich imieniu wszelkich relacji z Niebiosami. Pismo w ani jednym miejscu nie głosiło tezy o nieomyślności Świątyni, chociaż przypisywało ją archaniołom, ale już w doktrynie Kościoła znajdowały się zapisy dotyczące nieomyślności wikariuszy będących spadkobiercami posłańców Boga.

Maikel nie atakował tej doktryny w sposób otwarty, on jedynie przywołał argument mówiący, że nawet najlepszy spośród nauczycieli może się mylić. I taka właśnie interpretacja słów jego kazania mogła być poczytana za atak na nieomyślność hierarchów, którzy nauczali wszystkich mieszkańców Schronienia. Zwłaszcza tutaj, w Charisie, gdzie otwarcie zachęcano ludzi do swobodnego myślenia.

- Mamy obowiązek nauczyć tego wszystkie nasze dzieci - ciągnął spokojnie biskup, jakby nie zauważył, że wypowiedział właśnie niezwykle zdania - ale czasami, bez względu na nasze wysiłki, ponosimy porażkę. Na tym świecie istnieje zło, moje dzieci. Można je znaleźć wszędzie, każdy może być jego siedliskiem. Zło czeka cierpliwie, jego pułapki są niezwykle przebiegłe. Ludzie, mocni i słabi, szlachetnie urodzeni i prostacy, bogaci i biedni, wpadają w jego sidła, a z nich prosto w grzech, dlatego naszym obowiązkiem, jako wspólnoty prowadzonej przez Boga, jest nienawidzenie grzechu. Musimy go odrzucać i niszczyć

wszędzie tam, gdzie go zauważamy. Ale ludzie otrzymali też od Boga nakaz kochania bliźniego. A skoro mamy nienawidzić grzechu, ale miłować grzeszników, nie możemy się wstydić tego, że ich kochaliśmy, ani się tym gnębić. Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby podziękować Panu za ocalenie króla, następcy tronu i pierwszego doradcy dworu. Zebraliśmy się, aby odrzucić i potępić zbrodnię zdrady, przez którą narażone było ich, a także nasze życie. Ale nawet teraz, gdy wypowiadamy słowa dziękczynne, powinniśmy pamiętać, że zło, które zagroziło królewskiej rodzinie i zostało zażegnane, sprawiło też, że odseparowaliśmy się od jego ofiar. Ci, którzy zostali skuszeni i dopuścili się niecznych czynów, są dla nas tak samo straceni, jak mógłby być stracony książę Cayleb, gdyby ich knowania zakończyły się sukcesem. Czyny tych ludzi na zawsze pozostawią ślad w świadomości tych, którzy ich kochali, a cena za nieśmiertelność ich dusz będzie o wiele wyższa niż którekolwiek z was, Boże dzieci, może zapłacić. Dlatego zaklinam was, przyłączcie się do mnie, pomódlmy się wspólnie za dusze wszystkich, którzy odeszli, i zranione serca ich bliskich.

Spoglądał na milczący tłum zebrany w ławach przez dzieśnięć długich sekund, potem zaczerpnął tchu i odwrócił się w stronę ołtarza, by spojrzeć w gigantyczne oblicza Langhorne'a i Bedard. Powoli uniośł ręce do modlitwy.

Merlin patrzył na wyprostowane jak struna plecy modlącego się hierarchy. Nie rejestrował słów, jeśli zajdzie taka potrzeba, pamięć CZAO odtworzy mu je z później. To co najważniejsze, zostało już powiedziane, pozostało mu więc tylko zastanawiać się, czy Haarahld i Cayleb spodziewali się takiej treści biskupiego kazania.

XVI

Pałac arcybiskupa, Tellesberg

M

oże byłbyś łaskaw i wyjaśnił mi, o czym mówiłeś podczas kazania? - zapytał lodowatym tonem biskup egzekutor Zherald Ahdymysyn, odwracając się od okna wystudowanym ruchem, aby zmierzyć wzrokiem „gościa”.

- Proszę o wybaczenie, wasza ekscelencjo - odparł spokojnie Maikel Staynair - ale nie wiem, która część kazania okazała się dla ciebie niezrozumiała?

Spojrzał biskupowi egzekutorowi prosto w oczy, nie spuszczać wzroku pod miotanymi przez nie błyskawicami, zmuszając tym samym Ahdymysyna do zaciśnięcia dłoni ukrytych w obszernych rękawach sutanny. Zherald zawsze i ważył, że ściągnięcie Maikela do stolicy należało do najbardziej błędnych decyzji wikariatu. Ten człowiek był za bardzo... charismański. Ale Haarahld uparł się i wymusił na poprzednim arcybiskupie mianowanie tutejszego kapłana na pusty tron katedry tellesberskiej. Ahdymysyn żałował teraz, że mimo wszystko nie zdołał zablokować tej kandydatury. Wiedział doskonale, że powinien to zrobić, i nawet próbował poczynić pewne kroki jako lokalny biskup egzekutor, aby nie doszło do tego mianowania.

Tyle tylko, że arcybiskup ugiął się pod niewzruszoną wolą władcy Charisu. Ale Rojyr był stary, zmęczony i bliski śmierci. U schyłku swojej posługi pragnął jedynie spokoju. Być może lękał się, że zbyt stanowczy sprzeciw wobec woli Haarahlda może doprowadzić do sytuacji, która zmusi do działania Radę Wikariuszy, a nawet Inkwizycję.

Itak, zamiast zająć się tą sprawą osobiście, zamiótł ją pod dywan, zrzucając całą odpowiedzialność za jej rozwiązanie na mnie, pomyślał z goryczą Ahdymysyn.

- Poinformowano mnie - powiedział do Maikela - że podważyłeś podczas kazania prymat i wiodącą rolę Kościoła Matki.

- Wasza ekscelencjo - odparł biskup, robiąc niewinną minę - nie bardzo rozumiem, które moje słowa mogły zostać przez kogoś odebrane jako nawoływanie do obalenia legalnego prymatu i wiodącej roli naszego Kościoła Matki! Która część mojego kazania miała na to wskazywać, według twoich informatorów?

Ahdym syn zacisnął pięści jeszcze mocniej i rozdał nozdrza, wciągając raptownie powietrze.

- Powiedziałeś czy nie powiedziałeś, że decydowanie o tym, co jest dobre, a co złe, należy do obowiązków każdego Bożego stworzenia?

- Oczywiście, że to powiedziałem, wasza ekscelencjo. - Takiego zaskoczenia, jakie Ahdym syn usłyszał w głosie Maikela, nie zagrałby najlepszy nawet aktor. - Czyż nie tego uczy nas Pismo i Komentarze do niego? Ze Bóg i jego archaniołowie - tu dotknął palcami serca i ust - oczekują od nas, abyśmy przywdziali jak jeden mąż pancerze przeciw złu? Czy naszym obowiązkiem nie jest wieczne czuwanie i rozpoznawanie zła, kiedy je tylko ujrzemy?

Ahdym syn zazgrzytał głośno zębami, gdy zaciskał szczęki. Jakże pragnął wyciągnąć rękę i zdzielić nią tego tępego Charisjanina, który stał przed nim. Obaj doskonale wiedzieli, co naprawdę powiedział Maikel, ale teraz, tłumacząc się, biskup użył na swoją obronę jednej z najbardziej zasadniczych doktryn Kościoła.

- Nie przeczę twojemu oświadczeniu, że Bóg i archaniołowie - teraz Ahdym syn przeżegnał się, dotykając serca i ust - oczekują, iż rozpoznamy zło, kiedy je dostrzeżemy. Ale sugerowanie, że nasze nauki mogą być mylne, niesie zagrożenie, zarówno w sensie doktrynalnym, jak i z punktu widzenia utrzymania dominacji Kościoła Matki, zarówno na Schronieniu, jak i w Niebiosach.

- Z całym szacunkiem, wasza ekscelencjo, ale nie powiedziałem niczego podobnego - zapewnił go stanowczo Maikel. - Wspominałem jedynie o ciążyącym na wszystkich rodzicach obowiązku nauczania dzieci, aby kolejne pokolenia potrafiły odróżnić dobro od zła. I napominałem, by wierni byli czujni i nie dali się zwieść na pokuszenie przez tych, którzy okazali się zbyt słabi w wierze i zeszli na złą drogę. By potrafili dostrzec fałsz, podawany im w kategoriach dopuszczalnych odstępstw od wiary. Nigdy jednak nie popełniłem tego błędu i nie stwierdziłem, że nasz Kościół Matka błędzi, nauczając fałszu. Jeśli uważasz, że uczyniłem coś takiego, błagam cię, abys poinstruował mnie, w jaki sposób mogę naprawić swój niewybaczalny błąd!

Ahdym syn spoglądał na niego przez chwilę, a potem odwrócił się gwałtownie i podszedł pod okno, aby zwalczyć chęć dalszej walki z tym człowiekiem i odzyskać pełną kontrolę nad sobą.

- Bez względu na to, jakie były twoje zamiary... - oświadczył w końcu - treść ostatniego przemówienia może być interpretowana jako zachęta dla tych, którzy stawiają własne osądy ponad zdanie Kościoła Matki.

- Zapewniam waszą ekscelencję, że nigdy przez myśl mi nie przeszło, by podważać autorytet naszego Kościoła. Jeśli moje słowa mogły być zrozumiane w podobny sposób, pokornie proszę o wybaczenie.

Ahdym syn nie odwrócił wzroku od okna. Słońce zachodziło właśnie za horyzont, zdołając go szkarłatem, nawet połyskujące połacie Zatoki Howella mieniły się soczystą czerwienią. Biskup egzekutor znów nabrał powietrza w płuca.

- Jestem bardzo niezadowolony z twojej ewidentnej... bez troski w doborze słów, biskupie Maikelu. Jesteś, zaraz po arcybiskupie Erayku i mnie, najstarszym hierarchą królestwa Charisu. Twoim zadaniem jest przypominać swoim owieczkom, jakie są ich obowiązki i gdzie spoczywa spokój ich duszy. W związku z tym musisz pamiętać, by unikać... nierozważnych słów, które mogłyby oddalić twoją trzódkę od bezpiecznej zagrody nauk Kościoła Matki.

Starał się mówić spokojnie, racjonalnie, chociaż wiedział doskonale, że Staynair zrobił to, o co został oskarżony. Niestety, biskup Charisu umiał się bronić i czynił to skutecznie. Jego wersja zdarzeń, jakkolwiek naciągana i asekurancka by się wydawała, brzmiała wiarygodnie i spójnie. Albo brzmiałaby, gdyby wypowiedziano ją gdziekolwiek poza Charisem.

- Bardzo mi przykro, że dałem ci powód do niezadowolenia, ekscelencjo - oświadczył Staynair.

- Wiem o tym. - Ahdym syn uśmiechnął się ponuro w stronę okna.

Technicznie biorąc, miał możliwości pozbycia się Staynaira ze swojego terenu. Bez zgody arcybiskupa Erayka nie mógł wprawdzie usunąć Charisjanina na stałe, zresztą nie był wcale pewny, czy przełożony poparłby taką decyzję.

A to po części twoja wina, Zheraldzie, powiedział do siebie. Od wielu lat wiedział, jak uparci potrafią być ci Charisjanie, ale nieodmiennie informował arcybiskupa, że masz wszystko pod kontrolą. Zbyt długo traktował raporty książąt Hektora i Nahrmahna jako przesadne i wyolbrzymiające problem - ale czyż takie nie były, do Shan-wei?! Jeśli przekazesz dzisiaj słowa Staynaira, po wszystkich tych zapewnieniach, i oskarżysz go o próby podkopywania autorytetu Kościoła Matki, przełożeni mogą pomyśleć, że też przesadzasz, zupełnie jak tamci. Nie widząc wyrazu twarzy towarzyszącego tym słowom, nie słysząc tonu, jakim były wypowiedzane, nie mogąc wyczuć nastrojów wiernych, kazanie można uznać za zupełnie normalne. A oskarżenia rzucane na biskupa za objaw hysterii i paniki.

Uśmiech biskupa egzekutora spełził z jego oblicza, stary hierarcha spoglądał teraz na płonący horyzont, zastanawiając się, czy ten krwawy kobierzec chmur nie jest przypadkiem jakimś omenem. Problem Staynaira wynikał w sporej części z nastrojów panujących wśród charisjańskiego kleru.

Głównym powodem niezadowolenia Ahdym syna z wyniesienia Maikela na tron katedry w Tellesbergu był fakt pogwałcenia jednej z najstarszych i najrozsądniejszych praktyk Kościoła, w myśl której najważniejsze stanowiska w hierarchii powierzano zazwyczaj duchownym pochodzącym z innej prowincji. Zdaniem Ahdym syna, pozwalanie miejscowej hierarchii na budowanie ścisłych więzów ze świeckimi strukturami prowincji, w których służyli, było wielkim błędem. Zwłaszcza w krainach tak odległych od Świątyni i Syjonu, jak Charis.

Z drugiej jednak strony, przekonanie kleryków do przeniesienia się do odległych i odizolowanych prowincji należało do niełatwych zadań. Ci, którzy mieli potężnych patronów, zawsze zdołali się od tego wywinąć. Choć bogactwa Charisu mogły stanowić jakiś wabik, większość kleru uważała pełnienie posługi w królestwie za formę wygnania. Wysłanie do Tellesbergu w najlepszym wypadku mogło być potraktowane jako cios wymierzony w kapłana.

A jednak przypadek Ahdym syna nie mieścił się w tej kategorii. Biskup egzekutor dowiódł w wystarczającym stopniu swojej niezawodności, tyle tylko, że zabrakło mu możnych protektorów, bez których zdobycie własnego arcybiskupstwa okazało się niemożliwe. Z tego też powodu, gdy zaproponowano mu przeniesienie do Charisu, potraktował je jak wybawienie. Nowa diecezja znajdowała się wystarczająco daleko od Świątyni i Syjonu, by zyskać sporą niezależność, a nawet autonomię, nie mówiąc już o możliwości zgromadzenia znacznego majątku.

Niestety, na każdym dziesięciu duchownych pełniących posługę w Charisie dziewięciu było rodowitymi mieszkańcami królestwa, czego Staynair stanowił żywy przykład. A im niżej w hierarchii, tym miejscowych było więcej. Podobnie rzecz się miała w zakonach. Z tego właśnie powodu mianowanie miejscowego kapłana na trzecie pod względem ważności stanowisko w Kościele królestwa wydawało się Ahdym synowi takie... niepokojące. Doły słuchały z wielką uwagą, co ma do powiedzenia „ich” biskup.

- Przyjmuję twoje zapewnienie, że nie miałeś zamiaru atakować autorytetu Kościoła Matki i jego prawa do decydowania, co jest błędne - odezwał się w końcu, odwracając się do Staynaira po dłuższej chwili milczenia. - Aczkolwiek to nie pomniejsza mojego niezadowolenia. Myślę także, że ani Rada Wikariuszy, ani Inkwizycja nie będą zadowolone,

doświadając się o potencjalnych zagrożeniach, jakie niosą twoje... nieostrożnie dobrane słowa. Nie jesteś zwykłym księdzem. Zostałeś biskupem, jednym ze zwierzchników Kościoła Matki, a tych obowiązują znacznie wyższe standardy. Czy to rozumiałe, biskupie Maikelu?

- Oczywiście, wasza ekscelencjo - odparł Staynair, pochylając lekko głowę.
- Żyjemy w niebezpiecznych czasach - kontynuował Ahdymysyn. - Niebezpieczeństwo zagraża Charisowi z wielu stron, co widać chociażby po zdradzie, której dopuścił się król. Nie zaogniaj dodatkowo tej sytuacji.
- Wezmę sobie do serca tę uwagę, wasza ekscelencjo - odparł Staynair, kłaniając się lekko po raz drugi.
- Mam nadzieję, że tak uczynisz - stwierdził biskup egzekutor. - Mam wielką nadzieję, że tak uczynisz. Moja cierpliwość, podobnie jak arcybiskupa, a zwłaszcza Inkwizycji, ma swoje granice. Jeśli klęska twojej posługi odbije się na innych, ciężar konsekwencji tego czynu spadnie na twoją nieśmiertelną duszę, a Kościół Matka zażąda rozliczenia się z grzechów.

Staynair nie odpowiedział, ale jeśli nawet wzdragał się przed tą myślą, po jego oczach nie dało się tego poznać. Został ostrzeżony. I cokolwiek o nim mówiono, na pewno nie był głupcem. To powinno wystarczyć... przynajmniej na razie.

- Możesz odejść - oświadczył Ahdymysyn i wyciągnął pierścionek do ucałowania.
- Dziękuję, wasza ekscelencjo - wymamrotał biskup Tellesbergu, muskając wargami złote berło wpasowane w krwisty rubin tkwiący w pierścieniu. - Przrzekam, że zapamiętam każde słowo, które dzisiaj do mnie wypowiedziałeś.

WRZESIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 890

U Madame Ahnzhelyki, Syjon

A

rcybiskup Erayk Dynnys uśmiechnął się na pożegnanie do Madame Ahnzhelyki Phondy.

- To był naprawdę uroczy wieczór, jak zawsze zresztą - powiedział, poklepując delikatnie upudrowane palce spoczywające w jego dobrze wypielęgnowanych dłoniach.
- A wasza ekscelencja jak zwykle jest zbyt łaskawy - odparła Madame Ahnzhelyka, obdarzając go łaskawym uśmiechem, który tak bardzo przydawał jej się za dawnych czasów, kiedy jeszcze sama musiała pracować. - Obawiam się, że chwalisz nas bardziej, niż na to zasługujemy.
- Nonsens! Nonsens! - stwierdził dobitnie Dynnys. - Znamy się zbyt długo, bym zawracał sobie głowę konwenansami bądź przrzekał się pustymi komplementami z panią czy jej dziewczętami.
- W takim razie dziękuję waszej ekscelencji. - Madame Ahnzhelyka skłoniła lekko głowę. - Zawsze jesteśmy rade cię widzieć. Zwłaszcza teraz. Obawialiśmy się już, że nie będziemy miały szansy na zadowolenie ciebie przed kolejnym wyjazdem do Charisu.
- Wcale mi się do niego nie pali - przyznał Dynnys, krzywiąc się i wzdychając. - Ale nie mogę dłużej tego odwlekać. Prawdę powiedziawszy, już powinienem być w drodze. Jeśli wierzyć semaforom, w górach spadł już pierwszy śnieg. Niedługo Przesmyk Hsing-wu zacznie zamarzać, obawiam się więc, że tegoroczna podróż nie będzie należała do najprzyjemniejszych, nawet po pokonaniu najgorszego odcinka drogi.
- Wiem, wasza ekscelencjo. Ale jak powiadają, lato w Tellesbergu jest zawsze o wiele przyjemniejsze niż zima w Syjonie! Przynajmniej ekscelencja będzie miał przed sobą piękny cel do wypatrywania.
- Cóż, to akurat prawda - przyznał Dynnys, uśmiechając się pod nosem. - Czasami myślę sobie, że archaniołowie mogliby nie być tak odporni na warunki atmosferyczne, może wtedy, stojąc po pas w śniegu, wybraliby lepszą lokalizację dla naszej Świątyni. Uwielbiam

klimat Syjonu w lecie, jak wiesz, pani, ale zima tutaj to coś zupełnie innego. Nawet biorąc pod uwagę twoje czarujące towarzystwo.

Teraz Madame Ahnzhelyka zachichotała cicho.

- W takim razie, na wypadek gdybyśmy nie mieli okazji widzieć się ponownie przed wyjazdem, pozwoli wasza ekscelencja, że będę mu życzyła przyjemnej podróży i bezpiecznego powrotu do nas.

- Z pani ust prosto do uszu archaniołów. - Dynnys dotknął dłonią serca, a potem warg. Na jego twarzy rozkwitł uśmiech, gdy wspiąwszy się na palce, cnotliwie ucałowała go w policzek.

To była, co uświadomił sobie z wielką radością, jedyna cnotliwa reakcja, z jaką się spotkał w tym przybytku, odkąd zapukał do jego drzwi parę godzin temu.

Drzwi Madame Ahnzhelyki były jednym z najsekretniej - szych portali w całym Syjonie. O ile Pismo Święte określało istotę ludzką mianem omylnej, a Kościół Matka niechętnym okiem spoglądał na związki swoich hierarchów, o tyle w kwestii cudzołóstwa i niewierności oba źródła były niezwykle zgodne. Te właśnie obostrzenia komplikowały życie Erayka Dynnysa. Pismo i Kościół wymagały, aby każdy dostojnik aspirujący do stanowisk w episkopacie był żonaty. Jak inaczej mógłby rozumieć emocjonalne i fizyczne potrzeby małżonków mieszkających w podległych mu parafiach, za których miał wziąć odpowiedzialność?

Dynnys, rzecz jasna, sprostą stawianym wymaganiom, ale niezwykle rzadko widywał swoją żonę. Adorai nie wydawała się z tego powodu ani zaskoczona, ani tym bardziej nieszczęśliwa. Miała zaledwie dwanaście lat, gdy rody Dynnysów i Laynohrów zaaranżowały ich małżeństwo. Została też wychowana w przekonaniu, że biskup poślubi ją, ponieważ tak nakazuje tradycja kościelnych dynastii. Poza tym nienawidziła życia towarzyskiego Syjonu w niemal tym samym stopniu, co skomplikowanych rozgrywek pomiędzy frakcjami we wnętrzu Świątyni. Żyła więc w spokoju i dostatku w jednym z licznych majątków Dynnysa, hodując konie, kury, smoki pociągowe i doglądając dwóch synów, których urodziła mu posłusznie w pierwszych latach małżeństwa.

Sytuacja ta sprawiała, że Dynnys, jak wielu innych hierarchów, wiódł życie z dala od wybranki. Na szczęście dla niego istniała Madame Ahnzhelyka i jej niezawodne oraz znakomicie wyszkolone dziewczęta, które potrafiły wypełnić tę lukę. Oczywiście z należytą dyskrecją.

- No cóż, Ahnzhelyko - westchnął, gdy odprowadzała go do bramy, którą dystyngowany portier otworzył, gdy tylko ich zauważył. - Obawiam się, że naprawdę muszę już iść. Ale - dodał wzdrażając się na widok zimnej nocy i padającej mżawki, w czym niewiele było udawania - czynię to z tak wielkim żalem, że nie jesteś sobie tego w stanie wyobrazić.

- Pochlebca! - Madame poklepała go po ramieniu, śmiejąc się przy tym perliście. — Cóż... zawsze możesz zostać u nas na noc, wasza ekscelencjo.

- Nie kuś mnie, Shan-wei! - wyrecytował Dynnys, uśmiechając się przy tym, potem pokręcił głową. - Mówię poważnie - dodał, przyglądając się obłoczkom pary wydmuchiwanej z nozdrzy koni i dorożkarza czekającego na niego w deszczu Przy najbliższej latarni. - Z największą przyjemnością przyjąłbym tę hojną ofertę. Niestety, przed wyjazdem do Chari- su muszę się zająć masą niezwykle ważnych spraw, do tego dochodzą liczne spotkania o nieludzko wczesnej porze. Choć ciężko podejrzewam, że w innej sytuacji bez trudu namówiłabyś mnie, pani, do zostania.

- W takim razie przyjmuję z pokorą moją porażkę, wasza ekscelencjo. - Madame Ahnzhelyka ponownie ucisnęła mu dłoń, potem puściła ją i obserwowała spokojnie, jak biskup opuszcza progi jej domu.

Nikt, a już zwłaszcza sam Dynnys nie mógł być pewien, co wydarzyło się moment później. Portier uklonił się wychodzącemu za bramę arcybiskupowi, mamrocząc pod nosem podziękowania za suty napiwek wypłacony w szczerym złocie. Starszy woźnica, obserwując z wysokiego kozła zbliżającego się pracodawcę, poczuł wielką ulgę. Chociaż wizyty biskupa w tym miejscu miały na celu przyniesienie mu rozkoszy, dla woźniców oraz okrytych cienkimi derkami koni długie godziny oczekiwania na ziąbie i deszczu były prawdziwą mordęgą. Pomocnik zajmujący się doglądaniem koni czuł prócz tej ulgi wielką zazdrość o starszego kolegę, ten bowiem miał nie tylko łatwiejszą robotę, ale i grubą pelerynę, którą mógł się szczelnie owinąć, siedząc na osłoniętym koźle. Lokaj Madame Ahnzhelyki i chłopiec niosący latarnię podążali przed arcybiskupem, aby oświetlić mu drogę i otworzyć drzwiczki karocy. Sam Dynnys podwinął połę płaszcza i stawiał ostrożnie kroki, patrząc spod na wpół przymkniętych powiek na szerokie, zalane deszczem stopnie.

I wtedy powinęła mu się noga.

Dosłownie.

Dynnys nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego, poczuł nagle, że ktoś go chwyta i popycha. Jakby niewidzialna ręka złapała go za prawą kostkę i pociągnęła do przodu z ogromną siłą. Jako że nie należał do ludzi wysportowanych, szybko stracił równowagę.

Zamachał rękami, próbując ustać na śliskiej powierzchni, a potem wydał z siebie przeciągły pisk nie licujący z powagą jego urzędu. Niewidzialna ręka nie puściła go jednak, więc zaskowyczał raz jeszcze, tym razem głośniejszym głosem, czując, że nogi umykają spod niego i zaczyna się staczać po mokrych stopniach.

Gdyby miał na to czas, zapewne zdziwiłby się niepomierzenie, widząc, że nie leci głową w dół, jak to zazwyczaj ma miejsce w podobnych przypadkach, lecz wręcz przeciwnie. To powinno skłonić go do głębszego zastanowienia w kwestii dziwnego uczucia, jakiego doznał przed momentem. Ale w tej chwili był zbyt zajęty spadaniem ze schodów, żeby poświęcać innym sprawom tyle uwagi, na ile z pewnością zasługiwały. Wrzasnął za to przeraźliwie, gdy dotarł do wyłożonego płytami chodnika u dołu szerokich schodów.

Przemknął po jego zmoczonej powierzchni, zatrzymując się dopiero na wysokim, granitowym krawężniku. Uczucie ulgi ustąpiło natychmiast pod wpływem fali bólu, który ogarnął jego prawe ramię i udo.

Przerażeni słudzy Madame Ahnzhelyki pośpieszyli za nim, nawet pomocnik woźnicy porzucił swoje stanowisko i puścił się pędem w stronę leżącego pracodawcy. Arcybiskup kręcił z niedowierzaniem pokiereszowaną i zakrwawioną głową nad własnym upadkiem. Potem spróbował wstać, ale zaraz padł z powrotem na chodnik, wydając kolejny okrzyk, jeszcze głośniejszy niż poprzednio, gdy nieroztropny ruch wyzwolił falę ogromnego bólu, wypełniając całe jego ciało.

- Proszę się nie ruszać, wasza ekscelencjo! - zawołał pomocnik woźnicy, przyklękając obok. - Złamałeś, panie, co najmniej jedną nogę!

Chłopak już zdierał z siebie pelerynę. Okrył nią leżącego i spojrzał błagalnie w stronę lokaja Madame Ahnzhelyki.

- Przywołaj jakiegoś uzdrowiciela! - poprosił. - Jego ekscelencja będzie potrzebował pomocy składacza kości!

Poblądły sługa skinął lekko głową i ruszył prosto w ciemność, zanim Madame zdążyła zejść ze schodów. Gdy Ahnzhelyka naciągała głęboki kaptur na wieczorową fryzurę, na jej twarzy pojawiły się zarówno niepokój, jak i konsternacja. Przyklękła obok pomocnika woźnicy, mocząc koronki zwiewnej jedwabnej sukni.

- Nie próbuj się ruszać, Erayku! — ostrzegła, nie zdając sobie sprawy, że chłopak wypowiedział przed chwilą bardzo podobne słowa. Położyła dłoń na piersi arcybiskupa. - Nie

mogę wprost uwierzyć, że coś takiego ci się przytrafiło. Ni-gdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy!

- To... nie była twoja wina, pani - wycodził Dynnys przez zaciśnięte zęby, widząc, jak wielką troskę Madame wyka- żuje w obliczu jego cierpienia. - Poślizgnąłem się. To przez ten deszcz.

- Twoja noga! - jęknęła Ahnzhelyka, spoglądając na wy-krzywioną pod nienaturalnym kątem kończynę Dynnysa.

- Już posłałem po składacza kości, pani - poinformował ją pomocnik woźnicy, otrzymując w odpowiedzi szybkie ski-nienie głowy.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Obejrzała się przez ramię na portiera, który zszedł za nią po schodach i stał teraz tuż za jej plecami, załamując ręce. - Styvynie - oświadczyła oschle - nie stercz nade mną jak ostatnia oferma! Wracaj do domu. Musisz mi przynieść koce! I poduszkę, żeby arcybiskup miał na czym złożyć głowę. Ruszaj!

- Tak, psze pani! - odparł portier i pobiegł do przybytku Madame, aby jak najszybciej wykonać jej polecenie.

Merlin Athrawes stał na skraju dachu eleganckiego domu znajdującego się naprzeciw rezydencji Madame Ahnzhelyki. Po mniej więcej trzech godzinach oczekiwania zaczął docho-dzić do wniosku, że ostatnio spędza zbyt wiele czasu na da-chach, zwłaszcza tych skapanych w deszczu. Zapowiadało się jednak, że będzie musiał przywyknąć do podobnych zacho-wań. więc dziękował w duszy wszystkim, którzy przyłożyli się do tego, że CZAO nie cierpiał z powodu chłodu i wilgoci.

Cieszyło go też, że do tej pory nikt nie wykrył jego obec-ności w tym miejscu. Miał nadzieję, że tak będzie, chociaż szczerze powiedziawszy, wątpił w powodzenie całej opera-cji.

Niestety, musiał się jej podjąć mimo wielu przeciwności.

Jego zwiadowczy skimmer zawisł w powietrzu, niewidocz-ny dla ludzkich oczu, nieco na północ od miasta Syjon, kryjąc się pod wszystkimi systemami maskującymi, jakie na nim zamontowano, aby za pomocą pasywnych skanerów zbierać dane o źródłach energii, które Nimue Alban i Sowa wykryli podczas pierwszego rekonesansu przy Świątyni. Fakt, że te emisje dało się wykryć po tak długim czasie, napawał Mer- lina wielkim niepokojem.

Jednakże Athrawes bardzo szyb-ko doszedł do podobnych wniosków co Nimue - większość od-bieranych emisji pochodziła z nadal funkcjonujących syste-mów technicznych zapewniających niezakłócone działanie mechanizmów Świątyni. Coś przecież musiało „cudownie” ogrzewać jej wnętrza pomimo pogarszających się wciąż wa-runków atmosferycznych. Zważywszy na paskudne zimy pa-nujące w tych okolicach, „cud” musiał być jednym z ulubio-nych dowodów kleru na istnienie archaniołów.

Ale oprócz wspomnianych źródeł sygnału Merlin wychwy-tywał jeszcze kilka innych, znacznie silniejszych, którym przyjrzałby się bliżej z wielką ochotą. Rozwaga podpowiada-ła mu jednak, by tego nie czynił. Czymkolwiek były źródła tych emisji, zakopano je głęboko pod zabudowaniami Świą-tyni i chociaż uważał, że mogą to być kolejne systemy wenty-lacji albo ogrzewania budowli, nie miał możliwości potwier-dzenia swoich domysłów. Do momentu, w którym zdobędzie pewność, czym są te urządzenia - albo okaże się, że nie ma innego wyjścia - nie zamierzał podejmować prób pozyska-nia tych informacji. Miał już na głowie orbitalne platformy z pociskami kinetycznymi. Wtykanie nosa, zwłaszcza elek-tronicznego, w miejsce, gdzie znajdują się komputery kontro-lujące ten system uzbrojenia, mogło mieć naprawdę katastro-falne konsekwencje.

Bardzo go to frustrowało. Jeśli istniała na tej planecie organizacja, którą powinien się zainteresować, z pewnością była to Rada Wikariuszy. Tyle tylko, że śledzenie jej spotkań nie będzie możliwe, dopóki nie umieści SAPK-a albo przy-najmniej rozsiewanych przez niego pluskiew niebezpiecznie blisko owych niezidentyfikowanych źródeł emisji.

Śledząc ostatnich hierarchów mieszkających na terenie Syjonu, znajdował liczne dowody na potwierdzenie tezy, iż niechęć Rady do Charisu nieustannie wzrasta. Na razie jednak nic nie wskazywało, że osiągnęła już wartości graniczne, ale Merlin wolał przecenić negatywne nastawienie Wikariuszy, niż dać się im zaskoczyć. Rozmowy na temat Charisu zbyt często przewijały się w nagraniach dostarczanych przez SAPK-i, by przejść nad tym problemem do porządku dziennego. Temat był poruszany w prywatnych rozmowach najważniejszych prałatów, jak i w czasie oficjalnych spotkań różnych kościelnych gremiów, co gorsza stanowiło przedmiot przeważającej liczby podsłuchanych przez niego rozmów. Wyglądało na to, że władze Kościoła przejawiają nieproporcjonalnie duże zainteresowanie sprawami wcale nie tak ludnego ani wielkiego królestwa. Zaczął nawet podejrzewać, że Kościół orientuje się lepiej od niego w zagrożeniach wynikających z postępowego potencjału, który ściągnął go właśnie do Charisu, a wrogowie Haarahlda nie ustają w wysiłkach, robiąc wszystko co w ich mocy, by te obawy podsycić.

Fakt zaistnienia w łonie Kościoła podejrzeń co do Charisu wynikał głównie z zakulisowych działań księży Hektora i Nahrmahna. Obaj wrogowie królestwa musieli jednak zachowywać wielką ostrożność - ich domeny znajdowały się w takiej odległości od siedziby Świątyni, że byli w równym stopniu narażone na podobne podejrzania, zwłaszcza ze strony Biura Inkwizycji, tyle tylko, że ani Hektor z Corisandu, ani Nahrman ze Szmaragdu nie pozwalali sobie na taką swobodę w podejściu do innowacyjności jak Haarahld. Ich agenci w łonie Świątyni nieustannie rozgłaszali plotki, jako-by król Charisu miał skłonności do „omijania zapisów księgi Jwo-jeng”, co popierali stwierdzeniami o jego zamiarach „wywrócenia dotychczasowego porządku społecznego” i sowytymi daninami w złocie.

Do pozyskania przychylności wikariatu potrzebne były jednak bardziej wyrafinowane (a w każdym razie dyskretne) metody działania, niemniej łapówki sprawdzały się znakomicie, kiedy zachodziła konieczność przekupienia szeregowych członków episkopatu i, co chyba ważniejsze, kapłanów pracujących na rzecz hierarchów zasiadających w Radzie - ci bowiem wiedzieli najlepiej, jak przedstawić owe doniesienia swoim przełożonym, aby zostały dobrze przyjęte. Niejeden wikariusz uległ już takim podszeptom, a Hektor i Toomas powoli, ale sukcesywnie poszerzali pola swoich wpływów.

Arcybiskup Erayk, podobnie jak pozostali hierarchowie, był świadom tego wszystkiego. Dało się to wywnioskować z wielu jego rozmów i instrukcji, które słał do ojca Mahtaio, powiadamiając go, że przy okazji nadchodzącej dorocznej wizyty duszpasterskiej zamierza osobiście przyjrzeć się sytuacji panującej w Tellesbergu. Najwidoczniej Rada Wikariuszy chciała usłyszeć z jego ust zapewnienie, że plotki o zagrożeniu są mocno przesadzone albo że arcybiskup Charisu poczynił stosowne kroki, aby usunąć źródła problemu.

Na to, niestety, nie można było pozwolić, ponieważ Dynnys zauważyłby jedyną rzecz, której wrogowie Haarahlda zdawali się nie wyolbrzymiać, a ta była potrzebna Merlinowi do urzeczywistnienia planu, w którym Charis odgrywał kluczową rolę. Nie zamierzał naruszać żadnego z Nakazów - przynajmniej jeszcze nie teraz - ale ten akurat szczególnie mógłby umknąć hierarsze, który zrobiłby wszystko, byle zadowolić swoich kościelnych przełożonych. I dlatego właśnie Merlin musiał sterczeć na tym cholernym, zalewanym deszczem dachu w późnojesienną, zimną noc.

Na jego szczęście Syjon był ogromnym miastem, a przybytek Madame Ahnzhelyki znajdował się w jednej z najdroższych i najporządniejszych dzielnic, pięć mil od kompleksu Świątyni. To pozwalało mu trzymać się w przyzwyczajonej odległości od tajemniczych źródeł energii i nie zwracać na siebie ich uwagi - a potrafił zachować daleko idącą dyskrecję, jeśli zachodziła taka potrzeba.

Podsłuchiwał teraz rozmowy toczone wokół arcybiskupa, dzięki mikrofonowi umieszczonemu w połach jego peleryny, i kiwał z zadowoleniem głową. Osobiście nic nie miał do Dynnysy - przynajmniej na razie - więc z ulgą przyjął treść podsłuchanej rozmowy

między Madame a jednym z woźniców. Rany arcybiskupa były niewątpliwie bolesne, to mógł ocenić już wtedy, gdy chował przenośny generator promieni ściągniętych, którym podciął stopy Dynnysa, ale jego życiu z pewnością nic nie zagrażało. I dobrze. Merlin nie zamierzał wpadać w nawyk zabijania ludzi, których nie musiał pozbawiać życia, a poza tym na miejsce Dynnysa mógł przyjść ktoś jeszcze bardziej fanatyczny i rygorystyczny.

Z drugiej jednak strony, Merlin miał absolutną pewność, że przynajmniej prawa noga arcybiskupa uległa poważnemu złamaniu. Najprawdopodobniej uszkodzeniu uległ też jego bark, co Merlin zauważał dzięki wzmocnionym systemom wizyjnym i co mógł wywnioskować z podsłuchanych rozmów. Dynnys będzie potrzebował sporo czasu na wydobranie. Do tej pory Przesmyk Hsing-wu zdąży zamarznąć na resztę zimy, a chyba nie było we władzach Świątyni takiego sadysty, który kazałby odbyć połamanemu arcybiskupowi daleką podróż do Clahnyru i przeprawić się przez Kocioł. A to znaczyło, że duszpasterska wizyta Dynnysa opóźni się co najmniej o pięć, a może nawet sześć miesięcy Schronienia. Wystarczająco długi czas, bym mógł wprawić tę maszynę w ruch i zatrzeć po sobie wszelkie ślady... przynajmniej taką mam nadzieję, pomyślał Merlin. W każdym razie to najlepsze, co mogłem w tym momencie zrobić. Czas wracać do „domu”.

Roześmiał się na tę myśl. W tej chwili w Charisie był środek dnia. Oznajmił Haarahldowi i Caylebowi (nie mijając się specjalnie z prawdą), że potrzebuje chwili odosobnienia, by przemyśleć sprawy związane z kolejnymi wizjami. Król zezwolił mu na udanie się w pobliskie góry celem wyszukania miejsca odpowiedniego na pustelnię, skoro już musi to zrobić, aczkolwiek widać było, że nie w smak mu puszczanie Merlina samego i bez ochrony. Cayleb za to, gdy usłyszał prośbę seijina, zmierzył go uważnym spojrzeniem - tak uważnym, że Merlin zaczął się zastanawiać, co też następcy tronu może chodzić po głowie. Cokolwiek to jednak było, wiedział, że im szybciej wróci do domu, tym lepiej dla obu stron - zwłaszcza jeśli książę naprawdę zaczynał żywić jakieś podejrzenia.

Zszedł ostrożnie z dachu, owinał się peleryną, naciągnął kaptur na czoło i ruszył przed siebie żwawym krokiem. Sowa będzie czekała na niego z promieniem ściągniętym, ale dopiero gdy dotrze na odległość co najmniej dziesięciu mil od murów Świątyni. W taką noc, pomyślał ironicznie, będę miał ulice miasta tylko dla siebie.

Pałac królewski, Tellesberg

K

książę Cayleb uniósł dłoń, by zapukać, ale natychmiast zamarł przed uchylonymi lekko drzwiami. Uniósł brew ze zdziwienia, gdy z wnętrza komnaty dobiegła go seria ciichych, lecz zarazem bardzo wyraźnych kliknięć. Po chwili raz jeszcze je usłyszał. Umilkły, by znów się powtórzyć.

Następca tronu zmarszczył brwi, zastanawiając się, cóż to za wynalazek za chwilę zobaczy, potem wzruszył ramionami i odchylił rękę, by mimo wszystko zapukać w drzwi.

- Wejdz, proszę, wasza wysokość - usłyszał rozbawiony głos, zanim jego kostki zdążyły zetknąć się z twardym drewnem.

Cayleb pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem, i pchnął niedomknięte skrzydło. Wszedł do wnętrza eleganckiego, rozświetlonego słońcem salonu Merlina i zatrzymał się tuż za progiem.

Po otrzymaniu awansu na osobistego strażnika księcia seijin przeniósł się z Wieży Marythy do kwatery na terenie królewskiej części pałacu. Znajdowała się ona tuż obok komnat księcia Cayleba, miał z niej piękny widok na port, niemal tak samo dobry jak z okien sypialni następcy tronu, choć oczywiście przydzielone mu pomieszczenie było o wiele skromniej wyposażone.

Seijin podniósł się z szacunkiem z krzesła za biurkiem, by powitać gościa. Stał teraz przed Caylebem, przystrojony w liberię z godłem rodu Ahrmahk, czyli krakenem, z przekrzywioną lekko głową i tajemniczym uśmiechem na ustach. Komplet jego mieczy wisiał na ścianie tuż

za jego plecami. Książę spojrział na nie z uznaniem. Dłuższy z nich nie przypominał żadnej broni, jaką widziano do tej pory w Charisie. Sądząc po reakcji mistrza Domneka, w Harchongu także nie znano podobnych ostrzy. Nauczyciela szermierki zżerała ciekawość, pragnął dowiedzieć się czegokolwiek na temat seijina i jego cudownych mieczy, ale harchońska duma nie pozwoliła mu na zadanie nawet jednego pytania na nurtujący go temat. Następca tronu pokręcił głową i odwrócił wzrok od wiszących mieczy. Jedna z jego brwi znów powędrowała do góry. Na biurku Merlina leżało proste urządzenie - prostokątna obudowa z drewna, długa na dwie stopy i wysoka może na sześć cali. Górną i dolną jej część łączyło dwadzieścia jeden pionowych prętów, nanizano na nie po sześć spłaszczonych koralików, pięć znajdowało się poniżej listewki dzielącej ramkę na dwie nierówne części, jeden nad nią. Można było nimi przesuwac w górę i w dół, w chwili obecnej tworzyły skomplikowane - żeby nie powiedzieć: całkowicie niezrozumiałe - wzór.

Obok na blacie biurka leżało też kilka kartek, wypełnionych od góry do dołu wyraźnym i równym pismem seijina. Jednakże prócz liter znajdowały się na nich kolumny symboli, których Cayleb nigdy w życiu nie widział.

- Siadajże, Merlinie - powiedział książę, podchodząc do biurka.

Seijin uśmiechnął się jeszcze bardziej zagadkowo, ale poczekał, aż następca tronu usadowi się wygodnie, zanim znów zajął swoje miejsce. Cayleb pokręcił głową i prychnął.

- Wydawało mi się, że dzisiejszego wieczoru mieliśmy wyruszyć na Helenę - stwierdził.

- Mieliśmy, wasza wysokość - przyznał Merlin. - Ale Ca-tamount i tak ma spóźnienie. Zapewne minąłeś się po drodze z posłańcem, który niósł ci wiadomość na ten temat. Nie wyruszymy prędzej niż za godzinę, więc pomyślałem, że zdążę sporządzić jeszcze parę notatek.

- Mówisz o tym? - Cayleb wskazał głową na zapisane kawałki papieru, a Merlin potwierdził skinieniem głowy. - Cóż to za bazgroły?

- Większość powinna trafić jeszcze dzisiaj do wielkiego admirała wyspy Zamek - wyjaśnił seijin. - Spisałem też kilka dla doktora Mahklyna i mistrza Howsmyna. Poczynilem właśnie kilka obliczeń dla admirała. Dotyczą załóg i tonażu okrętów, oczywiście flot Hektora i Nahrmahna, nie twojego ojca.

- Obliczeń? - Cayleb rozparł się wygodnie na krześle, potem wskazał na ramę leżącą na blacie. - Skoro wiedziałeś, że stoję za drzwiami, zanim zapukałem, pewnie się zorientowałeś, że bezwstydnie cię podsłuchiwałem. Domyślam się, że to dziwne klikanie dobiegało z tego właśnie urządzenia?

- W rzeczy samej, wasza wysokość - odparł poważnym tonem Merlin, w jego niezwykłych szafirowych oczach pojawił się błysk rozbawienia, gdy gdzieś daleko za oknem rozległy się ptasie trele.

- To kolejna z twoich zaskakujących niespodzianek, jak sądzę. Do czego ta rzecz służy, jeśli wolno zapytać?

- Nazwałem ją liczydłem, wasza wysokość - wyjaśnił Merlin. - To urządzenie pozwala mi na dokonywanie obliczeń.

- Co robi? - zdziwił się następca tronu.

- To urządzenie pozwala mi na dokonywanie obliczeń matematycznych - powtórzył seijin.

- A jak ono działa? - Cayleb nie mógł uwierzyć, że zadał to pytanie, i zaraz poczuł przyływ paniki, gdy zdał sobie sprawę, że tym samym poprosił o tak zwane „wyjaśnienia”, których tak chętnie udzielał mu jego nauczyciel Frahn-klyn Tohmys.

- Właściwie - zaczął Merlin, uśmiechając się podejrzanie - to bardzo proste. - Cayleb zdrzął, słysząc przerażające go wciąż słowa, ale seijin kontynuował, nie zważając na jego reakcję. - Każdy z tych prętów oznacza liczbę całkowitą, wasza wysokość. Każdy koralik na

nim znajdujący się powyżej listwy ma wartość równą pięciu jednostkom, kiedy jest opuszczony. Każdy koralik w tej grupie poniżej listewki ma wartość równą jednej jednostce, kiedy jest podniesiony. W tej chwili - wskazał ręką cztery pierwsze pręty urządzenia - widzisz ustawienie oznaczające liczbę siedem tysięcy czterysta trzydzieści.

Cayleb już otwierał usta, aby okazać szerokim ziewnięciem brak zainteresowania dalszymi wyjaśnieniami, ale natychmiast z tego zrezygnował. Nie miał bladego pojęcia, czym są liczby całkowite, ale zdążył się przyjrzeć długim kolumnom symboli, które Merlin spisał w raporcie dla wielkiego admirała wyspy Zamek. Wiedział też, że wyliczenie tak wielkiej liczby za pomocą czterech prętów i garstki koralików było niemożliwe.

- Możesz dochodzić do tak gigantycznych liczb na czymś takim? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

- Do większych też - zapewnił go Merlin. - To wprawdzie wymaga praktyki, ale gdy już opanujesz metodę, liczenie idzie szybko i sprawnie.

Cayleb przyglądał mu się przez kilka sekund, potem wyciągnął rękę i przysunął jeden arkusik z obliczeniami. Spojrzał na dół strony i wydał z siebie cichy pomruk, gdy dotarł do dziwacznych symboli. Z kontekstu wynikało, że zapisano nimi wyniki obliczeń poczynionych przez seijina, ale nadal nie widział w nich żadnego sensu.

- Muszę otwarcie przyznać, że nigdy nie należałem do najpilniejszych uczniów, jakich wydał mójród — oświadczył z miśtrzowskim niedopowiedzeniem, spoglądając Merlinowi prosto w oczy. - Ale jednego jestem pewien, takich symboli nigdy wcześniej nie widziałem.

- Postukał palcem w jedną z kolumn.

- To po prostu nieco inny sposób zapisywania liczb, wasza wysokość - odparł seijin obojętnie, aczkolwiek następca tronu odniósł wrażenie, że w tych słowach i za szafirowymi oczami kryje się coś naprawdę ważnego. Zaczął też podejrzewać, że Merlin ukartował to wszystko, aby mieć szansę na udzielenie mu wyjaśnień.

To samo uczucie towarzyszyło księciu już kilkakrotnie.

- Nieco inny sposób zapisywania liczb - powtórzył księżę i zachichotał. - Dobrze. Punkt dla ciebie. Aczkolwiek nie sądzę, żeby słowo „proste” pasowało do tego urządzenia - do dał po chwili, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo przypomina w tej chwili ojca.

- Cóż - odparł Merlin, podsuwając mu czystą kartkę i pióro - może sam spróbujesz zapisać liczbę ustawioną na moim liczydło? Siedem tysięcy czterysta trzydzieści - przypomniał mu.

Cayleb przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, potem sięgnął po pióro, zanurzył je w kałamarzu i zaczął kreślić kołne znaki. Gdy skończył, oddał kartkę Merlinowi.

- Proszę - powiedział nieco podejrzliwym tonem, wskazując na zapis końcem drewnianej obsadki.

Merlin rzucił okiem na jego dzieło i umieścił pod nim cztery niezrozumiałe symbole.

Odwrócił karteluszek, żeby Cayleb widział je wyraźnie.

Księżę skupił wzrok na papierze. Była tam liczba, którą sam zapisał:

MMMMMMCDXIII, a obok niej dopisek Merlina: 7413.

- Oba zapisy oznaczają to samo - wyjaśnił seijin.

- Chyba żartujesz - zachnął się następca tronu.

- Nie, mówię poważnie. - Merlin odchylił się do tyłu na krześle.

- To niedorzeczne! - zaprotestował Cayleb.

- Ależ skąd, wasza wysokość - zaprzeczył seijin. - Raczej inne... i prostsze. Jak widzisz, każdy z tych symboli reprezentuje konkretną wartość od zera do dziewięciu, a każda kolumna - wskazał końcem obsadki na symbol „3”, potem postukał nim w pręt liczydła - jest czymś w rodzaju zbioru. Pewna mądra kobieta, która wyjaśniła mi działanie tego systemu, nazwała zapis, który tutaj widzisz, arabskim, co wydało mi się bardzo trafne. To tak zwane cyfry, ale mamy pomiędzy nimi także taką, która oznacza nic, czyli „zero”. -

Narysował kolejny symbol wyglądający jak spłaszczona po bokach litera „O”. - Dzięki nim mogę szybko zapisać każdą liczbę, jaką wymyślisz.

Cayleb spoglądał na niego z niedowierzaniem. Lubił żartować ze swojej awersji do nauki z ksiąg, ale nie był głupcem, tylko następcą tronu największej morskiej potęgi świata. Księgi i rachunki były niezbędne kupcom Charisu, ale ich prowadzenie wymagało armii wiecznie nienasyconych skrybów oraz rachmistrzów. Nie trzeba było geniusza, żeby zauważyć, jak ogromną przewagę mógł dać system proponowany przez Merlina, o ile naprawdę działał.

- Dobrze. - Książę przyjął wyzwanie, sięgając pewnie po pióro. - Skoro twierdzisz, że potrafisz zapisać każdą liczbę tymi znaczkami, spróbuj z tą.

Stalówka pióra skrzypiała po powierzchni papieru, wyrysowując następujący ciąg znaków: MMMMMMMMMMMM MMMMMMMDCCII. Moment później kartka znalazła się przed seijinem.

Merlin obrzucił ją wzrokiem i wzruszył ramionami. Pióro zaskrzypiało ponownie, a Cayleb zmrużył gniewnie oczy, gdy ujrzał krótki ciąg znaczków: 19702.

- Proszę, wasza wysokość.

Następca tronu gapił się na kartkę przez naprawdę długi czas, potem podniósł wzrok na Merlina.

- Kim ty jesteś? - zapytał. - A raczej czym ty jesteś?

- Wasza wysokość? - Seijin uniósł pytająco brew, a Cayleb pokręcił głową.

- Nie igraj ze mną, Merlinie - poprosił, nie podnosząc głosu i nie opuszczając wzroku. - Wierzę, że życzysz dobrze mojemu ojcu, mnie i królestwu. Ale chociaż wciąż jestem młody i niedojrzały, na pewno przestałem być już dzieckiem. Wierzę też, że jesteś seijinem, ale to nie jest cała prawda o tobie.

- Skąd to przekonanie, wasza wysokość? - zdziwił się Merlin, ale ton jego głosu wskazywał na to, że potraktował wypowiedź Cayleba nadzwyczaj poważnie.

- Liczne legendy i ballady mówią, że sejinowie byli nie tylko wojownikami, ale i nauczycielami - odparł książę - lecz w żadnej z nich nie ma nawet wzmianki o takich cudach.

- Postukał palcem w leżącą pomiędzy nimi kartkę papieru, potem wskazał na liczydło. - Nigdy też - tu spojrzał znacząco na rozmówcę - nie słyszałem o sejinie, który potrafiłby przemierzyć miasto podczas najgorszej zimowej burzy w takim tempie, jak ty to zrobiłeś.

- Już to wyjaśniałem twojemu ojcu, wasza wysokość, miałem wizję tego zdarzenia. Przecież byłeś przy mnie, kiedy to się stało.

- Tak, byłem - przyznał Cayleb. - Wydawałeś się tak rozkojarzony tym faktem, że udałem się za tobą do twojej komnaty, aby sprawdzić, czy wróciłeś do siebie bez przygód. Dołtarłem na miejsce zaledwie kilka sekund po tobie. Odniosłem wrażenie, że słyszę jakieś dźwięki z wnętrza. Zapukałem do drzwi. Nikt mi nie odpowiedział, więc zapukałem raz jeszcze, a potem sam sobie otworzyłem, ciebie jednak już nie było. Jedyną drogą, jaką mogłeś opuścić komnatę, było okno, Merlinie. Tak na marginesie, zauważyłem, że zawsze wykręcasz się od odpowiedzi, kiedy ojciec pyta, jak udało ci się obejść strażę, niemniej kiedy byłem w twojej komnacie, nie dostrzegłem za oknem niczego, ani powroza, ani drabiny, a prześcieradło wciąż znajdowało się na twoim łóżu.

- Rozumiem - odparł Merlin, odchylając się na krzesło i mierząc wzrokiem księcia. Na koniec wzruszył lekko ramionami. - Już ci mówiłem, tak samo jak twemu ojcu, że posiadam pewne moce, o których wspominają legendy. Ale mam też kilka takich, o jakich nigdzie nie przeczytasz ani nie usłyszysz. Niektóre muszą być trzymane w sekrecie. Mam nadzieję, że to, co już zademonstrowałem, przysłużyło się zarówno tobie, jak i Charisowi. Zamierzam służyć wam i temu królestwu najlepiej, jak potrafię. Być może nadejdzie taki dzień, kiedy będę mógł powiedzieć ci więcej na temat swoich mocy, ale dzisiaj muszą one pozostać tajemnicą. Obiecałem twojemu ojcu, że będę mówił prawdę, i nigdy go nie okłamałem, chociaż jak słusznie zauważyłeś, czasami nie mówię mu całej prawdy. Nie

mógłbym jej wyznaczyć, nawet gdybym chciał. Żałuję tego, ale tak musi być. Dlatego powinieneś odpowiedzieć sobie na pytanie: czy chcesz, abym wam służył, nie mówiąc zawsze wszystkiego.

Cayleb nie spuszczał z niego wzroku przez dłuższą chwilę, potem głośno westchnął.

- Przyznaj, że zaplanowałeś sobie tę rozmowę - powiedział.

- Raczej rozmowę taką jak ta - potwierdził Merlin. - Jeśli mogę sobie pozwolić na pełną szczerość, myślałem, że odbędę ją najpierw z twoim ojcem albo biskupem Maikalem.

- Ojciec o wiele trafniej potrafi oceniać ludzkie serca i intencje. - Teraz książę wzruszył ramionami. - Ale i ma w tym dłuższe doświadczenie niż ja. Wydaje mi się, że podobne pytania zrodziły się także w jego głowie, lecz uznał, że nie wypada ich zadawać.

- Jak sądzisz, dlaczego dokonał takiego właśnie wyboru?

- Tego nie jestem pewien - odparł Cayleb. - Być może dlatego, że szczerze wierzy, podobnie zresztą jak ja, że będziesz wiernie służył sprawie Charisu, albo domyślił się, że nie chcesz albo nie będziesz mógł na nie odpowiedzieć. Ojciec zdaje sobie sprawę, jak bardzo potrzebujemy każdej przeważy, jaką tylko zdołamy uzyskać, i to nie tylko nad Hektorem i Nahrmanem, więc woli nie naciskać, by cię nie stracić.

- A biskup Maikel?

- Sądzę, że kierują nim podobne powody. - Następca tronu pokręcił głową. - Chociaż nigdy nie byłem pewien, jakimi drogami chadza myśli biskupa. Wiem jednak, że jest Charisjaninem i kocha to królestwo tak samo jak mojego ojca i nasz ród. I chociaż nigdy nie powiedział tego wprost, wydaje mi się, że lęka się Świątyni. On... - Cayleb zamilkł na moment. - Powiedzmy, że on wie, w jaki sposób nasi wrogowie mogą wykorzystać przeciw nam Świątynię i Kościół. Zdaje sobie sprawę, podobnie jak mój ojciec, w jaką pułapkę wpadliśmy, więc jeśli twierdzi, że nie wyczuwa w tobie żadnego zła, to tak myśli naprawdę. Co jednak nie znaczy, że nie ma do ciebie żadnych zastrzeżeń.

- A czy ty zgadzasz się z opinią swego ojca?

- Tak... całkowicie. - Książę spojrzał seijinowi w oczy. - Ale chciałbym usłyszeć od ciebie odpowiedź na jedno pytanie. To — wskazał na liczydło - wykracza daleko poza wizję i próby zamachów. Twoje usługi mogą na zawsze odmienić oblicze Charisu, a kto wie, czy te zmiany nie sięgną dalej i nie będą dotyczyć całego naszego świata. Podejrzewam jednak, że to nie ostatnia niespodzianka i że będzie ich więcej, niż mogę sobie wyobrazić. Jednak niektóre z nich mogą wywołać strach i nienawiść. Zmiany mogą też doprowadzić do złamania Zakazów Jwo-jeng, a tego nam nikt nie daruje. Coś mi się wydaje, że burza, w której mi zniknąłeś, okaże się niczym w porównaniu z tajfunem, który właśnie nadciąga. Dlatego muszę ci zadać pytanie, o którym przed chwilą wspomniałem, a brzmi ono: dlaczego? Stwierdziłeś kiedyś, że wielu naszych wrogów służy ciemności, jeśli nawet tego nie rozumie ani o tym nie wie. Ale czemu ty służysz, Merlinie? Światłości czy ciemności?

- Światłości, wasza wysokość - zapewnił seijin bez wahania, patrząc mu prosto w oczy. - Na świecie jest już wystarczająco dużo mroku - dodał - a jeszcze więcej zła nadciąga. Charis stoi mu na drodze, więc muszę trwać u boku Korony. I jedno mogę ci przysiąc, Caylebie Ahrmahku, następcu tronu królestwa: prędzej zginę, niż dam mu zatriumfować, bez względu na to, od kogo pochodzi.

Książę spojrzał mu głęboko w szafirowe oczy, a potem wolno, bardzo wolno skinął głową.

- To mi wystarczy - oświadczył krótko i raz jeszcze postukał palcem w kartkę z wyliczeniami. - A teraz wytłumacz mi raz jeszcze, o co chodzi z tymi twoimi cyframi.

III

Zatoka Królewska, Wyspa Helena

W

Wyspa Helena leżała sto czternaście mil na północny wschód od Tellesbergu, na wodach południowej części Zatoki Howella. Z lotu ptaka przypominała spory trójkąt, z którego

została oderwana część wschodniego boku, i miała około dwudziestu siedmiu mil w najdłuższym miejscu. Na planecie klasy Schronienia, której lądy składają się w głównej mierze z wysp, nie była czymś wyjątkowym, niemniej znajdujące się na niej strome góry osiągały naprawdę imponujące wysokości. Co ważniejsze, wyspa ta stanowiła jedną z najważniejszych włości rodu Ahrmahków i została mocno ufortyfikowana już przed kilkoma stuleciami.

Zatoka Howella stanowiła klucz do rozwoju królestwa Charisu. Wodne szlaki transportowe były o wiele szybsze, łatwiejsze i tańsze od mozolnego przedzierania się karawan przez trudne, górzyście tereny i dlatego wody tej zatoki traktowano w królestwie jako ekwiwalent systemu nowoczesnych dróg. Zwinne galeony i inne żaglowce stanowiły spoiwo rosnącego wciąż w siłę królestwa i napędzały myśl techniczną, a przez to oceaniczną ekspansję. Najważniejszymi wyspami leżącymi na tym akwenie były: Piaskowa Ławica, wyspa Helena i Wielki Tirian. Przejęcie kontroli nad wszystkimi trzema skrawkami lądu przez ród Ahrmahków zapewniło mu potem możliwość sięgnięcia po tron całego Charisu. Stało się tak już przed kilkoma stuleciami, ale królestwo wciąż dbało o fortyfikacje na każdej z wysp, a Zatoka Królewska, największy port na Helenie, była równocześnie siedzibą stoczni należącej do marynarki wojennej Charisu. Tutaj też znajdowała się starożytna forteca, której grube mury rozbudowywano od stuleci, aby zapewnić stoczniom znakomitą ochronę. Fakt, że wszelkie miejscowe zasoby drewna potrzebnego do budowy nowych jednostek zostały już dawno wyczerpane, nie stanowił dzisiaj wielkiej przeszkody. Zawsze można było sprowadzić budulec z kontynentu, a miedź i żelazo nadal wydobywano w wystarczających ilościach. Natomiast rwące górskie rzeki i strumienie, choć niewielkie, potrafiły poruszyć każde koło wodne, jakie ustawiono w ich nurtach. Pierwsze tartaki zasilane hydraulicznie wzniesiono w Zatoce Królewskiej już prawie sto lat temu, od tamtej pory wokół nich wyrosło wiele innych, równie nowoczesnych manufaktur.

W nich właśnie pracowano od lat nad projektami, które władcy Charisu chcieli ukryć przed ciekawskimi oczyma konkurentów. Stocznie Hairathy na Wielkim Tirianie były o wiele nowsze i bardziej rozwinięte, ale w pobliżu mieszkało znacznie więcej ludzi, co oznaczało, że ich ochrona nie mogła być tak szczelna jak tutaj. A stocznia marynarki wojennej w Tellesbergu - największa i najnowocześniejsza ze wszystkich - była też najbardziej narażona na penetrację.

Między innymi dlatego Merlin Athrawes stał teraz na pokładzie dziobowym galeonu HMS Catamount, wpływającego właśnie do Zatoki Królewskiej szerokim kanałem strzeżonym przez dwie ogromne wieże.

Merlin widział ten port po raz pierwszy, przynajmniej własnymi oczami, i musiał przyznać, że posępne, potężne fortyfikacje na tle zielono-brązowych wzgórz wyglądały naprawdę imponująco, zwłaszcza gdy człowiek znajdował się na pokładzie okrętu przepływającego u ich stóp. Z drugiej jednak strony, zważywszy na nadchodzące zmiany, były więcej niż przestarzałe, choć nikt z mieszkających na Schronieniu ludzi nie mógł tego jeszcze wiedzieć.

Merlin przyglądał się grubym, wysokim, zwieńczonym wieżami murom, na których w regularnych odstępach umieszczono platformy dla katapult i balist. Dostrzegł pomiędzy nimi kilka dział, prymitywnych, ale solidnie odlanych, a potem przeniósł wzrok na panoramę stoczni. Budowano właśnie sześć okrętów przypominających wielkością i kształtem Catamounta. Ich niemal kompletne kadłuby prezentowały drażniącość i wdzięk, tak charakterystyczne dla tej klasy jednostek. Niestety, one też należały już do przeszłości. Merlin poczuł nawet przez moment ukłucie żalu za odchodzącym w niepamięć pięknem. Nie rozpamiętywał tego jednak zbyt długo, ponieważ wiedział, iż przekonanie większości oficerów floty do sensowności nadchodzących zmian może się okazać piekielnie trudne. Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl i spojrzał na młodzika stojącego u jego boku.

- Imponujące — powiedział, a Cayleb natychmiast zaciął i zerknął przez ramię.
- Merlin twierdzi, że widok jest imponujący, Ahrnahl- dzie - rzucił. - Czy to aby nie pochlebstwo?
- Szczerze powiedziawszy, wasza wysokość, wydaje mi się, że seijinowi nic nie jest w stanie zaimponować - odparł zwięźle porucznik Falkhan. Dowódca straży przybocznej księcia wrócił do służby niecały pięćdziesiąt dni po próbie zamachu, ale bez najmniejszych problemów zaakceptował nieustanną obecność Merlina u boku następcy tronu. Kto inny na jego miejscu mógłby wyrażać niezadowolenie z podobnego „wzmocnienia” ochrony, ale Falkhan znał prawdziwe powody tego układu, a jawność tych posunięć miał najwyraźniej w poważaniu. Teraz też tylko się uśmiechnął. - Zauważyłem jednak u niego skłonność do przesadnej uprzejmości i wyraźną niechęć do urażania uczuć gospodarzy - dodał.
- Też o tym pomyślałem - stwierdził Cayleb, chichocząc po raz kolejny, a potem odwrócił się do seijina.
- Tym razem powiedziałem najszczerzą prawdę, wasza wysokość - stwierdził Merlin. - Widać, jak wielki wysiłek włożyli twoi przodkowie, by zjednoczyć królestwo.
- A jednak jesteś przesadnie uprzejmy. - Następca tronu roześmiał się na głos. - Moi, jak to pięknie określiłeś, przodkowie trudnili się piractwem na wodach zatoki, o czym z pewnością wiesz, Merlinie. Obawiam się też, że ich wysiłki zmierzające do zjednoczenia królestwa wynikały raczej z chęci poszerzenia strefy pirackich wpływów niż jakichś szlachetnych pobudek.
- Obawiam się, wasza wysokość, że ja bym to jednak ujął inaczej - wtrącił porucznik Falkhan, krzywiąc się nieznacznie.
- Wiem, wiem. Tak postąpiłby każdy lojalny sługa rodu Ahrmahk, ale ja jestem jego dziedzicem. Dlatego mogę mówić prawdę.
- I z pewnością bawi cię to niesłychanie - podsumował Merlin. - Tak czy inaczej, wasza wysokość, ten widok wydał mi się imponujący. Sądzę, że to miejsce nadaje się idealnie do naszych celów.
- Chyba masz rację - odparł Cayleb, poważniejąc, a potem wskazał ręką na prawo, w stronę licznych słupów dymu unoszącego się zza kolejnej sekcji murów. - Pewnie sam już je zauważyłeś, tam właśnie znajduje się jedna z naszych największych odlewni. Jeśli mnie pamięć nie myli, ponad połowa dział naszej floty pochodzi właśnie stąd. Z tego, co mi powiedziałeś tamtej nocy - uśmiechnął się porozumiewawczo - wnoszę, że trzeba ją rozbudować, i to znacznie, choć to będzie dopiero początek.
- Jestem pewien, że to konieczne - potwierdził Merlin, ale powstrzymał się od uwagi, że zna moce przerobowe tuższych odlewni lepiej niż Cayleb. Książę miał jednak rację co do przydatności tych manufaktur.
- Tam stoi Mahry Zhayn, wasza wysokość. - Falkhan wskazał wielką jednostkę kupiecką o ciężkim, szerokim kadłubie i prostokątnych żaglach, jeden z tych statków, którym królestwo zawdzięczało swoje niezmierzone bogactwa. Cayleb na jego widok skinął powoli głową.
- Czy naprawdę musieliśmy usuwać wszystkich ludzi z tego miejsca? - zapytał książę, gdy ich jednostka wykonała lekki zwrot, by popłynąć na to samo kotwicowisko.
- Z punktu widzenia bezpieczeństwa, chyba nie - odparł Merlin. - Ale spójrz na to z innej strony: twój ojciec postąpił słusznie, nakazując chwilowe oczyszczenie portu. Wyspa Helena nie znajduje się przecież na drugim końcu świata, choć leży wystarczająco daleko Tellesbergu, abyśmy mogli utrzymać nasze spotkanie w tajemnicy. A zebranie tych wszystkich ludzi w jednym miejscu, aby mogli w końcu zobaczyć, że wszystkie kawałki naszej układanki pasują do siebie idealnie, powinno im uświadomić, jak ważne jest, aby współpracowali ze sobą.

- To jednak oznacza, że wszyscy zaproszeni zobaczą i w pełni zrozumieją, iż „wszystkie kawałki naszej układanki paśują do siebie idealnie”. - Zarówno głos, jak i wyraz twarzy Cayleba sugerowały, że myśl ta mocno go smuci. - Jeśli myślimy się choćby co do jednego z tych ludzi, jego zdrada zabołi nas znacznie bardziej niż w przypadku, gdyby znał tylko fragment całości.

Merlin odwrócił się do księcia i zmierzył go poważnym spojrzeniem. Cayleb, jak i jego ojciec, bardzo lubił Kahlvyna Ahrmahka. W końcu ów był nie tylko jego kuzynem, ale i ojcem chrzestnym. Ze względu na różnicę wieku Cayleb miał jednak problemy z akceptacją faktu, że Kahlvyn jest jego kuzynem. Uważał go raczej za wuję, a nawet za drugiego ojca. To właśnie księżę Tirianu uczył go jazdy konnej, gdy kontuzja króla uniemożliwiła mu kontynuowanie nauk syna, podobnie było też w przypadku podstaw szermierki i strzelania z łuku. Księżę ukochał swojego kuzyna i część tego uwielbienia, jakim młodzi chłopcy obdarzają opiekujących się nimi mężczyzn, wciąż w nim pozostała.

To zaś oznaczało, że zdrada Kahlvyna uderzyła w młodego następcę tronu mocniej niż w Haarahlda. Na swój sposób mogło się to jednak korzystnie odbić na człowieku, który za czas jakiś będzie musiał wziąć na siebie brzemień korony. Na razie jednak była to bardzo dotkliwa lekcja, jedna z tych, które pozostawiają blizny. Merlin miał tylko nadzieję, że chłopak nie utraci przez nią zaufania do prawych ludzi.

- Wasza wysokość - odezwał się po chwili - ci ludzie są naprawdę lojalni. Baron Gromu ręczy za nich wszystkich, podobnie jak ja. Nikogo nie można być zupełnie pewnym, ale nie mam najmniejszych nawet obaw, że któryś z ludzi zaproszonych przez twojego ojca na Helenę zdradzi Koronę albo ciebie.

Cayleb spojrział na niego spode łba, potem prychnął, gdy dotarło do niego, co naprawdę powiedział Merlin. Twarz księcia pojaśniała odrobinę, gdy przyjął do wiadomości tę lekcję.

- Wiem, że nas nie zdradzą - przyznał. - Jeśli o to chodzi, niektórych znam niemal od urodzenia. Ale wciąż trudno mi... - przerwał na moment i poruszył się nerwowo.

- Wiem, że trudno ci to zaakceptować - powiedział seijin. - I na pewno nie zdołasz przezwyciężyć tego uczucia... jeszcze przez dłuższy czas. Sądzę jednak, że możesz zdać się w pełni na barona w sprawie wyłapania resztek agentów Nahrmahna. Zresztą księżę Hektor też nie powinien mieć powodów do zadowolenia po tym, co zrobiliśmy z jego niektórymi szpiegami.

- Nie powinien - przyznał Cayleb, uśmiechając się paśkudnie. Stojący za jego plecami porucznik Falkhan roześmiał się i zauważył:

- Wydaje mi się, że to niedopowiedzenie, wasza wysokość.

Dowódca straży przybocznej księcia nigdy nie został zaznajomiony z pełnym obrazem działalności obcych agentów wędzających w Tellesbergu, ale pomimo relatywnie niskiej rangi miał dostęp do informacji na ten temat i musiał przyznać, że to, co zrobiono ze szpiegami po pojawieniu się seijina, bardzo mu się spodobało. Żałował jedynie, że pozostawiono w spokoju tak wiele fragmentów siatek utworzonych przez agentów księcia Hektora.

Chociaż Zhaspahr Maysahn i Oskahr Mhulvayn nie podzielali jego zdania. Zwłaszcza ten drugi, który musiał się ukrywać po wystawieniu przez śledczych Gromu nakazu aresztowania. Biedaczysko nie miał pojęcia, że sir Rhyzhard Seafarmer osobiście poinstruował szefa śledczych, iż nie życzy sobie, aby go ujęto, bez względu na okoliczności. Nie wspominając już o tym, że polecił, aby Corisandianinowi zgotowano łaźnię, zanim zdoła znaleźć drogę ucieczki z Tellesbergu. Grom nie miał jednak najmniejszego zamiaru schwytania go i przesłuchania. Gdyby to uczyniono, trzeba by też aresztować Maysahna, co znacznie skomplikowałoby sprawę na tych polach jego aktywności, które miały pozostać chwilowo nie wykryte. Dopóki śledczy nie dawali sobie rady z Mhulvaynem, jego wspólnik mógł się czuć w miarę bezpiecznie.

W tym samym czasie zadano poważny cios służbom informacyjnym księcia Hektora, eliminując za jednym zamachem - oczywiście tylko na jakiś czas - wszystkie pozostałe kontakty Mhulvayna. Za kilka miesięcy, gdy sytuacja się uspokoi, a Maysahn nabierze przekonania, że przetrwał najgorsze i nie musi się już obawiać wykrycia, podejmie na nowo działalność szpiegowską, lecz na pewno nie odbuduje swojej siatki tak szybko, jak by chciał. Zanim agenci Hektora i Nahrmahna zdążą osiągnąć podobną zdolność penetracji Tellesbergu, większość najbardziej istotnych planów króla Haarahlda powinna być już wykonana. Falkhan wolałby wprawdzie, aby osadzono w lochach zarówno Mhulvayna, jak i Maysahna, a nawet by ich stracono, na co w pełni zasługiwali. Skoro jednak nie miał żadnej mocy sprawczej, aby to uczynić, pozostawało mu cieszyć się z faktu, że jest zwykłym podoficerem piechoty morskiej odpowiedzialnym za ochronę dziedzica tronu, a nie szefem wywiadu. Rozumiał, że baron musiał mieć powód, aby pozostać tak ważnym szpiegiem w spokoju. Tyle tylko, że bardzo mu się to nie podobało.

- W każdym razie - stwierdził Cayleb po chwili milczenia - za moment będziemy mieli okazję, by zapoznać tych ludzi ze szczegółami naszego planu.

- Witamy w Zatoce Królewskiej, wasza wysokość - powiedział sir Bryahn, wielki admirał i dziewiąty hrabia wyspy Zamek, gdy Cayleb wmaszerował do sali obrad mieszczącej się w samym środku cytadeli. Tuż za księciem szli baron Gro-mu, Merlin i Falkhan. Chłodne wnętrze po spartańsku urządzonego pomieszczenia stanowiło miłą odmianę po otwartym, nasłonecznionym pokładzie. W grubej ścianie komnaty znajdowało się tylko jedno okno. Merlin widział przez nie panoramę portu i rozświetloną promieniami słońca sylwetkę stojącego na kotwicy Catamounta, przypominającego z tej odległości maleńką zabaweczkę. Pomiędzy hrabią i księciem istniało całkiem duże podobieństwo. Merlin przyglądał się Caylebowi uważnie, ale i dyskretnie, gdy ten podszedł do gospodarza, a potem wyciągnął do niego prawicę. Wielki admirał uściśnął ją zdecydowanym ruchem i jakby nieco się uspokoił. Zatem i on martwi się o blizny, jakie książę Tirianu mógł pozostawić na duszy następcy tronu, pomyślał Merlin.

- Zawsze cieszę się z pobytu w tym miejscu, podobnie jak ze spotkania z tobą, Bryahnie - odezwał się rozradowany Cayleb. - Chociaż Helena nie jest najlepszym miejscem do składania szybkich wizyt.

- To prawda - przyznał hrabia wyspy Zamek i się skrzywił. - Niektórzy muszą jednak przybywać tu częściej od pozostałych.

- A inni radują się na samą myśl, że nie należą już do grona owych „niektórych” - zażartował natychmiast książę, spoglądając za plecy krewniaka, na pozostałych mężczyzn, którzy widząc go, powstali z krzesel otaczających wielki stół.

- Jeśli pozwolisz, sejinie - ciągnął książę - to pominię ceremonie powitalne i od razu zasiądziemy do obrad.

Na twarzach większości zebranych tu ludzi widać było wielkie zaskoczenie atencją, jaką następcę tronu okazuje swojemu przybocznemu. Merlinowi bardzo się to spodobało. Jeśli ci ludzie kupili opowieść Haarahlda, reszta świata powinna ją przyjąć znacznie lepiej, niż przypuszczał.

- Oczywiście, wasza wysokość - wymamrotał.

- W takim razie zacznijmy od doktora Mahklyna.

Merlin skinął głową i poprowadził księcia w kierunku stołu oraz pięciu siedzących za nim mężczyzn. Gdy Cayleb przedstawiał ich, słuchał jednym uchem, kłaniał się, uśmiechał, mamrotał zwyczajowe formułki, chociaż wcale tego nie potrzebował. Poznał już każdego z tych ludzi, dzięki pośrednictwu receptorów SAPK-ów. Doktor Rahzhyr Mahklyn, dziekan Królewskiej Akademii Charisu, był nieco wyższy od przeciętnego mieszkańca królestwa, siwa wy, ale ostre spojrzenie jego przenikliwych brązowych oczu świadczyło chyba o postępującej krótkowzroczności. Garbił się też lekko i

poruszał w sposób, który postronnemu obserwatorowi mógłby się wydać nieustannym pośpiechem.

Ehdwyrd Howsmyn stanowił za to jego przeciwieństwo. Niski, otyły, z wiecznie roześmianymi oczami i radosnym obliczem. Miał dopiero czterdzieści tutejszych lat, czyli trzydzieści siedem standardowych, lecz już zdążył się dorobić pozycji najbogatszego mieszkańca Charisu. Był posiadaczem dwu z trzech największych odlewni w kraju i jednej z tellesberskich stoczní. Pod jego rodową banderą pływała też całkiem pokaźna flota handlowa. I chociaż pochodził z prostego ludu, nadal nie aspirował do grona szlachty, choć wszyscy wiedzieli, że uzyskałby tytuły i przywileje, gdyby tylko o nie wystąpił. Z tego też powodu, gdy przed czterema laty poprosił o rękę prawdziwej hrabianki, jej ojciec zgodził się z najwyższą ochotą.

Raiyan Mychail był łysy jak kolano i miał co najmniej sześćdziesiąt pięć, jeśli nie siedemdziesiąt lat standardowych, a mimo to został niedawno partnerem w wielu najbardziej dochodowych interesach Howsmyna. Mychail pozostał przy tym spokojnym człowiekiem, którego flegmatyczne usposobienie maskowało jeden z najtęższych umysłów w branży kuźpieckiej. Niemal na pewno był też największym producentem tekstyliów w królestwie, no i wyłącznym dostawcą żagli dla marynarki wojennej. Nie wspominając już o udziałach w rozbudowanej splatami lin w Tellesbergu.

Jeśli chodzi o wiek, sir Dustyn Olyvyr lokował się gdzieś pośrodku między Howsmynem i Mychalem, ale chociaż należał do ludzi bogatych, jego majątek nie mógł się równać z bajecznymi fortunami obu wcześniej wymienionych. Jeśli ich czymś przewyższał, to na pewno kondycją fizyczną. Miał szerokie ramiona, a jego dłonie, choć dzisiaj znakomicie wypielęgnowane, nosiły blizny z czasów, gdy pracował jako zwykły cieśla okrętowy. Ale lata czeladnictwa należały już tylko do wspomnień i chociaż Dustyn nigdy nie posiadał stoczni (bo nie chciał jej posiadać), należał do najbardziej zajętych fachowców w branży szkutniczej. Był też jednym z dwóch czy może trzech najlepszych tellesberskich projektantów okrętów i głównym konstruktorem Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu.

Piątym człowiekiem zasiadającym przy tym stole był mężczyzna odziany w taką samą niebieską tunikę i luźne czarne spodnie jak wielki admirał wyspy Zamek. Ale sir Ahlfryd Hyndryk, baron Morskiego Szczytu, miał jedynie stopień kapitana i w odróżnieniu od szczupłego i wiecznie opalonego hrabiego wyspy Zamek, którego pomarszczona i ogorzała twarz wskazywała na długie lata spędzone na otwartym morzu, był typem kurdupłowatego grubasa. Wyglądał naprawdę groteskowo, gdy stawał obok wielkiego admirała, przy najmniej do momentu, w którym ktoś popatrzył mu prosto w oczy. Spojrzenie miał ostre jak brzytwa - i taki sam umysł. Brakowało mu dwóch palców u lewej dłoni, a na policzku z tej samej strony widać było siateczkę ciemnych znamion. Tak wyglądały klasyczne oparzenia od prochu; Merlin wiedział, że rany te były efektem tego samego wybuchu, który pozbawił kapitana palców. Chociaż wyglądał nieciekawie, był jednym z najlepszych speców od artylerii, jakich posiadała Królewska Marynarka Wojenna Charisu (albo jakakolwiek inna flota).

Cayleb zakończył prezentację i zajął miejsce na końcu stołu. Pozostali mężczyźni poczekali, aż usiadł, i sami wrócili na swoje krzesła. Nie kłopotali się tym, komu etykieta pozwala usiąść przed kim, co Merlin odnotował ze sporą satysfakcją, chociaż baron Morskiego Szczytu kurtuazyjnie poczekał na zajęcie miejsca przez hrabiego wyspy Zamek. W tym jednak wypadku w grę wchodziły zależności służbowe, nie tytułowe. Wszyscy obecni znali się doskonale, co w pewnym stopniu mogło tłumaczyć ich swobodne zachowanie, aczkolwiek trudno było sobie wyobrazić, że szlachta Harchongu albo Desnairu zasiadłaby przy jednym stole z człowiekiem wywodzącym się z ludu.

Książę poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, potem rozejrzał się po zebranych. Mimo iż był najmłodszy, nie ulegało wątpliwości, że on tutaj dowodzi, chociaż Merlin zaczynał podejrzewać, że nie byłoby ich również wtedy, gdyby Cayleb nie miał praw do tronu.

- Ojciec rozkazał nam spotkać się w tym miejscu z bardzo ważnego powodu - zaczął książę. - Szczerze powiedziawszy, powodów jest nawet kilka. Wybraliśmy Helenę na miejsce spotkania, ponieważ zależy nam, by nasi wrogowie nie doświadczyli się, o czym będziemy rozmawiać, zwłaszcza z tobą, Bryahnie, i tobą, sir Ahlfrydzie. Dlatego też ojciec powierzył mi poprowadzenie rozmów. Jestem wciąż na tyle młody, że ludzie nie wierzą, iż mógłbym zajmować się sprawami wagi państwowej bez dozoru osób dorosłych. - Uśmiechnął się łobuzersko, a wokół stołu rozległy się zduszone chichoty. - Co może ważniejsze, mogę zniknąć z pałacu na czas spotkania z wami i nikt tego nie zauważy, co w wypadku ojca jest raczej niemożliwe. Niemniej chciałbym w tym momencie zaznaczyć z całą stanowczością, że przemawiam wyłącznie w jego imieniu. - Zamilkł na góra dwa uderzenia serca, pozwalając, aby te słowa zapadły zebranych w pamięć, a potem skinął dłonią na Merlina. - Zakładam, że wszyscy słyszeliście już mniej lub bardziej fantastyczne opowieści o naszym seijinie. Problem w tym, że jakkolwiek dziwne czy niesłychane wam się wydawały, odpowiadają prawdzie. - Część słuchaczy spojrzała w kierunku Merlina, jakby nie mogli uwierzyć w zasłyszane słowa, ale Cayleb tylko się uśmiechnął. - Uwierzcie mi, to czysta prawda. Ojciec robi co może, by nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył w te opowieści, ale tylko dlatego, że nie odbiegają od rzeczywistości. Tylko dwaj członkowie Rady, w tym biskup Maikel, oraz nasi najbardziej zaufani ludzie, jak choćby obecny tu Ahrnahld, znają całą prawdę

o seijinie i jego umiejętnościach. Dla reszty jest wyłącznie moim nowym przybocznym oraz, na co często publicznie narzekam, człowiekiem nasłanym po to, by powstrzymać mnie od wsadzania nosa tam, gdzie nie trzeba, bo może mi to grozić kolejnym zamachem. Tak więc dla ludu jest zaufanym

1 cennym żołnierzem, ale nikim więcej. Jak już wspominałem, istnieje szereg powodów, dla których staramy się utrzymać to spotkanie w sekrecie... ale przede wszystkim chodzi o to, by pewni ludzie nie zdali sobie sprawy, jak ważne mogą być dla nas jego rezultaty. Wszyscy zapewne wiecie ze starych podań, że seijinowie bywali nie tylko znakomitymi wojownikami, ale także nauczycielami. Nasz Merlin należy właśnie do tego drugiego rodzaju mistycznych mężów. Może nas nauczyć rzeczy, które dadzą Koronie olbrzymią przewagę nad jej wrogami. Ojciec uważa jednak, że najbardziej istotne jest. w tej sprawie to, by ludzie pokroju Hektora i Nahrmahna nie dowiedzieli się, iż źródłem naszej wiedzy jest seijin. Choćby dlatego, że posiadłszy tę wiedzę, nie będą szczędzić środków ani wysiłków, aby jak najszybciej zgładzić Merlina. - Wszystkie oczy podczas tej mowy spoczywały na seijinie. Ten wytrzymywał spojrzenia zebranych bez mrugnięcia, sprawiając, że na ustach księcia znów pojawił się uśmiešek. - Celem naszego spotkania jest osiągnięcie porozumienia w kilku istotnych sprawach - ciągnął następca tronu. - Po pierwsze, seijin rozpocznie od ustalenia, jak dla dobra naszej sprawy pogodzić jego stan wiedzy z tym, co wy potraficie. Po drugie, nie mniej ważne, musimy przedyskutować, w jaki sposób przekażecie dalej wiedzę, którą podzielił się z wami seijin.

Hrabia wyspy Zamek wyprostował się na krześle, spojrzawszy na zebranych, a potem przeniósł wzrok na Cayleba.

- Wybacz mi, wasza wysokość, czy powiedziałeś przed chwilą, że mamy przekazywać dalej wiedzę seijina?

- Czy mogę, wasza wysokość? - wtrącił Merlin, zanim Cayleb zdążył odpowiedzieć.

Książę skinął głową, zezwalając mu na udzielenie odpowiedzi hrabiemu.

- Wielki admirał - zaczął oficjalnym tonem Merlin, spoglądając prosto na hrabię wyspy Zamek. - Większość posiadanej przeze mnie wiedzy, a w zasadzie tej, którą mam się

z wami podzielić, jak to ujął książę Cayleb, nie nadałaby się do niczego, gdyby nie umiejętności twoje i tych zacnych ludzi. W wielu, a raczej niemal wszystkich przypadkach będziecie musieli użyć całej biegłości, jaką dysponujecie, by to, co wam pokażę, mogło zostać wykonane. Każdy z was jest mistrzem w swoim rzemiośle albo wyspecjalizowanej dziedzinie wiedzy, jeśli wolicie takie określenie. To znaczy, że kiedy o czymś mówicie, inni chętnie tego słuchają. A posłuch będzie jedną z najważniejszych rzeczy w naszym planie, ponieważ sporo z tego, co będziecie mieli do przekazania, może się kłócić z tradycją. Większość ludzi nie lubi zmian, nawet tutaj, w Charisie. Wasi krajanie chętniej podejmą się nowych wyzwań, jeśli usłyszą o nich od ludzi, których znają, ludzi godnych zaufania. Na pewno nie zechcą dokonać rewolucji, o której mówi tajemniczy przybysz z zagranicy, bez względu na to, kto go będzie popierał. A najważniejsze jest to, by postulowane zmiany dotarły do jak największej liczby ludzi. Jeden człowiek nie może zaproponować tego wszystkiego, o czym dobrze wiecie. Ja poznałem tę wiedzę dzięki naukom wielu mistrzów. Jednych znałem osobiście, innych nie widziałem nigdy w życiu. Ta wiedza nie należy do mnie i dlatego wolałbym, aby nie zapamiętano mnie jako tajemniczego, najprawdopodobniej złowrogiego i z pewnością zagranicznego „geniusza” tylko dlatego, że trafiłbym, iż mogłem podzielić się z wami tym, co sam wiem. Z drugiej, nieco bardziej pragmatycznej strony, pojawienie się samotnego przybysza, który jest źródłem wszelkiej wiedzy, może wzbudzić w ludziach szanujących tradycję wielki opór i doprowadzić do spięć. Sytuacja, gdy obcy zbyt szybko się bogaci zdobywa władzę, zawsze obraca się na jego niekorzyść. Destabilizuje jego pozycję, wywołuje zazdrość i pretensje.

Może nawet doprowadzić do upadku jego autorytetu, na co Charis nie może sobie pozwolić, zwłaszcza dzisiaj, kiedy tak wielu wrogów czyha u jego granic. Poza tym mam przeczucie, że wiedza, którą się z wami podzielę, popchnie was tylko we właściwym kierunku, a kiedy dotrzecie do celu, rzeczy, które stworzycie po drodze, będą dziełami wyłącznie waszej energii i waszych rąk.

- Nie zapominajmy też - wtrącił Mychail, uśmiechając się do siebie - że dzięki temu uda ci się utrzymać przy życiu, seijinie.

- Nie da się ukryć, mistrzu - odparł Merlin, również się uśmiechając.

- Ufam - odezwał się Howsmyn, próbując zachować neutralny ton - że nic z tego, czego zamierzasz nas nauczyć, nie będzie sprzeczne z Zakazami Jwo-jeng?

- Daję ci słowo honoru, mistrzu Howsmynie, że nie będzie sprzeczne - zapewnił go solennie Merlin. - Może uspokoi cię fakt, że król Haarahld konsultuje tę sprawę od samego początku z biskupem Maikalem i ojcem Paityrem, aby nic podobnego nie miało miejsca. Po tej odpowiedzi zebrani rozluźnili się nieco, co Merlin skwitował uśmiechem, choć tylko w głębi duszy. W końcu doszedł do wniosku, że ocena wystawiona biskupowi Maikelowi przez Cayleba była bardzo trafna. Nie dało się podważyć religijności hierarchy, ale nade wszystko był Charisjaninem i patriotą. Oraz człowiekiem - co Merlin zrozumiał po wysłuchaniu jego kazania w katedrze - który nie miał żadnych złudzeń co do Rady Wikariuszy i całej reszty hierarchów Świątyni.

Drugi ze wspomnianych duchownych, ojciec Paityr Wylsynn, nie pochodził z Charisu. Urodził się na Ziemiach Świątynnych, co było jednym z najważniejszych powodów mianowania go na stanowisko głównego intendenta arcybiskupa Charisu Erayka. Jak wielu innych intendentów należał do zakonu Schuelera, dzięki czemu stał się także lokalnym przedstawicielem Inkwizycji. Możliwość znalezienia się w kręgu zainteresowania tej instytucji kościelnej przyprawiała o dreszcze każdego mieszkańca Schronienia, a wszyscy zebrani przy tym stole doskonale zdawali sobie sprawę, z jaką uwagą schelerycy obserwują wydarzenia w Koronie.

Pomimo to ojciec Paityr był bardzo szanowany w Charisie, zwłaszcza w Tellesbergu. Nikt nie wątpił w siłę jego wiary ani w oddanie, z jakim służył swemu oficjum. Nikt nigdy nie

posądził go o sprzeniewierzenie się zasadom Inkwizycji - czego niestety nie można było powiedzieć o wielu innych intendentach i inkwizytorach - i zawsze dbał o to, by przestrzegano Zakazów Jwo-jeng. Schueleryci niezmiennie cieszyli się opinią konserwatystów, ale ojciec Paityr wyrażał o wiele mniejsze inklinacje w tym kierunku niż reszta jego współpracownicy.

- Seijin ma rację - stwierdził książę Cayleb. - Konsultowaliśmy tę sprawę z biskupem Maikalem i otrzymaliśmy jego pełne błogosławieństwo. W przeciwieństwie do Paityra, ale biskup poradził mojemu ojcu, że najrozsądniej będzie, jeśli unikniemy... informowania przedstawiciela Inkwizycji o wszystkich szczegółach naszego planu. - Nie musiał wyłączać pozostałych powodów tej powściągliwości, wszyscy w lot je pojęli. - Biskup Maikel popiera także - kontynuował następcę tronu - pogląd mego ojca, by zminimalizować wpływ informacji dotyczących zaangażowania seijina w nasze plany. Nie tylko z wymienionych wcześniej powodów, bo chociaż według niego są one równie ważne, to nie należy zapominać o tym, że udział Merlina w przemianach spowoduje automatyczne rozpoczęcie trwającego długo śledztwa, jeśli ojciec Paityr otrzyma oficjalny nakaz ze Świątyni. Biskup także wolałby uniknąć podobnych komplikacji, uważa też, że nasz inkwizytor jest podobnego zdania. Zresztą, skoro już o tym mowa, Pismo mówi wyraźnie, że ważna jest treść, a nie pochodzenie wprowadzanych zmian.

Zamilkł, czekając, aż każdy z obecnych potwierdzi przyjęcie tego do wiadomości skinieniem głowy. Merlin z trudem powstrzymał się od cynicznego uśmiechu. Wszyscy z tu obecnych musieli zdawać sobie sprawę, że tym sposobem biskup Maikel poinstruował Haarahlda, jak „obejść” panujący system. Nie mieli z tym jednak najmniejszego problemu, ponieważ „obchodzenie systemu”, czy jak to tutaj zwać, było codziennością w kontaktach z Kościołem. Dopóki Kościół Matka nie odrzucił nowego wynalazku, jego twórca był chroniony, a w przypadku ojca Paityra uznanie jakiegoś dzieła za zgodne z Zakazami nie zależało zazwyczaj od wysokości wręczanej łapówki.

Dlatego też wszyscy obecni na spotkaniu wiedzieli, choć nikt im tego nie powiedział, że będą musieli przyjąć na siebie autorstwo pomysłów, które przedstawi Merlin, aby odpowiedzialność za nie rozłożyła się możliwie najszerzej. Tym sposobem unikną sytuacji, w której ojciec Paityr, widząc wiele nowych wynalazków wpływających z jednego źródła, zaczęłby się koncentrować na człowieku, a nie jego dziele.

- Ojciec prosił, abym położył nacisk na jeszcze jeden aspekt tej sprawy - podjął Cayleb po chwili milczenia. - Każdy element wiedzy, jakim podzieli się z wami seijin, nie pozostanie na zawsze waszą własnością. Kiedy inni ludzie zobaczą, jaką przewagę uzyskujemy dzięki tym wynalazkom, nie minie wiele czasu, a sami zaczną je kopiować i stosować. Niektóre z darów Merlina, jak choćby liczydło czy cyfry arabskie, rozejdą się po świecie tak szybko, że nie zdążymy ich wykorzystać do powiększenia naszej przewagi. Wystarczy bowiem rzut oka, by wiedzieć, z jak rewolucyjnymi metodami mamy do czynienia, a do ich wdrożenia pozostaje zaledwie jeden niewielki krok. Inne wynalazki znajdują wyłączone albo główne zastosowania w produkcji uzbrojenia. Dzięki nim nasza flota i piechota morska będą mogły walczyć efektywniej. Te usprawnienia wróg też pozna, ale dopiero gdy zetknie się z nimi na polu walki. Ojciec ma jednak nadzieję, że ludzie pokroju Hektora i Nahrmahna nie dowiedzą się o nich, dopóki nie zechcą nas zaatakować. - Znowu pokiwali głowami, tym razem z nieco większą empatią, a książę odpowiedział im w podobny sposób.

- W takim razie, seijinie - dodał - możesz już zaczynać.

▼ ▼ T

- To naprawdę takie proste? - zapytał kilka godzin później baron Morskiego Szczytu, przyglądając się sporym, czarnym grudkom spoczywającym na dłoni Merlina, a potem pokiwał wolno głową. Na jego twarzy podziw mieszał się ze smutkiem.

- To naprawdę takie proste - potwierdził seijin. - Produkcja ziarnistego prochu nie jest jednak wolna od problemów. Bardzo łatwo zaproszyć iskrę albo doprowadzić do zapłonu, zwłaszcza podczas procesu ucierania. Ale w efekcie otrzymuje się znacznie stabilniejszy produkt, nie mówiąc już o większej sile wybuchu.

Znajdował się, razem z kapitanem, w przysadzistym budynku stojącym obok cytadeli w Zatoce Królewskiej. Pomieszczenie to było bardzo rozległe, ale za to niskie i o wiele nowsze od reszty fortyfikacji. Pod nim mieściły się bowiem główne magazyny prochu dla całej fortecy.

Najważniejsza jest lokalizacja, uznał Merlin. Chociaż z drugiej strony... Umieszczenie oficera odpowiedzialnego za magazyny tuż nad składami prochu nie jest aż tak głupim pomysłem, jak się wydaje. Dzięki temu wszyscy mają pewność, że nie będzie lekceważył swoich obowiązków.

- Coś mi się wydaje, że żaden z nich nie będzie mógł się równać z problemami, które aktualnie mamy - odparł baron Morskiego Szczytu, wyciągając rękę, tę okaleczoną, by Merlin przesypał proch na jego dłoń.

Kapitan podniósł ją do twarzy, obwąchał proszek, potem wysunął koniuszek języka i ostrożnie go spróbował.

- Chyba już rozumiem, dlaczego ten... ziarnisty proch jest bezpieczniejszy od naszego, seijinie - stwierdził. - Ale dlaczego miałby być od niego potężniejszy?

Merlin zamyślił się, marszcząc czoło, i zaczął skubać koniuszek węża, rozważając, w jaki sposób może odpowiedzieć.

Baron Morskiego Szczytu miał rację, przewaga bezpieczeństwa była bezsprzeczna. Proch pojawił się na Schronieniu już bardzo dawno, ale wciąż miał marną jakość. Jego wytwórcy i artylerzyści nieustannie sprzeczali się o właściwe proporcje siarki, węgla drzewnego i saletry w stosowanych przez nich mieszankach. Znacznie gorszy i niebezpieczniejszy był jednak sposób, w jaki wytwarzano tak zwany miarki proch uzyskiwany z mieszania idealnie rozartych składników, które tworzyły sypką masę o konsystencji mąki. Ta mieszanka także działała, chociaż jej składniki miały tendencję do ponownego rozdzielania się.

Wystarczyło potrząsnąć naczyniem, w którym się znajdowały. A zważywszy na stan dróg Schronienia, po których proch musiał być transportowany, w każdej beczce po podróży pełno było delikatnej, ale niezwykle palnej i bardzo wybuchowej zawiesiny.

Do tej pory nikt jednak nie pomyślał o nawilżaniu prochu i prasowaniu go w granulki, które można było szybko przywrócić do stanu sypkiego. Proces ten dodatkowo wiązał ze sobą składniki, zapobiegając destabilizacji mieszanki, co tłumaczyło zarówno podziw, jak i smutek kapitana. Implikacje wynikające z bezpiecznego używania dział i ręcznej broni palnej były olbrzymie, a metoda tak prosta, że musiał sobie teraz pluć w brodę, iż sam o tym wcześniej nie pomyślał.

Pozostawał jednak problem, jak wytłumaczyć znaczny wzrost siły wybuchu.

- Z tego, co zrozumiałem, sir Ahlfrydzie, dzieje się tak z kilku powodów - wyjaśnił Merlin po chwili zastanowienia. - Po pierwsze... poprawiłem nieco recepturę. W tej, której używaliście, było zbyt wiele węgla drzewnego. Niemniej głównym powodem wzrostu siły wybuchu, jak mi kiedyś wytłumaczono, jest prędkość spalania prochu w zamkniętej przestrzeni. Kiedy mamy do czynienia z granulkami, wokół nich znajduje się o wiele więcej powietrza, a to oznacza, że mogą spłonąć szybciej i kompletniej. Zdaje się, że podobny proces możemy zaobserwować, kiedy rozgarniemy węgle w palenisku.

Teraz baron Morskiego Szczytu zrobił zamyśloną minę. Wpatrywał się we własną dłoń, gładząc czule czarne granulki opuszką wskazującego palca drugiej ręki, a potem skinął głową.

- Tak - stwierdził, mówiąc wolno, z rozmysłem. - Tak, chyba rozumiem, o co chodzi. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad tym problemem, ale też nie miałem granulek

prochu, żeby z nimi eksperymentować. - Zachmurzył się jeszcze bardziej, potem spojrzął na Merlina. - Czy możemy nabijać nasze działa tym prochem, skoro jest znacznie mocniejszy?

- To doskonałe pytanie, na które niestety nie znam dobrej odpowiedzi - przyznał seijin. - Z tego co widziałem, wasze działa są solidnie odlewane, ale nie zaprojektowano ich do używania ziarnistego prochu. Wydaje mi się, że musimy przeprowadzić serię eksperymentów, żeby to sprawdzić.

- Rozumiem. - Baron Morskiego Szczytu skinął głową. - Zazwyczaj sprawdzamy działa, dając pod kule podwójne albo potrójne miarki prochu. Wydaje mi się, że możemy zacząć od normalnej ilości, licząc proch wagowo, a potem stopniowo zwiększać ładunki aż do pierwszego niepowodzenia.

- To brzmi racjonalnie - uznał Merlin. - I jeszcze jedno. Zapewne udałoby się wzmocnić działa, pogrubiając ich ścianki, ale chyba lepiej będzie, jeśli skrócicie lufy. - Baron uniósł brew ze zdziwienia, na co seijin tylko się uśmiechnął. - Stosowaliście tak długie lufy, ponieważ musieliście kompensować czas spalania prochu - wyjaśnił. - Przy zastosowaniu prochu ziarnistego reakcja będzie o wiele szybsza. Osiągniecie zatem ten sam efekt przy znacznie krótszej lufie.

- Racja. - Oczy barona Morskiego Szczytu zapłonęły. - Możemy wzmocnić działa, dając im grubsze lufy, ale nie zwiększy to ich masy całkowitej, ponieważ będą krótsze. Poza tym - jego oczy rozbłyły jeszcze bardziej, gdy żywy umysł odkrył kolejną prawdę - będzie można je o wiele szybciej ładować.

- Zgadza się. - Merlin skinął głową, a potem podkreślił wąsa. - Prawdę powiedziawszy, przysłała mi do głowy inna myśl. Kto wie, czy dzięki niej nie zyskamy jeszcze większej szybkostrzelności.

- Cóż to za myśl? - Baron Morskiego Szczytu spoglądał na niego jak sokół polujący na ofiarę.

- Cóż... - zaczął ostrożnie seijin, jakby sam jeszcze zastanawiał się nad tym problemem. - Ładujecie działa, wykorzystując do tego celu sypki proch z beczek? - Baron przytaknął szybko z miną mówiącą „oczywiście, że tak to robimy”, a Merlin wzruszył ramionami. - Cóż... - powtórzył. - Co by było, gdybyście mieli odmierzone ładunki? Można by je wsypać do woreczka z bawełny i wrzucać do lufy po każdym strzale. Jeśli materiał nie będzie zbyt gruby, a splot gęsty, ogień z lontu przepali go i dotrze do prochu, odpalając ładunek.

- Na Langhorne'a - wyszeptał baron Morskiego Szczytu. Przymknął oczy, skupiając się maksymalnie na tej myśli, i zaczął kiwać głową. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej i mocniej. — Masz, panie, absolutną rację! - zawołał, otwierając oczy, ale nie przestał przytakiwać. - Dzięki tej metodzie powinniśmy podwoić albo nawet potroić szybkostrzelność naszych dział! Na dodatek... - w tym miejscu przerwał nagle. - Nie widzę powodu, dla którego nie można by robić tego samego z artylerią polową. Albo moglibyśmy stosować te same ładunki przy muszkietach wyposażonych w zamki skałkowe, o których wspominałeś, eliminując tym samym rogi prochowe!

Merlin aż zamrugał oczami, udając wielkie zdziwienie. W rzeczywistości był tylko lekko zdziwiony. Wiedział, że baron Morskiego Szczytu ma mózg nie od parady, ale nie sądził, że zwykły oficer marynarki tak szybko podchwyci nowinkę i od razu znajdzie dla niej zastosowania. Jako seijin spodziewał się, że zaprezentowanie tym ludziom nowych wynalazków rozbudzi ich wyobraźnię, ale nigdy by nie przypuszczał, że artylerzysta od razu przekuje te myśli w kolejne usprawnienia.

Z drugiej jednak strony, przypomniał sobie, Charisjanie podbili wszystkie morza i oceany tylko dlatego, że utworzyli zawodową marynarkę wojenną. Wszyscy pozostali trzymali się tradycji, werbując oficerów z armii, najchętniej szlachetnie urodzonych, bez względu na to, czy mieli mózgi, czy byli głupkami, dając im dowodzenie nad okrętami idącymi w bój.

Zawodowym marynarzom nie pozostawało nic innego, jak wykonywać rozkazy takich pseudokapitanów i na dodatek trzymać gęby na kłódkę. Ale nie w Charisie. Ciekaw jestem, czy baron Morskiego Szczytu zdawał sobie sprawę, jak ta zmiana wpłynęła na sukcesy jego floty?

Zawodowy oficer marynarki, o którym rozmyślał Merlin, odwrócił się tymczasem i studiował plany nakreślone kredą na jednej ze ścian biura. Całą jej powierzchnię podzielono na niewielkie pola, zamieniając w jedną, wielką tablicę. Gdy weszli do tego pomieszczenia, znajdowało się na niej kilka szkiców i notatek przypominających o ważnych sprawach. Baron Morskiego Szczytu zmasał je jednak szybko i zaczął rysować nowe. Kreda stuknęła i piszczała, gdy rozmawiał równoległe z procesem tworzenia. Teraz przyglądał się nowej porcji rysunków i notatek, kiwając powoli głową.

- Wiesz, seijinie, część naszych oficerów będzie przeciwna tym zmianom... - powiedział nagle.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Merlinie - zaczął baron, ni to parszając, ni to się śmiejąc - zachowywałeś się dzisiaj nader taktownie. Aczkolwiek uważam, że większość moich celnych uwag była ci znana, zanim zaczęliśmy tę rozmowę.

Merlin natychmiast przybrał neutralny wyraz twarzy, aby nie zdradzić myśli, ale to jeszcze bardziej rozśmieszyło Charisjanina.

- To nie był komplement - stwierdził baron. - I chociaż podejrzewam, że wiem, dlaczego postanowiłeś zagrać z nami w gierkę pod tytułem „rozgryźćcie to sami”, nie zamierzam ci niczego udowadniać. Ale jak złożę to wszystko w całość... nowy rodzaj prochu, bieguny dział, idee przygotowywanych wcześniej ładunków, skracanie luf... to nagle zaczynam się zastanawiać nad prowadzeniem walk na morzu. Nie miałem wprawdzie czasu, aby przeanalizować dokładnie wszystkie elementy, ale jedno wydaje mi się oczywiste: wszystkie galery naszej floty nadają się wyłącznie do rozbiórki.

- Tak daleko tobym się jednak nie posuwał - odparł ostrożnie Merlin, ale baron Morskiego Szczytu zbył go, kręcąc głową, tym razem bardzo zdecydowanie.

- Galery nie sprawdzą się w obecnej sytuacji - oświadczył i zaczął śmigać kredą po tablicy, rysując prosty szkic jednostki do przewozu nowych dział. - Musimy stworzyć zupełnie nową klasę okrętów, a także taktykę dla nich, nie zapominając o opracowaniu szyków bojowych. Z tego co widzę, jedynie galeony sprostają nowemu wyzwaniu, a nawet Langhorne wie, że nie mamy ich za wiele na stanie! Podejrzewam - znów posłał Merlinowi ostre spojrzenie - że będziesz musiał omówić tę sprawę z sir Dustynem, i to naprawdę szybko. Nie widzę na galerach miejsca, w którym można by zamontować te nowe działa, zwłaszcza że mają strzelać tak szybko, jak zakładamy. Trzeba by je rozmieścić wzdłuż burt okrętu, nie tylko na dziobie i rufie, a na galerze nie sposób tego zrobić. Wioślarze będą największą przeszkodą. No i jednostki te nie mają tak wielkiej wyporności, by udźwignąć dodatkowy ciężar.

- Tyle tylko, że kiedy nie ma wystarczająco silnego wiatru, okręt napędzany wiosłami zawsze będzie szybszy od żaglowca. Galery są też bardziej zwrotne - zaprotestował seijin. - No i nie zapominajmy, że wioślarze zamieniają się w żołnierzy piechoty morskiej, gdy dochodzi do abordażu.

- To akurat nie będzie miało większego znaczenia - stwierdził niemal opryskliwym tonem kapitan. - Dopóki żaglowiec będzie miał wystarczająco dużo czasu, aby odwrócić się burtą do nadciągającego wroga, żadna galera nie przetrwa do momentu, w którym będzie można dokonać abordażu. W każdym razie nie wtedy, gdy prosto w nią będzie mierzył tuzin dział nowej generacji! Wydaje mi się, że pojedynki okrętów uzbrojonych w podobne działa bardzo rzadko będą się kończyły abordażami. Tak - machnął okaleczoną ręką - od czasu do czasu może dojść do czegoś takiego, ale żeby za każdym razem? - Jeszcze raz pokręcił

zdecydowanie głową. - Nie, w większości wypadków bitwa zostanie rozstrzygnięta, za-nim jednostki zbliżą się do siebie na odległość pozwalającą na dokonanie abordażu.

Merlin przyglądał się przez chwilę kapitanowi, potem skinął głową na znak, że zrozumiał. Chociaż, pomyślał, baron Morskiego Szczytu chyba lekko przesadził. Na Starej Ziemi w epoce żaglowców dochodziło do wielu abordaży. Ale ten człowiek dobrze główkuje. I ma racją w jednym, staromodne kopiowanie zasad bitew lądowych na morzu chyli się ku końcowi.

- Rozumiem, co chciałeś powiedzieć - odparł. - I masz rację. Zanim zaczęliśmy rozmawiać, wiedziałem o tym, że będą nam potrzebne plany zupełnie nowej klasy jednostek, zdolnych do przenoszenia tych dział. Dlatego sugerowałem, że-byśmy usiedli w trójkę, z sir Dustynem. Ty, kapitanie, masz z pewnością lepsze rozeznanie niż ja, co jeszcze może ulec zmianom, a powinniśmy zająć się tą sprawą jak trzeba od samego początku.

- Z tym także się zgadzam - oświadczył dobitnie baron Morskiego Szczytu. — Ale już widzę oczami wyobraźni, jak sir Dustyn robi mi wykład o tym, dlaczego nie mogę zbudować takiego okrętu, jaki chcę. Wystarczy tylko pomyśleć

o ogromnym ciężarze, jakim obciążymy pokład, i kłopot gotowy. A kiedy już dojdę z nim, i rzecz jasna z tobą, seijninie, do zgody, pozostanie jeszcze problem, jakim cudem przekonamy do tego pomysłu resztę oficerów jego wysokości.

- Żeby dodatkowo skomplikować ci życie, kapitanie - dodał Merlin, szczerząc zęby - musisz to zrobić w taki sposób, żeby Hektor i Nahrmahn nie domyślili się niczego.

- Dzięki ci za przypomnienie, seijninie!

- Nie ma za co. Zdaje się, że nadszedł czas na porozmawianie z mistrzami Howsmynem i Mychailem. Mamy sporo do omówienia, włączając w to najlepszy sposób na odlanie nowych dział dla ciebie. Potem za jakieś trzy godziny spotkam się po raz pierwszy z sir Dustynem, aby omówić kolejne liczne sprawy, w tym plany nowych jednostek. Pozwolisz zatem, że opuszczę cię, aby udać się na rozmowy z tymi trzema mistrzami, a ty, kapitanie, zacznij się zastanawiać nad tym, w co powinny być wyposażone te nowe okręty. Może przyłyczysz się do nas w cytadeli, powiedzmy, za cztery godziny?

- Przyjdę na pewno - obiecał baron Morskiego Szczytu

natychmiast skupił się na nowym szkicu. Merlin, widząc to, opuścił jego biuro.

- Rozumiem, o co ci chodzi, seijninie - powiedział Ehdwyrd Howsmyn, siadając ponownie za stołem narad i przyglądając się rzutom naszkicowanym ołówkiem na papierze. - Mnie-mam także, że sir Ahlfryd zaślinił się, kiedy pokazałeś mu te „bieguny”.

Pochylił się i wskazał palcem na leżącą bliżej kartkę. Widział na niej rysunek nowego rodzaju działa, jakie zaproponował im Merlin. Gołym okiem było widać, że różni się ono, i to znacznie, od modeli znajdujących się aktualnie na pokładach galer Marynarki Wojennej Charisu, ale najciekawszą modyfikacją był sposób osadzenia działa na lawecie.

Współczesne armaty przypominały budowę wielkie muszkiety. Wydrążoną metalową rurę przymocowywano do drewnianej podstawy za pomocą kilku stalowych obejm. Po oddaniu strzału całość leciała do tyłu - jak daleko, zależało tylko od ciężaru działa i zasięgu elementów kotwiczących całość do pokładu. Następnie załoga ładowała armatę i taszczyła ją gołymi rękami z powrotem do furty ogniowej.

Nie można było przy tym podnieść ani opuścić lufy, by dokładniej wycelować. Przetaszczenie ciężkiej belki, do której przypasano lufę, wymagało naprawdę sporego wysiłku (a działa musiały być wielkie, żeby móc uszkodzić kadłub wrogiej jednostki), dlatego nawet doskonale wyszkoleni artylerzyści nie byli w stanie wystrzelić częściej niż raz na pięć minut.

Ale nowy model armaty naszkicowanej przez Merlina posiadał element zwany „biegunem”, który wyglądał jak poprzeczka wystająca z górnej części lufy. Wypustki te były wystarczająco długie i masywne, by utrzymać ciężar działa. Lokowano je w otworach

znajdujących się na „lawecie” - czyli zaopatrzonej w kółka drewnianej podporze. To naprawdę śmiesznie proste rozwiązanie, pomyślał Howsmyn, ale jakie niesie ze sobą możliwości! Działo można było bujać na podporkach zwanych biegunami, co pozwalało podnosić i opuszczać lufę bez najmniejszego trudu. Podwórka z kołami (albo laweta, bo przy takiej nazwie upierał się z jakiegoś powodu Merlin) pozwalała na znacznie szybsze poruszanie działem - przy czym o wiele mniejsza liczba ludzi mogła obsłużyć o wiele cięższe działo. Dzięki tym usprawnieniom, a także faktowi, że nowe działa mogły być lżejsze i mniejsze, rosła znacznie ich szybkostrzelność.

- Mamy tutaj do czynienia z dwójakiem problemem - stwierdził właściciel odlewni. - Po pierwsze, będziemy potrzebowali sporej liczby tych nowych dział. Nie osiągniemy wiele, posiadając dwa albo trzy okręty wyposażone w takie armaty i resztę floty z konwencjonalnym uzbrojeniem. Druga sprawa to upchnięcie jak największej ich liczby na pokładzie, by te jednostki mogły decydować o przebiegu i losach bitew. To z kolei oznacza, że będziemy potrzebowali znacznie więcej brązu, niż ktokolwiek zużył do tej pory. Ktoś będzie musiał wydobyć i przetopić całe góry. Jeśli nam się to nie uda, trzeba będzie kombinować, jak odlewać działa z żelaza, ale to wydaje mi się na razie zbyt ryzykowną propozycją. Poza tym jeśli nawet zdobędziemy takie ilości metalu, będziemy potrzebowali dużo, naprawdę dużo czasu, aby odlać i skalibrować te działa, co może okazać się też bardzo trudne do ukrycia przed ludźmi Hektora.

- Zgadza się, że to będą problemy, Ehdwyrdzie - wtrącił Mychail, a potem odchylił się na krześle i zaczął stuknąć kostką palca wskazującego w przedni ząb - ale nie sądzę, żeby nie dało się ich pokonać. Szczególnie jeśli jego wysokość wysupła odpowiednią ilość złota na realizację tego projektu.

- Chcesz zrobić coś takiego w sekrecie? - Howsmyn pokręcił głową z niedowierzaniem. - Mój drogi Raiyane, odlewnie na Helenie nie zdołają wykonać nawet połowy tych dział, których będzie potrzebował sir Ahlfryd. Wiem, że możemy zwiększyć produkcję, ale do wyprodukowania wystarczającej liczby dział trzeba będzie zatrudnić setki nowych robotników. A gdyby nawet udało nam się ich zdobyć, to wątpię, aby na tej wyspie znalazło się wystarczająco dużo miejsca dla zbudowania tylu nowych manufaktur.

- Zgoda. - Mychail skinął głową. - Ale co powiesz na Delthak?

Howsmyn zaczął kręcić głową, ale zaraz przestał i zamarł z na wpół otwartymi ustami.

- Tam na razie nic nie ma - odparł po chwili, ale Mychail zbył go wzruszeniem ramion.

- Do czego zmierzasz? - Starszy z mężczyzn przestał obstukiwać zęby i wskazał tym samym palcem na szkice doświadczone przez Merlina. - Przed chwilą stwierdziłeś, że powinniśmy rozważyć odlewanie dział z żelaza. Potem dodałeś, że możemy zwiększyć produkcję na Helenie, jeśli znajdziemy wystarczająco dużo przestrzeni do zagospodarowania, której jak dobrze wiesz, nie ma. Czy osiągnięcie takiego poziomu produkcji w innym miejscu nie będzie sensowniejsze? Przyznaj, że po to właśnie kupiłeś tamte ziemie.

- No tak - odparł Howsmyn, wolno cedząc słowa, po czym spojrzął na Merlina. - Jakie kwoty jego wysokość ma zamiar przeznaczyć na realizację tego pomysłu?

- Tego mi nie powiedział - odparł seijin. - Nie wiem też, czy zdążył przedyskutować tę sprawę z księciem Caylebem, choć nie wykluczam, że mogło już do tego dojść. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, król uważa te projekty za niezwykle ważne, ale ma też świadomość, że jego skarbiec nie jest bez dna. Dlaczego pytasz?

- Raiyan przypomniał mi o inwestycji w pewną kopalnię niedaleko Wielkiego Tirianu. Nabyłem spory kawałek ziemi od hrabiego Wielkiej Skały mniej więcej rok temu. Niedaleko Delthaku, nad samą rzeką. Na drugim brzegu hrabia szuka kogoś, kto pomógłby mu eksploatować pokłady rudy żelaza. - Właściciel odlewni wzruszył ramionami. - To znaczy lokalizacja pod każdym względem, tyle że w tamtych okolicach nie mieszka zbyt wielu ludzi, więc nie będzie skąd rekrutować pracowników. A Delthak to tylko niewielka

wieś, zwykła zapadła dziura. Zacząłem rozkręcać tam interes, ale na razie niewiele z tego wyszło. Musiałbym przenieść tam całą siłę roboczą i zacząć wszystko od podstaw.

- To, że w pobliżu nie mieszka zbyt wielu ludzi, może działać na korzyść utrzymania tej operacji w tajemnicy - zauważył Merlin.

- I to właśnie Raiyan miał na myśli - przyznał Howsmyn. - Ale na razie nie widzę większego sensu w rozwijaniu tamtej inwestycji. - Skrzywił się. - Handel zamiera od czasu, gdy kwestia sukcesji tronu w Hanth wkurzyła ludzi. Mam sporo wolnych mocy przerobowych nawet w odlewniach Tellesbergu.

- To może ulec zmianie nawet bez wprowadzania nowych dział - podpowiedział mu seijin. Howsmyn wyprostował się na krześle i spojrzał na niego pytająco. - Wydaje mi się, że Charis stoi w obliczu kolejnej fali wzrostu gospodarczego - dodał Merlin. - A mistrz Mychail będzie jednym ze sprawców tego cudu.

- Doprawdy? - Staruszek roześmiał się i skrzyżował nogi. - Przyznam, że miło się ciebie słucha, seijinie. Zawsze uwielbiałem wsłuchiwać się w ten melodyjny brzęk złotych monet wpadających do mojej sakiewki.

- Mam nadzieję przedstawić wam w niedługim czasie kilka nowych maszyn - poinformował go Merlin. - Jedną z nich zwą odziarniarką bawełny, a drugą przędzalnią.

- A cóż te maszyny potrafią? - zapytał Mychail.

- Pierwsza oddziela ziarenka z kłębków jedwabiowełny bez potrzeby zatrudniania do tego ludzi. Natomiast przędzalnia to pewien rodzaj kołowrotka, tyle że posiadającego wiele wrzecion, aby jedna osoba mogła prząść naraz wiele nici - wyjaśnił seijin.

Starzec wyprostował nogi, a Merlin uśmiechnął się, widząc, że zaciekawiony kupiec nadstawia ucha.

- Potrafisz usunąć nasiona bez udziału ludzkich rąk? - zapytał Charisjanin, a Merlin przytaknął. - O jakiej wydajności tutaj mówimy? - naciskał dalej Mychail. - Czy to coś da radę oczyścić także stalosty?

- Nie znam odpowiedzi na te pytania - przyznał seijin. - Nigdy jeszcze nie zbudowałem takiej maszyny ani nawet jej nie widziałem. Znam tylko zasady, na jakich działa, i mogę powiedzieć tylko tyle, że powinna dać sobie radę także ze stalostami.

Mychail ściągnął usta, rozmyślając gorączkowo, a Merlin stłumił chęć uśmiechu.

Jedwabiowełna przypominała ziemską bawełnę, tyle tylko, że w jej przypadku nici pozyskiwano z miejscowej rośliny. Były one o wiele cieńsze i silniejsze od tradycyjnej bawełny i nadawały się idealnie na zwiewne tkaniny dla ludzi mieszkających w strefach tropikalnych. Niestety, ich cena była bardzo wysoka, gdyż usunięcie ziarenek z surowca było o wiele trudniejsze niż w przypadku ziemskiej bawełny, ale tkaczki Schronienia używały jej od samego początku istnienia kolonii.

Staloset, kolejna roślina Schronienia, budziła nie mniejsze emocje wśród tutejszych prządek, choć była jeszcze trudniejsza w obróbce. Wyglądała jak rozgałęziony bambus, miała bardzo podobne segmentowane łodygi, rosła też równie szybko jak jej ziemski odpowiednik.

Produkowała pewien rodzaj strączków wypełnionych delikatnymi, ale zarazem niezwykle wytrzymałymi włóknami, z których wyrabiano materiały mocniejsze nawet od jedwabiu. Trwalsze od wszystkiego, co ludzkość potrafiła wyprodukować przed wynalezieniem tworzyw sztucznych.

Niestety, w strączkach aż się roilo od niewielkich kolczastych nasionek. Oddzielanie ich rękami było prawdziwym koszmarem. Płyciutkie ranki, których nie sposób było uniknąć podczas tej pracy, bardzo często jątrzyły się i ropiały. Dla tego też nigdzie poza Harchongiem i Cesarstwem Desnairu, gdzie wciąż stosowano niewolnictwo, nie produkowano materiałów z tych niezwykle cennych i trudnych do pozyskania nici. Nic więc dziwnego, że wyroby z nich osiągały tak zawrotne ceny. Jeśli odziarniarka poradzi sobie z tym zadaniem bez potrzeby ręcznego wybierania ziarenek...

- Zważywszy na twoją wielką wiedzę - Merlin podjął te-
mat, przywołując staruszkę do przytomności - jestem pe-
wien, że stworzysz na ich bazie o wiele bardziej wydajne modele niż ja. A mistrz Howsmyn wydaje się idealnym part-
nerem do tego interesu. Wielokrotnie współpracowaliście ze sobą, a jego odlewnie zużywają ogromne ilości energii wod-
nej. Sądzę więc, że przy pomocy mechaników z tych manu-
faktur znajdziecie jakiś sposób}', żeby napędzać te maszyny w podobny sposób... nie zapominając o tym, że wszystkie te koła wodne zyskały już aprobatę Kościoła Matki. - Mychail i Howsmyn spojrzeli po sobie, oczy błyszczały im z podniece-
nia. - A skoro już o tym mowa - dodał Merlin z uśmiechem na ustach - dlaczego nie poprosicie konstruktorów o wynale-
zienie napędu wodnego dla krosien? Kiedy już będziecie mie-
li działające odziarniarki i wielokołowrotki, przędza zacznie wam wychodzić uszami. Tak na marginesie, flota może po-
trzebować mnóstwa płótna żaglowego. A takie mechanicznie napędzane krosna z pewnością pozwolą na znacznie gęstszy splot, nie sądzisz, mistrzu?

- Na rany Langhornea - wymamrotał starzec. - On ma rację, Ehdwyrdzie. Jeśli ta maszyna dziewiarska działa tak, jak myślimy, a zwłaszcza jeśli uda nam się dopasować do niej źródło zasilania, będziemy mogli używać jej zarówno do pro-
dukcji wełny, jak i lnu. - Wzdrygnął się i spojrzał ponownie na Merlina. - Nic dziwnego, że spodziewasz się sporego wzro-
stu obrotów handlowych, seijinie\

- Nie mówiąc już o zamówieniach na nowe okręty dla wa-
szej marynarki - dodał Merlin - chociaż nie zdziwiłoby mnie, gdyby pojawiły się także kontrakty na frachtowce, ponieważ mam zamiar przedstawić sir Dustynowi coś, co nazywam „ta-
kielunkiem szkunera”. Z tym systemem ożaglowania akurat miałem styczność, więc jestem pewien, że wzbudzicie sensa-
cję, gdy sir Dustyn i oczywiście ty, mistrzu Howsmynie, za-
prezentujecie go publicznie. Ludzie dopiero po kilku miesią-
cach zrozumieją w pełni, jakie można zyskać dzięki niemu przewagi, ale jak już to pojmą, utoniecie w zalewie nowych zamówień. Dzięki tak ogromnemu przyływowi gotówki zy-
skacie szybko fundusze wystarczające na zbudowanie nowej odlewni w okolicach Delthaku.

- Taki natłok prac będzie też znakomitym wytłumacze-
niem, do czego mi nagle kolejna odlewnia - przyznał rozen-
tuzjasmowany Howsmyn.

- Zważywszy na to, że - dodał Mychail - wszystkie te po-
mysły pochodzą od ciebie, seijinie, i od jego wysokości, mnie-
mam. że owo „szybkie zyskanie funduszy” zostanie przeku-
te w unowocześnienie marynarki wojennej.

- Król rozważa ustanowienie instytucji zwanej „biurem Patentowym” - poinformował ich Merlin. - Jednakże musi podejść do tej sprawy z wielką ostrożnością. Jeśli uda mu się je utworzyć, ludzie przychodzący do niego z pomysłami na nowe wynalazki i udoskonalenia starych mogą otrzymywać dokumenty zwane „patentami”. Staną się właścicielami owych pomysłów i nikt inny, przynajmniej na terytorium Charisu, nie będzie mógł ich wykorzystywać bez ich zgody... i towa-
rzązącej jej zwyczajowo prowizji. Oczywiście jego wysokość przyzna wam patenty na wszystkie maszyny, o których roz-
mawiamy podczas dzisiejszego spotkania.

- Jestem pазernym człowiekiem, jak zresztą wszyscy prze-
mysłowcy - stwierdził Howsmyn z zakłopotaną miną - ale czuję się dziwnie na myśl, że mógłbym posiadać ten, jak go nazwał... patent. Przecież to jest twój pomysł.

- Mistrzu - odparł Merlin z uśmiechem na ustach. - Nie mam bladego pojęcia, jak wyprodukować większość machin,

0 których wam opowiadam. Może z wyjątkiem armat. No

1 takielunku, który mam zamiar omówić z sir Dustynem. Ale odlewnie, manufaktury tekstylne, umowy handlowe, to wszystko jest mi równie obce, jak moja wiedza dla was. Mu-
simy ściśle ze sobą współpracować, w dosłownym tego słowa znaczeniu, aby osiągnąć sukces. Dlatego też jako wielcy patrioci Charisu nie będziecie mieli nic przeciw temu, że

od-dacie połowę pieniędzy uzyskanych z tytułu owych patentów na rzecz Korony. To w połączeniu z podatkami od towarów, które kupią od was ludzie, powinno zaspokoić wszystkie potrzeby króla.

- A co ty z tego będziesz miał? - zapytał Mychail.

Merlin tylko wzruszył ramionami.

- Powiadają, że seijinowie nie korzystają z dóbr doczesnego świata. Ja osobiście mam niewielkie potrzeby, a król Haarahld obdarował mnie naprawdę wygodną kwaterą i za-pewne z przyjemnością zaoferuje mi zaspokojenie pozosta-łych „niewielkich potrzeb”, jeśli go o to poproszę. Po co mi więc pieniądze?

- Mówisz poważnie? - zapytał mistrz Howsmyn.

Merlin skinął głową.

- Jak najbardziej, mistrzu. Poza tym, w ciągu najbliż-szych kilku lat będę miał zbyt wiele na głowie, by przejm-o-wać się wydawaniem pieniędzy.

- Muszę przyznać, że seijin naprawdę różni się od wszyst-kich ludzi, których znam - oświadczył Mychail, uśmiecha-jąc się blado. Zaraz jednak spowaźniał i pokłonił się Merli-nowi. - Wiedz jednak, że zarówno ja, jak Ehdwyrd, a nawet cały Charis będziemy ci dłużni tak wiele, że zwykłymi pie-niędzmi nie dałoby się tego spłacić. Większość obywateli kró-lestwa nie będzie sobie zdawała z tego sprawy. Ale my nie za-pomnimy. Ze swojej strony mogę obiecać, a ufam, że mówię także w imieniu mistrza Howsmyna, iż pomogę ci w każdej potrzebie, jeśli tylko zwrócisz się do mnie.

Ehdwyrd potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

- Dziękuję wam obu za tę obietnicę - odparł Merlin, trak-tując swoje słowa nadzwyczaj serio. - Obawiam się jednak, że nadszedł już czas, abym spotkał się z sir Dustynem. Książ-kę Cayleb, baron Morskiego Szczytu i hrabia wyspy Zamek powinni przyłączyć się do nas mniej więcej za godzinę. Jeśli mogę prosić, mistrzu Howsmynie, byłbym wdzięczny, gdy-byś także się tam pojawił. Będę potrzebował twojej opinii na pewien temat.

- Tak? - Ehdwyrd spoglądał na niego badawczo przez mo-ment, a potem prychnął pogardliwie. - Chodzi ci zapewne o ten szalony pomysł sir Dustyna, aby objąć kadłuby okrę-tów wojennych miedzianymi blachami?

- Nie nazwałbym tego pomysłu szalonym - odparł seijin, uśmiechając się - ale tak, o tym chciałbym porozmawiać.

- To będzie kosztowało fortunę - zaprotestował Howsmyn.

- Tak, na pewno nie będzie tanie - przyznał Merlin. - Ale sir Dustyn dotyka tym innego, równie ważnego problemu. Pokrycie kadłubów poniżej linii zanurzenia miedzianymi blachami nie tylko ochroni je przed morskimi szkodnikami, ale zmniejszy także, i to w bardzo znacznym stopniu, ich ob-rastanie. A to sprawi, że wszystkie jednostki będą szybsze, zwrotniejsze i bardziej trwałe. - Howsmyn nadal nie wydawał Się przekonany. Merlin spojrzał na niego uważniej. - Dzisiaj fikamy taką oto sytuację, że galera znajdująca się na wodzie przez kilka miesięcy porasta skorupiakami do tego stopnia, iż stawia o wiele silniejszy opór, zmuszając wiosłarzy do znacz-nie większego wysiłku. To z kolei oznacza, że ludzie szybciej się męczą, a jednostka traci sporo ze zwrotności. W przypad-ku żaglowców nie ma mowy o zmęczeniu, ale pozostaje dru-gi z wymienionych przeze mnie czynników.

- Rozumiem - odparł Ehdwyrd, nadal wykazując niechęć, a Mychail wybuchnął gromkim śmiechem. Howsmyn obrzucił go gniewnym spojrzeniem, ale starzec tylko pokręcił głową.

- Przyznaj to wreszcie, Ehdwyrdzie! Prawdziwym pro-blemem jest to, że sir Dustyn odkrył ten sposób, nie ty, choć może chodzić także o fakt, że nie potrafiłeś wymyślić nicze-go innego, kiedy rzucono tę propozycję.

- Nonsens! - warknął w odpowiedzi Howsmyn.

To zaprzeczenie padło tak gniewnym tonem, że Merlin na-tychmiast wtrącił się w rozmowę.

- Wydaje mi się, że znam sposób na załatwienie tej sprawy - powiedział. Nie miał zamiaru raczyć ich wyjaśnieniami takich pojęć, jak elektroliza czy reakcja galwaniczna zachodząca pomiędzy miedzianą blachą a żelaznymi ćwiekami, którymi Howsmyn przymocowywał blachy do kadłuba. Nie musiał tego robić, skoro pokazał im już, jak uniknąć problemu. Zaproponowanie miedzianych łączy, dzięki którym eliminował elektrolityczną korozję stykających się metali, nastręczało nowych kłopotów, ale i tak było o wiele prostsze niż wyjaśnianie tym ludziom, czym jest, dajmy na to, „anoda”.

- Naprawdę? - Howsmyn spojrzał na niego podejrzliwie. Merlin potwierdził.

- Tak. Ale taki popyt na blachę miedzianą, nie mówiąc już o nitach, na pewno zwiększy obciążenia twoich odlewni. Dlatego wdzięczny będę, jeśli pomyślicie wspólnie z mistrzem Mychilem o wcześniejszych inwestycjach w Delthak. Właśnie przyszło mi na myśl, że moglibyście tam wybudować nie tylko odlewnię, ale i stocznię. To pozwoliłoby utrzymać w tajemnicy fakt, że objamy miedzią dna kadłubów. Sprawa i tak się pewnie wyda, ale na pewno nie od razu, a im dłużej przeciwnik nie będzie o tym wiedział, tym lepiej dla Charisu. A skoro będzie tam i odlewnia, i stocznia, możecie też umiejscowić w pobliżu nowe tkalnie i przędzalnie. Jeśli oczywiście znajdzie się tam tyle wody, żeby napędzić wszystkie maszyny. Obaj Charisjanie skinęli głowami, a Merlin odsunął krzesło od stołu, wstał i pokłonił im się lekko. Potem natychmiast opuścił komnatę.

Howsmyn i Mychail zaczęli szeptać do siebie, ledwie zniknęli za drzwiami.

PAŹDZIERNIK ROKU PAŃSKIEGO 890

Pafac księcia Hektora Manchyr, Corisand

M

ój książę.

Oskahr Mhulvayn przyklęknął przed księciem Hektorrem z Corisandu, gdy ten przekroczył próg niewielkiego prywatnego gabinetu, i ruszył w stronę bogato zdobionego krzesła stojącego u szczytu stołu. Phylip Ahzgood, hrabia Corisu, podążył za nim i zasiadł po jego lewicy. Żaden z nich nie wypowiedział słowa przez dłuższą chwilę, a klęczący przed nimi Mhulvayn uznał, że ocieranie spoconego czoła w tym właśnie momencie byłoby raczej... niewskazane.

- Możesz wstać - rzucił książę melodyjnym tenorem, który nie pasował do najbardziej zimnokrwistego polityka, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia Schronienia.

Mhulvayn posłuchał, podniósł się i splótł ręce za plecami, spoglądając w oczy człowieka, dla którego szpiegował już od prawie dwudziestu lat.

Hektor nie zmienił się wiele przez te dwie dekady. Na wciąż ciemnobrązowych włosach pojawiło się kilka pasemek siwizny, przeważnie w okolicach skroni. Przybyło mu też kilka zmarszczek w kącikach oczu. I parę srebrzących się włosów w nienagannie przystrzyżonej brodzie. Nadal jednak był postawnym, wysokim mężczyzną o szerokich ramionach, w odróżnieniu od większości koronowanych głów nie zarzucał bowiem trenowania szermierki z dawnymi nauczycielami.

Siedzący obok hrabia Corisu wypadł w porównaniu z nim Naprawdę blado. W odróżnieniu od księcia miał jasne włosy

i chociaż dorównywał Hektorowi wzrostem, nie mógł się pochwycić tak rozbudowaną sylwetką i muskulaturą. Ma też coś dziwnego w oczach, nie po raz pierwszy pomyślał Mhulvayn. Nie były wcale mniej przenikliwe niż książęce, ale dało się z nich wyczytać, że należą do człowieka, który zawsze wysługuje się innym.

W rzeczy samej teraz też to robił.

- Powiedz mi, mistrzu Mhulvaynie - zaczął książę po kolejnej chwili milczenia - co też poszło nie tak, jak planowaliśmy?

- Nie wiem, mój książę - odparł Mhulvayn.

Nie czuł się dobrze, musząc wyznaczyć prawdę, ale uznał, że lepiej będzie mówić szczerze i nie szukać wymówek.

- To niezbyt dobrze świadczy o twoich źródłach, mistrzu Mhulvaynie - zauważył hrabia Corisu, uśmiechając się złośliwie. Fakt, że twarz księcia nie drgnęła nawet, gdy jego podwładny wtrącił się do rozmowy, był wiele mówiący, przy najmniej dla szpiega.

- Być może, mój panie - odparł. - Mimo że postanowiłem nie szukać wymówek, chciałem zwrócić waszą uwagę na fakt, iż nie tylko naszych ludzi zaczęli ścigać agenci barona Gromu.

- Wybacz, jeśli moja uwaga wyda ci się zbyt głupia, ale czy to nie zabrzmiało czasem jak wymówka? - powiedział hrabia.

- Niezupełnie, mój panie. - Mhulvayn sam się zdziwił, że zdołał odpowiedzieć tak spokojnym głosem. - Chciałem tylko zwrócić waszą uwagę na to, że ludzie barona Gromu mogli wiedzieć o wiele więcej, niż do tej pory przypuszczaliśmy. Zdecydowali się jednak nie reagować, o ile nie wykonamy na prawdę radykalnego ruchu w Charisie. Jeśli Grom wiedział o nas wszystko, nie ma sensu szukać wymówek. Jeśli jednak pojawił się jakiś nowy czynnik, którego nie sposób było przewidzieć ani mu przeciwdziałać zawczasu, sprawa może wyglądać zupełnie inaczej.

Hrabia Corisu skrzywił się i machnął lekceważąco lewą dłonią, ale Hektor zaczął przyglądać się Mhulvaynowi z nie-co większym zainteresowaniem.

- Mamy jedynie fragmentaryczny raport od mistrza Maysahna - stwierdził po chwili zadumy. - Wynika z niego, że istotnie mieliście do czynienia z zupełnie nowym czynnikiem. Pytanie tylko z jakim? Drugie pytanie jest natomiast takie: dlaczego uważasz, że Grom trafił na ciebie za jego sprawą?

- Mój książę - odparł szpieg, uznając za dobry znak, że Hektor postanowił osobiście zadać te pytania. - Nie mam pojęcia, co znajduje się w raporcie Zhaspahra. W chwili gdy porucznik Maythis przybył do Tellesbergu na pokładzie Fraynceen, ja i Maysahn nie mieliśmy ze sobą kontaktu od dwóch pięciodni. Wiedziałem już jednak, że ludzie barona Gromu polują na mnie, i nie miałem zamiaru doprowadzić ich także do niego. Niektóre... elementy tej układanki stały się dla mnie jasne dopiero ostatniego dnia przed wypłynięciem porucznika, ale Zhaspahr mógł o tym jeszcze nie wiedzieć, kiedy spisywał dla ciebie raport. Opowiem ci, panie, o wszystkim, co wiem, ale najpierw, jeśli pozwolisz, chciałbym zadać kilka pytań.

Hrabia Corisu zmarszczył gniewnie czoło, ale Hektor ściągnął tylko usta, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Pytaj - rzucił w końcu.

- Mój książę - Mhulvayn wziął się w garść - czy wiedziałeś, że Kahlvyn Ahrmahk pracował dla Szmaragdu?

Hrabia Corisu nie potrafił ukryć wielkiego zaskoczenia po tych słowach Mhulvayna, mimo iż był szefem wywiadu Ligi Corisandu. Twarz Hektora pozostała obojętna jak zawsze, ale zmienił się nieco wyraz jego przenikliwych, ciemnych oczu. Cisza trwała około dziesięciu sekund, potem książę pokręcił wolno głową.

- Nie - odparł. - Nie miałem o tym pojęcia. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ, zgodnie z plotkami krążącymi po Tellesbergu tuż przed tym, jak wypłynąłem z porucznikiem Maythisem, książę Tirianu był nie tylko szpiegiem Nahrmahna, ale i osobą odpowiedzialną za zorganizowanie zamachu na księcia Cayleba.

- Słucham? - To jednowyrazowe pytanie zostało zadane spokojnym, niemal konwersacyjnym tonem, ale oczy Hektora wyrażały całkowite zaskoczenie.

- Nie miałem niestety czasu na potwierdzanie tych wszystkich opowieści, nawet gdyby udało mi się jakimś cudem skontaktować z którymś z moich dawnych ludzi - ciągnął pośpiesznie wyjaśnienia Mhulvayn - ale wierzę, że są prawdziwe.

- Jakich opowieści?
 - Wszystko wskazuje na to, mój książę, że Kahlvyn Ahrmahk współpracował z Nahrmahnem już od jakiegoś czasu. Zamach został zorganizowany przez niejakiego Lahanga, człowieka Szmaragdu, ale pomysł zgładzenia następcy tronu zrodził się w głowie księcia Tirianu. Zdaje się, że miał to być pierwszy krok na drodze do odebrania tronu Haarahldowi.
 - Dlaczego uważasz - Hektor przytknął oczy, a jego twarz przybrała bardziej poważny wyraz - że te opowieści są prawdziwe?
 - Ponieważ wiedziałem od mniej więcej pięciodnia, że książę Tirianu nie żyje - odparł Mhulvayn.
 - Kahlvyn nie żyje? - To pytanie wyrwało się hrabiemu Corisu, spoglądał teraz przepaszając w stronę Hektora, ale książę zdawał się nie dostrzegać jego niesubordynacji, wpatrywał się intensywnie w twarz Mhulvayna, a w jego oczach można było dostrzec ogromną konsternację.
 - Tak, mój panie. - Oskahr zdecydował się odpowiedzieć na pytanie hrabiego, ale nawet na moment nie oderwał oczu od twarzy księcia. - To wyciekło znacznie wcześniej. Podobnie jak fakt, że był zamieszany w spisek, ale baron Gromu i Haarahld zdołali skutecznie zablokować dokładniejsze informacje, zapewne chcąc najpierw doprowadzić dochodzenie do końca. Nie udało im się to aż do momentu przybycia Frayneen, ale z przecieków dowiedziałem się nie tylko tego, że został zabity. Podobno sprawcą jego śmierci był sam hrabia Szarej Zatoki.
- Hrabiemu Corisu opadła szczeka, Hektor odchylił się na fotelu, opierając ręce na podłokietnikach.
- Widzę, wasza wysokość, że Zhaspahr nie dołączył tych szczegółów do swojego raportu - kontynuował Mhulvayn. - Zamach na następcę tronu został udaremniony przez nagłe pojawienie się tajemniczego przybysza zwanego Merlinem, który utrzymuje, że jest seijinem. Nie jestem w stanie ocenić, czy to prawda, ale wiem jedno: w jego przypadku mamy do czynienia z niesamowicie groźnym szermierzem. Jednego z zamachowców schwytano żywcem, podobno też dzięki temu Merlinowi. Zgodnie z danymi dostarczonymi przez mojego człowieka z pałacu, był to tylko szeregowy najemnik, taki, co nie powinien mieć dostępu do naprawdę istotnych informacji. Niestety, zwłaszcza dla księcia Tirianu, okazało się, że wiedział więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. W każdym razie powiedział podczas przesłuchań coś, co skłoniło barona Gromu do podejrzeń, iż Kahlvyn Ahrmahk kolaboruje w nieznanym mu bliżej celu z księciem Nahrmahnem. Hrabia Szarej Zatoki nie chciał uwierzyć, że jego zięć i kuzyn króla jest uwikłany w taką aferę, ale dowody musiały być naprawdę mocne, cokolwiek tam na niego mieli, ponieważ pierwszy doradca dworu postanowił rozmówić się osobiście z księciem Tirianu. Z tego co mi mówiono, udał się do posiadłości księcia, by nakłonić go do wyznania win i ukorzenia się przed Haarahldem, co wskazywałoby na to, że choć wiedzieli wiele, to jednak nie znali całej prawdy. Żaden z moich informatorów nie był pewien, co wydarzyło się później tej nocy. Zdołałem ustalić tylko jedno: stary hrabia wybrał się do siedziby Kahlvyna w towarzystwie jednego przybocznego i tego Merlina. Gdy doszło do konfrontacji z księciem, wywiązała się walka. Padło w niej od dziesięciu do piętnastu gwardzistów, ponoć rzeź znów była sprawką tajemniczego przybysza, a hrabia Szarej Zatoki osobiście zasztyletował zięcia.
 - Na rany Langhorne'a - wyszeptał hrabia Corisu, dotykając palcami serca, a potem ust.
 - Wierzysz w prawdziwość tych opowieści? - zapytał Hektor.
 - Całkowicie, wasza wysokość - odparł krótko Mhulvayn. - Hrabia Szarej Zatoki na pewno zabił księcia Tirianu. Pałac potwierdził tę wiadomość na dzień przed naszym wypłynięciem, a nie powinniśmy zapominać, że mamy do czynienia z kuzynem króla, czwartym człowiekiem w kolejce do tronu. Gdyby Haarahld miał jakiegokolwiek wątpliwości

co do winy Kahlvyna, jego pierwszy doradca pożegnałby się ze wszystkimi funkcjami, przynajmniej do zakończenia dochodzenia. Nic takiego nie miało miejsca, a tak zwany seijin nadal jest gościem honorowym w pałacu. Mimo że był zamieszany w sprawę, został członkiem gwardii królewskiej i osobistym przybocznym Cayleba.

Hektor powoli kiwał głową, najwyraźniej zastanawiając się nad logiką wyводу Mhulvayna. Na koniec znów spojrział na swojego agenta z ukosa.

- Czy w twojej opinii wydarzenia związane ze śmiercią księcia Tirianu miały coś wspólnego z atakiem na ciebie?

- Tego nie wiem, mój książę. Z jednej strony, nie było żadnych związków pomiędzy Zhaspahrem albo mną a tym nieudanym zamachem. Z drugiej, obaj wiedzieliśmy, że Lahang był szefem siatki Nahrmahna w Tellesbergu. Powiedziałbym, że on także mógł wiedzieć, kim jestem, i być może nieopatrznie wygadał o tym księciu Tirianu albo któremuś z jego ludzi. Pewne jest też, że hrabia musiał usłyszeć coś od swojego zięcia, zanim go zabił. I było to z pewnością coś więcej niż zwykłe przyznanie się do uczestnictwa w zamachu na życie następcy tronu. Lahang zginął bądź też został pojmany jeszcze tej samej nocy. Nikt nie jest pewien, co się z nim stało. Po prostu zniknął. Moim zdaniem został uwięziony i przesłuchany, najprawdopodobniej dość... ostro, zważywszy na to, że chodziło o zamach na życie Cayleba.

- Skąd to przypuszczenie?

- Choćby stąd, jak brutalnie baron Gromu i jego ludzie rozprawili się z resztą siatki Nahrmahna po jego zniknięciu, mój książę. Aresztowano dziesiątki jego najbardziej doświadczonych agentów, w tym kilku prominentnych charisjańskich kupców i nawet kogoś ze szlachty. Część z nich została stracona, zanim zdążyłem opuścić Tellesberg, a po mieście krążyły słuchy, że to jeszcze nie koniec aresztowań. Znasz, wasza wysokość, reputację Haarahlda i barona Gromu. Oni rzadko się wazą zamknąć człowieka, jeśli nie są całkowicie pewni jego winy. A te aresztowania, że nie wspomnę już o egzekucjach, wydają mi się widowym dowodem na to, że któryś z najlepiej zorientowanych w sytuacji agentów Nahrmahna, może nawet sam Lahang, zaczął mówić, zanim został zabity.

- A ty uważasz, że ten ktoś wiedział także o twojej działalności? - zapytał Hektor.

- To jedyne wytłumaczenie, które przychodzi mi do głowy, mój książę - odparł z całą szczerością Mhulvayn. - Z tego co wiem, na razie nie podejrzewają o nic Zhaspahra, a także mimo iż wystawiono nakaz aresztowania mnie przy pierwszej sposobności, nie ruszono żadnego z moich ludzi ani kontaktów. Istnieje wprawdzie możliwość, że pozostawiono tych ludzi w spokoju, żeby sprawdzić, kto pojawi się na moje miejsce, ale osobiście uważam, iż ktoś z siatki Nahrmahna wymienił moje nazwisko podczas przesłuchania. Baron Gromu wiedział wystarczająco dużo, by zacząć mnie podejrzewać, ale wątpię, by miał pojęcie o reszcie naszych agentów w Charisie, w przeciwnym razie ruszyłyby nie tylko mnie, ale i innych.

- Rozumiem. — Hektor znów rozparł się na fotelu. Nie poruszył się przez kolejne trzy minuty, a potem skinął głową. - Być może twoja ocena sytuacji jest prawidłowa - powiedział. - Chociaż równie dobrze może być mylna. W każdym razie nie musimy podejmować pochopnych decyzji.

Podniósł niewielki srebrny dzwoneczek i potrząsnął nim. Dźwięk był donośny i miły dla ucha, a gdy ucichł, otworzyły się drzwi komnaty.

- Tak, mój książę? - zapytał kapitan gwardii książęcej.

- Odprowadź tego człowieka do jego kwatery - powiedział Hektor. - Upewnij się, że jest dobrze traktowany, i postaraj się zaspokoić wszelkie jego potrzeby, oczywiście w granicach rozsądku. Zrozumiano?

- Tak jest, mój książę.

- Dobrze. - Hektor odwrócił się do Mhulvayna. - W tej chwili nie mam powodu, by podejrzewać, że zostałeś ujawniony z własnej winy albo że źle mi służyłeś. To co zrobiłeś dla mnie wcześniej, także świadczy na twoją korzyść. Ale dopóki nie zyskam całkowitej pewności, będziesz trzymany pod strażą.

- Oczywiście, mój książę.

- Dobrze - powtórzył Hektor i odprawił ich lekceważącym machnięciem dłoni. Kapitan gwardii pokłonił się Mhulvaynowi z szacunkiem, otworzył drzwi i wyprowadził go z sali. Szpieg wyszedł do przedsionka, żywiąc ostrożny optymizm co do swojej przyszłości.

- Co o tym sądzisz? - zapytał książę Hektor, spoglądając w stronę hrabiego Corisu, gdy drzwi zamknęły się za wychodzącymi.

- Wydaje mi się, że nie mamy żadnego źródła, które mogłoby potwierdzić choć jedno jego słowo, mój książę - odparł hrabia po chwili zastanowienia.

- Zatem uważasz, że kłamie?

- Tego nie powiedziałem - stwierdził hrabia Corisu z o wiele większą pewnością w głosie niż zazwyczaj, gdy rozmawiali w obecności osób trzecich. - Stwierdziłem jedynie, że nie mamy niezależnych źródeł, które mogłyby potwierdzić, czy to prawda. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że Mhulvayn kłamie. Stwierdzenie, że jego siatka została rozbita z powodu nieprzewidywalnej interwencji kogoś z zewnątrz, wygląda na klasyczne krycie własnego tyłka, chociaż nie możemy tego potwierdzić z całkowitą pewnością. Co jednak nie oznacza, że muszę automatycznie zakładać, iż było inaczej. A jeśli nawet okaże się, że powiedział prawdę, ocena sytuacji, którą właśnie usłyszeliśmy, też może być mylna.

- A ja - odparł książę Hektor po dłuższej chwili zastanowienia - wierzę w jego wersję. Nie wysyłaliśmy głupków do Tellesbergu, a tylko idiota wymyśliłby podobnie niedorzeczną historię, wiedząc, że prawda trafi do naszych uszu prędzej czy później. Sądzę też, że jego teoria na temat ostatnich wydarzeń jest dosyć prawdopodobna.

Książę odsunął fotel, na którym siedział, wstał i podszedł do bardzo szerokiego okna osadzonego w ścianie z rozgrzanego kamienia. Usytuowano je tak, by po otwarciu książę mógł rozkoszować się świeżą bryzą owiewającą Manchyr, stolicę Corisandu, miasto leżące znacznie bliżej równika niż Tellesberg i jeszcze mocniej od niego nasłonecznione. Hektor oparł się o parapet, spojrzął na tropikalne kwiaty w pałacowych ogrodach, wsłuchał się w radosne trele dobiegające z jego ptaszarni.

- Nahrmahn jest szalony - stwierdził cichym, beznamietnym tonem, którym mógł zwieść wielu ludzi, ale na pewno nie Phylypa Ahzgooda. - Choć Tohmas nie jest geniuszem, wie, iż nie warto mieć ze mną na pieńku. Z pewnością też nie należy do idiotów. Za to Nahrmahn potrafi robić z siebie głupka. Wiedzieliśmy o tym od początku. Ale tak krawiec kraje, jak mu materii staje, tyle tylko, że do tej pory nie zdałem sobie sprawy, z jak wielkim idiotą przyjdzie mi kolaborować - westchnął.

- Wiedzieliśmy, że jego ludzie byli zamieszani w ten zamach - stwierdził hrabia Corisu, co Hektor skwitował szybkim skinieniem głowy, nie odrywając wzroku od ogrodów za oknem.

- To prawda. Ale zadawanie się z księciem Tirianu jest oznaką kompletnego zidiocenia. Przecież któryś z nich musiał się w końcu zwrócić przeciw drugiemu. Ale żeby dać się namówić na przeprowadzenie zamachu na księcia Cayleba...? — Książę odwrócił się w stronę hrabiego, potrząsając głową i zaciskając kwadratowe szczęki ze złości. - Gdyby ten zamach się powiódł, książę Tirianu miałby jeden powód więcej, by zdradzić Nahrmahna. Przecież nawet ten głupiec powinien to widzieć!

- Zgadza się, że Nahrmahn nie jest zbyt lotny. Chociaż można na to spojrzeć z innej strony: właśnie pokazał nam, że potrafi bez skrupułów skorzystać z każdego narzędzia, jakie

nawinie mu się pod rękę. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał w najbliższym otoczeniu księcia Tirianu kogoś, kto dobędzie noża w odpowiednim momencie, tak na wszelki wypadek.

- Chyba masz rację - odparł Hektor takim tonem, jak-by przyjął ten argument wbrew własnej woli, potem jednak wzruszył ramionami i znów potrząsnął głową. - Jeśli nawet posiadał takie zabezpieczenia, to i tak nic mu one nie dały. Z tego co mówił Mhulvayn, wynika, że Haarahld zareagował na atak tak, jak przypuszczałem. Ten głupi zamach kosztował Nahrmahna utratę owoców dziesięciolecia żmudnej pracy przy budowie własnej siatki szpiegów w Charisie. Nie wspominając już o naszych stratach w tej samej dziedzinie. Oba-wiam się też możliwości, o której wspomniał Mhulvayn. Baron Gromu może znać tożsamość części naszych agentów, ale pozostawił ich w spokoju, aby obserwować, co uczynią po tym, jak ich zwierzchnik został zmuszony do ucieczki. Ten scenariusz też należy rozważyć. - Wyglądał jeszcze chwilę przez okno, potem wrócił do stołu i zajął dotychczasowe miejsce. - Jeśli Haarahld uzna tę próbę zamachu za akt wojny - dodał znacznie bardziej ponurym tonem - może nie poprzestać na zlikwidowaniu szpiegów Nahrmahna.

- Coś takiego naprawdę jest możliwe?

- Nie mam pojęcia. - Hektor zabębnił palcami po blacie stołu. - Wszyscy wiedzą, jak on hołubi Cayleba i pozostałe dzieci. A z tego, co możemy powiedzieć o jego dotychczasowych posunięciach, nie zlekceważył tej sprawy. Jeśli więc zdobędzie niepodważalne dowody i jeśli uzna je za wystarczające do wypowiedzenia wojny, Nahrman może się zdziwić, widząc któregoś ranka okręty Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu na wodach Zatoki Eraystorskiej. Wtedy będziemy musieli zdecydować, czy poprzemy tego idiotę, co tak na marginesie, powiąże nas ze sprawcami nieudanego zamachu, czy będziemy siedzieli na tyłku, przyglądając się biernie, jak spora część naszego planu obraca się wniwecz.

Hrabia Corisu przymknął oczy i uważnie przysłuchiwał się słowom księcia.

- Wydaje mi się - powiedział w końcu - że gdyby Haarahld miał podjąć jakieś działania militarne, już by to zrobił. Charis posiada wystarczającą liczbę galer, by zmieścić flotę Nahrmahna w jedno popołudnie, jeśli oczywiście nie udzielimy jej wsparcia. Sądzę, że Haarahld, gdyby mógł, nie dałby mu czasu na zawiązanie takiego sojuszu.

- Może by dał, może by nie dał - stwierdził Hektor. - Wiesz dobrze, że Haarahld musi się teraz pilnować. Nie cieszy się zbyt wielką popularnością w Syjonie, a nawet w Świątyni i doskonale o tym wie. Poza tym wszyscy jeszcze pamiętają, że Nahrman, podobnie jak ja, poparł Mahntayla przeciw Breygartowi w sporze o Hanth. A w Świątyni są jeszcze ludzie tacy jak Clyntahn czy też reszta Grupy Czworka, którzy mogą potraktować agresję na Szmaragd jako zemstę na Nahrmanie za to poparcie. Dlatego sądzę, że Charis nie zaatakuje nikogo, dopóki nie zgromadzi naprawdę przekonujących dowodów.

Hrabia Corisu przytaknął.

- Być może. Ale jak powinniśmy się zachować w takim przypadku?

- Będziemy protestować, jeśli spróbują nas powiązać z działaniami Nahrmahna. - Hektor uśmiechnął się blado. - W sumie nie musimy nawet kłamać, aby tego dowieść. Co samo w sobie będzie dla mnie dość osobliwym doświadczeniem. Ponadto powinniśmy zaprosić do nas najważniejszych wielmożów na naradę... nie wspominając o tym Nahrmanowi. Chcę mieć pewność, że zrozumieli, co trzeba zrobić, oczywiście na tyle, na ile mają wiedzieć o naszych posunięciach... Wreszcie chcę tu mieć Tohmasa, żebym mógł mu popatrzeć prosto w oczy.

- Tohmasa? - zdziwił się hrabia Corisu. - Naprawdę uważasz, że Tohmas pragnie romansu z Nahrmanem?

- Nie - odparł Hektor bardzo powoli. - Nie o tym mówię. Ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby Nahrman usiłował wciągnąć go w swoje gierki. Wydaje mi się, że Szmaragdczyk usiłuje wzmocnić tym sposobem jego pozycję w Lidze, podważając jednocześnie mój

autorytet. Nie sędę, by Tohmas okazał się na tyle głupi, aby mu ulec, ale wolę zyskać pewność w tej sprawie.

- A jeśli Nahrmahn dowie się, że uczestniczyliście obaj w potajemnym spotkaniu? Albo że nie zaprosiliśmy jego reprezentanta na żadną z naszych narad?

- Nic złego się nie stanie, jeśli zyska taką wiedzę. - Hektor zaśmiał się okrutnie, a jego oczy zaślniły posepnie. - Po pierwsze: Tohmas jest jednym z najwyższych dostojników Ligi, do której Szmaragd nawet nie należy. Nahrmahn nie ma prawa zasiadać przy naszym stole obrad, jeśli sami go nie zaprosimy. Po drugie: niech się trochę przestraszy... - Hektor prychnął pogardliwie. - Poza tym wątpię, by po tej próbie zamachu mógł zmienić strony i przyłączyć się do stronników Haarahlda, gdybyśmy mu nawet dopieklili do żywego.

- Też tak uważam - przyznał hrabia Corisu i się uśmiechnął.

- Tymczasem powinniśmy zdecydować, jak zwiększyć naciski na Charis, teraz kiedy Haarahld jest skoncentrowany na dobraniu się do skóry Szmaragdczykom. Oczywiście - do dał książę gorzkim tonem - nie możemy zapominać o odbudowywaniu tego, co utraciliśmy w Tellesbergu na skutek fiaska nierozsądnej akcji Nahrmahna.

- Jakie dokładnie naciski, panie?

- Wiem, że nie mamy szans na otwarte wystąpienie przeciw Charisowi - przyznał książę - ale gdybyśmy je nawet mieli, wstrzymałbym się od działania. W końcu to uwaga Nahrmahna o potrzebie podjęcia bezpośredniej akcji spowodowała dzisiejsze zamieszanie! Dlatego uważam, że musimy zdwoić nasze wysiłki na rzecz pozyskania przychylności Rady Wikariuszy.

- To ryzykowne - przypomniał mu hrabia Corisu.

Oczy Hektora zaślniły, ale przyjął uwagę hrabiego o wiele spokojniej, niż mogliby się tego spodziewać jego dworzanie.

- Wiem o tym - przyznał kilka sekund później. - Ale dla Haarahlda to jeszcze bardziej ryzykowne niż dla nas. Ta cholerna Akademia jest pętlą nałożoną na jego szyję. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy przekonać Grupę Czworka, żeby zrobiono z niej użytek na szubienicy.

Hrabia Corisu przytaknął, ale w tym geście było więcej z przyjęcia do wiadomości słów księcia niż ich akceptacji. Hektor znał powód takiego stanu rzeczy. Corisand znajdował się jeszcze dalej od Świątyni niż Charis, więc w oczach władz Kościoła zasługiwał na równie wielką nieufność jak królestwo. Dlatego Hektor robił wszystko co w jego mocy, by nie dawać Świątyni powodów do podejrzeń, podczas gdy Haarahld poparł Akademię Królewską założoną przez jego ojca i reformy ustrojowe zapoczątkowane przez jego dziadka. Hektor i Nahrmahn rozdali hierarchom Świątyni o wiele więcej złota niż król Charisu, niemniej hrabia Corisu nadal sprzeciwiał się zagraniu kartą Świątyni.

- A co zamierzasz uczynić w sprawie owego Merlina, o którym wspomniał Mhulvayn?

- zapytał hrabia, a książę zareagował na tę dyskretną zmianę tematu kolejnym uśmiechem.

- Na razie niewiele - odparł. - Nie wątpię, że ten człowiek jest naprawdę dobry w robieniu mieczem, ale sądząc po tym, co stało się z organizacją Nahrmahna w Tellesbergu, nie trzeba było wielkiego geniusza ani nawet seijina, zakładając, że oni naprawdę istnieją i nie są wyłącznie dziełem fantazji, by do niej przeniknąć. Wygląda na to, że trafił przypadkiem na ślad, dzięki któremu zapobiegł zamordowaniu Cayleba, a teraz korzysta jak może z uzyskanej sławy.

- Myślisz, książę, że to jakiś poszukiwacz przygód?

- Wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie - zgodził się Hektor. - Jakkolwiek na to patrzeć - jego ton zrobił się odrobinę poważniejszy - Haarahld nie jest takim głupcem jak Nahrmahn. Zważywszy na to, że ów człowiek uratował mu syna, powinien zostać przynajmniej gościem honorowym dworu. Być może Haarahld znajdzie mu jakieś odpowiednie stanowisko w pałacu, które będzie mógł piastować do końca życia.

Posada osobistego przybocznego księcia wygląda mi właśnie na coś takiego. Uznam, że jest kimś więcej niż łowcą przygód, dopiero wtedy, gdy dostąpi zaszczytu i dołączy do wąskiego grona doradców króla.

- Czy nie powinniśmy więc poczynić odpowiednich kroków. .. aby go usunąć?
- Po tym, jak Nahrmahn spartolił robotę z księciem Cay- lebem? - Hektor pokręcił głową, śmiejąc się głośno. - Ostatnie, czego teraz nam trzeba, to zaangażowanie naszych ludzi, jeżeli posiadamy jeszcze jakichś agentów w Tellesbergu, w kolejną próbę zamachu! Gdyby to się udało, Haarahld za-pewne zacząłby podejrzewać Nahrmahna, ale właśnie zyska-liśmy naoczny dowód, że próby zamachów nie zawsze kończą się tak, jak to sobie planujemy.
- Wydaje mi się, że faktycznie mieliśmy tego dowód - przy-znał hrabia Corisu, wykrzywiając usta w parodii uśmiechu.
- Sam widzisz - odpowiedział mu Hektor. - Zatem po-winniśmy poczekać z decyzją usunięcia naszego przyjaciela seijina. Dopóki nie zagrozi nam w bardzo wyraźny sposób, mamy wiele innych celów, na których powinniśmy się skupić.

II

Szkuner Świt, Wypa Helena

I

jak tam, kapitanie Rowyn? Co pan o tym sądzi?

Merlin musiał krzyczeć, by jego głos przebił się przez wycie wiatru i szum wody. Mewy i morskie wywerny kłębi-ły mu się nad głową niczym połyskująca w jasnych promie-niach słońca chmura składająca się wyłącznie z białych piór i wielobarwnej skóry. Nurkowały i wzbijały się ponownie w powietrze nad pokładem pięćdziesięciostopowego, dwu-masztowego szkunera noszącego nazwę Świt, gdy ten pruł błękitne wody południowej części Zatoki Howella, wzbudza-jąc co chwilę lśniące wszystkimi barwami tęczy obłoki wod-nej zawiesiny i zostawiając za rufą prosty, spieniony kilwater.

Świt był pierwszym szkunerem, jaki powstał na Schro-nieniu. Sir Dustyn Olyvyr został uznany za jego oficjalnego twórcę, a Merlin pełnił w tej podróży rolę zwykłego pasażera. Niemniej Horahs Rowyn, szyper Ahnyet, prywatnego jach-tu Olyvyra, należał do wąskiego, ale wciąż rosnącego krę-gu wtajemniczonych, którym powierzono częściową prawdę o tym, komu Charis zawdzięcza tak wielki wysyp wynalaz-ków. Stąd też wiedział, kto był rzeczywistym pomysłodawcą nowego takielunku dla tej przybrzeżnej jednostki, lecz mimo to - na przekór bezgranicznej lojalności wobec swojego sze-ffa - otwarcie powątpiewał w wiedzę Merlina.

Ale to właśnie miało ulec zmianie.

Kapitan, przysadzisty łysiejący mężczyzna z kępkami si-wych włosów okalających wysokie, opalone czoło i ogorzałą od słońca twarz, stał na krótkim, ciasnym pokładzie rufowym szkunera, wpatrując się z niedowierzaniem w przyczepiony do topu masztu pas materiału, wskazujący kierunek wiatru.

Świt szedł lewym halsem, na maksymalnie strymowanych żaglach. Niby nic dziwnego dla każdego, kto zna się odrobi-nę na żeglownianiu, ale szkuner pruł fale przechylony mocno naciskiem nowusieńkich, śnieżnobiałych żagli na sterburkę, z prędkością, o jakiej nikt wcześniej nie mógł marzyć.

Najlepsze statki Schronienia, wyposażone w wielkie pro-stokątne żagle, były niewiele szybsze od ociężałych karawe- li, na których Kolumb wyruszył na poszukiwanie drogi do Indii w 1492 roku, a ich wizja „maksymalnego strymowa- nia” żagli daleka była od tego, co prezentował Świt. Gale-ony kursujące po morzach i oceanach tej planety nie potrafi-ły płynąć pod wiatr, mogły się poruszać co najwyżej pod ką-tem siedemdziesięciu stopni do jego kierunku. Nimue Alban określiłaby ich osiągi jako bardzo słaby wynik nawet przy idealnych warunkach pogodowych. Niemniej bliższe prawdy było stwierdzenie, z którym

zresztą większość miejscowych żeglarzy nigdy by nie polemizowała, że kąt ten bliższy był osiemdziesięciu stopniom.

Tymczasem Świt potrafił się zbliżyć do granicy pięćdziesięciu stopni. Choć i ten wynik daleki był od standardowych osiągnięć jachtów, którymi pływała Nimue po słonych wodach Starej Ziemi. Tyle tylko, że pierwszy szkuner Merlina nie został zbudowany od podstaw. Stworzono go na bazie starego statku żeglugi przybrzeżnej. Miał stosunkowo niewielkie zanurzenie i bardzo szeroki kadłub. Nie posiadał też stępki ani miecza, tak charakterystycznego dla ziemskich jachtów. Merlin i sir Dustyn dodali mu wprawdzie boczne miecze, by poprawić hydrodynamikę, ale było to dość nieporadne, tymczasowe rozwiązanie i szkuner pomimo dobrego takielunku sprawował się gorzej niż znane Nimue slupy i jolki, którymi pływała kiedyś rekreacyjnie.

Mimo że Nimue Alban czuła ogromne rozczarowanie osiągnięciami Świt, pamiętając własne wyczyny z Morza Północnego na Starej Ziemi, Merlin czuł satysfakcję, a kapitan Rowyn wprost oniemiał. Żaden statek nigdy wcześniej nie był zdolny do wykonania takiego manewru i chociaż te dwadzieścia czy trzydzieści stopni nie robiło wielkiej różnicy przeciętnemu szczerowemu lądowemu, doświadczony żeglarz wiedział od razu, z jak niesamowitą zmianą ma do czynienia.

Jedynym sposobem, by żeglować pod wiatr, było maksymalne strymowanie żagli i wykonywanie kolejnych zwrotów przez sztag, to na prawą, to na lewą burtę. W najlepszym razie osiągnano niewielkie prędkości okupione morderczym wysiłkiem załogi i kompletnie nieopłacalne wyniki w porównaniu z sytuacjami, gdy płynęło się z wiatrem albo posiadało inny napęd. W tym ostatnim wypadku tutaj, na Schronieniu, mogło chodzić wyłącznie o... galery i wiosłarzy.

Halsowanie, które polegało zasadniczo na wykonywaniu zwrotów pod wiatr, było nieco bardziej efektywne, ale wymagało posiadania lżejszych jednostek potrafiących poruszać się z dużą prędkością i zdolnych do utrzymywania sterowności wystarczająco długo, by zdołały wykonać zwrot, przecinając kierunek wiatru. Zważywszy na to, że większość jednostek pływających po Schronieniu dysponowała wyłącznie prostokątnymi żaglami, takie wyczyny należały tutaj do rzadkości. Znacznie częściej, zwłaszcza przy słabych albo co najwyżej średnich wiatrach, najnowocześniejsze jednostki tego typu wolały wykonać zwrot na rufę i płynąć z wiatrem w przeciwną stronę niż ta, w którą do tej pory zmierzały, zataczając spory łuk liczący około dwustu stopni, zanim weszły na nowy kurs. W trakcie wykonywania podobnych manewrów traciły mnóstwo czasu i cofały się naprawdę daleko, jeśli wiatr okazywał się mocniejszy, niż sądzono.

Nic dziwnego, że halsowanie stało się ulubioną techniką żeglowania tutejszych szyprów, ale nawet w tym przypadku jednostki wyposażone w prostokątne żagle musiały, idąc pod wiatr, wykonywać zwroty liczące ponad sto czterdzieści stopni. Tymczasem Świt nie potrzebował więcej niż dziećdziesięciu stopni. Miał więc o wiele mniejszą strefę podwietrzną do pokonania, a jego takielunek pozwalał na o wiele szybsze wykonywanie manewrów, niż to miało miejsce w przypadku klasycznego, prostokątnego ożaglowania. Prościej mówiąc, potrzebował mniej czasu na dokonanie zwrotu, a jego żagle mogły znaleźć się w nowym ustawieniu

o wiele szybciej.

Gdyby jednak pominąć fakt, że nowy rodzaj takielunku pozwala na znacznie szybsze wykonywanie manewrów, Świt

1 tak posiadał niemal dwudziestostopniową przewagę nad najdoskonalszymi jednostkami tradycyjnymi (choć prawdę powiedziawszy, wynosiła ona więcej niż dwadzieścia pięć stopni), co oznaczało, że musiał przepłynąć, halsując, około dziećdziesięciu mil, aby osiągnąć punkt docelowy znajdujący się w odległości sześćdziesięciu mil pod wiatr od miejsca startu, podczas gdy statki posiadające prostokątne

żagle musiały robić ich sto osiemdziesiąt, i to pod warunkiem że za każdym razem udanie halsowały, a nie robiły zwrotów przez rufę.

W odróżnieniu od przed metrycznych systemów miar na Starej Ziemi, na Schronieniu mile morskie i lądowe miały tę samą długość, co oznaczało, że gdyby Świt i tradycyjny żaglowiec szły z równą prędkością sześciu węzłów, szkuner dotarłby do oddalonego o sześćdziesiąt mil celu po piętnastu godzinach rejsu, a jego konkurent dopiero po trzydziestu. Przy odległościach liczonych w setkach albo nawet tysiącach mil oznaczało to gigantyczne oszczędności w czasie podróży. Ale nie tylko. Z prostego wyliczenia wynikało również, że statek z prostokątnymi żaglami nigdy nie doścignie szkunera, jeśli obie jednostki będą płynęły pod wiatr, co mogło być idealną obroną przed atakami piratów. Chociaż ten akurat element działał też w drugą stronę. Tradycyjny żaglowiec mógł poruszać się szybciej z wiatrem, co również rodziło ciekawe implikacje dla okrętów wojennych i... piratów.

Merlin zdawał sobie sprawę, podobnie zresztą jak kapitan Rowyn, że obecny takielunek nie jest jeszcze idealnie wybalansowany i potrzebuje zbyt dużego zwrotu na zawietrzną, by iść właściwym kursem. Na razie nie było jednak na Schronieniu takiego fachmana, który potrafiłby idealnie rozmieścić wszystkie żagle i obliczyć ich stabilność, nie mówiąc już o dokładnym dobraniu kursu. Merlin posiadał dostęp do odpowiednich wzorów, dzięki bazom danych w jaskini Nimue, ale nawet on, pomimo jej wielkiej biegłości w temacie żeglarstwa, nie potrafił ich przekazać miejscowym żeglarzom. Nie mógł ich przecież pokazać Olyvrowi czy też Rahzhyrowi Mahklynowi bez wywoływania mnóstwa pytań, na które wolałby nie odpowiadać.

Ale bez względu na wszystko tak doświadczony konstruktor, jak Olyvyr, powinien wkrótce sam dojść do odpowiednich wniosków, co zaowocuje projektami nowych, znacznie sprawniejszych żagli.

Dzięki nim, pomyślał z satysfakcją Merlin, następcy Świt-u będą od niego znacznie szybsi i zwrotniejsi.

Rowyn nadal nie spuszczał oczu ze wskaźnika umieszczonego na topie masztu.

Najwyraźniej nie dosłyszał słów wypowiedzianych przez Merlina, dlatego też seijin poklepał go po ramieniu. Charisjanin podskoczył, potem odwrócił szybko głowę, rzucając pytające spojrzenie.

- Pytałem, co o tym myślisz, kapitanie? - zawołał raz jeszcze Merlin, na co Rowyn wyszczerzył się w uśmiechu.

- Myślę, że muszę mieć jeden z twoich szkunerów! - odkrzyknął w odpowiedzi. - Jak pewnie każdy szyper, który go zobaczy w akcji. Na rany Langhorne'a! Spójrz, jak on się kładzie na fali! No i ta redukcja rąk potrzebnych do obsługi żagli, to dopiero będzie gratka dla tych wszystkich kutw posiadających własne statki.

- To prawda - przyznał Merlin skwapliwie.

Na jednostkach o tradycyjnym, prostokątnym ożaglowaniu trzeba było wielu ludzi do pracy; szkunery, nawet tak niezdarne jak Świt, mogła obsługiwać znacznie szczuplejsza załoga. I odwrotnie, na statkach starego typu znajdowała się tak ogromna liczba żagli, w większości naprawdę małych w stosunku do całej powierzchni takielunku, że system ten utrzymywał pełną sprawność przy o wiele większych uszkodzeniach niż w przypadku szkunera.

- Sir Dustyn poinformował mnie, że zamierza przebudować Ahnyet - ciągnął Rowyn, łypiąc na Merlina z takim żalem, że ten musiał wybuchnąć śmiechem.

- Swit to tylko jednostka eksperymentalna, kapitanie. Mając go do dyspozycji, sir Dustyn będzie mógł przerobić Ahnyet z pominięciem wszystkich dotychczasowych błędów. Jako że sam ją zaprojektował, będzie miał lepsze wyczucie przy nanoszeniu modyfikacji takielunku. A potem zaprosi na pokład potencjalnych kupców i popłynie z nimi w krótki rejs poza falochrony Tellesbergu. Oczywiście na zwykłą wyćieczkę w gronie przyjaciół.

- Oczywiście! - potwierdził kapitan, śmiejąc się głośno i szczerze. - Używał tej jednostki do podobnych celów, odkąd na niej służy. Ale to... - Wyciągnął rękę i pogładził czule re-ling pokładu rufowego, unosząc głowę, by raz jeszcze spojrzeć na szczyt masztu i łopoczący tam wskaźnik, a potem ponownie przeniósł wzrok na Merlina. - Wydaje mi się, po-ruczniku Athrawes, że powinienem poświęcić więcej czasu na okiełznanie tej bestii. Chociaż zabrzmiało to jak stwierdzenie, Merlin wiedział, że kapitan skierował do niego prośbę, gdyż tak naprawdę to seijin stworzył tę jednostkę i to on będzie uczył pozostałych wszystkiego, co wie na jej temat.

- Sądzę, że to doskonały pomysł, kapitanie - przyznał, uśmiechając się w myślach. Ciekawe, jak zareagowałby sir Dustyn, gdyby dowiedział się, jakie motywy naprawdę mną kierowały, kiedy upierałem się przy zastosowaniu skośnego ożaglowania na prototypie? Wbrew sobie roześmiał się tak głośno, że nawet Rowyn spojrział na niego z wielkim zaintrygowaniem. Ale Merlin pokręcił tylko głową. W końcu sami dojdą do tego, że najlepsze dla szkunera będą topsle. Po ich dodaniu na obu masztach 1 dodatkowej zmianie głównego żagla na pierwszym, na prostokątny, mogli uzyskać najmocniejszy takielunek dla dwu- masztowca, jaki kiedykolwiek powstał. Jednostka ta poru-szałaby się szybciej i pewniej z wiatrem bez utraty spraw-ności nawet przy ostrym halsowaniu, co z pewnością było-by wielką zaletą dla wszystkich tych, którzy oczekiwali od statku szybkich przejść - tyle tylko, że w tej wersji trudno będzie mówić o znaczącej redukcji załogi. Niemniej Merlin nie zamierzał tłumaczyć Rowynowi ani sir Dustynowi Oly- vyrowi, że człowiek, który sprezentował im ten niesamowi-ty takielunek, nie ma najmniejszego pojęcia, jak obsługuje się prostokątne żagle.

To z pewnością nie wpłynęłoby zbyt dobrze na odbiór mo-ich kolejnych „sugestii”, pomyślał ironicznie, potem wziął się w garść i posłał Charisjaninowi szeroki uśmiech.

- Może podejdzie pan tutaj i przejmie ode mnie ster na kilka minut, kapitanie Rowyn? - zapytał.

LISTOPAD ROKU PAŃSKIEGO 890

Kwatery arcybiskupa Erayka, Miasto Syjon

D

zien dobry, Erayku.

Dynnys wyprostował się w wygodnym fotelu. Cóż, ten mebel byłby wygodny, gdyby nie niedawny wypadek. Był po-rządnie i miękko obity, a siedzisko miał na tyle głębokie, że lokaj i gwardzista musieli podnosić arcybiskupa, gdy ten chciał wstać.

Niestety, przy nodze złamanej w trzech miejscach i pęk-niętym barku (tylko dwukrotnie) nie było mowy o jakimkol-wiek komforcie siedzenia.

W tym momencie problem bólu musiał ustąpić kilku in-nym, nieco ważniejszym troskom, gdyż Dynnys ujrzał przed sobą człowieka w prostym pomarańczowym czepcu wika-riusza.

- Witaj, wasza łaskawość - odparł. - Wybacz mi ten nie-ład. Nie... Nie spodziewałem się twojej wizyty dzisiaj rana.

- Wiem o tym - stwierdził wikariusz Zahmsyn Trynair, uśmiechając się przyjaźnie. - Byłem w okolicy, załatwiając inną sprawę, i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, co u cie-bie słychać.

Dynnys także się uśmiechnął i pokiwał głową, chociaż wiedział doskonale, że Trynair kłamie i nawet nie stara się tego ukryć, jakby nie zależało mu na tym, czy Erayk coś za-uważy.

Kanclerz Rady Wikariuszy nie wpada ot, tak sobie do zwykłego arcybiskupa. Zwłaszcza o tej porze roku, kiedy wi-

zyta wymaga od niego opuszczenia ogrzewanych cudownym sposobem luksusowych apartamentów mieszczących się we-wnątrz kompleksu Świątyni.

- Pozwolisz? - Trynair wskazał ręką na wolny fotel stojący w salonie Dynnysa. Szafirowy pierścień jego urzędu zalśnił w świetle lamp, przywołując arcybiskupa do rzeczywistości.

- Ależ oczywiście, wasza łaskawość - odparł pośpiesznie Erayk. - Wybacz mi ten brak manier. Naprawdę nie spodziewałem się ciebie, a moi medycy wciąż raczą mnie wywarem z maku.

- Drobnostka - stwierdził wspaniałomyślnie Trynair. - Ciesz się, że nie odniosłeś poważniejszych obrażeń po tak groźnym upadku.

- Dziękuję waszej łaskawości za zrozumienie.

Dynnys poczekał, aż wikariusz usiądzie na wskazanym fotelu. Kanclerz był wyższy od niego, szczuplejszy, miał bardziej kościstą twarz, głębokie inteligentne spojrzenie i krótko przystryżoną brodę. Nosił pomarańczową sutannę przypisaną do jego eksponowanego stanowiska, na której wyszyto niebieskie pióro, znak zakonu Chihiro. Na połach grubego materiału, z którego ją uszyto, wciąż mieniły się topniejące płatki śniegu.

- Czy mogę zaoferować waszej łaskawości coś gorącego do picia? - zapytał Dynnys, gdy hierarcha rozgościł się na dobre i wyciągnął zziębnięte dłonie w kierunku ognia trzaskającego wesoło na palenisku.

- W taki dzień jak dzisiaj nie odmówię filiżanki gorącej czekolady - przyznał Trynair, a Dynnys natychmiast skinął głową w stronę lokaja. Sługa bez słowa pośpieszył do drzwi, by dostarczyć zamówiony napój.

- Nie wychodziłem od dawna, wasza łaskawość - odezwał się arcybiskup - ale ludzie powiadają, że mamy straszłą zimę tego roku.

- Prawdę powiadają, Erayku. - Hierarcha zachichotał i pokręcił głową. - Dopiero listopad, daleko jeszcze do prawdziwej zimy, a napadało ze trzy stopy śniegu! Nie pamiętam tak obfitych opadów późną jesienią. Na dodatek już dzisiaj mogę przewidzieć, jak to się odbije na naszych semaforach - spoważniał nagle.

Dynnys pokiwał głową ze smutkiem. Największą słabością kościelnego systemu komunikacji była zła widoczność. Mrok, śnieg, deszcz, mgła - potrafiły odciąć dopływ informacji do Kościoła Matki. Istniał wprawdzie inny system pozwalający na wysyłanie sygnałów w ciemnościach, ale był

o wiele bardziej zawodny - ryzyko pomyłki podczas odczytywania na kolejnych stacjach semaforowych rosło niewspółmiernie - no i o niebo wolniejszy. Tyle tylko, że nawet z niego hierarchowie nie mogli korzystać, gdy zaczynał padać śnieg.

- Jak zwykle w taki czas, wasza łaskawość - rzekł po dłuższej chwili, a w jego głosie dało się wyczuć ton rezygnacji.

- Ano jak zwykle. Ci, którzy mieszkają w cieplejszych stronach, zazdroszcząc nam posad, zapominają, jak wysoką cenę przychodzi płacić każdej zimy za mieszkanie w pobliżu Syjonu i Świątyni. Choć ty - tu wikariusz zachichotał pośnownie, a wyczulone ucho Dynnysa wychwyciło w tym śmiechu ton wskazujący na to, że nie jest on tak spontaniczny, za jaki miał uchodzić - oszczędzałeś sobie ostatnimi laty tej katorgi.

- Chyba tak - zgodził się Erayk wolno, gdyż jego otumioniony wywarem z maku mózg nie pozwalał mu jednocześnie myśleć i mówić. - Muszę też przyznać, wasza łaskawość - dodał, odwzajemniając uśmiech - że planowałem moje wizyty duszpasterskie pod tym właśnie kątem, aby uniknąć zimy w Syjonie.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził krótko Trynair, a potem prychnął z pogardą. - Tylko kompletny wiejski głupek nie zaplanowałby wyjazdu na zimę, gdyby dano mu taką szansę. Sam bym tak zrobił!

- Może to jest - Dynnys wskazał na gips założony mu przez składaczy kości, aby unieruchomić połamaną nogę

1 bark - moja pokuta za te kilka lat unikania mrozów.

Starał się wypowiedzieć to zdanie neutralnym tonem, ale miał spore trudności z kontrolowaniem głosu. Ból nie był jego jedynym problemem. Składacze kości uprzedzali, że grozi mu co najmniej poruszenie się o lasce, gdyż noga z pewnością nie będzie tak sprawna jak przed wypadkiem.

- Szczerze mówiąc, wątpię. - Trynair przemówił tak jowialnym tonem, że Dynnys zaczął podejrzewać, iż zna już diagnozę, którą jemu medycy przedstawili dopiero niedawno. - Nikt z nas nie jest doskonały, Erayku, także ty, ale na prawdę nie widzę powodu, dla którego miałbyś być pokarany w aż tak potworny sposób. Z drugiej jednak strony - oczy kanclerza spoważniały - wydaje mi się, że ten wypadek wydarzył się w naprawdę niezręcznym momencie.

- Co wasza łaskawość ma na myśli? - Dynnys zmrużył oczy, gdy zdał sobie sprawę, że Trynair wreszcie poruszył temat, który jest prawdziwym powodem jego wizyty.

- Z pewnością wiesz, że mamy pewne... wątpliwości co do Charisu - stwierdził kanclerz.

Nie spuścił wzroku z oczu arcybiskupa, dopóki ten mu nie przytaknął.

- Wiem, wasza łaskawość. Przekazałem opinię o nich biskupowi egzekutorowi Zheraldowi i ojcu Paityrowi, sam też poświęciłem im sporo czasu podczas ostatniego pobytu w Tellesbergu. Ale teraz... - Wskazał lewą dłonią na ciężki gips i wzruszył zdrowym ramieniem.

- To zrozumiałe. - Trynair pochylił się, by poklepać Dynnysa po zdrowym kolanie, po czym wyprostował się, gdy do salonu powrócił lokaj niosący zrobioną z cienkiej jak papier harchońskiej porcelany filiżankę wypełnioną gorącą czekoladą.

Kanclerz przyjął naczynie, mamrocząc słowa podziękowań, upił spory łyk parującego płynu, rozkoszując się ciepłem, podczas gdy lokaj postawił należący do tego samego zestawu dzbanek i drugą filiżankę na niewielkim stoliku znajdującym się pomiędzy wikariuszem a Dynnyssem. Spojrzał potem znacząco, wskazując głową puste naczynie, ale arcybiskup potrząsnął lekko głową. Sługa zgiął kark w pełnym szacunku poклонie i wycofał tak cicho, jak się pojawił.

- Rozumiem, podobnie jak wszyscy bracia, dlaczego twoja wizyta duszpasterska musiała zostać odwołana w tym roku - podjął wikariusz po chwili. - To godne pożałowania, ale zważywszy na obrażenia, jakie odniosłeś, również nieuniknione.

- Cieszę się, że wasza łaskawość to rozumie. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie wolałbym spędzać tego czasu w Tellesbergu.

Wskazał zdrową ręką w stronę okna salonu. Szyby zostały mocno osadzone w ramie, więc w komnacie nie hulał lodowaty wiatr, jak to miało miejsce w wielu domostwach Syjonu, ale każdą z tafli szkła pokrywały grube warstwy szronu, mimo iż w kominku bez przerwy płonął ogień. Arcybiskup wiedział, że mieszkańcy innych, nie tak bogatych dzielnic musieli kłębić się w takie dni wokół każdego źródła ciepła, jakie znaleźli, a jesień i zima zawsze były dla nich porami głodu. Jak dotąd statki wciąż mogły dotrzeć na tę stronę Jeziora Pei, dowożąc plony farm leżących na dalekim południu Ziemi Świętych, ale i te szlaki wodne wkrótce zamrzną. Miasto stanie się wtedy zależne od zapasów zgromadzonych w silosach i magazynach, lecz te, choć gigantyczne, jakimś cudem zawsze pustoszały, zanim zdążyła nadejść prawdziwa wiosna. Topniejące śniegi znowu odkryją zwłoki tych nieszczęśników, których zabiła kombinacja głodu, chłodu i braku schronienia.

- A ja skłamałbym - odparł Trynair, spoglądając mu prosto w oczy - gdybym powiedział, że wolałbym widzieć cię dzisiaj tutaj, niż wiedzieć, że jesteś tam.

- Wybacz mi, wasza łaskawość, ale zaczynam podejrzewać, że dzisiejszego ranka nie wpadłeś do mnie ot, tak przypadkiem. Czuję się niezwykle zaszczycony z tego powodu, ale nie potrafię się pozbyć myśli, że trapi cię coś więcej niż tylko zła pogoda.

- Masz rację, skłamałem odrobinę - przyznał Trynair, uśmiechając się przy tym. Wypił jeszcze parę łyków czekolady, potem odstawił filiżankę. - Załatwiałem na mieście inne sprawy, w tym punkcie nie mijałem się z prawdą, Erayku, ale masz rację, chciałem się z tobą podzielić pewnymi myślami, które bardzo mnie niepokoją.

- Oczywiście, wasza łaskawość. Powiedz mi, proszę, czym mogę służyć naszemu Kościołowi.

Dynnys wychwycił ton niepokoju we własnym głosie, ale Trynair zlekceważył go zupełnie. Najwyraźniej kanclerz nie pierwszy raz miał do czynienia z podobną reakcją. Kanclerz jako członek ciała kolegialnego, zwanego (oczywiście nieoficjalnie) Grupą Czworka, był jednym z najpotężniejszych ludzi w całej Świątyni.

Wszyscy wiedzieli, że wielki wikariusz Ereka XVII otrzymał to stanowisko tylko dlatego, że Trynair miał zbyt wiele zajęć, by sięgać po Tron Langhorne'a dla siebie. Nie musiał tego robić, bo i po co. Ereka XVII był zwykłym figurantem, kompletnie zdominowanym przez Trynaira i wielkiego inkwizytora, czyli najważniejszych członków Grupy Czworka. W korytarzach Świątyni powiadano - ale zawsze ściszym głosem, czujnie rozglądając się na wszystkie strony - że wielki wikariusz potrafi okazać swoją niezależność, i robi to każdego ranka, osobiście wybierając parę butów, które pragnie tego dnia włożyć.

- Nie ma chyba osoby niezadowolonej z twojej dotychczasowej posługi, Erayku - zapewnił kanclerz. - Aczkolwiek musisz sobie zdawać sprawę z tego, że kilku członków Rady zaczyna być zaniepokojonych... rosnącym bogactwem i wciąż poszerzającymi się wpływami Charisu. Krążą plotki, że Korona para się pozyskiwaniem zakazanej technologii i wiedzy. Inne, równie wiarygodne źródła twierdzą, że Haarahld i jego ministrowie ukrywają faktyczne dochody, by nie płacić dziesięciny. Do tego dochodzi sprawa Hanth, no i oczywiście wieczny temat Akademii Królewskiej Haarahlda. - Trynair pokręcił głową, zamyślił się głęboko, a Dynnys, wykorzystując moment, zaczerpnął ukradkiem tchu.

- Wasza łaskawość - zaczął - wiem, że wszystkie te pogłoski i doniesienia muszą być zbadane. Niemniej przypominam o raportach biskupa egzekutora Zheralda i ojca Paityra, które przedstawiłem Radzie. Moje osobiste spostrzeżenia podczas ostatniej wizyty duszpasterskiej były następujące...

- Erayku - przerwał mu Trynair, unosząc dłoń i potrząsając lekko głową. Arcybiskup natychmiast zamilkł.

- Nikt nie oskarża ciebie ani biskupa egzekutora Zheralda o jakiegokolwiek uchybienia czy też zbyt małe zainteresowanie obowiązkami. Sam osobiście czytałem wiele twoich raportów, jak i innych źródeł informacji. Wierzę w twoją inteligencję i oddanie sprawom powierzonego ci arcybiskupstwa. Wiem też, że do tej pory trafnie oceniałeś rozwój wypadków.

- Dziękuję waszej łaskawości - wtrącił szybko Dynnys, gdy Trynair na moment zamilkł. - Doceniam to.

- Nie masz za co dziękować - zapewnił go kanclerz, ale zaraz podjął bardzo poważnym tonem. - Raporty, które otrzymywaliśmy w ostatnich miesiącach, różniły się znacznie od poprzednich. Wydawać by się mogło, że otrzymywaliśmy je z różnych źródeł, ale zadziwiająco pasowały do siebie pod względem treści i stylu.

- Wybacz wasza łaskawość, ale mam zrozumiałe zaległości w mojej korespondencji z ostatnich pięćdziesiąt dni - stwierdził ostrożnie Dynnys. - Czy w tym czasie doszło do jakichś istotnych zmian?

- Można tak powiedzieć - przyznał Trynair. Erayk natychmiast się wyprostował, krzywiąc z bólu, gdy poruszył zranionymi kończynami. Kanclerz, widząc to, natychmiast pokręcił głową. - Chodzi raczej o ilość informacji niż o ich treść - uspokoił arcybiskupa. - Mówiąc szczerze, to brak dostępu do semaforów sprawił, że zaczęliśmy się baczniej przyglądać zaległej korespondencji, na co nikt wcześniej nie miał czasu. W końcu - dodał z

uśmiechem - gdyby nie to zajęcie, już dawno byśmy pozamarzali! — Dynnys roześmiał się pośluszenie, ale jego oczy pozostały poważne. Trynair zauważył to i wzruszył ramionami. - Czytałem też, jak i reszta Rady 2 wikariuszem Zhaspyrem na czele, raporty ojca Paityra do-noszące o nowych wynalazkach w Charisie. I chociaż przed-stawiciel Inkwizycji w Koronie wydawał się jak zwykle skru-pulatny i rzeczowy w relacjonowaniu faktów, wikariusz Zha-sPyr nie wyglądał na w pełni zadowolonego z jego konkluzji.

Dynnys poczuł wyraźne zaniepokojenie. Starał się tego nie okazywać, ale dość szybko zrozumiał, że nie zdoła nad sobą zapanować, i przeklął w myślach otumaniające leki.

- Nikt nie twierdzi, Erayku, że mamy do czynienia z jaw-nym pogwałceniem Zakazów - obwieścił uspokajającym to-nem Trynair. - Przynajmniej na razie. Mamy jednak poważne obawy, dokąd te wszystkie zmiany mogą doprowadzić Cha-ris, jeśli nadal będzie podążał drogą innowacji.

- Wasza łaskawość, przysięgam, że jak tylko wyzdrowie-ję, udam się...

- Erayku, Erayku! - Kanclerz pokręcił głową. - Nikt nie oczekuje od ciebie, że natychmiast po wstaniu z łoża bole-ści pognasz do Charisu. Człowieku, jest środek zimy! Po-wiedziałem ci przecież, że nie dostrzeżliśmy żadnych do-wodów na to, iż pogwałcono któryś z Zakazów. Martwi nas wyłącznie przyszłość, więc nie widzimy potrzeby, byś prze-dzierał się przez zasy, próbując coś teraz załatwić. Chcemy jednak, abyś wyruszył z wizytą duszpasterską zaraz po roz-topach, bo na pewno nie pozwolimy, byś udał się w drogę, nim lody opuszczą Przesmyk Hsing-wu.

- Dziękuję, wasza łaskawość. Postaram się wyruszyć w pierwszym możliwym terminie.

- Dobrze. Tymczasem powinieneś poznać punkt wide-nia Rady na ten temat - oświadczył urzędowym tonem Try-nair. - Wczoraj wieczorem wikariusze Zhaspyr, Rhobair, Allayn i ja dyskutowaliśmy o sprawie Charisu podczas nie-formalnej kolacji. Mimo gorąca panującego w komnacie Dynnys poczuł, jak szpik zamarza mu w kościach. Zhaspyr Clyntahn był wielkim inkwizytorem, Rhobair Duchairn piastował funkcję głównego skarbnika Kościoła, Allayn Magwair dowodził siłami zbroj-nymi Świątyni. Ta nieformalna kolacja, jak nazwał ją Try-nair, była w istocie roboczym posiedzeniem Grupy Czworoga. I to w jej pełnym składzie.

- Problem, Erayku, polega na tym - ciągnął kanclerz tym samym oficjalnym tonem - że ostatnie działania Haarahl-da z Charisu mogą sprawić, że Korona stanie się poważnym zagrożeniem. Bez względu na to, co pisze o nowych wyna-lazkach ojciec Paityr, tak szybki postęp, jaki obserwujemy w królestwie, wydaje nam się zagrożeniem. Posiadamy wie-le raportów... choć muszę przyznać, że nie wszystkie pocho-dzą z bezstronnych źródeł... mówiących wprost, że niebezpie-czeństwa, których się lękamy, mogą być bardziej realne, niż zakładaliśmy na początku. Przecież nawet Pismo uczy nas, że jedna zmiana zapoczątkowuje następną, i dlatego Kościół Matka musi zachować daleko idącą czujność. Ale jeśli nawet odłożymy na bok tę sprawę, i tak zostaje wystarczająco dużo wyzwń, które mogą ograniczyć wpływ Kościoła na władzę świecką. Uświadomiłem sobie niedawno, że Kościół Matka i my, którzy mu wiernie służymy, nie powinniśmy się mie-szać w ziemskie sprawy, lecz sam doskonale wiesz, że cza-sami okazuje się to konieczne. Kościół musi stanowczo zare-agować w imieniu Boga w doczesne życie wiernych, aby ich dusze mogły zaznać spokoju po śmierci. Charis staje się zbyt bogaty. Jego flota handlowa dociera zbyt daleko. Inne nacje szybko zaadaptują charisjańskie wynalazki, jeśli zrozumie-ją, że dzięki nim osiągną znaczącą przewagę nad rywalami. Gdy dojdzie do czegoś takiego, nie będziemy musieli prze-jmować się tym, gdzie zajdzie Charis dzięki nienasyconemu głodowi postępu... bo cały świat zostanie zarażony tą samą chorobą. Nie możemy też zapominać o charisjańskiej krnąbr-ności. Także ona jest eksportowana na pokładach frachtow-ców. Gdy inne królestwa dostrzegą bogactwo, do którego do-szedł Tellesberg, zapragną pójść w jego ślady. Twoje raporty pokazują wyraźnie - spojrzenie Trynaira utkwilo w oczach Dynnysa - że król

Haarahld jest upartym człowiekiem, czego najlepszym dowodem było wyniesienie jego człowieka do godności biskupa Tellesbergu. Obawiam się, że ten właśnie upór może sprawić, iż zechce rządzić swoim królestwem samodzielnie... nawet gdyby kolidowało to z interesami Kościoła Matki.

Cisza wypełniła całą przestrzeń wokół nich na wiele sekund, od czasu do czasu przerywała ją uderzenie wiatru o szyby i trzask pękających węgli w palenisku.

- Wasza łaskawość - odezwał się w końcu Erayk - dzięki ci za to, że przekazałeś mi obawy Rady. Sądzę, że rozumiem powody, jakimi się kierowaliście, ale błagam, abyś z pozostałymi wikariuszami nie podejmował pochopnych decyzji w tej sprawie. Bez względu na to, co się teraz dzieje, Charis jest jednym z pomniejszych królestw. Król posiada ogromną flotę handlową i marynarkę wojenną, ale jego włości są mizerne, ludzi też niewielu na nich mieszka. Jakikolwiek niebezpieczeństwo by stanowił Charis, na pewno nie jest ono tak wielkie, byśmy sobie z nim spokojnie nie poradzili.

- Ufam i mam nadzieję, że się nie mylisz, Erayku - odparł Trynair po kolejnej chwili milczenia. - Pamiętaj jednak o słowach archanioła Pasquale: zakażenie może się rozlać po ciebie nawet z niewielkiej ranki, jeśli jej odpowiednio nie oczyścisz i szybko nie opatrzysz. Nas nie niepokoi Charis ani jego potęga, tylko to, co może tam wykiełkować i rozlać się po reszcie Schronienia za jakiś czas. Szczerze powiedziawszy, najbardziej lękam się tego, że fundamentalne zagrożenie ze strony Charisu może się połączyć z nastawieniem typowym dla mieszkańców Siddarmarku.

Dynnys otworzył usta, aby zaprotestować, ale natychmiast je zamknął. Więc o to chodziło Trynairowi...

Od pięciu dziesięcioleci książęta Kościoła niepokoiли się rosnącymi wpływami Siddarmarku. Republika zajmowała trzecią część kontynentu zwanego Haven i chociaż miała o wiele mniej ludności niż sąsiednie Imperium Harchon-gu, jej piechota siała strach i spustoszenie na polach wielu bitew. I w odróżnieniu od armii harchońskiej albo Desnairu, jej najwyżsi oficerowie nie dziedziczyli stanowisk, tylko byli na nie wybierani.

Republikę dzieliły od Ziemi Świętych tak zwane Państwa Graniczne, które zajmowały pas ziemi liczący ponad dwa i pół tysiąca mil i ciągnący się od Przesmyku Hsing-wu na północy po Zatokę Dohlar na południu, gdzie ich terytoria stanowiły bufor szeroki na tysiąc trzysta mil. Niestety, na północny wschód od Gór Światła, na południowym brzegu przesmyku, takie prowincje Republiki, jak Tarikah czy

Lodowa Ziemia, graniczyły bezpośrednio z Ziemiemi Świętymi.

Siddarmark, w przeciwieństwie do Charisu, posiadał wystarczająco liczne społeczeństwo i armię, by zagrozić bezpieczeństwu Świętych.

Wprawdzie groźba zaatakowania Kościoła Matki przez Republikę była dzisiaj znikoma, ale najważniejsi hierarchowie nie mieli zamiaru jej ignorować. Nie bez powodu Trynair i jego poprzednicy na stanowisku kanclerza przez ostatnie trzydzieści lat robili co mogli, by rozegrać władców Dohlaru i Cesarstwa Desnairu przeciw Republice.

Gdyby jednak bogactwa i ogromna flota Charisu sprzymierzyły się z niepokonanymi pikinierami Siddarmarku, krucha przeciwwaga dla Republiki, którą Kościół z takim mozółem budował na Haven, mogła prysnąć jak bańka mydlana. A gdyby doszło przy okazji do wymieszania przysłowiowej krąbrności Charisjan, na którą tak narzekał przed momentem kanclerz, z podobnym zaciętrzewieniem mieszkańców Siddarmarku, Świętynia znalazłaby się w największym niebezpieczeństwie od zarania dziejów.

- Rozumiem waszą łaskawość — powiedział Dynnys. - To poważne sprawy, o których nie powinno się rozmawiać za pomocą semaforów, nawet gdy pogoda na to pozwoli.

Natychmiast przygotuję instrukcje dla biskupa egzekutora Zheralda i wyślę kuriera drogą lądową. Przekażę mu wasze troski i nakażę wyjątkową czujność. A gdy Przesmyk Hsing-wu zostanie oczyszczony wczesną wiosną, sam udam się w podróż do Tellesbergu.

- Dobrze, Erayku, bardzo dobrze — odparł Trynair, uśmiechnął się i sięgnął ponownie po filiżankę z czekoladą.

II

Tellesberg, Królestwo Charisu

S

tój!

Merlin odstąpił natychmiast, opuszczając drewniany miecz ćwiczebny i spojrział zaintrygowany w stronę księcia.

- Tak, wasza wysokość? W czym problem?

Następca tronu sięgnął do maski szermierczej lewą ręką. Twarz miał zlaną potem i wyglądał na zmęczonego, gdy spojrzał w stronę „porucznika Athrawesa”.

- Ty... - wysapał z trudem - nawet się... nie spociłeś.

Merlin skrzywił się. Nie mógł tego ukryć, gdyż w odróżnieniu od księcia nie nosił ani maski, ani ćwiczebnego pancerza.

- Powinieneś się pocić - upierał się Cayleb. - Pot otwiera pory w skórze. To pomaga pozbyć się toksyn.

- Doceniam twoją troskę, wasza wysokość - seijin pochylił głowę w płytkim ukłonie - ale ktoś tu dba o to, byśmy jeźdźli same zdrowe rzeczy, więc nie martwiłbym się wypacaniem toksyn.

- O, tak! - prychnął następca tronu. - Zauważyłem, jaki z ciebie wybredny smakosz! - Pokręcił głową. - Może zaczniesz się bardziej starać przy stole.

- Staram się, wasza wysokość, staram.

Cayleb zaśmiał się pod nosem, Merlin także, chociaż spostrzeżenie księcia nie było do końca humorystyczne, co nie uszło uwagi seijina.

Dzięki temu, że konstruktorzy CZAÓ umożliwili osobie sterującej odczuwanie smaku jedzenia i picia, spożywanie posiłków sprawiało mu pewną przyjemność. Niestety, system pozbywania się resztek, w który wyposażono to mechaniczne ciało, z pewnością zadziwiłby każdego mieszkańca Schronienia choćby dlatego, że nie posiadało ono układu trawiennego w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Choć mechanika procesu była bardzo podobna, to co pozostawało po obróbce przez nanoselektory, różniło się na tyle od ludzkich odchodów, że jylerlin musiałby osobiście opróżniać własne nocniki. Na jego szczęście w Tellesbergu istniała już wewnętrzna kanalizacja, a przynajmniej stosowano ją w obrębie pałacu królewskiego.

Miał też inny, niewielki problem, który został przed chwilą wytknięty przez księcia przy okazji żartobliwego komentarza o poceniu. CZAÓ mógł się „pocić”, ale nie była to funkcja, której pożałowałyby znakomita większość jego użytkowników, z dość oczywistych powodów zresztą. Sprawienie, by pot pojawiał się w wystarczającej ilości i w odpowiednich miejscach, wymagało skomplikowanej modyfikacji wewnętrznego oprogramowania Merlina. Niestety, co książę raczył właśnie zauważyć, pomimo tej regulacji ilość wydzielanego potu różniła się znacznie od parametrów przewidzianych dla ludzkiego ciała. Na szczęście Merlin miał na podorędziu prostą wymówkę, mógł więc wytłumaczyć podobne anomalie - nawet w krytycznych sytuacjach - utrzymaniem niezwyklej dyscypliny ciała i umysłu.

- Wydaje mi się, wasza wysokość - dodał - że te dygresje na temat pocenia miały na celu odwrócenie uwagi od twojego zmęczenia.

- To był cios poniżej pasa, Merlinie! - Cayleb roześmiał się i pokręcił głową. - Naprawdę paskudny cios poniżej pasa.

- Z całym szacunkiem, wasza wysokość - wtrącił Ahr-nahld Falkhan, obserwujący ich trening z boku - ale porucznik Athrawes ma rację. Wyglądasz na nieco bardziej sponiewieranego niż on.

- Może dlatego, że nie jestem seijinem - odciął się książkę. - Jakoś nie widzę, żebyś miał ochotę zająć moje miejsce i dać się upokorzyć, Ahrnahldzie.

- Może dlatego, że mnie wystarczają umiejętności szermiercze, których już nabyłem, wasza wysokość - odparł pośpiesznie Falkhan i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

- Cóż mogę rzec, to naprawdę jest upokarzające - stwierdził chwilę później następca tronu, mierząc Merlina wzrokiem od stóp po czubek głowy. Podczas trenowania kendo seijin, w odróżnieniu od ubranego w ćwiczebny pancerz księcia, pozostawał rozebrany od pasa w górę.

Czuł się nawet odrobinę winny z tego powodu. Ale Cayleb potrzebował każdej dostępnej osłony, gdyż przepuszczał zbyt wiele niespodziewanych, karzących „dotknięć” trenera, nie będąc w stanie sięgnąć ciała Merlina, jeżeli ten na to nie pozwoli. Nie było w tym niczego zaskakującego, chociaż seijin czuł, że Cayleb przewyższa zdolnościami - i to znacznie - nawet Nimue Alban. Tyle tylko, że następca tronu nie stawał do pojedynków z komandor porucznik, ale jej awatorem, Merlinem Athrawesem, którego impulsy nerwowe poruszały się setki razy szybciej niż jego własne. Reakcje seijina były - nazwijmy to po imieniu - „nieładzko” szybkie, co wykorzystywał w pełni podczas szkolenia Cayleba.

I nie chodziło mu bynajmniej o zawstydzenie księcia, co ten ostatni od razu zrozumiał.

Następca tronu wyraził zainteresowanie stylem walki Merlina już pierwszego dnia po wyznaczeniu go na przybocznego, a ten zgodził się bez wahania i od razu przystąpił do nauczania technik, których na tej planecie nie mógł znać nikt inny.

Po wyrażeniu zgody Merlin podarował księciu zapasową katana - tę wykonaną ze zwykłej stali - i podkreślił reakcje oraz siłę CZAEO, aby przygotować następcę tronu do walki z przeciwnikiem daleko bardziej niebezpiecznym niż człowiek. Cayleb wykazywał ogromną chęć rywalizacji. Odebrał całkowitą niemożność przebicia się przez bloki Merlina jako klasyczne wyzwanie i nie zniechęcał się, wiedząc, że trening z tak doskonałym przeciwnikiem jak seijin sprawi, iż przyszłe pojedynki ze zwykłymi ludźmi będą równie proste i nie-męczące jak spacer po parku.

Poza tym, pomyślał rozbawiony Merlin, jestem seijinem, a to zobowiązuje. Muszę być lepszy od niego. Wewnętrzna radość zdołała wydostać się na jego usta, gdy przypomniał sobie, jak Pei Kau-yung uczył Nimue Alban tych samych ruchów i technik. Kiedy zdołasz ukraść ten kamyczek z mojej dłoni, świerszczyku? - zwykł mawiać stary komandor przed każdą rundą, traktując te słowa jako część rytuału, a potem ruszał do przodu z takim impetem, jakby zamierzał przepędzić uderzeniami duszę z jej ciała.

Merlin nadal nie potrafił zidentyfikować tego cytatu. Kau-yung obiecał Nimue wyjawic tę tajemnicę, gdy pierwszy raz zostanie pokonany, ale ten moment nigdy nie nastąpił.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Pokręcił głową, spoglądając w stronę Cayleba, lecz w myślach pozostając przy Nimue i Kau-yungu.

- Jeśli będziesz to robił tak długo jak ja, świerszczyku - powiedział - może zdołasz mi dorównać w walce.

- Świerszczyku? - powtórzył książkę, unosząc brwi ze zdziwienia. Na Schronieniu istniał odpowiednik ziemskiego świerszcza, ale był mięsożerny i mierzył nie mniej niż dziećwieć cali długości. - Cóż to miało znaczyć?

- Powiem ci, wasza wysokość - odparł Merlin - jeśli zdołasz trafić mnie trzy razy z rzędu.

- Czyżby? - Cayleb zmierzył go wściekłym spojrzeniem, a Falkhan wybuchnął śmiechem.

- Nie pomagasz mi, Ahrnahldzie - ostrzegł go książkę, ale porucznik zbył jego uwagę wzruszeniem ramion.

- Wydaje mi się, że to bardzo rozsądny warunek, wasza wysokość. Pomyśl o tym jak o dodatkowej... motywacji.

- A może potraktuję to jak wyzwanie, któremu nie można sprostać?

- Jestem pewien, że ja tak bym tego nie potraktował, wasza wysokość.

Uśmiech powrócił na twarz seijina, gdy przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Pod względem osobistych przeżyć i doświadczeń nie był wcale starszy od Falkhana. Nimue Alban miała zaledwie dwadzieścia siedem lat, gdy Federacja rozpoczęła operację Arka. Ale kiedy Merlin przyglądał się tym mężczyznom, czuł się o wiele starszy od nich. Czyżby te kilka stuleci, które CZAO spędził w uśpieniu, ze wspomnieniami Nimue w molekularnych obwodach sztucznego mózgu, pozostawiło jakieś ledwo wyczuwalne echa?

- I lepiej tego tak nie traktuj - poradził porucznikowi księżę złowieszczym tonem, potem otarł pot z czoła wierzchem rękawicy. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu - zwrócił się seijina - chciałbym zakończyć dzisiejszy trening. A skoro

Ahrnahld jest tak pewny siebie, może po południu spróbujemy sił w meczu rugby.

- Jesteś pewien, wasza wysokość, że to dobry pomysł? - zapytał natychmiast Falkhan, na co Cayleb uśmiechnął się paskudnie.

- O tak, jestem tego pewien, Ahrnahldzie. Zwłaszcza że Merlin będzie grał w mojej drużynie.

Porucznik posmutniał w jednej chwili, wywołując kolejne salwy śmiechu następcy tronu.

- A czy Merlin zna zasady gry? - zainteresował się Falkhan.

- Zasady? W rugby?

- Nawet w tej grze obowiązują jakieś zasady - stwierdził porucznik, a potem wzruszył ramionami. - Dobrze, wasza wysokość. Wyzwanie przyjęte.

Charisjańskie „rugby”, jak się okazało, w niczym nie przypominały gry, którą znał Merlin. Nimue Alban nigdy nie grała w rugby, dla niej była to „rozrywka dla zbirów, w którą grają dżentelmeni”, tak bowiem określił tę dziedzinę sportu jej ojciec. Niemniej widziała kilka meczów ligowych i dlatego Merlin był pewien, że da sobie radę.

Tyle tylko, że charisjańskie rugby okazały się sportem wodnym.

Seijin nie miał bladego pojęcia, kto wynalazł tę dyscyplinę i dlatego nazwano ją identycznie jak zupełnie inną grę rodem ze Starej Ziemi. W każdym razie zdołał dostrzec tylko kilka niewielkich podobieństw do meczów, które miała okazję oglądać Nimue. Celem gry było wpakowanie piłki - niesymetrycznego, mocno napompowanego pęcherza morskiej krowy, ssaka mierzącego około dziesięciu stóp i przypominającego z grubsza ziemskie morsy - w sieć drużyny przeciwnej, przy czym zawodnicy brodzili w wodzie sięgającej im po ramiona. Wyglądało na to, że każde zagranie jest dozwolone, może z wyjątkiem utopienia przeciwnika, dopóty ten nie wypuścił piłki z rąk. Merlin był przekonany, że muszą istnieć jakieś zasady tej gry, ale dość szybko zrozumiał, że jeśli nawet są, to nie ma ich zbyt wiele. Na razie strategia gry polegała głównie na tym, że dopadało się przeciwnika, pakowało mu głowę pod wodę i czekało, kiedy się podda.

W normalnej sytuacji Merlin nie miałby z tym żadnego kłopotu. Był przecież dziesięciokrotnie silniejszy od najlepszego z przeciwników, dysponował także znaczną przewagą szybkości, no i nie potrzebował powietrza pod wodą. Niestety, pojawiło się kilka mniejszych problemów.

Po pierwsze: Charisjanie mieli zwyczaj pływania nago, jeśli w wodzie znajdowali się przedstawiciele tylko jednej płci. Po drugie: rugby wyglądało na bardzo kontaktowy sport. Po trzecie: CZAO został zaprogramowany tak, by reagować w pełni na bodźce otoczenia. Po czwarte wreszcie: Nimue Alban była kobietą.

Merlin zdążył już zauważyć, że pomimo prostej zmiany płci kobiety wcale nie stały się dla niego seksualnie atrakcyjniejsze. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad tym głębiej. Ale teraz, gdy trafił nagle w sam środek mokrego kłębowiska siedemnastu nagich ciał mężczyzn - wszystkich bez wyjątku młodych i doskonale zbudowanych - zrozumiał, co oznacza sformułowanie, że CZAO „reaguje w pełni na bodźce otoczenia”.

Nimue nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak kłopotliwe i wstydliwe musiały być pewne reakcje jej przyjaciół i chłopaków, kiedy doprowadzała ich, prowokując, do wielkiego podniecenia, zwłaszcza gdy znajdowali się w towarzystwie. Według Merlina ten mecz mógłby być bez problemu uznany za wydarzenie towarzyskie, dlatego tym bardziej czuł się za-wstydzony reakcjami swojego ciała. Fakt, że nigdy wcześniej nie odczuwał podobnych bodźców, dodatkowo wzmacniał jego zainteresowanie naturą tego fenomenu.

Podniecenie zmusiło go do pozostania przez cały czas w wodzie, która jemu sięgała tylko do piersi, a po zakończonej grze opuścił ją ostatni, natychmiast obwiązując się ręcznikiem.

- Czy tam, skąd pochodzisz, nie gracie w rugby? - zapytał go Cayleb, wycierając włosy. Merlin, mając ręcznik na biodrach, nie mógł robić tego samego, pokręcił więc mokrą głową.

- W Górach Światła mamy trochę zimniejszą wodę - wyjaśnił. Wymyślił to na poczekaniu, ale Cayleb nie miał możliwości sprawdzenia jego słów. - Graliśmy w rugby, kiedy byłem dzieckiem, ale to była zupełnie inna gra. Przede wszystkim rozgrywaliśmy mecze na suchym lądzie.

- To by wiele tłumaczyło - stwierdził książę, uśmiechając się pod nosem. - Przez kilka minut obawiałem się, że drużyna Ahrnahlda wygra. Ale w końcu załapałeś, o co chodzi.

- Ręczę ci, że wiem już wszystko, wasza wysokość - odparł seijin.

- Świetnie. Bo następnym razem musimy in naprawdę natrzeć uszu.

- Zrobię co w mojej mocy - obiecał Merlin.

III

Apartamenty wikariusza Rhobaira Duchairna,

Świątynia Boga

Mówiłem wam, że nic dobrego z tego nie wyniknie - zrzędził Zhaspahr Clyntahn.

Wielki inkwizytor był korpulentnym mężczyzną, o siwych, starannie przyczesanych włosach i wydatnym brzuszku, świadczącym o skłonnościach do dobrego jedła i napitku. Na jego pomarańczowej sutannie, gdy odsunął się od stołu w jadalni Rhobaira Duchairna, by zaraz ponownie sięgnąć po kielich wina, widać było kilka ciemniejszych plam z sosu.

- Daj spokój, Zhaspahrze - zganiał go Duchairn. Był wyższy od Clyntahna i miał znacznie bardziej ascetyczny wygląd. - A niby co miał zrobić Dynnys twoim zdaniem? Na litość boską, przecież ten człowiek ma złamaną nogę i pęknięty bark! Naprawdę sądzisz, że zdołałby wskoczyć na grzbiet konia albo smoka i pognać przez takie śnieżne zadymy?

- Gdyby lepiej się sprawiał, zanim złamał nogę - oświadczył gniewnie Allayn Magwair - dzisiaj nie mielibyśmy tego problemu.

- O ile mamy jakiś problem - skontrolował Duchairn.

- Daj spokój, Rhobairze - wtrącił się Zahmsyn Trynair. - Może Allayn i Zhaspahr przesadzają z tym widzeniem świata w czarnych barwach, ale ty na pewno jesteś zbyt wielkim optymistą.

- Jeśli myślisz o wysokości dorocznej kontrybucji wpływającej do naszego skarbcza z Charisu, to masz całkowitą rację - odparł hardo Duchairn. - Wydaje mi się też, że z jakiegoś powodu zarządcy naszych majątków wolą robić zakupy w Charisie niż w znacznie bliższym Harchongu czy Republice.

Chrząknięcie, którym podsumował jego wypowiedź Clyntahn, przypominało dźwięki wydawane zazwyczaj przez świnie, za to Magwair i Trynair skinęli tylko głowami, choć ten pierwszy uczynił to nader niechętnie.

Każdy z mężczyzn zasiadających wokół okrągłego stołu w przytulnie ciepłym wnętrzu Świątyni był potężniejszy - nawet w świeckim tego słowa rozumieniu - od wielu książąt Schronienia, a nawet królów. Niemal wszyscy kontrolowali znakomitą większość kościelnych włości rozsianych po innych krainach i posiadali gigantyczne majątki i latyfundia tutaj, na Ziemiach Świątynnych. Oprócz miejsc w Radzie Wikariuszy zajmowali

także ławy w gronie Rycerzy Ziemi Świętych, uznawanych za nieformalny rząd kościelny państwa. I bez względu na to, czy potrafili to przyznać czy też nie, wiedzieli doskonale, że manufaktury Charisu i jego flota handlowa dostarczały najlepszych towarów za najniższą cenę.

Nie wspominając już o tym, że Korona płaciła trzy albo 1 czterokrotnie większe sumy tytułem dziesięciny niż jakiekolwiek inne królestwo Schronienia.

~ Nikt z nas nie zamierza zabijać wyverny, która znosi złote jaja, Rhobairze - powiedział Trynair - ale prawda jest taka, o czym wiesz równie dobrze jak ja, że musimy zrobić coś w sprawie Charisu. Korona staje się zbyt potężna, zbyt bogata i za bardzo zakochana w tych swoich „wynalazkach”.

- Tak, tak - mruknął Clyntahn i upił spory łyk z kielicha.

Trynair nie dał się zwieść, podobnie jak obaj jego kompani. Zhaspahr Clyntahn był pazerny z natury, ale pożył nie tylko dobrego jedzenia czy wina. Był niebezpiecznie wręcz inteligentnym człowiekiem o bardzo złożonej osobowości. W jego ciele kłębiły się: ambicja, lenistwo, cynizm i niepożądane pragnienie piastowania najwyższych urzędów. Potrafił być niesłyszalnie energiczny jednego dnia i cholernie ospały następnego, ale tylko głupiec mógł go lekceważyć.

- Zahmsyn ma rację, Rhobairze - odezwał się po dłuższej chwili Magwair. - Haarahld i jego irytujące królestwo są nam potrzebni. Nikt tego nie kwestionuje. Ale z drugiej strony stanowią zagrożenie, które musimy powstrzymać, nim będzie za późno.

Duchairn mruknął coś, przyznając mu rację, potem przekrzywił głowę i uśmiechnął się paskudnie.

- Pozostają nam jeszcze raporty ojca Paityra, Zhaspahrze - wtrącił prowokacyjnym tonem.

- Pieprzony „ojciec Paityr” - zachnął się Clyntahn. - Cała ta banda Wylsynna jest gorsza od wrzodów na dupie!

Trynair pochwycił kielich i uniósł go do ust, by ukryć uśmiech satysfakcji. Magwair miał mniej taktu i wybuchnął głośnym, choć krótkim śmiechem. Głównym powodem wysłania Wylsynna do Charisu, o czym wiedzieli wszyscy poplecznicy Zhaspahra, był fakt, że ojciec Paityra został głównym konkurentem Clyntahna do tronu wielkiego inkwizytora. To była naprawdę zawzięta rywalizacja. Zhaspahr wygrał ją tylko dlatego, że opinia gorliwego reformatora, która przylgnęła do Wylsynna, zniechęciła do niego kilku niezdecydowanych członków Rady.

- Gdyby ojciec Paityr robił co trzeba, nie musielibyśmy się teraz tak czaić - gderał Clyntahn.

- W takim razie wezwij go do powrotu i wyślij kogoś pewniejszego na jego miejsce - zaproponował Duchairn.

- Ha! To mogłoby być idealne rozwiązanie! - Zhaspahr omal nie uśmiechnął się szyderczo. - Nie możesz się już doczekać widoku tego dziada i jego tatuśka, którzy stają przed Radą i donoszą, że naciskałem na niego, by fałszował te pieprzone raporty?

Duchairn przymierzał się do kolejnej riposty, ale zrezygnował i wzruszył ramionami. Mimo wszystko Clyntahn miał rację. Młody Paityr z pewnością zachowa się w taki sposób, a jego tatuś i pozostali członkowie niesamowicie bogatego rodu na pewno go wesprą. Bez względu na pobożność, żaden z nich nie uszanuje świętości i rozniosą tę sprawę wszędzie. A już na pewno nie przegapią żadnej okazji do dokopania któremuś z członków Grupy Czworka.

- Chyba masz rację, Zhaspahrze - przyznał, kończąc dyskusję moment później. - Ale nie da się ukryć, że musimy coś zrobić z tymi raportami.

- To prawda - stwierdził ponuro Magwair.

Żaden nie zaproponował podkolorowania kilku ze wspomnianych raportów, aczkolwiek wiedzieli dobrze, że takie rzeczy miały miejsce w przeszłości.

Poza tym, pomyślał Duchairn, mogą iść o zakład, że ten świętoszkowaty dureń słał kopie każdego ze swoich raportów również do tatusia.

- Z tego też powodu nie mogę nic zrobić w tej sprawie - oświadczył twardo Clyntahn. - W każdym razie w przewidywalnej przyszłości.

- Bez wsparcia Zhaspahra ja też nic nie mogę zrobić - dołdał zaraz Magwair. Gdybyśmy tylko dysponowali flotą zdolną pokonać Charis, pomyślał z żalem Duchairn.

- Przy takim układzie sił otwarty atak nie wydaje się najsensowniejszym rozwiązaniem - stwierdził Trynair, wzruszając ramionami, gdy wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. - Wystarczająco zachęciliśmy Hektora i Nahr-mahna. Może czas się zastanowić, komu jeszcze szepnąć parę słów na ten temat.

Sądząc po gniewnym prychnięciu, pomysł ten nie spodobał się Duchairnowi. A jednak Rada korzystała z podobnych metod w przeszłości. Rhobair wiedział więc, że nie powinien lekceważyć obaw swoich kolegów - chociaż z chęcią by to uczynił - ponieważ, jak celnie stwierdzili, nie chodziło im o to, czym Charis jest teraz, ale o zagrożenie, jakie jego przykład może stworzyć w przyszłości.

- Kogo masz na myśli? - To pytanie Magwair skierował do Trynaira.

- Wiemy, że Hektor współpracował kiedyś z Gorjahem z Tarota - przypomniał mu kanclerz. - Tam powinniśmy skupić nasze siły. Sensowne wydaje mi się też nawiązanie kontaktu z Rahnyldem z Dohlaru. No i nie od rzeczy byłoby zaalarmowanie Zherohma Vyncyta z Chisholmu.

- Czy nie za wcześnie na tego typu plany? Od kiedy to Dohlar i Chisholm są zainteresowane naszą sprawą? - zapytał Duchairn, ale Trynair wzruszył ramionami.

- Być może - stwierdził w odpowiedzi. - Z drugiej jednak strony zaaranżowanie takich rozmów wymaga sporo czasu. Odległości pomiędzy Świątynią a Charisem albo Corisandem działają na naszą niekorzyść. Jeśli chcemy przeważać szalę zwycięstwa, dorzucając na nią Dohlar i Chisholm, rozsądniej będzie zrobić to z odpowiednim wyprzedzeniem.

- Kogo użyłbyś do tego zadania? - Clyntahn oderwał się od kielicha tylko na chwilę potrzebną do zadania pytania.

- Zhoshua Makgregair jest już na miejscu, w Tarocie. Przedyskutowałem z nim tę kwestię, zanim tam go wysłałem. Prawdę powiedziawszy, wydałem mu bardzo szczegółowe instrukcje na ten temat. Jak tylko pogoda poprawi się na tyle, żeby zaczęły działać semafony, wyślę mu wiadomość, aby je sobie odkurzył i zajął się urabianiem Gorjaha. W przypadku Chisholmu jest jeszcze lepiej. Vyncyt składa w nim właśnie wizytę duszpasterską, a jako jeden z hierarchów ma spore doświadczenie w prowadzeniu rozmów dyplomatycznych. Na pewno zrozumie, do czego zmierzamy, a poruszenie tej sprawy przez niego osobiście może uświadomić Sharleyan, jak wielka jest waga tego problemu, oczywiście, o ile zdecydujemy się na rozpoczęcie negocjacji. Jeśli ograniczymy się tylko do wystosowania ostrzeżenia, Vyncyt może pozostawić swojemu biskupowi egzekutorowi szczegółowe instrukcje, na wypadek gdybyśmy chcieli powrócić do sprawy Chisholmu w późniejszym terminie. Co do Dohlaru, wydaje mi się, że możemy wysłać do Gorath młodego Harysa.

- Ahlbyrta Harysa? - Magwair odchylił się w fotelu, marszcząc brwi. - Czy on nie jest zbyt młody na tak poważne negocjacje?

- Wydaje mi się, że jest na nie gotowy - zaprzeczył Trynair. - I zdążył się już wykazać niezwykle wycuciem w tym właśnie aspekcie dyplomacji. Poza tym, posyłając tam kogoś młodego, zyskujemy możliwość przerwania rozmów, jeśli uznamy, że nie chcemy ich kontynuować. Właśnie dlatego, że jest młody i niedoświadczony, Harys nadaje się do przeprowadzenia w naszym imieniu wstępnych rozmów, gdyż będziemy mogli wiele złożyć na karb jego nadgorliwości. Pora roku także dostarcza nam idealnej wymówki,

dlaczego nie posłałiśmy tam kogoś starszego. Harys jest na tyle młody, by po- dołać podróży przez te śniegi.

Pokiwali głowami, Duchairn także do nich dołączył. Młody, niedoświadczony dyplomata myli instrukcje albo prze-kracza swoje kompetencje wiedziony młodzieńczym entu- zjazmem - to może pozwolić Trynairovi na wycofanie się ze wszystkich obietnic złożonych Rahnyldowi IV. Rhobair Du- chairn rozumiał to doskonale.

Ale to wcale nie znaczyło, że zaczął uważać ten pomysł za dobry. Niestety, jego niechęć do uwolnienia całej furii Kościo-ła przeciw Charisowi lokowała go w mniejszości, a nawet na samotnej pozycji outsidera. Grupa Czworka nie mogła sobie pozwolić na pokazanie licznym wrogom, że w łonie Rady Wi- kariuszy panuje niejednomysłność.

- Rozumiem wasze obawy - stwierdził po chwili milcze- nia, kierując te słowa do pozostałej trójki. - Żeby być całko- wicie szczerym, ja także je podzielał. Ale Charis naprawdę jest wyverną znoszącą złote jaja. Niszcząc flotę królestwa, pozbawimy go źródeł bogactwa, a siebie wszelkich przycho- dów, które dzięki niemu osiągamy, podobnie jak Haarahld J jego ród.

- I co z tego? - Magwair wzruszył lekceważąco ramiona- mi. - Hektor i Nahrman z ochotą zajmą jego miejsce w pa- łacu.

Gdyby mogli tego dokonać, pomyślał z goryczą Duchairn, już dawno byłiby jego rywalami, czyż nie? Potęga Charisu nie sprowadza się do posiadania kilku okrętów.

Ale tego nie mógł powiedzieć ludziom siedzącym przy tym stole.

- Jutro rano przygotuję wstępne spotkanie z ojcem Ahl- byrtem, a potem ułożę odpowiednie wiadomości dla ojca Zho- shuy i arcybiskupa Zherohma - oświadczył Trynair, pod- nosząc swój kielich i wyciągając go w stronę Duchairna. - Pozwolisz jednak, że dzisiaj pomęcę cię jeszcze trochę swoją obecnością, Rhobairze? To wino jest naprawdę wyśmienite. IV

Obóz szkoleniowy piechoty morskiej, Wyspa Helena

B

ryahn, hrabia wyspy Zamek, zsiadł z siodła, czując ogrom- ną ulgę, którą psuła mu wyłącznie myśl, że wkrótce bę- dzie musiał znów w nim zasiąść, by odbyć podróż powrotną. Wielki admirał trzymał się znakomicie jak na swój wiek, ale zbyt wiele czasu spędził na pokładach okrętów. A na takiej na przykład galerze nie ma miejsca - zwłaszcza w wypadku wyższych oficerów - na ćwiczenia wzmacniające kondycję.

Co gorsza, pomyślał, krzywiąc się, gdy masował obola- łe pośladki, oficerowie marynarki spędzają stanowczo zbyt mało czasu w siodle. Nawet ci, którzy za młodu odbyli szko- lenie w jeździe konnej - on sam zaliczał się do takich - mieli naprawdę niewiele okazji do przypomnienia sobie podstaw tej sztuki. Albo do utwardzenia tyłków, żeby nie poobijać ich o siodło, dodał ze złością.

Skończył się masować i zrobił kilka kroków na próbę. Po- szło mu to na tyle gładko, że od razu odwrócił się do adiutanta.

- Zdaje się, że jednak przeżyję tę podróż, Henrai.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie - od- parł z pełną powagą porucznik Henrai Tillyer, chociaż w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Hrabia uśmiechnął się do niego, jednocześnie przypominając sobie, że nie powinien karać młodzika za takie szaleństwa, jak namówienie go do jazdy konnej.

- A ja mam nadzieję, że to będzie warte mojego bólu - wy- mamrotał wielki admirał.

- Zapewniam cię, panie, że będziesz wielce zaskoczony - powiedział Tillyer. - Pozwól za mną.

Hrabia wyspy Zamek podążył śladem swojego adiutanta, z rezygnacją stąpając po stromej ścieżce. Właściwie, chociaż nie przyznałby się do tego za nic, ta chwila wspinaczki wy- dawała mu się całkiem przyjemnym spacerkiem. Znajdowali się na wysokości niemal

tysiąca stóp, licząc od poziomu morza, co w połączeniu z chłodną bryzą wiejącą od strony Zatożki Howella, dawało przyjemne chwile wytchnienia od wiecznych upałów charisjańskiej wiosny.

Ścieżka prowadziła do krawędzi wysokiego zbocza, przed nimi rozciągała się teraz panorama szerokiej doliny. Na jej zachodnim krańcu stał posterunek obserwacyjny. Góry, porzawszy od tego miejsca, zstępowały łagodnie w stronę zatoki w oddali. Czuwający strażnicy mieli stąd dobrą widoczność, sięgającą aż czterdziestu mil, w polu ich widzenia znajdowała się nawet cytadela w Zatoce Królewskiej - gdyby ktoś nadawał sygnały z jej wież, dostrzegliby je bez większego problemu.

Posterunek ten od wielu lat pozostawał w gestii Królewskiej Piechoty Morskiej. Z czasem jednostki korpusu zaczęły wykorzystywać pobliską dolinę i otaczające ją góry do celów szkoleniowych. Niestety nie ćwiczyli tutaj tak często, jak powinni, uświadomił sobie nagle hrabia wyspy Zamek.

Królestwo nie posiadało armii lądowej. Szlachta Charisu miała za to sporą liczbę czeladzi, którą można było powołać pod królewskie sztandary w razie zagrożenia, ale nawet najpotężniejsi panowie nie trzymali pod swoją komendą więcej niż stu chłopów, a armie feudalne w innych krajach odeszły w zapomnienie (głównie ze względu na małą skuteczność bojową) już jakieś sto lat temu. Istniała wprawdzie milicja narodowa, ale w jej szeregach zawsze brakowało ludzi i była raczej słabo wyszkolona. Wystawienie jej przeciw pikinierom Sid-darmarku albo jeździe Desnairu zakrawało na jawną kpinę.

Ale Korona dysponowała korpusem Królewskiej Piechoty Morskiej. Nie był on wprawdzie tak liczny, jak by sobie tego życzył hrabia wyspy Zamek, ale nie można było powiedzieć złego słowa o twardości, doskonałym wyszkoleniu i pewności siebie służących w nim żołnierzy. Ba, ci chłopcy byli nawet zbyt pewni siebie. Korpus, podobnie jak flota Charisu, kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa nawet tam, gdzie szanse na wiktoryę były marne. Żaden kraj nie dysponował równie groźnymi siłami desantowymi jak Charis.

Jednostki korpusu dobrze służyły królestwu na przestrzeni ostatnich lat, ale to marynarka wojenna stanowiła prawdziwą linię obrony. Żaden wróg nie mógł zagrozić terytorium Korony i jej mieszkańcom, dopóki nie przebił się przez linie okrętów. Myliłby się jednak ten, kto zaliczyłby piechotę morską do grona jednostek lądowych. Rzadko się zdarzało, by zgromadzono gdzieś więcej niż batalion żołnierzy korpusu, jego żołnierze nie mieli też wielkiego doświadczenia w działaniach lądowych na większą skalę, a ich sprzęt był doskonały, kiedy przychodziło do walki wręcz na ciasnych pokładach okrętów, nie na wiele się jednak zdawał na polach wielkich bitew.

Ale i to miało się wkrótce zmienić. Jeśli nie jutro ani pojutrze, to w najbliższej przyszłości. Właśnie dlatego hrabia wyspy Zamek pojawił się tego ranka na skraju chłodnej doliny.

- Tu jesteś, Bryahnie! - usłyszeli młody, radosny głos, a gdy wielki admirał odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał, ujrzał księcia Cayleba zmierzającego w jego stronę. Tuż za nim szli Merlin Athrawes i Ahrnahld Falkhan oraz major korpusu, którego hrabia nigdy wcześniej nie widział.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy się spotkać w jakimś bardziej cywilizowanym miejscu, na przykład na pokładzie któregoś z okrętów - rzucił w stronę następcy tronu, krzywiąc się z niesmakiem. - W końcu testujemy na pełnym morzu nowe działa sir Ahlfryda, więc zachowanie tajemnicy nie byłoby wielkim problemem. Z całym szacunkiem, wasza wysokość, ale wolałbym stać na moim pokładzie rufowym niż tutaj, z piekącym tyłkiem i tym, oby go cholera wzięła, koniem, czekającym gdzieś tam w dole, żeby mnie powieźć z powrotem do portu.

- Ta eskapada wyjdzie ci tjdko na zdrowie - odparł Cayleb, uśmiechając się szeroko, gdy dotarł w pobliże hrabiego i wyciągnął ku niemu prawicę. Uścisnęli dłonie tak mocno, że księżę nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu. - Naprawdę powinienes znaleźć trochę

czasu na posiedzenie w siodle, admirale. Może przyłączysz się do mnie podczas łowów, ubijemy kilka jaszczurodrapów. Oklapłeś na starość, Bryahnie.

- Ty też tak będziesz wyglądał w moim wieku - wypalił w odpowiedzi hrabia wyspy Zamek.

- Nonsens! - zaprotestował Cayleb z arogancją charakterystyczną dla wczesnej młodości, potem jednak od razu spoważniał. - Mieliśmy naprawdę ważne powody, aby cię tu ściągnąć, Bryahnie. Zaprezentujemy ci zaraz pewną użyteczną zabawkę wynalezioną przez Merlina. Chcieliśmy to zrobić po pierwsze w wystarczająco przestronnym miejscu, gwarantującym dodatkowo, że trafiony cel nie zatoni, zanim zdążymy dokonać jego oględzin. A po drugie, nie byłbyś w stanie docenić wartości tego wynalazku, gdybyś stał na chybottliwym pokładzie galery. Dlatego też wybraliśmy takie ukształtowanie terenu, w jakim major Clareyk będzie najczęściej działał.

Następca tronu skinął głową w stronę stojącego za nim oficera korpusu. Major natychmiast stanął na baczność i zasalutował, uderzając prawą pięścią w lewe ramię. Hrabia wyspy Zamek zmierzył go ostrym wzrokiem, zanim oddał salut.

Major Kynt Clareyk był stosunkowo młody jak na oficera 1-go stopnia, ale sprawiał wrażenie zarówno twardego, jak i inteligentnego człowieka. A co może ważniejsze dla wielkiego admirała i hrabiego wyspy Zamek, był - jak zresztą każdy żołnierz, który u niego służył - niezwykle lojalny i bardzo dyskretny.

- Cóż mogę odpowiedzieć na takie dictum, wasza wysokość. Oto jestem - stwierdził, odwracając się w stronę księcia.

- Tak, widzę nawet, że aż płoniesz z ciekawości - odparł Cayleb, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Zatem nie ma na co czekać. Możemy zaczynać prezentację.

Odwrócił się i ruszył w stronę obozu wybudowanego pod urwistym stokiem na północy doliny. W samym jego środku, pomiędzy rzędami baraków, znajdował się plac apelowy.

Pluton żołnierzy piechoty morskiej czekał na nim w idealnym szyku. Oddziałem dowodzili podoficer w stopniu porucznika i towarzyszący mu siwowłosy sierżant. Wszyscy żołnierze wyprężyli się, stając w pozycji zasadniczej, gdy książę i hrabia minęli skraj placu.

Wyglądali normalnie, jak każda jednostka korpusu, z którą hrabia wyspy Zamek miał kiedykolwiek do czynienia, z jednym tylko małym wyjątkiem. Nosili zwykłe niebieskie tuniki mundurowe, także spodnie i czarne kapelusze z szerokimi rondami, na ich twarzach malowała się typowa buta i arogancja, jaką można zobaczyć u młodych żołnierzy, którzy wiedzą, że należą do najbardziej elitarnej jednostki. Uzbrojenie tego plutonu stanowiły standardowe kordelasy i toporki abordażowe, ale oprócz nich żołnierze trzymali także inną broń, i to ona właśnie czyniła ich wyjątkowymi.

- Spójrz, Bryahnie. - Cayleb wyciągnął rękę, a stojący najbliżej kapral natychmiast oddał mu swoją broń. - Przyjrzyj się dokładnie - poprosił książę, podając ją dalej, do rąk wielkiego admirała.

Hrabia przyjął ją z wielką ostrożnością. Miał już do czynienia z wieloma muszkietami lontowymi. Używano ich na pokładach okrętów w pierwszej fazie operacji abordażowych, ale okazywały się raczej nieprzydatne, jeśli uzbrojony w kordelasy i toporki przeciwnik podszedł na odległość kilku jardów. Ale broń, którą hrabia trzymał teraz w ręku, pomimo podobnego kształtu nie przypominała znanych mu muszkietów.

Przed wszystkim była o wiele lżejsza, i to mimo sporej długości lufy. Osadę miała o wiele węższą, zwłaszcza w przedniej części. Skutkiem tego muszkiet wydawał się smuklejszy i... dziwniejszy, kiedy na niego patrzył. Ważąc go w dłoni, zrozumiał, że strzelcy nie będą potrzebowali do nich forkietów używanych powszechnie podczas strzelania z tradycyjnych muszkietów.

Te zmiany wydawały mu się jednak drugorzędne w porównaniu do tego, co zastąpiło zamek lontowy. Na miejscu długiego, spiralnego ramienia i dźwigienki zaprojektowanej do

podtrzymywania tłącego się powoli lontu, która przed oddaniem strzału opadała na panewkę, by zapalić podsypyany proch, ujrzał dziwny, choć bardzo prosty mechanizm. Na końcu kurka przypominającego kształtem literę S znajdował się kawałek krzemienia wetkniętego pomiędzy stalowe szczęki. Hrabia aż pokręcił głową z podziwu dla eleganckiej prostoty tego rozwiązania, na które jednak nikt do tej pory nie wpadł.

Obrócił muszkiet do góry nogami, zauważając przy tym ubijak - wykonany ze stali, a nie jak do tej pory z drewna - idealnie wpasowany we wgłębienie osady. Chwilę później zafrasował się, widząc dziwny uchwyt wystający z lufy po prawej stronie, w okolicach wylotu i tuż za przednim końcem osady, ale zarazem w takiej odległości od niej, by można było bez problemu wyjąć ubijak. Nie miał bladego pojęcia, do czego miałby służyć ten element, ale domyślał się, że zaraz ktoś mu to wytłumaczy, dlatego bez zbędnych pytań oddał broń Caylebowi.

- Robi wrażenie, wasza wysokość - przyznał.

- Wiem - odparł następca tronu, przekazując muszkiet jego właścicielowi. - Jeszcze większe wrażenie zrobi, gdy zobaczysz go w użyciu. Majorze?

- Natychmiast, wasza wysokość! - zawołał Clareyk i skinął głową w stronę podwładnych. - Zajmijcie pozycje strzeleckie, poruczniku Layn.

- Tak jest, sir! - Podoficer potwierdził przyjęcie rozkazu i dał znak sierżantowi. Siwobrody porucznik czekał w pogotowiu. Wystarczyło jego gniewne skrzywienie górnej wargi i obnażenie kła, by żołnierze z jego plutonu ruszyli biegiem w kierunku strzelnicy znajdującej się we wschodniej części obozu.

Cayleb i pozostali oficerowie podążyli za nimi spokojniejszym krokiem. Zanim dotarli na miejsce, porucznik Layn i jego sierżant zdążyli ustawić czterdziestoosobowy pluton w dwóch szeregach. Żołnierze stanęli w odległości około jar-da od siebie na przemian, tak by strzelcy z drugiego szeregu mogli celować pomiędzy pierwszymi. Naprzeciw nich, w odległości co najmniej stu pięćdziesięciu jardów, ustawiono około trzydziestu manekinów mniej więcej ludzkiego wzrostu.

Wykonano je głównie z siana, ale każdy miał na sobie przepisowy hełm i kirys korpusu.

- Jaki był największy dystans, z którego celnie strzelaliście, Bryahnie? - zapytał Cayleb, na co wielki admirał prychnął.

- Chodzi ci, wasza wysokość, o największy dystans, z którego coś trafiliśmy? Czy największy, na jaki strzelaliśmy, wiedząc, że to marnowanie prochu?

- Trzymajmy się może tej wersji z trafianiem - stwierdził krótko następca tronu. - Albo nie, bądźmy precyzyjniejsi. Z jakiego dystansu trafialiście z muszkietów lontowych do celu wielkości człowieka?

- Cóż... - Hrabia wyspy Zamek zamyślił się, poważniejąc w jednej chwili. - To nie jest wcale takie proste pytanie. Po pierwsze, na ogół używaliśmy tej broni na otwartym morzu. Tam strzela się z niewielkiej odległości, zważywszy na to, kiedy strzelcy wchodzą do akcji. Dodatkową przeszkodą bywa też to, że okręty nieustannie się poruszają. Biorąc to wszystko pod uwagę, mogę powiedzieć, że widziałem celne trafienia z mniej więcej czterdziestu jardów. Rozumiem jednak, że salwa wystrzelona na ładzie może sięgnąć celów oddalonych o sto, a czasem nawet sto pięćdziesiąt jardów. Choć wciąż wątpię, by odsetek takich trafień był wysoki. Z tego co wiem, ludzie nawet nie starają się obierać konkretnych celów na takie odległości, po prostu kierują lufy w największą ciżbę wroga.

- Zgadza się - przyznał Cayleb. - Nie wdając się w szczegóły, możemy założyć, że efektywny zasięg muszkietów lontowych wynosi około osiemdziesięciu jardów, co stanowi dołkądnie połowę dystansu, jaki dzieli teraz pierwszą linię strzelców porucznika Layna od manekinów. - Następca tronu zamilkł na moment, by wielki admirał miał czas na przyjęcie tych danych do wiadomości, a potem skinął na oficera. - Zaczynajcie, majorze - rozkazał, wracając wzrokiem do hrabiego. - Może zatkasz sobie uszy palcami? - zasugerował.

Hrabia wyspy Zamek spoglądał na niego przez moment, jakby uznał te słowa za żart, ale księżę, nie czekając na niego, posłuchał własnej rady, więc wielki admirał uznał, że powinien pójść w jego ślady, zwłaszcza że Clareyk już wystąpił przed oba szeregi strzelców porucznika Layna.

- Ładuj! - rozkazał major.

Każdy z żołnierzy korpusu oparł kolbę muszkietu o ziemię, chwytając lewą ręką za lufę tuż przy wylocie, a prawą rozpinając skózaną sakwę wiszącą na wysokości biodra. Wszyscy wyjęli z nich zwitki papieru, przyłożyli je do ust i odgryźli splątane zakończenia. Przez tak zrobione otwory przesyłali granulki prochu prosto do luf, potem wrzucili za nimi kule. Puste papierki także powędrowały do lufy, aby znaleźć się tam gdzie trzeba, po jednym, ale za to silnym pchnięciem ubijakiem. Stalowe pręty wróciły natychmiast do wnętrza w osadzie, a żołnierze unieśli muszkiety, odwrócili je tak, by krzemienie znalazły się pod spodem, i uderzyli w nie raz, bardzo mocno. Moment później trzymali muszkiety w pozycji strzeleckiej.

Nabijanie broni nie trwało dłużej niż piętnaście sekund. Hrabia musiał przyznać, że ci chłopcy zrobili to znacznie szybciej niż jakkolwiek inny oddział strzelców, który zdażyło mu się oglądać, a wcale nie sprawiali wrażenia, jakby robili to w pośpiechu.

- Pierwszy szereg, cel! - zawołał Clareyk i muszkiety powędrowały do góry. Wygięte zakończenia obitych mosiądzem kolb zostały przyciśnięte do ramion. Zanim palce wskazujące żołnierzy zacisnęły się na niewiarygodnie cienkich spustach, odwiekli jednym pociągnięciem kurki, odsłaniając zagłębienia panewek.

- Ognia! — warknął Clareyk i dwadzieścia muszkietów wypaliło jak jeden.

Hrabia omal nie ogłuchł pomimo palców wetkniętych głęboko w uszy, a nad strzelcami uniosła się gęsta chmura dymu.

- Pierwszy szereg, przeładuj broń! - usłyszał przez dzwonienie w uszach. - Drugi szereg, wystąp!

Żołnierze z pierwszego szeregu cofnęli się o krok i sięgnęli do sakw po kolejne ładunki prochowe. W tym samym momencie stojący za nimi postąpili do przodu, zamieniając się miejscami.

- Drugi szereg, cel! - wrzasnął major i kolejne muszkiety powędrowały do ramion. Clareyk odczekał jeszcze pięć sekund, a potem...

- Pal! - rozkazał i dwadzieścia następnych muszkietów plunęło ogniem.

- Drugi szereg, przeładuj broń! Pierwszy szereg, wystąp!

Hrabia nie mógł w to uwierzyć. Pierwszy szereg zdążył w tym czasie przeładować broń! Teraz żołnierze zajęli pierwotne pozycje, podobnie jak ich koledzy z drugiego szeregu. Znowu nastąpiła krótka przerwa, podczas której wielki admirał miał szansę zauważyć, że stojący z tyłu strzelcy kończą nabijanie broni, i znowu wypaliły muszkiety.

Powtórzono tę operację jeszcze trzykrotnie, kolejne salwy wstrząsały strzelnicą regularnie co dziesięć sekund. W mniej niż minutę czterdziestu ludzi porucznika Layna oddało łącznie sto dwadzieścia strzałów. Ta sama liczba strzelców wyposażonych w muszkiety z zamkami lontowymi mogła w tym czasie oddać jedną salwę, ale hrabia podejrzewał, że podwładni porucznika potrafili nabijać broń jeszcze szybciej.

- Przerwać ogień! - zawołał Clareyk, jego głos zabrzmiał naprawdę cicho po grzmocie wystrzałów. - Zabezpieczyć broń! - dodał major już normalnym tonem i żołnierze posłusznie opuścili broń do nogi. Clareyk przyglądał im się przez chwilę, potem odwrócił się do Cayleba i hrabiego wyspy Zamek.

- Zapraszam na inspekcję celów. Wasza wysokość? Wielki admirał?

- Bryahnie? - Księżę wskazał hrabiemu drogę, a ten ociągał się tylko przez moment.

- Z największą ochotą, wasza wysokość - stwierdził i poprowadził Cayleba, Merlina, majora Clareyka i porucznika Falkhana w kierunku manekinów.

- Na Langhorne'a! - wymamrotał wielki admirał, gdy znaleźli się wystarczająco blisko celów, by zobaczyć, jakie szkody poczyniły półcalowe pociski z muszkietów. Nieraz już widział broje podziurawione strzałami oddawanymi z bliskiej odległości, choć znacznie częściej kończyło się tylko na wgnieceniach albo rysach, które zostawiały rykoszetujące ołowiane kulki. Zwłaszcza gdy strzelano z większych dystansów. Te pancerze nie zdołały jednak zamortyzować żadnego trafienia. Hrabia spoglądał wytrzeszczonymi oczami na idealnie okrągłe otwory w grubych blachach.

To był wystarczająco imponujący widok, ale jeszcze większe zdumienie wielkiego admirała wzbudził fakt, że w każdym z kirysów widniały co najmniej po trzy otwory, co dawało ponad dziewięćdziesiąt trafień na sto dwadzieścia wystrzelonych pocisków. Nie było na tym świecie muszkieterów zdolnych powtórzyć tak doskonały wynik, zwłaszcza że strzelano z naprawdę ogromnego dystansu.

Hrabia wyciągnął rękę, przesunął palcami po krawędzi jednego z otworów, potem odwrócił się do Cayleba i Merlina.

- Jak to możliwe? - zapytał po prostu.

- Myślę, że ich szybkostrzelność mówi sama za siebie, mój panie - odparł seijin z pełną powagą. - Jediną rzeczą, na którą zapewne nie zwróciłeś uwagi, jest stożkowata panewka. Dzięki temu kształtowi działa jak odwrócony lejek. Nie trzeba dodatkowo posypywać jej prochem, wystarczy odwrócić broń i mocno w nią uderzyć, by część prochu z ładunku wydołała się na zewnątrz. Dzięki papierowym łuskom i stalowym ubijakom da się ją ładować o wiele szybciej, niż to było możliwe w przeszłości. Jeśli zaś chodzi o celność - ciągnął, wskazując na liczne przestrzeleny w pancerzach - to już nie są muszkiety, panie. Masz przed oczami najprawdziwsze gwintówki.

Hrabia wyspy Zamek uniósł brew z wrażenia. Zasada podkręcania pocisku, aby uzyskać dodatkową stabilizację w locie, znana była łucznikom i kusznikom od wielu stuleci. Podobna zasada dla broni palnej, na przykład gwintowanie luf dla ustabilizowania toru lotu kul, powinna zostać wymyślona już dawno temu. Nikt jednak nie traktował muszkietów jako specjalnie przydatnej broni na polu walki, głównie z powodu długiego czasu ich ładowania. A korzystanie z gwintowanych luf jeszcze bardziej wydłużało ten proces, ponieważ trzeba było używać do nich większych pocisków, które były wbijane w głąb luf za pomocą specjalnych młotków, co sprawiało, że i tak już powolne muszkiety stawały się praktycznie bezużyteczne podczas walki.

- Gwintówki? - powtórzył hrabia, na co Cayleb skinął głową.

- Spójrz. - Książę wyciągnął do niego dłoń, aby pokazać jedną z kul muszkietowych. Tyle tylko, że to wcale nie była kula, zauważył wielki admirał, gdy wziął ją do ręki. Wyglądała raczej jak wydłużony cylinder, zaokrąglony na jednym końcu i wydrążony na drugim.

- Gdy ładunek prochowy eksploduje - wyjaśnił następca tronu - gazy dostają się do tego otworu i wymuszają na pocisku obracanie wokół osi, a co więcej, dzięki takiemu kształtowi pocisk szczelniej przylega do lufy, co dodatkowo zwiększa siłę prochu. Poza tym lufy naszych gwintówek są dłuższe od tych stosowanych w muszkietach z zamkami lontowymi. Dzięki kombinacji ich długości z uszczelnieniem lufy przez pocisk otrzymujemy większą szybkość wylotową i moc.

Hrabia wyspy Zamek oderwał wzrok od pocisku i pokręcił powoli głową.

- To naprawdę takie proste?

- Naprawdę - zapewnił go Cayleb.

- Jaki jest efektywny zasięg tej broni? - zapytał wielki admirał. - Pamiętam, jak obserwowałem hrabiego Sosnowej Góry na łowach przed kilku laty. Miał gwintowany

muszkiet z zamkiem lontowym, zdaje się, że z Harchongu, którym przy- szpilil jaszczurodrapa z odległości niemal dwustu jardów.

- Cóż - powiedział Cayleb - może w takim razie wróci-my na linię strzału.

Poprowadził ich do miejsca, gdzie czekali porucznik Layn i jego ludzie. Potem spojrzął na Merlina.

- Możesz uczynić nam ten honor? - zapytał z dziwnym błyskiem w oku.

- Oczywiście, wasza wysokość - mruknął seijin i sta-nął przed tym samym kapralem, którego muszkiet oglądali przed chwilą.

- Pozwolisz? - zapytał, wyciągając dłoń, żołnierz podał mu broń i ładownicę, uśmiechając się przy tym szeroko.

Merlin przyjął wszystko i z wielkim spokojem nabił gwin- tówkę. Strząsnął proch na panewkę, potem odwrócił się do Cayleba.

- Jak sądzę, masz już na oku jakiś konkretny cel, wasza wysokość? - zapytał łagodnie.

- Nie mylisz się, mam - zapewnił go książę, uśmiecha-jąc się jeszcze szerzej niż kapral przed chwilą. - Zdaje się, że znalazłem taki, który nawet dla ciebie może być wyzwaniem.

Merlin popatrzył na niego z zaciekawieniem, ale następ-ca tronu już spoglądał w dół zbocza, tyle że nie na maneki-ny, do których strzelali żołnierze, lecz gdzieś dalej. Znacznie dalej, uświadomił sobie hrabia wyspy Zamek, gdy dostrzegł jeszcze jedną postać ze słomy, stojącą nie bliżej niż cztery-sta jardów od ich pozycji.

- To będzie naprawdę daleki strzał, wasza wysokość - za- uważył seijin.

- Mimo to jestem pewien, że uda ci się trafić - zapewnił go Cayleb.

Merlin spojrzął na niego z zauważalną naganą w oczach, potem wystąpił o krok przed szereg żołnierzy korpusu.

Spojrzął w dół zbocza, jego szafirowe oczy były skupione. Jak nigdy dotąd. Żaden z obserwujących go ludzi nie zdawał sobie sprawy, że właśnie mierzy odległość do celu za pomocą wbudowanego celownika laserowego, znajdującego się także na podstawowym wyposażeniu CZAŁ. Ustalił faktyczny dy- stans na czterysta dwadzieścia jardów i skinął głową.

W odróżnieniu od otaczających go ludzi z krwi i kości wie- dział, jaka jest prędkość wylotowa pocisku w nowej broni. Na Schronieniu nie urodził się jeszcze zegarmistrz, który był-by zdolny do skonstruowania chronometru tak precyzyjnego, aby pozwalał człowiekowi ze Starej Ziemi na podobne pomi-ary, ale Merlin nie potrzebował niczego takiego. Miał przecież własny, wbudowany w mechaniczne ciało.

Odciągnął kurek i przyłożył kolbę do ramienia. Na jego pole widzenia została nałożona czerwona siatka laserowego celownika. Jej centralny punkt znajdował się jednak wysoko nad sylwetką słomianego człowieka, tam go bowiem ustawił procesor obliczający trajektorię wystrzelonego pocisku i usta- wienie broni. Merlin musiał tylko ustawić muszkę i szczer- binkę w jednej linii ze świecącą jasno ikonką celownika.

Broń przestała drgać, prawdę powiedziawszy, była teraz prowadzona z istic maszynową precyzją. Żaden człowiek nie byłby w stanie trzymać jej tak pewnie w kompletnym bezru- chu. Merlin odczekał jeszcze moment, a potem lekko napał palcem na spust.

Kurek poleciał do przodu, panewka rozbłysła od iskier, a z lufy wydobył się obłok prochowego dymu. W tym samym momencie seijin poczuł mocne uderzenie w ramię - tak ko- pać mogła tylko broń wielkiego kalibru. Czterysta dwadzie- ścia jardów od miejsca, w którym stał, lśniący hełm spadł z głowy słomianego człowieka i zawirował, lśniąc w promie- niach słońca, zanim uderzył o ziemię.

- A niech mnie - mruknął Merlin, odwracając się w stro- nę księcia. - Obawiam się, że będziemy potrzebowali nowe-go hełmu, wasza wysokość.

- Teraz już rozumiem, dlaczego tak bardzo zależało waszej wysokości na utrzymaniu tego w ścisłej tajemnicy - podsumował hrabia wyspy Zamek dwie godziny później. Stał z księciem, Merlinem i porucznikiem Tillyerem, czekając, aż żołnierze piechoty morskiej osiodłają konie dla niego i adiutanta.

- Wolelibyśmy ukryć istnienie tego wynalazku przed wścibskimi oczami - przyznał Cayleb. - Major Clareyk i porucznik Layn zdołali dojść do naprawdę ciekawych wniosków, opracowując nową taktykę dla naszych oddziałów. Tu już nie chodzi wyłącznie o stanie w miejscu i strzelanie do wroga, chociaż zważywszy na zasięg i szybkostrzelność tej broni, jest to najlepsze, co można zrobić w pierwszej fazie bitwy. Za jakiś czas obie strony będą dysponowały podobnymi gwintówkami, a wtedy stanie na otwartej przestrzeni będzie się równało utracie naprawdę wielu ludzi w bardzo krótkim czasie.

- W to akurat mogę uwierzyć - przyznał hrabia, czując, że po plecach przechodzi mu zimny dreszcz.

- Każdy z tych żołnierzy może przeistoczyć się w pikiniera, jak tylko założy bagnet na posiadaną broń, co powinno dać mu dodatkową przewagę przy każdym abordażu, panie - wtrącił nieśmiało porucznik Falkhan, a wielki admirał pokiwał głową.

Teraz już wiedział, po co te dziwne uchwyty na lufach gwintówek. Przedmioty, które Merlin nazywał „bagnetami pierścieniowymi”, były najzwyklejszymi nożami o dwustronnych ostrzach długości czternastu cali, do których rękojeści tuż pod jelcem przymocowano pierścień z metalu. Wielkość pierścienia była identyczna ze średnicą lufy przed muszką, bagnet mocowało się po zwykłym przekręceniu i wpasowaniu wgłębienia rękojeści w wystający uchwyt. Broń nadal można było ładować i strzelać z niej, chociaż jej szybkostrzelność spadała drastycznie, ale zgodnie z tym, co zauważył Falkhan, zamieniała się w miniaturową pikę. To z kolei oznaczało, że strzelcy nie będą musieli porzucać gwintówek, gdy rozpocznie się walka wręcz.

- Zaprosiłem cię tutaj, Bryahnie - Cayleb odezwał się bardzo poważnym tonem - ponieważ mamy podjąć niezwykle Ważną decyzję, a chciałbym wysłuchać twojej opinii, zanim do tego dojdzie. Powiedz mi zatem, czy naprawdę powinniśmy wyposażać wszystkich żołnierzy korpusu w taką broń?

- Co takiego? - Gdy dotarła do niego treść pytania, wielki admirał poczuł, że obie brwi wędrują mu wysoko w górę. - Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić, wasza wysokość? - zaapytał po chwili.

- Mogę ci podać dwa poważne powody - wyjaśnił książę. - Po pierwsze, na wyprodukowanie gwintówki potrzeba znacznie więcej czasu niż na zrobienie tradycyjnego gładkolufowego muszkietu. Zamiast jednego egzemplarza nowej broni możemy mieć trzy do pięciu starych. Mistrz Howsmyn ma zamiar uruchomić produkcję przy odlewni w Delthaku tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Najprawdopodobniej będzie gotowy pod koniec przyszłego miesiąca. Produkcja całości w jednym miejscu da nam też pewność, że wszystkie części zamienne będą pasowały.

Książę skrzywił się, a Merlin pośpiesznie ukrył uśmiech. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Cayleb przekonał się boleśnie, jak wielkie niedogodności może powodować brak zuniifikowanego systemu miar. Pomysł używania części zamiennych nie był wcale taki nowy i w wypadku gdy produkowały je dwie manufaktury, w których „cal” miał nieco inny wymiar, żadna nie pasowała do broni z drugiego zakładu. Dla tego właśnie Howsmyn dbał o to, by każdy zakład będący w jego posiadaniu stosował identyczne wzorce miar i wag jak te z Zatoki Królewskiej.

- Gdy ten zakład będzie gotowy, czyli mniej więcej za miesiąc, liczba stanowisk gwintowniczych osiągnie trzykrotnie większą wartość w stosunku do aktualnego stanu - ciągnął Cayleb. - Zdolności produkcyjne wzrosną, ale zmienią się tylko nieznacznie na korzyść gwintówek, ponieważ ich produkcja wymagać będzie znacznie więcej czasu. A to

znaczy, że jeśli skupimy się na produkcji broni gładkolufowej, otrzymamy ją szybciej i w większych ilościach. Choć zasięg nowych gwintówek jest zadziwiający, musimy także pamiętać o tym, że dopiero w naprawdę dużej ilości spełnią pokładane w nich nadzieje. Poza tym jeśli wyposażymy w taką broń nasze oddziały i użyjemy jej w walce, wszyscy natychmiast zapragną wyposażyć swoje armie w podobną broń. I bądźmy szczerzy, skopiowanie tych pomysłów nie będzie wielkim problemem. Rozważamy więc i taką wersję, w której nie wprowadzimy do tego rodzaju broni żadnych istotnych zmian ani nowych wynalazków, z wyjątkiem zamka, który oparto na bardzo prostym rozwiązaniu.

- Zatem chcesz zatrzymać nowe pociski w rezerwie? — wycedził wolno hrabia, na co następca tronu skinął głową.

- Gwintowanie luf już istniejących muszkietów może przebiegać znacznie szybciej od produkcji nowej broni od podstaw - stwierdził. - Jeśli pozostawimy sobie nowe pociski, jak to ująłeś, „w rezerwie”, będziemy mogli od razu korzystać z szybkostrzelności i bagnetów, nie pozbywając się zarazem asów z rękawa, przynajmniej do momentu gdy inne kraje nie zaczną kopiować zamków skałkowych. No i będziemy mogli przerobić całą broń gładkolufową, którą wyprodukowaliśmy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Ale to nie da nam tak znaczącej przewagi, wasza wysokość - ocenił hrabia wyspy Zamek.

- Jestem tego świadom. - Cayleb raz jeszcze skinął głową. - Nie powiedziałem wcale, że chcę opóźnić wprowadzenie nowej broni. Przedstawiam ci jedynie punkty, które powinniśmy wcześniej rozważyć. Tak czy inaczej, major Clareyk musi kontynuować prace nad taktyką dla oddziałów wyposażonych zarówno w broń gładkolufową, jak i gwintowaną.

- Masz całkowitą rację co do tego ostatniego, wasza wysokość - stwierdził hrabia z ponurą miną. Cayleb spojrział na niego z ukosa, zmuszając wielkiego admirała do wydania pogardliwego parsknięcia. - Wiesz dobrze, wasza wysokość, że rozprawienie się z Nahrmahnem, a nawet Hektorem nie zakończy tej sprawy. Czy rozdamy nową broń, czy też się wstrzymamy, niedługo i tak będziemy jej potrzebować.

V

Pałac książęcy, Eraystor

K

książę Nahrmahn zasiadł w fotelu, oparł obie ręce na bogato zdobionych poręczach i obserwował beznamietnym wzrokiem niczym nie wyróżniającego się człowieka, który wszedł do komnaty za baronem Shandyru i hrabią Sosnowej Doliny, Trahysem Ohlsynem. Strażnicy pilnujący drzwi stanęli na baczność, gdy mijał ich pierwszy doradca, a potem szef wywiadu, ale ci, którzy stali za fotelem Nahrmahna, nawet nie drgnęli.

- Słyszałem - odezwał się książę, gdy drzwi zamknęły się za ostatnim z przybyłych - że macie dla mnie nowy raport.

Ton, którym przemówił, nie należał do zachęcających, ale to akurat nikogo nie zaskoczyło.

- Mamy, mój książę - odparł hrabia Sosnowej Doliny, zwracając się do kuzyna bardziej oficjalnie, niż musiał. - Ale nie są to wieści, które chciałbyś usłyszeć - dodał znacznie oschlejším tonem.

Kącik ust Nahrmahna zadrgał, jakby książę nie potrafił zdecydować, czy powinien się teraz uśmiechnąć. Baron Shandyru poczuł się nieco pewniej na ten widok. Nastrój władcy był trudny do przewidzenia od czasu, gdy służby barona zawiadły tak sromotnie w Tellesbergu. Hrabia Sosnowej Doliny rozumiał to doskonale, a szef wywiadu był mu niezwykle wdzięczny za pomoc w zdjęciu z barków odium za tamtą porażkę. Fakt, że Thravys Ohlsyn był chyba jedynym człowiekiem na Schronieniu, któremu Nahrmahn bezgranicznie ufał, mógł tylko pomóc.

- Właśnie dałeś mi pokaz swej okrutnej szczerości - odezwał się po chwili książę. Moment później cień uśmiechu, o ile grymas ten można było zaliczyć do tej kategorii, zniknął z jego twarzy. Władca skupił wzrok na baronie Shandyru.

- Może przestaniesz się płaszczyć i powiesz, o co chodzi? - warknął.

- Tak, mój książę. - Baron Shandyru pokłonił się i wskazał na mężczyznę, który im towarzyszył. - Oto Marhys Wyllyms. - Oczy Nahrmahna zwięzły się, a baron znacząco pokiwał głową. - Tak, mój książę. Mistrz Wyllyms zdołał w końcu powrócić do domu.

- Przecież widzę.

Władca zmierzył Wyllymsa uważnym spojrzeniem, a ten natychmiast przyklęknął i pochylił nisko głowę. Książę pozwolił mu trwać w tej pozycji dłuższą chwilę, potem machnął ręką.

- Powstań, mistrzu - powiedział i poczekał, aż starzec wykona jego polecenie, dopiero potem przechylając głowę, dodał: - Czuję ulgę, a kto wie, czy nawet nie radość z twojego powrotu. Domyślam się, że przekażesz nam informacje z pierwszej ręki na temat naszej spektakularnej porażki.

- Postaram się, wasza wysokość - odparł z szacunkiem Wyllyms. - Pamiętaj jednak, panie, że dwa miesiące zajęło mi przedzieranie się do domu, stąd też moje informacje mogą okazać się nieaktualne. Musiałem się kryć, żeby nie dopadli mnie po drodze agenci barona Gromu.

- To zrozumiałe - rzucił szorstko Nahrmahn. - Mów, co wiesz na ten temat.

- Dobrze, wasza wysokość. Jak już wspominałem baronowi Shandyru, nie mam pewności, w jaki sposób ludzie Haarahlda dowiedzieli się o zaangażowaniu Kahlvyna. Gdy hrabia Szarej Zatoki przybył do posiadłości, książę podjął go w bibliotece, dlatego nie byłem w stanie podsłuchać, o czym rozmawiają. O tym, że nakazał sprowadzić pod drzwi piętnastu swoich najlepszych gwardzistów, gdzie mieli czekać na jego znak, dowiedziałem się tylko dlatego, że jego wysokość polecił mi osobiście wręczyć wiadomość ich kapitanowi. Przebywał sam na sam z hrabią, no i tym jego przybocznym, nie dłużej niż kwadrans. Potem usłyszałem dźwięk dzwona i gwardziści wkroczyli do wnętrza biblioteki... - Wyllyms zamilkł na moment, potem potrząsnął głową jak człowiek, który nie sądzi, by ktokolwiek dał wiarę jego następnym słowom. - Wasza wysokość, znałem kwalifikacje gwardzistów, których wezwał książę, sam też osobiście wprowadzałem hrabiego Szarej Zatoki do wnętrza biblioteki. Po tym, jak dostarczyłem wiadomość kapitanowi Zhahnsynowi, zdecydowałem, że zaniosę księciu Kahlvynowi brandy, aby podsłuchać co nieco z rozmowy. Gdy po chwili opuszczałem bibliotekę, byli w niej tylko jego wysokość, hrabia i przyboczny, ale o niego się akurat nie martwiłem, wiedziałem bowiem doskonale, choć nie powinienem, że to człowiek Kahlvyna podstawiony teściowi już przed laty. Znając wszystkie te fakty, nie przypuszczałem, by mój pan i tych piętnastu gwardzistów mieli jakikolwiek problem z ujęciem hrabiego Szarej Zatoki, jeśli tego zapragną. Nie byłem pewien rozwoju sytuacji, ale jedno wydawało mi się więcej niż pewne: Kahlvyn musiał przygotować sobie plan awaryjny, na wypadek gdyby jego spisek został wykryty. Nie wyobrażam sobie, by kazał uwięzić pierwszego doradcę króla pod jakimkolwiek innym pozorem. Nagle do moich uszu dotarły odgłosy walki toczonej za drzwiami biblioteki. I to nie było jakiejś walki, wasza wysokość. Trwało to kilka pełnych minut, chociaż osamotniony hrabia Szarej Zatoki nie powinien opierać się tak długo szesnastu ludziom księcia. W tym skrzydle posiadłości, o tak późnej porze... hrabia Szarej Zatoki przybył nocą... znajdowało się tylko kilka osób służby. Kapitan Zhahnsyn odesłał wszystkich lokai, których spotkał po drodze, zapewne aby wykonać rozkaz księcia przy jak najmniejszej liczbie świadków. To pozwala mi sądzić, że przy tak silnej burzy nikt inny nie mógł usłyszeć odgłosów walki dochodzących z wnętrza biblioteki. Nie miałem pojęcia, co się tam wyprawia, ale z charakteru docierających do mnie dźwięków wywnioskowałem, że sprawy nie idą po myśli księcia. Ukryłem się zatem za drzwiami prowadzącymi do przejścia dla służby, aby mieć baczenie na drzwi biblioteki. Jeśli

ludzie księcia zwyciężają, pomyślałem, jego wysokość na pewno zaraz opuści to pomieszczenie. Ale nie wyszedł. Zamiast niego w otwierających się drzwiach ujrzałem obcego mi zupełnie człowieka.

- Człowieka, którego nigdy wcześniej nie widziałeś? - zapytał Nahrman, pochylając się do przodu, z wyrazem wielkiego zaskoczenia na twarzy.

- Tak, wasza wysokość. - Wyllyms przytaknął gorliwie. - Wiedziałem przecież, kto był w bibliotece, a w każdym razie sądziłem, że wiem. To, że człowiek ten mógł przybyć w czasie, gdy ja dostarczałem wiadomość kapitanowi Zhahnsynowi, wydało mi się mało prawdopodobne, jak bowiem mógłby wejść do posiadłości i dotrzeć na jej tyły, do biblioteki, nie trafiając na żadnego ze służących? Poza tym nie dostrzegłem go podczas podawania brandy. Tak czy inaczej, stał tam przede mną.

- Jak wyglądał? - zapytał niecierpliwie Nahrman.

Baron Shandyru ucieszył się, widząc minę księcia Szmaragdu. Lepsze zaciekawienie niż gorzkie żale i te na w pół oskarżycielskie spojrzenia, którymi obdarzał ostatnio swojego szefa wywiadu.

- Jak oficer gwardii królewskiej, wasza wysokość.

- Gwardii królewskiej?

- Tak, wasza wysokość. Miał na sobie liberię gwardyjską i insygnia porucznika.

- Powiedziałeś, że wyszedł z biblioteki? - zapytał Nahrman, na co Wyllyms natychmiast przytaknął. - Co zrobił potem?

- Zaczął przywoływać służbę, wasza wysokość, opuściłem więc kryjówkę i podszedłem do niego.

Oczy księcia Szmaragdu otworzyły się nieco bardziej, gdy znów usiadł wygodniej w fotelu.

- Zatem podszedłeś do niego - powtórzył z wyczuwalnym podziwem, na co Wyllyms skinął głową.

- Byłem majordomusem księcia, wasza wysokość, a on przyzywał kogoś ze służby. Nie wydawało mi się prawdopodobne, by chciał zaatakować albo zabić ludzi, których do czegoś potrzebował. Uznałem, że to dobra, a kto wie, czy nie jedyna okazja, by poznać prawdę o wydarzeniach w bibliotece.

- A co tam się wydarzyło? - naciskał Nahrman.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, wasza wysokość. Obcy Przymknął za sobą drzwi biblioteki, więc niewiele mogłem zobaczyć. W szparze widać było tylko wielką kałużę krwi i dwa ciała, oba w barwach książęcych. Wyglądało jednak na to, że wszyscy ludzie Kahlvyna padli w tej walce.

- Wszyscy?

- Tak mi się wtedy wydawało, wasza wysokość, a plotki, które dotarły do mnie, gdy przedzierałem się na północ, potwierdziły potem te domysły.

Nahrman spoglądał przez dłuższy czas na Barona Shandyru, potem znów przeniósł wzrok na Wyllymsa.

- Co tam się zatem wydarzyło?

- Człowiek ten nakazał mi wezwać z pałacu gwardię królewską razem z dyżurnym oficerem, powołując się przy tym na hrabiego. Miałem udać się na miejsce osobiście, rozmawiać tylko z dowódcą i wrócić z wysłanym oddziałem. Powiedziałem, że zrobię, co każe, i odszedłem pośpiesznie. Jak tylko napotkałem pierwszego lokaja, przekazałem mu instrukcje i opuściłem posiadłość.

- I co dalej?

- Dalej, wasza wysokość - w tym momencie, zarówno z brzmienia głosu, jak i zachowania Wyllymsa po raz pierwszy można było wyczytać niepokój - nie mogąc sprawdzić, co stało się z księciem: czy zginął, czy też został pojmany żywym, wykonałem rozkazy barona Shandyru. Udałem się do mieszkania Lahanga, by go wyeliminować.

Nahrmahn znieruchomiał na wystarczająco długi moment, by czoło nie dającego się do tej pory wyprowadzić z równowagi Wyllymsa pokrył pot. Potem władca Szmaragdu skinął głową.

- Dobra robota - stwierdził książę. - Wygląda na to, że spisałeś się znakomicie tamtej nocy.

- Dziękuję, wasza wysokość. - Szpieg rozluźnił spięte do tej pory ramiona, a Nahrmahn uśmiechnął się blade.

- Wracając jednak do tego „obcego” z biblioteki - odezwał się, zastępując uśmiech wyrazem poważnej troski. - Nie masz pomysłu na to, jak mógł tam trafić?

- Żadnego, wasza wysokość - przyznał Wyllyms, kręcąc głową.

- A wiesz może, kim był?

- Jeśli wierzyć plotkom, które słyszałem podczas ucieczki z Tellesbergu, był to ten sam człowiek, który przeszkodził w przeprowadzeniu zamachu na księcia Cayleba, wasza wysokość - powiedział Wyllyms. - Najczęściej mówiono, że ten człowiek, zwany Merlinem czy jakoś tak, otrzymał w nagrodę za uratowanie następcy tronu posadę w gwardii królewskiej.

Górna warga Nahrmahna powędrowała do góry, ale nikt nie pomyliłby tego grymasu z uśmiechem.

- Zdaje się, że mamy za co dziękować... temu Merlino- wi - rzucił bardzo łagodnym tonem.

- O tak, mój książę - stwierdził baron Shandyru, wtrącając się do tej wymiany zdań.

Wzrok księcia skupił się na nim w tej samej chwili. - Za pozwoleniem waszej wysokości, dla mnie najbardziej interesujące jest to, że wedle wszystkich raportów, jakie do tej pory docierały z Tellesbergu, ów Merlin towarzyszył hrabiemu Szarej Zatoki podczas wypadu do siedziby księcia. Wiadomości otrzymane od mistrza Wyllymsa pochodzą z pierwszej ręki, a zważywszy na szkody, jakie poczynili agenci barona Gromu w naszej siatce, nieprędko otrzymamy wieści o podobnej wiarygodności. Niemniej moi ludzie, tutaj w Szmaragdzie, wyciągają co mogą od załóg statków przyplływających z Charisu. Sporo jest w tym gadaniu dziwnych i bezsensownych treści, ale to jedno prze-wija się cały czas. Luzie są przekonani, że oficjalna wersja wydarzeń głosi, iż hrabia Szarej Zatoki zabrał ze sobą rzeźzonego Merlina, gdy wyruszał, aby rozmówić się z księciem.

- Co najwyraźniej nie miało miejsca, gdyż mistrz Wyllyms nie widział go po przyjeździe.

- Wasza wysokość - wtrącił nieśmiało szpieg - jak już wspomniałem, nie widziałem, by ten człowiek przyjechał, nie było go też w bibliotece, gdy podawałem brandy. Nie od-prawiałem jednak osobiście woźnicy hrabiego, gdy kazano nii umieścić go w książących stajniach, zrobił to za mnie je-den z posługaczy. Dlatego nie mogę być całkowicie pewien, że nikogo więcej nie było w karocy i że człowiek ten nie mógł Przedostać się później do biblioteki, na przykład pomiędzy chwilą podania brandy a przybyciem Zhahnsyna.

- Sądząc jednak z twojego tonu, taka możliwość nie wy-daje ci się zbyt prawdopodobna - zauważył Nahrmahn.

- Nie, wasza wysokość, nie wydaje mi się. Ale nie można jej wykluczyć. Nie traciłem czasu na rozmowy z pozostałymi sługami księcia, gdy opuszczałem posiadłość. Któryś z nich mógł jednak wpuścić tego Merlina podczas mojej nieobecności. Aczkolwiek nie sądzę, by coś takiego miało miejsce.

- Jak w takim razie dostał się do środka?

- Tego nie wiem, wasza wysokość. Mogę tylko powtó-rzyć raz jeszcze, że nigdy wcześniej go nie widziałem oraz że w Tellesbergu twierdzą, iż jest kimś w rodzaju seijina.

- Lahang meldował o tym samym w pierwszym raporcie, tuż po fiasku zamachu na życie księcia Cayleba - przypomniał Nahrmahnowi baron, na co pulchny książę od razu przytaknął.

- Dlaczego więc Charisjanie uparcie twierdzą, że ten Merlin towarzyszył hrabiemu Szarej Zatoki, skoro tak nie było? - zapytał wielce zakłopotany hrabia Sosnowej Doliny.

- Poczekaj, Trahvysie - poprosił Nahrmahn. unosząc dłoń i spoglądając w stronę Wyllymsa. - Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia, mistrzu?

- Na pewno nie mogę dodać nic więcej na temat wydarzeń w Tellesbergu, wasza wysokość. — Wyllyms pokłonił się po raz kolejny. - Wciąż pracuję nad raportem dla barona Shandyru, koncentrując się na podróży do Eraystoru oraz na tym, co widziałem i słyszałem po drodze, ale o wydarzeniach w stolicy wiesz, mój książę, już wszystko.

- Zatem dziękuję ci za te wieści, jak i wierną służbę. Ufam także, że baron Shandyru znajdzie dla tak utalentowanego agenta mnóstwo nowych zadań. Ze swojej strony pragnę cię zapewnić, że wkrótce otrzymasz bardzo znaczący dowód mojej wdzięczności.

- Dzięki ci, wasza wysokość - wymamrotał Wyllyms.

- A teraz zostaw nas samych, jeśli łaska, mistrzu.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Wyllyms zgiął się w pokłonie po raz kolejny i wycofał sprzed oblicza księcia, cały czas idąc tyłem, jak nakazywał protokół.

- Zaczekaj na mnie w przedpokoju, mistrzu - poprosił baron Shandyru ściszonego głosem, zanim szpieg zdążył przekroczyć próg i opuścić komnatę, zamykając za sobą drzwi.

- Trahvysie - Nahrmahn zwrócił się do kuzyna - co chciałeś wcześniej powiedzieć?

- Zastanawiałem się, dlaczego Haarahld i baron Gromu rozgłaszają wieści, jakoby ten tam Merlin udał się do posiadłości Kahlvyna w towarzystwie hrabiego Szarej Zatoki, skoro wszystko wskazuje na to, że tak nie było?

- Nie wiem - przyznał książę. - A ty, Hahlu?

- Przy obecnym stanie wiedzy mogę jedynie zgadywać - stwierdził baron. - Na pierwszy rzut oka niby wszystko pa-suje, ale...

- Ale co? - przerwał mu Nahrmahn.

- Mój książę - baron Shandyru zaczął mówić bardzo powoli - nie po raz pierwszy słyszymy, że ktoś nazywa tego człowieka seijinem.

- Nie po raz pierwszy - przyznał hrabia Sosnowej Doliny. - Ale nie chcesz chyba powiedzieć, Hahlu, że uwierzyłeś w te bajdy?

- Sam już nie wiem - stwierdził baron, wzruszając ramionami ze złości na własną ignorancję. — Wiem tylko, że ten człowiek wyrzyna całe watahy pracujących dla nas ludzi. Zauważcie, że likwidacja naszej siatki w Tellesbergu rozpoczęła się tuż po jego przybyciu do miasta. No i wytłumaczcie mi, jakim cudem samotny szermierz może pokonać i zabić szesnastu doświadczonych gwardzistów, nie mówiąc już o tym, że pojmał albo i zabił samego księcia Tirianu. Ale co tam walka, nie wiemy nawet, jak dostał się do biblioteki. Rad bym się tego dowiedzieć w pierwszej kolejności. Na razie treść wszystkich raportów przypomina mi słowa pijackich ballad o sejinach, których się kiedyś nasłuchałem.

- Baron ma rację, Trahvysie - powiedział Nahrmahn. - Ale jest jeszcze coś, co interesuje mnie znacznie bardziej.

Obaj spojrzeli z zaciekawieniem w jego kierunku.

- Wyllyms wykonał rozkaz i zabił Lahanga, zanim zdążono go aresztować. - Gdy skinęli głowami, książę parsknął. - Skoro tak, jakim cudem i gdzie baron Gromu zdobył tyle informacji, żeby móc zlikwidować najważniejsze siatki naszych agentów?

- To zwróciło też moją uwagę - przyznał baron Shandyru. - Wiem, że na początku przyjęliśmy założenie, iż Grom wyciągnął te informacje z Lahanga albo z księcia Tirianu i Lahanga, łamiąc któregoś z nich, co pozwoliło mu trafić do reszty agentów jak po nitce do

kłębka. Z tego, co wiemy, Kah-lyvn może nadal być ich więźniem, tyle tylko, że on nie posiadał tak rozległej wiedzy, by wydać wszystkich tych agentów.

- Zatem musieli namierzyć Lahanga znacznie wcześniej - zasugerował hrabia Sosnowej Doliny. - Jeśli mieli go cały czas pod obserwacją, mogli dotrzeć do sporej części jego podwładnych. A potem ktoś, na przykład ten zamachowiec, który przeżył, naprowadził ich na ślad księcia Tirianu, zmuszając Wyllymsa do zlikwidowania szefa siatki, co sprawiło, że ludzie barona Gromu natychmiast skojarzyli oba fakty i zaczęli wyłapywać znanych im wcześniej agentów i wyciskać z nich torturami kolejne informacje. Jeśli tak było, to każdy, którego złamali, doprowadzał ich do następnych ogniw łańcucha, dopóki nie rozwalili ostatniego.

- Ta hipoteza jest prawdopodobna - przyznał baron Shan-dyru. - Chociaż na podstawie tak skąpych informacji możemy tylko domniemywać, co tam się wydarzyło, ale jesteśmy na to skazani, ponieważ odbudowanie naszej siatki w Charisie potrwa, i to długo. Uważam jednak, że powinniśmy mieć tego ich Merlina na oku. Bez względu na to, czy jest seijinem czy też nie, wszystko wskazuje, że to właśnie on jest główną postacią tej afery. Odnoszę wrażenie, mój książę - dodał baron, uśmiechając się lodowato - że powinniśmy zastanowić się na tym, jak sprawić, żeby zniknął stamtąd, i to jak najszybciej.

LUTY

ROKU PAŃSKIEGO 891

Zatoka Królewska, Wyspa Helena

A

Ja ci powiadam, że nadal za mało się pocisz, Merlinie.

Seijin uniósł jedną powiekę, by zerknąć na Cayleba.

Nimue Alban wychowała się w społeczeństwie, które poznało - ze względu na genetyczne dziedzictwo - wszystkie zagrożenia związane z nowotworami skóry, nie mówiąc już o zbawiennym wpływie filtrów UV. Cayleb jednak nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia. Uwielbiał zażywać kąpiele słonecznych, a Merlin nie potrafił wytłumaczyć młodemu księciu, co dzieje się z jego naskórkiem pod wpływem takich dawek promieniowania ultrafioletowego. Nie mógł także odmówić tego honoru - możliwość opalania się w towarzystwie następcy tronu Korony poczytywano sobie tutaj za wielki zaszczyt. Na szczęście potrafił dostosować odcień swojej sztucznej skóry, dzięki czemu jego karnacja niewiele ustępowała książęcej opaleniznie. Posunął się też dalej, ingerując w oprogramowanie po jakże ekscytującym meczu rugby, i wyłączył całkowicie część reakcji zapisanych w obwodach CZA0. W rezultacie miał przynajmniej jeden problem z głowy, chociaż musiał przyznać - ale tylko przed samym sobą - że Cayleb Ahrmahk jest naprawdę atrakcyjnym młodzieńcem.

~ A ja ci nieodmiennie powtarzam, że niektórzy z nas nie muszą pocić się tak obficie jak pozostali.

- A co sądzisz o propozycji Howsmyna? - zapytał po chwili książę.

Seijin otworzył oboje oczu, reagując na tak niespodziewaną zmianę tematu. Usiadł, sięgnął po ręcznik i otarł niewielką ilość potu z twarzy.

- Myślę, że jest bardzo sensowna - odparł, sięgając po butelkę schłodzonego soku owocowego, którą roztopnie zabrali, udając się na dach biura zarządcy portu.

Budynek ten mieścił się na samym końcu doków w basenie portowym cytadeli, tuż obok wewnętrznego kotwicowiska okrętów marynarki wojennej ulokowanego w cieniu gigantycznych fortyfikacji przegradzających Zatokę Królewską. Było to ulubione miejsce zapalonych wędkarzy; jeśli wiatr wiał z południowego wschodu, czuło się na skórze ożywczy w takim upale, kojący chłód. Dzięki temu właśnie dach stał się ulubionym miejscem do opalania wśród najstarszych oficerów garnizonu. Niestety, przybycie księcia popsuło im zabawę, zwłaszcza że gwardziści uwielbiali opróżniać wszystkie biura i odcinać

ten skrawek ładu od reszty portu, aby dać Caylebowi chociaż namiastkę prywatności. On hołubił tę chwilę z tego samego powodu, więc popołudniowe zaproszenie dla Merlina, aby towarzyszył księciu w jego dobrowolnym odosobnieniu, mogło być poczytane za wielkie wyróżnienie.

Seijin pociągnął spory łyk soku, który zdążył się już nagrzzać na tyle, że trudno go było nazwać schłodzonym. Nie musiał pić, nie czuł bowiem pragnienia, ale nie przeszkodziło mu to w długim rozkoszowaniu się smakiem owoców, za nim podał butelkę Caylebowi.

- Czas potrzebny na odlanie nowych dział zawsze spędzał nam sen z powiek - dodał, gdy następca tronu zaczął pić. - Od początku uważałem, że jeśli wszystkie nasze armaty mają mieć bieguny, trzeba będzie je wyprodukować od podstaw. - Wzruszył ramionami. - Jedynym sposobem, jaki przychodził mi do głowy, było przetopienie istniejących już dział, aby odzyskać z nich brąz i odlać z niego nowe egzemplarze.

Wstał, przeciągnął się, potem założył ręcznik na kark i podszedł do sięgającego mu piersi murka okalającego dach budynku zarządcy. Jego ubranie i broń leżały równo ułożone na ławce ciągnącej się wzdłuż wewnętrznej strony kamiennego obramowania. Złożony na samym szczycie waki-zashi dociążał niewielki stosik, a daszek osłaniał wszystko przed palącym słońcem. Merlin oparł się o mur i spojrzał na panoramę portu.

Ściana pustej teraz budowli opadała prosto aż do poziomu morza, stanowiąc jednocześnie zewnętrzne zakończenie nabrzeża. Woda w tym miejscu miała jaskrawolazurowy kolor, przechodzący łagodnie w szmaragd tam, gdzie robiła się płytsza. Łagodny wietrzyk pędził po rozświetlonej słońcem zatoce niewielkie fale. W kierunku nabrzeża płynęła czterowiosłowa łódź, w której siedziało sześcioro albo siedmioro dzieci. Kilka wędek sterczących z pokładu pod najrozmaitszymi kątami stanowiło widomy dowód tego, co tutaj robiły. Merlin poczuł coś na kształt ukłucia zazdrości, gdy przypomniał sobie młodzieńcze wyprawy na ryby Nimue.

Szalupa znajdowała się więcej niż sto jardów od nabrzeża, gdy siedmioletnia dziewczynka siedząca na jej dziobie spojrzała w stronę budynku i zaczęła machać rączką. Odpowiedział jej podobnym gestem, a potem odwrócił się plecami do portu i spojrzał na Cayleba, który także postanowił zakosztować cienia.

- Nigdy jednak nie wpadłbym na to - podjął przerwany przed chwilą wątek - że można zamocować bieguny na już istniejących działach.

Cayleb mruknął coś niezrozumiale, przytakując. Na dachu leżało kilka dziwnie wyglądających stosów staroci, zapewne pozostawionych przez oficerów zażywających kąpiele słoneczne albo tutejszych wędkarzy. Książę uniósł brew ze zdziwienia, gdy w jednym z narożników dostrzegł ostrze harpuna. Podniósł je, zważył uważnie w dłoni, potem spojrzał na Merlina.

- Jak brzmiało to zdanie, które kiedyś wypowiedziałeś? - Zapytał. — Zdaje się: „myśl nieszampowo”. - Seijin potwierdził skinieniem głowy. - Cóż, wydaje mi się, że powinniśmy być wdzięczni Howsmynowi, za to, że jest w tym dobry.

~ Mało powiedziane, wasza wysokość - odparł Merlin Uśmiechając się szeroko, a potem odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na szalupę. Roześmiał się pod nosem, gdy dziewczynka na dziobie znów mu pomachała.

Cayleb ma rację, pomyślał. Howsmyn podszedł do problemu w absolutnie nowatorski sposób. Pokazał im, że działo, zwane w Królewskiej Marynarce Wojennej Charisu „krakenem” - armata kalibru sześć i pół cala, o długości lufy przekraczającej jedenaście stóp, mogąca wypluć z siebie kulisty pocisk ważący trzydzieści pięć funtów - jest bardzo bliska temu, co Merlin i kapitan Hyndryk zamierzają stworzyć. Tak się składało, że było to ciężkie działo najbardziej zbliżone do „standardu” floty, co oznaczało, że marynarka posiadała ich znacznie więcej niż pozostałych typów artylerii.

Istniały oczywiście inne modele, na przykład taki „wieloryb zagłady”: ważący ponad cztery i pół tony potwór strzelający sześćdziesięciodwufuntowymi kulami. I jeszcze większy od niego „wielki wieloryb zagłady”, sześciotonowa bestia mogąca posłać w niebo siedemdziesięciopięciofuntowe pociski. Te jednak były o wiele za duże jak na ich potrzeby. Już prędzej przydadzą się jako złom do przetopienia, dostarczając ogromnych ilości brązu na nową broń, na pewno jednak nie da się ich wykorzystać w obecnej formie.

Howsmyn zaproponował, aby uczynić z krakena nowy standard i założyć na lufę każdego, którego dostanie w swoje ręce, grubą metalową obręcz. Opaski te odleje się razem z bieżnikami, dzięki czemu przeróbka trwać będzie o wiele krócej niż w przypadku konieczności przetapiania i produkowania całych dział. Oczywiście uchwyty te nie będą tak trwałe i wytrzymałe jak odlane w całości lufy, ale na pewno sprawdzą się jako tymczasowe rozwiązanie, dopóki nie znajdzie się czas na właściwe odlanie nowej artylerii.

Niestety, nawet krakenów nie było we flocie aż tak wiele. Tyle tylko, że dzięki nim oszczędzi się mnóstwo czasu i środków, a dzięki nowemu modelowi lawety, który Merlin opracował z Hyndrykiem, da się...

Nagły krzyk wyrwał go z zamyślenia. Natychmiast odwrócił się w stronę basenu portowego. Szalupa znajdowała się nie dalej niż siedemdziesiąt jardów od nabrzeża, ale jedna ze starszych dziewczynek nie przestawała wrzeszczeć przeraźliwie. Jedną ręką zasłaniała usta, drugą wskazywała na trzy strzępiaste płetwy zbliżające się do łodzi.

- Kraken! - zawołał Cayleb. Wychylił się mocno za murtek w kierunku przerażonych dzieci.

- Nie! - zawołał, jednak to słowo nie było skierowane do Merlina. - Tylko bez paniki!

Ale dzieci w szalupie go nie słyszały. Najstarsze nie miało nawet czternastu lat. Musiały być przerażone, dało się to zauważyć po niezbornych ruchach wiosel. Łódź przechylała się coraz bardziej, gdy wrzeszcząca dziewczynka wtuliła się w burtę po przeciwnej stronie od nadpływającego krakena, a dwoje kolejnych dzieci poszło w jej ślady.

Płetwy przecięły wodę, zbliżając się do łodzi, i nagle jeden z krakenów wynurzył się niemal przy burcie.

Merlin po raz pierwszy ujrzał siejącego strach wśród ludzi drapieżnika, który zazwyczaj wolał trzymać się wód głębszych niż baseny portowe. Dorosły okaz tego gatunku mógł mierzyć do dwudziestu dwóch stóp niepohamowanego apetytu. Z wyglądu przypominał nieco ziemskiego rekina, chociaż był o wiele smuklejszy i miał zupełnie inną paszczę. Była niemal idealnie okrągła, jak u niektórych morskich minogów ze Starej Ziemi, może z jedną różnicą. Szeroka na sto-pię - a w przypadku największych osobników nawet na trzy stopy - jama gębowa okolona była dziesięcioma mocnymi mackami. Mogły one osiągać od sześciu do nawet dziesięciu stóp długości. Zazwyczaj przylegały dokładnie do torpedowego korpusu morskiego drapieżcy, ale gdy kraken ruszał do ataku, wyciągał je przed siebie, aby pochwycić ofiarę i przyciągnąć do otwartego pyska.

Już samo to wystarczało, by wytłumaczyć przerażenie, jakie te bestie potrafiły wzbudzić w każdym normalnym człowieku, chociaż były przy tym niezwykle inteligentne. Na pewno nie tak jak ziemskie delfiny, ale posiadały na tyle sprytu, by polować stadami. I wiedzieć, że na czymś takim jak łódź znajdą pożywienie.

Przerażone dzieci zapiszczały, kiedy pierwszy z krakenów wynurzył łeb z wody, a potem wrzasnęły jeszcze głośniejsze, gdy kolejny uderzył od spodu w dno łodzi. Szalupa zakołysała się gwałtownie, omal nie wywracając, a jeden z chłopców stracił równowagę i wypadł za burtę. W wodzie się zakotłowało. Głowa dziecka wychynęła na moment nad lazurową powierzchnię, usta otworzyły się, by wydać przeraźliwy krzyk, ale pierwsza z bestii natychmiast dopadła ofiary i wciągnęła ją w głębiny.

- Shan-wei by to! - zaklął w bezsilności Cayleb, waląc pięścią w szczyt muru, gdy bezbronna szalupa zakołysała się po kolejnym uderzeniu. Tym razem wywróciła się do góry nogami i wszystkie dzieciaki znalazły się w wodzie.

Merlin nie przestawał kombinować. Zanim książę zdał sobie sprawę z tego, że jego przyboczny ruszył się z miejsca, ręka seijina sięgnęła z nieludzką szybkością po trzymany przez niego w dłoni harpun. Następca tronu obserwował szeroko otwartymi oczami, jak ramię Merlina odchyła się do tyłu, aby moment później wypuścić ostrze, które poszybowało płaskim łukiem i zniknęło w wodzie siedemdziesiąt jardów od brzegu.

Jeden z krakenów wynurzył się z toni na niemal dwie trzecie długości ciała, dosłownie stając na rozedrganym ogonie. Macki wypuściły poszarpane ciało ofiary, gdy żelazny harpun wbił się głęboko w korpus potwora, przebijając twardą jak pancerz skórę i nie mniej odporne warstwy mięśni, aby wyjść z drugiej strony.

Druga z morskich bestii niemal natychmiast ruszyła w stronę rannego towarzysza, wyczuwając krew wypływającą z jego rany. Jednak serce Cayleba zamarło, gdy do jego uszu dobiegł przerażający skowyt drugiego z dzieci, tym razem dziewczynki, która moment później zniknęła w krwawym wirze, w jaki zmieniły się spokojne do tej pory wody basenu portowego.

Niemal w tym samym momencie dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Rzucił się gwałtownie do przodu, ale nie zdążył powstrzymać Merlina, który przesadziwszy szczyt muru, skończył do oddalonej o ponad trzydzieści stóp wody.

Czas zwolnił. Następca tronu widział wszystko wyraźnie, rozumiał też, co się wokół niego dzieje, ale do końca pozostał biernym świadkiem wydarzeń. Nie spuścił oczu z seijina, który przebił lustro wody w niesamowitej odległości ponad dwudziestu stóp od podstawy ściany.

Merlin znajdował się już w powietrzu, gdy zdał sobie sprawę z tego, co uczynił. Niestety, było za późno na zastanawianie się. Uderzył w powierzchnię wody i zanurkował głęboko, mimo że opadał po płaskiej trajektorii. Człowiek z krwi i kości musiałby się od razu wynurzyć, by ustalić położenie, nie mówiąc już o zaczerpnięciu oddechu, ale te ograniczenia nie obowiązywały CZAŁO. Android miał wbudowany sonar, dzięki któremu znał dokładną pozycję łodzi, miotających się i wrzeszczących wciąż dzieci oraz krakenów. Mechaniczne nogi popychały go w kierunku chaosu z prędkością,

0 jakiej żaden człowiek nie mógłby nawet marzyć.

Przed skokiem instynktownie sięgnął po wakizashi. Teraz trzymał rękojeść broni obiema rękami, ułożywszy siedemnaście ostrze wzdłuż przedramienia, aby nie spowalniało ruchów. Dotarcie do wywróconej szalupy zajęło mu niespełna dwadzieścia sekund.

Dwadzieścia sekund, podczas których ranna bestia zdołała oswobodzić się z chwytu ścigającego ją pobratymca i odpłynąć niezdarnie w kierunku najbliższej płyźnicy.

Dwadzieścia sekund, podczas których trzecie z dzieci zostało wciągnięte w głębiny.

Pozostałe dzieciaki walczyły z żywiołem, bijąc rozpaczliwie nogami o wodę, by wgramolić się na dno przewróconej szalupy i znaleźć choć iluzoryczne schronienie przed potworami. Któryś ze starszych chłopców pochwycił małą dziewczynkę

1 wrzucił ją na śliskie deski, nie bacząc, że ostatni z krakenów zbliża się do niego z zabójczą prędkością. Macki wystrzełyły do przodu, wijąc się niczym stado atakujących węży. Jedna owinęła się wokół kostki chłopca, pociągając go prosto w najeżoną zębiskami paszczę, ale w tej samej chwili spo- Czeła na niej ludzka dłoń, zaciskając się z siłą mechanicznej prasy. Wykonany ze stali bojowej wakizashi zanurzył się w cielsku bestii tuż za jej wielkimi ślepiami. Sztylet wszedł w łeb potwora aż po rękojeść. Niesamowicie ostra klinga rozcięła bez trudu kości, mięśnie i chrząstki.

Impet krakena wzmocnił dodatkowo siłę uderzenia ręki CZAŁO. Sztylet przebił się aż do mózgu, a gdy Merlin wyjął ostrze z rany, krew buchała nie tylko z niej, ale i z pyska. Wciąż zaciśnięta na nodze dziecka macka wciągała bezsilną ofiarę prosto w głębiny, w którą

opadało drgające cielsko zdychającego krakena, ale kolejne cięcie wakizashi odrąbało ją w odległości niespełna dwu stóp od rozplątanej czaszki.

Tymczasem trafiony harpunem kraken miotał się jak szalony - chociaż coraz słabiej - próbując wyrwać tkwiące w nim ostrze, lecz Merlin nie zwracał na niego uwagi, starając się namierzyć sonarem trzecią bestię. I znalazł ją. Krążyła mniej więcej dwadzieścia stóp poniżej, rozrywając i pożerając ciało dziewczynki.

Seijin zwinął się w pozycję embrionalną, ustawił w odpowiednim kierunku i wystrzelił prosto na pożywiającego się potwora. Gdyby ten dostrzegł i zrozumiał, co za niebezpieczeństwo mu grozi ze strony nadpływającego, mógłby uciec w jednej chwili, osiągając prędkość, jakiej nawet CZAO nie byłby w stanie dorównać. Tyle tylko, że chyba do końca nie wiedział, co go czeka.

Pomimo tak wielkiej głębokości Merlin widział wszystko bardzo wyraźnie dzięki wzmacniaczom wizji, nie chciał jednak patrzeć na rozszarpane ciało dziecka tkwiące wciąż w mackach krakena. Skupił więc wzrok na korpusie morskiej bestii. Dopłynął do niej i chwycił lewą dłoń za płetwę grzbietową.

Kraken zaczął unosić łeb, jakby to go zaskoczyło, a wtedy wakizashi uderzył raz jeszcze.

Ostrze przebiło się przez skórę tuż przed płetwą - od góry, w miejscu, gdzie kręgosłup był najgrubszy - nieomal przepoławiając ogromny korpus. Krakenem wstrząsnęły silne konwulsje. Bestia opadała w głębiny, nadal groźna, gdyż jej macki wiły się odruchowo, młócąc wodę wokół, jakby nie dotarło do nich jeszcze, że reszta ciała została już pozbawiona życia. Merlin był jednak poza ich zasięgiem i moment później wynurzył się na powierzchnię.

Ocalałe dzieci nadal wrzeszczały, próbując w desperacji wspiąć się na śliskie poszycie wywróconej łodzi.

- Już w porządku! - zawołał. - Już w porządku, jesteście bezpieczne!

Chyba go nie zauważyły, więc sięgnął ręką po najmłodsze z dzieci, wciąż tkwiące w wodzie. Była to dziewczynka, która do niego machała. Wrzasnęła przeraźliwie, gdy jej dotknął, umilkła dopiero wtedy, gdy zobaczyła, że to ludzka dłoń, nie macka. Natychmiast przyłgnęła do Merlina, zaciskając rączki na jego szyi, jakby miała zamiar go udusić. Ale spodziewał się tego, a jego sztuczne mięśnie potrafiły wytrzymać nawet siłę spanikowanego malca. Ułożył dziewczynkę na łodzi najdelikatniej, jak potrafił.

- Jesteście już bezpieczne! - zawołał znowu, głośniejszym głosem, i tym razem został zauważony.

Usłyszał, że ktoś powtarza jego słowa. To był ten sam chłopak, który przed chwilą podsadził inną dziewczynkę. Znajomy głos podziałał na dzieci znacznie bardziej uspokajająco niż jego wrzaski. Panika powoli zaczęła wygasać. W końcu cała piątka zdołała wspiąć się na łódź i kulila się na niej ze strachu.

Troje wpiło się w stępkę, trzymając się jej tak mocno, że aż im kostki pobieleły. Szlochały żałośnie, i nawet Merlinowi krajało się serce. Ale najgorsze było to, że dwoje z nich - w tym dziewczynka, którą wyciągnął - nawoływało bez przerwy swoje rodzeństwo, którego nie zobaczą już nigdy.

Został w wodzie, mówiąc do nich, dodając otuchy, ale nawet gdy to robił, część jego umysłu zastanawiała się nad tym, jak zdoła wytłumaczyć to, co się stało, Caylebowi.

- To było... niesamowite - oświadczył kilka godzin później ściszym głosem następcy tronu.

Siedział naprzeciw Merlina w swojej kwaterze w cytadeli. Słońce już zachodziło, więc we wnętrzu panował przyjemny chłód. Seijin spoglądał na księcia beznamyślnie w przydymionym blasku lamp.

- Nigdy bym nie uwierzył - ciągnął Cayleb - gdyby ktoś mi powiedział, że widział, jak człowiek zabija krakena, a co dopiero dwa zwykłym sztyletem. Nie zapominając oczywiście o tym, że trafiłeś trzeciego harpunem... i to z odległości siedemdziesięciu jardów. Bez względu na to, czy jesteś seijinem czy nie, był to naprawdę niesamowity wyczyn. - Merlin nadal milczał, więc książę odchylił się na krześle, twarz mu pociemniała. Cisza trwała kilka sekund, potem następca tronu westchnął. - Możesz mi powiedzieć, jakim cudem dokonałeś tego wszystkiego?

Zważywszy na okoliczności, głos Cayleba brzmiał niezwykle spokojnie i rzeczowo, zauważył seijin.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - odparł po chwili. - Chciałbym. Naprawdę. Ale nie mogę.

- Merlinie - odezwał się książę. - Mam gdzieś to, że jesteś seijinem. Żaden śmiertelnik nie dokonałby tego, co uczyniłeś dzisiaj popołudnia. Nikt, nawet święci mężowie. Zapytałem cię kiedyś, jaki naprawdę jesteś, a ty mi przysiągłeś, że służysz światłu. Pozostaje jednak pytanie: jakiego rodzaju sługą jesteś?

- Caylebie... wasza wysokość - odparł cicho Merlin. - Nie mogę ci tego powiedzieć. Nie chodzi o to, że nie chcę tego zrobić czy odmawiam odpowiedzi. Ja po prostu nie mogę.

- Prosisz mnie o bardzo wiele, Merlinie - odparł następca tronu wyważonym tonem. - Mój ojciec ci zaufał. Na tyle, że zdecydował, iż powierzy los Korony tobie, a raczej twoim wizjom oraz wiedzy, którą się z nami tak szczerze dzielisz. Ja również zaufałem ci bezgranicznie. Czyżbyśmy się mylili? Skoro dokonujesz tego, czego nie potrafi żaden śmiertelnik, na pewno jesteś kimś więcej niż my, zwykli ludzie. Jak więc mnie, człowiekowi, ocenić, czy anioł albo demon mówi prawdę?

- Nie jestem ani aniołem, ani demonem - zapewnił go Merlin. - Masz na to moje słowo. Po prostu nie mogę ci wyjawić, kim naprawdę jestem. Nie tylko teraz, ale najprawdopodobniej nigdy. Wydaje mi się więc, że musisz rozstrzygnąć sam, we własnym sumieniu, czy możesz zaufać komuś, kto nie odpowie ci na podobne pytania. Spojrzał Caylebowi prosto w twarz, a książę odpowiedział mu tym samym, wpatrując się uważnie w jego szafirowe oczy. Cisza towarzysząca badawczemu wzrokowi następcy tronu trwała nie krócej niż minutę. Potem syn władcy zaczerpnął głęboko tchu.

- Nie musiałeś tego robić - powiedział tak spokojnym tonem, że mogło się to wydawać podejrzanym, zważywszy na okoliczności. - Gdybyś tego nie zrobił, nie wiedziałbym o tobie tego, co teraz wiem.

- Nie wiedziałbyś - przyznał Merlin. - Ale to wcale nie znaczy, że nie powinienem był tego uczynić.

- Nie znaczy - powtórzył Cayleb i ku zaskoczeniu seijina uśmiechnął się. To był naprawdę szczery, przyjazny uśmiech, po którym książę potrząsnął głową. - I dlatego, Merlinie, mogę ci ufać.

- Możesz? - Seijin nie zdołał ukryć zaskoczenia, chociaż zależało mu na tym, co Cayleb skwitował cichym śmiechem.

- Pokazałeś mi, czego potrafisz dokonać, ratując tę bandę portowych urwisów, których nawet nie znałeś. Udowodniłeś, że jesteś kimś więcej niż tylko seijinem. Zaryzykowałeś dla nich zaufanie, którym obdarzyliśmy cię ja i mój ojciec. A mogę iść o zakład, że uczyniłeś to, nie zastanawiając się nawet nad konsekwencjami.

- Masz rację. Nie zastanawiałem się przed skokiem - przyznał Merlin, kręcąc głową. - Pewnie powinienem był, ale nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- I dlatego mogę ci zaufać - wyjaśnił Cayleb. - Człowiek, a raczej nadludzka istota służąca Ciemności nigdy nie postawiłaby życia kilku portowych urwisów ponad swoją sprawę. Ty to uczyniłeś. A skoro byłeś gotowy utracić wszystko, co osiągnąłeś, żeby ocalić życie kilkorgu dzieciom, dowiedziałem się o tobie tego, na czym najbardziej mi zależało.

Chociaż to wcale nie znaczy - tu uśmiechnął się nagle, choć podejrzenie zbyt szeroko - że nie chciałbym dowiedzieć się o tobie znacznie więcej!

- Wasza wysokość - odparł Merlin, nie starając się nawet ukryć ulgi w głosie - jeśli nadejdzie taki dzień, że będę mógł ci wyjawić więcej, uczynię to na pewno. Przysięgam.

- Mam nadzieję, że ten dzień nadejdzie - rzucił Cayleb. - Ale na razie musimy chyba poświęcić kilka chwil na ustalenie oficjalnej wersji wydarzeń. Dobra wiadomość jest taka, że na brzegu nie było nikogo, kto widział tak dobrze jak ja, co naprawdę się stało. Ale jest też zła wiadomość: opowieści ocalonych dzieci bywają bardziej niż niesamowite.

- Wiesz przecież, wasza wysokość, że dzieci uwielbiają przesadzać. - Merlin uśmiechnął się. - Nie zdziwiłbym się, gdyby ich opowieści zostały uznane za bajdurzenie i fantazje.

- Tak mogłoby być - nagle twarz księcia spoważniała - ale niedawno wydobyto jednego z zabitych krakenów. Tego, którego trafiłeś harpunem. Możesz mi wierzyć, że widziałem tam wiele zdziwionych spojrzeń, mimo że znacznie zaniżyłem odległość, z jakiej go trafiłeś. A co się będzie działo, jeśli zdołają odszukać i wydobyć pozostałe dwie bestie?

- No tak, można spokojnie założyć, że zdziwią się jeszcze bardziej - przyznał seijin.

- Czy to będzie miało coś wspólnego z tym sztyletem, którym przebiłeś stępkę łodzi na wylot? - zapytał Cayleb.

- Obawiam się, że tak.

- Wspaniale. - Książę wydał policzki w zadumie, potem jednak wzruszył ramionami. - Na szczęście oba krakeny spoczęły na dnie kanału żeglugowego. Ten, którego trafiłeś harpunem, zdołał dotrzeć na płyciznę, zanim zdechł. Dalej woda jest o wiele głębsza, a i pływy są tam znacznie silniejsze. Miejmy nadzieję, że nikt nie odnajdzie pozostałych cielsk.

- To byłoby najlepsze rozwiązanie - przyznał Merlin, a potem przyjrzał się uważnie księciu. - Czy to naprawdę nie przeszkadza waszej wysokości? - zapytał w końcu.

- Słowo „przeszkadza” chyba pasuje do sytuacji. - Cayleb uśmiechnął się po lotrzykowski. - Prawdę powiedziawszy, pasuje jak ulał. Ale jeśli pytasz, czy zmienię zdanie, mówię stanowczo: nie.

- Doceniam to, wasza wysokość - stwierdził seijin. - Ogromnie.

- Cóż, zatem podsumujmy sobie to wszystko - odparł następcę tronu. - Do tej pory zdążyłeś uratować mi życie, ocalić Rayjhisa, rozprawić się z kimś, kto zapewne był najgorszym zdrajcą w historii Korony, rozbić dwie największe siatki szpiegowskie w Charisie, nauczyć nas rzeczy, które powinny zapobiec unicestwieniu królestwa, a teraz jeszcze uchronić od pewnej śmierci pięcioro moich poddanych. Wydaje mi się, że dzięki tym czynom szala powinna przeważyć na twoją stronę. Przynajmniej na razie.

- Nie myślałem o naszych relacjach w podobny sposób.

- A powinieneś, bo... - Cayleb przerwał, gdy ktoś zastukał do drzwi.

Następca tronu skrzywił się i pokręcił głową z irytacją.

- Wydałem polecenie, aby nam nie przeszkadzano - powiedział, potem wstał i podszedł do drzwi. - Wejść! - zawołał tonem, który powinien dać do myślenia temu, kto stał po drugiej stronie, jeśli nie miał naprawdę ważnego powodu.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich pokornie Ahrnahld Falkhan.

- Wiem, wasza wysokość, że wydałeś polecenie, aby wam nie przeszkadzano - powiedział - ale właśnie przypląnęła łódź kurierska z Tellesbergu.

Wyciągnął przed siebie kopertę zamkniętą osobistą, szkarłatną pieczęcią króla Haarahlda.

Cayleb przyjął ją, jego twarz pozostała bez wyrazu, gdy przelamywał wosk. Sztywny papier zaszeleścił, gdy rozłożył go, by odczytać krótką wiadomość. Potem spojrzął w stronę Merlina, uśmiechając się kąciakiem ust.

- Wygląda na to, że potrzebują nas w Tellesbergu - powiedział. - Namiestnik Kościoła pragnie... z nami porozmawiać.

Pałac królewski, Tellesberg

M

erlin ujrzał ojca Paityra po raz pierwszy, gdy arcykapłan wmaszerował z wawym krokiem do sali tronowej, i natychmiast uznał, że spotkanie z nim powinno się odbyć w innych okolicznościach. W zupełnie innych okolicznościach, poprawił się zaraz.

Wylsynn był młodym człowiekiem - miał więcej lat niż Cayleb, ale z pewnością nie osiągnął jeszcze wieku Nimue Alban z okresu jej biologicznej śmierci. Był szczupłej postury, miał rude, kręcone włosy, a w głębi jego szarych oczu, które na równi z kolorem włosów zdradzały, że nie należy do rodu-witych Charisjan, czaiła się niemała inteligencja.

Nosił purpurowy habit zakonu schuelerytów, a wyszyty na jego rękawie miecz otoczony płomieniami oznajmiał wszystkim patrzącym, że mają do czynienia z Namiestnikiem Kościoła.

Szedł za szambelanem aż do stóp podium i dopiero tam po-kłonił się sztywno. Najpierw Haarahldowi, potem biskupowi Maikelowi, który stał tuż za tronem, i na końcu Caylebowi.

- Wasza wysokość - odezwał się przyjemnym dla ucha tenorem, tak charakterystycznym dla elit Syjonu i Świątyni.

- Ojczy - odparł Haarahld, a jego twardy, charisjański akcent zabrzmiał niezwykle ostro w porównaniu z głosem kapłana.

- Dziękuję, że zgodziliście się na spotkanie ze mną w tak krótkim czasie - ciągnął Wylsynn. - Dziękuję także za przybycie jego ekscelencji - dodał, kłaniając się po raz wtóry Maikelowi.

- Witamy cię jak zawsze gorąco, ojczy - odparł biskup. - Ze swojej strony chciałbym podziękować i tobie, za to, że uznałeś za stosowne, abym uczestniczył w tym przesłuchaniu. Doceniam tę uprzejmość.

Wylsynn uśmiechnął się i machnął lekceważąco dłonią jakby zawiadomienie Staynaira nie miało wielkiego znaczenia. Tymczasem chodziło o rzecz bardzo zasadniczą. Jako Namiestnik Kościoła, ojciec Paityr miał prawo udać się tam gdzie zechce i kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota, by przesłuchać każdego człowieka bez powiadamiania kogokolwiek, nawet biskupa egzekutora Zheralda.

- Z twojej wiadomości wynikało, że przagniesz także obecności Cayleba i porucznika Athrawesa - stwierdził moment później Haarahld. - Stawili się zatem obaj, jak widzisz. Czy zdradzisz nam teraz, jaki jest powód tego nagłego spotkania?

- Oczywiście, wasza wysokość. - Wylsynn pochylił głowę i choć trudno było potraktować ten gest jako pełnoprawny ukłon, uczynił go z należnym szacunkiem. - Obawiam się, że do Świątyni dotarły niepokojące raporty dotyczące Charisu - stwierdził. - Większość z nich, jak mi nie mam, to wytwory fantazji sensatów, chociaż kilka z nich mogło być dziełem ludzi... niekoniecznie przychylnych temu królestwu, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Kiedy jednak pojawia się tyle dymu, zarówno Rada Wikariuszy, jak i święte Oficjum Inkwizycji muszą sprawdzić, czy gdzieś pod nim nie kryje się zdradliwy ogień. Stąd też moja prośba o to przesłuchanie.

Haarahld siedział w milczeniu przez kilka sekund, spoglądając zamyślonym wzrokiem na arcykapłana. Stojący za tronem Cayleba Merlin zachował obojętny wyraz twarzy, chociaż gorączkowo zastanawiał się nad wyjaśnieniem przedstawionym przez Wylsynna. Ton, jakim je wypowiedziano, był spokojny i wyważony, ale kryła się w nim ledwie wyczuwalna nuta, kto wie, czy nie irytacji. To przypomniało seiji- nowi krótką rozmowę z biskupem Maikielem na temat prawdziwych powodów wysłania Wylsynna do Charisu.

- Wybacz mi, ojczy - odezwał się Haarahld po chwili - ale zakładam, że żaden z tych raportów nie dotyczył wynalazków i usprawnień, jakie pojawiły się ostatnio w Charisie. Za każdym razem nakazywałem sprawdzenie, czy któryś z nich nie koliduje z Zakazami.

- Zgadza się, wasza wysokość - przyznał Wylsynn. - Osobiście przyjrzałem się wszystkim procesom i urządzeniom, które zgodnie z obowiązującym prawem przedstawiono do akceptacji Namiestnikowi Kościoła. Stwierdziłem podówczas, że żaden z przedstawionych projektów nie ociera się nawet o próbę złamania Zakazów, i do tej pory nie zmieniłem zdania.

Gdyby Merlin był człowiekiem z krwi i kości, pewnie odechnąłby w tym momencie z ulgą. Ale Wylsynn nie skończył jeszcze mówić, właśnie unosił rękę w kierunku króla, w niemal przepaszającym geście, by dodać:

- Niestety, wasza wysokość, otrzymałem osobiste polecenie od arcybiskupa Erayka, aby raz jeszcze rozważyć moją decyzję. Przesłana za pomocą semaforów informacja była jednak bardzo lakoniczna i nie definiowała powodów. Mogę się zatem tylko domyślać, że chodzi o przesadzone raporty, o których na początku wspomniałem.

- Nie będziemy się uchylać od spełnienia woli arcybiskupa, aczkolwiek - Haarahld pozwolił, aby w jego głosie dało się wyczuć nutę zaniepokojenia - po tym jak otrzymaliśmy aprobatę Kościoła, rozpoczęliśmy natychmiastowe wdrażanie wielu wynalazków. Ponowne ich rozpatrywanie może doprowadzić do problemów i nie mówię tu tylko stratach o finansowych, na jakie narazimy bogobojnych obywateli, którzy działali w dobrej wierze.

- Jestem tego w pełni świadomy - odparł Wylsynn. - Od momentu gdy otrzymałem wiadomość od arcybiskupa, cały czas rozważałem tę sprawę i nie znalazłem niczego, co mógłbym zmienić w moich poprzednich osądach. I chociaż jestem w pełni oddany mojemu arcybiskupowi, nie widzę najmniejszego sensu we wdrażaniu ponownych testów. Cokolwiek bym uczynił, wyniki tych badań będą identyczne z poprzednimi. Sądzę jednak, że tego rodzaju odpowiedź z mojej strony na żądanie arcybiskupa może się niezbyt dobrze przysłużyć twojemu królestwu.

Merlin zmrużył oczy. Wyczuł też, że ramiona księcia sztywnieją. Młody ojciec Paityr znany był z dość luźnego podejścia do politycznych realiów i spiec pomiędzy frakcjami rządzącymi Kościołem Boga Oczekiwanego oraz prób wykorzystywania ich przez świeckich władców do własnych celów. Co tym bardziej zwracało uwagę na ostatnie wypowiedziane przez niego zdanie.

- Dlatego chociaż rozumiem w pełni, że zdanie arcybiskupa Erayka, czy też raczej stojących za nim Wikariuszy, jest błędne - ciągnął Wylsynn - muszę wypełnić moje obowiązki jako gorliwego sługi Kościoła, a przede wszystkim kapłana odpowiadającego przed obliczem Boga. Po głębokich przemyśleniach doszedłem też do wniosku, że źródłem troski ojców Świątyni nie są same wynalazki i usprawnienia, których dokonujecie, ale zmiany, jakie dzięki nim mogą nastąpić w dającej się przewidzieć przyszłości. Co, pomyślał Merlin z rosnącym niepokojem, wskazuje z pewnością na bardziej „polityczne” przyczyny tej ingerencji. To jedno zdanie zawiera w sobie kwintesencję problemu.

- Pismo ostrzega nas, że każda zmiana jest tylko początkiem łańcucha, wiecie przecież, że nawet Shan-wei kusiła ludzi krok po kroku - stwierdził z powagą Wylsynn. - Z tego punktu widzenia nie sposób odmówić racji obawom arcybiskupa. Żeby być szczerym, przyznaję, że ja również je podzielam, choć w niewielkim stopniu. Ludzie tutaj, w Charisie, są niezwykle niesforni, wasza wysokość. Mnie się to na początku podobało, polubiłem ich nawet, ale jestem w stanie zrozumieć, że ci hierarchowie Kościoła Matki, którzy odczuwają niepokój na myśl o nieustannym poprawianiu rzeczywistości, mają podstawy do niepokoju. Z tego właśnie powodu, po wyjaśnieniu punktu widzenia, jaki moim zdaniem przyświecał arcybiskupowi, oraz po wielu medytacjach i modlitwach zdecydowałem, co powinienem w tej sytuacji uczynić. Zamierzam dotrzeć do samego serca arcybiskupich obaw.

- Jakim to sposobem, ojczy? - zapytał nieco zaniepokojony Haarahld.

- A takim - odparł Wylsynn, wskazując na zdobiące jego perś berło Langhorne'a. Było większe od tych, które nosili inni hierarchowie, i szcrodziej wysadzane kamieniami, takie,

jakie powinien posiadać ktoś ze znacznego i bogatego rodu. Jednakże nikt z obecnych w sali tronowej nie spodziewał się tego, co miało miejsce, gdy arcykapłan pochwycił je i przekreślił. Głównia berła dała się zdjąć, odsłaniając wyłożony złotem otwór w podstawie, ten sam, w który wchodził trzonek. Wylsynn puścił głównię, pozwalając jej zawisnąć na łańcuchu oplatającym mu szyję, i dotknął palcem wskazującym prawej dłoni obnażonego końca trzonka. Gdy to zrobił, spod jego opuszki wydobył się narastający blask. Haarahld, biskup Maikel, Cayleb i otaczający ich gwardziści gapili się jak zaczarowani w coraz jaśniejsze błękitne światło. Podobnie Merlin, aczkolwiek on czynił to z zupełnie innego powodu.

- Oto skarb - poinformował wszystkich Wylsynn - który Kościół Matka podarował naszemu rodowi przed wieloma stuleciami. Zgodnie z przekazami, Kamień ten został darowany ludziom przez samego archanioła Schuelera. - Dotknął palcami serca, potem ust, a wszyscy zgromadzeni w sali tronowej, nie wyłączając Merlina, poszli w jego ślady. - Kamień Schuelera ma to do siebie - kontynuował tymczasem hierarcha - że każde kłamstwo wypowiedziane przez tego, kto go dotyka, zabarwia światło kolorem krwi. Za pozwoleniem waszej wysokości, chciałbym zadać wszystkim tutaj obecnym parę prostych pytań. Dzięki Kamieniowi będę mógł przekonać się, że mówicie prawdę, a to w połączeniu z badaniami, które już przeprowadziłem, pozwoli mi na przesłanie arcybiskupowi odpowiedzi zgodnie z wymogami wiary. - Spojrzał Haarahldowi prosto w oczy. Odkąd przytknął palec do niezmiennie niebieskiego zakończenia trzonka berła, z jego wzroku i zachowania była niezachwiana pewność siebie. - Tylko kilku członków mojego rodu wie, gdzie znajduje się w tym pokoleniu Kamień Schuelera - powiedział. - Prawdę mówiąc, większość ojców Kościoła wierzy, że zniknął na zawsze po śmierci świętego Evyraharda. Nie ujawniłbym jego istnienia przed wami, gdyby nie to, że sam mam pewne wątpliwości co do natury płynących ze Świątyni oskarżeń przeciwko Charisowi.

Merlin za nic nie uwierzyłby w te słowa młodego arcykapłana, gdyby nie to, że kamień wciąż płonął błękitem. Wylsynn tymczasem kontynuował, jakby nigdy nic.

- Wierzę, że Bóg zesłał mi ten Kamień, abym mógł go użyć właśnie teraz, wasza wysokość. Wierzę, że uczynił to, bym znalazł odpowiedzi na dręczące mnie kwestie i mógł zdać relację w najlepszy z możliwych sposobów tym, którzy także wątpią.

Zamilkł, a Merlin wstrzymał w myślach oddech, przyglądając się Haarahldowi VII, który nawet na moment nie odrywał wzroku od twarzy hierarchy. W odróżnieniu od władcy seijin wiedział doskonale, co kryje się w złotym trzonku, aczkolwiek nigdy nie przypuszczał, że ujrzy ten przedmiot na własne oczy.

To był najprawdziwszy weryfikator - następca prymitywnych wykrywaczy kłamstw powstałych jeszcze w mrocznych wiekach ery prekosmicznej. W przeciwieństwie do wcześniejszych modeli, weryfikatory bazowały na analizie fal mózgowych badanego obiektu. Za czasów Federacji nie było wolno ich używać bez wyraźnej zgody sądu, a nawet wtedy korzystanie z nich podlegało wielu surowym restrykcjom, które określały dokładnie, a właściwie zawężały zakres tematów poruszanych w pytaniach, aby uniknąć klasycznych polewań na czarownice.

Ale nawet weryfikator nie był stuprocentowo pewnym narzędziem do ustalania prawdy. W ciągu niemal stulecia jego używania żaden urząd nigdy nie zgłosił pomyłki, choć wszyscy wiedzieli, że przesłuchujący mógł się dowiedzieć wyłącznie tego, czy osoba zeznająca mówi znaną sobie prawdę czy też nie. Nie dało się za jego pomocą odkryć prawd o zdarzeniach, o których ludzie nie mieli pojęcia... a w wypadkach gdy przesłuchiwany cierpiał na schorzenia psychiczne, weryfikator podawał bardzo mylne odczyty.

Urządzenie spoczywające dzisiaj w rękach Wylsynna mogło naprawdę stanowić dar Schuelera. W każdym razie ludzie na pewno otrzymali je od kogoś z kadry dowódczej Langhorne'a, a zostało skonfigurowane tak, aby działało w nieskończoność. Kryształ

zrobiono z zespolonej i utwardzonej masy układów molekularnych, tak odpornej, że można by ją godzinami tłuc młotem kowalskim, nie pozostawiając jednej rysy. Jego słabością musiało być źródło zasilania. Merlin nie miał wprawdzie całkowitej pewności, ale uważał, że ten sam „anioł”, który podarował rodowi Wylsynna ową „relikwię”, nauczył też ludzi rytuałów, dzięki którym można ją było naładować, zapewne przez prosty kolektor słoneczny wbudowany w berło.

To jednak nie liczyło się teraz w najmniejszym nawet stopniu. Najważniejsze było to, że weryfikator trafił w ręce lokalnego przedstawiciela Inkwizycji.

- Jestem zaszczycony tym, że zdecydowałaś się ujawnić nam istnienie tak potężnej relikwii, ojcze. Dziękuję ci także za zaufanie i dyskrecję oraz determinację, z jaką zamierzasz osądzić tę sprawę - powiedział w końcu Haarahld. - Ja nie obawiam się żadnych pytań - dodał, nie patrząc nawet na pozostałych.

Merlin stał spokojnie za tronem Cayleba, obserwując, jak Wylsynn podchodzi do władcy. Arcykapłan podsunął Haarahldowi weryfikator, a ten położył na nim kciuk zdecydowanym ruchem, mimo iż Kamień świecił niezwykłym blaskiem. Spojrzał tylko na swoje palce, które w tak ostrym świetle wydawały się niemal przezroczyste, a potem znów wbił wzrok w inkwizytora.

- Postaram się niepotrzebnie nie przeciągać przesłuchania, wasza wysokość - obiecał hierarcha.

- Pytaj, ojcze - odparł spokojnie król.

- Dobrze, wasza wysokość. - Wylsynn odchrząknął cicho. - Powiedz mi, panie, czy jakkolwiek z nowych procesów, wynalazków czy też planów wprowadzanych ostatnio w Charisie łamie lub może doprowadzić do złamania Zakazów Jwo-jeng?

- Nie - oświadczył Haarahld oficjalnym tonem, a błękit weryfikatora nie zmienił się ani na jotę.

- Czy znasz kogoś tutaj, w Charisie, kto mógłby sprzeciwić się woli Boga dotyczącej Schronienia? - zapytał Wylsynn, a Merlin znów wstrzymał oddech w myślach.

- Nie znam nikogo w Charisie, kto mógłby sprzeciwić się woli Boga - odpowiedział Haarahld. - Sądzę jednak, że nasza ziemia nosi kilku takich, co wolą służyć ciemności, ale jeśli, jak podejrzewam, istnieją, nie mam pojęcia, kim są ani gdzie przebywają.

Weryfikator pozostał niebieski.

- Czy ty, jako człowiek i monarcha, akceptujesz Boski plan zbawienia Schronienia? - zapytał Wylsynn.

Tym razem twarz Haarahlda stężała, jakby to pytanie wprawiło go w złość, ale odpowiedział natychmiast równie spokojnym tonem.

- Akceptuję Boski plan dotyczący tego świata, mojego królestwa i mnie samego - wyrecytował i znów kolor weryfikatora nie uległ zmianie.

- Czy skrzywdziłeś kiedyś kogoś, kto nie skrzywdził wcześniej ciebie? - zapytał bardzo cicho hierarcha, a Haarahld spojrzął na niego z ukosa.

- Wybacz mi tę uwagę, ojcze - rzucił ponad błękitem bijącym z berła - ale to pytanie chyba zbyt daleko odbiega od tematu. - Wylsynn otworzył usta, by coś powiedzieć, ale władca uciszył go nagłym potrząśnięciem głowy. - Mimo to odpowiem — stwierdził. - Skoro obdarzyłeś mnie tak wielkim zaufaniem, winien ci jestem to samo. Nie zamierzam krzywdzić ludzi, którzy nie wystąpili wcześniej przeciwko mnie albo poddanym Korony, za których życie i bezpieczeństwo jestem odpowiedzialny.

Weryfikator nadal rzucał błękitny blask. Wylsynn pokłonił się z szacunkiem królowi i cofnął o krok.

- Dziękuję ci, wasza wysokość - powiedział i spojrział w stronę Cayleba. - Mój książę - odezwał się, a następca tronu natychmiast wyciągnął przed siebie rękę, równie pewnym ruchem jak przed momentem jego ojciec.

- Słyszałeś, mój książę, pytania, które zadałem przed chwilą - stwierdził Wylsynn. - Czy zgadzasz się ze wszystkimi odpowiedziami, których udzielił twój ojciec?

- Tak.

- Podzielasz poglądy króla na wszystkie wymienione sprawy?

- Tak.

- Dziękuję ci, mój książę - wymamrotał hierarcha, gdy kryształ nawet na moment nie przestał świecić na błękitno.

Teraz jego wzrok spoczął na Merlinie.

- Oprócz raportów dotyczących domniemanych pogwałceń Zakazów Pisma arcybiskup poinformował mnie, że wspominał mi o dziwnych podszeptach, którymi ktoś próbuje sterować królewską Radą. Nie wymienił żadnego nazwiska, ale sądząc z krążących po mieście pogłosek, wnoszę, że mogło chodzić tylko o ciebie, poruczniku Athrawes. Jesteś w końcu jedynym przybyszem spoza granic, niektórzy powiadają, że do tego seijinem.

Arcybiskup nie nakazał mi wprowadzić potwierdzenia tych pogłosek, ale i tak ulżyłoby mi, gdybyś zgodził się na ich weryfikację.

Merlin przyglądał mu się przez kilka sekund, wyczuwając nagle rosnące napięcie w postawie Cayleba, a potem uśmiechnął się krzywo i pokłonił arcykapłanowi.

- Nie spodziewałem się czegoś podobnego, ojciec - stwierdził z całkowitą szczerością - ale jeśli tylko mogę być przydatny, masz moje pozwolenie.

Wyciągnął rękę i przyłożył palec do lśniącej powierzchni kryształu. Gdy to uczynił, w samym kącie pola widzenia pojawiła się niewielka zielona ikonka oznaczająca, że weryfikator jest w pełni sprawny. Jego obwody musiały już wykryć, że ma do czynienia z działającym w trybie autonomicznym egzemplarzem CZAO. Nie mógł jednak ustalić, że oprogramowanie zostało wcześniej zhakowane, a gdyby nawet, nie potrafiłby przekazać tej informacji Wylsynnowi. Miał jednak tryb pozwalający na łączenie się z molekularnymi obwodami mózgu CZAO, podobnie jak z ludzkimi, i przeszedł na niego bez zwłoki.

Co znaczyło, że będzie wiedział, jeśli Merlin spróbuje okłamać arcykapłana.

- Czy jesteś seijinem, poruczniku? - padło pierwsze pytanie.

- Posiadam niektóre ze zdolności przypisywanych tym świętym mężczyznom, ale na pewno nie wszystkie - odparł Merlin, dobierając słowa ze śmiertelną powagą. - Nabyłem ich po wielu latach mieszkania w Górach Światła, ale żaden z moich instruktorów i nauczycieli nigdy nie nazwał mnie seijinem.

Wylsynn najpierw spojrział na błękit światła, potem podniósł wzrok na Merlina.

- Dlaczego przybyłeś do Charisu?

- Powodów było wiele - odparł Merlin - ale mogę powiedzieć, że przede wszystkim pojawiłem się tutaj, by ofiarować mój miecz i talenty królowi Haarahldowi, ponieważ niezwykle go sobie cenię. Drugim z powodów niech będzie ten, że uważam Charis za miejsce, w którym ludzie mogą żyć zgodnie z prawdziwymi nakazami Boga.

- Zakładam, że to ostatnie zdanie oznacza, iż wierzysz w Jego plan ocalenia Schronienia?

- Ojciec - zaczął ostrożnie Merlin. - Wierzę w Boga i jego plany co do wszystkich ludzi, ale nade wszystko pokładam wiarę w to, że każdy mężczyzna i każda kobieta powinni wspierać Światło przeciw Ciemności.

Weryfikator nawet nie mrugnął, a spięty do tej pory Wylsynn pozwolił sobie nawet na krzywy uśmiešek.

- Zamierzałem zadać ci jeszcze kilka pytań, poruczniku - stwierdził - ale widzę, że odpowiadasz z niezwykłą szczerością.

- Staram się, ojczy - mruknął Merlin, odwzajemniając ukłon inkwizytora, który zaraz potem odsunął się od podestu, wyłączył weryfikator i ukrył go ponownie pod głównią berła.
- Dziękuję waszej wysokości, tobie, księżę, a także jego ekscelencji i porucznikowi Athrawesowi. Wierzę, że poznałem już całą prawdę i będę mógł spokojnie odpowiedzieć na obawy arcybiskupa.
- ~ Nie ma za co - odparł Haarahld, a Merlin zaczął się za-stanawiać, czy spokojny ton, jakim przemówił król, oznacza, iż władca poczuł równie wielką ulgę jak on sam.
- Wasza wysokość, mój księżę, wiem, jak wiele obowiązków spoczywa na waszych barkach, pozwólcie więc, że odda-lę się, abyście mogli powrócić do ich wykonywania.
- Oczywiście, ojczy - powiedział Haarahld, a biskup po-błogosławił odchodzącego hierarchę prawą ręką.
- Dobrze się dzisiaj sprawiłeś, ojczy Paityrze - stwier-dził. - Pragnąłbym, aby wszyscy kapłani Kościoła Matki byli równie gorliwi, religijni, no i podchodzili do swoich obo-wiązków tak jak ty. Niech cię Bóg błogosławi i wszyscy Jego archaniołowie.
- Dziękuję, ekscelencjo - odparł ściszym głosem Wyl- synn, potem pokłonił się raz jeszcze i opuścił salę tronową.

III

Stadion króla Haarahlda V, Tellesberg

Trzeeci rzut!

Tłum zebrany na stadionie imienia króla Haarahlda V zawył z oburzenia na ten komunikat, ale stojący obok bazy mężczyzna w białej szacie zignorował przekleństwa miotane w jego kierunku. Rozjemcy byli chyba jedynymi z hierarchów Kościoła Matki, na których gwizdy i wyzwiska ludu nie ro-biły najmniejszego wrażenia.

Biskup Egzekutor Zherald Ahdymysn żałował czasami, że pozwalano na coś takiego. Jego zdaniem żaden z wiernych sług Kościoła Matki nie powinien być traktowany w podobny sposób, przecież nawet archanioł Langhorne zachował dale-ko idącą ostrożność w tej kwestii, gdy ustalał w Piśmie pod-stawowe przykazania dotyczące gry, uznając, że stanowiska rozjemców będą należały do funkcji świeckich. Dzięki temu zabiegowi można było udawać, że tłumy nie wygwizdują kon-sekrowanej osoby. Jednak w tej konkretnej sytuacji nawet najbardziej rozwścieczeni kibice musieli zdawać sobie spra-wę, że rozjemca ogłosił prawidłową decyzję.

Niemniej biskup wątpił, by którykolwiek z nich przyznał się do tego. Tegoroczny finał Pucharu Króla - rozgrywany po raz kolejny pomiędzy Krakenami z Tellesbergu a ich tra-dycyjnym i zarazem najbardziej nienawidzonym przeciwni-kiem, drużyną Smoków z Hairathy - po trzech remisowych meczach nadal nie doprowadził do rozstrzygnięcia. Rozpo-czynala się właśnie siódma zmiana decydującego starcia. Krakeny miały do odrobienia dwa punkty, ale zarazem ob-stawione wszystkie bazy, co oznaczało, że ta decyzja rozjem-cy może okazać się dla nich naprawdę bolesna.

Pomruk tłumu cichł z wolna, wracając do normalnego na-tężenia. Już tylko pojedyncze głosy wybijały się nad zwycza-jowy gwar, komentując wulgarnie umiejętności zawodowe i stan wzroku rozjemcy. Następny pałkarz podszedł do bazy. Gdy ustawiał się obok bazy domowej, z trybun popłynęły kolejne szyderstwa. Zhan Smolth był jednym z najlepszych miotaczy ligi, zwłaszcza podczas rozgrywek postsezonowych, dlatego cieszył się ogromną popularnością wśród kibiców. Niestety, jak to zwykle bywa z zawodnikami tej specjalno-ści, jego umiejętności jako pałkarza były raczej przeciętne. Więcej nawet, nigdy wcześniej nie zdołał wykonać prawidł-owego uderzenia podczas końcówki zmiany, zwłaszcza gdy do-chodził do kija po podwójnym zbieciu, dlatego tłumy liczyły wyłącznie na jego porażkę.

W tych okolicznościach, pomyślał Ahdymysn, błąd po-przedniego uderzającego musiał się wydawać kibicom o wie- le potworniejszy, niż był w rzeczywistości.

Biskup uśmiechnął się pod nosem na tę myśl, a potem, gdy Smolth stanął pewnie na nogach i poklepał kijem w bazę, rozsiadł się wygodniej w zacienionej łoży, jaką na każdym stadionie Schronienia zarezerwowano dla dostojników Świątyni. Pozostali kibice skupiali w tym momencie uwagę na dramacie rozgrywającym się poniżej, na zalanej słońcem płycie boiska, ale Ahdymysyn był myślami daleko od tego miejsca. On, jak i pozostali hierarchowie, miał znacznie większy problem do rozwiązania.

Kościelna łoża sąsiadowała na stadionie Haarahlda V bezpośrednio z sektorem królewskim. Wystarczyło, że Zherald lekko obrócił głowę, by mógł dostrzec zarówno aktualnie panującego władcę, jak i jego następcę, księcia Cayleba - obaj wpatrywali się niezwykle uważnie w pięknie przystrzyżone boisko. Skrzywił się na ten widok, aczkolwiek tylko nieznacznie. Grymas wynikał z niepokoju, lecz nie o wynik meczu chodziło.

Zherald Ahdymysyn nie przetrwałby tylu lat na stanowisku biskupa egzekutora Charisu, gdyby nie był w pełni świadomy gier politycznych toczonych w łonie Świątyni. Wprawdzie nikt mu nigdy nie wyłuszczył dokładnie zasad nimi kierujących, ale potrafił wystarczająco dobrze czytać pomiędzy wierszami listów arcybiskupa Erayka, a sformułowania zawarłe w ostatnich wieściach wydawały mu się o wiele bardziej czytelne niż zazwyczaj. Stąd właśnie wiedział, że aktualni przełożeni są niebywale zaniepokojeni treścią raportów o sytuacji w Charisie, które do nich ostatnio wpływają - zwłaszcza tymi, które nie pochodziły od niego. Taka sytuacja nigdy nie zwiastowała niczego dobrego, a niefortunny wypadek, jakiemu uległ arcybiskup Erayk, zmuszający go do odwołania dorocznej wizyty duszpasterskiej, pozostawiał wszystko na głowie biskupa egzekutora. I to właśnie było w tym wszystkim najgorsze, przynajmniej w opinii Ahdymysyna.

Przełknął jakoś tę niesmaczną myśl, potem spojrzał na młodego kapłana siedzącego u jego boku.

Ojciec Paityr był jedyną purpurową plamką na tle episkopalnej bieli oraz brązów i zieleni - barw, jakie przywdziali hierarchowie wypełniający szczerlnie kościelną łożę. Walka o miejsca na finał Pucharu Króla zawsze była bezpardonna, ale Wylsynn, mimo iż ustępował rangą wielu starszym od niego arcykapłanom z innych zakonów, zasiadł w łoży, do której oni nie zdołali zdobyć wejściówek. To jednak nie miało najmniejszego znaczenia. Jedynym prawdziwym zwierzchnikiem tego młodego, żarliwego schueleryty, a zarazem Naomiastnika Kościoła Matki i Inkwizycji w Charisie, był tylko on. Zherald Ahdymysyn. I właśnie dlatego biskup egzekutor czuł coraz większy niepokój. Kapłani pokroju ojca Paityra zawsze sprawiali swoim przełożonym nieliczne problemy, nawet w zwykłych okolicznościach. A te, przynajmniej zdaniem Ahdymysyna, nie należały dzisiaj do najnormalniejszych.

- Powiedz mi, ojcze - odezwał się moment później - czy wymyśliłeś coś jeszcze na temat, który poruszaliśmy w miniony czwartek?

- Słucham, ekscelencjo? - Wylsynn obrócił głowę, by spojrzeć na biskupa. - Wybacz mi, ale koncentrowałem się na meczu i chyba nie dosłyszałem twojego pytania.

- Nie szkodzi, ojcze. - Ahdymysyn uśmiechnął się. - Pytałem jedynie, czy nie przyszło ci do głowy coś nowego na temat, który poruszaliśmy ostatnio.

- Ach tak. - Wylsynn spojrzał z ukosa, minę miał teraz nieco bardziej zamyśloną, a na koniec lekko wzruszył ramionami. - Prawdę powiedziawszy, nie przyszło, wasza ekscelencjo - odparł. - Spędziłem wiele czasu, rozważając uwagi i instrukcje przesłane mi przez arcybiskupa, a nawet, o czym zapewne już wiesz, osobiście przesłuchałem na tę okoliczność króla oraz księcia Cayleba. Po raz kolejny przejrzałem też wszystkie notatki sporządzone podczas wcześniejszych badań nowych wynalazków oraz projektów. Ponadto, zgodnie z daną ci obietnicą, spędziłem wiele godzin w odosobnieniu, na modlitwie i medytacjach. Ale do tej pory ani Bóg, ani tym bardziej jego archaniołowie - tu dotknął

palcami prawej dłoni serca, a potem ust - nie raczyli dać mi żadnego znaku. że...

- Pierwsze uderzenie! - zawołał rozjemca, gdy miotacz Smoków posłał szybką piłkę w sam środek strefy rzutu. Spóźniony i dość niezdamny zamach Smoltha nie doprowadził nawet do kontaktu. Wielu jego fanów zawyło o wiele głośniejszym niż przed chwilą. Wylsynn wydarł się razem z nimi, ale już Moment później splonął się mocno, gdy dotarło do niego, że gra odciągnęła go od rozmowy z biskupem, a zarazem bezpośrednio przełożonym.

- Proszę o wybaczenie, ekscelencjo. - Uśmiech, który wykwitł mu na ustach, sprawił, że wyglądał znacznie młodziej, wręcz jak dzieciak. - Wiem, że jestem synem Ziemi Świętych, ale obawiam się, że Krakeny zdołały odciągnąć moje serce od tamtejszych Jaszczurodrapów. Ale proszę, nie mów o tym mojemu tacie, gotów mnie jeszcze wydziedziczyć!

- Nie obawiaj się, ojczu. - Pomimo niezbyt wesołych myśli, jakie wciąż kłębiły mu się w głowie, Ahdymyn także się uśmiechnął. Chociaż zakon Schuelera cieszył się naprawdę złą sławą, a przysłowiowa już nieczułość Wylsynna na nieustanne polityczne podchody wewnątrz Świątyni czyniła z niego frustrującego partnera w rozmowach, to jednak w Namiestniku kryło się wiele prawdziwie młodzieńczych cech. - Nie wydam twojego sekretu. Ale wróćmy może do tematu.

- Zacząłem mówić, zanim nie przeszkodziła nam w rozmowie decyzja rozjemcy, że pomimo tylu godzin spędzonych na modlitwach i czuwaniu, a może wręcz odwrotnie, właśnie dzięki nim, nie znalazłem najmniejszego powodu do nanieśienia zmian w moich pierwotnych osądach.

- Zatem nadal nie widzisz zagrożenia możliwymi złamaniami Zakazów?

- Wasza ekscelencjo - oświadczył Wylsynn - jako członek zgromadzenia i Namiestnik Kościoła Matki w Charisie jestem bardzo wyczulony na wszelkie możliwe naruszenia Zakazów. Nasz zakon traktuje je niezwykle poważnie, zwłaszcza gdy chodzi o miejsca najbardziej na nie narażone, takie jak leżący z dala od oczu Świątyni Charis. Zapewniam cię jednak, że potraktowałem instrukcje arcybiskupa i wielkiego inkwizytora z należytą uwagą. Jednak nic z tego, co dzieje się teraz w Koronie, nie zbliża się nawet do zamieszczonej w Piśmie definicji zagrożeń.

- Wiem, że te sprawy leżą w gestii zakonu schuelerytów, ojczu - przyznał Ahdymyn. - Uwierz mi też, że moją intencją nie było podważanie gorliwości, z jaką przystąpiłeś do wypełniania swoich obowiązków, choć tak mogłeś odebrać moją wypowiedź... - Zamyślił się na moment. - Powiem ci tylko, że moja troska wynika głównie z faktu nagłego pojawienia się wielu nowych... wynalazków.

Wygląda też na to, że kilku ludzi poczuje znacznie większe obawy z ich powodu, zwłaszcza gdy najnowsze wieści z Charisu dotrą do łona Świątyni, dodał w myślach.

- Drugi rzut!

Tłum zbulgotał jeszcze głośniejszym, gdy piłka trafiła w sam środek rękawicy łapacza. Ale tym razem nikt nie winił Smoltha. Miotacz Smoków zdawał sobie sprawę, że od zwycięstwa dzieli go już tylko jeden rzut, więc nie ryzykował i zagrał tak, jakby naprzeciw niego stał nie średniak, ale prawdziwy mistrz kija. Szybka, paskudnie podkrecona piłka okpiłaby niemal każdego pałkarza ze szczytu listy.

- Domyślam się, z jakiego powodu ekscelencja mógł poczuć obawy - stwierdził Wylsynn, uśmiechając się i kręcąc głową, gdy zobaczył, że Smolth opuszcza stanowisko przy pierwszej bazie, by zebrać myśli. Moment później schueleryta spojrział prosto w oczy biskupa Ahdymyna. - Prawdę powiedziawszy - dodał już poważniejszym tonem - sam byłem zaskoczony ich mnogością, ale to przecież Charis! I chociaż przez tak wiele lat mojej posługi w Koronie ani razu nie trafiłem na ślad demonicznej interwencji, muszę przyznać, że energia, z jaką Charisjanie dążą do ułatwiania sobie życia, potrafi być zastanawiająca. I

jeszcze ta ich Akademia Królewska, która dodatkowo pogarsza sprawę. Miewałem już momenty silnego zwątpienia, ale ten ostatni wysyp wynalazków nawet dla mnie był prawdziwym szokiem. Tyle tylko, że wszystkie te maszyny, które miałem okazję zbadać w ciągu ostatnich miesięcy, są wyłącznie rozwinięciami już istniejących, zaaprobowanych przez nas pomysłów. A przecież każda nowa technologia i procedura musiała być przetestowana i zatwierdzona przez Kościół Matkę, zanim otrzymała zezwolenie na wdrożenie do produkcji od mojego zgromadzenia. Pismo nie zabrania rozwijania istniejących już technologii, o ile nie zagrażają one Boskiemu planowi.

- Rozumiem. - Ahdym syn zastanawiał się przez chwilę nad słowami młodszego kolegi, czując żal, że nie może zadać najważniejszego pytania.

Była to kwestia, którą mógł poruszyć z większością pozostałych namiestników, jednak Wylsynna zesłano do Charisu nie bez powodu. Prawdę powiedziawszy, biskup mógł ich wyliczyć co najmniej kilka: choćby jawną dezaprobatę dla pragmatyzmu, z jakim starsi kapłani Kościoła Matki, zwłaszcza należący do zgromadzenia schuelerytów, podejmowali decyzje. Z równie wielką pogardą Paityr wyrażał się o „dekadencjach” zwyczajach hierarchii, co przy jego wysokim urodzeniu mogło przerodzić się w naprawdę groźną krytykę.

Z rodu Wylsynnów pochodziło nie mniej niż sześciu wielkich wikariuszy. Ostatni zakończył posługę zaledwie dwie kadencje temu, a najbardziej sławny - wielki wikariusz Evyrahard Sprawiedliwy - niespełna sto lat wcześniej został uznany za reformatora walczącego żywiołowo z „nadużyciami” dokonywanymi na łonie Świątyni. Pozostawał na tym stanowisku tylko dwa lata i zginął w tajemniczych okolicznościach, spadając z balkonu własnej rezydencji, ale najwyżsi hierarchowie episkopatu, wspominając jego imię, nawet dziś wciąż czuli dreszcz przerażenia przebiegający im po plecach. Paityr, będąc potomkiem świętego Evyraharda w prostej linii, mógł bez problemu zająć jedno z głównych stanowisk w Świątyni, gdyby tylko chciało mu się podjąć tę grę. A to oznaczałoby ogromne zagrożenie dla wielu układów i układek nieobcych większości tamtejszych kapłanów.

Na szczęście młody potomek wielkiego rodu nie przejawiał żadnego zainteresowania politycznymi knowaniami i tylko dzięki koneksjom udało mu się uniknąć znacznie gorszych rezultatów utraty zaufania przełożonych. Z drugiej jednak strony, zważywszy na to, jak ważną rolę pełnił jego ród, uczyńnię z Paityra zwykłego kapłana musiało być postrzegane w kategoriach kary za jego tendencje do macenia wody. Podobnie było z umieszczeniem go w odległym Charisie.

Jednak żaden z żyjących ludzi nie mógł zarzucić ojcu Paityrowi Wylsynnowi braku wiary czy sprawności intelektualnej. I to właśnie najbardziej niepokoiło biskupa. Namiestnik był tak mocno skoncentrowany na dziele ochrony ortodoksyjnej doktryny Kościoła Matki, że nie marnował czasu na opowiadanie się po którejś ze stron wewnętrznego konfliktu czy też ustawiczne zmiany frakcji. Był za to najlepiej poinformowaną osobą w swoim zgromadzeniu, przynajmniej w sprawach posługi. Z tego właśnie powodu postanowiono pozbyć się go z okolic Syjonu i odesłano aż do Charisu. Jeśli dołożyć do tego wszystkie wcześniej wspomniane powody, widać było jak na dłoni, dlaczego biskup Ahdym syn nie może i nie powinien poruszać przy młodym Paityrze kwestii związanych z wpływem, jaki będzie miała tak ogromna masa charisjańskich wynalazków na układy wewnątrz Świątyni. A co za tym idzie, na dalsze losy kariery biskupa egzekutora Zheralda.

- Czy powiedziałbyś - zapytał zamiast tego hierarcha - że te wszystkie nowe „cyfry” i „liczydła” doktora Mahklyna podpadają pod tę samą kategorię?

- Pod jaką kategorię, ekscelencjo? - Wylsynn wyglądał na zakłopotanego, a Ahdym syn z trudem pohamował się przed głośnym westchnięciem.

- Kategorię udoskonaleń zaaprobowanych praktyk, ojciec — wyjaśnił cierpliwie.

- Wybacz mi, ekscelencjo - odparł schueleryta - ale akurat tutaj nie widzę żadnego problemu. Chociaż jestem gotów przyznać, że znam się na matematyce nieco gorzej od większości ludzi, to moje badania nad dziełem doktora Mahklyna wykazały ponad wszelką wątpliwość, że wszyscy mogą na nich ogromnie skorzystać. Kupcy, którzy zdążyli już przyswoić tak zwane „cyfry”, nie potrafią się ich nachwalić. Wiem jednak, zgodnie z naukami płynącymi z Pisma, że nie wszystko co przynosi korzyści na tym świecie, musi być od razu akceptowalne w Boskich kategoriach. Czyż nie tym właśnie sposobem Shan-wei doprowadziła swoich pierwszych wyznawców do zła i zatracenia? Tyle tylko, że Pismo nie mówi nic, dokładnie nic, na temat tego, jak mamy zapisywać liczby i rabować. Zapewniam cię, ekscelencjo, że po naszej ostatniej rozmowie spędziłem wiele czasu, przeglądając uważnie sporządzone dla mnie skorowidze Pisma i Komentarzy, ale nie znalazłem w nich żadnej wzmianki na ten temat. Zakazy koncentrują się na niezbadanej jeszcze wiedzy, która może zaprowadzić wiernych prosto w sieci Shan-wei. Archanioł Jwo-jeng wyraża się niezwykle precyzyjnie na ten temat, podobnie czynią to Komentarze. Pokusa tkwi w bezbożnej chęci posiadania wiedzy i władzy zarezerwowanej wyłącznie dla Boga i jego aniołów. W sferze wiedzy przypisanej śmiertelnikom można korzystać z usprawnień, które prowadzą do wydajniejszej i łatwiejszej pracy, bez narażania się na ryzyko potępienia duszy. Oczywiście do momentu przekroczenia granic któregoś z Zakazów.

- Rozumiem - powtórzył Ahdym syn, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że punkt widzenia Wylsynna nie jest zbyt popularny nawet w zgromadzeniu Schuelera. Z drugiej jednak strony, w głosie - a może w oczach - Namiestnika coś się kryło. Odpowiadał szybko i bez wahania, jak ktoś, kto spędził długie godziny na rozmyślaniach. Ale dało się też wyczuć pewną chęć... wyzwania. Nie oporu albo braku szacunku. Na pewno nie. Niemniej Ahdym syn miał nieodparte wrażenie, że młody kapłan powziął decyzję z pełną świadomością, iż nie spodoba się ona arcybiskupowi, a kto wie, może i całej Radzie. Biskup egzekutor przyglądał się, jak Smolth ponownie staje przy bazie i przyjmuje postawę wybijającego, czekając, aż miotacz i łapacz spróbują ustalić kolejny ruch. Przecież ta decyzja nie może być aż tak bardzo skomplikowana, pomyślał Ahdym syn. Po dwóch autach i wyliczeniach Smolth musi przejść do defensywy, a Smoki są o krok od zdobycia trzeciego punktu. Wszyscy na tym stadionie wiedzieli, że czas na rzut nie do obrony, poza strefę uderzenia, by pałkarz zaliczył trzecie nieudane odbicie.

A jednak facet stojący na pozycji miotacza jest chyba jedynym człowiekiem w Tellesbergu, który nie ma o tym pojęcia, zauważył biskup, nie bez ironii zresztą. Spoglądał na zawodnika kręcącego głową na kolejne sugestie sygnałizowane przez partnera, potem przeniósł wzrok na Wylsynna.

„Wydaje mi się, ojcze, że powiedzieliśmy już wszystko co trzeba na ten temat - stwierdził. - Rozumiem, że sporządzisz i dostarczysz mi pełen raport z tej sprawy za dzień, góra dwa? Statek już czeka, aby zawieźć tę wiadomość do Clahnyru. Jeżeli zdążysz zmieścić się w tym czasie, poproszę, by poczekano do pojutra, i wyślę wszystko razem z moją korespondencją dla arcybiskupa Erayka.

- Przekażę ci moje wnioski do jutrzejszego wieczoru, ekscelencjo.

- Znakomicie, ojcze. Przeczytam wszystko z należytą uwagą i...

BACH!

Nagły ostry dźwięk, taki, jaki wydaje skóra w zetknięciu z twardym drewnem, oszołomił zebranych na stadionie do tego stopnia, że zamilkli na dłuższą chwilę. Miotacz Smoków wybrał w końcu rzut, jeden z najpaskudniejszych, jakie miał w arsenale. Piłka leciała tuż nad piachem, około dziesięciu cali od bazy, ale wybijający jakimś cudem zdołał doprowadzić do kontaktu. I to jakiego! Jego zamach wyglądał niezdarnie, ale posłał piłkę daleko w pole, wysoko ponad głowę i rękę drugiego bazowego - zniknęła w trawie na środkowej części boiska. Była mocno podkrecona, gdy opadała na ziemię, ale tam też zachowała się niezwykle

dziwnie, jakby trafiła na niewidzialną przeszkodę, odskoczyła od niej i przeleciała nad nurkującym centerem, mijając jego desperacko zaciskającą się rękawicę w odległości niecałej stopy. Trzej zawodnicy okupujący bazy wystartowali do biegu w momencie, gdy kij Smoltha zetknął się z piłką.

Dobiegający z trybun ryk, pełen niedowierzania, ale i radości, był ogłuszający i nawet Zherald zerwał się z miejsca, aby obserwować piłkę toczącą się aż pod ścianę na końcu boiska, zanim dopadł do niej jeden z obrońców Smoków. Zanim Jednak została odrzucona, pierwszy z zawodników gospodarzy zdążył dokończyć okrążenie. Na tym nie skończył się jednak pech Smoków, ciśnięta nieco na oślep piłeczka przeleciała wysoko nad głową zawodnika strzegącego bazy. Zważywszy na ogromny dystans i tempo, w jakim obrońca musiał zakończyć akcję, nie był to najgorszy rzut. Ale i nie najlepszy, Zmusił chwytającego do odbiegnięcia od bazy domowej i minięcia się z piłką, chociaż tylko o włos, pozwalając tym samym na dokończenie biegu drugiemu z biegaczy Krakenów.

Miotacz Smoków rzucił się w stronę pierwszej bazy, by zamknąć dostęp do niej, ale uczynił to zbyt wolno, jakby nie potrafił uwierzyć w to, że Smolth naprawdę odbił piłkę. Przybiegł więc na miejsce tuż po drugim z biegnących, ale nie zdążył się jeszcze odwrócić w stronę łapacza, któremu złośliwa piłka wciąż wymykała się z rąk. W tym czasie trzeci zawodnik Krakenów biegł już po ostatniej prostej. Łapacz posłał w końcu piłkę idealnym rzutem, prosto na bazę - ale wpadający się w nią miotacz nie mógł widzieć zbliżającego się z drugiej strony napastnika, który wpadł na niego z całym impetem, zaliczając tym samym home-run. Piłeczka przeleciała ponad palcami padającego miotacza, a Smolth, pędzący, jakby od tego zależało jego życie, dopadł właśnie do trzeciej bazy, doprowadzając cały stadion do wrzenia.

- Cóż - powiedział Ahdym syn kilka minut później, gdy tumult tłumów zelżał, a hierarchowie na powrót zajęli swoje miejsca. - Jak widać, ojczyste, cuda jednak się zdarzają.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo!

Ton Wylsynna przyciągnął uwagę biskupa. Młody kapłan wydawał się szczerze zaskoczony tak beztroską uwagą siedzącego obok hierarchy. Nie, pomyślał biskup egzekutor, nie „zaskoczony”, tylko „pełen dezaprobaty”, chociaż i to nie było określenie, którego szukał. Może raczej „rozczarowany”.

Tak czy inaczej, powinienem to zapamiętać, postanowił w duchu Ahdym syn. Nie wysłano go tutaj tylko dlatego, by trzymał się z dala od fundamentów Świątyni. No i ta jego niechęć do administracyjnych kompromisów. Miejmy tylko nadzieję, że nie wyniknie z tego żaden nowy problem.

- Tak, ojczyste, zdarzają się - przyznał biskup egzekutor, przybierając bardziej oficjalną postawę i ton. - Naprawdę-

Zhaspahr Maysahn siedział w odległości kilkuset miejsc od biskupa Zheralda i ojca Paityra. Jego niewielka kompania kupiecka nabywała rokrocznie pewną pulę biletów na rozgrywki pucharowe Krakenów, podobnie jak wielu innych rzemieślników i właścicieli niewielkich firm działających na terenie Tellesbergu. Nie udało mu się jednak zdobyć tak dobrych miejsc jak te w łoży królewskiej czy kościelnej, chociaż siedzenia, które mu przydzielono, na wprost trzeciej bazy, nie były wcale takie złe. Maysahn widział z nich wszystko jak na dłoni i tylko pokręcił głową z niedowierzaniem, gdy Smolth padł na ostatnią bazę.

- To musiało zboleć - zauważył siedzący tuż obok niego Zhames Makferzahn tak rozradowanym głosem, że Maysahn spojrzał na niego

- To dopiero siódma zmiana - burknął, wywołując kolejną falę wesołości współpracownika.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedział tamten, pocierając znacząco kciukiem o palec wskazujący.

Maysahn próbował zachować odpowiednio wyzywający wyraz twarzy, ale w głębi duszy zaczynał się już obawiać, że Makferzahn może mieć rację. Niesamowity marsz Smoków

przez rozgrywki sprawił, że byli typowani na absolutnych pewniaków w tegorocznym finale pucharu. Nawet bukmacherzy w Tellesbergu przychylali się do tej opinii, chociaż żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego. Ale Makferzahn wyklócał się z nimi - a nawet miał ochotę na to postawić - że Krakeny, dzięki znakomitym miotaczom, wygrają te rozgrywki. Maysahn przyjął jego ofertę, w stosunku dwa do jednego, i właśnie zaczynał się zastanawiać, czy aby jego nowy współpracownik nie posiada lepszego rozeznania w tej jedynej dziedzinie.

Wszystko wskazywało na to, że Makferzahn potwierdzi trafność swoich sądów zdobyciem kilku charisjańskich marek, mimo iż dopiero co przybył do tego kraju. Przysłano go do Uesbergu na miejsce Oskahra Mhulvayna niespełna miesiąc wcześniej, ale jak widać, to mu wystarczyło, by poznać od podszewki wartość miejscowej drużyny baseballowej. Ten człowiek dorównywał umiejętnościami swojemu poprzednikowi. Był równie pewny siebie, pracowity... no i ambitny, to nie ulegało wątpliwości. Ale najważniejsze było to, że nie figurował na żadnej z list podejrzanych agentów sporządzonych nie tak dawno przez barona Gromu.

Z punktu widzenia Maysahna, wszystkie te cechy - może z wyjątkiem ambicji - były dzisiaj nader pożądane. Niestety Makferzahn nadal nie wyszedł poza stadium zdobywania nowych kontaktów i źródeł. Maysahn rozważał nawet, czy nie skontaktować go z kilkoma ważniejszymi agentami z siatki Mhulvayna, aby przyspieszyć ten proces, ale dość szybko porzucił ten pomysł.

Wydawało mu się, że agenci Gromu nie zdołali zidentyfikować większości współpracowników, o czym mógł świadczyć choćby brak aresztowań w ich kręgach, chociaż baron miał wiele podejrzeń co do samego Oskahra. Istniało jednak prawdopodobieństwo, chociaż niewielkie, że kontrwywiad Charisu doskonale znał tożsamość tych ludzi, ale nie ruszał ich do tej pory, aby dowiedzieć się, kto zajmie miejsce Mhulvayna, kiedy dojdzie do odbudowy siatek. A teraz, kiedy sieć agentów Nahrmahna ze Szmaragdu została praktycznie zlikwidowana - to było wiadome już od dawna - grupa Mhulvayna została jedynym źródłem informacji z Charisu, jakie posiadał książę Hektor i jego sprzymierzeńcy. W takich okolicznościach, uznał Maysahn, lepiej poczekać dłużej na owoce pracy Makferzahna, niż narazić się na utratę ostatniego otwartego okna.

Nie wspominając już o niebezpieczeństwie, jakie mógł sięgnąć na własną głowę. Obejrzał do końca ceremonię gratulacji i radosnego poklepywania po plecach, odbywającą się właśnie przy ławie rezerwowych Krakenów. Kolejnym piłkarzem, który ustawił się za domową bazą, był Rafayl Furkhal, rozpoczynający zawodnik Krakenów. W tym samym czasie łapacz Smoków p^o* truchtał na boisko, by porozmawiać z miotaczem. Zapewne dodawał mu po raz kolejny otuchy, bo na rozmowę o strategii działania to raczej nie wyglądało. Smoki studiowały wszystkie szpiegowskie raporty na temat Krakenów z niezwykłą uwagą, więc musiały wiedzieć, że Furkhal ma mocniejszą lewą stronę. Zawodnicy stojący w głębi pola przemieszczali się powoli właśnie w tym kierunku - przy czym drugi bazyowy stanął niemal na pozycji drugiego stopującego, a pierwszy zajął miejsce w połowie drogi do następnej bazy - ale łapacz wciąż nie przestawał pocieszać podłamanego miotacza. Dlaczego nikt mnie nie pocieszał w ten sposób przez kilka ostatnich miesięcy, pomyślał Maysahn, od razu markotniejąc. Szaleństwem było węszenie za wszystkim, co działo się z dala od oczu i uszu, w sytuacji gdy instynkt podpowiadał, żeby siedzieć na tyłku i dbać o własne przetrwanie. Zrobił co mógł, ale jego źródła znajdowały się głównie w firmach kupieckich działających na terenie Tellesbergu. Dopóki nie zmuszono Oskahra do ucieczki, nie zdawał sobie nawet sprawy, w jak wielkim stopniu polegał na jego osądach i pracy w terenie, gdy w grę wchodziły kwestie militarne albo polityczne. Jedno dobre, że książę Hektor zrozumiał położenie, w jakim znalazł się szef jego charisjańskiej siatki, czego wyrazem były kolejne wiadomości z Corisandu.

A przynajmniej twierdził, że rozumie, poprawił się natychmiast w myślach. Nie pierwszy raz przyszło mu na myśl, że ktoś tak lotny jak Makferzahn mógł trafić tutaj, aby z polecenia Hektora przejąć z czasem jego obowiązki i pozycję szefa charisjańskiej siatki. Było to wprawdzie mało prawdopodobne, ale gdyby do tego doszło, odwołanie do Corisandu nie przysłużyłoby się dalszej karierze Maysahna. Na szczęście Hektor w jednym nie przypominał Nahrmahna: na pewno nie zleciłby usunięcia swojego najlepszego agenta. Maysahn przyjął więc chwilowo, że księżę naprawdę rozumie jego sytuację, i postanowił skupić się na odkrywaniu wszystkiego, co Haarahld i baron Gromu chcieliby ukryć. Przed czujnym wzrokiem wrogów.

Miotacz rzucił po raz pierwszy, Furkhal zamachnął się mocno... i chybił.

- Pierwsze uderzenie! - obwieścił rozjemca, a pałkarz pokręcił głową z niesmakiem.

Wyszedł poza obręb pola na moment, aby się uspokoić, potem wrócił, nie spoglądając nawet na trenera Krakenów stojącego obok trzeciej bazy, choć ten dawał mu jakieś znaki. Był skupiony i spokojny, gdy miotacz rzucił piłkę po raz drugi.

W tym momencie Furkhal zadziwił wszystkich obecnych na stadionie, wykonując klasyczne krótkie odbicie na linię pierwszej bazy. Nie było to wprawdzie samobójcze posunięcie - choć niewiele do tego brakowało - ale co najmniej ryzykowny ruch, nawet dla kogoś tak szybkiego jak on. Jego bezczelność totalnie zaskoczyła zawodników obrony. Bez wątpienia pomógł mu fakt, że przepuścił pierwszą piłkę, ale nikt nie mógł mieć wątpliwości, że tak to sobie zaplanowali mimo braku kontaktu z trenerem, ponieważ Smolth ruszył do biegu w momencie przyłożenia.

Zawodnicy ze środka pola pozostawili piłkę miotaczowi, ale ten był leworęczny i na dodatek siła bezwładu po rzucie pchnęła go w stronę trzeciej bazy. Odzyskanie równowagi, wystartowanie do biegu i przejęcie piłeczki zajęło mu o jeden moment za dużo. Nie zdążył zbić Furkhala, a gdy odwrócił się w stronę bazy domowej, Smolth był na tyle blisko, że dopadł poduszki, zanim trafiła go piłka. Biegacz zdobył punkt, a tłumy oszalały, gwizdząc, wyjąc i wrzeszcząc z radości.

Jest w tym analogia do mojej sytuacji, pomyślał Maysahn.

Nadal nie wiedział wszystkiego o planach Charisjan. Większość wiadomości, które zdążył zdobyć, należała do kategorii niepokojących, ale niegroźnych. Na przykład sir Dystyn Olyvyr zaprezentował ostatnio nowy typ takielunku dla żaglowców - nazywając go „ożaglowaniem szkunera” - stał się najdoskonalsze rozwiązanie tego typu, jakie znał świat. Maysahn wątpił wprawdzie, by choć połowa opowieści o jego osiągnięciach i zwrotności była prawdziwa, ale i tak dało się zauważyć gołym okiem, że to przełom w żeglarstwie. Olyvyr otrzymał już dziesiątki zamówień na nowe jednostki, pierwsze z nich lada moment opuszczą pochylnie jego stoczni, by zasilic i tak już potężną flotę handlową Korony. Tę samą, która i bez nich miała ogromną przewagę nad konkurencją.

Z drugiej strony „tajemnica” działania tego takielunku nie da się utrzymać zbyt długo, wystarczy, że ktoś znający się na rzeczy obejrzy sobie taką jednostkę w akcji. To samo dotyczyło nowego sposobu liczenia zaproponowanego przez Rahzhyra Mahklyna.

Maysahn sam zakupił jedno z liczydeł doktora i od razu przesłał je do Corisandu. Wspólnie z Makferzahnem tropili także każdą wiadomość na temat przełomowych technologii stosowanych w przedzalnictwie. Spodziewał się, że lada pięćdziesiątka będzie w stanie sporządzić wstępny raport także na ten temat.

Jakaś część jego umysłu upierała się przy myśli, że mimo wszystko wraca do formy i znów panuje nad sytuacją, ale gdzieś w głębi duszy cienki głosik wciąż ostrzegał go, powtarzając, że to nieprawda. To, o czym wiedział - i co reszta świata miała za jakiś czas zobaczyć - stanowiło zaledwie część prawdy. Trafił na postawioną celowo zasłonę, która miała zmusić wszystkich, by patrzyli w innym kierunku, zupełnie jak to przed chwilą zrobił

Furkhal, przepuszczając pierwszą piłkę, by nikt nie spodziewał się tego, co zrobi chwilę później.

Ciekawe, pomyślał Maysahn, czy wszyscy ojcowie tych wynalazków są ich rzeczywistymi twórcami?

Nad tą kwestią także zastanawiał się nie po raz pierwszy. Wszystkie dowody wskazywały na to, że Olyvyr, Mahklyn i Raiyan Mychail naprawdę wymyślili swoje wynalazki. Fakt, że dzięki Akademii Królewskiej Haarahlda ludzie ci mogli spotkać się w jednym miejscu, stworzonym wyłącznie po to, by rodzące się nowe idee mogły być od razu przekuwane w czyn, tłumaczył wszystko, nawet to, że tak wiele genialnych wynalazków powstało w tak krótkim czasie. Ale Maysahn nie potrafił się uwolnić od przeczucia, że nagłe pojawienie się w Tellesbergu Merlina Athrawesa miało z tym wszystkim wiele wspólnego. A im więcej o tym myślał, tym bardziej go to niepokoiło.

Ale proszę o kolejne problemy, Zhaspahrze, powiedział do Siebie. Jeśli nawet ten człowiek jest seijinem, jak o nim mówią, nie oznacza to jeszcze, że posiada nadludzkie moce! Na rany Langhornea, gdyby stał za tym wszystkim, zrobiliby go kimś więcej niż marnym porucznikiem gwardii królewskiej. Zamiast przejmować się nim, może poświęciłbyś więcej czasu rzeczom, których reszta świata ma na razie nie oglądać? Skoro Charisjanie tak chętnie dzielą się wiedzą na temat tych wynalazków, co też muszą ukrywać za zasłoną?

Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale wiedział, że baron Gromu i wielki admirał wyspy Zamek wzmocnili ostatnio i tak szczelną ochronę Heleny oraz Piaskowej Ławicy. Od czasu śmierci Kahlvyna Ahrmahka w Hairathcie także wiele się zmieniło pod tym względem. Wszystkie te ruchy można było wytłumaczyć dokonaniem zamachu na księcia i wykryciem, że ktoś tak wysoko postawiony jak książę Tirianu spiskował z wrogami Korony. Ale tak się składało, że dzięki nim powstała także nieprzenikniona kurtyna, za którą mogło się dziać niemal wszystko, a to bardzo się nie podobało Zhaspahrowi Maysahnowi.

KWIECIEŃ

ROKU PAŃSKIEGO 891

U wybrzeży Trhumahn, Południowa część Zatoki Howella

S

ygnał od okrętu flagowego, sir!

Hrabia Szarej Zatoki odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos midszypmena, starszego z dwóch chłopców uczepionych szczytu bezanmasztu. Złożył ręce na plecach, wczuwając się w leniwe kołysanie pokładu rufowego, do którego nadal przystosowywał się bez problemu po spędzeniu ponad dwudziestu lat na morzu. Czekał na dalszy ciąg melodii, skupił się na obserwacji kapitana HMS Tajfun, stojącego obok z zadartą głową i wpatrującego się z uwagą w stoletniego midszypmena.

Chłopak nie odrywał oczu od widniejącej w oddali sylwetki flagowca eskadry. Hrabiego otaczały dźwięki typowe dla rejsu po otwartym morzu - szum wiatru w takielunku, rytmiczny chłopot wody rozbijającej się o poszycie kadłuba, skrzypienie olinowania i masztów, wysokie piski ptaków oraz wyvern unoszących się nad kilwaterem Tajfunu - ale nie zważał na nie. Jego myśli zajmował wyłącznie midszypmen usiłujący odczytać sygnały flagowe wywieszane nad pokładem HMS Huragan. Drugi chłopak przysiadł obok, oparł się plecami o maszt, chroniąc przed zakusami wiatru trzymając na kolanach ogromną księgę i czekając na polecenie znalezienia właściwej strony.

- I co tam, panie Mahgentee? - ponaglił ich kapitan Stywurt, z coraz większą niecierpliwością spoglądając na szczyt zanmasztu.

- Nie widzę dokładnie całej wiadomości, sir... - zawołał z góry midszypmen, ale zaraz przerwał. - Teraz ją mam, sir! Numer dziewięć i trzydzieści siedem. Zwrot na bakburcie w szyku liniowym, sir!

- Znakomicie, panie Mahgentee - powiedział kapitan Dahryl Stywyrta i przeniósł wzrok na kolejnego midszypmena, który w odróżnieniu od kolegów stał tuż obok niego na pokładzie rufowym.

- Wywiesić potwierdzenie przyjęcia wiadomości, panie Aymez - rozkazał. - Natychmiast!

- Aye, aye, sir! - odrzyknął wskazany midszypmen i natychmiast zaczął wywarkować polecenia obsadom masztów.

Hrabia Szarej Zatoki obserwował jego poczynania z poważną miną, mimo że piskliwy głos trzynastoletniego Aymez - za łamał się przy każdym zdaniu, a najmłodszy marynarze, którym teraz rozkazywał, byli to najmniej dwukrotnie starsi od niego. Rayjhis Yowance dawno temu robił dokładnie to samo, co ten chłopiec dzisiaj, dlatego wiedział, że młody midszypmen zna się na swoim fachu.

Z worków wyjęto zwoje wielokolorowych flag i wkrótce cztery z nich zawisły na reii w odpowiedniej kolejności. Aymez obejrzał je uważnie, upewniając się, że niczego nie pomyślono, a potem wydał ostatnią komendę i całość szybko powędrowała w górę.

Najwyższy porządek zatrzymał się tuż pod nokiem reii i moment później, jednym szarpnięciem liny, rozwinięto je wszystkie na wietrze. Załopotały, tworząc wierne odbicie sygnału nadanego przez HMS Huragan, pokazując nie tylko, że wiadomość została odebrana, ale też że prawidłowo ją odczytano.

Mahgentee nadal nie odrywał oczu od flagowca. Oficer dyżurny Huraganu dopiero po dłuższej chwili nakazał zwinięcie oryginalnej wiadomości, co natychmiast zostało obwieszczone gromkim okrzykiem midszypmena.

- Rozkaz wykonany, sir!

- Znakomicie, panie Ahlbair. - Kapitan pochwalił pierwszego oficera. - Rozpoczynamy zwrot na bakburkę.

- Aye, aye, sir! - odparł porucznik Ahlbair, unosząc do ust wykonaną ze skóry tubę. - Wszystkie ręce na pokład, do szotów i brasów! - wrzasnął.

Hrabia Szarej Zatoki z zadowoleniem obserwował poczynania znakomicie wyszkolonej załogi kapitana Stywyrty. Podoficerowie pokrzykiwali gromko, zagrzewając marynarzy do szybszego obsadzenia stanowisk. To już nie były tak proste manewry jak te, które sam zarządzał za swoich czasów, ale i Tajfun nie przypominał w niczym galery. Mierzący sto dwa-dziesiąt stóp kadłub był krótszy od wiosłowych jednostek co najmniej o jedną czwartą, ale za to o wiele szerszy i wyższy, przez co wydawał się znacznie bardziej przysadzisty. Z jego pokładu sterczały aż trzy maszty - na galerze był tylko jeden - ale na tym nie kończyła się lista zmian.

Najbardziej widoczną z nich było usunięcie wysokich dziobowych i rufowych kaszteli - hrabia od razu uznał, że to najbardziej kłóciło się z jego poglądem na prawidłowy wygląd okrętu wojennego. Przecież kasztele dawały załodze przewagę wysokości, gdy przychodziło do obrony przed abordażem, jak i dodatkową ochronę przed ogniem z muszkietów, kusz i lżejszych dział znajdujących się na pokładach okrętów przeciwnika. Ich zniknięcie wydawało mu się na swój sposób niewłaściwe. Z drugiej jednak strony - nieuniknione. Nikt już ich dzisiaj nie potrzebował, a na przykładzie Tajfunu mógł zobaczyć, o ile zwrotniejszy zrobił się okręt, gdy z jego pokładu zniknęły masywne, stawiające opór nadbudówki. Poza tym ich usunięcie pomogło Merlinowi i sir Olyvyrowi osiągnąć jeszcze jeden cel, jakim było ograniczenie wagi kadłuba i obniżenie jego środka ciężkości. Cokolwiek jednak myślał o ścięciu nadbudówek do linii górnego pokładu, największa rewolucja dokonała się w ożaglowaniu.

Tradycyjny prostokątny żagiel główny został zastąpiony przez nowe „foki” sir Dustyna Olyvyra - trójkątne, ustawione skośnie sztagi rozpięte na sztagach przymocowanych do fokmasztu, natomiast na miejscu łacińskiego żagla z bezanmasztu pojawił się skośny blister

obciążany od dołu solidnym bomem. W oczach hrabiego Szarej Zatoki wyglądały one jednak co najmniej dziwnie, ale nie zamierzał na nie narzekać.

W jego przekonaniu nic nie mogło sprawić, by okręty z tradycyjnym ożaglowaniem przestały być niezdarne i wolne. Wy. nalezienie foków i spinakerów miało w tym ponoć pomóc, ale żeby w to uwierzyć, trzeba to było zobaczyć na własne oczy.

Wprawdzie zastosowanie tych żagli nie pozwalało na osiągnięcie takiej zwrotności czy zdolności płynięcia pod wiatr, jakie posiadały produkowane przez Olyvyra „szkunery”, ale fok i blister i tak dawały Tajfunowi sporą przewagę manewrową nad okrętami o bardziej konwencjonalnym takielunku. Rozmieszczono je idealnie przed i za punktem zwrotu jednostki, co pozwalało na wykrzesanie znacznie większej siły ciągu z żagli, niż sugerowała ich niezbyt przeciętna powierzchnia. Pozwalały też płynąć pod wiatr pod znacznie mniejszym kątem niż w przypadku użycia jakichkolwiek żagli prostokątnych. Dzięki temu okręt pokonywał znacznie krótszą drogę, gdy przychodziło do halsowania i zwrotów przez sztag, a bardziej wydajne żagle nadawały mu dodatkowy pęd, gdy rozpoczynał podobne manewry. Taka ich kombinacja sprawiała też, że jednostka wychodziła z nich pewnie i szybciej, chociaż mniej obyty z nimi szypier wciąż mógł dać się łatwo zaskoczyć i pójść w dryf na zawietrzną. Na szczęście wyjście z takiego impasu było jeszcze prostsze, a nowy rozkład żagli pomagał okrętowi odzyskać zdolność manewrową, jeśli dochodziło do podobnych zdarzeń.

Hrabia Szarej Zatoki wiedział, że w głębi serca na zawsze pozostanie kapitanem tradycyjnej galery, niemniej długie lata doświadczenia w służbie na morzu pomagały mu dostrzec ogrom zmian wprowadzonych przez wielkiego admirała, barona Morskiego Szczytu oraz Merlina. Tajfun zakończył manewr, wchodząc na nowy kurs, a hrabia powrócił na swoje miejsce przy relingu, by podziwiać precyzję, z jaką komandor Staynair prowadzi swoją eskadrę.

Oprócz wymyślenia wielu udoskonaleń takielunku i uzbrojenia Merlin doprowadził także do rewolucji w sygnalizacji pomiędzy okrętami. Królewska Marynarka Wojenna Charisu rozwijała od wielu lat własny system komunikacji, ale do tej pory opierał się on wyłącznie na przesyłaniu krótkich i prostych informacji. Jeśli wciągano pojedynczą czerwoną flagę na maszt, oznaczało to rozkaz nawiązania kontaktu bojowego z wrogiem. Jeśli dodawano do tego królewskie godło, czyli złotego krakena na czarnym tle, to w zależności od tego, czy znalazło się ono nad czerwoną flagą czy też pod nią, uderzenie powinno nastąpić od czoła albo od tyłu atakowanej eskadry. Wywieszenie flagi w czarno-żółte pasy poniżej barw narodowych równoznaczne było z wydaniem rozkazu: „formować szyk bojowy za moją rufą”, a odwrotna ich kolejność nakazywała pozostałym jednostkom eskadry zająć pozycję przed dziobem flagowca. Prostota przekazu uniemożliwiała tworzenie i przesyłanie bardziej precyzyjnych rozkazów i informacji, lecz Merlin, jak zwykle zresztą, i na to znalazł radę. Baron Morskiego Szczytu był zbyt zajęty produkowaniem nowych armat, by mieć głowę do testów ulepszonej sygnalizacji, dlatego oddelegował do tego zadania sir Domyńka Staynaira, młodszego brata biskupa Maikela, wybranego osobiście przez wielkiego admirała na dowódcę „eskadry eksperymentalnej”.

Wybrano go do tej roboty głównie dlatego, że jego przełożeni uważali, iż jest jednym z najbardziej lojalnych żołnierzy i za nic nie dopuści do zdrady sekretów marynarki wojennej. Drugim powodem była jego otwartość na nowinki. Mając za ledwie trzydzieści siedem lat, spędził ponad ćwierć wieku na otwartym morzu. Nie był więc jeszcze za stary na naukę, ale jednocześnie posiadał ogromne doświadczenie, które pozwoliło mu na aktywną pomoc seijinowi przy opracowywaniu słownika zawierającego niemal osiemset standardowych komend. To właśnie ich zapisy znajdowały się w księdze, którą ścisła teraz siedzący na szczycie bezanmasztu pomocnik midszypmena Mahgentee. Wszystkim komendom przyporządkowano konkretne numery.

Używanie sygnałów flagowych w oparciu o „numeryczny” system Merlina pozwalało na przesłanie każdej z osmiuset komend - nie mówiąc już o dodatkowych tysiącach ich kombinacji - za pomocą wywieszenia zaledwie trzech flag sygnałowych. Można to było osiągnąć dzięki zastosowaniu czarnego proporca zwanego „stoperem”, którym rozdzielano poszczególne części wiadomości. Dzięki temu zabiegowi przesyłanie ciągów komend przestawało być problemem - czego widowym przykładem była wiadomość odebrana przed chwilą, w której Staynair nakazywał konkretną zmianę szyku, dodając, przez którą burtę ma być wykonana.

W słowniku Staynaira znalazło się też miejsce dla ponad tysiąca wyrażen, które powinien znać każdy marynarz - one także zostały oznaczone kodami numerycznymi, dzięki czemu jednostki floty zyskały możliwość wymieniania się bardziej skomplikowanymi wiadomościami. A jeśli ktoś zapomniał użyć słowa spoza tego słownika, mógł odwołać się do trzeciego systemu, w którym każda litera alfabetu posiadała swój liczbowy odpowiednik. Tym sposobem można było przeliterować każde słowo, choć wymagało to sporego nakładu pracy i czasu.

W rezultacie wprowadzonych zmian osiągnięto znaczne zwiększenie elastyczności taktycznej... oczywiście na etapach poprzedzających starcie. Ilość dymu prochowego unoszącego się nad okrętami na polu bitwy - nawet przy użyciu tradycyjnych dział - była tak wielka, że w krótkim czasie od rozpoczęcia ostrzału uniemożliwiała komunikację wzrokową nawet pomiędzy sąsiednimi jednostkami. Z tego też powodu każdy dobry oficer wiedział doskonale, jak wielką przewagę można osiągnąć, mając możliwość wysłania szczegółowych rozkazów do podległych jednostek na ostatnim etapie podejścia do przeciwnika.

- Wybacz mi, panie.

Hrabia Szarej Zatoki otrząsnął się z zamyślenia i podniósł wzrok na onieśmielonego młodego oficera.

- Tak, poruczniku?

- Kapitan Stywyr przesłał wyrazy szacunku i przypomina, że zaraz dotrzemy do celu.

- No tak, oczywiście! Dziękuję, poruczniku. Proszę Państwa dziękować kapitanowi w moim imieniu.

- Oczywiście, panie.

Porucznik dotknął lewego ramienia prawą pięścią i robiąc szybki w tył zwrot, powrócił do swoich obowiązków. Hrabia tymczasem zaczął upychać w uszach kłębki waty dostarczone mu przez barona Morskiego Szczytu.

- Wybijać na ćwierci, panie Ahlbair! - Głos kapitana był przytłumiony, ale rozkazy dało się zrozumieć i chwilę później z oddali dobiegło znajome dudnienie bębnow.

Raz jeszcze stopy marynarzy załomotały o deski, gdy załoga udawała się na stanowiska bojowe. Oczyszczanie pokładu galeonu przed rozpoczęciem walki nie było już koniecznością - o czym Stywyr wiedział od dawna - ale przy tak licznej załodze lepiej było zawczasu dmuchać na zimne.

Wyrobione oko hrabiego potrafiło wyłowić z otaczającego go chaosu pozornie niewidoczne oznaki dyscypliny. Tam gdzie każdy szczer ładowy widziałby tylko zamęt, jego wzrok dostrzegał choreografię godną najlepszego balu, a fakt, że większość załogi Tajfunu tak sprawnie przystępowała do wykonania zupełnie nowego dla niej zadania, budził jego najwyższe uznanie.

- Ładować działa na sterburcie, panie Ahlbair - rozkazał Stywyr.

- Baterie sterburty, odtoczyć i ładować! - wrzasnął porucznik, a hrabia Szarej Zatoki wychylił się mocniej za reling, by spojrzeć w dół na pokład działowy, na którym kanonierzy luźnowali liny uprząży zabezpieczającej nowo wprowadzone modele armat osadzonych na lawetach. Marynarze stękali z wysiłku, odciągając wielokrążkami masywne działa, aby ich koledzy mogli je załadować ciężkimi pociskami i znów podtoczyć z przerażającym

łoskotem pod furty po świeżo wypo-lerowanych deskach pokładu, które miały dodatkowo podnieść mobilność lawet. Tajfun dysponował głównie starymi krakenami, które nagwintowano ostatnio w odlewniach Ehdwyrda Howsmyna. Każda z tych armat ważyła dwie i pół tony i niełatwo dawała się poruszyć, nawet mimo osadzenia na świeżo oliwionych kółkach.

- Koniec przetaczania! - zakrzyknęli dowódcy baterii na 2nak, że są usatysfakcjonowani odległością, na jaką odciągnięto działa. Trzeci kanonier z każdej obsady wyjął z wylotu lufy drewnianą zatyczkę, która wcześniej chroniła ją przed zalaniem morską wodą. Drugi w tym samym czasie ścigał „fartuch” okrywający otwór wlotowy panewki, by numer jeden mógł w nim umieścić suchy lont.

Teraz przychodziła kolej na minerów - przeważnie siedmio- albo ośmioletnich chłopców podbiegających do armat z drewnianymi cebrzykami, w których znajdowały się ładunki odpalające. W każdym cebrzyku przenosili po jednym flanelowym woreczku wypełnionym po brzegi prochem i szczelnie zamkniętym. Zostawiali je na pokładzie obok dział i pędzili zaraz po następne ładunki.

Piąty kanonier z każdej obsady podnosił pozostawiony ładunek i podawał go trzeciemu, którego zadaniem było umieszczenie prochu w wylocie lufy. W tym czasie szósty dokonywał wyboru kuli z długiego rzędu leżącego w zagłębieniu przy nadburciu. Trafiała ona następnie w ręce trzeciego, podczas gdy czwarty ubijał w lufie ładunek. Lśniący kulisty pocisk - o średnicy sześciu i pół cala oraz wadze trzydziestu ośmiu funtów - trafiał do lufy chwilę później, razem ze zwojem konopnych nici, aby nie wytoczył się z lufy podczas przechyłów kadłuba. Na koniec czwarty ubijał to wszystko kolejnym silnym pchnięciem wyciora.

Lawety zaskrzypiały ponownie, gdy działa wracały na pozycje strzeleckie. Lufy wysunięto daleko poza furty, na całej długości bakburty, co musiało wyglądać z oddali, jakby Tajfun obnażył kły. Teraz przyszła kolej, by ósmy i dziewiąty członek każdej obsady włożyli grube drewniane dźwignie pod korpus działa. We wspornikach lawet - grubych belkach z przedniego drewna, na których spoczywał cały ciężar lufy - wycięto po kilka stopni. Kanonierzy mogli je wykorzystywać jako punkty podparcia, gdy stękając z wysiłku, podniosili część zamkową lufy.

Bieguny dział umieszczano w takiej pozycji, by poruszanie nimi w górę i w dół mogło się odbywać w jak najłatwiejszy sposób. Gdy kanonierzy ustawili lufę w odpowiedniej pozycji, dowódcy baterii blokowali ją specjalnymi długimi klinami wtykanymi pomiędzy tylną część lawety i działa. Kolejne ruchy dźwigni przesuwały całość do przodu, aby lufa wystawała jak najdalej. Gdy ta część zadania została wykonana, dowódcy baterii wtykali stalowe szpikulce w otwory przy zamkach, aby przebić spoczywające w lufach woreczki z prochem, i sięgali po spłonki, które każdy z nich nosił w sakwie przy pasie.

To też była nowość. Przed interwencją Merlina dowódcy zasypywali panewki prochem z rogów, robiąc to tuż przed strzałem, i przytykali do nich rozżarzone do czerwoności pręty albo wolno palące się zapalki. Tyle tylko, że obie metody nie były zbyt bezpieczne, zwłaszcza gdy w pobliżu na niewielkiej, zamkniętej i zatłoczonej ponad miarę przestrzeni walało się sporo prochu.

Teraz dowódcy baterii wyciągali z sakw tulejki wypełnione szczelnie drobnoziarnistym prochem z ładownic i wtykali je głęboko w otwory panewek. Zdzierali woskowane papierowe końcówki, by odsłonić ukryte w nich ładunki. Moment później rozlegało się metaliczne kliknięcie, gdy kanonierzy numer dwa odciągali kurki. Spusty tych dział wzorowano na wymyślonych przez Merlina zamkach skałkowych, tych samych, których używano w najnowszych modelach muszkietów, tyle że nie wymagających podsypki. W tym modelu opadający zamek krzeszał iskry na stalowej panewce, a te odpalały proch umieszczony w tulei.

Cały ten proces - od rozpoczęcia odsuwania, przez ładowanie, do ustawienia w pozycji strzeleckiej, nie trwał dłużej niż dwie minuty. Hrabia wiedział, że dzięki zastosowaniu wszystkich wynalazków można to zrobić naprawdę szybko, ale dopiero gdy zobaczył wszystko na własne oczy, zrozumiał, jak bardzo zmieni się wkrótce oblicze wojen na morzu. Nabicie starego krakena, bez kólek i gotowych ładunków, trwało co najmniej czterokrotnie dłużej.

Hrabia podszedł bliżej nadburcia, wybierając takie miejsce, by nie znaleźć się przypadkiem na linii strzału jednej z mniejszych „karonad”, które baron Morskiego Szczytu nakazał umieścić na pokładach rufowych i dziobowych jednostek Wielkości Tajfunu. Strzelały one pociskami tej samej wielkości co krakeny, ale były od nich o połowę lżejsze, miały też o wiele krótsze lufy i wymagały znacznie mniej licznej obsługi. Nabijano je słabszymi ładunkami, przez co miały zmniejszoną donośność, ale baron zadbał o to, by zostały porządnie nagwintowane, dzięki czemu - podobnie jak ulepszone krakeny - nie musiały brać tak wielkich poprawek na wiatr, jak wcześniej używana artyleria. Ten zabieg pozwalał im na znacznie celniejsze strzelanie na mniejszych dystansach.

Hrabia Szarej Zatoki spojrzał przed siebie. Stara galera Księżę Wyllym i trzy równie podniszczone kupieckie frachtowce stały na kotwicach w odległości dwustu pięćdziesięciu jardów od siebie na sporej płyciźnie w pobliżu brzegu Truhmahna. Ta piaszczysta łacha znajdowała się wystarczająco daleko od szlaków żeglugowych, żeby marynarka wojenna mogła ćwiczyć bez zwracania niczyjej uwagi, a płytki, rozległy akwen pozwalał na jednoczesne zakotwiczenie wielu celów. W chwili obecnej komandor Staynair prowadził cztery jednostki swojej eskadry, ustawione w równym szyku, kursem równoległym do celów, tylko pod topsłami, fokami i blistami.

W porównaniu z galera, którą dowodził kiedyś hrabia, Tajfun włókł się niemiłosiernie, co nie było dziwne, zważywszy na to, że opuścił większość ożaglowania. Biorąc poprawkę na przeciwny wiatr, nie robił więcej niż dwa węzły pod piątą częścią postawionego płótna. Tyle tylko, że płynął pod tak zwanymi „bojowymi” żaglami - to określenie pochodziło od Merlina i barona Morskiego Szczytu - czegoś podobnego nie znano w czasach służby hrabiego, galery musiały wtedy chować wszystkie wiosła i opuszczać kompletnie żagle tuż przed starciem.

Ale nawet pomimo tak niewielkiego tempa marszu okręty płynące w idealnie równym szyku pokonywały co minutę kolejne siedemdziesiąt jardów, zbliżając się nieustannie do czekających w oddali celów. Hrabia Szarej Zatoki był pełen podziwu dla precyzji kapitanów służących pod Staynairami, albowiem żaden z okrętów nawet na moment nie opuścił wyznaczonej pozycji. Yowance zaczął nawet podejrzewać, że jest to wynikiem kolejnego tajemniczego usprawnienia zaproponowanego przez Merlina. Z tego co pamiętał, nawet galery miały spory problem z utrzymywaniem równego szyku, a co dopiero mówić o żaglowcach, które zawsze przejawiały tendencje do płynięcia tam, gdzie im się podoba, zamiast zdążać prosto do celu. Z drugiej jednak strony, czasy gdy eskadry galer ścierały się w bezpośrednim boju, stając burta w burtę podczas każdej bitwy, należały już do przeszłości, więc i utrzymywanie równych szyków przestawało być tak potrzebne. Naszpikowane działami galeony nie musiały trzymać się dawnych zasad, a mimo to baron Morskiego Szczytu i Staynair nie odpuszczali i zmuszali swoje załogi do bezwzględnego przestrzegania owych reguł.

Tam!

Huragan zrównał się z Księżem Wyllymem, a moment później spokój tego popołudnia został nagle przerwany erupcją kłębow dymu i głośnym hukiem. Nawet z tej odległości - znajdowali się nie mniej niż dwieście jardów za okrętem flagowym - nagły odgłos jednoczesnego odpalenia osiemnastu dział wydał się hrabiemu Szarej Zatoki równie bolesnym przeżyciem jak uderzenie młotem w głowę. Flagowiec zniknął za siną kurtyną

gęstego prochowego dymu, a oczy hrabię zrobiły się okrągłe jak spodki, gdy dostrzegł huragan ognia spadającego na zakotwiczoną galeryę.

W powietrze wyleciały strumienie odłamków i kawałki miażdżonego drewna. Kadłub zdrzął widocznie, gdy żelazne pociski przebijały poszycie, by wedrzeć się do jego wnętrza.

Rayjhis Yovance skulił się, gdy dotarło do niego - choć bardziej pasowałoby tu stwierdzenie, że starał się usilnie to Pojąć-jak czułaby się w tym momencie załoga Księcia Wylly- wa, gdyby pozostawiono ją na pokładzie ostrzeliwanej galery.

Od pierwszej chwili wiedział, że sprawa jest z góry przelana. Zbyt wiele bitew widział w swojej długiej karierze, chociaż za jego czasów najcięższe nawet galery miały na pokładzie dziesięć, góra dwanaście dział, z których co najwyżej Połowa mogła być skierowana na pojedynczy cel. A te burtowe armaty miały znacznie większy kaliber niż trzycalówki zwane „sokołami”, z których dawało się wystrzelić ważące zaledwie osiem i pół funta kule.

Widział, jak wielkie spustoszenia może poczynić nawet jedno ciężkie działo, gdy przebije burzę i rozerwie na strzępy ludzkie ciało, posyłając wokół litry krwi i pourywane członki.

Nigdy za to nie widział, co potrafi uczynić dobrze ulokowana salwa burtowa z niemal dwudziestu luf udoskonalonych przez barona Morskiego Szczytu.

Huragan znajdował się co najmniej sto pięćdziesiąt jardów od ostrzeliwanego celu. Jak na standardy artylerii morskiej była to dość spora odległość, bo chociaż krakeny miały donośność równą trzem tysiącom jardów, to jednak możliwość trafienia celu z kołyszącego się nieustannie pokładu, przy odległościach sięgających ćwierci mili, praktycznie równała się zeru. Z tego też powodu większość kapitanów zachowywała możliwość oddania jedynej salwy na ostatnią chwilę przed podjęciem walki wręcz, aby zwiększyć do maksimum szanse na trafienie, mając przy tym nadzieję na zasypanie pokładu wroga kartaczami i zmasakrowanie czających się na nim odziałów abordażowych. Ale liczba dział, jaką miały na swoich pokładach jednostki z eskadry Tajfunu, oraz ich szybkostrzelność, mogły całkowicie odmienić obraz przyszłych bitew.

Niemniej nawet przy tak wolnym tempie poruszania się eskadry i zwiększonej szybkostrzelności dział okręty nie mogły oddać w tej fazie bitwy więcej niż dwu salw, zanim oddały się poza pole skutecznej wymiany ognia.

Druga salwa burtowa była nierówna, ponieważ działa strzelały teraz niezależnie od siebie, a czas ich odpalenia zależał wyłącznie od tempa, w jakim zostały ponownie nabite i podtoczone do furty. Tymczasem gęsty dym, stanowiący ostatnią widoczną pozostałość po pierwszym ataku, unosząc się z silnym wiatrem, dotarł w pobliże zakotwiczonych celów, ograniczając w znacznym stopniu widoczność. Nie przeszkodziło to jednak artylerzystom w kolejnym zmasakrowaniu unieruchomionej galery. Okrągłe otwory wrywane w burdach atakowanego okrętu nie były wielkie, ale hrabia Szarej Zatoki wiedział doskonale, jak ogromnych zniszczeń potrafią dokonać we wnętrzu kadłuba. Drzazgi z rozszczipionego drewna, nierzadko długie na cztery albo i pięć stóp, mogące mieć nawet sześć cali średnicy u podstawy, rozpryskiwały się po całym pokładzie. Mknęły we wszystkich kierunkach, wyjąc niczym żądne krwi demony i przebijając każdą przeszkodę - w tym ciała nieszczęsnych marynarzy - jaka stała im na drodze.

Inne pociski trafiały wyżej, rozbijając całe sektory nadburcia. Tu także powodowały grad odłamków masakrujących wszystko, co znajdowało się na pokładzie. Komandor Staynair rozmieścił na pokładach przeznaczonych do zniszczenia jednostek mnóstwo wypchanych słomą manekinów. Hrabia widział teraz chmury wyschniętej trawy wyrzucane wysoko w powietrze, w ostrym świetle słońca trudno było przeoczyć tę złotawą mgielkę, która w innych okolicznościach miałaby szkarłatny odcień. Odłamki i pociski zbierały swoje żniwo.

Huragan minął już Księcia Wyllyma, gotując się do ostrzelania pierwszego z zakotwiczonych nieco dalej statków kuźpieckich, a jego miejsce naprzeciw galery zajął idący za rufą flagowca Tajfun.

- Przygotować się, panie Ahlbair. Sądzę, że powinniśmy strzelać sekcjami - stwierdził konwersacyjnym tonem kapitan Stywyrta, gdy milkły ostatnie strzały oddawane przez Huragan.

- Przygotować się do otwarcia ognia sekcjami! - wrzasnął natychmiast midszypmen przez tubę.

Kapitan podszedł spokojnym krokiem do schronienia hrabię Szarej Zatoki. Spojrzał uważnie na cel, a choć w jego postawie nie było żadnego napięcia, skupiony wzrok zdradzał, że jest inaczej. W tej samej chwili dowódcy obsady ujęli za sznury przytwierdzone do zamków dział. Za moment hrabia po raz pierwszy ujrzy nową broń w akcji, ale Stywyrta i jego ludzie ćwiczyli z nią już od wielu pięciodni. Kapitan wiedział doskonale, co robi, właśnie powoli podnosił prawą dłoń. Trzymał ją na wysokości głowy przez kilka sekund, potem nagle opuścił w dół.

- Strzelać sekcjami, na rozkaz! - zawył Ahlbair, a działowe działa zagrzmiały, zanim wypowiedział ostatnie słowo.

Huragan strzelił jednocześnie ze wszystkich armat znajdujących się na bakburcie. Tajfun przyjął inną taktykę. Odpalano po dwa pociski naraz, ze stojących nad sobą dział górnego i dolnego pokładu, gdy tylko dowódcy baterii ujrzeli cel przed lufami. Okręt Stywyrta, w odróżnieniu od osiemnastu dział Huraganu, posiadał jeszcze jedno, dodatkowe. Salwa trwała o wiele dłużej niż poprzednie; to nie był już jedno-razowy potworny ryk, ale cały ciąg ogłuszających dźwięków, przypominających odgłos przetaczającego się po niebie pioruna. Celność ognia także była większa niż w przypadku pierwszych salw. Hrabia nie postawiłby złamanego grosza na to, że choć jeden pocisk chybił, pomimo naprawdę sporej odległości. Księżę Wyllym drżał w nieprzerwanej agonii, gdy kolejne kule roztrzaskiwały jego kadłub, roznosząc go na strzępy.

Działa odtaczały się od furt, ich koła łomotały o deski pokładu, z luf unosił się smolisty dym i iskry. Smród palonego prochu wypełnił usta i płuca hrabię, zmuszając na wpół ogłuszonego doradcę - pomimo kłębów waty wetkniętych w uszy - do ostrego kaszlu. Pokład wyrwał mu się spod stóp, uderzając o podeszwy butów po każdym oddanym strzale, gdy Tajfun, targany napięciami przenoszonymi przez liny podtrzymujące odrzucane od burty trzyipółtonowe działa, odchyłał się od pionu. Grube, dławiące kłęby dymu zasnuwały pokład, zaciemniając wszystko wokół przez dłuższą chwilę, zanim słaby wiatr nie odepchnął ich od okrętu.

Kapitan Stywyrta, zezwalając swoim kanonierom na oddanie strzału tuż po zauważeniu wroga, dał im tym samym niezwykle cenny, dodatkowy czas na kolejne ładowanie.

Podobnie jak w przypadku Huraganu, kanonierzy dwoili się i troili, by jak najszybciej przygotować się do oddania następnej salwy. Hrabia obserwował z zaciekawieniem, jak pod jego stopami ponownie rozgrywa się fascynujące, i tylko z pozoru chaotyczne, widowisko. Kanonierzy numer cztery nałożyli ociekające wodą gąbki na końce wyciorów. Zanurzyli je natychmiast w wylotach luf wśród syków i kłębów pary, gdy wilgoć stykała się z tłącą się wciąż pozostałościami po poprzednim odpaleniu. Dowódcy baterii zamykali otwory lontowe, przytykając do nich kciuki - oczywiście chronione przed poparzeniami grubymi nakładkami z wyprawionej skóry - aby uniemożliwić dotarcie do wnętrza świeżego powietrza: żaden z węglików pozostałych po czyszczeniu nie miał prawa się rozjarzyć, kiedy ładowniczy zacznie ubijać w lufie następny ładunek, a potem wrzuci za nim kulę i tampon. Koła znów zapiszczały, gdy działa zaczęły wracać na pozycje strzeleckie. W ruch poszły drągi pozycjonujące lufy, tulejki trafiły do otworów w zamkach, odciągnięto dźwignie spustów, dowódcy ujęli w dłonie sznury, rozejrzeli się, by sprawdzić, czy pozostali członkowie obsady są już w bezpiecznym miejscu, i pociągnęli. Krzemienie opadły na panewki, iskry pomknęły w stronę prochu wypełniającego tuleje i działa odezwały się po raz kolejny.

Ryk był potworny. By w niego uwierzyć, trzeba stać się świadkiem podobnego wydarzenia. Ostrzeliwana burta Księcia Wyllyma dosłownie zapadła się w sobie.

Zaraz po Tajfunie odezwały się armaty Huraganu, okręt flagowy oddał pierwszą salwę do stojącego na kotwicy frachtowca. Kupiecka jednostka miała o wiele słabszą konstrukcję niż bojowa galera, dlatego skoncentrowany ogień z tak wielu dział uczynił na niej potworne spustoszenie. Hrabia Szarej Zatoki niewiele mógł dostrzec z tej odległości, głównie ze względu na kłęby dymu, które przesłaniały widoczność, ale zauważył, że główny maszt zadrżał nagle, a potem zaczął się powoli przechylać. Nim padł całkowicie, zza rufy Tajfunu dobiegł ryk dział HMS Burza, kolejnej jednostki idącej w szyku. Dziobowe działa rozpoczęły właśnie dobijanie Księcia Wyllywa, a hrabia nie potrafił powstrzymać się od niedowierzającego potrząśnięcia głowy.

Dzięki Bogu, że Merlin jest po naszej stronie, pomyślał.

Cytadela w Zatoce Królewskiej, Wyspa Helena

J

jestem pod wrażeniem - stwierdził hrabia Szarej Zatoki.

Stał w towarzystwie Cayleba i Merlina na samym szczycie cytadeli strzegącej portu, spoglądając na kotwiczące w dole okręty eskadry eksperymentalnej. Porucznik Falkhan wraz z resztą przybocznej straży księcia czekał na nich na ostatnim piętrze kamiennej wieży. Na szczycie było o wiele chłodniej, chociaż stojące wciąż w zenicie słońce paliło niemiłosiernie. Dzięki rozpiętym markizom następcy tronu i jego towarzysze mogli delektować się delikatnymi powiewami wiatru znad zatoki.

- Sir Ahlfryd uprzedzał, że tak będzie, Rayjhisie - odparł Cayleb, na co hrabia Szarej Zatoki uśmiechnął się pod nosem.

- To prawda, baron Morskiego Szczytu zapewnił mnie o tym - przyznał, spoglądając w stronę Merlina. - Powiedział też, że bym nie zwracał uwagi na twoje usilne próby przypisania mu tego sukcesu.

- W tych słowach na pewno było wiele racji - stwierdził Merlin, odwracając się do hrabiego. Jego stosunki z Rayjhisem uległy diametralnej zmianie, pierwszy doradca króla spoglądał na niego teraz nie bez ironii, unosząc brew. - Ja zainicjowałem te zmiany - zaczął seijin. - Sądzę też, że jestem autorem wielu pomysłów leżących u podstaw wielu wynalazków. Racz jednak pamiętać, że nigdy nie posiadałem wiedzy potrzebnej do wprowadzenia ich w życie i nie udało mi się to, gdyby nie udział sir Ahlfryda i sir Dustyna. A już wszelkie zmiany w formacjach i taktyce należy przypisać wyłączenie sir Domynkowi i sir Ahlfrydowi.

Nagle zdał sobie sprawę, że to wszystko prawda. Królewsko Marynarka Wojenna Charisu stworzyła bardzo skomplikowane doktryny taktyczne dla swoich galer, począwszy od standardowych formacji i całej reszty opracowań technicznych. Ale jak to słusznie zauważył baron Morskiego Szczytu już pierwszego dnia, flota nie miała żadnych elementów taktyki ani formacji, z których można by korzystać przy używaniu artylerii burtowej. Wszelako jej dowództwo poradziło sobie szybko z problemem, ponieważ było przyzwyczajone do rozwojowego sposobu myślenia, w odróżnieniu od oficerów pozostałych flot, którzy hołdowali zasadzie „niech się dzieje wola nieba”. Tak więc, zanim eskadra eksperymentalna została wyposażona w nową broń, Merlin musiał usiąść do stołu ze Staynairem i opracować od podstaw zasady walki oraz szyki wedle wzorów stosowanych przez okręty wojenne u schyłku osiemnastego i na początku dziewiętnastego stulecia na Starej Ziemi. Odtąd nieustannie ćwiczone i nawet on musiał przyznać, że obaj dowódcy osiągnęli w tej materii naprawdę wiele.

- Jak już wspominałem - ciągnął - potrzebowaliśmy ich doświadczenia. Nawet Cayleb może się pochwalić nie małym wkładem.

- W to akurat mogę uwierzyć - stwierdził hrabia Szarej Zatoki, posyłając uśmiech aprobaty w stronę księcia. - On zawsze miał fioła na punkcie marynarki.

- O nie, to zwykła potwarz! - wtrącił roześmiany książę. - W każdym razie odechciało mi się pływania od czasu, gdy razem z ojcem posłałeś mnie na morze! - Spojrzał na Merlina, wzdrygając się teatralnie. - Mamy tu w Charisie taką niechlubną tradycję - wyjaśnił. - Z niewiadomego mi powodu każdy władca dba o to, by jego dziedzic wiedział, czym jest marynarka wojenna, więc wysyła się młodych chłopaków, by służyli na morzu w stopniu midszypmenów. Nakazuje się przy tym wszystkim przełożonym - dodał z widocznym niesmakiem - by traktowali członków rodu królewskiego na równi z resztą. Dzięki temu zaliczyłem, i to nie raz, «pocałunek córki kanoniera».

- Czym jest „pocałunek córki kanoniera”, wasza wysokość? - Merlin, unosząc brew ze zdziwienia, rozśmieszył hrabiego.

- To takie powiedzenie bosmanów, którzy trzymają pieczę nad midszypmenami - wyjaśnił. - Jeśli chłopak coś prześkrobie, przekłada się go przez lufę działa i łołi mu skórę tak, żeby niegodziwiec pomyślał dwa razy, zanim znowu coś zbroi. No i myślałem dwa razy - oświadczył uśmiechnięty Cayleb - a po przemyśleniach i tak robiłem, co chciałem.

- Wiesz, książę, zadziwiająco łatwo przychodzi mi dać wiarę twoim zapewnieniom - stwierdził seijin.

- Mnie również - przyznał hrabia, starając się zmierzyć młodego księcia potępiającym spojrzeniem. Niestety, szeroki uśmiech następcy tronu zniweczył skutecznie jego plany, widać było, jak spływają po nim wszystkie zniewagi. - Tak czy inaczej - dodał więc Rayjhis już nieco poważniejszym tonem - ta, jak ją nazwałeś, „niechlubna tradycja” istnieje nie bez powodu, wasza wysokość, czego sam jesteś chodzącym dowodem. Będę z tobą szczery, Caylebie. Kiedy twój ojciec wspomniał po raz pierwszy o przydzieleniu ci nadzoru nad tym zadaniem, pomyślałem z przestachem, że to najlepszy sposób na odprawienie seijina z kwitkiem. Ale myliłem się. Powierzył ci pieczę nad projektem, ponieważ wiedział, że poradzisz sobie z nim bez najmniejszego problemu.

Książę machnął lekceważąco ręką, wciąż miał w sobie wystarczająco wiele z duszy dziecka, by czuć się zawstydzony tak czytelną pochwałą, ale Merlin natychmiast pokręcił głową

- Hrabia ma rację, wasza wysokość - powiedział do Cayleba bardziej oficjalnym tonem, niż miał to ostatnio w zwyczaju. - Przyznam, że poczułem spore zaskoczenie, widząc ciebie i barona Morskiego Szczytu w działaniu. Wydaje mi się, że posiadasz naturalne uzdolnienia w tym kierunku.

A w dodatku, pomyślał zaraz potem, jesteś wystarczająco młody, by nie mieć żadnych uprzedzeń względem proponowanych zmian.

- Też tak sędzę - wtrącił hrabia Szarej Zatoki. - Zaczynam też rozumieć, dlaczego obaj nalegaliście, abym tutaj przybył. Czytałem wasze raporty dla króla, jak również brałem udział w spotkaniach Rady, na których Cayleb zapoznawał głównych doradców z tematem, ale to rzeczywiście trzeba zobaczyć na własne oczy, żeby zrozumieć wszelkie implikacje wynikające z nadchodzących zmian.

Merlin skinął głową. Cayleb musiał zdawać relacje członkom Rady, ponieważ prawdziwy wkład seijina w tę sprawę miał pozostać znany wyłącznie hrabiemu Szarej Zatoki i baronowi Gromu. Prawdą było jednak to, że Rayjhis, pomimo wtajemniczenia we wszystko od samego początku, dopiero teraz miał okazję przekonać się naocznie, jak wygląda i działa nowy sprzęt. Pokaz ten zaplanowano i przećwiczone do ostatniego szczegółu, a jego zamiarem było pokazanie skuteczności artylerii nowego typu przy niemal idealnych warunkach pogodowych, co hrabia jako stary wilk morski z pewnością od razu zauważył, ale jego szczery entuzjazm i tak niezwykle ucieszył Merlina. Reakcja Rayjhisa nie była dla niego wprawdzie wielkim zaskoczeniem - najstarszy z doradców króla cieszył się opinią

niezwykle inteligentnej osoby, która na dodatek posiadała ogromne doświadczenie żeglarskie - ale to wcale nie pomniejszało radości seijina.

- Niemniej - ciągnął tymczasem Yowance, spoglądając raz jeszcze w stronę okrętów stojących na kotwicy - obawiam się, że nie zostało nam zbyt wiele czasu. Widać wyraźnie, że Hektor czuje się naprawdę niepewnie, nie mając pojęcia, co my tu robimy, a to może oznaczać, że wydarzenia potoczą się szybciej, niż byśmy sobie tego życzyli. Zwłaszcza - tu spojrzął Merlinowi w oczy - w świetle raportów napływających ze Świątyni i z biura biskupa Zheralda w Tellesbergu.

- Wiem - westchnął Merlin. Pochylił się i oparł dłonie na blankach, spojrzenie jego szafirowych, zamyślonych oczu utkwione było gdzieś w oddali. - Mam nadzieję - dodał - że niepokoję w Świątyni przygasną nieco, kiedy dotrze tam najnowszy raport ojca Paityra.

- Na zdrowy rozum coś takiego powinno mieć miejsce - odparł hrabia Szarej Zatoki. - Ale w świecie napędzanym Podszeptami księcia Hektora i Nahrmahna najprawdopodobniej będzie inaczej.

Pierwszy doradca króla wypowiedział te słowa z bardzo Poważną miną. Smutny Cayleb przytaknął mu natychmiast.

~ Sądysz, że Rada Wikariuszy zechce zająć oficjalne stanowisko? - zapytał Merlin.

Mimo iż nadal nie miał ochoty na założenie podsłuchu we wnętrzu Świątyni, wiedział doskonale, co planują ojcowie Kościoła, dzięki pluskwom rozmieszczonym w domach ich najbardziej zaufanych podwładnych. A jednak nabierał coraz większego przekonania, że wiedza na temat tego, co mówią, nie odpowie na pytanie, co tak naprawdę myślą. Dochodził też do wniosku, że hrabia Szarej Zatoki i król Haarahld znacznie lepiej od niego orientują się w meandrach kościelnej polityki.

- Raczej nie - odparł pierwszy doradca po chwili zastanowienia. - W każdym razie nie zrobi tego otwarcie. Jej najbardziej zaufany namiestnik napisze wyraźnie, że nie złamaliśmy żadnego z Zakazów, co zresztą jest prawdą. Kościół może wystosować każdy dekret albo przykazanie, jakie tylko zechce, i żadna władza świecka tego nie oprotestuje, ale Rada zazwyczaj bardzo ostrożnie podchodzi do takich kaprysów. To jednak nie oznacza jeszcze, że wikariusze, a przy najmniej Grupa Czworoga nie uczyni tego, co wedle jej mniemania musi zostać uczynione, chociaż dotychczas działała z rozmysłem, rozważając najpierw wszystkie dowody. Przy najmniej oficjalnie. - Tym razem to brew Merlina powędrowała do góry, wzbudzając śmiech hrabiego. Pobrzmiwały w nim zarówno nutki cynizmu, jak i smutku. - Kościół Matka powinien stać ponad politycznymi podziałami i chciwością, Merlinie. I część kleru faktycznie taka jest. Na przykład ojciec Paityr albo biskup Maikel. Ale inni kapłani, tacy choćby, jak kanclerz Trynair czy jego sprzymierzeńcy z Grupy Czworoga, to zupełnie inna kategoria ludzi. Nikomu innemu bym tego nie powiedział, ale powinieneś wiedzieć, że ostatnimi czasy episkopat, a nawet Rada Wikariuszy bardziej interesuje się utrzymaniem przy władzy niż zbawieniem naszych dusz. - Pokręcił głową powoli, spoglądając piwnymi oczami gdzieś w dal, a Merlin zrozumiał, jak wiele musiało go kosztować to wyznanie na temat prawdziwej wartości hierarchów Kościoła. - Obawiam się, że w Świątyni poczyniono już stosowne kalkulacje, podobnie w burdelach i kasynach Syjonu, ale podstawą do nich były znacznie częściej polityczny serwilizm i chciwość niż wersety Pisma.

- Dawno temu - wtrącił książę, a kiedy Merlin rzucił mu zdziwione spojrzenie, dostrzegł w jego oczach wielki smutek - Kościół Matka troszczył się jak prawdziwa rodzicielka o wszystkie swoje dzieci, ale te czasy należą już do przeszłości.

Seijin starał się zachować spokój, lecz prawdę powiedziawszy, nigdy wcześniej nie słyszał tak szczerych wypowiedzi Cayleha albo hrabiego Szarej Zatoki na temat tutejszego Kościoła - nawet po niespodziewanym przesłuchaniu ze strony ojca Paityra obaj zachowali daleko idącą wstrzeźliwość. Ta bezpośredniość była dla Merlina niczym kubek zimnej wody

wylanej na głowę. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo uzasadnione są obawy Rady Wikariuszy wynikające z krnąbrności Charisu i prób wymknięcia się z żelaznego uścisku kleru.

- Obawiam się, Merlinie, że Cayleb ma rację - oświadczył ciężko hrabia Szarej Zatoki. - Z drugiej jednak strony - ciągnął - być może sposób, w jaki czynniki polityczne wpływają na decyzje Rady Wikariuszy, sprawi, że zachowają daleko posuniętą ostrożność i nie zechcą ściągać na siebie uwagi innych frakcji. Grupa Czworoga musi wiedzieć, że każda jej decyzja, przynajmniej ta oficjalna, którą zdecyduje się przedłożyć wielkiemu inkwizytorowi, musi być naprawdę dobrze uzasadniona. Rada musi zachować przy tym kryształową przejrzystość i dowieść swojego głębokiego oddania wierze. A skoro ojciec Paityr nie zgodził się napisać, że żyjemy w błędzie albo że złamaliśmy Zakazy myślą albo uczynkiem, wikariusze nie będą mieli podstaw, by otwarcie wystąpić przeciw nam. To niestety nie oznacza, że Grupa Czworoga nie poczyni żadnych nieoficjalnych kroków. Nie zapominaj, Merlinie, że Ziemie Świątynne są jedną z najpotężniejszych domen na Schronieniu. Wikariusze to nie tylko książęta Kościoła. Są również jego świeckimi władcami i jako tacy poddają przeróżnym politycznym naciskom i kalkulacjom, nie zapominając o ambicjach, ale te posiada chyba każdy, kto dzierży władzę. Czy Kościół Matka oficjalnie potępi Charis za odstęstwa od wiary, czy tego nie uczyni, Rada może wykorzystać swoją świecką władzę do rozpoczęcia krucjaty przeciw nam. - Uśmiechnął się słabo. - Okazaliśmy się niełatwym kąskiem. - Merlin spojrzął z zaciekawieniem na hrabiego, lecz ten wzruszył tylko ramionami. - Zrozum mnie dobrze, Merlinie. Król, książę Cayleb i ja nie wątpimy w Boską łaskę i dobroć. Tak samo nie podważamy tego, że Kościół został stworzony, aby zapewnić zbawienie człowieka. Ale wikariusze to także ludzie, kto ma ich rozgrzeszać, jeśli jako jedni z nas, choć odpowiedzialni za pilnowanie naszego zbawienia, popełnią grzech pychy, chciwości albo korupcji?

- Tego nie wiem, panie - odparł Merlin, celowo łagodząc ton. O ile wyznanie Cayleba było dla niego otwierającym czy zaskoczeniem, o tyle implikacje wynikające ze stwierdzenia hrabiego zapierały dech.

- Ja też nie - przyznał Rayjhis ze smutkiem. - Chociaż nikt nie przyzna otwarcie, większość obaw, które żywi Kościół Matka, została zasiana za sprawą podszeptów księżąt Hektora i Nahrmahna. Korona za bardzo urosła w siłę, stała się też zbyt bogata jak na gust Rady. Wiele powodów złożyło się na ten stan rzeczy, ale w konsekwencji zaistnienia tych właśnie czynników, o których przed momentem wspomniałem, Grupa Czworoga postanowiła wspierać poczynania Hektora, aby doprowadzić do... osłabienia naszej pozycji. Podejrzewam, że jeśli książę za ich namową zdoła nas chwycić za gardło, wikariusze pozwolą mu przejąć schedę po Charisie. Ale nie to jest dzisiaj najważniejsze. Liczy się przede wszystkim fakt, że Grupa Czworoga wspiera ambicje naszych wrogów. A ci, gdyby nie twoje przybycie, za jakiś czas dopięliby swego za przyzwoleniem wikariuszy. Ale jesteś tutaj, a Rada nie ma bladego pojęcia, jak drastycznie ten fakt może wpłynąć na finał ewentualnego konfliktu pomiędzy nami a Hektorem i jego sprzymierzeńcami. Jeśli jednak Grupa Czworoga dowie się prawdy, zadziała natychmiast. Z pewnością uczyni to nieoficjalnie, być może nawet poza strukturami Kościoła Matki. Ale nawet w takim wypadku będzie miała mnóstwo możliwości i jestem pewien, że znajdzie tę jedną, która będzie jej idealnie pasować. Głos hrabiego był smutniejszy od wyrazu jego twarzy. Merlin, widząc to, spojrzął mu prosto w oczy.

- Powiedz mi, panie - poprosił cicho - czy jeśli Grupa Czworoga zdecyduje się zaatakować Charis całymimi siłami, jakimi dysponuje tutejszy Kościół, macie jakiegokolwiek szanse na przetrwanie?

- Tego nie wiem - odparł Rayjhis. - Naprawdę nie wiem. przed twoim przybyciem oświadczyłbym bez zastanowienia, że nie, bo żadne ze znanych królestw nie byłoby w stanie

oprzeć się potędze Świątyni w pojedynkę. Teraz widzę taką możliwość, ale tylko...
możliwość.

- Nie zamierzałem wciągać Charisu w otwarty konflikt z Kościołem - powiedział Merlin. W każdym razie jeszcze nie teraz, dodał w myślach z bolesną szczerością. To będzie możliwe dopiero wtedy, gdy Korona stanie się tak potężna, by wygrać to starcie.

- Nigdy nie mówiłem ani nie myślałem, że to jest twoim celem - odparł hrabia Szarej Zatoki - Ale prawda wygląda tak, Merlinie, że już dawno uznałem, iż najlepsze co możemy zrobić, to odwlec tę porażkę w czasie. Być może zdołamy utrzymać się do mojej śmierci, a może nawet do schyłku panowania Cayleba, ale na pewno nie dłużej.

Merlin rzucił okiem na ponurego następcę tronu, a ten potwierdził słowa doradcy skinieniem głowy. Na moment opadła maska roześmianego młodzieńca i seijin ujrzał za nią bezgraniczny smutek, który wypełniał umysł Cayleba.

Zdaje się, że mamy dzisiaj prawdziwy dzień wyznań, pomyślał, gdy hrabia podjął przerwany wątek.

- Nie możemy wykluczyć, że wynalazki, które nam zaofiarowałeś, doprowadzą do tego, że Rada szybciej straci resztki zaufania, jakim darzyła Koronę, ale to i tak kiedyś musiałyby się wydarzyć bez względu na to, czy przyłożysz do tego rękę czy nie. Decyzja króla, że biskupem Tellesbergu ma zostać Charisjanin, nie została przyjęta bez oporów Kościoła, a Maikel widzi zagrożenie ze strony Świątyni nie gorzej od nas. Jedyna zmiana, jaka nastąpiła w sytuacji Charisu, polega na tym, że dałeś nam szansę na przetrwanie nadciągającej burzy. Ale jeśli nie zdołamy jej wykorzystać, jeśli moje królestwo, mój król, książę i wszystko, w co wierzę, z woli Boga rozpadnie się w pył, to i tak będzie lepszy los niż stanie się niewolnikiem kogoś takiego jak Hektor. Albo - hrabia spojrzał Merlinowi prosto w oczy - Rady Wikariuszy, która jest tak skorumpowana w swej świeckiej części, że nie zawaha się przed wykorzystaniem autorytetu Boga dla przyziemnych celów.

- Mój ojciec myśli podobnie - wtrącił Cayleb. - Ja zresztą też. - Następca tronu także patrzył Merlinowi w szafirowe oczy. - Może dzięki temu zrozumiesz, dlaczego tak chętnie wysłuchał cię, kiedy się przed nim pojawiłeś. I nie myśl, że nie zauważyliśmy wszyscy, a zwłaszcza biskup Maikel, jak bardzo pilnujesz się, by nie powiedzieć niczego, co godziłoby w dobre imię Kościoła Matki. Nie myśl też, że nie wiemy, iż przejrzałeś nas już dawno i rozumiałeś, że nasze przekonania i sposób, w jaki traktujemy poddanych, wydają się Radzie największym zagrożeniem.

Wzrok księcia stał się mroczniejszy, ale Merlin zdążył dostrzec w głębi jego oczu refleksy niedawnej rozmowy odbytej tuż po ataku krakenów.

- Rozumiem - stwierdził po dłuższej chwili.

- Świetnie - powiedział hrabia Szarej Zatoki równie cicho jak przed chwilą Cayleb, ale zaraz potem nabrał powietrza w płuca. - Tym sposobem wracamy do twojej eskadry eksperymentalnej. Chociaż nigdy nie życzyłem naszym hierarchom żadnego nieszczęścia - jego uśmiech, co Merlin natychmiast zauważył, należał do tych mniej przyjemnych - to jednak muszę przyznać, że niefortunny wypadek arcybiskupa Erayka, przez który musiał odwołać doroczną wizytę duszpasterską, dał nam pewne fory. Zanim pojawi się ponownie na naszej ziemi, raporty ojca Paityra powinny dostatecznie utrudnić życie Radzie i zmusić ją, by przemyślała raz jeszcze pomysł otwartego zaatakowania królestwa. Na dodatek - tu przeszył seijina spojrzeniem - zyskamy sporo czasu na ukrycie faktu, że większość wynalazków jest dziełem jednej tylko osoby. Zaufaj mi, Merlinie, bez względu na to, czy jesteś seijinem czy nie, Inkwizycja zechce ci się bliżej przyjrzeć, jeśli Świątynia zrozumie, co naprawdę robiliśmy przez ostatnie kilka miesięcy.

- Na pewno zechce - wtrącił Cayleb.

- Ale bez względu na decyzję Rady - kontynuował hrabia Szarej Zatoki - Hektor i Nahrman wpadną we wściekłość, jeśli albo może raczej: kiedy zorientują się, że ty, Cayleb i

sir Ahlfryd unowocześniacie naszą flotę. Bynzhamyn twierdzi, że do tej pory nie wyniuchali jeszcze, co się dzieje w Zatoce Królewskiej, ale z pewnością wiedzą już o wszystkich wynalazkach, które przedstawiłeś światu poprzez Akademię.

- Wiem - przyznał Merlin. Baron Gromu nie myli się, dodał w myślach, co do stanu wiedzy Hektora i jego poplecuchów... przynajmniej na razie. Pluskwy podłożone przez SAPK-i pozwalają to stwierdzić bez żadnych wątpliwości. Ale jak długo jeszcze zdołamy utrzymać to wszystko w tajemnicy, to zupełnie inne pytanie.

- Jak na razie robią, co mogą, by uniknąć otwartego konfliktu zbrojnego z Koroną - zauważył Cayleb, a hrabia Szarej Zatoki przytaknął.

- To prawda. Ale tylko dlatego, że posiadamy flotę równie liczną jak ich połączone siły. Wiedzą też, że nasi kapitanowie i marynarze są znacznie lepiej wyszkoleni. Ale z tego, co pokazują wizje Merlina, oni także dwoją się i troją, aby wzmocnić swoje floty. Jeśli jednak zdołają nas przejrzeć, a zwłaszcza kiedy pojmą w końcu, w jak wielkim stopniu nowe działa zmieniają układ sił, możemy się spodziewać bardzo szybkiego ataku. Będą musieli nas zniszczyć, zanim zdążymy dokończyć modernizację i resztę przygotowań.

- Hrabia ma rację, Caylebie - przyznał Merlin ze smutkiem. - W tej chwili wasi przeciwnicy sądzą, że mają czas. Wierzą w to, że osiągnęliście już szczyt możliwości, zatem odsuwanie decyzji w czasie posłuży tylko im, o ile zdołają pozyskać sojuszników w tych, o których wspominał Rayjhis. Jeśli jednak uznają, że czynnik czasu już im nie sprzyja, na pewno zmienią plany.

- Otóż to. - Hrabia potwierdził te słowa z wielką energią. - Tym sposobem dotarliśmy do tematu, który miałem zamiar poruszyć na początku. Jak szybko będziemy w stanie dokończyć unowocześnianie sił zbrojnych?

- Na to pytanie mogą odpowiedzieć tylko sir Ahlfryd i mistrz Howsmyn - stwierdził Cayleb po zerknięciu na Merlina.

- To prawda - poparł go seijin. - Aczkolwiek moglibyśmy się pokusić o dość trafne przewidywania.

- Zatem do dzieła - zachęcił go hrabia Szarej Zatoki.

- Problem w tym, że zbyt mało galeonów pływało pod waszą banderą, gdy przystępowaliśmy do realizacji projektu - stwierdził Merlin. - To, w połączeniu z faktem, że na galerach zazwyczaj znajdowało się niewiele armat, prowadzi do wniosku, że nie dysponujemy zbyt wielką ilością artylerii do przerobienia.

Hrabia kiwał cierpliwie głową, co seijin przyjął z lekkim rozczarowaniem. Jak powiedział nie tak dawno Rayjhisowi, połączona wiedza Ehdwyrda Howsmyna, sir Ahlfryda Hyn-dryka oraz sir Dynnysa Olyyyra była nieoceniona z punktu widzenia ich planu. Nie spodziewał się bowiem wcześniej, że przekazywanie projektów i wprowadzanie ich w życie może napotkać tak wiele barier, nawet na poziomie zrozumienia zasad działania wynalazków. Z tego właśnie powodu trudno było obliczyć, w jakim czasie urządzenia, które im podarował, trafią do masowej produkcji.

Poza technologią obijania kadłubów miedzią, pomyślał z goryczą. Najlepiej wyszła nam ta sprawa, co do której najtrudniej było przekonać ludzi, którzy pragnęli tylko tego, co mogło dać natychmiastowe efekty i podnosiło siłę ognia okrętów. Ale w walce liczy się nie tylko siła prochu.

Niemniej nawet obijanie kadłubów płacami miedzianej blachy nie szło tak szybko, jak by sobie tego życzył i jak na początku zakładał. Zwłaszcza w świetle liczby jednostek, jaką mogą Charisowi przeciwstawić wrogowie.

Tradycyjne floty Schronienia opierały się na galerach - Te jednostki - a w każdym razie większość z nich - nie posiadały już na dziobach taranów, ale oprócz tego przyponały okręty, których używali Ateńczycy podczas rozprawy i Kserksesem pod Salaminą. Może to porównanie nie do końca było sprawiedliwe, ale niejaki Juan de Austria z pewnością

widział podobne jednostki podczas bitwy pod Lepanto. Wyrosły one z klasycznych jednostek przybrzeżnych, które wkrótce zaczęły aspirować do miana pełnoprawnych i pełnomorskich okrętów wojennych, zwłaszcza tutaj, w Charisie, ale żaden z nich z pewnością nie przetrwałby wietrznej atlantyckiej pogody na Starej Ziemi.

Na szczęście morza Schronienia były znacznie mniejsze niż ziemskie, choć raczkująca wciąż nawigacja nie pozwalała nawet najbardziej śmiałym żeglarzom, przynajmniej do niedawna, na tracenie lądów z oczu. Charis zawdzięczał wielki rozkwit swojej morskiej potęgi kilku kapitanom o żelaznych nerwach, którzy pierwsi się odważyli na odbycie podróży przez liczące około dwóch tysięcy mil szerokości morze, zwane Kowadłem, kierując się wyłącznie położeniem gwiazd i obliczeniami.

Aby przetrwać taką wyprawę, trzeba było jednak czegoś więcej niż stateczku zdolnego pływać wzdłuż wybrzeża, na przykład galeonu - takie właśnie jednostki wcielono do eskadry komandora Staynaira - reprezentującego całkiem nowy typ statku, stworzonego na potrzeby takich właśnie podróży. Merlin często porównywał stare galery do jednostek typu śródziemnomorskiego, ale galeony, przy całej ich tuższej niedoskonałości, były dla niego już okrętami transoceanicznymi. Miały mniejszą zwrotność niż galery, były wolniejsze przy słabym wietrze i nie mogły pływać, gdy zaczynała się flauta, ale nic nie mogło się z nimi równać, gdy zaczynało wiać.

A jednak większość flot Schronienia nie czuła potrzeby wcielania do służby jednostek nowego typu. Po części z wrodzonego konserwatyzmu, aczkolwiek istniało także kilka znacznie bardziej praktycznych powodów. Wszystkie bitwy żorskie stoczone w historii tej planety rozgrywały się na Płytkich wodach przybrzeżnych, dlatego też strategia koncentrowała się na obronie najważniejszych przesmyków, cieśnin i portów. Przy tego rodzaju operacjach nie liczyły się czynniki pozwalające na prowadzenie działań na otwartym morzu, a zwrotność galer oraz umiejętność poruszania się nawet podczas martwej ciszy czy też liczniejsze załogi stanowiły znaczne atuty, kiedy przychodziło do abordażu, a tym kończyły się niemal wszystkie starcia, zwłaszcza że nie dysponowano podówczas wystarczająco skuteczną artylerią.

Baron Morskiego Szczytu zauważył już tamtego pierwszego dnia, że galery staną się beznadziejnym przeżytkiem bez względu na to, jak będą wyglądać pola przyszłych bitew. Na jednostkach posiadających ogromną liczbę wiosł, bez których nie można wykonywać żadnych manewrów, nie da się zainstalować artylerii burtowej, będącej najgroźniejszą bronią żaglowców nowej generacji.

Niestety, Królewska Marynarka Wojenna Charisu również nie posiadała zbyt wielu nowoczesnych jednostek... a wszystkie jej galeony stały teraz w porcie na Wyspie Heleńa. Z nich właśnie utworzono eksperymentalną eskadrę komandora Staynaira.

Na domiar złego, galery stanowiące trzon floty posiadały zbyt mało artylerii. Każda z jednostek dowodzonych przez Staynaira miała na pokładzie od trzydziestu sześciu do nawet czterdziestu armat. Na całej piątce zainstalowano ich sto osiemdziesiąt cztery... co stanowiło równoważnik artylerii ciężkiej z pięćdziesięciu galer.

Na szczęście sytuacja nie była aż tak zła, jak by się to wydawało na pierwszy rzut oka, ponieważ niemal jedną trzecią liczby dział eskadry eksperymentalnej stanowiły nowocześnie karonady, dopiero co odlane w zakładach Howsmyna, choć z drugiej strony Cayleb i baron Morskiego Szczytu ogłocili z krakenów całą rezerwę floty.

Charis posiadał w czynnej służbie osiemdziesiąt galer, można było pozyskać z nich działa, którymi dałoby się obsadzić siedem albo osiem nowych galeonów, lecz w rezerwie trzymano jeszcze pięćdziesiąt jednostek starego typu, które książę zamierzał ogołocić z artylerii w pierwszej kolejności - Tyle tylko, że piętnaście czy nawet szesnaście uzbrojonych w nowoczesne działa galeonów nie było w stanie powstrzymać połączonych flot przeciwników Charisu.

Wielkim szczęściem Korony było też to, że posiadała własne złoża miedzi i znaczne zapasy cyny. Merlin zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później Charisjanie będą musieli przejść na żelazo (raczej prędzej, zważywszy na to, jak dużo miedzi trzeba było do obijania kadłubów nowych jednostek, aby zabezpieczyć je przed morskimi szkodnikami i obrastaniem), ale na razie brąz wydawał się idealnym materiałem na gładkolufowe armaty. Był jednak nieco za miękki na potrzeby gwintowanej amunicji, choć miał większą elastyczność, a co za tym idzie mniejszą kruchość niż żelazo. Działa z brązu były więc w znacznie mniejszym stopniu narażone na wybuchnięcie, co zawsze kończyło się tragicznie dla wszystkich marynarzy przebywających w ich pobliżu.

Niestety, wspomniane przed chwilą działa z brązu musiały być dopiero wyprodukowane, a na to trzeba sporo czasu. Opaski Howsmyna pozwoliły na znacznie szybsze dostawanie już istniejących dział, a czas zaoszczędzony na ich przetapianiu wykorzystano do nagwintowania dodatkowych luf. Dzięki temu udało się w końcu stworzyć zunifikowany kaliber artylerii, a zmodernizowane krakeny po usunięciu wszystkich nieregularności wynikających z przestrelania zyskały znacznie na celności dzięki zmniejszeniu poprawek na wiatr, nie licząc już zwiększonej masy pocisku i lepszej szybkostrzelności. Na dodatek ten sam rodzaj amunicji pasował teraz do dział długolufowych i karonad, co znacznie upraszczało produkcję kul.

- Musimy podjąć konkretne decyzje - powiedział hrabia Szarej Zatoki, kierując te słowa do Merlina. - Wyczerpaliśmy już wszelkie dostępne zapasy krakenów, ale nie możemy uziemić reszty floty, ogołocając ją z całej ciężkiej artylerii. Nie tylko dlatego, że podobne działania wzbudziłyby natychmiast podejrzenia Hektora i Nahrmahna. Te jednostki będą nam potrzebne, i to bardzo, do wsparcia nielicznej wciąż flotyli galeonów. Możemy wyprodukować trzy karonady 2 tej samej ilości metalu, jaka była potrzebna do odlania krakena, posiadamy także sporą ilość artylerii mniejszego kalibru, no i kilka najcięższego, które będziemy mogli przetopić na potrzeby nowej produkcji. Prawdę powiedziawszy, już to robimy, po części dlatego, że brąz z odzysku pozwala nam na zachowanie rezerw miedzi potrzebnej do obijania kadłubów. Jednakże mimo iż każda karonada może być produkowana szybciej niż działko długolufowe, oszczędzamy co najwyżej połowę, jeśli nie tylko jedną trzecią czasu potrzebnego do odlania tradycyjnej armaty. No i jak wiadomo, działa krótkolufowe mają znacznie mniejszy zasięg. Chociaż ten problem akurat martwi mnie o wiele mniej niż pozostałe czynniki, przynajmniej w tym momencie - dodał zaraz z zamysłową miną. - Jak rozumiem, karonady mogą strzelać celnie na odległość dwustu albo trzystu jardów?

- Raczej na dwa razy większą odległość - zapewnił go Cayleb.

- Cóż, większość bitew na morzu, mówię tutaj o tych staromodnych starciach, rozgrywała się na znacznie mniejszych dystansach - stwierdził hrabia Szarej Zatoki obojętnym tonem. - Prawdę powiedziawszy, rozstrzygano je zazwyczaj w walce wręcz. Jeśli zdołamy zatrzymać się w odległości stu jardów od wroga i zasypujemy go kulami, tak jak to zrobił Staynair na pokazie, sytuacja ulegnie diametralnej zmianie.

- Zgadza się w pełni z tą uwagą, panie. - Merlin przytaknął. - Karonady mają też jeszcze jedną zaletę: są o wiele lżejsze od tradycyjnych dział. Nikt nie zaprojektował okrętu do przenoszenia armat tego typu. Bez względu na wysiłek, który włożyłem w przebudowę kadłubów pospołu z sir Dustynem, te galeony Styrnaira są wciąż mocno przeciążone. - Hrabia Szarej Zatoki przytaknął z ponurą miną. - Jeśli użyjemy karonad zamiast krakenów, zmniejszy obciążenie kadłuba o jakieś dwie trzecie - ciągnął Merlin - co oznacza, że okręty, które dopiero budujemy, będą mogły pomieścić znacznie większe ilości uzbrojenia, ale nie tylko; dzięki takiemu rozwiązaniu zdołamy dostosować na potrzeby floty także część istniejących już jednostek kupieckich. Niestety idea konwertowania cywilnych statków nie bardzo mi się podoba. Frachtowce nie mają tak solidnej, zwartej budowy jak okręty wojenne.

Nie zdołają wytrzymać takich samych uszkodzeń i nie zabiorą na pokład identycznej ilości uzbrojenia. Chociaż jeśli bitwy zaczną toczyć się w sposób opisany przez hrabiego, te czynniki rzeczywiście nie powinny mieć większego znaczenia.

- Karonady ważą mniej więcej tyle co „sokoły” - podsumował Cayleb. - Jeśli wystarczy nam czasu na odlanie odpowiedniej ich liczby, uda nam się także wymienić artylerię na galerach.

- Znakomite pomysły, i to bez wyjątku - przyznał hrabia Szarej Zatoki. - Dlatego uważam, że powinniśmy się skupić jedynie na problemie donośności. Tak czy inaczej, nasi wrogowie zdołają skopiować większość naszych ulepszeń, jeśli nawet uda nam się je zachować w tajemnicy do pierwszego starcia. Gdy do tego dojdzie, każdy idiota... a za przeproszeniem, tego akurat nie można powiedzieć o książętach Corisandu i Szmaragdu... zrozumie, że musi dysponować identycznymi okrętami i rozwiązaniami. Tyle tylko, że kiedy je skopiują, i tak nie będą mogli równać się z naszymi w walce na dystans. Ale to oznacza użycie dłuższych luf i znowu wracamy do punktu wyjścia, czyli nadmiernego obciążenia kadłubów.

- To prawda Rayjhisie - zgodził się książę. - Większość jednostek naszej eskadry zaczyna mieć odkształcenia i przecieka. Co prawda na razie nieznacznie.

- Jakoś nie czuję się tym zaskoczony - stwierdził hrabia Szarej Zatoki, krzywiąc się przy tym mocno.

Na galerach problem z przeciążeniami raczej nie występował. Jeśli ustawiano coś naprawdę ciężkiego na obu końcach drewnianego pokładu - a artyleria zazwyczaj musiała być tam lokowana - prowadziło to do nieuniknionych przeciążeń konstrukcji. Rezultatem było zazwyczaj głębsze załamanie dziobu i rufy z jednoczesnym wypiętrzeniem śródokręcia. Przy zbyt mocnym odkształceniu stępki mogło też prowadzić do zagrożenia przełamaniem kadłuba, ale radzono sobie z tym problemem bardzo prosto - zmniejszając liczbę instalowanych dział.

- Sir Dustyn i ja rozmawiamy o tym problemie z baronem Morskiego Szczytu... na ile nam czas pozwala - powiedział Merlin. - Wydaje mi się, że sir Dustyn wpadł już na ślad rozwiązania, ale na tym etapie produkcji nie chcemy wprowadzać żadnych zmian, o ile nie okażą się absolutnie konieczne. Dzisiaj ważniejsze jest, żebyśmy zbudowali wystarczającą liczbę okrętów, niż to, czy będą najdoskonalsze ze wszystkich.

- Zgoda. - Hrabia Szarej Zatoki znów nie oponował. - Mimo iż pomysł budowania tak wielu okrętów z marnego budulca rani moje uczucia.

Cayleb także się skrzywił, odwzorowując nieszczęśliwą minę pierwszego doradcy. Okręty budowane z niesezonowanego drewna szybciej butwiały. Rosnące na Schronieniu drzewa tekowe, tak bardzo przypominające swoje ziemskie odpowiedniki, były najpopularniejszym budulcem okrętów na tej planecie. Bardzo mocne, niezwykle twarde i naprawdę odporne na butwienie - o ile sezonowano je w odpowiedni sposób. Ale tym razem nie wykorzystywali takiego drewna do budowy nowych okrętów. Charis porastały ogromne lasy tekowe, z których połowa należała do Korony albo marynarki wojennej. Ale ten niezwykle cenny budulec nie wytrzymałby w wodzie wiele dłużej bez odpowiedniego przygotowania, więc Haarahld i Cayleb zdecydowali, że nie będą go marnowali na potrzeby floty, która ma mieć dość ograniczony, żeby nie powiedzieć: krótki żywot.

Merlin wiedział, że Charisjanie będą mieli ogromne szczęście, jeśli po pięciu latach od włączenia do służby pierwsze jednostki budowane teraz w stoczniach pod nadzorem sir Olyvyra nie trafią do rozbiórki w Zatoce Królewskiej. Na ich nieszczęście zasoby znakomitego budulca były ograniczone, musiano więc zdecydować, czy lepiej mieć w tym roku dostateczną liczbę okrętów, z którymi kłopoty zaczną się za pięć lat, czy pracować nad konstrukcjami wytrzymałymi, które mogą nie być gotowe na czas. Wybór Haarahlda był bardziej niż ograniczony.

- Sir Dustyn twierdzi, że zdobędziemy wystarczającą ilość solidnego budulca na kilka tuzinów nowych jednostek, jeśli zdecydujemy się na rozebranie galer stojących w rezerwie - rzucił Merlin. - Nie możemy tego zrobić, dopóki nie wyprodukujemy wystarczającej liczby galeonów, ale rozpoczniemy prace nad ich wykorzystaniem tak szybko, jak to będzie możliwe, oczywiście za twoją, panie, i króla Haarahlda zgodą.

- Moją zgodę już masz - powiedział mu hrabia Szarej Zatoki. - Jestem też pewien, że król nie wyrazi sprzeciwu.

- Co nie zmienia faktu, że i tak będziemy mieć sporo problemów z produkcją tych okrętów - ostrzegł pierwszego doradcę Cayleb. - Cieszy mnie niezmiernie, że mistrz Howsryn zdołał nam zapewnić nieprzerwane dostawy blach miedzianych do obijania kadłubów, ale co począć z dłużycami na maszty? Znalezienie takiej ilości dobrego materiału zaczyna graniczyć z cudem. Przecież nie możemy ich produkować w naszych manufakturach, jak tych blach. A jeśli marynarka zacznie wykupywać budulec tego rodzaju na innych rynkach, ludzie pokroju Hektora natychmiast zaczną węszyć.

- Miedź i dłużyce to nie jedyny problem - poparł go Merlin. - Będziemy też potrzebowali ogromnych ilości płótna, olinowania, smoły... wszystkiego, o czym tylko zdołacie pomyśleć.

Pokręcił głową ze smutkiem. Z jednej strony, sam był zaskoczony, jak szybko sir Dustyn Olvyvr przeszedł od fazy planowania do budowy nowych okrętów. Konstruktor przewidywał - a wszystko wskazywało na to, że miał rację - iż pierwszy kadłub będzie gotowy w zaledwie dziewięćdziesiąt dni od pojawienia się w stocznich Zatoki Królewskiej transportów nieszonowanego drewna. Z wyliczeń Merlina wynikało, że był to bardzo podobny wynik do tych, jakie uzyskiwano w osiemnastowiecznych stocznich Starej Ziemi, gdy morskie imperia nagliła potrzeba. Niestety, sir Olvyvr był w stanie produkować tylko sześć jednostek naraz, a bez względu na tempo budowy kadłubów okręty te będą potrzebowały jeszcze, co słusznie zauważył Merlin, masztów i takielunku. Nie wspominając już o działach i przeszkolonych kanonierach do ich obsługi.

~ Kolejny powód, dla którego oplaca się przerabiać statki kupieckie - zauważył hrabia Szarej Zatoki. - Wycięcie furt ogniowych w burtach i dostosowanie ozaglowania potrwa znacznie krócej niż budowa podobnych jednostek od podstaw.

- Wiem, panie, że masz rację - odparł Merlin - ale musimy w takim wypadku opracować metody wzmacniania kadłubów, aby wytrzymały siłę odrzutu dział po oddanej salwie. Obawiam się, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach osiągnięcie zakładanych celów zajmie nam co najmniej rok.

Hrabia Szarej Zatoki spochmurniał.

- A ja obawiam się, że nie zdołamy utrzymać naszego słodkiego sekretu aż tak długo - powiedział.

- Zgadza się z tą opinią - dodał Cayleb. - Wydaje mi się, że musimy rozpocząć budowę okrętów także w stocznich Hairathy.

Oczy pierwszego doradcy króla posmutniały na tę sugestię, ale księżę wzruszył jedynie ramionami.

- Nie jestem ślepy na to, co Merlin nazywa „aspektami bezpieczeństwa”, Rayjhisie. Ale jak tylko nasza marynarka zacznie budować w jakimś miejscu sporą liczbę nowych okrętów, ludzie natychmiast się o tym dowiedzą i zaczną zachodzić w głowę, na co nam one. A Hairatha to największa stocznia zaraz po Tellesbergu. Będziemy mogli tam budować jednocześnie tuzin jednostek tylko na królewskich pochylniach.

- To prawda, nie przeczę, mój księżę - stwierdził pierwszy doradca. - Kiedy zaczniemy się zbliżać do terminu realizacji ostatniej części naszego planu, wykańczanie okrętów nawet w publicznych miejscach przestanie być problemem, ale do tej pory...

Zawiesił głos, a Cayleb przytaknął mu z ponurą miną. Moment później oczy księcia zwężyły się w szparki, gdy Merlin zaczął podkrecać napomadowanego węża.

- O co znów chodzi? — zapytał następca tronu, a gdy seijin posłał mu zdziwione spojrzenie, prychnął niecierpliwie. - Znowu zaczynasz podkrecać węża. Czyżbyś zamierza uraczyć nas kolejnym przebiegłym planem przygotowanym specjalnie na tę okoliczność?

- Nie wiem, czy to, o czym teraz myślę, można nazwać „przebiegłym planem” - odparł spokojnie Merlin - ale faktycznie coś mi przyszło do głowy.

- Cóż mogę dodać - wtrącił, uśmiechając się szeroko, hrabia Szarej Zatoki. - Nieokiełznana młodzieńcza natura Cayleba nakazuje mu często mówić bez zastanowienia, ale tym razem najwyraźniej ma rację. Mówże, człowieku, co ci łązi po głowie!

- Właśnie przyszło mi na myśl - zaczął Merlin - że jeśli chcemy, możemy budować te okręty na oczach ludzi. Zda się, że zapominamy o jednym: sir Dustyn jest najlepszym prywatnym konstruktorem statków w Charisie. Otrzymał już ponad dziesięć zamówień od różnych inwestorów na budowę szkunerów w stoczniach Tellesbergu. Dlaczego nie mielibyśmy mu zlecić budowy tuzina galeonów dla marynarki wojennej, nie ujawniając oczywiście nikomu, dla kogo te jednostki będą budowane?

- Ale... - zaczął Cayleb, lecz zamilkł, gdy hrabia Szarej Zatoki uniósł dłoń.

- Sugerujesz, żebyśmy, a w zasadzie żeby on i jego stocznia ogłosili wszem wobec, że to jednostki budowane na prywatne zamówienie?

- Tak - przyznał Merlin. - Nie będą wprawdzie wyglądały jak zwykłe galeony, nawet na wcześniejszych etapach produkcji, chociaż nie powinny się aż tak bardzo różnić od waszych najnowszych jednostek. Wprawdzie nie zdołamy ich tam obić miedzią bez wzbudzania zbędnej sensacji, ale to nie powinno być przeszkodą. Po zwodowaniu możemy je skierować do suchych doków Hairathy albo Zatoki Królewskiej i dokończyć robotę z dala od ciekawskich oczu. Dzięki temu oszczędzimy mnóstwo czasu. A jeśli ludzie zauważą, że te kadłuby różnią się nieco od tradycyjnych kupieckich jednostek, wszyscy i tak będą myśleli, że to te nowe szkunery, które sir Dustyn ma wprowadzić do produkcji. Zresztą, z tego co wiem, on naprawdę ma zamiar wyposażyć dwa z budowanych właśnie galeonów w unowocześniony, mieszany takielunek. Skoro wszyscy wiedzą o tych eksperymentach, dlaczego mieli by się dziwić, że zaczyna budować statki o zmienionej konstrukcji kadłuba?

- Na dodatek - wtrącił Cayleb, którego początkowy smutek szybko przerodził się w entuzjazm - już sam fakt, że budujemy je jawnie, powinien sprawić, iż nikomu nie przyjdzie do głowy, że coś kombinujemy! Przecież ktoś taki jak Hektor czy Nahrman nigdy nie uwierzy, że można budować tajną broń na oczach tłumu.

- Hmm... - Zamyślony głęboko hrabia Szarej Zatoki gładził się przez chwilę po brodzie. - Wydaje mi się, że możesz mieć rację, Merlinie. Zresztą chyba obaj macie rację. Poradzę królowi, aby zastanowił się poważnie nad tą sugestią. Jednakże będę nastawał na to, by nie ujawniać sekretu właścicielom stoczni, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Lepiej spróbujmy złożyć te zamówienia przez kilku zaufanych armatorów. Gdy zostaną ukończone, zapłaci za nie skarbiec Korony.

- Myślę, że to znakomity pomysł, panie, jeśli oczywiście da się ich do tego namówić - oświadczył Merlin.

- Zatem wiemy, co robić. - Hrabia spojrział raz jeszcze na leżącą w dole zatokę i zaczerpnął głęboko tchu. - Myślę, że czas już wracać do Tellesbergu - powiedział. - Mam z królem wiele do omówienia, ale z czystym sercem mogę mu powiedzieć jedno... - Spojrzął na Merlina i Cayleba, uśmiechając się szeroko. - Nasze sprawy znalazły się w naprawdę dobrych rękach.

III

Pałac książęcy, Eraystor

N

ie podoba mi się to, co mówi Hektor - stwierdził Tra- hvys Ohlsyn.

Hrabia Sosnowej Doliny siedział po drugiej stronie stołu na zadaszonym tarasie, naprzeciw księcia Nahramahna- przyglądając się, jak jego kuzyn z wielkim zapalem wydlubuje z muszli małżawca. Hahl, baron Shandyru, towarzyszył im także, ale szef wywiadu najwyraźniej stracił apetyt. Le-dwie skubnął sałatkę, którą mu podano.

- A ja mam to gdzieś - wybelkotał władca Szmaragdu z pełnymi ustami. Przełknął szybko następnego mięczaka i natychmiast popił go sokiem rozcieńczonym wodą. - Nie dbam o to, co mówi - dodał, odstawiając szklanke - a i jego samego mam w zadku.

- Niestety, mój książe - wtrącił baron Shandyru - wszystko wskazuje na to, że on żywi podobne uczucia do ciebie.

Nahrman spojrzał na niego groźnie. Baron nie należał ostatnio do faworytów księcia. Fakt, iż władca Szmaragdu wiedział równie dobrze jak szef jego agentów, że wina za ostatnie niepowodzenia nie leżała tak naprawdę po stronie tego drugiego, nie stanowił żadnego pocieszenia dla nikogo. Niestety, akurat w tym wypadku nie mógł odmówić baronowi Shandyru racji.

- Zawarliśmy ten sojusz z konieczności - rzucił po chwili, sięgając po kolejnego małżawca i srebrne kleszcze. - Nie musimy się kochać, by współpracować.

- To prawda - przyznał hrabia Sosnowej Doliny. - Ale niepokoi mnie jego nastawienie. Dam ci, panie, jeden przykład. - Postukał palcem w listy, które przyniósł na ten ro-boczy lunch. - Przestał omawiać z nami dalsze posunięcia. Przekazuje nam tylko to, co sam zdecydował. Listy utrzymane w takim tonie przesyłam zarządom moich drugorzędnych majątków!

- Nie jest aż tak źle - zaprotestował Nahrman. Jego kuzyn obruszył się, słysząc te słowa, ale książe zbył jego niezadowolenie wzruszeniem ramion. - Nie twierdę bynajmniej, że nie masz racji, Trahvysie. Pragnę ci jednak przypomnieć, że nasz przyjaciel Hektor zawsze uważał się za przywódcę naszego nieformalnego stowarzyszenia. Z tego co wiemy, jego sprawy w Tellesbergu nie układają się dużo lepiej niż nasze, nie dziwota więc, że jest na nas obrażony.

- Ta zniewaga mnie nie zabolala, Nahrmanie. A w każdym razie nie aż tak bardzo. Chodzi raczej o zamysł, jaki się za nią kryje. Jeśli rozmawia z nami w takim tonie teraz, kiedy Charis wciąż istnieje, jak zacznie nas traktować, gdy pó. konamy wspólnie Koronę? I jak myślisz, komu przypadnie w udziale lwią część łupów?

- Jestem pewien, że zamierza zatrzymać je dla siebie - odparł zadowolonym głosem książe Szmaragdu. - Tyle tylko, że popełnia maleńki błąd w swoich kalkulacjach. Oczy hrabiego Sosnowej Doliny zwężyły się nagle. Odchylił się na fotelu, wpatrując się intensywnie w twarz kuzyna. Moment później przechylił głowę.

- Czy tu się dzieje coś, o czym nie wiem? - zapytał.

- Cóż - odparł Nahrman, otwierając kolejną muszlę i przyglądając się z uwagą jej zawartości - prawdę powiedziawszy, nie wiesz o dwu sprawach. Pierwszą z nich są rozmowy, które prowadzę na boku z biskupem egzekutorem Wyl- lysem. Wszystko wskazuje na to, że arcybiskup Lyam gotów jest poprzeć w Świątyni nasze roszczenia dotyczące Ziemi Margaret i zagwarantuje nam mandat Kościoła na zarządzanie nią ze względu na historyczne więzy, jakie łączą nas z tamtejszą ludnością. Z tego co się dowiedziałem od biskupa egzekutora, jego przełożony przyjął tę propozycję z wielką ochotą. W końcu mamy znakomite układy z nowym hrabią Hanth. A nasza wiara jest bardziej ortodoksyjna niż Haarah- da. Albo Hektora, jak wolisz.

Wydlubał małżawca i wsunął od razu do ust, usiłując prze-żuć go, uśmiechając się ironicznie zarazem.

Hrabia Sosnowej Doliny zamyślił się głęboko. Lyam Tym, arcybiskup Szmaragdu, był najbardziej pazernym członkiem Rady. Co wiele o nim mówiło. Ale jakkolwiek na to patrzeć,

nie trafiło mu się najbardziej lukratywne z arcybiskupstw. Szmaragdowi wprawdzie daleko było do biedy, choć w porównaniu z tak bogatymi krainami, jak Charis albo nawet Corisand, dziesięcina musiała wydawać się takiemu chciwcowi skromną jałmużną. Zresztą włości Tyrna poza księstwem także nie należały do dochodowych. A pochodził on z jednego z najpotężniejszych rodów kościelnych. Tak znane, starożytne nazwisko dawało mu znacznie większe wpływy w Świątyni, niż wskazywałyby na to mierny status majątkowy. Co więcej, właśnie ten brak gigantycznej fortuny popychał go do ochoczego korzystania z wpływów, kiedy w grę wchodziło zarobienie dodatkowych pieniędzy.

- Rozumiem - odparł po chwili hrabia. - Wiem, o czym mówisz. Kościół zapewne przyłączy te tereny do jego arcybiskupstwa. Ale pozostają jeszcze Wyspa Srebrodajna i właściwy Charis.

- Kościół nie pozwoli nikomu na samodzielne władanie całością ziem Charisu, Trałwysie - odparł Nahrman. - Rada Wikariuszy pragnie, abyśmy razem z Hektorem doprowadzili Koronę do upadku, ale hierarchowie nie dopuszczają, by któryś z nas dysponował potęgą Haarahlda... która tak ich dzisiaj irytuje. Hektor ma plan, by ich przechytrzyć; z tego co zrozumiałem, spróbuje wyłudzić dla siebie mandat na Wyspę Srebrodajną. Być może uda mu się nawet wyłudzić prawowity tytuł jej władcy. Ale ta wyspa jest o wiele mniej warta niż Ziemia Margaret, a ludzie na niej żyjący mają znacznie silniejsze więzy z rodem Ahrmahków. Utrzymanie kontroli nad nimi może być pasmem udręki, którego ja wolałem uniknąć. Natomiast co do samego Charisu, byłbym wielce zdziwiony, gdyby Kościół nie wkroczył do akcji i nie zajął tych terytoriów dla siebie, zapewne w imieniu jednego z młodszych dzieci Haarahlda... zakładając, że któreś z nich przeżyje tę zawieruchę... albo przynajmniej nie usadził jakiejś marionetki na tamtejszym tronie. Oba rozwiązania są możliwe. Regenacja w imieniu najmłodszego syna Haarahlda może dać Kościołowi wystarczająco dużo czasu, by przyzwyczaić Charijsjan do władzy absolutnej Kościoła, a kiedy chłopak przestanie być potrzebny, zapewne przydarzy mu się coś strasznego. Czyż wypadki nie chodzą po dzieciach? W każdym razie ani R ani tym bardziej Hektor nie zasiądziemy na tronie Tellesbergu. Różnica polega na tym, że ja mam tego świadomość. Już układałem się z Kościołem, by to nam przypadł największy kawałek tortu przy podziale.

"" Sprytnie posunięcie - przyznał hrabia Sosnowej Doliny. - Zdaje się jednak, że jestem twoim pierwszym doradcą. Nahrmanie. Byłoby miło, gdybyś informował mnie na bieżąco o prowadzeniu podobnych negocjacji. Dzięki temu nie będziemy sobie deptali po piętach jak dwaj ślepcy.

- Celna uwaga - stwierdził książę. Upił łyk wina, spoglądając z zacienionego tarasu na rozświetlone ogrody. - Pó. staram się ją zapamiętać - obiecał, aczkolwiek hrabia nie miał wątpliwości, że władca nie zamierza dotrzymać danego słowa. Nahrman zapewne nie mówił nawet sobie o większości spisków, jakie wymyślał.

- Zdaje się, że wspomniałeś o dwu sprawach, o których Hektor nie ma pojęcia - przypomniał po chwili, wywołując napad śmiechu u władcy Szmaragdu.

- Obaj wiemy, że Hahl nie miał zbyt wiele szczęścia w odbudowaniu siatki w Tellesbergu - odparł. - Ale pomijając tę porażkę, odniósł znaczące sukcesy w innych miejscach. Dla tego właśnie - głos Nahrmana stał się odrobinę mroczniejszy - toleruję jego fiasko w Charisie.

Hrabia Sosnowej Doliny skinął głową. Wszystkie próby zastąpienia Lahanga w Tellesbergu spaliły na panewce. Każdego agenta, którego tam wysyłał baron Shandyru, natychmiast chwytało. Tym sposobem wywiad Szmaragdu stracił ostatnio sześciu najlepszych ludzi, którzy udali się do stolicy Korony, by sprawdzić, co tam jest nie tak.

- Jednym z najważniejszych jego osiągnięć - kontynuował tymczasem książę - było nawiązanie kontaktu z baronem Kamiennej Warowni.

Oczy hrabiego raz jeszcze zamieniły się w wąskie szparki. Edymynd Rustmyn, baron Kamiennej Warowni, był nie tylko pierwszym doradcą króla Gorjaha z Tarota, ale zarazem odpowiedzialnym Hahla, barona Shandyru, w tamtym królestwie.

- Rustmyn informuje nas o negocjacjach prowadzonych pomiędzy Gorjahem a Hektorem. Jego usługi do najtańszych nie należą, ale kiedy nadejdzie czas, poprosimy go, W przekazał swojemu królowi, co Corisand ma zaplanowane dla Tarota. A mianowicie: wielkie nic, jeśli nie liczyć uwolnieni od traktatów z Charisem. Ale nie będzie musiał się tym bardzo przejmować, ponieważ my zaoferujemy mu wsparcie dla jego żądań, jeśli zechce wystąpić o należną mu część zdobytych ziem. Dostarczyliśmy baronowi kilka wytresowanych wyvern pocztowych, które mogą okazać się niezwykle użyteczne, kiedy nadejdzie czas podejmowania szybkich decyzji.

Hrabia Sosnowej Doliny po raz kolejny skwitował słowa księcia skinieniem głowy, tym razem z wyraźnym zadowoleniem, chociaż korciło go, by raz jeszcze przypomnieć, że właśnie o takich rzeczach książę powinien rozmawiać najpierw z nim.

- Na deser dodam ci jeszcze - ciągnął Nahrman - że Hahl zdołał umieścić naszego człowieka w Manchryze. A nawet dwóch. W razie nieprzewidzianych okoliczności nasz przyjaciel Hektor może się dowiedzieć, że nie był wcale tak mocnego zdrowia, jak się spodziewał. - Książę roześmiał się, wskazując palcem na jeden z półmisków. - Podacie mi roladkę? - zapytał przymilnie.

CZERWIEC ROKU PAŃSKIEGO 891

Tellesberg

A

le o co chodzi?

Zhaspahr Maysahn wiedział, że pytanie zadane siędzącemu po drugiej stronie stołu Zhamesowi Makferzahnowi zabrzmiało zbyt ostro, ale wcale się tym nie przejmował. Podwładny nie powinien się z nim spotykać jeszcze przez dwa dni, tak wynikało z ustalonego wcześniej harmonogramu. Zważywszy na dość ekspresowy tryb ewakuacji Oskahra Mhu- Iwayna i fakt, że Maysahn spotykał się z nim regularnie - na dodatek zawsze w miejscach publicznych - wolał teraz unikać podobnych zdarzeń, zwłaszcza z czynnymi agentami.

- Wiem, że pojawiłem się poza ustalonym terminem - stwierdził Makferzahn - ale uważam, że to naprawdę ważna sprawa.

- Mam nadzieję - mruknął Maysahn, a potem wzruszył ramionami.

Jego rozdrażnienie wynikało po części z faktu, że on i Zhames przysiedli w ulicznej kawiarence, przy tym samym stole zresztą, przy którym Maysahn rozmawiał z Mhulvaynem w dniu zamachu na księcia Cayleba. Początkowo uznał to za zły omen, ale potem wytłumaczył sam sobie, że nie powinien być aż tak przesądny. Przecież wybrał to miejsce z rozmysłem - tutaj siadał zazwyczaj jako handlarz, by rozmawiać z klientami o interesach, a Makferzahn idealnie mieścił się w tym profilu, pełnił bowiem w Tellesbergu rolę agenta pracującego dla rodu kupieckiego z Desnairu, który z dużą częstotliwością wynajmował frachtowce, zatem w ich spotkaniu nie mogło być niczego podejrzanego.

- Dobrze - oświadczył po chwili. - Cóż to takiego, że nie mogło poczekać jeszcze dwóch dni?

- Jednemu z moich ludzi udało się w końcu dotrzeć do stoczni na Helenie - zameldował Makferzahn, a Maysahn, choć wbrew sobie, natychmiast się wyprostował i nadstawił uszu. - Wiem, że trwało to znacznie dłużej, niż chcieliśmy - ciągnął tymczasem agent - i mój człowiek nie przebywał tam więcej niż kilka godzin, ale zapewniam cię, że zdołał uzyskać w tym czasie kilka użytecznych informacji.

- I?

- I nie jestem pewien, co począć - przyznał Makferzahn.

- Przede wszystkim nie siedź jak kołek - poinstruował go Maysahn.
 - Wybacz. - Agent sięgnął po filiżankę i upił łyk gorącej czekolady. Odstawił potem naczynie i pochylił się w stronę szefa.
 - Mają tam na pochylniach sześć nowych okrętów - wyszeptał. - Ale nie galer, tylko galeonów.
 - Galeonów? - Zdziwiony Maysahn zmarszczył brwi. - Na rany Langhorne'a! Po jaką cholere charisjańska marynarka buduje kolejne galeony?
 - Nie mam pojęcia - odparł agent, przesadnie wzruszając ramionami. - Nie widzę w tym najmniejszego sensu, ale to właśnie robią.
 - Czy udało ci się dowiedzieć, po co im one?
 - Nikt nie chce mówić na ten temat, nawet w tawernach i barach - odparł Makferzahn. - Ale zgodnie z plotkami, które podsłuchał nasz człowiek, wyposażają je w armaty! Facet, którego udało się spić na tyle, by wydusić z niego nieco więcej, twierdził, że na niektórych jest po trzydzieści albo i czterdzieści dział!
- Wyraz troski na twarzy szefa pogłębił się jeszcze bardziej. To była najgłupsza z plotek, jakie dotarły do niego w ostatnich dniach. Tłumaczyła wprawdzie, dlaczego Charisjanie budują galeony, bo on nie widział sposobu upchnijcia takiej liczby dział nawet na największych galerach. Nadal za to nie rozumiał, po co im tyle artylerii na jednym okręcie. Nie ulegało wątpliwości, że taka jednostka może oddać dewastującą salwę tuż przed abordażem. Ale co z tego, jeśli nie zdoła jej powtórzyć? A zważywszy na to, jak ciężkie i powolne były galeony, nie miały szans na dogonienie porządnej galery.
- Bez względu na to, co oni tam robią - ciągnął tymczasem Makferzahn - uważają, że to niezwykle ważne. Mój człowiek potwierdził także plotki o księciu Caylebie. Następca tronu osobiście dowodzi tamtym przedsięwzięciem i wyciska ze wszystkich siódme poty. Obawiam się, że odwalił na Helenie kawał dobrej roboty.
 - Chciałbym powiedzieć, że to mnie zaskoczyło - Maysahn skwitował gorzko ostatnie zdanie agenta - ale pod tym względem chłopak niewiele się różni od ojca. O ile prostsze byłoby nasze życie, gdyby obaj byli idiotami. Tyle że wtedy księżę Hektor nie potrzebowałby nas tutaj.
 - Pewnie nie - stwierdził Makferzahn. - Ale co my z tym wszystkim powinniśmy zrobić?
 - Jeszcze nie wiem - przyznał Maysahn.
- Odchylił się na krześle i zabębnił lekko palcami po blacie, wpatrując się w straganiarzy zachwalających swoje towary po drugiej stronie ulicy. Ośmiokołowy wóz zagranicznej produkcji przetoczył się po bruku - był tak wielki, że musiały go ciągnąć aż dwa smoki. Jedna z sześcionogich bestii parsknęła gniewnie, gdy wyczuła świeże warzywa leżące na pobliskim targowisku.
- Masz rację, że cokolwiek tam robią, uważają to za niezwykle ważne. Już sama obecność Cayleba o tym świadczy - powiedział w końcu. - Być może chodzi im o ten nowy takie- lunek, o którym tyle gada sir Ollyvir. Powiadają, że nawet przy tradycyjnym, prostokątnym ozagłowaniu statki te osiągną o wiele większą zwrotność. Może oni naprawdę uważają, że zdołają podprowadzić te swoje galony do naszych galer i ta odległość strzału?
 - Nie wydaje mi się, żeby byli w stanie to zrobić, nie wpadając przy okazji w kleszcze naszych jednostek - zaprotestował Makferzahn. Odrzucił teorię szefa bez chwili wahania, chociaż nie wyglądał na przekonanego do swojej wersji. - Rozumiem, że mogliby próbować podejść pojedynczą galere, ale na pewno nie uda się to z całą flotą? Ciekawe, co ich zdaniem robiłaby reszta naszych jednostek w tym czasie? I jak zamierzają skorelować ruchy swoich galer z tymi galeonami?
 - Nie powiedziałem, że oni są w stanie to zrobić - zaprzeczył się Maysahn. - Staram się jedynie odgadnąć ich tok myślenia. A fakt, że nie potrafię tego zrobić - dodał z wyraźną

niechęcią - wkurza mnie niemiłosiernie. Cokolwiek mówić o charisjańskiej flocie, nie dowodzą nią idioci.

Makferzahn przytaknął. Podobnie jak jego szef, im częściej miał styczność z Królewską Marynarką Wojenną Charisu, tym bardziej podziwiał jej walory. Flota Corisandu była jedną z najlepszych na świecie, ale nie umywała się nawet do tutejszej marynarki. Zresztą inne morskie potęgi mają ten sam problem, pomyślał Makferzahn, dzieląc obawy Maysahna, że nawet księżę Hektor nie zdaje sobie z tego do końca sprawy.

Tyle tylko, że Charisjanie, kiedy chodziło o sprawy ich floty, zazwyczaj nie popełniali głupstw.

- Mój człowiek zdobył jeszcze dwie informacje - dodał, na co Maysahn natychmiast zareagował zaintrygowanym spojrzeniem. - Pierwsza jest taka, że sir Olyvyr uważa, iż znalazł w końcu metodę pozwalającą na obijanie kadłubów blachą miedzianą bez ryzyka jej szybkiego odpadnięcia. Wygląda więc na to, że obecnie budowane okręty zostaną podane temu procesowi po zakończeniu prac montażowych.

Spojrzeni sobie z Maysahnem głęboko w oczy. Wszyscy wiedzieli, że sir Dustyn Olyvyr z uporem maniaka poszukiwał sposobu na powstrzymanie niszczenia drewnianego poszycia przez morskie szkodniki. I nie on jeden zresztą. Kilka gatunków małżawców potrafiło przegryźć się przez naprawdę grube poszycie w zaledwie kilka miesięcy, a wszelkie próby powstrzymania ich przed osadzaniem się na zanurzonej w wodzie drewnie spełzały na niczym. Jeśli sir Olyvyr rzeczywiście znalazł sposób na ochronę kadłubów za pomocą płatów miedzianej blachy, implikacje tego faktu, zwłaszcza na dłuższą metę, mogły być znaczące. W tym jednak momencie Zhaspahra Maysahna interesowały znacznie krótsze przedziały czasowe.

- Wspomniałeś o dwu informacjach - zauważył. - Jaka jest ta druga?

- Pogłoski głoszą, że z galeonów stworzono specjalną eskadrę, która służy do testowania wszystkich nowych wynalazków - oświadczył Makferzahn z ponurą miną. - To tylko pięć okrętów, ale podobno bez przerwy są w morzu na manewrach. Stają na kotwicy wyłącznie w basenie portowym cytadeli, z dala od innych jednostek, które zawijają na Helenę. Zgodnie z tym, co mój człowiek wydusił z tego pijaka, dowódcą eskadry został komandor Staynair.

- Staynair? - powtórzył wolno Maysahn. Nie było to rzadko spotykane nazwisko w Charisie, ale też nie takie znów popularne. - Czyżbyś mówił o sir Domyniku Staynairze?

- O młodszym bracie biskupa Tellesbergu - przytaknął Makferzahn.

- To zaczyna być coraz bardziej interesujące — mruknął jego szef, pozwalając myślom pędzić jak szalone.

Z jednej strony, taka decyzja dowództwa wydawała mu się całkowicie zasadna. Jeśli ten projekt był tak ważny, że sam Cayleb objął nad nim pieczę, z pewnością przydzielono mu do pomocy najlepszego oficera floty - a wszystko, co do tej pory słyszał o komandorze Staynairze, świadczyło niedwuznacznie, że zalicza się do tej właśnie kategorii. Ale z drugiej strony, istniały koneksje z biskupem Tellesbergu. A plotka głosiła, że sam biskup egzekutor wyraża często obawy o lojalność Staynaira. Jeśli młodszy brat biskupa jest zaangażowany w projekt Haarahlda, którym zarządza na dodatek syn władcy, Maikel z pewnością należy do kręgu wtajemniczonych. A to mogło oznaczać, że Kościół - a przynajmniej jego charisjański odłam - też jest o tym poinformowany. Choć ten przyklej najwyraźniej ominął biskupa egzekutora.

- Tak się zastanawiam... - zaczął Makferzahn. Jego poważny ton zwrócił uwagę Maysahna, ale młody agent zaraz zamilkł. - Zastanawiam się... - zaczął ponownie, gdy zyskał pewność, że przełożony nadstawił ucha - nad tymi galeonami budowanymi w Tellesbergu przez sir Olyyyra.

- Co z nimi nie tak?

- Teraz przyszło mi do głowy, że budują dwanaście podobnych jednostek dla ośmiu armatorów. Poza tymi jego szkenerami, rzecz jasna.

- Stocznie Korony produkują statki dla każdego, kto za nie płaci - obruszył się Maysahn. - A te, które nie mają pełnego portfela zamówień, uwijają się ze zmianami takielunku na starszych jednostkach. I wszystko to za sprawą sir Olyvra. A raczej jego i Howsmyna.

- Wiem. Tyle tylko, że te dwanaście jednostek jest podobnych do siebie jak krople wody. A zgodnie z tym, co mówią cieśle zatrudnieni w tellesberskiej stoczni Howsmyna, w dotychczasowych planach konstrukcyjnych wprowadzono spore zmiany. Po pierwsze, kadłuby są dłuższe o dwadzieścia albo i trzydzieści stóp, a do tego znacznie solidniej budowane niż inne jednostki, przy których ci majstrowie wcześniej pracowali. Znam reputację Olyvra i wiem, że nowy rodzaj ożaglowania, który zaproponował, jeszcze bardziej umocni jego pozycję, ale czy nie wydaje ci się dziwne, że ośmiu różnych armatorów zamawia u niego tuzin statków nowej generacji, które nie przeszły nawet testów?

- Tak, to wygląda nieco dziwnie - przyznał Maysahn, pociągając spory łyk czekolady i lustrując po raz kolejny zatłoczoną ulicę. - Powinni zachowywać się znacznie ostrożniej... - pomyślał na głos. - Powinni poczekać, aż Olyvyr wybuduje kilka prototypów, wprowadzi je do służby, a dopiero potem topić pieniądze w zamówieniach.

- To samo myślę - przyznał Makferzahn. - Chociaż nie da się zaprzeczyć, że ten człowiek postawił na głowie cały przemysł stoczniowy Charisu. Dzisiaj ludzie dosłownie zasypują go pieniędzmi, byle tylko zaprojektował dla nich nowe jednostki, a ponieważ jego moce przerobowe są ograniczone, biorą to, co jest, żeby nie zostać na lodzie. Nie da się ukryć - dodał młody szpieg z wyraźnym podziwem w głosie - że zrozumieli już, iż zaprojektowany przez niego takielunek jest tak dobry, jak go zachwalają.

- To wszystko prawda. Ale i tak uważam, że powinniśmy traktować jak najbardziej serio teorię, że Olyvyr buduje te okręty na potrzeby marynarki - stwierdził Maysahn. - Dlatego lepiej będzie, jeśli zameldujmy o tym księciu, nie czekając, aż uda nam się potwierdzić tę informację. - Usiadł wygodniej, zamilkł na dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Wprawdzie nie jesteśmy ani o jotę mądrzejsi niż przed chwilą, lecz przynajmniej wiemy nieco więcej o tym, co tam się dzieje. Dobra robota, Zhamesie. Jutro rano wyślę wiadomość do Manchyru przez kapitana Whaite'a.

- ...do Manchyru przez kapitana Whaite'a.

Merlin Athrawes zmarszczył brwi, gdy Sowa odtworzyła wiadomości nagrane przez pluskwę monitorującą otoczenie Zhaspahra Maysahna.

Niezliczone godziny, które poświęcił na śledzenie programu, który roboczo nazwał Projektem Inicjacja, pozostawiały mu mniej czasu, niżby sobie tego życzył, na pilnowanie kontaktów Maysahna. Scedował kwestie szpiegowania na Sowę i teraz zaczynał tego żałować.

Gwoli szczerości, sztuczna inteligencja radziła sobie do tej pory nadzwyczaj dobrze. To właśnie Sowa zidentyfikowała Makferzahna jako następcę Mhulvayna, a komputer wykonał znakomitą robotę, śledząc każdy jego ruch od momentu, gdy Merlin nakazał pełną obserwację. Tyle tylko, że Sowa pozostała wciąż pozbawioną wyobraźni maszyną, a on nie miał wyboru i musiał się na nią zdawać przy odtwarzaniu i selekcyjonowaniu nagrań dostarczanych przez wszystkie SAPK-i. Tylko kilka z nich nadzorował osobiście - na przykład te zajmujące się księżętami Hektorem i Nahrmanem oraz arcybiskupem Eraykiem - ale nawet w tych przypadkach musiał korzystać z pomocy oprogramowania Sowy, które wychwytywało w rozmowach wyrażenia kluczowe i kierowało jego uwagę tylko na wybrane, ważne fragmenty.

A popołudniowa rozmowa pomiędzy Maysahnem a Makferzahnem z pewnością zaliczała się do tej kategorii.

Zanurzony w myślach Merlin odchylił się mocno na krześle. Siedział sam w pograżonej w półmroku komnacie. Raźnił sobie z tak wieloma zadaniami wyłącznie dzięki temu, że prawie nie potrzebował snu - wystarczyło, że każdego ranka pamiętał o skołtunieniu pościeli na łożu.

Czy powinienem poinformować o tym barona Gromu? - zastanawiał się teraz. To musiało wydarzyć się prędzej czy później. Na szczęście nie dowiedzieli się jeszcze o zmianach poczynionych w artylerii. Ale nawet to, co wyniuchali, spowoduje, że człowiek pokroju Hektora zacznie zadawać pytania, których wolelibyśmy na razie uniknąć.

Jeśli opowie baronowi Gromu o tej konkretnej „wizji”, ów z pewnością zechce schwytać Makferzahna i wszystkich jego współpracowników. A Merlin, z wielu powodów zresztą, nie chciał dopuścić do ponownego zamknięcia siatki szpiegów Corisandu. Jeśli agenci Gromu to zrobią, książę może zacząć się zastanawiać, jaki też był powód tak nagłego ożywienia wroga. Z drugiej jednak strony, jeśli cała siatka nie zostanie zlikwidowana, wiadomość zdobyta przez Makferzahna tak czy inaczej dotrze do Manhyru. I nakieruje lotny umysł księcia na te same tory.

Ale istnieje też inna możliwość, pomyślał, poważniejąc. Nikt nie powiedział, że „kapitan Whaite” musi pożyć wystarczająco długo, by dostarczyć wiadomość do rąk Hektora. Zważywszy na czas potrzebny na dopłynięcie z Tellesbergu do Manhyru, wypadnięcie Morskiej Chmury z rozkładu rejsów może opóźnić, i to znacznie, dopływ informacji do Hektora. Wiadomości wysyłane przez tajnych kurierów potrzebowwały niemal czterdziestu dni na przebycie tej drogi w jedną stronę. Jeśli statek zatonie po drodze, Maysahn zorientuje się o tym najwcześniej za osiemdziesiąt dni, a następca kapitana dotrze do księcia za kolejne osiem pięćdni.

To była kusząca alternatywa. Naprawdę kusząca. Skimmer zwiadowczy mógł zatopić jednostkę klasy Morskiej Chmury bez najmniejszego trudu. Ale to oznaczałoby zabicie Whaite’a i całej załogi. Ta myśl sprawiła, że Merlin się zawahał, chociaż patrząc na to z innej strony, nie miał przecież do czynienia z niewinnymi przechodniami. Każdy z tych marynarzy służył we flocie Ligi, nie mówiąc już o tym, że wszyscy byli szpiegami, co - Merlin musiał przyznać przed sobą - usprawiedliwiało potrzebę zdecydowanego działania. Odtworzył niedawną rozmowę pomiędzy Maysahnem i Makferzahnem raz jeszcze, a potem wzruszył ramionami.

Zniszczenie Morskiej Chmury niewiele nam da, uznał. Maysahn z pewnością wyśle kolejne wiadomości, kiedy Makferzahn zdobędzie dla niego dodatkowe informacje. Zatopienie tego statku jedynie opóźni ich dotarcie do Hektora, o ile nie uda mi się przechwycić wszystkich kurierów krążących pomiędzy księstwem a Tellesbergiem. Skrzywił się z niesmakiem na tę myśl, a potem pokręcił głową. Nie. Powinienem omówić tę „wizję” z baronem Gromu i Haarahldem. Oni o wiele lepiej będą wiedzieli, jak zareaguje książę Hektor na podobne wieści. Zresztą do początku wizyty duszpasterskiej Erayka nie zostało już tak wiele czasu. A ona sprawi nam znacznie więcej kłopotów niż te strzępki informacji. Tym sposobem, pocieszył się, nie będę musiał ich wystrzelać jak kaczek.

Przestał kręcić głową i dla odmiany skinął nią zdecydowanie, zadowolony z konkluzji, a potem skupił się na nagrażeniach dostarczonych przez SAPK-a nadzorującego księcia Nahrmaha.

LIPIEC ROKU PAŃSKIEGO 891

Pałac królewski,

Tranjyr, Królestwo Tarota

D

zien dobry, wasza wysokość - wymamrotał ojciec Zho-shua Makgregair, gnąc się w niskim poklonie, gdy szam-belan wprowadził go do komnaty króla na prywatną audiencję.

- I tobie, wielbny - odparł Gorjah, władca Tarota. Był szczupłym mężczyzną, co bardzo rzucało się w oczy przy masywnej, barczystej sylwetce Makgregaira, miał nieco ponad trzydzieści lat, ciemne włosy i karnację znacznie ciemniejszą niż jego świątobliwy gość. Nosił luźne szaty z jedwabiu, a zamiast trójkątnego kapłańskiego czepca miał chustę", tradycyjne nakrycie głowy w Tarocie, będące w rzeczywistości zakładaną na czoło przepaską. Choć pogoda była dzisiaj pod psem, władca wyglądał na irytująco zadowolonego. Nagle, gdzieś nad Zatoką Thol, przetoczył się odległy huk gromu, zupełnie jakby wspomnienie o pogodzie wyzwoliło furię nieba. Niestety, jednostajne i głośnie odgłosy deszczu pochłoneły szybko i ten dźwięk. Tropikalna ulewa smagała bezlitośnie okna sali audiencyjnej, grube krople bębniły o dach pałacu Gorjaha. Z okapów spływały kaskady wody, lejąc się z bulgotem w głąb rynien, a gorące powietrze pęczniało wilgocią. Pomimo trwającej na zewnątrz burzy w pomieszczeniu było niemal bezwietrznie, spocony kapłan czuł się, jakby ktoś oblepił go mokrym materiałem. Tarot to nie miejsce dla kogoś, kto urodził się na Północy. Pomyślał, sięgając pamięcią do czasów dzieciństwa spędzonego w północnych prowincjach Siddarmarku. Dorastał tam, łowiąc ryby w zimnych i głębokich wodach Przesmyku Hsing-wu - jeśli topniejące od czasu do czasu lody pozwalały na to - dlatego w podzwrotnikowym klimacie czuł się, jakby ktoś zarzucił mu na plecy ogromny ciężar. Aż się nie chce wierzyć, że ci ludzie mogą myśleć w takim żarze. Wydawać by się mogło, że ich mózgi już dawno powinna zeżreć pleśń!

Na szczęście miał na sobie letnią wersję sutanny, zrobioną z lekkiej bawełny, ale nawet ona nie na wiele się zdawała w takim upale. Z zazdrością spoglądał więc na znacznie przewiewniejsze szaty króla Gorjaha.

- Dzięki ci za to, że zdołałeś znaleźć dla mnie czas pomimo nawału zajęć. I za zgodę na spotkanie w cztery oczy - odparł, prostując w końcu plecy, może nieco szybciej, niż uczyniłby to wytrawny dyplomata. Gorjah był królem, a on zaledwie arcykapłanem. Tyle tylko, że pojawił się tutaj jako wysłannik świętego Kościoła Matki i reprezentant Boga. Z tego też powodu mógł spoglądać władcy prosto w oczy. Nie było w tym niczego niestosownego, poza tym warto na początku rozmowy pokazać, kto jest górą.

- Z przyjemnością zmieniałem kalendarz moich spotkań, aby wygospodarować w nim miejsce dla reprezentanta Kościoła Matki - odparł Gorjah. Zabrzmiało to naprawdę szczerze, zauważył Makgregair. Z drugiej jednak strony, czyż królowie nie są mistrzami w sprawianiu dobrego wrażenia?

Zapewne nie gorszymi niż ci z nas, którzy są dyplomatami w służbie kanclerza, pomyślał, uśmiechając się do siebie w myślach.

- Takich słów każdy kapłan wysłucha z największą przyjemnością, wasza wysokość. - Pozwolił sobie na przelotny uśmiech, ale zaraz spoważniał. - Mimo to jestem za niezwyczajnie wdzięczny. Przyznam, że chciałbym, aby wszyscy książęta i królowie Schronienia pamiętali tak dobrze jak ty o ciężących na nich powinnościach wobec Boga i Kościoła-

Twarz Gorjaha stężała w jednej chwili, oczy zamieniły się w wąskie szparki.

- Wybacz mi, ojcze, że pytam - odezwał się po krótkiej chwili wahania - ale któryż to z królów albo książąt zagubił się do tego stopnia, by nie pamiętać o swoim obowiązku?

- Kościół Matka i Święta Inkwizycja muszą nieustannie czuwać. Władza i doczesne życie niosą ze sobą wiele pokus, które mogą przesłonić władcom ich powinności wobec Boga - oświadczył z wielką powagą ojciec Makgregair. - Niestety, nie wszyscy są tak skrupulatni w ich wypełnianiu jak ty, wasza wysokość.

- Wydaje mi się to wielce niepokojące, ojcze - odparł król, wolno cedząc słowa - zakładam bowiem, że nie mówisz mi o tym bez powodu.

- Nie obawiaj się, wasza wysokość, tak bogobojny człowiek jak ty nie może popaść w niełaszkę Kościoła Matki. - Makgregair mówił łagodnie, uśmiechając się ponownie, choć ze smutkiem. - Masz jednak rację. Przybywam do ciebie w sprawie czyjegoś moralnego upadku. Wikariusz Zhamsyn ma poważne obawy związane z pewnym władcą. Panowanie i bogactwo zaślepiły go do tego stopnia, że przestał kroczyć ścieżką posłuszeństwa Bogu i Kościołowi. I chociaż tak wiele was różni, masz z nim coś wspólnego.

Opalona twarz Gorjaha wyraźnie pobladła, a na jego czołwie pojawiło się kilka kropelek potu, które nie miały jednak nic wspólnego z porannym upałem i wilgocią.

- Zapewniam cię, ojcze, że nigdy nie sprzymierzyłbym się z kimś, kto wypowiada posłuszeństwo Bogu. - Pokręcił głową w zdecydowany sposób. - Gdybym choć przez moment wierzył, że księżę Hek...

- Wybacz mi, wasza wysokość - przerwał mu ostrożnie Makgregair. - Nie miałem zamiaru sugerować, że ty albo ktokolwiek inny z Tarota jest winny tej sytuacji. Chyba powinienem zacząć od tego, że nie odpowiadasz za ustanowienie łączących was więzów. To twój ojciec podpisał traktaty z ojcem owego króla.

Gorjah otworzył szeroko usta, ale zamknął je bardzo szybko z dającym się słyszeć kłapinięciem. Makgregair nieomalże widział myśli kłębiące się teraz w głowie władcy, dlatego Czekał spokojnie, aż król Tarota upora się z nimi.

Nie trwało to zbyt długo. Gorjah wyprostował ramiona, jakby spadł z nich ogromny ciężar. Najwyraźniej obawiał się, że Rada Wikariuszy wysłała swojego przedstawiciela do Tranjryru, gdyż dowiedziała się o jego tajnych rokowaniach z Hektorem. Kanclerz miał w zwyczaju posyłać kościelnych dyplomatów, by odradzali świeckim władcom zawarcie traktatów nie pasujących ojcom Świątyni. Nie zdziwiłoby go więc, gdyby wikariusze mieli sporo zastrzeżeń do księcia Corisandu. Jego wygórowane ambicje w połączeniu z niewątpliwą sztuką manipulowania ludźmi mogły stanowić zagrożenie dla równowagi, którą Kościół starał się zachować, aby żaden z lokalnych władców nie wyrósł ponad innych.

Gorjah wiedział o tym równie dobrze jak Makgregair. Zdawał też sobie sprawę, że Świątynia nieraz popierała ambicje i chciwość świeckich władców, by użyć ich do rozprawienia się z kimś, kto załazł za skórę Radzie Wikariuszy. Skoro więc osobisty wysłannik kanclerza nie starał się zniechęcić Gorjaha do zawarcia układu z Hektorem...

- Z tego co powiedziałaś, ojcze - odezwał się król po chwili - wnoszę, że chodzi ci o Haarahlda z Charisu.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał Makgregair z ponurą miną.

- Przyznam, że... czuję się zaszokowany - stwierdził Gorjah, pocierając w zamyśleniu krótko przystrzyżoną brodę. - O ile wiem, Haarahld zawsze podchodził bardzo rozsądnie do przewagi, którą dawały mu bogactwo jego królestwa oraz flota. Wydawało mi się też, że z równą powagą traktuje swoje obowiązki wobec Boga i Kościoła. Zapewniam cię, że gdybym powziął najmniejsze chociaż podejrzenia co do tego ostatniego, natychmiast zerwałbym wszystkie traktaty łączące Tarot z Charisem.

- Wikariusz Zhamsyn lęka się, że pokusy doczesnej władzy w połączeniu ze źle pojmowanymi obowiązkami wobec własnego rodu mogły sprowadzić go na manowce. - Makgregair zaakcentował nieco mocniej słowo „ród” i natychmiast dostrzegł w oczach władcy, że ten pojął aluzję.

Ciekawe, pomyślał kapłan, skąd wikariusze czerpią pewność, gdzie przebiega granica między odpowiedzialnością króla za ziemie, którymi włada, a ambicjami własnego rodu. Nie była to myśl z rodzaju tych, które powinny pojawiać się w głowie kapłana, ale dyplomaci występujący w imieniu Kościoła Matki musieli zrozumieć tło spraw, jakie przychodziło im rozwiązywać. Makgregair rozumiał je doskonale, ale nie pozwolił, by nawet cień uśmiechu pojawił się na jego poważnej dotąd twarzy, gdy pokręcił głową z dezaprobatą.

- Dochodzą do nas niepokojące wieści z Charisu - mówił dalej. - Nie ulega wątpliwości, że Korona, choćby ze względu na ogromną odległość od Świątyni, zawsze stanowiła dla nas problem. Ale ostatni wysyp wynalazków budzi nasze przeżenie. Chociaż żaden z nich nie narusza Zakazów, zmiany pierwsze doprowadzą do kolejnych, jak powiada Pismo, i lada moment dojdzie do przekroczenia granic wyznaczonych przez Boga.

- Czy to oznacza, że Kościół Matka nalega na podjęcie stosownych działań? - zapytał nieśmiało Gorjah.

- Bez względu na to, jak bardzo Kościół Matka jest tym zaniepokojony bądź będzie w przyszłości - odparł Makgregair - musi zawsze pamiętać o ogromie odpowiedzialności spoczywającej na jego barkach i podejmować działania dopiero po wnikliwym rozważeniu wszystkich za i przeciw. Nie może też zapominać, że Świątynia jest rządzona przez zwykłych śmiertelników, a ci, jeśli nawet odziani są w pomarańcz, mogą być omylni. Z tego też powodu nie pochwycą miecza, dopóki nie stwierdzą ponad wszelką wątpliwość, że Boskie prawa zostały naruszone. Kościół Matka posiada tak wielką potęgę, że musi nad nią panować w sposób zdecydowany, ale i sprawiedliwy oraz zgodny z wolą Boga, dla tego też, zanim podejmie jakiegokolwiek działania, musi wiedzieć, czy granica pomiędzy światłem a ciemnością została naprawdę przekroczona. Nasze obawy dotyczą dzisiaj drogi, którą Charis obierze w przyszłości, zatem Kościół Matka nie może poczynić żadnych kroków w stosunku do Korony, jako że nie doszło jeszcze do naruszenia prawa.

- Rozumiem. - Gorjah usiadł nieco wygodniej na tronie.

Spoglądał na ojca Makgregaira, bezgłośnie bębniąc palcami po obitym materiałem podłokietniku. - Czy zatem, ojczu - odezwał się kilka sekund później - przybywasz, aby mnie ostrzec? Mówisz mi o obawach Kościoła Matki, abym nie podążył za Haarahldem, kiedy Charis przekroczy ostatnią granicę?

- To główny cel mojej wizyty u ciebie, wasza wysokość - przyznał Makgregair, znów gnąc kark w płytkim, ale i pełnym szacunku pokłonie. - Myślę, że kanclerz nie będzie miał do mnie pretensji, jeśli wyjawię ci, iż inni królowie i książęta otrzymają podobne... ostrzeżenia.

W oczach Gorjaha po tych słowach pojawił się znajomy błysk, na który kapłan natychmiast zareagował triumfalnym uśmiechem.

- Jestem naprawdę niepokieszony, dowiadując się, że władca i królestwo, z którymi jestem tak blisko związany, przysparzają pasterzom Pana kłopotów - stwierdził król. - Chociaż po tylu latach trwania w sojuszu ciężko mi sobie wyobrazić, że Haarahld mógłby się odwrócić od Boga. Ale dziękuję tobie, ojczu, i wikariuszowi Zhamsynowi za ostrzeżenie. Bez względu na to, jak bardzo jest przygnębiające, lepiej je otrzymać zawczasu. W świetle przedstawionych mi faktów będę musiał bardzo poważnie zrewidować swoje relacje z Charisem.

- Zrobisz, co nakaze ci odpowiedzialność wobec Boga i twojej ojczyzny - stwierdził z całą powagą Makgregair. - Jestem tylko posłańcem wikariusza Zhamsyna, zatem pouczenie cię w kwestii podjęcia stosownych działań bez wiedzy kanclerza byłoby z mojej strony wielkim nietaktem. Nie mniej chciałbym ci poradzić, ale zupełnie prywatnie, abys z niezwykłą ostrożnością podchodził od dzisiaj do stosunków z Charisem i zawartych z nim traktatów.

- Dziękuję za tak mądrą radę - odparł równie oficjalnym tonem Gorjah. - Przekaż, proszę, kanclerzowi, że jestem niezmiernie wdzięczny i że przemyślę z wielką uwagą wszystko, o czym mi dzisiaj powiedziałaś.

- Pewien jestem, że te słowa uradują duszę wikariusza Zhamsyna, wasza wysokość - stwierdził Makgregair, kłaniając się raz jeszcze. - Pozwolisz zatem, że się oddalę, skoro przekazałem ci już wolę kanclerza, byś mógł wrócić do niecierpiących zwłoki zajęć, od których cię oderwałem. Żegnaj, wasza wysokość.

- Zegnaj, ojcie. - Gorjah machnął prawą ręką na znak, że zezwala kapłanowi na odejście. - Dziękuję.

- Nie ma za co, wasza wysokość - wymamrotał Makgre- gair. wycofując się z komnaty z ugiętymi wciąż plecami.

II

Galeon Błogosławiony Langhorne, Morze Markoviańskie

D

obry wieczór, ekscelencjo.

- Dobry wieczór, kapitanie. - Arcybiskup Erayk Dyn- nys uśmiechnął się ciepło do Ellysa Braunynga, kapitana galeonu Błogosławiony Langhorne, chociaż wcale nie czuł się dobrze. Nie było w tym jednak żadnej winy dowódcy okrętu ani nawet pogody. Chociaż Morze Markoviańskie bywało okrutne i zdradzieckie jak każdy akwen Schronienia, zwłaszcza późną wiosną albo wczesnym latem, to z nimi obchodziło się podczas tej podróży dość łagodnie - przynajmniej do tej pory. Otaczające ich wody miały szafirową, połyskliwą barwę, a niebo odcień błękitu poznaczone tu i ówdzie białą chmur. Lekki północny wietrzyk uderzający w sterburtę Błogosławionego Langhorne'a nie był w stanie powstrzymać prążących promieni słońca, ale dawał odrobinę ochłody i orzeźwienia.

Niestety, Dynnys miał o wiele poważniejsze problemy na głowie.

Opuścił port w Zatoce Świątyni niemal miesiąc temu, wsiadłszy na pokład kurierskiego galeonu wikariusza Allay- na, gdy tylko zaczęły topnieć śniegi, otwierając na jakiś czas wąskie gardło Przesmyku Hsing-wu. Na pokładach jedno-stek kurierskich umieszczano zazwyczaj bardzo liczne załogi, aby zmiany przy wiosłach mogły być częstsze - a podróż szybsza - ale ich płytkie zanurzenie i lekkie kadłuby źle sprawowały się na otwartych wodach, więc arcybiskup kilka dni temu przesiadł się na wolniejszy, ale zarazem lepiej przystosowany do morskich wojaży żaglowiec. A to znaczyło, że od wylądowania w Tellesbergu dzieliło go jeszcze sześć pięciodni.

Oto kolejna z rzeczy, o których idioci pokroju Cahnyra nawet nie pomyślą, kiedy radzą mi, abym spędzał więcej czasu w Charisie, zrzędził w myślach. Żeby odbyć trwającą miesiąc wizytę duszpasterską, muszę kołatać się po świecie cztery razy dłużej! Pół roku zajmie mi ta wyprawa z Syjonu do Tellesbergu i z powrotem.

Na szczęście leżące wzdłuż wybrzeży przesmyku stacje semaforowe pozwalały mu na zachowanie łączności ze Świątynią, dopóki nie wypłynął na otwarte morze. Tyle tylko, że trudno było porównywać tę formę kontaktu z osobistym załatwianiem spraw.

Semaforowe wieści, ze swojej natury krótkie i zwięzłe, narażone były także na wiele zagrożeń, wystarczyło bowiem, by ktoś popełnił drobny błąd przy nadawaniu albo szyfrowaniu, i cała robota szła na nic.

Choć był pewien, że może polegać na ojcu Mahtaio Brou- nie, jeśli chodzi o odczytywanie najkrótszych nawet szyfrogramów i godne zastępowanie go na miejscu - o ile kapłan nie należący do episkopatu może zajmować się sprawami arcybiskupa - to jednak odczuwał pewien dyskomfort. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze wyszkolił swojego zastępcę, nie wątpił też w inteligencję i kompetencje Brouna. Ale nastawienie Rady wobec Charisu stawało się coraz bardziej podejrzliwe, jeśli nie otwarcie wrogie, istniało więc spore niebezpieczeństwo, że Grupa Czworka podejmie w końcu decyzję o rozpoczęciu otwartego konfliktu z Koroną, na czym jego własna pozycja w łonie Kościoła mogła mocno ucierpieć. Broun był tego świadom, jak wszyscy pozostali kapłani w Świątyni, co oznaczało, że któryś z przeciwników Dynnysa mógł wykorzystać moment i nakłonić go do zdrady.

Wspomniane właśnie sprawy powinny pomóc w zrozumieniu, dlaczego arcybiskup Erayk czuł się tak nieswojo pomimo powiewów orzeźwiającej bryzy i świeżego morskiego powietrza, stojąc na pokładzie oparty o wykończoną srebrem laskę z twardego drewna.

- Mniemam, że posiłek smakował ekscelencji? - zapytał Braunynng, a Dynnys z trudem ukrył mimowolny uśmiezek. Kapitan wyglądał na... skrępowanego. Najwidoczniej zdążył się już zorientować, że arcybiskupowi humor nie dopisuje, dlatego zdecydował się zabawić go rozmową. Zresztą kapitan galeonu należącego do Świątyni tak czy owak nie mógł zignorować hierarchy, kiedy ten zażywał spaceru po pokładzie tuż po sutym posiłku.

- Prawdę powiedziawszy, twój kucharz, kapitanie, sprawił się znakomicie - odparł Dynnys, litując się nad nim. - Ale muszę ci też wyznać, że nie nadawałbym się na żeglarza. Za bardzo brakuje mi w menu świeżych warzyw.

- Doceniam komplement waszej ekscelencji, za pozwoleniem przekażę go kucharzowi. A co do świeżych warzyw - Braunynng wzruszył ramionami, uśmiechając się uprzejmie - z całego serca popieram to twierdzenie. Po każdorazowym zawinięciu do portu razem z żoną udaję się do ulubionej restauracji, gdzie zamawiam największą sałatkę, jaką mają w karcie.

- Błagam, kapitanie! - Dynnys nieomal się roześmiał. - Nie prowokuj mnie do marzeń o chrupiącej sałacie!

- Proszę o wybaczenie, ekscelencjo. - Braunynng pochylił głowę w półukłonie, doceniając humor płynący ze słów arcybiskupa, potem wyprostował się szybko, a jego twarz znów spoważniała. - Jeśli wolno, wspomnę tylko, że dieta, którą dzięki archaniołowi Pasquale raczymy się podczas rejsów, chroni nas przed wszelkimi chorobami. - Dotknął palcami serca i ust, a Dynnys powtórzył ten gest. - Wolę nie myśleć, jak wyglądałaby moja załoga, gdyby nie te nauki.

- Święta racja, kapitanie - odparł arcybiskup zdecydowanym tonem. Prawa i diety archanioła Pasquale stanowiły pancierz dla tych, którzy, jak marynarze przebywający całe pięciodnie na otwartym morzu, nie mieli dostępu do świeżego pożywienia. A gdy dochodziło czasami do przypadkowego czy też celowego złamania tych praw, skutki bywały... oplakane. Dynnys pamiętał jeszcze przykład pewnego galeonu z Dohlaru, który podczas straszliwego sztormu stracił maszty, po tym jak porywiste wichry zapędziły go daleko na Południowy Ocean. Załoga zdołała jakimś cudem naprawić część takielunku i odnaleźć drogę do domu, ale ich statek płynął naprawdę powoli, a większość zapasów została zniszczona przez żywioł. Zanim zawinęli do portu na wyspie Westbreak, prawie dwie trzecie marynarzy pomarło na szkorbut tylko dlatego, że nie byli w stanie przestrzegać praw Pasquale.

Załoga tamtego okrętu wiedziała na szczęście, jak zdobyć słodką wodę. Łapano w podarte żagle każdą kroplę deszczówki, jaka spadała z nieba, i napełniano nią zbiorniki, które w odróżnieniu od skrzyń z jedzeniem pozostały nietknięte, zapewne dzięki wstawiennictwu Pasquale.

Dynnys pamiętał także o pewnym wydarzeniu z czasów nauki. Mimo iż jego przeznaczeniem był konkretny zakon, postanowił, że pozna, choćby pobieżnie, reguły rządzące pozostałymi zgromadzeniami. Tego dnia jeden z arcykapłanów zakonu Pasquale demonstrował adeptom, dlaczego zdaniem archanioła wodę na statkach lepiej trzymać w żelaznych kaskach niż tradycyjnych drewnianych beczkach. Te drugie były przecież o wiele tańsze, ale jeden rzut oka na zielonkawo cuchnący szlam, który pozostał na dnie po wylaniu wody, wystarczył, by młody Erayk zapamiętał tę lekcję do końca życia. Woda na pokładzie mogła mieć czasami metaliczny posmak, ale był gotów ją przełknąć bez najmniejszych obaw. Tak samo jak nie protestował, pijąc codzienną dawkę soku cytrynowego czy jedząc fasolę.

Jako arcybiskupowi przysługiwała mu oczywiście znacznie bogatsza dieta niż zwykłym żeglarzom. Jaja znoszone przez kury hodowane na pokładzie Błogosławionego Langhorne a trafiały najpierw na stół Dynnysa, w drugiej kolejności kuryków z jego orszaku, a dopiero na szarym końcu mogli je dostać oficerowie galeonu. Podoficerowie i marynarze nie nieli szans na posmakowanie jajka albo mięsa z kurczaka, dopóki statek nie zawinął do portu. Za zagrodą dla kur mieściła się też obórka, w której trzymano parę owieczek na specjalne okazje.

- Jak pan sądzi, kapitanie, kiedy dotrzemy do Tellesber- gu? - zapytał chwilę później Dynnys.

- Płyniemy szybciej, niż zakładaliśmy, ekscelencjo - odparł Braunynng. - O tej porze roku wiatry wieją niemal bez przerwy z północnego zachodu, jak choćby dzisiaj, dmąc nam prosto w żagle. Ta sytuacja zapewne ulegnie zmianie, gdy mi- niemy wyspę Młot i wpłyniemy na Kowadło, ale liczymy, że nadal powinny raczej nam sprzyjać, niż przeszkadzać. Gdyby- śmy mieli jeden z tych nowych szkunerów, o których tyle się teraz rozprawia, zapewne dotarlibyśmy do celu o wiele szyb- ciejszej, ale z tego co mówi nasz pierwszy, zawiniemy do Telles- bergu już za dwadzieścia cztery dni.

Dynnys powstrzymał cisnący mu się na twarz grymas złości, gdy usłyszał z ust Brownynga wzmiankę o nowych statkach. Kapitan najwyraźniej nie miał pojęcia o obiekcjach, jakie Kościół żywił wobec charisjańskich wynalazków, w in- nym wypadku pilnowałby się znacznie bardziej podczas roz- mów z arcybiskupem Tellesbergu.

Może to i lepiej, że nic nie wie, pomyślał Dynnys. Jest za- wodowym żeglarzem, więc może rzucić nieco inne światło na obawy Rady.

- Widział pan już, kapitanie, ten tak zwany „szkuner“?

- Widziałem, wasza ekscelencjo. - Oczy Brownynga roz- błysły, gdy sięgał ręką, by przytrzymać się relingu okalają- cego rufowy pokład. - Chciałbym zaznaczyć, że ja napraw- dę kocham Błogosławionego Langhornea. To dobry, solidny statek i do tej pory znakomicie się spisywał w służbie Świę- tyni. I chociaż wiem, że w Piśmie stoi jak wół, że zazdrość nie jest cnotą, to pozostaje mi tylko przyznać, że jestem zwy- kłym, grzesznym śmiertelnikiem. Kiedy ujrzałem, jak szku- tę* idzie ostro pod wiatr, a szedł pod znacznie mniejszym

kątem niż jakikolwiek statek do tej pory, zapragnąłem tylko jednego... - Potrząsnął głową i uśmiechnął się na to wspo- mnienie. - Każdy marynarz z krwi i soli oddałby wszystko, by móc służyć na takim cudeńku, ekscelencjo - zakończył prostymi słowami.

Dynnys kiwał głową powoli, uśmiechając się do kapitana, chociaż serce go bolało.

Wiadomości, które nadeszły od Ahdymysna natychmiast po ustabilizowaniu pogody, głosiły, że w Charisie pojawiło się znacznie więcej wynalazków i ulepszeń, niż wstępnie szaco- wano. Własne źródła Erayka w Świętyni i Syjonie sugerowa- ły, że dane pochodzące skądinąd - głównie od książąt Hektora i Nahrmahna - były celowo mocno przesadzone, ale kore- spondencji od Ahdymysna nie mógł przecież zlekceważyć. A ten wierzył, że szkunery, które tak bardzo przypadły do gustu kapitanowi Braunynngowi, są tylko wierzchołkiem góry lodowej.

- Wybacz mi, kapitanie - zwrócił się szarmancko do do- wódcy Błogosławionego Langhornea. - Jeśli pozwolisz, po- święcę teraz trochę czasu na rozważania podczas spaceru po wystawnym posiłku, który zafundował mi twój kucharz.

- Oczywiście, ekscelencjo. Zadbam o to, by nikt ci nie przeszkadzał.

- Dziękuję, kapitanie. Będę wdzięczny.

Dowódca zgiał się w pokłonie i wycofał, pozostawiając nawietrzną część wąskiego pokładu rufowego do dyspozycji arcybiskupa. Dynnys przybrał odpowiednio namaszczone wy- raz twarzy, poprawił lekką pelerynę, którą narzucił na su- tanę, i zaczął się przechadzać wolnym krokiem tam i z po- wrotem. Jego noga wciąż nie wydobrzała i chyba na zawsze zostanie pamiątką po tamtym niefortunnym upadku. Kuśty- kał jednak uparcie, opierając się mocniej na lasce, gdy trze- ba było niwelować przechyły kadłuba.

Zgodnie z przewidywaniami Braunynnga czekają go jesz- cze dwadzieścia cztery dni rejsu.

Czyli niemal całe pięć pię- ciodni. A kto wie, co wydarzy się w Świętyni - albo Telles- bergu

- gdy Błogosławiony Langhorne będzie przemierzał tysiące mil wodnego bezmiaru dzielącego Haven od Charisu.

Wspomniał spotkanie, na którym skierował dyskusję kolegów z sądu kościelnego na sprawę sukcesji hrabstwa Hanth, optując na rzecz Tahdayo Mahntayla. Wtedy wszystko wydało się takie proste. Normalna, rutynowa sprawa. Decyzja wydana w zamian za okazałe dary. Dzisiaj jednak jej skutki wydawały mu się znacznie poważniejsze. Wtedy był to po prostu kolejny krok w doskonale znanym politycznym tańcu wtajemniczonych członków Świątyni, dzisiaj Dynnys zaczął rozumieć, że przyszłość jego arcybiskupstwa jest bardziej krucha, niż przypuszczał w najgorszych koszmarach, i to za sprawą jego własnych czynków, gdyż te - wydając się najnormalniejsze w świecie i niegroźne - posłużyły ludziom pragnącym widzieć jego domenę rozbitą w pył.

Wrócił też myślami do zimowej rozmowy z wikariuszem Zahmsynem. Zaniepokojenie kanclerza było ewidentne, ale jego zapewnienia, że żadna decyzja jeszcze nie zapadła, uspokoiły najpoważniejsze obawy Dynnysa. Strach jednak powrócił ze zdwojoną siłą, gdy pojawiły się pierwsze oznaki wiosny, a lody w przesmyku zaczęły puszcząć. A o ostatniej, pożegnalnej rozmowie z Trynairem przed wyruszeniem do Tellesbergu można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że go uspokoiła. Słowa, które wikariusz wypowiedział, nie były straszne, znacznie gorsze było to, co przemilczał...

Dynnys nie miał już żadnych wątpliwości, że kanclerz - a kto wie, czy również nie reszta członków Grupy Czworoga - podejmuje działania, aby skończyć z zagrożeniem płynącym z Charisu. Jednakże żadne z jego źródeł nie potrafiło opisać, co to za „działania”, dlatego przemilczenie tych informacji przez Trynairem wprowadziło go w stan bliski przerażenia. Zatrzymał się na moment i zapatrzył w horyzont, choć jego oczy niczego nie rejestrowały. Starał się jak mógł, ale wymyślił zaledwie dwa rozwiązania pozwalające na zażegnanie nadchodzącej nieubłaganej burzy.

Pierwszym było pokazanie Radzie, że znów ma wszystko pod kontrolą, ale tego mógł dokonać, jedynie podejmując naprawdę drastyczne kroki w Koronie. Jeśli któryś z nowych wynalazków narusza treść Zakazów albo chociaż zbliża się nie-

[541]

[540]

bezpiecznie do ich granicy, a on odbierze mu licencję Kościoła, może przekonać Grupę Czworoga, że panuje nad sytuacją, i obejdzie się bez dodatkowej interwencji. Aczkolwiek wcale nie miał pewności, czy takie działania okażą się skuteczne.

Jeśli odrzucić pierwsze rozwiązanie, pozostanie mu wyłącznie przekonanie wikariuszy, że mylili się co do rozwoju sytuacji w Charisie. Jeśli zdoła przekonać hierarchów, że zareagowali zbyt nadpobudliwie, a raporty z Corisandu i Szmaragdu są więcej niż przesadzone, wtedy Rada wycofa się z prób atakowania Korony. Przecież wszyscy wiedzą, jak wielkie kwoty z dziesięciny Tellesbergu zasilają rokrocznie kiesę Kościoła. Wikariusze na pewno nie zechcą odciąć tak ważnego strumienia gotówki, jeśli podejrzania nie okażą się stuprocentowo pewne!

Miał taką nadzieję, gdyż wiedział, że jeśli Kościół Matka albo „tylko” Rada Wikariuszy, odgrywająca rolę świeckiego rządu Świątyni, uzna, iż Charis ma być unicestwiony, to królestwo zniknie z map świata. A gdy to się stanie, kariera arcybiskupa odpowiedzialnego za ortodoksyjność Kościoła Korony legnie w gruzach. Erayk Dynnys straci arcybiskupstwo, bogactwa, które zgromadził, i co najmniej dwie trzecie prestiżu, który z takim mozolem zdobywał w Świątyni, a przede wszystkim wszystkie łapówki Hektora będą niczym. Jak oni mogli mi to uczynić? - zapytał sam siebie w myślach. Od lat jestem ich arcybiskupem, dbam o nich, chronię przed Inkwizycją i tymi członkami Rady, którzy

nerwowo reagują na każdą zmianę. A oni jak mi odpłacają? Wprowadzając te cholerne wynalazki! Kierując się prosto na legowisko smoka, na dodatek ciągnąc mnie ze sobą, ponieważ są zbyt głupi, by ujrzeć, co naprawdę robią!

Spojrzał na pofalowane wody Morza Markoviańskiego i w głębi serca zapłakał nad niesprawiedliwością świata, w którym Bóg pozwala, by coś podobnego spotkało jego wiernego sługę.

III

Pałac królewski, Miasto Gorath, Królestwo Dohlaru

C

zym mogę ci służyć, ojcie Ahlbyrcie? - zapytał Samyl Cahkrayn, księżę Fernu, zwracając się do Harysa, gdy jeden z pałacowych lokai wprowadził młodego kleryka do jego prywatnych apartamentów.

- Po pierwsze, pozwól, wasza łaskawość, że podziękuję ci za umożliwienie tego spotkania - odparł ksiądz. - Wiem, jak bardzo musisz być zajęty, pełniąc rolę pierwszego doradcy królestwa, a ja jestem zaledwie prostym kapłanem. - Uśmiechnął się czarująco. - Uwierź mi, wiem doskonale, jak małą rybką mnie to czyni.

- Nonsens, ojcie! - Książe Fernu odpowiedział mu uśmiechem, tyle że jeszcze szerszym. - Służysz Radzie Wikariuszy, a twoje listy uwierzytelniające zostały podpisane przez samego kanclerza. To czyni z ciebie większą rybę, niż przypuszczasz.

- Miło z twojej strony, że tak uważasz, wasza łaskawość - powiedział Harys. Prawdę powiedziawszy, obaj wiedzieli równie dobrze, że jest naprawdę grubą rybą. Ale obaj też znali zasady tej gry, w której młody wiek kapłana mógł oznaczać wyłącznie nieoficjalny status grubej ryby. Z nich dwóch tylko Harys wiedział, dlaczego jest to istotne w tej chwili.

- Z listu kanclerza wynika, ojcie, że przybywasz, aby omówić pewną dyplomatyczną kwestię delikatnej natury.

- Właściwie, wasza łaskawość, napisano w nim, że mam ci służyć radą. Wikariusz Zahmsyn żywi obawę co do pewnych wydarzeń, które rzecz jasna nie miały miejsca w Dohlarze, ale... mogą zagrozić realizacji Boskiego planu, otrzymałem więc instrukcję, aby podzielić się z tobą jego niepokojami.

Fern słuchał z wyniosłym uśmiechem, który zniknął z jego twarzy, gdy Harys wypowiedział ostatnie słowa. Książe poruszył się nerwowo na tronie.

- To zabrzmiało bardzo groźnie, ojcie - powiedział ostrożnie po chwili ciszy, która zapadła, gdy kapłan zamilkł.

- Istnieje możliwość, że obawy kanclerza są przedwczesne - zapewnił go Harys idealnie wyważonym tonem. - Ja także nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach, więc mogłem nie zrozumieć do końca powodów jego niepokojów albo też zareagowałem zbyt przesadnie na jego słowa wypowiedziane podczas odprawy przed podróżą.

- Każdemu może się to zdarzyć - mruknął Fern, ale jego nieustępliwy wzrok powiedział Harysowi, że wie, o co chodzi. Pojął od razu, że dwa ostatnie zdania kapłana były dyplomatycznym kamuflażem, nawet jeśli nie domyślał się, w jakim celu został użyty.

- Skoro już to sobie wyjaśniliśmy - ciągnął tymczasem Harys - mogę powiedzieć, że ostatnimi czasy dociera do nas coraz więcej raportów o niepokojących przemianach i inicjatywach, jakie dokonują się w Charisie. Oczywiście na tak wczesnym etapie nie ma jeszcze dowodów na złamanie jakichkolwiek Zakazów. Gdyby było inaczej, Kościół Matka i Inkwizycja podjęłyby natychmiastowe i zdecydowane działania. Niemniej nasze zaniepokojenie ciągle wzrasta, ponieważ kolejne wynalazki coraz mocniej popychają Charisjan ku nieprzekraczalnej granicy.

- Rozumiem - powiedział Fern, chociaż gołym okiem było widać, że niczego nie pojmuje, przynajmniej na razie.

- Kościół Matka nie może przedsięwziąć konkretnych kroków na podstawie zwykłych podejrzeń - ciągnął kapłan. - Taka jest bowiem nasza fundamentalna zasada, którą jak za pewne dobrze wiesz, ustanowiliśmy już bardzo dawno temu. Ale to, co wiąże Kościół Matkę w duchowym sensie, jako namaszczonego strażnika Boskiego planu, nie jest już tak restrykcyjne, gdy chodzi o działania jego hierarchów na bardziej świeckich polach. - Fern skinął głową w milczeniu, tym razem z nieco większym zrozumieniem. - Co oznacza - dodał szybko Harys, aby książę na pewno zrozumiał sens tego przekazu - że przybywam do ciebie nie jako posłaniec kanclerza Rady Wikariuszy Zahmsyna, ale przedstawiciel Ryce" rzy Ziemi Świątynnych, którzy szukają sposobu na załatwienie tej sprawy świeckimi kanałami. Oni także zasiadają w Radzie Wikariuszy, zatem istnieje pewna wspólnota ich władzy nad światem doczesnym a kościelną odpowiedzialnością za zbawienie dusz wszystkich wiernych. Problem w tym, że ograniczenia narzucone Kościołowi Matce nie mogą być ignorowane ot, tak sobie przez jego sługi bez względu na to, czy działają w jego duchowym czy też doczesnym imieniu.

- Zdaje się, że wikariusze muszą mieć spory problem z pogodzeniem obu tych, jakże nielekkich ról - zauważył książę Fernu. - Moje obowiązki, jako doradcy króla Rahnylda, są za ledwie cieniem ciężaru, który spoczywa na ich barkach. A mimo to bardzo często czuję się rozdarty, gdy wybieram pomiędzy sprzecznymi zobowiązaniami, co w przypadku osoby tak znacznej jak kanclerz musi być zaprawdę deprymujące. Z jednej strony posiada on wszystkie atrybuty świeckiego władcy, ale z drugiej musi zachowywać nieustanną czujność, by nie ulec w najmniejszym nawet stopniu złym podszeptom, albowiem odpowiada w jeszcze większym stopniu przed Bogiem i Kościołem Matką.

- To niestety prawda, wasza łaskawość - odparł Harys, uśmiechając się blade. - A w przypadku Charisu sprawy komplikuje dodatkowo to, że ani Kościół Matka, ani Ziemia Świątynne nie dysponują odpowiednio wielką siłą na morzu. A poczynienie zdecydowanych kroków może być konieczne, chociaż ani Kościół Matka, ani Ziemia Świątynne tego nie chcą.

- Czy kanclerz uważa takie rozwiązanie za prawdopodobne? - zapytał książę Fernu spokojnym, bardzo zatroskanym tonem, ale jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki.

- Raz jeszcze pragnę odwołać się do mojej młodości i braku doświadczenia, wasza łaskawość. Być może odczytuję więcej ze słów kanclerza, niż w nich faktycznie było. Aczkolwiek, w moim rozumieniu, jego ekscelencja obawia się, iż taki dzień może naprawdę nadejść. Nie umiem jednak określić, jakie jest tego prawdopodobieństwo. Niemniej pozycja kanclerza wymaga, by był przygotowany na sytuację, w której wydarzenia przez nas omawiane stałyby się faktem, mimo iż gorąco się modli każdego dnia, aby do nich nie doszło. Stąd też moja wizyta w Gorath.

- Doprawdy? - Fern spojrzał na niego krzywo.

- Wasza łaskawość, Dohlar posiada silną flotę, której brakuje Ziemiom Świątynnym - odparł szczerze Harys. - Co więcej, pomijając już aspekty zdobyczy, jakie przypadłyby w udziale twojemu królestwu, pragnę zwrócić uwagę na fakt, iż potęga morską Charisu stanowi bezpośrednie zagrożenie dla pozycji Dohlaru i jego aspiracji. W świetle tych racji, kanclerz prosił mnie, abym wskazał na fakt, że zarówno Dohlar, jak i Ziemia Świątynne mają wspólny cel. Chociaż obawy wikariusza są raczej kościelnej natury, zauważa on, że rozwijająca się wciąż potęga Charisu może zagrozić przyszłości twojej domeny. Podstawowym celem mojej misji jest ostrzeżenie cię przed narastającym niepokojem... i zapewnienie, że zarówno on, jak i Kościół Matka rozumie wszelkie zastrzeżenia co do Charisu, jakie dzielicie z królem Rahnyldem.

Teraz oczy księcia zrobiły się naprawdę wąskie.

- I kanclerz zamierza podjąć stosowne działania, jeśli sytuacja zmusi go do tego? - zapytał.

- Jak już wspomniałem, wasza łaskawość, wikariusz Zahmsyn nie ma pod swoimi rozkazami floty, chociaż bardziej prawdziwe byłoby stwierdzenie, że nie dysponuje siłami potrzebnymi do rozwiązania tego problemu. Ziemie Świątynne nie mają też czasu na rozbudowanie swojej floty, aczkolwiek - tu Harys spojrzął prosto w oczy księcia - skarbiec Świątyni jest przeogromny. Jeśli więc przyjdzie taki dzień, gdy trzeba będzie wyruszyć w bój, kanclerz i wielki wikariusz uznają konieczność wsparcia przez Świątynię każdego króla i księcia, którzy pochwycą za miecz, by bronić Boskiego planu. W komnacie przez kilka sekund panowała całkowita cisza, potem książę Fernu powoli skinął głową.

- Dziękuję ci za przedstawienie mi tej sprawy, ojcze. Zapewniam cię, że natychmiast powiadomię mojego króla o wszystkich obawach dręczących kanclerza oraz przedstawię mu twoją analizę... ograniczeń, które zmuszają go do takiego ich wyrażania. I chociaż nie mogę dzisiaj wypowiedzieć się w imieniu naszego władcy, jestem pewien, że każe mi poinformować urząd kanclerski o tym, iż jako lojalny syn Kościoła Matki stanie, jak zawsze, w jego obronie.

- Widzę, że opowieści nie przesadzają, mówiąc o twoim bezgranicznym oddaniu sprawie wiary. - Harys raz jeszcze się pokłonił. - Przekażę twoje słowa kanclerzowi. Będę cię też informował - podniósł głowę, by spojrzeć księciu prosto w oczy - o wszystkim, czego się od niego dowiem.

SIERPIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 891

I

Pałac arcybiskupi, Tellesberg

E

kscelencjo. - Biskup egzekutor Zherald Ahdymysyn pokłonił się i ucałował pierścień arcybiskupa Dynnysa, gdy ten wstąpił w progi swojego pałacu. Chociaż była to oficjalna siedziba Erayka, to właśnie Ahdymysyn mieszkał w niej na stałe i dlatego czuł się niezręcznie, gdy jego przełożony wpadał z krótką wizytą. Jak zawsze witał Dynnysa w holu, stojąc na środku rozległej marmurowej posadzki ułożonej w czarno-białą szachownicę, lśniąca teraz w blasku promieni słonecznych docierających do wnętrza budowli przez strzeżone, głęboko osadzone okna. - Witaj w Tellesbergu - dodał, prostując kark.

- Dzięki ci, Zheraldzie - odparł Erayk, uśmiechając się cierpko. - Cieszy mnie to powitanie, aczkolwiek nie ukrywam, że wolałbym być teraz w Syjonie.

- To zrozumiałe, kscelencjo. - Ahdymysyn odpowiedział przełożonemu podobnym uśmiechem, chociaż wciąż odczuwał szok, widząc Dynnysa w takim stanie. I nie chodziło bynajmniej o łaskę, którą się podpierał, by odciążać uszkodzone prawe biodro. Tego się spodziewał - czytał bowiem raporty o wypadku arcybiskupa. Całkowitym zaskoczeniem była dla niego bardzo głęboka, pionowa bruzda dzieląca czoło Erayka na dwoje. No i ten wyraz zmartwienia widoczny w jego oczach.

- Mamy wiele spraw do omówienia - stwierdził Dynnys, oglądając się przez ramię na towarzyszących mu kleryków,

którzy stali za nim dyskretnie w pobliżu drzwi. Ahdymysyn rozpoznawał większość z nich, choć kilka twarzy było nowych. Jak zawsze zresztą.

Zaskoczyła go również, ale tylko na moment, nieobecność Mahtai Brouna. Kleryk ten piął się z wolna po kolejnych szczeblach kariery w kancelarii arcybiskupa, więc pozostawienie go podczas nieobecności zwierzchnika na straży interesów w Świątyni wydało mu się logicznym wytłumaczeniem. Ahdymysyn spojrzął ciekawie w stronę jednego z nowych, chłopak wystąpił właśnie z szeregu, przywołany gestem dłoni Dynnysa.

- Zheraldzie, oto ojciec Symyn Shumakyr, mój nowy sekretarz. Symynie, oto biskup Zherald.

- To dla mnie zaszczyt, ekscelencjo - wymamrotał Shumakyr, pochylając się, by ucałować pierścień.
- Witaj w Tellesbergu - powtórzył kwestię Ahdymysyn. Chłopak był bardzo przystojny, nosił habit zakonu Langhorne'a z białą koroną sekretarskiego stanu na rękawie. Oczy miał jasne i czujne, a po prezentacji cofnął się na właściwą pozycję, stając po lewicy szefa. Na pierwszy rzut oka wydawał się odpowiednim następcą Brouna.
- Sądzę, że po tak wielkich trudach podróży wasza ekscelencja marzy o kąpieli i chwili odpoczynku - stwierdził biskup egzekutor, odwracając się ponownie do Dynnysa.
- Żebyś wiedział - przyznał arcybiskup. - Ale tak się składa, że przez ten niefortunny wypadek zbyt długo nie byłem w Charisie. - Spojrzał ostro na Ahdymysyna. - I dlatego pragnę od razu zasiąść do pracy, aby jak najszybciej odrobić stracony czas. Myślę jednak, że możemy najpierw porozkoszować się chwilą spokoju. Zjedzmy smaczny posiłek, w czasie którego przedstawię ci w skrócie wszystkie sprawy dotyczące arcybiskupstwa.
- Oczywiście, ekscelencjo. - Ahdymysyn wcale nie był zaskoczony takim obrotem sprawy. Niepokój widoczny w oczach przełożonego i język ciała zdradzały jego ogromną niecierpliwość. Wskazał na sługę w liberii. - Hauwyrd odprowadzi cię, ekscelencjo, do twoich komnat, abyś mógł się odświeżyć przed spożyciem posiłku. W tym czasie zadbam o resztę twojego orszaku.
- Dziękuję, Zheraldzie. - Dynnys obdarzył swojego zastępcę szczerym uśmiechem wdzięczności. - To znakomity pomysł.

- Mimo iż wciąż wzbudza mój niepokój ten wysyp nowych wynalazków, ojciec Paityr zapewnia, że nie ma żadnych powodów na pogwałcenie któregoś z Zakazów.
- Tyle to wiem z twoich wiadomości. No i oczywiście z raportów młodego Wylsyna - odparł Dynnys. Rozsiadł się w wygodnym fotelu za biurkiem w gabinecie przeznaczonym wyłącznie do jego użytku podczas rzadkich wizyt w arcybiskupstwie. Ahdymysyn zasiadł naprzeciw niego na krześle, a ojciec Symyn zajął miejsce za stojącym z boku sekretarzem. Dzierżąc pióro, cały czas coś notował.
- Podobnie jak ty, odczuwam wielkie zaniepokojenie na myśl o pojawieniu się tych... wynalazków - ciągnął Erayk. - Dlatego poprosiłem ojca Paityra o zrewidowanie jego wcześniejszych osądów... - Przerwał, skrzywił się i spojrzał na sekretarza. - Wydaje mi się, Symynie, że dalszy ciąg tej rozmowy odbędziemy bez stenografowania - dodał.
- Oczywiście, ekscelencjo - wymamrotał Shumakyr, odkładając pióro.
- Będę z tobą absolutnie szczery, Zheraldzie - zaczął arcybiskup. - Nie jestem jedyną osobą w Świątyni ani Syjonie, którą niepokoją raporty napływające z Charisu. Sam kanclerz niejednokrotnie wyrażał swoje obawy... - przerwał, a Ahdymysyn przytaknął ledwie zauważalnie. Arcybiskup nie musiał dodawać, że opinię wyrażoną przez wikariusza Zahmsyna podzielała cała Grupa Czworoga. - Odnoszę wrażenie, że jego obawy koncentrują się wokół projektów statków, maszyn przedziałniczych i nowych sposobów liczenia - ciągnął dynnys po chwili wymownego milczenia - dlatego chciałbym zdjąć mu to z głowy. Musimy przekonać kanclerza, że jesteśmy świadomi ciężkości na nas obowiązków, zarówno wobec Rady, jak i Boga. Musimy mu udowodnić, że podchodzimy do nich z niezwykłą czujnością i przezornością. Musimy wreszcie pokazać, że jesteśmy zdeterminowani, co wyrazi się kontynuowaniem badań i odbieraniem kościelnych certyfikatów tym wynalazkom i procesom, które wydadzą nam się podejrzane, uznając tym samym poprzednie orzeczenia za błędne.
- Oczywiście, ekscelencjo - zapewnił go Ahdymysyn.
- Dziękuję. - Arcybiskup skinął głową na Shumakyrę, a ten natychmiast pochwycił pióro i spojrzał w stronę biskupa egzekutora.

- Kontynuuj, Zheraldzie.
 - Oczywiście, ekscelencjo. - Ahdymysyn odchrząknął. - Jakiś czas temu zwróciłem uwagę na kilka mało istotnych przypadków odstępstw od jedynie słusznej interpretacji Piśma, dokonywanych przez miejscowe duchowieństwo - zaczął ostrożnie. - Chociaż nie było wśród nich niczego, co sugerowałoby złamanie Zakazów, ani innych poważnych naruszeń treści Pisma, myślę, że powinieneś, ekscelencjo, porozmawiać o tej sprawie z naszymi księżmi i biskupami. - Oczy Dynnysa zwięzły się lekko, ale Ahdymysyn ciągnął spokojnie, jakby tego nie zauważył. - To były tylko niewiele znaczące odstępstwa, w sumie nic poważnego, więc oddaliłem je bez głębszej analizy. Ale teraz, gdy pojawiłeś się osobiście w Charisie, czuję, że nasi bracia w wierze byłiby wdzięczni, gdybyś zechciał wyjawić im swój punkt widzenia i przekazać duszpasterskie rady.
 - Masz rację - przyznał Erayk po chwili. - Wpisz to spotkanie w mój harmonogram zajęć. A co sądzisz o tym, żebym najpierw porozmawiał na osobności z biskupem Maikalem?
 - Myślę, ekscelencjo, że byłoby to nie tylko rozważne, ale i dobrze widziane - odparł Ahdymysyn, pochylając głowę.
 - W takim razie zajmij się także tą sprawą.
 - Oczywiście, ekscelencjo.
- Biskup egzekutor raz jeszcze odchrząknął.
- Znacznie lepiej wygląda sprawa danin wpływających do arcybiskupstwa - oświadczył weselszym tonem. - Nie twierdzę, że tym razem obeszło się bez zwyczajowego zrzędenia czy błagań o zmniejszenie należności, bo to nieodłączna część rytuału. Przychyliłem się do kilku z nich, za twoim pozwoleniem, rzecz jasna. Majątki kościelne, dwory, nie wspominając już o klasztorach i zgromadzeniach, są w znakomitym stanie. Mam wprawdzie parę uwag do zarządców kilku posiadłości na Ziemi Margaret, ale to tylko nic nie znaczące uchybienia. Natomiast...
- Ekscelencjo.
- Ojciec Paityr Wylsynn przemierzył spory, luksusowo wyposażony gabinet Erayka sprężystym, szybkim krokiem. Przyklęknął przed arcybiskupem i pochylił głowę, aby ucałować jego pierścień. Pozostał w tej pozycji, dopóki gospodarz nie dotknął lekko jego ramienia.
- Wstań, ojcze - poprosił arcybiskup i Wylsynn posłuchał. Ukrył dłonie w luźnych rękawach sutanny i czekał w milczeniu, z wyrazem szacunku i atencji na twarzy, podczas gdy Dynnys uważnie mu się przyglądał. Wykapany Wylsynn, uznał w końcu arcybiskup. Ma taki sam, wielgachny nochal i tak znajome, masywne - niektórzy powiedzieliby nawet: końskie - wargi. W tym chłopaku było jednak coś jeszcze. Coś, co kryło się w jego szarych oczach... a może w ułożeniu ramion. Nie chodziło o wyzywającą pozę czy o brak szacunku. Prawdę powiedziawszy, sprawiał raczej wrażenie w pełni... rozluźnionego. Cokolwiek to było, nie dawało Dynnysowi spokoju, dlatego uśmiechnął się znacznie szerzej niż zazwyczaj, by zamażkować to uczucie.
 - Doceniam szybkość, z jaką zareagowałeś, ojcze, na moją prośbę o ponowne przemyślenie wniosków dotyczących nowych technologii i urzędzeń, które pojawiły się w Charisie na przestrzeni ostatniego roku.
 - A mnie cieszy, że byłem w stanie sprostać twoim wygórowanym wymaganiom, ekscelencjo.
 - Tak. Cóż... - Dynnys odwrócił się i pokuśtykał na drugą stronę biurka, aby zasiąść w wygodnym fotelu. - Chwalę cię za niezwykle szybką reakcję, ale z drugiej strony zastanawiam się, czy aby nie naciskałem cię zbyt mocno. Jesteś absolutnie pewien, że miałeś wystarczający czas na dokładne przemyślenie wszystkiego?

Spoglądał twardo w oczy młodego arcykapłana. Każdy kleryk zasiadający na podobnym stanowisku w Świątyni od razu pojałby aluzję. Wylsynn jednak spojrzał tylko na arcybiskupa, a potem skinął głową.

- Tak, ekscelencjo, miałem. Dziękuję.

- Zatem podtrzymujesz poprzednią decyzję, że nie mamy do czynienia z żadnymi naruszeniami? Kościół nie musi wyśtosowywać żadnych napomnień? Cofać wydanych certyfikatów? - zapytał Erayk.

- Tak, ekscelencjo.

- Rozumiem.

Dynnys spoglądał na stojącego przed nim rudowłosego namiestnika, czując narastającą frustrację. Przecież ten szczeniak nie może być aż tak ślepy na polityczne realia Kościoła, myślał. Najwyraźniej jednak jego stoicki spokój był tarczą, której argumenty arcybiskupa nie potrafiły przebić.

Grupa Czworoga żądała dowodów na jego zaangażowanie w sprawę i podporządkowania Charisu na tyle, by nie trzeba było podejmować dodatkowych działań. Gdyby zażądał cofnięcia kilku certyfikatów, a Korona przyjąłaby jego decyzję bez oporów - był przekonany, że do tego by doszło - zyskałby niepodważalny dowód na to, że sytuacja została opanowana. Jeśli jednak Wylsynn nie umożliwi mu rozpoczęcia tego procesu, nie będzie mógł niczego uczynić.

Gdyby miał do czynienia z innym człowiekiem, po prostu kazałby mu anulować poprzednie zezwolenia, aby zyskać to, czego potrzebował. Lecz w przypadku Wylsynna takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Poza tym, gdy Dynnys prze-myślał sobie wszystko raz jeszcze, przestał być pewien, czy naprawdę pragnie, aby Namiestnik odrzucił któryś z charijskich wynalazków.

Teraz, kiedy ten uparty sukinsyn nie chce ustąpić nawet na krok, nie pozostaje mi nic innego, niż robić dobrą minę do złej gry, pomyślał. Z drugiej jednak strony, dopóki Wylsynn będzie bronił swojego zdania, a to w jego przypadku było więcej niż pewne, nawet Clyntahn może mieć spore problemy z udowodnieniem Charisowi udziału w jakiegokolwiek herezji. A jeśli i ja wzmocnię ten przekaz raportem mówiącym, że „tutaj nie dzieje się nic złego”...

- W takim razie uważam ten temat za zamknięty - podsumował moment później, ale już na głos. - Powiedz mi za to, co sądzisz o człowieku zwanym Merlinem Athrawesem? Czytałem twój raport, ale jak zapewne wiesz, słowo pisane nie jest w stanie oddać wszystkich niuansów osobowości.

- Oczywiście, ekscelencjo - odparł Wylsynn, gdy Dynnys zamilkł z wyczekująco uniesioną brwią. - Zgodnie z tym, co napisałem w raporcie, o którym właśnie wspomniałeś, osobiście przesłuchałem porucznika Athrawesa. Mimo iż nie otrzymałem od ciebie takiego polecenia, krążące o nim plotki sprawiły, że postanowiłem mu się przyjrzeć dokładniej. Oczywiście miałem świadomość, że ludzie zaczną wygadywać na jego temat niestworzone rzeczy, co było całkiem zrozumiałe, zważywszy na to, jaką rolę odegrał w ocaleniu następcy tronu oraz udaremnieniu spisku księcia Tirianu. Właśnie z powodu tych plotek podniosłem podczas przesłuchania kwestię tego, czy naprawdę jest seijinem. Odpowiedział mi, że w rezultacie wieloletnich nauk posiadał kilka zdolności przypisywanych tym świętym mężom. Nie musiał przy tym wspominać, że należą do nich legendarne umiejętności walki wręcz, w tym wypadku jego czyny mówiły same za siebie. Natomiast dodał na koniec, że nie uzurpuje sobie prawa do tego tytułu. - Wylsynn wzruszył ramionami. - Z moich badań wynika, że tylko kilku sejinów spośród tych, którzy ponad wszelką wątpliwość potwierdzili przynależność do świętych mężów, było określanych tym mianem. Zazwyczaj zyskiwali ten przywilej dopiero po śmierci. Mając w pamięci te fakty, przypuszczam, że porucznik Athrawes naprawdę może należeć do kasty sejinów i tak będzie postrzegany w przyszłości, na co wskazują wszystkie jego dotychczasowe uczynki.

- A ta sprawa z uratowaniem dzieci przed krakenami? - naciskał Dynnys.

- W mojej ocenie, ekscelencjo, dzieci wpadły w zrozumiałą histerię i mocno przesadzały, opisując to zdarzenie. Wiemy tylko, że władze portu zdołały wyłowić krakena zabitego harpunem. Pozostałych nigdy nie odnaleziono, a według zeznań księcia Cayleba, który jest przecież doświadczonym oficerem marynarki wojennej, dzieciaki znajdowały się znacznie bliżej przystani, niż mówią. Rzeczywiście wygląda na to, że łódź znajdowała się w zasięgu niezwykle celnego rzutu harpunem porucznika Athrawesa. To by zresztą pasowało do jego niesamowitych osiągnięć w sztukach walki. Po trafieniu bestii wskoczył do wody i podpłynął do łodzi, obok której wciąż krążył ranny kraken. Potwór szukał zdobyczy, dopóki nie zdechł. Obecność porucznika odstraszyła konaącego krakena, chociaż on sam koncentrował się raczej na wyciąganiu dzieci z wody, aby znalazły schronienie na przewróconej łodzi, gdzie macki bestii nie mogły ich już sięgnąć. Wątpię, aby nawet seijin był w stanie cisnąć ciężkim harpunem na odległość stu pięćdziesięciu jardów, potem przepłynąć ten sam dystans w mgnieniu oka, aby zadusić gołymi rękami trzy z czterech krakenów! Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z klasycznym efektem kuli śnieżnej. Porucznik Athrawes, cokolwiek o nim mówić, pojawia się zawsze w nader dramatycznych okolicznościach. Nic więc dziwnego, że niedoinformowani ludzie przypisują mu w plotkach nadnaturalne zdolności.

- Zatem przychylasz się, ojcze, do opinii, że to tylko „plotki rozsiewane przez niedoinformowanych ludzi”?

- Może nie w całości, ale w sporej części na pewno, ekscelencjo.

- A jaki jest jego cel? - zapytał Dynnys, znów przytykając lekko oczy.

- Wydaje mi się, że przybył, aby zaoferować rodowi Ahi" mahków swoje usługi jako wojownika, niesamowitego, ale mimo wszystko tylko wojownika. Wydaje mi się, że on... po-dziwiał króla Haarahlda i wykazuje silną więź z księciem Caylebem.

- I nie masz żadnych dowodów na jego... głębsze zaangażowanie? - naciskał Erayk.

- Żadnych, ekscelencjo - oświadczył stanowczo Wylsynn. - Domyślam się jednak, że powstało całkiem sporo raportów i plotek na temat jego złych zamiarów. Część z nich mogła też dotrzeć do Świątyni. Zważywszy jednak na zaufanie, jakim obdarzyli go Haarahld i Cayleb, można domniemywać, że wielu zawistników rozsiewa te plotki z czystej złośliwości, nie mając podstaw do głoszenia podobnych sądów. Prawdę powiedziawszy, porucznik Athrawes nie wydaje mi się człowiekiem nadmiernie ambitnym. Miał doskonałą okazję, aby zając eksponowane stanowisko w gwardii królewskiej, a wątpię, by odmówił awansu i bogactwa, gdyby mu je zaproponowano. Na podstawie osobistej rozmowy odbytej z nim oraz królem Haarahldem i księciem Caylebem mogę za to stwierdzić z całą pewnością, że nic złego nie kryje się za jego czynami. W mojej opinii, a rozważyłem wszystko dokładnie, człowiek ten wykazuje głęboki szacunek dla Boga i z pewnością nie pomyślałby nawet o przeciwstawianiu się Jego woli.

Dynnys zmrużył oczy. To w niczym mu nie pomoże. W głosie Wylsynna pobrzmiwała tak wielka pewność, jakby sam Bóg podszeptował te słowa młodemu arcykapłanowi. Mógł się mylić, ale nie było sposobu, by Dynnys odwiódł go od przekonania o wartości porucznika Athrawesa.

Prawdę powiedziawszy, pomyślał skwaszony arcybiskup, jeśli ktoś taki jak Wylsynn gotów jest ręczyć za niego swoim słowem, kim jesteśmy my, zwykli śmiertelnicy, żeby podważać jego decyzję?

~ Rozumiem — powiedział po chwili. - Cóż, ojcze, dzisiaj-szego ranka udało ci się rozwiać kilka dręczących mnie obaw. Doceniam to, podobnie jak twoje oddanie i poświęcenie, z jakim wyjaśniłeś te sprawy.

- Ciesz się mnie to, ekscelencjo. Jeśli zażyczysz sobie mo- JeJ pomocy w rozwiązywaniu kolejnych problemów, na jakie trafisz podczas tej wizyty duszpasterskiej, wystarczy, że podesz po mnie, a na pewno przybędę.

- Oczywiście, ojciec. - Dynnys wstał, wyciągnął rękę p0. nad biurkiem, a Wylsynn pochylił się, aby raz jeszcze ucałować pierścień. - Błogosławię ci na drogę, ojciec.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparł Wylsynn.

Dynnys usiadł, gdy tylko młody kapłan opuścił komnatę, zamykając za sobą po cichu drzwi. Arcybiskup spoglądał w ich stronę jeszcze przez kilka sekund, potem odwrócił się do ojca Symyna.

- Jaki mamy następny punkt programu?

- Znakomita brandy, Zheraldzie - powtórzył arcybiskup Erayk, podsuwając pod nos pękaty, zwężony u góry kieliszek, aby napawać się aromatem alkoholu.

- Tak, to prawda - zgodził się Ahdymysyn. - Otrzymałem ją w darze od przeora klasztoru Świętego Trevyra. - Uśmiechnął się przelotnie. - Ale nie zapytałem, skąd pochodzi.

- I dobrze zrobiłeś - pochwalił Dynnys, śmiejąc się i oglądając przez ramię. - Wydaje mi się, że masz już dość pracy na dzisiaj, Symynie - odezwał się do sekretarza. - Odłóż pióro i naley sobie szklaneczkę.

- Skoro wasza ekscelencja nalega. Ale mogę nadal notować — odparł kleryk.

- Daj spokój! - Erayk pokręcił głową. - Jeśli chcesz notować, twoja sprawa, ja już na dzisiaj skończyłem oficjalne rozmowy.

- Oczywiście, ekscelencjo.

Sekretarz oczyścił dokładnie pióro i odłożył je na blat, następnie zatkał kałamarz i poukładał papiery z równie wielką starannością, zanim pozwolił sobie na zamknięcie sekretarzyka. Dopiero wówczas podszedł do stolika, by zgodnie z poleceniem biskupa nalać sobie kieliszek brandy.

Słońce właśnie zniknęło za horyzontem na wprost okna ga* binetu Dynnysa. Arcybiskup przebywał w Tellesbergu już od osiemnastu dni, a każdy z nich był cięższy od poprzedniego, jsfawet Ahdymysyn musiał przyznać, że Erayk przystąpił do załatwiania spraw z energicznością, o jaką nigdy by go nie podejrzewał.

- Muszę przyznać - stwierdził arcybiskup chwilę później, układając stopy na obijanej otomanie - że na kilku frontach zrobiło się spokojniej. Co jednak nie oznacza - tu spojrzął wymownie na Ahdymysyna - że nie muszę się martwić o pozostałe.

- Czyż to nie jest u nas regułą, ekscelencjo? - Biskup egzekutor pozwolił sobie na nieśmiały uśmiešek.

- Tak. To prawda - westchnął Dynnys.

Przez moment wyglądał na o wiele starszego - wycieńczyły go nie tylko troski, ale i niesamowite tempo, jakie narzucał sobie i innym od trzech i pół pięciodnia. Ahdymysyn, ku swojemu zdziwieniu, poczuł sympatię dla przełożonego, choć nie miało to prawie nic wspólnego z jego aktualną pozycją i ambicjami.

- Spisałem już wstępny szkic raportu - kontynuował arcybiskup po kolejnym łyčku brandy. - Będę wdzięczny, jeśli jutro rano rzucisz na niego okiem. Powiesz mi, jak to wygląda z twojej perspektywy.

- Oczywiście, ekscelencjo. - Ahdymysyn zdołał ukryć zaskoczenie, chociaż prośba ta była czymś wyjątkowym.

Z drugiej strony nie powinna mnie dziwić... zważywszy na to, jak bardzo Dynnys musiał uważać, spisując treść raportu. Najważniejsze, że nie prosi o kontrasygnatę!

Zawstydział się na moment, ale zaraz pomyślał, że przecież większość problemów, z jakimi boryka się teraz Erayk, nie powstała z jego winy. Nie prosił przecież o tak nagły i nieśmaczny w gruncie rzeczy wysyp wynalazków.

Na swoje usprawiedliwienie miał też to, że nawet Namiestnik nie wysunął żadnych zastrzeżeń do nowych machin i technologii. Sądził, że to mocna okoliczność łagodząca. Zapewne nie spodoba się co bardziej krewkim hierarchom Inkwizycji, którzy woleliby ukarać dla przykładu kilka osób, ale z pewnością pozwoli ugasić ogień niechęci w duszach mniej zaciekle przedstawieli tej instytucji.

Co się zaś tyczy innych, bardziej fundamentalnych problemów arcybiskupstwa, zaczęły się one, zanim Dynnys objął to stanowisko. Być może powinien był zająć się nimi o wiele prędzej, ale jak to mawiają, mądry człowiek po szkodzie, pomyślał Ahdymysyn. Wiedział, że sam nie dołożył należytych starań, żeby załatwić sprawę z biskupem Maikem, ale nie zamierzał się do tego przyznawać.

Nie brał też udziału w prywatnym spotkaniu Staynaira z Dynnymsem, na które został wpuszczony tylko ojciec Symyn, jako sekretarz arcybiskupa. Ahdymysyn miał wrażenie, że nie poszło ono najlepiej, ale przynajmniej Staynair nie mógł się otwarcie postawić. Gdyby spróbował, Erayk, nie mając wyjścia, natychmiast by go usadził, czego - dzięki Bogu! - nie zrobił. Zainteresowanie Grupy Czworoga nieposłuszeństwem lokalnego duchowieństwa w Charisie było im wszystkim najmniej potrzebne w obecnej sytuacji. Nie mówiąc już o ukaraniu najwyższego rangą biskupa Korony...

Na szczęście udało im się tego uniknąć. I jeśli uda się na dodatek uśmierzyć niepokoje w Radzie Wikariuszy, choćby nawet tymczasowo, pojawi się szansa na wyjście z tego impasu. Arcybiskupstwo potrzebowało tylko dodatkowego czasu - roku albo dwóch bez wtrącania się Grupy Czworoga, bo to mogło tylko pogorszyć sytuację - aby zaprowadzić porządek w własnym domu. Tylko tyle, pomyślał i znów zaczął się zastanawiać, w jaki sposób Dynnys radzi sobie z troskami powodowanymi przez biskupa Maikela.

Cóż, tego zapewne dowiem się już jutro, powiedział sobie i wzniosł szklaneczkę brandy.

Zatoka Królewska, Wyspa Helena

C

o Domynek myśli o kapitanie Maylyrze? - zapytał Merlin.

Siedział naprzeciw Cayleba przy stole pod markizą na samym szczycie cytadeli, podziwiając piękno zachodu słońca i ogryzając nóżki pajęczokraba. Gahlvyn Daikyn, sługa księcia, znał przepis na wyjątkowo smaczne danie z nich, a Merlin zakosztował w tym lokalnym specjale, aczkolwiek daleko mu jeszcze było do przerażającej, młodzieńczej żarłoczności następcy tronu - zresztą nie byłby w stanie strawić takich ilości mięsa, gdyby nawet posiadał prawdziwy ludzki żołądek.

Księżę przeżuł i połknął w końcu następny kęs, potem popił go solidnym łykiem piwa. Teraz mógł odpowiedzieć.

- Myślę, że jest średnio zadowolony - stwierdził. - Maylyr miał tylko kilka tygodni na oswojenie się z nowym stanowiskiem.

- Przecież Domynek określił dokładnie, ile czasu może trwać „oswajanie się” z nowymi stanowiskami. - Seijin postawił się w roli adwokata diabła, na co Cayleb natychmiast wyszczerzył wszystkie zęby.

- Tak, to prawda — przyznał. - I nie, nie jestem gotowy na spieranie się z nim w tej sprawie. Proszę tylko, abyśmy dali Maylyrowi jeszcze dzień albo dwa, zanim rzucimy go krakelom na pożarcie.

Merlin zaśmiał się pod nosem, chociaż idea rzucania kogoś na żer tym bestiom nie wydawała mu się ani trochę śmieszna.

- Obawiam się, że nie mamy tak wiele czasu - stwierdził moment później, na co księżę tylko skinął głową, także poważniejąc.

- Nie miałeś nowych wizji na temat Gorjaha albo Rahnylda? - zapytał.
Merlin pokręcił głową.

- Żaden z nich nie odbył kolejnej rozmowy z przedstawicielami Rady Wikariuszy. Ale Gorjah spędza sporo czasu na dyskusjach z ambasadorem Hektora. A Rahnyld rozkazał admirałowi Gardynyrowi, aby po cichu przygotowywał flotę do wypłynięcia w morze.

- Ani jedno, ani drugie nie powinno nas specjalnie dziwić - zauważył Cayleb o wiele radośniejszym tonem, niż powinien. Merlin wiedział doskonale, że nie jest mu do śmiechu.

- Być może. Ale fakt, że Rada zaangażowała się w końcu w takie działania, jak najbardziej!

- Zgoda. Zgoda! Ale sam słyszałeś, co Rayjhis powiedział tutaj, na tym dachu. - Przez moment na twarzy następcy tronu malował się wielki smutek. - Prędzej czy później ci członkowie Rady, którzy obawiają się naszej potęgi, wypełzną z cienia. Dzisiaj, dzięki tobie, wiemy, że już to uczynili.

Tak, to wszystko „dzięki mnie”, Caylebie, pomyślał seijin, czując ukłucie winy, ale natychmiast się z niej otrząsnął.

- Nasze szanse będą marne, jeśli wciągną do tej awantury Dohlar - wyznał szczerze.

- Ja też nie widzę tego w zbyt różowych barwach - przyznał Cayleb. - Chociaż jeśli nawet obie te floty przyłączą się do sił Hektora, jego przewaga nie będzie aż tak wielka. To tylko dwa nasze okręty na trzy ich.

Merlin spojrzał na niego sceptycznie, na co następca tronu prychnął pogardliwie. Książę musiał zdawać sobie sprawę, że Królewska Marynarka Wojenna Charisu posiadała w czynnej służbie sto trzydzieści galer, jeśli wliczyć w to pięćdziesiąt okrętów trzymany w rezerwie. Hektor z Corisanu miał ich pięćdziesiąt i trzydzieści dalszych w odwodzie. Siły Nahrmahna liczyły czterdzieści pięć galer w służbie i dwadzieścia pięć do trzydziestu trzymany na pochylniach. To dawało im jakieś osiemdziesiąt jednostek pierwszej linii i możliwość sięgnięcia po następne sześćdziesiąt, czyli nie mniej niż sto pięćdziesiąt w sumie, chociaż większość z nich była mniejsza i słabiej uzbrojona od charisjańskich odpowiedników. Tarot miał mniejszą flotę, liczącą zaledwie trzydzieści galer, i żadnych odwodów, o których warto by wspominać. Za to marynarka Dohlaru posiadała aż sześćdziesiąt jednostek w służbie czynnej i kolejne siedemdziesiąt w rezerwie, a jej galery były naprawdę wielkie, chociaż zaprojektowano je głównie do obrony wybrzeży, nie do podróżowania po morzach. Jeśli więc Tarot i Dohlar dołączą do wrogów Charisu, sto trzydzieści galer króla Haarahlda będzie musiało się zmierzyć z niemal trzystoma jednostkami wroga.

- No dobrze - rzucił chwilę później Cayleb. - Gwarantuję ci, że jeśli nawet odkurzą wszystkie rezerwy, to i tak nie będą mieli większej przewagi niż dwa do jednego. Tyle tylko, że nie wierzę, aby potrafili je włączyć do czynnej służby. Dohlar leży siedem tysięcy mil stąd, w linii prostej, a dwadzieścia trzy, jeśli weźmiesz pod uwagę, ile naprawdę muszą przepłynąć ich okręty. Merlinie, to od Shanwei drogi, zwłaszcza dla jednostek przybrzeżnych. A Charis leży dokładnie pośrodku pomiędzy Dohlarem a Corisandem. Będą musieli tędy przepłynąć, jeśli zechcą połączyć siły.

- Co wcale nie znaczy, że nie spróbują tego dokonać - zauważył seijin.

- Nie. Ale jeśli coś źle wyliczą, zdołamy zniszczyć oba skrzydła z osobna. A tak wielka operacja jest prawie niemożliwa do idealnego skorelowania, nawet przy wykorzystaniu semaforów Świątyni. Byłeś tutaj, gdy dyskutowałem nad tym problemem z ojcem i Rayjhisem. - Cayleb wzruszył ramionami. - Zgadzam się z ich opiniami. Mamy już sierpień. To środek zimy na tej półkuli, a raport Erayka nie dotrze do Świątyni przed końcem miesiąca, a kto wie, może nawet zahaczy o początki września. To oznacza, że będą mogli wyruszyć długo po rozpoczęciu jesieni na północy. Wiadomość ze Świątyni może dotrzeć do Manchyru najprędzej po miesiącu, jeśli zostanie wykorzystana sieć semaforowa, a sądząc po twoich wizjach, jeszcze nie rozpoczęto negocjacji z Hektorem. Powiedzmy więc, że będą

potrzebowali pięciodnia albo dwóch na przemyślenie sprawy, a potem wysła pierwszą wiadomość do Corisandu. To oznacza, że odpowiedź otrzymają dopiero w połowie listopada, czyli możemy spokojnie założyć, że następna tura rozmów odbędzie się dopiero w lutym. Za ten pierwszy termin, w którym mogą wyruszyć, to koniec lutego albo nawet marzec, ale wtedy w Dohlarze będzie środek zimy. Ich floty będą potrzebowały co najmniej siedemdziesięciu dni żeglugi, zanim dotrą na kontrolowane przez nas terytorium. Jeśli więc wyruszą na wojnę w połowie marca, znajdą się u naszych wybrzeży gdzieś pod koniec maja. Czyli znów w okresie jesiennym, a tylko idiota rozpoczyna wojnę podczas tropikalnych sztormów i ulew. - Znów wzruszył ramionami. - Gdybym ja rządził Świątynią, uznałbym, że warto poczekać jeszcze dwa miesiące albo nawet trzy, a to oznacza, że zobaczymy ich na horyzoncie naszą wczesną wiosną. Powiedzmy, w październiku przyszłego roku.

- Wszystko to brzmi bardzo sensownie i pokrzepiająco - stwierdził Merlin. - Martwi mnie tylko jedna sprawa: czy nasi przeciwnicy są równie sprytni jak my i mają świadomość problemów, o których właśnie wspomniałeś?

- No tak. - Cayleb sięgnął po kolejną nogę pajęczokraba i machnął nią w kierunku Merlina. - Nie wiedzą też o małej niespodziance, jaką przyszykował na ich powitanie sir Domynek.

- Nie wiedzą - zgodził się seijin. - Przynajmniej tak wynika z moich wizji.

- I tu cię mam - ucieszył się książę i przełamał nogę pajęczokraba, by wyssać najsmaczniejsze mięso.

- Ile galeonów posiadamy w tej chwili? - zapytał seijin.

- Mniej, niżbym chciał - odparł niewyraźnie Cayleb, potem szybko przełknął mięso. - Mniej, niżbym chciał - powtórzył nieco wyraźniej - Ale jeśli nie dotrą tutaj przed wiosną, sytuacja ulegnie zmianie.

Teraz Merlin skinął głową. Komandor Staynair - który miał wkrótce awansować na admirała - dysponował już piętnastoma galeonami w swojej eskadrze, w tym sześcioma przerobionymi frachtowcami posiadającymi na pokładzie wyłącznie nowe karonady. Do listopada liczba ta powinna ulec podwojeniu, chociaż większość nowych jednostek dopiero wtedy będzie mogła rozpocząć szkolenia. Do marca marynarka może mieć nawet pięćdziesiąt galeonów, z których większość - zwłaszcza specjalnie do tego celu budowane jednostki - pomieszczą na swoich pokładach znacznie więcej dział niż pierwsze okręty wcielone do eskadry eksperymentalnej. Ma dodatek król Haarahld i wielki admirał, baron Morskiego Szczytu, upatrzyli sobie tuzin wielkich szkunerów budowanych teraz w Tellesbergu, zamierzając zarekwirować je na potrzeby floty.

Niestety, nikt nie miał pewności, czy uda się uzbrajać na bieżąco tak wiele wcielanych do służby jednostek. Howsmyn dokonywał wcale nie takich małych cudów w rozbudowanych odlewniach Zatoki Królewskiej, a jego nowe manufaktury w Delthaku miały zacząć produkcję dział pod koniec października, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Mimo to będą działali dosłownie na styk, jeśli nawet ogołocą z najcięższych armat wszystkie jednostki rezerwy. A to oznaczało, że dodanie kolejnych piętnastu galeonów pozbawi flotę pięćdziesięciu galer.

Kolejnym problemem było znalezienie kompetentnych kapitanów dla tylu nowych jednostek. Dunkyn Maylyr był tego doskonałym przykładem: znakomicie wyszkolony oficer, który dowodził własną jednostką od pięciu lat - tyle że tradycyjną galera. Minęło tyle czasu, a on wciąż nie potrafił pozbyć się starego sposobu myślenia, mimo iż był naprawdę gorącym orędownikiem programu, który Merlin nazwał „pokojem wprowadzonym przez armaty”, i nadal nie umiał dowodzić galeonem. Pracował naprawdę ciężko razem z kilkoma emerytowanymi kapitanami frachtowców, których zwerbowano cichcem tylko dlatego, że mieli obycie z żaglowcami. Tyle tylko, że sporo z tej wiedzy już dawno uleciało im z głów.

Na szczęście nieugięta postawa Staynaira, wyciskająca go ostatnie poty z artylerzystów, zaczynała w końcu przynosić efekty. Komandor nalegał, mając silne poparcie Cayleba, aby każdy z kanonierów, który odbył szkolenie na oryginalnych jednostkach eskadry eksperymentalnej, został mianowany dowódcą baterii. Dzięki temu na wszystkich okrętach włączanych aktualnie do służby pojawiali się doświadczeni artylerzyści, którzy następnie sami szkolili resztę obsad, co sprawiło, że Królewska Marynarka Wojenna Charisu mogła się pochwalić nieznanym w innych flotach poziomem biegłości kanonierów.

Gdybyśmy tylko mieli wystarczającą liczbę dział dla tych ludzi, pomyślał nie bez ironii seijin.

- Z tego co wiem, Erayk na razie próbuje załagodzić sytuację - poinformował Cayleba po chwili.

— Wiem. - Książę skrzywił się. - Nazywam go ropuchą, ale to chyba obraza dla tych przemyślanych stworzonek. Ale niech sobie działa na własną rękę, koniec końców robi to, na czym nam zależy. Ojciec Paityr także w niczym nie szkodzi. Teraz możemy już tylko siedzieć i czekać. Jeśli Rada będzie ich słuchać jeszcze przez kilka miesięcy, jestem pewien, że doczekamy do wiosny. A wtedy - książę uśmiechnął się w bardzo nieprzyjemny sposób - nasze galeony sprawią im naprawdę przykrą niespodziankę.

III

Apartamenty wikariusza Zahmsyna Trynaira, Świątynia

W

Wikariusz Zahmsyn Trynair włożył do ust ostatnią łyżeczkę kremowego deseru i połknął go z wielką rozkoszą. Łykem wody przepłukał usta, potem rozsiadł się wygodnie, popijając z satysfakcją doskonałe wino.

Mijał kolejny, upalny sierpniowy dzień. Wszystkie raporty zarządców jego majątku wskazywały, że tegoroczne zbiory zapowiadają się znakomicie, a daniny spłynęły niemal miesiąc przed terminem. Dzisiaj gościł pozostałych członków Grupy Czworka na copięciodniowej wieczerzy roboczej. Najważniejsze zaś, że po raz pierwszy od dłuższego czasu spoglądał z ufnością w przyszłość, nie widząc w niej niczego, co mogłoby zakłócić spokojne trawienie zjedzonych przed chwilą potraw.

Przyłożył się do organizacji tej wieczerzy, a jego szef kuchni sprawił, że mógł poczuć dumę. Wszyscy prócz Clyntahna najedli się do syta, a jedynym zmartwieniem Trynaira było to, że w przyszłym tygodniu gościć ich będzie Magwair. Ten sam, który uważał, iż porządnie przyrządzone warzywa muszą być rozgotowane na ohydny papkę.

- Panowie... - zagaił jako gospodarz tego spotkania. - Najwyższy czas porozmawiać o interesach. - Pociągnął kolejny łyk wina. - Muszę przyznać, że cieszy mnie uspokajający ton raportów Dynnysa.

- Doprawdy? - burknął Clyntahn, po czym pochylił się, aby sięgnąć po przeoczoną bułeczkę. Posmarował ją grubo masłem i wepchnął do ust, odgryzając niemal połowę za jednym zamachem.

- Muszę się zgodzić z Zahmsynem, Zhaspyrze - wtrącił cicho Duchairn. - Wiem, że nie darzysz specjalnym szacunkiem niektórych członków rodu Wylsynnów, ale zgodnie z tym, co pisze Dynnys, ojciec Paityr zgodził się na ponowne skrupulatne sprawdzenie wszystkich wydanych wcześniej wyroków. I wciąż upiera się przy twierdzeniu, że żaden z wynalazków nie łamie Zakazów. W świetle jego stanowczej wypowiedzi nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać, że spora część raportów, które otrzymaliśmy, a nie wątpię, że pochodzą one w zdecydowanej większości od zadeklarowanych wrogów Charisu, jest najzwyczajniej w świecie przesadzona.

- Aha - bąknął Clyntahn z pełnymi ustami. Przełykał właśnie kolejny kęs pieczywa, zapił go szybko sporym łykiem najdroższego wina z piwniczki Trynaira, kręcąc przy tym zdecydowanie głową. - Gotów byłbym przyznać ci rację, Rhobairze - powiedział w końcu - gdyby to, co pisze w swoich listach nasz przyjaciel arcybiskup, było prawdą.

- Słucham? - Trynair wyprostował się nagle, zauważył też, że Duchairn i Magwair zareagowali w podobny sposób i teraz wszyscy spoglądali pytającym wzrokiem na wielkiego inkwizytora. - Co chciałeś przez to powiedzieć, Zhaspyrze?

- Tyle tylko, że odkąd sięgam pamięcią, nigdy nie wierzyłem temu smarkowi Wylsynnowi - odparł Clyntahn. - Mam także spore obawy co do Dynnysa, skoro już o tym mowa. Dla tego też Inkwizycja zdecydowała się na umieszczenie agenta w najbliższym otoczeniu arcybiskupa Charisu. Został nim jego nowy osobisty sekretarz, ojciec Symyn. Z raportów, które nam przesłał, wynika, że Erayk Dynnys najzwyczajniej w świecie... przeoczył kilka istotnych faktów.

Uśmiech inkwizytora należał do tych najpaskudniejszych, nawet Trynair poczuł uścisk w żołądku, gdy go ujrzał. Clyntahn nienawidził Charisu na długo przed tym, zanim Na-miastnikiem mianowano młodego Wylsynna. Od tamtej pory jego nienawiść jeszcze bardziej się pogłębiła, ale nawet słowem nie wspomniał pozostałym członkom Grupy, że zamierza podstawić Dynnysowi swoich agentów. Jego stanowisko pozwalało jednak na umieszczanie szpiegów gdzie i kiedy tylko zechciał, pozostawało więc kwestią otwartą, ilu ich jeszcze było. A co ważniejsze, kogo pilnowali.

To jednak nie powinno być tematem dzisiejszego spotkania, uznał.

- Czy mamy przez to rozumieć, że twój agent, jeśli dobrze pamiętam, nazwał go ojcem Symynem, nie zgadza się z opiniami wyrażanymi w wiadomościach od Dynnysa? - zapytał.

- Tak właśnie powinieneś to rozumieć - odparł z sarkazmem Clyntahn.

Dopił wino, sięgnął po butelkę i ponownie napełnił kieliszek. Rozsiadł się w fotelu z miną, w której mieszały się triumf, nienawiść, ale i nieskrywana obawa. - Zgodnie z raportami ojca Symyna, owo ponowne „rozpatrzenie” wydanych już wyroków ograniczyło się w przypadku Paityra do jednego osobistego przesłuchania Haarahlda i Cayleba, podczas którego, o czym nie wypada nie wspomnieć, był także obecny biskup Staynair... oczywiście zaproszony przez naszego kochanego Namiestnika Wylsynna. Co więcej, arcybiskup Erayk ani słowem się nie zająknął o podburzającym kazaniu, które Maikel wygłosił w Tellesberskiej katedrze jakiś czas temu.

- To naprawdę poważne zarzuty, Zhaspyrze - zauważył Duchairn po kilku chwilach krępującej ciszy, jaka zapadła nad stołem.

- Ktoś taki jak Staynair nie powinien nigdy zostać gospodarzem katedry w Tellesbergu - rzucił bardzo ostrym tonem Clyntahn. - To zbyt ważne stanowisko, aby oddawać je w ręce rodowitego Charisjanina, ale - zamachał dłonią, odsłaniając zęby w nieszczerym uśmiechu, choć jego oczy pozostały nie-nawistne - to tylko nieistotne szczegóły tej sprawy. Z wyjątkiem jednego: Maikel Staynair wyrażał w publicznym kazaniu wątpliwości co do zasadności osądów Inkwizycji.

- Wybacz mi, Zhaspyrze - wtrącił Trynair - ale trudno mi uwierzyć w coś podobnego. Biskup Zherald z pewnością zameldowałby nam o czymś takim! Nie mówiąc już o ojcu Wylsynnie, który choć masz o nim niskie mniemanie, nigdy by nie dopuścił, aby tak jawne nieposłuszeństwo hierarchy wobec Kościoła Matki przeszło niezauważone.

- Doprawdy? - Śmiech Clyntahna był równie odrażający jak jego mina. - Cóż, ojciec Symyn zdobył niepodważalne dowody na to, że biskup egzekutor wezwał do siebie Maikela po owym niestosownym kazaniu, by osobiście go zbesztać. Zatem nasz kochany Zherald musiał zdawać sobie sprawę z wagi problemu. Dynnys także odbył rozmowę z Maikelem, której jedynym świadkiem był ojciec Symyn. Ani arcybiskup, ani tym bardziej Staynair nie przyznali w jej trakcie, o co im chodzi, ale Dynnys w zawołany sposób kazał mu zamknąć pysk... Tyle tylko, że metropolita Tellesbergu nie wydawał się tym specjalnie poruszony ani też nie wyraził skruchy, jak zapewne myśleliście. Dynnys jednak nie wspomniał mi nawet słowem, że czuł potrzebę przywołania biskupa do porządku. Nie

zaprzeczycie też, że braku raportów na ten temat od Erayka i Wylsynna nie da się zaliczyć do pomniejszych zaniedbań.

Trynair zmarszczył brwi. Bez względu na nienawiść żywioną przez Clyntahna do Charisu, nie można mu było odmówić racji.

- Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy - bąknął chwilę później Magwair i wszystkie spojrzenia natychmiast skupiły się na nim.

- Jakież to aspekty, Allaynie? - zapytał Duchairn.

- Otrzymałem całkiem sporo raportów dotyczących marynarki wojennej Charisu - ciągnął dowódca sił zbrojnych Świątyni. - Większość z nich napłynęła ze Szmaragdu i Corisandu, dlatego nie brałem ich zbyt serio, ale teraz... w świetle tego, co Zhaspyr właśnie powiedział, a zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę fakt, iż Wylsynn mógł się nie przyłożyć do swojej roboty tak, jak tego od niego wymagaliśmy... myślę, że nie należy ich ignorować.

- Cóż to za raporty? - Trynair próbował zadać to pytanie, ukrywając drżącą go ciekawość, ale nie było to łatwe.

- Według zawartych w nich informacji Charisjanie dokonują właśnie całkowitej przebudowy swojej floty - wyjaśnił Magwair. - Nie znamy zbyt wielu szczegółów, ale wszyscy agenci zgadzają się co do jednego: oprócz nowego rodzaju takielunku, maszyn przedziałniczych i wszystkich pozostałych... wynalazków, które przedstawiono nam do zatwierdzenia, Charisjanie robią też coś potajemnie. Coś, co dotyczy ich marynarki wojennej. Tylko to może tłumaczyć, dlaczego stali się nagle tak bardzo tajemniczy, a przede wszystkim fakt rozpoczęcia budowy dużej liczby galeonów zamiast tradycyjnych galer. Tym razem głęboka cisza trwała znacznie dłużej, prze trwało ją dopiero głośne beknięcie Clyntahna. Wydany przez niego odgłos był tak zaskakujący, że nawet Trynair podskoczył.

- No i co my tu mamy - powiedział wielki inkwizytor, nie kłopotząc się przeprosinami. - Lokalny biskup głosi wi- chrzycielskie kazania. Pojawia się mnóstwo nowych technologii i machin. Korona w ścisłej tajemnicy rozbudowuje swoje siły zbrojne. Mamy władcę pochodzącego z rodu, który zawsze przeciwstawiał się woli Kościoła Matki, a jego polityka rzadko była zgodna z naszymi życzeniami. Mamy biskupa głoszącego herezje we własnej katedrze. Mamy arcybiskupa, który zataja informacje o tym wydarzeniu przed nami... - zapewne by chronić własną dupę, aczkolwiek własnej duszy bym na to nie postawił. No i jest nasz tak zwany Namiestnik, który również zapomina o złożeniu raportu na ten temat. Jak to wszystko brzmi w waszych uszach?

- Niezbyt dobrze - mruknął Magwair. Duchairn i Trynair nie odezwali się słowem, ale jadowite podsumowanie Clyntahna nimi także wstrząsnęło.

- Mimo wszystko sądzę, że sytuacja nie wygląda aż tak źle - oświadczył Duchairn kilka sekund później. - Aczkolwiek muszę przyznać, że nie jestem już tak pewien sukcesu jak jeszcze przed kilkoma minutami. Zakładając, że wszystkie twoje ustalenia są słuszne, co powinniśmy teraz uczynić, Zhaspyrze?

- Jeśli Staynair rzeczywiście głosił herezje z ambony, a Dynnys i Ahdymysyn nie raczyli nas o tym powiadomić, powinni wszyscy stanąć przed trybunałem - oświadczył Trynair.

- Razem z tym zrozumiałym smarkaczem Wylsynnem - warknął Magwair, ale Clyntahn zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Nie jestem pewien, czy to najmądrzejsze rozwiązanie - powiedział, a cała trójka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Nie twierdzą, że nie powinni stanąć przed Inkwizycją ani że ma ich ominąć surowa kara. Pomyśleliście jednak, co się stanie, gdy wezwiemy Staynaira do Świątyni, a on odmówi przybycia?

- Nie może odmówić - zaprotestował Duchairn. - Ta sprawa bezwzględnie podlega jurysdykcji Kościoła Matki.

- A jeśli zainterweniuje Haarahld, który jak wiecie, już wcześniej wykazywał się krnąbrnością i uparł się, by wTBrew naszej woli mianować go na biskupa Tellesbergu? Co będzie, jeśli zmusi sąd kościelny Charisu do odmowy wydania nam Staynaira?

- Na pewno nie jest gotowy na takie posunięcie - zaprotestował Trynair, ale sam słyszał brak pewności w swoim głosie.

- Ale przygotowuje się na coś takiego - zauważył Clyntahn. - I nie zapominaj o tym, jak wielu duchownych w Chari- sie pochodzi z tamtej domeny. Od lat wam tłukłem do głów, że dusimy posyłać do tej zapadłej dziury więcej księży z innych krain, ale czy ktoś mnie słuchał? Nie. I co teraz mamy? Załedwie dziesiąta część kleru w Charisie, albo i jeszcze mniej, pochodzi spoza granic królestwa Haarahlda. Gdyby zdecydował się wypowiedzieć posłuszeństwo Kościołowi Matce, zapewne zyskałby poparcie znacznej części lokalnego duchowieństwa. A wiecie, do czego by to doprowadziło?

Kolejna, jeszcze głębsza cisza zapadła nagle w jadalni.

To niesamowite, pomyślał Trynair, jak szybko prysł mój nastrój zadowolenia, zamieniając się w zupełnie przeciwstawne uczucie. Jeśli jednak Clyntahn ma rację, jeśli jego najczarniejsze przewidywania mogą się sprawdzić, stanęliśmy właśnie w obliczu czegoś, z czym Świątynia jeszcze nigdy nie miała do czynienia: ze zbrojnym oporem całego królestwa wobec woli Boga. A jeśli ten bunt się powiedzie albo chociaż potrwa odpowiednio długo - czego nie można było wykluczyć - zaraza może się rozprzestrzenić.

Kancelarz zadrżał na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć w Siddarmarku, gdyby podobne szaleństwo dotarło do jego granic. Albo gdyby pozwolono Charisowi na kolejne militarne podboje - co już samo w sobie stanowiłoby pogwałcenie wielu Zakazów - przecież Haarahld bez trudu podbiłby Szmaragd, Corisand, a kto wie, może i Chisholm, zanim Kościół zdążyłby zorganizować siły zdolne stawić czoło temu wyzwaniu. A gdyby do tego doszło...

- Jak możemy uniknąć tego wszystkiego, Zhaspyrze? - zapytał w końcu, ale Clyntahn tylko wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że odpowiedź na to pytanie jest oczywista. - Zaskoczenie jego kolegów było tak widoczne, że aż się zaśmiał pod nosem. Ostro, wręcz drapieźnie. - Ależ tak. Zawsze, ty już rozpocząłeś działania zmierzające do wzmocnienia sił Corisandu na wszelki wypadek. A chyba mamy do czynienia ze stanem wyższej konieczności. Wydaje mi się, że najprostszym, najbezpieczniejszym i najrozsądniejszym sposobem na rozwiązanie tej sytuacji jest udzielenie natychmiastowego i pełnego wsparcia książętom Hektorowi oraz Nahrmahnowi, ze strony Rycerzy Ziemi Świątynnych, nie Rady Wikariuszy. Bahrmyn przebywa właśnie w Manhyrze z wizytą duszpasterską, wystarczy więc, że porozmawia szczerze z Hektorem. Potem włączymy do działania Dohlar i Tarota, a może nawet Chisholm, ale tak, żeby nie mieszać do tego Kościoła Matki. Ziemia Świątynna powinny wesprzeć w takiej sytuacji sprzymierzeńców, na przykład umarzając Rahnyldowi odsetki od pożyczek, których nie spłacił na czas naszemu skarbcowi, co powinno być wystarczającą zachętą do udzielenia przez niego wymaganej pomocy. Ale pamiętajcie, Kościół i Inkwizycja nie mogą mieć z tym nic wspólnego. Oczywiście tylko do momentu, w którym Haarahld zostanie pokonany.

- A co potem? - zapytał Trynair, starając się zignorować uczucie strachu czające się na dnie jego żołądka.

- Możemy założyć, iż połączone siły Hektora i Nahrmahna dokonają niemałych zniszczeń w Charisie. Gdyby zaszła taka potrzeba... możemy je dodatkowo zmotywować. Gdy najważniejsze miasta Korony, wliczając w to sam Tellesberg, zostaną spalone, a flota doszczętnie rozbita, to co pozostanie z Charisu, będzie wymagało pomocy z zewnątrz. Współczujące dłonie Kościoła Matki wyciągną się do potrzebujących dzieci. Skarbiec wyasygnuje złoto konieczne do odbudowy ich domostw, a Inkwizycja w tym czasie oczyści szeregi miejscowego duchowieństwa z wszelkiej maści wichrzycieli. - Uśmiechnął się

zimno, niemal z nienawistną satysfakcją. - Niedługo, moi przyjaciele, rozwiążemy problem Charisu, i to na wiele pokoleń.

WRZESIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 891

Pałac książęcy, Manchyr, Corisand

K

siażę Hektor przyglądał się Borysowi Bahrmynowi, arcybiskupowi Corisandu, z wielkim, choć dobrze zamaskowanym zaciekawieniem. Hierarcha przeszedł szybkim krokiem pomiędzy strażnikami sali tronowej i długim korybiercem ruszył w stronę podestu.

Wartownicy obserwowali go czujnym wzrokiem, z kamiennymi minami, tak że tylko nienaturalnie wyprostowane kręgosłupy świadczyły o tym, jak poważnie podeszli do rozkazu władcy. Gdy ich minął, zamknęli wrota... ale z drugiej strony.

Nieco wcześniej tego dnia po niebie przetoczyła się jedna z ostatnich tropikalnych burz tej zimy i teraz promienie słońca malowały na posadzce komnaty kolorowe wzory, przesączały się przez wspaniałe witraże. Szlachetne kamienie zdobiące czepiec arcybiskupa lśniły za każdym razem, gdy wkraczał w kolejny snop światła, nie rozjaśniający wszelako twarzy hierarchy.

Bahrmyn dotarł do podestu i pochylił głowę w uroczystym pokłonie. Gdy się wyprostował, Hektor pozdrowił go znacząco oszczędniejszym gestem.

- Muszę przyznać, ekscelencjo - powiedział - że byłem bardzo zaskoczony, a nawet nieco wystraszony, kiedy otrzymałem twoją wiadomość.

- Wybacz mi, wasza wysokość - odparł Bahrmyn. - Prosiłem o to spotkanie, ponieważ przybywam ze sprawą nie cierpiącą zwłoki.

- Rozumiem. To właśnie zrodziło moje obawy - stwierdził Hektor, ukazując idealnie białe zęby w szerokim uśmiechu, mimo że słowo „poprosiłem” niezupełnie odpowiadało wymowie przekazu hierarchy. Wiadomość od arcybiskupa była w istocie lekko tylko zawołowanym żądaniem natychmiastowej audiencji bez świadków.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Hektor odpowiedziałby mu na pewno nie tak okrągłymi słowami, gdzie może sobie wsadzić owo „poprosiłem”. Arcybiskupowi jednak nie mógł uczynić takiego afrontu, więc nie miał specjalnego wyboru i musiał się zgodzić. Co tłumaczyło spięcie osobistej straży.

I jego własne.

- Świat wie, że sam sobie jesteś doradcą, wasza wysokość. - Teraz i Bahrmyn postarał się o uśmiech. - Gdyby nie to, zapewne narzucałbym się teraz... zupełnie innej osobie.

- Celną uwagę, ekscelencjo. Chyba zacznę się zastanawiać nad zmianą obyczajów. - Bahrmyn roześmiał się pośluszenie, a Hektor zaczerpnął tchu. - Dajmy pokój tym podchodom, ekscelencjo. W czym Liga Corisandu może służyć Kościołowi Matce?

- Prawdę powiedziawszy, wasza wysokość - oświadczył Bahrmyn, wolno cedząc kolejne słowa - nie przybywam do ciebie w imieniu Kościoła Matki. - Zaskoczony Hektor zrobił wielkie oczy, na co arcybiskup zareagował lekkim rozbawieniem. - Jestem tutaj, ponieważ zażyczył sobie tego kanclerz Trynair, ale nie w imieniu wikariusza Zahmsyna. Rozszerzone oczy Hektora zamieniły się w szparki, gdy pojął, do czego zmierza hierarcha. Jako kanclerz, Trynair mógł przemawiać w imieniu Rady Wikariuszy albo Rycerzy Ziemi Świętych; Zahmsyn - jako wikariusz - reprezentował jedynie stronę kościelną. To stawiało „prośbę” Bahrmyna o prywatne spotkanie w zupełnie innym świetle.

- Rozumiem - stwierdził moment później książę. - Czym w takim razie Liga może służyć kanclerzowi?

- Przybywam, aby dowiedzieć się, jak kanclerz może służyć tobie, wasza wysokość.

- Doprawdy? - Hektor zdołał zapanować zarówno nad mimiką twarzy, jak i nad głosem, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Wasza wysokość - odparł Bahrmyn - otrzymałem po-łecenie, aby mówić z całą szczerością, bez zwyczajowego dy-plomacyjnego owijania w bawełnę. Więc za pozwoleniem waszej wysokości, to właśnie mam zamiar uczynić. - Spoj-rzał w oczy Hektora, a ten skinął głową. - Dziękuję ci, ksią-żę. - Bahrmyn pochylił głowę w kolejnym ukłonie, a gdy ją podniósł, natychmiast odchrząknął. - Wasza wysokość, cały świat wie, że od kilku lat wspólnie z księciem Nahrmahnem pozostajecie w narastającym konflikcie z Haarahldem z Cha- risu. Kościół Matka zawsze odczuwa gniew na namaszczo-nych przez siebie władców, gdy ci zaczynają być sobie wroga-mi. Kanclerz Trynair, będąc człowiekiem, na którego barkach spoczywają także obowiązki świeckiego władcy Ziem Świą-tywnych, wie jednak, że nawet bardzo rozumni ludzie mogą znaleźć się po dwu stronach barykady, jeśli dzielą ich róż-nice nie do pogodzenia. Gdy dochodzi do takiej sytuacji, jej efektem często jest wypowiedzenie wojny. W innych wypad-kach, gdy nie następuje tak zdecydowane rozstrzygnięcie, jad sący się przez pokolenia. - Mówiąc to, arcybiskup zdołał przykuć całą uwagę księcia. Hektor zmusił się do bezruchu i skupienia, ale jeśli Bahrmyn zmierzał do tego, do czego naj-wyraźniej zmierzał... - Chociaż Corisand i Charis znajdu-ją się tak daleko od Ziem Świątynnych, musimy pamiętać, że statki opuszczające wasze porty oraz Szmaragdu przewo-żą zdecydowaną większość towarów potrzebnych w innych zakątkach Schronienia, więc jakiegokolwiek niesnaski mogą doprowadzić do załamania handlu w wielu krajach. Rycerze Ziem Świątynnych nie różnią się niczym od pozostałych władców i dlatego z rosnącym niepokojem przyglądają się na-rastającej wrogości między tobą i Haarahldem. Do niedawna jednak hołdowali polityce neutralności. Taki kurs wydawał im się najrozsądniejszy z możliwych. Niestety, przed kilka-ma miesiącami Rycerze Ziem Świątynnych zauważyli pew-ną zmianę w polityce Korony, świadczącą w ich mniemaniu

o znacznym zwiększeniu zagrożenia ze strony Charisu. Od czasu gdy sąd kościelny orzekł niepomyślny wyrok w spra-wie sukcesji tronu hrabstwa Hanth, ze szkodą dla niejaki-go Breygarta, protegowanego króla Haarahlda, ten ostatni postanowił ostatecznie rozwiązać kwestię waszych sporów

1 tym sposobem „dokonać zemsty” za rolę, którą jego zdaniem odegrałeś w tej sprawie. Hektor starał się nawet nie mrugać. Wbrew treściom ra-portów słanych przez Maysahna i Makferzahna, wątpił, co zresztą powiedział wprost hrabiemu Corisu, by Haarahld odważył się w najbliższym czasie zaatakować Corisand albo Szmaragd. Gdyby nawet miał takie zamiary, musiałby z nich zrezygnować, przewidując zdecydowaną reakcję Kościoła.

- Uważam jednak - ciągnął Bahrmyn - że wojna toczona w takim oddaleniu od Syjonu nie będzie, i to z wielu powo-dów, wielkim zagrożeniem dla spraw Rycerzy Ziem Świątyn-nych. Jeśli wziąć pod uwagę resentymenty Haarahlda, wyni-kające z niekorzystnej dla niego decyzji sądu, a także to, że zamierza podbić sąsiadujące z nim księstwa, aby pozbawić władzy ciebie i Nahrmahna, może dojść do sytuacji, w której król Charisu, kontrolując znaczną część światowego handlu, zyska pozycję dyktatora, a temu Rycerze Ziem Świątynnych nie zamierzają przyglądać się ze spokojem. W rzeczy samej, sądzą, że wygrana Haarahlda może zakłócić pokojowe sto-sunki, jakie Świątynia ma obowiązek utrzymywać pomiędzy wszystkimi ziemiami. Kościół Matka nie może nikogo popie-rać w toczonych przez świeckich władców wojnach, dopóki jed-nej ze stron nie zostanie udowodnione pogwałcenie Boskiego planu. Tym razem nikt nie sugerował zaistnienia podobnego zagrożenia. Ale Rycerze Ziem Świątynnych są także wład-cami świeckimi, których obowiązkiem jest strzec dobroby-tu własnych ziem i ludu. Dlatego za nic nie mogą dopuścić, aby agresja Haarahlda zakończyła się sukcesem. Kanclerz Trynair wysłał mnie więc do ciebie z wiadomością, że Rycerze Ziem Świątynnych uznali, iż nadszedł czas ostatecznego przeciwstawienia się Haarahldowi. Są gotowi wesprzeć cie-bie i księcia Nahrmahna w boju z siłami Haarahlda.

Bahrmyn zamilkł w końcu. Hektor odchrząknął, aby prze-mówić.

- Jak widzę, ekscelencjo - powiedział - będę zmuszony przyjąć wsparcie kanclerza. I uczynię to, zaręczam. Pragnę jednak zauważyć, że choć propozycja ta niezwykle mnie cieszy, to Ziemię Świątynną leżą bardzo daleko. A gdyby nawet tak nie było, to posiadają naprawdę nieliczną flotę.

- Same z pewnością jej nie posiadają, wasza wysokość - zgodził się Bahrmyn. - Ale wiedz, że nie jesteś jedynym księciem, do którego kanclerz wysłał swoich emisariuszy, aby wywołali jego niepokój sprawą Charisu. Zrozumiał bowiem, że główną ambicją Korony jest zapewnienie sobie kontroli nad całym handlem odbywającym się drogą morską i czerpanie z niego wyłącznych profitów. Tak więc nie tylko Corisand i Szmaragd, ale i inne państwa będą w równym stopniu zagrożone tą dominacją, choć może w nieco późniejszym czasie. Dlatego kanclerz wierzy, że i one wezmą udział w misji polegającej na zniweczeniu zamiarów Charisu.

- Rozumiem.

Hektor nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie usłyszał, dlatego postanowił działać powoli. Ta nieoczekiwana propozycja wykraczała poza wszystko, co mógł sobie zamaryżować, więc nic dziwnego, że opanowała go chęć jej natychmiastowego przyjęcia. Nie miał jednak bladego pojęcia, co sprawiło, że Trynair zdecydował się wysłać Bahrmyna, ani jaki cel przyświecał kanclerzowi. Z drugiej jednak strony...

- Czy mogę się dowiedzieć, ekscelencjo, jakież to „inne państwa” miał na myśli Trynair?

- Oczywiście, wasza wysokość. Zostałem poinformowany, iż kanclerz nawiązał kontakt z królem Rahnyldem z Dohlaru. Zasugerował także królowi Gorjahowi z Tarota, żeby rozważył w swojej łaskawości propozycję, jakie złoży mu twój ambasador. Zrozumiałem też, że arcybiskup Zherohm otrzymał polecenie dostarczenia królowej Sharleyan podobnej wiadomości, w której poleca się jej wsparcie twoich wysiłków. Pomimo ogromnych starań Hektora na te słowa szczęka lekko mu opadła. Jedyną osobą, która mogła go nienawidzić bardziej od Haarahlda z Charisu, była właśnie królowa Sharleyan z Chisholmu, ale nawet ona nie powinna odmówić „sugestii” wspomnienia Corisandu. A to czyniło ofertę kanclerza wręcz oszalamiającą. Sojusz wszystkich znaczących sił morskich przeciw Charisowi? Ze wsparciem niewyobrażalnych bogactw Ziemi Świątynnych? I bez względu na to, jak Trynair chciał to przedstawiać, z błogosławieństwem całego Kościoła?

- Ekscelencjo, jestem... zdumiony - stwierdził z rozbrajającą szczerością. - Nie zdawałem sobie sprawy, że kanclerz ma tak doskonałe rozeznanie w sprawach dotyczących bardzo odległych krain. Nie wiedziałem też, że jest w stanie przejrzeć prawdziwe zamiary Charisu. Jeśli podtrzyma daną obietnicę, z największą radością przyjmę każde wsparcie ze strony jego i Rycerzy Ziemi Świątynnych, jakiego może mi udzielić.

- Zatem mogę poinformować kanclerza o twojej zgodzie?

- Ekscelencjo, nawet powinieneś to uczynić!

- Jestem pewien, że kanclerz będzie zachwycony, słysząc te słowa, wasza wysokość. - Bahrmyn uśmiechnął się szeroko. - Przewidując twoją zgodę, poinstruował mnie, bym cię zapewnił, że jeśli przyjmiesz jego ofertę, wszyscy posłańcy Świątyni będą na twoje usługi, abys mógł jak najszybciej skoordynować działania z nowymi sojusznikami.

- Przekaż mu, że jestem do zgonnie wdzięczny za tak hojną ofertę - oświadczył z pełną szczerością książe.

- Tak uczynię - odparł Bahrmyn. - A teraz, jeśli wasza wysokość pozwoli, opuść te gościnne progi, aby nie przeszkadzać w przygotowaniach, które zapewne zechcesz rozpocząć.

Pałac królowej Sharleyan, Cheryath, Królestwo Chisholmu

Królowa Chisholmu wpadła do sali obrad jak huragan.

Sharleyan nie była zbyt wysoką kobietą, ale w tej chwili łatwo było to przeoczyć. Jej ciemne włosy zdawały się naelektryzowane, brązowe oczy lśniły z wściekłości, a szczupłe, wręcz drobnutkie ciało wyginało się jak kawał liny, gdy zmierzała szybkim krokiem w kierunku wolnego krzesła za stołem obrad.

Usiadła i natychmiast pochyliła się nisko nad blatem, wlepiając oczy w dwóch czekających na nią mężczyzn. Żaden nie ucieszył się z tego, że młoda królowa zaszczyciła go swoim, jakże wściekłym spojrzeniem, chociaż obaj doskonale wiedzieli, że jej gniew nie jest skierowany przeciw nim.

Siedziała tak, nic nie mówiąc, około dziesięciu sekund, potem zaczerpnęła tchu i wróciła do normalnej pozycji.

- Mahrak. Sir Lewk. — Głos miała ostry, akcent godny arystokracji. - Przypuszczam, że powinnam powiedzieć „dobry wieczór”, ale nie widzę w tym zmierzchu niczego dobrego. Mahrak Sandyr, baron Zielonego Wzgórza i pierwszy doradca królestwa Chisholmu, skrzywił się nieznacznie. Znał doskonale ten ton, ale tego dnia nie miał go za złe swojej władczyni.

- Czy Mahrak wprowadził cię w aktualne sprawy? - królowa zwróciła się do drugiego z obecnych.

- Niezupełnie, wasza wysokość - odparł bardzo ostrożnie sir Lewk Cohlmy, hrabia Sharpfieldu. Był najstarszym admirałem floty Chisholmu i szczerze powiedziawszy, wolał dowodzić nią z pokładu okrętu, niż bawić się w polityczne gierki, z jakich słynął ten dwór. - Przybyłem tutaj dosłownie na chwilę przed tobą. Baron zdażył przekazać mi tylko ogólny zarys ostatnich wydarzeń. Wiem, że otrzymałaś, pani, jakąś wiadomość z Kościoła i że jej treść dotyczy podobno naszej floty.

- Pozwól, że zapoznam cię z jej treścią w skrócie - rzuciła gniewnie Sharleyan. - Dzisiejszego ranka arcybiskup Zherohm poprosił, wróć, zażądał, audiencji. Zgodziłam się na nią, rzecz jasna. Podczas spotkania poinformował mnie, że kanclerz Trynair domaga się, byśmy wsparli księcia Hektora z Corisandu w wojnie z Charisem.

- Co takiego? - W pytaniu hrabiego dało się wyczuć ogrom zaskoczenia. Spojrzał spod łba na królową, potem przeniósł wzrok na jej pierwszego doradcę. Moment później pokręcił głową i znów odwrócił się do królowej. - Wybacz, wasza wysokość. To było... niestosowne zachowanie z mojej strony. - Czuł się pewniej za dobrze znaną zasłoną kurtuazji. - Mahrak, to znaczy baron Zielonego Wzgórza, stwierdził, że wiadomość kanclerza była obraźliwa, ale nie przyszło mi do głowy, że Vyncyt mógł powiedzieć coś takiego!

- Ale jak widać, zrobił to - wychrypiała Sharleyan. W jej oczach na nowo rozgorzała furia, nozdrza rozděły się, gdy głęboko wciągnęła nimi powietrze. - Zrobił to - powtórzyła już nieco spokojniej. — I wcale się nie krępował. Wiedział doskonale, jakie stosunki łączą nas z Hektorem, ale kanclerzowi, który nawiasem mówiąc, występował w imieniu Rycerzy Ziemi Świętych, a nie Kościoła, było to najwyraźniej obojętne.

- Jakiego rodzaju wsparcie mamy mu zapewnić, wasza wysokość? - zapytał ostrożnie sir Lewk, na co królowa uśmiechnęła się blade.

- Dokładnie takie, o jakim nie chciałbyś nigdy usłyszeć, sądząc po twoim tonie - odparła. - Kanclerz oczekuje, że odkomenderujemy całą naszą flotę i oddamy ją pod rozkazy Hektora, aby mógł zaatakować Królewską Marynarkę Wojenną Charisu.

- To szaleństwo! - stwierdził hrabia. - Jesteśmy chyba jedynym ludem, którego Hektor nienawidzi bardziej od krójanów Haarahlda!

- Chyba nie jest aż tak źle - poprawił go baron Zielonego Wzgórza. - Ale z pewnością zajmujemy drugą pozycję na tej liście. Albo trzecią. Musi mieć przecież w swoich planach zdradzenie Nahrmahna.

- Ale oni proszą, abyśmy stanęli u boku największego wroga i pomogli mu w walce z naszymi najlepszymi sprzymierzeńcami! - zaprotestował hrabia z Sharpfieldu.

- Nie. Oni nie proszą - odezwała się Sharleyan. - Oni każą nam to zrobić. A my, niestety - blask w jej oczach zaczął przygasać, a szczupłe ramiona opadły - będziemy musieli zastosować się do tego polecenia.

- Wasza wysokość! - zawołał sir Lewk. - Jeśli naprawdę nie mamy wyboru, wykonam każdy rozkaz, jaki mi wydasz, ale Mahrak ma rację. Jeśli Hektor pokona Charis, a z poparciem Ziem Świątynnych nie ma możliwości, aby mu się to nie udało, zaraz potem zwróci się przeciw nam. Na pewno już sobie wszystko zaplanował. Mogę iść o zakład, kto w tej walce poniesie największe straty. Ma potężniejszą flotę od naszej i więcej stoczni. Jeśli zdoła wykrwawić nas w walce z Charisem, tym chętniej obróci się przeciwko nam.

- Wiem, wiem. - Sharleyan westchnęła głośno. Pochyliła się nad stołem, oparła łokcie o politurowany blat i zaczęła masować przymknięte powieki. Gdy opuściła dłonie, spojrzała na barona Zielonego Wzgórza.

- Czy wymyśliłeś już, Mahraku, jakiś sposób na wyplątanie się z tej kabały? - Gdy go o to pytała, przez moment wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości.

Siwowłosa pierwszy doradca zastępował ojca nastolatce, która odziedziczyła tron Chisholmu jedenaście lat wcześniej, po tym jak jej prawdziwy rodzic zginął w bitwie z piratami konfederacji Trelheimu, finansowanej (choć nioficznie) przez Corisand. Zaradzili wspólnie niejednemu kryzysowi, ale tym razem, gdy na nią spoglądał, jego twarz wyrażała tylko smutek.

- Nie, wasza wysokość - powiedział z trudem. - Rozważyłem wszystkie alternatywy, jakie mi tylko przyszły do głowy, ale żadna nie gwarantuje sukcesu. Nie możemy przeciwstawić się woli Trynaira, nie narażając się przy tym Grupie Czworka.

- Ale sir Lewk ma rację - rzuciła w desperacji. - Jeśli, a raczej: kiedy Hektor zwycięży, uderzy na nas przy pierwszej sposobności. A bez Charisu, który wiąże jego siły, nie damy rady całej potędze Corisandu. Zatem bez względu na to, czy spełnimy żądanie Trynaira czy też nie, staniemy na przegranej pozycji.

- Rozumiem, wasza wysokość. - Baron Zielonego Wzgórza podrapał się po czole. Niewielu ludzi wierzyło, że młoda królowa Sharleyan utrzyma się na tronie ojca. Po części jej nie doceniali, lecz głównym ich błędem okazało się pominięcie w rachubach Mahraka Sandyrza. Ale tym razem nawet pierwszy doradca nie potrafił znaleźć dobrego wyjścia. - Rozumiem - powtórzył. - Wiemy jednak doskonale, co będzie, jeśli sprzeciwimy się Trynairowi. Gdy go posłuchamy, istnieje szansa, choć niewielka, że obronimy się potem przed zakusami Hektora. Moim zdaniem kanclerz nie może pozwolić, by książę Corisandu stał się zbyt potężnym władcą. W takim wypadku pozostaniemy jedynym królestwem, które będzie dlań przeciwwagą w tym regionie świata.

- Wybacz mi, wasza wysokość - wtrącił hrabia - ale uważam, że zwycięstwo Hektora i Nahrmahna nad Charisem nie jest wcale z góry przesądzone, nawet w przypadku gdy ich wesprzemy. Nasze połączone floty będą miały wprawdzie liczebną przewagę nad siłami Haarahlda, ale jego galery są nie tylko większe, ale i silniej uzbrojone. Muszę też przyznać, a czynię to z prawdziwym bólem, że ma też znacznie lepiej wyszkolone załogi. Będzie polował na mniejsze eskadry naszej floty i rozbijał je w pył. A jeśli nawet zmusimy go do wielkiej bitwy, w której będziemy mieli przewagę liczebną, da z siebie wszystko. Bardziej prawdopodobny jest jednak scenariusz, w którym pozostawi swoje siły w portach, kryjąc się za fortcami na wyspach Helena i Zamek, i skupi się na obronie prowadzących do nich przesmyków. A na tak wąskich akwenach nasza przewaga liczebna nie będzie miała żadnego znaczenia. Jeśli okopie się na linii Gardzieli, będzie mógł poczekać, aż znowu rozproszymy siły, a w takim wypadku zadanie Charisowi zabójczego ciosu będzie wręcz niemożliwe.

- Wybaczcie - powiedziała Sharleyan. - Zapomniałam
0 czymś powiedzieć. Zgodnie z tym, co mówił Vyncyt, nie będziemy jedynymi sprzymierzeńcami Hektora. Dodał do tej li-sty jeszcze Dohlar i Tarota. Hrabia Sharpfieldu spoglądał na nią przez chwilę, mil-cząc, potem pokręcił wolno głową.

- Na niebiosa, co Charis uczynił, że spotyka go taka kara?

- Nie mam pojęcia - przyznała szczerze Sharleyan. - Ofi-cjalna wersja jest taka, że Haarahld zamierza zaatakować Hektora, a Rycerze Ziem Świątynnych chcą mu to uniemoż-liwić, aby nie zrealizował planu zmonopolizowania świato-wego handlu. - Oczy hrabiego rozszerzyły się ze zdumienia, moment później wybuchnął głośnym śmiechem. - Wiem, że to jedno wielkie smocze gówno - rzuciła pogardliwym tonem. - Moim zdaniem stoi za tym Clyntahn. Nie ufa nikomu, kto mieszka z dala od Świątyni, a wszystkie nowości pochodzą-ce z Charisu - żaglowce, maszyny przędzalnicze i dziewiar-skie czy też cyfry - musiały doprowadzić go do białej gorączki. A to jest jego odpowiedź. Czegóż innego można się spodzie-wać po takiej cudzołóżnej świni?

- Wasza wysokość - napomniał ją ściszym głosem ba-ron Zielonego Wzgórza. Spojrzała na niego, a on pokręcił głową.

- Niech ci będzie, Mahraku - stwierdziła chwilę później mniej zgryźliwym i o wiele poważniejszym tonem. - Powścią-gnę język. Ale to jeszcze nie znaczy, że powiedziałam choć słowo nieprawdy. Tak samo, jak nie zmienia faktu, że jeśli dojdzie do połączenia naszej floty z Hektorem, Nahrmanem, Dohlarzem i nawet Tarotem, Charis będzie zgubiony.

- Nie zmienia - zgodził się baron. Usiadł na swoim fotelu
1 oparł obie ręce na podłokietnikach. - Z drugiej jednak stro-ny. przy tak ogromnym nagromadzeniu okrętów Hektor nie będzie potrzebował całej naszej floty, aby pokonać Haarahlda.

- Do czego zmierzasz? - wtrąciła Sharleyan, ledwie za-milkł, by zaczerpnąć tchu.

- Do tego, że połowa naszej floty jest właśnie w remon-cie. Nikt przecież nie uprzedzał waszej wysokości, że sąsiad i wielki przyjaciel Chisholmu będzie potrzebował pomocy w odparciu agresji Charisu. - Umiech barona Zielonego Wzgó-rza mógłby skwasić nawet świeże mleko. - Dlatego nikt nie może mieć nam za złe, że nie zdołamy zmobilizować na czas wszystkich rezerw... - Kiedy znów na moment zamilkł, wo-kół stołu zapanowała kompletna cisza. Zebrani pogrzyżyli się w rozmyślaniach i kalkulowaniu.

- To może być bardzo ryzykowna gra, Mahraku - stwier-dził w końcu hrabia Sharpfieldu. - Ta sprawa z Rycerzami Ziem Świątynnych to jakaś totalna bzdura. Jeśli stoi za nią Kościół, możemy być pewni, że każdy klecha i zakrystian w królestwie jest dzisiaj potencjalnym szpiegiem Świątyni. Jeśli Trynair albo co gorsza Clyntahn uzna, że celowo nie wsparliśmy tej krucjaty... - zawiesił głos i pokręcił głową.

- Tak, to może być ryzykowne posunięcie - zgodziła się Sharleyan - ale patrząc na to z drugiej strony, Mahrak ma rację. Sam narzekałeś w zeszłym miesiącu przed członkami parlamentu, jak niewielkie mamy rezerwy i ile drewna oraz olinowania trzeba, aby flota odzyskała pełną gotowość bojo-wą. Mamy to wszystko spisane.

- Od lat narzekałeś też - wtrącił baron - na łapownic-two w administracji floty. Spójrz na to tak. Jeśli przekazemy rozkazy najbardziej niekompetentnym z dowódców, może-my być pewni, że sami dokonają sabotaży na swoich jednost-kach, byle nie wyjść w morze. Nawet nie będziemy musieli im w tym pomagać. A kiedy to uczynią, nie tylko pozostawimy w portach znaczną część naszych sił, chroniąc przed zniszcze-niem, ale zyskamy też szczerze i prawdziwe wytłumaczenie, jeśli nawet sam Trynair zainteresuje się tą sprawą. - Pierw-szy doradca uśmiechnął się paskudnie. - Naprawdę uważasz, że patroni, którzy chronili ich do tego momentu, będą to robili nadal, kiedy złożymy ich na ołtarzu Kościoła Mat-ki, uspokajając jego gniew?

- Mahraku, to brzmi bardzo kusząco - przyznał hrabia, uśmiechając się pod nosem, tym razem szczerze, gdyż czerpał z tego pomysłu ponurą satysfakcję.

- Wydaje mi się, że Mahrak ma rację - stwierdziła Sharleyan, kiwając głową. - Może to niewiele, ale przynajmniej tyle możemy zrobić. A co ważniejsze, myślę, że uda nam się z tego wypłatać, dzięki czemu przetrwamy. Ale jeśli Kościół idzie na coś takiego, ponieważ Charis nie podoba się wielkiemu inkwizytorowi, nikt już nie może czuć się bezpiecznie. Zresztą, gdy zniknie problem Tellesbergu, Clyntahn zacznie od razu szukać następnej ofiary, zapewne równie odległej od Ziemi Świętych.

- Niewykлучzone, wasza wysokość - przyznał niechętnie baron Zielonego Wzgórza. - Obserwowaliśmy rozwój tej sytuacji od bardzo dawna, nie przypuszczaliśmy tylko, że wybuchnie już teraz jak przysłowiowa beczka prochu. Ale to nadal najlepsze rozwiązanie, jakie mamy.

- Wiem. - Sharleyan westchnęła głośno, na jej twarzy malował się smutek. - Gdyby tylko dano mi możliwość wyboru - dodała płaczliwie - bez wahania stanęłabym po stronie Haarahlda. Gdyby tylko miał minimalne szanse na wygrana, porzuciłabym naszego sojusznika z przymusu, bez względu na poparcie Kościoła.

- W takim razie może to i lepiej, wasza wysokość, że Charis nie ma żadnych szans - wtrącił cicho Mahrak Sandrys. Spojrzała na niego i zobaczyła, że jego uśmiech nie jest wiele weselszy niż jej własny. - Mógłby mieć minimalne szanse na przetrwanie ataku, ale stanowisko Kościoła... - Pierwszy doradca pokręcił głową. - Ja także szanuję Haarahlda - dodał. - I wiem, że sojusz z nim byłby nieskończenie lepszy niż z Hektorem. Ale Charis jest skazany na zagładę, wasza wysokość. I nie możemy tego zmienić.

- Wiem - wyszeptała Sharleyan. - Wiem.

III

Pałac królewski, Tellesberg

J

ak źle to wygląda? - zapytał hrabia Szarej Zatoki.

Lampy oliwne paliły się jasnym płomieniem, oświetlając wnętrze komnaty Rady i leżącą na stole ogromną mapę. Skopiowana z atlasu „archanioła” Hastingsa, ukazywała całe terytorium Charisu oraz morze aż po zachodnie wybrzeża wyspy Zebediah. Na jej drugim krańcu widać było królestwo Tarota, wschodni skraj Rąfy Armagedonu i sporą część Morza Sprawiedliwości.

Wśród obecnych był hrabia Szarej Zatoki, jak również król Haarahld, ale brakowało większości członków Rady. Baron Gromu siedział tam gdzie zawsze, biskup Maikel zajmował miejsce po lewej stronie władcy, a Merlin i Cayleb usiedli obok siebie, naprzeciw króla. Porucznik Falkhan stał za plecami ubranego w znoszoną tunikę i nie mniej wytarte spodnie księcia. Przybyli z Wyspy Heleny najszybciej, jak się dało, na pokładzie szkunera należącego do floty, a następca tronu nie chciał tracić czasu na przebieranie się w dworskie szaty.

Gdy pytanie hrabiego Szarej Zatoki zawisło w powietrzu, oprócz tej szóstki w wielkiej sali narad nie było nikogo innego.

- Tak źle, jak to tylko możliwe - odparł chwilę później Cayleb grobowym głosem. - Zgodnie z ostatnią wizją Merlina, Grupa Czworga postanowiła raz na zawsze rozwiązać problem Charisu.

- Co widziałeś, sejjinie? - zapytał biskup Maikel.

- Odpowiedz, proszę - zachęcił go Haarahld. Merlin spojrział na niego niezdecydowanie, ale znużony władca uśmiechnął się tylko. - Nie mam żadnych tajemnic przed spowiednikiem, ufając, że nie dzieli się wszystkim ze swoimi zwierzchnikami.

- Tajemnica spowiedzi jest nienaruszalną świętością, wasza wysokość - oświadczył zdecydowanie Staynair.

- Nawet w przypadku, gdy arcybiskup zażąda jej złamania? - zapytał Haarahld tonem, który sugerował, że jest gotów do dłuższej dyskusji na ten temat.

- Sumienie kapłana i jego wiara wymagają, by był odporny na wszelkie żądania ze strony śmiertelnego człowieka - odparł Maikel. Merlin zrobił wielkie oczy, słysząc tak stanowcze stwierdzenie padające z ust biskupa tutejszego Kościoła, gdyż nawet jak na obecne warunki wydało mu się ono zadziwiające, ale Staynair jeszcze nie skończył mówić. - Oparłbym się takiemu żądaniu nawet wtedy, gdyby arcybiskup wart był pierścienia, który nosi. A ten najwyraźniej nie zalicza się do takiej kategorii.

- Widzisz, Merlinie? - Haarahld pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmiech. Ten był bardziej szczery i nieco radośniejszy. - Co może począć śmiertelny władca, gdy wpadnie w łapy takiego doradcy?

- Tego nie wiem, wasza wysokość - odparł Merlin po chwili milczenia. - Chociaż podejrzewam, że mógłbyś trafić w znacznie gorsze towarzystwo. - Podniósł się z fotela, by złożyć pokłon biskupowi.

- Mam nadzieję, że my wszyscy nie trafimy przed oblicze Boga z powodu mojego „towarzystwa”, seijinie - oświadczył oschle Staynair. - Dlatego proszę, powiedz mi, co widziałeś.

- Oczywiście, ekscelencjo. - Merlin usiadł i przeczyścił gardło, zanim zaczął. - Nie wiem, co znajdowało się w raportach wysyłanych przez arcybiskupa Erayka - zaczął - ale z tego, co widziałem i słyszałem podczas jego wizyty duszpasterskiej, starał się ze wszystkich sił załagodzić sytuację, chociaż czynił to wyłącznie po to, by chronić siebie. Zresztą nie udało mu się osiągnąć celu. Agenci kanclerza Trynaira skontaktowali się właśnie z Hektorem, Sharleyan, Rahnyldem i Gorjahem. Nie było ich jeszcze u Nahrmahna, ale to, jak sądzę, tylko kwestia czasu. W minionym pięciodniu przez Morze Chisholmskie przetoczył się paskudny sztorm. Moim zdaniem zmierzający do Eraystoru statek kurierski nie mógł pokonać cieśnin przy takiej pogodzie. W każdym razie nie ma szans na ten sojusz bez udziału księcia Szmaragdu, zwłaszcza że arcybiskup Borys nalegał, by połączone floty spotkały się na wodach Zatoki Eraystorskiej. Hektor bardzo się ucieszył, słysząc o otwartym wsparciu Rycerzy Ziemi Świętych, i natychmiast przystał na ich plany. Sharleyan była o wiele mniej zadowolona. Prawdę powiedziawszy, wpadła w furję, ale ani ona, ani baron Zielonego Wzgórza nie znaleźli sposobu, by odmówić i jednocześnie ocalić własny kraj. Gorjah był nieco mniej szczęśliwy z takiego obrotu sprawy niż Hektor i gdyby ta decyzja należała tylko do niego, pewnie rozważyłby poparcie Charisu, niestety, mając Makgregaira na karku, musiał wezwać ambasadora Corisandu i oświadczyć mu, że Hektor może liczyć na wsparcie ze strony floty Tarota.

- A Rahnyld? - zapytał Maikel, gdy seijin zamilkł na chwilę.

- A Rahnyld ucieszył się z tej propozycji nie mniej niż Hektor - odparł stanowczo Merlin. - Miał na karku spore długi w Świątyni, a Trynair zgodził się umorzyć wszystkie odsetki w zamian za jego udział. Rycerze Ziemi Świętych obiecali lukratywne subsydia dla Dohlaru, Tarota i Chisholmu, które powinny pokryć wszelkie wydatki wojenne. Dla Rahnylda to znakomita okazja do wyciągnięcia ogromnych pieniędzy na operację, która w jego mniemaniu niewiele będzie kosztować... nie licząc rzecz jasna ofiar wśród jego poddanych... a do tego Charis zniknie z listy konkurentów na morzu.

- Idę o zakład, że jego admirałowie cieszą się z tego znacznie mniej niż on sam - wtrącił Haarahld, uśmiechając się ponuro.

- Księżę Malikai sądzi, że to znakomity pomysł - odparł Merlin. - Hrabia Thirsku jest znacznie mniej entuzjastycznie nastawiony. Ale nie przyzna się do tego, ponieważ król jest zachwycony perspektywami podbojów.

- Różnica wynika z tego, że pan na Thirsku jest marynarzem, a władca Malikai zwykłym szcurem lądowym, chociaż to jemu Rahnyld przyznał stopień wielkiego admirała - powiedział Haarahld.

- Obawiam się, wasza wysokość, że naprawdę niewiele wiem na ich temat - odparł Merlin, na co król zareagował parsknięciem.

- Hrabia Thirsku jest żeglarzem, jakich pełno w każdej flocie świata. Moim zdaniem, które z pewnością odbierzesz jako stronnictwo, do pięć nie dorasta naszym admirałom, ale nie jest też głupcem, i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co Trynair i Clyntahn kazali zrobić jego flocie. I jak słabo są przygotowane jego okręty. Natomiast książę Malikai nigdy nie służył na morzu. Nie musiał; stanowisko admirała floty dostał dzięki urodzeniu i koneksjom. Sercem pozostał jednak dowódcą armii lądowej. Prawdę powiedziawszy, hierarchia sił zbrojnych Dohlaru jest taka, że flota podlega armii lądowej. Wydaje mi się, że on naprawdę nie ma pojęcia o tym, czym jest wyprawa morska na odległość czterestu czy piętnastu tysięcy mil...

- ...która może nie być aż tak trudna, jak prorokujemy, ojcze - wtrącił cicho Cayleb. Król spojrział na niego tak ostro, że posmutniały książę skulił ramiona. - Reprezentanci Rady kontaktowali się także z przedstawicielami imperatora oraz książętami Selkaru i Marathy. Prosilili o otwarcie tamtejszych portów dla przepływającej floty Dohlaru.

- Rozumiem. - Haarahld odchylił się do tyłu i zaczerpnął głęboko tchu. - Rozumiem - powtórzył. - To rzeczywiście poprawia ich sytuację. Ale nadal będą musieli działać przy liczących tysiące mil liniach zaopatrzenia, tyle także będzie liczyła trasa ich ewentualnego odwrotu. To nie pozostanie bez wpływu zwłaszcza na morale załóg i ich agresywność. Okręty także ucierpią podczas tak długiej podróży. Zwłaszcza gdy miną Ziemię Samsona i zaczną przeprować się przez Morze Sprawiedliwości. - Uśmiechnął się blade. - Ich galeony są znacznie gorzej przystosowane do pokonywania otwartego morza niż nasze, a pamiętacie, ile mieliśmy z nimi problemu podczas dalekich wypraw. Dna tych jednostek zaczną szybko porastać, a olinowanie parcieć, wskutek czego... jeśli moje szacunki nie są przesadzone... stracą co najmniej kilkanaście jednostek podczas przeprowy. Nawet przy słabych wiatrach i dobrej pogodzie.

- To prawda, wasza wysokość - stwierdził hrabia Szarej Zatoki - ale z tego co widać, Grupa Czworoga potrafi działać znacznie szybciej, niż sądziliśmy.

- Nie mylisz się — przyznał Merlin. — To właśnie najbardziej mnie niepokoi. Arcybiskup Zherohm pojawił się u Sharleyan tego samego dnia, gdy arcybiskup Corisandu, Borys, przedstawił zarysy planu Hektorowi. Chociaż wikariusze będą się starali zachować pozory, że to książę Corisandu dowodzi wyprawą, tak naprawdę za wszystkie sznurki będzie pociągał Trynair. Grupa Czworoga powiedziała sprzymierzeńcom Hektora, co mają robić, zanim on się dowiedział, że ich w ogóle ma, a gdy nadejdzie pora, ktoś, zapewne Magwair, będzie jedyną osobą mogącą wydawać rozkazy połączonym siłom.

- A to sugeruje, że muszą działać szybciej, niż sądzimy - wtrącił hrabia Szarej Zatoki, kończąc zdecydowanym skinieniem głowy.

- To zaś z kolei sugeruje, że pozostało nam znacznie mniej czasu, niż sądziliśmy - dodał Cayleb.

- Masz rację - przyznał jego ojciec i wyduł policzki, pograżając się w zamyśleniu. — Dobrze - dodał po chwili. - Założmy, że Trynair i Magwair zdołali to wszystko zorganizować, a ich kompani zaakceptowali cały plan, chociaż osobiście stawiałbym na to, iż mamy do czynienia z dziełem Clyntahna, i że rozpoczną działania, jak tylko otrzymają odpowiedź od Hektora. Mamy połowę września. Wiadomość od Hektora dotrze do Świątyni na początku października. Jeśli Magwair od razu powiadomi o tym Rahnylda, ten wyruszy w morze około trzeciego pięciodnia października. - Przebiegł palcem po mapie na północ i zachód od Rify Armagedonu, wiodąc za nim skupionym wzrokiem. - Zakładając, że nie

przeszkodzą im sztormy i inne nieprzyjemne przygody, znajdą się w Kotle najpóźniej pod koniec listopada albo w pierwszym pięciodniu lutego. Żeby tego dokonać, muszą płynąć wzdłuż wybrzeży Howardu i Haven, potem przeciąć północne wody terytorialne Tarota. Będą wyczerpani. A każdy marynarz doskonale wie, że powinien dobrze wypocząć, zanim przystąpi do walki. Dlatego przypuszczam, że zrobią sobie mniej więcej miesięczny postój w Tarocie, aby podreperować morale i siły przed wyprawą na południe przez wody Kotła, a potem drogą okrężną do Eraystoru. - Postukał palcem w wody dzielące Tarot od Charisu, potem zamilkł. Spojrzał po zebranych, czekając na odmienne opinie, ale wszyscy zgodnie kiwali głowami. - To, że Magwair nie ma doświadczenia w walce na morzu, i fakt, że tak bardzo mu się śpieszy, może zadziałać na naszą korzyść. Wprawdzie nie zamierzam liczyć na to, dopóki nie rozeznamy się lepiej w sytuacji, ale jeśli będziemy mieli wielkie szczęście, to nasz przyjaciel spróbuje wysłać swoje siły przez Morze Parkera, aby ominąć Lament MacPhersona. Jak już wcześniej wspominałem, nie liczę na to, ale muszę przyjąć założenie, że Hektor postawił w stan gotowości jednostki w czynnej służbie i ogłosił już pełną mobilizację rezerwowych galer - ciągnął. - Nahrman uczyń to samo, gdy tylko posłańcy dotrą do niego z informacjami o nowym układzie. O ile ta kurdupłowata tłusta menda nie uszczęśliwi nas, zdychając na apopleksję, ledwie się dowie

o planie Rycerzy. Obawiam się jednak, że na to też nie ma wielkich szans. Ale zebranie rezerw powinno zająć im, Nahrmanowi z Hektorem, około dwóch miesięcy. Zatem Corisand będzie gotowy do wyruszenia na kilka pięciodni przed tym, jak okręty Thirsku i Malikai spotkają się z siłami Gorjaha. Nahrman powinien uwinąć się w tym samym terminie, zgodnie z planami Magwaira. O ile uda im się powiadomić go w odpowiednim czasie. W przeciwnym razie może się spóźnić z przygotowaniami. Z drugiej jednak strony, on znajduje się najbliżej, więc oszczędza czas potrzebny na przeprawę... - Król zamilkł po raz kolejny, z poważną miną przyglądał się kolejnemu fragmentowi mapy. Wodził oczami tam

z powrotem przez kilka sekund, potem raz jeszcze skinął głową. - Skoro to wszystko ma pozostać dla nas do samego końca tajemnicą, a ludzie, którzy zaplanowali tę operację, nie wiedzą więcej o walce na morzu niż książę Malikai, z pewnością będą liczyli na element zaskoczenia i przewagę liczebną. Wprawdzie nie istnieje sposób na niezauważone przesunięcie do Charisu tak znacznych sił, jak cała flota Dohlaru, ale oni najwyraźniej nie zdają sobie z tego sprawy. Dlatego spróbują odwrócić naszą uwagę od tego ruchu, kierując siły Hektora, Sharleyana i Nahrmana na Zatokę Skalistej Mielizny i Gardziel. Będą liczyli na to, że nie zdołamy wycofać z tamtych rejonów liczących się sił, jeśli nawet się zorientujemy, iż nadpływają floty Dohlaru i Tarota. - Cofnął palec na Morze Charisjańskie, pomiędzy Ziemię Margaret i Szmaragd. - Jeśli poczują się naprawdę pewnie, mogą spróbować wziąć nas w kleszcze pomiędzy... nazwijmy je Południową i Północną Flotą. Takie myślenie jest typowe dla szczerów lądowych, przyzwyczajonych do systemów szybkiego przesyłania wiadomości między oddalonymi jednostkami. Jeśli jednak mają odrobinę oleju w głowie, spróbują połączyć wszystkie siły w jedną, gigantyczną flotę i ruszą prosto na nasze okręty. - Zaciął dłoń w pięść i uderzył nią w wody obok Zatok Skalistej Mielizny.

- Jaką przewagę uzyskają nad nami przy najgorszym z możliwych układów? - zapytał szeptem biskup Maikel.

- Wielką - odparł król szczerze, siadając w fotelu i opierając ręce na podłokietnikach. - Zakładając, że Hektor i Nahrman zdołają uruchomić wszystkie rezerwy, a Rahnyld i Gorjah zrobią to samo, wyślą w morze trzysta dwadzieścia galer. Chisholm ma trzydzieści jednostek w czynnej służbie i kolejne pięćdziesiąt w rezerwie, jeśli więc cała flota Sharleyana dołączy do nich, liczba ta wzrośnie do prawie czterystu galer. My mamy około osiemdziesięciu galer w czynnej służbie i ani jednej w rezerwie. Do tego piętnaście w pełni sprawnych galeonów i kolejnych sześć przerobionych z jednostek kupieckich, ale dopiero

wyposażanych. Zakładając, że flota Dohlaru nie wpłynie na nasze wody przed pierwszym pięciodniem lutego, powinniśmy zwiększyć stan posiadania do trzydziestu pięciu albo trzydziestu sześciu w pełni sprawnych jednostek nowego typu i dalszych piętnastu albo szesnastu w rozmaitych stadiach produkcji. Ale to da co najwyżej sto dwadzieścia okrętów. Galer i galeonów.

- Nie zapominaj o szkunerach, ojciec - poprosił Cayleb. - Będziemy ich mieli co najmniej tuzin, jeśli nie więcej.

- To prawda - przyznał Haarahld. - Ale musimy pamiętać, że nie da się ich tak dobrze uzbroić i mają o wiele szczuplejsze załogi.

- Nawet wtedy będą mieli nad nami przewagę cztery do jednego - wtrącił Staynair.

- Dokładnie, Maikelu - zgodził się król.

- Jeśli skupimy się na obronie zatoki, zniwelujemy tę przewagę w znacznym stopniu - zauważył hrabia, przyglądając się mapie. - A jeśli wycofamy się z Zatoki Skalistej Mielizny i okopimy na wyspie Zamek, będą musieli atakować frontalnie na bardzo wąskim akwenie.

- Nie. - Haarahld zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. - To znaczy, zgadzam się z tym, co powiedziałeś, Rayjhisie, ale jeśli przełożymy im inicjatywę, przegramy z kretelem. Możemy trafić na silne wschodnie wiatry, które wieją co prawda rzadko, ale raczej wiosną niż w innych porach roku, i zostaniemy przygwożdżeni do wyspy Zamek albo Kłuczy. Poza tym, działając w kanale północnym, utracimy szansę na wszelką przewagę, którą zyskalibyśmy dzięki wynalazkom zamontowanym na naszych galeonach przez Hyndryka, Olyvyra i Merlina. Zaprojektowano je do niszczenia galer z wielkiej odległości, nie do walki burta w burtę. Jeśli zdołamy ich tam zwabić, czyli jak to ująłeś, zmusimy do frontalnego ataku, zanim się dowiedzą, czym dysponują nasze galeony, już sam widok szkół, jakie jesteśmy w stanie poczynić, powinien wywołać panikę i zmusić ich do wycofania. Ale równie dobrze mogą przetrzymać ostrzał i jeśli napłyną tam w tak ogromnej liczbie, nawet wysokie straty będą niczym przy takiej masie okrętów: efekt będzie jeden, zaleją nas i zniszczą. Zapłacą wysoką cenę, ale stać ich na to. Jeśli są sprytniejsi, niż nam się wydaje, mogą odmówić współpracy i nie wdadzą się w wielką bitwę. Zablokują nas tam i zignorują, zyskując czas na przerzucenie całych armii ze Szmaragdu i Corisandu, aby wylądować w Zatoce Skalistej Mielizny i uderzyć na Klucze od lądu, nie napotykając oporu naszej floty.

- Jeśli nie tutaj, wasza wysokość, to gdzie mamy się bronić? - zapytał całkiem rozsądnie hrabia Szarej Zatoki.

- Nie zdołamy wygrać, jeśli będziemy przez cały czas w defensywie - odparł Haarahld. - Naszą jedyną szansą jest uderzenie na nich.

- Co powiedziałeś, wasza wysokość? - Hrabia Szarej Zatoki zadał to pytanie takim tonem, jakby naprawdę nie rozumiał odpowiedzi króla. Haarahld słysząc je, wybuchnął śmiechem.

- Zastanawiasz się, czy aby nie postradałem w końcu zmysłów, przyznaj, że tak, Rayjhisie?

- Nie miałem niczego takiego na myśli, Wasza Wysokość. - W głosie hrabiego wciąż pobrzmiwało powątpiewanie, ale w oczach dało się też dostrzec pierwsze oznaki rozbawienia.

- Nie zaprzeczaj - naciskał go Haarahld. - Oby tylko druga strona pomyślała o mnie to samo.

- A co naprawdę chciałeś przez to powiedzieć, ojciec? - zapytał Cayleb, wpatrując się intensywnie w Haarahlda.

- Wątpię, aby Sharleyan stała się najbardziej waleczną przywódczynią Floty Północnej - odparł władca. - Jeśli zostanie zmuszona do współpracy, jej admirałowie nie rzucą się ochoczo do realizowania planów Hektora. Wydaje mi się więc, że dodanie jej okrętów do

połączonych flot Szmaragdu i Corisandu nie musi zmienić panującego w tym rejonie układu sił. W każdym razie nie aż tak bardzo, jak by na to wskazywały liczby.

- Wydaje mi się, wasza wysokość, że co do tego masz rację - wtrącił Merlin. - Sądzę, że królowa Sharleyan wycofa się tak szybko, jak tylko będzie mogła.

- Co nie powinno nikogo zdziwić, zważywszy na jej stosunek do Hektora - zgodził się hrabia Szarej Zatoki, a Haarahld skinął głową.

- Właśnie. Tak więc do czasu, gdy dotrą tutaj floty Dohlaru i Tarota, będziemy musieli liczyć się z siłą około stu pięćdziesięciu galer, bo tyle Hektor i Nahrmahn mogą zmobilizować przeciw nam. Pytanie tylko, ile okrętów Nahrmahna będzie gotowych na czas, zważywszy na opóźnienia w przekazaniu wiadomości. Dlatego sądzę, że nasze szanse będą o wiele wyższe, niż sądziliśmy. Wątpię również, żeby nasz sprytny, „pociągający za sznurki” przyjaciel ze Świątyni zdecydował się na natychmiastowe wkroczenie do akcji okrętów Tarota. Na razie cały plan zasadza się na całkowitym zaskoczeniu naszych sił. Gorjah będzie zgrywał naszego stronnika do ostatniej chwili, zmieni barwy dopiero, gdy wszystko wyjdzie na jaw. Plan przeciwnika polega więc najprawdopodobniej na wcześniejszym połączeniu sił Dohlaru z Tarotem, jeszcze na Morzu Sprawiedliwości, przed wpłynięciem na nasze wody terytorialne.

Merlin siedział na swoim fotelu, kiwając głową ze zrozumieniem. Nimue Alban była całkiem niezłą specjalistką od taktyki, ale jego zdaniem przywódcą tej operacji mógł być tylko król Haarahld VII.

- Którą drogę, twoim zdaniem, wybiorą po połączeniu sił, ojczyste? - zapytał Cayleb.

- Ciężko powiedzieć. - Król wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że dowiemy się tego z wizji Merlina. Jak również gdzie się znajdują w danym momencie, abyśmy mogli śledzić ich ruchy. - Spojrzał pytająco w stronę sejjina, a ten potwierdził skinieniem głowy.

- Nie mogę zagwarantować, wasza wysokość, że uda mi się podejrzeć i podsłuchać wszystkich dowódców wroga - odparł Merlin - ale trasę floty powinienem znać dokładnie.

- Świetnie - ucieszył się Haarahld. - Ale wracając do twojego pytania, Caylebie.

Najkrótsza jest trasa północna, przez Kocioł i przesmyk Tranjyr wokół Odszkodni. - Mówiąc to, przesunął palcem po mapie. - Ale to także trasa, której powinniśmy, według nich, najpilniej strzec - kontynuował - dla tego mogą wybrać południowe przejście, zważywszy na to, że będą mieli na Morzu Sprawiedliwości korzystniejsze wiatry wiejące z północnego wschodu. - Cofnął palec dalej na południe, wzdłuż wschodnich krańców Rify Armagedonu, przez Morze Parkera na zachód od Ziemi Tryona, a potem w górę, ku Lamentowi MacPhersona na drugą stronę Zatoki Linde- na. - To dłuższa trasa, ale mogą ją pokonać szybciej. W lutym na tych szerokościach geograficznych zaczyna się lato, będą więc mieli najlepszą pogodę na taką wyprawę. A galeony Dohlaru mogą tego bardzo potrzebować... - Zamilkł po raz kolejny, wpatrując się uważnie w mapę, potem podniósł wzrok, oczy zaślniły mu w świetle lamp. Uśmiechnął się, ale to nie był przyjemny widok. - To, którą trasę wybiorą, nie ma jednak najmniejszego znaczenia - powiedział im. - I tak będą musieli zahaczyć o południowe krańce Morza Sprawiedliwości, tam też wyznaczają sobie miejsce spotkania, nie wiedząc o tym, że Merlin poda nam dokładną lokalizację i czas. Dlatego nie będą się spodziewali, że zdołamy ich przejść kilka tysięcy mil od celu.

- Przejść ich, wasza wysokość? - W tym pytaniu hrabiego Szarej Zatoki nie dało się wychwycić zbyt wiele zaskoczenia, zauważył Merlin.

- To ostatnia rzecz, jakiej się będą spodziewali - wyjaśnił Haarahld - co jest chyba zrozumiałe. Nawet przy założeniu, że będziemy oczekiwać ich przybycia, a jak wiemy, geniusze planujący tę wyprawę są przekonani, że do końca pozostaniemy w niewiedzy, na myśl im nawet nie przyjdzie, że możemy ich znaleźć na pełnym morzu. Tak samo jak nie posądzą nas o podzielenie sił i wysłanie ich na tak ogromny akwen, gdzie nietrudno się minąć, nawet gdyby podejrzewali, że posiadamy wystarczającą liczbę okrętów, by to zrobić.

- Co z kolei oznacza, że zaskoczenie zacznie sprzyjać nam, nie im - dodał Cayleb, a oczy natychmiast mu pojaśniały. Też raz przypominał ojca bardziej niż kiedykolwiek.
- Otóż to - zgodził się Haarahld. - Morskich bitew nie wygrywają okręty, Rayjhisie, tylko ludzie. A dowódcy i załogi tamtych galer osłupieją, gdy Królewska Marynarka Wojenna uderzy na nich całe pięciodnie od wód Charisu. To powinno wywołać taką panikę, że połowa z nich zacznie się wycofywać, zanim zdążymy oddać pierwszą salwę.
- Z całym szacunkiem, wasza wysokość, ale lepiej, żeby to była prawda - oświadczył hrabia Szarej Zatoki. - Zakładam, że zaplanowałeś wysłanie tam naszych galeonów?
- W końcu zaprojektowano je do prowadzenia walki na otwartych wodach - odparł Haarahld. - Tam będziemy mogli wykorzystać do maksimum wszystkie ich zalety, nie mówiąc już o wadach galer.
- Zgoda. Ale żeby tam dotrzeć na czas, zakładając oczywiście najgorszy scenariusz, w którym Południowa Flota pojawia się na naszych wodach na początku lutego, nasze okręty musiałyby wyruszyć w połowie listopada. Ile ich wtedy będziemy mieli?
- Merlinie? Caylebie? - Haarahld spojrzał w ich stronę, a seijin natychmiast obrócił się do księcia.
- A gdybyśmy tak porzucili prace nad dopiero rozpoczętymi jednostkami i skupili wszystkie siły na dokończeniu najbardziej zaawansowanych? - zapytał następcę tronu.
- To... mogłoby się udać. - Merlin podkręcał przez chwilę węża, potem skinął głową. - Jeśli postąpimy w taki sposób, będziemy mieli w połowie listopada około trzydziestu galeonów gotowych do wyjścia w morze. Może nawet ze dwa więcej. Ale obsadzimy je naprawdę zielonymi załogami.
- Obsady dział nie będą aż tak zielone - zaprotestował książę. - No i dostaną cztery, jeśli nie pięć pięciodni na ćwiczenia żeglarskie i strzeleckie podczas rejsu.
- To też prawda. - Seijin rozważał przez chwilę słowa następcy tronu, potem spojrzał w stronę króla.
- Wydaje mi się, że możemy liczyć na trzydzieści jednośtek, wasza wysokość - stwierdził.
- Przeciw stu sześćdziesięciu galerom - wtrącił hrabia Szarej Zatoki.
- To wygląda źle tylko wtedy, kiedy porównujesz liczby - zapewnił go Haarahld. Hrabia spojrzał na niego z niedowierzaniem, więc władca wyjaśnił, krzywiąc się niemiłosiernie: - Niech ci będzie, to wygląda źle, bo wróg ma przewagę liczebną. Ale nie jest ona aż tak wielka, jak by się mogło wydawać. Albo te nasze wynalazki zadziałają, albo nie. Jeśli mają nam pomóc, to tam właśnie będą idealne warunki do ich wypróbowania. Jeśli nasze galeony spowodują wystarczające zniszczenia i wywołają panikę w szeregach wroga, Południowa Flota może zawrócić nawet w przypadku, gdy jej straty nie będą duże. W takiej sytuacji galeony wrócą nasze wody terytorialne, abyśmy mogli skoncentrować wszystkie siły celem odparcia Północnej Floty.
- Zakładając oczywiście, że nasze galery zdołają uniknąć kontaktu bojowego do powrotu galeonów - rzucił hrabia Szarej Zatoki. Biskup spojrzał na niego spod łba, na co pierwszy doradca uśmiechnął się po łotrykowski. - Byłem kapitanem galery, ekscelencjo, a każdy oficer służący na morzu wie, że jak coś może pójść nie tak, to na pewno pójdzie.
- Racja - przyznał Haarahld. - Ale ta zasada dotyczy obu stron konfliktu.
- Też prawda - przyznał hrabia.
- Za tymi słowami musi się coś kryć, Rayjhisie! - stwierdził król i roześmiał się na cały głos. Po chwili uspokoił się i rozejrzał po twarzach zebranych. - Oczywiście trzeba jeszcze ustalić mnóstwo szczegółów - powiedział - ale że rozmyślałem nad tym, jak rozprawić się z flotą Dohlaru, od momentu gdy Merlin ostrzegł mnie po raz pierwszy o rozmowach Trynaira z Rahnyldem, jestem pewien, iż to najlepsza odpowiedź z możliwych. Jestem także przekonany, że najważniejsze jest teraz, abyśmy dobrze zmotywowali naszych

kapitanów i ich załogi. Zwłaszcza że musimy się liczyć z tym, iż wieści o roli Rady Wikariuszy przenikną do ludzi. Nawet najodważniejsi mogą poczuć się niepewnie, gdy pojmą, że sam Kościół Matka zdecydował, iż mamy zginąć. Mając to na względzie, podjąłem decyzję, że stanę na czele floty. No tak - machnął ręką, gdy hrabia Szarej Zatoki zamarł. - Wiem, Rayjhisie, że minęły lata od czasu, gdy służyłem w marynarce. Uwierz mi, nie mam zamiaru odbierać chleba prawdziwemu dowódcy. A będzie nim z pewnością Bryahn, w końcu po coś mia nowałem go wielkim admirałem! Wydaje mi się jednak nie-zwykle ważne, by ludzie wiedzieli, że jestem tam z nimi, na dobre i na złe.

- Wasza wysokość, jeśli coś ci się stanie... - zaczął hrabia Szarej Zatoki, ale król uciszył go, kręcąc głową.

- Jeśli nie zdołamy rozgromić tych sił, Rayjhisie, i je' śli nie uczynimy tego naprawdę zdecydowanie, i tak będzie po nas - powiedział bardzo spokojnym głosem. - Potrzebujemy jeszcze sześciu miesięcy, może roku, a najlepiej dwóch albo trzech, żeby stworzyć wystarczająco pokaźną flotę. Ale jeśli oni teraz wygrają, moja obecność tu czy tam nie będzie miała najmniejszego znaczenia. Jeśli mój pobyt na pierwszej linii ma pomóc marynarzom w walce, a wie-cie równie dobrze jak ja, że pomoże, to wiadomo, co powinem uczynić. Hrabia Szarej Zatoki patrzył monarsze prosto w oczy, mil-cząc przez dłuższą chwilę. Potem spuścił wzrok.

- A co ze mną, ojcze? - zapytał Cayleb.

- Ty, mój synu - odparł Haarahld ze smutkiem, spoglądając w oczy księcia - popłyniesz z admirałem Staynairem i Merlinem razem z naszą armadą galeonów. - Oczy następ-cy tronu pojaśniały. Z kolei hrabia Szarej Zatoki wyglądał, jakby znów miał zamiar protestować. Podnosił się już z fote-la, gdy król spojrział na niego i uśmiechnął się, choć nie było w nim cienia radości. - Wszystko co powiedziałem o morale naszych galer, Rayjhisie, tyczy się także, jeśli nie bardziej, galeonów - dodał. - Bez względu na to, jak pewni siebie będą nasi ludzie, nikt jeszcze nie walczył w taki sposób, a wróg będzie miał nad nimi jeszcze większą przewagę liczebną niż w przypadku galer. Musimy wysłać w tę misję kogoś z rodu królewskiego, a Cayleb jest jedynym, który studiował te kon-strukcje i zna się na nowoczesnej artylerii.

- A co ze mną, wasza wysokość? - zapytał niemal szep-tem hrabia. - Gdzie jest moje miejsce w tej strategii?

- Tam, gdzie ci się najmniej uśmiecha - odparł Haarahld, nie kryjąc smutku. - Czyli tutaj, w Tellesbergu. Jako gło-wa mojej Rady i regent, gdyby coś przydarzyło się Caylebo-wi i mnie.

- Wasza wysokość, proszę... - zaczął hrabia Szarej Zato-ki, ale król uciszył go ponownie ruchem głowy.

- Nie, Rayjhisie. Potrzebuję cię w stolicy.

Pierwszy doradca wyglądał, jakby nie zamierzał składać broni, ale jednak powstrzymał się i pochylił głowę w milczą-cym akcie poddania.

- Dziękuję - powiedział Haarahld i zaraz roześmiał się na głos. Hrabia Szarej Zatoki spojrział na niego ze zdziwieniem, a władca odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Wiedziałem, że nie to chciałeś usłyszeć, Rayjhisie - stwierdził. - Dlatego mam dla ciebie coś jeszcze. Właściwie dla ciebie i Bynzhamyna.

Uśmiechnął się teraz do barona Gromu, który od początku narady ani razu nie zabrał głosu. Jego specjalizacja nie po-zwalała na prowadzenie dysput o strategii walki na morzu, o czym doskonale wiedział. Ale teraz oczy rozbłysły mu, na-tychmiast wyprostował się na fotelu, a król uśmiechnął się znowu, widząc w nim wielką chęć działania.

- W zaistniałych okolicznościach - powiedział - nie wol-no pozwolić szpiegom Nahrmahna i Hektora na dalszy pobyt w naszym kraju. Wolałbym zaczekać jeszcze dwa do trzech pięciodni, na wypadek gdyby któryś z nich wybrał się nagle za granicę, zanim

będziemy gotowi. Ale macie moje zezwolenie, by, powiedzmy za... dwanaście dni wyłapać wszystkich obcych agentów, których uda wam się zidentyfikować przy pomocy Merlina.

PAŹDZIERNIK ROKU PAŃSKIEGO 891

Zatoka Gorath, Królestwo Dohlaru

N

Nad granatowymi wodami zatoki rozległy się dźwięki trąbek, odpowiedziały im ostre zawołania oficerów stojących na pokładach okrętów floty Dohlaru. Nad zatłoczonym portem krążyły wirujące białą chmury ptaków i wielobarwne masy nadbrzeżnych wyvern, łopotały setki skrzydeł, z dziobów wydobywały się piski i gwizdy. Ostry wiatr polerował niewielkimi obłoczkami niebieskie, jesienne niebo. Wody tej zatoki jeszcze nigdy nie gościły tak ogromnej liczby okrętów wojennych. Zielone wyverny zdołały czerwienią łopoczących na silnym wietrze królewskich sztandarów; dowódcy eskadr wykrzykiwali rozkazy, które natychmiast powtarzano na jednostkach otaczających galery flagowe, a admirał Lywys Gardynyr, hrabia Thirsku, mimowolnie czuł dumę wypełniającą jego pierś, gdy spoglądał na tę potęgę.

Moment później uczucie to przeistoczyło się w inne, o wiele mniej przyjemne, gdy przeniósł wzrok na Króla Rahnylda. Z pokładu tej galery, górującej nad wszystkimi innymi, niósł się właśnie głos wydającego rozkazy „admirala” z Malikai. Hrabia Thirsku poczuł nagle pokusę splunienia w tamtą stronę.

Z jego okrętu flagowego także popłynęły rozkazy, kabestany zaturkotały rytmicznie, gdy załoga Zatoki Gorath zaczęła podnosić kotwicę. Galera Gardynyra była nieco mniejsza i starsza niż Król Rahnyld, miała także znacznie mniej zdobień, a te, które wieńczyły nadburcia, wydawały się o wie-

le prostsze i surowsze. Nawet galion miał kształt zwykłego krakena, podczas gdy okręt księcia Malikai pysznił się prawie naturalnej wielkości wizerunkiem króla Rahnylda, odmalowanym i przyozdobionym w niezwykle barwny sposób, jak przystało na okręt flagowy całej floty. Okręt władcy Malikai - przedłużenie królewskiego ego - musiał być wielki i dumny, tak przynajmniej widział to hrabia Thirsku. Na innym księżę Malikai nie rozpostarłby swojego sztandaru.

Zatoka Gorath drgnęła nagle, gdy ciężka kotwica oderwała się w końcu od piaszczystego dna. Marynarze przy pomпах zdwoili wysiłki, naciskając szybciej pałaki, aby woda wydobywająca się z węży mogła oczyścić z mułu i szlamu wyciągana z wody cumę. Kotwica sprawiała, że galera stała dziobem do wiatru, teraz gdy puściła, natychmiast rozległy się gardłowe rozkazy, ożyły też bębny, wybijając powolny, ale głośny rytm. Wiosła zanurzyły się po raz pierwszy w wodzie. Powierzchnię zatoki poprzecinały białe cętki piany. Plecy wiosłarzy musiały pochylać się mocno, raz za razem, by galera nabrała odpowiedniej prędkości, umożliwiającej sternikowi ustawienie jej pod wiatr.

A ten wiał od południowego zachodu, prosto w oczy marynarzy opuszczających zatokę. Galery miały opuścić kotwisko wyłącznie na wiosłach i poruszać się o nich, dopóki nie miną Wyspy Jaszczurodrapów, gdzie powinny obrać kurs na północny zachód. Po wykonaniu tego manewru wiatr będzie dął prosto w burty, przynajmniej do momentu, gdy otrzymają rozkaz skręcenia na zachód, by pokonać Zatokę Dohlaru i Morze Harchońskie. A to będzie nieliczne wyzwanie, jeśli trafią na nieprzychylne wiatry, jakże częste o tej porze roku.

Hrabia Thirsku skrzywił się na tę myśl i splótłszy ręce na plecach, podszedł do relingu na rufie, by spojrzeć na resztę floty. Zgodnie z jego przewidywaniami, Król Rahnyld okazał się wolniejszy i mniej zwrotny od pozostałych jednostek, więc szybko zostawał w tyle. To jednak nie miało dzisiaj większego znaczenia. Flota składająca się z ponad stu dwudziestu galer, eskortowana przez dwadzieścia sześć niezdarnych transportowców z zaopatrzeniem, nie musiała opuszczać zatoki w wielkim pośpiechu. Ocieżała maciora zwana przez księcia Malikai okrętem flagowym powinna mieć czas, by dogonić resztę floty.

Gdyby jeszcze tak zwany Wielki Admirał zdołał w końcu pojąć, co robić z tą masą okrętów wojennych...

Hrabia Thirsku stał na rufowym kasztelu, przyglądając się panoramie wielkiego portu, podczas gdy jego galera powoli wypływała na otwarte wody. Mury obronne stolicy Dohlaru połyskiwały w blasku wstającego słońca, a wypływające okręty stanowiły naprawdę imponujący widok. Tyle że mimo wiwatującego tłumu żegnającego ich z nabrzeży i zagrzewających do boju słów króla Rahnylda, który tuż przed wymarszem wyłuszczył im powody wielkiej nienawiści Dohlaru do odległego Charisu, żaden z jego podwładnych nadal nie rozumiał, gdzie i po co płyną.

Pod tym względem te biedne bękarty nie różnią się wiele ode mnie, pomyślał zjadliwie. Z jedną może różnicą: ja wiem, czyj to był pomysł. Dzięki temu jestem nieco lepiej zorientowany w temacie. Zaciśnął szczęki na tę myśl i rozstawił szerzej nogi, aby zrównoważyć coraz silniejsze kołysanie pokładu galery. Magwair, pomyślał. On za tym wszystkim stoi. A Rahnyld i księżę Malikai uważają, że to świetny pomysł. Oby Langhorne miał nas w swojej opiece!

Zaczerpnął tchu i postanowił, że czas odgonić złe myśli. Łatwiej było wydać taki rozkaz, niż go posłuchać, ale admirał jako człowiek nawykły do dyscypliny potrafił się zmobilizować. Wiedział też, że jeśli nie da sobie z tym spokoju, wpadnie w wisielczy humor, zanim zdołają przekroczyć cieśniny Queiroz. To też był znakomity pomysł, który mógł powstać wyłącznie w głowie klasycznego szczura lądowego - i w dodatku idioty pierwszej wody.

Powinniśmy „zakraść” się na terytorium Haarahlda, pomyślał z niesmakiem, a kto widział, żeby przeprowadzać tak wielką flotę przez sam środek Morza Harthlana, gdzie każda jedna ostka kupiecka żeglująca na zachód od Tarota natychmiast ją zauważy! A to, co będzie wiadome ich kapitanom, dotrze do uszu Haarahlda w zaledwie kilka pięciodni. Nie ulega najmniejszych wątpliwości, że władca Charisu dowie się, iż nadciągamy, na długo przed tym, nim wpłyniemy na jego wody terytorialne.

Ale czy zaskoczenie jest tak ważne, kiedy posiada się czterokrotną przewagę liczebną nad przeciwnikiem? Jeśli nawet nie, to pomysł przeprowadzenia przybrzeżnych w końcu galer przez sam środek Morza Sprawiedliwości musiał być zaiste owocem umysłu „geniusza”.

Gdyby dano mu możliwość wyboru, a nie przymuszono do wykonania tych bezsensownych rozkazów zaatakowania królestwa, które nigdy nie zagrażało jego krajowi, na pewno uczyniłby to zgoła inaczej.

Otrzymali rozkaz podążania wzdłuż wschodniego wybrzeża Howardu aż do Geyry znajdującej się w należącej do Cesarstwa Desnairu domenie barona Harlessu, potem zaś zawrócić na wschód, aby dotrzeć do punktu zbornego przy północnym krańcu Rify Armagedonu. Gdyby dano mu taką możliwość, popłynąłby raczej dalej na wschód, wzdłuż wybrzeża, aż do Zatoki Mathyasa, a potem okrążając południowe krańce Wschodniego Haven, dotarłby do Tarota, nie zbliżając się nawet do Rify. Podróż trwałaby co prawda kilka pięciodni dłużej, ale dotarłby na miejsce, nie zahaczając nawet o Morze Sprawiedliwości. Mógłby poprowadzić flotę prosto z Tarota do Zatoki Eraystorskiej, omijając nawet Odkocznię i południową część Kowadła, by zyskać dostęp do stoczni Szmaragdu, dzięki czemu oczyszczono by kadłuby wszystkich galer i wyremontowano je przed pierwszym starciem z siłami Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, do którego dojdzie na jej własnych wodach.

Problem polegał jednak na tym, że pomimo wysokiego stopnia był tylko żeglarzem i nie posiadał prawa głosu w takich kwestiach, jak obranie kursu czy wybranie taktyki floty. Nie, tu musi chodzić o coś więcej, powiedział do siebie. W sprawie Charisu wszyscy zachowują się tak, jakby ich giez ukąsił w zadek, jeden Langhorne wie dlaczego! Bez względu na powód, chcą załatwić Haarahlda zdecydowanie i szybko, dlatego nie wybrali

bezpieczniejszej trasy wzdłuż wybrzeża. Ale tak czy inaczej, wolałbym, aby nie kazali mi się pakować na sam środek Morza Sprawiedliwości. Skoro mamy płynąć południową trasą, rozsądniej byłoby wybrać się nieco dalej na wschód, znacznie bliżej Rafy Aramgedonu. Skrzywił się, gdy dotarło do niego, o czym właśnie pomyślał, ale taka była przecież prawda. Tylko ta Rafa Armagedonu sprawiała, że czuł się... niepewnie, ale nie aż tak, aby porzucić myśl o bezsensowności zapuszczania się na sam środek Morza Sprawiedliwości.

Wzruszył ramionami.

Jeśli ta misja się powiedzie, wszyscy okrzykną plan Magwaira genialnym posunięciem. Jeśli zaś coś pójdzie nie tak, książę Malikai z pewnością zrzuci winę na niego, uznając, że nie wykonywał z należytą starannością wydanych rozkazów. Ale bez względu na to, co się wydarzy, jedno w tej awanturze było pewne - muszą dotrzeć na miejsce, nie dbając o stan okrętów, i zaatakować jednostki Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, która przyparta do muru będzie walczyć o swoje rodziny i domy.

Co, pomyślał ze smutkiem, nie będzie niczym przyjemnym. A wszystko to tylko dlatego, że Trynair zaproponował panującej nam karykaturze króla darowanie odsetek od długów. Skrzywił się ponownie i raz jeszcze postanowił wziąć się w garść. Tego rodzaju myśli były niebezpieczne, nie wspominając już o tym, że nie do końca dotyczyły tematu. Król Rahnyld był suwerenem, miał więc obowiązek, a nawet zaszczyt wykonywać wszystkie jego rozkazy bez względu na to, co leżało u ich podstaw. Dlatego musiał wymyślić coś, i to prędko, aby ocalić tę flotę przed katastrofą, ku której prowadził ją „wielki admirał” książę Malikai.

A to mogło być naprawdę... interesujące wyzwanie.

Zatoka Królewska, Wyspa Helena

J

uż wyruszyli - oświadczył Merlin, wchodząc z ponurą miną do sali narad. Minął próg, skinąwszy głową żołnierzowi korpusu piechoty morskiej pilnującemu wejścia.

Cayleb oderwał oczy od wielkiego stołu stojącego pośrodku sporej komnaty, którą seijin nazwał roboczo „centrum operacyjnym”. Błat przykrywała wielka mapa, na której rozłożono kilka mniejszych. Merlin stanął nad nimi i skrzywił się, spoglądając na zarysy mórz i lądów. Wprawdzie musi minąć jeszcze kilka pięciodni, zanim okręty wroga pojawią się na akwenach, które ilustrowały te mapy, ale pierwszy ruch tej kampanii został już wykonany.

- Mamy jakieś wskazówki dotyczące ich kursu? - Pytanie księcia spowodowało, że kąćki ust Merlina powędrowały w górę, chociaż nie miał wcale radosnego nastroju. Nie rozmawiał z następcą tronu o swoich nadnaturalnych mocach od momentu pamiętnej nocnej rozmowy zaraz po zabiciu krakenów. W każdym razie nie wprost. Książę najwyraźniej jednak uznał za pewnik, że seijin dysponuje niesłychanymi umiejętnościami, i przeszedł nad nimi do porządku dziennego. Niemniej bez względu na okazywaną obojętność Cayleb zdawał sobie sprawę, jak cenne mogą się okazać „wizje” Merlina.

- Wszystko wskazuje na to, że wybrali trasę południową - odparł seijin. - Hrabiemu Thirsku się to nie spodobało. Wolałby, aby flota płynęła wzdłuż wybrzeży aż do Tarota, ale nie wysłuchano jego opinii, więc teraz naciska na księcia Malikai, aby zgodził się chociaż na ominięcie od wschodu Ziemi Samsona i na zbliżenie do Rafy Aramgedonu.

- Robi to, bo nie jest idiotą - burknął Cayleb, obchodząc stół, aby stanąć obok Merlina i spojrzeć razem z nim na mapę. - Popłynąłbyś na południe dalej, niż to konieczne? Ja bym na jego miejscu natychmiast szukał bezpiecznej przystani przy Rafie Aramgedonu, aby podreperować morale załóg po takim rejsie. Tylko tam mogą znaleźć dobre kotwicowiska. A flota galer przemierzająca wzburzone morze prędzej czy później będzie potrzebowała postoju.

- To właśnie mówił hrabia Thirsku - przyznał Merlin. - Książę Malikai oponował, ponieważ jego zdaniem wydłużyłoby to podróż. Poza tym, jeśli się nie mylę, dotrą na Morze Sprawiedliwości późną wiosną, co oznacza, że wody powinny być spokojniejsze.

- Wiesz - powiedział Cayleb, nie do końca żartobliwym tonem - wydaje mi się, że fakt powierzenia Południowej Floty komuś takiemu jak książę Malikai świadczy o tym, iż Bóg jest jednak po naszej stronie i nie ma znaczenia, co myśli o tym Rada Wikariuszy.

- Wiem, o co ci chodzi, wasza wysokość. Aczkolwiek - Merlin wzruszył ramionami - książę Malikai ma tam całkiem sporo okrętów. Wydaje mi się też, że przynajmniej załogi eskadry hrabiego Thirsku będą doskonale wyszkolone i gotowe do walki bez względu na to, jak ciężkie okaże się to przejście.

- W to nie wątpię, ale zapędy władcy Malikai powinny zniwelować tę przewagę. Merlin skinął głową, a książę spojrział na niego krzywo.

- A jak patrzy na tę sprawę admirał Białego Brodu? - zapytał moment później.

- Admirał i Gorjah zgadzają się z opinią hrabiego Thirsku, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą - odparł seijin. - Woleliby, żeby flota Dohlaru popłynęła prosto do Tarota, a potem albo wyruszyła na wschód przez Kocioł, albo drogą okrężną przez zatokę. Niestety, Magwair i książę Malikai są przekonani, że tym sposobem utracą przewagę zaskoczenia.

Śmiech Cayleba zabrzmiał jak ryk polującego drapieżnika, chociaż dało się w nim wychwycić cień sympatii dla Gorjaha i Gahvyna Mahrtyna, barona Białego Brodu, który dowodził jego flotą.

- Cóż, gdybyśmy byli tak głupi, ślepi i głusi jak stary Rahnyld, może mieliby szanse nas zaskoczyć, oczywiście w sytuacji, gdybyśmy nie mieli ciebie do pomocy - powiedział.

- Chyba masz rację - przyznał Merlin. - Pomyśl jednak, na jak wielkim akwenie mają zamiar się ukryć przed nami. Wiesz, że nadpływają, znasz też plany połączenia się floty Tarota z siłami hrabiego Thirsku i księcia Malikai niedaleko Rify Armagedonu. Ale wysłanie własnych okrętów tak daleko, aby dokonać przejścia, nawet przy dobrym rozpoznaniu nie będzie zwykłym spacerkiem po ogrodach.

- Tak, to z pewnością nie będzie spacer - przyznał Cayleb. - Z drugiej strony, gdybyśmy dowiedzieli się odpowiednio wcześniej o tym, że zamierzają podejść nas od południa, i tak mielibyśmy spore szanse nawet bez twojej pomocy. Założyłbym bowiem, że będą próbowali trzymać się wybrzeży przynajmniej do chwili, gdy miną Ziemię Tryona, a to pozwoliłoby nam ich odnaleźć. Mając do dyspozycji szkunery, moglibyśmy dokonać rozpoznania ogromnej części wód przybrzeżnych. - Pokręcił głową. - Zamierzam wykorzystać twoje wizje w jak najlepszy sposób, ale już teraz znam dwa najważniejsze fakty. Po pierwsze, że wyruszyli, po drugie, którą trasę wybrali.

- Mam nadzieję, że to ci wystarczy - stwierdził Merlin, poważniejąc.

- Reszta należy do nas, nieprawdaż? - Książę wyszczerzył się w uśmiechu. - Nawet bez galeonów i nowej artylerii napotkaliby nasz opór. I bez względu na to, jaki będzie wynik starcia, jednego jestem pewien: nie spodoba im się ta morska przejażdżka.

Merlin odpowiedział mu jednym z najbardziej okrutnych uśmiechów, a potem znowu spoważniał.

- Caylebie, chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

- Przysługę? - Książę spojrział na niego spod łba. - Jakiego rodzaju ma to być przysługa?

- Mam trochę wyposażenia... Chciałbym, abyś go używał.

- Jakiego znowu wyposażenia?

- Nowy kirys i kolczuga. No i miecz. Chciałbym także, aby twój ojciec nosił podobną zbroję.

Twarz następcy tronu przez moment nie wyrażała żadnych emocji, na co Merlin zareagował lekkim napięciem. Chłopak zaakceptował jego nadludzkie moce, ale czy zgodzi się przyjąć coś tak niezwykłego?

Merlin długo rozmyślał, zanim zdecydował się na przedstawienie tej oferty. On sam nie był może niezniszczalny, ale w każdym razie bardzo trudny do zabicia. Konstrukcja CZA0 cechowała się ogromną odpornością, lecz co najważniejsze, miała możliwość samonaprawy dzięki zastosowaniu wielu nanotechnicznych zabezpieczeń. Tylko kilka rodzajów broni produkowanej na Schronieniu mogło zagrozić jego egzystencji. Pocisk armatni bez problemu pozbawiłby go nogi albo nawet głowy, ale to wcale nie oznaczało „zabicia”. Bezpośrednie trafienie z najcięższego działa mogłoby mocno uszkodzić jego „mózg”, ale dopóki reaktor CZA0 pozostawał nietknięty - a chroniła go centymetrowej grubości płyta ze stali bojowej - i nanoroboty miały dostęp do źródeł rzadkich pierwiastków (no i mnóstwo, ale to naprawdę mnóstwo czasu), mógł odbudować swoje ciało od podstaw.

Ale jego przyjaciele - bo nie można było zaprzeczyć, że ci ludzie stali się jego przyjaciółmi - mieli kruche, ludzkie ciała. Zaakceptował swoją nieśmiertelność, gdy po raz pierwszy przebudził się w Jaskini Nimue i zrozumiał, czym jest, lecz dopiero gdy zbliżył się do Cayleba, Haarahlda i hrabiego Szarej Zatoki - oraz wszystkich innych Charisjan, których potem dobrze poznał - zaczął sobie zdawać sprawę, jak bolesne może być wieczne życie. Na razie, o czym doskonale wiedział, zaledwie liczył owego cierpienia. Za kilka stuleci, jeśli uda mu się wykonać misję Nimue, pozna je naprawdę dobrze, ale zamartwianie się tym problemem już dzisiaj uznał za bezsensowne.

Nawet gdyby ta kwestia nie istniała - chociaż miał na tyle rozsądku oraz przyzwoitości, aby przynajmniej przed sobą nie ukrywać, że istnieje - i tak doszedłby do wniosku, że Cayleb i Haarahld są kluczowymi postaciami w tej misji. Miał cholerne szczęście, że znalazł króla i następcę tronu, którzy nie tylko okazali się bardzo inteligentni, ale mieli też wystarczająco otwarte umysły - nie mówiąc już o świadomości obowiązku wobec Korony - aby przyjąć jego dary. Dlatego nie wyobrażał sobie, nawet gdy analizował tę sytuację na zimno, że mógłby ich stracić.

Kazał więc Sowie wyprodukować w Jaskini Nimue idealne kopie osobistych zbroi Cayleba i Haarahlda. Zamiast z najdoskonalszych stopów, jakie można znaleźć na Schronieniu, pancerze wykonano z prawdziwej stali bojowej. Żaden miecz ani pocisk nie był w stanie ich przebić. Nawet potężniejsze kule armatnie miałyby z tym spory problem, chociaż w takim wypadku energia kinetyczna uderzenia i tak zrobiłaby swoje, zabijając na miejscu noszących je ludzi.

Sam już wcześniej podmienił swoją zbroję gwardyjską. Nie dlatego, by lepiej chronić swoje życie, ale ze znacznie prostszej przyczyny: wolał nie ryzykować kłopotliwych pytań, dla czego jej nie potrzebuje. Łatwiej było bowiem wyjaśnić, że pocisk, który go trafił, był wadliwy i nie przebił porządnie wykutej blachy, niż tłumaczyć się z tego, że kula, która przeszła przez pancerz, nie drasnęła mu nawet skóry.

Teraz jednak prosił księcia o przyjęcie zbroi, którą każdy człowiek z tej planety traktowałby jako „cudowną”. A Cayleb, choć znacznie bardziej elastyczny od swoich rówieśników, był typowym produktem tutejszej kultury i religii, które z równie silnym naciskiem nauczały, aby unikać „zakazanej” wiedzy pod groźbą wiecznego potępienia.

Cisza unosiła się pomiędzy nimi jeszcze przez kilka sekund, potem następcą tronu uśmiechnął się po łobuzersku.

- Myślę, że na taką przysługę mogę przystać - powiedział. - Tylko... powiedz mi, na co mam uważać w nowej zbroi?

- Jedyną rzeczą, o którą musisz się martwić - odparł Merlin, usiłując ukryć westchnienie ulgi, co mu się jednak nie do końca udało - to logiczne wytłumaczenie, dlaczego te pancerze

nie rdzewieją. No i uważaj, kiedy będziesz dotykał brzeszczota nowego miecza. Jest naprawdę ostry... i zawsze taki będzie.

- Rozumiem. - Twarz Cayleba znów zaczęła się zmieniać w maskę obojętności, ale zanim do tego doszło, książkę wybuchnął śmiechem, jak rozbawiony dzieciak. - Czy mam przez to rozumieć, że dostanę na własność magiczny miecz?

- Można tak to ująć - przyznał Merlin.

- Zawsze chciałem mieć coś takiego. Kiedy byłem młodszy, niż Zhan jest teraz, czytałem opowieści o seijinie Kodym i jego Rozpruwaczu Hełmów.

- Obawiam się, że ten miecz aż tak magiczny nie będzie - ostrzegł go Merlin.

- Ale dam nim radę przeciąć miecz wroga? - zapytał Cayleb, wciąż się uśmiechając.

- Chyba nie. - Seijin celowo przeciągnął te kilka zgłosek.

- Szkoda. Na to liczyłem.

- W to jestem w stanie uwierzyć.

- A ma przynajmniej jakąś nazwę?

Merlin przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem sam wybuchnął śmiechem.

- Tak, Caylebie - powiedział. - Ten miecz nie jest bezimienny. Możesz nazywać go Excalibur.

- Excalibur - powtórzył następca tronu, sylabizując. Mało brakowało, a połamałby sobie język na tak dziwacznych brzmieniach. Na koniec rozpromienił się. - Podoba mi się. Takie miano powinien nosić miecz prawdziwego księcia.

Merlin także się uśmiechnął do chłopaka. Niewiele tylko młodszego od Nimue Alban, przypomniał sobie raz jeszcze. Reakcja Cayleba przyniosła mu wprawdzie ulgę, ale wolał nie wspominać o kolejnym zabezpieczeniu, które dla niego przygotował.

Znalazł w końcu zastosowanie dla modułu medycznego, który Kau-yung zostawił dla Nimue. Nie mógł zaoferować Caylebowi ani Haarahldowi terapii antygeronowej, gdyby nawet wierzył, że lekarstwa przetrwały w dobrym stanie przez tyle setek lat. Książę miałby sporo problemów z wytłumaczeniem ludziom, dlaczego pomimo dziewiątego krzyżyka na karku nadal wygląda na młodego chłopaczka. Niemniej Merlin zdecydował się na pobranie próbki DNA Cayleba, a zestaw medyczny wytworzył na jej bazie nanotechniczny antygeron.

Merlin wstrzyknął go następcy tronu pewnej nocy kilka pięciodni temu. Ustawione na kod genetyczny księcia nano-roboty przeczesaly jego organizm i usunęły z niego wszystko, co nie powinno się tam znajdować. Nie wydłużą wprawdzie jego życia - w każdym razie nie bezpośrednio - ale sprawią, że już nigdy więcej nie będzie miał kataru ani przeziębienia. Nie mówiąc o nowotworach czy innych poważnych chorobach, w tym zakaźnych.

Wstrzyknięcie czegoś takiego bez wiedzy pacjenta było poważnym naruszeniem etyki medycznej panującej w Federacji, nie wspominając już o złamaniu prawa. Ale w zaistniałej sytuacji Merlin nic sobie z tego nie robił. Liczyło się tylko jedno: ten młodzieniec musiał przeżyć, był bowiem kluczem do powodzenia misji Nimue.

A jeśli przy okazji życie człowieka, na którym tak zależało Merlinowi, ulegnie wydłużeniu, a jego zdrowie poprawie, to tym lepiej dla sprawy.

III

Pałac książęcy, Manchyr

K

książę Hektor z Corisandu musiał sobie przypominać, że tym razem to Rycerze Ziemi Świętych robią dokładnie to, czego chciał.

Nie było to łatwe.

- Wybacz mi, ojciec - powiedział - ale obawiam się, że nie zdołamy wyruszyć tak szybko, jak byś sobie tego życzył-

- Wasza wysokość jest z pewnością o wiele lepiej poinformowany w tej materii niż ja - odparł kojącym głosem Karlos Chalmyrz, osobisty sekretarz arcybiskupa Bahrmy- na. - Ja tylko przekazuję wiadomości, które kazano mi do- starczyć.

Wieści te pochodziły od samego wikariusza Allayna Ma- gwaira, ale tego nie musiał już dodawać.

- Rozumiem, ojczy Karlosie. - Hektor uśmiechnął się bla- do do kapłana. - Naprawdę doceniam wszystko, co dla nas robicie. Wyrażam jednak niepokój, że moi admirałowie i ka- pitanowie nie będą gotowi w... zakładanym terminie.

- Wasza wysokość życzy sobie, abym poinformował o tym wikariusza? - zapytał uprzejmie Chalmyrz.

- To nie będzie konieczne.

Hektor uśmiechnął się raz jeszcze, pamiętając, że po- śłaniec nie jest winny zaistnienia tej sytuacji. Zakładając jednak, że Dohlarianie zdołali wykonać wydany przez Świą- tynię rozkaz wyjścia w morze, ich flota znajdowała się w dro- dze już od dwóch pięciodni. Jeśli okręty, pokonując Morze Harthlana, poruszały się wzdłuż wybrzeży, księżę Malikai mógł bez problemu odbierać wiadomości ze Świątyni dzięki kolejnym stacjom semaforowym, a docierały one do niego nie później niż po kilku dniach od wysłania. Zatem Magwair był w stanie kontrolować jego ruchy przynajmniej do momentu, gdy flota minie Geyrę i skieruje się na Morze Sprawiedliwo- ści. Niestety, aby podobna wiadomość od Hektora dotarła do głównodowodzącego Rycerzy, trzeba było całego miesiąca, co czyniło koordynację ruchów prawie niemożliwą.

- Jeszcze dzisiaj skonsultuję się w tej sprawie z admira- łem Czarnej Wody - obiecał księżę chwilę później. — Dzięki temu zorientuję się dokładniej w sytuacji, skoro wikariusz życzy sobie niezwłocznej odpowiedzi.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Chalmyrz pokłonił się. - Możesz mnie obudzić, jeśli to będzie konieczne.

- Tak uczynię - zapewnił go Hektor.

- Nie mogę tego zrobić, wasza wysokość - stwierdził Er- nyst Lynkyn, księżę Czarnej Wody, w odpowiedzi na py- tanie Hektora. Był niewysokim, muskularnym mężczyzną o krótkiej, siwej już brodzie oraz kamiennej kiedyś twa- rzy, na której troski ostatnich pięciodni zdołały jednak odcie- snąć znaczne piętno. - Wybacz, ale miesiąc to za mało. Nie zdołamy tego dokonać w tak krótkim czasie.

- Tyle to sam wiem, Ernyście - odparł Hektor. - Pytałem o to, jak wielką część naszej floty będziemy mogli wyekspe- diować do tego czasu?

Księżę Czarnej Wody przymknął oczy i zaczął się drapać po koleczastej brodzie. Hektor nieomal czuł bolesny proces my- ślowy, przebiegający w głowie arystokraty. Admirał nie na- leżał może do najbardziej lotnych mieszkańców Corisandu, ale można było ufać jego flegmie i zazwyczaj wielkiemu opa- nowaniu. Hektor przywołał go natychmiast po wyjściu ojca Chalmyrza i nie musiał długo czekać. Ale teraz księżę zda- wał się żałować swego pośpiechu.

- Niemal wszystkie galery znajdujące się w służbie czyn- nej osiągnęły już pełną sprawność bojową, wasza wysokość - mówił, myśląc na głos. - W dokach pozostaje jeszcze sześć jednostek. We wszystkich przypadkach chodzi wyłącznie o pomniejsze naprawy. Zatem możemy spokojnie uznać, że będziemy je mieli pod żaglami, kiedy przyjdzie czas. Mar- twi mnie za to stan naszej rezerwy... - Hektor skinął głó- wą i cierpliwie czekał na ciąg dalszy. - Większość jednostek trzymanyh w rezerwie wymaga co najmniej czterech, jeśli nie pięciu pięciodni wyteżonej pracy. Dopiero po takim cza- sie możemy wpuścić na nie załogi, co oznacza, że osiągnięcie jako takiej sprawności bojowej zajmie nam kolejnych kilka pięciodni. Nie widzę najmniejszych szans na dołączenie do głównych sił więcej niż dziesięciu jednostek

w zakładanym czasie. Możemy zatem wystawić około sześćdziesięciu galer. Pozostałe nie będą się nadawały do wyjścia w morze jeszcze przez minimum pięć pięciodni.

- Rozumiem.

Hektor nie wydawał się zaskoczony tymi wyliczeniami- Galery znajdujące się w rezerwie zazwyczaj były pouszka- dzane i rozbebeszone bez względu na to, jak delikatnie się z nimi obchodzono. Nikogo też nie dziwiło, że drewno, z kto- rego były zbudowane, niszczało w zastraszającym tempie. Zakładając, że wyliczenia księcia Czarnej Wody są w mia- rę dokładne, stocznie i tak będą musiały wykonać kawał do- brej roboty, jeśli te jednostki mają wrócić do służby w prze- widywanym przez niego czasie.

- No cóż, Ernyście — powiedział po chwili. — Jeśli to wszystko, co możemy zrobić, trudno. I tak będziemy gotowi na dwa miesiące przed terminem pierwszego starcia z wrogiem.

- Rozumiem, wasza wysokość. Tylko to stwierdzenie: „zgodnie z planem” nieco mnie niepokoi. - Księżę Czarnej Wody pokręcił głową. - Z całym szacunkiem, ale ten harmo- nogram jest zbyt napięty.

- Zgadzam się z twoją opinią, ale niestety, niewiele mo- żemy w tej sprawie zrobić. Na szczęście Haarahld będzie miał jeszcze mniej czasu niż my. Jestem pewien, że ma swo- ich agentów tutaj, w Corisandzie, ale zanim zorientują się, co robimy, i prześlą mu raporty, my już najprawdopodobniej będziemy wyruszali w rejs.

- Nie mogę powiedzieć, aby mnie to specjalnie martwi- ło, wasza wysokość - odparł szczerze księżę Czarnej WTody.

IV

Port Royal, Królestwo Chisholmu

M

iesiąc? - Admirał Zohzef Hyrst spojrział na hrabiego Sharpfieldu i pokręcił głową. - To niezbyt wiele czasu - zauważył, co jego rozmówca skwitował krótkim śmiechem.

- To właśnie lubię w tobie najbardziej, Zohzefie - powie- dział. - Tę umiejętność niedopowiadania.

~ Cóż mogę dodać. Zdaje się, że dzięki temu mamy wresz- Cle porządną wymówkę na pozostawienie w portach całej re- zerwy - zauważył Hyrst.

- To prawda - przytaknął hrabia. - Nie musimy nawet korzystać z usług naszych pożytecznych idiotów.

Podszedł do okna swojego gabinetu i spojrział przez nie na panoramę Port Royal i połyskujące w oddali wody zatoki Kraken. Miasto to powstało przed niemal wiekiem jako za- plecze największej bazy sił morskich Chisholmu. Z miejsca, gdzie się teraz znajdował, widział doki, stocznie i tłumy ro- botników kłębiących się wokół galer z rezerwy i wyglądają- cych z tej odległości jak ruchomy kozuch czarnych insektów. Na wodach portowych także panował spory ścisk, pomiędzy galerami a składami na nabrzeżach uwijało się mnóstwo jed- nostek pomocniczych.

Gorączkowy, wzmożony ruch panował w tym miejscu już od ponad trzech pięciodni. Hrabia miał nadzieję, że dla postron- nych oczu wygląda na wystarczająco wydajny, choć prawdę powiedziawszy, było przeciwnie. A może raczej powinien po- wiedzieć: zwłaszcza że było przeciwnie.

- Ciekawe, kto był tak głupi, by uwierzyć, iż zdołamy w nie- spełna dwa miesiące przygotować całą flotę do służby w wa- runkach wojennych? - zapytał Hyrst.

- Zdaje się, że wspomniałeś właśnie szanownego wika- riusza Allayna - odparł hrabia Sharpfieldu.

- No tak, to by wiele tłumaczyło, może nawet wszystko. Jemu się pewnie wydaje, że spuszczenie galery na wodę jest równie proste jak zaprzęgnięcie dwóch smoków do furmanki.

- Wątpię, aby był aż tak bardzo niedoinformowany w sprawach dotyczących walki na morzu - zaoponował hrabia. - I chociaż brak obycia z regulaminami marynarki wojennej na pewno miał spory wpływ na jego decyzje, to jednak nie powinniśmy traktować tego człowieka jak skończonego idioty.

- Z całym szacunkiem - rzucił Hyrst - ale wymaganie od nas, aby cała flota w dwa miesiące była „gotowa do działań bojowych pod każdym względem”, i to na wodach terytorialnych Charisu, jeśli dobrze zapamiętałem treść tej wiadomości, wskazuje na taki właśnie stan umysłu.

- Przyznałbym ci rację, gdyby on rzeczywiście na to h* czył - zgodził się hrabia Sharpfieldu. - Ale naprawdę wątpię, aby miał jakiegokolwiek nadzieje na powodzenie tego planu, chociaż z pewnością nie przyzna tego, zwłaszcza przed nami. Zależy mu tylko na tym, abyśmy ruszyli przeciw Charisowi z jak największą liczbą jednostek, a takie nierealne w gruncie rzeczy rozkazy mają nas zmusić do wykrzesania dodatkowych sił. Jedynym celem planu Allayna jest jak najszybsze zgromadzenie sił Hektora, Nahrmahna i naszych. Wikariusz zdaje sobie sprawę z tego, że Haarahld nie ma pojęcia o planowanym ataku i nie dowie się o nim, dopóki nie pojawimy się na jego wodach terytorialnych, więc tak czy inaczej, dojdzie do starcia pomiędzy tylko tymi okrętami, które będą w tym momencie w służbie czynnej. A przy takim założeniu mamy półtora raza więcej jednostek niż Charis, zakładając, że żadna z galer stanowiących trzon sił Haarahlda nie będzie przebywała na pochylniach albo w remoncie. W dodatku nasze rezerwy będą miały dwa do trzech miesięcy więcej na przygotowanie się do tej wojny.

- Ale rozsądniej byłoby poczekać, aż cała nasza flota osiągnie sprawność bojową - zaprotestował Hyrst.

- Chyba że ta taktyka pozwoli nam na całkowite zaskoczenie Haarahlda i zepchnięcie go poza linię obrony na wysepie Zamek, a nawet poza Klucze, zanim zorientuje się, że nadpływamy - wyjaśnił hrabia. - Powiedziałbym, że to będzie trudne do wykonania, niemniej możliwe.

- A ja dodałbym, że wszystko jest jeszcze możliwe - stwierdził Hyrst, krzywiąc się mocno. - Aczkolwiek niektóre rozwiązania wydają się pewniejsze od pozostałych.

- Racja, ale jeśli nie spróbujemy, nie będziemy wiedzieli, czy taki wariant jest możliwy czy nie.

V

Pałac książęcy, Eraystor

K

ochanie, to co zrobiłeś mojemu biskupowi, było naprawdę okropne.

- Nonsens. - Książę Nahrman zachichotał, wpasowując onyksową figurkę biskupa do odpowiedniej niszy wyłożonego aksamitem kuferka. - To tylko mała zemsta za to, co uczyniłaś z moim zamkiem dwa pięćdziesiąt dni temu.

- W takim razie ten ruch był nieelegancki - stwierdziła jego żona.

- To bardzo poważne oskarżenie, moja droga - odparł, uśmiechając się w sposób, jaki znało tylko kilka osób na tym świecie. - Chociaż z drugiej strony... - zadarł wyraźnie nosa. - Jestem księciem, a księżęta czasami potrafią zachowywać się nieelegancko.

- Ach tak. - Księżna Ohlyvya spuściła wzrok na rozłożoną pomiędzy nimi zdobioną szachownicę i nagle jej oczy roz błysły radością. - W takim razie nie będę miała wyrzutów sumienia, dodając, że to zachowanie było tyleż nieeleganckie co niemądre.

Nahrman uniósł brew, ale zaraz ją opuścił skonsternowany, gdy wykonała ruch jednym z rycerzy. Tym sposobem zagroziła jego królowej... a on nie miał jak jej wycofać z pola bicia, ponieważ przesunięty rycerz, zwalniając zajmowane do tej pory pole, odsłanił też jego króla, wystawiając go na szach biskupa żony. Stało się to możliwe tylko dlatego, że moment

wcześniej zbił drugiego biskupa, przesuając zamek na pole, z którego nie mógł blokować szachującej figury.

Siedział, przyglądając się sytuacji na szachownicy przez kilka długich sekund, potem westchnął i wycofał króla z pola rażenia. Ona, nie czekając, przesunęła rycerza i pozbawiła go królowej.

- Wiesz - powiedział, siadając wygodniej i obserwując jej kolejny ruch - już dawno powinienem zrozumieć, że za każdym razem gdy wystawiasz mi tak soczysty kąsek, powinienem sprawdzać, czy to aby nie przynęta.

- No nie — odezwała się skromnie. - Czasami pozwalam ci zbijać figury bez żadnych haczyków. Tylko po to, żebyś tym chętniej rzucił się na te będące przynętą.

Nahrman roześmiał się i pokręcił głową, potem spojrzął w głąb biblioteki.

Księżniczka Mahrya, siedząc pod jednym z okien, pochylała się nad księgą o historii. Miała już prawie osiemnaście lat, wkraczała więc w wiek małżeński, aczkolwiek Nahrman nie znalazł na razie godnego kandydata do jej ręki. Na szczęście, co widział teraz bardzo wyraźnie w jasnym świetle lamp, jej profil sugerował, że odziedziczyła urodę po delikatnej matce, nie po nim. Podobnie zresztą jak złośliwą naturę.

Księżę Nahrman, jej brat, miał dopiero czternaście lat. Wyglądał jak młodsza - oraz szczuplejsza - wersja ojca i imienia. Zagłębił się teraz w lekturze jakiejś książki; sądząc po zaciętej minie, musiała to być opowieść o bohaterskich czynach. Nie mówiąc już o mieczach, walkach i zabójstwach.

Najmłodsze dzieci, księżę Trahvys i księżniczka Felayz, przebywały teraz w pokoju zabaw pod opieką nianiek. Musi minąć jeszcze kilka lat, zanim dostąpią zaszczytu wpuszczenia do biblioteki, pomiędzy cenne woluminy.

W chwilach takich jak ta Nahrman pragnął z całego serca, aby wielka gra, w którą był tak głęboko zaangażowany, okazała się tylko snem. Niestety, wojna zbliżała się wielkimi krokami, a on zamierzał pozostawić Nahrmanowi Młodsze-mu znacznie większe i bogatsze księstwo niż to, które sam odziedziczył. Poza tym była to jedyna gra warta jego zaangażowania.

Jego uśmiech stał się nieco bardziej łobuzerski, gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę. Otrząsnął się jednak od razu i znów skupił uwagę na żonie.

Ohlyvya uśmiechała się do niego czule, znała go na tyle dobrze, że przyzwyczaiła się już do tych nagłych, głębokich zamyśleń. To nie było małżeństwo z wielkiej miłości i pożądania. Ona należała do jednego z odgałęzień dawnego rodu rządzącego, a jej ślub z Nahrmanem - który zaaranżowano, gdy miała cztery latka - miał scementować więzy pomiędzy odchodzącą w cień i nową dynastią. Przygotowywano ją do tej roli przez całe życie i księżę naprawdę mile się zdziwił, spostrzegłszy, że szczerze go polubiła, zresztą on również dbał o nią w niezwykle sposób. Nie należał do ludzi, którzy pozwalają innym na zbliżenie się do siebie, i wiedział o tym od dawna, ale Ohlyvya zdołała znaleźć szczelinę w pancerzu, którym się otaczał, a on, jakby wbrew swojej naturze, ucieszył się z tego. Wspólne wychowywanie czworga dzieci sprawiło, że stali się sobie jeszcze bliżsi, ale nade wszystko cenił tę kobietę za jej niezwykłą inteligencję. Prawdę powiedziawszy, marzył skrycie o włączeniu żony w szeregi Rady, chociaż jak na razie był to krok niewyobrażalny dla pozostałych członków tego zgromadzenia.

- Wykonasz dzisiaj wieczoru jeszcze jakiś ruch, kochanie? - zapytała słodko, doprowadzając go do kolejnego wybuchu śmiechu.

- Jak tylko otrząsnę się z szoku po twojej poprzedniej, perfidnej pułapce - odparł. - Wydaje mi się, że...

Nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi biblioteki. Nahrman odwrócił głowę w kierunku źródła hałasów, robiąc gniewną minę. Wszyscy słudzy w pałacu wiedzieli doskonale, że kiedy przebywa z Ohlyvya i dziećmi, nikt nie ma prawa mu przeszkadzać.

Wrota stanęły otworem, a w progu pojawił się zgięty w głębokim pokłonie lokaj.

- Wybacz, wasza łaskawość - oświadczył podenerwowanym głosem. - Przepraszam, że zakłócam spokój, ale do pałacu przybył właśnie biskup egzekutor Wyllys. Mówi, że ma do ciebie niezwykle pilną sprawę.

Brwi Nahrmahna wróciły na swoje miejsce, zza jego pleców dobiegło stłumione westchnięcie zaskoczony żony. Mahrya odezwała wzrok od lektury, ale na jej twarzy widać było wyłącznie zdumienie i za groz zrozumienia. Nahrmahn Młodszy tak się zaczytał, że nawet nie zauważył przyczyn tego zamieszania.

- Racz wybaczyć, moja droga - poprosił księżę dwa uderzenia serca później. - Zdaje się, że będziemy musieli dokończyć tę partyjkę kiedy indziej. Może jutro wieczorem.

- Oczywiście - odparła spokojnie, choć widział ciekawość płonącą w jej oczach.

Wiedział jednak, że nie ośmieli się zadać pytań na głos.

- Przykro mi - dodał, wstając i całując ją w czoło. - Przyjdę do łóżka najszybciej, jak będę mógł.

- Rozumiem, kochanie - powiedziała, spoglądając za nim, gdy opuszczał bibliotekę szybkim, zdecydowanym krokiem.

- Wybacz, wasza wysokość, że przybywam w takim pośpiechu i o tak późnej porze - rzekł biskup egzekutor Wyllys Graisyn, gdy wprowadzono go do niewielkiej sali, w której odbywały się prywatne audyencje.

Lokaj wycofał się i hierarcha został sam na sam z księciem, jeśli nie liczyć jedynego strażnika.

- Nie sędzę, ekscelencjo, byś miał powody do przepraszania - odparł Nahrmahn, chcąc oszczędzić na czasie. - Wątpię, by chciało ci się tutaj przychodzić o tak późnej porze, i to bez zapowiedzi, gdyby sprawa nie była pilna. Proszę cię zatem, mów, czego ode mnie potrzebujesz.

- Właściwie, wasza wysokość, to nie takie proste tym razem... - przyznał Graisyn. Jego ton był zarazem przepraszający i zakłopotany, ale biło też z niego spore podniecenie, co sprawiało, że ciekawość Nahrmahna rosła z sekundy na sekundę.

- Wasza wysokość - podjął duchowny - przed trzema godzinami przybił do portu w Eraystorze statek kurierski ze Świątyni. Przywiózł, jak się zapewne domyślasz, nowe wieści. Kiedy je otworzyłem, zrozumiałem, że poprzedni statek, który miał mi dostarczyć inne papiery, nigdy do nas nie dotarł. Sztormy, szalejące w zeszłym miesiącu, najwidoczniej pokonały jego żagłę i spoczywa teraz gdzieś na dnie Morza Chisholmskiego...

Biskup egzekutor zamilkł na moment, a księżę zamarł. Siedział prosto na tronie, a jego twarz, czego miał świadomość, wyrażała nagle zrozumienie. Cokolwiek znajdowało się w wieściach, które nie dotarły, musiało mieć związek z tym, co kazało biskupowi Graisynowi przybyć do pałacu pomimo tak późnej pory.

- Widzę, że już się domyśliłeś, wasza wysokość, iż zaginiony statek wiozł nam wieści niezwyklej wagi. Kanclerz Trynair i arcybiskup Lyam adresowali je do mnie i do ciebie. Na szczęście, gdy kurier nie wrócił na czas do Traylisu, zdecydowano, że kopie tych pism powędrują raz jeszcze, i właśnie dzisiaj nadeszły.

- Pojmuję - odparł Nahrmahn spoglądając na gościa z ukosa. - Wciąż jednak nie do końca.

- Wybacz mi, wasza wysokość... - Graisyn uśmiechnął się nerwowo. - Obawiam się, że to nieco inna sprawa niż te, które zazwyczaj załatwiam w imieniu Kościoła Matki. Chociaż jeśli dobrze zrozumiałem wydane mi instrukcje, nie przychodzę do ciebie w imieniu Świątyni. Przysłała mnie kanclerz Trynair, występujący w roli przywódcy Rycerzy Ziemi Świątynnych.

Nahrmahn poczuł, że zaczyna mu brakować tchu.

- Wasza wysokość — przeszedł do rzeczy Graisyn. - Wygórowane ambicje Haarahlda z Charisu sprawiły, że kanclerz poczuł wielkie zaniepokojenie sytuacją w tym regionie Schronienia i jako przedstawiciel Rycerzy Ziemi Świętych upoważnił mnie do przekazania ci, iż...

Księżyc stał wysoko na bezchmurnym niebie, rzucając srebrzystą poświatę na pałacowe ogrody. Wśród gałęzi drzew dało się słyszeć popiskiwanie i słodkie trele wydawane przez hodowane od wieków nocne gatunki wyvern, z których Szmaragd sływał na cały świat, a chłodny wiaterek wpadał przez otwarte okno do komnaty narad.

Spokój ogrodów ostro kontrastował z nastrojami wszystkich tu obecnych.

- Nie do wiary! - perorował hrabia Sosnowej Doliny. - Prostu nie mogę w to uwierzyć!

- Co jednak nie zmienia naszej sytuacji, Trahvysie - zgasił go Nahrmahn.

- Wiem - zmitygował się pierwszy doradca dworu i uśmiechnął krzywo w stronę kuzyna. - Wybacz. To chyba dlatego, że ta wiadomość spadła na nas tak nagle, w samym środku nocy...

- Jeśli myślisz, że wyglądasz na zaskoczonego, to powinienś zobaczyć mnie w chwili, gdy Graisyn odczytywał po raz pierwszy treść wiadomości.

- Wolę sobie tego nie wyobrażać, wasza wysokość - odparł hrabia Sosnowej Doliny znacznie spokojniejszym tonem.

- Mnie z kolei zastanawia, mój książę - wtrącił Hahl, baron Shandyru - co legło u podstaw tej decyzji. Żaden z naszych agentów w Świątyni albo Syjonie nie wspomina nawet słowem o podobnych planach Grupy Czworka. Czy biskup egzekutor nie dawał do zrozumienia, że za tym wszystkim stoi książę Hektor?

- Obawiam się, że on też nie miał o niczym pojęcia - odparł szczerze Nahrmahn. - Wątpię, czy Hektor byłby w stanie przeforsować coś takiego. Treść rozkazów zdaje się wskazywać, że Corisand otrzymał wszystko, o czym marzył jego władca, a może raczej są one tak skonstruowane, aby myślał, że to dostaje, ale nie ludźmy się, nie mógł mieć aż tak wielkiego wpływu na decyzję Grupy Czworka. Nie... - Książę pokręcił głową. - Moim zdaniem za tym wszystkim stoi Clyntahn. Haarahld posunął się w końcu za daleko i czara się przelała. To musiało być coś tak przerażającego, że pozostawała trójka poparła go bez wahania.

- Wybacz, mój książę - powiedział baron Shandyru niezwyczajnym jak na niego, spokojnym tonem.

Nahrmahn spojrział ostro w kierunku szefa wywiadu, a ten zaczerpnął głęboko tchu.

- Wasza wysokość, powinienem był umieścić kilku nowych agentów w Charisie - powiedział. - Gdyby mi się to udało, wiedzielibyśmy dzisiaj, co spowodowało tak gwałtowną zmianę frontu. - Znowu zaczerpnął powietrza - No i przygotowalibyśmy się na czas.

- Nie będę udawał, że cieszy mnie stan naszej siatki w Charisie - odpowiedział mu Nahrmahn - ale sądząc z tonu wiadomości od Trynaira, gdybyśmy nawet mieli swoich agentów w Tellesbergu, i tak nie dowiedzielibyśmy się, co w trawie piszczy. Prawdę powiedziawszy, wątpię, by ktokolwiek w Charisie miał pojęcie, co się szykuje.

- Jestem pewien, że im o to właśnie chodzi, mój książę - wtrącił z bardzo ponurą miną Gharth Rahlstahn, hrabia Mahndyru, jeden z najstarszych admirałów Nahrmahna. - Jestem przekonany, że im o to właśnie chodzi - powtórzył, gdy zyskał pewność, że cała uwaga księcia skupia się na nim. - I to przysparza nam problemów. Gdyby oryginalne wiadomości dotarły na czas, też nie byłoby wesoło, ale nie oszukujmy się: straciliśmy prawie miesiąc.

- Szczerze mówiąc - dodał hrabia Sosnowej Doliny - ton tej korespondencji wydaje mi się... niepokojący. Nie zaoferowano nam pomocy, tylko rozkazano wykonać polecenia płynące od Trynaira i Clyntahna. A z tego pisma - postukał palcem w bogato iliminowany

list leżący teraz na stole pomiędzy nimi - wynika, że Hektor traktowany jest przez Grupę Czworka jak dowódca sił połączonych. Nie ma sojuszu równorzędnych partnerów. Mamy wspierać flotę Hektora... a to znaczy, że naszą flotą będą dowodzili jego admirałowie.

- Zapewniam cię, że mnie niepokoi to jeszcze bardziej - stwierdził Nahrman. Zamierzał dodać coś jeszcze, ale zamknął usta i zachował dalsze słowa dla siebie. Nawet tutaj, w obecności swoich najbardziej zaufanych doradców i dowódców, nie chciał pokazywać, w jak wielką furję wpadł, gdy zdał sobie sprawę, że Grupa Czworka traktuje go jak bezmyślnego zbira, na którego wystarczy gwizdnąć, by przybiegł i nie pytając o nic, poderżnął gardło wskazanej osobie.

- Niemniej musimy wykonać te polecenia - dodał po chwili - bez względu na to, jak się z tym czuję. Chyba że ktoś z was uważa, iż odmówienie prośbie kanclerza Trynaira okaże się rozsądniejsze i bardziej opłacalne? - Nikt nie odpowiedział, bo i nikt nie musiał tego robić, a w ałunowo-cierpkim uśmiechu Nahrmana pojawiła się nutka rozbawienia. - WT takim razie - dodał - jedyne rozsądne pytanie, jakie powinienem zadać, musi być skierowane do ciebie, Gharth. Czy jesteśmy w stanie zdążyć na czas z przygotowaniami?

- Tego nie wiem, wasza wysokość - odparł szczerze Mahndyr - i nie dowiem się, dopóki nie wykopię z łóżek kilku moich zastępców, aby wy pytali o sytuację w dokach i stoczniach. Ale tak z głowy mogę powiedzieć jedno: na pewno nie przygotowujemy w tym czasie całych rezerw. Mamy wystawić naszą flotę na początku listopada, tyle tylko, że nikt nas nie uprzedził odpowiednio wcześniej. Samo wzmocnienie załóg na galeonach znajdujących się w czynnej służbie pozbawi nas praktycznie rezerwistów. Będziemy musieli ogłosić po portach zaciąg, ale nie ludźmy się, każdy marynarz z frachtowców, który będzie w stanie dostrzec błyskawicę i usłyszeć uderzenie pioruna, dowie się o tym, zanim nasi chłopcy wejdą na nabrzeże, i tyle go będziemy widzieli. Nie wspomnę już o brakach w zaopatrzeniu dla tak wielkiej floty. - Pokręcił głową. - Wasza wysokość, zrobię co w mojej mocy, ale głowy nie dam, że wystawimy całą rezerwę naszej floty. Czasu, który straciliśmy przez zatonięcie pierwszego statku kurierskiego, nie da się nadrobić... - Raz jeszcze pokręcił głową.

- Nie powiem, że jestem zaskoczony twoimi słowami - przyznał Nahrman. - I chyba też wcale nie jestem nimi zmartwiony. - Mahndyr wyglądał na zaskoczonego, co rozbawiło księcia. - Hektor wie o wszystkim znacznie dłużej niż my - wyjaśnił. — To można wywnioskować choćby z treści pism od Trynaira. Zatem miał znacznie więcej czasu na przygotowanie swojej floty. A skoro mamy obowiązek wykonywać jego rozkazy, domyślam się, że zostaniemy podporządkowani admirałom Corisandu. Hektor z pewnością będzie usiłował obrócić te fakty na swoją korzyść. I dobrze, ale niech za to zapłaci. Nikt nas nie może winić za to, że nie zostaliśmy w porę poinformowani. Więc zrobimy, „co w naszej mocy” - uśmiechnął się - i nie będziemy się przejmowali, że większość naszych rezerw pozostanie w portach, skoro dali nam tak niewiele czasu na przygotowania.

LISTOPAD ROKU PAŃSKIEGO 891

Kotwicowisko Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, Wyspa Zamek

Wiosenna noc była gorąca i parna, gdzieś na horyzoncie nad wodami Zatoki Howella przemknęła błyskawica, oświetlając na mgnienie oka okręty podnoszące kotwice.

Merlin stał obok Cayleba na pokładzie rufowym HMS Dreadnoughta, towarzyszył im porucznik Falkhan. Chrypliwe rozkazy pomknęły w mrok, ale natychmiast utonęły w ciszy, jakby ludzie je wydający wierzyli, że jeśli wykonają zadanie w ciszy, nikt nie zauważy ich wypłynięcia.

Merlin uśmiechnął się na tę myśl, mimo iż napięcie dopadło i jego. Wszystkie okręty z tego kotwicowiska - trzydzieści dwa dumne galeony - opuszczały port. Trzydzieści należało do Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, pozostałe dwa były przerobionymi frachtowcami służącymi eskadrze za jednostki pomocnicze. Sztuczne oczy Merlina, jako jedyne w tej

chwili, wychwytywały czysty obraz każdego z nich, a napięcie, które odczuwał, wynikało po części z obawy, że dojdzie do kolizji, gdy ociężałe kadłuby ruszały niezdarnie z miejsca jeden po drugim, podnosząc kotwice i od razu stawiając żagle. Na szczęście wiatry były pomyślne: zachodnie, stałe i wcale nie takie silne.

Naturalna obawa o kolizję stanowiła jednak tylko częściowy powód jego napięcia. Zgodnie z przewidywaniami, wieści o mobilizacji flot Corisandu, Chisholmu i Szmaragdu szerzyły się wśród załóg przekazywane z ust do ust przez wystraszonych szyprów i marynarzy w każdym porcie od Manchyru po Tanjyr. Gdy dotarły do Charisu, Haarahld zareagował natychmiast, zamykając porty i wydalając wszystkie obce jednostki. Jego wrogowie spodziewali się czegoś takiego. W zasadzie nabrałoby podejrzeń, gdyby nie wykonał podobnego ruchu, i nie było chyba nikogo, kto zarzuciłby mu, iż zbyt ostro potraktował kupców ze Szmaragdu i Corisandu.

Haarahld wysłał także poselstwo do jedyne go „sojusznika”, króla Gorjaha, z prośbą o wypełnienie zobowiązań wynikających z traktatów. Musiał wysłać ten statek, ponieważ jego przybycie do Tarota uspokajało obawy spiskowców, udowadniając im, że Charis wciąż nie wie, iż floty sprzymierzonych z Corisandem potęg wyruszyły w morze trzy pięćdziesiąt wcześniej. Załogi wydalonych frachtowców także nie widziały najmniejszych nawet dowodów na to, że flota Korony szykuje swoje galery do wojny. Kilku spostrzegawczych marynarzy mogło wprawdzie dostrzec z oddali wzmożony ruch na nabrzeżach, ale i dla nich było oczywiste, że Hektor z Corisandu i jego poplecznicy zaskoczą Haarahlda całkowicie. Merlin wiedział jednak od dawna, że połączone siły Corisandu i Chisholmu zmierzają w stronę Zatoki Eraystorskiej, podobnie jak formacja nazwana przed Haarahlda Północną Flotą. Galery Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu gromadziły się, by bronić Zatoki Skalistej Mielizny, a okręty zwiadowcze penetrowały obrzeża Zatoki Eraystorskiej. To były ruchy, których spodziewali się wrogowie Charisu.

Ale za ich plecami, w ukryciu przed niepowołanymi oczyma, flota galeonów wypływała powoli, ale zdecydowanie z zatłoczonego portu na wyspie Zamek, zmierzając w kierunku Południowej Floty.

Wyspa Zamek była najważniejszą bazą morską Korony. Mocno ufortyfikowana i oddzielona od głównego lądu dwoma kanałami, znajdowała się niemal na środku długiego, wąskiego przesmyku zwanego Gardzielą.

Kanał Południowy liczył dwadzieścia cztery mile szerokości w momencie najwyższego przypływu, ale gdy wody opadały» zwężał się do zaledwie dwunastu, odsłaniając sporo mulistych mielizn. Spora jego część była wtedy zbyt płytka, by po nim żeglować. Główny szlak żeglugowy, kręty jak cholera, miał nie więcej niż dwie mile w najszerszym miejscu i przebiegał niespełna dwa tysiące jardów od stanowisk ciężkiej artylerii ulokowanej w bastionach wyspy Zamek.

Kanał Północny był o wiele głębszy, chociaż podczas przypływu nie miał więcej niż osiemnaście mil. Podczas odpływu mierzył ich niespełna piętnaście, ale za to szlak żeglugowy rozciągał się aż na osiem, i to w najwęższym miejscu. Był też znacznie prostszy niż ten na południu. Dzięki temu najcięższe nawet statki mogły nim przepływać z dala od niebezpiecznych dział ustawionych na obu brzegach. Dlatego to przejścia chroniły wyłącznie okręty wojenne. Z tego samego powodu galeony przemukały teraz, pod osłoną nocy, pomiędzy wyspą Zamek a Północnym Kluczem, bliźniaczymi fortecami zajmującymi przeciwległe brzegi.

Ukształtowanie Gardzieli dawało Charisowi ogromną przewagę strategiczną, ale powodowało także wielki problem. Dzięki niej flota Korony mogła kontrolować niemal cały akwen Zatoki Howella, dopóki wyspa Zamek i Klucze znajdowały się w jej rękach, lecz przy niesprzyjających wschodnich wiatrach żaden żaglowiec nie mógł przepłynąć przez cieśninę.

Wystarczająco silne wichury potrafiły zamknąć ten akwen nawet dla galer, blokując - czego Haarahlid był świadom - flotę obrońców tuż przy wybrzeżach wyspy Zamek.

Na szczęście wiatry wiały teraz z północy i północnego zachodu. Także tej nocy, chociaż w okolicach Zatoki Skalistej Mielizny zwłaszcza wiosną nie było trudno o silne wichury wiejące od wschodu. Ale nawet wtedy wiatr ten napływał raczej z północy-północnego wschodu, dzięki osłonie, którą stanowiły gigantyczne masy Wyspy Srebrodajnej i Szmaragdu.

Wzburzone wody Kanału Północnego same w sobie mogły być źródłem wielu lęków, ale przy tak dobrej pogodzie widać było dokładnie światła w twierdzach, a co najważniejsze, płomień latarni morskiej umieszczonej na najwyższym szczycie Wyspy Zamek. Pozwalały one pilotom na pewne prowadzenie galeonów w dół kanału nawet nocą, dzięki wykorzystaniu linii dobrze znanych lądowych punktów nawigacyjnych. Merlin uświadomił to sobie, gdy Dreadnought wykonał kołejny nagły zwrot.

- Zdaje się, że powinienem teraz powiedzieć coś w rodzaju „no to ruszamy!” - mruknął stojący obok seijina Cayleb, spoglądając na dwa wąsy białej piany, zdobiące kilwater za wysoką rufą galeonu. Głos następcy tronu wydałby się bardzo spokojny jedynie ludziom, którzy go dobrze nie znali.

- Mógłbyś powiedzieć coś takiego - przyznał Merlin. - Ale gdybyś to uczynił, ja i Ahrnahld musielibyśmy cię natychmiast udusić i wyrzucić za burtę. Cayleb roześmiał się, podobnie jak Merlin.

- W końcu flota przestanie nas mieć za szaleńców - stwierdził książe.

- To prawda - przyznał seijin. - Wydaje mi się, że twój ojciec zdołał w końcu wymyślić idealne wytłumaczenie.

- Które na dodatek narobi wiele smrodu wokół Gorjaha, gdy dotrze okrężną drogą do Świątyni - zauważył Cayleb z niewinnym uśmiechem na twarzy.

- To nadaje jej dodatkowy smaczek - przyznał Merlin z bardzo zadowoloną miną.

Postanowiono, że Haarahlid wytłumaczy wysłanie w morze galeonów tym, iż agenci barona Gromu znaleźli w Tarocie dokumenty dotyczące planu Grupy Czworoga. Według nie sprawdzonych plotek zakupili je od wysoko postawionego urzędnika dworu, dzięki czemu - jak słusznie zauważył przed chwilą książe - Gorjah i jego najbliżsi współpracownicy bardzo szybko trafią w tryby bezlitosnej maszyny Clyntahna. To niezwykle proste wyjaśnienie - jakże różne od opisywania tajemniczych wizji seijina - tłumaczyło też, jakim cudem flota Charisu zdołała dokonać wyprzedzającego kontruderzenia.

Stali więc rozbawieni razem z księciem, śmiejąc się jeszcze długo, aż Cayleb niespodziewanie spoważniał.

- Wszyscy znajdujemy się teraz w twoich rękach, Merli - nie - odezwał się ścisłym głosem, ale seijin widział wyraźnie wyraz jego twarzy pomimo panujących wokół ciemności. - Bez ciebie nie byłoby tutaj tych okrętów. Bez twojej pomocy zostalibyśmy totalnie zaskoczeni przez wroga, tak jak by sobie tego życzył. Na wypadek gdybyś jeszcze nie zrozumiał sensu tej przemowy, chciałbym ci za wszystko podziękować.

- Nie mnie dziękuj - odparł mężczyzna, który posiadał umysł Nimue Alban. - Jak już wspomniałem twojemu ojcu podczas pierwszej rozmowy, Charis jest narzędziem, z którego korzystam.

- Wiem - rzekł zwięźle następca tronu. - Wiedziałem o tym od samego początku. Wiedziałbym, nawet gdyby ojciec nie powtórzył mi treści waszej rozmowy. Wiem też, że czujesz się z tego powodu winny.

Merlin zmrużył powieki. Cayleb nie miał mechanicznych oczu, ale uśmiechnął się w ciemnościach, jakby naprawdę dostrzegł tę reakcję seijina.

- Próbowaliśmy ci to powiedzieć z Rayjhisem tego dnia na dachu cytadeli - ciągnął następca tronu. - Ty niczego nie spowodowałaś, Merlinie. Twoje działania przyspieszyły

jedynie bieg wydarzeń, które musiały nastąpić prędzej czy później. Tyle tylko, że dzięki twojej interwencji zyskaliśmy szansę na przetrwanie.

- Może to i prawda - odparł Merlin - co nie zmienia fak-tu, że niedługo zginie wielu ludzi.

- Bez twojego udziału zginęłoby ich jeszcze więcej - uspo-koił go Cayleb. - Jedyna różnica polega na tym, że zginą nieco inni ludzie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, iż ją akcep-tuję. Wiem, że to samolubne, ale naprawdę wolę, by zabijano poddanych Hektora z Corisandu niż moich krajanów.

- Skoro już o tym mowa - wtrącił stojący opodal porucz-nik Falkhan - to w pełni podzielał zdanie waszej wysokości.

- Sam widzisz. — Cayleb wyszczerzył zęby w kierunku Merlina, a ten, chociaż wbrew sobie, odpowiedział podobnym uśmiechem. Potem pokręcił głową i poklepał młodego księcia po ramieniu. Następca tronu roześmiał się raz jeszcze, ale już ciszej. Stali przy relingu ramię przy ramieniu, wpatrując się w noc z pokładu galeonu sunącego wolno w stronę ciemności.

Cieśnina Sądu, Ocean Południowy

H

rabia Thirsku stracił dech, zanim zdołał wspiąć się do furty prowadzącej na pokład Króla Rahnylda. Musiał przystanąć na całą minutę, aby dojść do siebie po mozolnej wędrówce w górę wysokiej burty. Dla człowieka po pięćdzie-siątce, który nie miał tyle czasu na ćwiczenia, ile by chciał, i na dodatek spędził kilka długich, wyczerpujących pięcio- dni na morzu, taka wspinaczka była zabójczą mordęgą. Ale hrabia podjął ją, licząc, że tym razem idiota tytułujący się „wielkim admirałem” znajdzie w końcu chwilę i wysłucha jego rad. Okręt flagowy księcia Malikai, co od razu rzuciło mu się w oczy, nie był już tym samym pysznym gigantem, który w połowie października opuszczał razem z resztą floty spo-kojne wody zatoki Gorath. Wszędzie widać było złogi soli, smagane falami i wiatrem pyszne kolorowe zdobienia żłusz- czyły się, jedyny żagiel poleciał w siną dal podczas ostatniej nawałnicy. Załoga zdołała jakimś cudem odbudować maszt, ale zapasowe drzewce było znacznie krótsze od tego, które zniknęło razem z płótnem, i wyglądało pokracznie, jakby go nie dokończono.

Obrazu zniszczeń dopełniała długa na dwadzieścia stóp wy-łwa w sterburcie przy zejściówce na pokład wiosłowy, w miej-scu, gdzie uderzyła monstrialna fala. Na pokładach widać było także wiele innych śladów działania żywiołów, w tym wyrwaną pokrywę jednego z luków. Pokładowi cieśle i ich pomocnicy dwoili się i troili, aby jak najszybciej zakończyć naprawy, od dziobu dobiegał też rytmiczny klekot pracują-cych bez przerwy pomp. Jeszcze głośniejsze były jęki ran-nych członków załogi, wydobywające się z osłoniętych płót-nem otworów wentylacyjnych pokładu sypialnego. Z tego co hrabia pamiętał, na Królu Rahnyldzie zginęły co najmniej dwa tuziny ludzi.

Szczerze powiedziawszy, dziwił się bardzo, że ta kupa drew w ogóle przetrwała. Jej kapitan musiał być znacznie bardziej kompetentny, niż hrabia Thirsku początkowo sądził.

- Mój panie! - zawołał ktoś za nim. Odwrócił się szybko i ujrzał tuż obok siebie podoficera służącego na tym okręcie.

Chłopak wyglądał na jednego z tych młodych, zapasio-nych i niedouczonech arystokratów, którzy sznurem ciągnę-li na służbę w „sztabie” księcia Malikai. Jego czerwona tuni-ka była przemoczona i rozerwana na ramieniu. Dłonie miał grubo obandażowane. Najwyraźniej należał do grupy ma-rynarzy, którzy zrobili coś pożytecznego podczas ostatniego sztormu. Hrabia Thirsku uśmiechnął się do niego nieco cie-plej, niż zamierzał.

- Słucham? - zapytał.

- Mój panie, książę i reszta dowódców eskadr czeka na ciebie w kajucie nawigacyjnej. Czy mogę cię odprowadzić na miejsce narady?

- Oczywiście, poruczniku.

- Zatem pozwól za mną.

Kajutę admiralską Króla Rahnylda wyrychtowano równie pięknie jak całą galeryę, tyle tylko, że w jej ścianie ziała dzisiaj zabita deskami dziura, pamiątka po oknie wyrwanym przez fale. Zniszczenia pozostawione przez wodę sprawiły, że pomieszczenie nie zapierało już tchu w piersiach.

Książę Malikai był postawnym mężczyzną o rumianej twarzy, gęstych włosach i jasnej cerze odziedziczonej po urodzonej w Tiegelkampie matce. W odróżnieniu od tej kajuty i porucznika, który przyprowadził do niej hrabiego Thirsku, wyglądał nienagannie. Całkiem nie jak człowiek, który doprowadził cudem ocalonym okrętem flagowym. Precyzyjnie przystrzyżona bródka kryła nieznaczny feler, jakim była cofnięta mocno szczęka, ale miał szerokie ramiona, wyniosłą postawę i coś, co damy dworu zwykły określać mianem „wysokiego, myślącego czoła”.

Może, westchnął w duchu hrabia Thirsku, jeszcze się okaże, że pod tym czerepem tkwi prawdziwy mózg. Mimo że od zewnątrz ciężko to zauważyć.

Widząc, że hrabia wkracza do kajuty, władca Malikai odebrał się od dyskusji z dwoma młodymi komandorami.

- Witaj! - zawołał, uśmiechając się tak szeroko, jakby trafił na jednego ze swoich ulubieńców. - Cieszę się, że cię widzę.

- Dziękuję, wasza łaskawość - odparł admirał z nieco bardziej ostrożnym, ale równie fałszywym uśmiechem. - Za twoim pozwoleniem, chciałbym powiedzieć, że jestem pod wrażeniem tego, jak znakomicie kapitan Ekyrd poradził sobie w trudnej sytuacji na morzu.

- Przekażę te słowa uznania kapitanowi - zapewnił go książę Malikai, ale jego uśmiech przygasł natychmiast, gdy tylko wspomniał się sztormu, z którym niedawno mieli do czynienia. A może raczej miejsce, w którym żywioł dopadł flotę. Potem rozejrzał się po kajucie, zatłoczonej pomimo pałacowych rozmiarów, i głośno odchrząknął.

- Moi panowie! Moi panowie! - zagaił. - Wydaje mi się, że przybyli już wszyscy zaproszeni, zatem możemy od razu przejść do omawiania sprawy.

To nie było jednak takie proste, na jakie wyglądało. Najpierw zebrani stoczyli walkę o miejsca przy ozdobnym stole. Potem podano obowiązkowe butelki przedniej brandy, której wybornego smaku nie wypadało nie skomplementować przy długimi tyradami. Kilku komandorów przyglądało się temu widowisku z niecierpliwością, tak samo jak hrabia Thirsku, lecz większość starszych dowódców była znakomicie zaznajomiona z zasadami tej dworskiej gierki. Czekano, aż książę Malikai odstawi szklaneczkę i rozejrzy się po zebranych.

- Jestem pewien, że pogoda ostatniego pięciodnia mogła was nieco zdeprymować - powiedział, a hrabia Thirsku z trudem powstrzymał wybuch gromkiego śmiechu, słysząc to ewidentne niedomówienie. - Wydaje mi się też, że ostatni sztorm i jego konsekwencje są dobrym powodem, aby przeemyśleć zmianę wcześniej ustalonego kursu - kontynuował książę głębokim, rezonującym głosem. - Wiem, że od samego początku naszej wyprawy niektórzy z was mieli obiekcje co do trasy obranej przez naszą armadę. Niemniej rozkazy jego wysokości, wydane przed wyruszeniem, a potem wielokrotnie potwierdzane przez stacje semaforowe, nakazywały nam ściśle trzymanie się planu. Co więcej, flota Tarota będzie na nas czekała w ustalonym miejscu, dokąd wciąż możemy dotrzeć na czas, pod warunkiem że pozostaniemy na obecnym kursie. Niemniej uważam, że nadszedł najwyższy czas, abyśmy rozważyli dostępne alternatywy.

Usiadł zadowolony z efektu, jaki wywołała jego przemowa, a hrabia Thirsku odczekał moment, aby zobaczyć, czy ktoś podejmie temat. Potem sam przerwał grobową ciszę głośnym chrząknięciem.

- Wasza łaskawość - zaczął. - Trzymanie się wydanych rozkazów było naszą powinnością, z tym nikt nie może polemizować, ale chyba rzeczywiście musimy zweryfikować nasze położenie. Wszystkie informacje, które zdołaliśmy zgromadzić od przepływających szyprów i pilotów, potwierdzają, że Przesmyk Schuelera jest niebezpieczniejszym z dwóch szlaków, jakimi można ominąć Ziemię Samsona, zwłaszcza o tej porze roku. Kombinacja silnych prądów morskich i porywistych wiatrów tworzy takie same warunki atmosferyczne, z jakimi borykaliśmy się przez cały ostatni pięciodzień. Dla tego też uważam, że chociaż nie mamy wielkiego wyboru, powinniśmy rozważyć skorzystanie z Cieśniny Sądu.

Trzeba było przyznać księciu Malikai, że nikt nie usłyszał, jak zgrzyta zębami. Z drugiej jednak strony, nie było w tej kajucie nikogo - wliczając w to samego księcia - kto zdołałby obalić stawiane przez hrabiego Thirsku tezy. Gdyby ktoś mimo wszystko spróbował, to cztery utracone galery - nie mówiąc już o jednym ze statków eskadry pomocniczej - stałoby argumentem nie do zbicia. W dodatku wiosłowanie pod wiatr w taką pogodę niewiele daje, o czym przekonali się, łącząc daleko na południowy zachód od Ziemi Samsona, choć zamierzali płynąć w przeciwną stronę.

- Wasza łaskawość - pierwszy przemówił komandor Erayk Rahlstyn - wydaje mi się, że hrabia ma rację. Chciałbym też nadmienić, jeśli mi wolno, że według planu mamy spotkać się z flotą Tarota nieopodal Głowy Demona. Jeśli utrzymamy dotychczasowy kurs, zostaniemy zmuszeni do pokonania ponad dwu tysięcy mil Morza Sprawiedliwości, i to płynąc pod wiatr niemal przez cały czas. Jeśli doliczyć do tego dystans, o który się cofnęliśmy, całkowita długość naszej podróży wyniesie pięć tysięcy dwieście mil. A przecież jesteśmy tuż przy Cieśninie Sądu, po wplynięciu w nią masyw Ziemi Samsona powinien osłonić nas przed najgorszymi wichurami nadchodzącymi od strony Morza Sprawiedliwości. Natomiast po wyjściu z cieśniny możemy zbliżyć się do Rafy Armagedonu, która także zapewni nam dodatkową osłonę. Na dodatek, jeśli skorzystamy z alternatywnej trasy, od Głowy Demona dzielić nas będzie tylko trzy tysiące osiemset mil w linii prostej.

Księżę Malikai kiwał głową z powagą, jakby nie wysłuchał tych samych argumentów już z dwadzieścia razy podczas prywatnych spotkań z hrabią Thirsku. Ale tamte rozmowy odbywały się, zanim utracili pięć okrętów, nie wspominając o kolejnym tuzinie, który został poważnie uszkodzony, i czterech tysiącach ofiar złożonych na ołtarzu tylko dlatego, że księżę z uporem maniaka trzymał się idiotycznych rozkazów wydanych przez szczura lądowego, który spojrzawszy przełotnie na mapę, wykreślił na niej prostą linię, ignorując istnienie prądów morskich oraz wiatrów.

- Pan, komandorze, i hrabia Thirsku przedstawiać nieomal identycznie brzmiące argumenty - odparł księżę Malikai po długim okresie ciszy, który miał świadczyć o tym, że dokładnie sobie wszystko przemyślał. - I chociaż nie wolno nam odrzucić rozkazów wydanych przez króla, to prawdziwym obowiązkiem oficera jest... reinterpretacja tych instrukcji w taki sposób, aby osiągnąć zakładane cele nawet w przypadku, gdy będzie to wymagało użycia innych środków, niż pierwotnie zakładano. Jak słusznie obaj zauważyliście, taki moment właśnie nadszedł. - Rozejrzał się po zebranych i zdecydowanie skinął głową. - Panowie - ogłosił pewnym, rozkazującym tonem - flota będzie kontynuowała podróż Cieśniną Sądu. Zatoka Eraystorska, Szmaragd

K

Księżę Nahrman spoglądał przez okno na zatłoczone wody portu, jednocześnie starając się zrozumieć przepełniające go uczucia.

Z jednej strony nie spodziewał się ujrzeć na wodach Zatoki Eraystorskiej tak wielkiej armady okrętów wojennych, a już na pewno nie przypuszczał, że przybędą tutaj, aby pomóc mu w niezwykle szybkiej rozprawie z najbardziej znienawidzonym wrogiem - królestwem, które od tak dawna zagrażało jego domenię. Z drugiej strony już samo wykar-

wielkiej liczby marynarzy i żołnierzy zakrawało na koszmar, no a pozostawała jeszcze równie interesująca kwestia, co uczyni głównodowodzący tą flotą, gdy Charis przestanie istnieć. Zmarszczył czoło w zamyśleniu, przeżuując wolno plasterka melona. Nahrman oczekiwał bliskiego już spotkania admirałów. Może fakt, że odbędzie się ono na ziemi, którą on rządził, da mu wreszcie odpowiednio wysokie miejsce wśród dowódców z rady wojennej. Jemu i hrabiemu Mahndyrowi.

Istniało wszakże niebezpieczeństwo, że księżę Czarnej Wody zlekceważy go, odwołując się do faktu, iż to on przywiódł siedemdziesiąt galer, w porównaniu do pięćdziesięciu jednostek wystawionych przez Szmaragd i czterdziestu dwu chisholmskich. Kolejne dziesięć galer królowej Sharleyan powinno dotrzeć na miejsce w najbliższych pięciodniach, ale Nahrman potrzebował minimum dwudziestu dni na to, by pierwszy z okrętów jego rezerwy nadawał się do spuszczenia na wodę. Z dwudziestu, jakie pozostawały w jego dyspozycji.

Przynajmniej dyskusja będzie interesująca, pomyślał nie bez ironii i wepchnął kolejny plasterka melona do ust.

Lynkyn Rahlstahn, księżę Czarnej Wody, rozejrzał się po sali narad z wyraźną wyższością. Nie mógł wykić przygotowań poczynionych przez ludzi Nahrmana, choć bardzo tego chciał. Z przestronnej komnaty wyniesiono wszystkie meble, jakie się w niej kiedyś znajdowały, i zastąpiono je ogromnym stołem, otoczonym wygodnymi fotelami. Ścianę naprzeciw okien zdobiły teraz mapy Zatoki Eraystorskiej, Morza Charisjańskiego, Skalistej Mielizny i Gardzieli, a niska, ale za to długa ława stojąca przy ścianie ugięła się pod ogromną ilością smakowitych przekąsek, butelek wina i kryształowych karafek z innymi napojami.

Księżę Czarnej Wody wolał po stokroć spotkania odbywające się w surowych wnętrzach Corisandu, jego okrętu flagowego. Tam czuł się jak u siebie, był niekwestionowanym przywódcą, tyle tylko, że nie pomieściłby tak ogromnej liczby oficerów w największej nawet kajucie swojej galery. Może to i lepiej, że spotkanie odbędzie się na neutralnym gruncie. Wprawdzie trudniej mu będzie narzucać innym swoje zdanie, ale musiał przecież pamiętać o instrukcjach otrzymanych od księcia Hektora, aby nie deptać tym ludziom po odciskach, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Z drugiej strony, pomyślał, nikt nie może mieć wątpliwości, kogo Kościół, to znaczy Rycerze Ziemi Świętych pragną widzieć na miejscu naczelnego wodza. Już samo to warte było ogłoszenia w tej wielkiej, choć pocieszenie wyglądającej sali.

Czekał cierpliwie, aż Nahrman zakończy dyskusję z hrabią Sharpfieldu, admirałem królowej Sharleyan. Nie spieszyło mu się - był panem sytuacji i nie musiał nikomu niczego udowadniać. Na naradę przybył także biskup egzekutor Graisyn, stał teraz tuż przy swoim księciu i obdarzał czarującym uśmiechem każdego, kto przechodził obok. Jeśli czuł się nieswojo w otoczeniu tylu oficerów, nie dawał tego po sobie poznać.

W końcu Nahrman podszedł do fotela stojącego u szczytu stołu i usiadł. Graisyn pośpieszył za nim, zajmując miejsce po jego prawicy.

Lynkyn Rahlstahn zasiadł naprzeciw Nahrmana. Gdy obaj książęta znaleźli się przy stole, reszta dowódców i oficerów błyskawicznie poszła w ich ślady. Szuranie przysuwanych foteli i szmery cichych rozmów umilkły kilka sekund później. Nahrman rozejrzał się po sali z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Panowie, pozwólcie, że powitam was w Szmaragdzie. Jak mniemam, wszyscy wiecie, po co się tutaj zebraliśmy, więc nie muszę niczego wyjaśniać tytułem wstępu. Prawdę powiedziawszy, moja wiedza o wojowaniu na morzu nie jest, że się tak wyrażę, zbyt obszerna, dlatego hrabia Mahndyr będzie oficjalnym reprezentantem mojej domeny podczas tej narady. Zaręczam wam, że człowiek ten cieszy się moim pełnym zaufaniem i jego głos jest moim głosem. - Uśmiechnął się raz jeszcze, ale tym razem hardo, co mocno

kontrastowało z pucłowatością jego twarzy. Książę Czarnej Wody wąpił jednak, by którykolwiek z zebranych przy tym stole był na tyle głupi, aby dać się zwieść jego niewinnemu wyglądowi. - Mam nadzieję, że przyjmiecie błogosławieństwo Kościoła Matki, zanim zaczniecie te obrady - dodał władca Szmaragdu chwilę później.

Odpowiedziało mu kilka przyzwalających pomruków, skinął więc dłonią na Graisyna.

- Ekscelencjo - powiedział - bądź tak łaskaw i zmów modlitwę w intencji wojowników, którzy zgromadzili się przy tym stole w Bożym imieniu.

- Oczywiście, wasza wysokość. To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Graisyn wstał i uniósł ręce w geście błogosławieństwa.

- Pomódlmy się - poprosił. - O Boże, stwórcu i władco Wszechświata, ośmielamy się zwracać do Ciebie słowami, których nauczył nas Twój sługa Langhorne. Pobłogosław, proszę, tych oto mężów, którzy oddali pod Twoje rozkazy swoje serca, umysły i miecze. Nie...

- ...wszystko zatem wskazuje, że Haarahld zrozumiał, co się święci, dopiero kilka pięciodni temu. - Baron Shandyru rozejrzał się po zebranych, a potem pokłonił się księciu Czarnej Wody. - To już koniec mojego raportu, wasza łaskawość. - Tymi słowami zakończył zwięzłą, doskonale przygotowaną półgodzinną odprawę.

- Dziękuję, baronie - odparł dowódca floty Corisandu. - Dodam tylko, że to niezwykle szczegółowe podsumowanie zgadza się co do joty z danymi, które do tej pory otrzymywałem.

- Rad jestem to słyszeć, wasza łaskawość - powiedział baron Shandyru. - Szczerze mówiąc, nasi agenci w Chari- sie nie byli w minionym roku... tak produktywni, jak mogliśmy sobie tego życzyć.

- Nasza siatka poniosła wielkie straty z tego samego powodu - stwierdził książę Czarnej Wody, uśmiechając się przełotnie. Darował sobie uwagę, że to nieudana próba zamachu spowodowała zamęt. Skoro miał być dla nich uprzejmy... - Całe miesiące zajęło nam jej odbudowanie.

- Większość informacji, które docierały do Eraystoru, pochodzi sprzed jakiegoś czasu - przyznał szczerze baron Shandyru. - Nie mamy dzisiaj nikogo ani w pałacu Haarahlda, ani w jego flocie. W każdym razie nikogo wiarygodnego. Niemniej udało nam się przesłuchać załogi statków, które wydalono z Charisu na wieść o naszej mobilizacji. Wynika z nich jasno, że Haarahld jeszcze trzy pięciodni temu nie prowadził żadnych prac nad galerami znajdującymi się w rezerwie.

- Tak, to prawda - przyznał hrabia Sharpfeldu. - Poznam jednak szczerze, wasza łaskawość, że bardziej od tych galer interesują mnie galeony Haarahlda, o których tyle słyszałem.

- Jak i nas wszystkich - odparł głównodowodzący z jeszcze bledszym uśmiechem na ustach. - Według ostatnich raportów, nadesłanych przez naszych agentów z Tellesbergu. Charisjanie mają ich w czynnej służbie nie więcej niż piętnaście do dwudziestu. Wszystkie doniesienia mówią, że zostały wyposażone w znacznie większą liczbę armat niż nasze największe galery. Mogą zatem stanowić wielkie zagrożenie, chociaż ja w to osobiście nie wierzę. Rozumiem, że zdołają odpalić potężne salwy burtowe, ale będą mieli czas na jedną, góra dwie, zanim ich dopadnięm. A wtedy liczyć się będzie nie liczebność kanonierów, tylko oddziałów abordażowych.

Zebrani wokół stołu przytakiwali głośnymi pomrukami, a książę, słysząc to, pozwolił sobie na znacznie szerszy uśmiech. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie lekceważył Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, ale w tym dźwięku dało się wyczuć echa wielkiej pewności siebie. Bez względu na to, jak dobrzy byli Charisjanie, mając osiemdziesiąt galer i piętnaście do dwudziestu galeonów, nie dadzą rady flocie składającej się ze stu

sześćdziesięciu jednostek. Nie mówiąc już o tym, co się stanie, gdy Dohlar i Tarot przybędą, prowadząc kolejne sto sześćdziesiąt okrętów.

Brak entuzjazmu wykazywany przez załogi ze Szmaragdu i Chisholmu, chociaż irytujący, był niczym w porównaniu z tak imponującymi liczbami.

- Skoro te galeony mają tak silne uzbrojenie burtowe - odezwał się tymczasem hrabia Sharpfieldu - może roztropnie byłoby rozważyć dostępne strategie działania, zanim na nie trafimy.

- To znakomity pomysł - podchwycił książę Czarnej Wody. - Zakładam, że posiadasz już jakieś przemyślenia na ten temat?

- Oczywiście, wasza łaskawość - odparł hrabia. - Po pierwsze, wydaje mi się, że... Głównodowodzący kiwał głową w zamyśleniu, ale nawet wtedy, gdy chisholmski admirał wyłuszczał swoje plany, nie mógł pozbyć się natrętnych myśli o raporcie barona Shan-dyru... i irytującej ciszy, która zapadła wśród jego własnych agentów w Charisie.

Do momentu wypłynięcia z portu nie wiedział o istnieniu Makferzahna i Maysahna, ale Hektor i hrabia Corisu zadba-li, aby otrzymał każdą informację przez nich zdobytą. Zdziwił się, widząc, do ilu szczegółów dotarli ci szpiedzy, liczył Jednak na to, że w Eraystorze otrzyma ich więcej.

Niestety, nie czekały na niego żadne nowe wieści.

Jeden z jego oficerów nawiązał dyskretny kontakt z umieszczonym w Eraystorze agentem Corisandu, do którego powin-ny trafić następne raporty przesyłane przez Maysahna i Makferzahna, ale on także nie otrzymał od nich nawet słowa.

Decyzja Haarahlda o zamknięciu wód terytorialnych bez wątpienia utrudniła wysyłanie wiadomości, ale przecież agen-ci wywiadu musieli znaleźć sposób na przekazanie choćby jednego krótkiego listu. Zaczął się zastanawiać, czy Maysahn otrzymał na czas ostrzeżenie. Jeśli tak się nie stało, mógł przesłać ostatnie raporty do Manchyru zamiast Eraystoru. Nie wydawało mu się to jednak zbyt prawdopodobne, więc tym bardziej czuł irytację, gdy myślał o nagłym zamknięciu swoich źródeł.

Jednakże książę Czarnej Wody nigdy nie ufał agentom przenikającym w sekrecie za linie wroga. Chociaż nie przeczył, że dobry szpieg wart jest swojej ceny w czasach pokoju, to w momencie gdy rozpoczynała się walka, jego akcje znacznie traciły na wartości. Kiedy wyciągano miecze, najlepszych informacji dostarczali zwiadowcy, nie raporty nie-znanych nikomu agentów, których prawdziwości nie sposób było sprawdzić.

Skrzywił się w duchu, odkładając troski o milczących agentów na bok, i skoncentrował się ponownie na treści przemówienia hrabiego Sharpfieldu.

IV

Sala Wielkiej Rady, Świątynia

A

arcybiskup Erayk usiłował ukryć zdenerwowanie, gdy wprowadzano go do sali Wielkiej Rady. Był jednak prawie pewien, że mu się to nie udało. Małomówny pułkownik świątynnej gwardii, czekający na nabrzeżu, aż galera wioząca Dynnysa pokona cieniutką warstewkę trzaskającego głośno lodu i przybije do zaśnieżonej przystani, nie raczył go poinformować, dlaczego musi ode-skortować do Syjonu powracającego arcybiskupa. Podał mu po prostu wiadomość - prostą, krótką i rzeczową - w której napisano jedynie, że Erayk ma się natychmiast stawić przed Radą Wikariuszy celem „przesłuchania”.

Ten sam pułkownik siedł teraz tuż za nim... i nadal ni-czego nie wyjaśniał.

Minęli razem posągowe postacie gwardzistów stojących na zewnątrz wrót prowadzących do sali Wielkiej Rady, a Dynnys nerwowo przełknął ślinę, gdy dostrzegł czekającą na niego w środku czwórkę hierarchów.

Starożytna tradycja głosiła, że w tej sali zasiadał sam archanioł Langhorne, aby radzić w towarzystwie innych archaniołów i aniołów. W rzeczy samej, pomieszczenie to było tak

wielkie, że z pewnością nadawali się do tego celu. Jego ściany ozdobiono przepięknymi mozaikami i gobelinami. Na jednej powieszono gigantyczne portrety dawnych wielkich wikariuszy, a na przeciwnej stronie - bardzo wierną mapę świata, wysoką co najmniej na czterech chłopa. Cała Rada Wikariuszy mogła się tu pomieścić bez trudu, łącznie z orszakami. Czterej mężczyźni oczekujący wejścia Erayka wydawali się karłami przy jej ogromie.

Nie siedzieli przy ustawionym na wysokim podium stole, zarezerwowanym na uroczyste okazje dla wielkich wikariuszy i najstarszych członków Rady, chociaż każdy z tej czwórki miał do tego pełne prawo. Zamiast tego zajęli miejsca przy o wiele niższym i skromniejszym stoliku, ustawionym specjalnie dla nich na samym środku wolnej przestrzeni pomiędzy okalającymi salę bogato zdobionymi ławami, na których zasiadali zwykle pozostali hierarchowie uczestniczący w obradach. Nie byli sami: za fotelem wielkiego inkwizytora stałi dwaj milczący arcykapłani w habitach zakonu Schuelera.

To jeszcze bardziej zaniepokoiło Erayka Dynnysa.

Pułkownik odprowadził go na sam koniec długiego szkarłatnego kobierca, tam zatrzymał się i pokłonił nisko.

- Wasza łaskawość - odezwał się, kierując te słowa do Al-layna Magwaira, który pełnił funkcję dowódcy gwardii świątynnej. - Arcybiskup Erayk.

- Dziękuję, pułkowniku. Możesz odejść - odparł Magwair, wyciągając upierścienioną dłoń. Pułkownik pokłonił mu się raz jeszcze, ucałował szafir i wycofał bez słowa, pozostawiając Dynnysa przed obliczami najpotężniejszych ojców Kościoła.

- Czym mogę służyć Radzie, wikariuszu Zahmsynie? - zapytał arcybiskup Charisu. Ucieszył się z tego, że głos mu nie zdrzał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zebrani przyglądali mu się tylko, wzrokiem zimnym, ale i zamyślonym, sprawiając, że poczuł, iż na czole, pod czepcem, zaczynają mu się perlić krople potu.

Trzymali go w niepewności jeszcze długo. Czuł ucisk w żołądku, skręcało go z ciekawości, ale jedyne, co mógł robić, to stać i czekać.

W końcu Zhaspyr Clyntahn postukał palcem w teczkę leżącą przed nim na stole.

- Mam tutaj, arcybiskupie - zaczął spokojnie, z niepokojąco błyszczącymi oczyma - kopie listów, które ty i biskup egzekutor Zherald słaście do nas z Tellesbergu przez kurierów i stacje semaforowe. Przeczytaliśmy je z wielkim zainteresowaniem. Zwłaszcza że stały one w jawnej sprzeczności z pozostałymi raportami napływającymi z tego miasta... - zamilkł na chwilę, a Dynnys przełknął ślinę, starając się to zrobić w jak najmniej widoczny sposób.

- Czy mogę zapytać, jakież to inne raporty wasza łaskawość otrzymywał? - zapytał.

- Nie możesz - odparł lodowatym tonem Clyntahn. - Inkwizycja posiada własne źródła, o czym doskonale wiesz. Ich wiarygodności nie sposób kwestionować.

Serce Dynnysa zamarło na dłuższą chwilę. Arcybiskup zaczerpnął mocno tchu.

- W takim razie, wasza łaskawość - powiedział, sam dziwiąc się spokojowi, z jakim udało mu się wypowiedzieć te słowa - pozwól, że zapytam, w którym miejscu moje wieści...

•• rozmijają się z owymi innymi raportami?

- Jest ich kilka. - Clyntahn nie zmienił tonu. - Zauważyliśmy na przykład, że zezwoliłeś swojemu Namiestnikowi na skandaliczne niedociągnięcia w tak zwanym procesie pośnownej ekspertyzy wynalazków pod kątem możliwego naruszenia treści Zakazów. Zauważyliśmy też, że nie ukarałeś go nawet za to, że dopuścił, aby w osobistym przesłuchaniu króla Haarahlda z Charisu uczestniczył miejscowy, a co ważniejsze, mocno podejrzany ze względu na wywrotową treść głoszonych kazań duchowny, co mogło mieć znaczący wpływ na wypaczenie wyników. Poniechałeś zdyscyplinowania biskupa Tellesbergu, mimo że popełnił zbrodnię głoszenia herezji z ambony własnej katedry. Co więcej, dziwnym trafem pominałeś wszystkie te... pomniejsze wydarzenia podczas piśania

sprawozdań dla Świątyni, choć wikariusz Zahmsyn zreferował ci najważniejsze cele misji tuż przed wyjazdem.

Dynnys spróbował raz jeszcze przełknąć ślinę. Ale tym razem miał zbyt sucho w ustach.

- To bardzo poważne zarzuty, arcybiskupie - oznajmił Trynair. Jego głos był tylko odrobinę cieplejszy. - Jeśli zostaną potwierdzone przed sądem Inkwizycji, kara może być wyjątkowo surowa.

- Wasza łaskawość - odparł pośpiesznie Dynnys - nie miałem zamiaru oszukiwać Rady ani Inkwizycji. Odniosłem wrażenie, tam w Tellesbergu, że ojciec Paityr Wylsyn naprawdę przejął się poleceniem i dokonał niezwykle szczegółowej analizy problemu. Natomiast biskup Maikel rzeczywiście użył kilku niezręcznych sformułowań w jednym czy dwóch kazaniach, ale zaryzuję, że zapoznałem się z ich pełnymi tekstami i nie może być mowy o jakiegokolwiek herezji. Gdyby dopuścił się czegoś podobnego, natychmiast bym go odwołał.

- Wiemy, że zamierzałeś nas oszukać. - Głos Clyntahna nie był już lodowaty; jego słowa ciężkie jak bicz, sprawiając ból. - To przesłuchanie ma na celu ustalenie, czy takie zachowanie było motywowane chęcią ochrony własnej niekompetentnej dupy, czy chodziło o coś znacznie poważniejszego. Bez względu na to, jaki będzie wynik, jedno jest pewne, arcybiskupie. Okłamałeś Kościół Matkę i musisz ponieść tego konsekwencje.

Dynnys spoglądał na wielkiego inkwizytora w milczeniu, niezdolny do wypowiedzenia jednego słowa. Moment później odwrócił się pośpiesznie do kanclerza, gdy ten przemówił raz jeszcze.

- Poniesiesz konsekwencje tutaj - powiedział Trynair grobowym tonem - ale Charis zapłaci równie wysoką cenę.

Oczy Dynnysa zrobiły się okrągłe.

- Za miesiąc, góra dwa - wtrącił oschle Magwair - Korona przestanie istnieć. Narośl herezji i wyzwania wobec wiary zostanie wypalona ogniem i mieczem, a arcybiskupstwo, należąca kiedyś do ciebie, przejdzie proces oczyszczenia, który wypłeni raz na zawsze wszelkie niebezpieczne elementy, jakimi pozwalałeś w nim rozkwitać.

- Wasza łaskawość - Dynnys zdołał jakimś cudem odzyskać głos - zaklinam cię! Może i nie wypełniałem zbyt dobrze moich powinności względem Świątyni, ale uwierz mi, nigdy nie było to moją intencją. Przysięgam jednak na moją nieśmiertelną duszę i nadzieję na pójście do Nieba, że nic, co widziałem w Charisie, nie zasługuje na taką karę!

Słowa te zawisły w powietrzu, zaskakując nie tylko wikariuszy, ale i jego samego. Jednakże siedzący za stołem hierarchowie pozostali nieporuszeni, spoglądając na niego pustym wzrokiem. Po chwili Clyntahn odwrócił głowę i odezwał się do dwóch schuelerytów stojących za jego fotelem.

- Odprowadźcie arcybiskupa Erayka do przygotowanej dla niego komnaty - powiedział.

V

Za Głową Trytona, Morze Charisjańskie

H

aarahld VII podniósł wzrok znad biurka, gdy strażnik stojący za drzwiami jego kajuty walnął okutym drzewcem półpiki w pokład.

- Midszypmen z wieścią! - zameldował gwardzista.

- Wejść - rozkazał król i moment później próg kajuty przekroczył, nieco zbyt trwożliwie, młodzieńki chłopak. Wsunął kapelusz pod ramię i zaszalutował przepisowo.

- Kapitan Tryvythyn przesyła wyrazy szacunku, wasza wysokość - wybełkotał - oraz wiadomość że Szybki natrafił na wroga!

- Dziękuję, panie Aplyn - odparł Haarahld poważnym tonem.

Jedenastoletni midszypmen Aplyn był jednym z najmłodszych kadetów służących na HMS Królewski Charis. Z tego powodu nie miał lekkiego życia na pokładzie, a sprawy nie ułatwiało także jego imię: Hektor. Haarahld był przekonany, że chłopak dostaje niezłe ciągi

od momentu zameldowania się na służbę, ale najwyraźniej potrafił sobie z tym radzić. Podchodził z niezwykłą powagą do wszystkich obowiązków, więc władca podejrzewał, że kapitan Dynzyl Tryvythyn wysłał go z tą wiadomością w nagrodę.

- Czy to cała treść wiadomości od kapitana, panie Aplyn? - zapytał chwilę później, a twarz chłopca zrobiła się ognisto- czerwona.

- Nie, wasza wysokość. - Gdy to mówił, zarumienił się jeszcze bardziej. - Kapitan kazał zapytać, czy wasza wysokość raczy dołączyć do niego na pokładzie.

- Rozumiem.

Aplyn wyglądał, jakby wołał w tym momencie wyparować, a król z trudem pohamował wybuch śmiechu, wiedząc, że dobiłby nim biednego dzieciaka. Zdołał się jednak opanować, lata praktyki w obcowaniu z dyplomatami i ambasadorami nie poszły na marne.

- Dobrze, panie Aplyn. Proszę przekazać kapitanowi Tryvythynowi podziękowania i zapewnić go, że z przyjemnością dołączę do niego na pokładzie.

- Tak jest, panie... to znaczy wasza wysokość! - Chłopak odwrócił się i popędził do drzwi, ale król odchrząknął głośno, osadzając go w miejscu.

- Chwileczkę, panie Aplyn, jeśli można prosić - powiedział, a midszypmen natychmiast zamienił się w słup soli.

- Tak, wasza wysokość? - zapytał piszczącym głosikiem.

- Doręczył pan wiadomość od kapitana naprawdę szybko i poprawnie, dlatego uważam, że nie musimy mu wspominać o tym jednym, małym... niedociągnięciu.

- Nie musimy, wasza wysokość! - wybełkotał z wdzięcznością chłopak.

- Zatem może pan już odejść, panie Aplyn.

- Tak jest, wasza wysokość!

Tym razem midszypmen zdołał uciec, a Haarahld usłyszał za plecami odgłos przypominający zduszony śmiech. Obrócił się przez ramię i spojrzał na sierżanta Gahrđanera. Twarz gwardzisty przecinał szeroki uśmiech. Władca spojrzał na niego z ukosa, unosząc brew.

- Coś cię rozbawiło, Charlz? - zapytał łagodnym tonem.

- Nie, wasza wysokość - odparł pośpiesznie Gahrđaner. - Nic a nic.

Haarahld wszedł na pokład dziesięć minut później. Pomiędzy sztywnego kolana wspiał się po drabinie na wieżę dowodzenia usytuowaną pośrodku rufowego kasztelu. Zajął mu to chwilę, ale nie zatrzymał się ani razu. Sierżant Gahrđaner podążał za nim, a kapitan Tryvythyn czekał już na nich, gdy dotarli na szczyt.

- Witaj, wasza wysokość - pokłonił się władcy.

- Witaj, kapitanie - odparł Haarahld. Odetchnął głęboko świeżym morskim powietrzem, potem osłonił lewą dłońią oczy, by przyjrzeć się horyzontowi na północnym zachodzie.

Królewski Charis znajdował się na południe od archipelagu wysepek zwanych Głową Trytona, prowadząc środkową z pięciu kolumn, bo w takim szyku nakazał ustawić flotę. Wszystkie okręty płynęły na wiosłach, rozwijając tylko taką prędkość, aby utrzymać się w szyku mimo stałego wiatru wiejącego z północnego zachodu.

Bliższy im przylądek, jeden z dwóch strzegących wejścia do Zatoki Skalistej Mielizny, zwany nie bez racji Wschodnim. znajdował się w tym momencie ponad czterysta mil od aktualnej pozycji floty, na zachodzie północnym-zachodzie, natomiast łańcuch jednostek zwiadowczych rozciągnięto na niemal sześćdziesiąt mil w kierunku północno-wschodnim, by mieć nieustanne baczenie na szlaki prowadzące z Zatoeki Eraystorskiej.

Funkcje patrolowe powierzono wyłącznie szkunerom, zaprojektowanym specjalnie na potrzeby floty przez samego sir Dustyna Olyvyra, chociaż budujące je stocznie nie miały o tym bladego pojęcia. Były to lekkie jednostki o płytkim zanurzeniu, przystosowane do poruszania się o wiosłach, jeśli zachodziła taka potrzeba, i na tyle małe, by pływały dzięki

sile ludzkich mięśni szybciej od wielu galer. Uzbrojono je słabo, w sześć do dwunastu karonad w zależności od wielkości, jako że ich głównym zadaniem miało być przeprowadzanie rozpoznania. Były szybkie i zwrotne, potrafiły iść ostro pod wiatr, jeśli musiały salwować się ucieczką w obliczu zagrożenia.

HMS Szybki, znajdujący się na samym końcu wspomnianego łańcucha, nadał właśnie sygnał o wyjściu w morze połączonych sił Północnej Floty. Haarahld widział na horyzoncie topsle HMS Strzała, najbliższej z czterech jednostek składających się na formację zwiadowczą. Na szczęście midszypmen ulokowany na bocianim gnieździe, tuż pod szczytem jedyne go masztu Królewskiego Charisu, dzierżył długą i niezwyczajnie ciężką lunetę, dzięki której mógł dostrzec układ kolorowych flag, odzwierciedlających oryginalny sygnał nadany przez Szybkiego.

- Zatem nasi przyjaciele wyruszyli na południe. - Haarahld pozwolił, aby w jego głosie pojawiła się nutka zadowolenia. - Dziwne. Wydawało mi się, że są zbyt nieśmiali, aby poprosić nas do tańca.

Na twarzach kilku stojących wokół marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej pojawiły się uśmiechy, a kapitan Tryvvythyn zaśmiał się pod nosem. Wiedział, że żart rzucony przez króla, choć raczej kiepski, za godzinę będzie powtarzany na całym pokładzie.

- Nadał się do tego nie pała, wasza wysokość - odparł chwilę później. - Szybki melduje, że nie rozwijają więcej niż pięć węzłów pomimo sprzyjających wiatrów. Twierdzi też, że płyną w... niezbyt zorganizowanym szyku.

- W każdym razie nie dotrą tutaj przed zmierzchem - zauważył Haarahld, a Tryvvythyn natychmiast przytaknął.

- Też tak sędzę, wasza wysokość.

- Cóż - zaczął władca powoli, jakby w zamyśleniu - wydaje mi się, że najrozsądniej byłoby unikać starcia z nimi, dopóki nie powrócą książe Cayleb i admirał Staynair. Ale powinniśmy pokazać naszym nieśmiałym przeciwnikom, kto będzie prowadził w tym tańcu. Bądź tak uprzejmy i nadaj wiadomość do Tellesbergu. Poinformuj admirała wyspy Zamek, że zamierzamy podejść na odległość głosu, a potem zmień kurs, abyśmy mogli ruszyć w jego stronę.

- Oczywiście, wasza wysokość. Panie Apłyn!

- Tak, sir?

- Nadać do Tellesbergu, że podchodzimy na zasięg głosu.

- Aye, aye, sir!

- Poruczniku Gyrard.

- Tak, sir.

- Zwrot cztery stopnie na bakburtę, jeśli łaska. Idziemy na zbliżenie z Tellesbergiem.

- Aye, aye, sir!

Wydano rozkazy i wiosła Królewskiego Charisu zmieniły rytm, gdy galera zaczęła skręcać, aby zbliżyć się do Tellesbergu. Kolumny płynęły w odległości niespełna trzech czwartych mili od siebie, więc nie trzeba było wiele czasu, by oba okręty flagowe stanęły burta w burzę, skróciwszy ten dystans do zaledwie trzydziestu jardów.

- Dzień dobry, wasza wysokość! - zawołał przez skórzaną tubę hrabia wyspy Zamek. - Czym mogę służyć z samego rana?

- Wydaje mi się, admirale, że nadeszła pora, aby sprawdzić, czy nasi nieśmiali i krygujący się przyjaciele naprawdę zamierzają opuścić przytulne keje własnego portu! - odkrzyknął Haarahld. - Bądź tak uprzejmy i zajmij się tym w moim imieniu.

- Oczywiście, wasza wysokość, z przyjemnością to uczynię. - Hrabia złożył pokłon, a potem odwrócił się do otaczających go oficerów. Moment później, gdy Królewski Charis zawracał, aby powrócić na dawną pozycję, pod nokiem Tellesbergu pojawił się rząd kolorowych flag.

- Znakomicie, kapitanie Tryvythyn - stwierdził Haarahld, obserwując, jak okręt hrabiego zaczyna nabierać prędkości, pociągając za sobą pozostałe dwadzieścia dziewięć galer prawego skrzydła, i oddala się w kierunku północno-wschodnim. - Obawiam się, że mam sporo raportów i listów do przejżenia. Informujcie mnie, jeśli nadejdą kolejne sygnały.
- Oczywiście, wasza wysokość.

Książę Czarnej Wody stał na szczycie rufowego kasztelu Corisandu z rękami założonymi za plecy i z całych sił starał się nie kłąć.

Nie przypuszczał, że dzisiejsze wyjście z portu przebiegnie bez zakłóceń, ale miał nadzieję, że będzie o wiele spokojniejsze, niż się okazało.

Oto kolejny dowód triumfu nadziei nad doświadczeniem, pomyślał z goryczą.

Wiedział jednak, że nie jest to do końca sprawiedliwa ocena. Do tego dnia nikt nie próbował połączyć trzech różnych flot w jeden sprawny organizm, zwłaszcza kiedy dwie z nich jeszcze niedawno miały się za śmiertelnych wrogów. Nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach i niezmiernie dużej ilości dobrej woli skoordynowanie ruchów tak różnych flot - gdy każda z nich miała odmienny system komunikacji, struktur, taktyki i przywództwa - musiało nieść ze sobą niesamowite problemy.

A jeśli zważyć na to, że zaangażowani w akcję ludzie nie mieli za grosz wspomnianej przed chwilą „dobrej woli”, musiał być wdzięczny losowi za to, że udało mu się w ciągu zaledwie jednego dnia skierować wszystkie okręty mniej więcej w tym samym kierunku. Prychnął gniewnie na tę myśl. Jej kąśliwość przypominała mu, w jak trudnym położeniu się znalazł. Bez względu na to, jak wrogie były strony tego zaaranżowanego małżeństwa, fakt, iż zostało ono zawarte na prośbę i pod auspicjami Kościoła Matki (choć ten nie za bardzo chciał się do tego przyznać), wymuszał pełne posłuszeństwo i gwarantował starania, aby żyć długo i szczęśliwie. Szczęśliwe zakończenie niewątpliwie miałyby miejsce, gdyby nie zabrakło im czasu.

I tak wrócił myślami do dzisiejszych ćwiczeń.

Książę Hektor byłby zachwycony, gdyby pojawiła się nie spodziewana i natychmiastowa okazja do zmiżdżenia floty Charisu. Książę Czarnej Wody także, lecz nie zamierzał zaciskać kciuków, licząc na taką szansę. Oceniał, że jego połączone siły mają przewagę liczebną nad flotą Haarahlda w stosunku dwa do jednego, ale wciąż martwiły go te galeony. Oraz to, że dopóki wszyscy dowódcy eskadr nie będą potrafilili prawidłowo odczytać wydanych im rozkazów, przewaga liczebna, nawet tak wielka, nie na wiele mu się zda. Odwrócił się i ogarnął wzrokiem panoramę, która potwierdzała najczarniejsze myśli. Jego gigantyczna flota płynęła przez pofalowaną, błękitną równinę Zatoki Eraystorskiej szeroką, ale kompletnie nie zorganizowaną ławą. Po sterburcie, w odległości dwudziestu mil, miał Półwysep Tryona, po bakburcie najbliższym lądem była Wyspa Wyvern, znajdująca się ponad czterysta pięćdziesiąt mil na południowy wschód od tego miejsca. Wiatr wiał z północnego zachodu i był wystarczająco silny, by unieść spienione grzywacze na wysokość czterech stóp i pchać galery o wiele szybciej, niż się dotychczas poruszały. Kapitanowie najwyraźniej nie umieli skorzystać z nadarzającej się sposobności, pomimo licznych napomnień z jego strony. Szyk floty przypominał więc raczej stado rozbrykanych morskich wyvern, które siadają na falach i dają im się potem nieść, niż cokolwiek innego. Większość okrętów zmierzała jednak w dobrym kierunku - i tyle dobrego dało się o nich powiedzieć. Bez trudu zauważał różnice dzielące jego eskadry od sprzymierzonych. Te drugie systematycznie zostawały z tyłu. Jego okręty stanowiły więc straż przednią, tak jak to zostało zaplanowane, aczkolwiek musiał przyznać, że nawet utrzymywanie własnych jednostek w odpowiednim szyku sprawiało mu nielichy problem. Dla przykładu - pierwsza, wiodąca eskadra za bardzo wysforowała się do przodu. Widząc to, pokręcił głową z rezygnacją.

Donyrt Qwentyn, baron Warowni Tanlyr, był agresywnym, porywczym oficerem, jednym z tych, którzy nigdy nie marnują dobrych warunków pogodowych. Tę cechę książę uważał za wielki plus młodego kapitana, ale pogarda, jaką Qwentyn żywił dla typowych, jego zdaniem, cech Szmaragd- czyków, czyli dla opieszałości i braku entuzjazmu, oraz jawna wrogość okazywana niedawnym przeciwnikom z Chisholmu niwelowały tę przewagę. Ze względu na te uprzedzenia baron postanowił dzisiaj wyrwać jak najdalej do przodu i utrzymać tę pozycję do końca, aby pokazać hrabiom Mahndyru, Sharpfieldu i całej reszcie maruderów, jak powinien dowodzić prawdziwy admirał.

Z tego też powodu książę Czarnej Wody powierzył mu dowództwo nad strażą przednią, a baron Warowni Tanlyr odwdziczył się, wyprowadzając swoje okręty w morze prawie godzinę przed świtem, zanim ktokolwiek inny zdołał wydość się za falochrony. Przez to jednak pomiędzy jego okrętami a resztą floty powstała spora wyrwa, na dobrą sprawę z poziomu pokładu nie było ich już widać.

Książę Czarnej Wody postanowił zanotować w pamięci, że na najbliższej odprawie oficerów z Corisandu powinien poruszyć kwestię koordynacji działań oraz większej otwartości wobec sprzymierzeńców. To dotyczyło się bowiem wszystkich, nie tylko barona Warowni Tanlyr.

- Wybacz, wasza łaskawość. - Odwrócił się, słysząc czyjś głos za plecami. Stał za nim jeden z poruczników służących na Corisandzie.

- Tak?

- Kapitan Myrgyn prosił, abym przekazał waszej łaskawości, że baron Warowni Tanlyr sygnalizuje obecność żagla w polu widzenia, na południowy wschód od jego pozycji.

- Tylko jednego?

- Powtórzyłem wszystko, co przekazał nam baron, wasza łaskawość.

- Rozumiem.

Książę Czarnej Wody zamyślił się na moment, potem wzruszył ramionami. Wiedział, że Haarahld wyśle okręty zwiadowe, aby przeszukiwały wszystkie szlaki prowadzące do Eraystoru. Tylko to mu pozostało, więc książę nie zdywiałby się specjalnie, gdyby wykorzystano do tego zadania owe słynne szkunery. Jeśli baron ma do czynienia z jednym z nich, przy tak silnym wietrze żadna galera nie dogoni smukłego żaglowca. Ale przecież nie miał pewności, czy rzeczywiście trafili na szkuner. W każdym razie otrzymał właśnie potwierdzenie tego, czego spodziewał się od dawna.

- Podziękujcie kapitanowi za natychmiastowe przekazanie informacji.

- Oczywiście, wasza łaskawość.

Porucznik pokłonił się dowódcy i odszedł, a książę natychmiast wrócił do rozmyślań. Kusilo go, by zasygnalizować rozproszonym jednostkom zwanie szyku. Prawdopodobieństwo uzyskania jakiegokolwiek efektu było jednak nikłe, wiązało się też z masą nowych utyskiwań. A opieprzanie tych ludzi bez końca, że nie potrafią zewrzeć porządnie szyków, zaowocuje wyłącznie zwiększeniem liczby konfliktów w długim procesie szkolenia tej floty. Zdał sobie nagle sprawę, że bez względu na to, co sobie myślał o hrabim Sharpfieldu czy admirał Mahndyrze, byli to ludzie z ogromnym doświadczeniem na morzu. Z pewnością rozumieli równie dobrze jak on, co oznacza aktualna sytuacja, więc rozsądniej będzie porozmawiać z nimi w cztery oczy, niż dawać teraz sygnały, których najprawdopodobniej i tak nie posłuchają. Zakładając oczywiście, że ich oficerowie byliby w stanie je rozszyfrować! Westchnął i pokręcił głową. Nie ulegało wątpliwości, że to wszystko musiało wyglądać znacznie prościej z perspektywy wygodnego fotela w Świątyni, na którym pewnie zasiadał człowiek planujący tę operację.

Hrabia wyspy Zamek stał w kajucie sztabowej, drapiąc się w zamyśleniu po brodzie.

Wpatrywał się uważnie w pozycje jednostek zaznaczone na wielkiej mapie, którą rozłożono

na stole. Jego milczący adiutant, porucznik Tillyer, znajdował się tuż za nim. Obserwował admirala i czekał na rozkazy.

Hrabia spoglądał na mapę jeszcze przez dłuższą chwilę, skupiając wzrok na czymś, co tylko on mógł dostrzec, a po tem skinął głową.

- Myślę, że czas wracać na górę, Henrai.

- Tak, panie. - Tillyer podbiegł do drzwi kajuty nawigacyjnej i otworzył je przed hrabią, odsuwając się na bok. Wielki admirał uśmiechnął się do niego i pokręcił głową, wychodząc na zewnątrz, ale radość zniknęła z jego twarzy, ledwie wspiał się po drabinie na kasztel.

- Mój panie!

Kapitan, sir Ohwyn Hotchkys, dowódca Tellesbergu, zasałutował na widok hrabiego. Ten odpowiedział podobnym ge stem, może tylko nieco bardziej niedbałym, potem przeniósł wzrok na porporzec zawieszony na topie masztu.

- Jakież zmiany w szyku naszych przyjaciół? - zapytał.

- Żadnych, panie. W każdym razie nasze szkunery o niczym takim nie informują.

- Świetnie. - Hrabia wyspy Zamek odwrócił wzrok od porporca i uśmiechnął się okrutnie. - W takim razie, Ohwynie, czas zapędzić sygnalistów do roboty. Oto, co mają przekazać...

- Wybacz, że ci przeszkadzam, wasza łaskawość, ale wydaje mi się, iż baron Warowni Tanlyr zobaczył coś jeszcze.

Książę Czarnej Wody oderwał wzrok od spóźnionego śniadania, gdy sir Kehvyn Myrgyn przekroczył próg kajuty admirałskiej Corisandu.

- Co znaczy: „zobaczył coś jeszcze”, kapitanie? - zapytał, zatrzymując filiżankę z czekoladą w pół drogi do ust.

- Nie jestem pewien, wasza łaskawość - odparł Myrgyn przepraszającym tonem. - Zrefował żagle i zwiększył tempo wiosłowania.

- Nie wysłał przy tym żadnego sygnału? - zapytał książę Czarnej Wrody, odstawiając filiżankę.

- Nic takiego nie zauważyliśmy, wasza łaskawość. Ale jest już tak daleko, że mógł wywiesić flagi, a my nie mieliśmy żadnych szans na ich dostrzeżenie.

Książę spojrział na niego bykiem i odsunął fotel od stołu. Wiedział, że baron Warowni Tanlyr ucieka im powoli, ale nieustannie, nie spodziewał się jednak, że jego eskadra zdążyła odejść na tak wielką odległość.

Wyszedł na pokład. Myrgyn podązał tuż za nim aż na szczyt rufowego kasztelu.

Nawet stąd książę nie potrafił dostrzec kadłubów odpływających galer barona Warowni Tanlyr. Nad wzburzoną powierzchnią wody unosiły się jedynie ich żagle, ale i one powoli znikwały za wyraźnie widoczną linią horyzontu. Wyglądało na to, że straż przednia rzeczywiście przyspieszyła. Mając wiatr od północnego zachodu, z każdą chwilą powiększała przewagę nad głównymi siłami księcia Czarnej Wody.

- Z tego co mi powiedziałaś, wnoszę, że wzięli się także do wiosel? - zapytał kapitana.

- Tak, wasza łaskawość - potwierdził Myrgyn, a książę skrzywił się. To by znaczyło, że baron Warowni Tanlyr pły nie teraz co najmniej dwukrotnie szybciej od reszty sprzymierzonych sił. - Proszę nadać wezwanie do powrotu na wyznaczone stanowiska - powiedział.

- Natychmiast, wasza łaskawość - odparł Myrgyn i odwrócił się, aby wydać rozkazy.

Kolejny porucznik flagowca pośpieszył, by je wykonać, ale sądząc z wyrazu twarzy kapitana, było to bezcelowe.

- On jest już tak daleko, że pewnie nie dostrzeże naszych sygnałów, wasza łaskawość.

- Rozumiem. - Książę splótł dłonie na plecach i zaczął się nerwowo kiwać na obcasach, rozmyślając.

Po chwili spojrzął za rufę, gdzie kontyngenty Chisholmu i Szmaragdu wlokły się niesłychanie, odstając coraz bardziej od jego eskadr. Na koniec sprawdził pozycję słońca. Dzisiejszy plan zakładał powrót całej floty do portu jeszcze przed zmierzchem. Aby zdążyć na czas przy tak silnym i niekorzystnym wietrze, musieli utrzymywać bieżący kurs jeszcze przez trzy godziny. Zważywszy na tempo, w jakim poruszała się eskadra barona, reszta sił z Corisandem na czele nie miała najmniejszych szans na dogonienie jej bez względu na to, jak bardzo by się starała. Zresztą baron wiedział, kiedy dokładnie ma wrócić.

Książę Czarnej Wody zaklął szpetnie w myślach. Było to naprawdę długie i treściwe przekleństwo, odnoszące się głównie do opieszałości sojuszników, chociaż nie zapomniał przy okazji o rozentuzjzmowanym dowódcy eskadry, no i o sobie - zbeształ się za to, że nie ściągnął mocniej smyczy barona Warowni Tanlyr. Ale przekleństwami nie dało się naprawić szkód, które zostały już wyrządzone. Skoro dopędzenie tamtych galer nie wchodziło w rachubę, mógł jedynie wydać straży przedniej rozkaz powrotu na wyznaczone pozycje. Mógł też wykorzystać tę sytuację do podreperowania własnej reputacji.

- Cóż mogę powiedzieć, kapitanie - odezwał się chwilę później. - Jeśli dostrzegą sygnał, to go dostrzegą, jeśli nie, też dobrze. - Wzruszył ramionami. - I tak zawracamy za trzy godziny, a mnie śniadanie stygnie. Pozwolisz, że cię opuszczę?

- Oczywiście, wasza łaskawość.

Kapitan zgiął kark w ukłonie, a książę Czarnej Wody pozwolił sobie na uśmiech, gdy wracał do kabiny, by dokończyć śniadanie, które nie wyglądało już tak apetycznie. Ale musiał je zjeść do ostatniego kęsa bez względu na walory wizualne czy smakowe... i zyskać pewność, że wszyscy na pokładzie dowiedzą się o tym.

- Otrzymaliśmy właśnie kolejny sygnał od komandora Nylza, panie - zameldował porucznik Tillyer.

- Tak?

Hrabia wyspy Zamek oderwał wzrok od smażonego kurczaka, którego pożerał oczami. Flota nie była w morzu wystarczająco dłużej, aby świeże pożywienie stało się obiektem westchnień marynarzy, ale żaden żeglarz z krwi i soli nie kręcił nosem, gdy trafił mu się dobry posiłek.

- Tak, panie. Zameldował, że eskadra, która go ściga, wciąż oddala się od reszty. Weszła już w pole rażenia artylerii dalekiego zasięgu.

- Rozumiem. - Hrabia wstał od stołu i wyszedł na wielką galerię rufową Tellesbergu. Ciągnęła się ona przez całą szerokość pięknie zdobionej rufy, zahaczając o obie burty. Admirał zatrzymał się na moment, by spojrzeć w niebo, ocenić widzialność i sprawdzić, ile godzin pozostało do zmierzchu.

- Wydaje mi się, że już czas, Henrai - powiedział, a potem wrócił do stołu, oderwał nogę kurczaka i usiadł, aby ją ogryźć w spokoju. - Daj znać komandorowi, że może zacząć.

- Mój panie, wróg...

Donyrt Qwentyn, baron Warowni Tanlyr, spojrzął za rufę, w stronę głównych sił księcia Czarnej Wody, ale zobaczył tylko spienione grzywy fal. Zastanawiał się, dlaczego pozostałe eskadry floty nie podążyły za nim, mimo iż nadawał im tak wyraźne sygnały. Gdy odwrócił się do porucznika, nad wodą rozległ się głuchy huk. Nad rufami sześciu charisjańskich galer, które ścigał od kilku godzin, uniosły się chmury gęstego dymu. Nagle wody wokół jego okrętów zapieniły się gejzerami piany, świst przebijających fale pocisków zagłuszył głos meldującego porucznika.

- Świetnie! - warknął baron i pośpieszył do dowódcy Błyskawicy. - Zdaje się, że w końcu pojęli, iż nie mogą nam uciec. Bierzcie się do nich!

Komandor Kohdy Nylz przyglądał się z niepokojem otwarciu ognia z dział rufowych. Pomimo wzburzonej powierzchni morza bez trudu mógł dostrzec miejsca, w których spadały pociski. Skinął z aprobatą, gejzery pojawiły się tuż obok celów.

- Mam nadzieję, że obsady armat pamiętają, aby strzelać o wiele wolniej - wymamrotał pod nosem jeden z poruczników HMS Kraken.

Komandor obrzucił wzrokiem młodego podoficera i zdał sobie sprawę, że słowa te musiały paść z jego ust zupełnie nieświadomie. Mimo to Nylz zastanawiał się, czy nie udzielić stosownej reprimendy, ale szybko zmienił zamiar, nie chcąc zawstydzac młodzika. W końcu porucznik powiedział to, o czym on sam przed chwilą myślał.

Jego eskadrę wybrano do tego zadania tylko dlatego, że dysponowała sporą ilością przerobionej artylerii. Gdy książkę Cayleb i admirał Staynair skoncentrowali się na dokończeniu budowy najbardziej zaawansowanych galeonów, prace nad jednostkami znajdującymi się na wcześniejszych etapach produkcji zostały czasowo zawieszono. Niemniej w magazynach portowych znajdowało się już sporo dział przeznaczonych na te ostatnie okręty, a hrabia wyspy Zamek i król Haarahld nie zamierzali marnować tak wielkiego potencjału bojowego. Dzięki temu Kraken oraz pięć pozostałych galer jego eskadry pozbyło się archaicznych kolubryn, wymieniając je na nowoczesne i o wiele mniejsze działa, zarówno w bateriach dziobowych, jak i rufowych. Zastąpiono nimi nawet ustawione na burtach „sokoły”.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ścigające go corisandzkie okręty dowiedzą się o tym już wkrótce, trick polegał tylko na tym, by nie odkryły sekretu zbyt szybko.

Komandor raz jeszcze spojrział w stronę rufy i uśmiechnął się paskudnie na myśl o okrętach, które nadpływały ze wschodu południowo-wschodu tylko na wiosłach.

- Zaraz dopadniemy tych bękartów! - podniecał się baron Warowni Tanlyr.

Jego zdaniem, charisjańskie galery miały stanowić ochronę jednostek zwiadowczych, na wypadek gdyby książkę Czarnej Wody zdecydował się na wysłanie przeciw nim kilku szybkich okrętów. Ale „ochrona” najwyraźniej nie wiedziała, że cała flota sprzymierzonych wyszła w morze. Dlatego płynęła spokojnie na zbliżenie, jakby liczyła na pozytywną identyfikację, dopóki oba zgrupowania nie znalazły się w odległości niespełna dziesięciu mil od siebie.

Wtedy galery Charisu zaczęły uciekać, ale jedna z nich została uszkodzona podczas wykonywania ciasnego zwrotu. Wyglądało na to, że zerwała się któraś z lin i wielki, prostokątny żagiel łopotał mocno przez kilka kolejnych minut, zanim załoga dokonała naprawy. Okręt wroga nie mógł w tym czasie rozwinąć pełnej prędkości, co czyniło z niego wyborny cel. Nic więc dziwnego, że baron nakazał rozpoczęcie pościgu.

Pozostałe galery, zamiast zostawić uszkodzoną jednostkę na pastwę losu, zwolniły, aby ją osłaniać. Nie powinny tego robić. Chociaż każda była większa od jednostek, którymi dysponował baron Warowni Tanlyr, to jednak eskadra Corisandu składała się z aż dziesięciu okrętów, a na wszystkich znajdował się spory kontyngent piechoty, szkolonej właśnie do prowadzenia operacji na morzu. Co więcej, jego mniejsze jednostki potrafiły poruszać się szybciej nawet na samych wiosłach.

Baron wykorzystał i tę przewagę, obsadzając wszystkie ławy, by wspomóc siłą wiatru w żaglach, dzięki czemu odległość pomiędzy pościgiem a eskadrą Charisjan kurczyła się powoli, ale systematycznie. Najwyższy czas na...

- Meldunek na pokład! - Głos obserwatora siedzącego na topie masztu odbił się głośnie echem. - Więcej okrętów, kierunek wschód południowy-wschód.

Baron zamarł, podniósł głowę i spojrzał na bocianie gniazdo.

- Będzie z piętnaście galer! - zawołał znów marynarz. - Idą w naszą stronę tylko na wiosłach.

- Ech, zauważyli już hrabiego! - mruknął komandor Nylz, widząc, że ścigająca go eskadra nagle zaczyna zmieniać kurs. Okręty robiły gwałtowne zwroty, starając się skrócić na północ, ale tym sposobem ustawiały się pod wiatr.

- Zawracamy, kapitanie - powiedział do dowódcy Kra-kena.

- Sądzę, mój panie, że podstęp zadziałał - stwierdził kapitan Hotchkys.

- Przynajmniej na razie - przyznał hrabia wyspy Zamek.

Ścigane galery Corisandu opuściły maszty. Jednostki hrabiego czekały ze zwiniętymi żaglami, aż robiąca za przynętę eskadra komandora Nylza wciągnie wroga w pułapkę. Trudno było wypatrzeć dwadzieścia cztery okręty hrabiego, gdy szły bez żagli i rej, a w niebo sterczały wyłącznie pomalowane na biało maszty - z odległości dziesięciu mil były praktycznie niewidzialne. Zresztą Corisandianie, zgodnie z przypuszczeniami, skupili całą uwagę na uciekających ofiarach. Nikt nie zauważył pościgu, dopóki galery Charisu nie podeszły na mniej niż siedem mil, zachodząc eskadrę przeciwnika od wschodu.

W tym momencie także okręty Nylza zawróciły, kierując się na niedoszłych oprawców.

Zanim komandor rozkazał otworzyć ogień, odległość pomiędzy tymi zgrupowaniami zmniejszyła się szybko do mniej niż dwu mil. Hrabia przeczuwał, że corisandzcy wiosłarze będą wyczerpani tak długim pościgiem, i nie pontylił się wiele. Nie wpadło im nawet do głowy, żeby zastanowić się wcześniej, dlaczego uciekający przeciwnicy nie wiosłują tak zawzięcie jak oni.

Charisjańskie galery miały świeżo oczyszczone dna i wypoczętych wiosłarzy, dlatego Nylz zbliżał się do wroga w zastraszającym tempie. Hrabia nie mógł wejść w kontakt z okrętami Corisandu w tym samym czasie co komandor, ale jego galery - wiedział to dzięki meldunkom ze szkunerów i od samego Nylza — powinny dogonić wroga za mniej więcej dwie godziny. Może nawet szybciej, jeśli komandor zdoła zwolnić tempo ich ucieczki.

Pułapka się zatrzasnęła, dlatego Kraken oraz pozostałe okręty jego eskadry nie ukrywały już szybkostrzelności swoich dział. Nie strzelały jednak tak szybko, jak mogły - ani komandorowi, ani tym bardziej hrabiemu wyspy Zamek nie zależało na tym, aby książę Czarnej Wody dowiedzieć się już teraz, jak groźną bronią dysponuje Charis - w tym właśnie momencie na oczach admirała wiosła na sterburcie jednej z corisandzkich galer poszły w rozsypkę. Pocisk z działa przebił się pod kątem przez długi rząd drzewc, rozszczepiając je i łamiąc. Co najmniej cztery długie drzewca pękły w pół, tyle samo wyłamało się z równego szeregu. Hrabia skrzywił się nieznacznie. Wiedział, jakie spustoszenie uczynią te wiosła na ławach, gdy wyszarpięte impetem uderzenia z umęczonych rąk zaczną miażdżyć żebra, łamać ręce i rozbić głowy.

Szybko jednak się otrząsnął. Coraz więcej kul uderzało w wodę tuż przy uciekających jednostkach albo trafiało z ząbującą precyzją prosto w cel.

- Sygnał z Szybkiego, panie - zameldował któryś z midszypmenów Tellesbergu.

- Odczytać - rozkazał hrabia wyspy Zamek.

- Wróg na północ północny-zachód od mojej pozycji. Odległość osiemnaście mil.

Prędkość siedem węzłów. - Chłopak przeczytał na głos dane zapisane na kartce.

- Dziękuję - powiedział hrabia i przymknąwszy oczy, naniósł te dane na mapę, którą zachował w pamięci. Stojąc na pokładzie, nie był w stanie dostrzec szkunera zwiadowczego, który nadał tę wiadomość, ale jego obserwatorzy ułożeni na topie masztu nie mieli z tym żadnego problemu-

Z takiej odległości nie mogliby jednak odczytać treści przekazywanej przez niewielkie flagi, dlatego korzystali z pośrednictwa Północnego Wiatru, płynącego znacznie bliżej bliźniaczego szkunera. To oznaczało, że główne siły przeciwnika znajdują się teraz w odległości mniej więcej dwudziestu pięciu mil, a może nawet i większej, prosto za ich rufami, nadpływając od nawietrznej.

Uciekająca eskadra mogła poruszać się z prędkością trzech, góra czterech węzłów, podczas gdy jego galery wyciągały minimum sześć, podchodząc na dodatek pod ostrym kątem. Jeśli główne siły przeciwnika rzeczywiście rozwijają prędkość rzędu siedmiu węzłów, jak to ocenił kapitan Szybkiego, to jej czołowe formacje powinny dotrzeć do odciętych jednostek za mniej więcej dwie i pół godziny.

Jeśli książę Czarnej Wody zorientuje się, co grozi tym okrętom, i da z siebie wszystko, zwiększając tempo, może dotrzeć jeszcze szybciej, ale to i tak nie uratuje tej eskadry, pomyślał z ponurą satysfakcją hrabia.

- To ostatni z nich, wasza łaskawość. - Kapitan Myrgyn wskazał na kolejny słup dymu unoszący się nad horyzontem.

- Przecież widzę, kapitanie - odparł książę Czarnej Wody.

Starł się jak mógł, aby powściągnąć gniew i nerwy, chociaż wiedział, że nikogo tym nie zwiedzie. A już zwłaszcza Myrgyna.

Splótł ręce na plecach, zacisnął dłonie mocno, niemal do bólu i zrobił głęboki wdech.

- Dobrze, kapitanie - powiedział. - Kontynuowanie tego pościgu nie ma sensu.

Wracamy do portu.

- Tak, wasza łaskawość - odparł Myrgyn przez ściśnięte gardło, po czym odwrócił się, aby wydać odpowiednie rozkazy.

Książę Czarnej Wody spoglądał w tym czasie na całe mile wody dzielące go od ostatniej galery barona Warowni Tanlyr. Potrzebował co najmniej godziny i jeszcze kwadransa, by dotrzeć w jej pobliże, ale do tej pory wrak zapewne spali się doszczętnie i zniknie w głębinach. Nie widział też sensu w ściganiu Charisjan, którzy zawrócili już dawno, mając ogromną przewagę dzięki wyjątkowo pomyślnym wiatrom, i odpłynęli w kierunku domu oraz czającej się gdzieś na tych wodach reszty floty, która tylko czekała na szaleńców ruszających w daremny pościg.

Nawet gdyby mógł dogonić tych drani, musiałby walczyć z nimi w nocy, a tego nie życzyłby najgorszemu wrogowi. Nie mówiąc już o tym, że miałyby tam tylko galery — sześćdziesiąt jednostek, które mu pozostały - przeciw całej flocie Charisu, bo te lenie z Chisholmu i Szmaragdu z pewnością nie nadałyby za nim.

Jakaś część jego umysłu wciąż domagała się kontynuacji pościgu, by pomścić poniesione straty i doznane upokorzenia, ale ta druga, bardziej logiczna i chłodniej kalkulująca, wiedziała lepiej.

Powiadają, że dowódca wyniesie więcej nauk z porażki niż ze zwycięstwa, pomyślał ponuro. Jeśli to prawda, dzisiejszy dzień powinien dostarczyć nam sporo nowej wiedzy. Muszę koniecznie sprawdzić, czy nasi tak zwani „sojusznicy” wyciągnęli z tej sytuacji podobne wnioski jak ja.

To, co przydarzyło się tego popołudnia baronowi Warowni Tanlyr, posłuży za doskonały przykład tym wszystkim, którzy uważali, że nauczanie się współdziałania w jednej, zwartej formacji jest rzeczą zbędną. Może dzięki temu wysoka cena, jaką zapłacił Corisand i on sam, nie pójdzie całkiem na marne.

Może...

LUTY

ROKU PAŃSKIEGO 892

Zatoka Urwanej Kotwicy, Rafa Armagedonu

N

ieżnane okręty wchodzą na kotwiczowisko!

Gahvyn Mahrtyń, baron Białego Brodu, podniósł wzrok, gdy z góry przez otwarty świetlik usłyszał głos wachtowego. Król Gorjah II flagowy okręt floty Tarota, poruszał się nie-spokojnie na kotwicy nawet tutaj, za osłoną Głowy Demona. Ale admirał nie narzekał na to. Dzięki tym fałom wszyscy na pokładzie byli tak podminowani, że nieustannie zachowywali czujność.

Ktoś zaczął się dobijać do drzwi kajuty admirałkiej. Baron usłyszał, jak jeden z lokai otwiera skobel, a moment później do jego prywatnego gabinetu wszedł porucznik z załogi flagowca.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, panie, ale...

- Słyszałem, poruczniku Zhoelsyn. - Baron Białego Brodu uśmiechnął się przelotnie. - Czy owe niezidentyfikowane okręty należą do naszych od dawna oczekiwanych przyjaciół z Dohlaru?

- Na to wygląda, panie - potwierdził Zhoelsyn, także się uśmiechając.

- Langhorne'owi niech będą dzięki - ucieszył się admirał. - Powiadom kapitana Kailleego, że pojawię się na pokładzie za piętnaście minut.

- Tak jest, panie.

Porucznik Zhoelsyn wycofał się, a baron Białego Brodu zawołał:

- Zheevys!

- Tak, panie? - odezwał się Zheevys Bahltyn, osobisty lokaj służący mu od dziecka.

- Moja nowa tunika, Zheevysie! Musimy olśnić księcia.

- Już pędzę, mój panie.

Dwie godziny później baron Białego Brodu stał na rurowym kasztelu, na chłodnym wietrzyku wiosennego popołudnia, przyglądając się flocie Dohlaru wchodzącej powoli, wręcz ociężale, na kotwiczowisko położone w samym sercu Zatoki Urwanej Kotwicy. Ale nawet tutaj, w miejscu chronionym przed wiatrami gigantycznym szczytem Głowy Demona, woda wcale nie była taka spokojna. Poza zatoką szalały dziesięciostopowe grzywacze, zwiastując pogodę, z jaką już wkrótce będą się musiały zmierzyć połączone siły. Tego nikt nie musiał przypominać baronowi Białego Brodu. Stracił dwie galery z całymi załogami, aby dostać się w to miejsce, a sądząc po wyglądzie okrętów, które szukały teraz schronienia na wodach zatoki, Dohlarianie mieli znacznie gorszą podróż niż on.

Na kilku jednostkach widać było flagi z rozkazami, ale na żadnym nie powiewał czerwono-zielony proporzec okrętu flagowego. W końcu baron dostrzegł gigantyczną galeryę, przy której pozostałe wyglądały jak zabawki. Sunęła bokiem na samym końcu, blisko wybrzeża. Jej jedyny maszt był bardzo krótki, od razu dało się zauważyć, że to zapasowe drzewce. Był to najprawdziwszy dwurzędowiec, jednostka, jakiej baron Białego Brodu nie widział od niemal dwudziestu lat. Patrzył więc na galeryę, kręcąc z niedowierzaniem głową. Fale obmywały jej burty, sięgając powyżej dolnego rzędu wiosel, a z pokładu spływały kaskady wody wypompowywanej z kadłuba.

- Cóż to za cudactwo? - zapytał ścisłym głosem stojący za nim kapitan Zhilbert Kaillee, na co baron prychnął pogardliwie.

- To, mój drogi Zhilbercie, jest okręt flagowy floty Dohlaru. Król Rahnyld.

- Król Rahnyld - powtórzył oficer, a baron Białego Brodu zaśmiał się pod nosem.

- My przynajmniej nazwaliśmy nasz okręt flagowy imieniem poprzedniego władcy - powiedział. — Jeśli mnie wzrok nie myli, to potworne pudło musiało kosztować więcej niż dwie całkiem spore galery. Nie wspominając już o tym, że prowadzenie takiego giganta musi być piekielnie trudne.

- Co prawda, to prawda - wymamrotał pod nosem Kail-lee, patrząc, jak wielka fala obmywa dziób gigantycznej galery i przetacza się wzdłuż rzędów wiosel.
- Ale jakoś ją tutaj doholowali - zauważył baron po chwili milczenia. - Chociaż zajęło im to pięć dni więcej, niż zakładał.
- Powiedziałbym, mój panie, że musieli wykonać kawał wspaniałej roboty, żeby dopłynąć tak daleko.

Baron skinął głową, przyglądając się wysmaganym falami burzom, zdarzającym się od czasu do czasu pustym otworom wiosłowym, surowym deskom, którymi dokonywano pośpiesznych napraw na pełnym morzu. Już z samego tempa, w jakim Dohlarianie posuwali się w głąb zatoki, można było wnosić, że dna ich okrętów wyglądają naprawdę nieciekawie i z pewnością nie będą w stanie rozwijać większych prędkości.

Baron raz jeszcze pomyślał o geniuszu wojennym, który zaplanował tę kampanię. O wiele więcej sensu miało wysłać tę flotę wzdłuż wybrzeży Howardu i Haven aż do Taro-ta, gdzie można by dokonać pomniejszych napraw, których te jednostki bezwzględnie wymagały. Ale nie, musieli dopłynąć tutaj, do najbardziej przeklętego miejsca na całym Schronieniu, aby wyruszyć stąd prosto na wroga.

- Coś mi się widzi, że dopiero teraz zacznie się prawdziwa zabawa - powiedział kapitanowi Kailleemu, ale w jego głosie nie było nawet cienia wesołości.

Hrabia Thirsku obserwował wejście barona Białego Brodu i towarzyszącego mu kapitana, stojąc w wielkiej kajucie Króla Rahnylda, tuż za księciem Malikai.

Tarocki admirał był bardzo niskim człowiekiem, niższym nawet niż hrabia Thirsku, i o wiele szczuplejszym od niego. Miał ciemne oczy i także włosy, przyprószone pierwszymi śladami siwizny. Natomiast Zhilbert Kaillee, kapitan okrętu flagowego, mógłby zostać uznany za jego fizyczne przeciwieństwo. Mało mu brakowało do wzrostu księcia Malikai, był za to znacznie masywniejszy, miał też potężnie umięśnione ramiona i z pewnością ważył o jakieś pięćdziesiąt, jeśli nie sześćdziesiąt funtów więcej niż księżę, chociaż nie było w nim ani grama tłuszczu.

Za tą parą szła cała gromada młodszych kapitanów i starszych poruczników. Księżę Malikai witał ich z szerokim, przyjaznym uśmiechem. Hrabia Thirsku wątpił, czy księżę jest świadom tego, że wygląda zbyt protekcyjnie.

- Admirał Białego Brodu - wymamrotał hrabia Thirsku, gdy przysłała jego kolej na uściśnięcie dłoni Tarotczyka. Na te słowa w oczach niskiego mężczyzny zatańczyły wesołe ogniki.

- Admirał Thirsku - odparł, a hrabia przygryzł wargę, by nie skwitować uśmiechem ledwie wyczuwalnej, ale i wyraźnej emfazy w głosie Tarotczyka. Chwilę wcześniej baron Białego Brodu powitał dziedzica Malikai, poprzedzając jego imię tytułem księcia, co było nader poprawne, aczkolwiek dał tym do zrozumienia, że szanując jego szlachećne pochodzenie, nie widzi w nim jednak marynarza.

Hrabia Thirsku i baron postali jeszcze chwilę, ściskając sobie dłonie jak dwaj specjaliści tego samego fachu, a potem Tarotczyk odstepił i przeszedł dalej. Ale hrabia zachował w pamięci to powitanie, czując, że może znaleźć w tym człowieku cennego sojusznika. Miał nadzieję, że się nie myli, ponieważ sądził, iż już wkrótce będzie potrzebował pomocy kogoś takiego.

- Przepraszam za naszą opieszałość, baronie - rzekł księżę Malikai, gdy po zwyczajowej wieczerzy rozpoczęli oficjalną część narady. - Niestety, pogoda na naszym pierwotnym szlaku okazała się gorsza, niż przypuszczaliśmy, i zostaliśmy zmuszeni do znalezienia innej drogi.

- Domyślałem się, że taki był powód waszego spóźnienia, wasza łaskawość - odparł baron Białego Brodu. - Jak zapewne wiecie, byliśmy na bieżąco informowani o waszych postępkach, dzięki wykorzystaniu stacji semaforowych. Zważywszy na pogodę, jaką sami napotkaliśmy, nie dziwiło nas wcale, że nie przybyliście o czasie. Cieszy mnie też, że nie straciliście przy tym większej liczby jednostek.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, baronie. - Księżę Malikai uśmiechnął się. - Sądzę, że przemawiam w imieniu nas wszystkich, wyrażając nadzieję, że zła pogoda jest już za nami i...

- Każdy z nas żywi podobne nadzieje, wasza łaskawość. Niestety, wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie pogoda się nie zmieni.

Dziedzic Malikai zamknął usta, robiąc minę, z której można było wyczytać, że jest zaskoczony, ale i głęboko urażony tak bezceremonialnym przerwaniem jego wypowiedzi przez barona Białego Brodu. Przyglądał się Tarotczykowi przez dłuższą chwilę, jakby nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, dlatego hrabia Thirsku wykorzystał moment, aby coś wtrącić.

- Jestem pewien, że pan, admirale Białego Brodu, jak i pańscy ludzie macie znacznie lepsze pojęcie na temat panującej w tych okolicach pogody - powiedział, kierując te słowa do barona.

- Rzadko zapuszczamy się aż tak daleko na południe. Nikt też nie zbliża się do Rify Armagedonu, jeśli nie musi tego robić. Ale doskonale znamy warunki panujące na Morzu Parkera i w Kotle. A o tej porze roku pogoda bywa tam kapryśna, co sami zdążyliście już zauważyć. Ten północno-wschodni wiatr może szybko zmienić kierunek, nawet o sto osiemdziesiąt stopni, ale nie czarujmy się, na pewno nie zniknie. A gdyby nawet, to zaraz pojawi się kolejna wichura, jeszcze silniejsza od poprzedniej.

- To nie zabrzmiało... zbyt zachęcająco - zauważył hrabia Thirsku, starając się zachować neutralny ton. Nie spojrzął przy tym na księcia Malikai. Ale księżę miał na tyle zdrowego rozsądku, że nie próbował zabierać głosu. Hrabia prosił Boga, żeby mu się przypadkiem za szybko nie odmieniło.

- To wymarzona pogoda dla galeonów — ciągnął tymczasem baron Białego Brodu, machając lekceważąco dłonią. - Wprawdzie rzadko będziemy mieli do czynienia z falami wyższymi niż piętnaście czy szesnaście stóp, ale to może być... jak pan to pięknie ujął, admirale?... ach tak, niezbyt zachęcające, zwłaszcza dla galer.

Gdy to powiedział, po dohlariańskiej stronie kabiny zapadła grobowa cisza, moment później hrabia Thirsku musiał zasłonić usta dłonią, aby nikt nie zauważył jego uśmiechu.

- Od czasu do czasu możemy trafić na prawdziwy huragan - kontynuował baron Białego Brodu. - Jeśli do tego dojdzie, fale mogą osiągnąć nawet trzydzieści stóp, ale na szczęście tak potężne sztormy występują częściej jesienią niż wiosną. A na akwenie, na którym się aktualnie znajdujemy, należą do rzadkości bez względu na porę roku.

- Skoro wiesz tak wiele o pogodzie w tym regionie, admirale - wtrącił hrabia Thirsku, dobierając ostrożnie zarówno słowa, jak i ton wypowiedzi - może zająłbyś się wytyczeniem naszego dalszego kursu?

- Wedle życzenia, admirale - odparł baron. - Obawiam się, że pokonanie Morza Parkera szlakiem biegnącym na północ od Ziemi Tyrona, jak to wcześniej zakładano, nie wydaje się dzisiaj sensownym pomysłem. Pogoda w tamtym rejonie nie będzie nam sprzyjała, a straciliśmy już wystarczającą liczbę ludzi i okrętów. Nie jestem miłośnikiem Rify Armagedonu, jak chyba każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, ale radziłbym kontynuować podróż wzdłuż wybrzeży Głowy Demona, by potem przepłynąć pomiędzy Cyplem Thomasa i najdalej wysuniętą na południe Stopą Shan-wei, trzymając się blisko wschodnich wybrzeży Rify, aż minimy Morze Żelazne i dotrzemy w końcu do Lamentu Mac-Phersona.

- Wybacz mi, baronie - wtrącił dziedzic Malikai - ale tym sposobem będziemy musieli nadłożyć wiele mil. Poza tym czy nie ryzykujemy, że silniejsze północno-wschodnie wiatry przyprą nas do brzegu?

To przynajmniej wyglądało na pytanie, pomyślał hrabia Thirsku, nie na kolejne aroganckie obiekcje wzburzonego arystokraty.

- Tak, to wydłuży naszą trasę o kilka mil, wasza łaskawość - przyznał baron Białego Brodu - ale racz pamiętać, że w chwili obecnej pogoda na Morzu Parkera nie należy do najlepszych. A na południe od Lamentu MacPhersona będzie jeszcze gorzej... Nie mamy innego wyjścia, niż ominąć Lament od wschodu, przez Morze Żelazne, a jeśli ktoś myśli o przejściu przez Cieśninę Tryona, by ominąć jak największą część Morza Żelaznego, niech pamięta, że aby tam dotrzeć, trzeba przepłynąć Morze Parkera. - Zamilkł, by sprawdzić, czy książę nadaża za jego wyjaśnieniami. Książę Malikai nie odezwał się słowem, więc baron podjął przemowę. - Bez względu na to, jaką trasę wybierzemy, czeka nas przechodzenie przez fronty pogodowe, wasza łaskawość. A skoro mówimy już o ryzyku zepchnięcia na brzeg przez niepomyślnie wiatry, to pragnę nadmienić, że Rafa Armagedonu na całej niemal długości poznaczona jest mniejszymi i większymi zatokami. Jeśli trafimy na warunki, które mogą nas kosztować utratę zbyt wielu okrętów, będziemy mieli szansę na schronienie się w nich i przeczekanie. - Wzruszył ramionami. - Jak już wspomniałem waszej łaskawości, te wody nie są zbyt przyjazne dla galer.

W wielkiej kajucie zapadła cisza. Masywny kadłub Króla Rahnylda zakołysał się mocno na fali, mimo iż stał na kotwicy, a do uszu wszystkich zebranych dobiegł monotony dźwięk przyspieszających pomp osuszających żęzy z wody zalewającej wewnątrz kadłuba przez otwory wiosłowe dolnego pokładu.

Hrabia Thirsku zdawał sobie sprawę, że książę Malikai nie będzie zadowolony, słysząc z ust barona Białego Brodu te same słowa, które on mu powtarzał przy każdym niemal spotkaniu. Niemniej długa i bolesna podróż w to miejsce powinna dać do myślenia nawet tak tępemu matołowi jak książę. Szkoda tylko, że nie zechciał przyjąć do wiadomości tej wiedzy, chociaż hrabia posiadał ją i chciał się nią podzielić, zanim jeszcze wypłynęli z portu. Mógłby przecież od razu zmienić zaplanowaną trasę, ułatwiając życie im wszystkim. Niemniej hrabia Thirsku był gorącym wyznawcą powiedzenia, że lepiej późno pójść po rozum do głowy niż wcale.

Liczył też na to, że słowa barona Białego Brodu nie będącego przecież podwładnym księcia Malikai, tylko dowódcą sprzymierzonej z nim, choć znacznie mniej liczebnej floty, powinny mieć dla niego o wiele większą wagę.

- Baronie - odezwał się w końcu książę. - Chylę czoła przed twoją dogłębną wiedzą na temat pogody w tych stronach. Najważniejsze, abyśmy dotarli do celu w pełnej gotowości bojowej, a z tego co usłyszałem przed chwilą, trasa, którą nam proponujesz, sprzyja takiemu właśnie rozwiązaniu.

Langhorne'owi niech będą dzięki, pomyślał z niezwykłą jak na niego szczerością hrabia Thirsku. No i tobie, admirał Białego Brodu.

- I co o tym sądzisz, mój panie? - zapytał kapitan Kail-lee, gdy stanął razem z baronem Białego Brodu na kasztelu rufowym Króla Gorjaha II, aby przyjrzeć się długiemu szeregowi galer opuszczających Zatokę Urwanej Kotwicy.

- O czym? - odparł pytaniem na pytanie baron.

- O naszych sojusznikach.

- Ach. - Baron Białego Brodu przygryzł wargę w zamyśleniu, przypatrując się galerom i jednocześnie rozważając kwestię poruszoną przez kapitana.

Pokład jego okrętu flagowego poruszał się niespokojnie, żeby nie określić tego dosadniej, ale nie narzekał na to, gdyż morze po raz pierwszy od momentu przybycia floty Dohlaru nie było

bardzo wzburzone. Dziób galery wyrzucał w powietrze całe chmury piennej wody, gdy przebijał kolejne fale, ale wiosła poruszały się miarowo i pewnie. Największe galery Dohlaru, ustawione na samym końcu kolumny, posuwały się znacznie wolniejszym tempem, chociaż ich obsady wiosłowały bardziej zawzięcie od pozostałych. Spore rozmiary tych jednostek powinny ułatwiać to zadanie, ale baron Białego Brodu wiedział, że nie zaprojektowano ich do pływania po otwartym morzu. Ich wąskie, ale za to płytko zanurzone kadłuby przystosowano do wód przybrzeżnych. Dzięki temu galery mogły poruszać się niezwykle szybko na samych wiosłach, ale żeglowanie szło im... co najmniej niestabilnie, nawet przy średnio dobrej pogodzie. Baron wątpił, by te okręty kiedykolwiek wypłynęły poza obręb Zatoki Dohlariańskiej - oczywiście przed tą szaloną wyprawą - dlatego uważał za pewnik, że utracą kolejne pięć czy nawet sześć jednostek, zanim dopłyną do Lamentu MacPhersona.

- Uważam, że im szybciej ten ich pokraczny flagowiec załonie, tym lepiej - oświadczył, kierując te słowa do kapitana Kaillego.

Dowódca Króla Gorjaha II spojrział na niego ze zdumieniem. Nie chodziło mu jednak o słowa, które wypowiedział baron, ale o otwartość, z jaką przełożony wyrażał swoją opinię. Baron Białego Brodu zauważył jego minę i roześmiał się, aczkolwiek w jego reakcji niewiele było radości.

- Cały ten pomysł zakradnięcia się za plecy Haarahlda od wschodu wydaje mi się poroniony - powiedział. - Tylko idiota mógł zakładać, że nasi przeciwnicy nie rozmieszczą jednostek zwiadowczych wzdłuż wszystkich szlaków pomiędzy Srebrodajną a Charisem. Czy zgodziłbyś się, kapitanie, ze stwierdzeniem, że tak czy inaczej dojdzie do bezpośredniej konfrontacji naszych połączonych flot ze wszystkimi siłami Haarahlda?

- Oczywiście, panie.

- Cóż, gdyby to hrabia Thirsku dowodził Dohlarianami, bez wątpienia popłynąłby wzdłuż wybrzeży aż do Zatoki Matyasa. W ten sposób moglibyśmy wyruszyć razem i pokonać wspólnie Kowadło, dzięki czemu ani oni, ani my nie stracilibyśmy nawet jednego okrętu z powodu złej pogody. Ale książę Malikai wolał trzymać się wydanych rozkazów, no i sam sobie napytał biedy na otwartym morzu. A skoro raz był zdolny do zrobienia czegoś tak potwornie głupiego, nie spodziewam się, aby zechciał teraz zmienić swój styl dowodzenia. Poprowadzi flotę jak typowy szczur lądowy, którym przecież jest. Możemy się zatem spodziewać, że Haarahld i jego ludzie przejadą się na nas jak na łysej kobyli. Nie... - Machnął lekceważąco ręką - w końcu i tak ich rozgromimy. Mamy zbyt wielką przewagę liczebną, więc ta wojna nie może się skończyć inaczej. Ale przez to, że taki idiota będzie wydawał rozkazy, stracimy znacznie więcej ludzi i okrętów.

Kaillee przetrwał kąśliwą analizę admirała, a potem westchnął głośno.

- O co chodzi? - zapytał baron Białego Brodu.

- O nic, panie. - Kaillee pokręcił głową. - Pomyślałem sobie tylko, że miło by było, gdybym choć raz znalazł argument pozwalający mi nie zgodzić się z twoją opinią.

II

Południowa część Morza Parkera, Rafa Armagedonu

Hrabia Thirsku przyglądał się stadom ptactwa i wyvern

ciągnącym za flotą po niebie niczym pasma prochowego dymu. Nie miał pojęcia, ile się ich gnieździ na opustoszałych wybrzeżach Rasy Armagedonu, ale był pewien, że nigdy wcześniej nie widział tak ogromnej liczby tych latających stworów w jednym miejscu.

Krażyły, wzbijały się w górę, piłkowały albo szybowały spokojnie, czujnie obserwując kilwatter w poszukiwaniu jakichkolwiek resztek. Wysokie, piskliwe skrzeki ptaków i ponure gwizdy wyvern przebijały się nawet przez szum wiatru, łomot fal, wydawane od czasu do czasu komendy i wszechobecne skrzypienie drewna.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, znikając za ledwie widoczną z tej odległości ciemną linią Rify Armagedonu. Ostrzeżenia barona Białego Brodu przed nadchodzącym załamaniem pogody znalazły potwierdzenie w faktach, ale zanim pojawiły się naprawdę wysokie fale, zdołali okrążyć Głowę Demona i zbliżyli się do Kowadła, przemierzając sześćsetnaście mil paszczą zatoki Rakurai. Hrabia Thirsku, jego ludzie i galery nie przywykli do tak niespokojnego morza - przed wyjściem w ten szalony rejs nie mieli okazji poznać prawdziwego oblicza oceanów - ale tym razem wiatr dał nie od dziobu, ale pod kątem, napierając na bak-burtę. Dzięki temu mogli w końcu złożyć wiosła i utrzymać względnie prosty kurs, płynąc na podwójnie zrefowanych żaglach, pomimo dość sporego pręchylu.

Różnica była ogromna, nawet w przypadku niezdarne go Króla Rahnylda. Hrabia Thirsku wciąż czuł się jak świeżo wykluta wyverna, którą wiatry rzuciły na zbyt głębokie wody, ale zaczynał powoli wierzyć, że rozsądna rada barona Białego Brodu sprawi, że naprawdę uda im się dotrzeć do Lamentu MacPhersona, nie tracąc ani jednego okrętu. Zdołali już minąć Cypel Thomasa, przepływając pomiędzy nim a wysuniętą najdalej na południe Stopą Shanwei, z czego wszyscy wyraźnie się ucieszyli. Ludzie nie chcieli zawijać do zatoki Rakurai i nie zrobiliby tego, gdyby mieli jakikolwiek wybór.

Hrabia spojrział na niebo i zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy czasem nie skusił licha zbyt optymistycznymi myślami. Na wschodzie nad horyzontem zbierała się pokrywa ciemnych chmur. Wiatr zrobił się zauważalnie chłodniejszy już około południa, a temperatura wciąż opadała, i to znacznie szybciej, niż sugerowałby ciągle zmniejszający się dystans do Cieśniny Waleniszczycieli.

Kolejna drastyczna zmiana pogody była bardzo możliwa, ale Zatoka Gorath znajdowała się jakieś trzydzieści mil od najbliższych wybrzeży i powinna dotrzeć przed świtem do Skalnego Przylądka. Gdy miną to miejsce, brzeg Rify znów odsunie się od nich w kierunku zachodnim, ustępując tak potrzebne go miejsca na wypadek załamania pogody. Co więcej, znajdowali się już tylko kilkaset mil od Przylądka Ruin, rozległych przestrzeni Zatoki Demona oraz Zatoki Złamanych Serc wcinającej się głęboko w Rafę Armagedonu na południe od wspomnianego przylądka. Nazwy tych miejsc nie brzmiały zachęcająco, ale tylko tam mogli znaleźć w miarę bezpieczne schronienie i kotwicowiska nawet dla dziesięcio- lub stu-krotnie większej floty... i to bez zbudzenia duchów, które bez wątplenia zamieszkiwały zatokę Rakurai. Aczkolwiek on wolałby nie rzucać kotwicy w żadnym z tych miejsc i...

- Żagiel na horyzoncie!

Hrabia Thirsku podskoczył, jakby mu kto wetknął rozgrzane do białości żelazo w bardzo intymną część ciała. Obrócił się szybko, by spojrzeć w stronę bocianiego gniazda z taką samą zaskoczona miną, jaką mieli wszyscy obecni na pokładzie.

Ten człowiek musiał się pomylić, pomyślał hrabia. Na tych przeklętych wodach nie powinno być żadnych okrętów, chyba że wysłał je tutaj jakiś szaleniec, bratnia dusza tego, kto nakazał mi przebijanie się tą drogą do Charisu.

- Jaki kierunek? - zawołał porucznik Zhaikeb Mathysyn, który właśnie objął wachtę.

- Prawie na wprost dziobu, sir - odpowiedział obserwator.

- Ten facet chyba się upił - wyszeptał jeden z oficerów piechoty, służący teraz w oddziałach abordażowych.

Mathysyn nie wiedział, czy zżymać się na krytykancki ton szczura lądowego czy na własne niedowierzanie. Zmierzył oficera surowym spojrzeniem, potem pstryknął palcami i wskazał na jednego z midszypmenów.

- Luneta na górę, panie Haskyn! - wrzasnął.

- Tak jest!

Chłopak pochwyił ciężką lunetę, przełożył ją przez ramię i zaczął się wspinać po wantach ze zwinnością charakterystyczną dla młodzieńczego wieku. Dotarł do bocianiego gniazda,

poluzował pasek i oparł końcówkę lunety o re-ling, aby uzyskać jak najlepszą stabilność obrazu. Gapił się w okular przez kilka długich minut. Hrabia podejrzewał, że większość tego czasu zużył nie na obserwację, ale uspokojenie oddechu.

- To samotna jednostka, sir! - zawołał w końcu Haskyn. - Idzie niemal prosto na nas! Hrabia Thirsku znów zmarszczył brwi. Gdyby nawet jakiś frachtowiec zapędził się na te wody z niezrozumiałych dla niego powodów, to żaden szyper nie miałby prawa płynąć na Rafę Armagedonu. A gdyby już zaistniała przyczyna tak szalonego zachowania, to samotna jednostka z pewnością powinna pierwsza dostrzec ciągnącą się na wiele mil kolumnę galer. Na taki widok każdy szanujący się żeglarz zabiera dupę w troki i znika jak najszybciej z pola widzenia.

Chyba że mieli do czynienia ze statkiem kurierskim, który wysłano na poszukiwanie ich floty.

Potrząsnął głową, ledwie o tym pomyślał. Znajdowali się teraz około pięciuset mil na południe w stosunku do trasy, którą kazano im płynąć. Mieli trzy pięciodnie spóźnienia. Gdyby nawet ktoś chciał wysłać do nich kuriera, to na pewno nie szukałby ich tutaj! Zatem...?

- To szkuner, sir! - zawołał Haskyn, a serce hrabiego zamarło na dźwięk jego słów.

- Powtórz! - W głosie Mathysyna także pojawiło się niedowierzanie, ale chłopak nie dał się zbić z tropu.

- To szkuner, sir! - powtórzył. - Widzę wyraźnie jego topsle!

- Złóż natychmiast! - rozkazał kapitan, a chłopak od razu wykonał rozkaz. Tym razem nie kłopotał się mozolnym schodzeniem, skoczył na baksztag, oplótł go nogami i zjechał po nim, uderzając mocno o pokład tuż przy stopach Mathysyna.

- Tak, sir? - zapytał.

- Jesteś pewien, że to szkuner? - zapytał porucznik, wlepiając oczy w midszypmena.

- Tak, sir!

- Dlaczego?

- Nie pamięta pan, sir, tego tarockiego szkunera, który widzieliśmy podczas postoju w Ferayd, w Delferahku? - zapytał chłopak, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Takiego ożaglowania nie sposób pomylić z żadnym innym, sir.

Mathysyn otworzył usta, ale natychmiast je zamknął i tylko pokiwał głową.

- Doskonale, panie Haskyn. Przekaż pozdrowienia kapitanowi Maikelowi i poinformuj go, co zauważyłeś.

- Tak jest!

Haskyn zgiął się w salucie i popędził w kierunku drabiny prowadzącej na kasztel rufowy.

- Wybacz, wasza wysokość, ale właśnie odebraliśmy sygnał od Szpiega - zameldował kapitan Manthyr, mijając porucznika Falkhana stojącego w drzwiach kabiny nawigacyjnej.

- Naprawdę? - zapytał spokojnie książę Cayleb, odrywając wzrok od stołu i leżących na nim map.

- Tak, wasza wysokość. „Wróg w polu widzenia” - odczytał z przyniesionej kartki. - „Na zachód południowy zachód od mojej pozycji. Odległość osiemnaście mil. Kierunek południowy zachód. Szacowana prędkość sześć węzłów. W polu widzenia ponad trzydzieści jednostek”.

Gdy odkładał notes, na jego twarzy można było zauważyć ciekawą mieszaninę zachwyty i satysfakcji.

- Dziękuję, Gwylymie - odparł Cayleb, nie spoglądając nawet w stronę Merlina. - Dopilnuj, aby ta informacja dotarła także do admirała Staynaira.

- Tak jest, wasza wysokość.

- Poproś też admirała, aby przybył na pokład razem z kapitanem Bowshamem.

- Tak jest, wasza wysokość.

Następca tronu skinął głową, a Manthyr natychmiast stał na baczność, salutując uderzeniem pięści w lewe ramię, a potem opuścił kajutę. Cayleb poczekał, aż drzwi zamkną się za jego plecami, i spojrzął na Merlina.

- Zaczyna się - powiedział.

- Zaczyna się - przyznał seijin.

- Wiesz - powiedział książę, uśmiechając się po łobuzersku - że marynarze zaczynają uważać, iż jestem równie wielkim dziwakiem jak ty?

- Nonsens. - Merlin pokręcił głową, śmiejąc się pod nosem. - Przecież wytłumaczyłeś im wszystko bardzo logicznie.

- Jasne. - Cayleb przewrócił oczami, a seijin roześmiał się głośniej.

Wszyscy kapitanowie Cayleba byli przekonani, że domniemani szpiegowie barona Gromu w Tarocie zdobyli tajne informacje dotyczące kursu, jakim miała płynąć Południowa Flota. Jedyną trudnością polegała na tym, że książę musiał wytłumaczyć im potem możliwość - a raczej prawdopodobieństwo - tego, iż hrabia Thirsku i baron Białego Brodu zdołali przekonać księcia Malikai do podążania dalej na południe zamiast trzymania się wytyczonej wcześniej trasy. Musiał to zrobić tak, żeby przy okazji nie wspomnieć o „wizjach” Merlina. Cayleb zauważył na jednej z wcześniejszych narad z kapitanami, że tylko szaleniec pchałby się na Morze Parkera w tak paskudną pogodę, zwłaszcza że Południowa Flota dysponowała wyłącznie przybrzeżnymi galerami. Potem rzucił uwagę, że gdyby to on dowodził, z pewnością trzymałby się wybrzeży Rasy Armagedonu. A gdy Merlin potwierdził, że hrabiemu i baronowi udało się namówić księcia Malikai do zmiany kursu, książę zaczął przekonywać kapitanów, by zaufali jego „przecuciu” i zablokowali szlak wiodący wzdłuż Rasy.

Manthyr nie wydawał się specjalnie zaskoczony wieścią, że Południowa Flota postąpiła zgodnie z przewidywaniami następcy tronu, choć musiał czuć ogromny szacunek dla księcia, który z takim uporem bronił swojego zdania. Ale tak naprawdę kapitan okrętu flagowego uderzyła niesamowita - ktoś mógłby powiedzieć, że wręcz niezemska - precyzja, z jaką następca tronu potrafił obliczyć domniemaną pozycję wroga, dzięki czemu jego galeony mogły go bez trudu przechwycić.

Nie miał bledak pojęcia o tym, że Cayleb, dzięki nieocznionej pomocy porucznika Athrawesa, posiłkował się zwiadem satelitarnym.

- Mam nadzieję, że kapitan Szpiega nie okaże się zbyt przedsiębiorczy - stwierdził Merlin chwilę później. Książę spojrzął na niego i wzruszył ramionami. - Nie wie przecież, że wysłaliśmy go tam tylko dlatego, aby zyskać wiarygodne wytłumaczenie. Jeśli zechce doprowadzić do kontaktu bojowego w nocy, może napytać sobie poważnych kłopotów.

- On wie, co robi, seijinie - odparł następca tronu. - Zresztą nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Domynik zapewne zaakceptowałby twoje wizje bez mrugnięcia okiem. Po tak długiej współpracy nie powinien robić żadnych wstrętów, podobnie jak jego najstarsi kapitanowie, ale cała reszta mogłaby mieć obiekcje.

- A gdyby nawet nie, to nadal jestem zdania, że im mniej osób o tym wie, tym lepiej dla nas - przyznał Merlin, wzdychając ciężko.

- Właśnie. Co więcej, znajdujemy się w stanie wojny z Kościołem. Nie powinniśmy mu dostarczać amunicji, oświadczając otwarcie, że korzystamy z usług demonicznych mocy! A jeśli chodzi o Szpiega, wątpię, aby jego kapitan dał się wplątać w jakąś aferę. Ale jeśli to zrobi, jego sprawa. Takie rzeczy zdarzają się na wojnie.

Merlin przyglądał mu się z dobrze ukrytym, ironicznym rozbawieniem - ale i smutkiem zarazem - których Cayleb nie byłby w stanie zrozumieć. Następca tronu nie był okrutnikiem, tylko trzeźwo myślącym człowiekiem i pomimo młodzieńczego wieku potrafił odróżnić realia wojny od romantyzmu ballad. Nie miał jednak pojęcia, że rozmawia teraz z

cybernetycznym awatarem młodej kobiety, która była świadkiem zagłady niemal całej swojej rasy. Jeśli ktokolwiek na tej planecie wiedział, co naprawdę dzieje się na wojnie, to tylko Merlin Athrawes.

- Czy czujesz się na tyle pewnie - zagaił, żeby zmienić temat - aby spotkać się z Domynykiem i omówić ostatnie szczegóły?

- Tak - odparł Cayleb. - Zakładam, że jeśli Szpieg dostrzegł ich, to i oni musieli zobaczyć jego żagle. Ale jeśli nawet tak się stało, niewiele na to mogą poradzić. Jestem przekonany, że ojciec miał rację, twierdząc, iż nagłe pokazanie się naszych galeonów podłama morale marynarzy Południowej Floty. Mają jednak dwie możliwości: albo staną do walki z nami na otwartym morzu, albo schronią się przy brzegu, rzucając kotwice, i spróbują nas ściągnąć do siebie. Zważywszy na to, że widziałeś w swoich wizjach, jak wielu uszkodzeniom uległy ich statki po drodze, nie powinni mieć ochoty na walkę. W każdym razie do momentu, gdy zdołają przegrupować swoje siły, a jeśli Szpieg podał nam prawdziwe dane o ich prędkości i kursie, będą potrzebowali na to co najmniej doby. - Następca tronu pokręcił głową. - Jeśli nie potrafią iść szybciej przy takiej pogodzie, dna ich okrętów muszą wyglądać gorzej, niż zakładałem.

Merlin skinął głową, przypominając sobie, że tutejsze „pięć węzłów” nie jest tym samym, co „pięć węzłów” na Starej Ziemi, gdzie mile lądowe i morskie znacznie się od siebie różniły. Dla Nimue Alban taka prędkość równałaby się dziewięciu i ćwierci kilometra na godzinę albo pięciu i trzem czwartym mili. Tutaj znaczyło równe pięć mil na godzinę.

Zważywszy na to, że siła wiatru wynosiła pomiędzy cztery a pięć stopni w skali Beauforta, był to naprawdę żalorny wynik. Wiatr osiągał w porywach osiemnaście do dwudziestu mil na godzinę, pozwalając płynąć galeonom z całkiem przyzwoitą prędkością dziewięciu, jeśli nawet nie dziesięciu węzłów.

- Najlepszym sposobem na przeorganizowanie szyku będzie dla nich znalezienie spokojnej zatoki, w której mogliby przegrupować wszystkie eskadry - kontynuował Cayleb. - Ale pomiędzy Przylądkiem Thomasa i Skalnym nie ma odpowiedniego kotwicowiska. A jeśli mówimy o naprawdę bezpiecznym miejscu na postój, nie znajdą takiego od Cypla Thomasa aż po Skalisty Hak. Zatem albo będą próbowali płynąć dalej tym samym kursem, mając nadzieję na dotarcie do Cieśniny Skalistej, albo zawrócą tą samą drogą, którą tutaj przybyli. Jeśli wybiorą drogę do przodu, w stronę cieśniny, znajdą tam wyspę Opal, i zakotwiczą w pobliżu jej wybrzeża. Tamtejsze wody są o wiele bezpieczniejsze, więc powinni je wybrać, jeśli zamierzają walczyć z nami na samych wiosłach. Biorąc pod uwagę, jak mało dnia już zostało, wątpię, by zdołali wydać dzisiaj wystarczającą liczbę rozkazów i zmienić swoje dotychczasowe plany, zatem możemy od razu wykluczyć opcję zawrócenia. Przyjmijmy więc, że popłyną dalej, robiąc w nocy co tylko się da, by zewrzeć szyki. Będą liczyli na to, że jesteśmy wystarczająco oddaleni od Szpiega, aby zdołali dotrzeć do Cieśniny Skalistej, zanim zwalimy im się na głowy. Jeśli się nie mylę, znajdziemy ich tam jutro rano. Dlatego też muszę omówić tę sprawę z Domynykiem po raz ostatni i upewnić się, że dotrzemy na miejsce przed świtem, aby mieć cały dzień na rozprawę z tymi ludźmi. Ale jeśli się mylę - dodał z uśmiechem na ustach - ty, seijinie, będziesz musiał poinformować mnie o tym wystarczająco wcześniej, abym mógł wymyślić w miarę sensowne wytłumaczenie kolejnej zmiany planów.

- Nie zapominaj o pogodzie - ostrzegł go Merlin.

Chmury nadchodzące od północnego wschodu zwiastowały całą serię frontów niskiego ciśnienia. Satelity meldowały, że pierwszy z nich, ten, który praktycznie mieli już nad sobą, należał do średnio groźnych, nie niósł ze sobą żadnych gwałtownych burz z piorunami, w które zazwyczaj obfitują nize na tych szerokościach geograficznych. Z pewnością będzie za to padać, i to obficie, wiatr także zrobi się silniejszy, ale do rana powinno się wypogodzić. Według obliczeń siła wiatru wzrośnie do sześciu w skali Beauforta, co oznaczało wichury

dochodzące do dwudziestu pięciu, dwudziestu sześciu mil na godzinę i fale sięgające wysokości trzynastu stóp.

Kolejny front był za to o wiele silniejszy, wiatr mógł osiągnąć w nim siłę siedmiu stopni w skali Beauforta, a fale wypiętrzać się do osiemnastu, jeśli nie więcej stóp.

- Nie zapominam - zapewnił go Cayleb, uśmiechając się nieprzyjemnie. - Ale księżę Malikai nie wie o załamaniu pogody, więc do zapadnięcia nocy nie zdoła zareagować. A do bry sztorm także pracuje na naszą korzyść.

- Czy są jakieś zmiany w bieżących rozkazach, sir? - zapytał porucznik Zhoelsyn, zmieniając na stanowisku Lee-ahma Maikelsyna. Musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć jednostajny szum padającego deszczu, ale starał się, by nie pobrzmiwała w nim ciekawość.

- Nie ma - odparł pierwszy porucznik Króla Gorjaha II. Zmierzył Zhoelsyna wzrokiem, a potem wzruszył ramionami. - W taką pogodę, Phylypie, musimy trzymać się obranego kursu.

Zhoelsyn zamierzał odpowiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i skinął tylko głową. Noc była ciemna, bezksiężycowa, wiał chłodny wiatr, a po morzu hulały spienione bałwany. Wszyscy na pokładzie byli przemoczeni i zziębnięci mimo noszenia natartych tłuszczem peleryn, a obserwatorzy na masztach z trudem dostrzegali przez ścianę deszczu blask światel pozycyjnych wywieszonych na sąsiednich galerach. Księżę Malikai mógł wydać rozkaz zmiany kursu przed zapadnięciem zmierzchu, gdy zareagował prawidłowo na raport o zauważeniu obcej jednostki, ale nie uczynił tego. Teraz, w ulewnym deszczu, wykonanie jakiegokolwiek manewru było niemożliwe. Mogli jedynie trzymać się dalej kursu i nadziei. Wszyscy byli tego świadomi, ale nikt nie miał pojęcia, skąd wziął się tutaj ten szkuner. Albo jakim cudem zdołał ich odnaleźć w tak odległym miejscu.

To najprawdopodobniej okręt zwiadowczy, powtarzał sobie po raz tysięczny Zhoelsyn. Chociaż równie dobrze możemy mieć do czynienia ze zwykłym frachtowcem, który odbił za daleko na południe ze względu na toczącą się wojnę. Przecież wielu charisjańskich szyprów to oficerowie marynarki wojennej. Gdyby któryś natrafił na nas przypadkiem, wiedziałby doskonale, że musi podejść bliżej, aby dowiedzieć się jak najwięcej, zanim zawróci i pogna z ostrzeżeniem do Charisu.

Jakkolwiek było w tym wypadku, wiedział jedno: Charysianie nie mogli wycofać z Zatoki Skalistej Mielizny tak wielkich sił, aby poważnie zagrozić połączonym flotom. Ta myśl wydawała mu się tak szalona, że bez zdziwienia przyjął decyzję księcia Malikai, aby nie ryzykować zamieszania i nie zawracać wszystkich okrętów. Dlatego płynęli teraz dokładnie tam, gdzie zauważyli samotny żagiel.

- Rozumiem, panie Maikelsyn. - Zhoelsyn przeszedł na bardziej oficjalny ton. - Przejmuję od pana wachtę.

- Zatem wszystko ustalone. Wiecie, co musimy zrobić jutro rano - powiedział Cayleb. On, sir Domynik Staynair, kapitanowie ich okrętów flagowych, Merlin i porucznik Falkhan siedzieli wokół stołu w admirałskiej kabinie na HMS Dreadnought. Deszcz bębnił we wszystkie świetliki i zaczął po oknach rufowych.

Następca tronu nie miał pojęcia, dlaczego Merlin się uparł, by nazwać w tak dziwaczny sposób pierwszy galeon przystosowany specjalnie do działań artyleryjskich, ale zgodził się na to, podobnie jak jego ojciec, bez większych sprzeciwów. Dreadnought był o czterdzieści stóp dłuższy od starszych jednostek tego typu służących w marynarce wojennej Charisu. Admirał Staynair pozostał wprawdzie na Huraganie, czyniąc z niego okręt flagowy całej eskadry, ale to galeon Cayleba miał na pokładzie pięćdziesiąt cztery działa zamiast zwyczajowych trzydziestu sześciu. Został też zaprojektowany w znacznie prostszy sposób, pozbawiono go wszelkich nadbudówek na rufie i dziobie. Forkasztel i pokład rufowy

wznosiły się zaledwie sześć stóp nad deski śródokręcia. Okalało je jednolite nadburcie i chroniące stanowiska bomów dla ludzi pracujących przy linach. Wszystkie działa rozmieszczono na pokładzie głównym i górnym. Pomimo iż okręt ten był węższy i niższy od wcześniejszych konstrukcji (w stosunku do ich długości rzecz jasna), jego najniższe furty działowe znajdowały się około piętnastu stóp od linii wody. Dla porównania, na Huraganie było to tylko dziewięć stóp. Natomiast stosunek długości do przekroju kadłuba oraz znacznie większa powierzchnia żagli sprawiały, że potrafił się poruszać o wiele szybciej od innych jednostek tego typu.

Wielkie rozmiary tego galeonu czyniły z niego idealnego kandydata na okręt flagowy choćby dlatego, że miał odpowiednio wielką przestrzeń (jak na ciasny i zatłoczony żaglowiec), na której mógł działać admirał. Albo następca tronu pozujący na admirała.

- Wydaje mi się, że zrozumieliśmy wszystko, wasza wysokość - odparł Staynair. Wyglądał jak młodsza wersja swojego brata biskupa, choć miał znacznie mniej bujną brodę. Prawdę powiedziawszy, wolał klasyczny zarost w hiszpańskim stylu, wzorem Merlina, tyle że nie pomadował wąsów jak seijin. Teraz uśmiechał się do następcy tronu. - A jeśli czegoś nie pojęliśmy jak trzeba, to na pewno nie z twojej winy - dodał.

- Nie zamierzałem gderać, Domynyku - stwierdził Cayleb, uśmiechając się ponuro, jak tylko on potrafił. - Tak samo, jak nie zamierzałem udawać, że znam się lepiej od was na tej robocie. Chodzi jednak o to...

- ...że to ty, wasza wysokość, ponosisz ostateczną odpowiedzialność za powodzenie tej operacji - wpadł mu w słowo Staynair i pokręcił głową. - To też rozumiemy. I uwierz mi, nie odbieram twoich uwag jako braku zaufania do mnie. Masz przecież równie duże doświadczenie w dowodzeniu eskadrą galeonów artyleryjskich jak ja. Teraz jednak powinieneś się uspokoić i odprężyć. - Cayleb posłał w jego stronę zdziwione spojrzenie, ale admirał tylko wzruszył ramionami. - Musisz mieć jutro jasne myśli, wasza wysokość - oświadczył zdecydowanym głosem. - Musisz też pamiętać, że nie tylko komandorzy i kapitanowie okrętów tej eskadry wiedzą, co mają robić. W tej chwili nie ma w naszej flocie jednego człowieka, który by tego nie rozumiał albo nie pamiętał, że to ty doprowadziłeś nas prosto do wroga. Uwierz mi, ci ludzie zdają sobie doskonale sprawę, jak trudne miałeś zadanie. Dlatego wszyscy ufamy w twoje umiejętności i nową broń. Wiemy też, o jaką stawkę toczy się ta gra. Jeśli tę bitwę mogą wygrać zwykli śmiertelnicy, nasi ludzie zwyciężą dla ciebie. - Spoglądał w oczy księcia przez kilka sekund, dopóki ten nie skinął wolno głową. - Dlatego musisz, wasza wysokość, iść teraz spać i porządnie wypocząć - ciągnął Staynair. - Masz jutro podjąć wiele ważnych decyzji. Zrób więc wszystko, aby twój umysł mógł wydać rozkazy warte ludzi, którymi dowodzisz.

- Oczywiście masz rację - odparł książę chwilę później. - Z drugiej jednak strony, naprawdę nie wiem, czy zdołam zmrużyć oko tej nocy. Ale obiecuję, że się postaram.

- Świetnie. Pozwól zatem - Staynair spojrzał na lampkę kołyszącą się nad stołem, nasłuchując jednocześnie wycia wiatru i szumu deszczu - że wrócę na Huragana, zanim morze stanie się jeszcze bardziej wzburzone. - Skrzywił się, gdy mocniejszy wiatr zaciął deszczem o szkło świetlika, potem posłał uśmiech kapitanowi Bowshamowi. - Khanair i ja chyba i tak przemokniemy dzisiaj do suchej nitki - dodał.

- Nie da się ukryć - przyznał Cayleb. Rozejrzał się raz jeszcze po stole, a potem pochwycił w dłoń puchar wina. - Wybijmy ostatni toast, zanim odpłyniecie.

Wszyscy obecni ujęli kielichy i unieśli je wysoko.

- Za króla, Charis, zwycięstwo i na pohybel wrogowi! - zagrzemiał książę.

- Na pohybel wrogowi! - zawołali chórem, aż zadźwięczały kryształ.

III

Bitwa pod Skalnym Przylądkiem, Rafa Armagedonu

Merlin Athrawes stał na pokładzie rufowym HMS Dread-

noughta, obok Ahrnahlda Falkhana i kapitana Man-thyra, tuż za plecami księcia Cayleba, w jaśniejącej wciąż szarości przedświt, na zimnym wietrze, przyglądając się ojcu Raimahndowi, który wznosił właśnie ręce do modlitwy Raimahnd Fuhllyr urodził się w Charisie. Z tego powodu nie mógł liczyć na awans w strukturach świątynnych, ale wciąż pozostawał kapłanem Kościoła Boga Oczekiwanego. Wiedział też, podobnie jak wszyscy marynarze i oficerowie tej floty, którym Cayleb wyjawiał prawdę o obecnej sytuacji, kto naprawdę stoi za bezpodstawnym atakiem na Koronę. Nie tylko na ich króla, ale na cały kraj, domy i rodziny.

Merlin obserwował uważnie kapelana okrętu flagowego. Fuhllyr stał tuż przy dzwonie obok relingu pokładu rufowego, zwrócony twarzą w kierunku zebranej załogi, przez co seijin nie widział wyrazu jego twarzy. Jednak to, co mógł zaobserwować w niezwykle sztywnej postawie duchownego i jego podniesionym tonie, było satysfakcjonujące... a także uspokajające, pomimo wątpliwości kłębiących się w głowie człowieka odpowiedzialnego za każdą zmianę, jaka dokonała się ostatnio w Charisie.

- A teraz - gdy Fuhllyr zbliżał się powoli do finału ceremonii, jego głos zabrzmiał mocniej, aby dosłyszeli go wszyscy pomimo wiatru wyjącego w takielunku - pomódlmy się, powtarzając słowa archanioła Chihiro wypowiedziane tuż przed tym, zanim doszło do ostatecznego starcia z siłami mroku: „Panie mój, wiesz, że dzisiaj musimy poświęcić wszystkie siły dla Twojego dzieła, więc nie zapominaj o nas, jeśli nam zdarzy się zapomnieć o Tobie”. Amen.

- Amen! - odpowiedział mu gniewny pomruk tłumnie zgromadzonej załogi.

Merlin przemówił razem ze wszystkimi, tak samo gorliwie jak stojący obok niego ludzie, aczkolwiek ubodła go trawestacja słynnej modlitwy sir Jacoba Astleya, jakiej dopuścił się „archanioł” Chihiro. Jednak niezwykła szczerłość ojca Fuhllyra i brak jakichkolwiek podtekstów w kazaniach wygłaszanych przez niego od dnia wyjścia w morze uwypuklały przeczucie Merlina, że Grupa Czworoga nie spodziewała się takiego rozwoju sytuacji w tutejszym klerze.

Merlin nie potrafił określić, na ile decyzja o zniszczeniu Charisu wynikała z prawdziwej troski o czystość wiary w Koronie, a ile było w niej zwykłego cynizmu przeżartych korupcją i żądzą władzy hierarchów. Podejrzał, że nawet oni sami tego nie wiedzieli. Przypuszczał jednak, że nawet przez myśl im nie przeszło, iż ich plany mogą spalić na panewce.

Najprawdopodobniej bez względu na to, czego naprawdę się dzisiaj obawiali, nie zdawali sobie też sprawy, że atakując Haarahlda, doprowadzą do najprawdziwszej wojny religijnej. Gdyby jednak mieli możliwość wysłuchania słów, które padły z ust ojca Raimahnda tego ranka, gdyby dotarło do nich, z jaką werwą, gniewem i poświęceniem przemawiał, zrozumieliby, że dni ich bezwzględnych rządów nad Schronieniem dobiegają kresu.

Tego właśnie pragnął Merlin, ale jeszcze nie teraz, nie przed tym, nim on - i Charis - będzie na to gotowy. Nimue Alban studiowała historię wojskowości, dzięki temu Merlin wiedział więc o wiele lepiej od Grupy Czworoga, jak wyglądają wojny religijne, i kiedy wysłuchał tego dobitnie wypowiedzianego „amen!” i sam dołączył do chóru odpowiadających, poczuł, jak serce, którego już od dawna nie ma, w nim zamiera.

Cayleb odwrócił głowę, po raz ostatni omiatając wzrokiem swój okręt. Pokłady wypolerowano na błysk, aby zmniejszyć tarcie. Działa załadowane kulami i kartaczami podtoczono do furt. Żołnierze piechoty morskiej, uzbrojeni w nowoczesne muszkiety z bagnietami, czekali w gotowości na pokładzie sygnalizacyjnym pomiędzy hamakami oraz na dziobowym i rufowym, tam gdzie rozmieszczono armaty mniejszego kalibru, zwane przez załogę „wilkami”. Cebry z piaskiem i wodą, na wypadek pożarów, także stały już gdzie trzeba. Szalupy spuszczone na wodę i holowano teraz za rufą, aby nie utrudniały poruszania się po pokładach. Wysoko nad jego głową, ustawione w idealnej linii, żagle chwytwały wiatr. A na dolnych pokładach, czego stąd nie było widać, ale o czym Merlin doskonale wiedział i

co zdradzały miny przetykających nerwo-wo ślinę midszypmenów, chirurdzy i uzdrowiciele czekali w ciszy, dzierżąc w gotowości noże i piły.

- Znakomicie, kapitanie Manthyr - odezwał się w koń-cu księżę, celowo podnosząc głos, aby wszyscy zebrani usły-szeli, co ma do powiedzenia kapitanowi flagowca. - Proszę o wywieszenie sygnału.

- Aye, aye, wasza wysokość! - odparł ochoczo Manthyr i natychmiast skinął głową na midszypmena Kohrby'ego. — proszę o wywieszenie sygnału, panie Kohrby!

- Aye, aye, sir! - Chłopak zasalutował, odwrócił się i za-czął wydawać szybkie komendy podwładnym z drużyny sy-gnalizacyjnej.

Flagi znalazły się pod nokiem w tej samej chwili, gdy weszło słońce. Czerwona tarcza wyłoniła się zza zasnute go granatowymi chmurami horyzontu. Promienie rozświetliły łomoczące na wietrze proporce, a przez pokład Dreadnoughta przebiegł głośny szmer aprobaty. Tylko kilku ze zgromadzo-nych na nim marynarzy potrafiło odczytać treść sygnału, lecz wszystkim powiedziano wcześniej, czego będzie doty-czył. Merlin uśmiechnął się pod wąsem.

Jestem jedyną osobą na tej planecie, która pamięta histo-rię Starej Ziemi, pomyślał. Dlaczego więc nie miałbym prze-myć z niej kilku odpowiednich słów na taką okazję.

Caylebowi spodobała się treść sygnału zaproponowanego przez Merlina jeszcze poprzedniego wieczoru, tuż po odpły-nięciu admirała Staynaira.

„Charis oczekuje, że każdy człowiek wypełni swój obowią-zek” - mówiły te flagi, a gdy wschodzące słońce pozwoliło do-strzec sygnał z innych jednostek, Merlin usłyszał zza rufy zduszone przez wiatr, ale wciąż dające się słyszeć okrzyki, jakże podobne do tych, które przetoczyły się przed chwilą po pokładzie Dreadnoughta.

Uśmiechnięty Cayleb odwrócił się do niego.

- Zdaje się, że miałaś rację co do treści tego sygnału - po-wiedział. - Po prawdzie...

- Żagiel na horyzoncie! - usłyszeli okrzyk z bocianiego gniazda.

- Wróg w polu widzenia!

Hrabia Thirsku z trudem podciągnął się na bocianie gniaz-do, dysząc ciężko po długiej wspinaczce. Był już na to za sta-ry - i zbyt niedołyżny - ale musiał zobaczyć taki widok na własne oczy.

Usiadł, opierając się plecami o wibrujące drzewce masz-tu, ale powstrzymał się przed wyciągnięciem ręki i pochwy-eniem czegoś, aby odzyskać równowagę. Na tej wysokości przechyły galery były o wiele mocniej odczuwalne, bocianie gniazdo kołysało się znacznie bardziej, niż to oceniał, sto-jąc na pokładzie.

Sporo czasu minęło, odkąd byłem tu po raz ostatni, taka myśl przemknęła przez zakamarki jego umysłu, ale natych-miast zniknęła, gdy na własne oczy ujrzał potwierdzenie otrzymanej przed chwilą od obserwatora, niewiarygodnej w jego mniemaniu, wiadomości.

Wiatr ścichł z wolna przed świtem, zmienił też kierunek - wiał teraz niemal idealnie od północy - ale fala nadal była na tyle wysoka, że utrudniała wiosłowanie, zwłaszcza ga-lerom Dohlaru, które miały niżej umieszczone otwory na wiosła i niższe burty. Hrabia wiedział, że nakazując konty-nuację rejsu w takich warunkach, znacznie przekroczy do-puszczalne normy bezpieczeństwa, chyba że nakaże ludziom zrefować żagle po raz trzeci.

Tyle tylko, że tym sposobem zmniejszy także prędkość, a na to nie mógł sobie pozwolić przy takiej odległości pomi-ędzy jego eskadrą a okrętem flagowym księcia Malikai. Z po-kładu Zatoki Gorath nie można było już dostrzec kadłuba Króla Rahnylda, a jednostki barona Białego Brodu znajdo-wały się w jeszcze większej odległości, tyle że przed dziobem. Nie mogło więc być mowy o jakichkolwiek opóźnieniach... zwłaszcza w chwili, gdy do rozciągniętego szyku połączo-nych flot zbliżało się nie mniej niż dwadzieścia pięć chari-sjańskich galeonów.

Nie powinno ich tutaj być. Wbrew temu, co widział na własne oczy, wbrew złotym krakenom na czarnym tle powiewającym ponad grotmasztami, jego umysł uparcie odmawiał przyjęcia tego faktu do wiadomości. Gdyby nawet Haarahld wiedział, co się święci, nie mógł przecież przewidzieć, gdzie znajdują się w tym momencie połączone floty Tarota i Dohla-ru! A tylko szaleniec posłałby swoją flotę na takie odludzie, aby szukać tam nieprzyjaciela.

A mimo wszystko byli tutaj.

Ulewy, które dręczyły jego okręty przez całą niemal noc, zaczęły rzednąć tuż przed świtem, podobnie jak gęsta zasłona chmur. W oddali widział wciąż kilka pasm gęstszych opadów, a na wschodzie gromadziły się kolejne chmury, zwiastujące jeszcze więcej deszczu, zanim zapadnie zmrok. Wi doczność nie tak dawno temu była znikoma, co tłumaczyło, jakim cudem te galeony zdołały podejść zupełnie niezauważone.

Ale za żadne skarby nie przynosiło wyjaśnienia, jakim cudem piloci przeciwnika potrafili naprowadzić je tak dokładnie na pozycje jego floty, skoro sami nie mieli lepszej widoczności. Zacerpnął tchu i uniósł do oka lunetę, aby przyjrzeć się jednostkom wroga.

Nigdy wcześniej nie widział okrętów idących w tak idealnym szyku. To była jego pierwsza myśl, gdy zdołał w końcu zogniskować soczewki na dwu kolumnach zbliżających się żaglowców.

Nigdy wcześniej nie widziałem też tylu furt działowych, pomyślał moment później, gdy oglądał burty jednostek przez rozpryski piany z fal rozbijających się o ich kadłuby. Zdaje się, że pogłoski o tym, iż Charisjanie pakują ogromne liczby dział na pokłady swoich okrętów, wcale nie były przesadne. Co więcej, wyglądało na to, że nawet plotkarze nie docenili wrogiego uzbrojenia.

Przeglądając się im kolejno, zaczął dostrzegać różnice konstrukcyjne pomiędzy poszczególnymi jednostkami. Uznał przy tym, że co najmniej połowa musiała powstać na bazie przerobionych frachtowców. Wszystkie jednak bez wyjątku miały najnowsze, wynalezione przez Charisjan ożaglowanie. Te przerabiane mogły się wprawdzie pochwalić mniejszą powierzchnią żagli, ale ku swemu zdziwieniu, po przeliczeniu furt zauważył, że dysponują za to większą liczbą armat niż ich większe odpowiedniki. Poszedłby o zakład, że nie prowadziło ich się równie łatwo jak pozostałych, aczkolwiek ob-raz, który miał teraz przed oczami, zaprzeczał tej teorii. Galeony podchodziły z prędkością mniej więcej o połowę większą od tej, którą rozwijały galery hrabiego, ale robiły to wyłącznie na topslach i fokach. Widać było wyraźnie, że mają spory zapas szybkości i zwrotności... czego nie mógł powiedzieć o swoich wysłużonych galerach przy tak zmasakrowanych dnach i pojedynczych żaglach.

Zacisnął zęby na tę myśl. Warunki pogodowe sprzyjały znacznie smuklejszym i lepiej przystosowanym do żeglowania galeonom. Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że nie tylko on odczuł ogromne niedowierzanie na widok tych okrętów - w tej chwili rozprzestrzeniało się ono po pokładach wszystkich galer wraz z raportami obserwatorów, sącząc jad zwątpienia w serca oficerów i marynarzy. Poranne modlitwy i zachęty ze strony pokładowych kapelanów, bez względu na to jak żarliwie powtarzane, nie zdołają zmienić tego stanu rzeczy. A gdy ci wylęknieni i przerażeni ludzie ujrzą, jak wielką przewagę manewrową posiada wróg, gotowi się jeszcze załamać.

Prześlan! - napomniał sam siebie. Tak, będzie z nami źle. Przyjmij to w końcu do wiadomości. Ale wciąż mamy ponad sto pięćdziesiąt jednostek, a oni dysponują niespełna trzydziestoma! To daje nam przewagę liczebną pięć do jednego!

Skinął głową mocno i zdecydowanie. Opuścił lunetę, potem zsunął się z bocianiego gniazda i zaczął schodzić po re-jach na pokład. Przez całą drogę powtarzał sobie w myślach te liczby.

Raz po raz.

Nie pomogło.

Stanął w końcu na pokładzie, podał lunetę midszypmowi o twarzy białej jak kreda i ruszył w stronę kapitana Maikela.

- Mają około dwudziestu pięciu, trzydziestu galeonów - poinformował dowódcę flagowca spokojnym głosem, wskazując ręką na szczyty masztów i topsle widoczne zza spienionych fal na tle szarej zasłony chmur zbierających się nad horyzontem. - Płyną w dwu kolumnach. Wygląda na to, że zamierzają przebić się przez nasze linie... o ile ten szyk można jeszcze nazwać naszymi liniami - wykrzywił usta w uśmiechu, w którym można było dostrzec znikome ślady poczucia humoru - aby pochwycić w dwa ognie jednostki, które zdołają otoczyć. - Zamilkł, a Maikel pokiwał głową ze zrozumieniem, widać było, że on także jest mocno spięty. - Jeśli utrzymają dotychczasowy kurs, przetną nasze linie mniej więcej sześć mil od miejsca, w którym aktualnie się znajdujemy. Chociaż wydaje mi się, że... - Hrabia uśmiechnął się ponownie, tym razem skąpiej - spore rozmiary Króla Rahnylda przykuły ich uwagę i zamierzają uczynić z niego pierwszy cel. Jeśli to prawda, powinniśmy utrzymać dotychczasowy kurs i dotrzeć do księcia najszybciej, jak to tylko możliwe.

- Tak, panie - odparł Maikel, gdy hrabia zamilkł po raz kolejny.

- Nadać sygnał do pozostałych jednostek eskadry, by utrzymywały kurs i zwały szyki wokół okrętu flagowego. Wiem, że większości się to nie uda, ale niech chociaż próbują, bo tylko w tym nasza nadzieja.

- Natychmiast, panie. - Maikel skinął głową na porucznika Mathysyna. - Dopilnuj tego - rozkazał.

- Potem, kapitanie - dodał hrabia Thirsku - pozostanie nam przygotować się do bitwy.

- Tak, panie. - Maikel pokłonił się admirałowi, a gdy ten podszedł do nadburcia i spojrzał pod wiatr na zbliżające się żagle, usłyszał z oddali głuche uderzenia bębnow wzywających do walki.

- Zdaje się, że nas dostrzegli - stwierdził Cayleb, gdy ostatnia ściana deszczu minęła pokład Dreadnoughta.

Zatopiony w myślach książę zignorował krople skapujące z obramowania hełmu.

Niebo się rozjaśniło, ale jeśli wierzyć prognozom Merlina, zbliżał się kolejny, silniejszy front burzowy, a z nim jeszcze bardziej porywiste wichury, tym razem wiejące od północy, które dotrą nad miejsce bitwy nie później niż wczesnym popołudniem. Miał więc co najwyżej sześć godzin, zanim widoczność znów się pogorszy.

[705]

[704]

Stojąc na pokładzie, widział całkiem wyraźnie najbliższe galery. Skrzywił się; jak okiem sięgnąć, wszędzie tam, od północy aż po południe, pełno było prostokątnych żagli. Pomimo szczegółowych opisów Merlina i raportów ze Szpiega oraz Przetacznika do tej pory nie potrafił sobie wyobrazić, jak liczne - i rozciągnięte - były szeregi wroga.

Teraz przyglądał im się z uwagą, rozmyślając nad zaplanowaniem nadchodzącej walki. Sześciu szkunerom towarzyszącym jego eskadrze rozkazano wycofać się na zawietrzną, poza pole bitwy, gdzie miały czekać i przekazywać sygnały z Dreadnoughta albo Huragana. Gdyby zechciał wprowadzić jeszcze jakieś zmiany do planu, miał na to czas. Co prawda niezbyt długi, ale zawsze.

Dreadnought prowadził sztormującą kolumnę, chociaż o wiele sensowniej byłoby umiejscowić go w samym środku szyku, skąd książę miałby lepszy ogłąd sytuacji podczas bitwy - przynajmniej teoretycznie - co pozwoliłoby mu na dokładniejsze prowadzenie kolejnych jej etapów. Tyle tylko, że gdy galeony oddadzą pierwszą salwę, nikt niczego nie zobaczy, nawet przy takim silnym wietrze, o czym nieraz się przekonali podczas ćwiczeń z

eskadrą eksperymentalną. Dlatego obaj, zarówno Cayleb, jak i Staynair, ustawili swoje flagowce na czele kolumn, licząc na to, że z tego miejsca będą mogli kontrolować swoje siły aż do ostatniego momentu przed podjęciem walki. I dopóki okręty idące za nimi pozostaną w szyku, utrzymają nad nimi kontrolę podczas bitwy.

Bruzdy na czole księcia stały się jeszcze głębsze. Każda kolumna miała długość niemal trzech mil, a kolejnych piętnaście galeonów admirała Staynaira płynęło około sześciu mil po zawietrznej od jego sił, skręcając coraz bardziej w kierunku wroga. Dreadnought odbił za bardzo na północ od punktu, w który chciał trafić następca tronu, ale Cayleb nie przejmował się tym zbyt. Kapitan Manthyr dostrzegł w formacji wroga wielką galerę z proporcami głównodowodzącego admirała i skorygował kurs, aby przejść za jej rufą. Chmury szarobiałego dymu zaczęły rozkwitać nad pokładami najbliższych galer.

Prawdopodobieństwo trafienia cokolwiek z tak wielkiej odległości, zwłaszcza z premerlinowskich dział starego typu, było znikome. Cayleb nie wiedział nawet gejerów wody po pociskach, które wycelowano w Dreadnoughta.

Zastanawiał się nad sytuacją jeszcze przez moment, potem wzruszył ramionami. Plan, który opracowali ze Staynair i Merlinem, był najlepszym z możliwych, jaki zwłaszcza ci dwaj ostatni potrafili pospołu wymyślić. On sam niewiele się wtrącał, choćby dlatego, że zżerała go bitewna trema.

Uśmiechnął się pod nosem, rozbawiony tą myślą, ale nie zauważył, jak rozluźniająco podziałał ten krótki pokaz radości na oficerów zebranych wokół niego przy relingu pokładu rufowego.

- Mamy jeszcze około piętnastu minut, kapitanie - odezwał się jakby nigdy nic.
- Coś koło tego, wasza wysokość - przyznał dowódca flagowca.
- Znakomicie, kapitanie - odparł Cayleb nieco bardziej oficjalnym tonem. - Wchodzimy w kontakt z wrogiem.
- Aye, aye, wasza wysokość!

Faidel Ahlverez, książę Malikai, stał na kasztelu rufowym Króla Rahnylda, przyglądając się kolumnie galeonów zmierzających prosto na jego okręt flagowy. Jednostka płynąca na czele charisjańskiego szyku była większa od pozostałych. Dziedzic Malikai popatrzył na proporzec powiewający na tobie środkowego masztu i zacisnął szczęki, gdy ujrzał nad złotym krakenem niewielki diadem. Taki znak mogła nosić tylko jedna osoba w Koronie: dziedzic jej tronu.

A więc to Cayleb, pomyślał. Książę Cayleb Ahrmahk we własnej osobie spadał na niego niczym demon. Książę Malikai nie wierzył zbyt w pogłoski na temat herezji Chari - rozpowszechniane przez hierarchów Kościoła Matki, ale czym innym można wytłumaczyć obecność tych galeonów w odległości niemal siedmiu tysięcy mil od Zatoki Skalistej Mielizny? Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że udało im się odnaleźć jego flotę, i to w miejscu, gdzie mogła od razu przypuścić atak?

Poczuł palące zimno w trzewiach, zwiastun rosnącego przerażenia, tym większego, że znajdował się o krok od Rify Armagedonu. Nie powinien był się godzić na propozycje hrabiego Thirsku i barona Białego Brodu, aby trzymać się blisko tej przeklętej ziemi!

Powinien był pozostać na kurświe, którym od początku kazano mu płynąć. Lepiej już stracić choćby całą flotę w zmaganiach z żywiołem, niż pozwolić ją zniszczyć hordom demonów! Kapitan Ekyrd stanął przy bakburcie. Przyglądał się uważnie nadpływającemu wrogowi, a książę nie spuszczał z niego oka. Ekyrd poradził mu zaraz po tym, jak zauważono niezidentyfikowane żagle na horyzoncie, aby wydał rozkaz wycofania floty, nawet gdyby musiała płynąć na samych wiosłach. Książę Malikai, rzecz jasna, odrzucił jego radę. Według niego była to oczywista pomyłka, a jeśli nawet pojawił się tutaj jakiś statek, nie mogło kryć się za nim nic strasznego. W każdym razie nic, co mogłoby zagrozić tak potężnej flocie.

A teraz ignorował go nawet kapitan jego flagowego okrętu. Książę Malikai przyjrzał się wyprężonym plecóm Ekyr- da, potem oparł dłoń na rękojeści miecza. Poruszył nim w po- chwie, upewniając się, że ostrze wychodzi płynnie, i przeniósł wzrok na kanonierów kulących się przy podstawach dział.

Dzisiejszego ranka Ekyrd także protestował głośno prze- ciw jego rozkazóm. Chciał trzymać się wystarczająco dale- ko od Charisjan, aby mieć szanse na zadanie im poważnych strat dzięki działóm, które mieli na pokładach, zamiast na- rażać galere na salwę burtową z tyłu luf, ale książę Malikai zakrzyczał go bez skrpułów. Może galeony były wyposażone w więcej dział niż jakikolwiek inny okręt, ale jego flota dys- ponowała nieprzeliczonymi oddziałami abordażowymi skła- dającymi się z żołnierzy ściągniętych z najlepszych regimen- tów armii królewskiej. Jeśli tylko staną burta w burtę z tymi galeonami, dosłownie zaleją ich pokłady z pikami, mieczami i toporami w ręku, a wtedy liczba i siła ognia tych piekiel- nych armat przestanie się liczyć. Bez względu na to, co my- ślał sobie teraz Ekyrd, dziedzic Malikai dysponował pięcio- krotnie większą liczbą jednostek niż wróg.

Zacisnął zęby. Próbując uciszyć własne lęki, przykrywał je myślami o tchórzostwie dowódcy flagowca, wsłuchując się w coraz częstsze wystrzały padające z pokładów kolejnych galer i wpatrując w rosnące w oczach sylwetki nadpływają- cych charisjańskich galeonów.

Kilka pierwszych kul zawyło, przelatując wysoko nad po- kładem Dreadnoughta, jak nie przymierzając potępione du- sze. Jedna trafiła w topsel i rozerwała mokre płótno z gło- śnym plaśnięciem, jakby w żagiel uderzyła pięść niewidzial- nego olbrzyma. Druga przemknęła nie dalej niż pięć stóp przed dziobem, aby moment później trafić w cel.

Kula, zapewne ósmiofuntówka z długolufowego „sokoła”, wbiła się w kadłub tuż poniżej sieci okalającej bomy, w oko- licach środkowego masztu. Przebiła sterburtę, zasypując pokład chmurą ostrych odłamków, i przecięła w pół stojącego w pobliżu żołnierza, wyrzucając wokół fontanny krwi. Wrza- ski i jęki dobiegające ze wszystkich stron świadczyły, że nie był on jedyną ofiarą tego trafienia, ale Dreadnought szedł da- lej równo jak po sznurku, a wysokie burty Króla Rahnylda znajdowały się już niespełna siedemdziesiąt jardów od niego.

- Przygotować się do zwrotu przez bakturtę! - rozkazał kapitan Ekyrd, kierując te słowa do pierwszego poruczni- ka. - Musimy pójść za nimi, jak tylko nas miną!

- Tak jest, sir!

Usta księcia Malikai wykrzywiły się z pogardą, gdy wy- chwycił lekkie drzenie w głosie młodego podoficera. Strach tego człowieka był znakomitą odskocznią od jego własnych lęków. Książę wyjął miecz w momencie, gdy wysoki dziób

Dreadnoughta zaczął przesuwac się wzdłuż burty jego okrę- tu flagowego w odległości niespełna pięćdziesięciu jardów.

- Otworzyć ogień po zobaczeniu celu! — zawołał kapitan Manthyr, gdy działa umieszczone najbliżej dziobu znalazły się naprzeciw galery.

Wysoka, masywna rufa Króla Rahnylda górowała nad niskim kadłubem galeonu. Mimo uszkodzeń doznanych w cza- sie liczącej tysiące mil podróży, mimo szlamu i morskich wo- dorostów ciągnących się poniżej linii wody, wiele zdobień i pysznych rzeźbień wciąż lśniło wszystkimi barwami tęczy na tle ołowianych chmur i jasnego błękitu porannego nie- ba. Zielona woda i biała piana rozpryskiwały się o poszycie galery, gdy kolejne fale obmywały kadłub powyżej dolnego rzędu otworów wiosłowych, a szerokie okna rufowe odbijały promienie wschodzącego właśnie słońca mimo warstwy soli, która osiadła na szybach. Hełmy żołnierzy wystające zza nad- burcia kasztelu rufowego także lśniły, gdy promienie odbija- ły się od zmatowionej stali. Znacznie więcej refleksów poja- wiało się na grotach pik, ostrzach toporów i halabard, a na- wet lufach muszkietów. Zrefowany żagiel

galery, poławany w wielu miejscach i spruty, unosił się nad pokładem jak gigantyczna, prostokątna tarcza, zza której wciąż padały pro-wokujące okrzyki.

Ale te wrzaski nie miały w sobie takiego żaru, jaki mieć powinny, nic więc dziwnego, że zdyscyplinowana załoga Dreadnoughta odpowiadała na nie kompletną ciszą.

W nielicznych furtach na rufie rozbłyśły ognie, ale działa znajdowały się za wysoko, ich kanonierzy źle wyliczyli ruch pionowy własnego okrętu, a przeciwnik był już zbyt blisko. Luf tych armat, w odróżnieniu od charisjańskich, nie można było obniżyć, dlatego kule przemknęły wysoko nad Dreadnoughtem, nie uszkadzając niczego, i wpadły z plu-skiem do wody daleko od celu.

I wtedy odezwały się dziobowe działa galeonu.

Jedno po drugim wypluwało z lufy ogień i zasnuwało się dymem, gdy dowódcy obsad pociągali za sznury spustowe. Od celu dzieliło ich zaledwie sześćdziesiąt jardów, a doświadczeni kanonierzy, w odróżnieniu od swoich kolegów z Króla Rahnylda, wyliczyli ruch pionowy kadłuba z idealną precyzją. Odpalano armaty kolejno na całej długości burty, fur-ta za furtą. Działa cofały się, pchane siłą odrzutu, wśród trzeszczenia lawet i pisku kół, a ich pociski jeden po drugim na zmianę z kartaczami zasypywały wrogą jednostkę lawi-ną rozgrzanej stali.

Okna rufowe galery zniknęły, wyrwane razem z obramo-waniami, gdy nawała ognia zamieniła cały, niezwykle bo-gato rzeźbiony tył okrętu w miazgę, pozostawiając ogrom-ną wyrwę w kadłubie. Kolejne kule i kartacze wdzierały się w nią, lecąc głęboko, aż w pobliże dziobu. Wszędzie fruwa-ły odłamki, ludzie wrzeszczeli, ale dym pozostały po salwie burtowej ukrył litościwie ogrom zniszczenia.

Obsady dział miały czas na oddanie tylko jednego strza-łu podczas mijania rufy Króla Rahnylda, ale kapitan Man-thyr już wołał:

- Do szotów i brasów! Zwrot na bakburtę!

Świat księcia Malikai przestał istnieć w jednej, ogrom-nej, przerażającej eksplozji. W życiu nie spodziewał się, że salwa burtowa może trwać tak długo. Dwadzieścia siedem dział wystrzeliło prosto w jego okręt pociski o średnicy sze-ściu i pół cala, ważące trzydzieści osiem funtów, i towarzyszące im półtoracalowe kartacze. Pierwsze kule zmasakro-wały najpierw wykwinną rufę, niszcząc doszczętnie szkło najlepszej jakości i bogato zdobione elementy drewniane, a kolejne przebijały się coraz dalej, aż do dziobnicy, zabijając po drodze każdego, kto stanął na ich drodze.

Ta niezwykle celna salwa zabiła albo raniła ponad stu trzy-dziestu ludzi z załogi Króla Rahnylda. Marynarze wrzeszczeli jak opętani, gdy masakrowały ich masywne pociski, świszczące kartacze albo odłamki wyrwane z trzewi ich wła-snego okrętu. Krew tryskała na deski pokładu, pozostawia-jąc groteskowo wyglądające wzory, a żeglarze, którzy nigdy wcześniej nie widzieli takiego huraganu ognia - wcześniej już zdemoralizowani i przerażeni niewytłumaczalnym poja-wieniem się wroga tak wiele tysięcy mil od Charisu - stali jak sparaliżowani i patrzyli z przerażeniem na konających towarzyszy broni.

Większość pocisków odpalonych z Dreadnoughta przeszła poniżej poziomu kasztelu rufowego Króla Rahnylda. Sześć z nich przeleciało przez kajutę admiralską, przebijając ściany i masakrując oddziały stojące na pokładzie. Ale co najmniej dwie kule poszły w górę, przez sklepienie kasztelu, i księżę Malikai zadrżał, widząc, jak huragan odłamków wyrwanych z pokładu unicestwia większość jego oficerów.

Coś wielkiego, ciężkiego i poruszającego się z niezwykłą prędkością trafiło w jego napierśnik, nieomal zbijając go z nóg. Ale pancerz wytrzymał. Siła uderzenia obróciła księcia, dzie-ki czemu zdążył zobaczyć, jak kapitan Ekyrd zwała się na plecy z wielkim odłamkiem drewna sterczącym z szyi niczym grot harpuna. Krew bluznęła na drewno szerokim strumie-niem, jak woda, którą wypompowywali z zęz, i martwy do-wódca padł na pokład.

Książę Malikai walczył o zachowanie równowagi, czując, jak kolejne strzały przebijają się przez grodzie jego flagowca. Był oszołomiony, czuł się, jakby wpadł w niezwykle grząskie lotne piaski. Wybałuszył oczy i ujrzał za sterburtą odpływającego spokojnie Dreadnoughta. Galeon wykonał zwrot na bakburtę, chwytając wiatr pod ostrym kątem. Jego bomby poruszały się szybko i płynnie, jakby były sterowane za pomocą maszyny, i już wpływał pomiędzy Króla Rahnylda a Rafę Armagedonu, jak szukający ofiary kraken, który odcina drogę do łądu świeżo wyklutym morskim wyvernem.

Przerażenie i ogrom zniszczeń sparaliżowały ocalałą część załogi admirałskie galery. Kapitan zginął, pierwszy oficer odniósł śmiertelne rany, sternicy leżeli na pokładzie, wykrwawiając się na śmierć. Zanim drugi oficer zdążył wydać jakiśkolwiek rozkaz, Dreadnought był już gotowy do oddania drugiej salwy burtowej, co też niezwłocznie uczynił.

Świeża porcja pocisków spadła na sterburtę galery, omijając zmasakrowaną rufę. Grube drewno poszycia opierało się mocniej nadlatującym kulom, ale i sypało większymi i ostrzejszymi odłamkami, gdy dochodziło do przebiccia, masakrując z jeszcze większą intensywnością ocalałych członków załogi. W czasie gdy Dreadnought dokończył dzieła drugą salwą, idący za nim HMS Niszczyciel otworzył ogień z przeciwnej strony.

Książę Malikai odwrócił wzrok od okrętu Cayleba, aby przyjrzeć się następnemu z atakujących go galeonów. W błysku dział tej jednostki ujrzał zagładę swojej floty. Żadna z jego galer nie była w stanie przetrzymać takiej nawały ogniowej, jaką mogły jej zgotować okręty księcia Charisu. Jego jednostki były zbyt oddalone od siebie, płynęły bezładnie, podczas gdy eskadra Korony szła równą linią, trzymając się blisko i na dodatek strzelając z dział w zaskakującym tempie. Na tak wzburzonym morzu galery nie mogły wykorzystać swojej wielkiej zwrotności. A przewaga liczebna w takich warunkach przestawała mieć znaczenie dopóty, dopóki nie da się zgrupować większych sił w jednym miejscu - na co się nie zanosilo.

Książę usłyszał, jak drugi oficer wykrzykuje rozkazy do zapasowych sterników, walcząc desperacko, aby odwrócić Króla Rahnylda rufą do morderczego ognia. Ale mimo iż niezgrabna galera zareagowała w końcu, choć niechętnie, na mocne wychylenie steru, kolejny pocisk ściał jej maszt tuż pod pokładem. Masywny pal zwałił się z ogłuszającym rykiem, a potem przechylił na bok, sypiąc wokół odłamkami miazdzonego drewna i dartego płótna i strzelając pękającym oliwowaniem. Przebił się przez pokład i wpadł do wody, a galeon zadrżała jak konające zwierzę i zamarła. Złamany maszt zadziałał jak gigantyczna kotwica, przechylając okręt na bok i wystawiając ponownie na bezlitosny ostrzał. Kolejne kule wbijały się we wrak raz za razem.

Książę Malikai gapił się bezmyślnie w stronę rufy, gdy trzeci okręt z eskadry Cayleba znalazł się w zasięgu strzału. Król Rahnyld obrócił się tak, że HMS Śmiały mógł otworzyć ogień do jego śródokręcia przez praktycznie otwartą rufę, ale to nie okręt flagowy był jego celem.

Książę Fernu płynął jako następny w linii, tuż za admirałską galera, i od razu pośpieszył na pomoc, refując szybko żagiel, aby osłonić zagrożonego dowódcę. Galera, idąc pod pełnym żaglem, nabrała zbyt mocnego przechyłu, ale pruć dzięki temu wodę ze znacznie większą prędkością... tylko po to, by nadziać się prosto na salwę burtową Śmiałego.

Książę Malikai skulił się, gdy wulkaniczna moc dział galeonu przemówiła tuż przy nim. W gęstym, duszącym dymie prochowym niewiele widział, a gdy wiatr rozgonił tę zasłonę, kolejny ogłuszający huk uświadomił mu, że następny galeon, HMS Obrona, wszedł właśnie do akcji. Część jego dział odpała pociski na galerę księcia Malikai, reszta kul poszybowała w stronę Księcia Fernu, ale to nie był koniec. Następny w szeregu płynął HMS Zniszczenie.

Książę Malikai słyszał już tylko niemilknący huk charijskich dział. Zdawało mu się, że dochodzi on ze wszystkich stron - Dreadnought właśnie go minął i odpływał, kierując się wolno na południowy zachód. Galeony pod żaglami były szybkie, szybsze od najlepszych

nawet galer, a ich działa strzelały w niewyobrażalnym tempie, posyłając na dno jeden okręt po drugim.

Król Rahnyld poruszał się coraz wolniej. Woda musiała wdrzeć się do wnętrza podziurawionego kadłuba, pomyślał dziedzic Malikai, gdy galera zaczęła nabierać przechyłu. Chwycił się potrzaskanego nadburcia, nagle uświadamiając sobie, ile ciał i szczątków ludzkich spoczywa wokół niego na kasztelu rufowym. Na pokładzie głównym było jeszcze gorzej. Tam, gdzie kapitan Ekyrd zebrał doborowe oddziały piechoty szykującej się do abordażu, który nigdy nie nastąpił, leżały teraz sterty trupów. Gdy księżę przeniósł wzrok za przechyloną burtę, ujrzał kaskady krwi spływające prosto do morza. Zdawać się mogło, że to jego okręt krwawi. Taka myśl przemknęła przez zakamarki otumanionego umysłu księcia Malikai. Moment później oderwał wzrok od tego widoku i przeniósł go na HMS Zniszczenie, który wolno opływał pokiereszowane resztki tego, co kiedyś stanowiło chlubę floty Dohlaru.

Podniósł głowę w samą porę, by dostrzec kolejne ogniki wydobywające się z luf artylerii galeonu.

To było ostatnie, co zobaczył w swoim życiu.

Dreadnought płynął powoli na południe, opierając się północno-wschodniemu wiatrowi. Głośna kanonada za jego rufą nie milkła nawet na moment. Okręty eskadry Cayleba przecinały kurs jednostek Południowej Floty, aby zaraz zawrócić i ruszyć w pościg za niedobitkami.

Silna bryza gnała gęstą zasłonę dymu prochowego prosto na widoczną w oddali zamazaną linię brzegową Skalnego Przylądka, a nasilająca się kanonada za rufą flagowca sugerowała, że część galer znajdujących się na północ od tonącego flagowca księcia Malikai nadal usiłuje się przebić w jego pobliże, wykazując się nikomu już niepotrzebną brawurą.

Ale ani Cayleb, ani Merlin nie przejmowali się tym. Reszta sprzymierzonych flot wciąż była w rozsypce, dopiero próbując zebrać wystarczającą liczbę okrętów i zewrzeć szyki, by przygotować się do miażdżącego uderzenia, dzięki któremu zdołałaby przełamać dominację charisjańskiej artylerii. Dopóki jednak wróg atakował w pojedynkę albo co najwyżej parami, księżę pozostawiał decyzję o podjęciu walki w gestii swoich kapitanów, skupiając się na pozostałych siłach Południowej Floty.

- Wydaje mi się, Gwylymie, że powinniśmy nieco przyspieszyć - stwierdził, spoglądając ponad oddaloną już o prawie dwie mile chmurę dymu wiszącą w miejscu, gdzie okręty admirała Staynaira przebiły się przez rozciągnięty szyk galer, aby sprawdzić pozycję słońca na niebie.

Kapitan Manthyr podniósł głowę, aby ocenić siłę wiatru. Po marslach i proporcach wieńczących maszty, potem poczekał chwilę, aż przetoczy się kolejna salwa burtowa. Galera usiłująca wyłamać się z szyku po ostrym zwrocie na zachód zadrżała mocno, gdy pociski odpalone ze sterburty Dreadnoughta zaczęły spadać na jej rufę. Olinowanie poddało się w okamgnieniu, jedyny maszt przechylił się na bok i runął, wprawiając wrak w niekontrolowany skręt.

- Może postawimy bramsle? - zasugerował kapitan.

- Chwilowo może być - zgodził się księżę.

- Aye, aye, wasza wysokość. - Manthyr uniósł do ust skórzaną tubę. - Panie Gyrard! Stawiamy wszystkie bramsle!

- Aye, aye, sir! - Pierwszy oficer potwierdził przyjęcie rozkazu i natychmiast zaczął wydawać komendy swoim ludziom. Kilku kanonierów z bakburty zaczęło się wspinać po rejach, aby wejść na noki bramsli, podczas gdy pozostali popędzili pomostami ciągnącymi się nad stanowiskami dział na pokłady dziobowy i rufowy, aby zakręcić kabestanami i wybrać szoty, gordingi oraz gejtawy.

- Odwiązać bramsle! - zawołał Manthyr przez tubę, a stojący wysoko w górze członkowie załogi odwiązali liny przytrzymujące żagle przy rejach. Kapitan obserwował ich uważnie, bębniąc wolno palcami lewej ręki o udo, w czasie gdy kano- nierzy odpalili kolejną salwę do galery płynącej po sterburcie.

- Opuścić bramsle! - rozkazał kapitan i marynarze ze- pchnęli posłusznie płótno z rei. Manthyr natychmiast podał kolejną komendę.

- Mocować szoty bramsli!

- Szoty umocowane! - meldowali kolejno oficerowie odpo- wiedzialni za kolejne maszty.

- Luzować gordingi i gejtawy! - rozkazali dowódcy obsad kabestanów i bramsle opadły niczym gigantyczne kurtyny, nadymając się natychmiast ponad marsłami, gdy wypełnił je silny wiatr.

- Zmienić ustawienie, wybierając szoty!

Dreadnought przechylił się mocno pod naporem obraca- nych bramsli. Dziób przeciął wielką falę, wyrzucając wyso- ko w powietrze chmury piany, a najniższe furty działowe na sterburcie znalazły się nagle tuż nad linią wody. Działa po nawietrznej stronie kadłuba powędrowały za to w górę, a ga- leon niczym atakujący sokół ruszył prosto na tkwiące przed nim formacje przeciwnika.

Gdy ostatnia salwa ze sterburty trafiła w kadłub zmasa- krowanej galery, Cayleb zwrócił wzrok ku rufie. Niszczyciel już stawiał bramsle, by nie zostać w tyle za okrętem flago- wym eskadry, a przez chmury gęstego dymu po salwie, któ- rą wykończył trafioną przed momentem galerę, książe ujrzał, że pozostałe jednostki poszły w jego ślady.

Wyszczerył wszystkie zęby niczym kraken, uśmiechając się do Merlina, potem spojrział na południe, czując, że jego okręt, posłuszny rozkazom kapitana Manthya, zmienia nie- znacznie kurs, aby oddać salwę z bakburty do kolejnej dohla- riańskiej galery.

Gahvyn Mahrtyń, baron Białego Brodu, stał jak słup soli pośrodku kasztelu rufowego Króla Gorjaha II. Obok niego w podobnej pozycji tkwił kapitan Kaillee. Obaj gapili się na północ. Galery Tarota znajdowały się na czele szyku połą- czonych flot, a Król Gorjah II płynął na początku ich forma- cji. Baron Białego Brodu był zbyt daleko na południe, by wi- dzieć, co się dzieje, ale jego obserwatorzy bardzo szybko odarli go ze złudzeń co do rozmiaru katastrofy.

- Jak oni zdołali tego dokonać, panie? - wyszeptał Kail- lee za jego plecami.

- Nie mam pojęcia, Zhilbercie - stwierdził baron, wzru- szając ramionami. - Ale to chyba nie ma najmniejszego zna- czenia w tym momencie.

- Nie, panie - przyznał Kaillee z ponurą miną i spojrział w końcu na swojego admirała. Baron Białego Brodu nie odrywał wzroku od horyzontu. Wiatr niósł odgłosy odległej kanonady, a każda kolejna sal- wa była wyraźniejsza i głośniejsza od poprzedniej. Jego ob- serwatorzy meldowali pojawienie się „wielu” galeonów, ale 1 tak był pewien, że nie widzieli ich wszystkich. Jeśli Haa-

rahld z Charisu podjął ogromne ryzyko wysłania swoich najnowocześniejszych okrętów tak daleko od Zatoki Skali- stej Mielizny, to z pewnością przybyły tu wszystkie. Sądząc z natężenia ognia artyleryjskiego, w tej chwili zamieniały one całą flotę Dohlaru w bezużyteczne wraki.

Spojrział w niebo. Słońce zaczynało już opadać, a chmury, które zauważył rankiem na horyzoncie, sunęły coraz szybciej w jego stronę. Były już bardzo blisko. Szczerze mówiąc, pierwsze poszarpane, ołowiane pasma miał już prawie nad głową. Spadnie deszcz, pomyślał. I to już niedługo. Sądząc po prę- dkości, z jaką poruszały się chmury, wiatr przybierał na sile. Odwrócił się, by spojrzeć na zachód. Skalisty Hak, kamie- nisty, urwisty szczyt sterczący z morza tuż przed Cieśniną Skalistą, znajdował się niemal prostopadle do jego sterburty. Baron

na jego widok poczuł ogromną pokusę, aby zmienić kurs. Jeśli zdoła dotrzeć na spokojniejsze wody rozciągające się pomiędzy Skalistym Hakiem a wyspą Opal, da swoim okrętom osłonę przed nadciągającą od zachodu nawałnicą. Jeśli fale na cieśninie nie będą zbyt wysokie, powinni odzyskać możliwość manewrowania na samych żaglach, co przynajmniej w teorii powinno pozwolić na zorganizowanie skuteczniejszej obrony przed mściwą furią ścigających ich galeonów.

Ale...

- Utrzymamy aktualny kurs - odpowiedział na niezadane pytanie kapitana Kailleego. - I zrefujemy jeszcze raz żagle.

W oczach dowódcy okrętu dostrzegł rodzący się protest i natychmiast zaniósł się chrapliwym śmiechem.

- To kusząca alternatywa - przyznał, wskazując ręką na Cieśninę Skalistą. - Nawet bardzo kusząca. Wiem też, jak bardzo ryzykujemy, stawiając żagle w taką pogodę. Ale jeśli poszukamy schronienia na spokojniejszych wodach, oni przyplłyną tam za nami albo zaczają się za wyspą Opal, przyszpilając nas w pułapce, i zaatakują, kiedy będą na to gotowi. A gdy to zrobią, przerobią nas na karmę dla krakenów tymi swoimi działami. - Kaillee chciał zaprotestować, ale baron Białego Brodu uciszył go jednym ruchem głowy. — Wiem, o czym myślisz, Zhilbercie, ale wsłuchaj się w ten dźwięk. - powiew wiatru przyniósł wyraźne odgłosy kolejnej salwy, a admirał skrzywił się mocno. - Oni nie tylko posiadają ogromną liczbę dział, ale i strzelają z nich znacznie szybciej. To jedyne wytłumaczenie dla takiej nawały ogniowej. Nie sądzisz, że to wyjaśnia - dodał z ponurym uśmiechem na ustach - dlaczego napakowali tyle armat na swoje galeony?

- Tak, mój panie. Sądzę, że wszystko wyjaśnia.

Oblicze kapitana przestało wyglądać tak buntowniczo, ale pozostał na nim wyraz głębokiego zatroskania, które baron Białego Brodu doskonale rozumiał. Znajdowali się teraz prawie dwieście pięćdziesiąt mil od Przylądka Ruin, a pomiędzy Cieśniną Skalistą a Zatoką Demona nie było ani jednego bezpiecznego kotwicowiska.

- Wiem, że stracimy sporo galer, jeśli wiatr będzie tak silny, jak się na to zapowiada - stwierdził baron z niezachwianą pewnością w głosie - ale zła pogoda im także da się we znaki i utrudni polowanie na nas. Walcząc z furią morza, mamy większe szanse na przeżycie niż w starciu z tym. - Rzucił okiem na północ, a kapitan powoli skinął głową, nie tylko przyjmując do wiadomości jego punkt widzenia, ale i w pełni go popierając.

- Tak, mój panie - powiedział.

- Dobrze, Zhilbercie. - Baron Białego Brodu położył dłoń na ramieniu Kailleego i zaczerpnął głęboko tchu. - Prześlij sygnały do pozostałych okrętów, aby postawiły więcej żagli.

IV

HMS Dreadnought, Rafa Armagedonu

Z

abezpieczyć działa, kapitanie - rozkazał księżę Cayleb. - Aye, aye, sir - odparł natychmiast Manthyr. - Pa- nie Sahdlyr, zabezpieczyć działa.

[719]

[718]

— Aye, aye, sir! - Porucznik Bynzhamyn Sahdlyr pełnił obowiązki drugiego oficera, ale teraz przypadła mu rola pierwszego. Porucznik Gyrard znajdował się bowiem w lazarecie razem z osiemnastoma innymi rannymi.

Wszyscy umęczeni kanonierzy po raz ostatni odciągnęli działa od furt, uważając na swoje dwutonowe cacka, gdyż kiwało niemiłosiernie. Podstawiono szpile pod kaskabele, obniżając lufy maksymalnie, by kule wytoczyły się z nich na pokład, wypychając przy okazji tampony. Następnie kanonierzy wyposażeni w haki usunęli ładunki prochowe, aby można było bez przeszkód rozpocząć dokładne czyszczenie dział z najgorszego nagaru i przetkać dokładnie otwory wentylacyjne. Dowódcy obsad dokonali szczegółowej kontroli, zezwalając na wetknięcie w lufy tamponów, a w otwory wentylacyjne zatyczek. Tak zabezpieczone działa podtoczono ponownie do zamkniętych furt.

W czasie gdy kanonierzy wykonywali swoją robotę, Cayleb stał przy relingu rufowym i spoglądał na morze. Niszczyciel nadal szedł za Dreadnoughtem. Wprawdzie odpadł nieco i płynął teraz około sześciuset jardów za rufą okrętu flagowego, co stanowiło odległość dwa razy większą niż przed rozpoczęciem walki, ale powoli odrabiał tę stratę.

Zobaczenie czegokolwiek za nim było niemożliwością. Zachodzące słońce zniknęło już za gęstą pokrywą chmur, okolicę pokrywały spienione fale, a padający z początku kapuśniaczkę zdążył się zmienić w gęste strugi deszczu. Księżę widział wprawdzie zarysy żagli jednostki płynącej za Niszczycielem, ale nie był w stanie jej rozpoznać, nie mówiąc już o pozostałych okrętach idących na dalszych pozycjach w szyku.

Następca tronu odwrócił głowę, gdy podszedł do niego Merlin. Porucznik Falkhan zajął pozycję za ich plecami, odgradzając ten kawałek pokładu rufowego, aby dać im choć odrobinę prywatności. Stojąc tam, dawał jasny sygnał innym członkom załogi.

- Wszyscy są za nami? - zapytał księżę. Musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć szum deszczu, wycie wiatru, skrzyżnienie drewna i huk fal.

- Niezupełnie - odparł Merlin w podobny sposób, wpałując się w ciemniejącą ścianę deszczu. Nie przyglądał się jednak sylwetce Niszczyciela, lecz obrazom, które przesyłała mu Sowa z kolejnych SAPK-ów. - Szyk nie jest już tak idealny jak na początku. Sztylet i Przerazający płyną teraz burta w burte, a większość jednostek opuściła wyznaczone pozycje w pogoni za uszkodzonymi albo usiłującymi uciec galerami. panna i Strumień nie dały rady wrócić, płyną teraz prosto na Wyspę Samuela, ale nie straciliśmy do tej pory ani jednego okrętu. Pozostała dwunastka nadal tworzy formację i płynie za nami.

- Trudno mi w to uwierzyć - przyznał Cayleb. Odwrócił się, by spojrzeć na pokłady Dreadnoughta. - Wiedziałem, że te działa dadzą nam sporą przewagę, ale żeby aż taką... - zawiesił głos.

Merlin skinął głową z nieszczęśliwą miną, która wynikała nie tylko z zimna i przemoknięcia.

- Nie straciliśmy wprawdzie żadnego okrętu, ale nie obyło się bez ofiar - stwierdził i teraz Cayleb skinął głową z po-nurą miną.

Dreadnought otrzymał aż szesnaście trafień. Dziewięć było dziełem pocisków z dział tak dużego kalibru jak ich własne. Miał dwie dziury w kadłubie poniżej linii wodnej, ale cieśle okrętowi wraz z pomocnikami zdołali je zabić i zatamowali przecieki. Stracili jedną z karonad na pokładzie dziobowym. Ten sam pocisk, który ją zniszczył, doprowadził do śmierci niemal całej obsady. Inna kula nadwreżyła środkowy maszt, złościąc w nim sporą wyrwę. Na szczęście było to tylko muśnięcie, a porucznik Gyrard, zanim odniósł ranę, zdołał zabezpieczyć wyrwę za pomocą desek i lin, usztywniając maszt w podobny sposób, jak to się robi z połamanymi kończynami.

Dreadnought stracił też kotwicę na bakburcie, odstrzeloną przez zabłąkaną kulę. Pozostałe pociski zrobiły sporo szkód w ruchomym olinowaniu, nie wspominając o dziurach w niemal każdym żaglu. Ale mimo to - mimo siedemnastu zabitych i dziewiętnastu rannych, głównie ofiar odłamków - stara łajba trzymała się całkiem nieźle.

Inne galeony miały mniej szczęścia, ale o tym wiedział na razie tylko Merlin. HMS Tajfun z oryginalnej eskadry eksperymentalnej admirała Staynaira, płynący teraz w jego kolumnie,

wpadł w pewnym momencie pomiędzy dwie całkiem jeszcze sprawne tarockie galery. Zamienił je w dymiące wraki, ale kula wystrzelona na ślepo z jednej z nich trafiła w jego główny maszt, ścinając go niespełna dwanaście stóp nad pokładem. Co gorsza, długie drzewce padło na nawietrzną, opierając się końcem o kadłub uszkodzonej galery, której załoga wykorzystała okazję i przypuściła po nim desperacki szturm, próbując dokonać klasycznego abordażu.

Atak zakończył się totalną klęską, Tarotczycy ponieśli ogromne straty, głównie za sprawą osiemdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej z galeonu, wyposażonych w muszkiety skalkowe i bagnety. Niestety, zginęło także wielu ludzi z załogi Tajfunu. Łączna liczba zabitych na jego pokładzie przekroczyła dwie setki, co stanowiło więcej niż połowę stanu osobowego. Na domiar złego galeon stracił kontakt z resztą eskadry Staynaira. Tyle dobrego, że ocalał kapitan Stywyr - mimo iż odniósł podczas starcia kilka ran, zdołał zapanować nad chaosem. Galeon, pomimo straty całego masztu i sporej części takielunku, nadal nadawał się do żeglowania i zmierzał teraz powoli, walcząc z deszczem i wzmagającym się wiatrem, w kierunku Wyspy Samuela, gdzie wyznaczono punkt zborny dla wycofujących się jednostek i gdzie czekały dwa frachtowce z zaopatrzeniem.

Tylko kilka okrętów Cayleba nie zostało uszkodzonych, ale żaden nie został pokiereszowany w takim stopniu jak Tajfun. Prawdę powiedziawszy, Dreadnought zebrał największe ciężki ze wszystkich, a stało się tak dlatego, że płynął na czele kolumny.

- A co możesz mi powiedzieć o Domynyku i naszych przeciwnikach? - zapytał Cayleb, przysuwając się do Merlina tak blisko, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć odgłosy wiatru i morza, ale mimo to nawet stojący w pobliżu Falkhan nie dośłyszał ani jednego słowa. Merlin odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. Uniósł znacząco brew, na co księżę uśmiechnął się szeroko.

- Merlinie, nie pora udawać, że musisz się udać do swojej kajuty, by pomedytować - powiedział, a w jego oczach pojawiły się ogniki rozbawienia.

- Niech ci będzie - zgodził się seijin, potem przez chwilę podkręcał węża w zamyśleniu. - Wędrowiec i Letni Księżyc czekają w punkcie zbornym z Nieustraszonym - zaczął wyliczankę od jednostek pomocniczych i ich eskorty. - Pozostałe szkunery są w dobrym stanie, ale najbardziej obawiają się pogorszenia pogody. Lada moment skierują się w stronę Wyspy Samuela. Kolumna Domynyka wyszła ze starcia niemal bez szwanku. Tajfun, Piorun i Maelstrom odłączyły się jednak od szyku i podążają teraz samodzielnie w stronę punktu zbornego, podobnie jak Panna i Strumień, ale reszta galonów pozostała z admirałem. Staynair wciąż walczy z maruderami sił barona Białego Brodu, choć podejrzewam, że dziesięć do dwunastu tarockich galer umknie mu przy takiej pogodzie. - Machnął ręką w stronę morza. - Baron prowadzi je, i to w naprawdę ryzykowny sposób, zważywszy na warunki. Jest już daleko za Przylądkiem Ruin... jeśli się nie mylę, powinien docierać w okolice Przylądka Dexter, ale czy zamierza płynąć dalej, w kierunku Cieśniny Demona, czy uciekać, na razie nie mam pojęcia. Na wschodzie znajduje się kolejne pięć albo sześć galer - ciągnął, wyciągając rękę w kierunku ukrytego w mroku horyzontu. Minę miał przy tym ponurą. - Dwie są mocno uszkodzone, wątpię, aby dotrwały do rana. Pozostałe mają na to szanse, ale dwie z nich są dohlariańskie, i to one mają największe problemy... - zamilkł na moment, spoglądając w ciemność kryjącą ludzi walczących desperacko z rozszalałym żywiołem, czego nawet jego doskonały wzrok nie mógł dostrzec, potem spojrzął na Cayleba. - Hrabia Thirsku dowodzi tym, co pozostało - dodał. - Ma ze sobą około sześćdziesięciu galer i jednostek pomocniczych. W tym momencie omijają Skalisty Hak. Powinien bez większych przeszkód rzucić kotwicę przy wejściu do Cieśniny Skalistej za jakieś dwie do trzech godzin.

- Rozumiem.

Cayleb spoglądał w zamyśleniu przed siebie, rozważając w myślach informacje Merlina. Gdy ten zamilkł, książę nie ruszył się z miejsca jeszcze przez chwilę, dopiero potem ocknął się i spojrzał na seijina.

- A gdzie my teraz jesteśmy? - zapytał.

- Czyżbym awansował na twojego prywatnego nawigatora? - odparł pytaniem na pytanie Merlin, wyszczerzając zęby.

- Jeśli mag, albo dajmy na to seijin, zaoferuje ci swoje usługi, powinieneś korzystać na całego - stwierdził książę, posyłając mu jeden ze swoich słynnych uśmiechów.

- Cóż, dla twojej informacji, znajdujemy się około trzydziestu trzech mil na południe południowy wschód od północnych wybrzeży wyspy Opal.

- A Hrabia Thirsku ma kotwicowisko za Skalistym Hakiem czy po zawietrznej Opala?

- Za Skalistym Hakiem - odparł Merlin.

Cayleb raz jeszcze skinął głową, najwyraźniej usilnie nad czymś rozmyślając, potem skrzywił się mocno.

- Nie za dobrze pamiętam mapę tych okolic - przyznał. - Czy możemy przejść pomiędzy Opalem a Skalistym Hakiem jednym halslem?

Teraz Merlin miał nietęgą minę, sprawdzając obrazy satelitarne napływające od SAPK-a wiszącego gdzieś nad ich głowami.

- Nie sądzę - odparł po chwili, wypowiadając słowa nieco wolniej niż zazwyczaj. - Wiatr jest zbyt zmienny.

- Tego się właśnie obawiałem. Ale to może być najlepsze rozwiązanie. Resztę załatwią nasi ludzie.

Merlin spojrzał Caylebowi prosto w oczy.

- Nie chcesz chyba popłynąć do cieśniny jeszcze tej nocy?

- Właśnie o tym myślałem - przyznał następca tronu, a Merlin zrobił srogą minę.

- Będiesz dysponował tylko trzynastoma okrętami, zakładając, że żaden z nich nie straci po drodze kontaktu z formacją, a poza tym mówimy tutaj o szukaniu igły w stogu siana! Cieśnina pomiędzy Opalem a Skalistym Hakiem ma szerokość dwudziestu dwu mil, pada deszcz, wiatr wciąż się wzmaga, fale sięgają już szesnastu stóp, a każda mapa tego akwenu, jaką mamy, liczy ponad osiemset lat!

- Zgoda - przyznał Cayleb ze spokojem. - Ale według nich, główny szlak żeglugowy ma dziewięć mil szerokości i głębokość sześćdziesięciu stóp, jeśli mijają się wyspę od północy. Wiele mogło się zmienić od czasu, gdy Hastings szkicował mapy, ale i tak pozostaje nam spory margines bezpieczeństwa.

- W samym środku burzliwej nocy? - zapytał Merlin. - Nie czekając na Domyńka i resztę maruderów?

- Stracimy co najmniej kilka dni, szukając Staynaira i wracając na tę pozycję - zauważył Cayleb.

- Co nie zmienia faktu, że koło wyspy będzie ciemniej niż w zatłoczonej lufie, kiedy tam dopłyniemy. Twoi obserwatorzy w takich warunkach nie dostrzegą brzegów Wyspy Półksiężycy, nie mówiąc już o ich ominięciu!

- Ale mam do pomocy maga, nieprawdaż, Merlinie? - odparł spokojnie książę. - Ty zobaczysz w ciemnościach wszystko co trzeba. Dreadnought poprowadzi formację, a wszyscy pozostali będą płynąć jego śladem.

- A pomyślałeś o tym, że ktoś może się zgubić? - zaprotestował Merlin. - Jeśli któryś z twoich galeonów rozbije się o skały, zapewne zginie cała jego załoga, a przecież hrabia Thirsku nigdzie się nie wybiera. A już na pewno nie ruszy się przed świtem!

- Nie ruszy się - przyznał następca tronu - ale powiem ci, na co wykorzysta czas, który mu damy. - Merlin zareagował na te słowa sporym zdziwieniem, ale Cayleb nic sobie z tego nie robił. - Zakotwiczy wszystkie galery w jednym miejscu i przetransportuje na brzeg

tyłe ciężkich działań, ile zdoła, tworząc z nich nadbrzeżne baterie. Będzie pamiętał o tym, jak mu dołożyliśmy, ale i o tym, że na takich wodach, jak te wokół wyspy, galery sprawują się znacznie lepiej niż na otwartym morzu. Na pewno uczyni też wszystko, by jego ludzie przestali panikować i otrząsnęli się z szoku. Wykorzysta każdy dzień, jaki mu damy, i każdą godzinę, by poczynić przygotowania pozwalające mu zabić jak najwięcej moich ludzi, gdy w końcu będziemy musieli ich zaatakować.

- Ale... - zaczął Merlin, ale książę uciszył go, kręcąc głową.

- Wiem, że nawet czekając na Domynyka, będziemy w stanie zniszczyć flotę hrabiego Thirsku do ostatniej galery bez względu na to, jakie przygotowania poczyni. Ale im więcej czasu im damy, tym więcej okrętów utracimy podczas ataku. Jestem pewien, że nie będą to aż tak ciężkie straty, na jakie liczy hrabia, ale zmusi nas do atakowania na jego warunkach, a on nie podda się bez walki, i to naprawdę zacieńtej, zapewne będziemy musieli wyciąć ich własnymi rękami. Z drugiej strony, jeśli zaatakujemy jeszcze tej nocy, kiedy wróg wciąż będzie wyczerpany i przerażony, a sam hrabia nie zdoła się jeszcze otrząsnąć z tego, co mu zrobiliśmy, przewaga będzie po naszej stronie. Załogi hrabiego poczują się uwięzione i bezsilne, kto wie, czy w takich warunkach nie zdecydują się poddać, zamiast walczyć do końca.

Merlin już otwierał usta, by znów zaprotestować, ale od razu je zamknął. Wciąż uważał, że plan Cayleba jest ryzykowny, lecz musiał przyznać, że książę potrafi niezwykle celnie ocenić sytuację i co może ważniejsze, wie, jak wykorzystać nadprzyrodzone moce swojego seijina czy też maga. A zważywszy na możliwości Merlina, wejście w tę cieśninę nawet w samym środku huraganu nie wydawało się aż tak wielkim szaleństwem, jak jeszcze przed chwilą.

Ale nie to ucięło jego protest. Nagle zdał sobie sprawę, że następca tronu ma rację.

Nimue Alban nie doszłaby do takich wniosków, ponieważ w jej wojnie nikt się nie poddawał. Byli jedynie zwycięzcy i zabici, pojęcie litości nie było znane żadnej ze stron. Merlin był świadom, że panika musiała wpływać demoralizująco na wroga, obniżając jego zdolność bojową, ale nigdy nie poszedł krok dalej i nie rozważał tego, że honorowa kapitulacja jest jedną z najważniejszych zasad wojennych na Schronieniu.

Musiał też przyznać przed sobą, że zbyt często skupił się na potencjalnych problemach, jakie napotkają podczas penetracji cieśniny, by zastanowić się nad zgubnym wpływem paniki podczas niespodziewanego nocnego ataku na bezpieczne kotwicowisko. Zwłaszcza w taką pogodę, jaka się zapowiadała... i po koszmarze minionego dnia, z którego ci wszyscy żeglarze z pewnością jeszcze nie ochłonęli.

Jego zdaniem decyzja nadal była bardzo wątpliwa. I mógłby się jeszcze wyklócać. Do tej pory uważał, że książę Cayleb zawsze wybiera najprostsze rozwiązania. A to mogło być niekorzystne pod wieloma względami, zwłaszcza gdyby następca tronu zaufał swojemu instynktowi, lekceważąc konieczność rozważenia każdego argumentu za i przeciw. Wbrew początkowym obiekcjom seijina, to nie był ten przypadek.

Zdaje się, że odziedziczy po ojcu nie tylko tron, pomyślał, przypominając sobie chłodne, wykalkulowane odpowiedzi Haarahlda na każde zagrożenie Korony. Ciekawe, czy istnieją geny odpowiedzialne za tego typu cechy?

- Dobrze, wasza wysokość - powiedział w końcu tonem nieco bardziej oficjalnym niż zazwyczaj podczas rozmów z Caylebem. - Jeśli jesteś zdecydowany, że chcesz to uczynić, twój mag będzie ci służył wszelką pomocą.

- To się nazywa duch walki! - odparł książę, klepiąc go po ociekającej wodą tylnej części pancerza, a potem obejrzał się przez ramię.

- Kapitanie Manthyr. Sygnał do wszystkich: „Formować linię za naszą rufą.

Przygotować się do działań nocnych. Prześłać do wszystkich okrętów". A potem zapalcie

nasze światła pozycyjne. Jak już to będzie załatwione - wyszczerzył zęby do kapitana okrętu flagowego - chcę, by zmieniono kurs.

V

Cieśnina Skalista, Rafa Armagedonu

H

rabia Thirsku usiadł na krześle, wydając głośny jęk. Był totalnie wyczerpany. Jego żołądek zareagował głośnym burczeniem, gdy poczuł woń jada przygotowywane - go przez wiernego sługę, pamiętając, że ostatnim posiłkiem jego pana było śniadanie, od którego minęło już niemal trzydzieści sześć godzin.

Hrabia wyciągnął dłoń po kielich z winem, ale zatrzymał ją, krzywiąc się paskudnie. Ostatnie, czego potrzebował na pusty żołądek, to wytrawne wino. Zmienił zamiar i podniósł kawałek pieczywa posmarowanego masłem.

Wgryzł się w kromkę chleba i w tej samej chwili pomyślał, że to najsmaczniejszy posiłek, jaki jadł w życiu. Zmusił się do wolniejszego przeżuwania, smakował każdy kęs, nie przełykał od razu jak konający z głodu jaszczurodrap, a potem połykał go z głośnym westchnieniem zadowolenia.

Pochylił się, ujął sztucę i odkroił kawałek pieczonej baraniny. Wsunął go do ust, wraz z kolejnym kawałeczkiem pieczywa, i przyknał oczy, przeżuując z rozkoszą.

Oto odrobina zasłużonej przyjemności po niezwykle ciężkim dniu, pomyślał i przełknął kolejną porcję jedzenia. Teraz mógł sobie pozwolić na łyk cierpkiego wina, którym splukał smak baraniny.

Skrzywił się. Nie miał nawet pojęcia, ile okrętów mu zostało. Szacował, że musi ich być nie mniej niż czterdzieści pięć, ale na pewno nie więcej niż osiemdziesiąt, wliczając w tę drugą liczbę także ocalałe jednostki pomocnicze. Niezbyt wiele, zważywszy na to, że jeszcze minionego ranka ta flota składała się z ponad stu siedemdziesięciu jednostek.

Nadział na widelec kawałek parującego, omaszczonego ziemniaka, ale mimo iż nadal był głodny, posiłek stracił na gwałt wiele ze swojego powabu, kiedy pomyślał o niekończącym się ciągu straszliwych porażek, jakich doznał minionego dnia.

Nie wiedział, ile galer z połączonych flot zostało zatopionych, lecz zdawał sobie sprawę, że na pewno nie była to mała liczba. Na własne oczy widział zmasakrowany wrak Króla Rahnylda i pływające wokół niego ciała zabitych na moment przed tym, jak pokiereszowana galera przewróciła się do góry dnem i zatonęła. Widział dymiące stosy pogrzebowe, w jakie zamienił się kolejny tuzin okrętów ostrzelanych z dział albo po prostu podpalonych przez Charisjan. Miał nadzieję, że wróg pozwolił ocalałym marynarzom na zejście do łodzi, za nim dokończył dzieła zniszczenia, ale głowy by za to nie dał.

Przestał żuć na moment, potem pokręcił głową wściekły na samego siebie.

Co ty bredzisz, wiesz przecież doskonale, że pozwalali ludziom opuścić okręty, napomniał się w myślach. Tylko na pokładzie Zatoki Gorath masz stu dziewięćdziesięciu rozbitków! Tak było, nie mógł temu zaprzeczyć. Ale z drugiej strony, zdołał podjąć na pokład tylko drobny ułamek z setek - a nawet tysięcy - marynarzy i żołnierzy, którzy przebywali na galerach księcia Malikai.

Odciął kolejny kawałek mięsa, włożył do ust i zaczął systematycznie przeżuwać.

Widział tylko tonące wraki i płonące kadłuby, gdy jego okręt flagowy przepływał przez pole trwającej wciąż bitwy. Jego zdaniem galeony Charisu nie zostawiły za sobą ani jednej sprawnej galery. Poruszały się niemal dwa razy szybciej od jego jednostek, zwłaszcza gdy postawiły dodatkowe bramsele, i wykorzystywały przewagę prędkości, by ścigać uciekającego wroga i niszczyć bezlitośnie każdą galere, jaka znalazła się na kursie. A on nie umiał nic na to poradzić, choć może to i dobrze, że byli zbyt szybcy, żeby mógł ich dopędzić, pomyślał z goryczą, przypominając sobie starą ludową opowieść o psie myśliwskim, który „pochwylił” jaszczurodrapa.

Raz jeszcze pokręcił głową, tym razem w niemym przeobrażeniu. Relacje ocalonych marynarzy potwierdziły wszystkie jego przypuszczenia. Charisjanie odkryli sposób na to, by strzelać z ciężkich dział trzy-, a może nawet czterokrotnie szybciej niż inni. Wciąż starał się ogarnąć umysłem wszystkie konsekwencje wynikające z tego faktu zwłaszcza w kontekście wojny na morzu, ale już wiedział, że książę Cayleb - zdaniem wielu ocalonych właśnie jego proporce powiewały nad jednym z galeonów - dał dzisiaj niezwykle brutalny pokaz tego, jak głębokie i daleko idące będą te konsekwencje.

Hrabia Thirsku zdołał mimo wszystko utrzymać przy Zatoce Gorath część floty i doprowadzić ją na bezpieczne wody Przy Skalistym Haku. Ale nawet tutaj, stojąc na kotwicy pod osłoną skalistych wybrzeży, jego flagowiec poruszał się niespokojnie na wysokiej fali. Rzęsisty deszcz bębnił o świetliki nad jego głową i spływał strumieniami po pokładzie, aby trafić w końcu do morza. Słyszał też, jak wiatr wyje w wantach, sprawiając, że deszcz i oderwana od nich wodna mgiełka zaczynają znacznie mocniej.

Lampy chwiały się na uchwytach, zalewając kajutę ciepłym, kojącym nerwy światłem. Dzięki nim przypomniawszy sobie inne spędzone w niej wieczory. Te, kiedy siedział spokojnie, paląc fajkę, rozkoszując się pucharem wina albo kuflem piwa, w ciepłej i spokojnej... a nieustające bębnienie deszczu i zawodzenie wichury potęgowały tylko siłę oddziaływania tych wspomnień.

Tej nocy nic nie przynosiło ukojenia. Miał świadomość, że zdołał odwlec tylko na chwilę to, co nieuniknione. Cayleb wydedukuje bez wielkiego trudu, gdzie zabrał swoje okręty. A gdy to zrobi, poczyni stosowne kroki.

Sądząc z opowieści ocalonych, a także kierując się własnymi spostrzeżeniami, doszedł do wniosku, że następca charisjańskiego tronu stracił jeden, a może dwa galeony. Młody książę odniósł właśnie zwycięstwo, które z pewnością zyska miano najbardziej miążdżącego w historii wojen morskich. W odróżnieniu od księcia Malikai, był rasowym żeglarzem.

Królewska Marynarka Wojenna Charisu znała się na swoim rzemiośle jak żadna inna, a wojowniczy książę z pewnością zamierzał dokończyć dzieła, które rozpoczął, aby zapewnić sobie absolutne zwycięstwo. Za dzień lub dwa hrabia Thirsku ujrzy jego galeony na wodach Cieśniny Skalistej, a kiedy to się stanie, będzie naocznym świadkiem zagłady wszystkich okrętów, którymi dowodzi.

Ale nie wezmą nas tak tanio jak księcia Malikai, poprzyściągł sobie. Wydał już rozkaz, aby jego okręty zamontowały szpringi. Dzięki temu prostemu zabiegowi, łączącemu wypuszczonym przez furtę działową kawałkiem liny kotwicę z pokładowym kabestanem na rufie, można było dokonywać niezwykle szybkich zwrotów w miejscu, nakazując wybranie bądź poluzowanie cumy. Tym sposobem hrabia zyskał możliwość prowadzenia ognia w każdym kierunku, a to w jego wypadku rokowało największe nadzieje. Jego artyleria nie była tak szybkostrzelna jak charisjańska, ale Cayleb nie zdoła przecież zgromadzić całej siły ognia w jednym miejscu.

A co ważniejsze, pomyślał hrabia Thirsku z ponurą miną, następnym razem nie weźmie nas z zaskoczenia.

Wbił widelec w kolejną porcję baraniny i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jak tylko zrobi się jaśniej, wyśle na brzeg zwiadowców, aby znaleźli miejsca nadające się na ustawienie dział. To z pewnością nie będzie łatwe zadanie, ale był pewien, że uda się odkryć co najmniej kilka płaskich półek skalnych, a zważywszy na to, jak strome były zbocza wyrastające wprost z morza, miejsca te mogą znajdować się wystarczająco wysoko, by artyleria nadbrzeżna miała spory zasięg. Gdy przybędą okręty Charisu, książę Cayleb zapłaci wysoką cenę za swoje zwycięstwo.

Istniała nawet możliwość, że młody następca tronu odstąpi bez walki, jeśli ta cena wyda mu się za wysoka. Zdołał już przecież rozbić sprzymierzone siły i powstrzymać ich ofensywę, a jego galeony stanowiły sporą część sił morskich, jakimi dysponował Charis. Mając do

wyboru poniesienie ogromnych strat, dobijając już pokonanego wroga, albo powrót wszystkich jednostek w stanie nietkniętym, aby wspomóc resztę marynarki wojennej Charisu w walce ze sprzymierzonymi siłami Corisandu, Szmaragdu i Chisholmu, powinien bez wahania wybrać to drugie rozwiązanie.

Czyżbyś, Lywysie, starał się przekonać samego siebie, że to prawda? - pomyślał, prychając z odrazą.

Przełknął kolejny kawałek ziemniaka i aż zamrugał ze zdziwienia, gdy zdał sobie sprawę, że to już ostatni kęs tej wieczery. Pochłonął wielki kawał pieczeni i nawet podany do niej zielony groszek. No i trzy bułeczki, dodał z niedowierzaniem, gdy zajrzał do koszyka z pieczywem.

Roześmiał się i pokręcił z trudem głową. Zdaje się, że był znacznie bardziej wyczerpany, niż mu się zdawało. Pora na zasłużony sen, zdecydował.

Ranek nie przyniesie zapewne poprawy sytuacji, ale te kilka godzin snu z pełnym żołądkiem pozwoli mi myśleć jaśniej.

Dopił wino, wstał i słaniając się mocno, ruszył w stronę sypialnej części kajuty.

VI

HMS Dreadnought, w pobliżu Rify Armagedonu

M

Merlin Athrawes stał na wężlicy bezanmasztu, osiem stóp nad pokładem rufowym, i spoglądał w ciemność.

Wiatr, zgodnie z jego przewidywaniami, wciąż się wzmacniał, chociaż w tym akurat momencie przycichł nieco. Owo „przyciszenie” oznaczało, że dał teraz z prędkością trzydzieści czterech mil na godzinę, ale za to padało jeszcze mocniej. Nawet wspomagany wzrok Merlina nie potrafił przebić litej ściany wody i morskiej piany.

Szkoda, pomyślał, że CZAO nie zostały wyposażone w tradycyjne radary. Niestety, nikt nie pomyślał o upakowaniu tak prymitywnych technologii w zaawansowane urządzenia, których przeznaczeniem było działanie w równie rozwiniętym środowisku.

- Sowo - wyszeptał, schodząc na pokład, gdzie natychmiast chwycił się jednej z rozciągniętych przez załogę lin ratunkowych.

- Tak, komandorze poruczniku?

- Muszę mieć tę wizualizację, i to natychmiast.

Odpowiedź nie nadeszła, więc skrzywił się jeszcze bardziej.

- Rozpocznij przesyłanie uprzednio wskazanych obrazów - dodał nieco uszczypliwym tonem.

- Tak, komandorze poruczniku - odparła sztuczna inteligencja, nie poruszona jego tonem, a w jego polu widzenia natychmiast pojawiły się przezroczyste schematy.

Sensory SAPK-ów, w odróżnieniu od jego sztucznych oczu, potrafiły przebić się przez ten mur burzowej ciemności, i Merlin poczuł wielką ulgę, gdy ujrzał na siatce mapy trzynaście ikon oznaczających galeony Cayleba. Obawiał się, że rozkaz wydany obserwatorom w bocianich gniazdach, mówiący, że nie mogą nawet na moment stracić z oczu światła pozycyjnych wywieszonych na bezanmasztach poprzedzających jednostek, jest w takich warunkach niewykonalny. Tymczasem, ku jego największemu zdumieniu, ci ludzie jakoś sobie z tym poradzili.

Teraz to on musiał wywiązać się ze swojej części zadania i doprowadzić ich bezpiecznie na spokojne wody Cieśniny Skalistej.

Przyjrzał się wyświetlanemu zarysowi terenu. Wyglądało na to, że kurs Dreadnoughta jest niemal idealny, ale to „nie-mal” robiło ogromną różnicę.

- Sowo - wyszeptał raz jeszcze.

- Tak, komandorze poruczniku?

- Dodaj aktualne wektory wiatru i przewidywanego kursu Dreadnoughta i wyświetlaj je w trybie ciągłym.

- Tak, komandorze poruczniku.

Żądane strzałki i przerywana linia pojawiły się niemal w tej samej chwili, sprawiając, że Merlin parsknął gniewnie. Natychmiast ruszył w głąb stromo się wznoszącego, wysmołowanego pokładu rufowego, posuwając się bardzo powoli, noga za nogą, dzięki linie ratunkowej, której nie wypuszczał z rąk, do miejsca, w którym stali Cayleb oraz towarzyszący mu kapitan Manthyr i sternicy. Za kołem tkwili dwaj marynarze, trzeci czekał tuż za nimi, aby w razie potrzeby wspomóc wysiłki tej pary wagą swojego ciała.

Manthyr potrzebował odpoczynku, zdaniem Merlina, ale kapitan flagowca nawet nie chciał słyszeć o czymś takim jak sen. Dreadnought był jego okrętem. To on odpowiadał tutaj za wszystko i za wszystkich. Stał więc teraz obok steru, milcząc i mając nadzieję, że księżę nie jest tak szalony, na jakiego wygląda.

Merlin uśmiechnął się na tę myśl, chociaż była ona nieco krzywdząca dla kapitana. To, czego dokonał minionego dnia Cayleb (z niewielką pomocą Merlina), natchnęło każdego członka załogi jego okrętu niezachwianą wiarą w żeglarskie instynkty następcy tronu.

Poszliby za księciem, nawet gdyby obwieścił, że w samym środku burzliwej nocy zamierza ich poprowadzić prosto na skaliste urwiska... Mimo to kapitan Manthyr najwyraźniej zamierzał pozostać przy nim i mieć oko na wszystko, co się dzieje.

Cayleb wydawał się tym nie przejmować. Stał na szeroko rozstawionych nogach, odziany w natarte tłuszczem poncho narzucone na kolczugę i kirys, trzymając się prawą dłonią innej liny, aby utrzymać równowagę. Wiatr rozwiewał mu poły okrycia, woda ściekała strumieniami z obramowania morionowatego hełmu, a jasność bijąca z naktuzu oświetlała jego twarz od spodu. Widać było, że jest już zmęczony, kości policzkowe niemal przebijały skórę, ale usta miał wciąż zacięte, wyrażające wielką pewność siebie, a blask w brązowych oczach nie był odbiciem światła wydobywającego się z podstawy kompasu.

Może jest bardzo miody, pomyślał Merlin, ale to jest właśnie ta chwila, dla której się urodził.

Cayleb spojrzał na podchodzącego do niego seijina, a ten przyłożył dłoń do ust i zaczął mu krzyczeć prosto do ucha:

- Kierujemy się zbyt wysoko! Wiatr zepchnął nas za bardzo na wschód, musimy zmienić kurs o półtora stopnia na zawietrzną!

Następca tronu skinął głową, a Merlin podszedł do miejsca, w którym stał Ahrnahld Falkhan, oświetlony od spodu blaskiem bijącym ze świetlików kajuty admirałskiej.

Porucznik nie opuszczał swojego księcia nawet w takich warunkach.

Cayleb odczekał kilka minut, potem pochylił się nad naktuzem i zaczął obserwować wskazania kompasu. Wyprostował się i przeniósł wzrok na ledwie widoczne w tej zaciemnionej żagle. Postać jeszcze chwilę, jakby nad czymś rozmyślał, a potem odwrócił się do Manthyra. Nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozprawa z kapitanem swojego flagowca, ale ich rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. Następnie Manthyr odwrócił się do sterników.

- Kurs południowy zachód ku zachodowi! - przekrzyczał wszystkie hałasy.

- Aye, aye, sir! - odkrzyknął najstarszy sternik. - Jest południowy zachód ku zachodowi!

Razem ze swoim kompanem zakręcili kołem, powoli, rumb po rumbie, nie spuszczać oka z kompasu. Utrzymanie dokładnego kursu nawet w znacznie bardziej sprzyjających warunkach było niemożliwe przy tak prymitywnej technice. A przy takiej pogodzie mijało się kompletnie z celem. Niemniej ci żeglarze byli mistrzami w swoim fachu. Trzymali się tak blisko wytyczonego kursu, jak to tylko było możliwe. Merlin uśmiechnął się pod nosem, gdy przewidywany kurs odchylił się na jego mapie i zaczął wskazywać miejsce, w które zmierzali: głęboki kanał znajdujący się na północ od wyspy Opal, pomiędzy Skalistym Hakiem i o wiele mniejszą Wyspą Półksiężycy.

A w każdym razie, pomyślał, kanał, który osiemset lat temu był wystarczająco głęboki, by po nim żeglować.

- Dobrze to rozegrał!

Merlin odwrócił się do porucznika, gdy ten wykrzyczał mu te słowa prosto do ucha. W blasku bijącym ze świetlika obaj mogli widzieć swoje twarze, dlatego seijin zareagował uniesieniem brwi.

- Kto co dobrze rozegrał? - zapytał.

- Cayleb! - odparł uśmiechnięty Falkhan. Otarł wodę ściekającą mu po twarzy i pokręcił głową. - Oni nigdy się nie domyślą, że mu podpowiedziałeś tę zmianę kursu.

- Nie wiem, o czym mówisz! - zawołał Merlin tak niewinnym głosem, na jaki mógł się zdobyć przy ryku morza i wiatru.

- Oczywiście, seijinie - stwierdził Falkhan, uśmiechając się jeszcze szerzej. Athrawes przyłączył się do niego, ale natychmiast spoważniał.

- Masz rację, dobrze to rozegrał! - odkrzyknął. - A to dzisiaj ważniejsze niż kiedykolwiek!

- Wiem! - Falkhan pokiwał głową z werwą. Moment później popatrzył na księcia, a jego uśmiech stał się bardziej pochlebny. - Widać, że nam dorasta - rzucił w kierunku Merlina.

- To prawda! - odparł seijin. - Święta prawda!

Falkhan ma rację, uznał, i to pod wieloma względami. Księżę zdążył się już wykazać znajomością taktyki i strategii, a nawet wolą obrony własnego punktu widzenia. Przystał słuchać sugestii Merlina, w każdym razie wtedy, gdy się z nimi nie zgadzał. Korzystał z umiejętności seijina, ale sam podejmował decyzje.

Pomimo młodego wieku zwracał uwagę na najmniejsze detale. Z rozmysłem kazał płynąć dalej na wschód, zanim zawrócili w stronę Rąfy Armagedonu. Płynęli przez to ponad dwie godziny dłużej, w czasie których kapitan Manthyr nakazał rozpaścić ogień w kambuzach i nakarmił załogę gorącym posiłkiem składającym się z kleistego ryżu i warzyw.

Był on bardzo potrzebny ludziom wyczerpanym całodzienną walką z żywiołem, których na domiar złego czekała jeszcze gorsza noc. Manthyr zezwolił też każdemu na spędzenie dwu godzin w koi. Dzięki temu marynarze wkroczą do akcji najedzeni i wypoczęci, może nie tak, jak by chcieli, ale w wystarczającym stopniu. Ich kapitan był na tyle przewidujący, że rozkazał utworzyć lejki z płótna żaglowego, by nalać deszczówki i uzupełnić nią zapasy w zbiornikach wody pitnej, a kukom polecił, by zaparzyli kotły gorącej herbaty, zanim wygaszą paleniska.

Te szczegóły nie uszły uwagi ludzi z załogi i już szeptano po kątach, że księżę celowo opóźnił swoją decyzję, aby dać im czas na odpoczynek. Można było mieć pewność, że nikt mu tego nie zapomni.

Oczywiście nikt spośród tych, którzy przeżyją nadchodzącą noc.

VII

Cieśnina Skalista, Rafa Armagedonu

L

anborneowi niech będą dzięki, że jesteśmy tutaj, a nie tam - stwierdził porucznik Rozhyr Blaidyn, przysłuchując się odgłosom sztormu.

Było ciemniej niż w dupie, ale regularne, głuche dudnienie fal uderzających w odległe wybrzeża Skalistego Haka i wyspy Opal nadal przebijało się przez wycie wiatru i szum deszczu. Tutaj, na osłoniętych wodach cieśniny, wichura miała znacznie mniejszą siłę - a co za tym idzie, fale także były niższe - ale warunki znacznie odbiegały od stanu, który Blaidyn zwykł nazywać „spokojnym morzem”.

Kotwicowisko było głębokie, dno przy jego granicach podnosiło się raptownie, wynurzając się ponad powierzchnię wód zwłaszcza na wschodzie, gdzie tworzyło podnóże liczących

nie-mal sto stóp wzniesień zachodniej ściany Skalistego Haka. Tylko na zachodzie góry miały łagodniejsze zbocza, a i woda była płytsza na sporej przestrzeni. Na tym odcinku wybrzeża dało się znaleźć kilka malutkich plaż przytulonych do rozmytych klifów. Płytsze wody oznaczały z kolei większe fale, dlatego większość kapitanów optowała za rzuceniem kotwic na głębinie, aby w razie zerwania liny ich okręty miały więcej szans na ratunek. Galera Blaidyna, Królewska Bedard, była jedną z ostatnich, które dotarły na kotwiczowisko. Widoczność była już wtedy fatalna, nic więc dziwnego, że doszło do kolizji z towarzyszącym jej Królewskim Czempionem i do utraty jednej z dziobowych kotwic. Zważywszy na późną porę i gęstniejącą ciemność, nakazano załodze szukać na własną rękę odpowiedniego miejsca na postój, więc kapitan popłynął jak najdalej się dało w głąb cieśniny i dopiero tam odważył się zrzucić jedyną ocalałą kotwicę. W rezultacie znalazł się na Południowym skraju kłębowiska okrętów, a także na jego Wschodnim krańcu, w odległości stu dwudziestu jardów od

następnej jednostki, którą był Paladyn. Będąc po zawietrznej Skalistego Haka, bardziej od innych okrętów cierpiał od uderzeń wiatru i fal. Nawet w tej chwili Królewska Bedard drżała mocno, jakby z obawy przed wichurą, kręcąc się wokół na jedynej kotwicy.

- Nie wiedziałem, Rozhyrze, że jesteś aż tak wierzący - rzucił w odpowiedzi na tę uwagę Nevyl Mairydyth.

Stał razem z Blaidynem, ukryty przed wiatrem i deszczem za forkasztelem, tuż przy sterburtowej zejściówce. Mairydyth pełnił na Królewskiej Bedard funkcję pierwszego oficera, a Blaidyn - który właśnie kończył wachtę przy kotwicy - był o stopień niższy. Przełożony miał go zmienić, przejmując obowiązki dyżurnego oficera, za niespełna dziesięć minut. Po tym czasie Blaidyn zamierzał zejść pod pokład, przekąsić coś szybko i zapaść choćby na kilka godzin w zasłużony sen.

- Po dniu takim jak ten? - Rozhyr skrzywił się, rzucając szybkie spojrzenie w stronę pierwszego. - Chyba każdy marynarz na pokładzie tej cholery galery jest teraz o wiele bardziej wierzący, niż był ostatniego ranka!

- Podsumowałeś to jak wielki wikariusz Erayk - zauważył nie bez ironii Mairydyth.

- A ty wolałbyś być teraz tam - zapytał Blaidyn, machając ręką w stronę przyboju ukrytego za ścianą mgiełki i deszczu - czy może raczej tutaj?

- Nie o to mi chodziło - sprostował pierwszy oficer. - Chciałem powiedzieć, że...

Nie dane mu było dokończyć tego zdania.

Pierwsi zauważyli je trzej wachtowi pilnujący kotwicy.

Nie postawiono ich na dziobie Królewskiej Bedard, by obserwowali okolicę, ich zadaniem było pilnowanie cumy i upewnianie się, że galera nie zaczyna dryfować ani że lina nie przeciera się podczas ruchu - a było to niezwykle ważne zadanie, ponieważ mieli tylko jedną kotwicę. Właściwy obserwator siedział teraz na bocianim gnieździe, ale nie przykładał się specjalnie do roboty, bo nie wierzył - jak chyba wszyscy na pokładzie tej galery - że zobaczy tutaj cokolwiek prócz wszechobecnych ciemności. Wszedł na maszt, ponieważ hrabia Thirsku rozkazał, aby wystawiono warty, ale przeklinał w duchu admirała za to, że musi tkwić tam bez powodu

0 chłódzie, głódzie i na dodatek w deszczu.

Był przemoknięty, przemarznięty do kości, wściekły i wykończony jak wszyscy na pokładzie. Jego organizm domagał się odpoczynku, i to naprawdę zdecydowanie. Skulił się więc za osłoną bocianiego gniazda, owijając się szczelnie nasmarowaną tłuszczem peleryną, i skoncentrował wyłącznie na tym, by dotrzeć do momentu, w którym zmiennik pozwoli mu zejść na dół i paść na koję.

Szczerze mówiąc, gdyby był czujny i wypoczęty, w taką pogodę miałby równie marne szanse na zobaczenie czegokolwiek prędzej niż wachtowi pilnujący kotwicy, nawet pomimo

lepszego punktu obserwacyjnego. Głównie dlatego, że płynący na czele szyku HMS Dreadnaught wygasił wszystkie latarnie pozycyjne prócz tych, które skierowane były do tyłu.

Pech chciał, że Królewska Bedard - podobnie jak wszystkie galery na kotwiczowisku i odwrotnie jak flagowiec Cayleba - miała zapalone wszystkie światła, począwszy od oświetlenia kotwic, przez lampiony na nadbudówkach, po oświetlenie zejściówek. Pod pokładami także płonęły światła, rozjaśniające kabiny oficerskie na rufach, wydobywające się na zewnątrz przez otwory na wiosła i uchylone włazy. Mimo ciemności

1 deszczu można ją było łatwo zauważyć.

Jeden z marynarzy pilnujących kotwicy wyprostował się nagle, zdziwiony wielkim cieniem, który przesłonił blask bijący z okien na rufie Paladyna stojącego na kotwicy na północ od ich pozycji.

- A to co takiego? - zapytał swoich towarzyszy.

- Jakie znowu: co? - mruknął z irytacją jeden z jego kompanów. Był przemoknięty, jak wszyscy, i dlatego mało skory do rozmowy.

- To! - rzucił ostrzejszym tonem pierwszy wachtowy, gdy cień zaczął się nagle materializować. - Wygląda jak...

[738]

[739]

Kapitan Gwylym Manthyr stał spokojnie przy nadburciu pokładu rufowego. Nikt się nie odzywał, cała załoga czekała w milczeniu, nieruchomo, przy stanowiskach bojowych. Kapitan wyczuwał obecność stojącego za jego plecami księcia, jego przybocznych i porucznika Athrawesa, ale koncentrował całą uwagę na ścianie deszczu, zza której prześwitywał blask z okien, latarni i włazów.

Nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że następca tronu bezbłędnie ich wprowadził w Cieśninę Skalistą mimo takiego sztormu. Kombinacja przyływu, prądów i porywistego wiatru doprowadziła morze do stanu wrzenia, ale kanał żeglugowy pomiędzy Skalistym Hakiem a wyspą Opal wciąż miał tę samą szerokość jak na starożytnych mapach. Jednakże była też zła strona tego medalu. Urwiste zbocza Skalistego Haka skradły na kilka minut wiatr wypełniający żagle Dreadnoughta, zmuszając go do dryfu, dopóki nie wyszedł z cienia tego szczytu.

Na węższym szlaku żeglugowym mogłoby dość do tragedii, ale Cayleb poprowadził ich tak, że przynajmniej w opinii Manthyra trafili bezbłędnie na sam środek głębokiego pasa. A teraz zamierzali zebrać owoce książęcej śmiałości.

Kapitan prychnął głośno, gdy zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech. Czyżby lękał się, że uspiiony wróg usłyszy, jak wypuszcza ze świstem powietrze z płuc? W taką pogodę, przy sztormie szalejącym poza wejściem do cieśniny? Rozbawiony tą myślą wykrzywił usta w parodii uśmiechu, ale prawdę powiedziawszy, coś w tym było. Jego okręt przekradał się właśnie skrajem kotwiczowiska i wpływał między zakotwiczoną najdalej na południe galerą a oddaloną od niej o zaledwie sto dwadzieścia jardów sąsiednią jednostką. Światła przy wyciągarce kotwicy na dziobie pierwszej z nich stały idealny znacznik dla kanonierów z bakburty. Druga była jeszcze bardziej widoczna, jej okna rufowe jaśniały takim blaskiem, że artylerzyści ze sterburty nie mogli chybić-

Jeszcze kilka sekund, pomyślał, unosząc rękę powoli, światom, że wszyscy dowódcy obsad kłęczący obok lawet tężeją na ten widok. Jeszcze., kilka...

- Ognia!

Jego prawa dłoń opadła, a ciemność nocy została rozdarta dwiema jednoczesnymi salwami burtowymi.

- Wygląda jak...

Temu marynarzowi także nie było dane dokończyć zdania. Trzydziestoosmioletni pocisk wyłonił się z języka ognia na wprost burty Królewskiej Bedard i wyjął przeraźliwie, rozerwał jego ciało, trafiając nieco powyżej pasa.

Nogi nieszczęśnika stały jeszcze przez moment, krew chlusnęła wokół, mieszając się z deszczem. Gdy moment później mięśnie zwiotczały i bezwładne kończyny opadły na pokład, rozległy się pierwsze krzyki.

- Ster na bakburtę! - wrzasnął Manthyr, gdy działa po oddaniu salwy zostały odepchnięte od burt, a obsady rzuciły się w ich kierunku z ładunkami i wyciorami. - Dajcie mi dwa rumby na sterburtę.

- Aye, aye. Jest dwa rumby na sterburtę, kapitanie!

- Przygotować rufową kotwicę!

Porucznik Blaidyn odskoczył do tyłu z przerażenia, gdy wyjący pocisk wbił się w dziób, przelatując przez forkasztel w asyście cyklonu zabójczych odłamków, by trafić w porucznika Mairydytha jak krwiożerczy demon. Pierwszy oficer został dosłownie zmieciony z pokładu, opryskując stojącego obok Blaidyna strumieniami gorącej, parującej krwi. Jego towarzysz doznał takiego szoku, że nie poczuł nawet potwornego bólu w zranionej prawej łydce.

Działa Dreadnoughta wypluły podwójną dawkę amunicji. Obsługi miały sporo czasu na przygotowania, więc upewniły się kilkakrotnie, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Do każdej lufy włożono nie jedną kulę, ale dwie i dodano jeszcze po kartaczu. Wprawdzie takie działania obniżały celność i nie były ze sobą ryzyko rozerwania albo zniekształcenia lufy, ale przy tak niewielkim dystansie od celu i nowiusieńkich armatach, zdolnych do wytrzymania znacznie większych obciążeń, ryzyko było niczym przy możliwości dokonania ogromnych zniszczeń.

Przy czterdziestu jardach odległości od celu kanonierzy Dreadnoughta czuli się jak na ćwiczeniach. Pudło w takich warunkach było teoretycznie możliwe, ale musieliby się sporo namęczyć, żeby nie trafić w cel.

Dwadzieścia siedem dział bez ostrzeżenia wyładowało swoją furję prosto w kadłub Królewskiej Bedard, nie dając bezbronnej galerze szans na obronę. Jej działa były zabezpieczone przed deszczem. Załoga, poza kilkoma wachtowymi, spała. Kapitan drzemał we własnej kajucie. Żołnierze nie mieli przy sobie broni ani pancerzy. Grad rozpalonej stali spadł na nich wszystkich zza ściany deszczu i wichury, niczym horda demonów, uderzając na całej długości kadłuba. Rzezi, którą spowodowały pociski, nie dałoby się opisać.

Paladyn znajdował się trzydzieści jardów dalej, mógł więc liczyć na to, że większa odległość zminimalizuje efekt pierwszej salwy. Niestety, jego jasno oświetlone okna rufowe były zbyt dobrym celem... dawały też znacznie mniej osłony niż grube, twarde burty Królewskiej Bedard. Niszczycielska salwa wbiła się w kadłub galery, siejąc śmierć i zniszczenie. Jeszcze nie umilkło echo wystrzałów, a już wszędzie było słychać jęki konających i krzyki rannych.

Niespodziewany huk wyrwał ze snu Lywysa Gahrdane- ra, hrabiego Thirsku. Skrzywił się, nie do końca jeszcze rozbudzony. Jego wciąż rozespany umysł zidentyfikował ten dźwięk

jako odgłos pioruna często towarzyszącego sztor- niom. nawet o wiele słabszym od tego, który szalał tej nocy nad Rafą Armagedonu.

Ale dźwięk ten powtórzył się moment później. I jeszcze raz.

Hrabia otworzył oczy... i znów usłyszał huk.

Dreadnought zareagował na ruch koła sterowego. Otoczony gęstym dymem po obustronnej salwie wykonał skręt na sterburłę, oddalając się od Królewskiej Bedard i sunąc wyłącznie pod topslami i bramslami w głąb kotwiczowiska. Jego smukła dziobnica wdzierała się pomiędzy galery Dohlaru niczym uniesiona lanca, a działa ze sterburty zagrzmiały znowu, gdy po skręcie ustawił się obok Paladyna. Galeon przepłynął pomiędzy celem a Archaniołem Schuelerem, kierując się na zachód od tej drugiej jednostki. Wszystkie galery zakotwiczono w taki sposób, by miały sporo miejsca do wykonywania szybkich zwrotów wokół rzuconych kotwic bez ryzyka kolizji, dzięki czemu Dreadnought mógł się poruszać pomiędzy nimi z dużą swobodą.

Kapitan Manthyr stał za sternikami, trzymając dłonie na ich ramionach, był tak blisko, że mógł im szeptać kolejne rozkazy prosto do uszu. Prowadził swój okręt z wielką ostrożnością, lokując każdą kolejną salwę w innej z zakotwiczonych galer, których wyrwane z głębokiego snu załogi nie wiedziały nawet, co się dzieje.

Za nim w głąb zgrupowania wrogich okrętów płynął HMS Niszczyciel i kolejno Zagrozenie, Obrona i Smok.

- Wszystkie ręce do kotwicy! - zawołał Manthyr.

- Przygotować się do zrzucenia żagli! - wrzasnął porucznik Sahdlyr przez skórzaną tubę w tym samym czasie, gdy midszypmen Kohrby przykucnął obok kotwicy rufowej.

- Rzucić rufową kotwicę! - rozkazał kapitan, a chłopak powtórzył jego słowa.

Kotwica zniknęła w spienionej wodzie, a podpięta do niej lina przebiegająca przez pokład sypialny wysunęła się przez furtę działową z taką szybkością, że aż zadymiała.

- Gejtawy puść! - zawołał Sahdlyr.

Oficerowie odpowiedzialni za każdy maszt powtórzyli jego rozkazy, a marynarze przy kabestanach natychmiast poluzowali podnośnice, opuszczając reje topsli, aby przestały nabierać wiatru. Sahdlyr przyglądał się uważnie, jak kolejni żeglarze natychmiast wybierają luźne gordingi i liki.

- Obrócić bomy na zawietrzną. Spiąć żagle!

Płótno zniknęło w jednej chwili, gdy stojący przy rejach marynarze sknagowali je i podwiązali do drzewc. Obsada pokładu dziobowego w tym samym czasie zajęła się kliwrami, zaraz po tym jak kotwica zaryła w dno cieśniny, zatrzymując okręt.

- Mocować szpring! - rozkazał Manthyr, a ludzie Kohrby'ego natychmiast podczepili przygotowany koniec liny do cumy przy furcie działowej.

- Wszystkie ręce do kabestanu rufowego! - zawołał kapitan, a wyznaczeni wcześniej członkowie załogi popędzili do wielkiego bębna, aby napiąć szpring.

Gdy zagrzmiały kolejne działa, hrabia Thirsku wypadł z kajuty prosto w deszcz, boso, tylko w spodniach. Wspiął się pośpiesznie po drabinie na szczyt kasztelu rufowego, ignorując strumienie lodowatej wody ściekającej po jego nagim torsie, i zamarł, spoglądając w niemym przerażeniu na odległe błyski rozświetlające ścianę deszczu.

Takiego widoku nie widział jeszcze żaden mieszkaniec Schronienia. Charisjańskie armaty ryczały i grzmiały, w otaczających cieśninę ciemnościach płomienie tryskające z ich luf wydawały się niezwykle długie i jasne. Chmury gęstego dymu unosiły się powoli w górę, cuchnąc jak ognie, na których smażyła się Shan-wei. Każdy wystrzał podświetlał chmury unoszącego się nad nimi dymu, sprawiając, że wyglądały jak pióropusz nad wybuchającym

właśnie wulkanem, i mrowie spadających z nieba kropel, które lśniły jego odbitą czerwienią niczym krwiste rubiny.

A on, hrabia Thirsku, nic na to nie mógł poradzić.

Królewska Bedard zachwiała się, gdy kolejny galeon - szósty, jeśli oszołomiony umysł Blaidyna potrafił dobrze zliczyć - przesunął się wolno za jej rufą, oddając salwę prosto w nieruchomy kadłub. Porucznik stał na szczycie drabiny wiodącej na forkasztel, na bakburcie - ta po przeciwnej stronie praktycznie przestała istnieć, podobnie jak maszt, którego ułomek sterczał teraz nie wyżej niż dziesięć stóp powyżej desek pokładu - tuląc się do relingu, by złapać równowagę. Odłamek otworzył jego prawą łydkę tak równo, jakby została przecięta mieczem. Czuł ściekającą mu do buta gorącą krew, ale ignorował ją, podobnie jak nie zwracał uwagi na lodowaty deszcz, skupiając się wyłącznie na zagrzewaniu marynarzy usiłujących załadować dwa dziobowe działa pomimo świszczących wokół kul.

Nagle poczuł swąd dymu. Bynajmniej nie prochowego, nieśionego z wiatrem od strony galeonów wroga, ale bardziej złowieszczonego. Tak śmierdziało palące się drewno.

Rozejrzał się wokół i zbladł zdjęty przerażeniem. Ścięty maszt padł pod kątem na pokład, zaścielając przemoczoną płótnem wszystkie luki i włazy śródokręcia. Z jednego z nich wydobywały się teraz kłęby dymu, przesączające się przez poszarpany takielunek i szczątki konstrukcji, gęstniejące w wielki słup podświetlany blaskiem płomieni pochłaniających gdzieś pod pokładem fragmenty rei i masztu.

Porucznik nie miał pojęcia, co się stało. Może stłukła się któraś z latarni oświetlających dolne pokłady, spryskując olejem ze zbiorniczka przesuszone drewno. Albo któryś z mine-rów zaproszył przypadkiem ogień, nieostrożnie obchodząc się z ładunkami. Chociaż źródłem pożaru mógł być równie dobrze żarzący się tampon wystrzelony razem z charisjańskim pociskiem.

To, jak doszło do zapłonu, najmniej się teraz liczyło. Prawdziwym wrogiem drewnianych okrętów nie było morze, tylko ogień. Budowane z sezonowanego drewna, malowane po obu stronach, uszczelniane lepikiem oraz smołowanymi sznurami przypominały przysłowiową beczkę prochu z wystającym lontem, nawet w taką pogodę. A na Królewskiej Bedard ktoś właśnie go podpalił.

W innych okolicznościach poradziliby sobie z takim pożarem, zdławiliby płomienie, dogasili żar. Ale nie w taką noc. nie pod ostrzałem. Nie wtedy, gdy kolejne kule przebijają się przez poszycie, rozszarpując bezbronnych marynarzy, którzy jeszcze nie zdążyli się otrząsnąć z głębokiego snu, a już trafili w sam środek koszmaru.

- Opuścić okręt! Opuścić okręt!

Blaidyn nie wiedział, kto krzyknął pierwszy, ale nie miał żadnych szans na powstrzymanie paniki, która wybuchła moment później. Nie widział zresztą sensu walki z nią, dlatego wspiał się na forkasztel i pokuśtykał do nadburcia. Spojrzał w dół i zacisnął szczęki. Szalupy galery zostały spuszczone na wodę zaraz po rzuceniu kotwicy. Marynarze skakali prosto w odmęty, walcząc ze wzburzonym morzem, pragnąc do-trzeć do jakże iluzorycznego schronienia.

Blaidyn oparł się o deski nadburcia. Jedna z obsad nadal usiłowała dokończyć nabijanie działa, porucznik pokuśtykał do nich i chwycił najbliższego stojącego marynarza za ramię.

- Zapomnijcie o tym! - zawołał. - Nie ma na to czasu! Skaczcie do wody, chłopaki!

Reszta kanonierów spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami. Ale nie namyślali się długo, moment później wszyscy byli już za burtą. Blaidyn patrzył za nimi przez chwilę, a potem omiół wzrokiem pokład, aby upewnić się, że wszyscy go opuścili albo zamierzają to zrobić.

Z luku zaczęły się już wydobywać płomienie. Czuł bijący od nich żar nawet w tak odległym miejscu, pomimo padającego deszczu. Choć bardzo się starał zamknąć uszy, wciąż słyszał przerażający skowyt uwieczonych pod pokładem, kołujących w ogniu ludzi. Nic już nie mógł dla nich zrobić, dlatego odwrócił się, by pójść w ślady obsługi działa... ale tu skończył się jego szlak - kula wystrzelona w ostatniej salwie trafiła go prosto w pierś. Czternaście minut później płomienie dotarły do magazynów prochu.

Co najmniej trzy galery stały już w ogniu, oświetlając, mimo gęstego deszczu, niemal całe kotwiczowisko. Merlin trzymał się za plecami Cayleba, na pokładzie rufowym wciąż strzelającego Dreadnoughta, i obserwował obraz przerażającego okrucieństwa i zniszczenia, jakiego nawet Nimue Alban, zaznajomiona przecież z bronią nuklearną, nigdy nie widziała. Okręt księcia już się nie poruszał. Może nie przypominał fortecy wyłaniającej się ze spienionego morza, ale stał w miejscu wystarczająco stabilnie, by jego kanonierzy nie mieli problemu przy oddawaniu kolejnych salw. Okręty stojące na kotwicach stanowiły łatwy cel nawet przy tak niesprzyjającej pogodzie. Członkowie obsad mogli też strzelać znacznie szybciej niż w ruchu. Ładowali i odpalali, ładowali i odpalali, zamieniając kolejne cele w stosy połamanego drewna.

Pomiędzy strzałami z luf unosiły się gęste smugi pary, syczące głośno, zanim rozpędziły je podmuchy porywistego wiatru. Odór eksplodującego prochu, spalonego drewna i topiącej się smoły docierał na pokład wraz z gęstymi kłębami nasiąkniętego wodną mgiełką dymu, który snując się nisko nad falami, rozrywany i rozganiany przez wiatr, połyskiwał złotem i czerwienią w blasku kolejnych salw i płonących okrętów.

Jedna z płonących galer sunęła wolno przed siebie, jej lina kotwiczna przegrała walkę z płomieniami. Wiatr spychał otoczony gorejącą koroną zniszczenia wrak w stronę Dreadnoughta - nie prosto na niego, ale wystarczająco blisko, by stał się dla niego zagrożeniem. Kapitan Manthyr dostrzegł to i rozkazał zakręcić kabestanem, aby napiąć bardziej cumę i obrócić kadłub sterburtą do płonącego wraku.

Był gotów na przecięcie cumy i postawienie żagli, gdyby zaszła taka konieczność, ale trzy pełne, szybko po sobie oddane salwy burtowe wystarczyły do wykończenia i tak już tonącej galery. Przewaliła się na burtę, wyrzucając w niebo gigantyczne kłęby syczącej pary, gdy woda zetknęła się z trawiącym ją ogniem, zaledwie sto pięćdziesiąt jardów od galeonu, budząc kolejne wiwaty w szeregach kanonierów. Królewska Bedard eksplodowała.

Gdy płomienie dotarły w końcu do magazynu prochu, eksplozja zagłuszyła wszystkie inne dźwięki rozlegające się nad polem bitwy, nawet huk charisjańskich dział. Olbrzymi rozbłysk w okamgnieniu pochłonął i wodną mgiełkę, i deszcz. Oświetlił nawet pokrywę nisko wiszących chmur, odbił się refleksem od zachodnich zboczy Skalistego Haka i posłał w niebo miriady rozżarzonych odłamków, które mknęły w górę niczym stęsknione za przestrzenią meteoryty.

Ogniki poszybowały wysoko, by opaść z powrotem łagodnym łukiem i zniknąć z sykiem w rozszalałym morzu albo rozbić się w kaskadach iskier o pokłady pobliskich galer i galeonów. Żeglarze w pośpiechu wyrzucali płonące szczątki za burtę, ale tu i ówdzie zdołały wzniecić niewielkie pożary, choć na szczęście przy takiej pogodzie, gdy fale często obmywały zmoczone deszczem pokłady, nie stanowiły one zbyt wielkiego zagrożenia.

Szaleńczy ostrzał umilkł jednak, jakby spektakularna zagłada wprawiła w osłupienie walczących po obu stronach marynarzy.

Ale cisza nie trwała dłużej niż dwie, może trzy minuty. Skończyła się rykiem dział, gdy kanonierzy Cayleba otworzyli ponownie ogień.

Hrabia Thirsku przyglądał się bezsilnie widowisku.

Nie miał pojęcia, jak długo sterczał na kasztelu rufowym Zatoki Gorath. Zdawało mu się, że spędził tam całą wieczność, chociaż nie mogło to trwać więcej niż dwie godziny. Może odrobinę dłużej. Ktoś zarzucił opończę na jego ramiona - ale nie miał pojęcia, kim był ten człowiek - skulił się więc pod nią, owijając szczelnie, i przyglądał się w milczeniu zagładzie swojej floty.

Charisjanie podzielili swoje siły na dwie, a może nawet trzy kolumny. Weszli głęboko w zakotwiczoną formację, strzelając bez litości, tak że gdziekolwiek hrabia teraz spojrzeł, widział krwistą poświatę, jaką otoczone były płonące w deszczu galery i prowadzące ogień galeony.

Nie docenił wroga. Nie był w stanie uwierzyć, że Cayleb podoła zadaniu wprowadzenia całej swojej eskadry w wąskie gardło cieśniny, nie dość, że ciemną nocą, to jeszcze w burzę, której mało brakowało do siły regularnego tajfunu. Nadal w to nie wierzył, mimo iż miał przed oczami dziesiątki wypalonych do linii wody i wciąż płonących dowodów.

Królewska Bedard wyleciała w powietrze i zatонуła, ale na powierzchni wzburzonego morza wciąż widział płomień bijące w niebo z sześciu innych galer, a kolejna stanęła w ogniu dokładnie w momencie, gdy przeniósł na nią wzrok. Spoglądał na płomień strzelające z jej luków, widział, jak liżą nasmołowany całun kadłuba, patrzył na podświetlone tym ogniem, wypełnione ludźmi szalupy ratunkowe, które desperacko walczyły z rozszałym żywiołem, aby odpłynąć jak najdalej od jeszcze większego niebezpieczeństwa. Z tego, co hrabia Thirsku pamiętał, Charisjanie nie oddali jeszcze ani jednego strzału do płonącej galery. Zaciśnął zęby tak mocno, że poczuł ból w napiętej skórze na policzkach, gdy uświadomił sobie, iż ogień został podłożony przez załogę, która wołała uciec w popłochu, niż podjąć walkę z wrogiem. Odwrócił wzrok od tego obrzydliwego widoku tylko po to, by ujrzeć, jak kolejna z nieuszkodzonych jeszcze galer wyląduje się z sztyku. Znajdowała się z dala od atakującego wroga, w tym samym rzędzie co flagowiec, na zachodnim krańcu kotwiczowiska. W chwili gdy wzrok hrabiego spoczął na niej, kierowała się już w stronę skalistych wybrzeży, a marynarze skakali z burty do płytkiej wody, by dostać się na plażę i zniknąć w mroku. Pragnął przekląć ich za ten akt tchórzostwa, ale nie potrafił. Czego innego mógł się spodziewać? Nadchodziła zagłada na wszystkich bez wyjątku. Wynurzyła się z mroków nocy, jakby jej sprawcą był demon, nie człowiek, ale czyż nie zakotwiczyla tuż przy brzegach Rify Armagedonu?

To chyba prawda, pomyślał. Te ziemie są przeklęte. Wszyscy marynarze, którzy pod nim służyli, znali opowieści o monumentalnym złu, jakie się tutaj zrodziło przed wiekami, i przerażającej zagładzie, która była tego efektem. A jeśli dodać do tego przerażenie tak nagłym atakiem, jego bezgraniczne okrucieństwo i kompletne zaskoczenie nieprzygotowanych na bój ludzi...

Kolejna galera stanęła w ogniu, podpalona przez własną załogę, inna ruszyła w stronę wybrzeża. I jeszcze jedna. Za nimi, w głębi kotwiczowiska, hrabia dostrzegł następne opuszczane bandery, na wielu masztach powiewały już symbole kapitulacji.

Przyglądał się temu wszystkiemu jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem ruszył w stronę burty. Zszedł po drabinie z kasztelu rufowego, stawiając ostrożnie każdy krok, jakby był starcem, otworzył drzwi kajuty i przestąpił przez jej próg.

VIII

HMS Dreadnought, Cieśnina Skalista, Rafa Armagedonu

W

Wysokość, przybył hrabia Thirsku - zaanonsował porucznik Falkhan, może nazbyt oficjalnym tonem, otwierając drzwi kajuty admirałkiej HMS Dreadnought- Cayleb oderwał wzrok od widoku pokrytego spienionymi falami morza w samą porę, by powitać wprowadzanego właśnie dowódcę wrogiej floty.

- Wasza wysokość - odezwał się hrabia Thirsku, skłaniając głowę.

- Mój panie — odpowiedział Cayleb.

Dohlarianin wyprostował się, a książę zmierzył jego oblicze uważnym wzrokiem. Starzec był przemoknięty do suchej nitki, co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na to, jak długą podróż odbył odsłoniętą łodzią. Wyglądał też na wy-czerpanego, ale wyraz jego twarzy sugerował, że nie chodzi tu tylko o zwykłe zmęczenie. Miał smutek w oczach - chociaż Cayleb podejrzewał, że zazwyczaj spojrzenie hrabiego musiało być harde, żeby nie powiedzieć: aroganckie - w nich naj-bardziej odbijał się ciężar poniesionej porażki. Ale było tam coś jeszcze i na tej podstawie następca tronu uznał, że Mer- lin miał jednak rację. Nawet tak twardy człowiek, jakim był bez wątplenia hrabia, nie zdołał oprzeć się destrukcyjnej au-rze Rify Armagedonu.

W świetle tego faktu ich poranna rozmowa robiła się jesz-cze bardziej interesująca.

- Przybywam, aby dopełnić aktu kapitulacji, oddając ci swój miecz, wasza wysokość - oświadczył hrabia Thirsku z takim trudem, jakby wypowiedzenie każdego słowa spra-wiało mu potworny ból. Opuścił lewą rękę, ale nie dotknął dłonią rękojeści miecza, tylko włożył palce pod jelec. Wycią-gnął ostrze z pochwy, ignorując czujne spojrzenia oczu Fal- khana i Merlina, i wysunął miecz przed siebie, rękojeścią w stronę Cayleba.

- Wiedz, książę, że jeszcze nikt nigdy nie odebrał mi mo-jego miecza - stwierdził, gdy palce następcy charisjańskie- go tronu znalazły się tuż nad jego bronią.

- Oto miecz człowieka, który powinien służyć lepszej spra-wie - odparł książę, zniżając głos.

Przyglądał się broni przez moment, potem oddał ją Fal- khanowi, a ten złożył ostrze hrabiego na admiralskim biurku.

Tymczasem Cayleb obserwował uważnie twarz pokonane-go przeciwnika, szukając na niej reakcji na wypowiedziany Przed momentem komentarz. Dostrzegł jedynie, że Dohla-rianin zacisnęła nieco mocniej wargi, czego nie można było uznać za aprobatę. Chwilę później wskazał hrabiemu jedno z krzeseł ustawionych naprzeciw siebie przy niewielkim stole.

- Usiądź, proszę, panie - powiedział.

Począł, aż hrabia Thirsku zajmie wskazane miejsce, potem sam usiadł po drugiej stronie, a Merlin i Falkhan, jak przystało na straż przyboczną, zajęli miejsca za jego ple-cami. Na lnianym obrusie stała karafka brandy. Następca tronu wczuł się w rolę gospodarza i nalał odrobinę burszty-nowego płynu do dwu szklaneczek. Jedną z nich zaoferował hrabiemu.

Admirał Dohlaru przyjął poczęstunek, zaczekał, aż Cay- leb uniesie swoją szklanicę, i dopiero wtedy ostrożnie po-ciągnął łyk brandy. Nie wypił jednak wszystkiego, odstawił szklanę na stół, a książę z krzywym uśmiechem na ustach poszedł moment później w jego ślady.

- Przybywam tutaj również, co zapewne wasza wysokość zdążył już wydedukować, aby omówić warunki, na jakich skapitulują resztki mojej floty - oświadczył hrabia Thirsku przygnębionym tonem.

Cayleb pokiwał głową i oparł się wygodniej.

Dziewiętnaście galer wroga zostało zatopionych bądź spło-nęło. Trzy kolejne zostały kompletnie zniszczone i tylko cudem utrzymywały się jeszcze na powierzchni wody.

Jede-naście odniosło poważne uszkodzenia, a dalsze osiem, właści-wie całkowicie sprawne, osiadło na mieliznach przy brzegu, po tym jak opuściły je załogi. Ocalała mniej więcej trzecia część floty Dohlaru, w tym wszystkie jednostki pomocnicze, ale Cayleb zapłacił wysoką cenę za to zwycięstwo.

HMS Smok znalazł się na kursie płonącej galery, po tym jak pękła jej nadpalona lina cumownicza. Prąd znosił ją pro-sto na galeon, którego załoga próbowała się ratować, odcina-jąc własne kotwice, ale i tak nie zdołała uciec na czas. Oba okręty zwały się w

ognistym uścisku i oba zostały strawione przez szalejący żywioł, w którym zniszczeniu uległy jeszcze dwie z zakotwiczonych w pobliżu galer hrabiego Thirsku.

Dwie trzecie załogi Smoka zginęły, w tym kapitan i wszyscy oficerowie prócz jednego porucznika, albo płonąc w eksplozji magazynu prochowego, albo tonąc w lodowatych odmętach cieśniny, zanim nadeszła pomoc.

Mimo tej straty dwadzieścia jeden galer, jakimi dysponował wciąż dohlariański admirał, nie miało najmniejszych szans. Dwanaście pozostałych galeonów Cayleba, zakotwiczonych w nierównym szeregu, blokowało im jedyną drogę ucieczki. A po tym, co pokazały podczas wcześniejszego ostrzału, nikt z ocalonych członków załóg - a nawet ich głównodowodzący - nie miał żadnych złudzeń co do tego, jak skończy się próba ataku na Charisjan albo ucieczki pomiędzy nimi na pełne morze.

- Nasze wymagania są bardzo proste - odpowiedział w końcu książę. - Oczekuję bezwarunkowej kapitulacji wszystkich jednostek znajdujących się na tym kotwiczowisku. Hrabia Thirsku skrzywił się boleśnie.

- Chciałbym zauważyć, wasza wysokość - powiedział moment później - że nie brak ci odpowiednich sił abordażowych, aby przejąć wszystkie moje okręty.

- To prawda - przyznał Cayleb, kiwając przy tym głową. - Tylko że wcale nie zamierzam zabierać ich ze sobą.

- Nie? - Hrabia spojrział na niego z ukosa. - Czy mogę zatem zakładać, że uwolnisz moje galery i ludzi?

- Nie możesz - oświadczył o wiele chłodniejszym tonem książę. - Twój władca wysłał swoją flotę, aby zaatakowała królestwo Charisu, mimo iż ten nie wypowiedział mu wojny - ciągnął tym samym, lodowatym tonem, świadom, że ma za swoimi plecami Merlina. - Charis nie uczynił też niczego, czym mógłby mu zagrozić albo go urazić. Nie wystosowano żadnych żądań ani nie oznajmiono, czym spowodowana jest ta nieuzasadniona agresja. Wręcz przeciwnie, wysłano ciebie, panie, i księcia Malikai, skrycie niczym zabójców, abyście wsparli siły sojuszu, który zdradziecko napadł na kraj odległy od waszych granic o sześć tysięcy mil. - W oczach hrabiego pojawiło się zaskoczenie, a nawet błysk gniewu na jadowity ton księcia, ale ten ostatni skwitował je Pogardliwym prychnięciem. - Ale nie byliśmy, mój panie, aż tak bardzo naiwni, jak sądziliście wy i wasi poplecznicy po-

[752]

[753]

śród Rycerzy Ziemi Świętych. Nasi agenci w Tarocie poznali wszystkie szczegóły waszego zdradzieckiego planu. Jakże inaczej moglibyśmy się dowiedzieć, których akwenów pilnować, by was odnaleźć? Możesz być pewien, hrabio, że Gorjah z Tarota zostanie ukarany za swoją zdradę równie surowo. Ważniejsze dla nas tutaj, w tej chwili, jest to, że twój władca, panie, zdradzając nas, udowodnił, iż również nie zasługuje na zaufanie, nie możemy więc zawierzyć słowu honoru danemu przez ciebie i twoich ludzi. Z tego też powodu, choć przykro mi to mówić, nie otrzymacie możliwości odpłynięcia w pokoju.

- W takiej sytuacji - wysyczał hrabia Thirsku przez zaciśnięte zęby - miej świadomość, wasza wysokość, że moi ludzie stawiają zdecydowany opór załogom przyzowym, które wyślesz, aby odebrały im okręty.

- Nie będzie żadnych załóg przyzowych, panie - poinformował go Cayleb. - Wasze galery zostaną spalone.

- Spalone? - zatchnął się przerażony hrabia. - Ale moi ludzie...

- Zostaniecie wysadzeni na brzeg - odparł Cayleb. - Pozostawimy wam narzędzia, dzięki którym będziecie mogli zapewnić sobie schronienie. Zachowacie także całe zapasy, jakie posiadacie na galerach i jednostkach pomocniczych. Nie pozwolimy wam jednak

zabrać żadnej broni prócz toporów i pił. Gdy znajdziecie się na lądzie, spalimy wszystkie okręty prócz jednego nieuzbrojonego statku z eskadry pomocniczej. Tę jednostkę ocalimy, abyście mogli pożeglować do Dohlaru z wiadomością dla waszego króla.

- Nie mówisz chyba poważnie! - Hrabia Thirsku spoglądał na niego z niewymownym przerażeniem. - Nie możesz wysadzić tylu bezbronnych ludzi na ląd i po prostu ich porzucić. Nie tutaj! Nie na Rafie Armagedonu!

- Mówię z absolutną powagą - odparł Cayleb bez cienia litości w głosie, wytrzymując spojrzenie starca i pozwalając mu dostrzec własną determinację. - To wy nas zaatakowaliście, panie. Nie możesz udawać, że nie wiedziałeś od samego początku o planach Rycerzy Ziemi Świątynnych zmierzających do unicestwienia mojego królestwa, jak i o tym, co stałoby się z poddanymi mojego ojca! Chcę i mogę wysadzić ciebie oraz twoich ludzi tam, gdzie mi się spodoba, a skoro wybrałem to miejsce, tu zostaniecie. Masz wybór: albo zaakceptujesz te warunki, albo wrócisz na swój okręt flagowy, by kontynuować walkę. Wiedz jednak, że jeśli wybierzesz to drugie rozwiązanie, nie będzie kolejnych rozmów o kapitulacji... i nikomu nie okazemy łaski.

Twarz stojącego za plecami Merlina przypominała maskę, nie wyrażającą żadnych uczuć. Usłyszał w stalowym głosie Cayleba ogromne zdecydowanie i modlił się w duszy, by hrabia również to zauważył. Warunki, które książę zaferował, zostały ustalone przez niego samego, mimo to Merlin nie czuł wielkiego zdziwienia, dowiadując się, co następca tronu zamierza zrobić z ocalałymi marynarzami Dohlaru. Poczul zimny dreszcz w krzyżu, dopiero gdy usłyszał, co się stanie z przeciwnikiem, jeśli hrabia odrzuci proponowane warunki. I hrabia Thirsku, widząc nieprzeniknione oblicze Cayleba Ahrmahka, musiał zrozumieć, że młody książę jest zdecydowany uczynić wszystko to, o czym przed chwilą mówił. I że zrobi to, co będzie musiał, choćby mu się to bardzo nie podobało.

- Wasza wysokość... - wychrypiął hrabia po bardzo długiej, dźwięczącej w uszach ciszy. - W całej historii nie było dowódcy, który by potraktował załogi poddających się okrętów w tak straszny sposób.

- Nie było? - Cayleb spojrział mu prosto w oczy i uśmiechnął się szeroko, ukazując rzędy doskonale białych zębów, których mógłby mu pozazdrościć nawet noszony w rodowym herbie kraken, i przemówił z lodowatą, zabójczą precyzją. - Może i masz rację, hrabio. Powiedz mi jednak, ilu admirałów przede mną dowiedziało się, że pięć królestw i księstw zawarło pakt, aby zniszczyć jego ojczyznę, mimo iż nie uczyli niczego, by im zagrozić? Który z nich miał świadomość, że wróg zamierza spalić i ograbić wszystkie miasta w jego ojczyźnie, wybić mężczyzn i pohańbić kobiety tylko dlatego, że ktoś wynajął go jak najzwyklejszego oprycha, którym zresztą się okazał? Już ci wspomniałem, że nasi agenci w Tarocie dowiedzieli się, co chodziło po głowach waszym mordercom, a honorowe warunki kapitulacji przysługują wyłącznie honorowym przeciwnikom, mój panie. Nikt nie proponuje ich podpalaczom, mordercom i gwałcicielom.

Hrabia Thirsku skrzywił się, twarz mu stężała i pobladła, ale okrutne słowa Cayleba trafiły tam gdzie trzeba. Błyski w jego oczach świadczyły, że nic, co właśnie usłyszał, nie było przesadą.

Następca charisjańskiego tronu pozwolił, by cisza przeciągnęła się znacznie dłużej, a potem podniósł wzrok i skierował go prosto na hrabiego Thirsku.

- Usłyszałeś, mój panie, warunki na jakich przyjmę kapitulację twoich załóg i okrętów. Zaakceptujesz je więc czy raczej odrzucisz?

Merlin stał razem z Caylebem na rufie, obserwując płynącą po wzburzonych wodach cieśninę łódź hrabiego.

- Ostro go potraktowałeś - zauważył sztuczny człowiek, który posiadał umysł Nimue Alban.

- Tak - przyznał książę. - Chyba byłem dość ostry. - Spojrzał Merlinowi prosto w oczy. - Uważasz, że potraktowałem go gorzej, niż na to zasługiwał? - zapytał. Athrawes wiedział, że to poważne pytanie, dlatego wolał się dobrze zastanowić, zanim odpowiedział.

- Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że faktycznie potraktowałeś go nieco gorzej, niż na to zasługiwał - odparł po chwili. - Aczkolwiek nie przeczę, że król Rahnyld zasłużył w pełni na wszystko, o czym wspomniałeś. Niemniej powinniśniesz rozważyć, czy karanie go z całą surowością, na jaką z pewnością zasługuje, nie będzie miało zbyt wielkich konsekwencji dyplomatycznych.

- Po tym co zrobiliśmy w odpowiedzi na jego ruchy, wątpię, aby moje słowa mogły w jakikolwiek sposób wpłynąć na zawarcie przez ojca albo Rayjhisa nowych traktatów pomiędzy naszymi krajami - stwierdził Cayleb, krzywiąc się mocno. - Gdyby nawet Rahnyld zapragnął puścić wszystko w niepamięć, choć znając go, szczerze w to wątpię, Clyn-tahn i reszta Grupy Czworka nigdy mu na to nie pozwolą. A Dohlar, w odróżnieniu od Charisu, znajduje się dosłownie u wrót Świątyni. Dlatego mogłem mu powiedzieć prosto w oczy, co o nim myślę.

- Jestem pewien, że dobrze się przy tym bawiłeś - odparł Merlin niewinnym głosem, prowokując wybuch śmiechu księcia.

- Tak, miałem całkiem niezły ubaw - zgodził się Cayleb. - Chociaż nie aż taki dobry, jak się spodziewałem. - Merlin zrobił wielkie oczy na te słowa następcy tronu. - Hrabia Thirsku z pewnością zrelacjonuje naszą rozmowę, gdy już dojrze do domu. A gdy to uczyni, Rahnyld wpadnie w bezgraniczną wściekłość. I zrobiłby to bez względu na to, jak dyplomatycznych słów użyłbym podczas naszej konwersacji. Ale oprócz tego wydarzą się jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, król uzna, że jako młody i zapalczywy mężczyzna pozwoliłem, by w gniewie „wymknęły” mi się słowa o naszych agentach w Tarocie. To powinno posłużyć za dodatkową zasłonę dla twoich „wizji”, Merlinie. Ale co chyba ważniejsze, Rahnyld, a nawet Grupa Czworka zaczną wierzyć, że Gorjah jest odpowiedzialny za wypuszczenie z rąk informacji, które pozwoliły nam na przechwycenie Południowej Floty. Mogą uznać, że albo uczynił to z rozmysłem, albo okazał się głupcem, a fakt, że jedynne okręty ocalałe po tej bitwie należą do Dohlaru, powinien przekonać jego przyjaciół, iż chodzi raczej o tę pierwszą możliwość: wszystko zostało z góry ukartowane. Sam powiedz, czy to nie przysporzy mu problemów? - Merlin, spoglądając na twarz rozradowanego Cayleba, ujrzał w nim odbicie jego ojca. - Po drugie - ciągnął tymczasem następcę tronu - to co przekazałem hrabiemu Thirsku, a on powtórzy Rahnyldowi, z pewnością wydostanie się na zewnątrz. A gdy do tego dojdzie, cała szlachta Dohlaru zacznie się nad tym zastanawiać. Bardzo możliwe, że pogłoski na ten temat rozejdą się także po innych domenach na Haven i w Howardzie, w efekcie czego Grupa Czworka będzie miała spory problem ze zorganizowaniem następnej krucjaty. Nie uda jej się przekonać kolejnych kandydatów na męczenników, że to „zwykła sprawa”. A gdy potencjalni kandydaci na łupieżców usłyszą, w jaki sposób ich postrzegamy i co się stanie z ich flotami, jeśli przegrają, z pewnością nie będą się palić do wyprawy. Merlin kiwał powoli głową. Wprawdzie nie zgadzał się z każdym wypowiedzianym przez Cayleba sądem, ale zyskał właśnie potwierdzenie stanowczości dziedzica tronu, którą przez cały czas w nim przeczuwał.

Książę miał też sporo racji, przynajmniej gdy chodziło o reperkusje tych wydarzeń dla Tarota i króla Gorjaha. Merlina martwiła druga strona medalu. To, że Grupa Czworka będzie mieć wielkie problemy ze zgromadzeniem sił na drugą wyprawę, nie ulegało wątpliwości, lecz nieprzejednana postawa Cayleba mogła spowodować analogiczną postawę przyszłych wrogów.

Ale czy może być jeszcze gorzej? - zastanowił się Merlin. Cayleb nie mylił się co do zamiarów Grupy Czworka względem Charisu. Czy można liczyć na to, że obawy hierarchów zostaną złagodzone po tym, jak ich siły zostały rozgromione?

- Cóż - odparł. - Dobre i to, że hrabia nie zdecydował się na podjęcie rękawicy.

- Tak - przyznał Cayleb. - A ty miałeś rację, kiedy sugerowałeś dzisiejszego ranka, żeby wysadzić jego ludzi na wyspie Opal, a nie na kontynencie. Ja chyba nie pomyślałbym o tym, że umieszczenie Dohlarian po drugiej stronie cieśniny ukości ich wszystkie lęki wiążące się z Rafą. Ale cieszy mnie, że hrabia uznał to za wystarczające zabezpieczenie i przystał na warunki, dzięki czemu nie będziemy ich musieli zabijać.

- A ja się cieszę, że mogłem ci posłużyć dobrą radą - stwierdził Merlin. - Powiedz mi jednak, jakie są twoje plany, skoro mamy już z głowy to zadanie?

- Cóż... - zaczął Cayleb, odwracając wzrok ku liczącej trzy tysiące mil kwadratowych wyspie Opal i jej stromym szczytom. - Wolałbym wracać od razu do domu, ale jeśli Tajfun jest naprawdę tak mocno pokiereszowany, powinniśmy zostać tutaj, dopóki nie uda się go naprawić. Kilka innych jednostek także zostało uszkodzonych, poza tym zużyliśmy mnóstwo kul i prochu. Musimy ściągnąć tu Podróżnika i Letni Księżyc, aby uzupełnić zapasy amunicji. Sądzę również, że przed spaleniem galer hrabiego Thirsku powinniśmy ogołocić je ze wszystkiego, co może nam się przydać, zwłaszcza części zamiennych, drewna, olinowania i płótna żaglowego, a potem pozostać na miejscu wystarczająco długo, by dokonać najpotrzebniejszych napraw.

- Czy to rozsądne? - zapytał Merlin, celowo obojętnym tonem.

- Przedyskutuję tę sprawę z Domyńczykiem i skorzystam z jego rad, rzecz jasna - odparł książę. - Aczkolwiek obawiam się, że nie mamy wielkiego wyboru. Nie możemy pozostawić jednego czy nawet dwóch najciężej uszkodzonych galeonów w pobliżu hrabiego Thirsku i tysięcy pragnących zemsty Dohlarian. Zatem albo spalimy je razem z przejętymi galeonami, co wbrew moim pragnieniom może się okazać najrozsądniejszym rozwiązaniem problemu, albo zostaniemy tu tak długo, aż zostaną naprawione i będziemy mogli zabrać je ze sobą. - Książę nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Nie podobają mi się żadne z tych rozwiązań, Merlinie, ale cokolwiek uczynimy, i tak pozostaniemy o cały miesiąc żeglugi od wybrzeży Charisu. Opóźnienie o pięćdziesiąt albo dwa dni zmieni znacznie termin naszego powrotu do domu. Zresztą, Hektor i Nahrman także nie spodziewają się przybycia księcia Malikai prędzej niż za miesiąc. Twoje wizje mówią, że oni sami mają problemy z trzymaniem się oryginalnego harmonogramu, więc nie będą specjalnie zdziwieni, jeśli siły Dohlaru i Tarota nie przybędą o czasie. Zwłaszcza że mają przed sobą tak długą drogę. Jeśli więc sir Domyńczyk nie przedstawi jakiegoś naprawdę ważnego argumentu, który umknął mojej uwagi, sądzę, że raczej dokonamy napraw na miejscu, zamiast liczyć na tylko nieco szybszy powrót do domu.

MARZEC ROKU PAŃSKIEGO 892

HMS Dreadnought, Rafa Armagedonu

M

Merlin, patrząc przez oczka hamaka, spoglądał na południowe wybrzeża wyspy Opal, przesuujące się wolno wzdłuż bakburty.

Szkuner Szpieg prowadził długą kolumnę charisjańskich okrętów, tnąc fale z wielką gracją tuż przed znacznie cięższymi i niezdarnymi galeonami. Słońce prażyło, jak to w lecie, z błękitnego nieba poznaczonego tylko gdzieś tam białymi cumulusami. Całe stado mew, maskonurów i morskich wyvern gnieźdzących się na zboczach Skalistego Haka krążyło wysoko nad masztami, pikując od czasu do czasu po zbożach. Łagodne fale przyboju rozбивały się o plażę Piaszczystej Wysepki, daleko za bakburtą, a niskie klify ciągnące się aż do Skalnej Łysiny wyznaczały granicę szlaku żeglugowego po drugiej stronie.

Chyba nie mogłoby być większego kontrastu, pomyślał Merlin, 2 warunkami, w jakich przybyliśmy do Cieśniny Skalistej.

- Nie powiem, abym żałował, iż odpływamy - stwierdził leżący obok niego Cayleb. Merlin odwrócił głowę, by spojrzeć na księcia.

Następca tronu miał na sobie tylko tunikę i zwykłe spodnie; pancerz i hełm, które nosił tamtej sztormowej nocy, zostawił w kajucie. Gładził się teraz dłonią po gołej głowie, spoglądając w stronę wyspy Opal.

- Zdajesz sobie sprawę, że to, czego tu dokonałeś, zostanie zapisane w annałach jako jedno z największych zwycięstw w historii wojen na morzu? - zapytał Merlin.

- Sądzę, że nie będzie w tym cienia przesady. - Książę wzruszył ramionami. - Chociaż jeśli spojrzeć na tę sprawę z innej strony... miałem nad nimi niezbyt uczciwą przewagę, Uśmiechnął się, podobnie jak Merlin.

- Trochę mi żal hrabiego Thirsku - odezwał się moment później Athrawes, poważniejąc. - Miałeś rację, kiedy mówiłeś, że jest godzien służyć lepszej sprawie.

- Miałby na to szanse, gdyby znalazł sobie lepszego władcę - odparł cierpko Cayleb. - Zaufaj mi. Coś wiem na ten temat.

- Z pewnością.

Merlin popatrzył raz jeszcze na lesiste stoki mijanej wyspy. Hrabia Thirsku i jego ludzie będą mieli godziwe warunki do życia, dopóki ktoś nie przyśle po nich statków, aby mogli powrócić do domu. Na Opalu znajdowało się wiele źródeł słodkiej wody, do tej chwili marynarze zdążyli wznieść liczne domy, pozostawiono im też wystarczającą ilość zaopatrzenia, aby przetrwali nawet do pół roku, także w wypadku gdyby nie zdołali niczego upolować ani złowić. Cayleb ugiął się nieco i pozwolił zostawić na plaży niewielki składzik zdobytych muszkietów i arbalet, gdy podnosili kotwice dziesięjszego ranka.

Co się stanie z hrabią Thirsku potem, to już zupełnie inna sprawa, pomyślał ponuro Merlin. Będzie najwyższym dowódcą floty Dohlaru, który powróci, doznawszy najbardziej miazdzącej porażki w historii swego królestwa, a sądząc po tym, co słyszałem o królu Rahnyldzie, spodziewam się, że raczej będzie szukał kozła ofiarnego, niż słuchał racjonalnych tłumaczeń.

Rozmyślał nad tą sprawą jeszcze przez dłuższą chwilę, potem odłożył przyszłość hrabiego Thirsku na bok i odwrócił głowę, by spojrzeć przez siatkę hamaka na rząd galeonów płynących za rufą Dreadnoughta.

Za odpływającą eskadrą snuły się wciąż widoczne kolumny dymu wydobywającego się z wraków ponad pięćdziesięciu spalonych galer. Idące w równym szyku galeony wygK" dały imponująco i dumnie. Kilka pięciodni poświęconych na naprawy wyeliminowało wszystkie uszkodzenia. Na masztach nad grotbramslami łopotały wielkie miotły. Cayleb roześmiał się na głos, gdy Merlin rzucił sugestię, aby je tam przymocować, i wyjaśniał stojącą za tym symbolikę, ale szybko się pohamował, gdy zrozumiał, że to naprawdę stosowny gest. Jego galeony naprawdę wymiotły wrogów Chari- su z morza.

Na ustach Merlina także pojawił się uśmiech, gdy powrócił myślami do tamtej chwili, ale zniknął równie szybko, gdy seijin wspomniał trzy utracone jednostki i poczuł wielki żal po stracie szkunera Wyuerna.

Nie miał pojęcia, co się z nim stało. Jednostka ta płynęła razem z innymi, walcząc z potęgą tajfunu, ale gdy SAPK-i pojawiły się po raz kolejny nad eskadrą, nie było po niej śladu. Merlin nie zdołał odnaleźć ani jednego rozbitka z dziećmi pięćdziesięcioosobowej załogi, nigdzie nie było też śladów katastrofy.

Drugą z utraconych jednostek był Smok, zniszczony w tak widowiskowy sposób w ostatniej fazie bitwy. Trzecią - HMS Błyskawica, jeden z przerobionych frachtowców przydzielonych do eskadry sir Domynyka, jak się okazało, znacznie poważniej uszkodzony podczas pierwszego starcia pod Skalnym Hakiem, niż Merlin z początku przypuszczał. Jednostka ta

zdołała wprawdzie dotrzeć do punktu zbornego na zawietrznej Wyspy Samuela, razem z pozostałymi galeonami Staynaira, ale nie przetrzymała dalszej podróży tamtej pamiętnej, burzliwej nocy. Na szczęście zdołano podjąć niemal całą jej załogę, zanim zatonała na otwartym morzu.

Naprawa Tajfuna zajęła niemal całe dwa pięciodnie, zgodnie z przewidywaniami Cayleba, ale w tym czasie postawiono na nim nowusienki maszt, a reszta eskadry także wykorzystwała dobrze dany jej czas. Dzięki źródłom na wyspie uzupełniono zapasy wody, zabrano sporo jedzenia ze zdobycznych jednostek, pobrano także amunicję i proch z Podróżnika 1 Letniego Księżyca. Wszystkie załogi dokonały także stosownych napraw własnych jednostek. Ocaleni marynarze ze Smoka i Błyskawicy zostali rozmieszczeni na tych okrętach eskadry, które poniosły największe straty w stanie osobowym, dzięki czemu wszystkie galeony osiągnęły pełną gotowość bojową.

- Chciałbym odpłynąć z tego miejsca wcześniej - mruknął Cayleb.

Książę mówił do siebie, ale słuch Merlina był tak wyczułony, że bez trudu wychwytał te słowa.

- Przecież to ty stwierdziłeś, że lepiej zostać dłużej i dokonać stosownych napraw - odparł Athrawes. - A Domynek poparł ten pomysł.

- Ale ty nie - stwierdził następca tronu, odwracając się i spoglądając seijinowi prosto w oczy. Lekki wietrzyk zmierzył mu przy tym włosy.

- Nie poparłem, ale się też nie sprzeciwiłem - odparł Merlin, wzruszając ramionami. - Miałeś rację, mówiąc, że to nie jest idealne rozwiązanie. Ktoś musiał jednak podjąć decyzję, a tak się składało, że byłeś jedynym następcą tronu w okolicy.

- Wiem. - Cayleb westchnął głośno. Przez moment wyglądał na dwa razy starszego niż w rzeczywistości, ale zaraz wziął się w garść i uśmiechnął krzywo. - Powiem ci, że bycie księciem ma swoje dobre strony. Ale przychodzą też takie momenty, że wcale cię to nie cieszy.

- Zauważyłem. Ale najważniejsze jest to, abyś zawsze pamiętał, iż ty jesteś osobą, która ma podejmować decyzje, a nie zawsze będziesz miał dość czasu, aby usiąść i wszystko sobie dobrze przemyśleć. I nie zapominaj, że ludzie, którzy skrytykują twoje decyzje, będą spoglądać z zupełnie innego punktu widzenia. Zazwyczaj wygłaszając swoje sądy, siedząc w zaciszu domu, po długich rozważaniach i mając do dyspozycji o wiele więcej danych niż ty, co pozwoli im na dokonanie drobiazgowej oceny popełnionych przez ciebie błędów.

- Powtarzasz tylko to, o czym kiedyś wspominał mi już ojciec - przyznał Cayleb.

- Istnieje też druga strona tego medalu. Jeśli podejmiesz właściwą decyzję, jak choćby tę o wpłynięciu do Cieśniny Skalistej, wszystkie zasługi zostaną przypisane wyłącznie tobie. - Merlin wyszczerzył się w uśmiechu. - Pomyśl tylko, właśnie zostałeś militarnym geniuszem!

- No tak. - Książę przewrócił oczami. - Już widzę ojca, jak sprowadza mnie na ziemię, jeśli za bardzo w to uwierzę.

11

Zatoka Eraystorska, Księstwo Szmaragdu

C

óó takiego ważnego się stało, że musisz mnie wyciągać z łóża w samym środku nocy? -

zapytał poirytowany książę Czarnej Wody, usiłując włożyć na siebie lekką szatę, jednocześnie nie spuszczać wzroku z Tohmysa Bahrmyna, barona Białego Zamku.

Baron podniósł się z krzesła stojącego w kajucie admirałskiej, widząc, że książę opuszcza swoją sypialnię. Głównodowodzący połączonych flot spał nie dłużej niż trzy godziny, tyle czasu upłynęło bowiem od zakończenia kolejnej burzliwej narady - czy raczej ostrej dyskusji - z niechętnymi sprzymierzeńcami.

To powinno tłumaczyć brak dobrego humoru księcia.

- Wybacz, wasza łaskawość, że zakłócam ci spokój - odezwał się baron Białego Zamku, gnąc posłusznie kark. - Mnie mam jednak, że wiadomość, którą ci przynoszę, należy do gatunku tych nie cierpiących zwłoki.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - warknął książę Czarnej Wody, zachęcając barona do zajęcia miejsca na krześle.

Pstryknął przy tym palcami, a w drzwiach jak za sprawą magii pojawił się sługa niosący na srebrnej tacy karafkę brandy i dwie szklanki. Nalał złocistego płynu do obu, podał je szlachetnie urodzonym oficerom i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Dobrze - mruknął książę Czarnej Wody już nieco mniej opryskliwym tonem, odkładając w połowie opróżnioną szklanicę. - Mów, co cię do mnie sprowadza.

- Oczywiście, wasza łaskawość. - Baron Białego Zamku pochylił się do przodu, trzymając wciąż pełne naczynie w obu dłoniach. - Jak zapewne wiesz, przebywam w Szmaragdzie od lat, piastując urząd ambasadora naszego księcia. W tym czasie Hektor dbał, abym nie miał pojęcia o działaniach szpiegowskich, jakie podejmował tutaj hrabia Corisus...

- Przerwał na moment, a książę skrzywił się i ponaglił go gestem ręki. W jego oczach baron dostrzegł pierwsze ogniaki zainteresowania. - Ta sytuacja właśnie uległa zmianie. Tego wieczoru, niespełna dwie godziny temu, skontaktował się ze mną pewien człowiek, którego nigdy wcześniej na oczy nie widziałem, i podał mi wszystkie hasła do...

- Wszystkie hasła? - przerwał mu książę Czarnej Wody.

- Tak, wasza łaskawość. - Jeśli nagle wtrącenie księcia poirytowało barona, nie dał tego po sobie poznać. - Gdy udałem się po raz pierwszy do stolicy Szmaragdu, otrzymałem zalakowaną kopertę, którą kazano mi otworzyć w ściśle określonej sytuacji. Zawierała ona zbiór haseł, które były znane wyłącznie najlepszym agentom hrabiego Corisu. - Książę chłonał każde słowo padające z ust rozmówcy, nachylił się nawet ku niemu, opierając łokieć na stojącym obok stoliku. - Człowiek, który się do mnie zgłosił, został umieszczony w stocznich Tellesbergu ponad dwanaście lat temu, wasza łaskawość. Nikt o nim nie wiedział, pozostawał poza siatką agentów w Charisie. Żaden z agentów hrabiego Corisu nie miał pojęcia o jego istnieniu. Jego zadaniem, jedynym, jakie mu powierzono, było sprawianie wrażenia lojalnego obywatela Korony, który stara się o pracę w stocznich królewskich, zanim wybuchnie wojna pomiędzy Corisandem a Charisem. Hrabia zapewne uważał, że w razie wojny utraci kontakt z większością agentów, i traktował tego człowieka jako polisę ubezpieczeniową na taki wypadek.

Baron zamilkł raz jeszcze, a książę skinął głową.

- Mów dalej - zażądał. - Zapewniam cię, że słucham z uwagą.

- Wierzę ci, wasza łaskawość. - Baron pozwolił sobie w końcu na cień uśmiechu, ale natychmiast spoważniał.

- Zdaje się, że ludzie barona Gromu wiedzieli znacznie więcej o oficjalnych agentach hrabiego Corisu w Charisie, niż nam się wydawało. Zdaje się też, że dowiedzieli się tego nieco wcześniej, niż zakładaliśmy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ, wasza łaskawość, już w październiku aresztowali, czyniąc to z wielką dyskrecją, wszystkich zagranicznych agentów działających w Tellesbergu i na terenie całego królestwa.

- W październiku?

- Tak, wasza łaskawość. Wynika z tego, że wiedzieli o części naszych przygotowań znacznie wcześniej, niż sądziliśmy do tej pory. Zdaje się, że to prawdziwy powód milczenia agentów hrabiego Corisu.

- Ale pominieli tego człowieka, ponieważ reszta agentów nie miała o nim pojęcia - stwierdził książę Czarnej Wody, powoli cedząc słowa.

- Na to wygląda, wasza łaskawość.

- Jak się domyślam - nagle wzrok księcia się wystrzył - nie przybył do ciebie tylko po to, aby oznajmić, że trzy miesiące temu aresztowano resztę naszych agentów. Mów zatem, baronie, co cię przygnało w moje progi o tak późnej porze.

- W zasadzie, wasza łaskawość, ten człowiek dobijał się do mnie już od dwóch miesięcy, wydostanie się bowiem z Charisu nie jest dzisiaj łatwą sprawą. Gwardia i armia obstawiły wszystkie szlaki wiodące przez Gardziel i wokół wyspy Zamek, lżej uzbrojone patrole krążą także po Morzu Charisjańskim na północ od Zatoki Skalistej Mielizny. Musiał podróżować łodem, aby ominąć Gardziel, potem znalazł przemytników, którzy zgodzili się na przewiezienie go do Szmaragdu. Prawdę powiedziawszy, podjął aż trzy takie próby, ponieważ wspomniani przemytnicy dwukrotnie zawracali, widząc na horyzoncie charisjańskie szkunery. Masz jednak rację, mówiąc, że nie przybył tutaj z niczym. Przyniósł mi wiadomość, że wszystkie galeony Charisu opuściły porty w połowie października, a dowodził nimi sam następca tronu, księżę Cayleb.

- Co takiego? - Księżę Czarnej Wody aż zamrugnął z zaskoczenia, potem zmierzył ambasadora pogardliwym spojrzeniem. - To niedorzeczne! Nasi zwiadowcy widzieli ich topsle za galerami Haarahlda!

- Jeśli wierzyć słowom tego człowieka, wasza łaskawość, to nie były te galeony - stwierdził baron Białego Zamku. - Nasz agent pracował jako jeden z dostawców obsługujących królewskie doki w stoczniach Tellesbergu od ponad pięciu lat. Zgodnie z tym co usłyszał od zaprzyjaźnionych marynarzy, wszystkie galeony, a było ich nie mniej niż trzydzieści, zostały uzbrojone w wielkim pośpiechu i opuściły kotwiczowiska obok wyspy Zamek na kilka pięciodni przed twoim przybyciem do Zatoki Eraystorskiej. Co więcej - dodał baron - jego źródła twierdzą też, że Charisjanie nadal nie rozpoczęli prac nad galerami trzymanymi w rezerwie. Ale to jeszcze nie wszystko. Król Haarahld wynajął w niewiadomym celu kilka tuzinów galeonów pływających pod kupieckimi banderami. Nasz agent nie był w stanie potwierdzić tej ostatniej plotki, ale widział na własne oczy, jak unieruchomione przez wojnę frachtowce opuszczały Tellesberg pod królewską banderą. I nikt nie wie, gdzie się podziały.

Księżę zacisnął mocno szczęki. Czy to możliwe?

- Powiadasz, że wypłynęły w październiku. Czy twój agent wie, dokąd się udały?

- Nie - przyznał baron Białego Zamku.

- Nie mogły przecież opuścić portu, płynąc w stronę dal - stwierdził księżę Czarnej Wody w zamyśleniu. - Zastanawiam się...

Wbił wzrok w pokład, drapiąc się po szczęce, potem pokręcił głową i spojrzał baronowi prosto w oczy.

- Zakładaliśmy, że Haarahld dowiedział się o wszystkim tuż przed tym, jak tutaj przyplłynęliśmy. Ale skoro wysłał te galeony w morze, musiał się czegoś domyślić już znacznie wcześniej, kto wie, czy nie poznał planów Rycerzy Ziemi Świętych w tym samym czasie co my. Na pewno nie wytej wiedzy od swoich agentów w Corisandzie. Nikt nie dostarczyłby mu wieści z Manchyru w tak krótkim czasie. Nie mógł się także dowiedzieć niczego w Szmaragdzie, Nahrman bowiem poznał nasze plany jako ostatni, jako że zatonął statek z wieściami dla niego. Zatem jedynym źródłem przecieku mógł być Tarot.

Ambasador krzywił się przez moment, najwyraźniej analizując tok myślenia księcia, potem skinął głową.

- Wydaje mi się, że masz rację, wasza łaskawość. Ale jak wiele mógł się dowiedzieć w Tarocie?

- Na to pytanie nie umiem ci odpowiedzieć - przyznał księżę Czarnej Wody. - Gorjah musiał poznać zarys planu i naszych posunięć, ponieważ miał skoordynować swoje ruchy z naszymi. Nie mam jednak pojęcia, co mu powiedziano na temat naszych planów. Ale -

zaczynał na moment warćgi - to nie ma większego znaczenia. Zwłaszcza jeśli galeony Haarahlda opuściły kotwicowiska w połowie października, a kupieckie statki mamili naszych zwiadowców, i mnie przy okazji, udając, że są wciąż przy flocie króla.

- Wasza łaskawość? - Baron Białego Zamku wyglądał na tak skonfundowanego, że książe nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- Posłał te galeony tam, gdzie jego galery nie mogły popłynąć - powiedział. - A jeśli dowiedział się od swoich agentów w Tarocie, co się święci, znam tylko jeden powód posłania ich tak daleko, że do tej pory nie powróciły. - Książe pokręcił głową z wyraźnym rozbawieniem, jeśli nie podziwem. - Wóz albo przewóz - dodał. - Wysłał wszystkie galeony i swojego dziedzica, by przechwycić floty Tarota i Dohla-ru. Nie ma ich więc teraz tutaj, nie chronią Zatoki Skalistej Mielizny. Przebywają z Caylebem gdzieś na Morzu Parke-rra albo Sprawiedliwości, w zależności od tego, jak dokładne wiadomości zdobyli jego szpiedzy, mając nadzieję na odnalezienie księcia Malikai i powstrzymanie go przed przybyciem tutaj.

- To nie... - zaczął baron, ale natychmiast zamilkł. Po-tem odchrząknął głośno. - Chciałem powiedzieć, że to bar- dzo ryzykowne posunięcie, jak na tak rozsądnego człowie-ka, wasza łaskawość.

- Powiedziałbym nawet, że kompletnie szalone - stwier-dził książe Czarnej Wody. - Ale to jedyne wytłumaczenie, gdzie te galony mogły przebywać tak długo. I... Znów zawiesił głos, a twarz mu poszarzała.

- Wasza łaskawość? - odezwał się cichutko baron po dłuż-szej chwili.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że istnieje tylko jedno miejsce, w którym miałyby szanse na przechwycenie obu tych flot. - Usta księcia Czarnej Wody wykrzywiły się w parodii uśmiechu. - Jeśli jego agenci w Tarocie byli naprawdę dobrzy albo ktoś wysoko postawiony rozmyślnie przekazał mu infor-macje, mógł poznać lokalizację punktu zbornego, w którym Tarotczycy oczekiwali na Dohlarian.

- Czy wasza łaskawość sugeruje, że sam Gorjah mógł to zdradzić Charisjanom? - zapytał bardzo ostrożnie baron Białego Zamku.

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł się książe. - Na pierw-szy rzut oka nie ma żadnych powodów, dla których mógłby uczynić coś takiego, zwłaszcza że ściągałby sobie na głowę gniew wikariusza Zahmsyna i wielkiego inkwizytora! Ale to wcale nie oznacza, że ktoś wysoko postawiony z jego oto-czenia nie mógł dopuścić się zdrady. - Admirał po raz kolej-ny wbił wzrok w pokład, a potem wzdrygnął się nagle. - Być może nigdy nie poznamy odpowiedzi na to pytanie. Ale je-żeli raport twojego człowieka nie kłamie, liczy się tylko to, że od opanowania Zatoki Skalistej Mielizny dzieli nas tyl-ko osiemdziesiąt galer Haarahlda. Jeśli je pokonamy i zaj-miemy tę wyspę, nie tylko zyskamy sposobność obrony przed tymi galeonami, jeśli kiedykolwiek powrócą, ale także okazję do wysadzenia desantu, który zajmie Klucze od strony lądu.

- O ile Charisjanie naprawdę nie przygotowali swoich re-zerwowych galer do walki - przypomniał mu baron.

Książe Czarnej Wody prychnął z pogardą.

- Skoro uznaliśmy już, że ten szpieg jest kompetentny i ryzykujemy wiarę w jego zapewnienia o wypłynięciu gale-onów, dlaczego mielibyśmy podważać wiarygodność infor-macji o galerach? - Książe Czarnej Wody wzruszył ramionami. - prawdę powiedziawszy, nie zaobserwowaliśmy nawet śladu rezerwowych galer Charisu. Do tej pory szczerze wątpiłem w to, że kompletując załogi galeonów, jednocześnie ogołocili z ludzi galery, ale dzisiaj uznaję to domniemanie za pewnik.

- Co masz zamiar uczynić z tą wiedzą, wasza łaskawość? - zapytał baron Białego Zamku. Książe spojrział na niego zna-cząco, zmuszając do opuszczenia wzroku. - Jestem

tylko skromnym ambasadorem księcia Hektora, wasza łaskawość. Jeśli twój plan będzie wymagał pomocy księcia Nahrmahna, spróbuję go do tego nakłonić.

- Doskonale - ucieszył się książę Czarnej Wody. - Ale moja decyzja będzie zależała od wyniku rozmów z naszymi sprzymierzeńcami.

111

HMS Dreadnought, Kocioł

K

książę Cayleb zerwał się z miniaturowej koi, rozpiętej pomiędzy wystającymi wręgami, słysząc, jak ktoś łomocze w drzwi jego kajuty sypialnej.

- Czego tam? - zawołał, przecierając oczy, zanim wyjrzał prosto w gorącą noc, za otwarte na oścież okno rufowe. Książę nie wstał jeszcze, co oznaczało, że nie przespał nawet jednej godziny.

- Wybacz, że cię budzę, Caylebie - usłyszał donośny głos - ale musimy pilnie porozmawiać.

- Merlin? - Książę przerzucił nogi przez krawędź łóżka i zeskoczył na pokład. Usłyszał w głosie seijina ton, jakiego jeszcze nie znał. Dlatego podbiegł do drzwi dwoma długimi susami i otworzył je szeroko. - O co chodzi? Co się dzieje?

[772]

[773]

- Czy mogę wejść?

- Słucham? - zdziwił się Cayleb, ale zaraz uśmiechnął się do siebie. Tak szybko otworzył drzwi, że zapomniał się ubrać. A w taką noc jak ta miał w zwyczaju spać nago, cofnął się więc, chichocząc pomimo niepokoju, w jaki wprowadziły go słowa Merlina.

- Oczywiście, że możesz - powiedział.

- Dziękuję.

Merlin minął sierżanta Faircastera, stojącego na straży przy drzwiach kajuty następcy tronu, pochylił głowę, by nie uderzyć w którąś z belek w powale, i zamknął za sobą drzwi.

- O co chodzi? - zapytał ponownie Cayleb, odwracając się, by podnieść tunikę, którą rzucił w kąt kajuty wieczorem, po czym zaczął ją wciągać przez głowę.

- Miałem... wizję - stwierdził seijin takim tonem, że młody następca tronu natychmiast się odwrócił i wskazał dłonią na krzesło.

- Jakiego rodzaju wizję?

- Wizję księcia Czarnej Wody w Zatoce Eraystorskiej - wyjaśnił Merlin, siadając tam, gdzie wskazał książę. - Zda się, że Bynzhamyn i ja pominęliśmy co najmniej jednego szpiega Hektora, który właśnie dotarł do Szmaragdu i zameldował, że...

- ...i tak to mniej więcej wygląda - zakończył Merlin kilka minut później z niewesołą miną.

Cayleb siedział na skraju koi z zastygłą w maskę twarzą, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

- Co twoim zdaniem uczyni teraz książę? - zapytał moment później, a seijin pokręcił głową.

- Myślę, że słusznie uznał, iż jego ruchy będą uzależnione od rozmów z sojusznikami. Wiem tylko tyle, że Corisand zdołał wysłać w morze wszystkie galery z rezerwy. Szmaragd ma już ponad sześćdziesiąt galer w czynnej służbie, a bez względu na to, co kombinują Sharleyan, Sandyr i hrabia z Sharpfieldu, książę wymusi na nich sprowadzenie co najmniej dwudziestu kolejnych galer do Zatoki Eraystorskiej. A to daje im, jeśli nawet wliczymy straty zadane siłom Południowej Floty przez Bryahna i twojego ojca, sto osiemdziesiąt jednostek

przeciw osiemdziesięciu, jakimi dysponuje Haraald. A raczej siedemdziesięciu sześciu, jeśli odliczymy te cztery, które utracił w zeszłym pięciodniu przy Cyplu Korony.

- Co daje stosunek sił dwa do jednego - mruknął Cayleb.

- A skoro księżę Czarnej Wody wie - dodał Merlin - albo tylko podejrzewa, iż jesteśmy daleko od wód terytorialnych Charisu, z pewnością poczuje pokusę, aby uderzyć jak naj-szybciej, zanim wrócimy. O ile zdoła do tego namówić swoich sprzymierzeńców.

- Co potrwa minimum piętnaście dni, jeśli utrzymają się pomyślne wiatry - podliczył Cayleb. - Całe trzy pięciod- nie. - Uderzył prawą pięścią w lewą dłoń. - A niech to! Po-winienem ruszyć do domu bez tracenia czasu na naprawy!

- Pamiętaj, co ci mówiłem o wiedzy nabytej po fakcie - powiedział Merlin, a księżę natychmiast podniósł na niego wzrok. - Podjąłeś decyzję. Nie miałeś pojęcia, co wydarzy się w przyszłości. Teraz musisz skupić się na tym, co uczynić w następnej kolejności, zostawiając za sobą to, co już zrobi-liśmy.

- Co ja zrobiłem - poprawił go księżę z goryczą w głosie. Moment później wyprostował ramiona i westchnął głośno. — Ale masz rację. Problem w tym, że nie możemy wiele zrobić. Merlin myślał usilnie nad sensowną odpowiedzią, ale nie znalazł żadnych słów. Galeony mknęły z maksymalną prędkością, wyciągając niemal dziesięć węzłów dzięki pomyślnym wschodnim północno-wschodnim wiatrom, na jakie trafili, wpływając na Kocioł. Mogli wprawdzie wycisnąć jeszcze trochę z niektórych okrętów, ale przerobione frachtowce o bardzo pojemnych kadłubach by temu nie podołały. Były krótsze i bardziej pękate od galeonów wojennych, zwłaszcza tych zaprojektowanych przez sir Olyvyra, jak na przykład Dread-nought. Już teraz szły na pełnych żaglach, aby dotrzymać kroku najnowszym konstrukcjom. Jeśli eskadra Cayleba przyspieszy, uzyska tylko tyle, że osłabi znacznie swoje siły, pozostawiając część jednostek za sobą. Może zyskać za-ledwie dzień lub dwa, jeśli okoliczności i wiatry będą sprzy. jające.

- Gdyby tylko ojciec mógł o tym wiedzieć - wyszeptał do siebie księżę, uderzając rytmicznie pięścią o dłoń, tym ra-żem jednak znacznie łagodniej. - Gdyby...

Nagle jego ręce zamarły. Uniósł głowę i spojrzał uważ-nie na Merlina, pomimo półmroku panującego w kajucie sypialnej.

- Możesz go o tym powiadomić? - zapytał ściszym głó-sem, sprawiając, że seijin zamarł.

Przyglądał się młodemu księciu siedzącemu na skraju koi, a wir myśli kłębiących się w jego głowie zniknął jak zdmuch-nięty płomyk.

- Caylebie, ja... - zaczął, ale zaraz zamilkł.

Jak wiele prawdy zdoła znieść następca tronu? Księżę wie-dział już znacznie więcej, niż Athrawes chciałby mu zdradzić z własnej woli, ale gdzie były granice otwartości umysłu Cayleba? Mógł pół żartem, pół serio nazywać Merlina swoim „ma-giem”, tak jak zaakceptował jego nadludzką siłę i wizje. Był w stanie rozpoznać prawdziwe przyczyny konfliktu pomiędzy Koroną a skorumpowaną hierarchią Świątyni. Ale pozostawał mieszkańcem Schronienia, dzieckiem Kościoła Boga Oczekiwanego, co nie pozostawało bez wpływu na jego zde-cydowany sprzeciw wobec korupcji szerzącej się wśród kleru. Od urodzenia wpajano mu, że Shan-wei była matką wszelkie-go zła, a anioły jej służące upadły, zamieniając się w demo-ny pragnące tylko tego, by poprowadzić ludzkość w wieczne zatracenie ścieżką zakazanej wiedzy.

- Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź na to pytanie? - odezwał się Merlin po dłuższej chwili milczenia. Księżę na-tychmiast otworzył usta, ale seijin uciszył go, unosząc dłoń. - Pomyśl najpierw, Caylebie! Jeśli zadasz to pytanie, a ja na nie odpowiem, nie będziemy mogli cofnąć czasu.

Następca tronu spoglądał mu w oczy nie dłużej niż trzy uderzenia serca, potem skinął głową.

- Chcę, abys odpowiedział na moje pytanie — stwierdził stanowczo.

- Niech tak będzie - odparł Merlin równie zdecydowanym tonem. - Mogę to uczynić. - Twarz księcia rozjaśniła się natychmiast, ale seijin uprzedził jego słowa, dodając: - Mogę sprawić, że twój ojciec dowie się o wszystkim jeszcze tej nocy, mimo iż znajduje się tysiące mil od nas, ale będę musiał udać się do niego osobiście.

Cayleb natychmiast zacisnął szczęki.

W kajucie raz jeszcze zapanowała grobowa cisza. Napięta, dźwięcząca w uszach, potęgowana przez dochodzące z zewnątrz, stłumione odgłosy wody opływającej kadłub, bulgot dobiegający przez otwarte okno, gdy poruszano sterem, oraz skrzypienie otaczającego ich drewna i takielunku.

- Możesz udać się do niego? - zapytał w końcu Cayleb.

- Tak - odparł seijin i westchnął.

- Zatem jesteś jednak demonem, Merlinie - stwierdził książę, spoglądając mu prosto w oczy.

- Nie - zaprzeczył Merlin, nie opuszczając wzroku. - Nie jestem demonem, Caylebie. Ale nie jestem też aniołem. Już ci to raz wyjaśniałem, wtedy w Zatoce Królewskiej. Jestem. . - Pokręcił głową ze smutkiem. - Kiedy powiedziałem, że nie mogę ci tego wyjaśnić, nie kłamałem. Nie potrafiłem tego zrobić. Żeby to zrozumieć, musiałbyś posiadać wiedzę, której nie możesz mieć.

Cayleb przyglądał mu się w milczeniu przez kolejne, boleśnie długie piętnaście sekund, mrużąc oczy, a potem odezwał się znowu, ale naprawdę cicho.

- Czy ta wiedza naruszyłaby treść Zakazów? - zapytał.

- Tak - odparł Merlin krótko. Gdyby był istotą z krwi i kości, pewnie wstrzymałby teraz oddech.

Cayleb Ahrmahk siedział nieruchomo, przyglądając się człowiekowi, którego miał za przyjaciela. Siedział tak naprawdę długo, a potem wziął się w końcu w garść.

- Jak mogłeś twierdzić, że służysz Światłu, skoro nawet twoje istnienie narusza treść Zakazów?

- Jak już kiedyś wspomniałem, Caylebie - odparł Merlin - nigdy cię nie okłamię. Nawet wtedy, gdy nie będę mógł wyjawić całej prawdy. Dzisiaj także nie mam zamiaru kłamać. I chociaż są rzeczy, których nie mogę ci wyjawić, powiem ci jedno: Zakazy są największym kłamstwem.

Książę cofnął głowę raptownie, robiąc głośny wdech, jakby poczuł uderzenie w twarz.

- Zakazy zostały nam przekazane osobiście przez Boga! - rzucił znacznie ostrzejszym tonem, na co Merlin pokręcił głową.

- To nieprawda, Caylebie - zaprzeczył. - Zostały spisane przez Jwo-jeng. A Tsen Jwo-jeng nie był archaniołem, tak samo jak ja nim nie jestem.

Następca tronu wzdrygnął się raz jeszcze, poblądł przy tym straszliwie. Oczy Athrawesa, sztucznie wzmocnione, dostrzegały to wyraźnie pomimo panującego w kajucie półmroku.

- Jak to możliwe, że Zakazy są kłamstwem? - zapytał książę ochryplym głosem. - Chcesz przez to powiedzieć, że Bóg skłamał?

- Nie - zapewnił go seijin. - Bóg nie skłamał. Jwo-jeng dopuścił się grzechu, udając, że spisuje Jego słowa.

- Ale... - Cayleb zamilkł, nie spuszczać oczu z Merlina, a ten wyciągnął do niego prawą rękę z zamkniętą dłońią.

- Wiesz przecież, jak bardzo skorumpowani ludzie rządzą dzisiaj Świątynią. Kłamią. Przyjmują łapówki. Używają Zakazów, aby wyciągać pieniądze od ludzi, którzy proponują nowe rozwiązania. Sam mi powiedziałeś, kiedy staliśmy na szczycie cytadeli z Rayjhisem, że wikariusze są bardziej zainteresowani władzą świecką niż zbawianiem dusz. Zamierzali zniszczyć twoje królestwo, spalić miasta, wymordować albo zniewolić twój lud, mimo iż nie

uczyniliście niczego złego! A ty nie potrafisz uwierzyć, że inni ludzie tak samo wykorzystywali imię Boga, by zniewolić innych?

- Przecież nie mówimy teraz o ludziach - stwierdził Cayleb - tylko o prawdziwych archaniołach!

- Tak. to prawda - przyznał Merlin. - Tyle tylko, że istoty zwane archaniołami nigdy nie istniały. To byli zwykli ludzie.

- Nie! - zawołał Cayleb, ale seijin wyczuł w jego głosie delikatne wahanie, które dawało cię nadziei.

- Jeśli chcesz, mogę ci to udowodnić - powiedział, nie podnosząc głosu. - Nie tej nocy, nie tutaj, ale obiecuję, że dam ci naprawdę przekonujący dowód. Widziałeś już niektóre z moich zdolności. Ludzie nazywający siebie archaniołami potrafili to samo co ja i wykorzystywali swe zdolności, by udawać istoty nadprzyrodzone. Udowodnię ci to, jeśli mi pozwolisz. Obawiam się jednak, Caylebie, że karmiono cię kłamstwami przez całe życie i dlatego możesz nie uznać żadnego dowodu bez względu na to, jak bardzo będzie przekonujący.

Cayleb znów zamarł, siedział nieruchomo, zaciskając mocno zęby, z opuszczonymi ramionami, jakby szykował się do zasłonięcia przed uderzeniem. Ale moment później wyprostował się nieco i rozluźnił.

- Jeśli jesteś demonem - odezwał się w końcu - to i tak powiodłeś już moją duszę na zatracenie. - Zdołał się uśmiechnąć, choć nie wyszło mu to za dobrze. - Od miesięcy wiem, że jesteś kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem, ale wykorzystywałem cię i... twoje zdolności na swój użytek, wbrew nakazom Kościoła Matki. A tak chyba brzmią definicje herezji i apostazji?

- Chyba tak - przyznał Merlin tak neutralnym tonem, na jaki go było teraz stać. - W każdym razie w rozumieniu dżisiejszych zarządców Świątyni.

- Ale nie musiałeś mi przecież mówić, że możesz powiać ojca, tak samo jak nie musiałeś ratować tych dzieci w Zatoce Królewskiej. Nie mówiąc już o ocaleniu Rayjhisa przed Kahlvynem czy naprowadzeniu mnie na galery księcia Malikai i na resztę floty ukrywającą się w Cieśninie Skalistej.

- Nie musiałem. Gdybym jednak był demonem, mógłbym zrobić to wszystko, aby ci się przypodobać i zdobyć twoje zaufanie, ponieważ wiedziałem, jak bardzo pragniesz ocalić swój lud i królestwo. Nie jesteś przecież Hektorem ani nawet Nahrmanem. Nie mógłbym odwoływać się do twojej chciwości czy żądzy władzy, dlatego musiałbym dotrzeć do ciebie poprzez dobre uczynki, wykorzystując lęk o przyszłość Korony.

- Zapewniając mnie przy okazji, że czynisz to, abym wierzył, że to dowodzi czegoś wręcz przeciwnego - wtrącił Cayleb, kiwając głową z tym samym krzywym uśmiechem na twarzy. - Ale nie zrozumiałeś, o czym mówiłem. Być może jesteś demonem, a w każdym razie istotą, którą Pismo określa mianem demona. I być może udało ci się mnie skusić, ale czyż nie mówiłeś mojemu ojcu i mnie, od samego początku, że zamierzasz nas wykorzystać do swoich celów? Ale jeśli nawet będę musiał zapłacić za to utratą nieśmiertelnej duszy, powinieneś wiedzieć, Merlinie Athrawesie, że pogodzę się z tym, ponieważ nigdy nie poprosiłeś mnie, abym uczynił coś sprzecznego z honorem, czego sam Bóg nie mógłby ode mnie wymagać. A jeśli Bóg znany mi z Pisma nie jest prawy i sprawiedliwy, to nie ma we mnie i mieć nie będzie wyznawcy.

Merlin usiadł wygodniej na krześle, nie spuszczać wzroku ze stojącego przed nim młodzieńca. Chłopaka, który okazał się znacznie bardziej godny podziwu, niż przypuszczał.

- Gdybym to ja był na twoim miejscu, Caylebie - powiedział chwilę później - zapewne nie potrafiłbym odrzucić wszystkiego, czym karmiono mnie przez tyle lat.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście odrzuciłem to wszystko - odparł książe, wzruszywszy ramionami. - Twierdzisz, że potrafisz udowodnić prawdziwość swoich słów, a

ja poczekam, aż spełnisz daną mi obietnicę. Ale decyzję muszę podjąć już teraz. I uczynię, kierując się wiarą, ponieważ ufam, że mam do czynienia z dobrym człowiekiem, czy kim tam naprawdę jesteś. I że potrafisz ostrzec mojego ojca.

- A zastanawiałeś się nad tym, jak zareaguje twój ojciec, gdy pojawię się na pokładzie jego okrętu flagowego cztery tysiące mil od tego miejsca? - zapytał Merlin.

- Nie - odparł książę - ale oddałbym majątek, żeby ujrzeć jego minę, gdy cię zobaczy.

IV

Kocioł

M

Merlin Athrawes leżał na wodzie, poruszając się w górę i w dół razem z falami, gdy płynął stylem grzbietowym, z wzrokiem wbitym w księżyc.

Gdzieś daleko za nim, choć nie mógł tego widzieć z tej pozycji, znajdował się HMS Dreadnought i reszta eskadry zmierzającej dalej swoim kursem. Nikt nie zauważył nawet, że z załogi flagowca ubył jeden człowiek. Merlin miał nadzieję, że to się nie zmieni.

Właśnie podjąłem, pomyślał filozoficznie, spoglądając w gwiazdy, najmniej rozsądną decyzją, odkąd pojawiłem się na Schronieniu. Może oprócz walki z krakenami. Jakkolwiek dobrze przyjął ją Cayleb, nie jestem w stanie przewidzieć reakcji Haarahlda.

Niestety, choć długo się nad tym wszystkim zastanawiał, nadal nie potrafił znaleźć alternatywnych rozwiązań, które zwiększałyby szanse przeżycia króla Charisu.

Analizując sytuację na zimno, a miał na to sporo czasu, doszedł do wniosku, że los Haarahlda i jego galer nie ma większego znaczenia dla przetrwania Korony. To, co galeony Cayleba i sir Domynyka uczyniły z Południową Flotą, dawało nadzieję na odniesienie podobnego zwycięstwa nad Północną Flotą, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zwłaszcza że poniesie ona straty, i to niemałe, uderzając całymi siłami na zgrupowanie okrętów należących do Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu. Jeśli więc książę Czarnej Wody zdoła uzyskać kontrolę nad Morzem Charisjańskim i Zatoką Skalistej Mielizny, będzie to chwilowy sukces, zakończony w momencie powrotu Cayleba i jego żaglowców. I chociaż śmierć Haarahlda na pewno mocno osłabi Charis, następcą tronu podola swojej roli, zwłaszcza że będą mu służyć radą hrabia Szarej Zatoki i baron Gromu.

I chociaż Charis mógłby przetrwać śmierć swojego władcy, Athrawes pojął nagle, że on nie jest na nią gotowy. Nie chciał też widzieć Cayleba przymuszanego do przejścia rządów.

To dziwne, pomyślał, gdy kolejna, znacznie wyższa fala uniosła go tak bardzo, że dostrzegł w oddali światła pozycji. Nie ostatniego z galeonów, ale gdy wybierał Charis na narzędzie potrzebne do wykonania misji, nie przypuszczał nawet, jak bliscy staną mu się mieszkańcy tego królestwa; nie anonimowi ludzie, ale osoby z krwi i kości, które tak bardzo polubił. Haarahld Ahrmahk nie był wyłącznie królem Charisu, ale przede wszystkim serdecznym druhem Merlina Athrawesa i ojcem jego jeszcze większego przyjaciela... a umysł należący kiedyś do Nimue Alban stracił już zbyt wielu przyjaciół.

Czy to aby na pewno najważniejszy powód tego, że pozwoliłem Caylebowi wmanewrować się w tę sytuację? A może uczyniłem to, skrzywił się na tę myśl, tylko dlatego, że czuję się samotny? Ponieważ chciałem, aby ktoś dowiedział się w końcu, co robię? Jak daleko odszedłem od prawdy? Ci ludzie mogą być moimi przyjaciółmi, ale żaden z nich nie ma pojęcia, kim, a właściwie czym jestem naprawdę. Czyżbym podświadomie pragnął, aby ludzie, których uważam za przyjaciół, mogli poznać prawdę o mnie, przynajmniej w tym zakresie, w jakim byliby w stanie ją zrozumieć?

Chyba tak. Na domiar złego ta rysa na pancerzu mogła się okazać bardzo niebezpieczna. Bez względu na to jak zareaguje Cayleb albo Haarahld, zdecydowana większość mieszkańców Schronienia, a nawet Charisjan, postrzegalaby go jako demona wysłanego z piekieł, gdyby poznała zaledwie dziesiątą część prawdy o nim. To z kolei doprowadziłoby do sytuacji, w której wszystko, co stworzył albo zaproponował, budziłoby przerażenie i zostałyby

automatycznie odrzucone. Jak więc niezbitcie wykazywała analiza, której właśnie dokończył, gdyby kierując się potrzebą przyjaźni, wyjawiał prawdę nieprzygotowanej na to osobie albo komuś, kto nieopatrznie mógłby ją zdradzić, wszystko, czego do tej pory dokonał - nie wspominając już o ludziach poległych za tę sprawę - poszło - by na marne.

Taka była prawda. Wiedział o tym, ale nie był jeszcze gotowy na przeprowadzenie psychoanalizy na własnym umyśle, aby dokonać rozbioru własnych motywacji - zakładając oczywiście, że umysł CZAŁO nadawał się do takich badań. Zresztą to i tak nie liczyłoby się w ostatecznym rozrachunku. Musiał to zrobić. Nie mógł się już cofnąć.

Kolejna fala uniosła go wysoko. Tym razem nie dostrzegł żadnych świateł w polu widzenia, uśmiechnął się więc do siebie i sprawdził raz jeszcze horyzont, wykorzystując system wizyjny wiszącego nad nim w pełnym kamuflażu skimmera. Eskadra oddalała się, pozostawiając go sam na sam z bezkresem morza.

Niezauważalne podjęcie człowieka z pokładu zatłoczonego żaglowca było tylko nieco mniej trudne niż postawienie go na równie dobrze strzeżonej galerze. A wiszący wysoko nad głową księżyc dodatkowo utrudniał mu zadanie.

Na szczęście razem z Caylebem zabezpieczyli się na taką ewentualność, chociaż z całkiem innego powodu. Ahrnahld Falkhan i pozostali przyboczni księcia znali sekret sejjina.

Wszyscy wiedzieli o jego wizjach oraz o tym, że musiał zniknąć z widoku publicznego i medytować, aby zapaść w trans. Byli też świadomi, że wiedza o nadprzyrodzonych zdolnościach Merlina musi pozostać tajemnicą dostępną wyłącznie najwęższemu kręgowi doradców króla.

Merlin, jako członek gwardii królewskiej i osobisty przyboczny księcia, otrzymał własną kajutę. Znajdowała się na rufie, pod kwaterami Cayleba. Miała też własne okno, a Falkhan i pozostali żołnierze korpusu pilnujący następcy tronu zostali tak rozmieszczeni, że niejako przy okazji umożliwiali sejjinowi spokój potrzebny przy medytowaniu.

Wszyscy przywykli do pozostawiania Merlina w spokoju, gdy zniknął na długie godziny w swojej kajucie. Dlatego mógł bez problemu wyjść przez okno i opuścić się po linie do wody. Gdy już się znalazł w morzu, zanurkował i przepłynął pod powierzchnią całe pół mili, zanim wynurzył się, aby poczękać, aż miną go pozostałe jednostki eskadry.

Znajdował się po przeciwnej stronie niż księżyc, na dodatek wypłynął na powierzchnię w tak dużej odległości, że nikt nie powinien go dostrzec, ale że miał czas, wykorzystał go do maksimum, aby uniknąć jakichkolwiek komplikacji. Noc była jasna, zwłaszcza jak na tropikalną, powierzchnia wody błyszczała srebrzyście, gdy galeony przecinały poświatę księżyca, podświetlone żagle wyglądały, jakby odlano je z cyny, a burty i włady oświetlało mrowie światełek i latarni płonących we wnętrzu kadłuba. Szanse na to, że ktoś z takiej odległości mógłby dostrzec maleńką sylwetkę człowieka wstępującego w niebo, były bliskie zera, ale mimo to Merlin czekał spokojnie. Musiał mieć pewność, że nikt się o tym nie dowie.

To znaczy, nikt więcej, poprawił się w myślach.

Sprawdził przekazy po raz ostatni, potem uruchomił wbudowany komunikator.

- Sowo - odezwał się znacznie głośniej, niż miał to w zwyczaju, nie spuszczać oka z obcego nieba Schronienia.

- Tak, komandorze poruczniku?

- Podejmij mnie.

- Tak, komandorze poruczniku.

V

HMS Królewski Charis, Morze Charisjańskie

K

ról Haarahld VII odesłał lokaja za drzwi kajuty.

- Jesteś pewien, wasza wysokość, że nie będę ci już dzisiaj potrzebny?

- Pytasz o to po raz trzeci, Lachlynie - stwierdził z czułością w głosie król. - Nie jestem aż tak osłabiony, żebym nie potrafił sam wejść do łóżka. Zatem idź już! Sam też się prześpij-

- Dobrze, wasza wysokość. Skoro taka jest twoja wola - powiedział Lachlyn Zhessyp, uśmiechając się blado, ale przyjmując do wiadomości polecenie.

Haarahld roześmiał się, pokręcił głową, potem ruszył w głąb kajuty admirałkiej, otworzył zakratowane drzwi i wyszedł na pomost rufowy Królewskiego Charisu.

Stanął przy relingu i wpatrzył się w zachodnią część nieba, jakby chciał prześledzić dalszą drogę chylącego się już ku horyzontowi księżyca i tym sposobem zbliżyć się do syna.

Separacja była o wiele cięższa do zniesienia, niż przypuszczał. W niczym nie przypominała tego roku, który Cayleb spędził na pokładzie galery jako midszypmen. Wtedy niepokoił się jedynie, czy następca tronu nie nabawi się ciężkiej choroby albo nie ulegnie wypadkowi.

Dzisiaj wysłał najstarszego syna do boju przeciw wielokrotnie większym siłom wroga, na dodatek oddalonym aż o siedem tysięcy mil od Charisu. Jeśli wszystko poszło dobrze, bitwa, którą miał stoczyć Cayleb, zakończyła się już, ale czy ją wygrał, czy przegrał? No i - co było nawet ważniejsze od wyniku - czy przeżył?

Nie po raz pierwszy w czasie długoletniego sprawowania władzy Haarahld Ahrmahk pomyślał, że wiedza o tym, iż podjęta decyzja jest słuszna, dawała naprawdę ogromny spokój duszy.

- Wasza wysokość.

Haarahld podskoczył raptownie, odwrócił się na pięcie, przesunął dłonią po miejscu, w którym znajdowała się zażwyczaj rękojeść sztyletu. Niestety, nie miał go teraz przy sobie. Przykucnął mimo sztywnego kolana, wybałuszając oczy na widok wysokiego, barczystego mężczyzny stojącego w odległym, zacienionym końcu pomostu.

Zamarł zdjęty strachem i niewiarą, znieruchomiał niczym posąg, wpatrując się w twarz człowieka, którego nie powinno być w tym miejscu.

- Wybacz, że cię wystraszyłem, wasza wysokość - przemówił Merlin cichym, łagodnym tonem - ale Cayleb wysłał mnie z wieściami.

Dynastia Ahrmahków musi mieć jakąś wadę genetyczną, uznał Merlin. To jedyne sensowne wytłumaczenie ich nietypowych reakcji na zagrożenie.

Król powinien wezwać strażę, nie mówiąc już o odruchowej ucieczce do kabiny albo wyskoczeniu za reling. Zdając sobie sprawę, że coś takiego może nastąpić, Merlin wziął ze sobą paralizator, aby zapobiec niepotrzebnemu zamieszaniu, choć nie miał pojęcia, jak wytłumaczy się potem wściekłemu i obolałemu władcy.

Tymczasem Haarahld znieruchomiał na całe dziesięć sekund - tyle wskazywał wbudowany chronometr Merlina - potem wyprostował się i spojrzał na niego z ukosa.

- Cóż, seijinie - odezwał się z zatrwającą spokojem w głosie - skoro Cayleb przesyła mi wiadomość, domyślam się, że wciąż żyje.

Mówiąc to, uśmiechnął się.

Dwadzieścia minut później wciąż stali na zaciemnionym pomoście rufowym, jedynym miejscu na pokładzie flagowej galery, na którym mogli liczyć na odrobinę prywatności. Szum fal i wiatru otaczający Królewski Charis i resztę okrętów poruszającej się wolno floty nie pozwalał na podsłuchanie ich rozmowy.

- Zatem, mistrzu Traynyrze, Cayleb wysłał cię, abyś poinformował mnie, iż księżę Czarnej Wody przejrzał naszą niewinną maskaradę - stwierdził król, wywołując uśmiech na twarzy seijina, który natychmiast pokręcił głową, przypominając sobie dzień, kiedy po raz pierwszy został nazwany tym mianem.

- Tak, wasza wysokość. - Merlin pochylił lekko głowę. - Jeśli wolno mi to powiedzieć, wasza wysokość, przyjąłeś moje pojawienie się na pokładzie znacznie spokojniej, niż przypuszczałem.

- W ciągu minionego roku zdążyłem się przyzwyczaić do nieoczekiwanych posunięć z twojej strony. I nie myśl, że uszło mojej uwagi, w jak ostrożny sposób odpowiedziałeś na pytania ojca Paityra, gdy sprawdzał nas swoim kamieniem prawdy. Albo wzrok Cayleba, który nie spuszczał z ciebie oka, kiedy mówiłeś. Nie wspominając już o tych wszystkich... niezwykłych rzeczach, których dokonałeś w ciągu ostatnich kilku miesięcy. I łakomych kaskach wiedzy, które nam ofiarowałeś. Przecież wiem, mimo twoich gładkich wyjaśnień, że nie miałeś prawa dotrzeć do siedziby księcia Tirianu w tak krótkim czasie. - Król machnął ręką, jakby zbywał te wszystkie uwagi. - Już dawno temu zrozumiałem, że jesteś kimś więcej, niż pokazujesz to mnie, a kto wie, czy i nie Caylebowi.

O tak - uśmiechnął się nagle - wiem, jak bliscy się sobie stałicie z moim synem. Ale jak napomknąłem przy innej okazji, każdy człowiek bez względu na posiadane... umiejętności, może być oceniany wyłącznie po czynach. Ocenilem cię więc po twoich uczynkach i podobnie jak mój syn, zaufałem ci. Jeśli pobłądziłem przez ciebie, nie wątpię, że przyjdzie mi za to zapłacić w przyszłym życiu. Niestety, wszystkie decyzje muszę podjąć tu i teraz...

- Twój syn bardzo cię przypomina pod tym względem, wasza wysokość. — Merlin pokłonił się ponownie, tym razem z większym szacunkiem. - A uwierz mi, nie znam wielu większych komplementów, jakimi mógłbym go obdarzyć.

1 - W takim razie, skoro już wyjaśniliśmy sobie, jak wspólnymi postaciami jesteśmy - odparł roześmiany Haarahld - powinniśmy zastanowić się, co począć z przyniesionymi przez ciebie informacjami.

- Nie wiem jeszcze, jaki użytek z raportu tego agenta zrobi książę Czarnej Wody - odparł Merlin. - Ale domyślam się, że zbierze wszystkich pozostałych admirałów i naświetli im sytuację. Ten człowiek ma znacznie silniejszą osobowość, niż przypuszczałem, a fakt, że stoi za nim autorytet całej Grupy Czworka, daje mu naprawdę potężne argumenty do ręki, co on potrafi wykorzystać.

- Czyli z pewnością zechce przyspieszyć atak. - Haarahld zapatrzył się w gwiazdy, gdyż księżyc zdążył zniknąć za horyzontem, w czasie gdy Merlin mówił. Skrzywił się w ciemnościach i podrapał po brodzie. - Nie wie jednak, ile czasu pozostało do powrotu Cayleba - podjął, najwyraźniej myśląc na głos. - Zatem musi spróbować szybkiego ataku na Zatokę Skalistej Mielizny. Będzie się spodziewał, że podejmiemy walkę w tym miejscu albo wycofamy się za wyspę Zamek i oba Klucze. W jednym i drugim przypadku zyska kontrolę nad zatoką i Morzem Charisjańskim, przynajmniej do powrotu Cayleba.

- Książę i ja uważaliśmy, że tak właśnie powinien postąpić - zgodził się Merlin.

- A co sugerował mój syn? - Haarahld spojrzał seijinowi prosto w oczy.

- Abyś się wycofał i oddał im zatokę - odparł Merlin. - Tak długo, jak długo będziesz kontrolował Gardziel, jeśli nawet stracisz Klucz albo oba Klucze, wróg nie zdoła przeprowadzić żadnego ataku na najważniejsze cele w Koronie. A galeony Cayleba są zaledwie piętnaście dni drogi stąd. Jeśli flota księcia Czarnej Wody wejdzie zbyt głęboko w zatokę, znajdzie się w kleszczach pomiędzy jego eskadrą a twoimi siłami.

- Widzę, że mojemu synowi zależy na utrzymaniu przy życiu starego władcy - stwierdził Haarahld.

- Słucham, wasza wysokość?

- Zdążyłem się już przekonać, że książę Czarnej Wody, choć ma do czynienia z niezbyt chętnymi sojusznikami, nie jest w ciemności. Z pewnością domyśla się, że Cayleb już wraca do domu. Jeśli więc wyśle swą flotę w głąb Zatoki Skalistej Mielizny, wejdzie w nią tylko na tyle, by móc wycofać swoje siły w pośpiechu. Zapewne nie zrezygnuje także z patrolowania

wszystkich szlaków i podejść. Bez względu na to, skąd przybędzie Cayleb, czy od południa przez Cieśninę Szmaragdową, czy od północy przez Darcos, zostanie dostrzeżony wystarczająco wcześnie, by nie mógł zaskoczyć księcia Czarnej Wody w zatoce. Jego strategia polega na tym, że chce dać mi bezpieczne schronienie za wyspą Zamek, ale jednocześnie pozwolić księciu Czarnej Wody na wycofanie się do Zatoki Eraystorskiej albo nawet poza granice Szmaragdu, do Zebediahu czy Corisandu. Moje okręty nie zdążą oczyścić w porę przejść pomiędzy Zamkiem a Kluczami, więc nie zdolałam powstrzymać sił księcia przed ucieczką.

- Jeśli nadpłyniemy pod osłoną nocy - zaczął Merlin - możemy...

- Jedyne co uzyskacie, to odepchniecie ich, jeśli oczywiście wszystko pójdzie idealnie - przerwał mu Haarahld. - Ale jak zwykł mawiać Rayjhis, jeśli coś ma pójść nie tak podczas bitwy, to z pewnością pójdzie. Nie. Skoro mamy zniszczyć flotę Hektora, ukrywanie się za wyspą Zamek niczego nam nie da.

- To zabrzmiało tak, wasza wysokość, jakbyś planował inne posunięcie - zauważył z lekkim niepokojem Merlin.

- W rzeczy samej, planuję. - Haarahld wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie pozwolę się przyszpilić w głębi Gardzieli. Ale nie dam też księciu Czarnej Wody bitwy, na którą tak liczy. Aczkolwiek będę go kusił taką możliwością.

- Jak, wasza wysokość?

- Zamierzam przenieść moją główną bazę operacyjną z południowej części Zatoki Skalistej Mielizny do przesmyku Darcos. Tamtejsza twierdza nie nadaje się wprawdzie na kotwicowisko floty tak dobrze jak wyspa Zamek, ale powinna wytrzymać wystarczająco długo, abyśmy dopięli swe-go. Gdy książę Czarnej Wody rozpocznie ofensywę, zacznę grać na zwłokę, wycofam się na południe, poza wody zatoki. On jest na tyle przebiegły, że na pewno rozumie, iż najważniejszy cel tej wojny to moja flota. Jeśli pozbędzie się jej raz na zawsze, będzie mógł robić, co zechce, a dopóki będzie ją miał na karku, może co najwyżej straszyć. Dlatego, o ile do-brze wszystko skalkulowałem, kiedy zobaczy, że opuszczam dobrze ufortyfikowany matecznik przy wyspie Zamek i zapuszczam się dalej na południe w Gardziel, powinien ruszyć za mną.

- Zamierzasz wyciągnąć go na południowe krańce Morza Charisjańskiego — stwierdził Merlin. — Aby nie mógł wam szybko uciec.

- Tak jest. - Król pokiwał głową. - Jestem pewien, że będzie chronił tyły, rozstawiając jednostki zwiadowcze, ale nie zdoła obstawić nimi aż tak wielkiego akwenu. Jeśli zdołam odciągnąć go wystarczająco daleko na południe, sprawiając, że cały czas będzie skupiony wyłącznie na mnie, a królew-ski porządek powiewający na maszcie tego okrętu upewni go całkowicie co do tego, z kim ma do czynienia, doprowadzimy do sytuacji, w której powracające od północy okręty Cayleba znajdą się pomiędzy nim a wodami Szmaragdu.

- Ta taktyka nie spodoba się twojemu synowi, wasza wysokość.

- Wielka szkoda - odparł z pełnym spokojem Haarahld. - Jednakże na razie to ja jestem królem, a on następcą tronu, więc zrobimy to po mojemu.

- Tyle tylko, że wycofując się na południe - stwierdził Merlin, szukając rozpaczliwie kontrargumentów - odsłonisz zupełnie Gardziel. Będą mogli przeprowić się północnym kanałem, jeśli zabierzesz stamtąd wszystkie jednostki.

- Już nie - roześmiał się władca. - Widzę, że nie udało ci się dopilnować wszystkiego, seijinie.

- Proszę, wasza wysokość?

- Baron Morskiego Szczytu i sir Dustyn mieli wiele roboty po twoim wyjeździe. Ale to baron wpadł na ten pomysł. Obaj zaprojektowali coś, co nazwano roboczo pływającymi bateriami. To takie tratwy, wielkie co prawda, ale tylko tratwy mające bardzo solidne nadburcia, liczące nawet do pięciu stóp grubości, i wycięte w nich furty działowe.

Wyprodukowali ich piętnaście, na każdej umieścili po trzydzieści karabinów i pół batalionu piechoty morskiej, aby zniechęcić potencjalnego wroga do prób abordażu. Zakotwiczone w jednej linii w poprzek kanału północnego pomiędzy wyspą Zamek a bateriami nadbrzeżnymi północnego Klucza. - Haarahld wzruszył ramionami. - Wątpię, aby ktokolwiek zdołał pomiędzy nimi przepłynąć.

- To prawda, lecz...

- Zatem robimy to po mojemu? - zapytał król nieustępliwym tonem.

Merlin przyglądał mu się dłuższą chwilę, potem skinął głową.

- Tak, wasza wysokość.

- Chciałbym jedynie znaleźć jakiś sposób - stwierdził na głos Haarahld - który pozwoliłby mi na skoordynowanie moich działań z ruchami Cayleba. Jeśli mój pomysł wypali, księżę Czarnej Wody wpłynie dokładnie pomiędzy moje galery i wasze galeony, gdy pojawicie się za jego plecami. Niestety, on dostrzeże waszą obecność znacznie wcześniej niż ja. Jeśli istnieje jakiś sposób komunikacji, za pomocą którego mógłbyś informować mnie o ruchach Cayleba, ale nieco mniej dramatyczny niż twoje nagłe pojawianie się na pokładzie, przydałby mi się, i to bardzo.

Po raz kolejny przekrzywił głowę, spoglądając na Merlina wzrokiem błagalnym jak u dziecka, tak że seijin nie potrafił się powstrzymać przed śmiechem.

- Prawdę powiedziawszy, wasza wysokość, rozmyślałem już nad tym problemem i oto jego rozwiązanie. — Wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Haarahld przyjrzał mu się uważnie, potem wziął ostrożnie do ręki. Merlin stał spokojnie, powstrzymując się przed kolejnym wybuchem wesołości. Najwyraźniej nawet otwartość Ahrmahków miała swoje granice. - Oto pager, wasza wysokość.

- Pager? - Haarahld przeliterował powoli nieznaną mu, dziwne słowo.

- Tak, wasza wysokość.

Seijin rozważał darowanie królowi prawdziwego komunikatora, ale w końcu uznał, że nie może tego zrobić. Chociaż zważywszy na to, jak łatwo Haarahld przeszedł do porządku dziennego nad jego tajemniczym pojawieniem się na rufie Królewskiego Charisu, być może władca zaakceptowałby także głosy wydobywające się z pudełka. Niestety, przed wyjściem ze skimmera dokonał wyboru i zabrał ze sobą tylko pager.

- Nastawiłem go na wibrację - poinformował króla. - Czy mogę zademonstrować?

- Oczywiście - odparł Haarahld.

- Zatem połóż go na dłoni, wasza wysokość. Nie tak, płaską stroną w dół. Teraz dobrze. I...

Merlin użył wewnętrznego komunikatora, by połączyć się z pagerem, i nagle dłoń władcy zatrzęsa się, gdy urządzenie zaczęło wibrować. Haarahld spojrzał na niego, ale jak zauważył Merlin, w oczach króla widać było równie wiele zadowolenia jak zaskoczenia.

- Poczułeś to, wasza wysokość?

- Nie przeczę!

- Świetnie. Chciałbym, abyś ukrył ten przedmiot gdzieś pod ubraniem - powiedział seijin. - Albo skorzystaj z opaski, można ją dopasować, dzięki czemu przyczepisz go do przedramienia, o tak - zademonstrował - pod tuniką. Jeśli będziesz go miał na sobie, dam ci przez niego sygnał, kiedy ujrzymy okręty księcia Czarnej Wody. Może zrobimy tak, jedna wibracja, gdy natkniemy się na jego zwiadowców, dwie, gdy dostrzeżemy główne siły, trzy, gdy będziemy gotowi do walki.

- To powinno wystarczyć — stwierdził Haarahld, przyglądając się pagerowi przypiętemu do lewego przedramienia.

- Następnym razem - rzucił krótko Merlin - przyniosę ci coś znacznie bardziej... egzotycznego, wasza wysokość.

Król szybko podniósł wzrok i roześmiał się.

- Rozumiem, seijinie. Rozumiem.

Raz jeszcze rzucił okiem na niewielkie urządzonek, potem nasunął na nie rękaw.

- Sądzę, że powinieneś już wracać do Cayleba, Merlinie. - Wyciągnął ręce i chwycił seijina za ramiona. - Powiedz mu, że jestem dumny z niego. Bardzo dumny. I że bardzo go kocham.

- Tak uczynię, wasza wysokość. Aczkolwiek on wie o tym bez moich słów.

- Być może, ale czasami równie ważne jak powiedzieć te słowa, jest je usłyszeć. A tobie - tutaj Haarahld spojrział w szafirowe oczy Merlina - należą się wielkie podziękowania. Od króla, któremu pomagasz chronić jego poddanych, i od ojca za to, że robisz wszystko, aby synowi nie stała się krzywda.

- Uczynię, co każesz, wasza wysokość. - Merlin pokłonił mu się po raz kolejny, tym razem głębiej niż kiedykolwiek, potem podniósł głowę. - A teraz, jak słusznie zauważyłeś, czas wracać do Cayleba.

Wspiął się na balustradę i spojrział na powierzchnię wody.

- Naprawdę musisz opuszczać mnie w ten sposób? - za-pytał król.

- Słucham, wasza wysokość? - Merlin spojrział przez ramię, nie kryjąc zaskoczenia.

- Tak sobie pomyślałem, że chciałbym zobaczyć człowieka, który umie fruwać - stwierdził władca.

- Chciałbym móc to dla ciebie zrobić, wasza wysokość - odparł Merlin, uświadamiając sobie, że nie kłamie. - Oba-wiam się jednak, że twoi oficerowie i marynarze nie byłiby równie szczęśliwi, widząc latającego seijina. Może następnym razem, ale gdyby dzisiaj któryś z nich spojrział w złą stronę w niewłaściwym czasie...

Wzruszył ramionami, a Haarahld pokiwał głową.

- Wiem, że masz rację - przyznał. - Ale któregoś dnia, kiedy nie będzie świadków, przypomnę ci o tej obietnicy.

- Wiem, że tak będzie, wasza wysokość - odparł roze-śmiany Merlin i skoczył do wody.

VI

Galera Corisand, Zatoka Eraystorska

K

siażę Czarnej Wody siedział u szczytu długiego stołu w kajucie admirałkiej Corisandu, wsłuchując się z obo-jętną miną w głos sir Kehvyna Myrgyna. Po dokładnym przemyśleniu sytuacji uznał, że najrozsądniej będzie, jeśli to dowódca okrętu flagowego, a nie on sam, przedstawi sprzy-mierzeńcom najnowsze informacje. Nie mógł ukryć faktu, że pochodziły one od szpiegów księcia Hektora, ale minimali-zował przynajmniej wrażenie, iż zależy mu, i to bardzo, na wciśnięciu im tej wiedzy.

Aczkolwiek nie liczył specjalnie, że zwiędzie kogokolwiek tym manewrem.

Przyglądał się bacznie twarzom pozostałych admirałów. Hrabia Sharpfieldu wyglądał na sceptycznie nastawionego, ale on nigdy nie był entuzjastą tej wyprawy. Agentom księ-cia Czarnej Wody nie udało się przechwycić ani jednej wiado-mości przesłanej do niego z pałacu królowej Sharleyan, mimo że bardzo się starali, ale corisandzki admirał był pewien, iż wie, co by w nich znalazł, gdyby udało mu się przeczytać któ-rykolwiek z tych dokumentów. I wcale nie miał zamiaru wi-nić Sharleyan. Gdyby znalazł się na jej miejscu, też robiłby wszystko co w jego mocy, aby utracić jak najmniej własnych sił na służbie najbardziej znenawidzonego wroga. Wszela-ko zrozumienie jej motywów wcale nie ułatwiało akceptacji konsekwencji, jakie mogły z nich wyniknąć.

Na szczęście hrabia Sharpfieldu był o wiele bardziej do-świadczonym dowódcą floty niż admirał Nahrmahna, hrabia Mahndyru, i posiadał swój rozum, więc pomimo jawnie nie-chętnego nastawienia swojej władczyni do tej kampanii nie powinien dopuścić do złamania ustaleń poczynionych przez Grupę Czworą.

Ale hrabia Mahndyru to zupełnie inna sprawa. W odróżnieniu od Sharleyan, książę Nahrmahn pragnął powodzenia tej kampanii, i to z wielu powodów. A może raczej uniknięcia jej porażki, co - jakkolwiek na tę sprawę patrzeć - nie było tym samym. Książę Czarnej Wody po osobistym spotkaniu z Szmaragdowym doszedł do wniosku, że jego władca stał się nie doceniał tego człowieka. Nahrmahn z pewnością nie był głupcem, jak go wcześniej przedstawiano admirałowi Corisandui, i z pewnością przedsięwziął stosowne kroki, by zabezpieczyć się przed konsekwencjami zwycięstwa Hektora. Kwestia, czy układy, które zawarł, mogą być zrealizowane, to oczywiście zupełnie inna sprawa. Jednakże nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż książę Nahrmahn wolał spróbować szczęścia w starciu raczej ze świętującym wygraną Hektorem niż ze zwyciężskim - ale wkurzonym do granic możliwości - Haarahdem.

Wynikało to jasno ze sposobu, w jaki flota Szmaragdu reagowała na rozkazy wydawane przez księcia Czarnej Wody przez te dwa miesiące, które upłynęły od unicestwienia eskadry barona Warowni Tanlyr. Hrabia Mahndyru nie tylko aktywnie działał, ale i zaganiał wszystkich podległych mu dowódców, by angażowali się z pełnym poświęceniem w wyczerpujące ćwiczenia organizowane przez Corisanduczyków.

Hrabia Sharpfieldu wykazywał o wiele mniejszy entuzjazm niż jego kolega ze Szmaragdu, ale jego podwładni byli o wiele lepiej przygotowani do takich manewrów. Nawet książę Czarnej Wody brał często pod rozwagę opinie chisholmskiego admirała i wspólnie z nim układał plany ćwiczeń, dzięki czemu zdołał go w końcu mocniej zaangażować w tę misję. Starał się też nie oddalać przez te dwa miesiące od bazy wypadowej, aby uniemożliwić Charisjanom zastawienie kolejnej pułapki na którąś z najdalej wysuniętych eskadr, dopóki nie uzyska pełniejszej kontroli nad wszystkimi flotami, co właśnie zaczynało przynosić pierwsze owoce.

Wciąż jednak mieli wiele słabych punktów. Książę Czarnej Wody podejrzewał, że nie sposób ich wyeliminować całkowicie przy tak szerokiej koalicji, jeśli nawet wszyscy jej członkowie dążyliby do tego samego celu.

Podstawową słabością jego floty było podzielenie jej na narodowościowe eskadry. Książę wolałby, aby rozwiązano wszystkie trzy floty i utworzono z nich jednolitą strukturę, wcielając do poszczególnych eskadr galery z każdego kraju, ale na coś takiego nie zgodziłby się hrabia Mahndyru.

Nie mogąc osiągnąć nawet tak prostego celu, książę cieszył się z tego, że sojusznicy zaakceptowali jego kandydaturę na stanowisko naczelnego dowódcy połączonych flot, co zważywszy na realia, mogło być potraktowane jako cud. Nie liczył wprawdzie na pełen posłuch, ale mógł chociaż zakładać, że podległe mu siły wykonają każdy rozkaz wydany im po wyjściu w morze. Problemem było jednak przekonanie kolegów admirałów, aby byli mu posłuszni teraz, zanim wyśle ich do boju.

- Dziękuję, sir Kehvynie — powiedział książę, gdy kapitan flagowca zakończył odprawę i spojrzał na przeciwną stronę stołu, gdzie siedzieli obaj hrabiowie. - Ufam, że te informacje przedstawiają nasze położenie w zupełnie innym świetle - dodał. - Wynika z nich niezbitnie, że Haarahld przejrzał nasze zamiary znacznie wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Z pewnością chcielibyście wiedzieć, jak do tego doszło. Najistotniejsze dla nas jest jednak to, co możemy zrobić w zaistniałej sytuacji, wiedząc, co zrobił.

- Z całym respektem, wasza łaskawość - wtrącił hrabia Sharpfieldu - ale czy my naprawdę wiemy, co on zrobił? PO. siadamy jeden raport, spisany ręką samotnego szpiega księcia Hektora. Nawet jeśli założymy, że człowiek ten ma czyste intencje, nie możemy wykluczyć, iż wnioski, które wyciągnął w jak najlepszej wierze, są mylne w jednym albo i wszystkich punktach. Ale przypuścimy, że to wszystko szczerą prawdą. Czy wynika z niej jakkolwiek wiedza na temat rzeczywistych posunięć Haarahlda? - Chisholmski admirał pokręcił głową, krzywiąc się pogardliwie. - Osobiście uważam, że to,

co sugeruje ten raport, jest po prostu idiotyczne, a o ile mnie pamięć nie myli, cokolwiek mówiono o władcy Charisu, jeszcze nikt nigdy nie nazwał Haarahlda głupcem. Szanse na to, że jego galeony trafią na otwartym morzu na floty księcia Malikai i barona Białego Brodu, są zerowe bez względu na to, czy poznał wcześniej proponowaną lokalizację punktu zbornego. Ale gdyby nawet zdołał tego dokonać, przewaga liczebna połączonych flot wyniosłaby podczas starcia sześć do jednego. - Raz jeszcze pokręcił głową. - Haarahld nie zaryzykowałby podzielenia swoich wcale nie tak licznych sił i nie wystawiłby na szwank bezpieczeństwa syna, przeprowadzając atak w ciemno.

- Zatem co uczynił twoim zdaniem? - zapytał grzecznie księżę Czarnej Wody.

- Nie mam bladego pojęcia - przyznał hrabia Sharpfieldu z rozbijającą szczerością. - Ale uważam, że prawdopodobieństwo zastosowania takiego podwójnego blefu jest minimalne. Jeśli naprawdę odesłał swoje galeony tak dawno temu, uczynił to z pełną świadomością, że w Charisie nadal działa kilku agentów, którzy doniosą o tym komu trzeba, więc bardziej prawdopodobne jest, że zależało mu raczej na tym, byśmy uznali, iż żagle, które widzimy za jego galerami, należą do frachtowców, choć w rzeczywistości czają się tam jego wojenne galeony. Chociaż z drugiej strony, muszę przyznać otwarcie, że stosowanie takich skomplikowanych podstępów byłoby dla mnie równie niezrozumiałe jak wysyłanie sporej części floty na sam środek Morza Parkera!

- Coś jednak musiał zrobić z galeonami - stwierdził hrabia Mahndyru - a ja skłonny jestem uwierzyć w doniesienia tego szpiega, wasza łaskawość. - Pokłonił się księciu Czarnej Wody. - Ustępuję doświadczeniem mojemu szanownemu koledze z Chisholmu, ale uważam podobnie jak on, że wysyłanie galeonów z misją uderzenia na siły Dohlaru i Taro-ta byłoby szaleństwem ze strony Haarahlda. Aczkolwiek, jeśli w istocie orientował się w naszych planach lepiej, niż do tej pory przypuszczaliśmy, musiał także znać szanse, jakie miałyby przeciw naszym połączonym siłom. Mógł więc dojść do wniosku, że nie zdoła ich pokonać, gdy dojdzie do zmasowanego ataku wszystkich pięciu morskich potęg, i uznać, że będzie miał szanse, choć niewielkie, na przetrwanie, jeśli uniemożliwi tamtym flotom dołączenie do nas i przeprowadzenie frontalnego ataku na jego galery, co musiałoby się skończyć unicestwieniem Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu...

- Istnieje taka możliwość - przyznał, choć z wielką niechęcią, hrabia Sharpfieldu. - Tyle tylko, że takie zachowanie... nie pasuje do Haarahlda. On przypomina mi swojego ojca. Spotkałem starego króla Charisu, kiedy byłem jeszcze zwykłym kapitanem. Ojciec królowej wybrał mój okręt do przewiezienia misji dyplomatycznej i odniosłem wrażenie, że to człowiek, który podejmie każde ryzyko, ale tylko wtedy, gdy zyski przekroczą koszty, jakie będzie musiał ponieść. Z tego, co do tej pory słyszałem o Haarahldzie, wynika niezbitnie, że przejął taki sposób myślenia. Wypadek, z którym mamy teraz do czynienia, zaprzecza tym wyobrażeniom. Bez względu na to, co mówi raport.

- W normalnych okolicznościach byłbym skłonny zgodzić się z twoją opinią, mój panie - przyznał księżę Czarnej Wody. - Ale uważam, że w powinniśmy założyć, iż treść raportu agenta nie mija się z prawdą. Jeśli to uczynimy, pozostają nam dwa rozwiązania: albo Cayleb przechwycił floty Dohlaru i Taro-ta, albo to mu się nie udało. Jeśli wygrał tę bitwę, albo nie trafił w ogóle na przeciwnika, powinien wrócić za dwa do czterech pięciodni. Jeśli zaś zwycięstwo przypało w udziale księciu Malikai, to on przybędzie na wody zatoki w podobnym czasie. Jeśli zaś udało mu się prześlizgnąć przez pułapkę zastawioną przez następcę tronu, zobaczymy go tutaj znacznie prędzej, najpóźniej za dwa pięciodnie. Muśmy zatem podjąć decyzję, co robić, zanim któryś z nich tutaj przybędzie.

- Korci mnie, aby zasugerować waszej łaskawości, by nie podejmować żadnych zdecydowanych działań bojowych, dopóki nie pojawią się tutaj galery księcia Malikai - powie dział hrabia Sharpfieldu. - Takie zresztą były oryginalne założenia naszej kampanii, tym sposobem zyskamy też pewne zabezpieczenie, na wypadek gdyby Haarahld faktycznie

do-konał jakichś dziwnych ruchów eskadry galeonów. A co ważniejsze - dodał, patrząc księciu Czarnej Wody prosto w oczy - jeśli floty Dohlaru i Tarota nie przybędą w zakładanym czasie, zyskamy niepodważalny dowód na to, co warte są nasze galery w starciu z ich najnowocześniejszymi galeonami.

- Nie zgadzam się z tą opinią - wtrącił hrabia Mahndyru, zachowując jednak uprzejmy ton. - Uważam, że powinniśmy jak najszybciej sprowokować siły Haarahlda, a nawet zmusić je do bezpośredniej konfrontacji. Jeśli księżę Malkai pokonał eskadrę Cayleba, zyskamy wielką przewagę po jego dołączeniu, jeśli wcześniej zdołamy rozbić flotę Chari-su. Jeżeli zaś Dohlarianie i Tarotczycy przegrali, ale zdołali zadać spore straty galeonom Cayleba, tym bardziej powinniśmy rozgromić siły Haarahlda, żeby nie mogły dać osłony i wsparcia powracającym niedobitkom. W razie gdyby następca charisjańskiego tronu nie poniósł wielkich strat, powinniśmy zrobić wszystko, aby nie znaleźć się w potrzasku pomiędzy jego eskadrą a galerami Haarahlda.

- Zgadzam się w pełni z takim rozumowaniem hrabiego Mahndyru - oświadczył księżę Czarnej Wody, kierując te słowa do admirała Chisholmu. - Przyznam szczerze, że czułbym się o wiele spokojniej, gdybyśmy uzyskali potwierdzenie informacji zawartych w tym raporcie z innych, niezależnych źródeł. Niestety, nie ma na to innej szansy, jak osobiste sprawdzenie, czy galeony Haarahlda towarzyszą jego galerom. Jeśli okaże się, że tak jest w istocie, zyskamy pewność, że raport kłamał. Jeśli ich nie będzie, uwagi hrabiego Jylahndyru zyskają większe znaczenie. Oryginalny plan tej kampanii zakładał, że powinniśmy poczekać na przybycie tutaj eskadr Dohlaru i Tarota, aby utworzyć jedną, gigantyczną flotę, która zyskałaby miążdzącą przewagę liczebną nad Charisjanami. Ale jeśli mamy przeciw sobie tylko osiemdziesiąt galer, które Haarahld trzyma na służbie podczas pokoju, nawet teraz górujemy nad nią w wystarczającym stopniu.

Przez dłuższą chwilę w kajucie panowała niczym nie zmącona cisza, a potem hrabia Sharpfieldu skinął powoli głową, choć widać było, że czyni to bez przekonania.

VII

Za Głową Trytona, Morze Charisjańskie

Ruszyli na południe, wasza wysokość. Kapitan Tryvythyn spojrział dziwnie na swojego króla. Wzrokiem, który przynajmniej zdaniem Haarahlda, do tej pory rezerwowano dla proroków, szaleńców albo... seijinów.

- Jesteś tego pewien, Dynzylu? - odparł spokojnym tonem władca, odrywając się od posiłku.

- Tak, wyruszyli i siła ich płynie - potwierdził kapitan flagowca. - Zgodnie z raportem Błysku wygląda na to, że ruszyli całą flotę.

- Rozumiem.

Haarahld uniósł szklanicę i upił łyk wina, potem otarł usta śnieżnobiałą serwetką.

- Cóż mam powiedzieć, Dynzylu - rzucił. - Coś ich musiało przypilić, skoro zdecydowali się na wypowiedzenie bitwy. Nas jednak nic nie pili.

- W każdym razie nic, co by nas zmuszało do podjęcia rękawicy już teraz, wasza wysokość - przyznał Tryvythyn. Emfaza, z jaką wymówił słowo „teraz”, choć lekka, była jednak zauważalna, więc Haarahld zareagował na nią uśmiechem.

- Dynzylu, Dynzylu! - Pokręcił głową. - Wiem, że ustępowanie pola tym ludziom nie jest wyjściem honorowym. Pamiętam też, jak Bryahn skopał im tyłki ostatnim razem, gdy zapuścili się tak daleko na południe. Ale obaj wiemy równie dobrze, że nie ruszyliby się z zatoki, gdyby księżę Czarnej Wody nie był całkowicie pewien, iż ta sztuka nie uda nam się ponownie. Bez względu na to, co oni zamierzają, naszym nadrzędnym zadaniem jest czekanie na powrót Cayleba.

- To prawda, wasza wysokość - przyznał Tryvythyn.

Tym razem nie wspomniał nawet słowem o tym, że nikt w charisjańskiej flocie nie ma pojęcia, czy książę w ogóle wróci. Haarahld poczuł nagle nieprzepartą chęć, by zapewnić go, że wie doskonale, gdzie jest jego syn, ale natychmiast porzucił tę myśl.

- Przekaż wiadomość Bryahnowi - rozkazał. - Każ mu wykonać plan, o którym rozmawialiśmy wczoraj.

- Cóż, tego się nie spodziewaliśmy - mruknął książę Czarnej Wody, a stojący za nim sir Kehvyn Myrgyn roześmiał się pod nosem.

- Nie wiedziałem, wasza łaskawość, że jesteś takim miśtrzem niedopowiedzeń - stwierdził kapitan okrętu flagowego, po czym książę zmierzył go surowym wzrokiem, by jednak się roześmiać. Szybko spoważniał i zamyślił się głęboko nad treścią przekazanego mu raportu.

- Na południe - mruknął, drapiąc się delikatnie po czubku nosa, gdy łagodny północno-wschodni wiatr targał mu włosy. - Dlaczego na południe?

- To dość dziwny wybór, wasza łaskawość - przyznał Myrgyn. - Spodziewałem się, że jeśli zechce unikać walki, ruszy raczej w stronę Zatoki Skalistej Mielizny.

- Ja także - zgodził się książę Czarnej Wody.

Przechylił głowę i splótł ręce za plecami, stojąc przy nadburciu na rufowym kasztelu Corisandu. Przez kilka chwil kiwał się na piętach i palcach, rozmyślając.

- Cokolwiek zamierza - stwierdził Myrgyn - wygląda na to, że woli unikać otwartego starcia.

- Co by potwierdzało prawdziwość raportu o tym, że odeśłał swoje galeony... - Książę pokiwał głową. - Mając tylko osiemdziesiąt galer do dyspozycji, nie powinien dążyć do starcia z naszymi połączonymi flotami. Ale oddalanie się od Zatoki Skalistej Mielizny wydaje mi się... niepokojące.

- Sądzisz, wasza łaskawość, że próbuje nas wciągnąć w pułapkę?

- A na czym miałyby polegać owa pułapka? - zapytał książę Czarnej Wody. Frustracja w jego głosie nie była skierowana przeciw kapitanowi flagowca, o czym Myrgyn doskonale wiedział. Głównodowodzący machnął ręką, wskazując na długą kolumnę sprzymierzonych galer płynących powoli na południowy zachód. - Jeśli ten raport mówi prawdę, nie posiadają już niczego, czym mogliby nas zaatakować z zaskoczenia. A jeśli szpieg skłamał, jaki sens widzisz w odpływaniu w stronę przesmyku Darcos przed wydaniem nam bitwy?

- Może chodzi o to, byśmy nie uwięzili jego floty na wodach zatoki, wasza łaskawość - zasugerował moment później Myrgyn. Książę spojrział na niego z niedowierzaniem, unosząc brew. - Od początku zakładaliśmy, że Charisjanie będą walczyli o utrzymanie kontroli nad zatoką. Ale co będzie, jeśli się myliliśmy w tym względzie? Co będzie, jeśli Haarahld uznał, iż oddanie jej pod naszą kontrolę jest bardziej opłacalne?

- Teoretycznie tym samym umożliwiłby nam wysłanie kilku eskadr na rajd za wyspę Zamek - stwierdził książę Czarnej Wody po przemyśleniu sprawy. - Czy byłby zdolny do podjęcia aż takiego ryzyka?

- To zależy, jak wiele mogłyby zdziałać te siły. Gdybyśmy wysłali kilka galer do Zatoki Howella, moglibyśmy narobić ogromnych szkód. Ale jeśli Haarahld pozostawił tam część swojej floty albo ukrył ją za wyspą Zamek, by pilnowała północnego szlaku, musielibyśmy posłać tam znacznie większe siły, żeby osiągnąć zakładane cele.

- Co pozwoliłoby im na zajście od tyłu naszych sił głównych po tym, jak wydzielilibyśmy z nich wystarczająco silną eskadrę do wykonania tego zadania - dodał książę Czarnej Wody, kiwając głową ze zrozumieniem.

- Tę możliwość także powinniśmy wziąć pod rozwagę, wasza łaskawość - zgodził się Myrgyn. - Jeśli jednak Haarahld czeka na swoje galeony, będzie unikał walki do momentu ich

powrotu. I z pewnością nie zechce dać się zamknąć na wodach zatoki, na wypadek gdyby jego syn potrzebował pomocy na Morzu Charisjańskim.

- To samo pomyślałem przed chwilą — przyznał książę i zamyślił się jeszcze głębiej. - Jeśli Haarahld czeka na powrót Cayleba - dodał po chwili - być może jego ruch na południe wskazał nam kierunek, z którego się go spodziewa. Ostatnie, czego by sobie życzył, to nasza flota wpływająca pomiędzy niego a następcę tronu, ponieważ dzięki takiemu układowi sił mielibyśmy szansę na rozbicie obu jego formacji z osobna.

- Chyba że pomyślał o ataku z dwu stron - podpowiedział Myrgyn, na co książę Czarnej Wody roześmiał się na cały głos.

- Hrabia Sharpfieldu może nas serdecznie nienawidzić, Kehvynie, ale co do oceny Haarahlda i jego punktu widzenia na opłacalność podejmowanego ryzyka na pewno się nie myli. Miałby zaatakować nas z dwu stron nie mającymi ze sobą kontaktu formacjami, które znacznie ustępują nam liczebnie? Nie wiedząc, kiedy pojawi się druga część jego floty? - Głównodowodzący sił sprzymierzonych pokręcił głową. - Przecież ani jeden, ani drugi nie zorientują się, że atakujemy którąś formację, zanim bitwa dobiegnie końca. - Pokręcił głową, tym razem już bardziej zdecydowanie. - Nie, to zbyt skomplikowany plan, który mógłby się zrodzić co najwyżej w głowie człowieka pokroju Magwaira. Haarahld jest zbyt doświadczonego żeglarzem, by pisać się na podobne szaleństwa.

- Nie twierdziłem, że to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie, wasza łaskawość - usprawiedliwił się Myrgyn. - Zwróciłem jedynie uwagę, że istnieje też taka możliwość.

- Wiem. - Książę Czarnej Wody wyciągnął dłoń i poklepał kapitana po ramieniu. Publiczne okazywanie uczuć w jego wykonaniu było dość rzadkim widokiem. - Myślę też, że wskazałeś słuszny powód jego niechęci do pozostawania w Zatoce Skalistej Mielizny, zwłaszcza jeśli spodziewa się powrotu Cayleba.

- Jak daleko odpłynię, twoim zdaniem, wasza łaskawość, zanim zdecyduje się na podjęcie walki? - zapytał Myrgyn.

- Najprawdopodobniej nie dalej niż do przesmyku Darcos - odparł po chwili książę Czarnej Wody. - Tamtejsza warownia nie jest tak potężna jak cytadela na Zamku, ale powinna im wystarczyć na jakiś czas. A przesmyk Darcos niedaleko Przylądka Korony ma szerokość co najwyżej trzydziestu mil, i to podczas przyływu. Przy niskim stanie wody jest o wiele węższy, nie mówiąc już o tym, że kanał żeglugały robi się wtedy naprawdę wąski. Jeśli Haarahld wycofa się w głąb przesmyku, będziemy mieli sporo problemów, by go stamtąd wyciągnąć.

- Zawsze możemy okrążyć wyspę Srebrnym Przesmykiem i zejść go od tyłu - zauważył Myrgyn.

- Żeby to zrobić, musielibyśmy podzielić nasze siły — zaprotestował książę. - Musielibyśmy pozostawić część galei, żeby uniemożliwić mu ucieczkę na północ, dając tym samym okazję do uderzenia na wydzielone eskadry. Być może on właśnie na to liczy.

- A na co ty liczysz, wasza łaskawość? - zapytał kapitan flagowca, wpatrując się intensywnie w oblicze admirała.

- Na to, że okaże się głupcem i pozwoli na uwięzienie swoich sił w przesmyku Darcos, co pozwoli na podzielenie naszych sił - odparł książę Czarnej Wody. - Jeśli uda nam się zapędzić go na najwęższy odcinek, będziemy mogli pozostać na północy znacznie mniejsze siły, ponieważ przyjdzie nam pilnować równie wąskiego odcinka, jak im. A to oznacza, że zdołamy powstrzymać wszelkie próby wydostania się z cieśniny, mając do dyspozycji jedną trzecią, a kto wie, czy nie ćwierć naszych sił, podczas gdy reszta odpłynie wyspę, by zejść go od tyłu.

- Naprawdę sądzisz, że Haarahld okaże się aż takim głupcem, wasza łaskawość?

- Nie. Nie sądzę. Ale kto mi zabroni mieć nadzieję? Na razie mamy przed sobą sześćset mil rejsu do wyspy Darcos. Przy aktualnej prędkości zajmie nam to co najmniej pięćdziesiąt dni.

I chociaż nasi charisjańscy przyjaciele zachowują się w tym momencie nader powściągliwie, zapewniam cię, że uczynią wszystko, by urozmaicić nam tę podróż. Następne dni powinny być zaiste interesujące.

VIII

HMS Królewski Charis, Przesmyk Darcos

H

Haarahld z Charisu stał na kasztelu rufowym swojego okrętu flagowego, spoglądając na wschód, na horyzont, nad którym mrok rozświecilały w regularnych odstępach błyski przywodzące na myśl letnią burzę.

Ale to nie były błyskawice, więc zaciskał za każdym razem szczęki, zastanawiając się, jak wielu jego poddanych będzie musiało zginąć.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, polegnie tylko garstka, powiedział do siebie. Ale czy kiedykolwiek wszystko poszło zgodnie z planem?

- Komandor Nylz wie, co robi, wasza wysokość - wymamrotał kapitan Tryvythyn, a władca natychmiast odwrócił się do niego.

- Czy ja wyglądam na aż tak wyleknionego? - zapytał oschle.

- No, niezupełnie... Ale ja znam waszą wysokość znacznie lepiej niż reszta załogi, stąd wiem.

- To prawda - odparł Haarahld, nie tłumiąc śmiechu. - I masz rację. Ktoś musiał to zrobić.

- Otóż to, wasza wysokość - zgodził się Tryvythyn.

Kapitan flagowca pokłonił się i odszedł, pozwalając królowi na powrót do rozmyślań. A te, co ze zdziwieniem zauważył Haarahld, były już znacznie spokojniejsze.

Zaczerpnął tchu i zaczął raz jeszcze oceniać wydarzenia minionych jedenastu dni.

Księżę Czarnej Wody uparł się, by dopaść jego flotę i zniszczyć ją raz na zawsze. Prawdę powiedziawszy, Haarahld był zdziwiony nieustępliwością Corisandianina i stopniem kontroli nad połączonymi siłami, którymi dowodził. Po tym jak udało mu się pod osłoną nocy obejść prawą flankę floty księcia Czarnej Wody i przebić na północ, wielki admirał wykonał po prostu zwrot i ruszył za nim w pościg, kierując się na Zatokę Skalistej Mielizny. Nie rozproszył swoich sił, aby poszerzyć sieć, na co Haarahld skrycie liczył. Nie wysłał nawet w przód odizolowanych eskadr, żeby zwabić Charisjan i skłonić ich do ataku. Po prostu szedł w zwartym szyku, otoczony zwiadowcami, kontynuując niezmordowanie pościg. Pragnął doprowadzić do decydującej bitwy, ale na pewno nie był gotowy prosić wroga o podjęcie walki.

I mimo wielkiej biegłości Haarahlda w robieniu uników i niespodziewanych zwrotów Corisandianin z każdym dniem skracał dystans dzielący obie floty.

Galery Charisu były o wiele większe od tych, którymi dysponowali wrogowie, lepiej się też sprawowały na otwartym morzu. Niestety, oznaczało to także, że szły wolniej na samych wioślach, a znajdowały się na wodzie już od ponad trzech miesięcy, z wyjątkiem krótkich pobytów w portach w celu uzupełnienia zapasów wody. Dna ich kadłubów porośły już tak bardzo, że dodatkowo spowalniały tempo.

Za to pod żaglami sprawowały się znacznie lepiej, ponieważ dysponowały większą powierzchnią płótna. Tyle tylko, że teraz płynęły pod wiatr i musieli przejść na wiosła. I dlatego tuż przed zachodem słońca najbardziej wysunięte galery księcia Czarnej Wody znalazły się w odległości zaledwie dwudziestu pięciu mil od okrętu flagowego Haarahlda. Muszą się dostać na południe od niego, abym mógł znów wykorzystać żagle, pomyślał Haarahld, raz jeszcze spoglądając na coraz jaśniejsze rozbłyski nad horyzontem. Ale to powinien być już ostatni raz.

Pragnął zejść pod pokład, byle dalej od tych milczących błyskawic, lecz nie potrafił się ruszyć z miejsca. Komandor Kohdy Nylz i jego eskadra zaatakowali wielokrotnie liczniejszego

przeciwnika tylko po to, by ksiązę Czarnej Wody pomyślał, że siły Haarahlda znów próbują obejść jego flotę bokiem, tym razem od wschodu, a nie od zachodu, jak to za-planował. Król, który posłał tam tych wszystkich ludzi, tyle tylko mógł dla nich zrobić - stać tutaj i patrzeć.

IX

Galera Corisand, Przesmyk Darcos

Książę Czarnej Wody wyszedł na pokład po skróconym śniadaniu i spojrział ponuro za burzę.

W normalnych warunkach widok, który zobaczył, budził-by jego zadowolenie. Dwie wielkie galery płynęły po bakbur- cie Corisandu. Na bliższej pod biało-pomarańczowym pro-porcem Corisandu powiewał złoto-czarny sztandar Charisu. Nad drugim wyżej unosiły się srebrne waleniszczyciele na niebieskim tle Chisholmu. To były pierwsze znaczące zdobycze jego floty. Pierwsze raporty, jakie otrzymał na ich temat, mówiły wyraźnie o dziwnym sposobie montowania dział na ich pokładach.

Dziwaczne czy nie, pomyślał ponuro, najwyraźniej sprawa-wiają się dużo lepiej niż nasze. Przechwycenie tych dwóch okrętów i zniszczenie trzeciego kosztowało go utratę czterech własnych galer. Ogółem stracił ich aż sześć, ale dwie powinno dać się wyremontować. Co do czterech pozostałych, jedna zatonała na miejscu, a trzy zostały zamienione w dymiące wraki. Musiał wydać rozkaz ich spalenia po podjęciu wszystkich rozbitków.

Mimo to dwie trzecie charisjańskiej eskadry zdołało się oddalić i uciec z pola walki. Straty dwa do jednego, pomyślał książę. Niestety, nie wiemy nawet, dlaczego trzecia galera Charisjan zaczęła się palić i eksplodowała, więc nie możemy liczyć, że powtórzy się to w przyszłości.

Nie przejmował się jednak skutkami tego starcia. Dysponował przecież znacznie większą liczbą jednostek niż Haarahld, chociaż książę Hektor nie będzie specjalnie zadowolony, gdy po ostatecznym rozgromieniu potęgi Charisu zostanie mu co najwyżej tuzin mocno pokiereszowanych galer.

- Dzień dobry, wasza łaskawość.

- Dzień dobry, Kełwynie. - Książę odwrócił się do kapita-na flagowca stojącego w zupełnie przemoczonych spodniach. - Czyżbyś miał jakąś przygodę dzisiejszego ranka? - zapytał spokojnie, unosząc pytająco brew.

- Nie trafiłem zbyt dobrze, gdy skakałem z łodzi na wej-ściówkę, wasza łaskawość. Myrgyn uśmiechnął się krzywo, ale książę pokręcił głową, to wcale nie było zabawne. Złe wyliczenie skoku pomię-dzy niewielką szalupą a szczeblami przytwierdzonymi do burty okrętu, po których ludzie wspinali się na pokład, mo-gło mieć fatalne skutki. Niejeden marynarz ginął zmiądzdo-ny przez rzuconą nagłą falą łódź, gdy uderzała z impetem

0 burzę. Wielu też zostawało zmytych mocniejszymi falami

1 wciągniętych pod stępkę, gdzie tonęli. Sam książę Czarnej Wody omal nie zginął w podobny sposób za młodu.

- Dobrze, że skończyło się tylko na zamoczeniu ubrania - powiedział kapitanowi flagowca, potem rzucił okiem na oba przyzy. - Co o nich sądzisz?

- Przyznam, że jestem... pod wrażeniem, wasza łaska-wość - oświadczył Myrgyn, poważniejąc. - I zaczynam ro-zumieć, co się przydarzyło baronowi Warowni Tanlyr. Te galery są większe od naszych, ale tego się oczywiście spo-dziewałem. Jednakże ich działa to zupełnie inna sprawa. - Kapitan okrętu flagowego pokręcił głowę. Na jego twarzy po-dziw mieszał się z rozgoryczeniem. - Zastanawiam się, dla-czego nikt inny nie wpadł na to wcześniej, wasza łaskawość. Armaty burtowe mają krótsze lufy i są lżejsze, o wiele lżej-sze. Prawdę powiedziawszy, wyglądają jak krakeny, którym ktoś upiłował lufy, dlatego można je montować tam, gdzie do tej pory znajdowały się wyłącznie sokoły. No i mają te... trzpienie po obu stronach, zupełnie jak zaczepy stosowane na bloczkach. - Ręce Myrgyna poruszały się,

jakby głąskał niewidzialny przedmiot zawieszony w powietrzu przed nim. - Dzięki nim mogą podnosić i opuszczać lufy. Nawet proch, którego używają, różni się od naszego.

- Różni się? Jak to możliwe?

- Wygląda jak... granulki, wasza łaskawość. Jak ziarnka piasku, a raczej jak kryształki soli.

- Hmm... - Książę Czarnej Wody zmarszczył brwi, próbując wyobrazić sobie opisywane przez Myrgyna granulki.

- Odkryłem też, jakim cudem mogli strzelać tak szybko, wasza łaskawość - dodał kapitan, a książę natychmiast nadstawił ucha. -1 jest to kolejna rzecz, na którą z niezrozumiałych dla mnie przyczyn nikt jeszcze nie wpadł - stwierdził kapitan flagowca. - Oni zaszywają ładunki do dział w sportowe woreczki. Ubijają je na spodzie lufy jednym ruchem wy-ciora, zamiast używać czerpaków. No i zamontowali na tych działach jakiś rodzaj... mechanizmu. Wygląda jak niewielki młoteczek, z kawałkiem krzemienia zamiast głowni. Odciągają go, a gdy są gotowi do oddania strzału, zwalniają zapadkę, pociągając za sznurek, i krzeszą iskry na panewce, zamiast stosować lont albo rozgrzane żelazo.

Książę Czarnej Wody skrzywił się. Od dawna wiedział, że Charisjanie mają łeb do wynalazków. Po części dlatego wzbudzili taki okropny gniew wielkiego inkwizytora. Zaczynał już rozumieć, mimo iż tłumaczenia Myrgyna były dalekie od doskonałości, jakim cudem te osiem galer potrafiło dokonać tak wielkich zniszczeń, zanim zostały odparte. Nie, zganił się w myślach. Nie odparliśmy ich, odpłynęły z własnej nieprzymuszonej woli, gdy wykonały zadanie z jakim je tutaj przysłano.

- To bardzo interesujące, Kehvynie. Mówię poważnie. Byłbym ci niezwykle wdzięczny, gdybyś naszkicował mi te zmiany, o których przed chwilą wspomniałeś, abym mógł zapoznać się z nimi dzisiaj po południu. Teraz powiedz mi, co wiemy o reszcie okrętów Haarahlda?

- Jest tak, jak mówiłeś zaraz po wschodzie słońca, wasza łaskawość - odparł Myrgyn, krzywiąc się niemiłosiernie. - Miałaś rację, to była dywersja. W czasie gdy my obserwowaliśmy wody na wschodzie, flota Haarahlda prześlizgnęła się od zachodu. Znajduje się teraz około dwudziestu mil na południe od naszego zgrupowania i oddala się, wolno, ale nieustannie, dzięki pomyślnym wiatrom.

- Żeby go Shan-wei wzięła - mruknął książę Czarnej Wody o wiele łagodniejszym tonem, niż powinien, kręcąc przy tym głową z widocznym uznaniem. - Znow będziemy musieli uganiać się za nim aż do wyspy Darcos.

- Naprawdę chcesz tak zrobić, wasza łaskawość? - zapytał nieśmiało Myrgyn, a książę zmierzył go natychmiast surowym wzrokiem. - Sam przecież mówiłeś na początku tego pościgu, że jeśli oni czekają na powrót Cayleba z południa, a my nie dopadniemy ich szybko, to nie zdołamy zapobiec połączeniu ich sił, gdy galeony tu w końcu przybędą.

- One albo flota księcia Malikai - poprawił go książę Czarnej Wody. - Pamiętasz chyba, że on także powinien przybyć z tamtego kierunku.

- Z całym szacunkiem, wasza łaskawość. Książę Malikai jest już spóźniony prawie miesiąc. Istnieje wprawdzie szansa, że jeszcze przybędzie, ale jeśli te galeony mają na pokładach tak wielką liczbę dział podobnych do tych, które przejeśliśmy, a to mówiły raporty naszych szpiegów, i jeśli zdołały odszukać flotę Dohlaru i Tarota, książę Malikai mógł ponieść znaczące straty. Te galery - machnął ręką w stronę burty - mają zaledwie po tuzinie dział. Jeśli wierzyć naszym agentom, na galeonach jest ich po czterdzieści.

- Wiem.

Przez moment na twarzy głównodowodzącego dało się zauważyć dręczący go smutek, którego nie chciał okazywać. Potem zaczerpnął głęboko tchu i wziął się w garść.

- Wiem - powtórzył. - Ale jak widziałeś, zdołaliśmy zatopić trzecią część ich galer minionej nocy, a Cayleb miał przeciw sobie znacznie większą przewagę liczebną sił księcia

Malikai niż my podczas ostatniego starcia. Masz zapewne rację co do przewagi ogniowej, jaką mają te galeony, ale one także musiały ponieść spore straty, a przecież nie było ich wcale tak wiele.

- Za pozwoleniem, wasza łaskawość, mam nadzieję, że i tym razem się nie mylisz - rzucił Myrgyn, uśmiechając się krzywo.

- Ja również - przyznał głównodowodzący sprzymierzonych flot. - Bez względu na to, jak wyglądają te ich galeony, jedno jest pewne: nie udało im się zainstalować tych dziwacznie wyglądających dział na wszystkich galerach. Gdyby je mieli, zapewne zaatakowałyby minionej nocy większą siłą. No i nie uciekałyby przed nami, gdyby je mieli na pozostałych okrętach tej eskadry! - Zaśmiał się okrutnie, spoglądając na oba przyzy, a potem pokręcił głową. - Według mnie, napa-kowali tymi nowymi działami swoje galeony - dodał. - A to oznacza, że jeśli dopadniemy tego śliskiego drania Haarahlda, mamy spore szanse na ostateczne rozbicie jego sił. Tyle tylko, że musimy się pośpieszyć i dokonać tego, zanim galeony powrócą z Morza Parkera.

- Szczerze mówiąc, wasza łaskawość — odparł Myrgyn z zatroskaną miną, wolno cedząc słowa - zaczynam podejrzewać, że galery powoli odchodzą do lamusa.

- Wydaje mi się, że masz rację - przyznał książę Czarnej Wody ze smutkiem. - A co gorsza, my nie mamy własnych galeonów. Ale jest też dobra wiadomość: Charisjanie nie dysponują zbyt wielką liczbą tych jednostek, a my możemy przy-stąpić do ich budowania choćby zaraz, skoro poznaliśmy już tajemnice ich szybkostrzelnej artylerii.

- Racja, wasza łaskawość. - Kapitan okrętu flagowego skinął głową. - Dlatego zastanawiam się, czy ściganie i niszczenie floty Haarahlda ma w takiej sytuacji jakiegokolwiek sens. - Admirał spojrział na niego karcąco, więc wyjaśnił: - Jeśli nawet rozgromimy galery Charisu, zatopimy je albo przejmujemy, pozbawimy go okrętów, które i tak za rok albo dwa nikomu nie będą potrzebne.

- Aha. Rozumiem, do czego zmierzasz - stwierdził książę Czarnej Wody, ale zaraz pokręcił głową. - Podam ci dwa powody, dla których powinniśmy dogonić i rozgromić siły Haarahlda. Po pierwsze: nie mamy pojęcia, co się dzieje z Caylebem. Być może poniósł sromotną porażkę w starciu z księciem Malikai i baronem Białego Brodu. Jeśli nawet wyszedł z bitwy zwycięsko, musiał ponieść spore straty, wystarczająco wysokie, by nawet te cudaczne armaty, którymi są napakowane jego okręty, nie zdołały powstrzymać nas przed dokończeniem dzieła. Po drugie: jeśli następcą tronu powróci tutaj z siłami, których nie będziemy mogli pokonać w otwartej bitwie dopóty, dopóki nie stworzymy własnego odpowiednika galeonów, musimy zniszczyć przynajmniej tę część floty Charisu. Na pokładzie jednej z tych galer znajduje się król Haarahld. Jeśli uda nam się go zabić albo jeszcze lepiej: pojmać, konsekwencje tego sukcesu będą nieodwracalne. Ale nawet bez tego uda nam się wyeliminować tysiące niezwykle doświadczonych żeglarzy i oficerów. A to właśnie oni mogliby stanowić załogi nowo budowanych galeonów. Musimy zabić jak najwięcej charisjańskich marynarzy, dopóki nasze okręty dorównują ich jednostkom, aby pozbawić wroga najbardziej wykwalifikowanych kadr.

Myrgyn spoglądał na admirała przez dłuższą chwilę, potem skinął głową z wielkim szacunkiem.

- Nie wybiegałem myślami aż tak daleko, wasza łaskawość. - Na jego twarzy pojawił się błydy uśmiech. - I dlatego ty tu jesteś admirałem, nie ja.

- Cóż — odparł książę Czarnej Wody, uśmiechając się na swój sposób. - Między innymi dlatego nim zostałem. Chyba.

- Pozostaje jeszcze jedna, niezbyt miła kwestia, wasza łaskawość. Co się wydarzy, jeśli Cayleb powróci w najmniej odpowiednim momencie? - zapytał kapitan flagowca.

- Nasze jednostki zwiadowcze patrolują północ, a okręty Haarahlda są na południe od nas - przypomniał książę Czarnej Wody. - Jeśli Cayleb pojawi się od południa, zawrócimy i

wycofamy się na północ. Znając te ich nowe rozwiązania takielunku, mogę powiedzieć jedno: galeony lepiej sobie radzą w halsie, ale prosto pod wiatr na pewno nie pójda, a my możemy to zrobić na samych wiosłach.

- A jeśli się mylisz, wasza łaskawość, i pojawiają się od północy?

- Wtedy nasze jednostki zwiadowcze powiadomią nas o tym na długo przed tym, nim Haarahld pozna prawdę - odparł księżę Czarnej Wody. - W takim wypadku popłyniemy prosto na Srebrny Przesmyk. Powinniśmy mieć wystarczająco dużo czasu, by minąć flotę Haarahlda, zanim zorientuje się, co robimy, jeśli natychmiast przerwiemy pościg i skoncentrujemy się na wycofaniu naszych flot. A jeśli Charisja nie ruszą, by odciąć nam drogę ucieczki - admirał wzruszył ramionami - przebijemy się przez nich, zadając tyle strat, ile tylko się da.

X

Cieśnina Darcos

N

ie tknąłeś, wasza wysokość, kolacji - zauważył Lachlyn Zhessyp.

Król Haarahld oderwał wzrok od okien na rufie, słysząc słowa skargi padające z ust sługi.

- Czy coś ci nie smakowało, wasza wysokość? - zapytał lokaj z wyrzutem, zbierając talerze ze strawą na tacę, na co król odpowiedział uśmiechem i zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, wszystko było dobre, jak zawsze zresztą - odparł cierpliwie, ignorując szeroki uśmiech sierżanta Haarpara, gdy ten, stojąc na warcie przy drzwiach królewskiej kajuty, otwierał drzwi przed Zhessypem. - I nie, nie mam żadnych pretensji do kucharza. I nie, nie jestem chory. I nie, nie masz mi przynosić przekąsek późnym wieczorem.

Lokaj spojrział na niego udręczonym wzrokiem męczennika, na jaki mogli sobie pozwolić tylko najbardziej zaufani i oddani słudzy, sprawiając, że król westchnął ciężko.

- Obiecuję ci za to - dodał Haarahld - że rano zjem ogromne śniadanie. No. Czy teraz czujesz się lepiej?

- Zdaje mi się - odparł Zhessyp z godnością - że nie powinienem wymuszać na tobie obietnic.

Zabrał tacę i opuścił kajutę króla, zadzierając przy tym znacząco nos. Haarpar przytrzymał drzwi i wyszczerzył zęby jeszcze bardziej, gdy naburmuszony lokaj minął próg.

- Wiesz, Gorj - rzucił krótko król - najgorsze jest to, że on tak naprawdę myśli.

- Jak również to, wasza wysokość — dodał strażnik - że zawsze uważa, iż wie lepiej.

- To prawda. - Haarahld uśmiechnął się i pokręcił głową. - Dobrej nocy, Gorj.

- Dobrej nocy, wasza wysokość. - Żołnierz przyłożył pięść do ramienia w salucie, potem zamknął za sobą drzwi.

Haarahld spoglądał w tamtą stronę jeszcze prawie przez minutę, a gdy wstał, by wyjść na pomost rufowy Królewskiego Charisu, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Spojrzał w niebo, na wąski sierp księżyca połyskującego na wschodzie. Z dołu dobiegały melodyjne bulgoty wywołane przez ruch kadłuba oraz rytmiczny plusk fal

obmywających burty flagowca. Gwiazdy świeciły jasno nad głową króla, a ożywczy, nieco chłodniejszy wiatr wiał teraz nieco bardziej na zachód niż wcześniej.

Zapowiadała się piękna, choć ciemna noc. Haarahld przeniósł spojrzenie na światła płynących za Królewskim Chari-sem galer. Wszyscy ludzie na ich pokładach gotowi byli wykonać każdy jego rozkaz. I czynili to z wielką ochotą, gdyż ufali mu i wierzyli, że racja jest po ich stronie. Ale daleko za nimi, za horyzontem znajdowały się inne okręty, o których wiedział, choć nie był w stanie dostrzec ich świateł. Okręty które nieustannie się zbliżały.

Już niedługo, naprawdę niedługo, będzie musiał podjąć kolejną decyzję, czy wycofać się w głąb cieśniny Darcos, czy po raz kolejny wykonać manewr oskrzydłający i próbować przejść obok sił księcia Czarnej Wody. Nie zamierzał płynąć dalej na południe, niż było to konieczne

- gdyby wszedł na Morze Środkowe, bez względu na inne czynniki nie znalazłby tam bazy

mogącej się równać choćby z niedoskonałą przecież warownią na wyspie Darcos. Ale książe Czarnej Wody wciąż siedział mu na karku, a szanse na zrobienie w bambuko kogoś tak szczwanego jak corisandzki admirał malały z każdym kolejnym unikiem, który wykonywał. Ale nie tym się przecież zamartwiasz, powiedział do siebie, wpatrując się w noc.

Największym problemem, który cię gnębi, jest to, czy idąc tak daleko na południe, nie psujesz szyków Merlinowi i Caylebowi, opóźniając ich przybycie. Przecież zgodnie z ich wyliczeniami, powinni natrafić na zwiadowców księcia Czarnej Wody już przedwczoraj. Uśmiechnął się, ale niewiele było w tym grymasie humoru i zadowolenia. Oparł dłonie na relingu i pochylił się do przodu, by odciążyć prawe kolano.

Był pewien, że wszyscy oficerowie i marynarze już dawno zaczęli się zastanawiać, jaki sens ma to ganiecie się z wrogiem od Morza Charisjańskiego po przesmyk Darcos. Chciałby im to wyjaśnić, bardzo by chciał. Ale jak miał poświadomić najbardziej nawet zaufanych oficerów, że zdecydował się na taką właśnie strategię - i związaną z nią nadzieję na ocalenie Korony, a także życia ich bliskich, nie mówiąc już o nieśmiertelnych duszach - służąc komuś, kto może okazać się demonem?

Roześmiał się pod nosem i pokręcił głową, przypominając sobie minę Athrawesa stojącego tutaj, na tym pomoście-

Jedno mógł powiedzieć o Merlinie: na pewno nie był istotą wszechwiedzącą. Chyba właśnie dlatego Haarahld zdecydował, że może mu zaufać, aczkolwiek nigdy nie odważył się tego powiedzieć seijinowi, czy kim on tam jest naprawdę.

Merlina można było zaskoczyć. Co znaczyło, że musiał także popełniać błędy. Z pewnością nie potrafił też ukryć swoich uczuć. Może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. A może tylko bliscy przyjaciele umieli w nim czytać jak w otwartej księdze. Niemniej Haarahld już dawno temu zorientował się, że Merlin jest straszliwie samotnym człowiekiem. Mocno skrzywdzonym, ale nie poddającym się bólowi. I bez względu na pochodzenie oraz posiadane moce, od razu przyznał się, co jest jego prawdziwym celem, gdy rozmawiali po raz pierwszy na początku ich znajomości.

On naprawdę może być demonem, pomyślał Haarahld Ahmahk, spoglądając na idealnie czyste niebo będące dziełem rąk Stwórcy, którego wielbił. Jeśli to prawda, jeśli nie powinienem być go słuchać, wybac mi, Panie. Ale po prawdzie nie uważam, bym miał do czynienia z demonem. A zatem pozostaje tylko jedno rozwiązanie: to Ty go przysłałeś, czymkolwiek jest. Nie przypomina archaniola, o jakim mnie uczone. Król uśmiechnął się w ciemnościach. Z drugiej jednak strony domyślam się, że mogłeś wysłać, kogo zechcesz, aby nauczyć pokory tych bękartów rządzących dzisiaj Świątynią. Jeśli Twoją wolą jest, abym ujrzał ich upadek, umrę jako szczęśliwy człowiek. A jeśli nie, to i tak wiem, że ludzie ginęli ze znacznie gorszych powodów.

Nie była to modlitwa z gatunku tych, które aprobowała Rada Wikariuszy. I nie chodziło bynajmniej o jej treść. Ale to akurat mało obchodziło króla Haarahlda VII z Charisu.

To dziwne, pomyślał. Pomimo lęku o spóźniającego się Cayleba, pomimo faktu, że Grupa Czworoga podjęła decyzję o wymazaniu Korony z mapy świata, nawet mimo że zdawał sobie sprawę, iż pokonanie sił sprzymierzonych zaowocuje gniewem kleru i wysłaniem za jakiś czas znacznie większych sił, czuł w głębi duszy zadowolenie. Nie był ślepy na konsekwencje bieżących wydarzeń. Jeśli przegra tę wojnę, konsekwencje dla niego oraz wszystkich, których kochał, będą katastrofalne. A jeśli wygra, sprowadzi na Charis kolejną pożogę i następne.

Wątpił, czy dożyje końca tytanicznych starć, które dopiero się rozpoczynały. Ale może uda się to Caylebowi. Albo Zhanowi czy Zhanayt. A może dopiero jego wnukom. Niemniej to do niego należy rozpoczęcie tej wojny. To on da szanse swoim wnukom, których być może nigdy nie ujrzy, na życie w wolnym świecie, gdzie źli i sprzedajni ludzie nie będą mogli

narzucac swojej woli innym, ukrywajac sie za obliczem Boga Jedyneho, i wykorzystywaac wiary w Niego dla swoich niegodnych celow.

Biedny Merlin, westchnal. Tak sie obawial, ze przejrze jego plany! Ciekawe, czy choc raz pomyslal, ze jestem zawsze o krok przed nim?

Zbliza sie moment, w ktorzym powinniśmy zasiac do stołu, aby pomowic otwarcie i szczerze, uznal. Czas skonczyc z tym udawaniem. Jesli przestaniemy sie krygowaac i kryc za dyplomatycznymi frazesami, byc moze uda sie...

Myśl króla przerwało nagle wibrowanie pagera przytwierdzonego do jego przedramienia.

Ksiązę Cayleb i Merlin pochylali się nad stołem nawigacyjnym. Ksiązę skupionym wzrokiem przyglądał się rozłożonym na niej miedzianym monetom, których seijin używał do zaznaczania pozycji jednostek.

- Zatem ich główne siły są tutaj. - Następca tronu postukał palcem w mniej więcej prostokątny obszar wyznaczony czterema monetami oznaczającymi jego rogi.

- Tak. - Merlin odsunął się, złożył ręce na piersi i spojrzął na zamyślnego Cayleba. Mimo wielkiego napięcia, jakie im towarzyszyło w tej chwili, Athrawes poczuł nieprzewartą chęć roześmiania się, gdy usłyszał roztargniony ton księcia. Następca tronu był wściekły z powodu przeciwnych wiatrów, które opóźniły ich przybycie o kilka dni. Ale teraz jego frustracja przerodziła się w coś jeszcze; tak bardzo skupił się na czekającym go zadaniu, że nie interesowało go wcale, jak i kiedy Merlin zdobył te informacje. Nie zapytał nawet, czy seijin poinformował jego ojca o przybyciu eskadry.

- A to - dłoń Cayleba przesunęła się nad długim łukiem ułożonym z monet na północ od głównych sił księcia Czarnej Wody - są jego okręty zwiadowcze.

- Tak - powtórzył Athrawes. Ksiązę wyprostował się, ale wciąż marszczył brwi.

- Jeśli twoje dane są dokładne, to pozwolił swoim zwiadowcom za bardzo odbić na północ - powiedział. - No i znajdują się zbyt daleko od siebie.

- To prawda - przyznał Merlin. - Ale dzisiaj mamy czystą noc, każdy wystrzał armatni będzie widoczny z o wiele większej odległości.

- Racja. Ale... - Cayleb oderwał wzrok od mapy i uśmiechnął się paskudnie - my nie musimy strzelać z armat.

- Co masz na myśli? - zapytał Athrawes.

- Cóż - ksiązę także złożył ręce na piersi - oni korzystają z lekkich jednostek.

Najprawdopodobniej mają tam jedynie niewielkie statki kurierskie. A te są zazwyczaj uzbrojone w kilka wilków.

Merlin skinął głową. „Wilkami” nazywano w charisjańskiej marynarce niewielkie działa o kalibrze poniżej dwóch cali. Tego rodzaju artyleria - Dreadnought miał podobne działa na górnych pokładach — służyła głównie jako broń przeciw załodze. Była czymś w rodzaju wielkokalibrowych shotgunów, tyle że wypluwających pojedyncze kule. Stosowano ją do ostrzału łodzi i oddziałów abordażowych

- Myślę - ciągnął tymczasem Cayleb - że gdyby temu stateczkowi - wyciągnął rękę, by wskazać jedną z monet palcem - przydarzył się straszliwy wypadek podczas Czuwania Langhorne'a, pomiędzy tymi dwiema jednostkami powstanie ogromna wyrwa. - Postukał palcem w kolejne monety. - Co znaczy, że jeśli nawet nas zauważą, nie będą mogły przekazać tej wiedzy księciu Czarnej Wody. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zdołamy podejść do jego floty na jakieś dziesięć mil pomiędzy zachodem księżycy a świtem.

Merlin przyjrzał się mapie i pokiwał głową.

- A jak zamierzasz sprowokować ów straszliwy wypadek? - zapytał spokojnie.

- Cieszę się, że o to zapytałeś - odparł Cayleb, szczerząc wszystkie zęby w uśmiechu.

Muszą porozmawiać z tym chłopakiem o granicach ryzyka, jakie powinni podejmować dowódcy floty, stwierdził Merlin trzy godziny później, stojąc na pokładzie rufowym szkunera o wdzięcznej nazwie Mewa.

Była to jedna z największych jednostek tego typu, którą przydzielono do eskadry Cayleba. Zamontowano na niej dwanaście karonad, po sześć na każdej burcie, tyle tylko, że w przeciwieństwie do dział Dreadnoughta te miały kaliber co najwyżej pięć i pół cala i mogły wystrzelić pociski o masie nie przekraczającej dwudziestu trzech funtów. Były zatem o wiele słabsze od artylerii na galeonach, ale zarazem biły na głowę każde uzbrojenie, jakie do tej pory montowano na tak małych jednostkach.

Jednakże w tym momencie siła ognia nie liczyła się wcale. Gładkopokładowy szkuner o długości niespełna dziewięćdziesięciu stóp wypełniali żołnierze piechoty morskiej.

Caylebowi udało się upakować na nim dodatkowych osiemdziesięciu wojaków, nie licząc jego samego, Merlina i reszty straży przybocznej.

- Nie powinieneś brać w tym udziału - wyszeptał seijin prosto w ucho księcia. Stali obaj obok sternika, który pochylił się teraz mocno, by przesunąć rumpel.

- Nie powinienem? - odparł Cayleb równie cicho, a jego zęby zaśniły śnieżną bielą w przydymionym blasku księżycy.

- Nie - powiedział Merlin najspokojniej jak potrafił. - Wystawienie się na strzał i śmierć podczas tak niewielkiej potyczki jest oznaką głupoty, nie śmiałości.

- Ojciec zawsze mówił, że jestem zbyt śmiały, co w jego mniemaniu było synonimem głupoty - stwierdził następca tronu.

- Mądrego masz ojca, nie powiem - rzucił Merlin.

- To prawda - zgodził się Cayleb. - Ale tutaj akurat powinienem być. Chyba że potrafisz wytłumaczyć kapitanowi tego okrętu, skąd wiesz, gdzie powinniśmy płynąć. Merlin otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął i tylko patrzył na księcia badawczo. Niestety, Cayleb miał rację. W tym momencie nie było człowieka w tej eska-drze, który wątpiłby w to, że ich książę potrafi wywęszyć każdego wroga. Przestali się dziwić, znajdując okręty tam, gdzie zapowiedział, i byli gotowi iść za nim choćby na koniec świata. Dzięki temu udało mu się odwrócić uwagę ludzi od działań i wkładu Merlina. Na dłuższą metę to powinno się opłacać, ale teraz seijin miał spore obawy o los księcia podczas tak ryzykownego wypadu.

Daj spokój, zganił się w myślach. Przecież to nie jest żaden wypad. Poza tym Cayleb ma rację. Jeśli usuniemy tę jednostkę, książę Czarnej Wody będzie miał naprawdę przykrą niespodziankę, gdy wszędzie słońce.

To nie ulegało wątpliwości, ale Merlin miał w głowie sporo przykładów niezwykle istotnych postaci historycznych, które zginęły na polu chwały, wykonując istotne, ale niekoniecznie należące do nich zadania.

- Cóż - wyszeptał w ucho księcia - skoro ty masz być tym, który wszystko wyjaśnia kapitanowi, lepiej mu powiedz, żeby odbił półtora rumba na sterburtę.

- Aye, aye, sir - odparł Cayleb, uśmiechając się ironicznie, i od razu ruszył w stronę kapitana szkunera, od dłuższej chwili obserwującego żagle.

Lekka galera Chochlik sunęła jak widmo po kolejnym od-cinku niekończącej się trasy patrolu. Szmaragdзка załoga nie darzyła specjalną estymą księcia Czarnej Wody.

Lekceważyla też, kiedy mogła, rozkazy, na mocy których podporządkowano flotę księstwa corisandzkemu dowództwu. A już najbardziej miała gdzieś te komendy, przez które tkwiła na otwartym morzu od ponad trzech i pół pięciodni.

Wszyscy ludzie z załogi, a było ich na pokładzie siedemdziesięciu dwóch, zdawali sobie sprawę, że tkwią na tym pa-trolu głównie przez nadmierną ostrożność admirała. Cóż, istniały wprawdzie szanse na to, że nieobecne z nieznanых przyczyn galeony Charisu pojawią się

nagle i spróbują zająć połączone floty od północy, ale taka możliwość była trudna do wyobrażenia. Zwłaszcza w świetle tego, że charisjańskie galery spieszyły teraz na południe. Marynarze z Chochlika nie kwestionowali potrzeby chronienia tyłów własnej floty, nie rozumieli tylko, dlaczego akurat im przypadł ten wąpliwy zaszczyt.

Kapitan rozkazał, by zrefowali jedyny żagiel tuż po zachodzie słońca. Wprawdzie siła wiatru nie groziła okrętom, ale dowódca wyliczył, że jeśli mają utrzymać wyznaczoną pozycję po nawietrznej od wielkich i powolnych galer, muszą nieco zwolnić tempo marszu. Zszedł też pod pokład po sutej wieczery, przekazując służbę drugiemu oficerowi i dając okazję większości załogi na złapanie kilku godzin snu przed kolejnym długim i nudnym dniem zabawy w kotka i myszkę.

- Tam - wyszeptał Cayleb prosto w ucho kapitana, wskazując na zawietrzną.

Szkuner szedł właśnie halssem na sterburtę, sunąc ostro przy sprzyjającym wietrze, a tam, gdzie wskazywał palec księcia, pojawiły się światła pozycyjne niewielkiej jednostki. Księżyc już zaszedł, a charisjański okręt, idący w całkowitym zaciemnieniu tylko na kliwrach i fokach, podkładał się cichcem do wrogiej galery.

Szmaragdka jednostka kurierska była mniejsza od Mewy, mierzyła nieco ponad sześćdziesiąt stóp długości. Światła rurowe ujawniały jej dokładną lokalizację. Kapitan szkunera skinął księciu głową.

- Już ją widzę, wasza wysokość - wyszeptał w odpowiedzi, a usta Cayleba ułożyły się w uśmiech, gdy usłyszał czysty podziw w głosie doświadczonego żeglarza.

- Podejź do jej burty, jak zaplanowaliśmy - odparł, szybko tłumiąc zadowolenie.

- Aye, aye, wasza wysokość.

Kapitan dotknął ramienia w salucie, który Cayleb przyjął skinieniem głowy, a potem wrócił na swoje miejsce, pomiędzy Merlina i Ahrnahlda Falkhana.

- A kiedy ustawimy się burta w burtę z tą jednostką - odezwał się Athrawes wystarczająco głośno, by usłyszał go też porucznik - pozostaniesz, wasza wysokość, tutaj, na pokładzie Mewy.

- Oczywiście - odparł następca tronu raczej nieobecny tonem, obserwując, jak szkuner zmienia powoli kurs, podchodząc do niczego nie spodziewającej się galery na mniej niż kilkaset jardów.

- Mówię poważnie, Caylebie! - oświadczył Merlin. - Nie mam zamiaru tłumaczyć się razem z Falkhanem, dlaczego pozwoliliśmy ci zginąć podczas przejmowania nic niewartej łódki. Zrozumiano?

- Oczywiście - powtórzył książe, a seijin spojrzał znacząco na Ahrnahlda.

Porucznik pokręcił głową, nie spuszczać wzroku, potem wskazał na sierżanta Faircastera. Krępy, ale masywnie zbudowany oficer stał za plecami następcy tronu, gotowy w każdej chwili pochwycić swojego pana w żelazny uścisk, gdyby to był jedyny sposób na powstrzymanie go przed opuszczeniem pokładu.

I to, pomyślał Merlin, naprawdę dobry pomysł.

- Teraz!

Sternik Mewy wychylił rumpel mocno na nawietrzną i szkuner podszedł ostro do burty Chochlika. Któryś z członków załogi zauważył nadpływającą jednostkę w ostatniej chwili, podniósł alarm, ale było już za późno.

Wystrzelono haki, które wgrzyły się w burtę Chochlika i połączyły obie jednostki. Wachtowi przebywający na pokładzie - a nie było ich więcej niż tuzin - odwrócili się jak na komendę, patrząc z trwogą na wyłaniające się z ciemności kształty. Przy burcie Mewy stał zwarty szereg żołnierzy z muszkietami przygotowanymi do strzału. Założone na ich lufy bagnety połyskiwały złowieszczo, odbijając światło rzucone przez latarnie pozycyjne galery, gdy przesadzali nad burcie, aby dostać się na pokład Chochlika.

Pchnięcie bagnetem, mocne uderzenie kolbą. Rozległo się kilka zduszonych krzyków, ale nie padł ani jeden strzał. Walka zakończyła się w mniej niż trzydzieści sekund. Uwięzioną pod pokładem reszta załogi potrzebowała znacznie więcej czasu na zrozumienie swojej sytuacji, podobnie jak kapitan, który w końcu poddał swój okręt. W trakcie abordażu ranośno siedem osób, w tym tylko dwie śmiertelnie.

Całkiem udana, choć niewielka operacja, podsumował Merlin. A najlepsze według niego było to, że książę nie miałby czasu na wzięcie udziału w abordażu, gdyby nawet bardzo tego chciał.

- Dobrze... - powiedział Cayleb, stając obok Merlina na rufie przechwyconej galery, gdzie właśnie przyjął kapitulację wciąż oszołomionego kapitana. - Przenieśmy załogę przyczółka na pokład. A potem wracajmy i sprowadźmy tutaj resztę eskadry.

Król Haarahld leżał w łagodnie kołyszącym się hamaku, udając, że posłusznie zasypia. Fakt, że właściwie nie mógł zrobić nic innego, nie ułatwiał mu wcale zadania. Pragnął wezwać kapitana Tryyythyna do kabiny nawigacyjnej i raz jeszcze omówić z nim możliwe rozmieszczenie jednostek. To uczucie nieomal nim zawładnęło. Miał jednak świadomość, że kapitan zacznie zadawać sobie pytania, co spowodowało tę nagłą aktywność władcy. A on wiedział jedynie, że Cayleb znajduje się o mniej niż pięćdziesiąt mil od miejsca, w którym sam teraz leżał.

Omawiał oczywiście różne rozwiązania taktyczne z admirałem wyspy Zamek oraz pozostałymi komandorami i kapitanami. W ciągu ostatnich kilku miesięcy mieli ku temu naprawdę wiele okazji. Dzisiaj każdy z jego oficerów dowodzących znakomicie wiedział, co powinien zrobić, a Haarahld wierzył głęboko nie tylko w to, że wykonają jego rozkazy, ale także, a nawet przede wszystkim, że zrozumieją powody, dla których zostały one wydane, gdy nadejdzie właściwy czas.

To, że nie miał nic do roboty, nie sprawiało, że czuł się spokojniejszy. Wolałby pograć się na nowo w wirze zdarzeń.

Spojrzał za okno rufowe, zastanawiając się, czy niebo nie jest już ciut jaśniejsze niż wtedy, gdy spoglądał na nie ostatnim razem. To możliwe, pomyślał, aczkolwiek było w tym więcej z pragnienia niż rzeczywistości.

Uśmiechnął się na tę myśl, rozbawiony szczerze, chociaż napięcie narastało w nim nieustannie.

Tak, niebo robi się jaśniejsze, pomyślał, i...

Pager ponownie zawibrował na jego przedramieniu. Tym razem dwukrotnie.

- Świetnie się składa, że jesteś taki młody i nie potrzebujesz wiele snu - oświadczył nieco kwaśnym tonem Merlin, a Cayleb odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Przyznaj, seijinie - powiedział - jesteś wkurzony tym, że zachowywałem się wczoraj bez zarzutu i nie miałeś na co narzekać.

- Nonsens. Nie jestem wkurzony, tylko nieco zadziwiony - odparł Merlin, tym razem prowokując głośny wybuch śmiechu następcy tronu.

- Sądzisz, wasza wysokość, że już nas dostrzegli? - zapytał Falkhan i książę natychmiast spoważniał.

- Jeśli jeszcze nas nie widzą, to wkrótce zobaczą - odparł książę buńczucznie, co porucznik potwierdził skinieniem głowy.

Galeony Cayleba szły teraz halsem na bakburcie, w jednej długiej kolumnie, pod pełnymi żaglami, kierując się niemal idealnie na południowy wschód ku wschodowi. Dreadnought płynął na samym czele, z jego pokładu widać już było żagle najbliższych galer księcia Czarnej Wody - odcinały się wyraźnie na tle jaśniejszego nieba.

- Mamy jeszcze minutę albo dwie — stwierdził Merlin, nie podnosząc głosu. - Niebo za nami wciąż jest ciemne. Ale masz rację, Caylebie, lada moment powinni nas zobaczyć.

- Przygotuj sygnały, Gwylymie - rzucił książę przez ramię.

- Aye, aye, wasza wysokość! - odparł kapitan Manthyr, spoglądając w stronę drużyny sygnałowej midszypmena Kohrby'ego.

Obserwator w bocianim gnieździe szmaragdziej galeony Czarny Książę przeciągnął się i ziewnął. Jego zmiennik powinien pojawić się na szczycie masztu za niespełna pół godziny, więc jego myśli błądziły już tylko wokół ciepłego śniadania i wygodnego hamaka.

Opuścił ręce i odwrócił się, aby spojrzeć na jaśniejące niebo na wschodzie, które mieniło się już pastelowym różem. Kilka chmurkach szybujących na północ i zachód od tego miejsca miało podobną barwę - wyglądały z tego miejsca jak rozwinięte sztandary, które ktoś umieścił na aksamitnie szarym niebie, wciąż jeszcze upstrzonym gwiazdami.

Obserwator zaczął obracać głowę na wschód, ale coś nagle przykuło jego uwagę. Skrzywił się, zmrużył oczy, wpatrując się intensywnie w północno-zachodni horyzont. Musiał pałtrzyć przy tym prosto pod wiatr, nic więc dziwnego, że oczy zaczęły mu szybko łzawić. Przetarł je poirytowany i raz jeszcze spojrzął na horyzont.

Serce mu zamarło. Przez moment mógł tylko wpatrywać się z niedowierzaniem w niemożliwy widok, jaki wyłaniał się z coraz jaśniejszego, choć wciąż szarego nieba, przybierając kształty poszarpanych wiatrem żagli. Chwilę później odżył głoś.

- Sail ho! - zawołał. - Żagiel na horyzoncie!

- Już nas zauważyli - stwierdził Merlin, pochylając się do Cayleba, gdy na maszcie najbliższej z galer Północnej Floty załopotał czerwono-złoty proporzec Szmaragdu, budząc po płoch na wszystkich pokładach.

Nie potrzebował optyki wiszącego nad wrogiem SAPK-a, by to zobaczyć. Nie potrafił uwierzyć, jak blisko zdołał podejść Cayleb, chociaż zdawał sobie sprawę, że książę jest sfrustrowany.

Następca tronu miał już całe dwie godziny opóźnienia w realizacji bardzo ambitnego planu. Zamierzał dopaść flotę księcia Czarnej Wody jeszcze przed świtem, oznajmiając mu swoje przybycie grzmiotem pierwszych salw burtowych oddawanych w całkowitych ciemnościach, ale nawet tak dokładne dane o położeniu wroga, jakie mógł mu dostarczyć Merlin, nie zdołały mu pomóc w przewyciężeniu zmiennych wiatrów i silnego prądu.

Jego irytacja z powodu opóźnienia jest bardziej widoczna, niż książę by sobie życzył, uświadomił sobie nagle Athrawes, uśmiechając się szeroko. Mimo tylu osiągnięć na koncie następcy charisjańskiego tronu wciąż był tylko młodym chłopcem.

Na szczęście dopuszczał niewielkie opóźnienia w precyzyjnie opracowanym planie, a zmęczenie obserwatora na wrogim okręcie połączone z nie najlepszą widocznością od zachodu, pozwoliło Dreadnoughtowi podejść na mniej niż sześć mil, zanim został dostrzeżony. Dwa najbliższe szeregi galer księcia Czarnej Wody były już widoczne ponad horyzontem nawet z wysokości pokładu, choć nikt nie mógł ich oglądać, jak seijin.

- Podnieść sygnał, kapitanie! - zawołał Cayleb.

- Aye, aye, wasza wysokość! Panie Kohrby, jeśli łaska!

- Aye, aye, sir!

Kolorowe flagi uniosły się pod nok Dreadnoughta, łopocząc na wietrze, a płynące obok kolumny szkunery natychmiast je powieliły, wywołując gromki ryk z gardeł ludzi Cayleba.

- Numer jeden podniesiony, sir! - zameldował Kohrby. - Uderzamy na wroga!

Król Haarahld nie zdążył się jeszcze ubrać, gdy pager na jego przedramieniu zawibrował ponownie. Tym razem trzy razy, natychmiast więc podniósł głos i przywołał strażnika.

- Charlz!

Drzwi kajuty otworzyły się i wpadł przez nie sierżant Gahrdaner z na wpół obnażonym mieczem. Omiótł czujnym wzrokiem wewnątrz, szukając źródła zagrożenia, i uspokoił się - nieco - gdy nie znalazł żadnego.

- Wasza wysokość wołał? - zapytał.

- Przekażesz wiadomość kapitanowi Try vythynowi - odparł Haarahld - ale najpierw pomożesz mi założyć zbroję.

Porucznik Rholynd Mahlry obrócił się w miejscu, spoglądając z niedowierzaniem na bocianie gniazdo.

- Okręty za sterburką! - darł się z góry obserwator. - Wiele okrętów za sterburką! Mahlry spoglądał na niego tylko przez jedno uderzenie serca, a potem pognął na przeciwny kraniec kasztelu rufowego, by spojrzeć osobiście na północny zachód. Przez moment nie widział nic, ale tego co ujrzał później, było aż za wiele.

- Wszyscy na stanowiska bojowe! - wrzasnął, nie spuszczać oczu z niekończącej się linii galeonów zmierzających prosto na jego okręt. - I niech ktoś obudzi kapitana!

- Sygnał dla Huraganu - powiedział Cayleb, nie odrywając wzroku od szybko rosnących sylwetek wrogich galer.

- Tak, wasza wysokość? - zapytał Kohrby, przystawiając kredę do tabliczki.

- Uderzyć na kolumnę wroga płynącą od strony nawietrznej - wyrecytował książe.

- Uderzyć na kolumnę wroga płynącą od strony nawietrznej, aye, aye, sir! - powtórzył młody midszypmen i odwrócił się do ludzi z drużyny sygnałowej.

- Kapitanie, przejdźmy za dwiema najbliższymi kolumnami, jeśli to możliwe.

- Aye, aye, wasza wysokość. - Kapitan okrętu flagowego spojrzął na galery wroga i odwrócił się do sternika. - Dwa rumby na bakburkę.

Kapitan Payt Khattyr wspinał się na rufowy kasztel Czarnego Księcia jak jaszczurodrap, któremu ktoś podpalił ogon. Nie czekał na zbroję, nawet nie odział się do końca, stanął z gołym torsem obok Mahlry'ego.

- Gdzie..? - zaczął nerwowo, ale zamilkł, gdy ujrzał galeony na własne oczy.

- Zmienili kurs kilka minut temu, sir - zameldował porucznik, wskazując na prowadzący okręt. - Idą teraz bardziej na nawietrzną.

- Zamierzają odciąć nam drogę ucieczki - mruknął Khatyr. Mahlry nie wiedział, czy ta uwaga jest skierowana do niego czy też nie, ale na wszelki wypadek pokiwał głową, z powagą przyjmując kapitańskie zdanie. - Zasygnalizujcie kontakt wzrokowy z wrogiem - dodał Khattyr.

- Już to zrobiłem, sir - odparł porucznik, a dowódca spójrzął na niego i skinął głową z uznaniem.

- Świetnie, Rholyndzie! - powiedział i wrócił do studiowania wrogich jednostek. Zacisnął szczęki, gdy dostrzegł, że z otwieranych furt działowych wychylają się głodne paszcze luf.

Odwrócił się na południe, by spojrzeć na pozostałe okręty floty. Czarny Książe płynął ostatni w najbardziej wysuniętej na zachód kolumnie. Jednej z dziewięciu podobnych, na które podzielił sprzymierzone siły książe Czarnej Wody. Płynęło w niej dwadzieścia galer, same szmaragdki, podobnie jak w dwu następnych. Okręt flagowy hrabiego Mahndyru, Tryton, znajdował się na czele środkowej. W czwartej kolumnie płynęło dziesięć ostatnich jednostek księcia Nahrmaha, a za nimi dziewięć galer chisholmskich. Piątą prowadził hrabia Sharpfieldu na Królu Maikelu, mając za sobą dwadzieścia okrętów królowej Sharleyan. Na czele szóstej znajdował się książe Czarnej Wody na okręcie flagowym floty, prowadząc wyłącznie corisandzkie jednostki, za nim szły znów Chisholmianie i w końcu dwie kolumny Corisandian.

Przy zachowaniu minimalnych odstępów, liczących dwieście jardów, każda z tych formacji rozciągała się na ponad dwie i pół mili, a przerwy pomiędzy kolumnami wynosiły około trzech mil, co oznaczało, że zajmują nie mniej, nie więcej, tylko dwadzieścia cztery mile od wschodu do zachodu... z bocianiego gniazda Czarnego Księcia nie było widać przeciwnego krańca szyku.

To znaczyło, że wieść o tych wydarzeniach nieprędko do-trze do głównodowodzącego, a jego rozkazy wrócą jeszcze później.

- Nadeszły jakieś sygnały od hrabiego Mahndyru? - za-pytał kapitan.

- Nie, sir - odparł spięty Mahlry, a Khattyr zmiął prze-kleństwo w ustach.

Spojrzał na nieubląganie zbliżające się galeony Charisu. Robią co najmniej dziesięć, jeśli nie jedenaście węzłów przy tak sprzyjających wiatrach, pomyślał, przyglądając się ogrom-nym wydętym połaciom żagli, a kto wie, może nawet więcej, zważywszy na to, jak szybko przesuwiają się na wschód. Za kolejne piętnaście minut - góra dwadzieścia pięć - znajdą się tuż za rufą Czarnego Księcia. Na to kapitan poczuł w żo-łądku wielką, lodowatą kulę. Widział niedawno, co potrafią galery wyposażone w nowy typ artylerii, a najbliższy z nad-ciągających galeonów miał na każdej z burt po dwadzieścia kilka dział, czyli czterokrotnie więcej.

- Sir! - zawołał nagle porucznik Mahlry, wskazując na pierwszy okręt wroga. - To proporzec księcia Cayleba.

- Jesteś pewien? - zapytał Khattyr. - Pewnie masz lepsze oczy ode mnie, chłopcze, ale czy jesteś tego całkowicie pewien?

- Tak, sir - odparł zdecydowanym tonem Mahlry.

Kapitan zwinął dłonie w pięści i uderzył nimi o siebie, prze-taczając wzrokiem po kolejnych galeonach w szyku. Słyszał bębny na pozostałych galerach, wybijające szybszy rytm, wi-dział marynarzy biegających po pokładach sąsiednich jedno-stek, ale nadal nie miał żadnego sygnału od hrabiego Mahn- dyru.

Odczekał jeszcze pięć minut, potem zacerpnął tchu i ski-nął zdecydowanie głową.

- Podnieść żagiel! - rozkazał. - Wysunąć wiosła! Zawra-camy!

- Ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy - stwierdził kapitan Manthyr, widząc, że jednostka znajdująca się na końcu najdalej wysuniętej na zachód kolumny zaczyna pod-nosić żagiel.

Wiosła wychyłyły po obu burtach i galera zrobiła ostry zwrot, wypadając z szyku. Z pokładu Dreadnoughta dobie-gły pojedyncze kpiny, lecz wnet okazało się, że ta jednostka nie zamierza uciekać. Na oczach wszystkich zawróciła i ru-szyła prosto na nich.

- Dostrzegli twoje sztandary, wasza wysokość - stwier-dził Ahrnahld Falkhan przyciszonym głosem, gdy wiosła ga-lery zaczęły się poruszać bardziej miarowo.

- O, tak - mruknął w odpowiedzi Cayleb.

Przyglądał się przez chwilę nadpływającej jednostce, oce-niając jej możliwe ruchy fachowym okiem żeglarza, potem powoli skinął głową.

- Dostrzegli, ale nie zawrócili wystarczająco szybko - po-wiedział.

- Za pozwoleniem waszej wysokości, wołałbym nie pod-chodzić do nich zbyt blisko - wtrącił kapitan Manthyr. - Ostatnie, czego nam trzeba, to dopuszczenie do uszkodze-nia albo zniszczenia okrętu flagowego na tak wczesnym eta-pie akcji.

- O nie, nie możemy do tego dopuścić - odparł następca tronu, szczerze rozbawiony ostrożnym doborem słów swoje-go podwładnego.

- Cieszę się, że wasza wysokość podziela moje zdanie - odezwał się kapitan niezwykle poważnym tonem i natych-miast przeniósł wzrok na sternika. - Daj jeszcze jeden rumb na bakburkę.

- A niech to wszystko Shan-wei trafi! - wyharczał Khat-tyr, gdy długi rząd galeonów zmienił lekko kurs. Miał rów-nie dobre oko jak Cayleb, więc od razu wiedział, czym to się skończy.

Zbyt długo czekał, sądząc, że nie będą mieli najmniejszej szansy. Ale utrzymywanie pozycji w szyku było jedną z pod-stawowych i żelaznych zasad, jakie od początku wpajano

każdemu kapitanowi floty księcia Czarnej Wody. Opuszczenie go bez rozkazu równało się trafieniu pod sąd wojenny, dlatego tak długo bił się z myślami, zanim zareagował. Niestety, teraz niewiele mógł zdziałać. Kolejny zwrot pogorszyłby tylko sytuację, a tak istniała chociaż niewielka szansa na to, że przedrze się pomimo tyłu dział wroga i zdoła doprowadzić do bezpośredniego starcia z charisjańskim okrętem flagowym. Gdyby mu się to udało, pozostałe okręty tej formacji ruszą natychmiast na pomoc osaczonemu dowódcy. Konsekwencje tego posunięcia z pewnością okażą się fatalne dla Czarnej Księżki, ale jeśli dzięki temu zdoła opóźnić marsz tej eskadry o godzinę albo dwie, pozwalając reszcie floty na reakcję...

- Otworzyć ogień!

Rozkaz kapitana Manthryra zabrzmiał ostro i wyraźnie. Nieodłączne dźwięki płynącego okrętu podkreślały wymowne milczenie załogi Dreadnoughta. Mimo iż wszyscy oczekiwali w napięciu słów kapitana, wydawać się mogło, iż ta komenda ich zaskoczyła.

Przez ułamek sekundy nic się nie działo. A potem wszyscy dowódcy obsad na sterburcie pociągnęli za sznurki spustowe w tym samym momencie.

- Wołałeś mnie, wasza wysokość?

Kapitan Tryvythyn przybył niemal natychmiast. Na tyle szybko, że nie zdążył się nawet odziać i stał teraz w samej wełnianej koszuli, bez przepisowej tuniki.

- Tak, Dynzylu.

Haarahld odwrócił się do kapitana, gdy sierżant Gahrda ner zapiął mu kirys. Ten uniósł brwi ze zdziwienia, widząc, że władca szykuje się do bitwy. Król uśmiechnął się do niego blade.

- Nie. Nie postradałem jeszcze wszystkich zmysłów - zapewnił go. - Mam natomiast przeczucie... że dzisiaj wiele się wydarzy. I to bardzo niedługo.

- Oczywiście, wasza wysokość. - Tryvythyn nie potrafił ukryć nuty niedowierzania czy może sceptycyzmu, która pojawiła się w jego głosie, wywołując kolejny uśmiech na twarzy Haarahlda.

- Nie winię cię za to, że wątpisz w me słowa, Dynzylu, ale zaufaj mi tym razem.

- Tak zrobię, wasza wysokość - odparł kapitan i tym razem nie dało się wyczuć wahania w jego głosie.

- Świetnie. W takim razie...

- Wybacz, wasza wysokość - zawołał midszypmen Marshyl, stając w drzwiach kajuty.

- Właśnie otrzymaliśmy sygnał z Szybkiego.

- Jaki sygnał? - zapytał Haarahld.

- Raportują, że od północnego wschodu słychać kanonadę. Ruszają, aby to sprawdzić.

Tryvythyn przyglądał się przez moment chłopakowi, potem przeniósł wzrok na króla, a ten ujrzał wielkie zdziwienie, a także wiele rodzących się pytań w oczach kapitana flagowca.

- Wywieś sygnał dla floty - powiedział Haarahld. - Przygotować się do bitwy.

Charisjański okręt flagowy zniknął za ścianą gęstego dymu, przez którą przebijały się jedynie języki ognia tryskającego z luf tuż za pociskami. Odległość od celu wynosiła niemal dwieście jardów, ale tym razem nikt nie załadował tych armat podwójnie. Żagle

Dreadnoughta doprowadziły do przechylenia kadłuba na sterburcie. Woda podeszła blisko pod dolne furty działowe, ale okręt miał jeszcze sporo wolnej burty i szedł stabilnie. Blisko połowa kul nie trafiła w cel... ale

reszta znalazła się tam, gdzie trzeba.

Kapitan Khattyr dostrzegł ścianę buzującego dymu na moment przed tym, jak pierwsza kula wbiła się z wizgiem w dziób jego galery. Za nią nadleciały następne, cała sala burtowa oddana pod kątem około sześćdziesięciu stopni. W powietrzu zawirowały tysiące drzazg i odłamków, gdy trzydziestoosmofuntowe kule z żelaza zaczęły przebijać kadłub Czarnej Księżki. Z pokładu wiosłowego dobiegły wrzaski

[832]

konających, czołowe wiosła opadły, gdy trzymający je ludzie zostali zmasakrowani przez rozrywający się metal i drewniane igły z ich własnego okrętu.

Kolejne pociski trafiły wyżej, przebijając nadburcia i miażdżąc wciąż gromadzących się na forkasztelu i śródokręciu żołnierzy z oddziałów abordażowych. Szczątki rozerwanych na strzępy ludzi i odłamki kul poleciały w niebo, okrywając wszystko krwawą mgiełką.

Czarny Książę zakolysał się jak biegacz, który trafia palcem na niewidzialną przeszkodę, a Khattyr wydał kolejny rozkaz sternikowi, aby skompensować utratę niemal trzeciej części wiosła na bakburcie.

- Co powiedziałeś? - zapytał hrabia Mahndyru, kierując te słowa do kapitana swojego okrętu flagowego.

- Czarny Książę melduje o kontakcie wzrokowym z wrogiem, mój panie - odparł Nyklas Zheppsyn.

- To niedorzeczne! - prychnął admirał. - Jakim cudem Haarahld zdołałby obejść nasze siły?

- Nie wiem, mój panie - zastrzegł się dowódca flagowca. - Właśnie otrzymaliśmy sygnał i...

- Co to było? - przerwał mu hrabia Mahndyru, nadstawiając ucha, gdy z oddali dobiegł stłumiony pomruk.

- Kanonada, mój panie - odparł ponuro Zheppsyn.

Kanonierzy Dreadnoughta rzucili się do dział. Tampony i ubijaki znów poszły w ruch. Koła lawet zapiszczały, gdy przysuwali armaty do furt, lufy znów plunęły ogniem i dymem.

Jak zwykle, krótsze i lżejsze karonady strzelały znacznie szybciej niż działa cięższego kalibru z głównego pokładu. Merlin stał między nimi na rufie, pomiędzy Caylebem a relingiem, przyglądając się, jak ciężkie kule wbijają się w coraz bliższy kadłub szmaragdowej galery.

[833]

Wiosła na bakburcie straciły rytm, gdy kilka pocisków wdarło się między zatłoczone do granic lawy. Athrawes załżał na myśl, jak potworna jatka miała tam miejsce. Idąca na wiosłach galera wymagała idealnego zgrania wszystkich ludzi, a to, w sytuacji gdy wokół rozpętało się krwawe piekło, nie było dłużej możliwe.

Działa dziobowe galery próbowały odpowiedzieć ogniem, ale kule poszły bokiem i Dreadnought bez problemu minął Czarnego Księcia. Kolejna salwa wbiła się w śródokręcie galery, zabijając i kalecząc ludzi. Wrzaski konających Szmaragdzczyków dały się słyszeć nawet na pokładzie flagowego galeonu, w krótkiej przerwie pomiędzy salwami.

Kapitan Khattyr przywarł do czołowego relingu kasztelu rufowego.

Nic już nie mógł zrobić. Jego najgorsze koszmary okazały się niczym w porównaniu z tym, czego mogła dokonać jedna salwa burtowa galeonu. Z każdego włazu Czarnego Księcia wypelzali na pokład ludzie. Wielu z uciekających w popłochu wiosłarzy było straszliwie poranionych i zakrwawionych, ale na otwartym pokładzie także nie mogli znaleźć osłony przed bezlitosnym ostrzałem Charisjan.

Okręt Khattyra schodził z kursu, ludzie ginęli na darmo, a on mógł jedynie stać i patrzeć, jak są masakrowani, nie mając szans na zadanie choćby jednego ciosu w odpowiedzi.

- Poruczniku Mahlry, opuścić... - zaczął mówić, odwracając się do swojego drugiego oficera, ale ten leżał na pokładzie kasztelu rufowego, spoglądając szklistym wzrokiem na spory kawał ostrego drewna wystającego mu z piersi, który trzymał obiema dłońmi.

Khattyr zacisnął zęby i chwycił najbliższego midszypmena za ramię.

- Opuścić banderę na znak kapitulacji - rozkazał. - Biegnij na...

Trzydziestoosmofuntowa kula zabiła obu w okamgnieniu.

- Dlaczego się nie poddają? - mamrotał pod nosem Cayleb. - Dlaczego nie opuszczają bandery?

Galera kołysała się bezsilnie, drżąc pod kolejnymi uderzeniami rozdzierającego ją na strzępy żelaza. Dewastacja i Zniszczenie, dwa galeony idące za Dreadnoughtem, także otworzyły ogień do wraku, z którego pokładu po burtach ciekły szerokie strugi krwi. Jednostka nie była w stanie powstrzymać ani opóźnić marszu galeonów następcy tronu, a jej kapitan z uporem maniaka odmawiał opuszczenia bandery na znak kapitulacji.

- Już po niej, Caylebie! - zawołał mu do ucha Merlin.

Książę spojrzał na niego, potem pokiwał zdecydowanie głową. Podeszedł do kapitana i chwycił go za ramię.

- Zostaw ją, Gwylymie! - rozkazał.

We wzroku Manthyra, gdy ten odwrócił głowę, widać było wdzięczność.

- Przerwać ogień! - zawołał. — Przerwać ogień!

Działa Dreadnoughta umilkły, ale Dewastacja i Zniszczenie kontynuowały ostrzał jeszcze przez chwilę. Dopiero gdy oddały pełne salwy, zapadła długo wyczekiwana cisza.

Wiatr odegnał ścianę dymu i niejednen z ludzi zgromadzonych na pokładzie flagowca Cayleba poczuł czyste przerażenie na widok zmasakrowanego wraku, choć jeszcze straszniejsze były wrzaski i jęki konającej załogi. Galera płynęła tylko siłą bezwładu, większość wiosł była bowiem połamana, uszkodzony maszt chwiał się, jakby był pijany, a dźwięki dochodzące z wnętrza kadłuba brzmiały tak, jakby okręt także krzyczał w agonii.

Cała załoga przyglądała się roztrzaskanemu kadłubowi - na jej oczach maszt w końcu uległ i zwałił się za burtę, do morza. Moment później niezwykle spokojny głos kapitana Manthyra przerwał głęboką ciszę.

- Pozwólmij się oddalić - poinstruował sterników i Dreadnought odbił lekko na sterburtę, zbliżając się do drugiej kolumny wroga na mniej niż dwie mile.

- Podeszli nas od północy?

Książę Czarnej Wody spojrzał na kapitana Myrgyna z niedowierzaniem.

- To właśnie mówi sygnał, wasza łaskawość - odparł spięty oficer.

Książę odwrócił się, spojrzał w okno rufowe kajuty admirałskiej, wciąż próbując ogarnąć myślą treść wiadomości przekazanej przez Myrgyna. Północ? Jakim cudem Cayleb, bo przecież to musiał być on, zdołał podejść od północy, skoro Haarahld tak kurczowo trzymał się południowej części tego akwenu? A co ważniejsze, jak udało mu się przemknąć niezauważenie przez linię jednostek zwiadowczych? Jakie demony przywiodły go tu w najodpowiedniejszym czasie? Wtedy, gdy zaczęło wstawać słońce...

Zacisnął szczęki i potrząsnął głową ze złością. Nie miało znaczenia, jak tego dokonał. Teraz liczyło się tylko to, jak on zareaguje.

Jego umysł zaczął pracować, przerzucając możliwości, wszystkie dostępne opcje.

Pierwsze zgłoszenie o kontakcie napłynęło z ostatniej jednostki w wysuniętej najdalej na zachód kolumnie. To by znaczyło, że Cayleb był na zachód od jego floty albo nadpływał razem z wiatrem od północnego zachodu. Zważywszy na ograniczenia systemu komunikacji, którym dysponowała flota, książę Czarnej Wody nie mógł się dowiedzieć, która wersja jest prawdziwa. A to liczyło się teraz najbardziej.

Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że Cayleb nie mógł zająć pozycji na północ ani na zachód od jego połączonych flot. Nikt nie mógł mieć aż tak wielkiego szczęścia! Ale z drugiej strony, dlaczego nie, skoro miał takiego farta, że trafił prosto na galery wroga...

W każdym razie Cayleb z pewnością uderzy najpierw na Szmaragdowych hrabiego Mahndyru i z pewnością uczyńni to z całą mocą. Zaskoczył ich zupełnie, więc z pewnością wybuchła panika. Mahndyr nie był tchórzem, podobnie jak większość jego kapitanów, ale

książę Czarnej Wody mimo to miał pewność, że pozbedzie się w tej fazie starcia co najmniej jednej z zachodnich kolumn.

Pytanie, pomyślał, czy mam podjąć próbą pokonania go, czy po prostu uderzyć i zaraz uciekać?

Instynkt nakazywał mu zawrócić w stronę Cayleba. Ru-szyć na charisjańskiego następcę tronu i zalać jego galeony, zmiażdżyć je, wykorzystując gigantyczną przewagę liczebną. Rozum ostrzegał go jednak przed takim zachowaniem, zwłaszcza że w pamięci wciąż miał opisy Myrgyna i wyko-nane przez niego szkice nowych armat... i tego, co te kil-ka galer mimo znacznie lżejszego uzbrojenia zrobiło z jego eskadrami.

Jeśli ucieknę, pomyślał ze zgrozą, cała kampania pójdzie na nic. Księciu z pewnością się to nie spodoba, nie mówiąc już o Clyntahnie i Radzie. Ale wiem przecież, jak skuteczne mogą być te salwy burtowe, mimo iż nie doświadczyłem tego na własnej skórze. No i na dodatek mogę jedynie zgadywać, jaka jest pozycja eskadry Cayleba, ile okrętów liczy... Nie wiem niczego! Jedynym sposobem na uniknięcie tego starcia będzie zmiana kursu na północny.

- Sygnał do całej floty - oświadczył szorstko, odwracając się do Myrgyna. - Wróg na nawietrznej. Przygotować się do walki. Kurs na północ.

- Ognia!

Dreadnought przepłynął przez drugą kolumnę wrogich ga-ler i jego działa przemówiły raz jeszcze. Tym razem dystans był nieco mniejszy, a Szmaragdzczycy wciąż zmierzali na południe, oddalając się od pola pierwszej bitwy. Bogato zdobio-na rufa i wszystkie okna galery poszły w drzazgi, gdy kule sięgnęły celu. Moment później na zachodzie odezwały się ko-lejne działa, to eskadra sir Domynyka oddzieliła się od szy-ku i ruszyła w swoją stronę, odbijając bardziej na południe. Staynair poprowadził swoje galeony kursem równoległym do zewnętrznej kolumny, która nadal nie zmieniała kursu, od-dalając się od Cayleba, i z rzadka odpowiadała ogniem.

Decyzja księcia, by nie zwiąć żagli, opłacała się, przynaj-mniej na razie, pomyślał Merlin. Doświadczenie nabyte pod-czas bitwy na Rafie Armagedonu uświadomiło następcy tro-nu, że pociski wystrzeliwane z dział starego typu nie mogą uczynić wielkich spustoszeń w takielunku galeonów. Nie można z nich strzelać w zbyt szybkim tempie ani podnieść odpowiednio wysoko luf. Dlatego Cayleb kazał swoim jed-nostkom iść pod pełnymi żaglami, dopóki nie dojdzie do re-gularnego starcia z wrogiem.

Dzięki temu zyskał sporą przewagę prędkości, którą Stay-nair wykorzystywał teraz bezlitośnie.

- Jakież nowe wieści z Szybkiego? - zapytał król Haarald, ledwie wspiął się na kasztel rufowy.

- Tak, wasza wysokość! - odparł młody midszypmen Aplyn, uśmiechając się szeroko. - Szybki przekazał sygnał nadany przez Mewę! „Znajdujemy się sto mil na północ od wy-spy Darcos. Mamy dwadzieścia osiem galeonów. Wróg kieru-je się na południe południowy wschód. Atakujemy. Cayleb”.

Ryk radości, który wydobył się z piersi zgromadzonych na pokładzie marynarzy w reakcji na wyrecytowane przez tego jedenastolatka słowa, powinien ogłuszyć księcia Hektora na-wet tam, w Manchyrze, pomyślał Haarahl.

- Dziękuję, panie Aplyn - powiedział, nie zważając na drących się wciąż ludzi, i położył rękę na ramieniu chłop-ca. - Bardzo dziękuję.

Ścisnął dzieciaka przez chwilę, potem odwrócił się do Try-yythyna.

- Jeśli mają choć odrobinę oleju w głowach, powinni za-wrócić i próbować ucieczki przez Srebrny Przesmyk.

- Nadal mają nad księciem przewagę liczebną, wasza wysokość, i to sześć do jednego
- zauważył kapitan flagowca, ale Haarahld tylko prychnął pogardliwie, unosząc dumnie głowę-
- Cayleb dotarł tutaj, straciwszy jedynie dwa galeony, a po księciu Malikai nie ma nawet śladu. To chyba wiele mówi na temat ostatniej floty galer, która zaatakowała eskadrę mojego syna, licząc na przewagę sześć do jednego.
- Racja, wasza wysokość - przyznał kapitan. - Bezsprzeczną racja.
- A księżę Czarnej Wody nie powinien jej przeoczyć - dodał Haarahld, nagle smutniejąc. - Choć bardzo bym tego pragnął. Chciałbym, aby okazał się na tyle głupi, żeby został i walczył, ale on jest zbyt szczywany i z pewnością uzna, iż ucieczka nie będzie czynem niegodnym, jeśli dzięki niej zdoła ocalić część swoich sił.
- Mam o nim podobne zdanie, wasza wysokość - stwierdził Tryvythyn.
- i - W takim razie nie powinniśmy się sprzeczać co do decyzji, jakie może podjąć. - Król obrzucił spojrzeniem porządek wiszący na maszcie galery i zdobiący go sztandar Charisu, a potem ponownie przeniósł wzrok na kapitana. - Sygnał do floty, Dynzylu. Eskadry formują kolumny. Kurs na wschód.

Szmaragdskie galery płynące w dwu zachodnich kolumnach nigdy nie ujrzały sygnału nadanego przez księcia Czarnej Wody. Zbyt dużo dymu unosiło się nad nimi, poza tym mało kto miał głowę do tego, by zajmować się obserwowaniem horyzontu.

Eskadra Staynaira szła powoli wzdłuż flanki floty hrabiego Mahndyru, ostrzeliwując ją bez przerwy. Wprawdzie jedna z pozostałych dziewiętnastu galer nie została tak mocno uszkodzona jak Czarna Księżę, ale wyłącznie dlatego, że ich dowódcy w porę opuszczali bandery. Staynair podprowadził swoje galeony na odległość zaledwie pięćdziesięciu jardów. Działa grzmiały nieustannie, kosząc maszty, siejąc śmierć na zatłoczonych pokładach wiosłowych, masakrując marynarzy i żołnierzy zgromadzonych na kasztelach, gdzie czekali na możliwość abordażu, do którego nigdy nie doszło.

Admirał nie miał czasu na formalne zajmowanie poddających się jednostek, ale nie musiał tego robić. Gdyby któraś z nich naruszyła warunki kapitulacji albo udała, że opuszczenie bandery nigdy nie miało miejsca, i spróbowała uciec z pola walki, i tak nie zapłynęłaby daleko, mając tak poważne uszkodzenia. Dlatego też najlepsze, co mogli zrobić kapitanowie, to zadbać o to, by opatrzone rannych, i czekać na koniec bitwy w miejscu, w którym ich pozostawiono. Gdyby okazało się, że Staynair albo Cayleb nie dysponują wystarczającymi siłami, by wziąć wszystkich w niewolę, król Haarahld na pewno poradzi sobie z tą sytuacją.

W czasie gdy sir Domynek kończył niszczenie pierwszej kolumny, Cayleb płynął dalej na wschód, odbijając lekko na południe. Przeciął kurs trzeciej i czwartej kolumny na tyle blisko, by ostrzelać i zniszczyć ostatnie jednostki w nich idące.

- Księżę Czarnej Wody usiłuje przebić się na północ! - zawołał Merlin prosto w ucho księcia, gdy Dreadnought odpalił salwę w kierunku kolejnej ofiary. - Skierował cztery kolumny liczące niemal czterdzieści okrętów i nakazał im zwrot na północ północny zachód!

Cayleb spojrział na niego, potem przymknął powieki, skupiając się na zapamiętanym obrazie mapy. Studiował ją przez chwilę oczami wyobraźni, by na koniec skinąć głową.

- Kapitanie Manthyr!

Księżę Czarnej Wody maszerował nerwowo tam i z powrotem po kasztelu rufowym Corisandu. Wiedział, że tym sposobem nie uspokoi zdenerwowanych oficerów flagowca i załogi, ale za nic nie potrafił ustać w miejscu.

Zatrzymywał się tylko raz na jakiś czas, aby spojrzeć na zachód i północ. Procedury sygnałowe, jakich używał do prowadzenia sprzymierzonych flot, były znacznie bardziej skomplikowane niż w przypadku innych związków taktycznych, którymi dowodził, ale daleko im jeszcze było do systemu stworzonego przez Staynaira, barona Morskiego Szczytu i Merlina. Nie pozwalały na przekazywanie dokładnych informacji na temat tego, co się dzieje w danej chwili - zakładając oczywiście, że kapitanowie i dowódcy jego eskadr mieliby jakiegokolwiek pojęcie na ten temat.

Wiedział tylko tyle, że jedna z chisholmskich kolumn hrabiego Sharpfieldu nie odebrała jego sygnału - albo go zignorowała - i nie zawróciła na północ. Płynęła dalej na południe, uszczuplając jego siły o niemal dziesiątą część.

Był też świadom nieustannego odgłosu kanonady dobiegającego jeszcze zza horyzontu, ale wciąż narastającego i coraz bliższego.

Rozkaz zwrotu na północ wykonały tylko te kolumny, nad którymi miał faktyczną władzę. Gdy płynęli na południe, Corisand szedł na pierwszej pozycji, teraz ciągnął się na szarym końcu, co oznaczało, że admirał dowodzący tą flotą dowie się ostatni o przebiegu możliwych wypadków...

- Wasza łaskawość.

Książę odwrócił się w miejscu i spojrzął na kapitana Myrgyna.

- Słucham? - Jakimś cudem zdołał się powstrzymać od krzyku.

- Wasza łaskawość, bocianie gniazdo melduje o ogniu artyleryjskim i dymie na zachodzie i północy. Wysłałem porucznika Wynstyna, żeby dokładniej ocenił sytuację. Kapitan flagowca wskazał palcem na pierwszego oficera stojącego tuż za jego plecami z ponurą miną. Książę spojrzął na niego.

- I cóż powiesz? - zapytał.

- Wasza łaskawość, nie za wiele widziałem na zachodzie, ale dymy rozciągają się mniej więcej od śródokręcia aż po dziób naszej galery.

Wynstyn meldował w miarę spokojnym głosem, ale admirał zauważał, ile wysiłku kosztuje go zachowanie pozorów. Nie miał jednak zamiaru go za to ganić.

- Dziękuję, panie Wynstyn - odparł moment później i odwrócił się w stronę relingu, opierając się o niego obiema rękami i zastanawiając nad słowami porucznika.

Jeśli Wynstyn się nie mylił, Cayleb musiał się znaleźć na niemal idealnej pozycji. Przy tak porywistym wietrze ogromna powierzchnia żagli dawała mu sporą przewagę prędkości. Na dodatek podzielił swoje siły na co najmniej dwa zespoły. Jeden z nich najwyraźniej zmierzał na południe i pewnie dotarł już do czoła zachodniej kolumny, gdzie obrabiał Trytona, na którym znajdował się hrabia Mahndyru. Co gorsza, mógł zaraz skrócić na wschód i przeciąć pierwotny kurs jego floty.

Ta wiadomość była zła, ale znacznie bardziej niepokoił go dym na północy. Cayleb zarzucał się na całą flotę księcia Czarnej Wody, nie zważając na to, że miała ona nad nim ogromną przewagę liczebną. A jeśli zdołał dotrzeć tak daleko na wschód, to musiał wejść w drogę co najmniej jednej trzeciej sił sprzymierzonych, a może nawet większej ich części.

Książę zacisnął dłonie w pięści i zaklął cicho, acz siarczyście.

Z prędkości, z jaką przesuwały się jednostki Cayleba, wynikało jednoznacznie, że nikomu nie udało się opóźnić jego marszu. Zaskoczenie i wynikająca z tego panika mogły tłumaczyć ten fakt po części, a może nawet w całości, ale książę Czarnej Wody podejrzewał, że prawdziwe powody braku oporu były o wiele prostsze.

Przypomniał sobie, co potrafiły galery Charisu, w tym samym momencie, w którym wiatr przyniósł odgłos kolejnej salwy.

Jeśli popłynie dalej na północ, nadzieje się na te same armaty, a jego okręt flagowy będzie jednym z ostatnich, które wejdą do walki. Był całkowicie pewien, że prędkość, z jaką porusza

się eskadra Cayleba, pozwoli jej na przecięcie kursu jego formacji bez względu na to, co zrobi, podczas gdy galeony znajdujące się teraz na zachodzie zajdą go od tyłu. Istniała wprawdzie możliwość, że jego galery wytrzymają nawałę ogniową i zdołają zbliżyć się na tyle blisko galeonów, by przeprowadzić abordaż, ale nawet on wątpił, by udało się zrealizować ten plan. Co z tego że przewaga ogniowa tych nowych dział okaże się mniejsza, niż sądził, skoro w szeregach jego ludzi już zrodziła się panika, także tutaj, na pokładzie okrętu flagowego. A do walki z wrogiem, i to przy o wiele bardziej sprzyjających warunkach, potrzebna była zarówno odwaga, jak i determinacja. A płynięcie do boju pod tak potężnymi salwami burtowymi jak te, których echa słyszał zza horyzontu, musiało wymagać cholernie wielkiej determinacji. A tej jego wstrząśnięci oficerowie i marynarze już nie mieli.

Istniało jednak kilka kwestii, które powinien rozważyć. Skoro zaatakowanie galeonów Cayleba okazało się niemożliwe, a tylko w bezpośredniej walce jego galery mogłyby pokonać Charisjan, powinien zastanowić się nad tym, czy następca tronu ma wystarczającą liczbę jednostek, aby dogonić i zniszczyć wszystkie okręty sprzymierzonych flot. Część z nich może wyrwać się z okrążenia tylko dlatego, że galeony będą zajęte niszczeniem innych galer. Cayleb mógł zniszczyć każdy okręt, do którego zdoła się zbliżyć... W tym momencie w zakamarkach pamięci księcia Czarnej Wody pojawiły się słowa, które niedawno wypowiedział do Myrgyna.

Chciałeś wybić ilu się da marynarzy z floty Haarahlda, chociaż ich galery były przestarzałe. A teraz Cayleb chce zrobić to samo z twoimi ludźmi.

Sprawdził pozycję słońca na niebie, potem przeniósł wzrok na północny zachód.

Jeśli utrzyma dotychczasowy kurs, pošle te wszystkie okręty prosto na działa galeonów Cayleba. Daruje mu niezwykle cenny czas potrzebny na rozbicie galer idących prosto na wroga. Czas potrzebny na ściganie każdego, kto próbuje się prześlizgnąć obok. Czas na reakcję Haarahlda, który może się zakraść od południa za jego flotę i uderzyć od tyłu.

Ale jeśli księżę Czarnej Wody skreśli od razu na południowy wschód, kierując się prosto na Srebrny Przesmyk, zacznie się oddalać od obu eskadr Cayleba. A pościg na morzu, gdy okręty idą za sobą, zawsze trwa niezwykle długo, jeśli nawet jedna ze stron posiada znaczącą przewagę prędkości. Gdyby udało mu się utrzymać przewagę nad galeonami do zapadnięcia zmroku, mógłby wydać swoim galerom rozkaz złamania szyku i ucieczki na własną rękę. Ale odwrót od Cayleba wystawiał go na łup galer Haarahlda, zakładając, że stary król zdążył zareagować na czas. Ale księżę znał dokładnie ich liczebność i był pewien, że zdoła się przebić przez wszystko, co Ahrmahk postawi na jego drodze.

Poza tym, powiedział sobie z żalem, to nie te przeklęte przez Langhornea galeony. Ludzie nie będą tak panikować, kiedy rozkażę im na nie uderzyć.

- Kapitanie Myrgyn - powiedział księżę, odwracając się od relingu, aby stanąć twarzą w twarz z dowódcą swojego flagowca.

Merlin przyglądał się, jak kolejna galera drży po trafieniu pierwszą salwą burtową Dreadnoughta. Zaczynał się już przyzwyczajać do tego przerażającego widoku, zupełnie jak pracownik rzeźni, którego nie rusza okrucieństwo i śmierć. Wiosła poszły w rozsypkę, gdy kilka dobrze wymierzonych pocisków wpadło między ławy, a fragmenty strzaskanego kadłuba wystrzeliły w niebo, by opaść powoli do wody i zniknąć w toni pośrodku białych pióropuszy piany.

Athrawes odwrócił wzrok, koncentrując się na obrazach przekazywanych przez wiszącego wysoko nad jego głową SAPK-a, i zamarł. Zaraz jednak otrzeźwiał i odwrócił się, nie zwlekając, do księcia.

Następca tronu stał obok kapitana Manthyra, obserwując z obojętną miną, jak jego działa masakrują załogę kolejnej jednostki.

- Caylebie.

Książę odwrócił się, słysząc, że ktoś wypowiedział jego imię, a Merlin skorzystał z tego i pochylił się mu do ucha.

- Książę Czarnej Wody zmienił zdanie - powiedział tak cicho, jak to możliwe, aby tylko następca tronu mógł go usłyszeć. - Zawrócił swoje siły i zmierza teraz na południowy wschód.

- Do Srebrnego Przesmyku - stwierdził Cayleb.

- Tak - przyznał Athrawes bardzo ponurym tonem. Książę spojrział na niego ze zdziwieniem, wychwytyjąc odmienne brzmienie głosu. - Twój ojciec przewidział ten manewr Corisandianina. Wyruszył już, aby uniemożliwić mu ucieczkę przez przesmyk.

Oczy Cayleba rozszerzyły się najpierw, ale szybko zmrugał je na powrót, gdy zrozumiał, na czym polega zamysł Haarahlda. Zaczerpnął głęboko tchu i skinął głową. Nie dla tego, że popierał ten ruch ojca. Nie chodziło mu też o przyjęcie do wiadomości słów Merlina. Skinął głową, gdyż podjął decyzję, i od razu odwrócił się do dowódcy okrętu flagowego.

- Kapitanie Manthyr, za moment obierzesz kurs na południe, jeśli łaska. Sygnał do całej eskadry: musimy podejść bliżej do wroga.

- Wasza łaskawość, charisjańskie galery na naszym kursie! - zameldował ochrypłym głosem kapitan Myrgyn.

Książę Czarnej Wody oderwał wzrok od leżącej przed nim mapy. Dowódca flagowca stał przed nim w kabine nawigacyjnej z niepokojem wymalowanym na twarzy.

Admirał nie mógł go za to winić. Szyk floty po kolejnym niespodziewanym zwrocie pozostawiał wiele do życzenia. Wciąż jeszcze usiłowano sformować kolumny, choć galery i

z Chisholmu nie przykładały się do tego zadania tak, jak powinny. Kilka najwyraźniej nie zrozumiało jego sygnału - albo postanowiło go zignorować, uszczuplając ponownie i tak już małe siły księcia. Pozycja, którą zajmowała aktualnie flota Corisandu, była daleka od idealnej, zwłaszcza gdyby miało dojść do otwartego starcia z siłami Haarahlda, dlatego książę Czarnej Wody liczył, że uda mu się obejść Charisjan bokiem, zanim zorientują się, jaki manewr zamierza wykonać.

Najwyraźniej jednak jego plan spalił na panewce.

Nadal wszakże miał co najmniej sto galer pod swoimi rozkazami, a Haarahld tylko siedemdziesiąt.

- Wyjdźmy na pokład - powiedział, a kapitan posłusznie odsunął się na bok i opuścił wnętrze kabiny nawigacyjnej tuż za księciem.

Władca musiał zmrużyć oczy, wychodząc na ostre światło dnia. Zbliżało się już południe. Bitwa trwała od niemal ośmiu godzin i książę Czarnej Wody zacisnął mocno szczęki, gdy do jego uszu dotarły dźwięki nieprzerwanej kanonady. Brzmiały coraz głośniejsze, uświadomił sobie ze smutkiem. Cayleb nie mógł wiedzieć, co robi w tej chwili jego ojciec, ale było ewidentne, że charisjański następca tronu doskonale rozumiał, że musi sięść na karku uciekającego wroga.

Książę Czarnej Wody spojrział w górę, na niebo, potem przed siebie, na horyzont, zza którego wyrastał las masztów. Galery Haarahlda płynęły dokładnie na niego. Na jego oczach zwijano żagle i opuszczano reje. Admirał zazgrzytał zębami, uświadamiając sobie, że tak wyglądają przygotowania do ostatecznego starcia.

On też, choć tylko po części, pragnął dać tę satysfakcję królowi Charisu. Jeśli jednak to uczyni, pozwoli Caylebowi na zajęcie sprzymierzonej floty od tyłu, a jeśli do tego dojdzie, charisjańskie galeony i galery uzyskają faktyczną przewagę liczebną nad siłami, którymi

aktualnie dowodził. Jego niedawna wyższość w tej materii momentalnie stopniała, a otwarte starcie, zwłaszcza przy udziale galeonów, oznaczało totalną klęskę.

- Utrzymujemy aktualny kurs, kapitanie Myrgyn - rozkazał zdecydowanym i spokojnym tonem. - I nie opuszczamy żagli.

- Zamierzają przebić się przez nas, wasza wysokość - zameldował kapitan Tryvythyn.

- Co zamierzają, a co naprawdę uczynią, mój drogi Dynzylu, to dwie absolutnie różne rzeczy - stwierdził ze stoickim spokojem Haarahld.

Władca stał na kasztelu rufowym Królewskiego Charisu, obserwując nadciągającą chmurę wrogich galer. W odróżnieniu od czterech długich linii, w jakie ustawił swoje okręty książę Czarnej Wody, flota Haarahlda szła w dwunastu znacznie krótszych formacjach, z których każda składała się z jednej eskadry. Porównując obie floty, król wbrew sobie odczuł coś na kształt zadowolenia.

Był na tyle inteligentny, że od razu dostrzegł, jak ogromną przewagę dawały jego okrętom wynalazki Merlina. Ale Królewska Marynarka Wojenna Charisu oraz srogość i znakomite umiejętności służących w piechocie morskiej żołnierzy siały panikę w szeregach wroga na długo przed tym, jak pojawił się Merlin i jego zabójcza artyleria. To będzie bitwa w starym stylu, być może już ostatnia, ale Haarahld wychował się na takiej właśnie szkole walki.

Jego okręt flagowy prowadził królewską eskadrę, ale władca Charisu nie miał powodu, by ruszać do bitwy w pierwszym szeregu. Zwłaszcza przy taktyce, jaką zamierzały zastosować charisjańskie jednostki.

- Sygnał do floty, Dynzylu - powiedział, widząc, że uciekające galery księcia Czarnej Wody kierują się prosto na niego. - Kurs na zbliżenie.

Wschodnia kolumna floty księcia Czarnej Wody wysforowała się przed pozostałe. W tym właśnie momencie płynące na jej czele galery wbiły się w formację Haarahlda niczym najprawdziwszy taran.

W każdym razie tak mógłby to odebrać niewprawy obserwator. W rzeczywistości jednak to Charisjanie rzucili się niczym stado wygłodniałych krakenów na ławicę narwali.

Tradycyjna taktyka floty Korony polegała na szybkim i bezwzględnym uderzeniu na wroga. Żołnierze korpusu wieździeli, że są najlepiej wyszkoloną formacją piechoty morskiej na świecie - i jedyną zawodową, należałoby dodać, a każdy kapitan charisjańskiego okrętu uczył się współpracy z nimi podczas ataku, jakby stanowili część jego załogi.

Okręt flagowy admirała wyspy Zamek poprowadził pierwszy atak, przybijając burtą do jednej z corisandzkich galer. Wiosła znajdujące się na bakburcie Tellesbergu uniosły się nad wodę i zniknęły we wnętrzu kadłuba z mechaniczną precyzją tuż przed tym, jak o wiele większa i cięższa galera staranowała niską burtę Piany.

Uderzenie było tak silne, że maszt corisandzkiej jednostki został wyrwany z obsady i runął jak długi na pokład. Poszycie puściło, woda zaczęła się wdzierać do wnętrza kadłuba.

Moment później, gdy Tellesberg odbił się od wrogiej jednostki, działa pokładowe oddały salwę prosto w zaścielony takielunkiem i płótnem żaglowym pokład Piany. Flagowiec hrabiego był wolny, jego wiosła znów zanurzyły się w wodzie i popchnęły go naprzód, prosto na Halabardę, następną galery w szyku. Płynący za Tellesbergiem HMS Topór Bojowy odpalił salwę w kadłub Piany, a potem skierował się na corisandzkiego Wojownika.

Tellesberg uderzył w Halabardę z niemal tak wielką siłą, jak przed chwilą w Pianę. Tym razem maszt atakowanej galery zdołał się utrzymać, ale kadłub o wiele lżejszej jednostki zdrzął mocno tuż przed tym, jak na jej burtę posypały się tuziny haków abordażowych.

Zanim żelazne kotwice wbiły się mocno w nadburcia Halabardy, pierwsi żołnierze korpusu już przeskakiwali na wrogą jednostkę, wydając z gardeł przerażający okrzyk wojenny. Ci, którym dane było przeżyć atak piechoty morskiej, do końca życia nie mogli zapomnieć tego

wrzasku. To jego dźwięk zrodził legendę o najbardziej nieustraszonych i okrutnych wojownikach z Królewskiej Piechoty Morskiej.

Większość nowych muszkietów i bagnetów powędrowała na galeony Cayleba, ale żołnierzom stacjonującym na Tellesbergu to nie przeszkadzało. Przetoczyli się po pokładzie Halabardy niczym fala przyływu, niepowstrzymani dzięki znakomitemu wyszkoleniu i dyscyplinie. Piki poszły w ruch, opadły kordelasy i topory. Śródokręcie zostało wzięte od pierwszego szturmu.

W tym momencie załoga corisandzkiej galery przystąpiła do kontrataku. Z obu kaszteli odpalono muszkiety i „wilki” prosto w bitewną ciżbę, zabijając i raniąc dziesiątki żołnierzy. Piechota wroga uderzyła na oddziały abordażowe z taką desperacją, że udało się je zmusić do częściowego odwrotu.

Przez kilka minut obie strony albo szły do przodu, albo się cofały, walcząc ze sobą nieustannie w bitewnym szale. Po tym jednak do przeciwległej burty Halabardy podszedł HMS Miecz Tirianu i druga fala żołnierzy piechoty morskiej zmioła obrońców.

Księżę Czarnej Wody spoglądał ze smutkiem na galery wchodzące w kontakt bojowy z wrogiem.

Jego plan nie zadziałał. Zacisnął mocniej szczęki, gdy to w końcu zrozumiał. Jego kolumna idąca na zachodnim skrzydle floty została wprowadzona w tyle, od czoła formacji dzieliła ją niemal półtorej mili, ale widział wszystko jak na dłoni. Kłębowisko galer w miejscu, w którym Charisjanie doprowadzali do kolizji, aby powstrzymać jednostki sprzymierzonych sił z pierwszych dwu kolumn, było zbyt szerokie i zwarte, żeby móc się przez nie przebić. Drugie, trzecie i następne okręty płynące w kolumnach dołączały do wiodących jednostek, nie mogąc - a czasem nie chcąc - ominąć połączonych ze sobą kadłubów, które stanowiły teraz pole prawdziwej walki. Niektóre próbowały wykonać rozkazy księcia, ale zawsze znalazła się w pobliżu kolejna eskadra Charisjan albo pojedyncza galera, która trafiała idealnie w burtę uciekiniera, wiążąc go walką, i tak barykada z drewnianych kadłubów, wirującej stali i krwi ciągle się powiększała. Widok ten przypominał księciu jesień, kiedy to opadające liście spływają w dół rwącego strumienia, dopóki nie natrafiają na wystającą z wody gałąź, przy której zaczynają się kotłować, wpadając jeden na drugi, aż stworzą zwartą masę. Mimo szczęku dochodzącego z pokładów galer atakowanych przez Haarahlda księżę wciąż słyszał niemilkący ryk dział dochodzący zza pleców. Cayleb nie odpuszczał, jego galeony zrównały się już z ostatnimi jednostkami idącymi w kolumnie księcia, zasypując je gradem kul.

Spojrzał raz jeszcze na kłębowisko kadłubów, połamane maszty, dym, sztandary oraz wraki i ujrzał ostateczny krach swojej kampanii. Ale moment później jego wzrok wyłowił na skraju tego zamętu samotną charisjańską eskadrę. Oczy mu zapłonęły, gdy rozpoznał powiewające nad nią sztandary.

Z powodu tego, że jego kolumna została nieco z tyłu, Cayleb dopadł ją jako pierwszą, ale w efekcie tego okręt flagowy księcia Czarnej Wody i idące za nim jednostki uniknęły najgorszego wiru walki.

W odróżnieniu od niemal wszystkich galer Charisu...

Na ustach księcia Czarnej Wody pojawił się szeroki uśmiech. Chwycił kapitana Myrgyna za ramię i wskazał palcem na królewskie sztandary.

- Tam! - warknął. - Tam jest twój cel, Kehvynie.

Kapitan Tryvythyn dostrzegł rząd corisandzkich galer kierujących się prosto na Królewski Charis. W tej kolumnie było co najmniej piętnaście jednostek, nie był pewien ostatecznej ich liczby, ponieważ otaczało je zbyt wiele dymu. Z pewnością jednak rozpoznano na nich królewski sztandar.

Na pokładach pozostałych okrętów eskadry dostrzeżono zagrożenie w tym samym momencie. Bębniarze natychmiast zaczęli wybijać szybszy rytm i pięć galer ruszyło, aby osłonić Królewski Charis przed zbliżającym się atakiem. Tryvythyn spojrział na Haarahlda i już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale wystarczyło, że król popatrzył na niego, a natychmiast je zamknął.

- Tak lepiej - stwierdził władca, uśmiechając się blado, potem wskazał głową nadciągających Corisandian. - Jeśli zdołają nas ominąć, nie będzie nikogo, kto by ich powstrzymał.

- Wiem, wasza wysokość - odparł Tryvythyn. - Ale mam nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli powiem, iż twoje życie więcej znaczy dla Charisu niż te wszystkie okręty razem wzięte.

- Doceniam ten komplement, Dynzylu, ale w takiej sytuacji nie liczy się jednostka, jakkolwiek ważna, tylko zwycięstwo. A nawet nie ono samo. Ta wojna to dopiero początek bez względu na to, jakim rezultatem zakończy się dzisiejsza bitwa. Jediną szansą na przetrwanie Charisu będzie utrzymanie kontroli nad morskimi szlakami. Musimy pokonać wroga całkowicie, zniszczyć go doszczętnie, aby następny admirał, który wyruszy przeciw nam, czuł gorycz porażki już w dniu wyruszenia z portu. Musimy rozbić go z taką bezwzględnością, by nasi ludzie uwierzyli, że mogą uderzyć na każdego i pokonać go bez względu na szanse. To jest znacznie ważniejsze od życia jednego człowieka, nawet jeśli jest on królem. Rozumiesz, co powiedziałem?

Tryvythyn spoglądał w oczy króla przez dłuższą chwilę, potem pokłonił mu się głęboko.

- Tak, wasza wysokość - odparł spokojnie. - Rozumiem.

Dreadnought minął kolejną galerę.

Dewastacja została z tyłu, ale Zniszczenie ominęło ją

niemal zrównało się z okrętem flagowym. Odległość pomiędzy tymi dwoma galeonami a resztą eskadry szybko się powiększała. Zniszczenie szło po przeciwnej stronie kolumny wroga niż galeon Cayleba i to ono odpaliło salwę w bakbur - tę mijanego Scimitara. Dreadnought wciąż wyprzedzał idącą za nim jednostkę o całą długość, więc jego działa zmasakrowały bakbur - tę galerę zaledwie moment wcześniej. Kilka kul minęło cel i przeleciało niebezpiecznie blisko dziobnicy Zniszczenia, ale tak skoncentrowany ostrzał z obu stron doprowadził do poważnego uszkodzenia corisandzkiego okrętu.

Cayleb spojrział na zdewastowany wrak i dostrzegł gorączkowo opuszczaną banderę.

Kanonierzy byli zbyt wyczerpani, by raz jeszcze wznieść radosny okrzyk, kończyła im się też amunicja. Gotowe ładunki były już na wyczerpaniu, a kapitan Manthyr nakazał ustawić długie rzędy żołnierzy pomiędzy pokładem a magazynami amunicji, aby uzupełnić choć w minimalnym stopniu te straty. Mimo tych niedogodności książę czuł, że Charis odniósł tego dnia miażdżące zwycięstwo nad wrogiem. Wiedział o tym, a jednak miotał się po okręcie jak uwięziony w klatce jaszczurodrap, obserwując wysiłki kapitana, próbującego wykrzesać z flagowca choćby odrobinę większą prędkość.

Eskadra Cayleba przestała tworzyć zwarty szyk, gdy najszybsze galeony, takie jak choćby Zniszczenie, minęły mniej zwrotne - choć nadal nietknięte - jednostki idące przed nimi, aby dopaść uciekającą flotę księcia Czarnej Wody. Na północy formacja Staynaira dobiegała zachodnią część dawnych sprzymierzonych flot. Tam ponad dwadzieścia chisholmskich galer poddało się przy minimalnym oporze. Tylko kilku zde-terminowanych kapitanów jednostek ze Szmaragdu i Corisandu spróbowało wymknąć się z kleszczy obu eskadr galeonów - przebili się na północ, wykorzystując zamieszanie i ogromne ilości dymu unoszącego się nad polem walki. Ale można ich było policzyć na palcach jednej ręki, a dwie trzecie floty zgromadzonej wokół uciekającego księcia Czarnej Wody zwarło się w morderczej walce z galerami Haarahlda.

Tylko trzydzieści jednostek Corisandu mogło liczyć na ucieczkę. Próbowaly przedrzeć się przez zachodni skraj gigantycznego kłębowiska kadłubów, na którym ich towarzysze walczyli wręcz z głównymi siłami króla Charisu. Cayleb i jego galeony siadły im na karku, atakując najwolniejszych zbiegów, ale kilka okrętów wciąż miało szansę na ucieczkę. Tyle tylko, że na ich drodze znalazło się sześć charisjańskich galer, które płynęły z przeciwka.

Księżę Czarnej Wody spojrział za rufę. Nad unoszącym się wszędzie dymem dostrzegł topsle najbliższych galeonów. Nadal znajdowały się bardzo daleko, ale szybko się zbliżały, a dzień nie chylił się jeszcze ku końcowi.

Jego usta zmieniły się w wąską linię, gdy spojrział w oczy kapitana i ujrzał w nich tę samą pewność.

- Przynajmniej zabierzemy ze sobą kilku tych drani - oświadczył z ponurą miną, na co Myrgyn tylko przytaknął.

HMS Królowa Zhessyka ruszyła prosto na płynący na czele atakujących Corisand księcia Czarnej Wody. Jej kapitan uważnie ocenił położenie obu jednostek i ich kursy, zamierzając przybić mocno do corisandzkiej galery, ale Myrgyn cały czas stał za sternikami, reagując na ruchy przeciwnika z taką samą precyzją i wyczuciem.

Obie galery szły na siebie ze składową prędkością przekraczającą ponad piętnaście węzłów, ale gdy Królowa Zhessyka odbiła nieco za bardzo na zawietrzną, Myrgyn natychmiast wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przyglądał się Charisjanom, czekając na moment, w którym przeciwnik zacznie chować wiosła. Gdy to nastąpi, kapitan wrogiej galery zdecyduje się na uderzenie, ale on wciąż czekał... czekał... i czekał.

- Teraz! - zawołał i sternik posłusznie wychylił rumpel na zawietrzną.

Corisand skręcił ostro na przeciwnika, nie z wiatrem, tylko w drugą stronę, nagle się oddalając. Królowa Zhessyka próbowała skompensować ten ruch, kontynuując manewr, ale jej kapitan spodziewał się, że idąca pod żaglem galera wykona zwrot na wiatr. Nadal usiłował doprowadzić do kontaktu z rufą corisandzkiej jednostki i co najmniej tuzin haków abor-dażowych wbiło się w nadburcie, ale siła pędu ważących ponad dwa tysiące ton i płynących w zupełnie innych kierunkach galer natychmiast zerwała wszystkie liny.

Corisand zadrżał, a drewno, z którego został zbudowany, wydało przeciągły jęk, gdy jego rufowa nadbudówka została zmieciona z pokładu razem z dwudziestoma pięcioma stopami nadburcia okalającego rufowy kasztel. Zginęło przy tym pięciu żołnierzy, zmiażdżonych tym samym uderzeniem, które zdemolowało rufę, a dalszych sześciu członków załogi odniosło poważne obrażenia. Poszycie pękło w dwóch miejscach, poniżej linii wody, do środka kadłuba zaczęła się wdzierać woda. Ale maszt wytrzymał i galera nadal płynęła przed siebie. Myrgyn wydał kilka szybkich komend i odzyskali nad nią kontrolę.

Corisand przepłynął obok pozostałych jednostek charisjańskiej eskorty i ruszył wprost na płynący z przeciwka okręt Haarahlda

Haarahld obserwował pozostałe pięć jednostek swojej eskadry, gdy pułapka się zatrzasnęła. Corisand zdołał prześlizgnąć się obok Królowej Zhessyki, ale pozostałe siedem galer zostało przechwyconych.

HMS Zatoka Skalistej Mielizny uderzył w burtę galery idącej tuż za Corisandem z taką siłą, że złamał jej maszt, unieruchamiając dokładnie na kursie Konfederaty, trzeciego okrętu w linii sprzymierzonych sił. Galery nie miały już szans na dziobach, ale Konfederata wbił się w burtę większej od niego charisjańskiej jednostki jak topór, wchodząc w nią na niemal jedną trzecią szerokości kadłuba. Śmiertelnie raniona Zatoka Skalistej Mielizny zaczęła szybko nabierać wody, pociągając za sobą agresora, którego dziobnica mocno utkwiała w rozcięciu. Trzydziestu wioślarzy zginęło przy tym zderzeniu, a wiele tuzinów odniosło rany, w tym sporo ciężkich. Ich towarzysze walczyli o ich uwolnienie z boju, starając się

uciec przed szybko wzbierającą wodą w tym samym czasie, gdy charisjańscy kanonierzy na górnym pokładzie oddali salwę z kartaczy na nieosłonięty ni-czym pokład, po czym na jednostkę wroga wdarła się naszpikowana stalą fala wrzeszczących dziko żołnierzy korpusu. Królowa Zhessyka nie miała problemu z powrotem na dawny kurs po kolizji z Corisandem i wykonawszy ciasny zwrot, ruszyła na nadpływającego Harpuna. Tym razem jej kapitan nie popełnił podobnego błędu, skręcając w tym samym kierunku co jego przyszła ofiara i pozwalając, by Corisandianie otarli się o jego okręt burtą. Haki poszybowały w niebo drugi raz i moment później obie galery płynęły w tym samym kierunku. Zderzyły się tak silnie, aż zajęczały drewniane kadłuby, drżąc przy tym mocno, ale jęk utonął we wrzasku kolejnej fali oddziałów abordażowych zalewającej pokłady Harpuna.

Trzy kolejne charisjańskie galery - Piaszczysta Wysepka, Ziemia Margaret i Król Tymythy - wybrały swoich przeciwników z nieco większą ostrożnością. Każda z nich uderzyła w wybraną ofiarę, z rozmysłem rozbijając czoło kolumny wroga. Dwa z płynących z tyłu corisandzkich okrętów nie zdołały ominąć szepionych kadłubów, wbijając się w nie od rufy.

Ale Corisand był już daleko, a osiemnaście kolejnych galer płynęło w stronę walczącej eskadry królewskiej.

Tym razem maszt Corisandu padł.

Zderzeniu okrętu kapitana Myrgyna z Królewskim Charisem towarzyszył trzask pękającego drewna i darte go poszycia. Haki abordażowe poszybowały w obu kierunkach, za-grzmiały muszkiety, „wilki” i działa. Ludzie zawyli i zginęli. Na okręcie flagowym Haarahlda zastąpiono stare „sokoły” karonadami. Kartacze z nich wystrzelone zamieniły pokład corisandzkiej galery w krwawe pobojuwisko. Także piechota morska stacjonująca na pokładzie została wyposażona w najnowsze rodzaje muszkietów. Salwa z nich oddana znacznie zwiększyła skalę dokonanej rzezi.

Przez moment wydawało się, że bitwa została rozstrzygnięta, zanim na dobre się rozpoczęła, ale wtedy na nadburciu kasztelu rufowego pojawił się książę Czarnej Wody z obnażonym mieczem i zawołał:

- Za mną, chłopcy!

W odpowiedzi z pokładu Corisandu dobiegł dziki ryk wściekłości, który zagłuszył nawet skowyt rannych.

Książę przeskoczył nad wodą, lądując na pokładzie wrogiej jednostki w miejscu, gdzie przed chwilą corisandzki pocisk wyrył sporą dziurę w nadburciu, zamieniając stojących wokół ludzi w krwawą miazgę. Poślizgnął się przy tym na mokrym od krwi pokładzie, nieomal padając na plecy, co zresztą ocaliło mu życie. Najbliżej stojący żołnierze korpusu rzucili się w jego stronę, ale zanim dotarli na skraj pokładu, spadła na nich fala atakujących Corisandian.

Ocaleni z wcześniejszego pogromu marynarze i żołnierze porzucali własną jednostkę, przedostając się na pokład okrętu flagowego Haarahlda, gnani przerażeniem, na wpół oszalali ze strachu, ale i pełni nadziei, że zdołają dopaść i zabić tego, kogo sztandary zdobyły maszty Królewskiego Charisu. Uderzyli na obrońców z siłą tak wielką, że nawet znakomicie wyszkoleni żołnierze korpusu musieli się cofnąć przed taką furją.

Atakujący zajęli całe śródokręcie galery, ale większość z nich ruszyła potem ku rufie, torując sobie drogę ku królowi, podczas gdy tylko nieliczni pozostali, aby powstrzymać kontratak piechoty morskiej z forkasztelu.

Bitwa toczyła się ze zmiennym szczęściem przez kilka długich minut, ale załoga Corisandu poniosła zbyt wielkie straty, zanim jeszcze doszło do abordażu, a charisjańska piechota morska naprawdę była najlepsza na świecie w tego rodzaju walkach. Żołnierze wytrzymali moment szaleńczego szturm kszęcia Czarnej Wody, odzyskali przewagę i zaczęli spychać Corisandian. W tym momencie w drugą burtę Corisandu uderzył Morski Szczyt, kolejny

okręt wroga, i moment później świeża fala atakujących przetoczyła się przez pokład flagowca księcia Czarnej Wody, używając go jako pomostu, aby dotrzeć na pole bitwy.

Na twarzy Cayleba Ahrmahka widać było wielki smutek, ale też ogromną determinację, gdy Dreadnought zagłębiał się w rozbite tyły corisandzkiej kolumny. Widział już w od-dali kłębowisko połączonych kadłubów, zbliżające się szybko do bakburty jego flagowca, ale co najmniej trzy galery wroga zdołały ująć z tego kotła. Pływały teraz prosto na okręt flagowy jego ojca, który toczył już walkę z dwoma przeciwnikami.

Nie musiał zachęcać kapitana do zwiększenia wysiłków. Tam był ojciec Cayleba, ale i król Gwylyma Manthyra. Sto-jący między nimi Merlin czuł niemal namacalne pragnie-nie dowódcy flagowca, który gdyby to coś dało, osobiście dał-by w żagle.

Ale już płynęli najszybciej jak mogli, strzelając co chwila w obie strony. Najbliższa droga prowadząca do Królewskie-go Charisu wiodła w pobliżu corisandzkich jednostek, a ka-pitan Manthyr wprowadził Dreadnoughta pomiędzy nie na pełnych żaglach, jakby płynął zwykłym dziesięciometrowym słupem podczas zwykłych ziemskich regat.

Kanonierzy strzelali do celów oddalonych zaledwie o dwa-dzieścia jardów. Wróg także odpowiadał ogniem z muszkietów, „wilków" i dział. Z tak niewielkiej odległości nawet po-wolna artyleria Corisandian mogła wyrządzić spore szkody. Jedno z dział pokładowych Dreadnoughta zostało trafione w sam wylot lufy. Odrzuciło je w tył z całą lawetą, masywna lufa zatańczyła jak ziemski delfin na ogonie, a potem opadła niczym młot, dobijając kanonierów z obsady, którzy przeży-li deszcz odłamków.

Sekcja sypialna została roztrzaskana serią kartaczy, któ-re przebiły burzę, uderzając w zwinięte mocno hamaki, które miały chronić wnętrze przed kulami i deszczem odłamków. Niestety, nie były przystosowane do powstrzymywania tego typu amunicji i nie zdołały uchronić przed śmiercią sze-ściu żołnierzy korpusu oraz trzech marynarzy. Pięciu in-nych odniosło przy tym poważne rany. Raz po raz krzyki zwiastowały kolejne ofiary, jedna z wystrzelonych kul mu-snęła nawet główny maszt, ale kanonierzy Dreadnoughta gdzieś mieli piekło, które ich otaczało. I nie chodziło tutaj o doskonałe wyszkolenie ani nieludzką odwagę. Wycieńcze-nie zrobiło swoje. Zostali zredukowani do automatów, sku-pionych wyłącznie na swoich zadaniach.

- Cofnąć się! Wszyscy na rufowy kasztel!

Głośny rozkaz kapitana Tryvythyna przebił się przez wrzawę na moment przed tym, jak Waleniszczyciel, trzecia corisandzka galera, dobił do szepionych okrętów.

Atakujący zyskali ogromną przewagę nad obrońcami Kró-lewskiego Charisu. Mniej niż połowa żołnierzy korpusu i jed-na trzecia marynarzy stała jeszcze o własnych siłach, bro-niąc przestrzeni pomiędzy głównym lukiem a rufą, ale nie-kończąca się rzeka napastników spychała ich systematycz-nie w tył, krok za krokiem, z których każdy okupiony był krwią. Dynzyl Tryvythyn przyglądał się temu odwrotowi z wielkim przerażeniem. Nie bał się o siebie, ale o życie kró-la, który stał tuż za nim.

- Bronić drabin! - wołał. - Bronić...

Kula wystrzelona przez jednego z muszkietierów Walenisz- czyciela trafiła go w krtań. Uderzenie odrzuciło go w tył, padł na plecy, krztusząc się własną krwią, prosto pod stopy wal-czących.

Król, pomyślał. Król!

I wyzionął ducha.

Dreadnought minął po zawietrznej kolejną galere. Jego działa zagrzmiały, zasypując ją gradem kul, ale zadrżał, gdy nadeszła odpowiedź. Fokmaszt zachwiał się groźnie, w dół posypały się drzazgi z rozłupanego drzewca. Moment póź-niej jego szczyt przechylił się i zawisł niczym złamany krzyż. Luźne żagle zaczęły mocno łopotać. Ale minął już ostatnie-go

z wrogów, sunął prosto na kłębowisko galer szepionych z Królewskim Charisem, dymiąc wciąż z obu burt.

- Przybijmy do nich burtą! - wrzasnął Cayleb, wyciągając miecz podarowany przez Merlina. Jego oczy miały wygląd zimniejszy od trzymanej w dłoni stali.

Książę Czarnej Wody przyglądał się walce z rosnącą wściekłością. Załogi jego galer wymieszały się całkowicie. Nie było już żadnych jednostek ani organizacji ataku. Ludzie kłębili się, walcząc wręcz, z kim się dało, ale on trzymał się z dala od największego zamętu, idąc powoli w stronę rufy.

Nie wiedział, jakim cudem zdołał dożyć tego momentu.

Pancerz nosił wiele śladów po ciosach, które z trudem sobie przypominał, a ostrze jego miecza unurzane było aż po rękojeść we krwi, choć nie potrafił sobie przypomnieć ludzi, do których należała. Przez wrzaski i skowyty wciąż słyszał dudnienie artylerii, a gdy odwrócił głowę, by spojrzeć na północ, dostrzegł wynurzające się z dymu żagle galeonów.

Nie udało im się przebić przez jego flotę bez jednego draśnięcia. Widział połamane maszty i żagle podarte pociskami i odłamkami. Widział pozrywany takielunek powiewający na silnym wietrze, widział dziury w burtach i ciała leżące w sieciach przy dziobnicy albo zwisające przez strzaskane nadburcia. Ale galeony nadal tu były, nadal płynęły, a z ich furt działowych wciąż wydobywały się smugi ognia. Zazgrzytał zębami z wściekłości.

Prychnął pogardliwie i pomagając sobie łokciami, zaczął przepychać się gwałtowniej przez ciżbę, zmierzając ku obleganemu kasztelowi rufowemu.

Kula muszkietowa odbiła się od kirysu Haarahlda Ahrmahka, gdy oparł się na pice, by złapać oddech. Jęknął i się zachwiał, ale kula bzyknęła tylko i poleciała w dal, nie zostawiając najmniejszego nawet draśnięcia na darze od Merlina, tylko ślad rozartego ołowiu. Odzyskał równowagę i zagłębił miecz w klatce piersiowej corisandzkiego marynarza, który usiłował wspiąć się na kasztel. Mężczyzna spadł na główny pokład, rżąc głośno, z jego ust i nozdrzy trysnęła krew. Haarahld też jęknął, gdy poczuł rwanie w kalekiej nodze.

Sierżant Gahrdaner odrzucił swojego przeciwnika, zadając mu mocny cios oburącz, a potem odciągnął króla bezceremonialnie od krawędzi kasztelu, zajmując jego miejsce przy drabinie. Haarahld skrzywił się, ale zrozumiał, że nie powinien protestować, cofnął się więc jeszcze bardziej, za plecy przybocznego, i z trudem łapał oddech.

Kasztel rufowy był ostatnim szansem obrony, który mógł paść lada moment. Haarahld nie widział momentu śmierci Tryvythyna, ale dostrzegł w dole ciało kapitana otoczone zwłokami trzech poruczników Królewskiego Charisu. Zgiął także midszypmen Marshyl - leżał teraz na ciele majora Byrka, dowódcy żołnierzy korpusu zakwaterowanych na pokładzie flagowca. Gahrdaner był ostatnim walczącym jeszcze członkiem straży przybocznej króla, ale krąg obrońców władcy topniał z każdą chwilą pod nieustającym naporem rozwścieczonych wrogów.

Obok Haarahlda stał przerażony midszypmen Aplyn - chłopak był biały jak kreda na twarzy, ale w jego oczach płonął ogień determinacji. W obu rękach ścisnął rękojeść kordełasa, jakby to był najprawdziwszy dwuręczny miecz. Chwiał się przy tym, jakby nie umiejąc zdecydować, czy rzucić się do przodu, czy raczej zostać w obawie o własne życie. Haarahld puścił półpikę i ścisnął ramię chłopca.

Aplyn podskoczył, jakby go właśnie dźgnięto nożem, potem szybko podniósł wzrok na króla.

- Zostanie pan przy mnie, panie Aplyn - powiedział Haarahld. - Za moment będziemy mieli pełne ręce roboty.

Dreadnought dobił do kłębowiska szepionych galer. Gwylim Manthyr nie przejmował się tym, że mogą uszkodzić poszycie galeonu - to się teraz nie liczyło. Odmówił opuszczenia

zagli aż do ostatniej chwili i jego okręt wbił się pod kątem prostym w sterburłę Waleniszczyciela w chmurze odłamków i dzikim wrzasku miażdżonych ludzi. Dziobnica galeonu górowała nad śródokręciem galery, gdy je rozcinał, dopóki sztenga bukszprytu nie zatrzymała się, opierając o nadburcie o wiele masywniejszego Królewskiego Charisu. Woda z jego kilwaternu wdarła się do kadłuba Waleniszczyciela, dewastując wszystko na swojej drodze. Fok-maszt, złamany i osłabiony dwoma kolejnymi trafieniami, złamał się tuż przy nasadzie, lecąc w przód i zasypując pokład rozprutej galery gradem odłamków, podartego płótna i pozrywanego takielunku. Marynarze i żołnierze znajdujący się na stanowiskach ogniowych podczepionych do rei zginęli, spadając razem z nim. Moment później padły także pozostałe dwa maszty.

Uderzenie zważyło z nóg wszystkich ludzi znajdujących się na pokładach obu jednostek. Wielu zginęło przygniecionych przez spadające z góry elementy takielunku. Ale już moment później wszyscy żołnierze, którzy przeżyli to zderzenie, byli na nogach. Ruszyli naprzód, omijając ułamki masztów, i otworzyli ogień, spadając na plecy Corisandianów zmierzających na pokład Królewskiego Charisu. Lśniące bagnety wystrzeżły do przodu, a gdy zaraz się cofnęły, pokryte były czerwienią. Ciężkie buty piechoty morskiej wpiły się w ciała zabitych, gdy ruszyli z furją do przodu.

W tym samym czasie Merlin przemknął po sieciach rozpiętych na sterburcie, z kataną i wakizashi w dłoniach. Cayleb, Falkhan i pozostali przyboczni księcia ruszyli jego śladem, ale byli tylko ludźmi, więc szybko zostawił ich z tyłu.

Ściśnięte siłą zderzenia wrakowisko zaczęło się rozpadać, a ci nieliczni corisandzcy marynarze, którzy próbowali zastąpić drogę seijinowi, mogli z równym powodzeniem próbować powstrzymać gołymi rękami szarżującego smoka. Wylecieli wysoko w powietrze, gdy Merlin przemknął pomiędzy nimi, aby wykonać zapierający dech w piersiach skok przez dwudziestopięciostopową przerwę między szepionymi w trójkąt kadłubami galer. Wylądował na środku pokładu Waleniszczyciela za plecami zbitej masy wroga. Trzej marynarze zdołali dostrzec jego wychylny i odwrócili się, by go powstrzymać... Oni zginęli pierwsi.

Sierzant Gahrđaner padł, gdy został trafiony piką w tyłkę. Pochylił się do przodu i zleciał na główny pokład, prosto na czekające już ostrza mieczy i toporów.

Ryczący Corisandianie rzucili się hurmem do drabiny, której bronił, a nieliczni obrońcy króla odstąpili pod ich naporem od krawędzi, tworząc wokół władcy ostatni krąg obrony. Przez moment pomiędzy nimi a napastnikami otworzył się wąski pas wolnej przestrzeni, którą jednak szybko zapelnili wrogowie wspinający się po zdobytych drabinach.

Haarahld stracił hełm w bitewnym zamieszaniu. Zimny wiatr rozwiewał jego mokre od potu włosy. On i midszypmen Aplyn byli ostatnimi oficerami, jacy pozostali przy życiu.

Otoczający ich żołnierze dyszeli ciężko z wycieńczenia. Władca spojrział na mrowie otaczających ich wrogów i przez moment rozważał, czy nie poddać się, aby ocalić życie tych ludzi. Dostrzegł jednak w oczach Corisandianów bezgraniczne szaleństwo. Dotarli tutaj gnani żądzą krwi - gdyby nawet zrozumieli, że zamierza się poddać, nie przyjęliby tego do wiadomości.

Powiniennem powiedzieć teraz coś wzniosłego, pomyślał Haarahld, przeszukując nerwowo zakamarki pamięci, i naagle, ku swojemu zdziwieniu, zachichotał pod nosem. Aplyn usłyszał to i rzucił zaniepokojone spojrzenie na króla. Władca uśmiechnął się do pobladłego chłopaka.

- Nieważne, panie Aplyn - powiedział bardzo uprzejmym tonem. - Później to panu wyjaśnię. W tym momencie Corisandianie ruszyli do ataku.

Merlin Athrawes przemknął przez pokład Waleniszczy- ciela jak huragan, pozostawiając za sobą wyłącznie skrwa- wione ciała, potem wspiał się na Królewski Charis i ruszył w kierunku rufy.

Corisandianie, którzy mieli tego pecha i stanęli mu na dro- dze, nie wiedzieli nawet, przeciw komu walczą. Tylko kilku zdążyło to sobie mgliście uświadomić.

Merlin zmienił się, i to dosłownie, w maszynę do zabija- nia. Stał się wirem uzbrojonym w niehumanitarną ostrą stal, któ- rą zadawał ciosy z siłą dziesięciu zwykłych mężczyzn. Jego miecze przecinały ciało, pancerze, drzewca pik, kordelasy. Nie było przeciwnika, który mógłby stawić mu czoło i prze- żyć. Ciała i ich fragmenty padały na pokład wokół niego, znacząc go kolejnymi bryzgami krwi. Szedł jak burza przez ścianę przeciwników, hamowany raczej ich liczbą niż bronią.

Ale pomiędzy kasztelem a nim stały jeszcze setki wrogów.

Cayleb nie potrafił dotrzymać kroku Merlinowi. Nikt nie był do tego zdolny, ale księżę nieustępliwie piął się po sieciach wzdłuż dziobnicy, prowadząc swoich przybocznych. Fairca- ster zdołał go wyprzedzić w którymś momencie i to on zesko- czył pierwszy na pokład Waleniszczyciela. Żołnierze korpusu, którzy zdołali przedostać się wcześniej na tę galere, natych- miast rozpoznali księcia i spróbowali stanąć pomiędzy nim a największą ciżbą wroga. Niestety, zawiedli.

Cayleb, Faircaster i Ahrnahld Falkhan stanowili szpicę charisjańskiego klina przebijającego się przez pokład Wale- niszczyciela w kierunku Królewskiego Charisu. Miecz nazwa- ny przez Merlina Excaliburem błyszczał w ręce księcia, jak- by po raz pierwszy dane mu było zakosztować ludzkiej krwi.

Corisandianie uderzyli na wąski krąg żołnierzy korpusu i marynarzy chroniących Haarahlda. obrońcy trzymali się przez kilka niewiarygodnie długich chwil, odpierając kolejne ataki wroga, ale gdy padł pierwszy, a potem kolejni, przeciwnicy natychmiast rzucili się w odsłonięte miejsca.

Charisjanie zaczęli ustępować pola. Musieli to uczynić. Podzielili się na małe grupki i nadal walczyli zwróceniem do siebie plecami. Ginęli kolejno, ale wciąż desperacko bronili dostępu do swojego króla.

Haarahld został przyparty do relingu na rufie, okaleczo- ne kolano piekło go żywym ogniem, gdy oparł na nim całą masę ciała, aby zadać cios mieczem. Ciął ostrzem atakują- cego go marynarza i jęknął głucho, gdy stojący tuż za jego ofiarą corisandzki żołnierz pchnął go w pierś zakończonym kolcem trzonkiem bojowego topora. Mimo iż człowiek ten użył obu rąk, a element broni był specjalnie przygotowany do przebijania pancerzy, kolec odbił się od kirysu, nawet nie zostawiając na nim śladu. Napastnik zdążył tylko jęknąć z niedowierzania, zanim miecz Haarahlda rozplątał mu gardło.

Padł na bok i przez moment przed królem nie było nikogo. Ale gdy władca Charisu uniósł wzrok, dostrzegł Corisandia- nina z okutym stałą arbaletem. Strzelec zdołał jakimś cudem napiąć broń, nim wspiał się na kasztel rufowej galery. Teraz wymierzył ją prosto w Haarahlda.

- Wasza wysokość!

Hektor Aplyn także go dostrzegł. Zanim król zdołał się ru- szyć, chłopak skoczył do przodu i osłonił go własnym ciałem.

- Nie! - zawołał Haarahld. Odbił się od relingu, wycią- gnął dłoń przed siebie i pochwycił skraj tuniki midszypme- na. Odwrócił się szybko, pociągając chłopaka, i sam znalazł się na jego miejscu, odwrócony plecami do strzelca.

Bełt trafił go w sam środek pleców i odbił się od nieprze- bijalnej powierzchni pancerza ze stali bojowej. Król zachwiał się jednak po tak mocnym uderzeniu, a moment później po- czuł silne ukłucie nieco powyżej uszkodzonego kolana.

Dobrze, że nie trafił mnie w zdrową nogę!

Z tą myślą odwrócił się ponownie w stronę pola walki. Co- risandzki marynarz, który zadał mu pchnięcie pikią, cofał się właśnie z wykrzywionym pogardą obliczem, szykując się do zadania kolejnego ciosu, ale nagle zza pleców Haarahlda wy- padł chlapiący głośno Aplyn. Wąty chłopczyk przebiegł pod ostrzem piki, ujął kordelas w obie ręce, a Corisandianin za- wył, gdy ostrze wypatroszyło go jak rybę.

Padł natychmiast, chwytając się za rozpruty brzuch, a mid- szypmen wycofał się chwiejnym krokiem do króla.

Już tylko dwóch Charisjan stało na własnych nogach. Haarahld zadał szybkie pchnięcie w pierś marynarza nadbie- gającego z prawej, prosto na Aplyna, a chłopak zrewanżował się podobnym gestem, tnąc w nogi Corisandianina zamachu- jącego się na króla z lewej. Zaraz potem krzyknął głośno, gdy czyjś miecz zagłębił się w jego lewym ramieniu. Mało brako- wało, by upadł, ale zdołał się utrzymać na nogach i nie prze- stawał wymachiwać ciężkim kordelasem. Inne ostrze odbiło się od rękawa kolczugi Haarahlda, król odpowiedział ciosem, zabijając atakującego go marynarza, ale z każdym ruchem czuł, że siły wysączają się z jego ciała wraz z krwią płyną- cą z rany w nodze.

Coś tknęło corisandzkiego żołnierza stojącego na szczycie drabiny prowadzącej na kasztel rufowy Królewskiego Chari- su. Odwrócił głowę w samą porę, by dostrzec zakrwawioną postać, która z zadziwiającą lekkością skoczyła z nadburcia na ścianę obok niego. W tym samym momencie skonał, tra- fiony w krtań wykonaną ze stali bojowej kataną.

- Charis!

Merlin wydał okrzyk bojowy niezwykle donośnym głosem, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki, i jednym susem zna- lażł się na szczycie kasztelu. Kilku stojących najbliżej żoł- nierzy zdołało wyciągnąć broń w jego kierunku. Zignorował ich, pozwalając, by ostrza ześlizgnęły się po pancerzu, i za- czał wycinać sobie drogę do króla.

- Charis!

Wyciął w tłumie Corisandian szeroki korytarz. W jego szafirowych oczach nie było cienia litości, katana i wakiza- shi zbierały krwawe żniwo, siejąc przy okazji panikę. Prze- ciwnicy uciekali przed nim jak przed zarazą.

Nagle dotarł do ostatniej przeszkody, jaka dzieliła go od Haarahlda, i już był przy królu. Odwrócił się szybko w kie- runku, z którego przybył, ale minęło naprawdę sporo czasu, zanim którykolwiek z przeciwników - a było ich tam jesz- cze czterdziestu albo i pięćdziesięciu - zdecydował się ru- szyć do ataku.

Stojący za nim Haarald przyklęknął, wspierając się na mie- czu, a zakrwawiony Aplyn osłonił go swoim wątym ciałem.

- Bierzcie go, głupcy! - zawołał ktoś i moment później po- między niezdecydowanymi napastnikami precyzyjnie przycisnął się ksią- że Czarnej Wody.

Jego zbroja była ponacinana i pocięta w wielu miejscach, krwawił też z wielu, choć raczej płytkich ran. Z ostrza, które dzierżył, spadały na pokład krople szkarłatu, w oczach miał szaleństwo, a ochryply głos aż ociekał nienawiścią.

- Brać go! - wrzasnął raz jeszcze i sam rzucił się do ataku.

Jego ludzie wydali okrzyk bitewny i ruszyli za nim, pro- sto na Merlina, ale on nie odstąpił, tylko uniósł miecz. Nie poruszył się nawet o krok. Jego stopy mogłyby równie dobrze zostać przybite do tego cholernego pokładu.

Książę Czarnej Wody miał mniej niż sekundę na to, by zrozumieć, iż staje przeciw czemuś, co wykracza daleko poza jego zrozumienie. Potem dostał się w bezlitosny wir stali ota- czający seijina. Padł, jak tuzin jego ludzi, którzy trafili na te same ostrza. Większość nie miała nawet szansy na wyda- nie ostatniego okrzyku. Przypominali strumień wody rozbi- jający się o potężny głaz, niezdolny do ruszenia go z miejsca.

Żaden śmiertelnik nie mógł zbliżyć się do Merlina i przeżyć. W końcu to zrozumieli i cofnęli się po kilku sekundach nieludzkiej masakry, spoglądając z przerażeniem na wał utworzony z poległych, otaczający rannego władcę Charisu.

Hektor Aplyn poczuł, że ktoś dotyka jego nogi.

Obrócił się błyskawicznie, unosząc kordelas, i zamarł. To była ręka jego króla... Oczy chłopaka zrobiły się okrągłe jak spodki, gdy dostrzegł kałużę krwi otaczającą władcę.

- Wasza wysokość!

Chłopak padł na kolana, szukając rozbieganym wzrokiem rany, która była temu winna, ale Haarahld pokręcił tylko głową. Poruszał nią jednak przerażająco wolno.

- Wybacz mi, wasza wysokość... - Zakrwawiony młody midszypmen załkał. - Wybacz mi! Nie powinienes mnie od-suwać!

- Nonsens - odparł król. Głos miał słaby, życie uchodziło z niego z każdą kroplą krwi. - Obowiązkiem króla jest obro-na jego poddanych, panie Aplyn.

- Nie! - Chłopak pokręcił głową.

- Tak - powiedział Haarahld.

To niesamowite, pomyślał. Nie czuł już bólu nawet w oka-leczonym kolanie. W każdym razie fizycznego bólu. Z trudem uniósł niewyobrażalnie ciężkie ramię, by objąć nim klęczącego przed nim szlochającego chłopca. Dzieciaka, który stał się dla niego taki ważny... i któremu powinien wyświadczyć jeszcze jedną przysługę jako król.

- Tak - wyszeptał i pochylił się mocno, aż jego czoło ze-tknęło się z głową Aplyna. -

Tak, Hektorze. Tak samo jak jego poddani winni wiernie służyć następcy swojego władcy. Czy możesz to dla mnie zrobić?

- Tak - wyszeptał chłopak przez łzy. - Tak, wasza wy-sokość.

- Zaszczycem było... służyć z panem... panie Aplyn - wymamrotał Haarahld Ahrmahk i zamknął oczy. Opadł prosto na klęczącego Aplyna, a ten objął go ramionami i pod-trzymał. Złożył twarz na okutym w stal ramieniu i rozplakał się na dobre.

KWIECIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 892

Pałac Królewski, Tranjyr

T

warz króla Gorjaha III nie wyrażała żadnych uczuć, gdy Edymynd Rustmyn, baron Kamiennej Warowni, wkra-aczał w progi sali obrad.

- Posyłałeś po mnie, wasza wysokość? - zapytał przybyły całkiem spokojnym głosem, zachowując obojętny wyraz twa-rzy, mimo że nie tylko król, ale i dwaj inni ludzie czekali na niego. Baron Białego Brodu zasiadł po lewicy władcy a miej-sce po prawej, honorowe, zajął hrabia Thirsku.

- Tak, posyłałem - odparł Gorjah znacznie chłodniejszym tonem niż baron. - Siadaj. Król wskazał mu miejsce po przeciwnej stronie długiego stołu. Siwowłosy, wysoki baron Kamiennej Warowni zajął wskazane miejsce i spojrzał na całą trójkę z ukosa.

- Czym mogę ci służyć, wasza wysokość?

Gorjah wbił badawcze spojrzenie w człowieka, który był nie tylko jego najbliższym doradcą, ale i nadzorcą wszystkich szpiegów. W normalnych okolicznościach król zaliczał barona Kamiennej Warowni do wąskiego kręgu najbardziej zaufanych ludzi, dlatego z trudem przychodziło mu się po-godzić z poświęceniem go. Ale sytuacja była daleka od nor-malnej. Gorjah zastanawiał się, czy szef jego wywiadu zdaje sobie z tego sprawę.

- Właśnie omawiałem pewne sprawy z hrabią Thirsku - stwierdził władca oziębłe. - Prawdę powiedziawszy, poinformowałem mnie właśnie o treści rozmowy, którą odbył z Caylebem. Tuż przed tym, jak został wysadzony na Rafie Arma-gedonu.

Baron Kamiennej Warowni skinął głową w milczeniu, jego spojrzenie nawet na moment nie przestało być czujne. Fakt przybycia hrabiego Thirsku do Tranjyru nie był dlań tajemnicą,

mimo iż reszta dworzan miała się o tym dopiero dowiedzieć. Starsi doradcy króla Gorjaha poznali prawdę już niemal dwa pięćdziesiąt dni wcześniej, gdy do portu wpłynął straszliwie zmasakrowany Król Gorjah II barona Białego Brodu z wieściami, że książę Cayleb zdołał przechwycić sprzymierzone floty w pobliżu Rify Armagedonu i rozbił je doszczętnie. Baron Kamiennej Warowni zdołał ich przekonać, by zachowali tę wiedzę dla siebie przynajmniej do momentu, kiedy da się dokładnie oszacować rozmiary tragedii.

Najwidoczniej było gorzej, niż przypuszczał, słuchając wstępnego raportu barona Białego Brodu.

- Cayleb - kontynuował tymczasem Gorjah, wymawiając imię następcy charisjańskiego tronu, jakby to było przekleństwo - dopadł i zniszczył wszystkie okręty pozostające pod dowództwem hrabiego Thirsku, co oznacza, że te sześć galer, które ledwie dociągnęły do naszych portów, i jeden frachtowiec z sił pomocniczych, służący hrabiemu za środek transportu podczas powrotu do Tranjuru, to wszystko, co ocalało z pogromu. Tym razem baron Kamiennej Warowni, pomimo doskonałej samokontroli, zbladł.

- Na razie interesuje mnie odpowiedź na jedno tylko pytanie - stwierdził król. - Mianowicie: jakim cudem Cayleb i Haarahld wiedzieli, gdzie znaleźć nasze okręty? Mógłbyś mnie oświecić w tej kwestii, Edymyndzie?

Baron Białego Brodu wpatrywał się ze spokojem w twarz szefa wywiadu, ale oczy hrabiego Thirsku wyglądały tak, jakby były zdolne wiercić otwory w litej skale. Jeśli połączyć to z faktem, że Dohlarianinowi pozwolono przysłuchiwać się tej krępującej rozmowie od samego początku, podejrzenie Edymynda, iż zaraz zrobi się paskudnie albo wręcz bardzo paskudnie, było więcej niż uzasadnione.

- Wasza wysokość - zaczął pojednawczym tonem - nie jestem żeglarzem. Rozmieszczenie i eksploatacja okrętów także wykracza poza moje kompetencje. Nie wątpię, że zarówno baron Białego Brodu, jak i hrabia Thirsku potrafią odpowiedzieć na to pytanie lepiej ode mnie.

Błysk w oczach barona i zaciśnięte szczęki Dohlariani - na świadczyły o tym, że powinien był jednak wymyślić inną odpowiedź.

- A to ciekawe - bąknął król Gorjah, uśmiechając się pod nosem. - Gahvyn, hrabia i ja już omówiliśmy tę sprawę. Zgodnie z ich opiniami, Cayleb nie miał prawa nas odnaleźć. Baron Kamiennej Warowni rozważał w myślach słowa władcy, potem spojrzał mu prosto w oczy.

- Wasza wysokość, z twoich słów i faktu, że skierowałeś je do mnie, wnoszę, iż mniemasz, że miałem coś wspólnego z tą sprawą. Pragnę ci zatem przypomnieć, że przynajmniej do tej pory nie miałem żadnych związków z decyzjami wiążącymi się z organizacją tej floty ani jej ruchami. Obawiam się zatem, że nie bardzo rozumiem, w jaki sposób mógłbym być odpowiedzialny za jej porażkę.

Przez twarz hrabiego Thirsku przemknął cień czegoś, co mogło być odległym odbiciem wyrazu szacunku. Gorjah jednak przyglądał mu się chłodnym wzrokiem przez dłuższą chwilę. Potem wskazał ręką hrabiego.

- Zgodnie z tym, co powiedział książę Cayleb - stwierdził - Haarahld znał nasze plany już od kilku miesięcy. Wszystkie jego posunięcia w tym czasie, takie jak pozostawienie nieruszonych galer rezerwy czy też prośba o pomoc, były obliczone na zmylenie przeciwnika. Cayleb wyruszył w rejs mniej więcej w tym czasie, gdy poselstwo Charisu przybywało do Tranjuru. Zarówno baron Białego Brodu, jak i hrabia Thirsku potwierdzili, że następca charisjańskiego tronu nie byłby w stanie dotrzeć do Rify Armagedonu, gdyby nie wyruszył w przybliżeniu w tym samym terminie, zatem powinniśmy zakładać, że książę wiedział, o czym mówi. Zgodzisz się chyba ze mną, Edymyndzie?

- Na to rzeczywiście wygląda, wasza wysokość - przyznał ostrożnie baron Kamiennej Warowni. - Ale nadal podkreślam, że moja wiedza na ten temat była dość ograniczona.

- W to nie wątpię. - Tym razem uśmiech króla był jeszcze bleśny niż poprzednio. - Problem jednak w tym, skąd Haarahld się o tym dowiedział. Cayleb twierdził, że od nas. Baron Kamiennej Warowni poczuł nagle silny skurcz żołądka i pot płynący strumyczkami pod chustą.

- Wasza wysokość - oświadczył po kilkakrotnym przełknięciu śliny. - Nie sądzę, aby to było możliwe.

- W to też nie wątpię - przyznał Gorjah.

- Teraz rozumiem, po co mnie wezwałeś, wasza wysokość - stwierdził baron, starając się zachować spokój mimo jadowitego tonu władcy. - Rozumiem też, dlaczego hrabia Thirsku wydaje się tak wściekły. Ale nadal nie wierzę, że to prawda.

- Czemuż to? - zapytał Gorjah lodowatym tonem.

- Ponieważ nikt spoza grona obecnych teraz na tej sali, może z wyjątkiem jednego czy dwóch podwładnych barona Białego Brodu, nie wiedział o punkcie zbornym naszych flot oraz nie miał pojęcia o trasie, którą miały one popłynąć dalej, aż do Charisu. Ja z pewnością nie znałem jej przebiegu.

Gorjah zamrugał oczami, a szef wywiadu pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Niestety, hrabia Thirsku pokręcił zdecydowanie głową.

- Baronie - rzekł - ktoś jednak musiał się o tym dowiedzieć i przekazał te wieści do Charisu. Jako obcokrajowiec przebywający chwilowo w Tarocie nie mam pojęcia, kim mógł być ten człowiek. Ale wszystko wskazuje, że źródłem przecieku był ktoś z tego dworu. Nikt inny nie zdołałby dostarczyć im tej wiadomości na tyle wcześnie, by zdążyli wysłać flotę w morze i nas przechwycić.

- Wybacz mi, panie - odparł szef wywiadu - ale o ile się nie mylę, król Rahnyld i jego dworzanie wiedzieli o tych planach na długo przed tym, nim powiedziano o nich komukolwiek w Tarocie.

- Ale dopóki nie opuściliśmy portów, nie znaliśmy lokalizacji punktu zbornego ani kursu, jakim będziemy potem poruszali - skontrował hrabia Thirsku. - A wtedy nie było już najmniejszych szans na to, by wiadomość z Dohłaru dotarła do Haarahlda, dając mu czas na reakcję.

- Rozumiem. - Baron usiłował zachować pozory pewności siebie, lecz nie było to łatwe.

- Co do kursu, jaki obraliśmy po dotarciu do punktu zbornego - wtrącił baron Białego Brodu, odzywając się po raz pierwszy od początku rozmowy, i to tonem sugerującym, że wolałby tego nie robić - obawiam się, że ktoś tak obyty z możami jak Haarahld nie potrzebował dokładnych informacji. Prawdę powiedziawszy, nie trzymaliśmy się oryginalnej marszruty. Zdecydowaliśmy się popłynąć najbezpieczniejszą trasą, zważywszy na warunki pogodowe, a to Charisjanie mogli bez trudu przewidzieć, znając zmienność pogody i wiatrów na tamtych akwenach. Stąd też niezwykła precyzja Cayleba.

- Jak sam widzisz, Edymyndzie - stwierdził Gorjah, przyciągając ponownie wzrok barona - wszystkie dowody świadczą o tym, że Haarahld zdobył te informacje od nas. Szef tarockiego wywiadu mógł wprawdzie podważyć zasadność uznania tych domysłów za dowody, ale wolał tego w zaistniałej sytuacji nie czynić.

- A jeśli dostał te informacje od nas - ciągnął tymczasem Gorjah - wikariusz Zahmsyn i wikariusz Zhaspyr będą naprawdę zawiedzeni. Gdy okażą mi wyrazy swojego niezadowolenia, ja także poczuję się zawiedziony... osobą, która dopuściła do przecieku. Spojrzał baronowi Kamiennej Warowni prosto w oczy, a ten po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie.

Pałac książęcy, Eraystor

W

asza wysokość.

Nahrman ze Szmaragdu parsknął w sposób niegodny księcia, ale podniósł się z pościeli. Wyglądał teraz jak wynurzający się odmetów tłusty okaz narwala albo mors ze Starej Ziemi. Na jego twarzy próżno było szukać oznak zadowolonia.

- Wybacz, że cię budzę, wasza wysokość. - Nocny szambelan na widok jego miny zaczął mówić z wielkim pośpiechem. - Zapewniam cię, że gdybym miał jakikolwiek wybór, nigdy bym tego nie uczynił. Wiem przecież, jak bardzo nie lubisz, gdy ktoś ci przesz...

- Dość tego! - warknął książę i stojący przed nim mężczyzna zamilkł w pół słowa. Władca Szmaragdu przetarł oczy, potem ziewnął przeciągle i dopiero na koniec spojrzał w stronę szambelana, tym razem już nieco łagodniej.

- Tak lepiej - powiedział. - O co chodzi?

- Wasza wysokość, przybył oficer z portu. Mówi, że... - Nocny szambelan zamilkł na moment, ale zaraz wziął się w garść. - Wasza wysokość, doszło do bitwy. Ze słów tego oficera wynika, że ją przegraliśmy.

- Przegraliśmy?

Irytacja Nahrmana zniknęła w jednej chwili, zastąpiona czystym przerażeniem. Jakim cudem mogli przegrać to starcie, skoro mieli przewagę liczebną trzy do jednego?

- Oficer z portu czeka na ciebie, wasza wysokość - ciągnął nocny szambelan. - On będzie umiał szczegółowo opowiedzieć ci o tym zdarzeniu.

- Wprowadź go - rozkazał książę Szmaragdu, opuszczając nogi za krawędź łóża.

- Czy mam najpierw przysłać twoją służbę osobistą, wasza wysokość?

Szambelan rozpaczliwie pragnął powrotu do zwykłej dworskiej rutyny, ale książę przeciął jego marzenia o normalności jednym szybkim ruchem głowy.

- Wprowadź go! - wrzasnął, wstając i sięgając po szatę leżącą obok łóżka.

- Tak, wasza wysokość!

Szambelan pośpieszył do drzwi, a Nahrman przewiązał się szybko szarfą. Potem z wyrazem niecierpliwości na twarzy spojrzał w stronę wejścia. Niespełna dwie minuty później szambelan powrócił, prowadząc oficera floty, który wyglądał jeszcze żałośniej niż on sam. Nie miał miecza, także pochwa sztyletu była pusta, ale jeden ruch głowy wystarczył, by strażnik pilnujący drzwi sypialni został w pomieszczeniu.

- Kapitan Tallmyn, wasza wysokość. - Szambelan przedstawił gościa, który złożył władcy głęboki ukłon.

- Zostaw nas. - Nahrman odprawił sługę, a ten natychmiast ulotnił się z komnaty, jak nie przymierzając dym na silnym wietrze. Gdy drzwi zamknęły się za nim, oficer podniósł głowę i napotkał wzrok księcia, chociaż widać było już na pierwszy rzut oka, że bardzo się go obawiał.

- Kapitan Tallmyn - powtórzył Nahrman. — Kimże jesteś, kapitanie?

- Kapitan Gervays Tallmyn, wasza wysokość - odparł oficer głębokim głosem nawykłym do wydawania rozkazów. Jego słowa zdawały się odbijać echem, nawet książę, słysząc je, poczuł się nieswojo. - Mam honor być zastępcą kapitana portu królewskiego w Eraystorze.

- Rozumiem. Co z tą bitwą?

- Na razie nie mamy jeszcze kompletnych informacji na ten temat, wasza wysokość - odparł Tallmyn, tym razem nieco ostrożniejszym tonem, co Nahrman natychmiast zauważył i powitał zachęcającym skinieniem głowy. - Wiemy jedynie, że do portu powróciła Morska Chmura. Zgodnie z tym, co zameldował jej dowódca, tylko ona ocalała z całej eskadry. Obawiamy się... - Tu kapitan przerwał na moment, starając się wziąć w garść — że może być jedynym okrętem, jaki pozostał nam z całej floty. - Okrągłe oblicze Nahrmana pobladło. - Nie twierdzę, wasza wysokość, że tak jest - dodał szybko Tallmyn - ale że nie da się tego wykluczyć. Tylko ta jednostka powróciła do tej pory, a jej kapitan jest wciąż w szoku. Możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że w takim stanie, nawet starając

się do czegoś przydać, mógł przesadnie ocenić nasze straty. Ale... - kapitan ściszył głos i jeszcze bardziej spoważniał - jeśli tak było, nie ulega wątpliwości, że ponieśliśmy ogromną porażkę.

- Jakim cudem? - zapytał Nahrman.

- Odpowiedź na to pytanie poznamy dopiero za jakiś czas, wasza wysokość. Z tego co mówił kapitan Morskiej Chmury, na polu bitwy pojawił się Cayleb i jego galeony.

Zaatakowały naszą flotę od tyłu tuż przed świtem, a siła ich ognia okazała się znacznie większa, niż przypuszczał książę Czarnej Wody w swoich ostatnich raportach. Morska Chmura uciekła, ponieważ znajdowała się na zawietrznej, ale kapitan twierdzi, że widział podczas odwrotu zniszczenie jedenastu galer, w tym wszystkich jednostek z jego eskadry. Nahrman wpatrywał się w oficera przez dłuższą chwilę w kompletnej ciszy, potem skinął powoli głową i zbliżył się do okna sypialni wychodzącego na pałacowe ogrody.

III

Katedra w Tellesbergu

C

iało króla Haarahlda VII zostało złożone przed głównym ołtarzem tellesberskiej katedry. Sześciu uzbrojonych w halabardy gwardzistów stało przed marami, spoglądając groźnie w przestrzeń. Głównie ich broni przystrojono czarnymi wstęgami na znak żałoby. Z rozkazu króla Cayleba po obu stronach martwego władcy złożono ciała poległych w jego obronie sierżantów Gahrnanera i Haarpa- ra. U stóp Haarahlda siedział midszypmen Hektor Aplyn strzegący, mimo ręki na śnieżnobiałym temblaku, królewskiego miecza.

Aplyn był jednym z trzydziestu sześciu ocalałych członków załogi Królewskiego Charisu. Każdy z tych ludzi odniósł jednak rany. Wielu miało umrzeć z ich powodu, mimo iż uzdrowiciele robili co w ich mocy.

Już od czterech dni tłumy poddanych sunęły w milczeniu, z wielką nabożnością, przez gigantyczną nawę katedry, aby oddać ostatni hołd królowi. Jedni pociągali tylko nosami, inni płakali bez skrzepowania, wszyscy bez wyjątku mieli smutek i żal w oczach.

Ale prawie nikt nie rozpaczał.

Merlin Athrawes stał za królem Caylebem, gdy ten zasiadł w łoży razem z młodszym rodzeństwem, czekając na rozpoczęcie mszy i pogrzebu. Zhan i Zhanayt wyglądali, jakby wciąż jeszcze nie mogli pojąć, że ich ojciec poległ. Twarz Cayleba była o wiele bardziej zacięta.

To właśnie, pomyślał Merlin, spoglądając na ciało martwego króla, jeść dziś najpowszechniejszą reakcją Charisjan. Śmierć ich króla przyćmiła radość z odniesienia miażdżącego zwycięstwa nad flotą wroga, lecz nic nie było w stanie sprawić, aby zapomnieli, co ono oznacza.

Dziewiętnaście galer, czyli niemal czwarta część floty Haarahlda, zostało zatopionych albo tak mocno uszkodzonych, że Cayleb nakazał ich spalenie. Dziób Dreadnought- ta doznał uszczerbku podczas kolizji z Waleniszczycielem, w wyniku czego galeon zatonął. Załogi pozostałych jednostek floty poniosły spore straty. Z drugiej jednak strony, w telles- berskim porcie trzymano pod strażą sto siedemnaście galer księcia Czarnej Wody, w większości mocno uszkodzonych, jeśli nie liczyć trzydziestu sześciu jednostek z Chisholmu, które poddały się prawie bez walki i nosiły teraz charisjańskie bandery. Kolejne czterdzieści dziewięć zatopiono bądź spalono po bitwie. Tylko siedemnaście - mniej niż dziesięć procent sił znajdujących się pod dowództwem corisandzkiego admirała - zdołało uciec. Z całej liczby ponad trzystu pięćdziesięciu okrętów, które Grupa Czwojga zgromadziła w celu zaatakowania Charisu, tylko trzydziestu udało się uniknąć zniszczenia bądź zajęcia. Było to największe jednostronne zwycięstwo w całej historii wojen morskich Schronienia.

Duma Charisjan z ich niepokonanej floty płonęła jasnym blaskiem, tym jaskrawszym, że widniejącym na tle absolutnej czerni śmierci ich władcy. Merlin doskonale rozumiał ich uczucia. On też pragnął z całego serca, by Haarahld nie poległ w tej bitwie. Wyrzucał sobie, że nie zdażył dotrzeć na kasztel rufowy Królewskiego Charisu minutę wcześniej. Albo że chociaż nie zdał sobie sprawy, jak poważna jest rana, którą odniósł król - wtedy mógłby spróbować ją opatrzyć, jednocześnie odpierając atakujących Corisandianów.

Niestety, stało się inaczej i władca, którego darzył tak wielkim szacunkiem i podziwem - a nawet kochał, choć jeszcze do niedawna nie był tego świadom - zmarł za jego plecami na rękach jedenastoletniego midszypmena.

Tragedia była tym większa i boleśnieszka, że Charisjanie praktycznie wygrali już bitwę.

Gdyby nawet wszystkie okręty płynące w kolumnie księcia Czarnej Wody zdołały się przebić, zwycięstwo w przesmyku Darcos i tak byłoby miażdżące. A mimo to...

Merlin, stojąc za plecami króla Cayleba, obserwując i słuchając, dochodził powoli do wniosku, że bezsprzeczny sukces odniesiony w tej bitwie jest dzisiaj kompletnie bez znaczenia. SAPK-i umieszczone nad Królewskim Charisem zarejestrowały ostatnią rozmowę Haarahlda z kapitanem okrętu flagowego, dlatego Athrawes miał pewność, że stary król osiągnął wszystko, na czym mu naprawdę zależało. Wszyscy w Koronie wiedzieli, że mógł uniknąć udziału w tym starciu. Oraz że wołał stanąć przeciw sześciokrotnie silniejszemu wrogowi, niż pozwolić mu uciec z pola bitwy, a uczynił to dlatego, że Charis potrzebował w tej wojnie czegoś więcej niż zwykłych zwycięstw. Wiedzieli, że załoga flagowca walczyła do ostatniego człowieka, tworząc z ciał żywy mur otaczający króla. Ale nie zapominali też, że na koniec ich władca osłonił własnym ciałem jedenastoletniego midszypmena. Młody Aplyn powtórzył księciu Caylebowi ostatnie słowa wypowiedziane przez jego ojca. Następca tronu wysłuchał ich z ust oficera, ale zarazem jeszcze dziecka, które z trudem powstrzymywało się od płaczu, a potem powtórzył innym, by usłyszeli je wszyscy.

Charis wiedział również, że Haarahld nie powinien walczyć z wrogiem. Że decyzja ich króla była błędna. Ale jakże przy tym słuszna, gdy chodzi o jej ludzki wymiar... Charis wiedział o tym i nie zamierzał zapomnieć, podobnie jak o słowach wypowiedzianych do jedenastoletniego towarzysza broni. Król stał się męczennikiem, a co ważniejsze, przykładem, wzorem, któremu będą się starały dorównać przyszłe pokolenia dowódców i marynarzy. Legenda ostatniej walki HMS Królewski Charis będzie rosła z upływem czasu. Haarahld dał jej niesamowitą moc, pokazując, jak bardzo był wymagający nawet wobec siebie, i ustanawiając nowe standardy, którym będzie musiał sprostać każdy obrońca Charisu, pragnący dorównać martwemu władcy.

Merlin nie wątpił, że wielu z nich dostąpi tego zaszczytu.

Ale nie tylko to lud Charisu otrzymał w schedzie po Haarahldzie. Król pozostawił swego następcę, którego duma również płonęła niezwykle jasnym ogniem, niewiele ustępującym aurze otaczającej jego ojca. Lud wiedział, że Haarahld był tym, który zaplanował bitwę pod Darcos. Cała kampania była jego strategicznym konceptem. Dzięki swemu nieprzeciętnemu umysłowi - i odwadze - doprowadził ją do zwycięskiego końca, składając na ołtarzu własne życie. Ale to król Cayleb zmiażdżył siły wroga najpierw pod Skalistym Przylądkiem, a potem przy Cieśninie Skalistej, na nawiedzanych przez demony wodach Rify Armagedonu. I to dzięki jego pojawieniu się na polu bitwy pod Darcos ostateczne zwycięstwo stało się faktem. Lud stał murem za swoim nowym władcą, czego niewielu królów doświadczyło w całej historii ludzkości.

Na szczęście, można powiedzieć, ponieważ wszyscy już wiedzieli, kto stał za atakiem na Koronę.

Cayleb i hrabia Szarej Zatoki uznali, że nie należy taić przed nikim tej wiedzy, a Merlin ich poparł. Takiej tajemnicy nie dałoby się utrzymać zbyt długo, a lud Charisu zasługiwał na

to, by wiedzieć, komu przyjdzie stawić czoło. Dlatego obwieszczono wszem wobec, że to ojcowie Kościoła Boga Oczekiwanego nakazali zagładę Korony.

Merlin zdawał sobie sprawę, że ludzie nie zdołali jeszcze przetrawić tej informacji. Miną całe pięciodnie, a może nawet miesiące, zanim się z nią oswoją i pogodzą, a jednak pierwsze reakcje poddanych Cayleba były więcej niż jasne.

Podobnie jak reakcja nowego króla.

Mszy za króla Haarahlida nie poprowadzi biskup egzekutor Zherald, który był teraz wyjątkowo strzeżonym „gościem” w pałacu Cayleba. W całej historii Schronienia nie zdarzyło się jeszcze, by świecki władca odważył się pojmać i uwięzić biskupa. Z technicznego punktu widzenia nadal nie doszło do niczego takiego, ale nikt nie miał wątpliwości, czym jest owa gościna. Tak samo jak nikt nie wątpił, że prawdziwym pasterzem Charisu jest teraz biskup Maikel Staynair.

To musiało jeszcze trochę potrwać, ale Merlin już słyszał echa decyzji Henryka VIII. Bez względu na to, kogo Cayleb uzna za głowę Kościoła w Charisie, rozdział pomiędzy tułtejszym klerem a Świątynią stał się faktem i czekał jedynie na uprawomocnienie.

Taka decyzja nie mogła się spotkać z jednomyślną aprobatą. Niemal czwarta część duchowieństwa Korony, wliczając w to wielu rodowitych Charisjan, stanowczo protestowała przeciw podobnym sugestiom, pociągając za sobą pewien odsetek niezdecydowanej ludności, lecz skala tych buntów była znacznie mniejsza, niż początkowo zakładał Merlin.

Spora część społeczeństwa odczuwała lęk i obawy, nie mówiąc już o zagubieniu, wszelako znaczna większość poddanych Cayleba nigdy nie darzyła estymą skorumpowanych hierarchów z Syjonu. A fakt, że Rada Wikariuszy poprowadziła armie mające zrównać z ziemią ich domy, choć nikomu nie uczynili nic złego, zamieniła to uczucie w czystą nienawiść. Nikt nie kłopotał się takimi szczegółami, że to Grupa Czworga, nie cała Rada była za wszystko odpowiedzialna. Tego typu niuanse znane były tylko nielicznym, a Cayleb i hrabia Szarej Zatoki nie zamierzali zmieniać tego stanu rzeczy.

Reformacja Schronienia stawała się faktem, chociaż Merlin miał nadzieję, że dojdzie do niej o wiele później - kiedy Charis naprawdę będzie na nią gotowy. Nie mógł już nic zrobić, aby ją powstrzymać, choćby ze względu na upór ludu Korony i jej nowego władcy

Teraz inicjatywa spoczywała w rękach Cayleba. Pomimo sporych strat Królewska Marynarka Wojenna Charisu pałowała niepodzielnie na morzach, oprócz niej nie było żadnej liczącej się floty na tej planecie.

Bóg jeden wiedział, co uczyni Grupa Czworga, gdy się o tym dowie. Na krótką metę niewiele będzie mogła z tym fantem zrobić, zwłaszcza że nie dysponowała flotą. Ale na dłuższą metę Świątynia utrzyma kontrolę nad ponad osiemdziesięcioma pięcioma procentami światowej populacji i równie wielką częścią bogactw. Jej przewaga będzie ogromna, ale jeśli niepokoiła ona króla Cayleba Ahrmahka, nie dawał tego po sobie poznać. Co więcej, już zaczął działać, aby ją zniwelować.

Niesmak królowej Sharleyan pozostały po wymuszeniu na niej przez Grupę Czworga wsparcia Hektora stwarzał szansę na znalezienie rysy w tym planie, a fakt, że tak wiele jej galer przetrwało to starcie, dawał księciu do ręki narzędzie potrzebne do jej poszerzenia. Cayleb posłał nadzwyczajnego ambasadora do Cheraythu z ofertą zwrotu wszystkich zajętych okrętów i wypuszczenia pojmanych marynarzy w zamian za zakończenie działań wojennych ze strony Chisholmu.

Tak brzmiało oficjalne przesłanie. Ale prywatny list od księcia do Sharleyan sugerował nawiązanie znacznie bliższych stosunków. Nie wspominał jednak - raczej celowo niż taktownie - o tym, że Grupa Czworga będzie mocno zawiedzioną postawą jej królestwa, a zwłaszcza floty w starciu z Charisem. Z tego samego powodu nie poruszył też faktu, że zwrot nienaruszonych okrętów wkurzy hierarchię Świątyni jeszcze bardziej. Skupił się za to na

wszystkich powodach nienawiści do Hektora z Corisandu, które Charis dziełił z Chisholmem, i zasugerował, że najwyższa pora coś z tym zrobić.

No i pozostawała wciąż kwestia Nahrmahna ze Szmaragdów, który znalazł się nagle po drugiej stronie Morza Charyjskiego, bez floty, bez sprzymierzeńców, z zaledwie załogiem armii lądowej.

Ale to może poczekać, pomyślał Merlin, gdy głośna muzyka organowa obwieściła otwarcie wrót katedry. Nadejdzie czas, gdy trzeba się będzie zająć wszystkimi zewnętrznymi zagrożeniami. Czas na analizy, planowanie, identyfikację zagrożeń i ocenę szans. Ale jeszcze nie teraz. Dzisiaj, gdyby nawet istniała ku temu możliwość, Merlin nie zamierzał zajmować się tymi sprawami.

Być może ten rodzaj myślenia okaże się dla niego równie „zły” jak decyzja Haarahlda o skierowaniu okrętu flagowego prosto na galerię księcia Czarnej Wody. W końcu Merlin Athrawes nie miał bijącego serca, nie był też człowiekiem z krwi i kości, tylko zbiorem zatopionych w tworzywie sztucznym obwodów scalonych, w których krążyło z cichym szumem mrowie elektronów. Jego zadaniem było wypatrywanie każdego niebezpieczeństwa, wyczuwanie każdej okazji, decydowanie, jak najlepiej przekuć w sukces każde wydarzenie, nawet tak tragiczne jak śmierć króla Haarahlda. Nie mógł się jednak tego na razie podjąć. Nie dzisiaj. Ten dzień należał do człowieka, który został jego przyjacielem. Człowieka, który zaufał mu, oddając królestwo oraz syna, i zginął, nie wiedząc nawet, dla kogo tak naprawdę wszystko poświęca. Ten dzień należał do Haarahlda Ahrmahka oraz wszystkich Charisjan, którzy polegli na wojnie, której powodów nigdy im nie wyjaśniono. Dzisiaj należało uczcić ich pamięć, pomodlić się za przelaną krew ofiar i całe morze tej, która zostanie przelana w przyszłości.

Merlin Athrawes, spoglądając na całun Haarahlda i rannego midszypmena czuwającego u stóp martwego władcy, po raz pierwszy w pełni poczuł gorzkie jarzmo nieśmiertelności. Zrozumiał, że będą jego udziałem nieskończone lata życia i że wielu ludzi — mężczyzn, kobiet i dzieci — oficerów takich jak Aplyn poległ na wojnie, którą właśnie rozpętał. Czuł ten ciężar, widział go oczami wyobraźni; górujący nad nim duchowy Everest wewnętrznego przerażenia. Ale przyświecał mu przykład Haarahlda, Pei Kau-yunga, Pei Shan-wei, a nawet Nimue Alban. To był jego szczyt strachu i on musiał go pokonać bez względu na to, ile sił będzie to kosztować i jak daleko trzeba będzie zajść. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale dzisiaj musiał się na chwilę zatrzymać, aby królestwo Charisu, a wraz z nim człowiek posiadający umysł Nimue Alban, mógł pożegnać Króla Haarahlda VII.

Reszta mogła poczekać.

Postacie:

Ahdymysyn Zherald, biskup egzekutor - administrator arcybiskupa Erayka Dynnysa w Charisie.
Ahlbair Zherohm - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, służący na HMS *Tajfun*.
Ahlverez Faidel, główny admirał floty Dohlaru - książę Malikai; najważniejszy spośród admirałów króla Rahnylda IV z Dohlaru.
Ahrmahk Kahlvyn - książę Tirianu, konstabl Hairathy, kuzyn króla Haarahlda VII.
Ahrmahk Kahlvyn Cayleb - młodszy syn Kahlvyna Ahrmahka.
Ahrmahk Haarahld - król Haarahld VII, władca Charisu.
Ahrmahk Zhan - młodszy brat następcy tronu Cayleba, najmłodsze dziecko króla Haarahlda VII.
Ahrmahk Zhanayt - młodsza siostra następcy tronu Cayleba, córka króla Haarahlda VII.
Ahrmahk Cayleb - następca tronu Charisu, starszy syn króla Haarahlda VII.
Ahrmahk Rayjhis - starszy syn i dziedzic Kahlvyna Ahrmahka.
Ahrmahk Zhenyfyfyr - księżna Tirianu, żona Kahlvyna Ahrmahka.
Ahzgood Phyllyp - hrabia Corisu, szef wywiadu księcia Hektora.
Alban Nimue - oficer taktyczny admirała Pei Kau-zhi w stopniu komandora porucznika.
Aplyn Hektor - midszypmen Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, młodszy midszypmen HMS *Królewski Charis*.
Arcybiskup Erayk - patrz: Dynnys Erayk.
Arcybiskup Halmyn - patrz: Zahmsyn Halmyn.
Arcybiskup Lyam - patrz: Tyrn Lyam.
Arcybiskup Urvyn - patrz: Myllyr Urvyn.
Arcybiskup Wyllym - patrz: Rayno Wyllym.
Arcybiskup Zhasyn - patrz: Cahnyr Zhasyn.
Athrawes Merlin - porucznik Królewskiej Straży Charisu, CZA O Nimue Alban.
Aymez Bardulf - midszypmen Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, midszypmen HMS *Tajfun*.
Bahltyn Zheevys - sługa barona Białego Brodu.
Bahrmyn Borys - arcybiskup Corisandu.
Bahrmyn Tohmys - baron Białego Zamku, ambasador księcia Hektora na dworze księcia Nahrmahna.
Bahrnas Rahnyld - władca Dohlaru, król Rahnyld IV.
Baron Białego Brodu - patrz: Mahrtyn Gahvyn.
Baron Białego Zamku - patrz: Bahrmyn Tohmys.
Baron Gromu - patrz: Raice Bynzhamyn.
Baron Kamiennej Warowni - patrz: Rustmyn Edymynd.
Baron Morskiego Szczytu - patrz: Hyndryk Ahlfryd.
Baron Shandyru, Hahl - szef wywiadu księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Baron Warowni Tanlyr - patrz: Qwentyn Donyrt.
Baron Zielonego Wzgórza - patrz: Sandyrs Mahrak.
Baytz Nahrman Gareyt - drugie dziecko księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Baytz - władca księstwa Szmaragdu, książę Nahrman II.
Baytz Trahvys - trzecie dziecko księcia Nahrmahna ze Szmaragdu i jego drugi syn.
Baytz Felayz - najmłodsza córka księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Baytz Mahrya - najstarsza córka księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Baytz Ohlyvya - żona księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Bedard Adoree, dr - naczelny psychiatra operacji Arka.
Biskup egzekutor Wylly - patrz biskup egzekutor Wylly Gryr- syn.
Biskup egzekutor Zherald - patrz: Ahdymysyn Zherald.
Biskup Maikel - patrz: Staynair Maikel.
Blaidyn Rozhyr - drugi oficer, porucznik floty Dohlaru, galera *Królewska Bedard*.
Bowsham Khanair - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Huragan*.
Bradlai Robyrt (prawdziwe nazwisko kapitana Styvyna Whai- te'a) - porucznik marynarki Corisandu; patrz również: Whaite Styvyn.
Breygart Fraidareck - czternasty hrabia Hanth, pradziadek Hauwerda Breygart a.
Breygart Hauwerd - prawowity dziedzic hrabstwa Hanth.

Broun Mahtaio - najstarszy sekretarz i pomocnik arcybiskupa Erayka Dynnysa, protegowany i zaufany arcybiskupa Erayka.

Browning Ellys - kapitan, dowódca galeonu Świątyni **Błogosławiony Langhorne**.

Byrk Brekyn - major Królewskiej Piechoty Morskiej, dowódca oddziału piechoty morskiej na HMS **Królewski Charis**.

Cahkrayn Samyl - książę Fernu, pierwszy doradca króla Rah-nylda IV z Dohlaru.

Cahnryr Zhasyn - arcybiskup Glacierheart.

Chalmyr Mailvyn - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS **Tellesberg**.

Chalmyrz Karlos - pomocnik i sekretarz arcybiskupa Borysa Bahrmyna.

Charlz Marik - kapitan, dowódca kupieckiego statku **Córa Fali**.

Clareyk Kynt - major Królewskiej Piechoty Morskiej, ekspert w sprawach taktyki piechoty morskiej Charisu.

Clyntahn Zhaspyr - wikariusz, wielki inkwizytor Kościoła Boga Oczekiwanego, członek tak zwanej Grupy Czworoga.

Cohlmyr Lewk - hrabia Sharpfieldu; admirał marynarki Chi-sholmu, dowódca floty królowej Sharleyan.

Daikyn Gahlvyn - osobisty sługa następcy tronu Cayleba.

Daykyn Hektor - książę Corisandu, przywódca Ligi Corisandu.

Domnek - mistrz szermierki na dworze króla Haarahlda VII.

Dragoner Zhak - kapral Królewskiej Piechoty Morskiej, członek osobistej straży przybocznej następcy tronu Cayleba.

Duchairn Rhobair - wikariusz, minister skarbu, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworoga.

Dymytree, Fronz - żołnierz Królewskiej Piechoty Morskiej, członek osobistej straży przybocznej następcy tronu Cayleba.

Dynnys Adorai - żona arcybiskupa Erayka Dynnysa.

Dynnys Erayk - arcybiskup Charisu.

Ekyrd Hayrys - dowódca galery floty Dohlaru **Król Rahnyld**.

Erek XVII - patrz: wielki wikariusz Erek XVII.

Fahrmahn Luhys - szeregowy Królewskiej Piechoty Morskiej, członek osobistej straży przybocznej następcy tronu Cayleba.

Faircaster Payter - sierżant Królewskiej Piechoty Morskiej, najstarszy podoficer osobistej straży przybocznej następcy tronu Cayleba.

Falkhan Ahrnahld - porucznik Królewskiej Piechoty Morskiej, dowódca osobistej straży przybocznej następcy tronu Cayleba.

Fofao Mateus - dowódca OWFT **Swiftsure**.

Fuhllyr Raimahnd - kapelan HMS **Dreadnought**.

Furkhal Rafayl - drugi bazowy i uderzający Krakenów Tellesbergu.

Gahrdaner Charlz - sierżant Straży Królewskiej Charisu, członek straży przybocznej króla Haarahlda VII.

Gardynyr Ly wys - hrabia Thirsku, najstarszy admirał marynarki wojennej Dohlaru, zastępca księcia Malikai.

Graisyn Wyllys - główny administrator przy arcybiskupstwie Szmaragdu.

Greenhill Tymahn - starszy łowczy króla Haarahlda VII.

Guyshain Bahrnai - starszy doradca Zahmsyna Trynaira.

Gyrard Andrai - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, pierwszy oficer HMS **Dreadnought**.

Haarpar Gorj - sierżant Straży Królewskiej Charisu, jeden z przybocznych króla Haarahlda VII.

Hahlmahn Pawal - starszy szambelan króla Haarahlda VII.

Harrison Matthew Paul - prawnuk Timothy'ego i Sary Harrison.

Harrison Robert - wnuk Timothy'ego i Sary Harrison, ojciec Matthew Paula Harrisona.

Harrison Sara - żona Timothy'ego Harrisona i jedna z Ew.

Harrison Timothy - burmistrz Lakeview i jeden z Adamów.

Harys Ahlbyrt - specjalny wysłannik Zahmsyna Trynaira do Dohlaru.

Haskyn Yahncee - midszypmen floty Dohlaru na **Zatoce Gorath**.

Hauwyrd Zhorzh - osobisty strażnik hrabiego Szarej Zatoki.
Henderson Gabriela (Gabby) - porucznik, oficer taktyczny OWFT *Swiftsure*.
Hotchkys Ohwyn - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Tellesberg*.
Howsmyn Ehdwyrd - bogaty właściciel odlewni i stoczni w Tel-lesbergu.
Hrabia Corisu - patrz: Ahzgood Phylp.
Hrabia Hanth - patrz: Mahntayl Tahdayo.
Hrabia Mahndyru - patrz: Rahlstahn Gharth.
Hrabia Sosnowej Doliny - patrz: Ohlsyn Trahvys.
Hrabia Szarej Zatoki - patrz: Yowance Rayjhis.
Hrabia Thirsku - patrz: Gardynyr Lywys.
Hrabia Wyspy Zamek - wielki admirał Bryahn, dowódca Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, kuzyn króla Haarahlda VII.
Hrabia Sharpfieldu - patrz: Cohlmyrn Lewk.
Huntyr Klemynt - porucznik Straży Królewskiej Charisu, oficer Straży Królewskiej w Tellesbergu.
Hyndryk Ahlfryd - Baron Morskiego Szczytu, kapitan i najlepszy ekspert artyleryjski Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu.
Hyrst Zohzef - admirał floty Chisholmu, prawa ręka hrabiego Sharpfieldu.
Kaillee Zhilbert - kapitan floty Tarota, dowódca galery *Król Gorjah II*.
Khattyr Payt - kapitan floty Szmaragdu, dowódca galery *Czarny Książę*.
Kohrby Lynail - starszy midszypmen Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Dreadnought*.
Król Gorjah III - patrz: Yairayl Gorjah.
Król Haarahld VII - patrz: Ahrmahk Haarahld.
Król Rahnyld IV - patrz: Bahrns Rahnyld.
Królowa Sharleyan - patrz: Tayt Sharleyan.
Książę Cayleb - patrz: Ahrmahk Cayleb.
Książę Czarnej Wody - patrz: Lynkyn Ernyst.
Książę Fernu - patrz: Cahkrayn Samyl.
Książę Hektor - patrz: Daykyn Hektor.
Książę Malikai - patrz: Ahlverez Faidel.
Książę Nahrman - patrz: Baytz Nahrman.
Książę Tirianu - patrz: Ahrmahk Kahlvyn.
Lahang Braidee - agent księcia Nahrmana ze Szmaragdu w Charisie.
Langhorne Erie - główny administrator operacji Arka.
Layn Zhim - porucznik Królewskiej Piechoty Morskiej, adiutant majora Kynta Clareyka.
Lord Protektor Greyghor - patrz: Stohnar Greyghor.
Lynkyn Ernyst - książę Czarnej Wody, admirał floty Corisandu, głównodowodzący floty Corisandu.
Magwair Allayn - wikariusz, dowódca wojsk Kościoła Matki, członek Rady Wikariuszy oraz tak zwanej Grupy Czworka.
Mahgentee Mahrak - starszy midszypmen Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu na HMS *Tajfun*.
Mahklyn Rahzhyr, dr - rektor Królewskiej Akademii Charisu.
Mahlry Rholynd - porucznik floty Szmaragdu służący na galerze *Czarny Książę*.
Mahntayl Tahdayo - uzurpator hrabstwa Hanth.
Mahrak Rahnald - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, pierwszy oficer na HMS *Królewski Charis*.
Mahrtyn Gahvyn - baron Białego Brodu, admirał floty Tarota, głównodowodzący.
Maikel Qwentyn - kapitan floty Dohlaru, dowódca galery *Zatoka Gorath*.
Maikelsyn Leeahm - porucznik floty Tarota, pierwszy oficer na galerze *Król Gorjah II*.
Mairydyth Nevyl - porucznik floty Dohlaru, pierwszy oficer na galerze *Królewska Bedard*.
Makferzahn Zhames - jeden z agentów księcia Hektora w Charisie.
Makgregair Zhoshua - specjalny wysłannik wikariusza Zahmsyna Trynaira do Tarotu.
Manthyr Gwylm - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS *Dreadnought*.
Marshyl Adym - starszy midszypmen Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu na pokładzie HMS *Królewski Chris*.
Mistrz Domnek - mistrz szermierki na dworze króla Haarahlda VII.

Mathysyn Zhaikeb - porucznik floty Dohlaru, pierwszy oficer galery **Zatoka Gorath**.
Maylyr Dunkyn - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS **Halabarda**.
Maysahn Zhaspahr - szef agentów księcia Hektora w Charisie.
Maythis Fraizher (prawdziwe nazwisko Wahltayra Seatowna) - porucznik floty Corisandu; patrz również: Seatown Wahltayr.
Mhulvayn Oskahr - jeden z agentów księcia Hektora w Charisie.
Mychail Raiyan - największy producent tekstyliów i żagli w Tellesbergu.
Myllyr Urvyn - arcybiskup Sodar.
Myrgyn Kehvyn - dowódca galery **Corisand**.
Nylz Kohdy - komandor Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca jednej z eskadr hrabiego Wyspy Zamek.
Oarmaster Sygmahn - żołnierz Królewskiej Piechoty Morskiej, członek straży przybocznej księcia Cayleba.
Ohlsyn Trahvys - hrabia Sosnowej Doliny, doradca i kuzyn księcia Nahrmahna ze Szmaragdu.
Ojciec Michael - kapłan z probostwa Lakeview.
Olyvyr Ahnyet - żona Dustyna Olyyyra.
Olyvyr Dustyn - najlepszy projektant statków w Tellesbergu i główny konstruktor Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu.
Pei Kau-yung - komandor, dowódca ostatniej eskorty operacji Arka.
Pei Kau-zhi - admirał, głównodowodzący operacją Odeście, starszy brat komandora Pei Kau-yunga.
Pei Shan-wei, dr - żona komandora Pei Kau-yunga, ekspert od terraformingu pracujący dla operacji Arka.
Phonda Ahnzhelyka (Madame) - właścicielka ekskluzywnego burdelu z Syjonie.
Proktor Elias, dr - znany cybernetyk i członek zespołu Pei Shan-wei.
Qwentyn Donyrt - baron Warowni Tanlyr, komandor floty Corisandu, jeden z dowódców eskadry księcia Czarnej Wody.
Rahlstahn Gharth - hrabia Mahndyru, admirał floty Szmaragdu, głównodowodzący floty Szmaragdu.
Rahlstyn Erayk - komandor floty Dohlaru, jeden z dowódców eskadr księcia Malikai.
Raice By nzhaymyn - baron Gromu, szef wywiadu króla Haarahlda VII i członek jego Rady.
Rayno Wyllym - arcybiskup Chiang-wu, szef sztabu zakonu Schu- elera.
Rhubair Wikariusz - patrz: Duchairn Rhobair.
Ropewalk Ahdam - pułkownik gwardii królewskiej Charisu w Tellesbergu.
Rowyn Horahs - kapitan, dowódca jachtu sir Dustyna Olyvyra.
Rustmyn Edymynd - baron Kamiennej Warowni, pierwszy doradca króla Gorjaha III z Tarota i szef jego wywiadu.
Sahdlyr Bynzhaymyn - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, drugi oficer na HMS **Dreadnought**.
Sandyrz Mahrak - baron Zielonego Wzgórza, premier królowej Sharleyan z Chisholmu.
Seafarmer Rhyzhard - dowódca pionu śledczego barona Gromu.
Seatown Wahltayr - kapitan, dowódca frachtowca **Fraynceen**, pełniący rolę kuriera pomiędzy księciem Hektorem a jego szpiegami w Charisie. Patrz również: Maythis Fraizher.
Shumakyr Symyn - sekretarz arcybiskupa Erayka Dynnysa podczas wizyty duszpasterskiej w roku 891, agent wielkiego inkwizytora.
Smolth Zhan - gwiazda Krakenów z Tellesbergu.
Somerset Martin Luther - kapitan, dowódca OWFT **Excalibur**.
Sowa - akronim sztucznej inteligencji Nimue Alban, skrót od: Komputer taktyczny RAPIER, Model 17a firmy Smith-Ordonez- Westinghouse-Aytton.
Staynair Domynek - komandor Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, specjalista od taktyki, dowódca eskadry eksperymentalnej, zastępca księcia Cayleba, młodszy brat biskupa Maikela Staynaira, późniejszy admirał.
Staynair Maikel - biskup Tellesbergu, spowiednik króla Haarahlda VII i jego doradca.
Stohnar Greyghor - lord protektor, obieralny władca republiki Siddarmarku.
Sty wyrł Dahryl - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS **Tajfun**.
Symmys Tohmas - wielki książę Zebediahu, kanclerz Rady Najwyższej Zebediahu.
Tallmyn Gervays - kapitan floty Szmaragdu, zastępca kapitana portu królewskiego w Tranjyrze.

Tayt Sharleyan - władczyni Chisholmu, królowa Sharleyan.
Thiessen Joseph - kapitan, szef sztabu admirała Pei Kau-zhi.
Tillyer Henrai - porucznik Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, adiutant wielkiego admirała wyspy Zamek.
Tohmys Frahnklyn - nauczyciel księcia Cayleba.
Trynair Zahmsyn - wikariusz, kanclerz Rady Wikariuszy Kościoła Boga Oczekiwanego, członek tak zwanej Grupy Czworka.
Tryvvythyn Dynzyl - kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej Charisu, dowódca HMS **Królewski Charis**.
Tyrn Lyam - arcybiskup Szmaragdu.
Whaite Styvyn - dowódca frachtowca **Morska Chmura**, kurier krążący pomiędzy księciem Hektorem a szpiegami w Charisie; patrz również: Bradlai Robyrt.
Wielki książę Zebediahu - patrz: Symmys Tohmas.
Wielki Wikariusz Ereka XVII - świecki i tymczasowy przywódca Kościoła Boga Oczekiwanego.
Wikariusz Allayn - patrz: Magwair Allayn.
Wikariusz Zahmsyn - patrz: Trynair Zahmsyn.
Wikariusz Zhaspyr - patrz: Clyntahn Zahmsyn.
Wyllyms Marhys - majordomus księcia Tirianu.
Wylsynn Paityr - kapłan z zakonu Schuelera, namiestnik Kościoła Boga Oczekiwanego w Charisie.
Wynstyn Kynyth - porucznik floty Corisandu, pierwszy oficer na galerze **Corisand**.
Yairayl Gorjah - władca Tarota, król Gorjah III.
Yowance Ehrnaist - zmarły starszy brat Rayjhisa Yowance'a.
Yowance Rayjhis - hrabia Szarej Zatoki, pierwszy minister króla Haarahlda i przewodniczący jego Rady.
Zahmsyn Halmyn - arcybiskup Gorath, prałat królestwa Dohlaru.
Zhansan Frahn - szef straży księcia Tirianu. Zheppsyn Nyklas - kapitan floty Szmaragdu, dowódca galery **Tryton**.
Zhessyp Lachlyn - sługa króla Haarahlda VII. Zhoelsyn Phyllyp - porucznik floty Tarota, drugi oficer galery **Król Gorjah II**.

Glosariusz

Anshinritsume - słowo to w języku japońskim oznacza „oświecenie”. W Biblii Schronienia określono nim „mały ogień”, czyli pomniejsze tchnienie Boskiego ducha. Jest to najwyższy stan umysłowy, jaki może osiągnąć śmiertelna istota.

Dusznik - niskie zarośla pochodzące ze Schronienia. Istnieje wiele odmian tych krzewów, które rosną w niemal każdej strefie klimatycznej. Są bardzo gęste i trudne do wycięcia, ale wymagają wiele światła do rozrostu, więc najczęściej można je znaleźć w starych, rzadkich lasach.

Grupa Czworka - czterech wikariuszy, którzy sprawują faktyczną władzę nad Radą Wikariuszy i Kościołem Boga Oczekiwanego.

Jaszczurodrap - sześciopalcowy ssak z wyglądu przypominający jaszczurkę porośniętą gęstym futrem. W jego paszczy znajdują się dwa rzędy kłów zdolnych przebić kolczugę. Stopy tego zwierzęcia mają po cztery długie palce zakończone pięcio- lub nawet sześciopalcowymi pazurami.

Jedwabiowelna - roślina pochodząca ze Schronienia, posiadająca wiele właściwości charakterystycznych dla jedwabiu i bawełny. Pozyskiwano z niej bardzo lekkie i niezwykle

wytrzymałe nici, ale ich kłębki były znacznie bardziej zanieczyszczone ziarenkami niż ziemska bawełna. Jedwabiowełna osiągała zawrotne ceny ze względu na długi i żmudny ręczny proces oczyszczania przędzy.

Kolcojaszczur - gad wielkości ziemskiego łosia posiadający rozwidlający się róg o czterech odnogach. Długość tych kolców może dochodzić do jednej trzeciej rozmiaru całego zwierzęcia. Jaszczury te są roślinożerne i nie stanowią wielkiego zagrożenia.

Kolcowinorośl - roślina Schronienia przypominająca nieco *kudzu*. Niestety, nie rośnie tak szybko jak jej ziemski odpowiednik, ale jest od niej o wiele trwalsza, a kilka jej odmian ma na łodygach twarde kolce. W odróżnieniu od wielu miejscowych roślin bez problemu dała się skrzyżować z ziemską florą. Stosowana jako żywopłoty i ogrodzenia przez wielu rolników Schronienia.

Komentarze - autoryzowane interpretacje i rozszerzenia doktryn zawartych w Piśmie. Zawierają oficjalnie zaakceptowane i usankcjonowane interpretacje treści oryginalnych zapisów.

Kraken - wspólna nazwa nadana całej rodzinie morskich drapieźników. Zwierzęta te przypominają krzyżówkę rekina z kała- marnicą. Są bardzo potężne, mają rybie kształty, wielkie szczęki pełne zakrzywionych do tyłu zębów i wiązki macek wyłaniających się z ich ciał przy podstawie głów. Za ich pomocą drapieźniki te przytrzymują ofiary podczas ich pożerania. Małe przybrzeżne krakeny mogą mierzyć tylko trzy do czterech stóp długości, ich kuzyni żyjący na pełnym morzu osiągają czasami nawet pięćdziesiąt stóp - co zostało udokumentowane - ale te z legend i opowieści bywają o wiele większe.

Krakeny z Tellesbergu - zawodowy klub baseballowy.

Krowa morska - ssak ze Schronienia przypominający z wyglądu ziemskiego morsa. Dorosłe osobniki osiągają długość do dziesięciu stóp.

Kuguar - mniejszy gatunek jaszczurodrapa. Kuguary są znacznie mądrzejsze i zwinniejsze od swoich gigantycznych pobratymców, a co za tym idzie, potrafią unikać kontaktów z ludźmi. Są też niezwykle wytrzymałymi i zabójczymi łowcami.

Kyousei hi - dosłownie „wielki ogień” albo „wspaniały ogień”. Terminem tym określano aureole, jakie otaczały wszystkie pojazdy i skimmery dowództwa operacji Arka, aby podkreślić ich Boskie pochodzenie w oczach pierwszych pokoleń mieszkańców Schronienia.

Mech fleminga - (zazwyczaj pisany małą literą). Gatunek rodzimego mchu występującego tylko na Schronieniu, który po genetycznych zmianach wprowadzonych przez zespół terraformujący Shan-wei zyskał naturalne właściwości antybiotyczne. Stosowany powszechnie w medycynie Schronienia.

Mistrz Traynyr - postać z niezwykle popularnych na Schronieniu teatrzyków kukielkowych. Mistrz Traynyr zazwyczaj odgrywał rolę konspiratora, którego knowania zawsze kończyły się niczym. Tym samym terminem określano także lalkarza, który poruszał wszystkimi marionetkami podczas przedstawienia.

Namiestnik - duchowny przydzielony do biskupstwa albo ar- cybiskupstwa jako bezpośredni przedstawiciel Oficjum Inkwizycji. Zadaniem namiestnika jest przede wszystkim dbanie o to, by nie dochodziło do złamania Zakazów Jwo-jenga.

Narwał - gatunek ryby żyjącej na Schronieniu, nazwany tak ze względu na podobieństwo z gatunkiem waleni ze Starej Ziemi. Tutejsze narwale osiągają około czterdziestu stóp długości i mają dwa przypominające rogi kły, które mogą osiągać nawet osiem stóp długości.

Pajęczokrab - jedna z oryginalnych form życia na Schronieniu, o wiele większa od znanych na Ziemi krabów. Zwierzę to nie jest jednak skorupiakiem, jego segmentowe, mocno opancerzone ciało przypomina raczej ślimaka. Odnóża uznawane są za niezwykle delikatny przysmak.

Pajęczoszczur - gatunek szkodnika występującego na Schronieniu, który pełni w tym ekosystemie rolę podobną do ziemskich szczurów. Jest sześcionogi, podobnie jak wszystkie ssaki Schronienia, i wygląda jak skrzyżowanie jaszczurki z owadem. Posiada wielostawowe odnóża, które sięgają wyżej niż jego ciało. Szkodnik ten jest znany z narowistego usposobienia, ale zarazem niezbyt odważny. Największe osobniki największych gatunków mogą osiągać długość ciała sięgającą dwu stóp, jednakże średnia wielkość tych zwierząt to zaledwie jedna trzecia do połowy tych wymiarów.

Piaskowe czerwie - obrzydliwi mięsożercy, wyglądający jak sześcionogie ślimaki, które żerują na plażach podczas przypływu. Piaskowe czerwie zazwyczaj nie gustują w żywych ofiarach, aczkolwiek nie pogardzą też niewielkimi stworzeniami, które znajdują się w ich zasięgu. Ich naturalna barwa pozwala im idealnie się wtapiać w piaszczyste tło plaży, w dodatku zakopują się głęboko, pozostawiając na powierzchni jedynie koniec odwłoka.

Pięciodzień - odpowiednik ziemskiego tygodnia na Schronieniu. Składa się on tylko z pięciu dni - od poniedziałku do piątku.

Rada Wikariuszy - odpowiednik Kolegium Kardynalskiego w Kościele Boga Oczekiwanego.

Rakurai - dosłownie „błyskawica”. Tym słowem Pismo określa broń kinetyczną, za pomocą której zniszczono enklawę Aleksandria.

Rycerze Ziem Świątynnych - urzędowy tytuł prałatów zarządzających Ziemiami Świątynnymi. Z technicznego punktu widzenia Rycerze Ziem Świątynnych są ich świeckimi władcami, należącymi jednocześnie do hierarchii kościelnej. Zgodnie z prawem kanonicznym, nic co uczynią jako Rycerze Ziem Świątynnych, nie może być kojarzone z oficjalnymi działaniami Kościoła Matki. Świątynia wykorzystywała tę fikcję prawną już niejednokrotnie w swojej historii.

SAPK-i - Samonaprowadzająca Autonomiczna Platforma Komunikacyjno-zwiadowcza.

Seijin - mędrzec, święty mąż. Słowo zaczerpnięte bezpośrednio z języka japońskiego przez Maruyamę Chihiro, podwładnego Langhorne'a, któremu zlecono stworzenie Biblii Kościoła Boga Oczekiwanego.

Smok - największa lądowa forma życia na Schronieniu. Wyróżniamy dwa gatunki smoków: smoka zwykłego i smoka wielkiego. Smok zwykły jest trawożercą mniej więcej dwukrotnie większym od ziemskich słoni. Smok wielki jest nieco mniejszy od swojego zwykłego kuzyna, osiąga połowę do trzech czwartych jego masy, ale jest mięsożerny i zajmuje najwyższe miejsce w lądowym łańcuchu pokarmowym Schronienia. Oba gatunki są bardzo podobne do siebie, jedyna istotna różnica w ich wyglądzie to paszcza - u trawożernego zwierzęcia krótsza i masywna, przystosowana do przeżuwania, a u mięsożernego wydłużona i naszpikowana ostrymi zębiskami. Oba gatunki mają po sześć nóg, podobnie jak jaszczurodrapy, ale w odróżnieniu od nich nie mają futra, tylko grubą, doskonale izolującą skórę.

Smoki Hairathy - zawodowa drużyna baseballowa z Hairathy. Tradycyjni rywale Krakenów z Tellesbergu w Pucharze Króla.

Stalosek - roślina Schronienia przypominająca mocno rozgałęzione bambusy. Jej strączki zawierają niezwykle delikatne nasiona - ka przytwierdzone bardzo cienkimi, ale mocnymi niciami. Ziarenka te są bardzo trudne do usunięcia gołymi rękami, ale z ich nici można tkąć materiały o wiele wytrzymalsze od jedwabiu. Można z nich także splatać niezwykle wytrzymałe i odporne na rozciąganie liny. Co więcej, rośliny te rosną równie szybko jak bambus, a ilość zbieranej z jednego akra nici jest wyższa o siedemdziesiąt procent niż w przypadku ziemskiej bawełny.

Surgoi kasai - dosłownie „wielki (okropny) pożar”. Prawdziwy duch Boga, tchnienie Boskiego ognia, które wytrzymać może jedynie anioł albo archanioł.

Szarfa - tradycyjne nakrycie głowy noszone w królestwie Tarota, czyli specjalnie zaprojektowana i uszyta bandana nakładana na włosy.

Świadczenia - z wielu dokumentów, jakimi posługuje się Kościół Boga Oczekiwanego, te zawierają relacje naocznych świadków spisane przez kilka pierwszych pokoleń ludzi zamieszkujących Schronienie. Nie mają one jednak podobnego statusu jak chrześcijańskie ewangelie, ponieważ nie zawierają żadnych nauk ani inspiracji przekazywanych przez Boga. Ich zadaniem jest unaocznienie historycznej zgodności nauk Kościoła z faktami, które gromadnie spisywali naoczni świadkowie owych wydarzeń.

Świerszcz - tutejszy odpowiednik ziemskiego owada o tej nazwie dorasta do długości dziewięciu cali i jest mięsożerny. Na szczęście występuje mniej licznie niż świerszcze na Ziemi.

Uzupełnienia - spisane oświadczenia i obserwacje wielkich wikariuszy i świętych Kościoła Boga Oczekiwanego. Zawierają głęboko uduchowione i inspirujące nauki, ale jako dzieło zwykłych śmiertelników nie są stawiane na równi z treścią Pisma.

Waleniszczyciel - najbardziej niebezpieczny drapieżnik żyjący na Schronieniu, na szczęście bardzo rzadko interesujący się tak niewielką zdobyczą, jaką jest dla niego człowiek. Waleniszczyciele osiągają długość niemal stu stóp i są wyłącznie mięsożerne. Osobniki tego gatunku potrzebują wielkich przestrzeni do życia, więc nie zbliżają się do wybrzeży, dzięki czemu spotkania z nimi należą do rzadkości. Stworzenia te jedzą wszystko, nie wylaczając największych krakenów. Znane są też niezwykle rzadkie przypadki, gdy atakowały frachtowce lub galery wojenne.

Wiertacz - rodzaj żyjącego na Schronieniu skorupiaka, który przyczepia się do dna okrętu albo drewna spławianego do portów, wwiercając się w nie na pewną głębokość. Istnieje kilka rodzajów wiertaczy, z których najgroźniejsze potrafią wygryźć spore otwory w drewnie, do którego się przyczepią. Wiertacze są największym oprócz zbutwienia zagrożeniem dla kadłubów okrętowych.

Wy verna - tutejsze odpowiedniki ziemskich ptaków. Jednakże wyverny występują w znacznie mniejszej liczbie i różnorodności. Wśród nich wyróżniamy wyverny pocztowe, myśliwskie (stosowane do łowów w podobny sposób jak sokoły), skalne (te gatunki są niewielkie, rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do dziesięciu stóp), morskie (tych jest naprawdę wiele), królewskie (jedne z największych latających drapieżników, mogących osiągać nawet do dwudziestu pięciu stóp rozpiętości skrzydeł). Wszystkie gatunki tych zwierząt mają po dwie pary skrzydeł oraz dwie kończyny wyposażone w niezwykle ostre pazury. Zdesperowane królewskie wyverny porywają dzieci, jeśli nadarzy się ku temu okazja,

aczkolwiek gatunek ten znany jest z całkiem sporej inteligencji i wie, że człowiek nie jest łatwą ofiarą, więc na ogół omija ludzkie sadyby.

Wyvernawisko - miejsce wylęgu oswojonych wyvern.

Zakazy Jwo-jeng - spis technologii dozwolonych przez Kościół Boga Oczekiwanego. W ogólnym zarysie Zakazy zabraniają korzystania z urządzeń, które nie są napędzane siłą wiatru, wody albo ludzkich mięśni. Zwyczajowo zakazy podlegają ocenom zakonu Schuelera, należącego do najbardziej konserwatywnych zgromadzeń Schronienia.

Informacja dotycząca miar czasu na Schronieniu

Doba na Schronieniu liczy dwadzieścia sześć godzin i trzydzieści jeden minut. Rok Schronienia to 301,32 dnia, czyli 0,91 standardowego roku ziemskiego. Planeta ma jeden spory księżyc, który obiega ją w 27,6 lokalnego dnia, zatem miesiąc księżycowy trwa tutaj mniej więcej 28 dni.

Doba Schronienia dzieli się na 26 sześćdziesięciminutowych godzin oraz trzydziestojednominutowy okres zwany „czuwaniem Langhorne'a”.

Rok Schronienia dzieli się na dziesięć miesięcy: luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik i listopad. Każdy z nich dzielony jest na sześć pięciodniowych tygodni, zwanych tutaj „pięciodniami”. Mają one następujące nazwy: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek i piątek. Dodatkowy dzień roku przypada w samym środku lipca, ale nie ma przydzielonego numeru. To tak zwany „dzień Boga” i zarazem najważniejsze święto Kościoła Boga Oczekiwanego. Z takiego podziału wynika, że każdy pierwszy dzień miesiąca musi wypadać w poniedziałek, a ostatnim jest piątek. Co trzy lata występuje tak zwany rok przestępny, który trwa o jeden dzień dłużej - zwany „memoriałem Langhorne'a” i umieszczany w środku lutego (także bez przydzielonego numeru). To oznacza, że statystyczny miesiąc Schronienia liczy 795 godzin, w odróżnieniu od 720, jakie ma 30-dniowy miesiąc na Ziemi.

Zrównanie dnia z nocą wypada na Schronieniu 23 kwietnia i 22 września, natomiast przesilenia słoneczne 7 lipca i 8 lutego.